wolnelektury.pl

Zygmunt Krasiński

Listy wybrane

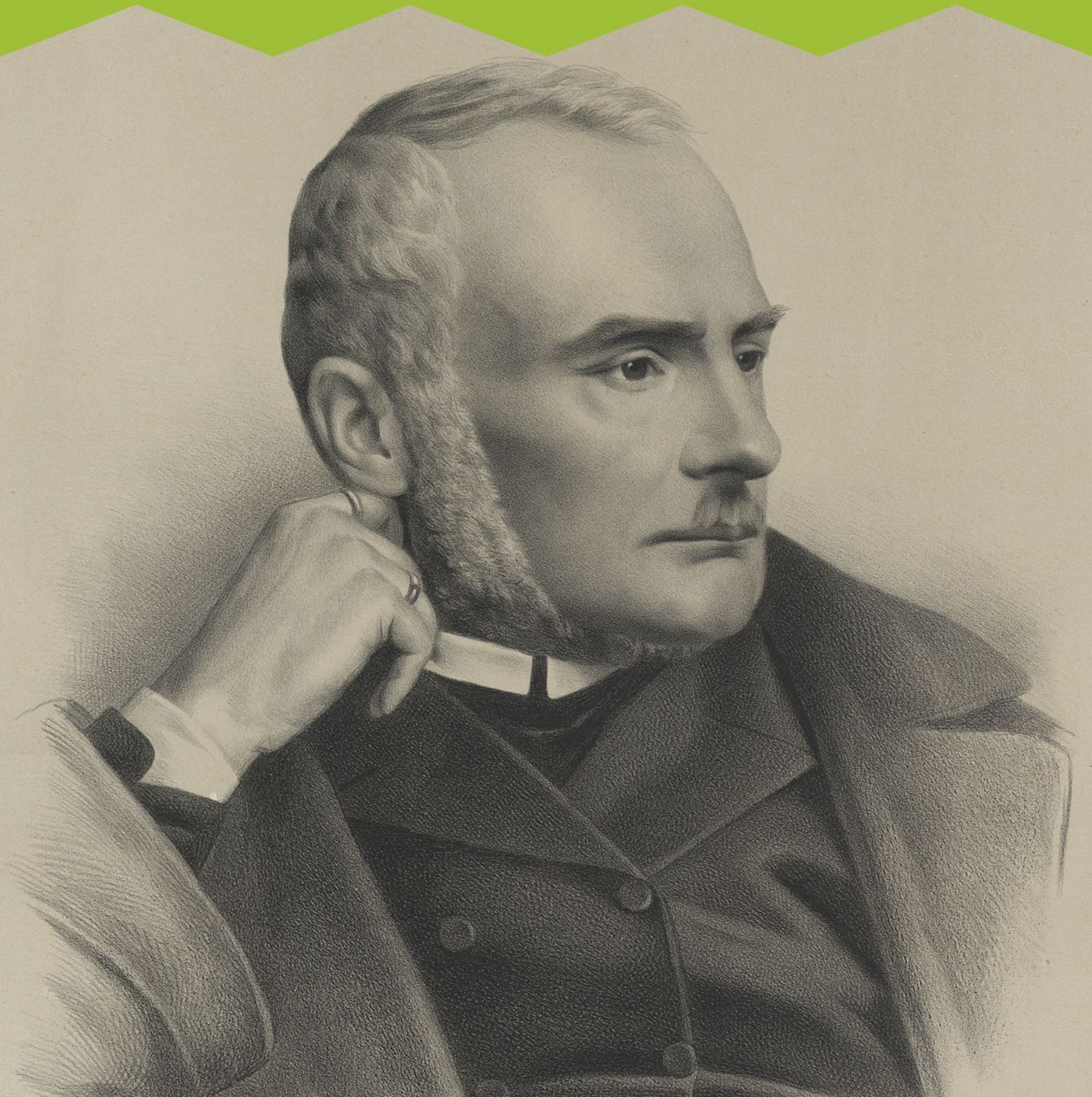

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

ZYGMUNT KRASIŃSKI

Listy wybrane

Listy Zygmunta Krasińskiego mają sławę, ustaloną już od dawna. Jeszcze za życia poety — jak świadczy żartobliwa wzmianka Słowackiego w *Fantazym* — przepisywały je romantyczne arystokratki i odczytywały z patosem na towarzyskich zebraniach, zaraz zaś po jego śmierci zaczęto je ogłaszać drukiem. Rozpoczęto w roku 1860 od *Wyjątków z listów Z. Krasińskiego* (2 wydania), potem w czasopismach, broszurach i obszernych tomach ukazywały się zbiory ich, zwrócone do poszczególnych osób. Oto najważniejsze z nich:

Listy Z. K. o poemacie K. Koźmiana p.t. *Stefan Czarniecki*, Poznań, 1859.

Listy… do Edwarda Jaroszyńskiego, Kraków, 1871.

Listy Z. K., t. I: do Konstantego Gaszyńskiego, Lwów 1882.

Listy Z. K., t. II: do Adama Sołtana, Lwów, 1883.

Listy Z. K., t. III: do J. Słowackiego, R. Załuskiego, E. Jaroszyńskiego, K., A. i St. Koźmianów (wyjątki!) i Bron. Trentowskiego, Lwów, 1887.

Listy do St. Małachowskiego, Kraków, 1885.

Correspondance de S. Krasiński et de Henry Reeve, Paryż, 1902, 2 tomy.

Listy do Stanisława Koźmiana, Lwów, 1911.

Listy do Augusta Cieszkowskiego, Kraków, 1912, 2 tomy.

Listy do Adama Potockiego, Warszawa, 1922.

Listy do Delfiny Potockiej, Poznań, 1930 i 1935 (dotychczas 2 tomy).

Oprócz tego wiele ułamków tej olbrzymiej korespondencji ogłoszono w czasopismach naukowych, książkach zbiorowych, dziełach z zakresu historii literatury, a nawet w dziennikach. Wymienia je G. Korbut w swej nieocenionej *Literaturze polskiej*, w t. III s. 174–175.

Nieprędko jednak będziemy mieli całkowity, zupełny zbiór zachowanych listów autora *Nie-Boskiej Komedii*. Na wydanie czeka ich bardzo wiele. Dwa ogromne tomy wydanych dotąd listów do Delfiny Potockiej (n.b. obciętych przez wydawcę) obejmują na 1300 stronach tylko sześć początkowych lat korespondencji — pozostaje do ogłoszenia materiał z reszty, tj. z lat trzynastu. Przede wszystkim jednak domagają się światła dziennego listy, pisane do ojca. Przeglądając niegdyś ich stosy w dworze opinogórskim, obliczałem je na piętnaście do dwudziestu średniej wielkości tomów. Z rodzaju stosunku poety do ojca, z nieprawdopodobnej szczerości, z jaką spowiadał mu się w latach młodych z każdej niemal myśli, a później przynajmniej ze spraw ważniejszych, wynika jasno, że w listach tych zawarty jest materiał, który w nowym, ledwie przeczuwalnym, oświetleniu ukaże postać wielkiego poety, dodając zapewne do znanych już jego cech charakterystycznych sporo pierwiastku męczeńskiego i bohaterskiego. Listy te, które niegdyś należały do zbiorów ordynacji Krasińskich, są obecnie wraz z listami do Delfiny Potockiej własnością pp. Raczyńskich w Rogalinie.

Z wszystkich wymienionych zbiorów i z rozrzuconych po czasopismach materiałów powstał niniejszy wybór, pierwszy i jedyny dotychczas. Zebrano w nim to wszystko, co z jakichkolwiek względów posiada — zdaniem wydawcy — wartość dla charakterystyki poety lub jego epoki. Są tu więc zaznaczone wszystkie fazy jego twórczości od genewskiej zabawy w poetę przez wstrząśnienia petersburskie i warszawskie do arcydzieł i dalej aż do ostatnich utworów poetyckich; w tej dziedzinie nie opuszczono niczego istotnie ważnego, tak że czytelnik może sobie dzieje tej twórczości odtworzyć bardzo dokładnie. Dzieje serca poety występują w tym zbiorze również jasno, począwszy od młodzieńczej, sztucznej miłości do Henryki Willan, odmalowanej tak jaskrawo w listach do Reeve'a,

przez smutne dzieje stosunku z panią Bobrową, przez ekstazy dla Delfiny Potockiej aż do ostatecznego, pełnego podziwu ukochania własnej żony. Jak niezrównanym przyjacielem umiał być autor *Irydiona*, wyczytać można w większości listów.

Wielki nacisk położono na możliwie dokładne zebranie materiału dla ocenienia stosunku Krasińskiego do innych poetów i wybitnych pisarzy, a więc do Słowackiego, Mickiewicza, Malczewskiego, Norwida, Gaszyńskiego, Towiańskiego, Koźmianów, Deotymy, Klaczki itd. Listy do K. Koźmiana o jego *Stefanie Czarnieckim*, pisane z obowiązku, nieszczerze, pominięto prawie zupełnie, zarówno jak listy do Adama Potockiego, z tego samego powodu. Natomiast zamieszczono starannie najważniejsze wycieczki w stronę estetyki, uwagi o pisarzach obcych, a zwłaszcza o poezji. Aby w niczym nie fałszować istotnych a tak rozmaitych i zmiennych objawów ducha poety, zamieszczono obok najwyższych i najpiękniejszych uniesień listy pospolite i banalne.

W tym ogromnym obszarze życia i ilustrującego je materiału położono nacisk na dwie zwłaszcza epoki: młodzieńczego wzrostu i przedwczesnego, chorobliwego załamania się. Pierwszą, przedstawiają po prostu wspaniale prawie nieznane u nas listy do Reeve'a, podane tu po raz pierwszy w przekładzie z na pół francuskich, na pół angielskich oryginałów. Są to bezsprzecznie najpiękniejsze i najbardziej interesujące listy Krasińskiego. Szybki rozrost genialnego talentu i pierwszorzędnej wagi problemat, około którego się obracają, problem udziału w walce o niepodległość, nadają im charakter wybitnie dramatyczny w dosłownym tego słowa znaczeniu; czytelnik śledzi rozwój akcji, tym ciekawszej, że szczerość wobec przyjaciela zjawia się tam obok wmawiania w siebie samego niedoznawanych uczuć. Listy te są chyba największym skarbem epistolografii polskiej, więc też opuszczono z nich niewielką tylko ilość, a dla dania wyobrażenia o rodzaju sporów i walk między obu młodzieńcami podano w przypisach kilka ustępów z listów Reeve'a. Charakter niniejszego wyboru nie pozwolił, niestety, na częstsze ich przytaczanie. Przekładu dokonała panna Amelia Hertzówna[1].

Drugi okres, na który chciano zwrócić uwagę czytelnika, to rok 1848-y, obejmujący tragiczny konflikt z Mickiewiczem i nagły zwrot do możliwie najbardziej prawicowych, po prostu już wstecznych poglądów politycznych. Zwrot to stanowczo chorobliwy; wyjaśnienie dać tu mogą, i powinni, i psychologowie, i lekarze. Pomieszczono tu prawie bez wyjątku wszystkie listy Krasińskiego, rzucające na tę sprawę choćby trochę światła. Przy tej sposobności niech mi wolno będzie zwrócić uwagę na dziwną zgodność zarówno faktów, jak i poglądów, wymienianych w tych listach rzymskich autora *Przedświtu*, z największym arcydziełem Wyspiańskiego, *Legionem*. Zgodność ta jest tym bardziej zdumiewająca, że podane tu listy do Delfiny Potockiej ogłoszone (niestety, w wyjątkach!) dopiero w dwadzieścia lat po śmierci Wyspiańskiego. Czyżby je znał z rękopisów? Albo czyżby tak daleko idące podobieństwa pomysłów pochodziły z jednakowej u obu poetów intuicji poetyckiej? Jest to zagadnienie, bądź co bądź, warte chwili namysłu.

Należą się też czytelnikom choćby najogólniejsze, zasadnicze wiadomości o najważniejszych adresatach, choćby tyle, aby można sobie było uzmysłowić ich wzajemny stosunek. Dodane do tekstu portrety[2] może zadanie to nieco ułatwią.

Najwcześniejszym i najgłębszym był związek przyjaźni z Henrykiem Reevem. O rok młodszy od Krasińskiego, był Reeve synem bogatego lekarza angielskiego, który umarł wcześnie, powierzając opiekę nad swoją żoną i jedynym synem koledze i przyjacielowi swemu, lekarzowi genewskiemu, doktorowi Janowi de Roche. Z tego powodu zjawił się młodziutki Henryk wraz z matką w Genewie i tu poznał się w listopadzie r. 1829-go z Krasińskim. Łączyły ich wspólne studia uniwersyteckie, zapał do twórczości poetyckiej, młodzieńcze miłości, a wkrótce także wspólni znajomi i przyjaciele. Można przypuszczać, że przyjaźń Reeve'a była Krasińskiemu ze wszystkich najdroższą i najcenniejszą; rozwiała się z winy młodego Anglika, który po powrocie do Londynu oddał się całą duszą dziennikarstwu i jako jeden z głównych współpracowników „Timesa" zapomniał z biegiem lat o przyjacielu i na listy jego nie odpowiadał. Odszukany przez wnuka poety, Adama Krasińskiego, wręczył mu wszystkie, starannie przechowane listy do siebie i swoje własne,

[1]*Amelia Hertzówna* — ur. 15 października 1879 w Warszawie, zm. w 1942 r. w Warszawie; jej tłumaczenia przeszły do domeny publicznej; red. WL. [przypis edytorski]

[2]*portrety* — z przyczyn technicznych publikacja portretów z wydania źródłowego nie jest możliwa. [przypis edytorski]

pisane do przyjaciela, a w pewnej chwili odebrane od niego. Jak cenną była ta przyjaźń dla naszego poety, można wywnioskować z uważnego przeczytania tych przepięknych listów. Bez Reeve'a sprawiedliwość *Nie-Boskiej Komedii* wobec stronnictw politycznych byłaby niemożliwa.

Drugim z rzędu przyjacielem lat młodych Krasińskiego jest Konstanty Gaszyński. O trzy lata starszy od niego, zobowiązał sobie na zawsze przyszłego twórcę *Irydiona* obroną przed atakiem kolegów w czasie pamiętnego zajścia uniwersyteckiego w r. 1829-ym — był jednak umysłowością zbyt przeciętną, aby przyjaźń ich mogła być głęboką. Stąd mentorski i trochę lekceważący ton listów młodszego Krasińskiego, a równocześnie brak w nich zwierzeń o sprawach, sięgających w duszę głębiej, niż zagadnienia literackie. Że chodziło tu o rodzaj umysłu Gaszyńskiego, a nie np. o niskie jego pochodzenie, dowodzi niezwykła szczerość i otworzenie całego serca w pierwszych zaraz listach do Br. Trentowskiego, pochodzącego również ze sfer ubogich. Przyjaźń z Cieszkowskim, początkowo mająca swą podstawę we wspólnych zamiłowaniach do filozofii romantycznej, w późniejszych latach przybrała cechy serdecznego, zupełnego oddania się.

Dwu spomiędzy najważniejszych adresatów należało do krewnych poety — są to Adam Sołtan i Stanisław Małachowski. Sołtan był od Krasińskiego starszy o lat dwadzieścia, więc niezwykle ścisłe związki ich duchowe wypłynęły przede wszystkim z pokrewieństwa, polegającego na tym, że matki ich obu pochodziły z tej samej linii radziwiłłowskiej. Sołtan był pułkownikiem wojsk polskich i po upadku powstania listopadowego musiał udać się na emigrację. Małachowski urodził się w r. 1798, był więc starszy od Krasińskiego o lat czternaście, a spokrewniony z nim był przez rodzinę Czackich. Na emigracji, dokąd przywiódł go udział w powstaniu listopadowym, nosił, dzięki swej powadze, przydomek „Wojewody"; Mickiewicz nazywał go „Podskarbim Rzeczypospolitej", bo zwykle przez jego ręce przechodziły wszelkie fundusze emigracyjne.

Obie ukochane przez Krasińskiego kobiety starsze były od niego o lat pięć. Wiadomo, że pani Joanna Bobrowa zapłaciła swe uczucia dla autora *Irydiona* szczęściem swego życia rodzinnego i, opuszczona przez męża, pędziła dni swe w Paryżu, oddana wychowaniu córek. O drugiej z nich, pani Delfinie z Komarów Potockiej, nie żyjącej z mężem swym, Mieczysławem Potockim, i starającej się o rozwód, listy Krasińskiego mówią wszystko. Listy te, niedawno dopiero ogłoszone, rzucają zarówno na adresatkę, jak i na stosunek jej do Krasińskiego światło o wiele korzystniejsze, niż dawne rozprawy osób, wtajemniczonych w jej życie, którym zawdzięczaliśmy wiadomości o niej.

*

Co do metody wydawniczej, zaznaczam z naciskiem, że wszystkie zawarte tu listy ogłoszone są w całości, bez żadnych skrótów i okrawań, tak jak je podano w pierwodrukach, zresztą w olbrzymiej większości już okrojonych. Do rękopisów nie miał wydawca dostępu z nic nieznaczącym wyjątkiem urywków z listów do C. Norwida, których kopie znajdują się w Bibliotece Ordynacji Krasińskich w Warszawie. Pisownię i interpunkcję całego zbioru ujednostajniono, jak to było obowiązkiem wydawcy.

Sprawę objaśnień trzeba było z konieczności potraktować inaczej, niż w tomie I-szym, zawierającym dzieła poetyckie. I tam pozostawiano wmyślenie się w utwór i wyrobienie sobie sądu o nim i zawartych w nim ideach — z wyjątkiem nielicznych aluzyj krytycznych we wstępie — pracy czytelnika, starano się tylko usuwać mu z drogi pracy myślowej najpospolitsze, drobne kamienie, mające postać niezrozumiałych wyrażeń lub zapomnianych taktów. Tu, gdzie chodzi nie o koncepcje poetyckie, z góry już obmyślone dla szerokich rzesz społeczeństwa, lecz o wymianę zdań między dwoma niepospolitymi umysłami, której świadkiem nieproszonym i nieprzewidywanym staje się czytelnik — tu kamyczków takich i wielkich kamieni jest tyle, że prymitywne usuwanie ich mogłoby przybrać chwilami postać karykatury. Więc poprzestano jedynie na tłumaczeniu cytatów obcych i na najkonieczniejszych wyjaśnieniach łamigłówek, używanych przez poetę jako środek ochronny przeciw cenzurze rosyjskiej, której stale się obawiał. Rozwiązywanie zawiłych zagadek nomenklatury rodzinnej, tych niezwykle ważnych i niezbędnych czytelnikowi wiadomości, kogo oznacza słowo „Jan" lub słowo „Księżna", podawano tylko wtedy, kiedy dokonał go już w przypiskach adresat (np. St. Małachowski), znający

wszystkie tajniki sfery, o której mowa, lub jego równie dobrze poinformowany zastępca (np. w listach do Cieszkowskiego syn adresata). W wydaniu popularnym tego rodzaju wiadomości są chyba zbyteczne.

Mam nadzieję, że ten zbiór listów Krasińskiego spełni dobrze podwójne swoje zadanie: dostarczenia czytelnikom rozkoszy obcowania z wielkim duchem i wnikania w najtajniejsze jego myśli i uczucia — a następnie, przez zbliżenie i wykazanie istotnej jego wielkości, usunięcia sztucznych rowów i zasiek, jakie pomiędzy nim a czytającą publicznością wykopała i stworzyła tendencyjna krytyka literacko-naukowa. A usunięcie tych przesądów jest równoznaczne z otwarciem sobie nowej krynicy najszczerszych rozkoszy artystycznych.

T. P.

LISTY

1. DO HENRYKA REEVE'A[3]

Genewa, 26 czerwca 1830

Drogi mój!

Właśnie otrzymałem Twój list i odpisuję Ci bez zwłoki. Czy Ci nie mówiłem, że Montreux jest nudne, przygnębiające? Nie wiem, co jest w tej okolicy, lecz „serca mego tu nie ma", jak mówi Lamartine. Masz słuszność: brzęczenie pszczoły, piosenka strumyka, płynącego po kamyczkach, nie są godnym akompaniamentem miłości. Miłości trzeba chmury majestatycznej, posuwającej się z wolna na błękicie niebios, góry nieruchomej a olbrzymiej, grzmotu, rozbrzmiewającego głosem Pana, błyskawicy, zalewającej widnokrąg, wściekłej fali, podnoszącej się z przepaści mórz; wszystko, co wielkie, straszne, wzniosłe, olbrzymie, ukoi serce namiętne, bo jest jednej z nim miary. Ale nie można uzgodnić z miłością pół szmerów, drżeń owadów, skrzydeł motylich, westchnień wody, walczącej ze źdźbłem trawy lub kępką mchu, tych krzyżyków i bemoli przyrody, że tak je nazwę, z miłością młodzieńca wieku XIX, chcę powiedzieć, młodzieńca, który nic ziemskiego do swoich uczuć nie wkłada, a jednak czuje całą siłę nieokiełzanej namiętności. Jemu to właśnie trzeba wstrząśnień nawałnicy i burzy, bo łono jego jest wieczną burzą, a piorun niebieski wierne w nim znajduje odbicie.

Dla Rousseau'a, który napisał swoją *Heloizę* w czterdziestym piątym roku życia, a może i później, rozumiem, że Montreux było odpowiednie, gdyż w tym wieku namiętność zmysłów już bierze górę nad namiętnością duszy. O, ileż prawdy jest w przysłowiu: „Ukochani przez bogów umierają młodo!". Tak, Rousseau mógł twierdzić, że spokój w przyrodzie dobrze na niego wpływa. Łagodny powiew wiatru chłodził jego rozgorączkowane piersi, szept strumyka był rozrywką dla jego ucha, w którem tętniła gwałtownie napływająca krew. Wszystkie te drobnostki zabawiały jego płonący mózg, a chłód jeziora uspakajał palącą miłość jego łona. Ale nam, którzy nie mamy ciała z materii, lecz niecielesną duszę z ognia, nam trzeba czegoś większego, czegoś, co nie ześlizgnie się po naszych umysłach, jeno przemówi do ducha. Oto dlaczego w Montreux, pod którego wpływem powstały patetyczne listy i najpiękniejsze rozprawy o miłości ciała, natchnienie mało albo zgoła wcale nas nawiedzać nie będzie.

Znajduję, że trzy strofki, któreś mi przysłał, są bardzo ładne, ale, drogi Harry, „otocz mię swemi ciemnemi ramionami"! To wygląda nieco na kradzież, popełnioną u Twego oddanego sługi, który do Ciebie pisze w tej chwili. Zdaje mi się, że poznaję tu „otoczony mglistemi ramionami burzy". Ale zresztą czarem wiersza przewyższa to moje słowa.

Muszę Ci napisać, że przedwczoraj byłem w stanie takiej rozpaczy, obrzydzenia, spleenu, nudy, melancholii, że życie mi ciężyło bardziej, niż kiedykolwiek, i że po raz pierwszy przyszła mi do głowy poniżająca myśl skończenia z tym światem, który mało dał mi rozkoszy, odrywając mię od nich, skoro tylko ich zaznałem. Po raz pierwszy w życiu nawiedziła mię myśl o samobójstwie, toteż zaznaczyłem to w swoim notatniku. Ale wkrótce odepchnąłem z pogardą myśl, która może czasami zrodzić się w umyśle, trawionym gorączką, ale którą urzeczywistnia jedynie serce tchórzliwe i nieszlachetne.

Straszliwie mi Cię brak, mój drogi, i pozwolisz chyba, że skruszę kopię w obronie swoich Angielek, „jasnych i uroczych, jak promień słońca ze Wschodu", napadając na genewianki, z wyjątkiem jednej jedynej, i utrzymując, dla ulżenia sercu swemu, że Genewa jest miastem przeklętem. Następnie muszę Ci donieść, że przedwczoraj w nocy, nie mogąc zmrużyć oczu, przeczytałem dzieło M. Boissier'a: *Czy ich odnajdziemy w lepszym świecie?*, i że zaczerpnąłem z niego pociechę, życie i nadzieję, mimo oschłego i suchego stylu... i braku choćby krzty poezji. Gdy skończę powieść, która mię obecnie zajmuje, napiszę utwór w tym rodzaju po polsku, wkładając weń wszystkie piękności wyobraźni

[3] *Do Henryka Reeve'a* — wszystkie zamieszczone tu listy do Henryka Reeve'a są przekładem z oryginałów francuskich, przeplatanych raz po raz ustępami w języku angielskim. [przypis redakcyjny]

i poezji, które słaby mój umysł zdoła zebrać, i poświęcę je... tej, która mnie do dzieła tego natchnęła[4].

Początek tak brzmieć będzie: „Czy pamiętasz jeszcze wieczór, gdy nad brzegami Lemanu, zamierającego z wolna u stóp ogrodów, z dala od mojej ojczyzny, pytałaś mię, przewidując rozłąkę naszą na ziemi, czy zobaczymy się w przestrzeniach, osypanych gwiazdami, błyszczącemi nad naszemi głowami?" itd., itd. Rozumiesz przecież, że to będzie bez nazwiska. Osądzą może że to twór mojej wyobraźni, a jednak wyjdzie on z mojego serca[5]. Zawiadamiam Cię, że moje *Legiony Polskie* drukowane będą w „Bibliotece Powszechnej" wraz z kilku innemi memi utworami, za staraniem p. Roget[6].

Napisałem wczoraj rzecz, którą uważam za oryginalną. Jest to historia młodzieńca, który, będąc w głębi duszy poetą, odczuwa piękność i wzniosłość, a nic wyrazić w słowach nie umie. Sam ze sobą jest wielki, ale, gdy zaczyna pisać, jednego zdania ułożyć nie może. Oto część pierwsza. W drugiej zakochuje się w młodej entuzjastce, która początkowo wierzy w to, co wyrażają jego spojrzenia, jego rysy, a później, przekonawszy się, że nic wypowiedzieć nie umie, opuszcza go. Młodzieniec wpada w apatię rozpaczy. Część trzecia: Ojczyzna go wzywa. Spieszy do walki, ale, podkopany cierpieniem, nie ma sił do zadania ciosu wrogowi. Wpada w chorobę. Wnoszą go z powrotem do namiotu, gdzie umiera z bólu, on, który nigdy nie umiał wypowiedzieć się ani w czynach, ani w słowach. Czuł się słowem, pokrytem wiecznie obłokiem. Kończy się słowami: „Nie był to wielki człowiek, lecz była to wielka dusza. Z przyjemnością wyobrażam sobie, że pije teraz pełnemi ustami z czary nieśmiertelności. Światy toczą się wkoło niej i jako pyłek, niegodny jej myśli, spostrzega z dala ziemię, gdzie jej nie doceniono. Zabrała ze sobą wszystkie swoje bogactwa, gdyż na tym padole roztrwonić ich nie mogła. A jeśli brak jej było wieńca poety, warg kochanki i sławy wojownika, obecnie jest blisko Boga, i Boga jej nie brak".

Jak Ci się to podoba, mój drogi? Napisz mi swoje zdanie!

Oczekuję częstych od Ciebie listów, i kończę pisać, składając Matce Twojej uszanowania i dziękując jej za pamięć.

Twój oddany

Zyg. Kras.

P. Jakubowski[7] każe Ci się kłaniać.

Czy chcesz, bym Ci coś załatwił w Genewie? Napisz mi, a zrobię.

Co do innych spraw, zapomniałem Ci napisać, że byłem z pannami Revilliod i de Portes w Mornex, i że ze szczytu Gourze widziałem zachód słońca. To dziwne. Wczoraj był 25-ty czerwca: właśnie minęły trzy miesiące od 25-go marca, gdy z tej samej wieży, z tej samej góry patrzyłem z...[8], jak konało słońce na Mont Blanc. O, jakież słodkie a zarazem gorzkie wspomnienie!

Żegnaj, mój drogi!

2. DO HENRYKA REEVE'A

2 lipca, piątek, 1830 roku

Mój kochany Reevie!

Nie odpowiedziałem natychmiast na list, z którym odesłałeś mi Lamartine'a, gdyż byłem zmuszony przepędzić cały dzień wczorajszy z p. Turretin w Jeantoux na uroczystości „Łuku". Wczoraj, mój drogi, szczęśliwa moja gwiazda ocaliła mię od śmierci. Wyobraź sobie! Szlachetne towarzystwo „Łuku" po strzelaniu zasiadło do obiadu; podano

[4] *i poświęcę je... tej, która mnie do dzieła tego natchnęła* — tj. Henriecie Willan. [przypis redakcyjny]

[5] *Osądzą może że to twór mojej wyobraźni, a jednak wyjdzie on z mojego serca* — utwór ten wyszedł pt.: *Ułomek z dawnego rękopisu słowiańskiego* w Warszawie 1830. Zob. t. I str. 74 in. [przypis redakcyjny]

[6] *Roget, Franciszek* (1797–1858) — profesor literatury pięknej w Uniwersytecie genewskim i redaktor „Biblioteki Powszechnej". [przypis redakcyjny]

[7] *pan Jakubowski* — pedagog, towarzyszący Krasińskiemu. [przypis redakcyjny]

[8] *z tej samej góry patrzyłem z...* — z Henryką Willan. Tak tajemniczo będzie ją Krasiński oznaczał także w dalszych listach, zwykle literą H. [przypis redakcyjny]

pieczeń, i złote wino „ivorne", i stare bordeaux, maderę barwy bursztynu, południowy cheres i szampan z Vevey; całe towarzystwo z wyjątkiem mnie, gdyż już nie pijam wina, spiło się ohydnie. Wracamy na brzeg, wsiadamy do łódek, by dogonić „Wilhelma Tella", który stał w zatoce Jeantoux. Ja, gdy już wiele łódek przepłynęło, wskoczyłem do jednej, w której było około dwunastu osób; lecz w chwili, gdy wioślarze podnosili wiosła, by odbić od brzegu, spostrzegłem, że moje „dolce cigarito" zagasło i ujrzałem jednocześnie na brzegu Olcocka z zapalonym papierosem. — Wtedy wyskoczyłem na brzeg i, zapaliwszy papierosa, wsiadłem z Olcockiem do innej barki. I oto z jeziora wznosi się nagle ku niebu dziki okrzyk przerażenia. To pierwsza łódź zanurzyła się pod wodę, koło statku i wszyscy pijani wpadli do głębi błękitnego Lemanu. Byli to przeważnie starcy, nie znający sztuki pływania. Szamotali się ciągle, coraz głębiej idąc na dno. — Gulgoczący krzyk kiepskiego pływaka w okropnym strachu. Widziałem ich z bladym i sinym strachem na twarzach. Niektórzy zanurzyli się pod „Wilhelma Tella", inni wpław dosięgli brzegu, inni wreszcie, czubek głowy wytknąwszy ponad wodę, czepiali się desek wywróconej barki. Był tam jeden szczególnie nieszczęśliwy starzec, nazwiskiem Rochat; słaby i zrozpaczony, uchwycił się kolan jednego z pływaków i ciągnął go na dno; wtedy ten wymierzył w głowę, przez siedemdziesiąt lat osiwiałą, cios okropny i rozdarł mu czoło i wargi. Krew sczerwieniła fale dokoła. W końcu, po kwadransie strachu, oczekiwania i przygnębienia wszystkich wyratowano i przeniesiono na pokład statku. Oczy mieli wywrócone, zagasłe, oddech słaby, włosy płasko przylegające do twarzy. Przywróceni przez starania nasze do życia, przyszli do siebie i żyją wszyscy. Zdaje mi się, że śmierć, której uniknęli, jest śmiercią dosyć niesmaczną. Na rany boskie — zginąć pod belkami statku! A jednak tylko od zagasłego cygara zależało, żem i ja nie poszedł do cieniów krainy, przechodząc w drodze przez dno jeziora.

Mój drogi, winszuję Ci serdecznie Twoich przejażdżek z pn. Blanchenaye. Co do mnie, gdy kocham jakąś kobietę, unikam wszystkich innych, a nawet, że tak powiem, pogardzam nimi. Ja i moja ukochana sami jesteśmy, oddzieleni od innych. Nie posiadam sztuki rozszerzania serca, by weń przyjąć obraz innej.

W tych dniach napisałem dla H. parę fragmentów i *Spowiedź Napoleona*, przeczytawszy u Lacretellesa[9], że Napoleon spowiadał się potajemnie przed śmiercią. Wczoraj napisałem jedno tylko zdanie, które wydaje mi się godnem powtórzenia. Oto ono: „I we wszystkiem, co wzniosłe w niebiosach, i we wszystkiem, co piękne na ziemi, widzę Cię, ukochana moja. Widzę Cię, gdy tęcza z jednego krańca widnokręgu na drugi się przerzuca. Widzę Cię" itd.

Dziękuję Ci, kochany, za zaszczyt, jaki mi czynisz, spostrzegając na mojem czole obietnice nieśmiertelności. Lecz pewnem jest to, że nigdy nie byłem bliższym śmiertelności, niż teraz. Straszliwy ból gardła, głowy i piersi, oto co mię morduje w tej chwili i zaledwie mogę pisać. Poznasz po stylu nawet, że natchnienie w mej piersi przygasło.

Dziś właśnie przeczytałem u Shelley'a te wiersze, które Ci posyłam. To obłok mówi: *That orbed maiden with fine laden* itd.[10].

Czyż nie piękne?

Lorda Englintona skazano tylko na 30 złotych kary. Widziałem go. Jest to piękny młodzieniec, lecz zaprawdę, na czole jego nie widnieją znaki nieśmiertelności, a spojrzenie jego przypomina raczej partię kroketa, niż przebłysk, pochwycony z nieba.

Jestem dziś najzupełniej ogłupiały, chory i głuchy, natchnienia ani krzty. Nie znam nic nad to fatalniejszego i znów wstręt czuję do diabelskiego życia: co tu czynić bez Niej? Jest tak daleko! Gdy sobie przypomnę, że była tak blisko, pienię się z bólu i wściekłości.

Żegnaj, mój kochany, nie chcę Cię dłużej nudzić skargami lub też myślami mojemi.

---

[9] *Lacretelles* — pisarz francuski (1766–1855); tu mowa zapewne o jego *Dziejach Francji od czasów Restauracji*. [przypis redakcyjny]

[10] *That orbed maiden with fine laden itd.* — jest to IV. strofa sławnego wiersza P. B. Shelleya (1792–1822) pt.: *Obłok*. W przekładzie Wł. Nawrockiego brzmi ta strofa tak: Ta srebrzystolica/ Błękitów dziewica,/ Zwana „księżycem" na ziemi,/ Połyskując, sunie/ Po mem wiotkiem runie,/ Wzdętem powiewy nocnemi./ A gdzie w mym namiocie/ W cichym stóp swych locie,/ Co słyszą tylko anioły,/ Przerwie tkankę cienką —/ Zaraz przez okienko/ Tłum gwiazd przegląda wesoły./ Ja, widząc, jak chyże/ Przelatują w wirze/ Niby złocistych pszczół roje,/ Z uśmiechem rozwinę/ Namiotu szczelinę —/ Aż morza, jeziora, zdroje/ Jak strzępki błękitu,/ Strącone ze szczytu,/ W księżyc i gwiazdy przystroję. [przypis redakcyjny]

Żegnaj, kochaj mię zawsze i przyślij kilka nowych wierszy! Nie uwierzysz, jak wiele przyjemności mi sprawiają. A wiesz, że nigdy nie pochlebiam.

Twój szczerze oddany

Zyg. Kr.

Myślę, że tej nocy list do niej rozpocznę, by uśpić me niepokoje. Chudy i suchy Leon Révilliod podarował mi *Harmonie*[11], co mię zmusza do ofiarowania mu dziesięć razy znaczniejszego podarunku.

Listów moich, mam nadzieję, nigdy inne, prócz Twoich, nie będą oglądały oczy, gdyż mowa w nich o osobie trzeciej.

3. DO HENRYKA REEVE'A

6 lipca, czwartek 1830 roku

Mój kochany!

Otrzymałem dziś list Twój i ułamek *O wolności Polski*. — „Tu spoczywa naród" jest niezwykle trafne i piękne. Lecz powiem Ci, mój kochany, szczerze moje zdanie.

Wiersze są pisane nieco naprędce i niedbale, zresztą jest to rzecz piękna, tem piękniejsza dla mnie, że przypomina mi jednocześnie ojczyznę i przyjaciela, który ten wiersz napisał. Dziękuję Ci bardzo, żeś mi go przysłał, a ponieważ w sobotę jedziesz do Berna, sądzę, że nie należy już pisać do Ciebie do Vevey, lecz do Berna. Pamiętaj w każdym razie, drogi mój, byś przed pierwszym sierpnia był z powrotem.

Jak na człowieka zakochanego masz, kochany Reevie, zadziwiająco zimną krew. Piszesz do mnie te słowa: „Może już nigdy jej nie zobaczę", bez ortograficznych błędów i nie zauważyłem także, by Ci pióro zadrżało w palcach...

Jak to — ją, która była Twoją nadzieją, celem Twoim, królową Twoich snów, władczynią Twojej olśniewającej wyobraźni — ją, która natchnęła Cię tylu pięknemi myślami, dla której napisałeś ten wspaniały utwór *O sferach*, ją, to bożyszcze, to dziecię Twojego serca, potrzebę Twej duszy, możesz li ją w ten sposób porzucić i powiedzieć: „Już jej więcej nie zobaczę"? Mój kochany, zazdroszczę Ci energii, mocy, nieczułości, a raczej spokoju i rezygnacji — ja nie byłbym do niej zdolny. Zresztą, mój kochany, wszystkie kobiety są przewrotne, bez żadnego wyjątku i lepiej czynisz fruwając około kwiatów, niż ja, który się wycieńczam, wpatrując w jedną różę. — Otrzymałem wieści z Anglii szczęśliwych wybrzeży. Dowiesz się o nich, gdy przyjdziesz do mnie cygaro wypalić. — Och! kobiety, kobiety! „postaci im zazdroszczą anieli a duszę mają gorszą, niżeli...". Tu przerwijmy. Dość mam rzeczywistości, nie trzeba mi pomocy deklamacji. — A ja jednak kocham ją i będę kochać zawsze.

Poeta

A teraz, mój drogi, muszę Ci opowiedzieć, co wczoraj przeczytałem. Słyszałeś zapewne o młodym poecie angielskim, Keatsu[12], który umarł w Rzymie, we wiośnie swego życia, mając lat 24, z suchot i ze zmartwień, spowodowanych napaściami „Quarterly Review". A konanie jego było długie, bolesne i ciężkie. Śmierć nie od razu przyszła, podkopywała go długo, a pragnął śmierci, jak się pragnie przyjścia kochanki. W końcu, uczuł już, że nadeszła jego ostatnia godzina, a i wtedy, nawet w chwili konania będąc poetą, rzekł do swych płaczących przyjaciół: „Czuję, jak kwiaty na mnie rosną". Drogi, czyś słyszał kiedyś, coś wdzięczniejszego i ładniejszego? Czyż można zejść do trumny, okazując więcej wdzięku, tkliwego uczucia i delikatności?

W tych dniach napisałem kawałek dla niej — przy świetle księżyca w małym ogródku, dokąd przypłynąłem łódką: „Pozdrawiam Cię, promieniu srebrzysty, bijący w moje oczy. Jej to może oczy niebiosom Cię zwróciły i, udział wziąwszy w piękności jej spojrzenia, zeszedłeś ku mnie z powrotem. Pozdrawiam Cię, błogosławię Cię. Przyjdź, by się po mej

[11] *Harmonie* — tytuł zbiorku poezyj Lamartine'a. [przypis redakcyjny]

[12] *Keats, John* (1795–1821) — twórca zaliczany do drugiej generacji ang. poetów romantycznych (wraz z Byronem i Shelley'em), cieszył się dużą sławą już za życia, mimo że jego utwory zostały opublikowane zaledwie cztery lata przed śmiercią i niechętnie przyjęte przez krytykę; zmarł 23 lutego 1821 r. w Rzymie na gruźlicę; dziś popr. forma Msc.: o Keatsie. [przypis edytorski]

ślizgać twarzy, pieścić czoło moje, obmyć moje wargi w gwiazd jasności, przyjdź i mów mi w swej mowie świetlistej o mojej H.". Potem napisałem: *Sen człowieka zblazowanego*, któremu musiałem złożyć w dani całą tęczę mojej wyobraźni, a wczoraj i dziś kończyłem: *Spowiedź Napoleona*.

Jest to rzecz, która najwięcej mnie kosztowała trudu, najwięcej jej poświęciłem czasu, i starań, i sztuki, bo w całej spowiedzi trzeba mi było naśladować pełen energii styl wielkiego człowieka. Przeczytasz to i osądzisz. Przedtem nie chcę wcale sądu swego o tem wypowiedzieć. Jedno tylko Ci przytoczę zdanie. W swojej spowiedzi mówi Napoleon do księdza: „Byłem gromem, rzuconym przez Boga wśród burzy, niszczącej świat, i jeśli go w proch starłem, to po to, by go wyrównać". Następnie cały utwór tak się kończy: „Ciało jego leży w grobie u stóp skał posępnych, a wielka jego dusza przebywa w chwale boskiej".

Ale dosyć o moich utworach. Mówmy o czem innem!

Ach, czemuż, jak orzeł, nie mam skrzydeł, by frunąć, zapobiec zdradzie, i znowu przywołać ku sobie to, co się oddalać zdaje! Ach, czemuż nie mogę stać się na chwilę błyskawicą, która z jednej półkuli przelatuje na drugą, roztaczając tylko jeszcze więcej potoków światła. Lecz daremnie wypowiadam takie życzenia — daremnie, daremnie! Niech się stanie wola boska! Ach, cóż się miłością i szczęściem nazywa na tej ziemi? Trochę zapału, który wyobraźnia ozłaca swym blaskiem. Wszystko tu, na tej ziemi, jest ułudą; oto bogini! Skłońcie się wszyscy przed nią, to ona zwodzi, ona podnieca i kłamie, a ludzie dali tym kłamstwom pompatyczną nazwę namiętności a złudzeniom nie mniej wspaniałą nazwę szczęścia. Gdyby na tym świecie istniała rzeczywistość, nie potrzebowalibyśmy nieba, lecz tu, na ziemi, wszystko jest tylko słabem odbiciem niebios. Słońce, które ma miliony promieni na sklepieniu błękitów, traci je, odbijając się w wodach jeziora. — Reeve, masz słuszność, starając się o miłość ust, które są blisko, gdy usta, które kochasz, są daleko. Bądź wierny, a zdradzą Cię, bądź podniosły, a wyśmieją Cię, śmiej się, a będą płakać, płacz, a śmiać się będą. Cóż czynić z temi istotami, które mają coś z anioła, co nas uwodzi, i coś z szatana, co nas gubi? — Czy pamiętasz okrzyk mój: „Królestwo za miłość!"? — Więcej, niż królestwo, oddałem, oddałem serce swoje, i serce moje zostało złamane i pozostanie złamanem, jeśli to nie przejdzie i odejdzie daleko, daleko.

Obraz świata

Oto, mój kochany, co zbudziło się w sercu mojem, gdy do Ciebie pisałem; zgaduj, może się omylisz, lecz jeszcze nie wszystko stracone. — Pogarda mi zostaje. — A zresztą przesadzam krzywdę z pewnością. Tak mało trzeba, by kochającemu sercu wyrządzić krzywdę!

Odpowiem szczerze na pytanie o Twoją francuszczyznę; pisząc, nie robisz żadnych błędów, styl masz lekki, urozmaicony i francuski w całem znaczeniu tego słowa, mówiąc zaś, robisz niekiedy poważne błędy, np. zawsze mówisz „pono" zamiast innego wyrazu, gdy mówisz o czasie. Co do mojej angielszczyzny, proszę Cię, wyraź tak samo swoje zdanie!

Żegnaj, kochany! Uszanowanie dla matki Twojej.

Pisz jak możesz najczęściej!

Żegnaj. Twój

Zygm. Kr.

Znajduję rozrywkę wśród nudów, myśląc o przyjemności podróży z Tobą do Chamonix. *Capite semper pectoreque laboro. Sed quot doloris est in corde meo haud facile dicitur; egeo praesentia amici, cui possem lugubres canere modos et partem oneris in ejus dejicere pectora. Vale; oroque gratum mihi ut serves amorem*[13].

4. DO HENRYKA REEVE'A

Genewa, 14 lipca 1830

[13] *Capite semper pectoreque laboro (…) serves amorem* (łac.) — „Cierpię ustawicznie na głowę i piersi. Lecz niełatwo wypowiedzieć, ile bólu jest w mem sercu; brak mi obecności przyjaciela, któremu mógłbym wyśpiewać żałobne zwrotki i część ciężaru zrzucić na jego piersi. Bywaj zdrów! Proszę Cię, abyś mi zachował swą wdzięczną miłość!". [przypis redakcyjny]

„Ukochani przez bogów umierają młodo". Najprawdziwsze to przysłowie, jakie kiedykolwiek słyszałem lub czytałem. Co poczniemy, mój drogi, gdy serce nasze w głębi naszych piersi zamieni się w grudę błota, gdy życie będzie jedynie wegetacją, gdy staniemy się niemal krzakiem ciernistym dzikiej róży lub trzciną na moczarach? Gdyby nam wtedy przynajmniej usłużne przeznaczenie zechciało podać czarę, pełną letejskiego napoju! Ale, na domiar nieszczęścia, pamięć zostanie, kiedy miłości już nie będzie. A jeśli wówczas rzucimy spojrzenie wstecz na upłynione życie, na ten potok, raz oświecony niebieskim ogniem błyskawic nawałnicy, to znów pokryty płatkami róży, unoszącemi się na nim, jak uśmiech na pięknych ustach, co pomyślimy? Co poczniemy? A gdy spostrzeżemy, że ten sam potok tu traci na szybkości, tam na szerokości, że następnie zwalnia coraz bardziej biegu, pleśnieje, staje się zielonkawy, zmniejsza się, zmniejsza, stygnie, zaledwie się porusza, wreszcie ścina się cały lodem, by nigdy już więcej nie zobaczyć ni słońca, ni wiosny, ni róż, ni błyskawic — wówczas gorzko płakać nam przyjdzie, jeśli jeszcze łez nam stanie, ale nie będzie już łez w naszych zagasłych oczach. Jęczeć będziemy, jeśli jęczeć zdołamy, ale nie dobędziemy głosu ze swego osłabłego łona. Padniemy, mój drogi, całym ciężarem starości, nieustraszonej odwagi, którąśmy mieli na ziemi, a miejsce, gdzie padniemy, będzie naszym grobem. Pożyjemy jeszcze przez czas niejakiś, wpatrując się w niebo nad nami, w świat ziemski dokoła, lecz tak, jak to czyni zwierz lub ptak leśny: bez uczucia, bez świadomości, bez zapału. Różę, którąśmy przedtem kochali i ubóstwiali jako godło i symbol, jako znak i zaklęcie czarodziejskie, poddamy wówczas sekcji, by dowiedzieć się liczby jej płatków lub ilości długich linij jej kielicha. Z młodych poetów staniemy się starymi Candolle'ami[14]. Księżyc, który dawniej przemawiał do naszego serca każdym swym promieniem, stanie się dla nas planetą i, patrząc nań, my, cośmy marzyli o naszej kochance, będziemy myśleli jedynie o ciężkości i o sile odśrodkowej. Tam gdzie widzieliśmy duszę, życie, nie zobaczymy nic prócz materii i wagi. Tam gdzieśmy odczuwali tajemnice i duszę, czuć będziemy jedynie przyciąganie atomów i rozchodzenie się eliptyczne. I tak z władcy nocy, z pocieszyciela serc naszych księżyc stanie się sferoidą, ulegającą z góry obliczonym fazom, pokrytą pyłem, bezwładną masą, utrzymującą się w równowadze. Gwiazda, która błyszczała nad latami naszej młodości spojrzeniem takiej H. lub takiej C.[15], świecić będzie nad naszemi pooranemi w zmarszczki czołami, a promienie jej przebiegać będą przestrzeń z szybkością kilkuset milionów mil na 8 minut. Kompas i koło, oto co nas czeka. Miłość i poezja, oto co pozostawimy za sobą. Ale, być może, Bóg nie dopuści do takiej w nas zmiany, być może grób nasz jest już niedaleki i kwiaty już zaczynają wyrastać nad nami.

Poeta, Młodość, Starość, Poezja, Nauka

Oto, mój drogi, myśli, jakie mnie obecnie zaprzątają i które Ci przesyłam. Bodajbyśmy, wyczerpani wielkiemi myślami, konali powoli w objęciach naszych ubóstwianych. Oto życzenia moje jako poety. Lecz czy jako człowiekowi, czy jako Polakowi wolno mi mieć takie pragnienia? Nie, myśleć trzeba o czem innem, i podczas gdy dla Ciebie serce może być światem całym, dla mnie miłość jest tylko piosenką, wygraną na fletni w przerwach między czynnościami życiowemi; a jednak oddałbym wszystko, by miłość była mojem życiem. Nie sądź, mój drogi, by sprawy moje tak źle stały. Nie, ona mnie kocha jeszcze. Dowiesz się o wszystkiem, gdy się spotkamy. A zresztą choćby tak nie było, ona mię kochała. To wystarcza. Myśli, ku mnie zwrócone, zniknąć już nie mogą. Myśl jest nieśmiertelna, i miłość jej, jak i myśli, nieśmiertelna będzie. Podobnież, jeśli C. Cię kochała, musi, nawet wbrew swej woli, kochać Cię na wieki. Wszystkie jej myśli wielkie i podniosłe, jak promienie słońca, wyszły z jej serca i uniosły się ku niebu. Tam je znajdziesz, tam będziesz szczęśliwy. Masz wielką, olbrzymią nade mną przewagę. Królestwo Twoje, jeśli zechcesz, może nie być z tego świata. Moje częściowo przykute jest przez kraj mój do ziemi. Jestem jak wulkan, który pada z nieba, nie mogąc ani doń powrócić, ani ziemi dosięgnąć. Zawisłem w przestrzeni na stalowym łańcuchu, który przeniknął do mego serca, wrzyna się w nie, a może przerwie. Ale, nim to nastąpi, masz we mnie szczerego i oddanego przyjaciela.

Miłość, Miłość romantyczna

Twój Zygmunt Krasiński

[14] *De Candolle* (1778–1841) — sławny botanik genewski. [przypis redakcyjny]

[15] *H. (…) C.* — Henrietta Willan [ukochana Krasińskiego w tym czasie; red. WL]; Konstancja (Constance) Sautter, przedmiot miłości Reeve'a. [przypis redakcyjny]

5. DO OJCA

Genewa, 5 septembra[16] *1830 r.*

Kochany Ojcze!

Odbyłem podróż po Szwajcarii i widziałem okolice, których wpierw się nawet domyślać nie mogłem.

14 aug[17]. Wyjechaliśmy z panem Jakubowskim z Genewy na statku parowym, na którym był także Mickiewicz i Odyniec. Oni mieli jedną drogą, a my drugą tę samą podróż odbyć, ale, jak to się najczęściej po polsku dzieje, rzeczy już w ostatniej chwili się rozstrzygają. Właśnie przed rozłączeniem się ułożyliśmy razem jechać, do czego najwięcej przyczyniły się nalegania Odyńca. Własna moja chęć także niemało, bo pragnąłem bardzo poznać Mickiewicza bliżej, a teraz, kiedym go poznał, prawdziwie nazywam szczęśliwą tę godzinę, w której na statku parowym zdecydowaliśmy, że razem pojedziemy. Tego dnia nocowaliśmy w Montreux, najpiękniejszej wiosce Szwajcarii nad brzegiem Lemanu, naprzeciwko skał Miellerie, blisko chillońskiego zamku.

15 aug. Wyruszyliśmy rano i wdrapaliśmy się częścią na własnych, częścią na mułowych nogach. Jest to góra, wzniesiona bardzo nad jeziorem genewskiem. Z niej widok był pyszny: całe jezioro błękitne, całe niebo błękitne, wieniec gór wokoło, lekkie żagle na jeziorze, srebrne chmury na niebie i przestrzeń ogromna, uśmiechająca się, ciągnąca się aż do pasma Jura, które zdawało się być zagrodą między ziemią a widnokręgiem, za który już oko przejść nie może.

Dalej idąc, z gór, okrytych sośniną, zstąpiliśmy między wąwozy i, kiedy zabrakło nam pięknych widoków, udaliśmy się do wspomnień i przypomnieliśmy sobie z Odyńcem warszawskie dysputy z Koźmianem, Osińskim, i obiady, na których tak żwawe bywały kłótnie. Droga nam tak przeszła aż do wieczora; nocleg nasz był w Chateau d'Oin, wiosce dość nędznej pomiędzy dwiema skałami.

Góry, Deszcz

16 aug. Obudziliśmy się pośród deszczu, bijącego w okna, i nieprzyjemną w malutkich, niewygodnych powozach ciągnęliśmy podróż. Góry daleko więcej są smutne i ponure podczas słoty, niż równiny, bo w górach ogromne masy mgły się gromadzą, a z nich deszcz drobny, ale przenikający kości. A potem w górach zawsze się spodziewamy pięknego widoku, o którym nie myślimy na równinach, i ten piękny widok, wydarty oczom naszym przez mgłę, w smutek wprawia, tak, jak lica pięknej kobiety, welonem zakryte. Ale rozmowy, rozprawy z Odyńcem, wiersze, kontemplowanie Mickiewicza, bo mało bardzo, prawie nic w pierwszych dniach nie mówił, skracały mi nudy niepogodnego dnia.

Nazajutrz, 17 aug., taż sama słota i niepogoda. Przyjechaliśmy do Thun, miasta, sławnego w Szwajcarii dlatego, że co rok tam obóz artylerii się gromadzi. Jest to jakby szkoła wojskowa. Miasto, samo przez się mało znaczące, pełne było podróżnych. Najpiękniejszą tęczę widziałem wieczorem przy zachodzie słońca. Na czarnem tle z chmur, jakby wymalowana, opierała się dwoma końcami na dwóch skałach, jakby most, przez powietrze anielską ręką zarzucony. Zresztą deszcz nie ustawał i wszystkich w spleen wprawiał.

18 aug. O 9-ej z rana puściliśmy się z Thun po jeziorze tego samego imienia, które jest najbardziej dzikiem w całej Szwajcarii, bo otoczone spadzistemi skałami, poprzerywanemi między sobą, co sprawia, że często temi przerwami wpadają wiatry, sobie przeciwne, i, krzyżując się, burze niebezpieczne wznoszą. A potem te skały są czarne, ostre, rzadko gdzie zielonością obrosłe, kolor wody ciemnozielony. Ogół widoku ponury, osobliwie kiedyśmy płynęli, bo wtenczas mgły wszędzie wokoło wisiały na karkach gór, jedne przeciw drugim biegły, podżegane wichrem, ścierały się z sobą, rozrywały i znów sklejały, by ogromną zasłonę zawiesić między niebem a ziemią.

Po trzygodzinnej przeprawie dostaliśmy się na drugi brzeg, skąd pojechaliśmy powozem do Interlaken. Tu już zaczyna się sławny Oberland, czyli część górzysta kantonu Bern, najrozleglejszego ze wszystkich kantonów. Interlaken jest to ni wieś, ni miasto: składa się z szeregu gospód i leży w pięknej dolinie między jeziorem Thun i jeziorem

[16]*september* — wrzesień. [przypis edytorski]
[17]*august* — sierpień; tu skrót: aug. [przypis edytorski]

Brienz. Można powiedzieć, że jest to zupełnie angielska kolonia. Anglicy ogólnie zalewają Szwajcarię tłumami. Dobrze i trafnie to Mickiewicz porównywa do dawnych wypraw krzyżowych, tylko z tą różnicą, że tam był cel religijny, tu światowy, tam bronią pancerz i kopia, tu gwinee i franki, ależ bo tamte w XII, ta w XIX dzieje się wieku. Jedliśmy tego dnia *à table d'hote*. Podobno to pierwszy czy drugi raz w mojem życiu mi się zdarzyło, i przyznaję, że wielką mam do tego odrazę. Nie lubię twarzy nieznajomych; tyle oczu, a żadne nie zwracają się na mnie z wyrazem przyjaźni, znajomości. Cóż mi po tych ludziach, po większej części nonsensa gadających, rozprawiających o lepszości mięsa, o gatunkach wina, lub też najfałszywiej o polityce! Kilka było Angielek: naród to, który w części swojej żeńskiej miłe ma dla mnie wspomnienia; z daleka każda Angielka przyjemne czyni na mnie wrażenie, z bliska tak mi jest obojętną, jak każda inna jakakolwiek kobieta. Wieczorem siedziałem zamyślony w salonie oberży, pośród kilkunastu osób, pijących herbatę, kiedy zza drzwi sali wzniosły się harmonijne głosy, śpiewające góralskie, helweckie i tyrolskie pieśni. Wyszedłszy, zobaczyłem czterech ślepych, trzymających się za ręce. Przykre i zarazem miłe ich śpiewy robiły na mnie wrażenie. Ci ludzie nieszczęśliwi, na zawsze pozbawieni słońca, jeszcze usiłowali zabawić podobne do siebie istoty, daleko od nich szczęśliwsze, by na chleb zarobić. Wiecznej poświęceni nocy, wzrok utracili, ale zastąpili go głosem; głos melodyjny stał się ich wzrokiem. Zdawało mi się, że widzę człowieka, który, wpadłszy w przepaść, czepia się słabych roślin na jej brzegu z uśmiechem przymilenia na ustach.

Śpiew, Wzrok, Kaleka

19 aug. Niepogoda przymusiła nas siedzieć całe popołudnie w Interlaken. Dla odpędzenia nudy napisałem w tym dniu broszurkę po polsku, której treść wyda się dziwaczną Ojcu. Jest to rozprawa, dowodząca, że dusze osób, przywiązanych do siebie za życia, spotkają się po śmierci. Od czterech miesięcy już mi ciężyło na sercu, bym się z tą myślą wypisał, i ten ciężar zrzuciłem w Interlaken.

Góry, Natura, Poeta

20 aug. Z rana przez jezioro Brienz udaliśmy się do pięknej kaskady Giessbach. Spadające jej potoki z wysokiej na 8 000 stóp góry, pięknie, diamentowo się wydawały przy promieniach jasnego słońca, a mnóstwo tęcz, jakoby girlandami z kwiatów wokoło ją opasywało. Poszliśmy na sam wierzch z Mickiewiczem i pamiętam, że z powodu tęczy, która zależy jedynie od położenia oka patrzącego, bardzo pięknie mi mówił o świecie, jakim by się wydał, gdyby w nim człowieka nie było. Jest miejsce w skale, gdzie fale wodospadu tak się w łuk zaginają, spadając z wysokości stu stóp, że można bezpiecznie i bez wielkiego zmoknienia stać pod nimi, a wtenczas, patrząc przez nie na okolicę, zdaje się, że się patrzy przez ruchomą kratę z roztopionego srebra.

Wróciliśmy przez jezioro Brienz do Interlaken; zaraz stamtąd wybraliśmy się do doliny Lauterbrunnen, odległej o milę od Interlaken. U wnijścia do doliny Lauterbrunnen jest ułamek skały, sterczący nad strumieniem, z napisem, w głazie wyrytym, tej treści: „W tem miejscu, podczas niepogodnej nocy jesiennej, baron z Rutli zabił przed trzystu laty własnego brata". Wrażenie, sprawione tą legendą, nie znika, posuwając się dalej. Owszem, cała dolina zgodnie z nim działa na duszę. Wznoszą się w niej połamane w przepaści ogromy skał, zarosłe borami, szumią zewsząd potoki, huczą wodospady, góry krzyżują się w coraz innych kształtach, każda inaczej swój wieniec z sosen nosi, każda inaczej wyciąga ramiona i piersi wydyma. A nad wszystkiemi wznosi się Jungfrau, sławna *Manfredem* Byrona i tem, że nikt jeszcze dziewiczych jej śniegów nie dotknął stopą. Cała zdaje się ze srebra ulana, piękna, kształtna, niebotyczna, leci od ziemi, wzbija się w błękity, a uśmiech natury ustawny na jej łonie i skroniach. Zapewne Mont-Blanc jest wzniosłym i wielkim, zapewne na jego czole znać rękę Stwórcy, ale jakoś wyraz jego całości jest mniej powabnym od Jungfrau. On jest bardziej szerokim, wierzchołek jego cięższy, nie tak wysmukły, postawa roślejsza, zda się ciężyć ziemi. A ona jest piękniejszą, kibić ma cieńszą nierównie, śniegi jej srebrniejsze, czoło bardziej zaokrąglone, wszystkie kształty bardziej kobiece, dziewicze. Mont-Blanc (przypuszczając zawsze możność takiego porównania) niezawodnie jest królem alpejskim, a ona królową.

Góra

21 aug. Zwiedziliśmy dalsze części Lauterbrunnen, ale nie podobały mi się tyle, co pierwsze. Wróciłem niezmiernie zmęczony do Lauterbrunnen, myśląc, że kuropatwy opinogórskie warte wszystkich gór Szwajcarii. Mickiewicz nieco się ożywił i z nami lepiej zapoznał. O, jakże fałszywe sądy były o nim w Warszawie! Rozległej on jest nauki, umie po polsku, po francusku, po włosku, po niemiecku, po angielsku, po łacinie i po

Poeta

grecku. Doskonale zna politykę europejską, historię, filozofię, matematykę, chemię i fizykę. W literaturze nikt może w Polsce tyle nie ma znajomości. Słysząc go mówiącym, zdaje się, że każdą książkę czytał. Sądy ma bardzo rozsądne, poważne o rzeczach. Smutny zwyczajnie i zamyślony; nieszczęścia już mu zmarszczki na trzydziestoletniem czole wyryły. Zawsze spokojny, cichy, ale znać we wzroku, że rzucona iskra zapali śpiący płomień w piersiach. Wydał mi się ideałem człowieka uczonego i geniuszu pełnego.

Góra, Słońce, Obłok, Wieczór, Światło, Poeta, Poezja

Znudzony więc, w oberży lauterbrunneńskiej siedziałem przy oknie z Odyńcem i patrzałem na Jungfrau, kiedy zachodzące żegnało ją słońce różowemi promieniami. Obłok lekki, bursztynowej barwy, prawie przezroczysty, obwijał się koło jej czoła, a razem przezeń błyszczały śniegi jej piersi. Nic równego temu widokowi w snach nie marzyłem. Było coś w tym zachodzie religijnego, boskiego, było coś tak cichego, tak wdzięcznego, że się zdawało co chwila, iż obłok pryśnie i anioł z niego się ukaże. Następnie razem zakwitło czoło alpejskiej dziewicy, chmura się stopiła w błękicie i Jungfrau, cała oblana czerwonością, ukazała się naszym uwielbiającym oczom. Zdawało się, że od wstydu tak się płoni, żegnając się ze swym kochankiem, słońcem, który w kilka chwil później zniknął z nieba, a ona, opuszczona, sama została i pobladła. Przed chwilą jej śniegi były kobiercem ze srebra w róże tkanym, a teraz szerokim, bladym całunem. Ten widok nie wypadnie nigdy ani z mojej, ani z Odyńca pamięci. Myślę, że można by się zakochać w Jungfrau.

22 aug. Wyjechaliśmy z Lauterbrunnen i pośród gęstej mgły przeszliśmy wierzchołek Wengernalp, góry, z której, mówią, że jest widok najpiękniejszy w Szwajcarii, aleśmy nic nie widzieli. Dopiero, kiedyśmy przyszli do doliny Grindelwald, mgła się rozeszła. Jest to dolina dość piękna, zdobna ogromną skałą Wetterhorn i dwoma gleczerami (*glaciers*[18]), które aż do równiny się spuszczają — ale w żaden sposób nie może iść w porównanie z Lauterbrunnen.

Lud, Pieniądz, Korzyść

23 aug. Z Grindelwaldu udaliśmy się do Meiringen, wsi, leżącej w pięknej dolinie Oberhasli. Droga była trudna, męcząca, nad brzegiem przepaści, kręcąca się pomiędzy górami i skałami. Nie może sobie Ojciec wyobrazić obrzydłego charakteru pospólstwa szwajcarskiego, tak sławionego w całej Europie dla swojej cnoty i prostoty. Wszyscy tylko myślą o zysku, o zarobku; pełno żebraków, dzieci maleńkie, dobrze ubrane, wychodzą na drogi i proszą o jałmużnę; wszelkiemi sposobami starają się oszukać cudzoziemców, wszyscy w tym celu trzymają się za ręce, wszyscy ku temu zamiarowi całemi siłami dążą.

Dolina Oberhasli jest położona między dwoma pasmami gór, nie bardzo wzniosłych, ale ponętnych z miłej zieloności; strumyki szemrzą po murawie, wodospady po skałach się rozbijają, wszędzie drzewa się zielenią i kwitną kwiaty. Tuśmy dla odpocznienia dzień przesiedzieli, podczas którego w porządek ułożyłem *Ułamki podróży szwajcarskiej*, które chciałbym posłać do Warszawy, ale nie wiem czy pan Józef zechce je wydrukować; będzie z nich wszystkich mała broszurka. Są to opisy na miejscach i pod wpływem miejsca pisane. A propos tego, p. Girard pisał mi, że autor podróży po Szwajcarii saskiej, K., wrócił do Warszawy z zagranicy pod postacią wielkiego *fat*'a[19]. To okropna rzecz, że trwa u nas jeszcze ten zwyczaj wracania z Paryża z chustką dobrze zawiązaną i frakiem nowomodnym i niczem więcej; że trwa u nas to srogie przeznaczenie, iż większa część młodzieży naprzód w uniwersytecie nic się nie uczy, tylko krzyczy, a potem, wyjechawszy do niemieckich zamorskich krajów, zamiast żeby europejską postać przybrać i europejską kulturę przyjąć miała, jedynie przyjmuje śmieszności, i stare zdania, i stare zwyczaje. Bo w teraźniejszym wieku już *fat*'em być się nie godzi: dobrze to było *du temps de la régence*[20]. Dodam także *inter parenthesim*, żem się podczas drogi wyuczył doskonale strzelać z pistoletu, tak, że jabłka w powietrzu rozbijam. Coby powiedziały kuropatwy opinogórskie i bekasy knyszyńskie, gdyby o tem posłyszały!

25 aug. Rano wyszliśmy z Meiringen i przebywszy śliczną dolinę Hasli-in-Grund, wjechaliśmy w dziką okolicę Grimsel. Trudno tę dzikość okropną opisać, ten ponury huk potoków, wydać ten grzmot awalanszów (lawin), co chwila padających między górami, tę samotność miejsc, pełnych przepaści i czarnych otchłani. Tu skały i góry zupełnie inny kształt przybierają, inną wcale mają charakterystykę. W okolicach, już przez nas zwiedzanych, skały po większej części spiczaste, tu zaś są okrągławe i podobne do fal

[18]*gleczer* (z niem.) — lodowiec. [przypis redakcyjny]
[19]*fat* (fr., przest.) — fircyk. [przypis edytorski]
[20]*du temps de la régence* (fr.) — za czasów regencji. [przypis edytorski]

potoku które, z góry spadające, siła jakaś nieznana w głaz zamieniła. Widzieliśmy także tego dnia spadek rzeki Aar, który, jak mówią, piękniejszy daleko od Renu w Schaffhouse. Rzeka cała z ogromnej skały w potrójną, bezdenną przepaść leci z hukiem piorunu, z tęczami wokoło, z kłębami piany, podobna do śniegu. Nocowaliśmy na dzikiej, opuszczonej, żadną trawką ani drzewem nie ocienionej górze Grimsel, wysokiej 6 tysięcy stóp, w nędznej gościnie drewnianej i w najsmutniejszem położeniu.

Góry

26 aug. Z trudnością nam przyszło zejść z góry Grimsel, u której stóp odkrywa się z boku największy z gleczerów alpejskich (po Mer de glace Chamounix), z którego Rodan swoje źródło bierze. Tu piłem pierwszą kroplę Rodanu, wychodzącą spod jaskini z lodu. Dalej szliśmy pomiędzy dzikiemi, ponuremi, nagiemi górami, udaliśmy się z wielkiem znużeniem na wierzchołek Furki, po ścieżce zasianej kryształami skalistemi, i stąd mieliśmy pyszny widok na całe pasmo gleczerów Oberlandu. Monotonna droga zawiodła nas do Andermatt, miasteczka, gdzie się kończy Oberland. Przechodziliśmy jeszcze tego dnia obok góry św. Gotharda, po której urwiskach zrobiona droga jest arcydziełem pracy ludzkiej i sztuki. Andermatt jest miasteczkiem, odległem o pół mili od Mostu Diabła, sławionego w tylu opisach. I w rzeczy samej, nigdzie szatan może na ziemi, nie mógłby stosowniejszego wybrać sobie miejsca: jest to most kamienny o sześciu arkadach zstępujących aż do dna przepaści, po której huczy i skacze w białawych falach rzeka Reuss; wokoło wieniec ze skał ostrych i jeżących się urwisk. Trzeba do mostu dochodzić przez jaskinię, czyli raczej galerię, w skale wykutą. Niezawodnie, jeśli anioł ciemności przebywa na ziemi, tam jest tron jego pośród czarnej nocy.

27 aug. Z Andermatt pojechaliśmy już powozem do Altdorf, a stamtąd puściliśmy się jeziorem Walstetten[21] i wypłynęliśmy między okolice, pełne wspomnień i pamięci Tella. Tu on zbił jabłko z głowy niemowlęcej syna, tam wyskoczył ze statku Gesslera podczas burzy, i wystawiono w tem miejscu kaplicę, tam znowu na brzegu, w oddali zieleni się wzgórek Grütli, gdzie pierwszy związek przeciw austriackiej przewadze uczyniony. Samo jezioro jest pyszne; zachodzące daleko w niego skały sprawiają, że pływającym po nim coraz nowszy widok się odkrywa. Po kilkugodzinnej żegludze przybyliśmy do portu wsi Brunnen. Tu już wieczorem, przy blasku księżyca, zerwała się okropna burza; świsty wiatru, pukającego do okien, wywołały mnie z pokoju i poszedłem na brzeg wody. Łamały się z sobą wściekle fale, czasem bałwan, odrywając się od środka jeziora, suwał się po modrej przestrzeni z szybkością błyskawicy i rozbijał się po głazach u brzegu. Ruch tak wielkiej masy wody był poważny. Rozpryskiwały się promienie księżyca pomiędzy niesfornemi falami. Miło mi było patrzeć na burzę z brzegów jeziora, myśląc, że tak często w duszy walczą uczucia i jedno drugie rozdziela i szarpie, że promienie światła i religii tak przepadają, giną i łamią się między nimi, jak blask spokojnego księżyca, lecz że to nigdy tak długo nie trwa, bo, im większa burza, tem prędsza cisza. I w rzeczy samej, nazajutrz, kiedym się obudził, niebo już było czyste, wiatr uśpiony, a jeziora tonie zwierciadlane.

Góry, Niebezpieczeństwo, Kondycja ludzka, Natura

28 aug. Z Brunnen wyjechaliśmy, by dostać się do sławnej góry Rigi, z której widok rozciąga się aż daleko za granice Szwajcarii do Włoch i Niemiec, i obejmuje wszystkie pasma gór helweckich z jednej strony, a z drugiej łańcuch Jury. Trzeba nam było do tego przechodzić przez miejsce, gdzie dawniej stało miasteczko Goldau, otoczone czterema wsiami, a gdzie teraz leżą piramidy kamieni, skał stosy, a nad nimi rośnie już trawa i młode krzewią się drzewiny. Już mija lat dwadzieścia[22], jak wpośród południa, w dniu pogodnym, wierzchołek góry Rosberg, wznoszącej się nad Goldau, zaczął się poruszać i drżeć cały, a potem cały upadł i pociągnął za sobą część góry. Z ogromnej wysokości walące się skały zawaliły Goldau i wsi cztery. Nie było w ludzkiej mocy odkopać pogniecionych chat i ciał umarłych; leżą one pod nagrobkiem ciężkim z głazów, które im przyrodzenie w swoim gniewie wystawiło. Na przestrzeni mili cała powierzchnia pokryta zwaliskami Rosbergu. Pięćset ludzi pod nimi usnęło snem śmierci. Lecz niezadługo już znowu przyrodzenie uśmiechać się będzie nad własnem spustoszeniem, wkrótce kwiaty, murawa i gaje rozwiną się na pogrobowiskach, i przyszłe pokolenie uprawiać będzie ziemię, ciężącą nad piersiami przeszłego. Opuściwszy tę smutną okolicę, udaliśmy się na wierzchołek Rigi, gdzieśmy mgłę ciemną zastali i cały dzień następujący w gościnie przebyć musieli, tąż mgłą otoczeni.

[21] *Walstetten* — właściwie: Vierwaldstätter, tj. Jezioro Czterech Kantonów. [przypis redakcyjny]
[22] *Już mija lat dwadzieścia* — stało się to 2. września 1806 r. [przypis redakcyjny]

30 aug. O czwartej z rana obudził mnie dźwięk pasterskiego rogu, oznajmującego wschód słońca na czystem niebie. Wyskoczyłem z łóżka, wybiegłem na wierzch góry, i widok prawie nieziemski, nadprzyrodzony ujrzałem przed sobą. Słońce jeszcze nie ukazało się, ale złote chmury u wschodu czekały na pana. Ocean z mgły zalegał całą przestrzeń, a wierzchołek Rigi zdawał się wyspą nad nim, równie, jak inne wysokich gór szczyty. Pyszny to był obraz! Mgła wisiała niewzruszona między nami a ziemią. Byliśmy nad chmurami, a chmury wydawały się powierzchnią, zbitą ze śniegu i lodu. Lecz, kiedy weszło słońce, ta powierzchnia rozrywać się zaczęła i przez otwory w niej, coraz bardziej się rozsuwające, to przebijał błękit jakiego jeziora, to zieloność jakiej łąki lub lasu. Wreszcie, kiedy mgła zupełnie się rozsypała, ujrzeliśmy krainę wokoło szeroką, rozmaitą, daleką, czternaście jezior, gór tysiące, i Włochy, i Niemcy w oddali. Nacieszywszy się tym widokiem, opuściliśmy Rigi i przez jezioro Walstetten dostaliśmy się do Lucerny. Słońce, Światło, Góra

Lucerna jest miastem mniejszem, ale weselszem od Genewy; kościołów katolickich dwa, a bardzo lubię katolickie kościoły po dawnem ich niewidzeniu. Jest w Lucernie sławny pomnik, wystawiony pamięci Szwajcarów, którzy zginęli 10-go augusta[23]. Jest to w skale wykuty lew ogromny, konający nad zdruzgotanemi broni pękami podług modelu Thorwaldsena. Skała stoi nad stawem wśród pięknego ogrodu, a żołnierz stary, który był w tej rozprawie, mieszka przy pomniku i pokazuje go ciekawym.

31 aug. Wyjechaliśmy z Lucerny i już równiną odbywaliśmy podróż.

1-go septembra stanęliśmy w Bernie. Nazajutrz byliśmy rano u pana Seweryna[24], który nas bardzo grzecznie przyjął i zaprosił na obiad. Po obiedzie oddał nam nasze paszporty i pożegnaliśmy go. Pani Sewerynowa bardzo przyjemna osoba. Następnie, nie zatrzymując się nigdzie, wróciliśmy prosto przez Lozannę do Genewy. Tu zastałem listy od pana Girarda, które w głęboki smutek mnie wprawiły, ale czekam listu od kochanego Ojca, a wtenczas odpiszę.

Ogółem podróż ta przyjemną mnie była, a towarzystwo Mickiewicza niezmiernie pożyteczne. Nauczyłem się od niego zimniej, piękniej, bezstronniej rzeczy tego świata uważać; wielu przesądów, uprzedzeń i fałszywych wyobrażeń się pozbyłem, i niezawodnie to wpływ dobry i szlachetny. Wróciliśmy z p. Jakubowskim do dawnej pensji naszej. Miałem teraz polować trochę, ale za smutny na to jestem. Zamknę się w pokoju i będę czytał i uczył się. Żegnam kochanego Ojca i polecam się Jego sercu.

Zygmunt Krasiński.

6. DO OJCA

22 oktobra[25] 1830 r.

[...] Mickiewicz siedział jeszcze dosyć długo w Genewie i często go widywałem. Rozmowy, z nim miane, oświeciły mnie w wielu względach co do literatury i filozofii. Niechaj Ojciec wierzy, że to nie stronność[26], ale prawda, co powiadam: jest to człowiek zupełnie na równi z europejską cywilizacją, umiejący dziwnie dobrze godzić realność suchą życia z najwznioślejszemi pomysłami poezji i filozofii idealnej, mający najczystsze zamiary i chęci, a razem obszernego umysłu, sięgającego do wszystkich nauk i sztuk, wybornego sądu o rzeczach politycznych i scjentyficznych, rozsądku niezachwianego w rzeczach codziennych, spokojnego, cichego charakteru; widać, że przeszedł przez szkołę nieszczęścia. Zupełnie mi wyperswadował, że szumność jest głupstwem tak w działaniu, jak w mowach, jak w pisaniu, że prawda i prawda tylko może być piękną i ponętną w naszym wieku, że wszystkie ozdóbki, kwiatki stylu są niczem, kiedy myśli nie ma, że wszystko na tej myśli polega, i że, chcąc być czemś teraz, trzeba uczyć się, i uczyć, i uczyć, i prawdy Poeta, Nauka

[23] *Jest w Lucernie sławny pomnik, wystawiony pamięci Szwajcarów, którzy zginęli 10-go augusta* — tj. gwardii szwajcarskiej (z 6 oficerów i 760 żołnierzy), która 10 września 1792 padła w Paryżu podczas obrony Tuilerii przed tłumem rewolucjonistów. [przypis redakcyjny]

[24] *pan Seweryn* — poseł rosyjski w Bernie. [przypis redakcyjny]

[25] *oktober* — październik. [przypis edytorski]

[26] *stronność* — stronniczość. [przypis edytorski]

wszędzie szukać, nie dając się ułudzić przez błyskotki, które świecą przez czas jakiś, jak robaczki na trawie w maju, a potem gasną na wieki. Spotkanie się z nim wiele mi dobra przyniosło.

Przed dwoma tygodniami wyjechał stąd, i prawdziwie było smutnem i rozczulającem widzieć, kiedy się żegnał z Odyńcem. Myśl, że może już nigdy się nie zobaczą, rzucała barwę boleści na tę chwilę. Ściskali się długo, Odyniec ze łzami w oczach, Mickiewicz ze stalszą postawą, ale z twarzą, na której znać było najgłębszy smutek. Tak się rozjechali, i Odyniec żałował go, jak gdyby kochanki. Jest on dotąd tutaj i co dzień się widujemy...

W tym momencie właśnie jest u mnie z Reevem i rozbierają dosyć żwawo talent Byrona i Moora. Reeve bardzo przywiązał się do mnie.

Zygmunt Krasiński.

7. DO HENRYKA REEVE'A

Florencja, 18 listopada 1830

Miłość romantyczna, Kochanek, Mąż, Przyjaźń, List

Drogi Henryku!

Mam gorączkę, nieomal popadam w malignę, ale sił mi nie brak, jestem pełen życia, nie mogę powiedzieć, szczęścia, gdyż sprzeczność uczuć moich miota mną gwałtownie: w tej chwili gotów byłbym działać, pisać, bić się, wsiąść na okręt, narazić się na rozbicie, jednem słowem poruszać się prędko i równo po drodze życia. Nie sądź, że to Włochy wywarły na mnie ten wpływ, galerie tutejsze i Wenery Medycejskie, gdyż wszystkiego tego nienawidzę. Stało się to za sprawą H. Wyobraź sobie, że, przybywszy tutaj przedwczoraj, zastałem od niej dwa listy na poczcie we Florencji. A listy te zdolne są odjąć rozum człowiekowi, nawet jeśli go już uprzednio nie postradał. *Valga me Dios*[27]. Prosi mię o przebaczenie za list, który mi napisała, i tysiąc razy zapewnia mię o swojem przywiązaniu bez granic. Powtarzam Ci, mój drogi, że jestem w stanie gorączki, w chwili przełomu i oto dlatego ostrzegam Cię byś się nie zdziwił, jeśli list ten będzie zawierał rzeczy bez związku lub coś podobnego do obłąkania. Ciągnę dalej moje opowiadanie, sądzę bowiem, że Cię zajmie z powodu Twojej dla mnie miłości. Oto jej własne słowa: „Wtedy, gdym Ci pisała, byłam najnieszczęśliwszą z istot; ach, Krasiński, drogi Krasiński, jakże śmiem Cię tak nazywać, póki mi nie przebaczysz? Wiem jedynie, że byłeś mi drogi i zawsze nim będziesz. O nieba! Więcej pisać nie mogę, głowa moja płonie, nie jestem ani dość silna, ani dość zrównoważona, by pisać dalej. Jeśli powiesz, żeś mi przebaczył, aniołowie w niebie szeptać będą te błogosławione dźwięki" itp.

Pierwszy list jest z 19 października, drugi z 28.

Drugi po francusku; pisze mi w nim, że zazdrość jest straszną namiętnością, że wyobraziła sobie, iż kocham inną, sądząc z tonu listów, które do niej pisałem podczas mej podróży po Szwajcarii, i że była na wpół obłąkana, że dotąd jest nieprzytomna, że jest jednocześnie szczęśliwa i nieszczęśliwa, a w końcu, że mię zawsze kocha i że mię prosi, bym jej natychmiast odpisał i przebaczył. Możesz sobie wyobrazić, jakie wrażenie zrobiło na mnie coś tak nieoczekiwanego. Po przybyciu do Florencji i podczas całej prawie swej podróży byłem w podnieceniu bezustannem. Czegoś się spodziewałem, ale nigdy tego wszystkiego, a jeśli „to" na myśl mi przychodziło i było przeczuciem, odtrącałem je natychmiast, jako przypuszczenie fantastyczne i nieuzasadnione. Wzburzenie moje dosięgło szczytu w chwili przybycia mego do Florencji. Trzeba było czekać do następnego dnia na otwarcie poczty, co podwoiło mą niepewność i niepokoje. W końcu otrzymałem rano te dwa listy i, szczerze powiedziawszy, mój drogi, czuję wyraźnie, że jednak nie jestem przy zdrowych zmysłach. Odpowiedziałem naturalnie natychmiast, udzielając przebaczenia i pisząc, że nie przestałem kochać i że zawsze kochałem, ale jednocześnie oświadczyłem, bardziej stanowczo niż kiedykolwiek dawniej, że nigdy nie zostanę jej mężem, że trzeba, by inny służył jej za przewodnika i opiekuna; że ja przyjacielem jej tylko

[27] *Valga me Dios* (hiszp.) — Niech mnie Bóg broni! [przypis redakcyjny]

być mogę, przyjacielem, który bronić jej będzie kosztem życia i mienia, jeśli zajdzie potrzeba, do którego zawsze będzie mogła się zwrócić po pociechę, i pomoc, i przywiązanie, i że aż do czasu, póki się nie zdecyduje na wybór człowieka, mającego za mnie odegrać rolę, której ja wypełnić nie mogę, ośmielę się pisywać do niej w sposób dawny, gdyż kocham, gdyż ubóstwiam ją zawsze, ale że, gdy już wyboru dokona, będę pisywał do niej jedynie jako przyjaciel i że przyjaźń ta, słodka i czuła, jak uczucie brata i siostry, przetrwa życie całe, i że po śmierci odzyskam swoje prawa. Ach, drogi Henryku, jeśli to wszystko napisałem, to jedynie pod przymusem obowiązku, gdyż kocham ją gwałtowniej, niż kiedykolwiek, i tak słodko by mi było nie rozwiewać tego złudzenia, rozpocząć znowu piękne dni miłości, która mi tyle szczęścia dała, przyjąć ją, błagającą o moje przebaczenie, przyjąć ją, mówię, całym pędem najbardziej egzaltowanej i najgorętszej namiętności. Ale cóż robić? Musiałem jej odjąć nawet cień nadziei. Napisałem jej nawet, że na wiosnę nie przyjadę do Anglii.

Biedna Henrieta, odnawia w liście przysięgę, złożoną w niedzielę wielkanocną. Szczerze mówiąc, mój drogi, muszę Ci się zwierzyć, że wydaje mi się, jakby była trochę pomieszana na umyśle. Od czasu jej listu z Lucerny, gdzie mówi: „Zostanę starą panną dla Ciebie", wciąż mi się to wydawało. Toby było straszne, okropne. A któż by był tego sprawcą, kto, jeśli nie ja, ja sam? Zaprawdę, dość żartów i egzaltacji! Jestem nieszczęśliwy i unieszczęśliwiam tych, których kocham, mówiłem Ci to wiele razy. Biedna moja H! Przypominasz sobie, jak była świeża, wesoła i radosna? A teraz? Nie mówmy o tem! Jestem na drodze, prowadzącej prosto do potępienia.

A teraz, gdy Ci już doniosłem, mój drogi, o wszystkiem, co się spraw moich tyczy, przyjm szczere i otwarte zapewnienie przywiązania i wdzięczności, którem Ci winien za czuły sposób, w jaki w chwili rozstania dowiodłeś mi swojej przyjaźni. Jestem wrogiem tyrad o przyjaźni, ale, drogi mój, powiem Ci tylko kilka słów: jestem Twoim przyjacielem na śmierć i życie.

Nie będę Ci opisywał mej podróży włoskiej, bo dotychczas nic nie widziałem prócz katedry i teatru w Mediolanie, a następnie opery w Bolonii. Nic mię nie interesowało ani nie podniecało, podczas gdy zbliżałem się do Florencji. Siedziałem w powozie zagłębiony między zwątpieniem a niepewnością, i ciągle myślałem o Niej. Po przyjeździe doznałem tak silnego wstrząśnienia, że Wenus Medycejska, sądzę, słabe na mnie zrobi wrażenie, gdyż dusza moja jest w płomieniach. Głaz starożytny, dobrze rzeźbiony, ale martwy i zachowujący wyraz jednej jedynej myśli, nic do tego dodać nie zdoła. Zresztą rozumuję tak, nie zobaczywszy jej jeszcze. Teraz jedną tylko rzecz pragnąłbym widzieć: morze. Podczas całej mojej podróży miałem spleen, w przerwach widziałem przelotnie niebo włoskie i nic więcej.

Uściskaj ode mnie serdecznie Zamoyskiego[28] i powiedz mu, że jestem bardziej szalony, niż kiedykolwiek, zresztą, szalony czy zdrowy na umyśle, nie mniej kocham i napiszę do niego z Rzymu, jak sam mnie o to prosił. Czy miał wiadomości od Odyńca z Paryża? Mickiewicz jest już w Rzymie. Ankwiczowie, bawiący we Florencji, każą mu się kłaniać. Leach przed dwoma tygodniami pojechał do Neapolu, 1-go grudnia będzie w Rzymie, gdzie zamierza zimę ze mną spędzić. Zdaje mi się, że jest zakochany w Wenerze Medycejskiej. Złóż moje uszanowanie Matce Swojej i podziękuj jej w mojem imieniu za całą życzliwość, którą mi okazała.

Im częściej zmieniam miejsca pobytu, im dalej posuwam się w życie, tem bardziej się przekonywam, mój drogi, że jest ono środkiem uszlachetnienia człowieka za pomocą cierpień, ale jednocześnie czemś ciężkiem i tragicznem. Dokąd zajdę w końcu, przechodząc od wzruszenia do wzruszenia, od męki do męki? Z jednej strony ubóstwiający mię ojciec, ambitne mając dla mnie plany, którego miłości poświęcić muszę to, co mam najdroższego; z drugiej kobieta młoda, żywa, niegdyś pełna wesołości, którą wpędziłem do labiryntu, pokazując jedynie niejasne pozagrobowe nadzieje, do labiryntu męczących myśli, straszliwych pożądań, które nigdy zaspokojone być nie mogą, potężnych namiętności, które, o ile trwać będą, skrócą jej życie lub rzucą na nie cień czarny, niczem nie dający się usunąć.

Ojciec, Miłość, Małżeństwo, Syn, Pozycja społeczna

[28] *Zamoyskiego* — Augusta Z., wspólnego ich towarzysza genewskiego. [przypis redakcyjny]

Wracam ciągle do tej samej myśli: na cóż mi było sprowadzać ją z jej własnej drogi, by ją pchnąć na moją, gdzie sądziła, że będzie mogła rwać róże, a gdzie znalazła jedynie łzy, gorycz i ciernie? Ale, gdy chcę rozumować o tych rzeczach, zawsze mówię bezrozumnie, bo czuję tu więcej, niż obejmuję rozumem, a czuję, że nie mogłem uniknąć zrobienia tego, co zrobiłem, powiedzenia, co powiedziałem, napisania co napisałem. Na miły Bóg! Jeśli przeznaczenie umieściło na końcu mej drogi przepaść, chętnie czy niechętnie będę musiał się w nią stoczyć. Trochę później, trochę wcześniej, zależnie, być może, od mojej ostrożności, ale zawsze trzeba będzie w końcu zrobić salto mortale. Otwieram duszę swoją przed Tobą, Reevie, i w serce Twoje składam całe swoje zaufanie, bo wiem, że będzie dla Ciebie święte. Jak Ci pisałem, jestem w stanie przełomu moralnego i przesilenia fizycznego: palony gorączką, trawiony wyrzutami sumienia, miotany dziwną wesołością. Ale nie mam już nadziei — oto czego mi brak i co czyni moje położenie tak piekielnem i łamie moją energię. Bo jakaż nadzieja mogła mi pozostać? Wieczności? Tę nadzieję mam jeszcze. Ale, czy Ci wyznać? Nie wystarcza mi zupełnie! A jednak powinna mi wystarczyć.

Żegnaj, żegnaj! Otrzymasz za parę tygodni wiadomości ode mnie z Rzymu, jeśli mnie przedtem diabli nie wezmą, o czem się dowiesz wówczas z gazet, które nie omieszkają opisać mego pogrzebu.

Zyg. Krasiński.

P. S. Ani słowa o tem nikomu.

8. DO HENRYKA REEVE'A

9 grudnia, Roma, Piazza di Spagna Nr 26

Mój kochany!

Dziś, dnia dziewiątego grudnia, list Twój otrzymałem i wierzaj mi, Henryku, uczynił mię szczęśliwym na chwil kilka, a i to już wiele w tej plecionce nieszczęść i zniechęcenia, którą umówiono się nazywać życiem ludzkiem. Dzięki Ci, mój drogi, sto razy dzięki za Twoją stałą przyjaźń. Bądź pewien, że Ci ją w sercu swem odwzajemniam. *Farys* jest bardzo dobrze przetłumaczony, a nawet w paru miejscach, bardziej w języku angielskim, niż we francuskim, do oryginału się zbliża. Mickiewicz jest na wsi i powróci dopiero za dwa dni; ponieważ nie mogę opanować swej niecierpliwej chęci pisania do Ciebie, w liście Ci opowiem, co sądzi o tłumaczeniu zdania *in dubio*. Jest to huragan, który, widząc przybywającego jeźdźca, bierze go za wiatr, za jednego ze swych młodszych braci. Zdaje mu się, że jeździec jest wiatrem i dlatego przypuszcza, że każdy wiatr jest jednym z huraganów, jego braci.

Strofki Twoje, napisane dla C. po wieczorze u Lombardów[29], są takie, jakie być powinny — pełne uczucia, które Cię wtedy ożywiało i bez wątpienia piękne są te dwa wiersze: *Though the blast which has used them has vanished for ever*[30] itd.

Rzeczywiście, wiersze to niezwykle piękne.

W tych dniach w myślach moich taki zapanował chaos, że może z trudnością tylko rozwikłasz to, co Ci chcę napisać. Lecz jednostki, tak jak i narody, mają swoje dni upadku i ciężkiego strapienia. Podniecająca mię we Florencji gorączka ustąpiła, o ile tyczy się to tylko szybszego krążenia krwi w żyłach, lecz nie opuściła mej duszy. Jedyne chwile spokoju odczuwałem, wpatrując się w Wenus Medycejską, gdyż jest to piękność doskonała, a piękność, z marmuru, czy też z ciała i kości, jest zawsze ukojeniem w godzinach męki, jak dla Saula harfa Dawida w chwilach obłąkania, a jednocześnie jest też podnietą w godzinach apatii.

Lecz poza temi krótkiemi chwilami uczuwam kolejno i ogień płomienia, spalającego mi serce na popiół, i zimno stali, która wnika do najczulszego miejsca tegoż serca. Wiesz,

[29] *Lombardzi* — rodzina kolegi uniwersyteckiego i przyjaciela Krasińskiego w Genewie. [przypis redakcyjny]

[30] *Though the blast which has used them has vanished for ever* (ang.) — Chociaż burza, która je zniszczyła, minęła na zawsze, [w ich spokojnie przepływających głębiach jest potęga]. [przypis redakcyjny]

kochany Henryku, (gdybym mógł być do Ciebie przywiązany, dla jakiej innej, nie tej jedynie przyczyny, że Cię kocham, najważniejszą byłaby ta, że się nazywasz Henryk; wielką bowiem przyjemność uczuwam, pisząc to imię), że szczególniej w podróży skłonny jestem do ponurego smutku i zamyślenia. Droga moja z Florencji, którą opuściłem 26 listopada, do Rzymu, dokąd przybyłem przed 30-tym, była dla mnie pewnego rodzaju pogrzebem za życia. Przejeżdżaliśmy przez kraj nagi i jałowy, gdzieniegdzie pokryty budynkami, rozpadającemi się w ruinę, lub pochylonemi ku ziemi, posiany włoskiem żebractwem, żywą ruiną na martwych gruzach siedzącą.

I tylko to tyle chwalone niebo roztaczało się w górze, lecz rzadko wznosiłem oczy by na nie spoglądać. Przypominasz sobie z pewnością, że

Yet it was not that nature had shede o'er the scene[31] itd.

A gdy tego brakło mi najzupełniej, posuwałem się ciągle, ciągle bardziej smutny ku kresowi mej podróży. Gdybym był przybył do Rzymu przed rokiem lub dwoma, jakżeż byłaby uleciała wyobraźnia moja, młoda jeszcze, w przestrzeń, by wznieść się na kopułę św. Piotra, okrążyć dokoła obeliski egipskie, siąść na szczycie Panteonu, a potem, lot swój zniżywszy do grobów Cezara i Scypiona, spaść na arenę Koloseum i wznieść się z powrotem w pełni świeżości i dziewictwa w stronę Kapitolu, kroczyć ścieżką, którą kroczyli bohaterowie, śpiący teraz pod nim, sami, sławę swoją mając za nagrobek, a ruiny świata całego za mogiłę. Lecz w r. 1830 było inaczej. Z obojętnością zbliżałem się do wiecznego miasta. Pierwsze pytanie, jakie zadałem po przejściu przez bramę zwycięzców świata, było: „Czy jest tu dobra gospoda?". Silne bowiem wzruszenia, mój drogi, postarzają duszę tak, jak silne wstrząśnienia ciało. — Lecz przeznaczonem było, że coś w Rzymie dość będzie miało siły, by mię rzucić w przepaść zwątpień i wszystkie struny mej duszy aż do zerwania rozstroić.

Religia, Bóg, Miłość, Konflikt, Konflikt wewnętrzny, Zbawienie

Znalazłem u Mickiewicza dzieło słynnego Lemmennais'go o religii katolickiej, religii mych ojców, dla której poza kilku próżnemi znakami krzyża od dawna nic nie miałem. Przeczytałem je, i kochany Henryku, zobaczyłem przepaść, otwierającą się przed mojemi stopami. Wieczność, tak ogromna, wielka, Bóg mściciel, myśli płoche, przemienione w zbrodnie w moralnym porządku, i te męczarnie okropne, kary za owe zbrodnie — to wszystko mię wzburzyło. I wszystko tak dobrze złączone, powiązane ze sobą, zgadzające się ze sobą, dowiedzione bez możliwości zarzutów. Tak, tak wznosi się kościół katolicki na granitowej skale; otoczony świetnością i wielkością, jest podobny do Filipa II na hiszpańskim tronie, surowy, samotny, nieubłagany, mściciel jedyny. Tortury i męczarnie dla tych, którzy go nie czczą, błogie szczęście dla tych, którzy cześć mu oddają. A ten dogmat straszliwy: poza mną nie ma „zbawienia", jest wyryty na jego koronie, połyskującej od niebiańskich promieni i ognia piekieł. Kochany Henryku, zadrżałem, zbladłem, lecz nie uwierzyłem; lękam się i padam na kolana, lecz uwierzyć nie mogę. — Jedyną, lecz nie do pokonania przeszkodą, która się wznosi między mną, a katolicyzmem, jest właśnie ten dogmat: „poza mną nie ma zbawienia". A więc ta, którą kochałem i kocham, nie będzie zbawioną? Biedna dziewczyna! Nieszczęśliwa na tej ziemi, potępiona w wieczności. Nie! Królowa mych snów, kochanka mojego serca, jest czysta i słodka i będzie zbawiona! Boże Dobroci, biorę Cię za świadka! Tak, ona nie może być wiecznie nieszczęśliwa dlatego, że urodziła się chrześcijanką, lecz nie katoliczką. Oh, tak, tak! Nie umrze śmiercią upadłych aniołów.

From the heretic girl of my soul shal I fly[32] itd.

Natychmiast po przeczytaniu tej książki byłem w stanie, trudnym do opisania. Miałem w sobie dużo szaleństwa i nieco rozpaczy. Widziałem wszędzie dokoła siebie ruiny, zagładę, przyjaciół moich, potępionych na zawsze, kochankę moją, straconą dla mnie na ziemi i w niebie; potem zdawało mi się, że i ja sam staczam się ze stopnia na stopień, ciągle niżej, ciągle prędzej: jak gdyby zaciężyło nade mną przekleństwo boże. Lecz ona, ona,

[31] *Yet it was not that nature had shede o'er the scene itd.* — cały przytoczony tu ustęp brzmi w przekładzie z języka angielskiego: „Jednak to nie dlatego, że natura rozlała na scenie najczystszy swój kryształ i najjaśniejszą swą zieleń; to dlatego, że drodzy sercu memu przyjaciele byli blisko". [przypis redakcyjny]

[32] *From the heretic girl of my soul shal I fly* (ang.) — Ucieknę od kacerskiego dziewczęcia, drogiego mej duszy, by gdzie indziej szukać bardziej prawowiernego pocałunku. Nie! Niech zginą serca i prawa, które taką miarą wystawiają na próbę wierność i męstwo miłości! [przypis redakcyjny]

ukochana moja, miłość moja, rozdzierała mi serce, gdyż doszedłem do miejsca, w którem należało wybrać między moją H. i moim Bogiem.

Takie były pierwsze skutki tej książki, lecz po trochu uspokoiłem się; walczyłem z piekłem myśli, znalazłem ukojenie, powiedziawszy sobie, że Ten, który rzekł do jawnogrzesznicy: „Idź, niewiasto, i nie grzesz więcej", nie zwróciłby swego nieubłaganego gniewu przeciwko tej, która jest tak dobrą na ziemi i tak mię kocha. Lecz z tych dwóch silnych wstrząśnień, doświadczonych we Florencji i w Rzymie, coś jednak w umyśle moim zostało, coś, jakby posiew obłędu. Zobaczysz, drogi Henryku, czy to nie wzrośnie z czasem. Przeczytaj jednak Lammennais'go *Obojętność w sprawach wiary* i powiedz mi, co myślisz o tem. Lecz przede wszystkiem zaklinam Cię, jeśli mię kochasz, czytaj Schlegla *Historię literatury* w dwóch tomach. Przeczytaj, wiem, że będzie to z korzyścią dla Ciebie. Teraz skoro Ci już tyle powiedziałem o sobie, muszę zacząć mówić Ci o Tobie.

Jesteś nieszczęśliwy. Wyczytałem to w Twoim liście. Chociaż chciałbyś zapomnieć i zasnąć, musisz czuwać i cierpieć. Takie jest nasze przeznaczenie. Niech się dzieje wola boża! Lecz nie mogę zrozumieć lodowatej obojętności C; chociaż przypuszczam, że, gdyby się teraz do Ciebie przywiązała, to sprawiłoby Ci to tylko przelotną, nie zaś namiętną radość. Był czas, gdy, królem będąc ziemi, byłbyś złożył u jej stóp koronę, albo też, królem będąc poezji, lirę byś złamał na jej żądanie. Ale czas ten minął; kochasz ją jeszcze, lecz, gdyby Cię teraz zaczęła kochać, nie cierpiałbyś jej może. Jako przyjaciel Twój, drogi Henryku, muszę Ci prawdę powiedzieć. Nie sądzę już, by C. mogła Ci dać szczęście. Gdyby była odpowiedziała na Twoje pierwsze spojrzenie spojrzeniem miłości, wtedy byłbyś szczęśliwy przez pewien czas i prawie Bogiem na ziemi. Lecz czułeś, a ołtarz był dla Ciebie z marmuru. Zrobiłeś więcej: przywiązałeś się do tego marmuru (uczyniłbym to samo) i wszystkiemi swojemi marzeniami, całą duszą otoczyłeś zimny i nieczuły kamień. Stopniowo przyzwyczaiłeś się do tego, że zupełnie nie odpowiadano na Twoje westchnienia i na Twoje łzy. Twoja dusza, Twoje serce dość były wielkie, by wystarczyć sobie. Byłeś przed swoim posągiem Pigmalionem, lecz bogowie byli głusi na Twoje wołania i nie ożywili go. A teraz, gdyby nagle stanął przed Tobą, pełen życia i miłości, wierzaj mi, zimne byś nań rzucił spojrzenie; bo Henryku, kochałeś imię, a nie rzecz samą, marmur, a nie kobietę. Kochałeś, bo byłeś skłonny do miłości, jak każde serce wzniosłe i piękne. Lecz C. zupełnie nie kochałeś, tylko w niej powszechną duszę miłości. Oto dlaczego miło mi, i mam jeszcze nadzieję, że dla Twojego serca przeznaczone są dni wesela. — Tak, Henryku, ujrzysz ją, jak anioła, ku Tobie schodzącą, tę, którą ześle Ci Bóg, by upiększyć kilka chwil, byś nie mógł powiedzieć w ostatniej swej godzinie: „Nie żyłem wcale". Tak, poczujesz jeszcze bicie swego serca, ujrzawszy z dala fałdy jej przejrzystej sukni. Zbliżysz się, do nóg jej padniesz, a ona Cię obsypie błogosławieństwami i uśmiechami. Będziesz musiał jeszcze walczyć, jak ja, jak ja, męczarnie i niepewności znosić i, jak ja wreszcie, to szczęśliwy, to nieszczęśliwy będziesz. Pamiętaj! Ale po cóż mi cośkolwiek przypominać człowiekowi, który mi ukazywał drogę cnoty, kiedy nie tak dawno temu byłem bliski zboczenia z niej? Ach, wierz mym przeczuciom, piękne Cię dni oczekują, ale dni, spędzone z kobietą, godną człowieka i poety.

Lecz porzućmy te obrazy, gdyż mózg mój się zaciemnia. Postaram się opisać Ci to, co widziałem w Rzymie. — Rzym, „miasto duszy", jak mówi Byron. Od dziesięciu dni jestem w Rzymie. Widziałem tylko Św. Piotra i Koloseum, gdyż, żeby oglądać, trzeba się czuć dobrze, a ja się czuję źle.

Kościół Św. Piotra jest arcydziełem, stworzonem przez ludzi. Wszystko w nim harmonijne i proporcjonalne. Niezmierzone bogactwa nie są nagromadzone nieporządnie, lecz tworzą całość prostą, surową, wielką. Ale, gdybym był Turkiem, tak samo bym ją podziwiał, jak będąc chrześcijaninem, gdyż, wszedłszy tam, uczułem kunszt ludzki, lecz nie obecność boską.

Co innego Koloseum.

Ruiny, Księżyc, Marzenie, Historia

Przy pięknem i jasnem świetle księżyca wszedłem pod te arkady, które tyle widziały pokoleń, ponad któremi zaciężył lud królujący w dniach swej potęgi i które nie zwaliły się pod ciężarem ni ludzi, ni czasu. Księżyc stał jeszcze nisko na widnokręgu, wnętrze budynku było ciemne — starałem się wzrokiem swoim przebić ciemności. Serce moje biło, gdyż czułem się bliskim starożytnych czasów. Pogrążyłem się we wspomnieniach.

Powoli promienie zaczęły przenikać poprzez szczeliny murów, poprzez aleje portyków i dziwnem było patrzeć, jak załamywały się w kątach, na kapitelach i kolumnach.

W kilku miejscach igrały znów z bluszczem, który zastąpił purpurę i jedwab cyrku. Wszedłem na pierwsze piętro, potem na drugie; wszędzie było ciemno i czarno. Znów się zatrzymałem i oddałem się głębokiemu dumaniu. Nade mną było niebieskie niebo, gwiazdami włoskiemi posiane, poniżej przepaść o całej wysokości Koloseum. Wspomnienia za wspomnieniami biegły ku mnie i wyobraźnia moja stopniowo się unosiła. Im wyraźniej występowały przedmioty dokoła mnie tem bardziej się przenosiłem do czasów, których już nie ma, a jednak żyją w ludzkiej pamięci. Zdawało mi się, że słyszę zmieszane odgłosy: krzyk przenikliwy gladiatora, później oklaski całego ludu, szmery pochwalne następowały po wściekłych wrzaskach, ryki lwów i tygrysów, a potem wśród tego wszystkiego muzyka greckiej fletni i dźwięki trąbki wojskowej. — Nagle jęki się podniosły i zapadły w ciszę, czułem że nie podniosą się więcej. Wtem szczęk mieczów i sztyletów starożytnych rozległ się pod sklepieniami, a potem zdawało mi się, że słyszę to tu, to tam upadek ciała, pokrytego pancerzem, lub staczanie się puklerza na piasek, a później znowu jakby szmer wielu wolno spływających strumieni i uczułem zapach krwi. Lecz ponad temi wszystkiemi krzykami i całym hałasem, panował jeden głos, choć cichy był i drżący. Unosił się pełen harmonii w powietrzu. Rzekłbyś: hymn nadziei, a jednak na zawsze miały się zamknąć wargi, z których wychodził. Można by powiedzieć: hymn śmierci, który śpiewa dziewica chrześcijańska przed połączeniem się z Bogiem.

W tej chwili księżyc ukazał się na murach Koloseum, jak gdyby wychodził z kępy bluszczu, opadającego w festonach ze szczytu budynku.

And thou didst shine rolling moon upon[33] itd.

Kolumny, arkady, portyki, ławki cezarów, senatorów, ludu ukazały się blade i rozwalone. Arena wystąpiła z ciemności. Pośrodku krzyż się wznosił z czarnego drzewa. Krzyż ten wart dla mnie katedry mediolańskiej i kościoła Św. Piotra. On to przed wielu wiekami prześladowany był w tem miejscu, gdy Koloseum przedstawiało całą wielkość tych, którzy je wznieśli. I krzyż ten od czasu dni krwi i żałoby nie zmienił wcale swego wyglądu, nie jest ozdobami przybrany, i dziś stoi tam, gdzie go niegdyś nogami deptano, a pyszne Koloseum, które spoglądało z dumą na jego poniżenie, rozsypuje się w proch dokoła niego. Lecz nie zdaje się on chełpić swym tryumfem. W milczeniu wyciąga czarne ramiona ku dwom stronom budynku, jakby rzucał cień pokoju i błogosławieństwa na ziemię, w której śpią prześladowcy i prześladowani.

Kto w Chrystusa nie wierzy, niech w piękną noc idzie do Koloseum, a jeśli tam nie padnie na kolana przed symbolem wiary, człowiek ten, mówię z góry, nie ma duszy ni serca. Jest mniej, niż człowiekiem, jako duch od Boga pochodzący, jest więcej niż człowiekiem, jako duch złego.

Myśli te w większej części są wzięte z fragmentu polskiego, który napisałem o Koloseum. Posyłam Ci je, jako dług za *Farysa*, i pocieszam się nadzieją, że, jeśliby Cię miały znudzić jako utwór literacki, zainteresują Cię jednak jako utwór przyjaciela. Napisałem także przed kilku dniami opowieść o Angliku, który umarł z miłości dla Wenery Medycejskiej, i starałem się ująć rozwój jego namiętności w formę pamiętnika, który pisze dla swych przyjaciół przed śmiercią. Pisane po polsku. Myślę zebrać w ten sposób kilka nowel o Italii i wydać razem pod nazwą *Fragmentów włoskich*. Przepiszę dla Ciebie, a właściwie przełożę motto, które naprzód już ułożyłem dla tej niezmiernie przyjemnej książki.

„Noc piękna błyszczała ponad moją głową, słyszałem z daleka muzykę Rossiniego nad grobem Scypiona. Pomyślałem o szklankach herbaty, o wieczorach, wydawanych na szczycie Kapitolu. Anglicy patrzą przez szkła na ruiny Koloseum. Tańczy się walca tam, gdzie pierwszy Brutus zabijał swoje dzieci, a drugi ojca, i dokoła obelisków, sprowadzonych z Egiptu, sprzedaje się na targu kapustę. Są to rzeczy śmieszne, lecz ja uczułem smutek. Dlaczego? Nie wiem, gdyż należało się śmiać.

[33] *And thou didst shine rolling moon upon (…)* — cały przytoczony tu ustęp brzmi w przekładzie dosłownym: „I ukazałeś się, toczący się księżycu, ponad tem wszystkiem i rzuciłeś rozległe a łagodne światło, które umiliło ubogą surowość przykrej pustki i wypełniło jakby na nowo luki stuleci, pozostawiając pięknem to, co jeszcze nim było, a upiększając to, co nim nie było, aż miejsce to stało się Religią, a serce wypełniła po brzegi milcząca cześć dla dawnych wielkości". [przypis redakcyjny]

Takie są całe Włochy. Może taka właśnie równowaga jest potrzebna na świecie, by czynić rzeczy śmieszne i bawić się tam, gdzie niegdyś zdarzały się wielkie cnoty i wielkie zbrodnie. Niemniej jednak, gorzko jest temu, który nie rozumie najwyższego ładu tego świata i podnieść się ku niemu nie umie. Tak, gorzkie to — np. muzyka buffo na grobie Scypiona i sprzedaż kapusty na forum...".

Jak Ci się to motto podoba?

A teraz żegnaj mi, kochany Henryku! Uszanowania dla Twojej Matki. Nigdy nie zapomnę o dobroci, którą mi okazała. Ucałuj Zamoyskiego z całego serca. Bądź zdrów *et sis memor mei ultinam*[34]! Pamiętaj o chwilach, razem spędzonych!

Good bye, my dear, and answer as soon as possible[35]. Żegnaj, kochany, i odpisz natychmiast!

Zygm. Kr.

9 grudnia. Roma, Piazza di Spagna Nr 26

Możesz adresować, jak Ci się podoba, *poste restante*, albo do banku Torlonii.

10 grudnia. Leach[36] jeszcze nie przyjechał. Ponieważ poczta dziś już nie odchodzi, dodam tutaj słów kilka. — Piszesz mi, że utwory Twoje nie będą teraz wydane w Londynie, gdyż na porządku dziennym jest tylko polityka. To źle. Trzeba, byś koniecznie starał się wydać je teraz, gdyż później będzie to stracone. Dobra i piękna rzecz przestaje być piękną i dobrą, gdy nie jest zrobiona we właściwej porze. Dla autora czem prędzej, tem lepiej. Kochany Henryku, oto dlaczego Ci radzę wydać jak można najszybciej i przede wszystkiem nie oddawać się próżniactwu, lecz pisać i myśleć ciągle i ciągle przyglądać się ludziom poza sobą, a duszy swej w sobie. Przywiąż się wszystkiemi swojemi siłami do religii chrześcijańskiej, gdyż jest to teraz dla Ciebie droga przyszłości, i na tej właśnie drodze będziesz nowym i oryginalnym. Przy tem, kto jest z Bogiem, z tym jest Bóg. Wątpliwości i zagadki już miały Byrona i byłoby szaleństwem iść w jego ślady, gdyż nikt mu nie dorówna. Lecz dziś, mój drogi, poeta powinien silnie zaznaczyć zagadkę życia, jak Szekspir, i dać wytrysnąć z niej nadziei, jak Calderon. — Zaklinam Cię czytaj Schlegla!

12 grudnia. Mickiewicz przeczytał tłumaczenie *Farysa* i uważa, że jest bardzo harmonijne i dobre, tylko gdzieniegdzie trochę niedokładne. Każe Ci powinszować. Zdaje mi się, żeś powinien poprosić Zamoyskiego, by Ci dosłownie przełożył *Farysa* z polskiego, a potem jedną lub dwie zmiany poczynić w miejscu, w którem mowa jest o obłoku; np. na końcu usunąć wyraz „pogrzeb", gdyż jest przeciwny duchowi całości. Zresztą, mój drogi, *Farys* dowodzi Twojej zadziwiającej łatwości pięknego wierszowania, jeśli mogłeś tak dobrze przetłumaczyć na język angielski ohydne francuskie tłumaczenie. Co do mnie, znajduję tak, jak i Mickiewicz, że najlepiej udał się początek, a potem ustęp, w którym mówisz o zasypanej w pustyni karawanie. Dobrze zrobisz, posyłając to jak najprędzej do „Monthly Magazine".

Jeśli chcesz, drogi, rozpocząć pisanie *Polskich melodyj*, to napisz, co chcesz wiedzieć o charakterze narodowym i o historii, wypowiedz, „jak mówi Tristram", swe wątpliwości i podejrzenia, a będzie dla mnie największą przyjemnością o tem wszystkiem Ci napisać, ażeby pieśni, które poświęcisz wielkiemu i nieszczęśliwemu narodowi, były godne Ciebie i nosiły charakter narodowy. Zresztą jestem bardzo smutny, osamotniony i źle mi bardzo. Ach, gdy pomyślę o brzegach Lemanu, dałbym wszystko za to, by być tam jeszcze. Czy pamiętasz rozmowę naszą, którą mieliśmy, idąc strzelać do Etoles d'Hubert? Teraz o to samo obawiać się należy.

Żegnaj i pamiętaj o mnie jeszcze!

Ucałuj Zamojskiego ode mnie!

[34] *et sis memor mei ultinam!* (łac.) — i obyś pamiętał o mnie [przypis redakcyjny]

[35] *Good bye, my dear, and answer as soon as possible* (ang.) — Bądź zdrów, mój drogi, a odpowiedz jak możesz najrychlej. [przypis redakcyjny]

[36] *Leach* — krewny Reeve'a, wspólny przyjaciel i towarzysz genewski. [przypis redakcyjny]

9. DO HENRYKA REEVE'A

22 grudnia 1830 r., Rzym

Mój drogi!

18 grudnia. Poranek świta. Czy pamiętasz ostatni wiersz, któryś mi napisał? Tak, poranek świta, ale obecnie nie wiemy, czy to jest przedświt nowego życia, czy błysk, który się pojawia, gdy jakiemuś narodowi grozi niezwłoczna zagłada. Dręczą mię wielkie obawy. Gazety są pełne słów ciemnych. Bogu niech będą tysiączne dzięki! Zapewniano mnie, że ojciec mój uszedł niebezpieczeństwom 29 listopada i przesłał cesarzowi prośbę o dymisję. Lecz co będzie dalej? Czy umrzemy, czy też wzniesiemy się spośród narodów umarłych, staczających się do grobu Czasu, gdzie winy i błędy są napisem grobowym? Allah jest wielki, mówią niewierni, i to jest prawdą. Żadna siła ludzka, ni pomoc nic dla nas zrobić nie mogą w tej beznadziejnej sprawie, ale ten sam Bóg, który powiedział: „Niech się stanie światło" i pojawiło się światło, może powiedzieć teraz: „Niech będzie Polska" i stanie się Polska olbrzymią i wolną. Napisz mi natychmiast, co Zamoyski czynić zamierza. Jestem w największej niepewności. Odpisz mi bardzo prędko, bo każdy dzień może zmienić moje położenie i pchnąć mię na pola krwi i śmierci. Przypomnij sobie teraz naszą rozmowę, gdy, jadąc konno wkoło dworu w C., opowiadałem Ci bajkę, którą później opowiedziałem H. Teraz proroctwo się spełniło i losem moim jest, być może, spełnienie drugiej części przepowiedni, która brzmiała, że umrę. Masz słuszność, utrzymując, że jest związek w sprawach ludzkich, bo, gdy byłem nad brzegami błękitnego Lemanu, nawiedziło mnie natchnienie i przewidziałem, pełen bólu, osiem miesięcy wcześniej to, co teraz stać się musi. Powstanie

20 grudnia. Jestem bardzo zadowolony z przyjazdu Leacha, który przybył tu dwa tygodnie temu, bo, jeśli nagle przyjdzie wyruszyć mi w drogę, dam mu coś dla H., coś, mówię, jako moją ostatnią wolę, moje ostatnie pożegnanie tej, którą najbardziej kochałem na ziemi i której może nigdy więcej nie zobaczę: bo, gdzie tysiące giną, szaleństwem byłoby sądzić, że uniknę śmierci, chyba, że Bóg dokona dla mnie cudu. Henryku drogi, możesz być pewien, że dobroci, którą mi okazywałeś, nigdy nie zapomnę i że otrzymasz wiadomości ode mnie za każdym razem, gdy będzie można Ci je przesłać. Ty jednak musisz w dalszym ciągu adresować listy do mnie do Rzymu, gdyż muszę tu pozostać, póki nie otrzymam pewnych instrukcyj od swego ojca. Przebacz, że piszę tak nędzną angielszczyzną, ale jestem teraz zaniepokojony i wzburzony gorączką mózgu i czoła, a wolę pisać raczej po angielsku, niż po francusku, chociaż list ten, posłany stąd do Genewy, nie zostanie otwarty, sądzę, i na pewno dojdzie do Twoich rąk. Powiedz Augustowi Z., że mu radzę poczekać czas krótki w Genewie, póki nie otrzyma listu od swego ojca, i że w każdym razie proszę go, by mi natychmiast napisał, co zamierza czynić. Gdybym mógł, pojechałbym do niego i z nim pozostał. W dodatku muszę Ci napisać, że jestem w dziwnem i trudnem położeniu. Za dużo na to składa się przyczyn, bym Ci je mógł w tym liście objaśnić, ale, jeśli pamiętasz naszą rozmowę na ten temat, zrozumiesz w zupełności piekielną sytuację, w której się znajduję. Wydaje mi się zawsze, że los, grożący śmiercią, zawisł nad moją głową, jak miecz Damoklesa. Niech Bóg da, żeby został usunięty albo żeby spadł prędko, oh, prędko, bo życie w męce, to początek piekła na ziemi. Widzisz, mój drogi, czem jestem: moja miłość jest nieszczęśliwa. Kochałem i kocham jeszcze, lecz ta, którą kocham, nigdy pierścienia mego nosić nie będzie. Należę do jednej z najznakomitszych rodzin mego kraju, a jednak rodacy moi mię nienawidzą. Dni sławy mego ojca przeszły, a teraz...

Ach, wszystko jest męką i bólem dla mnie: kocham kobietę — nie jest dla mnie; kocham moją ojczyznę — ona odpycha mię; kocham sławę — a sława jest ciemna i niepewna. Niczego na ziemi się już nie spodziewam, Bóg jest moją jedyną ucieczką. Ludzie mię opuścili, a ten który mię kocha, jest zbyt daleko, by dzielić moją rozpacz lub ukoić ją łzami. Henryku, drogi Henryku, jestem pewien, że słyszysz, jak Polacy w Genewie codziennie odsądzają mię od czci i wiary. Tylko w Mickiewiczu i Zamoyskim mam przyjaciół, inni są, jak szatani, na śladach swego łupu. O Boże, wielki Boże moich ojców, śpiących w swych grobach, broń i chroń mię przed nimi! Nie urodziłem się do znosze-

nia pychy bliźnich moich — na krzyż święty! — przypadło mi w udziale dość siły duszy i mocy serca, by ich raczej deptać, niż dać się deptać przez nich. Lecz któż zdoła walczyć z losem swoim? Próżno człowiek sądzi, że rzucony jest w świat samotnie. Tajemna konieczność kieruje jego wszystkiemi krokami; ten, kto pada, paść musi, temu, kto osiąga wielkość i sławę, tak przeznaczone było. Od kolebki do grobu szatan bez litości, nieustannie bądź powstrzymuje nas od niebezpieczeństw, bądź pcha nas na ich spotkanie. Lecz co ja piszę? Jestem szalony i pomieszany. Bóg jest wyłącznie dobrocią i łaską: jeden człowiek musi być poświęcony dla dobra narodu, dla dobra rodu ludzkiego. Ofiara chrześcijańska jest podstawą wszystkich wielkich wydarzeń na tym świecie z łez i z gliny. Bo czemże jest świat? Gliną, zmieszaną ze łzami, i niczem więcej. Ah, gdzież się podziały dni szczęśliwe dni, spędzone w ogrodzie nad brzegiem Lemanu, dni, spędzone w górach, noc, spędzona w Salauches pod niebem tak czystem, że niepodobieństwem było myśleć pod takiem niebem o kłamliwości ludzkiej! Wszystko przeszło, znikło, zbladło, a ja jeszcze żyję, jak statek rozbity, którego towarzysze zginęli, a on sam pozostał po przejściu burzy. Moje myśli, życzenia, nadzieje, jeśli mam jakieś nadzieje, dziwnie zmącone i zaciemnione zostały przez obecne nieszczęścia. Chyba zbyteczne Ci powtarzać, że trzy fale mojego życia zwróciły się teraz przeciwko mnie. Miłość moja: toczące się fale morza są między nami, ojczyzna niesprawiedliwe na mnie rzuciła przekleństwo, sława moja, gdzież ona? Na piasku lub falach pisana. Może umrę, jak Keats. I to samo epitafium: „Którego imię napisane było na wodzie", napiszą i mnie. A mimo wszystko powtarzam, że urodziłem się, aby ojczyzny swej bronić, gdyż kocham ją namiętną miłością patrioty i łono moje płonie, gdy słyszę wymówione jej imię. Urodziłem się do miłości. Wiesz, jak kochałem. Urodziłem się do sławy, gdyż krew moja jest jak strumień lawy, a serce moje nie biło trwożnie nigdy, chyba, gdy czuło zbliżanie się istot wyższego rzędu. Ludzie nigdy nie wzbudzali strachu w mojej duszy, a ryk dział zawsze był muzyką w moich uszach. Henryku, jakaż być musi rozpacz moja, gdy widzę bieg życia swego przedwcześnie skończony, rękę swą powstrzymaną od miecza, imię swe hańbione i lżone wszędzie, tylko nie w mojej obecności, bo wiedzą dobrze, że gniewu mego lekceważyć nie można. Zginę tak samotny, opuszczony, wzgardzony, nieszczęśliwy! Znałem jedynie przebłyski miłości, imię mojej ojczyzny było tylko dźwiękiem, a sława słowem pustem. Gdyby okoliczności były inne, nigdy bym czegoś podobnego nie napisał.

Okropne musi być moje położenie, gdy takie słowa wychodzą spod mojego pióra. Nie umiem ani kłamać, ani udawać. Bądź tak dobry i pokaż ten list Zamoyskiemu; napisany jest dla Was obu. Poproś go w mojem imieniu, by mię, jak dawniej, kochał. Miłość niewielu ludzi, którzy mię znają, ostatni to, jaki mi pozostał, klejnot ze skarbu miłości, ojczyzny i sławy, skarbu, który zawsze w marzeniach mej młodości stał przy mnie, a który teraz usuwa się ode mnie w zdarzeniach okropnej i nieubłaganej rzeczywistości.

Twój wierny aż do śmierci

Z. K.

Ukłony dla Twojej Matki.

10. DO HENRYKA REEVE'A

22 stycznia 1831 r., Rzym

Drogi mój Henryku!

List Twój z dnia 11 stycznia 1831 r. dziś odebrałem. Podniósł on trochę mego upadłego ducha i wlał w moje serce kilka kropel balsamu przyjaźni, gdyż widzę, że jesteś jeszcze tem, czem być przyobiecałeś: moim przyjacielem. Trzy dni temu napisałem list do Ciebie, ale nie byłem przy zdrowych zmysłach. Gdy go odbierzesz, spal go i zapomnij, albo raczej schowaj go do jakiejś skrytki jako dowód, do jakich ostateczności dojść może dusza, umęczona bólem.

Chociaż uczucie dzikiej zemsty i myśli moje w tym względzie zupełnie się zmieniły, stanowisko moje pozostało to samo. Słowa, wyczytane przez Ciebie w „Galignani

Messenger" są bądź sztuczką człowieka, żywiącego do mnie nienawiść, bądź radą przyjaciela. Nie mogąc wprost pisać do mnie, umieścił ją w dzienniku, by wskazać mi drogę, którą powinienem kroczyć. Ale, komukolwiek słowa te przypisać należy, nie mogę zaprzeczyć, że droga jest najbardziej dla mnie odpowiednia w obecnych okolicznościach. Jestem rzeczywiście jednym z najbogatszych młodzieńców w Polsce, członkiem jednej z najznakomitszych rodzin i walczyć za ojczyznę i zginąć jest jedynym sposobem postępowania, który mi przystoi. W nim jest sława i nadzieja zbawienia wiecznego, poza nim nie masz ani nadziei, ani honoru, ani zbawienia. Jednem słowem, nie ma nic, prócz hańby i przekleństwa. Czuję to głęboko, drogi mój Henryku, i cień smutku pada na moją duszę. Niech Bóg da, bym ja znikł jak najprędzej, bo chcę być tem, czem być powinienem, albo umrzeć bez pociechy. Grób mój nawet niegodny będzie westchnień mężów i łez niewieścich. Co moi przyjaciele, co ona, miłość moja, pomyśli o mnie? Przyjaciele gromkim głosem krzykną do mnie: „Jesteś tchórzem", a ona zawoła: „Jesteś zdrajcą, bo, gdym pytała: Co stoi między nami, odpowiedziałeś: Ojczyzna moja, a teraz uciekasz z pola, śpisz snem głuchym między gruzami Rzymu, gdy nie czas już medytować nad ruinami, lecz gdy pora zbudować nad nimi gmach nowy, którego fundamentem będą głowy i członki ludzkie, a krew cementem".

Co odpowiem? Nic, bo jedyną od tego ucieczką jest przebłysk szczęścia, albo wyniosłość, naśmiewająca się z potwarzy i oskarżenia.

Jestem przygwożdżony do Rzymu aż do chwili, gdy mój ojciec napisze mi, żebym przyjechał. Minister odmawia mi paszportów, nie mam zupełnie pieniędzy; jest fizyczną niemożliwością, bym się stąd ruszył. Ale nie tracę nadziei i modlę się do Boga. Modlę się, jedyna to moja ucieczka. Ojciec mój napisze mi wkrótce, żebym się udał do niego. Jest równie dobrym Polakiem, jak ktokolwiek w Polsce, i mężniejszy, niż ktokolwiek z nich. Tak, przyśle mi rozkaz powrotu, a wtedy pojadę.

Niemożliwem jest, by kto inny tak cierpiał, jak ja cierpię.

Nigdy nie opuszczam swego mieszkania, chyba tylko dla odwiedzenia Leach'a. Czytam, a raczej próbuję czytać w swoim samotnym pokoju. Moje oczy, bądź pełne łez, bądź wściekłością wysuszone, nie są w stanie śledzić za czarnemi literami na białym papierze. O, mój drogi Henryku, gdy wiosłowałem z Tobą po błękitnym Lemanie, gdy mówiłem o miłości, nadziei, o przyszłem szczęściu, nigdy nie przypuszczałem, że nadejdzie godzina, w której ujrzę sławę moją splamioną i honor mój stracony, i nie będę mógł zrobić najmniejszego wysiłku, by je odzyskać. Nigdy wówczas, gdy byłem szczęśliwy w miłości, gdy miałem częste przeczucia przyszłej chwały, nie przypuszczałem, że będę zmuszony śnić, gdy inni czuwają, pisać, gdy inni walczą, pić wino, gdy inni krew piją, pozostać w lochu podziemnym, gdy inni wznoszą się ku światłu i wolności. Kiedy opuściłem Genewę, przekleństwo niebios wygnało mię z Szwajcarii. Gdybym został w Genewie, połowa przeszkód, które mię powstrzymują teraz, niczem by dla mnie była. Miłosierny Boże, wejrzyj na mnie i spuść Swój pełen gniewu grom na głowę moją, nie w tak przygnębiający sposób jednak, lecz na polu bitwy, w bratnim szeregu, między grobami mych przodków, w mej własnej, drogiej ojczyźnie. Tam błagam o śmierć, gdy widzieć będę jasną zorzę wolności poprzez ciemne opary męki konania, krzycząc: „Bóg i śmierć wrogom!". Co moi przyjaciele, co sama H. pomyśli o mnie? Henryku, Henryku, jestem zaprawdę nieszczęśliwy, nędzny i nieszczęśliwy. Los tak zły, jak mój, rzadko się zdarza na ziemi.

Lecz powiedziano, że człowiek nigdy nie powinien zwątpić w opiekę nieba, gdyż Pan jest nad nim: i może za kilka tygodni skończą się moje cierpienia. Wyobraź mnie sobie, gdy wsiadam na swego konia, gdy go spinam, by rzucić się naprzód w szeregi wrogów, gdy wracam okryty chwałą, albo padam nieznany, niezauważony przez nikogo, przebity tysiącem mieczy, ale zawsze wierny wspomnieniom swoich przyjaciół i przyjaciół swojej ukochanej. Harry, ja kocham, kocham ją jeszcze, moją H.!

Sprzeczne uczucia napełniają moją duszę i mogą mię doprowadzić do szaleństw mordercy i wołania, jak Hamlet w chwili, gdy będę pozbawiał innych życia: „Dukat za szczura!". Odwiedziłeś mój samotny pokój, z którego tak często spoglądałem na słońce zachodzące, między szczytami gór jurajskich i na port w Ecluse. Tam widziałem ją po raz ostatni. Ach, wtedy wszystko było radością, nadzieją, pięknością! Było to w porze wiosennej i, gdy powóz jej wjeżdżał między góry, kwitnące drzewa pochylały nad nim swe gałęzie i roniły wokoło pachnącą rosę. Byłem wtedy szczęśliwy, choć smutny. Byłem

szczęśliwy, że mogłem mówić z nią, że czytałem z jej bladawego czoła smutek, który czuła, opuszczając mnie, że spostrzegałem nagle w jej oczach spojrzenia, pełne miłości, błyskawice dla serca kochanka. Ach, był to dzień rozkoszny! Byłem wtedy tak młody! Teraz wydaje mi się, że jestem stary i że wiele lat przeszło od tej godziny miłości. Niech będzie błogosławiona i szczęśliwa! Niech życie, które jest dla mnie ciemnym i ciężkim zmrokiem, będzie dla niej dniem słonecznym! Niech tak będzie dla was, moi przyjaciele, którzy mię kochacie, i dla Ciebie, mój przyjacielu, mój Henryku, który mię tak bardzo kochasz! Zamoyski jest szlachetny i silny sercem. Niech Bóg mu da powodzenie! Jeśli go spotkam, o ile go spotkam, skłonię się przed nim. W tem, co piszę, a może być i w mojej duszy, dużo jest poetycznego uczucia, — on ma to uczucie w czynie. Przyślij mi, proszę Cię, trochę nowych wierszy.

Pisz do mnie w dalszym ciągu do Rzymu, lecz nie pod adresem Torlonii, ale *poste restante*. Teraz, gdy kończę ten list, nawiedziło mię nagle natchnienie, podobne potężnemu zaklęciu czarodziejskiemu, i zmusza mnie do powiedzenia Ci, drogi Henryku, że jestem jeszcze, jak niegdyś, śmiały i pełen namiętności. Życie moje nie jest skończone, siły moje nie rozpłynęły się we łzach lub westchnieniach, miłość do ojczyzny jeszcze ciągle płonie dumnie w mojem sercu. Miłość moja do niej jest jeszcze ta sama, co dawniej. Z takiemi uczuciami wejdę w szranki, zdobędę powodzenie i w końcu zyskam sobie imię lub stracę wszystko i nie powstanę więcej. Ale w niebie, gdzie rządzi Miłość i Wolność, spotkamy się wszyscy i łzy nasze na tym świecie wydadzą się wówczas zimną rosą wieczorną. Odpisz jak najprędzej!

Żegnaj! Twój do śmierci wierny

Zyg. Kras.

Najserdeczniejsze ukłony dla Twojej Matki.

Ukłony dla Revilliod. Leach dziękuje bardzo za pamięć. Patrz, jaka niepewność panuje w sprawach ludzkich! Gdy się żegnałem z Zamoyskim w Versoix, spodziewałem się, że go spotkam w Polsce, byłem tego pewien. A teraz może go nigdy więcej nie zobaczę. Może zginie, zanim przyjadę. Zwróć na to uwagę, Henryku, i skłoń się przed Panem, bo głupiec tylko ufa i spodziewa się na tym świecie. Jeśli napiszesz do Augusta, uściskaj go mocno ode mnie i powiedz mu, że nigdy nie wypadnie mi z pamięci.

II. DO HENRYKA REEVE'A

20 lutego, Florencja 1831

Twój ostatni list przybył do Rzymu w chwili, gdy wieczne miasto w dziwnem znajdowało się położeniu.

Od schodów Watykanu aż do rozsypujących się w proch ruin pałacu cezarów Strach i Oczekiwanie przechodziły, natrząsając się, między ludźmi. Przerwano wesoły karnawał. Nowo obrany papież usunął się do oddalonych komnat swego pałacu i w nich się zamknął. Żołnierze maszerowali tam i z powrotem. Obywatele, trupio bladzi, zamykali sklepy i wyglądali trwożliwie z wpółprzymkniętych okien. Wszyscy oczekiwali wypadków, tak pospolitych w naszym wieku, ale wypadki te nie następowały. Wiesz, że Włosi są spodleni i najzdolniejsi ze wszystkich narodów do odczuwania szlachetnego uczucia strachu. Stąd jasnem było, że chociaż wszędzie panował spokój, przedwcześnie obawiali się niebezpieczeństwa i zaczynali drżeć ze strachu przed rykiem burzy, mówiąc, że, co prawda burza jeszcze daleko od Rzymu, ale że zbliża się doń codziennie od strony Bolonii. W tych okolicznościach papież i kardynałowie nie umieli znaleźć innej drogi ratunku prócz podniecenia transtewerańczyków[37], najokrutniejszego ludu we Włoszech, i skłonienia ich do obrony swej sprawy. I transtewerańczycy, znęceni nadzieją mordu i rabunku przyrzekli, zakasawszy rękawy, bronić rządu swemi sztyletami. Wielkie i ogólne zamieszanie panowało wówczas w Rzymie, kiedyśmy usłyszeli, że transtewerańczycy wołali do przejeżdżającego w powozie papieża: „Nie bój się, ojcze święty, jesteśmy trans-

[37] *transtewerańczycy* (z wł.) — mieszkańcy obszarów „za Tybrem". [przypis redakcyjny]

tewerańczycy!". Znajduję coś niezmiernie poetycznego w tych kilku słowach. Następnie Jakubowski, który nie jest skrojony na zbyt bohaterską miarę, przyszedł do mnie i prosił, żebyśmy wyjechali. Zrobiłem wszystko, co było w mej mocy, by pozostać w Rzymie, gdyż rodzina Ankwiczów, którą widziałeś w Genewie, bawiła tam wtedy, a ponieważ bardzo byli uprzejmi dla mnie, uważałem za tchórzostwo uciekać przed niebezpieczeństwem, pozostawiając biedne kobiety same i bez pomocy. Przez tydzień traktowałem z pogardą strach, prośby i próby wyjazdu Jakubowskiego i dokładałem starań, by pocieszać tę rodzinę, ale następnie Polacy z Królestwa Polskiego odebrali rozkaz opuszczenia Rzymu. Ponieważ wyszedł od ambasadora, nie było sposobu opierać się dłużej. Leach wyjechał na dwa dni przede mną. Pojechałem za nim w towarzystwie kilku Polaków, a teraz piszę we Florencji koło okna, wychodzącego na Arno. Kampania Rzymska pokryta jest rozbójnikami, a Rzym znajduje się w najstraszniejszem niebezpieczeństwie. Papież posiada moc ducha, jak mi mówiono, ale rząd jego jest bliski upadku. Armia Bolończyków zbliża się ku bramom Rzymu, znaczna część Rzymian połączy się z nimi. Taki jest obecny stan wielkiego miasta, a tam znajduje się Mickiewicz. Nie obawiam się o niego. Wielcy mężowie mają swoje gwiazdy na niebie. Nie wiem, co zrobię. Nie mam wiadomości ani od swego ojca, ani od swych przyjaciół w Polsce.

Przeciwności losu mego rozpoczęły się dla mnie w dwudziestym roku mego życia. Wczoraj skończyłem lat dziewiętnaście. Właśnie rok minął, gdy rozpocząłem u Fabure'a starać się o względy tej, która dużo cierpiała, bo wielkie miała nadzieje. Masz słuszność, Reeve, Twój ostatni list jest okrutny[38], przypomniałeś mi rzecz, ku wiecznemu memu wstydowi, prawdziwą. Ale patrz, jak Bóg karze; przez to właśnie, czem zgrzeszyłem, jestem upokorzony. Powiedziałem swej ukochanej kłamstwo, a gdy to kłamstwo moich ust stało się rzeczywistością ramion stu tysięcy ludzi, nie mogę dalej grać tej roli. Gdy nadeszła chwila odpokutowania za uwiedzenie, nie mogę go odkupić i kłamstwo całym ciężarem hańby spada na moje serce. Zawsze dzieje się jednako, tak z poszczególnymi ludźmi, jak i z narodem. To właśnie karze ich, czem grzeszyli. Lecz każda kara ma swój kres, a gdy przejdzie, znowu się jest sobą. Ale zdajesz się sądzić, że chcę oszukać Cię kłamliwemi słowy. Mylisz się, Reeve. Gdy pisałem do Ciebie, byłem jakby w malignie, w pomieszaniu zmysłów, trawiony gorączką, nieszczęśliwy, ze złamanem sercem. O Henryku, Henryku, przeklęty niech będzie dzień, który widział narodziny moje, a błogosławiony niech będzie dzień, który ujrzy śmierć moją.

Zobaczysz wkrótce Leacha w Genewie. Wyjeżdża stąd jutro. Od dwu miesięcy nie mam żadnych wiadomości od H. Wszystkie nieszczęścia naraz spadają na mnie.

Wiersze Twoje są ładne, ale znajduję, że nie mają dość mocy; czuć w nich wpływ Twojej apatii. Zbudź się, zbudź, młody poeto! Pozostaw innym senną obojętność, a Ty wróć do zapędów namiętności!

Nie pisz do mnie do Florencji. Nie wiem, ile dni tu zostanę, ale niedługo. Nie odpowiadaj mi, póki nie odbierzesz następnego listu ode mnie.

Poznałem z Twego ostatniego listu, że straciłem w oczach swego przyjaciela. Dzięki za Twoją szczerość. Lecz nie byłeś nigdy w mojem położeniu i nie możesz ocenić wpływu wypadków na mnie, trosk codziennych, braku nadziei i gwałtownych poruszeń mej duszy. Gdy ktoś czuje, że pasmo jego nieszczęść się rozpoczęło, musi wszystko znieść z rezygnacją, uzbroić się w czynną odwagę, by rzucić się na przeszkody, i w odwagę bierną, by znieść wszystkie męki, spodziewać się drwin od ludzi, wyrzutów od przyjaciół i obelg od rodu ludzkiego, który tak lubi miotać obelgi. Jednem słowem, trzeba opasać biodra i wymawiać co chwilę imię boże, bo ziemia wtedy mało tylko daje pociechy. Kto

[38] *Twój ostatni list jest okrutny* — mowa o następujących ustępach listu Reeve'a z dnia 5-go lutego 1831 r.: „Cierpieć dla opinii i dla sławy, to znaczy drogo kupować towar mało użyteczny. Lecz tu dotykam zasadniczej różnicy między nami. Chcę tylko dodać, że, jak mi się zdaje, więcej dobrego uczyniłbyś ojczyźnie i ludzkości, gdybyś chciał mniej dobrego czynić samemu sobie. Jest mi trudno napisać Ci szczegółowo, co sadzę, żeś uczynić powinien. Lecz nie trać z oczu swego prawdziwego celu, Polski. Zbliż się do niej na tyle, na ile tylko będziesz mógł. Jeśli Ci mam radzić, radziłbym Włochy opuścić, skoro tylko będziesz mógł. Zbyt mało dałem Ci szczegółów o Zamoyskim w liście wczorajszym: wiemy teraz, że podróżował z Walewskim, jako jego służący, że uwięziono ich we Frankfurcie i może odesłano do Berlina. Nie wiem, co uczyni. Nie jest wykluczone, że tu powróci, jeżeli nie znajdzie możliwości przejazdu. Przypuszczam, że uważa się za wyzwolonego spod władzy ojcowskiej, zważywszy, że ojciec jego schronił się do Petersburga, a synowie pozostali, żeby podtrzymać imię i sławę imienia Zamoyskich...". [przypis redakcyjny]

ją za cel uważa, jest zgubiony, padnie wcześniej lub później; ale, jeśli widzieć w niej jedynie środek, niebezpieczne przejście, które pięknie jest przejść zwycięsko, wtedy jeszcze można znaleźć pociechę i wieczność ukazuje się jak niebo błękitne nad rumowiskami tej doliny łez. Umysł mój stał się nieco ponury; pisuję jeszcze czasami, ale wówczas prawie zawsze są to wariacje na temat jakiejś starej legendy, której wątkiem jest walka człowieka z odwiecznym wrogiem rodzaju ludzkiego.

Zacząłem czytać biblię po angielsku. Wspaniałe! *Manfred* również stał się moim ulubieńcem. Gdy świat nas odrzuca, musimy szukać czegoś ponad nim, a ja zawsze kochałem świat duchów. Może kiedyś, gdy usłyszysz: „Umarł", nie będziesz myślał o mnie tego, coś myślał, pisząc swój ostatni list do mnie. List ten wbił się w moje serce; mówiłeś sztyletami. Pozwoliłeś sobie na gorzkie drwiny z człowieka, który jest Twoim najlepszym przyjacielem. Nie kocham Cię za to mniej, drogi Henryku, ale wiesz, że nigdy nie ukrywam swych uczuć.

Jaki diabeł przyniósł C. tylu konkurentów? Jakiś Rosjanin, niechaj go piekło pochłonie, następnie coś z rodzaju bardzo, bardzo brzydkiego, ale dowcipnego, wreszcie Hubert, jak zawsze — a Ty patrzysz na to wszystko z zupełnym spokojem. Nie rozumiem, jak dusza Twoja z tego radować się może. Gdy się znów zobaczymy, pomówimy o tem długo.

Masz słuszność, wspomnienia są czemś rozkosznem. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym nie miał wspomnień. Lecz, jeśli spleen mój dosięga szczytu, przenoszę się do swego ogrodu nad brzegiem Lemanu i jestem szczęśliwy, Henryku, bo jedyny to obraz, który mi łzy wyciska, a łzy, to niebiańskie szczęście! Sądzę, że aniołowie płaczą wiecznie z tkliwej miłości.

Przed opuszczeniem Rzymu byłem w ruinach pałacu cezarów i znalazłem tam kawałek starego, żółtego marmuru, z którego kazałem Ci zrobić sztylet.

Twojej matce moje uszanowanie. Jack[39], każe Ci się kłaniać. Żegnaj, żegnaj!

Twój do śmierci

Zyg. Kras.

Może zobaczymy się wkrótce.

12. DO HENRYKA REEVE'A

4 kwietnia 1831

Mój kochany Henryku!

Zdaje mi się, żeś jeszcze z Genewy nie wyjechał; lecz to nic nie szkodzi, zaczynam swój list, ponieważ już Cię nie zobaczę, zanim wsiądziesz do dyliżansu. A więc słuchaj! Przyłożyłem właśnie wizykatorię[40]; leży na mej piersi łagodnie, jak włosy kochanki, jest w niej nawet coś miękkiego — lecz to tylko początek, wkrótce poznam, co znaczy ból. A pogoda jest tak wspaniała, niebo jest tak błękitne i ja nie będę mógł jeździć po jeziorze! Trzeba będzie w pokoju zostać i może nawet nie będę mógł dziś dojrzeć Szkieletu, Karlicy i Kuli i wpatrywać się w nie. Lecz na ten świat zostaliśmy rzuceni, by cierpieć, przechodzimy przezeń cierpiąc i jeśli coś nas z tą kulą ziemską wiąże, to właśnie cierpienie. Kocham ziemię tak, jakbym kochał cmentarz rozległy, na którym dokoła grobów rosną kwiaty i drzewa, na którym gdzieniegdzie stoją czarne krzyże wśród akacyj i topoli, na którym trawnik jest bardzo zielony, świeżość bardzo miła, a bardzo rozdzierające wspomnienia.

Obraz świata, Cmentarz, Cierpienie

[39] *Jack* — Jakubowski. [przypis redakcyjny]

[40] *wizykatoria* właśc. *wezykatoria* — plaster sporządzony z kantarydyny (toksycznej wydzieliny chrząszczy z rodziny oleicowatych), wywołujący pęcherze na skórze, używany daw. jako środek leczniczy, ze względu na działanie pobudzające na zakończenia nerwowe; kantydrynę stosowano także jako afrodyzjak, środek na pobudzenie erekcji. [przypis edytorski]

Oto dźwięk trąbki rozlega się na placu Molard. To przechodzą żołnierze. Łzy wściekłości zwilżają mi oczy. Czyż to na Molard powinienem słyszeć szarżę i oglądać blask bagnetów? Liściem jestem słabym i zmiętym, rozbiłem się niezbyt podniosłym wzlotem. Wiatr mnie uniósł, ruiny zatrzymały, a później znów uniosły wiatry. Raz kołysany w pajęczej sieci, to znów schwytany przez ciernie, zeschłem w słabem tchnieniu olbrzymiego huraganu, który dochodzi aż do mnie z bardzo daleka. Trąba powietrzna nie mogła mnie rozedrzeć, lecz zniszczył mnie wicher północny; a potem znasz przecież proszek żółty, lekki, lotny, który w jesieni wytwarzają liście skręcone i rozsypane. Zapisuję Ci się w darze, byś zrobił ze mnie proszek do listu. Jeśli kiedyś w myśli napiszesz imię Henriety, weź ten proszek, by je wysuszyć. Bredzę, przyjacielu. Lecz dozwolonem jest, by bredził ten, który na tym świecie nic nie zrobił. Jakżesz nędznym musi być los człowieka, który, otoczony pożarami, wojnami, morderstwami i rewolucjami, nic nie zrobił! Jestem dotychczas na oceanie marynarzem, który od chwili opuszczenia portu napotyka tylko zgubną ciszę i na sążeń nie posunął się naprzód. „Szczęśliwy, powiedzą ludzie, nie naraża się na niebezpieczeństwo, jak ci, co burzy stawiają czoło". Tak, lecz czyż w oczach Twoich nie ma znaczenia ta apatia, która w odrętwienie wprawia mózg i pustoszy serce, jakby była rozpaczą? Czyż nie mają znaczenia dla Ciebie palące promienie, które padają prosto na głowę i spalają łono, jednostajność, która otacza go, jak ohydne skręty uśpionego węża, niecierpliwość, którą musi wtłoczyć z powrotem w swą duszę? Daj jej jakieś ujście, a posłuży mu za skrzydła do wzlotu, lecz w nim skuta jest już ołowiem, wiecznym na sercu ołowiem. A białe żagle, opadające bezwładnie, i liny, opuszczające się dokoła niego! A ogromny kadłub okrętu, nieruchomy, ciężki, nie kołyszący się, zawsze stojący na kotwicy, zawsze, zarówno w nocy, jak i we dnie, tak wczoraj, jak i jutro! Daj mu chmury, by je wyzywał, i błyskawice, by je podziwiał, i piorun, by z nim walczył, a wtedy kołysać się będzie, radosny, jak dziecię, na rozhukanych wodach!!

Moja wizykatoria staje się z każdą chwilą bardziej drażniącą, posuwa impertynencję aż do utrudniania mi oddechu. Lecz piszmy dalej!

Już nie wiem, co Ci napisać więcej. Tu koniec mego natchnienia. Więc będę, jak zwykle, trochę o Niej pisał. Lecz cóż powiedzieć znowu? Spróbujmy!... Jedynym moim celem jest dać nowy obraz. A zresztą czuję potrzebę pisania jej imienia. — Henrieto, Henrieto, Henrieto, Henrieto! Czy pamiętasz dziewczynę młodą, żywą, ładną, lekką w tańcu i gonitwie, szybką w swych odpowiedziach, niecierpliwą w żądaniach, ozdobę salonu w dzień balu, zawadę w dzień wistowego wieczoru, świeżą jak kwiecień, z wiecznym uśmiechem na ustach, z radością w oczach, szydzącą ze śmiesznostek, nie przebaczającą nikomu, że się urodził w 17..., a jednak zarazem jakżeż dobrą, uprzejmą, słodką i pełną godności, gdy tego zachodziła potrzeba? Czyż ją pamiętasz? Widzieliśmy ją obaj na wiosnę. Stałeś, gdy przechodziła, ja zaś padłem na kolana i zatrzymałem ją w swawolnym biegu. Goniła zapewne motyla, a spotkała węża. Rozwijałem przed nią skręty swej imaginacji, o błyszczących łuskach, pełzałem u jej kolan, lecz żądłem dosięgłem jej serca i jad mój zatruł uśmiech na jej ustach. Spadł z jej warg, jak płatek róży, nakłuty przez owad. I od tego czasu już się nigdy nie uśmiecha. Czy znasz tę smutną dziewczynę, która w domu swego ojca z przygnębieniem odpowiada na pytanie, nie zapytuje o nic, najzupełniej pozbawiona ciekawości, zaniedbana w stroju, stara się zapomnieć o wdzięku swej młodości, unika spojrzeń, zmienia ciągle przedmiot rozmowy i nigdy nie może znaleźć tego, który by jej odpowiadał — kocha muzykę, a gra rzadko, kocha kwiaty, a kwiatów nigdy nie zbiera. Jedzie stępa na koniu, potem nagle puszcza się pędem, by tak samo nagle się zatrzymać. Czytuje wiersze, częściej płacze, niż mówi, niż czyta, niż śpiewa, jak gdyby każda z jej myśli, zamiast w muzyce, w czynach i słowach się wyrażać, roztapiała się we łzach. Modli się do Boga z goryczą w sercu i obawia się zarazem, by jej modlitwy nie zostały wysłuchane. Roztargniona ponad wszelką miarę, patrząc na morze, mówi o łąkach, haftując kwiat, myśli o grobie, podaje ramię swemu bratu i mówi do niego, jak do obcego. Może u boku obcego mówiłaby do niego, jak do brata. Czy znasz tę dziewczynę? Widząc ją, nie powiedziałbyś nigdy, że była niegdyś bez obaw, bez kłopotów, jak ptak niebieski, bez troski, bez wyrzutów sumienia, jak nowo narodzone dziecię, i świeża, jak źródło na lodowcach, i szczęśliwa, jak poeta w chwilach natchnienia. Rzekłbyś, że nieszczęście szło za nią od kołyski. Wśród łez się zrodziła, w dzieciństwie już same przeżywała troski, w młodości nic prócz cierpień nie zaznała. Nie miała nigdy przyjaciół, by ją pocieszali, nigdy kochan-

ka, który by jej ręką niebo z dołu wskazał. Była kwiatem, zeschłym przed rozkwitem, a zasłona, która zakrywała przed nią rozkosze świata, nie jest jeszcze rozerwana.

A więc nie! Była piękna, kochana, ubóstwiana, miała chwile, w których czuła, co to porywy namiętności, miała rzeczywistość szczęścia, a po niej płomienne marzenia. Słyszała z niejednych ust pochwały. Czuła się królową na ziemi.

I dlaczegoż nie jest już tem, czem była w swych najpiękniejszych dniach? Zbyt łatwo uwierzyła i została oszukaną.

Nic mi nie pozostaje innego, jak tylko imię swe pod tem podpisać. Pisałem list ten tylko dlatego, by Ci pokazać w Brigue, że myślę o Tobie w Genewie. Wracaj prędko! Wypada mi z ręki pióro. Zaczynam okropnie cierpieć. Ukłony dla Aleksandra i Alojzego Lombardów. Bądź zdrów, kochany!

Pali mnie; zaprawdę, to rozżarzony węgiel!

Zyg. Krasiński.

13. DO OJCA

1831. Genewa, 14 maja

Kochany Ojcze!

14 maja odebrałem w Genewie list kochanego Papy i oblałem go mojemi łzami — w niepewności dotąd czekałem co dzień na wiadomości od Niego i, co dzień omylony w nadziei, smutniałem bardziej.

Dzięki Bogu, żem wyszedł z tego stanu niepewności. Pyta mnie się Kochany Papa, com robił od 16 decembra. Ten czas przeszedł mi na ciągłej gorączce, na ciągłem oczekiwaniu, na ciągłych boleściach wszelkiego rodzaju.

Rzym, Florencja, Genewa, Mediolan przeszły mi przed oczyma, jak kartki książki, którą się czyta, nie myśląc o niej. Myślałem wciąż o drogiej Polsce i o drogim Ojcu. 25 marca przyjechałem z p. Jakubowskim do Genewy i odtąd tu przebywam, czekając zawsze na listy od Papy.

Teraz, kiedy ten list nadszedł, kiedy w nim czytam wyrażoną wolę Papy, będę prosił o posłuchanie, o uwagę, o pobłażanie synowi, o miłosierdzie, miłość i błogosławieństwo.

Nie może wątpić Kochany Papa, że Go kocham więcej od wszystkich ludzi, żem gotów dla Niego poświęcić wszystkie związki, czego Mu dowód dałem przeszłego roku — ale też nie wątpi mój ojciec, żem jest jego synem, wnukiem biskupa Adama i Polakiem. Pisałem w liście do Królewca do Papy, że nienawidzę ludzi, którzy przeciw Niemu powstali w Warszawie, alem pisał zarazem, że kocham Polskę i że, kiedy Jej sprawa narodową się stanie, nic mnie wstrzymać nie zdoła.

To samo powtarzam dzisiaj.

Nasz wiek jest wiekiem poświęceń i pokuty.

Ofiarę z siebie uczynić jest obowiązkiem świętym, od Boga nakazanym. Odpadły z moich oczu wszystkie złudzenia młodości — nadzieje dni świetnych ziemskiego szczęścia. Nigdy szczęśliwym się nie czułem, od kiedy zapamiętam, że żyję — nie byłem szczęśliwym w kochaniu, w tem, co szczęście młodości dla innych do najwyższego stopnia podnosi, i nadal też sobie żadnego szczęścia nie wróżę, nie rokuję. Wiem również, że chwała, wyżebrana u ludzi, kończy się na krzykach kilku, a potem na niczem. Dawniej marzyłem o niej, teraz już jej sobie nie obiecuję; ale tkwi mi w głębi duszy, żem powinien dokonać świętego obowiązku, od którego nikt na ziemi uwolnić mnie nie może. Są takie obowiązki na świecie, które jedne tylko środkują między stworzeniem a Stwórcą, nie przypuszczając między nich trzeciej osoby. Takim obowiązkiem jest służenie Ojczyźnie.

Drogi Papa mi pisze, bym podróżował, uczył się, kształcił i bywał po towarzystwach. Trudno by to przyszło mi do wykonania w stanie, w którym jestem. Cierpienia wjadły się głęboko w moje serce; nieprzerwaną mam gorączkę; czasem czuję, że mi się mózg przewraca; dni moich i nocy nikomu nie życzę. Czytać, pisać mi nie sposób; ledwo dokończyć mogę zaczętej rozmowy.

A potem, podróżować, włóczyć się między cudzoziemców, kiedy w tamtej stronie Europy mój ojciec nieszczęściami przywalony — moja babka w smutku lat ostatka dociąga — a moi rodacy walczą, by zginąć lub zwyciężyć — jest rzeczą nie tylko niepodobną do uskutecznienia, ale wywołującą co chwila rumieniec wstydu na moje lica.

I któż ze mną zechce pomówić? Kto rękę ścisnąć? Kto się zapoznać, kiedy się dowie, żem Polak, podróżujący dla zabawy i nauki w czasie, kiedy Polacy co dzień giną w Polsce! Takiego stanu znieść nie mogę. Cząstkami umieram co dzień. Przez Boga! Lepiej by było od razu umrzeć i nie męczyć się tyle!

Powstanie, Podróż

Ale to są przyczyny mniej więcej egoistyczne — bo można zrobić ofiarę z siebie i wstyd znosić przez poświęcenie. Takiej ofiary podjąć się jestem gotów, choć wiem, co by z niej po kilku miesiącach wynikło: śmierć lub szaleństwo. Lecz nie o to idzie. Wracam teraz do tego, com wzwyż powiedział, do obowiązku świętego, który góruje nad wszystkiemi inszemi i który mnie woła do Polski, między szeregi moich braci.

Teraz nadchodzi dla mnie uroczysta chwila. Zmuszony jestem powiedzieć ojcu, którego kocham i kochałem zawsze nade wszystko, że pójdę przeciw jego woli, że będę się starał do Polski wrócić, że to jedynym od dzisiaj staje się celem wszystkich moich myśli i działań.

Ojcze drogi! Niechaj Bóg mnie sądzi, a Ty nie odmów mi swojego błogosławieństwa!

Pan Jakubowski, któremu to oświadczyłem, powiedział mi, że wszystkiemi sposobami będzie starał się mnie zatrzymać. Szanuję go tem bardziej, bo pełni swój obowiązek — muszę więc wejść w walkę z człowiekiem, który od dwóch lat daje mi dowody przywiązania. Los mój pełen jest goryczy, ale w Bogu ufam; On omylić nie może, bo ma całą wieczność za wydział swej sprawiedliwości.

W tych dniach będę się starał dostać do Paryża, a stamtąd jak najprędzej do Warszawy. Z każdego miejsca, z którego będę mógł, będę pisał do Papy.

Stało się! Czuję jeszcze na twarzy łzy Ojca, żegnającego mnie w Błoniu, serce moje rozdarte ze wszech stron — gdzie się tylko obejrzę, widzę przyszłość czarną.

Jakże mam ten list zakończyć? Cóż mam powiedzieć dalej? Dziwno, że mi pióro nie wypada z ręki!

Na kolanach błagam, wspominając obraz matki mojej, której śmierć po dziesiąty raz obchodziłem miesiąc temu w Genewie, błagam mego Ojca o przebaczenie i błogosławieństwo. — Cierpienia, które sprawię jeszcze, odbiją się w mojej duszy — już ich ciężar dźwigam na sumieniu.

Źle mi jest, o, źle! Kiedy wspominam na Ojca, drżę cały i cofam się przed przedsięwzięciem.

Ale kiedy Polska mi na myśli staje, znowu sił mi przybywa, znowu przypominam sobie, że dzieckiem nieraz przysięgałem przed drogim Papą, że ją zawsze, zawsze kochać będę.

Dotrzymam przysięgi. Błagam o przebaczenie i błogosławieństwo — Bóg w nieskończonem miłosierdziu dozwoli, bym kiedyś to błogosławieństwo u stóp Ojca odebrał.

Ojcze drogi, nie odwróć lica od syna! Wierzę mocno, że robię to, com powinien. Przebacz mi! Ten, co na krzyżu umierał, w chwili zgonu przebaczył mordercom. Proszę o przebaczenie i błogosławieństwo, a niech wielki cień biskupa Adama nade mną skrzydła swej opieki rozciągnie!

Zygmunt Krasiński.

15 maja. Pan Jakubowski zamknął mi wszystkie drogi do wyjazdu...

14. DO HENRYKA REEVE'A

Genewa, 20 maja 1830

18 maja. Wróciłem pieszo z Saint-Cergues. Zmordowany, rozbity ze zmęczenia, poszedłem do swego pokoju. Widziałem się z Mickiewiczem i Jakubowskim. Zjadłem obiad, piłem. Byłem podniecony, miałem trochę gorączki, rzuciłem się na łóżko, — to

mi dobrze zrobiło; wyciągnąłem się z rozkoszą zmęczenia i zapadłem w głęboki sen. Przed mojemi oczyma przesunęły się wasze twarze, Twoja i Henriety. — Sny miałem mętne, przerywane, bez łączności, a jednak z sobą powiązane. Obudziwszy się, byłem jeszcze na wpół pogrążony w sennem marzeniu i powiedziałem sobie: Oto Reeve stąpa całym swoim ciężarem po mojem sercu. „Henrieto, Henryku, gdzie jesteście? — zawołałem. Gdzież są ci wszyscy, których kochałem?" Od 13 kwietnia zeszłego roku, żadne rozstanie tyle mię nie kosztowało. Ujście Rodanu — potem Saint-Cergues. Oddałem Twoje bileciki.

Zamoyski zabił własną ręką trzech kozaków, którzy chcieli wziąć do niewoli jego pułkownika, i natychmiast został mianowany oficerem. Niech go Bóg błogosławi! Gdy byłem z nim razem, nieraz jednak myślałem, że, jeśli przyjdzie nam imię sobie zdobywać, to ja pierwszy je zdobędę. Myliłem się. Bóg ukarał moją zarozumiałość. Klustine ma się bardzo źle. Dyliżans przeszedł mu przez nogę. Jutro mają mu odjąć wielki palec, już objęty przez gangrenę. Biedny chłopiec! Chciałem dziś jeszcze pisać do Ciebie, by być w jak najściślejszej z Tobą łączności, choć nie jesteś już przy mnie. Dobrej nocy! Padam z senności i znużenia.

19 maja. Wstałem dziś rano jak człowiek, który wstał, by rozpocząć dzień pełen goryczy. Brak mi Ciebie, brak mi Ciebie w całej dobroci Twego serca i w całej rozległości Twego umysłu. I do kogóż teraz pójdę, by ufnie troski swoje powierzyć? Komuż będę mówił o nieśmiertelności, o Bogu, o wieczności? W obydwie ręce ujmę wyrywającą się duszę moją i wtłoczę ją z powrotem, aż do głębi mej piersi. I czem są dla mnie te istoty, przesuwające się przede mną tam i z powrotem? Zaprawdę, gdy się rozejrzę, nie widzę poza Ladarsami nikogo, z kim by mówić można. Oni wiedzą przynajmniej dokładnie, co to barka i żagle. Lecz, wiesz, dziwne mam przeczucie, że Henrieta przyjedzie. Nie wiem, skąd ono przyszło, by siąść na mem sercu, jak ptak obietnicy, lecz mam je i już mię nie opuszcza. A więc będę je żywić, podsycać, powiększać całą mocą mej wyobraźni, bo to jednak jest jeszcze coś: marzyć, okłamywać samego siebie i stopniowo powoli dochodzić do obłędu. Gdy się rozstawałem z H., miałem oparcie w sile mej namiętności. Przedmiot, który nadał pęd mej duszy, znikał w rzeczywistości, lecz pęd był silny i dusza moja drgała od odurzenia, skoro i dziś drga jeszcze. Zresztą było to we wiośnie mego życia. Dostrzegałem wprawdzie w oddali chmury, ich kształty przepowiadały mi wojnę, kłopoty, walkę, zarazę i nieszczęście. Lecz dostrzec nie mogłem tej chmury, która nagle z fałdów burzy się wyłoniła. Jest czarną i siną, jak ów obłok w *Farysie*, postępuje naprzód wolno, ale pewnie, rozsyła dokoła daleko idące białawe siatki, któremi obejmuje niebo, szerokie pasy mgły zstępują z jej brzegów ku ziemi, nie oślepia mocą błyskawic, uderzeniem jasnego piorunu nie miażdży; zdaje się spać, a jednak posuwa się naprzód, niema, ciężka, ohydna, by zadławić i zadusić — i zadusi. To jest chmura wstydu. Rok już minął, gdy, rozłączając się z H., nie myślałem o tem wcale, i oto dlaczego, tracąc Tę, którą ubóstwiałem, nie traciłem wcale mych sił. Lecz dziś odjazd Twój zupełnie mię przygnębił, gdyż zostawiłeś mnie nie tak, jak ona, w pełni zapału, lecz w rozpaczy, nie potężnego nadzieją, złudzeniami i chwałą, lecz słabego, walczącego jeszcze trochę, jak człowiek, już wpół utopiony, bez pociechy, bez nadziei, samotnego w „spelunce ludzi przyzwoitych", samotnego wśród wszystkich, przez samego siebie opuszczonego, gdyż już nie chcę zadawać sobie trudu, by się podnieść. Cóż za wiek! Cóż za świat! I jakżeż nędzną istotą jest ten, który te słowa do Ciebie pisze! Twój odjazd, Henryku, dobił mię. Oby stał się dla Ciebie początkiem olśniewającej przyszłości! Mam nadzieję, że któregoś dnia, chwałą okryty, nie zapomnisz jednak o tym, który, zgięty pod ciężarem wstydu, pozostał w cieniu.

19 maja wieczorem. Wróciłem właśnie z jeziora. Zdarzyło mi się coś dziwnego. Przejeżdżałem Eaux-Vives, koło Paquis, żeby odprowadzić Mickiewicza do Klustine'a, popchnąłem łódź nieco dalej, ażeby zobaczyć „altanę mojej ukochanej". Okropna burza szła spoza Salève. Myślałem, że zdążę wrócić do Eaux-Vives, gdyż pomruki grzmotów były dalekie, lecz omyliłem się. Na środku jeziora zaskoczyła mię burza. Z szybkością tak wielką, do jakiej tylko byłem zdolny, dotarłem prosto do drugiego brzegu i zawinąłem do małej przystani, bardzo smutnej i bardzo czarnej. Nie przypominam sobie wcale, bym ją widział kiedyś przedtem. Wyskoczyłem na brzeg i schroniłem się do pewnego rodzaju budynku, opustoszałego, z otwartemi drzwiami. Grzmiało straszliwie. Schwycił mię strach paniczny, jaki napada mię czasem, chociaż nie jestem z natury tchórzem. Wyobraź sobie, że, patrząc na jezioro, tak ponure tam, gdzie się znajdowałem, przypomniałem sobie sen,

Burza, Strach

o którym Ci mówiłem. Było to prawie to samo miejsce, te same chmury tam, naprzeciw, ten sam wygląd jeziora, ten sam grzmot, te same coraz bardziej zbliżające się błyskawice. Niewypowiedziany lęk schwycił mię za serce i ukląkłem, by wzywać Boga. Przepędziłem pół godziny, oczekując, że zginę od ognia niebieskiego. Co chwila na myśl mi przychodził przeklęty sen. Dziwne, że taki był przypadkowy zbieg snu z miejscem, w którem się znajdowałem, z kształtem chmur i burzą. W końcu, jak widzisz, nie zostałem starty w proch, choć przykre przeżyłem chwile. Jak dziwne bywają stany duszy! Teraz jestem w swoim pokoju, bardzo osłabiony, pot zimny spływa po mem czole. Burza przeszła, wrażenie zostało w duszy. A jednak, mój drogi, ja wcale nie jestem tchórzem.

20 maja. Widziałem Aleksandra Lombarda, który mi powiedział, że postara się zrobić dla Ciebie portret C. i przysłać Ci go, skoro tylko będzie miał czas na to. Rozmówiłem się z nim w sprawie włosów; powiedział mi, że to będzie trudne, lecz pomyśli o tem. Aleksander jest naprawdę dobrym chłopcem. Gdy się go bliżej zna, widzi się, że ma duszę, że dusza ta, chcąc się wydostać, dławi go, lecz że jest zrobiona z materiału, który drapie go w gardle i płucach, gdy rozwija tam swe fałdy.

Mickiewicz jedzie jutro do Paryża. Zobaczysz go tam z pewnością. Uczyń mi tę przyjemność i, jeśli możesz, pomów z nim trochę o mnie. Ciekaw jestem, co powie. Głęboko pogrążony jestem w spleenie, nie mogę pisać, natchnienia mi brak, nadziei brak, życia brak. Być pewnego rodzaju trupem, jedzącym, pijącym, śpiącym, jakież to piękne! Cholera-morbus czyni spustoszenia w Warszawie. Prawdopodobnie nie ujrzę już tych, których tam zostawiłem. Sam zostanę na ziemi. Jakże pociągająca perspektywa! Lecz musimy się poddać losowi i błogosławić imię Boże.

Od powrotu nie widziałem Bineta[41]. W Chateaubriandzie znalazłem rzecz doskonałą. Mówi on, że ludzie, których Bóg posyła, by ród ludzki pokarać, niewielkie tylko napotykają zapory i że w czasach, w których się ukazują, ludy i królowie są rażeni głupotą i nie ma ludzi genialnych, by stanęli im na drodze i dali opór ich pustoszeniu; oni zaś sami mało mają talentu, lecz wszystko im służy, nawet ich błędy i zbrodnie. Przeciwnie, wielki mąż, którego Bóg zsyła dla zbawienia ludzkości, jest zawsze wielkim geniuszem, lecz środki jego są słabe, zasoby żadne. Na każdym kroku napotyka okropne zapory. Walka jego jest długa, trudna i pełna poświęcenia. Oto są oznaki, przez które zbawca różni się od bicza bożego. Myśl tę cała historia potwierdza, i jest ona bardzo piękna. Lecz wicehrabia nie wyciąga z niej następującego wniosku: mianowicie, należy do porządku tego świata, że każdy człowiek, którego misją jest zbawiać i naprawiać, powtarza sobą męki i poświęcenia swego pierwowzoru, Zbawcy, który umarł na krzyżu, bo na tej ziemi nie ma nic wielkiego, pięknego, dobrego bez chrześcijańskiego poświęcenia, bez bólów i cierpień. Kto chce bronić narodu uciśnionego, powinien z góry sobie powiedzieć: „Weźmy żałobną szatę, krwią moją będzie splamiona, a gdy zmęczony siądę na drodze swojej, by odpocząć chwilkę, jedyną ochłodą będzie mi czara goryczy".

Mam nadzieję, że matka Twoja ma się dobrze i nie jest zbyt zmęczona podróżą. Bądź tak dobry i wyraź jej moje jak najszczersze uszanowanie.

A więc, Henryku, jestem sam, sam, sam, sam, sam, sam w Genewie! Można być zupełnie samotnym wśród ludzi, sunąć poprzez ulice ku jezioru, płynąć w łódce przez kilka godzin dziennie, potem wracać tą samą drogą do swego pokoju o purpurowych firankach. Tam palić pod wieczór przy blasku dwóch świec, męczyć się, jak w lochu, i, jak więzień, ręce mieć związane, chudnąć po trochu, jedząc jednakowoż ciastka od du Tilleula — jedyną to pociechą w tem życiu — podziwiać wszystkich ludzi, przechodzących przez Molard, ponieważ są wyższego wzrostu, zazdrościć losu księciu Hohenlohe-Oehringen, lordowi Eglinton, rozmawiać niekiedy ze starym, nie mniej jednak energicznym Jackym, liczyć z lękiem ostatnie tchnienia poezji, zamierającej w łonie, rozprawiać czasem z pannami Revilliod o prawach i przeznaczeniu rodu ludzkiego, kłaniać się, przechodząc, p. Vistaz i brać lekcje dobrego tonu w jego sklepie, skakać w Paquis przez mur, najeżony potłuczonemi butelkami, mówić tonem wyższości z Izaakiem, synem Antoniego, otrzymywać na wieczory zaproszenia, któremi się ozdabia swoje lustro, pisać głupstwa, marzyć o szaleństwach i poddawać się miłej niepewności, czy skończę karierę swą szaleństwem, czy też zgłupieniem, to znaczy, czy stanę się zbiegiem z Bedlam, z błędnym wzrokiem,

[41] *Jan Binet* — genewianin, kolega Krasińskiego i Reeve'a na uniwersytecie genewskim. [przypis redakcyjny]

z pianą na ustach, ze zbolałem łonem i z myślami, zderzającemi się boleśnie w głowie, jak w furii, czy też nieszkodliwym obywatelem kawiarń i oberż, palącym spokojnie fajkę, podziwiającym kółka, które tworzy dym koło fajki, czytającym to tu, to tam anons o zapasach gimnastycznych, afisz teatralny, odezwę i pijącym lemoniadę w filiżankach od ponczu, schodzącym krok za krokiem do trumny sosnowej, ładnie polakierowanej i mocno zabitej, świeżej pierwszego dnia, zbrukanej gliną nazajutrz, zgniłej po sześciu tygodniach i stającej się prochem lotnym a cuchnącym po trzech miesiącach itd., itd.

Żegnaj, kocham Cię bardzo. Kochaj mię zawsze i pisuj do mnie!

Zygm. Kr.

Nic od H.! To męka, tortura! Choć udaję błazna, mam jeszcze serce, i serce to miłością ku niej płonie.

15. DO HENRYKA REEVE'A

Genewa, 26 maja 1831

Właśnie odebrałem Twój list i odpowiadam Ci natychmiast, ażeby Cię jeszcze złapać w Paryżu przed 31-ym. Dziękuję Ci bardzo, mój kochany, za Twoje wiersze. Jedyny zarzut, który im czynię, to ten, że pobudziły mię do płaczu i że czuję jeszcze łzy w oczach, przez nie wyciśnięte. To ostatnie porównanie do króla w Izraelu jest doskonałe. Lecz to czyni mię może stronnym sędzią, że je czuję tak głęboko, jak gdybym je sam napisał. Dzięki za nie! Może kiedyś będę powtarzał te wiersze, będę się ich uczył na pamięć i wtedy powiedzą: „Jest to wytwór wyobraźni poetyckiej". Prawdziwe nieszczęście i rzeczywistość uważać będą za marzenie. Kochany, cierpienia moje przekazuję Twej poezji. Ale co dziwne: wtedy, gdy pisałeś ten utwór, wtedy, gdy Ty, jako poeta, obejmowałeś tysiąc myśli i uczuć w kilku wierszach, ja, niezdolny do władania rytmem, układałem coś na ten sam temat w prozie, czego dotąd nie skończyłem. Nic dziwnego, żeśmy na ten sam temat pisali, lecz dziwne, że to samo zabarwienie, które panuje w Twoim ułamku, przenika również w całości mój utwór. Osądzisz sam. Jest to krótkie opowiadanie. Działanie rozpoczyna się w porcie Villeneuve. Opis statku parowego „Winkelried", który gotuje się do odjazdu. Opis kapitana Romura, jego atletycznego i szczerego wyglądu, jego dziwnego ubioru, szorstkiego obejścia i twardego głosu. Potem przybywają podróżni w barkach i następuje odjazd. Zaledwie statek wyruszył, spostrzeżono zbliżającą się lekką barkę, a w niej cudzoziemca, który, spóźniwszy się, przynagla ludzi u wioseł. Kapitan nie chce się zatrzymać, gdyż ma rozkaz wyruszenia punkt o dziewiątej; ani sekundy później, ani sekundy wcześniej. Barka jest o 30 kroków od „Winkelrieda", który się oddala. Cudzoziemiec wskakuje na tył barki, wyrywa kotwicę i rozwikławszy ją z pierścieni łańcucha, długiego na kilkadziesiąt łokci, rzuca ją z siłą na sznury, łączące łódź ratunkową „Winkelrieda" z jego tylnym pokładem. Kotwica spada między liny, zahacza się o nie, w ten sposób cudzoziemiec zbliża się do statku. Kapitan wydaje rozkaz zatrzymania się. Cudzoziemiec wskakuje na statek i przedstawia swój paszport kapitanowi. Na to Romur tytułuje go milordem. Wszystko to jest przeplatane widokami jeziora, pagórków Montreux, skał la Meillerie. Potem następuje opis cudzoziemca: wysoki, blady, oczy niebieskie, niedbały w obejściu, kładzie się na ławie, medytuje, ziewa. Upał się wzmaga, pasażerowie schodzą do salonów. Romur przychodzi, paląc, obejrzeć cudzoziemca, który się obraca i zapytuje go: „Jak głęboko zanurza się »Winkelried«"? „Na 16 i pół, milordzie". — „A więc rozedrze się on szeroko o kamień w Saint Gingolphe" mówi młodzieniec z uśmiechem, pełnym zimnej krwi i ironii. Romur chwyta się za głowę, pędzi do steru, zmienia kierunek okrętu, przepływając w odległości dwóch stóp od rafy skalnej. Jego zdziwienie z tego powodu, że młody lord tak dobrze zna jezioro. Henryk Gram (lord) porzuca swoją niedbałą pozę i, rzucając spojrzenie wspomnień na brzegi i na góry, rozpoczyna rozmowę z Romurem i zapytuje go o nowiny z Genewy. Powoli Romur poznaje dawnego znajomego młodzieńca, który przepędził pierwsze lata swej młodości w Genewie. Z Genewy wyjechał pod innem nazwiskiem, zdaje się Henryka Burnley'a, później został lordem Gram wskutek śmierci dalekiego krewnego. Charakter młodzieńca jest ten sam, co w „Willi lorda Byrona"

— jednem słowem, to Ty. — Potem wypytuje Romura o wiadomości, dotyczące przyjaciela, którego nazwisko mówi mu cicho do ucha, gdyż na pokładzie pełno pasażerów, dokoła pełno ciekawych. Jedzie do Genewy, by go ujrzeć znowu. Następują wspomnienia przyjaźni, młodości. Romur mu opowiada, że ten przyjaciel jest w Genewie, lecz oszalał. Następuje opis jego szaleństwa, cała rozmowa o tem w kabinie Romura; na sznurze fuzje, obcęgi, narzędzia, torby, pistolety, topory, młoty itd. Potem Lozanna przerywa rozmowę. Potem nastąpi burza: barka żaglowa tonie między Jeantoux i la Savoie. Lord Gram ocala człowieka, który był w barce: to jego przyjaciel, który przybył prawie zemdlony do portu w Molard. Ten przyjaciel wyrwie się z jego objęć, by uciec. Poszukiwania, uczynione wspólnie z kapitanem, z początku bezowocne. Spotkanie, rozmowa, obłęd, wstyd, ojczyzna, różne sytuacje, stany duszy często zmienne, potem akcja się rozwija, w końcu szaleniec popadnie w stan apatycznego spokoju, powróci do przytomności, by zobaczyć, że jest w przepaści i że z jej głębi powinien zwrócić swe spojrzenie tylko ku niebu. — W jesienny wieczór powóz wyjeżdża z bramy Rive. Lord Gram jest w nim ze swoim przyjacielem. Powóz potoczy się w kierunku Alp Walijskich. Potem nieszczęsny szaleniec zostaje księdzem w klasztorze. Opis luków sklepionych klasztoru na górze. Scena wyświęcenia na księdza. W środku nawy gromnica, odblask czerwonawy. Lord Gram w niszy. Nazajutrz ma odjechać. Po ceremonii przyjaciel jego usuwa się do swojej celi. Rano znajdują go wydającego ostatnie tchnienie z gorączki, konanie, śmiertelne łoże, pożegnanie lorda Grama z przyjacielem. — Koniec.

Czyż to nie to samo zabarwienie, rozprowadzone szerzej, że tak powiem rozcieńczone, jak od *Give me thy hand, my friend…* aż do tego pięknego wiersza: *Till the full streamlet of thy heart grew dry And thy brow feverish*[42].

Napiszesz mi, co o tem myślisz. Jeśli Ci nie przysyłam kwiatu z Bourdigny, to tylko dlatego, najdroższy, że nie mam 5 franków na wynajęcie konia i że chcę, byś list ten otrzymał w Paryżu. Lecz pierwszy list, który Ci do Anglii napiszę, będzie skromnym grobem, w którym zostanie pochowany młodziutki i słodki kwiat z jej ogrodu. Co się tyczy włosów, to mam nadzieję, że mieć je będziesz. Namówiłem Vauchera, by zastąpił jej zwykłego fryzjera za pierwszym razem, gdy się będzie czesała i by jej obciął jeden pukiel włosów w największej dyskrecji. — Vaucher myśli, że to dla mnie i słowa o tem nikomu nie powie. Butelka szampana wyrówna mój rachunek z nim i na jej dnie będzie pochowana tajemnica. Co do mnie, jestem bardzo nieszczęśliwy. Wszyscy mię opuszczają. Ona nie pisze do mnie. „Za parę dni napiszę do Ciebie". Czyżby to było szyderstwo? Ten łańcuszek, czyż był znakiem pożegnania, a nie zakładem miłości? Cóż myślisz? Co robić? Kocham ją zawsze silnie. Każdy dzień, który nadzieję moją zawodzi, zwiększa moje przywiązanie. Czasem powracam do przeczucia, że przybędzie do Genewy, lecz najczęściej przypuszczam, że ma mnie dosyć, że już słyszeć nie chce o istocie poniżonej, słabej, spodlonej, bez energii, imienia, przyszłości, o tym, który jej mówił wiele o sławie, a zakończył tem, że jej mówił o wstydzie, który, pyszny w dniach swej namiętności, poniżał się w godzinie nieszczęścia, który w końcu oszukał ją na wszelkie sposoby, udawał przed nią bohatera, a stał się muchą — a, jeśli głos urojonego bohatera pociągał, jest rzeczą naturalną, że brzęczenie prawdziwej muchy tylko nudzi i nie może nic innego wywołać prócz niechęci i obrzydzenia. Lecz nie powinna była wybierać tej właśnie chwili, by zadać cios ostateczny. Dlaczegóż nie uczyniła tego, gdy byłem potężnym i mocnym, gdy widnokrąg mój jeszcze nie był zacieśniony, gdy mogłem górę bólu unieść i nie mieć zdruzgotanych piersi. Lecz zapomnieć o mnie teraz, kiedy już nic nie mam na ziemi, kiedy żyję z dnia na dzień, to okrutne! — Och, może o mnie jeszcze nie zapomniała! Gdyby była o mnie zapomniała wtedy, gdy jadłem mięso i piłem wino, byłoby to znośne, lecz teraz, gdy żywię się jarzynami i piję wodę… Zobaczysz, mój drogi, stanę się wkrótce błaznem w rodzaju Lintnera. Jednak, jeśli możesz się czegoś o niej dowiedzieć, uczyń to, mój drogi, a będę miał jeszcze jedno błogosławieństwo dla Ciebie. Uczyń to i napisz o tem w pierwszym liście, który mi przyślesz z Londynu. Gdzie ona jest? Czy zdrowa? Czy chora? Kocham ją z całego serca, albo raczej wszystkiemi serca mojego strzępami, bo serce moje diabelnie rozpadło się w łachmany. Roget był listem Twoim bardzo wzru-

[42] *Give me thy hand, my friend (…) Till the full streamlet of thy heart grew dry* (ang.) — Daj mi swą rękę, przyjacielu (…) Aż strumyk twego serca wysechł, a twoje czoło (dosł.: brew) poczęło drżeć. [przypis redakcyjny]

szony i żałuje, że Cię nie widział przed Twoim odjazdem. Powiem Binetowi to, co mi poleciłeś. Przepędziłem z nim wieczór i wieleśmy o Tobie mówili. Duchesne często do mnie przychodzi, wiosłuje dosyć dobrze i korzystam z jego usług na jeziorze. Nie umie jeszcze dobrze rozpinać żagli, lecz i to przyjdzie. Robię obroty bez końca, dni i noce na jeziorze przepędzam, podczas pogody, deszczu i burzy. Nabawiam się kataru, moknąc, i pozbywam się go, moknąc jeszcze bardziej. Czyś widział Mickiewicza? Wyjechał stąd w sobotę 21. Jutro minie 10 dni od Saint-Cergues. I żałowałem i cierpiałem, że nie będę Cię widział rok cały.

Więc, mój kochany Henryku, jesteśmy obaj na tej ziemi, rozdzieleni, daleko jeden od drugiego. Niechaj Cię marzenia młodości często do Genewy przenoszą i niechaj wtedy znajdę w nich swoje miejsce. Sił nie trać! Powiedz do spleenu: „Nie pójdę dalej" i niechaj akordy Twej liry wstecz go odpędzą! Obserwuj zwierzęta, zwane ludźmi, wejdź głęboko w ich serca, tak, jakbyś wchodził do sali w Morgue, i pokładaj ufność w Bogu chrześcijan, w Słowie obłoków. Niechaj jego promienie złotem opaszą ciało Twoje, natchną Twoją duszę i rozleją dokoła Ciebie atmosferę spokoju, kontemplacji, zachwycenia, ażebyś w dniach przeciwności mógł walczyć z siłą męczennika i zapałem natchnionego. Dla mnie to rzeczy skończone na ziemi. Już ostatnie westchnienia poezji liczę w swem łonie. Odchodzi, jak przyszła, niewidzialna, nie do zatrzymania. Może unosiła się nad moją kołyską, lecz nie będzie świecić dokoła mojej mogiły. Gdy zstąpię do grobu, już od dawna nie będzie jej wokoło mnie, gdyż czuję, że mam jeszcze krew i płuca, lecz natchnienie gaśnie, stanę się jakimś Szczerbininem lub Saint-Ange, lub innym owadem tego szlachetnego gatunku.

Więc, jeśli nie słabniesz, jeśli mię kochasz zawsze, uczynisz cud. Żegnaj, pamiętaj o tym, który Cię tak silnie kocha! Parę słów o H. przez litość, może mię to wskrzesi! Żegnaj! Żegnaj! Pisz do mnie!

Zygm. Kr.

16. DO HENRYKA REEVE'A

28 maja 1831, Genewa

Ach! Przyjacielu mój, zatopiłeś mi sztylet prosto, prosto w serce[43]. Wiesz, czem jest dla mnie otrzymanie listu, który mię podnieca. „Bramy zbawienia", powiadasz. A jeśli zamkną się na zawsze, cóż to ma za znaczenie dla świata, dla liczby niezliczonych stworów, albo dla szczegółów stworzenia? Voucher, perukarz, nic na tem nie straci, Polska nic nie straci; któż więc straci? Ja. A czem ja jestem. Niczem. Czem będę? Odrobiną prochu, z którego wyrośnie pokrzywa, jeśli wolisz, stokrotka lub roślina skrytopłciowa.

[43]*zatopiłeś mi sztylet prosto, prosto w serce* — mowa o liście z dnia 25 maja, w którym Reeve pisał m.in.: „W Genewie nie jesteś jeszcze Polakiem; trzeba, byś coś poświęcił. Jeśli nie możesz wyjechać bez narażenia się na uwięzienie, daj się zaaresztować, 200 fr. wystarczy Ci, by, przeszedłszy granicę pieszo w nocy, przyjechać do Paryża, a gdy raz przedostaniesz się za Morez, już o paszporty nie pytają. Co do mnie, mój drogi, złym jestem przyjacielem i człowiekiem o dziwnej słabości. Uległem energii Jakubowskiego, uprzejmości starego Lombarda, a przede wszystkiem niezdecydowaniu Mickiewicza wtedy, gdy trzeba było jedynie iść za własnym rozumem i radzić się tylko swego sumienia. Powinienem był zabrać Cię ze sobą za wszelką cenę. Wielki błąd. Jednak mimo że, według wyrażenia Morawskiego, każdy upływający dzień jest dla Ciebie straconą wiecznością, nie wszystko jeszcze stracone, jeszcze nie jest za późno; bramy zbawienia tylko powoli się zamykają, przejdziesz przez nie jeszcze. Już od dawna było wiadomo, że ojciec Twój bawi w Petersburgu, lecz pułkownik powiedział mi wczoraj, że według wiadomości, otrzymanych od jednego Rosjanina, jest on w zupełnej rozpaczy, z nikim się już nie widuje i płacze całemi dniami. To nie akademicy napadli na niego podczas rewolucji, przeciwnie, bronili go oni przed tłumem, który go zwlókł z konia. To nie ma dla Ciebie znaczenia, za to się płaci zapomnieniem. Z pewnością, kochany, Twoje przybycie jest jedynym sposobem, by błąd naprawić. Synowie Haukego stanęli w rzędzie liberałów w kwadrans po śmierci swego ojca. Ty nie jesteś w tem położeniu. Ojciec Zamojskich jest w Petersburgu, a pięciu jego synów gdzież jest? Kocham Cię, jak nigdy żadnego nie kochałem człowieka i jak nigdy żadnego kochać nie będę. Dlatego Cię popycham, jak gdybym chciał Cię ukarać. — Działaj, a nie będziesz osamotnionym!". Powiedziałem Morawskiemu, żeś chory. „Jeśli nie jest umierający", odpowiedział — „może ruszyć w drogę, a jeśli jest umierający, niech się każe zanieść, żeby umrzeć na ziemi wolnej Polski". [przypis redakcyjny]

Wiem, mój przyjacielu, w Paryżu moje zbawienie. Jeśli tam nie pojadę, będę zgubiony. Morawski dobrze mówi, że dzień każdy jest wiecznością. Od jednej małej wieczności krocząc do drugiej, posuwamy się ku wielkiej — a tam... w tem sęk. Lecz raz jeszcze głosu mojego posłuchaj, głosu tego, którego niegdyś słuchać lubiłeś. Sam jestem, zewsząd zapory, znikąd pomocy. Ojciec mój, jak piszesz, umiera w płaczu, syn może umrzeć wśród zgrzytania zębów. Czyś Ty się zastanowił nad tem, co napisałeś do mnie, że mam się dać uwięzić? Czyż sądzisz, że byłbym zdolny dorzucić kamień do stosu, z którego kamienowano mojego ojca? Chcesz więc, bym poprzez Francję rozwłóczył hańbę tego, który tam niegdyś tyle sławy uzyskał? Chcesz, bym ja, bohater z żandarmami, wyczytał w dwa dni później w gazecie hańbiące wyzwiska, otaczające imię ojca mojego, przeplatane z rzadka pochwałami dla mnie? Mówię śmiało, lecz tylko Henrykowi Reeve, a nikomu innemu na tym świecie: ojciec mój bardzo zawinił, strasznie, nie moją jednak jest rzeczą żądać od niego zdania sprawy. Polska będzie wolna i wielka, ja będę nędzny i wzgardzony — wiem o tem. Od chwili, gdyś wyjechał, przyszłość moją zmierzyłem w spokoju, ujrzałem na końcu swej drogi grób bez napisu, zadrżałem, lecz przyjąłem. Ofiara jest wielka, nie będzie miała na ziemi rozgłosu, lecz rozbrzmiewać będzie w niebie, u stóp tronu Syna Człowieczego.

I jakżeż chcesz, bym do Paryża jechał? Przejść nocą granicę, owszem, pieniędzy pożyczyć, owszem. Oszukać Jacky? Dobrze. Lecz to się kończy gorszącem i rozgłośnem zajściem, a na to mówię: nie.

W Genewie będę oczekiwał odpowiedzi ojca. Jeśli będzie zadawalająca, jadę, jeśli nie, jadę także, gdyż wtedy obowiązki moje, choć nie całkiem jeszcze przekreślone, lżejsze będą. Poza tem myśl o mnie, co chcesz, mów o mnie, że brak mej duszy energii, że mówię a działać nie umiem wcale, że jestem słaby, niezdecydowany. Dobrze. Bądź tak, jak ja, nieszczęśliwy i wtedy mię osądź! Skończyły się sny moje o sławie. O szczęściu marzyłem, zawiodło mię szczęście. O sławie, sława się rozwiała. Jeśli niebo snem jest tylko, przynajmniej będzie ostatnim. Przyjacielu, nie staraj się więcej mnie bronić, ani podtrzymywać mojej dobrej sławy! Nie żądam od Ciebie, byś, gdy Ci powiedzą, że jestem nędznikiem, odpowiedział „Nie". Lecz myśl tak tylko, to będzie dosyć dla mnie. Wszyscy mają słuszność i Ty także. Gubię się. Każdy dzień miniony jest jednym stopniem więcej, prowadzącym do przepaści, jedną literą więcej imienia mojego, przemienionego w ołów. Gangrena podnosi się ku sercu. Gdy tam dojdzie, jeden znak krzyża, pożegnanie dla Ciebie, dla Niej, dla dwóch lub trzech osób więcej, potem milczenie i śmierć. Przyjacielu, pozwól działać prześladowaniu, nie walcz z potwarzą, zamknij głęboko w swem sercu przyjaźń, którą odczuwasz dla mnie! Jeśli ją zdradzisz wyrazem twarzy swojej, będziesz skompromitowany. Zanoś cichaczem na pocztę listy, które pisujesz do mnie, zmieniaj charakter swego pisma! Niechaj nikt nie będzie mógł podejrzewać, że Henryk Reeve utrzymuje stosunki z Zygmuntem Krasińskim. Czy rozumiesz ten stan potępienia, gdy ręka drży, kreśląc własne imię, gdy dreszcz czujesz, czytając swój podpis? Nieraz drżałem, czytając jakieś imię: Twoje lub F. Lecz inne to było drżenie. Ze wstydem się cofam przed imieniem swojem, z radości drżałem wobec imienia mojej kochanki, mojego przyjaciela. W obu wypadkach drżałem; przeciwieństwa się spotykają.

Nie masz zupełnie powodu do wyrzucania sobie, żeś mię nie zabrał ze sobą. Nie byłbym nigdy się zgodził, by matkę Twoją w fałszywe i niemiłe postawić położenie. Odtąd udzielam rumieńca mego czoła każdemu, kto się zbliży do mnie. Mam w sobie jad, przenikliwszy nad jad skorpiona. Skorpion zabija od jednego razu, ja zaś żyję i umieram co dnia. Być nieszczęśliwym jest niczem, lecz mieć przyjaciela takiego, jak Ty i pomyśleć, że mną wzgardzi, to straszne.

Myśl ta siły mi odbiera. Jest to ostatni stopień poniżenia; padnę przez nie martwy na posadzkę, jeśli nie znajdziesz na nie środka. Lecz jedna godzina wszystko może zmienić, a wtedy dowiedzą się, kim jestem. Jeśli godzina ta nigdy nie nadejdzie, nie dowiedzą się nigdy, jedynie robaki w grobie wiedzieć będą, i Ty może, mój Henryku. Nie wiem, jakie to zabarwienie miłości, tkliwości kobiecej przymieszało się do mojej przyjaźni dla Ciebie. — Chętnie myślę o Tobie, jak o mojej H... to niezwykłe. Lecz wszystko dokoła mnie niezwykłe jest. Czuję, że mógłbym być czemś, a jestem niczem, widocznie będę niczem, aż do nadejścia wieczności. Tam odzyskuje się znów prawa, stracone na ziemi. Czuję jeszcze, że mam przyjaciół i widzę, że nadeszła chwila ich utraty. Jednem słowem,

jestem na brzegu przepaści. Walczę, jak we śnie, potem w nią się stoczę, lecz to już nie będzie, jak we śnie: to będzie rzeczywistością. Przynajmniej podczas dni niepewności, które między moją przyszłością a konaniem płyną, nie zapominaj o mnie, pisuj do mnie codziennie! Wspomnij, że poprzez pierś moją widziałeś niekiedy szlachetne serce; jeśli los i ludzie są przeciwko mnie, Ty przynajmniej zostań bezstronnym, a jeśli los mię podniesie, powinieneś cieszyć się ze mną. Jeśli w końcu wszystko jest dla mnie na zawsze stracone, imię, sława, ojciec, ojczyzna, jeszcze musi pozostać między nami coś wspólnego, ostatnie ogniwo błyszczącego niegdyś łańcucha. Choćby to była tylko myśl o Chamonix i wspomnienia łez w Saint-Cergues. Żegnaj! Kto ma jeszcze przyjaciela na ziemi, może podnieść czoło i na wagę położyć duszę potężną i podniosłą, która go kocha, mimo obelg tysiąca i smutnej prawdy.

Twój do śmierci

Zygm. Kr.

Zaklinam Cię, coś o H!

17. DO HENRYKA REEVE'A

9 czerwca 1831, Genewa

Mój kochany lordzie Gram!

Właśnie odebrałem list Twój z Calais. Oto odpowiedź ogólna na wszystko i szczegółowa na każdą rzecz z osobna. Z pewnością mi nie wpadło nawet na myśl, by z Waszą Wysokością współzawodniczyć w wiadomościach topograficznych jeziora (jestem tylko Jego pokornym uczniem) ani też w umiejętności matematyki. Powiem Ci: że zmieniłem 16 stóp na 9½, co zaś do skały w Saint-Gingolphe oraz innych tego rodzaju bredni, to jest dozwolonem, by amator, który chce całość uczynić prawdopodobną i poetyczną, nie trzymał się ścisłej prawdy, gdyż w takim razie dla mnie pióro musiałoby się zamienić w sondę z ołowiem, z którą poszedłbym zmierzyć głębokość Lemanu. Tu zaś moim celem było dać trochę życia akcji i całości i pokazać czytelnikowi Jezioro Genewskie z jego zachwycającemi brzegami, potem krajobraz burzą zaciemnić, złagodzić wrażenie ku końcowi ciszą letniego wieczoru, który po przejściu burzy ukazuje się w swej olśniewającej zieloności ponad górami Jurajskiemi. By uniknąć jednostajności, wprowadzam postać wymienionego Romura i marynarza Grégoire, wreszcie lorda Gram, który jest punktem środkowym. — Wobec tego nie ma znaczenia, gdzie znajduje się kamień z Saint-Gingolphe lub czy taka lub inna jest głębokość w tem miejscu. — Poeta widzi tylko błękitną powierzchnię Lemanu i zaludnia ją istotami, zrodzonemi w swojej wyobraźni, głębokość zaś jeziora zostawia pstrągom łososiowym. Teraz, ponieważ mówimy o tym przedmiocie, ciągnę dalej. Rozdział pierwszy kończy się przybyciem „Winkelrieda" do Genewy. Pasażerowie oddalają się niechętnie, zatrzymując się na brzegu, by dowiedzieć się, kim jest osobnik, wyratowany spośród fal przez lorda Grama. Ale Romur każe obrócić statek tyłem ku Genewie, i wymienieni pasażerowie nie widzą nic prócz marynarzy, znikających wśród żagli i masztów. Potem milczenie. Odchodzą niezadowoleni, bo niczego dowiedzieć się nie mogli. Rozdział drugi rozpoczyna się w salonie „Winkelrieda", o późnej godzinie w nocy, to jest o 10-tej przypuszczam. Obraz następujący: Lord Gram siedzi przy swoim przyjacielu, który śpi. Romur stoi ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma, proponując szlachetnemu lordowi szklankę ponczu. Odmowa. Potem Romur odchodzi. Przebudzenie (człowiek nazywa się Adam). Zrywa się z łoża i, zobaczywszy kogoś przy sobie, pierwszym ruchem zsuwa długie włosy na czoło, by niemi twarz nakryć. Następuje rozmowa. Lord Gram próbuje mu przypomnieć Henryka Burnley'a. On zaś odpowiada: „Henryk jest to imię z kalendarza, Burnley jest to nazwa wielkiej wyspy na oceanie. Powtórzył mi raz, że chciałem dłoń jego uścisnąć. Wiesz, że, choć przestałem być człowiekiem, nie spadłem do rzędu psów gończych, które liżą rękę, gdy je obito". Wtedy Gram chce w inny sposób wywołać jego wspomnienie. „Może imię Marii Shelley jest Ci

znane". Uśmiecha się, jak dziecię, które nie wie, czemu się śmieje, i odpowiada: „Dnia jednego, jednego z dwunastu miesięcy, które rok tworzą, spostrzegłem ją w alei drzew lipowych. Aptekarze zbierali kwiaty, opadłe z gałęzi. Wiatr dął silnie. Przechadzałem się z kim innym, a jej suknia (Marii Shelley) podnosiła się do góry, i ten inny rzekł do mnie: »Jaką grubą ma nogę«. Spójrz", dodaje Adam, silnie ramię wyciągając: „A więc tak go uderzyłem i stoczył się w dół z pagórka; lecz dziś już bym tego nie uczynił. — Ja nie mam już prawa uderzyć człowieka, który mi wyrządza krzywdę". Jedynym sposobem powstrzymania tych bredni jest walc Webera, który lord Gram śpiewa. — Wtedy Adam zbliża się do niego z wyciągniętemi ramionami, jak człowiek, idący w ciemnościach; łzy zaczynają spływać z jego oczu i, patrząc na jezioro poprzez uchylone okno, krzyczy: „Ostatnia myśl Webera! śpiewałem ją na tych falach. Tony pogrążyły się w dół, a teraz po długiem milczeniu powracają ku mnie z głębi wód". — Potem poznaje lorda Grama i zaklina go, by mu pozwolił odejść, gdyż hańba czepia się wszystkiego, co go otacza. Gram mu odpowiada, że go ocalił w chwili, gdy miał utonąć. — Wściekłość i szał wracają, krzyczy: „Bądź przeklęty za to! Jak dobrze ginąć podczas burzy. Ludzie nic na falach napisać nie mogą, a na grobie kładą: Tu spoczywa, a potem historię długą, w dwóch zamkniętą słowach: hańba na początku i hańba na końcu. Gdy przejdziesz obok, pomyśl: to moje dzieło. Któż ci nakazał mieszać się do sprawy mojej z falami. Dzień był naznaczony. Fale mi obiecały, że mię pochłoną. Długo prosiłem. Mój kochany panie, odtąd pozostaw mię w spokoju! Którędy się stąd wychodzi?". Lord Gram mówi mu, by go zatrzymać. — „Mam dla ciebie list od Marii Shelley". — „Ach, panie, czyż pan jesteś z poczty? Ileż on kosztuje? Nie mam zupełnie pieniędzy przy sobie". A potem krzyczy z rozpaczą: „Nie, ja nie mogę listów odbierać. Omyliłeś się. Wszyscy ze mną zerwali. Sam zostałem wśród ludzi. Promień sponad gór jurajskich, dawniej, gdy uciekał, prześlizgując się poprzez obłoki, przychodził porozmawiać ze mną, a teraz drogę zmienia i woli w jeziorze się utopić, niż zbliżyć do mnie. Dzieci, te naiwne małe zwierzątka, uciekają przede mną. Dumny jestem. Nie chcesz mię, szukać Cię nie będę. A zresztą nie mogę odpisać. — Nie mam pieczęci. Nie wiesz, cudzoziemcze, co mię spotkało. Sala była kirem obita: trumna pośrodku, ponad nią herby lazurowe, srebrne i złote. — Herold wszedł z toporem. Raz, dwa, trzy. Patrz jakie szczątki, dokoła wieka trumny. Pozbierali je, w proch roztarli i rozrzucili na cztery wiatry". Potem są inne wyrazy: np. „A co do Marii Shelley, powiedz jej, że dobrze zrobi, jeżeli spali moje listy i popioły, na proszek roztarte, wsypie do szklanki z herbatą. Niech je wieczorem wypije, później spać się położy, a gdy się obudzi, już mnie nie będzie w jej duszy. Walczyłem ze swym losem, dzień po dniu, krok za krokiem, lecz to był półbóg, a jam tylko człowiek. Wiem, że ludzie mówią: jest szaleńcem. Może to prawda. Lecz niech przecierpią połowę tego, co ja przecierpiałem, a zobaczymy, czy zostanie im dość siły do szaleństwa. Nie, zdechną z bólu i pójdą gnić do grobu. Henryku, ja jeszcze gnić nie zacząłem". Potem w innem miejscu. „Dwie wczoraj jaskółki latały! — Dokąd lecicie?. — »Ja na północ«. — Druga rzekła: »Ja na południe«. Coś trzymały w dziobkach. »Co trzymacie?« »To imię twoje, które stało się suchem sianem«". Potem w innem miejscu, kiedy chcą posłać po lekarza. — „Ah, ah! Wielu już lekarzy próbowało na mnie swej sztuki i cóż mi pomogli, mrugając oczami, potrząsając głową i szepcąc? — Ah! — Ah! — lekarza! Kochany panie, czyż wskrzesi on tych, którzy zginęli beze mnie i pośle ich znów na pole bitwy, bym z nimi razem rzucił się na wroga? Czyż posiada on proszek, by plamę zetrzeć? Gdy przyjdzie, powiedz mu ode mnie, by szkielety pociągnął za kości, nic nie czują. Niech idzie odwiedzać suchotników i tych, którzy mają reumatyzmy, gorączki, palpitacje, fluksje. Niech idzie oczy zamykać tym, którzy odchodzą z tego świata, otwierać je tym, którzy nań przychodzą, lecz ode mnie niech będzie z dala. — Ciało mam zdrowe, oczy kruka, a zęby moje wydają, gdy zgrzytam, czysty dźwięk. Sześciu ludzi mógłbym zdusić w swych ramionach. Był czas, kiedy byłbym zdusił dwunastu wrogów. Lecz skrzyżowano mi ramiona na piersiach, mówiąc: poczekaj! Włosy moje nie zaczęły jeszcze wypadać". Przyglądając się falom, które na brzeg się rzucają: „Myślę często, żebym je wyprzedził w biegu. Tylko dusza moja cierpi na wspomnienia, a na to nie ma lekarza. Jest tylko dno jeziora". Ostatnia tyrada. „Opowiem, dlaczego oszalałem. Sam przechadzałem się w nocy — księżyc świecił na niebie, jak słońce bez promieni. Milczenie. Wiatru nie ma. Tylko niekiedy lekki szmer myszy, nie, to nie myszy, to szczur wodny, a dalej rybka porusza się gwałtownie w wodzie. Mój anioł stróż mi się ukazał, skrzydłem o lipę się oparł, drugiem

o topolę i rzekł mi: Adamie, życie twoje skończone, gdyż żyć, jak ty żyjesz, znaczy nie żyć wcale. Jest to raczej śmierć z dodatkiem kilku wrażeń, jak np.: jedzenia, picia, kaszlu. Nic Ci nie pozostało. Rada moja jest, byś szaleńcem został. Idź w opustoszałą okolicę, pomiędzy ruiny starego świata gór, do stawu wody, gnijącej pod bladem niebem, a potem pomyśl o tem, czem jesteś. Nie obracaj oczu twoich naprzód, by uniknąć przeszłości, nie odwracaj oczu twoich wstecz, by uniknąć przyszłości. Zbierz wszystkie swoje cierpienia w jedną wielką myśl, aż Ci się ukaże podobna do upiora. Wtedy nie cofaj się, nie mdlej, lecz patrz z nieruchomo utkwionym wzrokiem, a ja Ci przyrzekam w nagrodę, że myśl ta przywiąże się do twojego mózgu i staniesz się szaleńcem".

Drugi rozdział kończy się ucieczką nocną Adama w barce do miasta. Do tego miejsca doszedłem i dalej nie postąpiłem. Przepraszam, że Cię nudziłem tak długo. Ponieważ nie umiem pisać wierszy, chcę, by całość tej rzeczy zostawiała czytelnika pod wrażeniem poematu, podczas gdy szczegóły jej są powieścią. Twój sen zawiera ważną myśl moralną, jest w nim wyobraźnia i błyskotliwe złudzenie i rzeczywistość poetycka. Kostnica w Glies jest prozą. Zupa Lombarda to początek złudzeń życiowych i ich koniec. Listów nie odebrałem. Przez litość, napisz mi coś o H.! Skąd do diabła masz włosy C.? Nikomu o tem ani słowa nie pisnę. Lecz jeśli będę mógł, przyślę Ci drugie wydanie, które, sądzę, będzie poprawniejsze.

Już to, co mi piszesz o swoich *Tytanach*, dowodzi, że w nich rozwinąłeś skręty swojej potężnej wyobraźni. Przyślij mi ten ułamek, jeśli się to da uskutecznić. Jestem bardzo ciekawy, będę udawał krytyka. „Powiedzieli, że nie mogę się modlić" jest bardzo piękne. Jeśli całość się udała, to powinien to być Twój najlepszy utwór, ponieważ jest to Twoja najpotężniejsza koncepcja. Co do krzyża, poznaję wpływ wicehrabiego, ode mnie przejęty. Ja także napisałem coś podobnego dla manuskryptu Adama; ale o tem w następnym numerze. Czytałeś, Henryku, mój list, posłany do Londynu. Jestem trochę mniej podniecony, lecz ciągle jeszcze niezmiernie nieszczęśliwy. W Polsce wszystko idzie dobrze. Niech będzie błogosławione imię Pańskie! Czyś widział Mickiewicza? Sara była wyjazdem Twoim zrozpaczona. Coś więc tam jednak kryło się poza ładną buzią młodej dziewczyny. Nigdy nie trzeba sądzić z pozorów. Widziałem Klustine'a. Byłem przy nim przez trzy godziny. To szlachetny charakter, który się gubi. Blady, cierpiący, zgrzytający z bólu zębami, rozciągnięty na swojem posłaniu, zaprzecza boskości Zbawiciela i pogrąża się całą duszą w Hobbesie i Helwecjuszu. Ma odwagę, piękne uczucia, lecz mało poezji i serca. Rozumie całego Byrona, lecz lepiej *Don Juana*, niż *Oblężenie Koryntu*. Przez pychę zdobędzie się na wszystkie najwznioślejsze poświęcenia. Jest to jeden z tych ludzi, którzy przy sposobności stają się cnotliwymi szatanami.

Duchesne gra ze mną w szachy codziennie, regularnie od 10–12 w nocy. Daję mu mata za każdym razem, lecz powraca bardziej wściekły do ataku i, jeszcze pobity, ustawia z powrotem swoje szachy i gra znów, wymyślając systemy przeciw pobijaniu swoich koni i swojej królowej.

Czytającemu ten list może się wydawać, że zostałem obserwatorem, że mam dobry humor, że jestem mniej więcej obojętny na to, co się dzieje dokoła mnie. — Lecz tak nie jest i nigdy nie będzie. Czuję to silnie, życie moje i młodość przechodzą, jak żaba, podskakująca w błocie. Kobieta cofnie się ze wstrętem i minie ją. Mężczyzna, jeśli ją zauważy, rozdepcze nogą. Z kimżeż żyłem, odkąd opuściłem Polskę? Poza H., która mi była błyskawicą, poza Tobą, który stałeś się dla mnie błyskawicą, z jakimiż to ludźmi stykałem się bezustannie? Karolina C. jest uroczą. Byłem z nią na jeziorze; jest to jedyna genewianka, która nie pochodzi ze „spelunki przyzwoitych ludzi". — Lecz brat jej, Claparède, lecz itd... Nigdy bym nie skończył, — gdybym wszystko chciał powiedzieć. Oczekuję odpowiedzi od swojego ojca. Gdy nadejdzie, dowiesz się o losie przyjaciela. Żegnaj, kochany Henryku, żegnaj! Kocham Cię z zabarwieniem mojego przywiązania do H. Cóż mógłbym więcej powiedzieć? Zresztą wiem, że wiesz, iż Cię kocham. Żegnaj, żegnaj! Ach, gdybym mógł raz jeszcze w życiu do serca Cię przycisnąć, choćbyś miał poczuć tylko szczątki tego serca, które niegdyś znałeś, gdy było całe płomienne z początku, a później zwiędłe!

Zygm. Kr.

18. DO HENRYKA REEVE'A

Genewa, 12 czerwca 1831

Kochany Henryku!

Właśnie odebrałem list Twój z d. 6 czerwca i odpowiadam nań natychmiast. Zaprawdę, daleką była ironia od mego serca, gdym Cię prosił, byś mię więcej nie bronił i żeby Ci tego dowieść, ponawiam prośbę.[44] Ach, przygotowany jestem na czarę męczarni, która mię czeka, zaledwie w niej umoczyłem wargi. — Lecz wkrótce trzeba będzie nasycać się nią do woli. Moim jedynym puklerzem przeciw rozpaczy jest pogarda dla ludzi i już od dawna zacząłem nimi pogardzać.

Out, out, brief candle[45] itd.

Są to bezsprzecznie najpiękniejsze wiersze, jakie stary Will[46] kiedykolwiek napisał.

Po cóż mam sam przed sobą to ukrywać? Kariera moja skończona, choć nigdy się nie rozpoczęła. Chyba, że nazywasz karierą pływanie z Vaucherem, fechtunek z Marcelinem, grę w szachy z Duchesnem, rozważanie praw rodu ludzkiego z p. Rovilliod. Trzeba by cudu, aby zmienić moje położenie i znów mię pchnąć na ścieżki tego świata. A nie mam nadziei, by Bóg dokonał cudu dla biednego grzesznika. Jednak nie wierz temu, że powziąłem postanowienie; za wiele we mnie słabości, bym mógł uczynić wybór nieodwołalny. Znasz mię. Nie jestem stworzony do rezygnacji. Nic mię nie kosztują wzloty, choćby mię miały w przepaść rzucić; lecz wytrwałość zarówno w dobrem jak i w złem jest mi w wysokim stopniu trudną. Dlatego też nie wiem, co się stanie, i, by ukryć swą słabość, powtarzam w kółko: „Zdajmy się na los szczęścia!".

Skrzynecki doznał porażki, lecz podczas bitwy oddziały jego przeszły na Litwę. Nic nie stracono. Odrodzi się Polska w swej piękności i wszystkie jej dzieci radować się będą w promieniach jej świetności, z wyjątkiem jednego, który, osamotniony, zapomniany może, gdy uczuje, że koniec jego się zbliża, weźmie sandały i kij pielgrzyma i podąży nieznany, by ujrzeć raz jeszcze ziemię, gdzie wznosi się mogiła jego matki, lecz nigdy nie wzniesie się mogiła jego ojca. W piękny dzień jesienny słodko mi może będzie jednak umierać, gdy się oprę o kratę grobowca mej matki, tej matki, która, umierając, te tylko powiedziała mi słowa: „Bądź dobrym chrześcijaninem i dobrym Polakiem". Jak prędko zmieniają się życzenia! Nie tak dawno, jak chciałem umrzeć na szczycie góry, u stóp H. Dziś już pozostała mi może jedynie chwila konania, by stopami dotknąć ojczystej ziemi. Mnie, który, gdyby mi okoliczności sprzyjały, byłbym wstrząsnął kośćmi swoich przodków, krzycząc: „Polsko!" i „Naprzód!". Lecz niegodnem jest męża litować się nad samym sobą. Przerwijmy więc! Boga tylko o litość proszę, gdyż On jeden jest ponad mną. Co do innych ludzi, to, jeśli czyny moje wobec ich czynów są niczem, myślą moją mogę się wznieść ponad nich, a czas nadejdzie, gdy będziemy bardziej myślą i kontemplacją, niż czynem i ciałem. Zresztą, powiadam Ci, nie zawsze będziesz musiał głos zniżać, moje wymawiając imię.

---

[44] *Zaprawdę, daleką była ironia od mego serca, gdym Cię prosił…* — mowa o następujących uwagach Reeve'a z dnia 6 czerwca 1831: „Nie ma wstydu, nie ma hańby. Znamy je tylko tu, na ziemi. Tak, ból, cierpienie są związane z ziemską gliną, oto wszystko. W tej chwili właśnie przeczytałem Twój list. Nie miałem zamiaru dzisiaj do Ciebie pisać, wobec tego, że mam list do Bineta już zupełnie gotowy. Lecz tego już zanadto; jesteś nieszczęśliwy, a ja mogę tylko pisać listy do Ciebie. — Wybrałeś. Wybór jest straszny, ale koniecznie trzeba było go uczynić. Teraz, gdy się zdecydowałeś być tylko synem, módl się, cierp i kochaj tych, którzy Ci pozostali. I ja do nich należę, i mnie także bardzo trzeba Twojej miłości. Nie masz słuszności, utrzymując, że nie powinienem więcej Cię bronić. To co piszesz, jest ironią uczucia albo stylu. Ironia nie przystoi cierpiącemu, tem mniej przystoi cierpiącemu chrześcijaninowi. — Ja, choć nie jestem ani zawadiaką, ani rębaczem zawodowym, wygłaszać będę wszędzie zdanie moje o Tobie swobodnie i uczciwie. Wypowiedziałem je w Paryżu, powiem i tu wszystkim, którzy Cię znają lub mogą poznać. Mało jest ludzi tak zuchwałych, by mi zaprzeczyli, gdy mówię o Tobie. Zresztą cóż by na tem zyskali? Zysk jest dla nich wszystkiem, dla nas niczem. Przyjaźń jest tutaj towarzystwem dla fabrykacji maszyn parowych, albo też dróg o żelaznych szynach. Nasza przyjaźń jest dla nas bardziej odpowiednia". [przypis redakcyjny]

[45] *Out, out, brief candle (…)* (ang.) — Precz, precz, mała świeczko! Życie jest tylko migotliwym cieniem, nędznym aktorem, który miota się po scenie, dopóki nie przestaną go słuchać; jest to historia, opowiadana przez idiotę, pełna zgiełku i szaleństwa, a nie znacząca nic". [przypis redakcyjny]

[46] *stary Will* — Szekspir. [przypis redakcyjny]

„I jak zwisające girlandy" itd. jest dobre. Reszta nic godnego uwagi nie zawiera. Przyślij mi „potrójne listy" z długiemi urywkami Twoich poematów. Gdy czytam to, coś napisał, mam uczucie ojca chrzestnego, który trzyma chrześniaka w swych rękach, tak bardzo splotłem duszę moją, myśli moje, uczucia moje z Twojemi. Przewyższasz mię jednak zabarwieniem, które umiesz nadać temu, co piszesz. Tobie wiersze, a mnie proza. Już przez to samo niżej stoję od Ciebie.

A teraz przetłumaczę Ci z polskiego portret lorda Grama, który znajduje się w rękopisie[47].

Źle Ci w Londynie, biedny przyjacielu? Pomyśl, że to dopiero początek długiej próby i, zamiast słabnąć, zbierz swoje siły! Rozumiem doskonale, że ten świat maszyn, w którym ludzie znaczą nie więcej od belek, musi Ci się wydawać smutnym po świecie piękności i majestatu, który dopiero co opuściłeś.

Jakżeż te wieczory, tańce, dymy, ludność, przypominać Ci muszą w głębi piersi serce, które szuka sobie ujścia, by nie pęknąć pod wpływem tętnienia potężnego życia! Lecz trzymaj się mocno! Ponad mgłą londyńską jest olśniewające i czyste niebo. Niech tam polecą myśli Twoje, jeśli nie mogą tego Twe spojrzenia. Patrząc na ludzi, miotających się na giełdzie, w obu Izbach, w sklepach, uśmiechnij się litośnie, myśląc o skałach, które nie miotają się nigdy i które są wielkie, bo nieruchome.

Niech Cię sny przeniosą z powrotem na Mont Blanc w noc, którąśmy tam razem przepędzili. A jeśli we śnie wpatrywać się będziesz choć w jedną gwiazdę z tych, które błyszczały wtedy nad nami, budząc się, siły odzyskasz. Naprzód, przyjacielu! Spraw, by mocno zadrgały struny Twej liry, a gdy do mnie dojdą ich dźwięki, otoczone szmerem pochwał ludzkich, choćbym na śmiertelnem leżał łożu, podniosę się jeszcze, by uśmiechnąć się do sławy przyjaciela. Oto moja wyższość nad Tobą. Ty nie uśmiechniesz się nigdy do mojej.

Zyg. Kr.

Wyrazy szacunku dla Twojej Matki.

Nic, najzupełniej nic od H.! Napisz prędko coś o niej! To mię do rozpaczy doprowadza. Ma jednak słuszność. Jest to dusza szlachetna. Dotychczas znosiła wszystko. Lecz hańbę?

Bineta od wieków nie widziałem. — Aleksander każe Ci powiedzieć, że postara się zrobić portret jak najprędzej. Często widuję Duchesne'a; wiele między nami podobieństwa, on ma reumatyzm, ja też, on ma pleuryt, ja też, on nie znosi napojów podniecających, ja też. — On ma krótki wzrok, ja też. — Zresztą jest to dobroduszny chłopiec. Ma dosyć rozumu. Mój ból w boku powrócił. Przeklęta historia, to mię tam zaprowadzi, skąd się nie wraca. Żegnaj, żegnaj! Coś o H.! Błagam i proszę.

P. S. Zwracam Ci uwagę, że powinieneś powiedzieć: „Młode lato przytulało się do piersi starej zimy", a nie stara zima przytulała się do piersi młodego lata, gdyż w ogrodzie młode lato jest dziecięciem w porównaniu z olbrzymią rozciągłością zimy. Nie myśl, że mogłem zapomnieć o kwiatku z Bourdigny. Dostaniesz go w swojem miejscu i swoim czasie.

19. DO HENRYKA REEVE'A

21 czerwca 1831 r., Genewa

Mój kochany Henryku! Jakże musisz być zimnego i szyderczego usposobienia, jeśli już szyderstwo zjawiło się po przygnębieniu, wywołanem wielkiem miastem Londynem. Ach, wyobrażam sobie, co się dzieje w Twojem sercu. Patrzysz na tych wszystkich ludzi, jak na węgle kamienne, obdarzone ruchem. Amen.

A ja! Czy wiesz, w jakich godzinach mogę jeszcze mówić, że żyję? Oto, gdy samotny piszę w swoim pokoju poemat lub powieść, lub cokolwiek chcesz innego, gdy opisuję szaleństwo człowieka, który ma mnie wyobrażać, gdy staram się zebrać w swej pamięci

[47] *portret lorda Grama, który znajduje się w rękopisie* — dołączone na osobnej karcie. [przypis redakcyjny]

wspomnienie wszystkich mych wrażeń, wszystkich mych cierpień, wszystkich rozpryśniętych kropel goryczy, by z nich utworzyć czaszę, pełną po brzegi, którą może podam kiedyś ludziom, mówiąc: „Oto co dała mi ziemia i jej mieszkańcy!, gdy staram się odtworzyć Twój charakter, Twoje ruchy, styl Twoich przemówień — gdy Cię przedstawiam z ręką, przyjaźnie wyciągniętą ku nieszczęsnemu, który na wpół tylko Cię rozumie, który z dzikiem upojeniem rozwija w słowach wszystkie swoje męki, który, dostawszy się na jezioro, ucieka w łodzi, to znowu w chacie na Salève zastanawia się w nocy nad światem duchów i opowiada Gramowi o ukazaniu się św. Rozalii. Pogrążam się całą duszą w obraz tego, co mi jeszcze do wycierpienia pozostaje, by duszę zahartować. Pływam energicznie pomiędzy falami goryczy: zalewają mi one usta, oczy, otrząsam się z nich i odrzucam je, ale przyjdzie chwila, gdy mię pochłoną.

Oto wyjątek z rękopisu Adama (szaleńca)[48].

Za dwa lub trzy tygodnie losy moje wyraźniejszej nabiorą barwy. Dotychczas gwiazda moja była mgławicą, teraz stanie się kometą, która spali... kogo? Nikogo, prócz mnie jednego. Vauché w dobrym humorze. Nie znalazł jeszcze sposobności zdobycia pukla; stanie się to przy pierwszym wieczorze, na który C. zaproszą, gdy będzie ją czesał.

Pisuj do mnie, mój drogi, mój drogi przyjacielu!

A więc, wkrótce wybije godzina decyzji, straszniejsza od chwili śmierci, gdyż decyzję poprzedza walka, wyczerpująca duszę, a śmierć jest jedynie zwycięstwem nad nami. Zapewne, i tu zmagają się nerwy i włókna, lecz cóż to jest w porównaniu ze strunami tej zaczarowanej lutni, którą nosimy w głębi piersi i która zwie się duszą? Która w dniach szczęścia drga doskonale harmonijnemi dźwiękami, a w dniu próby naciągnięta zostaje aż do zerwania lub rozprężona aż do omdlenia? Jeśli ani na jedno, ani na drugie się nie zdobywa, jest niema i głucha jak u Leona Revillioda, lub jest to dusza wielka. Ale nielicznym tylko było dane posiadanie wielkiej duszy; niejednemu znamienitemu mężowi jej brakło. Zobaczymy. Przygotowałem się w milczeniu nocy. Sny moje były przygotowaniem. Ścisnąłem mocno pierś moją pasem cierpień, a teraz oto zagadką, co wpierw rozpryśnie w kawały, pas, czy pierś moja. Jednakże niech się stanie, co się stać musi! Jestem pewien uścisku ręki przyjaciela, jeśli żyć będę, i jednej łzy nad moim grobem, jeśli padnę. Dwa miesiące temu powiedziałbym: dwóch łez, lecz dziś mówię tylko o jednej jedynej, boś ty jeden mi pozostał. Ach gdzież ona, moja H.!

Zyg. Kras.

20. DO HENRYKA REEVE'A

23 czerwca 1831, Genewa

Mój kochany Henryku!

Przed dwoma dniami pisałem do Ciebie w sprawie H. Dziś odpowiadam na Twój list z d. 17 czerwca[49].

O tak! Masz potężną wyobraźnię i ona będzie się z coraz większą siłą wznosiła, aż do chwili, w której będziesz musiał użyć całej mocy, by ją powstrzymać w jej nieokiełzanym locie. Wtedy dojdziesz do najwyższego szczytu, który może osiągnąć poezja u Ciebie. W fragmencie, który mi przysłałeś, nie znajduję nic, co byś zawdzięczał mnie lub wicehrabiemu. Jest to bogaty obraz poetycki, może nieco przeładowany, lecz to nic nie szkodzi, skoro rozpocząłeś od wschodu; zabarwienie wschodnie i dla reszty jest odpowiednie. Doskonale rozumiem całość alegorii. Kobieta, to rewolucja, ale kto to „Ten śmielszy mąż,

[48] *Oto wyjątek z rękopisu Adama (szaleńca)* — ustęp, o którym mowa, dołączył Krasiński na osobnej karcie. [przypis redakcyjny]

[49] *Dziś odpowiadam na Twój list z d. 17 czerwca* — w liście tym pisał Reeve m.in.: „Dosyć mi się podobała Twoja krótka, dyletancka podróż w okolice obłędu. Uważam jednak, że za dużo w niej czasem wschodniej napuszoności. Te jaskółki są niedorzeczne i ich suche siano także. Nie rozumiem przemiany imienia w siano, a jeśli to metafora, to za wymyślna dla mnie. Zdaje mi się, że uważasz hańbę za sławę w żałobie; jest ona najczęściej sławą uśpioną. Mało jest rodzajów hańb obiegających ziemię, zwykle tkwią one w sercu ofiary. Taką przede wszystkiem jest hańba bezczynności. Twoja, mój kochany, nie dość szybko biegła, byś jej nie mógł dogonić, skoro tylko się ruszysz". [przypis redakcyjny]

a później jego towarzysz (za wyniosły, by modlić się modlitwą chrześcijańską)"? (To przypomina templariusza). Ale to symbol. Później dziwne narzędzia. Co to takiego? Potem nie podoba mi się „sztandar na wojnie i symbol wszędzie". Byłbyś lepiej zrobił, gdybyś był użył zamiast „wszędzie", czegoś bardziej określonego, skoro już są trzy rzeczy określone: wyłom, cela, wojna. Zresztą zabarwienie tego fragmentu jest dobre, pozostawia w duszy wrażenie cierpienia, a to było Twoim celem. Ciemne zabarwienie całości jest złagodzone przez dwa ostatnie wiersze (jak feniks), gdyż jest w nich jakaś pociecha. „Znak tego, czem było życie" jest doskonałe.

Co do broszury o Polsce, to myślę, że tak dla Ciebie, jak i dla tych, którzy Cię będą czytali, lepiej, byś dwa wiersze zamiast jednej broszury napisał, choćby miała być tak dobra, jak wicehrabiego i Sismondiego. „Tu spoczywa naród" oto broszura o Polsce. Jesteś poetą. Pozostaw broszury dziennikarzom i prozaikom. Żądano od Ciebie informacji o Polsce, a więc broszura jest pisana na zamówienie. Będzie licha. Piszesz ją nie dla siebie, tylko dla innych: będzie licha. — Trzeba w nią włożyć i historię, i trochę wyrachowania, trochę rozumowania, a mało natchnienia: będzie licha. Napisz w swoim poemacie dziesięć wierszy o mojej ojczyźnie, a zaręczam Ci, że wejdą prosto do serc ludzkich. Twoja broszura wejdzie prosto między lepkie szczęki robaków. Zaufaj w tym względzie przyjacielowi, który Cię zna. Gdy się jest poetą, nie pisuje się broszur, a jeśli się je pisuje, są liche. Potem zwrócę Ci uwagę, żeś nie powinien się spieszyć z zakończeniem swojego poematu. Czekaj teraz, z dnia na dzień, aż życie stanie Ci się ciężarem, a w stosunku do ciężaru siły Twoje wzrosną. Tysiąc nowych uczuć w duszy Twojej się rozwinie i tysiąc nowych sytuacyj otoczy Cię wężowemi skrętami. Będziesz się wyrywał, Laokoonie, a z walki tej wytrysną iskry, chcę powiedzieć, myśli, nieznane wzloty, coraz potężniejsze, wyolbrzymione, bo otoczony będziesz brzydotą i nikczemnością. Wtedy cała Twoja piękna dusza rozwinie się, w ekstazie rozkoszować się będzie kilku chwilami światła, zatrzęsie się ze zgrozy na widok nizin życia, które często są zbrodnią, zatrzepoce skrzydłami, by dym przebić, unosić się będzie w słońcu, znów we mgłę zapadnie, znów się wzniesie, i znów upadnie, i wzniesie z powrotem. Przejścia od dnia do nocy, od ciemności do światła szybsze i straszniejsze będą, niż dotąd. Dotychczas, Henryku, póki chodziłeś w kółku rodzinnem, byłeś mężem tylko w chwilach poezji. Ale teraz, gdy koło Twoje się rozszerza, gdy jesteś człowiekiem pośród ludzi w ciągłej walce, będziesz ponad ludźmi w swojej poezji. Gdyż być poetą znaczy przesunąć obecną rzeczywistość w przeszłość lub przyszłość, aż do granic ostatecznych możliwości, z tej strony ziemi ku niebu, z tamtej ku piekłu.

Czekaj więc, aż będziesz mógł myśli swe i uczucia nagromadzić w swym poemacie, abyś nie żałował gorzko, żeś o czemś zapomniał, żeś wiele widział, a wyraził mało. Poczekaj, a piramida ta wzniesie się ponad różnicę. Na dnie będą kości i pył starego świata, zrodzone z goryczy Twojej walki, na szczycie lśnić będą barwy jutrzenki i promień, który wymknął się z wieczności, zrodzone z wewnętrznego zwycięstwa oraz Twoich nadziei jako poety i chrześcijanina. Skończyłem, przejdźmy do czego innego.

Moja metafora o suchem sianie jest zła (diablo zła); wymówką moją, że mówi ją obłąkany. Zła wymówka, ale to pozostanie. W chwili, gdy ją rzucałem na papier, rozumiałem ją, dziś już jej nie rozumiem. Mam nadzieję, że cholera nie przyjdzie do Londynu, a jeśli przyjdzie, będziesz przyglądał się, jak umierają bankierzy i maszyniści. Nad Tobą nie będzie miała mocy, gdyż albo się mylę, albo szlachetny cel masz do spełnienia. Skoro go wypełnisz, po wielu latach, wtedy nie tylko cholera, ale nawet brzęczenie muchy w wieczór letni może Cię powalić. — Co do mnie, myślę, że tego lub przyszłego roku na cholerę umrę. Dziwne to przeczucie; jeśli się sprawdzi, przyznasz mi zaszczytny dar widzenia przyszłości i po mojej śmierci możesz mię uczynić członkiem duchowym szanownego bractwa górali szkockich. Co się tyczy stu pobożnych w Londynie, to w istnienie ich bardzo wątpię. Na miejscach, opuszczonych przez Baala i Odyna, wzniesione są maszyny parowe. Wyobraź sobie jezioro Leman jako bożka i Romura jako najwyższego kapłana (*Pontifex maximus*). Styl Twojego listu zmroził mi serce, nie wiem dlaczego: jest w nim coś błyskotliwego, lecz to prędzej odblask lodu, niż płomienia. C. jest ciągle w Bourdigny. Mamy iść tam w tych dniach z Duchesne'em. On złoży wizytę, a ja tym-

czasem będę rwał kwiaty. Odebrałem list od Leacha; wybiera się do Londynu. Dałem mu Twój adres. Oto kilka urywków bez związku z manuskryptu *Adama*[50].

Widziałem Chateaubrianda u Sismondi'ego. Z tyłu wygląda jak stary dandys, amator obiadów i przechadzek, zgięty, z laseczką w ręku, którą bije się po butach. Gdy się obróci, widać twarz piękną, nos orli, oczy wyraziste; głowa wspaniała na nędznem ciele, w butonierce biała róża. W tej jednej róży, noszonej przez starca, schroniły się wszystkie fałdy białych chorągwi i wszystkie liście lilij, które przed rokiem pokrywały Francję. Chateaubriand jest — krótko mówiąc — jednym z tych starych poetów, z których wygląda trufla i pudrowana peruka. Nie, to nie Byron; nie jest to urodzony poeta, lecz poeta z wyglądu, ponieważ trzeba być poetą, tak, jak trzeba być krawcem, szewcem, tokarzem itd. Mówiłem wiele o Tobie z p. Smith. Utrzymuje ona, że będziesz bardzo udręczony przez swą rodzinę w Anglii. Czy tajemnica Twoich stryjów w dalszym ciągu jest tajemnicą? Lecz brak mi papieru. Żegnaj, przyjacielu! Obyś mógł znaleźć chwil kilka spokoju wśród burzy życia, by móc lepiej rozpamiętywać chmury niknące i stawić czoło zbliżającym się.

Poeta

Twój na zawsze

Zygm. Kr.

Ach, zrozumiałem! „Śmielszy mąż" to średnie wieki, jego towarzysz, to wieki następne, aż do rewolucji. Obraz jest wspaniały. Mój *Adam* nie jest dyletantem, mój kochany, chcę, by był prawdziwym mieszkańcem Bedlamu. Wstyd zdaniem mojem nie jest tylko zupełnym brakiem sławy, lecz trzeba mu dodać jeszcze jakieś działanie (bierne lub ujemne), które pociąga za sobą hańbę. Wtedy mamy doskonały kontrast ze sławą, gdyż i sława jest skrzydłem archanioła, które się porusza w wytryskach światła ponad pospolitą powierzchnię życia; wstyd jest poniżej, bez piór, ohydny, diabelski szkielet. Poza tem rozumiesz doskonale, że *Adam* nie jest wcale mną, mną i mną, i mną raz jeszcze. Moje „ja" posłużyło mi za punkt wyjścia i posunąłem rzeczywistość moją aż do jej granic ostatecznych. Jak Mitrydates, który w młodości, nie mając powodów do obawy, przyzwyczaił się do trucizny, gdyż przewidywał późniejsze zamachy na swoje życie. Poezja, wyobraźnia, urojenie, odrzucając stopnie przejściowe, dochodzą do celu. Wyrachowanie, rozsądek wchodzą przez wielkie schody. Oto dlaczego często przybywają na górę zdyszane, a znajdują co? Nic lub mało. Żegnaj najukochańszy! Coś o H.! Twoje polecenie będzie spełnione.

Nic, zupełnie nic od H.! Opuściła mnie! Będę skarżył się w goryczy mej duszy.

21. DO HENRYKA REEVE'A

1831. Genewa, 29 czerwca

Mój kochany Henryku!

Właśnie odebrałem list Twój z dnia 21 czerwca[51]. Wzbudził we mnie wiele uczuć.

[50] *Oto kilka urywków bez związku z manuskryptu „Adama"* — przydane na osobnych kartach. [przypis redakcyjny]

[51] *Właśnie odebrałem list Twój z dnia 21 czerwca* — pisał w nim Reeve: „Poczta jest tubą przerażającej długości, poprzez którą dźwięki przyjaciela zbyt wolno wędrują. Przyniesiono mi trzy listy naraz, jeden od Ciebie, drugi od Augusta i jeszcze jeden od znakomitego Pawła Hubera. To bardzo pięknie ze strony tego poczciwego Augusta, że pisze do mnie ze swego namiotu. Opowiedział mi z właściwą sobie naiwnością parę szczegółów z życia swego. Pod Ostrołęką dwa konie pod nim ubito. Kula armatnia, która przebiła drugiego konia, zerwała mu podeszwę z buta. Mówiłem zawsze, że ten człowiek nie umrze za darmo, ani za prędko. Pisze: »Jaka szkoda, że Krasiński nie przyjeżdża! Polska go nie zna, lecz ja go znam i jestem jedynym, który go zna«. Kocha Cię tak, jak ja Cię kocham, z tą różnicą, że on jest wojownikiem, a ja próżniakiem. Ogłosiłem przekład części jego listu w »Timesie«. Będą to czytać we wszystkich częściach świata, i to August pisał, autor mimo woli. Dziś widziałem Jerzmanowskiego, który jest tu w misji specjalnej. Pozdrawia Cię i nie przestaje Ci radzić, byś wyjechał. Zdaje mi się, że, gdy odpowiednia chwila nadejdzie, dobrze by było, byś tu przyjechał, zobaczył się ze mną i zobaczył z H..., a potem udał się do swojego majątku, koło Gdańska, co na pewno masz prawo zrobić i co zrobisz dosyć łatwo; stamtąd przedostaniesz się do Polski. W obecnych warunkach Jacky przyjechać może do Anglii bez trudności". [przypis redakcyjny]

A więc to August, August pisał do Ciebie! — I na polu bitwy pamięta on jeszcze o nędzniku, zanikającym w Szwajcarii! — Dumny jestem z tego. Musiałem niegdyś silne wrażenie wywrzeć na jego sercu, jeśli dziś jeszcze waży się imię moje wymawiać i mówić o mnie, lecz może jest to już po raz ostatni. Boże miłosierny, do czegóż zostałem doprowadzony? — On tak wysoko stoi nade mną! Jak orzeł unosi się nade mną. Życzę mu sławy, szczęścia i kocham go serdecznie. Okoliczności tworzą człowieka: ludzie są niczem, ponieważ są tylko ludźmi. Co ci przyszło do głowy, gdy pisałeś: „On jest wojownikiem, a ja próżniakiem". Oto zaprawdę człowiek, który się skarży, jak szaleniec. Najpiękniejsza przyszłość otwiera się przed Tobą; życie geniusza, pełne walki. Staniesz się przedmiotem ludzkiego podziwu: czegoż Ci trzeba więcej, istoto nienasycona? Na śmiertelnem łożu będziesz mógł powiedzieć: żyłem. Czegoż żądasz więcej? Ach, gdybym ja tę samą miał nadzieję, jakżeż byłbym potężny i silny!

Broszura Twoja prawdopodobnie jest dobra, moje zdanie o niej było błędne — koniec jest dobry, nie za dużo ognia, ani też lodu, jak przystoi w broszurze politycznej: lecz powtarzam Ci: poetą jesteś, nie politykiem.

Zabawna rzecz; każdy z nas zrobił z kogoś autora, ja z Couteau, Ty z Augusta. Nie myśl, że chciałbym przez to w najmniejszym stopniu czynić porównania. Wiersze Twoje są bardzo harmonijne i przyjemne: „Wspomnienie uświęca", a potem „Bo kochać jest większem szczęściem" itd., to dwa doskonałe wiersze. Całemu utworowi można by może zarzucić trochę miękkości, brak energii, lecz to jest zupełnie zależne od Twojego celu i od chwili, w której pisałeś. O tem sądzić nie mogę, gdyż nie byłem z Tobą. Słusznie, że uczyniła na Tobie wrażenie śmierć Dybicza, a mówi się przecież, że Bóg cudów nie czyni. Dlaczegoż ten wielki i wyniosły wódz nie padł na polu chwały? — Dlaczego hańba towarzyszyła ostatnim jego chwilom? Zanurzył się w łoże puchowe, by nie powstać z niego więcej. — Za czasów Sennacheriba powiedzieliby ludzie: „Oto ręka Boga Sprawiedliwego", teraz stu się przyczyn szuka i mędrkuje. Nienawidzę rozumowania! Ono to spowodowało upadek ludzkości z pięknego Edenu do stóp Kaukazu, Alp i Pireneji, tam, gdzie się szatan przechadza. Oto czem jest rozum! Jest to rzecz martwa; jeśli można tak powiedzieć, jest materią duszy. Zasypiam, jak człowiek pijany, budzę się, jak człowiek, który chce się upić. Dni moje przesuwają się, jak obłoki po niebie, nie zostawiając na niem śladów, lecz głębokie ślady na samych sobie, gdyż wychodzą z gór jurajskich jako zwarta masa światłości i przychodzą jako łachmany i ciemność nad Mont Blanc. Dobrze, dobrze, nie wszystko jeszcze stracone, gdy można zjeść skrzydełko kury i zrobić wycieczkę do Pomier. Wiesz, przepaści są jedną z piękności przyrody. Jakżeż spokojny sen tam w dole, dokąd się dostaje skruszonym, jak ciastko. Od pewnego czasu zatrzymuję się przed każdą przepaścią, rozkoszą jest dla mnie w nie spoglądać; czuję, że mogę skończyć z ludźmi i ze sobą samym. Lecz to się nie stanie, jestem chrześcijaninem. Myśl jednak, że to by się stać mogło, sprawia mi ulgę. To jak ogród H., choć H. w nim nie ma. Żegnaj! Odpisz zaraz!

Rozum

Otchłań, Samobójstwo

Zyg. Kr.

22. DO HENRYKA REEVE'A

3 lipca 1831, Genewa

Kochany Przyjacielu!

Oczekuję listów z Petersburga, kochany Henryku. Cóż za oczekiwanie! Jakie będzie rozwiązanie? Gorączka, rozpacz, szał. Jest mi o wiele gorzej, niż wtedy, gdy mię opuściłeś. Dziś rano np. zaledwie mogłem się modlić. Źle jest bardzo, gdy nie można się już modlić.

Jacky powiedział, że byłby zmuszony spełnić wszystkie rozkazy mojego ojca. Nic mu nie odpowiedziałem, wybuchnąłem śmiechem. Czyż mnie uważa za dziecię w kołysce? Powiedział mi, że nie mam jeszcze 21 lat i nie jestem jeszcze pełnoletni. Czyżby sądził, że mojej duszy nieśmiertelnej potrzeba dwóch bagatelek więcej, które nazywają się latami, aby umieć oprzeć się i działać? W milczeniu przygotowuję się do rozpaczy, lecz nie chcę

szczebiotać, dyskutować, argumentować; wypowiem swoją wolę, a potem niech uczyni z tych wszystkich scen, co będzie mógł. Zredukuję je do czterech słów. Potem zamiast mówić, będę się umiał wyrwać, broniąc rękami i nogami. Są to ruchy tonącego. — Aż do chwili, w której jeszcze usta mieć będę ponad wodą, wołać będę: „Niech żyje Polska!". A raczej to będę myślał, lecz powiem: „Żegnaj, Henrieto!", gdyż przyrzekałem jej po wiele razy, że imię jej będzie mojem jedynem pożegnaniem dla świata wokoło. Oszukałem ją w wielu rzeczach, chcę przynajmniej tego jednego przyrzeczenia dotrzymać. Nie widuję się ani z Binetem, ani z Aleksandrem; są zawsze zajęci i nie bawiłbym ich wcale, a są to ludzie, lubiący się bawić.

Odpisz mi zaraz! Żegnaj, mój przyjacielu, niech Ci Bóg błogosławi we wszystkich czynach, w każdem natchnieniu. Żegnaj.

Uszanowania dla Matki Twojej.

Zyg. Kras.

23. DO HENRYKA REEVE'A

7 lipca 1831, Genewa

Mój kochany Henryku!

Właśnie odebrałem list Twój z dnia 1 lipca. Co do H. zdaje mi się, że wrażenie, jakie na niej wywarłem, było bardzo słabe, skoro tak szybko przeszło. Nie, nie prosiłem jej więcej, by była moją kochanką, błagałem ją tylko, by została moją przyjaciółką, a i tego nie mogłem uzyskać. Nie wiem, prawdę powiedziawszy, od dwóch i pół miesięcy, co się z nią dzieje. Możliwe, że listy jej natrafiają na zapory nie do przezwyciężenia; może tajemnica jej została przez ojca odsłonięta. Wydaje mi się to jednak wątpliwe, gdy sobie przypomnę przenikliwość starego mieszczucha. W takim razie nie mogę zrozumieć tego ostatniego listu, tak pięknego, tak pełnego rezygnacji i tej ostatniej przesyłki łańcuszka, a potem najzupełniejszego milczenia. Po raz ostatni pisałem do niej 24 czerwca i list mój kończył się temi słowy: „Żegnaj! Jest to pożegnanie na długo, jeśli nie raczysz mi odpowiedzieć. Pożegnanie aż do dnia, w którym archanioł zdruzgocze kamienie grobowców. Lecz, jeśli choć dwa słowa tylko mi przyślesz, swoją napisane ręką, ujrzę Cię jeszcze przed śmiercią". Jeśli nie odbiorę żadnej odpowiedzi, przekonany będę o jej pogardzie dla mnie. Jest to dla niej najzupełniejszem usprawiedliwieniem, dla mnie zaś zupełnem potępieniem, ostatnim stopniem poniżenia. Walewski kazał mi powiedzieć, że mi da paszport i pieniądze. Czy myślisz, że to uczyni? Łatwo powiedzieć. Lecz posłuży to zawsze później do jednego więcej oskarżenia. „Kazaliśmy mu powiedzieć, lecz nie przyjechał". — Nic to ludzi nie kosztuje obiecywać bez zamiaru dotrzymania, a potem ze starej obietnicy ukuć nowe oszczerstwo. Ach, co cierpię, to niewielu ludzi wycierpiało — i tę przynajmniej dumną mam pociechę, że myślę, patrząc na innych: „Wy, wy wszyscy, dziećmi tylko jesteście w porównaniu ze mną, gdyż nie cierpieliście tyle".

Dziś np. tak bezsilny jestem, że list ten zaledwie mogę napisać, jakkolwiek piszę go do swojego najlepszego przyjaciela.

Co do wierszy Twoich, nic w nich do skrytykowania nie znalazłem. „Kain pierwszy zgrzeszył, a my ostatni może grzeszyć będziemy" jest bardzo piękne. Wiersz, który następuje, jest tylko pleonazmem i psuje wrażenie poprzedniego. Wykreśl go! Opis poranku jest urozmaicony jaskrawemi barwami, gdyż cieszy duszę, a później rzuca ją w dym walki; to dobre, to czytelnikowi nie daje odpoczynku; sądzi on, że przybył do spokojnej oazy, tymczasem odnajduje tam okropność naszego przerażającego losu. To dobre, coś takiego ściska za serce czytelnika. „Godzina dzień" także dobre, tylko wyraz „analogia" wydaje mi się mało poetyczny; lecz nie znam dostatecznie języka angielskiego, by o tem sądzić. „Jesteśmy podobni podróżnikom" niewielkie na mnie czyni wrażenie, lecz doskonały jest ten pierwszy ustęp o wieku („podobny lalce"). Zresztą jestem tak ogłupiały od trzech dni, że nic prócz głupstw mówić nie mogę.

Klustine'a widuję często. Dobrze nam ze sobą, jest tak, jak ja, nieszczęśliwy. Długie przepędzamy godziny, przeklinając tyranię, przypominając sobie jej zbrodnie i wyostrza-

jąc swe dusze, by nigdy nie przestały jej nienawidzieć, rozpatrując spokojnie przeznaczony nam los i stawiając sobie pytanie, czy dość będziemy mieli godności w sercu, by nie uniknąć go przez samobójstwo. Ostatnim razem, gdy rozmawialiśmy ze sobą, zatrzymaliśmy się długo nad okropnym obrazem Syberii. „Może — rzekł mi — odnajdę cię za lat kilka wśród tych wysp lodowych, będziemy tam oddzieleni od świata, poza ludzkiem społeczeństwem, nasza wieczność już się zacznie; — będziemy pracowali w kopalniach i przy każdym kawałku metalu, zroszonym potem naszym, myśleć będziemy o tem, że na nim wyryty zostanie obraz tyrana. Cóż za myśl, cóż za przyszłość, cóż za koniec! Cóż znaczy w porównaniu z tem śmierć na polu bitwy?". — Wyszedłem od niego przejęty do głębi temi przerażającemi obrazami. Noc była czysta, gwiaździsta, świeży wietrzyk sił mi dodawał. Już na szczycie gór jurajskich bladły ostatnie ślady dnia. Czułem, że jestem na wolnej ziemi wśród gór. Zanuciłem pieśń narodową *Jeszcze Polska nie zginęła* i przeniknęło mię uczucie wolności, zapału dla ojczyzny i dla śmierci człowieka wolnego. Była to może chwila, w której najbardziej należałem do mego stulecia i w której serce moje biło największą miłością dla wzniosłej przyrody szwajcarskiej. — Przyjacielu, będziemy umieli być tak wielkimi, jak nieszczęście nasze, i nie ustąpimy losowi, bo nie ugniemy się, gdy on nas pognębi. Pokusy mają dla nas małe znaczenie, gdyż myślimy o wieczności, męki jeszcze mniejsze, gdyż myślimy o wieczności. Przyjacielu, będziemy umieli umrzeć w sposób uroczysty i, jeśli życie Twojego przyjaciela ból i wstyd Ci przyniosło, może ostatnie chwile jego przyniosą Ci radość i chwałę. Prosisz mię o kilka fragmentów z *Adama*. Oto są[52].

Co do Twojego poematu, dobrze by było jednak, gdybyś coś wielkiego do naszego wieku wprowadził, coś, co było w tym wieku, choćby tylko wielkość potępienia. Dusza poety musi dążyć w końcu zawsze do poszukiwania piękna; a zresztą nie ma wieku, w którym by nie było wielkiej myśli lub wielkiego czynu. W ten sposób okażesz, że sam należysz do swojego stulecia i że masz prawo pogardzać jego zbrodniami i jego upadkiem, ponieważ czujesz, co w nim jest podniosłego. A teraz, jeśli zapytujesz, co w nim jest podniosłego, odpowiem: „Nic, o czem bym wiedział, z wyjątkiem Polski". Jeśli zobaczysz Mickiewicza, ucałuj go ode mnie. List od niego odebrałem przed tygodniem; jeszcze nie był zdecydowany.

Cóż u diabła, mój kochany, zauważyłeś w Walewskim przypominającego cesarza? Binokle i złoty łańcuszek chyba mało do tego się nadają, by obudzić wspomnienie miecza, który świat podbija, i ostróg, które gnały konie swoje poprzez brzuch Europy. Zresztą jest to z natury dobry chłopiec, lecz paryskie salony w głowie mu przewróciły; w każdym razie takim go znałem. Możliwe, że wzniosła sprawa, której służy, wznieciła w jego duszy coś bardziej poważnego. Pozdrowienia dla Jerzmanowskiego! — Czy wie, że Girardot umarł? Pomyśl o H.! Jeśli się dowiem, że jest szczęśliwa, umrę spokojnie. — Żegnaj, kochany Henryku! Niech Cię Bóg błogosławi! — Żegnaj, żegnaj!

Zyg. Kr.

Blisko rok od nocy w Sallanches. Byliśmy inni wówczas, niż dzisiaj.

24. DO HENRYKA REEVE'A

Mój drogi Henryku!

8 lipca o 10 godzinie wieczorem. Właśnie zsiadłem z konia, przemoczony do kości, ale, jako wierny wykonawca Twojej ostatniej woli, jako egzekutor Twego testamentu w stosunku do ogrodu w Bourdigny, czuję się w obowiązku przesłać Ci raport zwięzły i dokładny o wszystkiem, co zrobiłem, widziałem i słyszałem. Zbliżałem się konno do wzgórka, który tak kochałeś, gdy na skręcie ścieżki spostrzegłem postać kobiecą na małym szkockim rumaku, czarnym, jak kruk. Gdybyś mi towarzyszył, serce by Ci było wyskoczyło z piersi. Co do mnie, poznałem osobę tę o smukłej i lekkiej kibici, siedzącą wdzięcznie na koniu, dopiero wtedy, gdy ją minąłem. Była to K. S.[53] z jakimś młodzień-

Kwiaty, Kochanek romantyczny, Przyjaźń

[52] *Prosisz mię o kilka fragmentów z „*Adama*". Oto są* — Dołączył je Krasiński na osobnych kartach. [przypis redakcyjny]

[53] *K. S.* — Konstancja Sautter, ukochana Reeve'a. [przypis redakcyjny]

cem, który, przypuszczam, jest jej bratem, gdyż uderzyło mię podobieństwo ich twarzy. Była bardzo ładna na małym koniku, który podskakiwał pod ciężarem młodej dziewczyny; trzymała uzdę z niedbałością dziecka i zręcznie poruszała główką, zwracając ją we wszystkie strony. Amazonka jej była granatowa, kibić bardzo wiotka i szczupła, kapelusz czarny. Jej jasne włosy wymykały się spod niego i zdawały się przepuszczać światło, gdyż promień zachodzącego słońca przybiegł z nad gór jurajskich, by zmieszać się z ich puklami. Musiałem mijać ją szybko i oto owoce jednego spojrzenia, które rzuciłem. Gdyby wiedziała, że indywiduum w czapce niebiesko-czerwonej, w białych spodniach, z twarzą ponurą, jak Giaur, które mijało ją prędkim galopem, udawało się do jej ogrodu, by zerwać tam kwiat dla brzegów Anglii! Na drodze, która otacza żywopłot ogrodu, spotkałem ojca Sauttera. Rozmawiał z sąsiadem, podczas gdy sznur wołów defilował przed nim. Mruknąłem: „Przekleństwo" i, objechawszy posiadłość, uwiązałem konia u jakiejś tylnej furtki. Następnie przechadzałem się wzdłuż i wszerz drogi z postawą człowieka, który oczekuje na swego przeciwnika, by się pojedynkować. Ojciec Sautter ciągle znajdował się w odległości 50 kroków ode mnie. Niecierpliwość sprawiała, żem gryzł wargi i tupał nogami. Wreszcie zbliżył się ku mnie i zdawał mi się przyglądać. Oddałem mu spojrzenie za spojrzenie, więc, widząc, że niczego więcej się o mnie nie dowie, oddalił się w kierunku pól zbożowych. Sądząc, że sposobność jest dobra, przeskoczyłem żywopłot, lecz w tej samej chwili dwa olbrzymie psy wyskoczyły z kępki drzew i rzuciły się z błędnem spojrzeniem na mnie, wyszczerzając białe zęby. Wyciągnąłem sztylet i dzięki jego ostrzu, które skierowałem ku ich głowom, cofnąłem się z honorem aż do furtki, skąd wskoczyłem na konia. Lecz tam, patrz! Oto ojciec Sautter zjawia się z przeciwległej strony między kłosami. Wzięty w dwa ognie zachowałem się z zadziwiającą przytomnością umysłu, gdyż uspokoiłem psy gwizdaniem i oznakami przyjaźni, co do ojca Sauttera zaś, gdy zobaczyłem, że wychodzi na drogę z mojej prawej strony o 10 kroków ode mnie, rozciągnąłem się na swojem siodle, położyłem głowę na szyi, a nogi na grzbiecie konia i udawałem, że chcę zasnąć. Prawy właściciel Bourdigny przeszedł, patrząc na mnie z uśmiechem, którym zaznaczał, że sprawiłem na nim wrażenie oryginała, a następnie oddalił się w stronę swego domu, pozostawiając mi dla towarzystwa swoje dwa uprzejme cerbery. Ze sztyletem w lewej ręce, z cygarem płomienistem w ustach, ze skręconemi do pieszczoty palcami prawej ręki przeskoczyłem powtórnie żywopłot, ostrożnie, ale nie bez śmiałości. I oto patrz, psy przyszły, by rozciągnąć się u moich nóg i przycisnąć but mój swemi łapami. Jak umierający z głodu sokół, rzuciłem się na różę i jakiś inny kwiat, które umieściłem w swoim notatniku i które Ci przyślę, skoro tylko zeschną. Następnie spiąłem konia i odjechałem. Spotkałem na mej drodze okropną nawałnicę; błyskawice rozciągały się jak flagi ogniste nad moją głową, piorun grzmiał w górach jurajskich i na Salewie, deszcz spływał z chmur firankami, draperiami. Leciałem poprzez burzę, unosząc biedne kwiatki, umierające na mem łonie.

Tak brzmi moja powieść. Spisuję ją natychmiast, by nie dać czasu duchowi memu do zatracenia wrażenia.

Mój drogi Henryku, sądzę, że nie więcej zostanie mi się po H., niż Tobie po K., gdy otrzymasz te kwiaty. Chciałbym wiedzieć, czy H. ma ogród. Mógłbyś mi oddać tę samą usługę. Niegdyś nie dość mi było długiego pocałunku — dziś kwiat wyblakły, którego dotknęła, przechodząc, rąbkiem swej sukni, będzie może zbyt wiele. Wszystko, wszystko po kolei mię opuszcza. O drogi Henryku, jestem nieszczęśliwy i lepiej by mi było umrzeć nawet na cholerę, niż żyć długo takiem nieszczęśliwem, nędznem życiem.

Ojciec, Syn, Ojczyzna, Polak, Polska, Patriota, Zdrada, Konflikt wewnętrzny

12 lipca. Otrzymałem wczoraj listy z Petersburga. Cóż Ci powiedzieć mogę, drogi Henryku? Rozpaczliwa moja rozterka wzrasta bezustannie. Ojciec pisze do mnie z rozdzierającą czułością. Mówi, że gotów złożyć w ofierze ojczyźnie siebie i syna swojego, ale zaklina mnie, bym czekał jeszcze, i zapowiada bliskie nasze spotkanie. Henryku, cóż byś zrobił na mojem miejscu? Ale po co mi pytać, jakby kto inny postąpił? Widzę, że jestem zgubiony. Jestem głupcem, jestem tchórzem, jestem nieszczęśnikiem, mam serce dziewczęce, nie śmiem się narazić na przekleństwo ojcowskie. Spodziewałem się listu władczego, gwałtownego, energicznego, byłem przygotowany na walkę rozstrzygającą, straszną, również energiczną. Zamknąłem serce i duszę w łonie. Lecz gdy nadszedł list wczorajszy, gdy, miast gróźb, znalazłem prośby, miast wściekłości ujrzałem błogosławieństwa, miast rozkazów błagania, miast uczuć, o których myśleć nie mogłem bez drżenia,

miłość do Polski, bijącą z każdego słowa, moc moja rozpłynęła się we łzach. Przygotowałem ramię moje do zadania ciosu, a gdym je opuścił, nie natrafiłem na opór, uderzenie padło w próżnię i rzuciło mnie o ziemię. Jestem roztkliwiony, pełen przywiązania do mego ojca, do jego nieszczęść gorzkich, i nie znajduję już dość energii do decyzji. Oto stan mój. Możesz rzucić na moją głowę przekleństwo, przyjacielu, ale mówię Ci, nie jestem już sobą. Jednakowoż już odpowiedziałem, nie dając żadnych obietnic, utrzymując w dalszym ciągu, że pojadę do Polski, o ile zdarzy się okazja. Lecz gdzież ta okazja? Wszyscy Polacy, którzy udali się do Paryża, są jeszcze w Paryżu, krokiem nie ruszyli naprzód. W tych dniach widziałem się z jednym Polakiem (pół-Polakiem, a druga połowa, diabeł wie, jaka), powracającym z Włoch. Zawiadomił mnie, że według tego, co mu w Rzymie ks. Gargarin mówił, wszystkie ambasady rosyjskie mają mój rysopis i rozkaz aresztowania mnie i wysłania do Petersburga, gdybym próbował wymknąć się z Genewy. To nic. Gdy o obowiązek idzie, na wszystko ważyć się trzeba. Ale ojciec mój, mój ojciec, on, który, niegdyś potężny, bogaty, syt pochlebstw i sławy, widział się pierwszym obywatelem Polski, on, którego dusza nigdy w miejscu nie ustała, jeno rwała się naprzód, dziś, powalony, stracił wszystko, nie posiada nic prócz mnie na szerokim świecie. Jeżeli i tę podporę straci, co się z nim stanie? Nie śmierci się lękam dla niego — byłaby dobrodziejstwem dla nas obu — jeno długich lat starości, pełnych rozdzierających wspomnień, wstrętu i goryczy, złamanego serca nad moim grobem, spojrzenia, które rzuci wkoło siebie, nie znajdując nikogo, kto by dłoń wyciągnął ku niemu. A kiedy sobie przypomni, że trzydzieści lat temu on był tym, który zatknął orła polskiego na szczycie Somosierry, czy sądzisz, że to jedno wspomnienie nie wystarczy, by, zgrzytając zębami, padł zrozpaczony na ziemię? Tej długiej agonii obawiam się dla niego i pragnę mu jej oszczędzić. Zostaje mi jednak promyk nadziei, że będzie walczył za Polskę, a ja u jego boku. Zobaczysz zaraz, co mnie skłania do przypuszczenia, że to możliwe.

Zresztą jestem w najzupełniejszej niepewności. Rady ludzkie nic mi dać nie mogą. Wyglądam jedynie natchnienia od Matki Bożej, a gdy to natchnienie spłynie na mnie, pójdę za niem. Będziesz zapewne zdania, że to mistycyzm. Pozostań przy tem mniemaniu, jeżeli przypuszczasz, że Zygmunt chce oszukiwać swego najlepszego przyjaciela. Piszę, co czuję, co myślę. Może być, że to głupstwo; w takim razie jestem głupcem, ale nie oszustem.

I ta myśl o samobójstwie, która zawsze unosi się wkoło mego mózgu, rzecz dziwna, nie robi więcej na mnie wrażenia zbrodni, przeciwnie, zdaje mi się, że to rzecz dozwolona... Oto uczucia moje. Ale, kiedy się zastanawiam, widzę jasno, że to zbrodnia. O, gdyby umrzeć znaczyło: zasnąć na zawsze! Wieczność? Zobaczysz, że czeka nas nowe umęczenie w tej wieczności. Będziemy ją przeklinali tak, jak dziś ziemię przeklinamy, będziemy się skarżyli, ciężkie krople potu spływać będą z naszych czół wiecznych, ciała nasze promienne zawierać będą krew, gotową do przelania, cierpienie nękać je będzie. Spokoju, spokoju! Snu, bez żadnych marzeń! Albo czasem marzenia dziecięce, piosenka piastunki, gdy trawa poruszy się na mogile, lub rozkosz zimowego ogniska, gdy wiatr ostry zawieje wkoło grobowca. Jakiż szaleniec ze mnie, jaki głupiec! Osądź z tego, dokąd zaszedłem! Ja trącę materializmem, ja pożądam nicości! Ach, jakże cierpienia podcinają skrzydła ducha! Ani słowa o tem nikomu! Po przeczytaniu mego listu zanuć: „Jakże szczęśliwie na poddaszu!".

25. DO HENRYKA REEVE'A

Genewa, 13 lipca 1831 r.

Kochany Henryku!

Tak samo było z H. Gdym jej oświadczył, że pragnę ją mieć za siostrę, rezygnując z tego, by została nadal moją ukochaną, odpowiedziała mi, że zawsze będzie moją miłością, a wiesz, co później z tego wynikło. Nie myśli więcej o mnie. Tak samo mówisz mi teraz,

Henryku, że będziesz zawsze moim przyjacielem[54]. Przypomnij sobie kiedyś moje obawy, gdy się spełnią! Co do mnie, bądź pewien, jestem Twoim przyjacielem aż do śmierci.

Przeczytałem Twoją *Cholera morbus* i znajduję, że zanadto jest podobna do *Starego marynarza* Coleridge'a. Nadto, dziecię i ojciec, którzy umierają, przypominają ustęp z *Don Juana*. Zachód księżyca jest piękny. „Komnata w Oceanie". Poetyczne to wyrażenie. Życzyłbym sobie, byś wlał w swoje wiersze trochę więcej harmonijności muzycznej i siły. Znajduję, że niekiedy są zbyt mdłe. Na ogół obraz „chorągwi tak czarnych" na „miastach tak białych" robi wrażenie. Ale przypomnij sobie, że te „tak", te „przyszła noc", są w stylu Coleridge'a, a styl Coleridge'a ma tę właściwość, że dąży do wywołania wrażenia nie przez myśli, lecz przez układ słów. Pamiętaj, Henryku, że wielkie myśli tworzą poetę, tak, jak sam poeta jest jedną z wielkich myśli Boga.

Poeta

Co do mnie, przekonałem się w ostatnich czasach, że mam rzeczywiście iskrę poezji w łonie, co prawda, bardzo niedoskonałą, gdyż brak mi rytmu. Dowodem tego jest, że bez nadziei, by mię kiedykolwiek czytano, piszę i piszę z takim samym zapałem, jak przedtem. A więc piszę, bo muszę pisać, piszę, piszę, bo piszę, „Nic mi innego nie pozostaje, jak pisać", aby znów Coleridge'a przytoczyć. Być poetą, czyż to nie znaczy posiadać nadmiar myśli, które wytryskują strumieniami nad powierzchnię duszy i które kłębią się nad nią, póki sobie ujścia nie znajdą? Cóż go to obchodzi, czy ujście to wiedzie do uszu ludzkich, czy do nicości, byleby się pozbył tego ognia, który go pali i nie daje mu chwili wytchnienia. Oto dlaczego zawsze dawniej Ci mówiłem, że górujesz nade mną uczuciem, bo piszesz dla siebie, a ja dla innych.

Śmierć, Poezja

Ale po cóż mi teraz mówić o poezji, gdy może wkrótce stanę oko w oko ze śmiercią, z najwznioślejszą poezją życia ludzkiego. Dopiero w tej ostatecznej chwili poczuję po raz pierwszy, co to prawdziwa poezja, co to pęd nieokiełzany duszy do wieczności.

Nie wiem, jakie przeczucia ostrzegają mię, bym się na śmierć gotował, czuję jakby głos jakiś, który mi mówi: „Jesteś istotą bezużyteczną, nie oszczędzi cię zaraza". Jak wiesz, jest to jeden z moich wielkich artykułów wiary, że skrzydło muchy wystarczy, by powalić człowieka, który nie jest do niczego przeznaczony w przyszłości, ani się teraz na nic przydać nie może. A więc jestem prawie przekonany, że cholera wymierzy sprawiedliwość moim dziewiętnastu latom, roztapiając je w wieczności. Dużo mówiłem o tem wczoraj z Panchaudem. Spodziewa się, że wkrótce ujrzy tę zarazę w Genewie. Powiedział mi, że cierpienia nie są wielkie, że odczuwa się tylko silne obawy i że jest to jakby ostatni dzień długiej a ciężkiej choroby. Nadto przytomność umysłu zostaje zachowana; to dobrze, gdyż można wydać sąd o sile swego ducha, przeglądać się w lustrze, patrzeć, czy się nie blednie, i wyśmiewać się z siebie samego, gdy jakiś muskuł twarzy się rozpręża. Można osądzić ze swoich chwil ostatnich, czem byłoby się później: tchórzem, czy lwiem sercem.

Sądzę, że, gdy ta uroczysta chwila nadejdzie dla mnie (za miesiąc lub 6 tygodni), będę do niej doskonale przygotowany. Trwa to dziesięć do dwunastu godzin. Będę jeszcze miał czas do napisania słów kilku do Ciebie, do Leacha, do H. Prześlę Ci pukiel moich włosów, byś go oddał po mojej śmierci tej, która mię kochała. Piszę dziś mój testament. Przekazuję Ci w nim sztylet, małe pistolety, biblię angielską, wszystkie moje francuskie i angielskie rękopisy. Jeżeli przeczucie moje się sprawdzi, Duchesne otrzyma polecenie przesłania ci

[54] *Tak samo mówisz mi teraz, Henryku, że będziesz zawsze moim przyjacielem* — odnosi się to do następującego ustępu listu Reeve'a z dn. 7 lipca 1831 r.: „Biblia mówi, że źle jest śpiewać pieśni nad cierpiącymi i ocet na nich wylewać; lecz w braku innej pociechy zapełniam listy moje własnemi wierszami, które są prędzej płodami męczącego siebie ducha, niż towarzyszami prawdziwego bólu. Chcieliśmy obaj razem wymyślić czarodziejski napój, który by mógł zjednać nam podziw świata i który jednocześnie »mógłby uspokoić gorące czoło i ochłodzić pałające lica«. Lecz po to otworzyliśmy kryjome źródła bólu i płakaliśmy niekiedy, ponieważ chcieliśmy wyśpiewać łzy. Jak ptak pustyni, zadaliśmy sobie głęboką ranę w łono, by dziecię naszego ducha mocne było i silne. To wszystko jakąż miało dla nas wartość! Mylisz się bardzo, mój kochany, jeśli myślisz, że posiadam prawdziwą tajemnicę umiejętności wzbudzania zachwytu i pochwał u ludzi: nie czuję w sercu zarodka ni wielkości, ni sławy. Chcesz może, bym się zobowiązał do poskromienia tej góry maszyn i bezmyślnej materii, do powiedzenia tym wszystkim kupcom: »Patrzcie na mnie!«. Albo w jaki sposób mógłbym się dostać do tego tłumu, który się za literacki uważa? Nic, prócz oddechu, nie mam z nimi wspólnego. Ja i oni nie dość się rozumiemy, by się pokochać, gdyż tajemnica miłości, w najszerszem znaczeniu tego słowa, to jedność myśli, jedność uczuć i umysłu. Ty i ja zrozumieliśmy się dobrze i, póki mi nie zamkniesz bram swego serca, aż do chwili, gdy już nie zechcesz być zrozumianym, będę Twoim przyjacielem i będę silny moją przyjaźnią". [przypis redakcyjny]

tych przedmiotów wraz z pierścieniem, książką do modlitwy i Szekspirem, które oddasz Leachowi. Kończę testament słowami:

„Opuszczając tę ziemię w wieku bankierów i ujarzmicieli, żałuję jedynie, że nie padłem na polskiem polu bitwy i że nie było żadnego z moich przyjaciół angielskich u śmiertelnego mego łoża". Te słowa są symbolem mojej duszy; bo co do ziemi, to nie żałuję jej wcale.

Czy chcesz posłuchać trochę jeremiad Adama?

Będzie ci się może wydawało, że list ten zawiera dużo rzeczy dziwnych lub śmiesznych. Ale przypomnij sobie, co myślałem nad brzegiem przepaści. Nie jesteśmy panami naszych uczuć, naszych wrażeń; to one są naszymi panami: myślimy i piszemy mniej lub więcej przygnieceni ciężarem ich jarzma. Czuję głęboko to, co napisałem w tym liście: to moje głębokie przekonanie. Napiszę do Ciebie, przyjacielu mój, jeszcze kilkakrotnie, zanim się wszystko skończy. Twojej matce moje uszanowania.

Kochanek romantyczny, Poeta

Żegnaj! Jeśli się możesz dowiedzieć cośkolwiek o H., będzie to muzyką w mych ostatnich chwilach.

Zyg. Kras.

26. DO HENRYKA REEVE'A

25 lipca (w 16 miesięcy po Salève). Genewa

Kochany Henryku!

Powróciłem wczoraj w nocy z zabawy żeglarskiej, poczerniony prochem, rozpalony gorączką i upałem, czerwony jak cegła, i przybity zmęczeniem. Znalazłem na stole list Twój z d. 12 lipca. Noc, którą z powodu tego listu przebyłem, jest jedną z tych, po których przez dni kilka zachowuje się bolesne wspomnienie. A więc jest w Tunbridge Wells, w tej samej miejscowości, skąd tyle razy pisała do mnie! Przy mojej ostatniej spowiedzi (pamiętasz) odmówiłem zaprzestania wymiany listów. No i co? Od tego czasu ona to zaprzestała pisywać do mnie. A więc na tem skończyły się wszystkie moje sny, wszystkie dążenia, aby wprowadzić do tego nędznego życia rzeczywistego, życie głębsze, świetniejsze — bardziej urojone. Jak zły aktor, pyszniłem się za kulisami, udawałem wielkiego człowieka, męczennika, zapaleńca, a gdy trzeba było ukazać się na scenie, nie wiedziałem już, co mówić i co robić.

Obraz świata, Sen

Zwróć na to uwagę, że w moim charakterze nie ma nic stałego. Podobny on jest do mojego stylu. Jestem zrodzony do krańcowości; bezustannie przechodzę od hańby do sławy, od pogardy do rozkoszy zadowolonej ambicji, od złego do dobrego, od odwagi do strachu, miotany przez wszystko co spotkam; powiadam Ci, dusza moja jest falą, która wznosi się i opada bezustannie. Czegóż się spodziewać po tak usposobionym umyśle, gdy na dodatek spala się gorączką i gdy czuję z dnia na dzień obniżenie się moich zdolności. Jestem igraszką swoich namiętności, uczuć swoich. Nie pozostaję ani przez kwadrans w tym samym stanie. Moje uczucia z innej są materii, niż dusza, innej, niż ja sam. Nic na to nie poradzę. Biada mi, że tak stworzony zostałem!

Kochany Henryku! Dwaj rozłączający się przyjaciele, z których jeden idzie na przód statku, drugi na tył jego, by śmierć mogła stanąć między nimi, są dobrym pomysłem.

Jest to ruch dramatyczny, wywołujący wielkie wrażenie.

Dobrze, dobrze! Wyobraźnia Twoja postępuje ciągle naprzód. Nie wiem, co takiego widzę w całym tym ustępie podobnego niezmiernie do układu mojej wyobraźni, to pewne, że podoba mi się ten „przód i tył okrętu", jak gdyby moim był pomysłem, choć bezsprzecznie jest Twoim. Następnie wschód słońca jest harmonijny i czuje się jego potrzebę dla złagodzenia tego, co go poprzedza. Celujesz w urozmaicaniu barw, mającem na celu utrzymanie równowagi. Pamiętaj, że na tem polega wielka sztuka Szekspira i że wytworzenie całości harmonijnej z różnorodnych i rozmaitych elementów, na pierwszy rzut oka kłócących się ze sobą, jest najwyższym stopniem poezji. Lecz przypominam Ci to, co Ci już mówiłem: trochę więcej siły i muzyki w Twych wierszach! To zadziwiające,

że w chwili, gdy głęboko myślałem o cholerze, zabrałeś się do pisania o niej, jak gdyby myśli nasze mogły wzajemnie działać na siebie. Co do mnie, myślę zawsze, że zginę przez cholerę. Jestem istotą bezużyteczną; posługując się wyrażeniem ekonomiczno-politycznem, jestem konsumentem, nie będąc producentem; stąd pochodzi, że brak mi już równowagi, którą każda istota mieć powinna, i zginę, jak nędznik, którym jestem.

Kondycja ludzka, Korzyść, Śmierć

Jak możesz, Henryku Reeve, pomyśleć nawet, że przyjaciel Twój dałby się zawieść do Wiednia, by bić pokłony przed Tatiszczewem[55]! Nie, mój kochany; ani nieszczęście, ani słabość moja aż do tego nie doszły. — Przeznaczenie moje i okoliczności mogą mię spodlić, poniżyć, wydać na pogardę, lecz, co do mnie, co do wewnętrznego człowieka we mnie, nigdy sam się nie spodlę. A nie są to wcale czcze słowa! Możesz i będziesz mógł liczyć na nie wiecznie. W dniu, w którym Ci powiedzą, że sam się poniżyłem, roześmij się w oczy tym, którzy Ci to powiedzą, i pomyśl potem: „Zygmunta już nie ma na tym świecie".

Dostałem list od mojego wuja i od rannego kuzyna, tego którego pierścień widziałeś na moim palcu, z włosami siostry jego, i list od jego młodszego brata, także oficera. Zdaje się, sądząc z tych listów, są o mnie w Warszawie najlepszego mniemania.

Zaprawdę, jeśli jest jeszcze coś, coby mogło mię pocieszyć, to zainteresowanie się mną matki Twojej — i, zaprawdę, dumny jestem z tego, że te same oczy napełniły się łzami z powodu poematu, co i z powodu mojego nieszczęścia. I jest może coś jeszcze z poezji potępienia we mnie i w mojem przeznaczeniu. Złóż matce Twojej moje uszanowanie, zapewnij ją o mojem przywiązaniu, o mojej wdzięczności za jej dobroć i powiedz jej, że może, gdybym miał matkę, taką jak ona (matka moja umarła, gdy byłem dzieckiem, zaledwie wiem, co to jest matka), nie byłbym istotą, jaką dziś jestem. Zgubią mię namiętności, jest to ojca mego proroctwo. Sprawdzi się ono. Mówiąc o mnie do swej matki, mów, jak gdybym był twoim bratem, Henryku; kocham Cię bardziej, niż brata. Nigdy nie miałem brata. Mój Boże! Wzruszenie Twojej matki wiele dobrego mi zrobiło, bardzo wiele. Więcej czuję dla niej wdzięczności, niżem zdolny wypowiedzieć.

A Ty, mój drogi, powinieneś być dumny, dumny, po trzykroć dumny, i po trzykroć szczęśliwy, żeś płacz swej matki wywołał, mówiąc o kochance. Niewielu ludzi w podobnem znalazło się położeniu. Widzisz, jaką siłę ma poezja! Podziwiaj, czem jest poezja! Nie wyobrażaj sobie, że Ty nią jesteś. Jest to poezja Twojego łona. Nie mógłbyś jej powstrzymać, nawet, gdybyś chciał. Cóż Cię ludzie obchodzą? Pozwól im podziwiać lub ganić, płakać lub śmiać się, unosić się lub naśmiewać. Mówię Ci i powtarzam: jesteś poetą, jeszcze raz poetą i zostaniesz nim, aż do śmiertelnego łoża — czy dla siebie samego, czy dla innych, to nie ma znaczenia. Lecz, kochany, nie zajmuj się tak bardzo broszurami, rozumowaniem itp. Nie pisuj tylu krytyk, zostaw to wszystko na starość, jeśli kiedykolwiek się zestarzejesz, i wierzaj mi, nie spiesz się ze swoim poematem. W dzień jeden po wydrukowaniu go uczujesz, że mogłeś weń tysiąc uczuć włożyć, które się w Tobie zrodziły, a wtedy cóż uczynisz? Trzeba będzie innej ramy szukać. Uczucia, gdy się ram dla nich szuka, słabną, wierzaj mi; doświadczyłem tego na sobie nie raz, lecz sto razy.

Żegnaj, kochany! Odpisz mi zaraz! Może będziesz wiedział coś o tej, która mną pogardza; przed rokiem byłbym powiedział: o tej, która mię kocha. Czasy i słowa się zmieniają. Ból tylko zostaje niezmienny. Piszę ciągle mojego *Adama*; któregoś dnia może będzie to jedyny dowód, świadczący na moją korzyść.

Zyg. Kr.

[55] *(…) że przyjaciel Twój dałby się zawieść do Wiednia, by bić pokłony przed Tatiszczewem* — aluzja do następującego ostrzeżenia, zawartego w liście Reeve'a z dn. 12 lipca 1831: „Jeśli ojciec Ci napisze, byś jechał do Wiednia, i jeśli Jacky go poprze, zaklinam Cię na wszystko, co Ci święte, na naszą przyjaźń i na miłość naszą, byś uciekł, choćbyś miał żebrać po drodze, i tu przyjechał. 150 franków wystarczy Ci aż do Paryża, a tam pieniądze dostaniesz. Strzeż się wyjazdu do Wiednia! Twój ojciec może tak napisze, lecz tego nie pragnie. Bądź o tem przekonany! Nie jest już panem swojej woli. Żegnaj, ukochany, zobaczymy się wkrótce. Jeśli potrzebujesz pieniędzy, Aleksander będzie miał wkrótce moje, które są teraz do Twojego rozporządzenia". [przypis redakcyjny]

27. DO HENRYKA REEVE'A

27 lipca 1831, Genewa

Mój kochany Henryku!

Właśnie odebrałem list Twój z d. 21 lipca i zadowolony jestem bardzo, że te biedne kwiatki z Bourdigny mogły przypomnieć to, co było niegdyś, temu, kogo dziś tu nie ma. — Chciałbym znaleźć kwiat, który by mógł w stosunku do mnie podobny sprawić skutek i przenieść mię z powrotem w całej pełni młodości, energii i potęgi, w te godziny egzaltacji i gorączki, gdy, trzymając rękę H. w mojej dłoni, byłbym stawił czoło wszechświatu i bez lęku zajął przynależne mi miejsce na ostatecznym sądzie narodów. Lecz powiedziałem raz i powtarzam raz jeszcze: tak długo, póki mieć będę takiego przyjaciela, jak Ty, nie będę mógł powiedzieć, że jestem całkowicie nieszczęśliwy. Ty sam może zastąpisz mi wszystkie moje przywiązania, ojca, rodziców, kochankę; tem więcej przywiązany będę do Ciebie, im bardziej świat odwracać się będzie ode mnie: staniesz się gałęzią, której się chwyci człowiek tonący — Ciebie się uchwycę. — A jeśli zadrżysz w chwili wstydu, padnę na ziemię, amen.

Nie rozumiesz więc, dlaczego nie chcę do Londynu przyjechać? Przyjacielu, ciągnę za sobą łachmany, długą tkaninę żałoby, która ruchy moje tamuje. Nie pójdę ku ludziom, by przyjemność im sprawić mojem nieszczęściem; nie, przysiągłem to sobie. Zostanę, przykuty do ziemi genewskiej, aż do chwili, gdy będę mógł do Polski jechać. Nie mów, drogi, że lepiej mi będzie przy Tobie, niż przy Duchesne'ie. Nie pójdę żebrać o jej uśmiechy i spojrzenia. Byłaby zmuszoną dobrze mię przyjąć, gdyż obawiałaby się mojej zemsty. Nie zna mię zupełnie. Mówię Ci, że mną pogardza; ma do tego pełne prawo i słuszną przyczynę. Okoliczności wszystko zrobiły w tym celu, ja tylko trochę, lecz być pogardzanym przez tę, którą się kocha!

Oto jest ustęp z *Adama*[56].

Nie, mój kochany, ja nie mogę jechać do Londynu. Pojechałbym chętnie do Ciebie, lecz nie do Londynu; byłoby to nową hańbą. Dosyć mam, nic już nie chcę dodawać. Na jeden krok od Genewy się oddalić, a krok ten do innego miejsca, nie do ojczyzny skierowany? Nie. Podróżować, jechać, by ludziom się pokazywać? Nie. — Jakkolwiek pogarda mię czeka, nie jestem jeszcze przyzwyczajony do pogardy. Trzeba, by pogarda także nieco poczekała na mnie. Przez dzień jeden, miłosierny Boże, nie można przyzwyczaić się do wstydu! Przypomnij sobie Zygmunta z Chamonix i z Salève i przyjrzyj się teraz tej samej istocie, piszącej słowa: pogarda, wstyd, a pióro nie wypada jej z ręki i serce w piersiach nie pęka w kawały. Czuję jednak w tej chwili jakąś słodycz; wyobrażam sobie, że jesteś przy niej, że dusza Twoja wpływa na nią, że jesteś u boku mojej Henriety, że mówisz z nią o drobnostkach, lecz oczy Twoje wypowiadają moje imię, i że ona odpowiada Ci jakiemiś frazesami, lecz spojrzenia jej rozumieją Twoje spojrzenia. Wszak prawda, Henryku, jesteś w Tunbridge Wells w jej salonie; ona koło fortepianu, Ty stoisz koło krzesła. Chwila to przykra dla Ciebie, który tam jesteś, rozkoszna dla mnie, który jestem tutaj. No i powiedz mi, jak też ona się miewa? Czy jest zawsze wesoła, dziecinna, słodka, czasem usposobiona sarkastycznie? A kibić jej, a oczy, a uśmiech, a ręka? Spójrz poprzez fałdy jej stanika: łańcuszek tam być musi, a na łańcuszku pierścionek. — Henrieto, Henrieto!

Czyż nie zadrżała w tej chwili? Cała dusza moja wyrywa się ku niej. Widzę ją, Ciebie widzę, lecz nie mogę Was dosięgnąć.

Damned, cursed destiny, damned, damned…[57].

Wiersze Twoje o kwiatach z Bourdigny są bardzo harmonijne. Lecz myśl jest zupełnie ta sama, co w różach z Bendemeer w *Zawoalowanym proroku z Karassun*. Co do wierszy o Montreux, są one pełne uczucia, lecz oto jeszcze jedna myśl, która stała się upiorem i, wyszedłszy ode mnie, przyszła do Ciebie. *There may the pilgrim, for a season where other*

[56] *Oto jest ustęp z „Adama"* — dołączył go Krasiński na osobnej kartce. [przypis redakcyjny]

[57] *Damned, cursed destiny, damned, damned* (ang.) — Przeklęty, diabelski losie, przeklęty, przeklęty. [przypis redakcyjny]

pilgrims rest for ever[58]... Słowo w słowo to samo napisałem o cmentarzu w Montreux w moim poemacie polskim o Alpach (gdy mówię „poemacie", roześmij mi się w nos!).

Fair Montreux! I had rather sleep with thee[59] jest bardzo wzruszającym i ładnym wierszem. Ale zarobiłeś 700 fr. Dobrze, mój kochany, lecz im więcej zarobisz, tem mniej będziesz poetą. Nie pisuj nigdy dla zysku! Lecz z innej strony, byłoby humbugiem poezji, nie zarabiać, jeśli można. Nie czyń tylko nigdy wysiłków w tym kierunku.

Poeta, Pieniądz

To co mi piszesz: „Nie poznaję już swojego ja, które umiało tyle kochać", jest wielką prawdą. Człowiek zużywa życie na zmienianie swego „ja".

Przyjacielu, doszedłem do epoki w swojem życiu, która ciężkie brzemię wspomnień mi pozostawi, jeśli ją przebędę. Niechaj Bóg sprawi, bym jej nie przeżył, jeśli ona nie ma się zupełnie zmienić.

Śliczne słońce przenika do mojego pokoju, promienie okręcają się koło liter, które pióro moje kreśli. Jest to słońce Montreux, Saint Cergues, Chamonix. Wkrótce rok minie od czasu, gdyśmy byli na lodowcach. Nocy jednej byłeś w Sallanches bardzo nieszczęśliwy, a ja bardzo szczęśliwy, gdyż spodziewałem się listu od H. Dziś niczego już więcej się nie spodziewam. Dziś upadły jestem i zgnębiony. Dusza moja jest zdartą chorągwią, która łopocze na kiju. Jeszcze trochę natchnienia, ale i to też wkrótce się skończy.

Żegnaj, kochany!

Zyg. Kras.

28. DO HENRYKA REEVE'A

2 sierpnia 1831 r., Genewa

Mój kochany Henryku!

Żaden człowiek tyle dla mnie nie zrobił, co ty, oprócz Leacha na Salève, lecz było to raczej skutkiem zbiegu okoliczności; a tu, jest to skutkiem Twojej przyjaźni. Powiedz mi, jak możesz być moim przyjacielem? Ale jednak jesteś nim, a ja Twoim. List Twój, Henryku, miał na mnie wpływ ogromny. Odebrałem go wczoraj wieczorem po powrocie ze spaceru, podczas którego dużo mówiłem o tobie i o H. I natychmiast poczułem się tem, czem byłem niegdyś.

Reevie, Henryku najukochańszy, rozkoszowałbyś się, gdybyś mógł widzieć, w jaki stan mię wprawiłeś. Widziałbyś mię, jak, dysząc ciężko z gorączki i zapału, wymawiam imię H., przebiegając wielkiemi krokami mój pokój z wyrazem twarzy, zdradzającym, że wierzę jeszcze w przyszłość i że czuję się dość silnym, by walczyć ze swymi bliźnimi. Mówię Ci, że silny dziś jestem, krzepki, potężny. Dusza moja rwie się naprzód, żądna czynu. Ale oto, gdzie rozpoczyna się męka. Kładę się zgnębiony i cierpię, jak istota bierna. Podniecony, tak jak Ty w tej chwili mię podnieciłeś, chciałbym działać, działać, działać nieprzerwanie. Ale cóż widzę: smutne mury mego pokoju i jego purpurowe firanki. Oto, gdzie dusza moja jest zamknięta, oto zakres mego rozwoju.

Moja droga, moja własna, jedynie droga, moja ukochana, droga Henrieta! A więc spotkasz się z nią; już ją widziałeś! Czy słyszysz bicie mego serca? Czy widzisz nieokiełzaną niecierpliwość, która wstrząsa całem mojem ciałem? Nie mam już czasu, by Ci powiedzieć, co masz czynić. Lecz wszystko, co uczyniłeś, uczyniłeś dobrze. Chciałbym, żebyś jej powiedział wszystko, żebyś mówił do niej z zapałem, który, gdy osiądzie na Twojem czole, daje rysom Twoim wyraz poetyczny, porywający, zwycięski. Jestem pewien, że jedna lub dwie łzy błysnęły w Twojem oku i że ona całe wylała ich potoki. Chwila musiała nawet dla Ciebie być bardzo piękną, chociaż ona nie jest Twoją ukochaną. Tak jest,

[58] *There may the pilgrim, for a season where other pilgrims rest for ever* (ang.) — Tam może pielgrzym, wówczas, kiedy inni pielgrzymi spoczną na zawsze. [przypis redakcyjny]

[59] *Fair Montreux! I had rather sleep with thee* (ang.) — Piękne Montreux! Wolałbym spać na twym cmentarzu. [przypis redakcyjny]

Henryku, utrzymuję, że to spotkanie zostawi ślad głęboki w Twojej duszy, że nie przejdzie bez skutków, że zrodzi myśl nową i poetyczną i że później wspominać je będziesz z rozkoszą. Wiem co mówię — nie jest to tylko przeczucie, ale również i doświadczenie. Lecz kto wie?... Może radość i zapał mój wzbudza coś, co ma być moją zgubą. Może zbliży się do Ciebie ironiczna, wzruszona, surowa, otrząsając z pogardy palce, jakby chciała strząsnąć na podłogę krople wody lub krople trucizny, i powie Ci: „Przyjaciel Pana był niegdyś i moim. Teraz, gdy uchybił honorowi i nie spełnił swoich obowiązków, dziwię się stałości, z jaką Pan go jeszcze kocha. Dla mnie jest to odtąd niemożliwe. Czy zechce Pan wstąpić do nas na herbatę?".

Niech Bóg w swojem miłosierdziu oszczędzi mi tej ostatniej próby po Twoim liście, który wzniósł mię tak wysoko nad mój stan rzeczywisty, że stałem się silny, potężny, pełen zapału i ognia. Nie zrozumiesz, w jakim stanie znajduję się teraz. Co za pomieszanie szczęścia i cierpienia, widm mego pierwszego uczucia i upiorów mojej smutnej przyszłości! Ileż namiętności głos swój podnosi we mnie, jakże czuję głęboko, że was kocham, ją i Ciebie, jakież rzucam na siebie przekleństwa, z jakąż litością uśmiecham się, obserwując duszę swoją, tak zmienną, tak dziecinną, tak chwiejną, która w jednej chwili przejść może od zgnębienia do męstwa, od znękania do zapału, od słabości do mocy; a potem wiem, że to długo nie potrwa, że znowu padnę na ziemię i to padnę z wielkiej wysokości, że przełom się zbliża, gdyż wznoszę się jeszcze, gdyż z każdą chwilą szał mojej miłości wzrasta, gdyż teraz dałbym życie, by ją choćby z daleka zobaczyć! Lecz znam się dobrze. Gdy najwyższe napięcie gorączki minie, przyjdzie mi wrócić do niepewnych wspomnień, do bladych, drżących barw, znowu wzdychać lub milczeć w dumie swojej, płakać miast[60] pewnem spoglądać spojrzeniem, jak to czynię w tej chwili. A spojrzenia moje są płomieniem, a dusza moja jest ogniem.

Moja biedna H..., moja droga Henrieta! Szczegółów, Henryku, szczegółów! Najdrobniejsze, najbardziej błahe, wszystkie są dla mnie poezją, z wyjątkiem czepka i braku włosów. Utrzymuję, że to kłamstwo, jawne i podłe kłamstwo. Najmniejsze jej słówko, najlżejszy jej ruch, słowa piosenki: *Serce moje i lutnie* itd., itd. Jak jej pokój jest urządzony? Czyś widział coś pochodzącego ode mnie przy niej? Napisz mi wszystko, wszystko, żebym mógł, nim zginę nędznie, odetchnąć jeszcze raz wonnem powietrzem mojej pierwszej, mojej jedynej miłości! Twoje talenta dyplomatyczne są wspaniałe. Polacy zwyciężyli; król Francuzów wołał razem ze swoim ludem: „Niech żyje Polska, niech żyją Polacy!".

Ale, przyjacielu mój, między tylu rozdzierającemi mię namiętnościami, pośród tylu bólów i cierpień mam dla Ciebie w głębi mej duszy błogosławieństwo uroczyste i pełne spokoju, które przesyłam Ci w dowód wdzięczności i przywiązania. Choćbym był miotany na wszystkie strony, rozbity, nieprzytomny, rozgorączkowany lub znękany i rzucony w pył, w błoto, znajdę zawsze dla Ciebie to błogosławieństwo zarówno w dniach walki i wysiłku, jak na śmiertelnem łożu. Błogosławię Cię, mój przyjacielu, Ciebie i tę, którą tak kochałem.

Zyg. Kras.

P.S. By nie tylko słowami, lecz i czynami Ci się odwdzięczyć, kazałem w tej chwili zawołać do siebie Vauchégo i powiedziałem mu: „Trzeba mi w ciągu 48 godzin splotu włosów Konstancji Sautter. Oto pieniądze, weź wóz, dziś lub jutro, jedź do Bourdigny. Żadnych głupstw, ani skandalu! Działaj ostrożnie i przywieź mi włosy. Słyszałeś?". Rozumiesz, mój drogi, jaki głos, jakie miałem spojrzenie. Przyrzekł, że je mieć będzie. Pojechał. Burza się zrywa, grzmi, wybieram się na jezioro. Żegnaj.

Mia cara Enrichetta, my dear Harriet, Mamma...[61].

Czy przypominasz sobie wszystkie fazy mojej miłości, która wykwitła, jak słońce, na niebie mego życia, zeszła, jak księżyc, a teraz znów wskrzesiła słońce, bo użyczyłeś jej swoich promieni, swojej przyjaźni, swego zapału, Henryku! Niech Bóg Cię błogosławi, bądź wielki i sławny. Mój drogi, skoro jestem tak roznamiętniony, jak teraz, kręcę się ciągle w kółko, obracam temi samemi słowami, gdyż, zwróć na to uwagę, jest to rodzaj

[60] *miast* (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

[61] *Mia cara Enrichetta, my dear Harriet, Mamma...* (wł., ang.) — Moja droga Henrieta, moja droga Henryczka! Mama. [przypis redakcyjny]

szaleństwa, rodzaj natręctwa myśli, a wtedy nie mogę powiedzieć, wyrazić nic innego, tylko tę jedną myśl, która staje się bądź różą, oplatającą moje czoło, bądź gwoździem, wbijającym się w mój mózg.

Oto dlaczego cały list dzisiejszy jest jednem powtórzeniem od początku do końca. Kto inny zobaczyłby w nim niewiele, a dużo humbugu — Ty zaś ujrzysz w nim prawdę, ujrzysz w nim wskrzeszonego na czas pewien trupa, nędznika, wznoszącego czoło z dumą, którą czuł niegdyś, i chwytającego oburącz przeszłość, by uczynić z niej siłą wyobraźni teraźniejszość.

Henrieto! Jak słodko mi pisać to imię! Henrieto, Henrieto, Henrieto! Oby była szczęśliwa, a ja jeszcze godnym jej miłości, jej wspomnienia. Nigdy ręka moja do niej należeć nie będzie, ale niechże przynajmniej wargi jej będą w stanie wymówić imię moje bez wykrzywienia się ze wstrętem. Dzień, w którym zdołam jeszcze wzbudzić w niej zapał, będzie moim najpiękniejszym, najszczytniejszym dniem, choćby był dniem mego zgonu. Oczekujmy naszego przeznaczenia, a mogąc jeszcze pysznić się tem, że mną nie pogardzasz, wznoszę błagalnie oczy i ręce ku niebu, ku Zbawicielowi naszemu. A oto moja modlitwa: „Niech ona będzie szczęśliwa i niech on będzie szczęśliwym, a ja niech zginę, walcząc za swoją ojczyznę!".

29. DO HENRYKA REEVE'A

1831 Genewa, 29 sierpnia

Mój drogi Henryku!

Czy Ci nie mówiłem? Czy Ci nie powtarzałem? Próbowałem wbić klin, tkwiący w mojej głowie, w Twoją. Nie chciałeś temu wierzyć, a raczej uwierzyłeś, ale ponieważ mię kochasz, chciałeś oszukać zrazu siebie, później mnie. „Że hrabia przybył do Polski". W tych słowach zamknięte są i całe moje przeznaczenie, i wszystkie obowiązki, i cała jej pogarda, a wierz mi, pogarda jej jest głęboka. To bunt duszy, długo ujarzmionej, która pojęła, że jej ujarzmiciel nie jest wcale wyższy od niej, lub że upadł, a z chwilą, gdy upadł, oczarowanie, urok, potęga, wszystko prysło, załamało się, rozpadło. Moja miłość znad Lemanu była silnym talizmanem: byłem tem, czem utrzymywałem, że jestem. Podnieciłem ją przyszłością i sławą, ciemnemi odblaskami i wielkością. Inaczej nie mógłbym podbić tej pięknej duszy. Ale gdy przyszłość ta rozwinęła się w nędzne łachmany, wleczone w błocie, zamiast ukazać się jako aureola, błyszcząca nad trumną, talizman stracił swą moc i nie pozostało zeń nic, prócz wiecznego wspomnienia we mnie i najwyższej pogardy w jej duszy.

Kochasz mię tak bardzo, że nie obawiam się prosić Cię, byś podtrzymywał od czasu do czasu w jej sercu niejasne wspomnienie o mnie, bądź przez moje listy, bądź posyłając jej moje pisma, bądź spotykając się z nią, i to wtedy, gdy będziesz chciał, gdy będziesz mógł, gdy Ci to nie będzie nieprzyjemne. Poślij jej *Marię Shelley*! Co ona o tem powie, albo raczej co o tem pomyśli.

Ogłosić naszą korespondencję! Oto kobieta, która słabo jedynie rozumie rzeczy wewnętrzne a dąży tylko do uzewnętrznienia się, do formy, do blichtru. Ach, gdyby wiedziała, że w listach tych złożone są dni rozpaczy jej ukochanego, jego noce, spędzone w gorączkowym szale, jego żale i nadzieje, daremne walki, jego siły i chwiejność jego słabości, zarodki jego sławy i owoce jego ostatniej hańby, zadrżałaby na myśl samą ukazania ich w świetle dnia, jak drżały dziewice starożytne, dotykając kartek ksiąg sybilińskich. Dam Ci temat dla Twego poematu.

Czterdzieści lat temu żyła w Chamonix młoda dziewczyna, prosta chłopka, zrodzona w chacie pośród masła i sera. Ale natchnienie nawiedzało ją od dzieciństwa.

Twarz jej nie była piękna, jak twarze piękności ziemskich, lecz wyrazista, jak zarysy obłoku, zawierającego w sobie ducha. Oczy jej świeciły ogniem lodowców. Była to Joanna d'Arc gór. Ukochała namiętnie piękność przyrody; opuszczała rodziców swoich i swe kozy, by wdzierać się na skałę, oddychać błękitnem powietrzem, wpatrywać się w słońce dniem, a w księżyc nocą. Przepaść była stopniami jej ołtarza, lawina muzyką, a gdy huragan okręcał się wkoło niej, wznosiła się lżejsza i smuklejsza ku ostrym szczytom górskim.

W dwudziestym roku życia namiętne jej umiłowanie śniegów i błękitu pociągnęło ją ku szczytowi Mont Blanc. Poszła za strzelcami kozic skalnych, ludźmi, uszlachetnionymi przez niebezpieczeństwo, jak mówi Byron. Zapuścili się oni między czerwone iglice, by nową utorować sobie drogę. Szła za nimi odważnie i wesoło. Wchodząc na górę, śpiewała pieśni swego dzieciństwa. Mówiła głosem ożywionym, gdy dosięgła lodowców, gdy weszła wyżej nuciła piosenki, szepnęła cichym głosem słów kilka między czerwonemi iglicami, wreszcie zamilkła, ale szła ciągle, a oczy jej były równie błyszczące, jak u stóp góry. Szła, póki oczy jej nie poczęły gasnąć, a lica blednąć. Krople potu zimnemi sznurami oplotły jej czoło, kolana ugięły się pod nią, kroki jej stały się urywane, a ona szła ciągle. Na koniec usiadła, a łono jej biło jeszcze miłością dla szczytu Alp, którego dosięgnąć nie mogła. „Zostawcie mię na śniegu" powiedziała do swych towarzyszy. „Dążcie do swego celu, byście go osiągnęli. Odważyłam się na zbyt wiele, bo za dużo pragnęłam". Lecz wtedy ogień tej duszy namiętnej przeniknął do serca dzikich strzelców. Jakby iskra elektryczna padła na tych ludzi twardych, śmiałych, hartownych. Porwani zapałem, który wzbudziła w nich młoda dziewczyna, wzięli ją na ramiona i nieśli ją coraz wyżej, coraz dalej wśród tysiąca trudów, pokryci potem, rozbici o skały, broczący krwią. Zanieśli ją aż na szczyt Mont Blanc'u i tam nadali imię Marii z Mont Blanc'u. To jedyna kobieta, której stopy dotknęły śniegów króla Alp i diamentów, osadzonych w jego koronie. Od tego dnia tylko pod tem imieniem znana jest w dolinie.

Zrób coś z tego!

W wierszach o nocy w Sallanches, któreś mi przysłał, jest siła: o to Cię zawsze proszę. „Nim góra Ararat obeschła" jest dobre. Myśl natychmiast unosi się ku pierwotnemu światu, a widok gór zawsze wywołuje w naszej duszy obraz tego pierwotnego świata.

Powiedziano mi, że Prevost został saintsimonistą; według tego, co mi piszesz, nie jest to prawdą. Chętnie wierzę, że jest to dusza olbrzymiej miary, ale czemże byłby piorun, gdyby nigdy nie padał poza swoją chmurą?

Poeta, Literat, Poezja

Nie poddawaj się wpływom poezji Hugo'a! Jest to poezja bez myśli, polegająca wyłącznie na wyrażeniach. Wielkim błędem Hugo'a, Balzaca i całej tej generacji ponurych poetów, którzy obawiają się zmoknąć podczas ulewy, jest nadmiar wyobraźni przy ubóstwie uczucia. W ustroju ich duszy brak harmonii. Czytaj ich: co Ci z tego pozostanie, nie będzie pełną, harmonijną całością. Czytaj Szekspira i Byrona! Niektóre szczegóły wydadzą Ci się dysonansami, ale całość wytworzy zgodną muzykę. Wielki poemat powinien naśladować wszechświat, gdzie szczegóły wydają się czasem dziwaczne, ale gdzie całość jest boska.

Zyg. Kras.

Co o tem myślisz? Czy dobrze zrobię, pisząc do H...? Dusza moja się na to wzdryga. Odpowiedz prędko! Nie zapominaj, że H. już więcej do mnie nie pisuje.

30. DO HENRYKA REEVE'A

2 września 1831, Genewa

Od dwóch dni nie modliłem się do Boga i mam gwałtowniejszą gorączkę, niż kiedykolwiek. Z łatwością domyślisz się ze słów tych, że walka straszliwa odbyła się we mnie. Walczyłem z niewzruszonem przeznaczeniem, jak bohaterzy starożytni, i, jak oni, uległem.

Przyjechał tutaj niejaki p. Łubieński, by poprzeć pożyczkę polską. Człowiek ten pozostał przez kilka dni w Genewie i nie zwrócił się do mnie, ani mię odwiedził. Na godzinę dopiero przed swoim odjazdem, o godzinie 7 rano, przysłał do mnie swojego rudego bratanka, którego znasz, z prośbą, bym do niego zaszedł. Przyszedłszy tam, znalazłem człowieka o wszystkich szczególnych i charakterystycznych rysach rodziny Łubieńskich. Przyjął mnie bardzo uprzejmie i, poprosiwszy, bym przeszedł do jego gabinetu, oznajmił, że wyprawa, do której będzie należał książę de la Moskowa, wyjedzie z Hawru, by żeglować morzem w kierunku Litwy, że mi proponuje, bym wziął w niej udział, że wystarczy, bym do Paryża pojechał, że odebrał depeszę od generała Kniaziewicza, w której jest mowa

o mnie. — Po czem obrócił się na pięcie i bez pokazania mi depeszy zabrał się z powrotem do swojego śniadania, złożonego z jaj na miękko. Nie mogę Ci powtórzyć dosłownie jego przemowy, lecz zauważyłem, że plątał się okropnie i że chciał mię podejść; w jakim celu, tego nie wiem, to rzecz jego sumienia. Trzeba Ci wiedzieć, że jest to stryj Leona Łubieńskiego, który znajduje się obecnie w Paryżu. Uczułem, że chciano mię oszukać lub zastawić na mnie sidła, lecz czułem jednocześnie, że obowiązkiem moim jest dać się schwytać w nie z zamkniętemi oczyma, z chwilą, gdy ubarwiano to świętem imieniem Polski. Wyszedłem z mocnem postanowieniem wyjazdu.

Jest tu jeden były kapitan, Polak, wynalazca jakiejś metody chronologicznej, który daje lekcje. Jest to człowiek, wyróżniający się erudycją i dobry wojskowy, niejako duszą i ciałem mi oddany. Powiedziałem mu, że trzeba, by jechał ze mną. Duchesne pożyczył mi 250 franków. Spakowałem swoje manatki wśród łez i zaklęć Jacka. Byłem nie do wzruszenia, lecz zaczynałem gorączkować. Ale oto Jacky idzie do tych panów z Genewy i każe mię oddać pod dozór policji, bym nie mógł wydostać się z miasta. I oto łapie paszport do Paryża i daje mi słowo honoru, że pojedzie za mną, że jest w rozpaczy, lecz w Paryżu będzie wywoływać wszędzie zajścia, które znajdą odgłos we wszystkich gazetach w połączeniu z pochwałami dla mnie, a obelgami i potępieniem dla, wiesz, kogo....

Patriota, Konflikt wewnętrzny

Ale oto, jeszcze całkiem inna sprawa. Dowiedziałem się, że ta wyprawa, to kłamstwo i wymysł Łubieńskiego, że książę de la Moskowa jest ojcem rodziny, który nie myśli zgoła o zapuszczaniu się w lasy litewskie, wreszcie, że na mnie liczą w Paryżu, lecz tylko na moje zdolności umysłowe (jest to zdanie wyjęte z listu, który przybył z Paryża do Genewy), nie zaś na miecz mój i ramię. Chciano by mi dać miejsce Olszowskiego! A więc uczyniono na mnie małą zasadzkę. Miejsce Olszowskiego? Listy przepisywać! Nie, to nie dla mnie! Chcę walczyć i wylać ostatnią kroplę swej krwi, lecz zostać gryzipiórkiem dyplomatycznym, gdy inni stają się bohaterami, to może dobre dla duszy Olszowskiego, lecz jest nieodpowiednie i poniżające dla mojej. Mogę ująć za pióro i natchnienie moje spisywać, lecz nie chcę kreślić świętego imienia mojej ukochanej Polski co dnia w listach, notatkach i listach, dawanych do przepisywania. Chcę je wyrzeźbić z szablą w ręku na piersiach Rosjan. Wszystko, lub nic! W końcu znów przeszedłem duchową walkę, a walka ta, przyjacielu, była silna, wielka, straszna. Niemożliwość materialna, nienawiść do skandalów, odkrycie podejścia, zatrzymały mię i zakończyły walkę. Jej ślady pozostały, ale być może, że te dwa dni maligny, rozpaczy i egzaltacji, kolejno po sobie następujących, zabrały jeden rok mojemu wątłemu ciału. I dlaczegoż bym tego żałował? Oby życie moje skończyło się prędko! Lepiej niechaj się skupi w kilku dniach namiętności i szału, niż by się miało rozciągać i rozprzestrzeniać na lata gnuśności i niedołęstwa. Lecz nie miałem zamiaru czynić tego wszystkiego dla ludzi, ze względu na interes, ambicję lub sławę. Wiem teraz, że każda szlachetna dusza posiada w głębi swego serca coś świętszego od sławy: jest to myśl o poświęceniu nieznanem, cichem, milczącem, myśl o obowiązku, który spełnić trzeba dla swojej własnej wewnętrznej sławy, a nie dla dobrego zdania innych, które wychodzi z tych samych ust, co i oszczerstwo. Nie czyniłem tego dla ludzi, lecz czyniłem to dla jednej kobiety i dla Boga. Lecz raz jeszcze los mój odepchnął mię od brzegów mogiły i raz jeszcze zebrał nad moją głową pogardę mojej ukochanej i pogardę bliźnich moich.

Zacząłem czytać Dantego po włosku, nie znając ani jednego słowa tego języka, i rozumiem Dantego. Jakżeż ponure, podniosłe i imponujące są wieki średnie! Jak dobrze dostrajają się do każdego ciemnego i ponurego obrazu! Jakżeż boleśnie spada zimny deszcz na potępieńców! Jakżeż gorzko unoszą się w powietrzu, jak jesienne liście, dusze potępione! A obok ukazują się Charon starożytny, Cerber starożytny. Wszystko jest na swojem miejscu; groźby starożytnego i nowego świata. Bogowie spadli z niebios, lecz bogowie piekielni zachowali swoje trony. Dante jest jednym z tych geniuszów, którzy przedstawiają nie ród jeden, nie wiek, lecz konstelację całą, drogę mleczną wieków.

A więc spakowałem był wszystkie swe rzeczy. Listy Twoje dałem Rogetowi, by je przechowywał u siebie aż do chwili przesłania ich Tobie. Listy H. zapieczętowane dałem Duchesne'owi, by Ci je oddał, gdy na wiosnę pojedzie do Anglii. Wszystkie moje rękopisy zostawiłem u Rogeta, by Ci je oddał także, i to wszystkie: polskie, angielskie, francuskie, gdy przybędziesz do Genewy. Uczyniłbyś z niemi, co by Ci się żywnie spodobało. Jeśli znów zdarzy się okazja, zrobię tak samo.

W tych dniach odebrałem list od Leacha, który mię głęboko zasmucił. Człowiek ten jest każdego dnia bliższym zguby. Przyjemności wycieńczą go. Nie może znieść ciężaru życia, stara się odurzyć. Udaje wesołość, lecz spod wesołości przebija rozpacz. Nieszczęsny, jest on na ziemi jedyną istotą, którą uznaję za nieszczęśliwszą od siebie. Bo ja jednak mam świat cały na swoje rozkazy, świat moich myśli, mam cały świat przyszłości, świat niewidzialny, on zaś nie ma nic, chyba tylko nieco błota i piasku pod stopami. Pije lub śpi w ramionach prostytutki, albo gwiżdże, śpiewa i jęczy. W tem samem miejscu żłobi się grób, do którego zejdzie. Jeśli w dalszym ciągu tak będzie postępował, zgubi się, i to zgubi na wieki. Chciałbym go przywieść z powrotem ku temu, czem mógłby być przy swoich zdolnościach i dumie. Lecz wysiłki moje są daremne. Biedny Leach, gdy sobie przypomnę łzy jego, westchnienia, chwile szczerego wylania, a potem chwile ciemnego, ponurego, dumnego smutku, czuję żal głęboki, gorzką troskę. Jeśli go zobaczysz, ściśnij mocno dłoń jego ode mnie.

Moje uszanowania dla Matki Twojej. Cóż ona robi na wsi? Czy myśli niekiedy o Arielu i Lemanie?

Żegnaj!

Zyg. Kr.

Powstanie

Skrzyneckiego zmuszono do opuszczenia armii. W Warszawie zamordowano 40 osób. Krukowiecki uśmierzył rozruchy. Wiadomości te zabrzmiały w mej duszy, jako wyrok nieubłaganego losu, który ciąży nad moją ukochaną Polską. Skrzynecki był jedynym człowiekiem, który mógł przeciwważyć olbrzymią potęgę Rosjan, gdyż miał odwagę bohatera, geniusz wodza i poświęcenie męczennika chrześcijańskiego. Nie widziałeś go nigdy, lecz ja, który przypatrywałem mu się tyle razy w dzieciństwie, mogę w myśli sobie uprzytomnić tę postać wyniosłą i prostą, twarz bladą i surową, oczy czarne i spokojne, chód szlachetny i pewny, gdy znika wśród rzędów żołnierzy, których żegna. Człowiek ten był wielkim mężem. Bogu tylko zaufał. Nie wykrzykiwał, jak nikczemnicy, którzy dziś Warszawę gubią: „Zwyciężyć lub zginąć!", lecz byłby zwyciężył lub zginął. Opłakuję Skrzyneckiego, jakbym ojca opłakiwał, gdyż nie widzę już nikogo, kto by mógł Polskę ocalić. W nim był zawarty wyrok boski. Rozdarto ten wyrok łaski, zmuszając go, by armię opuścił; jakżeż cierpieć musi wielka jego dusza jeśli widzi, że on mógłby był Polskę zbawić, a ona musi zginąć, skoro go już nie ma.

Powtarzam Ci: Skrzynecki był wielkim człowiekiem, mężem opatrznościowym, który się rozbił o przeznaczenie. Przez długie lata przygotowywał się w milczeniu do walki, gdyż walkę przewidywał. Ludzie, jemu podobni, mają też swoje natchnienia. Wiele nocy strawił, zapomniany, nieznany, ucząc się, jak się bronić na polu bitwy. A gdy wybiła jego godzina, widziałeś go, znalazł się na swojem stanowisku, był gotów i czekał. Od dnia tego nie przestawał zwalczać wrogów i namiętności, rozdzierające jego braci. O siłach swych nie zwątpił, gdyż otrzymał je z góry. Wszystko mu było zaporą, a nie pomocą. Całą armię, która o Bogu zapomniała, przywiódł ku Bogu z powrotem. Ośmielił się wobec bezbożników oznajmić, że jest chrześcijaninem, a wszyscy, którzy go otaczali, stali się chrześcijanami przez wpływ jego przykładu, co jest znakiem wielkości. Przez to dokonał jednego z największych przewrotów, o jakim słyszałem, że się zdarzył kiedykolwiek w jakimkolwiek tłumie dusz. Potem walczył, był zwycięzcą, nigdy zwyciężonym, choć drobne były jego siły i słabe środki. Cierpiał, jak niewielu ludzi cierpiało, a wtedy, gdy może już układał w swej głowie plan zagłady dla Rosjan i wiecznej sławy dla Polski, był zmuszony złożyć dowództwo.

Mam złamane serce i oczy ku niebu podnoszę, by błagać Matkę Boską, Królową Polski. Mówią o układach. Radziwiłł udał się do obozu Paszkiewicza, który otacza Warszawę, a o armii naszej ani słowa. Czyż 60 tysięcy ludzi może zaginąć, jak dziecię zbłąkane w lesie? Układy! Ależ to obłąkani, to tchórze! Uczeni i teoretycy to wszystko robią. Nie ma między nimi ani jednego poety myśli lub czynu. Gdzież jest Skrzynecki, gdzież armia, szlachetna armia polska? Jeśli Polska, przyjacielu, ma znów zginąć, nie czuję już w sobie siły, by pozostać na ziemi. Dzień, w którym Warszawa się podda, będzie dla duszy pol-

skiej sygnałem, by opuściła ciało. Żegnaj, przyjacielu! Odpisz prędko! Czy przypominasz mnie od czasu do czasu H.?

Twój do śmierci

Z. Kras.

31. DO HENRYKA REEVE'A

Genewa 1831 — 12 września

Mój drogi Henryku!

Czyś odebrał list mój, posłany do pani Taylor, a następnie inny, adresowany do biura pocztowego w Norwich, w którym przedstawiam Ci szczegóły swojej sprawy z Łubieńskim, wyjazd do Polski, poroniony projekt, rozmaitego rodzaju trudności i przykrości, szał i gorączkę?

Jestem bardzo zadowolony, że mój kawałek z Chamonix dał Ci odczuć urok dni minionych. Lepiej zrobisz, posyłając *Marię Shelley*, niż ten ułamek. Poślij *Marię Shelley*, mówiąc, że jest to urywek poematu, który piszę. U diabła, mój drogi, sądzę, że mi wolno posyłać Ci urywki moich bazgrot i że H. nie może nic mieć przeciwko temu.

Obraz historii nowoczesnej Schlegla jest według mego zdania rzeczą słabą, dużo niższą od jego *Literatury*. Chce uogólniać, a nie umie. Przechodzi, śpiąc, obok wydarzeń wielkich i podniosłych, a zatrzymuje się przy ciasnych, małych sprawach austriackich, by przypodobać się rządowi wiedeńskiemu. Sąd jego o Karolu V i Maksymilianie jest w znacznej mierze fałszywy. Co jeszcze jest najlepszego, to ustęp o ludach germańskich, o godności kobiet w nich, o zaczątkach konstytucji angielskiej w szczególe, a systemu reprezentacyjnego w ogóle. Czytaj Ballanche'a, a znajdziesz w nim wielki i podniosły systemat, który może być błędny, lecz nie mierny. Nadto posiądziesz pojęcie poetyczne o starożytności, pojęcie wielkie i obszerne o Wschodzie, które studia klasyczne i gramatyczne tylko zaciemniają i wypaczają. Jestem pewien, że dzieło to olbrzymie na Tobie wywrze wrażenie. Za rzadko pisujesz do mnie, Henryku! Będziesz pisywał do mnie częściej, gdy się dowiesz, że nie mam innej pociechy, prócz Twych listów. Jesteś dla mnie w 1831 r. tem, czem była H. w 1830.

Siły, przyjacielu, siły! Wieczyście tak do Ciebie wołać będę. Mówisz, że mieć jej nie można między rzepami i zającami. Nieprawda! Wszędzie ją mieć można, lecz trzeba naciągnąć struny swej duszy, trzeba rozpatrywać ród ludzi ogólnie, a nie zatrzymywać się przy węglach kamiennych. Trzeba sobie stworzyć świat w sobie, trzeba zmierzyć się z przeznaczeniem, ciężarem na ludzkości i na każdej jednostce, wejść duchem z przeznaczeniem tem w szranki, iść krok w krok za lotem jego ciężkim i gnębiącym, przeciwstawiać mu wszędzie męstwo atlety i uczynić z tego wszystkiego długie przedstawienie cyrkowe, podczas którego nie lud rzymski, lecz wszechświat zasiadać będzie na ławach widzów: wtedy nie zbraknie Ci siły, a gdy potrzeba Ci będzie czułości i czystości, spokoju i słodyczy, porzucisz na chwilę myśl o przeznaczeniu i wzniesiesz się ku myśli o opatrzności, o Bogu miłości, gdzie nie ma już walki, a jest jedynie kontemplacja, gdzie nie ma okrzyków wojennych, a są pieśni dziękczynne, gdzie nie ma potępienia, lecz tylko zbawienie. A stamtąd padniesz znowu całym ciężarem na arenę, pełną potu i umęczenia, weźmiesz się za bary z ludźmi, braćmi swymi, i okolicznościami, siostrami swemi, będziecie rozdzierać się wzajemnie, póki wreszcie opatrzność nie otworzy niebios i nie wyciągnie ręki ku Tobie. I wszystko się skończy w potoku światła, zapału, wiary i miłości. Takim, zdaniem mojem, ma być rozwój poematu. Zrób z tem, co Ci się spodoba. Jest to synteza pojęć, które winny przewodniczyć rzeczywistemu dramatowi życia. Przekonaj się, czy się nie mylę[62].

Dziś czuję się trochę lepiej na duchu niż zwykle. Zwycięstwo nad Rudigerem i Rosenem dobrze mi zrobiło. Ale mordy, to coś złego. (Przy sposobności proszę Cię, byś zwracał uwagę na swoją francuszczyznę. Robisz już poważne błędy.) A więc człowiek o spodniach jak szachownica, uosobienie mdłości, marny wioślarz z Londynu, słowem

[62] *Przekonaj się, czy się nie mylę* — tu następują w oryginale ustępy *Wizji*. [przypis redakcyjny]

Sharpe, powrócił do Anglii. Nie wątpię, że niezmierną odniósł korzyść ze swej błyskawicznej podróży. Co za fujara! Ponieważ mówisz mi o pokryciu jego nagości, odpowiem Ci, że wolałbym podjąć się ubrania wszystkich podrzutków ze szpitala, niż włożenia jednej myśli do mózgownicy wspomnianego podróżnika. Lecz nie trzeba sądzić z pozorów. Może jest to geniusz skromny, ukryty, rodzaj fijołka, fala błękitna na gnijącej zielonawej powierzchni, doskonała Madera we flaszce, pokrytej piaskiem, trzy jabłka granatu w kawale granitu lub wapna, orzech w gorzkiej skorupie, źle oprawna, ale wspaniała książka, zegarek złoty w ścieku — czy ja wiem? Ale dość tego. Niech dobre myśli zbudzą się w Effinghamie Wilsonie! Bodajby stał się poetą wtedy, gdy czytać będzie moje (?) dzieła, niech będzie wówczas pod wpływem pełnego kielicha wesołego szampana, niech wszystkie jego rachunki będą zapłacone, niech będzie zadowolony, życzliwie usposobiony, przedsiębiorczy, zdolny do zapału, elegancki, obłąkany, szalony, niech będzie, czem chce, byleby poemat Twój wydrukował — a ostatnie głuche uderzenie prasy drukarskiej, padające na ostatnią kartę Twego poematu, będzie dźwiękiem, który będzie miał znaczenie w życiu Twojem.

Bądź przygotowany na krytyki, na pochwały! Niech ani jedne, ani drugie wielkiego na Ciebie nie robią wrażenia, ale zachowaj zawsze czyste, święte, podniosłe przekonanie, że jesteś poetą, a przepowiadam Ci sławę i nieszczęście zarazem.

Młodość, Grzech, Bóg

Ja — ale czyż mam Ci mówić o sobie, o tem nędznem stworzeniu, które śmie jeszcze mówić i pisać, zapalać się i rozpatrywać piękności Alp, chociaż wszystko wkoło niego się wali — sława, przyszłość, honor? Czuję to, czuję, zgubiony jestem i nie sądź, że stoję jeszcze na brzegu przepaści: już w nią zacząłem zstępować. Jakąż popełniłem zbrodnię, by taką karę znosić? Jestem młody i nie mogłem wiele złego zrobić na świecie. Charakter mój mało ma skłonności do okrucieństwa, podstępu lub zdrady. Cóż zrobiłem? Ach, faryzeusza to dzieje! Cóżem zrobił? Zaprawdę, dopuściłem się czynów, godnych kary. Gdy zwracam się do czasów minionych, widzę się, gdy, wyszedłszy z dzieciństwa, przechodzę pod łukiem tryumfalnym młodości z sercem namiętnem, którego żadna cnota, żadna zasada nie powstrzymała na drodze grzechu; tam młoda dziewczyna, tam kobieta oszkalowana, tam tysiąc przykrości, wyrządzonych przeze mnie wtrąconemu w nieszczęście ojcu, tam pycha bez granic, tam myśl wzniosła, łącząca się ze zbrodnią i obłudą, tam orgie z kielichem w ręku, tam nieokiełzane nienawiści, prowadzące do walki. Oto orszak, który mię otacza w moich smutnych wspomnieniach. Bóg nic nie zapomina.

Ale nie będę się żalił, nie będę się skarżył, jak dziecię lub młoda dziewczyna. Nieść będę los swój, jak Syn Człowieczy niósł krzyż swój na wzgórze Golgoty, a choćby może lepiej dla mnie było rzucić się rozpaczliwym skokiem w dół, w przepaść, nie będę szukał ucieczki przed widmami, które smagają mię ostremi wyrzutami i ścigają przeraźliwem wyciem. Ach! Gdybyż mieć ucho, zdolne wsłuchać się w melodię pieśni — ach, gdybyż mieć duszę, zdolną upoić się muzyką i usnąć przy śpiewie drogich, najdroższych ust, i śnić o państwie światła i państwie dźwięków, gdy koło nas piękność budzi ubóstwianą ręką tony, które kochamy! To było niegdyś moim udziałem, lecz przeszło, i to na wieki. A mnie pozostało tylko cierpieć, stykać się z nienawiścią i pogardą, a nie z przyjaźnią i miłością. Przyjaciele moi umarli lub rozproszeni są z dala ode mnie. Pani moja i miłość zamieszkuje między ludźmi, którzy imienia mojego nigdy nie słyszeli i co dzień mniej pamięta, jak je wymawiać należy. Łódź moja jest nędzną barką. Płynę pospiesznie nad skałami. Żagle moje, niegdyś śnieżne w blasku słońca i mgliste w promieniach księżyca, dziś przez niejedną burzę rozerwane są i przebite.

Nie mogę odegnać od siebie tych straszliwych widziadeł. Wirują wkoło mnie, szare, jak mgła wieczorna, bolesne, jak pieśni pogrzebowe, a gdy ludzie wołają do mnie: „Otrząśnij się z nich!" uśmiecham się, śmiejąc się z tego, gdyż łatwo strząsnąć ze skroni naszej wieniec z kwiatów, gdyż liście ich są miękkie i delikatne, ale trudno zerwać koronę cierniową.

Lecz cicho! Zegar bije godzinę odjazdu. Pójdę swoją drogą.

Żegnajcie góry, żegnajcie miejsca, pełne drogich, drogich wspomnień! Pójdę swoją drogą, a droga moja wiedzie ku śmierci i zapomnieniu.

(Napisałem to w nocy, gdy miałem pojechać do Paryża; były to ostatnie słowa, kończące moje manuskrypty angielskie, Tobie przeznaczone). Wszystko to jest snem. Chociaż sądziłem, że moja godzina wybiła, był to tylko zwodniczy dźwięk gorączkowych

widziadeł, a gdy widziadła takie często wracają, skracają nam życie. Bo, gdy unoszą się nad naszym mózgiem, nie jesteśmy tem, czem byliśmy przedtem, ani tem, czem jesteśmy co dzień. Rozgorączkowani, stajemy się na chwilę potężniejsi, zdolni walczyć z wrogami i zginąć bez jęku, zdolni przekazać swój zapał innym ludziom i pchnąć ich swemi słowami na dziką drogę zmagania się i niebezpieczeństwa. Stajemy się duchami ognistemi zrywającemi się z form glinianych. Cierpimy i radujemy się z naszych cierpień i nie zamienilibyśmy naszych udręczeń na tętno szczęścia i uśmiech wesołości. Bo czujemy, że dusza nasza ulata w górę i unosi się wysoko nad tymi, którzy nie wiedzą, co to znaczy nosić kamień w sercu. Ból ma swoje szczyty, jak i szczęście, lecz wysusza źródła naszego życia, wypala szpik naszych kości, zamienia nas w kościotrupy i gasi błyskawice naszych oczu. Takie widziadła przechodzą szybko, ale ślady ich pozostają. Rzucają one w nasze serce toczące robaki.

Niech tak będzie!

Nie wiem, dlaczego dostałem napadu angielszczyzny, ale, ponieważ go dostałem, niech tak będzie.

Nie ma godziny, żebym nie myślał o Henriecie; jest mi tak droga, jak złudzenie, jak sen najdroższy, a sen prędzej może staje mi się drogi, niż rzeczywistość. Jeśli ją zobaczysz, niech dusza Twoja, powiększona o moją, wybuchnie w spojrzeniu, które jej rzucisz! Leach zawiadomił mię, że pisał do niej, zapytując o paczki, przez siebie wysłane. A więc nowa burza rozszaleje w jej sercu. Biedna dziewczyna, żałuję jej bardzo, że ukochała swoją pierwszą miłością tego, kogo ukochała swoją pierwszą miłością. Ale co się stało, już się nie odstanie i stać się musiało. Żegnaj, Henryku, uszanowania dla matki Twojej! Pisuj i nie ociągaj się!

Zyg. Kras.

Czy odebrałeś mój list z „Marią z Mont-Blanc", a później inny z domem w Bourdigny?

32. DO HENRYKA REEVE'A

14 września 1831, Genewa

Kochany Henryku!

Skłaniasz się do mojego zdania i pogarda H. wydaje Ci się rzeczą prawdopodobną. To dobrze. Długo w nią wątpiłeś, ja zaś ani jednej chwili. Gdyż między dwiema duszami, które się kochały, pozostaje zawsze nić sympatii, łańcuch, którego końcowemi ogniwami są dwa serca, i gdy jedno z ogniw zadrży jakiemkolwiek uczuciem, ruch ten przenosi się i, choć osłabiony, dochodzi do drugiego. Drugim sercem było moje, i uczułem gorycz jej pogardy i czuję ją jeszcze; jest to jedna z najbardziej zatrutych czar między temi, które mi zostały podane na uczcie nieszczęścia. Podtrzymuj wspomnienie o mnie w jej duszy, tak, jak się podtrzymuje wspomnienie zmarłego. Gdyż umarłem dla niej, i może nigdy nie nadejdzie moje zmartwychwstanie.

Miłość romantyczna, Serce

Podoba mi się epizod z Twoją ciotką. Przypomniała mi ona tych dawnych przedstawicieli starych rodów, których z dnia na dzień coraz mniej na powierzchni ziemi, a którzy ustąpią miejsca nowej rasie, rwącej się na podbój społeczeństwa w otoczeniu brzytew golarza i statków parowych mechanika. Niech tak będzie! Przypomniało mi to moją babkę, przypomniało mi to moich przodków, o których wspomnień tysiące drzemało w mojem łonie, salę w naszym pałacu, pełną ich portretów, kościół we wsi naszej, pełen ich pomników grobowych, i podziemia, pełne ich trumien, dziedziczne nienawiści, przekazywane z łoża śmierci ojca życiu syna, a wreszcie pierścień z diamentami obudził w mej duszy obraz zbroi, złotem nabijanych, wspaniałych rzędów, siodeł, czapraków, uzd, pokrytych szafirami i szmaragdami, długich fuzyj, łuków, sztyletów i szabel, które tyle razy widziałem w dzieciństwie swojem, leżące w pyle dokoła mnie, pośród milczenia długiej sali o oknach gotyckich. Były to relikwie przodków moich i niejedna z tych szabel wyszczerbiła się na rosyjskich, tureckich i tatarskich piersiach. Dziwne, że imię Izabelli Wallace wszystko to we mnie obudziło.

Legenda moja jest od Twojej prawdziwszą, gdyż żaden młody wieśniak do ogrodu nie chodził. To ja byłem, a jeśli zrywałem kwiaty, to nie dla narzeczonej swojej. Tymczasem „Maria z Mont Blanc" jest czemś prawdziwem, zdarzeniem pewnem, w którem tyle jest prawdy, co w fakcie, że góra Mont Blanc istnieje. Znalazłem opis jego w broszurce jakiegoś angielskiego kapitana, przedstawiającego swoje wejście na Mont Blanc; potem rzecz tę opowiedziano mi i potwierdzono w Chamonix.

Uważam, że wiersze Twoje *O niewinności dzieciństwa* są bardzo ładne, nieuchwytne, rozmarzone i miękkie, lecz zupełnie pozbawione energii. Przedmiot na nią nie dozwala. Lecz w *Marii* siła jest dopuszczalna. Daj więc w *Marii* coś mocnego, coś „uszlachetnionego przez niebezpieczeństwo" w owych strzelcach kozic, opartych o skałę z karabinem w ręku, ze spokojną zuchwałością górali na czole. Niechaj te dzieci przepaści staną się wzniosłe w Twoich rękach! Lecz niech zarazem nie będzie w tem nic — diabeł wie, z czego chcę powiedzieć: z myśli wschodnich lub włoskich. Niechaj nie będzie nic, prócz Alp i surowości Alp. Weź tych ludzi i przedstaw ich takimi, jakimi są w rzeczywistości, nie zaś, jakimi by je stworzyły Twoje sny poetyckie i bądź pewien, że dosyć jeszcze się znajdzie w nich poezji. Zresztą wszystkie te rady nie warte grosza. Gdy poczujesz natchnienie, siadaj i pisz, kpiąc ze wszystkich rad krytyków; zrób mi tę przyjemność i zacznij ode mnie! Ale nic mi nie mówisz o ostatniej scenie *Adama* w podziemiach ani też o scenie, w której uzbrojone góry uderzają na siebie. Chciałbym wiedzieć, jakie jest zdanie Twoje o obu scenach.

Przedwczoraj napisałem do Norwich ogromny list, pełen geniuszów i duchów, wywołanych przeze mnie. Wróciłem teraz znów do pracy, porzuconej od czasów włoskich (w swoim czasie pisałem Ci o tem), do romansu czy też historii z życia wiejskiego w Polsce; nosi tytuł: *Przeor Augustynów*, lecz utwór uległ z czasem zmianom. Powiązałem go z powstaniem w Polsce, a ponieważ nie mogę nic spokojnego napisać, wprowadziłem do niego katastrofy i nieszczęścia. Biedna dziewica, uśmierciłem ją! Miałem w tych dniach mocne i pewne natchnienie. Codziennie piszę jeden rozdział. Skończę to wkrótce, a wtedy zabiorę się do przepisywania dla wypoczynku umysłu i wprawy w kaligrafii.

Literat

„I często czyni się dobrze, raczej po to, ażeby kochać, niż dlatego, że się kocha", jest jedna z najlepszych uwag, jakie kiedykolwiek w życiu wypowiedziałeś. To prawdziwe i głębokie spostrzeżenie. Wierzaj mi, kochany, że przyjaźń matki Twojej daje mi bardzo słodkie, bardzo spokojne i nieco melancholijne wzruszenie. Myślę często o małym saloniku z brązowym kominkiem, brązowym dywanem, jasną tapetą i z pianinem, na którem widziałem raz ślizgające się palce H. a tyle razy Twoje, o matce Twojej, siedzącej przy stole, o tej lampie, która przyświecała nam wszystkim z taką życzliwością, a mnie promieniami gościnności. Nie jest to jedno z moich namiętnych, palących, egzaltowanych, nieokiełzanych wspomnień, za których rzeczywistość oddałbym życie, lecz jest to jedno z moich wspomnień cichych, kojących, spokojnych i pogodnych. A kto wie, czy wspomnienia tego drugiego rodzaju nie są przeznaczone, by przetrwać pierwsze? Czy mi wierzysz?

Miłość

Wspomnienia moje są najkosztowniejszą rzeczą, jaką posiadam, i są mi słodsze od niejednej nadziei. Nadzieja, mój przyjacielu, to poemat, to rozpoczynający się dramat, a więc będą w nim walki i zawody. Wspomnienie jest poematem, dramatem zakończonym. Walka była w nim i było w nim szczęście, lecz, chociaż to jest przeszłością, jakiś nieznany mi instynkt wieczności sprawia, że człowiek przemienia tę przeszłość w teraźniejszość, zmusza ją do stania się teraźniejszością, lecz teraźniejszością bez kłopotów rzeczywistych teraźniejszości, bez uczucia nędznego życia rzeczywistej teraźniejszości, bez wszystkich drobnych przyjemności rzeczywistej teraźniejszości, z których każda jest cierniem. Wspomnienia nazwałbym różą, której kolce znikły, która pozostała sama, opuszczona, samotna i z ogrodu, gdzie kwitła, przyszła, by przywiązać się do naszego łona i, tam ukryta, kołysze się przy tchnieniu duszy naszej, woń swą wydając. Nadzieja jest pączkiem olśniewającej świeżości, lecz wewnątrz często stoczonym przez gąsienice, a gdy sądzimy, że płatki się rozwiną, nie znajdujemy nic prócz zgnilizny. Wszystko się zwraca przeciwko nadziei: i sam człowiek, i przeznaczenie, i wola innych ludzi. — Wspomnienie jest nietykalne, jest trybunem duszy, który jej broni przed rozpaczą, który ją podtrzymuje w dniach męki i nie dozwala na jej spodlenie. Gdyż dusza, która ma szlachetne i wielkie

Wspomnienia

Nadzieja, Kwiaty, Rozczarowanie

Wspomnienia, Nadzieja, Czas, Kondycja ludzka

wspomnienia, nigdy się nie spodli, ta zaś, która ma wielkie i szlachetne nadzieje, może po wiele razy okazać się niegodną swego przeznaczenia, upaść i stoczyć się w błoto.

Jakiż to czar, jakaż siła i potęga jest we wspomnieniu! Jest ono księciem ludzkich tajemnic, jest geniuszem przepaści duszy. To ono narzuca złoto-błękitną zasłonę na wszystko, czem byliśmy niegdyś, i ono przemienia czarę goryczy w czarę półbogów. Dodaje miłość do miłości, przyjaźń do przyjaźni, wprowadza harmonię do duchowych obrazów i zbiera rozsypane szczątki naszego życia — to ono z przeszłości naszej tworzy muzykę, przy której dźwięku jest nam łatwiej postępować w przyszłość. Jest muzyką Tyrteusza w dniach walki, a Anakreona w dniach radości. Wspomnienie jest syntezą, nadzieja analizą, itd. Ale oto chyba dosyć o tych dwóch stronach duszy, które musiały Cię szalenie znudzić. Leach powiedziałby, czytając te słowa: „Przeklęty humbug".

Żegnaj, przyjacielu!

Twój do śmierci

Zyg. Kr.

33. DO HENRYKA REEVE'A

Genewa, 25 września [18]31

Kochany Henryku!

Chciałbym bardzo być tego zdania, co biskup Berkeley, gdyż nie wierzyłbym w istnienie tyranów, hipokrytów i bankierów, lub przynajmniej mógłbym o niem wątpić. Lecz, niestety, jest to zanadto prawdziwe, prawdziwe.

Klęska, Kara, Bóg

Warszawa się poddała. Rosjanie znieważają żywych i umarłych. Lecz pokładam ufność w Bogu, w tym Bogu, który nigdy zbrodni nie pozostawił bez kary, który rozżarzone węgle gromadzi na głowach królów — i pokładam ją w tych słowach, apostoła: „Tam, gdzie jest Bóg, tam wolność". Jakżeż uwielbiam teraz tę ziemię skrwawioną, tak świętą przez tyle klęsk i bólów, posianą kośćmi męczenników, ziemię rezygnacji i zapału, ziemię, gdzie przodkowie moi śpią w swoich grobach, gdzie bracia moi martwi padli na te groby i gdzie my któregoś dnia, my, którzyśmy przy życiu pozostali, zginiemy na trumnach naszych braci. Wszystko dla niej, życie, wysiłki, dni, noce moje, smutki i radości moje! Wszystko dla niej: i miecz mój, i lira moja, wszystko, aż do ostatniego tchnienia.

Choroba, Śmierć, Święto, Strach

A kto wie, czy to ostatnie tchnienie jest jeszcze dalekie. — Cholera jest w Bazylei, według tego, co dziś mówią. Jeden skok, a wpadnie obiema nogami jednocześnie między nas. Nakreślę Ci obraz Genewy. Dziś mamy piękny dzień jesienny, niebo błękitne, powietrze świeże, jezioro spokojne i lazurowe, ani jednej chmurki, słońce w całym swym blasku. Sklepy zamknięte, gdyż jest niedziela, na ulicach ludzi mało, ponieważ w Plainpalais obchodzą święto ogrodników i tam na zielonej murawie, kochance opuszczonej lorda Églintona, wznosi się słup z nagrodą u szczytu, cyrk z desek, gdzie skaczą tancerze, gdzie drgają sznury, naciągnięte pod ich stopami, gdzie kuglarze pokazują swoje sztuki, a lud klaszcze. Oni i lud na wyścigi popisują się sztukami łamanemi. A więc tam, w alejach topolowych, okrzyki, tłum, hałas, bezmyślna radość, a wieczorem skończy się to na pijaństwie. Lecz wejdź do domów w mieście, szczególniej na wyżej położonych ulicach; wszystko zmienione, inny wygląd, inne zajęcia, inne rozmowy. Strach blady na twarzach, męki w głębi serca, a potem tysiąc różnych zarządzeń, tysiąc środków zapobiegawczych, które snują się po głowie, jak straszliwa zmora. Chlorat wapna, kamfora i mięta, ślaz, flanela, synapizmy, kataplazmy przeistoczyły się w natrętne myśli, które im toczą mózgi i rozdzierają serca.

Znasz te wszystkie maleńkie towarzystwa, gromadki, złożone z babki, matki, syna, córki, wnuka i wnuczki. A więc każda z tych gromadek siedzi zamknięta u siebie, marząc o sposobie uniknięcia boskiej plagi. Jedni patrzą na drugich z miłością, życzliwą obawą i tchórzostwem, potem następuje rozmowa o szpitalu, o ilości chorych, o widokach na przyszłość, o Wiedniu, Berlinie, Bazylei, i najbardziej odważni mówią: „Ach, nie o siebie się boję, lecz o tego i tamtą, który jest moim ojcem lub moją matką, bratem moim lub

siostrą, lub też przyjacielem" itd. Potem są ojcowie rodzin, ludzie stateczni, oszczędni, rozsądni, przewidujący, przez pół ojcowie rodzin, a przez pół bankierzy. Ci piszą swój testament, ale oto kłopot: kogo tu naznaczyć egzekutorem testamentu, bo na kogóż można liczyć tam, gdzie jest cholera? I drapią się w głowę, i nie wiedzą, co czynić. Czepiają się szczegółów swoich spraw majątkowych, rent, spekulacji giełdowej, tak, jak ten, który idzie na dno, chwyta za ramiona zbawcę, lub gałąź, albo też puste powietrze ponad swoją głową, już zanurzoną w wodzie. Ale to, co jest najbardziej wzruszające, to spojrzenia młodych matek, rzucane na świeże i zdrowe dzieciątka, które się bawią na dywanie, o nic się nie troszcząc. Biedne matki, już teraz toną we łzach. Zaprawdę, jest im z tem pięknie. Lecz poza tem trzeba się przyjrzeć tłumowi, cisnącemu się w aptekach, w sklepach z flanelą, a następnie przygotowaniom lekarzy, którzy, w białych bluzach, zmaczanych w chlorku wapna, gotują się stawić czoło niebezpieczeństwu zarazy, gromadzą u siebie najrozmaitsze potrzebne przedmioty. Gospodynie rozpaczają. Ostatnią beczkę ryżu sprzedano wczoraj w Genewie, oto powszechny krzyk. Chodzą tu i tam, gonią za mąką i drobną kaszką, ażeby się zaopatrzyć, gdy już komunikacja zostanie przerwana. To jak Warszawa w chwili zbliżania się Rosjan. Lecz w Warszawie był Skrzynecki, który wstawiał się za swoim ludem do Boga. Tu są tylko bankierzy, pastorzy i kupcy. Niezawodnie, będziemy ją mieli wkrótce. Przeczucia moje dziś na żadną nie skłaniają się stronę, jednakże czuję w sobie wiele poezji. Człowiek, który ma w sobie wiele poezji, nie może umrzeć, gdyż jest przeznaczeniem tej poezji, by wpłynęła z jego duszy do dusz wielu. Jutro idę do spowiedzi i komunii. Chcę umierać nie jako ciało, lecz jako duch. Gdy umrę, oto co masz uczynić:

Pójdziesz do H., będziesz się z nią widział w cztery oczy, opowiesz jej historię moją, tak, jak ją znasz. Opowiesz jej o moich wysiłkach, o walkach samotnych w moim ciemnoczerwonym pokoju, bardziej gorzkich od walk we krwi i dymie, powiesz jej wreszcie, że ją mocno kochałem i że ją błogosławiłem w ostatniej swojej godzinie. Nic więcej, to dosyć.

Jeśli Leach'a zobaczysz, ucałujesz go ode mnie i powiesz, że ostatniemi słowami umierającego przypominam mu krzyż na środku Koloseum. Co do Ciebie, Henryku, ujrzysz mię w godzinę, która nastąpi po mojej śmierci. A jeśli to niemożliwe, bądź pewien, Henryku, że ten, który Cię kochał, kochać Cię nie przestanie tam, gdzie będzie, gdziekolwiek to będzie. Wszystkie moje angielskie i francuskie manuskrypty należą do Ciebie, wszystkie polskie do mojego ojca, a potem Duchesne prześle Ci listy od H., które zwrócisz, komu należy, i Twoje własne, które zachowasz, ponieważ czytałem i odczytywałem je z przywiązaniem, wdzięcznością i łzami. Jeśli jestem do czegoś przeznaczony, jeśli ze wszystkich celów pozostał jeszcze we wszechświecie jakiś dla mnie, nie umrę. W przeciwnym razie umrę, i dobrze zrobię.

Na tem przerwijmy! Człowiek nie powinien nigdy mówić zbyt długo o swej śmierci. Oto mój hymn żałobny dla Polski. Posłałem go do *Biblioteki Powszechnej*.

Żegnaj, najdroższy!

Zyg. Kr.

34. DO HENRYKA REEVE'A

21 (?) września 1831 roku. Genewa

Henryku!

Polska, Powstanie, Klęska

Czyś słyszał ostatni krzyk mojego wielkiego narodu? Czy doszedł do uszu Twoich odgłos podków koni zwycięzców na brukach Warszawy? Czyś przypatrywał się kiedyś w rozpacznym śnie szatanowi pychy i zbrodni, rzucającemu się na szeregi przerażonego tłumu i wchodzącemu w ulice konającego miasta? Gdyż tam, gdzie nie ma już wolności, jest śmierć. Taki więc miał być koniec tej podniosłej Polski, która od pół wieku wlecze się z bronią w ręku od jednej mogiły do drugiej, umrzeć nie mogąc — gdyż jest wielką — i nie mogąc zmartwychwstać, gdyż Opatrzność nie raczy przełamać Przeznaczenia. Już nie mówię o przyszłości, nadziei, nie mówię o wstydzie. Wszystko się stoczyło do

mogiły niezmiernej, z której potomność piedestał utworzy dla posągu cara. Staliśmy się znowu tem, czem byliśmy niegdyś: ludźmi bez żadnych cech człowieczeństwa, istotami, przeznaczonemi by błądzić po wszelkich stronach w poszukiwaniu zbielałej czaszki, opuszczonych kości — by widzieć w wieku dojrzałym, jak ciemiężyciel zrywa plony zbóż na polach, zlanych ich krwią w dniach ich młodości — by mówić cicho i pochylać głowy — by żyć w wiekach minionych i nie móc się utożsamić z teraźniejszością — by cierpieć i myśleć „zemsta!", lecz nigdy jej nie zaznać — by zerwać struny swej liry, złamać ostrza swych mieczy i zasiąść obok w milczeniu, nie mając nad głową swoją nawet cienia wierzb babilońskich.

Dramat odegrano dobrze. Szczątkami jego dekoracyj są trupy i połamane bagnety. Przeszedł z dala ode mnie. Nie miałem nawet na całe życie niewoli ani jednego roku wolności. Cóż powiem, jeśli kiedykolwiek mit siwizny osiągnę, tym, którzy pytać się będą o wielkie dni mojej młodości? Lecz nie, ja umrę wkrótce, młodo! Jeśli sława męczennika została mi odmówioną, Bóg mnie przynajmniej nie splami hańbą niewolnika.

Przesuwam i przesuwam raz jeszcze ręką po czole. Ten majak szału, majak jednego roku rozbił się w kawałki; skończyło się tyle bólu, tyle nadziei, tyle silnych wzruszeń, tyle entuzjazmu. Nie mam już zapór do zwalczania, gdyż droga, którą miałem podążyć, w przepaść się zapadła. Gdzież ona, gdzież jest ta Polska jednej chwili, meteor ojczyzny? Czy słyszysz hasło Rosjan na murach Warszawy?

Nic mię więcej nie wiąże z tym światem, ani H., ani Ty, Henryku, ni spokojne szczęście, które sobie obiecują niektórzy ludzie po zakończeniu jakiejś rewolucji, ni nadzieja ujrzenia znów mego ojca. O, nie! „Być albo nie być, oto jest pytanie".

A mówię Ci, że w dniach tryumfu zbrodni wiele dusz zwątpiło w Boga. Zapewne, nie są to wybrani, lecz ludzie słabsi, a jednak ludzie o duszach podniosłych, ludzie, którzy po wiele razy czcili Boga i wzywali Go w godzinach niebezpieczeństwa, lecz teraz serce ich rozbiło się o Przeznaczenie. Myśleli, że to Opatrzność stanęła im na drodze. Ja nigdy nie zwątpię, gdyż każda kropla krwi przelanej przypomina mi tylko krew z Golgoty, lecz zawołam głosem wielkim: „Ród ludzki przeklęty jest za swe zbrodnie, a kara dosięgnie niewinnych jak i winnych. Trzeba śmierci i konania, aby je przeciwstawić bezbożności i złej woli. Polacy zginęli! Lecz wtedy przekleństwo tym, którzy zapomnieli o wszystkiem, by tylko za własną iść korzyścią, którzy głośno wykrzykiwali i mówili wiele, a teraz w ogłupieniu przyglądają się śmierci narodu. Lecz potępiony jestem! Chcę teraz popisywać się pięknym stylem! — Boże miłosierdzia, do czego doszedłem? Któż może choćby jedno zdanie napisać przy łożu śmierci, w pierwszej godzinie po ostatniem tchnieniu matki! Trzeba na to być mniej, niż człowiekiem lub pismakiem dziennikarskim!

A potem, co bardziej jeszcze mię trapi, niż wzięcie Warszawy, to (jeśli wieść o tem jest prawdziwa) dwa listy z poddaniem się, posłane Paszkiewiczowi przez Małachowskiego, generała, który dowodził ostatkiem armii. Ten Małachowski jest moim wujem, stworzenie to stare i głupie. Poddanie się! Czyżby ufali w szlachetność truciciela ludów, tego, który zawarł przymierze z zarazą, rzucił ją na swych poddanych, na swych przyjaciół, na Europę, bez wyboru na wszystkich i na każdego, i który z wysokości swojego tronu nasyca się z rozkoszą temi odległemi spustoszeniami, na które nie śmiałby się narażać, lecz o których lubi słuchać? To jest jego muzyka.

Car

Boże sprawiedliwości i miłości! Dlaczego nie natchnąłeś lepiej tych bohaterów w ich ostatnich chwilach? Dlaczegóż nie zginęli? Lecz zapominam, że tylko poszczególne jednostki poświęcają się, ale nigdy masy. Tak, złożą więc broń! Biały orzeł powlecze się na swych łapach ku zwycięzcy i zakrwawionym dzióbem, rozdartemi skrzydłami złoży hołd pysze tyrana. Idź, biedny ptaku drapieżny, by uzyskać przebaczenie, lecz są dusze, które nigdy o nie nie poproszą!

A teraz zaczyna się moja rola; będzie ona bardziej ciemna, może nie mniej przez to bolesna. Zapamiętaj sobie te słowa: i jeśli któregoś dnia usłyszysz, że mię zawleczono na Sybir, wznieś oczy swe w górę, by podziękować swojemu Bogu za to, że choć raz jeden pozwolił Twemu przyjacielowi pokazać, że jest dobrym Polakiem.

Oto jest artykuł Lammenais'go z „Przyszłości"[63]. Przepisuję go dla Ciebie, bo sam już nie mogę pisać, gdyż serce moje jest tak ciężkie, jak kamień, i bije, jak w malignie — a również dlatego, że artykuł ten jest wzruszający i podniosły.

„Warszawa się poddała. Bohaterski naród polski, opuszczony przez Francję, odepchnięty przez Anglię, upadł w walce, którą z taką chwałą prowadził przez osiem miesięcy przeciwko hordom tatarskim, sprzymierzonym z Prusami. Jarzmo moskiewskie znów zaciąży nad ludem Jagiellonów i Sobieskich, aby zaś nieszczęście jego cięższem się stało, szał gniewu kilku potworów osłabi może odrazę, którą powinna wzbudzić zbrodnia tego nowego podboju. Niechaj każdy zatrzyma to, co mu się należy: dla oprawców zbrodnie i hańba, prawdziwym dzieciom Polski sława czysta i nieśmiertelna, dla cara i jego sprzymierzeńców przekleństwo każdego, kto nosi w sobie ludzkie serce i ktokolwiek czuje, co to ojczyzna, a ministrom naszym ich imię — poniżej niego nic już nie ma. A więc szlachetny narodzie, bracie nasz we wierze i towarzyszu broni, gdy za życia swego walczyłeś, życzeniami tylko mogliśmy Ci dopomóc, a teraz, gdy leżysz pokonany na arenie, dać Ci możemy tylko łzy nasze. Oby Cię mogły choć trochę pocieszyć w Twoim ogromnym bólu! Wolność przeszła ponad Tobą, jako cień przelotny, a cień ten przeraził Twoich dawnych ciemiężycieli. Zdawało im się, że widzą sprawiedliwość.

Gdyś spojrzał na niebo po dniach ponurych, zdawało Ci się, żeś tam odkrył pogodniejsze znaki i powiedziałeś sobie: »Zbliża się czas wyzwolenia. Ziemia, która kości naszych przodków pokrywa, jeszcze będzie naszą. Nie usłyszymy na niej więcej głosu cudzoziemca, wydającego nam bezczelne rozkazy, a ołtarze nasze i ogniska wolne będą«. Omyliłeś się. Nie, nie nastąpił jeszcze czas życia, lecz czas śmierci: dla tego wszystkiego, co najsłodszem i najświętszem jest wśród ludzi. Narodzie bohaterów, narodzie miłości naszej, spoczywaj spokojnie w grobie, który dla Ciebie wykopały zbrodnie jednych i podłości drugich! Lecz nie zapominaj, że nadzieja żyje jeszcze w tym grobie, że krzyż jest na nim, krzyż proroczy, który mówi: Ożyjesz!". (Lammenais, „Przyszłość").

Te ostatnie słowa wstrząsnęły mną. Myślę więc, że nie wszystko jeszcze stracone i że wkrótce z tych popiołów i kości wytryśnie jutrzenka, trwalsza od tej, która właśnie zagasła. Żyjemy w epoce, w której jedno ogniwo europejskiego łańcucha pociąga za sobą ruch wszystkich innych, albo też jeden krzyk, który znad brzegów oceanu porusza gałęzie lasów Litwy.

Nie jest wcale postanowione w myśli boskiej, że naród ma zginąć, póki naród ten sam nie przyjmie swojej śmierci. A my nie przyjmiemy jej nigdy, gdyż ze śmierci tylu ofiar wytrysło nowe życie duchowe, które długo ożywiać będzie moją ojczyznę. — Idźmy od poświęcenia do poświęcenia, od bólu do bólu, a zawsze w milczeniu! W końcu dojdziemy do kresu pokuty. W końcu będziemy mogli powitać wolny widnokrąg nad sobą. A jeśli nie, jeśli pokolenie, do którego należę, ma zginąć w pełni chwały i lat młodych, lub też powoli zwiędnąć i zagasnąć nieznane, niechaj tak będzie, byleby tylko nasza ostatnia myśl była myślą, poświęconą Polsce.

Wszystko to bardzo pięknie, lecz jednem słowem: są w Warszawie, Polska upadła, a ja jestem w Genewie. Henryku, jestem nieszczęśliwy, a siły moje nie są na jednym poziomie z mojem przeznaczeniem.

Żegnaj, żegnaj!

Zyg. Kr.

Jeśli August zginął, dusza jego jest tam, dokąd moja może nigdy się nie dostanie. Co mówi H.?

35. DO HENRYKA REEVE'A

29 września 1831. Genewa

Mój drogi Henryku!

[63]*artykuł Lammenais'go z „Przyszłości"* — ksiądz Hugues-Félicité-Robert de Lamennais był redaktorem pisma „L'Avenir" (fr.: przyszłość). [przypis edytorski]

Tyleż w tem ze Schlegla, co z Kosmy Medyceusza lub Wawrzyńca Quasimodo? U diabła, nie wiem, z jakiego powodu mnie nie pojmujesz. Po pierwsze, źle rzecz zrozumiałeś, sądząc, że chciałem dać ramy dla każdego poematu. Bynajmniej; powiedziałem, że każdy poemat, którego bohaterem jest człowiek, każdy poemat w rodzaju *Childe Harolda*, powinien być walką człowieka z Przeznaczeniem, nad którem stoi Opatrzność. Przez Przeznaczenie rozumiem wolę ludzi. Wola ludzi w całej swej masie zwraca się przeciwko mnie, przeciwko jednostce, a ponieważ Bóg obdarzył duszę ludzką wolną wolą, z tego wynika, że wola ludzka jest potęgą, i to potęgą twórczą. A więc skupiona wola wielu ludzi może wytworzyć przeznaczenie jednostki, a to przeznaczenie woli ludzkiej, wytworzone (po większej części przynajmniej) bezwiednie, jest twarde, okrutne, nieubłagane. Są to okoliczności życia, wszystkie warunki stosunków naszych z ludźmi, słowem wszystko, co z ludzi na nas przechodzi. Tem jest Przeznaczenie. Lecz nie Fatum to greckie, gdyż ono jest wieczne, a nie zmienne. Straszne wprawdzie, lecz podległe potędze wyższej, długo trwające, jeśli mówimy o ziemi, jest tylko łańcuchem chwilowym, gdy mówimy o wieczności. I czasami w rzeczywistości (w poezji tak zawsze być powinno) na tym świecie jeszcze jutrzenka Opatrzności przełamuje zimne i ciemne sklepienie Przeznaczenia, nad głowami naszemi rozpostarte.

Los, Kondycja ludzka

Wyobraź sobie ocean chmur, widziany ze szczytów alpejskich, wyobraź sobie, że czarna ta mgła, zasłaniająca dolinę, styka się z dwu stron z widnokręgiem i wisi nad czołami ludzi. To Przeznaczenie. A teraz spójrz na promienie słońca, rozbiegające się we wszystkie strony, na tęcze, ślizgające się po grzbietach obłoków, starające się swemi złotemi, srebrnemi, lazurowemi skrzydłami znieść te pełne smutku opary. To Opatrzność. Wreszcie, gdy w południowej godzinie słońce wzbije się wysoko, patrz, jak sklepienie to, szare i ponure, rozchodzi się we wszystkie strony, zabiera ze sobą piorun, znika, i jak pod niem zielone równiny uśmiechają się do błękitu w górze; to połączenie człowieka z Opatrznością, zwycięstwo ostateczne Opatrzności nad Przeznaczeniem. Wierz mi, dużo więcej w przyrodzie symboli, niż ludzie sądzą, więcej życia, niż przypuszczają, i więcej podniosłości, niż czują. Przyroda jest parabolą świata duchów.

Los, Kondycja ludzka, Góry, Obłok, Słońce, Światło

Ale teraz zmagać się z Tobą będę w arenie, póki Cię nie powalę na ziemię. Skąd wziąłeś to dziwne powiedzenie, że Przeznaczenie to słabość? Co do mnie, utrzymuję, że słabość jest tam, gdzie nie ma walki. Wszędzie, gdzie jest walka, znajdzie się, mojem zdaniem, siła i szlachetność. A przeciw Przeznaczeniu jako takiemu należy koniecznie walczyć, choćby narażając się na rozbicie, walczyć, ciągle się z niem zderzając, ciągle urażając, ale nigdy nie słabnąc. Gdyby nie było Przeznaczenia, gdyby sama Opatrzność rządziła, wszystko byłoby spokojne, słodkie, łagodne. Ale zbrodnie i namiętności ludzkie wywołały Przeznaczenie z przepastnej głębi ich dusz, a ono rozwinęło radośnie skrzydła bólu ponad rodem ludzkim. Czyż nazwiesz słabością walkę jednostki z tłumami, wojnę jednego z wieloma? Czyż nazwiesz słabością ten stan, gdy dusza pełna jest udręczeń i goryczy, a jednak nie chce poniżyć się do bezsilności? Gdyż przez bezsilność, letarg, apatię, głupotę, bezmyślność i przez długie wieczory, spędzone w salonach, przez obiady i kolacje, przez karty i dysputy, przez głupie zabawy i pijaństwo można uchronić się przed Przeznaczeniem, nie przed jego ostatecznym wpływem, ale przed jego zdwojonemi ciosami. Czyż nazwiesz słabym tego, który nie szuka zapomnienia i, otoczony wrogami i przykrościami, nie traci męstwa, tego, który wiedząc, że wszystko jest na zawsze stracone, nie przestaje pokładać nadziei w życiu i nie myśli o samobójstwie, ani o czarze biesiadnej? Czyż nazwiesz słabym tego, który sam śmie wyciągnąć ramiona, by odepchnąć nieszczęście, choć wie dobrze, że ramiona jego zostaną złamane, zmiażdżone pod kołami losu, tego, który nie odwraca oczu od gotujących się katuszy, lecz wpatruje się w nie, jak orzeł, i walczy z niemi, jak lew? Cóż go podtrzymuje, mój przyjacielu, w tej walce straszliwej? To godzina, w której słońce rozprasza mgły doliny, to przeczucie Opatrzności, która jest jakby gwiazdą, widzianą przez więźnia poprzez kraty żelazne na lazurze nieba, to wiara w Boga Zbawiciela, jedną ręką błogosławiącego serce, które nie doznało strachu w czasie burzy, a drugą rzucającego zemstę na skrzydło burzy, na czoła tych, którzy ją rozpętali dla zguby i zniszczenia. A więc, mojem zdaniem, bez Przeznaczenia nie ma energii, bez Przeznaczenia nie ma walki. W godzinie, która poprzedziła nieposłuszeństwo Ewy, nie było jeszcze Przeznaczenia. Zrodziło się, gdy jabłko zostało zerwane z gałęzi. Opatrzność pozostała z wiadomością dobrego, a Przeznaczenie pozostało z wiadomością złego. Od

Nadzieja, Bóg, Zemsta, Więzień

Grzech, Dobro, Zło, Los

tego czasu nie przestało istnieć, działać, rzucać tłumów na jednostki. To smok rozkuty, wychodzący z otchłani, o którym mówią sny z Patmos. Jeśli napotyka istoty drżące, słabe, bez męstwa, przechodzi po nich, depce ich czoła, a następnie siada i śmieje się do rozpuku. Lecz jeśli ramię człowieka zatrzyma go w drodze, by z niem walczyć, musi wpierw tchu nabrać, nim zdolne będzie go powalić, zlane krwawym potem, musi gwałtownie poruszać skrzydłami i jeszcze raz nań uderzyć. A kto wie, czy według praw stworzenia ma jeszcze władzę nad tym człowiekiem, póki on sam tej władzy nie przyzna, schylając czoło i zginając, strachem zdjęty, kolana. Bo, widzisz, nie ma pana, gdzie nie ma niewolnika. Dla mnie walka człowieka przeciwko Przeznaczeniu jest walką wolności przeciwko despotyzmowi; wcześniej lub później Opatrzność przybywa na pomoc wolności. Jeśli Ci to wydaje się ciemne, winien temu mój styl, a nie myśl, gdyż myśl moja prawdę w sobie zawiera. Zastanów się nad nią!

Walka, Los, Wolność, Kondycja ludzka

Co do Wilsona[64], nie miałem zamiaru zrobienia Ci złośliwego komplementu. Odtąd, Henryku, nie będzie między nami ani złośliwości, ani pochlebstw, będzie wyłącznie przywiązanie, miłość i prawda. Ale już życzyłem Ci szaleństwa lub elegancji z jego strony, sądząc, że w obu wypadkach byłby czemś bardziej wzniosłym, niż księgarzem, a przeto lepiej zrozumiał *Wędrowca*. Gdyż nikt mię nie przekona, że bankier lub księgarz w swoim codziennym, przyrodzonym stanie zdoła zrozumieć poezję. Spytaj się Murray'a, jakiego jest mniemania o Byronie, odpowie Ci: „Panie, *Parisina* przyniosła 1 000 funtów szterlingów. *Lara*, 2 000; *Korsarz* 4 000 etc.", ale nie będzie umiał Ci powiedzieć, co to Parisina, Lara albo Korsarz. To Couteau, który wyrysował Bourdigny na moje żądanie, nie wiedząc ani poco, ani dla kogo.

By wrócić do poprzedniego, Szekspir jest właśnie wielkim poetą Przeznaczenia. Opatrzność rzadko przejawia się u niego. Czyż Desdemona nie padła ofiarą Przeznaczenia, wynikłego z połączonej woli kilku ludzi? Jeszcze raz powtarzam, nie posłałem Ci szczegółów poematu, lecz ducha poematu, nie wariacje, lecz temat, nie tysiące kamieni, tworzących sklepienie, lecz zwornik, nie niezliczone koła, które marszczą powierzchnię wody, lecz środkowy wir, skąd koła te wyszły. Czy rozumiesz teraz?

Polska jeszcze nie zginęła. Zbyt silnie żyła w ostatnich czasach, by móc skonać tak prędko. Co do mnie, mam nadzieję i utrzymuję, że łańcuchy, które jej chciano nałożyć, nałożone na nią nie będą. Zobaczysz; Skrzynecki ją uratuje.

Podzielam Twoje zdanie o strofie *Wędrowca*. Ale co znajduję subtelne, zachwycające, dające obraz, jaki rzadko spotykałem, to: „zaklaskał rękoma z radości". Te dwa wiersze mają wdzięk niewymowny. Ku środkowi znajduję, że się nadto powtarzasz, rozwałkowujesz swoje myśli, a właśnie, im bardziej się rozwałkowuje myśl, tem więcej traci ona na mocy. Czytuj i odczytuj Byrona!

Górowski jest człowiekiem, który miał trzydzieści pojedynków z powodu spraw teatralnych, stłuczonych szklanek, kłótni, spodni, restauracji. Wytwórz sobie z tego zdanie o nim!

Te dwa wiersze: „to w domu znowu" i „przywrócony do spokoju" dobre są na końcu. Robią wrażenie usypiającego spokoju po burzach życia. Również dobry jest kontrast między „labiryntem trudu" i „motylem".

Czas, Historia, Przemiana, Rewolucja

Jestem Twego zdania o życiu w XIX w. Wiek ten w stosunku do starej Europy odgrywa tę samą rolę, co wiek przeszły w stosunku do Francji. Społeczeństwo pełne przesytu, zepsucie, zbytek, nędza, mało wierzeń, dużo szału, kilka zasad, oderwanych od swego niewzruszonego źródła i rzuconych do potoku, który nas unosi, mimo narażania ich na zatonięcie lub zmianę, oto nasze położenie. Jasnem jest, że znajdujemy się na linii granicznej, ściśnięci z jednej strony przez przeszłość, z drugiej przez przyszłość, i jakże ciężką jest walka tych dwu potęg w naszej duszy. Dla naszych wnuków nie będzie może już przeszłości i żyć będą spokojnie, o ile istoty ludzkie spokojnie żyć mogą w pośród swej już ustalonej teraźniejszości, przez którą przyszłość nasza stała się niepewna i chwiejna. To pewne, że dziś jeszcze u wielu z nas wspomnienie ma przewagę nad nadzieją, idee czasów przeszłych nad ideami, zrodzonemi obecnie; gdyż są to szlachetne wspomnienia i wielkie idee, choć już dokonane i jakby martwe, według zdania wielu. Co do mnie, nie

[64] *Wilson* — księgarz londyński, u którego Reeve chciał ogłosić swój poemat pt. *Wędrowiec*. [przypis redakcyjny]

wierzę, żeby idea kiedykolwiek zginąć mogła. Powtarzam: są to podniosłe wspomnienia, sięgają one wyżyn Golgoty, stamtąd unoszą się nad szczytami hełmów tylu bohaterów, wkoło czystych skroni tylu piękności, po czem dążą do połączenia się ze Wschodem, z tym Wschodem spokojnym, marzycielskim, olśniewającym w swojej niedbałości, tak podniosłym przez swe lenistwo. Nie, drogi, nie będziemy tem, czem byli nasi przodkowie, ni tem, czem będą nasi potomkowie. Chcę powiedzieć, że dla nas są drogi kręte, dla nas wzburzone fale, dla nas niewygodne skróty, pełne cierni ścieżki i wreszcie korona cierniowa. Teraźniejszość naszą zatruje zawsze żal za tem, czego już nie ma, lub nigdy niezaspokojona miłość do tego, co będzie, co przeczuwamy, a czego nigdy nie zobaczymy.

I ty się dziwisz jeszcze, że dusza niekiedy zamyka się sama w sobie, przestaje wierzyć w przyszłość i zapada cała w przeszłość? Przeszłość stoi blisko nas; znała nas, jesteśmy dziećmi jej starości, kołysała nas na swych kolanach, pierwsze nasze słowa do niej były zwrócone. A teraz, gdy widzimy, jak się od nas oddala, płaczemy niekiedy. Z drugiej strony przyszłość też stoi blisko nas, wyciągając ku nam ramiona. Lecz wkoło niej widzimy drgające ofiary, które zawierzyły przyszłości, wieszały się u jej ramion, u jej skrzydeł i spadły w dół, jak żółw, który wyślizgnął się ze szponów orła. Stąd pochodzi, że nie należymy do żadnego wieku, do żadnego należeć nie możemy, gdyż chaos jest domem naszym, otoczeniem, wszystkiem. Ludzie, z woli bożej w takich zrodzeni epokach, mieć muszą więcej siły, więcej odwagi, więcej rezygnacji, niż ludzie innych czasów, gdyż wszystko jest nam bólem, a nie radością, gdyż wszystko jest nam zaporą, a nic pomocą, gdyż, jeśli tylko mamy serce i duszę, będziemy zawsze miotani na wszystkie strony, pchani od jednego systematu do drugiego, od jednego wierzenia do drugiego, z jednej fali na drugą, to płacząc nad przeszłością, to znowu zapalając się do przyszłości, a ciągle wołając, jak chory Cezar w Hiszpanii: „Daj mi pić, Tytyniuszu!". Jedynym środkiem na to aby nie paść przedwcześnie, jest wierzyć w słowo boże i wiedzieć, że trzeba walczyć z ludźmi, a nigdy nie użyczyć sobie spoczynku. Inaczej jesteśmy zgubieni na zawsze, jak ja może jestem.

Żegnaj, mój przyjacielu!

Zyg. Kras.

Nic mi nigdy nie piszesz o rzeczach, które Ci posyłam, o podziemiu z *Adama*, o *Widzeniu geniuszów wieków*. Wydaj nareszcie sąd! Żegnaj, mój drogi Henryku! Uszanowania dla matki Twojej.

36. DO HENRYKA REEVE'A

2 października 1831, Genewa

Co do *Wizji*, zgadzam się. Góry są za bardzo żwirem, a ludzie są za bardzo ciałem; lecz, widzisz, szaleniec ma potężną wyobraźnię, wizje jego są prawie namacalne, podobne do prawdziwych widzeń proroków. Jeśli sobie przypominasz, w widzeniu proroków wszystko jest opisane: każdy szczegół, każda barwa, a nawet wymiar każdy. Co do podziemia, zgadzam się również. Brak w niem świata duchów. Ale tak być powinno, gdyż nie chciałem w sercu czytelnika zostawiać słodkiej melodii, lecz właśnie rozdzierającą muzykę, jak pożegnanie Romea i Julii w operze Belliniego, o której tylekroć Ci mówiłem. Teraz, co do *Manfreda*, przeczę temu, zbijam to i utrzymuję, że wcale o nim nie myślałem. Gwiazda występuje zarówno u mnie, jak i u Byrona, to znaczy, że tak tu, jak i tam jest wyraz „gwiazda". Lecz znaczenie jest zupełnie inne. Moja gwiazda oznacza coś niezupełnego, niedokonanego, sen świetny niezupełny. U Byrona jest to symbol całkowity i ogólny siedmiu duchów. Mój człowiek żąda starcia plamy z czoła, Manfred chce, by uszła plama z jego duszy. Możesz powiedzieć, by zadrwić ze mnie, że u mnie jest to liszaj, podczas gdy u niego wyrzut sumienia. Zresztą, naprawdę, dosyć o tym przedmiocie!

Co do Marii. Oto co mam jej do zarzucenia. Robisz ją zbyt poetyczną, przerabiasz ją nadto na sposób wschodni, nie zachowujesz dostatecznie zabarwienia morza lodowego doliny alpejskiej. Mówisz, że chcesz, by była uczuciową; dobrze, lecz ta uczuciowość niechaj raczej pochodzi z zapału duszy namiętnej i mocnej, nie zaś z tkliwości serca młodej

dziewczyny, miękkiego, podatnego i topliwego wosku. — „Mogłoby Ci się zdawać, że anioł ten... dla ludzkości"; te trzy wiersze są wspaniałe, przypominają opis Aurory Raby z *Don Juana*.

Mówisz o tęgiej dziewce góralskiej, podobnej do bawołu; nie, mojem zdaniem powinna być wysokiego wzrostu, wysmukła, o twarzy opalonej odblaskiem śniegów, włosach na wiatr rozpuszczonych, o oczach ciemnych, jak kryształy lodowców, a w oczach jej coś z Joanny D'Arc, i coś z p. Krüdener, a potem coś jej samej właściwego, a to Twoja sprawa. „Nie ma nawet delikatnego dźwięku" — jest powiedziane dobrze, doskonale. Myślę tylko, że, gdybyś mógł zastąpić dźwięk przez coś bardziej nieuchwytnego, by bardziej harmonizowało ze słowem „delikatny", byłoby lepiej. „Wydawało się, iż rozdzierał najbliższą chmurę", także doskonały daje obraz. — Jestem Twojego zdania co do *salto mortale*, jest dobre, gdyż prawdziwe, a prawdziwe, bo krwawe. Taka jest moja krytyka.

Lecz zrób Marię bardziej ognistą, niech łono jej drży z namiętności, oczy jej napełnij błyskawicami, niech uczuwa zawrót głowy nad przepaścią, nie z obawy przed nią, lecz z miłości dla wspaniałego szczytu, celu swej radości i życia swego. Zrób z niej istotę odrębną, nie daj się pociągnąć urokowi opisu dziewczyny młodej, naiwnej, wdzięcznej, dziecinnej, słodkiej, czułej. Tam jest śmierć i niebezpieczeństwo, lawiny i burze, a trzeba, by dusza jej pozostała w harmonii ze światem, w którym się obraca, by noga jej tak pewna była, jak serce, by namiętność jej była gorączkowym szałem i płomieniem, a odwaga niewzruszona. Zapomnij o salonach, zapomnij o ogrodach, o kwiatach, o miękkim i gładkim piasku i o strumieniach, które je rozweselają, pogrąż się w łoskocie potoku i w Rosbergu w chwili jego spadku, stwórz sobie świat grzmotów i wielkości, daleki od Moore'a, bliższy Byrona, lecz świat swój własny, przez Ciebie stworzony, coś w rodzaju chaosu, a w środek rzuć młodzieńczą Marię, zastosuj wymiar jej postaci poetyckiej do ogromów mas, które ją otaczają, a stanie się piękną, nieokiełzaną i zorzę północną mieć będzie na licach, w krokach swych siłę antylopy, obłok, spływający z rozpuszczonych w nieładzie włosów, wśród kryształowych słupów i piramid śniegu niechaj będzie bachantką Alp. Zresztą wszystkie te rady są po prostu stratą atramentu, gdyż jak tu powiedzieć poecie: „Oto moja poezja. Przerób ją dla siebie!". Jest to głupstwo z mojej strony. Co mnie się dobrem wydaje, może być dla Ciebie szkaradne. Wszystko zależy od pojęcia, które sobie o Marii wytworzyłeś; przeprowadź je do końca, a, w ten czy też inny sposób przedstawiona, pozostanie ona zawsze istotą szlachetną, szlachetnem dziecięciem Twojej wyobraźni.

O Polsce mi piszesz. Dzisiaj gazety donoszą o rozbrojeniu Romarina w Galicji. O jednego wielkiego męża mniej. Na dziś i na jutro wszystko jest stracone, lecz któż może ręczyć za pojutrze, któż może podnieść rąbek zasłony posągu Izydy i poznać tajemnice bogini? W mojej szlachetnej ojczyźnie ogień nigdy nie wygaśnie: popiołem pokryty, lęgnąć się będzie pod popiołem. A więc niechaj tak będzie! Nadejdzie czas, kiedy już popioły pokryć go nie będą mogły i znów wybuchnie młody, piękny, olśniewający. Jak mogą tyrani i armie pokonać duszę, uczucia i poglądy? Niewiele wskórać można rzucając masy ciał uzbrojonych na dusze wolne; skrzydlate, nie do opanowania, lotne, wymykają się lub ulatują i brzęczą nad zdobywcami pieśń śmierci, przekleństwo, które wcześniej czy później z muzyki pszczoły stanie się łoskotem grzmotów i wzrośnie ponad huk armat wszystkich arsenałów. Bóg zaślepia ludzi, którzy zasłużyli na zgubę — należy o tem pamiętać. Mikołaj jest głuchy, niemy, ślepy. Jest to stare przyzwyczajenie władców, którzy nie rozumieją swojego wieku, swojego położenia, którzy przez lenistwo nie chcą zdjąć szlafroka swych pradziadów, a którzy ujrzą go w strzępach u swoich stóp, a wtedy: „Żegnaj, królu!", jak mówi Szekspir. Jest to smutnem prawem tego świata, ale jest prawem, że do zbawienia dochodzi się tylko przez męczeństwo. Jeśli Bóg potrzebował legionów męczenników, by panowanie swoje utrwalić, iluż ich trzeba dla wolności? Gdyż wolność bardziej bezpośrednio pochodzi od Boga, niż chrześcijaństwo. Dla nas, współczesnych ludzi, dyszących w męce, szalonych strachem i nadzieją, częściowa klęska wydaje się sprawą straconą, gdyż, ilekroć zdarzenie jakieś zostaje odłożone poza nasz grób, staje się ono dla nas sprawą wieczności, a już nie sprawą czasu. Jest to egoizm nie do pokonania, naturalny, lecz w istniejącym porządku rzeczy tak nie jest, gdyż wielkie i szlachetne i święte sprawy potrzebują ogromnej ilości bólu, by się spełnić, by dojść do swojego kresu, na co nie może wystarczyć jedna generacja, niekiedy nawet kilka. Rezygnacja jest wtedy

Polska, Ogień

Zbawienie, Wolność, Bóg

obowiązkiem, drugim obowiązkiem jest uczynić wszelkie wysiłki, by dodać swoją kroplę ofiary i goryczy do oceanu bólu, którego fale rozwalą tron niesprawiedliwego i ciemiężyciela. Wtedy przynajmniej można będzie, umierając, powiedzieć sobie: „Czemś byłem, byłem ziarnkiem piasku, dodanem do pustyni, liściem suchym, dodanym do lasu, myślą, do poematu dodaną, iskrą, do pożaru". Lecz istnieje wyjątek dla geniuszów, ludzi wielkich. Ci są siłą poruszającą; jest to wiatr, który popycha fale, który roznosi pożar. Oni to są przedstawicielami wszystkich zmarłych i wszystkich żywych, spiskujących dla sprawy. Dusza ich jest tak silna, jak dusze milionów ludzi — jest to treść części rodu ludzkiego. Dusza ich jest całością — dla ludzi, na ziemi, a szczegółem, ważnym w niebie dla Boga. Zmartwychwstanie jest możliwe tylko wtedy, gdy mnóstwo cząsteczek się gromadzi dokoła wielkiej całości i kiedy wiele dusz otacza duszę wielką; wtedy staje się ona władczynią wszystkich innych. Kieruje niemi, rzuca je naprzód, ustawia do bitwy, prowadzi je do zwycięstwa. Zdawało mi się, że taki był Skrzynecki. Lecz nie. Polska nie zginie w tym wieku. Jeśli żyć będziemy, ujrzymy ją znowu.

Jestem okropnie podniecony, a nie pojmuję swego podniecenia. Jest to coś podobnego do przeczucia śmierci lub początku miłości; ponieważ pierwsze jest od drugiego prawdopodobniejsze, więc Ci stan mój za przeczucie śmierci podaję. Gdyż miłość jest słowem, którego znaczenia zapomniałem. Gdzież jest miłość moja! Co się stało z tą namiętnością nieokiełzaną, wspaniałą, o której sądziłem, że jest nieśmiertelną i nie do opanowania, którą uważałem za towarzyszkę wieczności i którą z upodobaniem podsycałem, powiększałem! Później sprawiało mi przyjemność utrzymywanie, zachowywanie jej bez zmiany, przypominanie sobie o niej każdej chwili, co dnia. Miło mi było uczynić z niej sen przeszłości, upiększyć ją własnym kosztem tem wszystkiem, co może sen zdobić. A namiętność moich młodych lat stawała się coraz bardziej nieuchwytną. Było to widmo, które — odwrotnie, niż upiory, zbliżające się ku nam w nocy — odsuwało się ode mnie, oddalało, traciło kształt na widnokręgu myśli moich. Teraz doszedłem do tego, że modlę się jeszcze za nią do Boga, lecz już sam nie wiem, za kogo się modlę; zapomniałem o oczach jej, rysach, głosie, chodzie, o wszystkiem, aż do uśmiechu, i (czyżbyś uwierzył!) przypominam sobie jeszcze jej sarkastyczne uwagi, złośliwości tego umysłu żywego i palącego, gdyż serce moje zamieniły w popiół, zanim je odświeżyły, zatapiając w ekstazie szczęścia. Oto ostatnie wspomnienia, które mi po niej pozostały, jak gdyby wplecione w łańcuszek z jej włosów, który noszę na mojem łonie.

Oto co sprawić może długie milczenie, długie troski, częste męczarnie, życie samotne, jak sucha wyspa, rzucona wśród wirujących fal tego świata i jakaś nieszczęsna ojczyzna, którą umiano kochać tylko z westchnieniem i jękami. Gdyż, gdyby choć jeden raz tylko ramię moje zakręciło się ponad głowami wrogów, kochałbym ją jeszcze całym szałem swego serca. Lecz zamknęła się w milczeniu przede mną, któremu nic więcej nie miała do powiedzenia, od którego nie spodziewała się niczego, stała się dla mnie zimnym posągiem. A ja starałem się ożywić ją daremnie. Nie dość było życia mojego, by to czynić, trzeba było mojego zgonu lub śmierci ciemiężyciela. Jedno i drugie zawiodło. Pozostała w roli Galatei, ja zaś nie mogłem wznieść się do roli Pigmaliona, i harmonia między nami została zniszczona, nie stopniowo, lecz nagle, od jednego razu, w jednej chwili, w tej, w której orzeł polski załopotał srebrnemi skrzydłami ponad trupami Rosjan.

Młodość, Melancholia, Szaleństwo

Smutna jest historia mojej miłości, smutna historia radości, rozkoszy, które otrzymałem od tego świata. Mało użyłem na nim, jedynie chwilami, a i wtedy musiałem strzec swej piersi, by nie pękła, gdyż ciężar moich namiętności był dla niej zbyt wielki. Zresztą jakże żyłem? Najczęściej samotnie, podniecając się swojemi dwiema świecami, wywołując światy i postacie, niepodległe prawom stworzenia, goniłem za silnemi wzruszeniami, stwarzałem sobie urojone, oburzałem się na społeczeństwo, na kobiety, na każdego nieznanego mi człowieka. Znosząc co dnia cierpienia swego wątłego ciała, bóle głowy, ramion i płuc, kochając się z przyrodzenia w nadużyciach fizycznych, zmuszony byłem przez wątłość swego organizmu do oddawania się tylko nadużyciom duchowym, wtedy zaś pisałem, gryzmoliłem, wzywając poezji wielkim głosem, gdyż ona była rozpustą mojej duszy. Męczyłem swój mózg, załamując ręce ze zmartwienia — nie mogłem napisać ani jednego wiersza; zmagałem się z prozą; czasem myślałem, że jestem poetą i promieniałem dumą, następnie oddawałem się przygnębieniu. Unikałem uroczystości, zabaw, orgij, gdyż widziałem w nich swój wyrok śmierci. Zamykając się w czterech ścianach,

wycieńczałem duszę, a nie ciało, a dusza moja była silną, ciało zaś słabe. Przechodziłem kolejno, począwszy od dzieciństwa, przez wszystkie rodzaje szałów: szał cygar, szał polowania, szał zazdrości, szał pożądania, szał zemsty, szał miłości, szał natchnienia, szał pogardy dla innych, gdyż wszystko u mnie jest obłędem chwili. Zdaje mi się, że mógłbym stworzyć z kawałka lodu kochankę, drżącą na mojem łonie. Przeszedłem przez wszystkie stopnie głupoty: byłem pyszałkiem, potem zawadiaką, lekkoduchem, pedantem — przyjmowałem wszystkie spotykane po drodze śmieszności i wkrótce nabierałem do nich wstrętu, gdyż byłem kolejno Edmundem Fabre, Steinbockiem, Gaymüllerem, Stackelbergiem, tylko że u mnie było fazą, co u nich stanem stałym. Wreszcie nawróciłem się do Boga i myśli wzniosłych, lecz słabo; często, wierząc szczerze, robiłem wszystko, jak gdybym w nic nie wierzył, nauczając innych, sam pozostawałem zimny, zapalałem się na myśl o modlitwie, a modliłem się jak roztrzepaniec; w końcu nadszedł krwawy okres mojej młodości, a wiesz, jak go przepędziłem, choć z dala byłem od Ciebie. Znasz moje nieszczęścia, począwszy od najdrobniejszych codziennych kłopotów, aż do rozpaczy całych tygodni, od myśli, że bok mię boli, aż do tej, że H. mną pogardza i że Polska nie przyznaje się do mnie. Takie było moje życie. Jeśli ma się wkrótce skończyć, nie miałem z niego korzyści ni sławy, ni zadowolenia, gdyż pragnąłem wiele zdziałać, a nic nie zrobiłem, gdyż chciałem mieć imię, a nie mam żadnego, gdyż zbudowałem wiele pałaców, a wszystkie z dymem się rozwiały. Ambicja moja po wiele razy była dla mnie przyczyną gorzkich bólów — przyznaję się do tego, bom szczery — a bardzo rzadko uczuć przyjemnych — przyznaję się do tego, bom smutny. Wiele miałem w sobie miłości, a jednak nienawidziłem często. Lecz ci, których kochałem, nie będą mieli powodów do przeklinania mnie, jestem gotów wszystko dla nich uczynić, dla nich, ile razy mogłem, wszystko, co mogłem, uczyniłem — byłoby mi słodko dla nich walczyć, cierpieć i umrzeć. Lecz czyż nie wszystko jest już wypowiedziane i skończone? Gdzie jest Polska?

To rzecz godna potępienia nudzić swoich słuchaczy, jak ja to czynię, marzeniami, urywanemi zdaniami, „saccadami", jak mówi Duchesne, i swemi wahaniami. Więc kończę, przyjacielu. Lecz przedtem powiem Ci, że rozpocząłem poemat z dziejów Polski[65]. Tak wielką jest we mnie potrzeba pisania, której nic zniszczyć nie może.

Zyg. Kras.

W tych dniach udam się do Montreux, dwa dni tam przebędę. C. tam jest, będzie mi grać polskie melodie. Bądź tak dobry i napisz mi coś o H.

37. DO HENRYKA REEVE'A

5 paźdz[iernika] 1831, Genewa

Kochany Henryku!

Jeśli *Maria* Ci się nie podoba, nie staraj się jej naprawiać. Lepiej pozostawić ją taką, jaką jest, niż ją poprawiać. Popełniłem głupstwo, posyłając Ci ten temat; nie tworzy się nigdy poezji listownie. Gdybyś był sam słyszał w Chamonix opowiadania tego zdarzenia, byłbyś z tego coś pięknego i dobrego zrobił. Lecz inaczej było wprost niemożliwością, by Ci się udało. Prawdę mówiąc, Norfolk też wiele się do tego przyczynił.

Ojciec, Patriota, Zdrada, Ojczyzna

Odebrałem wczoraj list od mojego ojca, rozdzierający przez tkliwość i przygnębiający przez ból. Człowiek ten przeszedł męczeństwo, cierpiał więcej, niż Ty i ja cierpieć będziemy kiedykolwiek. Znosił ból z odwagą pełną mocy, lecz jest osłabiony, bardzo chory, wykolejony. Pisał mi, że uczyni wszystko, co będzie mógł, dla ocalenia ofiar. Ja zaś myślę, że pozostała mu jeszcze piękna rola do spełnienia, gdyż już nie wątpię, a i Ty z tego samego powodu wątpić przestaniesz, że nigdy Polski kochać nie przestał; płakał nad nią i jeszcze płacze, lecz kocha ją swoją wielką duszą. W duszy tej jest wiele poezji i serce płonące. Jednem słowem, ojciec mój nie jest człowiekiem dziewiętnastego wieku, uczucie zawsze przewyższa u niego wyrachowanie. Wydawać Ci się będzie może dziwnem, że to utrzymuję. Owszem, utrzymuję to, a bądź pewien, że nie czyniłbym tego, że milczał-

[65] *rozpocząłem poemat z dziejów Polski* — ukazał się w r. 1834 pt. *Agaj-Han*. [przypis redakcyjny]

bym, jak dotychczas milczałem, gdybym nie był o tem przekonany. Zapamiętaj słowa moje! Usłyszysz jeszcze imię jego, rozbrzmiewające jako imię człowieka, który rzucił się między tygrysa i jego zdobycz i uczynił z ciała swojego wał ochronny dla niewinnych i uciśnionych. Ale dosyć o tym przedmiocie!

Kochany, poczytaj trochę Moora, Byrona, by dać przeciwwagę Twojej Lindorze, Treworowi i kuropatwom. To nieodpowiedni dla Ciebie pies, ten Trewor, jest to dar z lodu. A Konstancja? Nie widziałem jej nawet przelotnie od czasu, gdy polowałem na kwiaty w Bourdigny. Czy chciałbyś mieć jej portret? Myślę, że obraz jej musiał ulec zaćmieniu w Twojej pamięci. Teraz jest ona dla Ciebie obłokiem na skraju widnokręgu, nie obłokiem wyłaniającym się, lecz zachodzącym. Jest pewnego rodzaju urok w mglistym zachodzie złudzeń naszych. Gdy kobieta jakaś mgłą się stanie, wydawać Ci się będzie w pierwszej chwili, że jest Ci bardziej droga. A chwila ta pełną jest uroku.

Dlaczego mię H. porzuciła? Gdyby ta kobieta kochała mnie choć przez pół tak mocno, jak ja ją uwielbiałem, byłbym czemś więcej, niż jestem, niż kiedykolwiek będę. Gdyby mnie ta kobieta była podnieciła, nadała mi pęd, popchnęła, nie gnuśniałbym dziś w Genewie. Lecz przyjęła na siebie odpowiedzialność za pogardę dla mnie, lecz za pierwszym podmuchem wiatru odwróciła swą twarz ode mnie. Ona sama jedna pozbawiła mię całej mojej energii. To, co mi pozostało z mocy, zużyłem, by cierpieć w milczeniu, lecz siły do czynu mi zbrakło. Ta kobieta mogła ze mnie zrobić bohatera, powtarzam: bohatera. Lecz wolała zesztywnieć, jak kryształ, w swej obojętności. Niechaj jednak będzie błogosławiona, ona, kochanka moich lat młodzieńczych! Błogosławię ją z głębi swej duszy i co dnia modlę się do Boga, o szczęście dla niej. Ach, gdyby imię moje mogło kiedyś, przybywając z dala zbudzić ją gwałtownie a niespodzianie. Kochany, widzisz, jakiem jestem dzieckiem. Uszanowania dla matki Twojej.

Żegnaj, żegnaj.

Zyg. Kras.

38. DO HENRYKA REEVE'A

1831 Genewa, 16 października

Mój kochany Henryku.

„Wtedy premier Wielkiej Brytanii, stojąc przed tronem itd." jest wspaniałym obrazem, który wywarł na mnie tak wielkie wrażenie, że aż ujrzałem i tron, i białe włosy Grey'a, i promienie słońca, i usłyszałem ten głos uroczysty, który wzywa prawdę i sprawiedliwość, by zeszły na głowy ludzi zaślepionych, szlachetnych lordów Anglii. Jest to kilka wierszy bardzo pięknych. Poznałem Cię w całej pełni. Oto poezja!

Jestem bardzo zadowolony, że uważasz moją *Gwiazdę* za dobrą. Powiedz mi, co to za ostatni wiersz jest niedobry, gdyż nie zachowałem żadnego egzemplarza: jeden jest u Ciebie, drugi u Rogeta. Co do przeznaczenia, twierdzę, że jest to straszliwa siła, potężna, która odgrywa w stosunku do Opatrzności rolę smoka, przepaści w stosunku do anioła w *Apokalipsie*. Jest to rzeczywiście wynik stosunków społecznych, lecz jednocześnie siła elementarna dla nas, którzy urodziliśmy się wśród tego społeczeństwa, mając poza sobą tysiąc społeczeństw, a więc tysiąc przeznaczeń, które wpływają na nas. Jedynie dla Adama nie było ono siłą elementarną. I zważ to dobrze, że wpleceni jesteśmy w przeznaczenie, otoczeni niem zewsząd bez możności wymknięcia się. Trzyma nas ono tutaj w swych szponach, owija nas, ciągnie za sobą, jak statek parowy łódź za sobą holuje, i odrzuca jej wszystkie fale, które statek parowy lub przeznaczenie zostawia poza sobą, nie troszcząc się o nie. Lecz naszą jest rzeczą niepokoić się o nie, gdy nami rzucają, odpychać je i zwalczać, jeśli możemy, albo też dać się pochłonąć, pognębić, zniszczyć i umrzeć na łożu z piany.

Los, Okręt

Zawsze, po wsze czasy bronić będę przeciwko każdemu i przeciwko wszystkim idei przeznaczenia, gdyż zdaje się, że idea ta zawiera w sobie twory i ustanawia szlachetność i godność ludzką. Bez przeznaczenia nie ma walki, bez walki jest tylko apatia, jest upiór egzystencji, jeśli chcesz, szczęście spokojne, niedorzeczne, monotonne, nie ma wielkości, nie ma mocy, lecz spokój i słodycz: obiady i śniadania, herbaty i kawy, ciepłe kołdry,

Los, Walka

ciepły czepek nocny, a potem sen spokojny z wnętrznościami przeładowanemi truflami i potrawkami. Nie w tem widzę życie, które by mię mogło przejąć zapałem dla mojego istnienia, dla moich losów. W ten sposób nie mógłbym znieść zmartwień i przeciwności, dla mnie czara goryczy musi być czarą wielkości, w innym wypadku stałbym się tchórzem i cofnął przed nią. A więc, mój przyjacielu, niechaj będzie przeznaczenie, niechaj ta potęga ciemności, alegoria szatana na ziemi, ocean nieszczęść utworzy ze strumieni woli ludzkiej! Każdy człowiek posyła do tego morza swoją część, a potem trzeba, by zwalczał morze w swej całości. Są tacy, którzy posuwają się na niem z na wpół zwiniętemi żaglami, niedbale, dotykając się zaledwie powierzchni, a świat nadaje im imię szczęśliwych i na tem imię ich się kończy. Są jeszcze inni, którzy męczą się, wiosłując przez całe życie; świat ogłasza ich za nieszczęśliwych, a na tem kończy się pamięć o nich. Lecz są jeszcze tacy, którzy płyną, rozwinąwszy wszystkie żagle, którzy stawiają czoło burzom, ani jednego nie tracąc żagla, którzy się rzucają przeciw wiatrom i lawirują, rozwijając żagle, a mocno dzierżąc ster, ani na krok nie zbaczając, choć gradem i piorunami gnębieni — ci są wielcy, a imię ich wraz z nimi nie zginie. Lecz cierpią, oni więcej, niż reszta rodu ludzkiego; nigdy nie jęczą, gdyż jedno westchnienie, jeden krzyk rozpaczy, zgubiłby ich na zawsze i w ludzkich oczach, i przed sądem Boga. Lecz dosyć już naprawdę o Przeznaczeniu. *Bis repetita placent*, lecz *ter repetita*[66] (a to mój dzisiejszy przypadek) nudzą, a więc nie mówmy o tem więcej!

Los

Od dwóch tygodni nie miałem natchnienia. Dzisiaj zmartwychwstałem i napisałem właśnie długi ustęp mojego polskiego poematu[67]. Oto co sprawia, że styl mój jest tak żywy, a pismo moje takie brzydkie, „przerywane".

Jak Ci to już mówiłem w ostatnim liście, nie przypuszczałem wcale, by rewolucja w Anglii natychmiast wybuchła. O rewolucji francuskiej mówiono już na pół wieku przed jej wybuchem. Rewolucja już się rozpoczęła, lecz nie doszła jeszcze do swego krwawego okresu toporów, szubienic i rzezi. To także nadejdzie, lecz nieco później, kiedy lud trochę bardziej oświecony zostanie, chcę powiedzieć „oświecony" w pewien sposób, gdyż co do prawdziwego światła, życie bym za nie złożył w ofierze. Lecz co mię doprowadza do rozpaczy, to sposób, w jaki Polska upadła, wśród mordów katów i rozpraw dzieci, gdyż w ostatnich czasach sejm stał się dzieckiem, które dużo krzyczało, a nic nie robiło. Czy Ci tego nie przepowiadałem w chwili, gdy Skrzynecki zrzekł się dowództwa? Był to mąż opatrznościowy. Po nim już nic więcej nie zostało poza przeznaczeniem. A potem te wszystkie luźne korpusy uciekły lub poddały się. Nie tak Matka moja jedyna powinna była zejść do grobu. Sława była na początku, lecz nie do końca błyszczała. Przyjrzyj się teraz całemu zwyciężonemu narodowi, czołgającemu się przed dumnym zwycięzcą, który udaje wspaniałomyślność i w sarkastycznej litości rozdaje swoje łaski, swoje amnestie, które, jak zobaczysz, wyjątkami podziurawione, rozpadną się w łachmany marne i spadną na głowy ofiar, jak popiół pokutny. Pojadą sanki na Syberię, szpiedzy będą denuncjować, a więzienia pochłaniać. Młodzież wezmą do wojska, zrobią z niej prostych żołnierzy na całe życie. Geniusze będą wygnani lub zmiażdżeni, serca zmrożone, złamane przez prześladowanie, nie gwałtowne, nie rozgłośne, lecz kryjome, głuche prześladowanie dnia każdego, każdego ranka, każdego wieczora, zniewagi każdego rodzaju, przeciwności każdej chwili. Potem pierwszego miesiąca przyznają konstytucję, którą będą się starali zniszczyć w następnych, wykreślić z niej artykuł po artykule, usunąć zewsząd myśl, zostawiając słowo. Prawa okaleczą, instytucje obalą, szkolnictwu położą tamy, zmniejszą liczbę nauczycieli, albo też wybiorą uniżonych i nieuków, będą popierać zepsucie obyczajów, a ze świętej religii uczynią postrach, by do niej wzbudzić wstręt w sercach szlachetnych. Wynagradzać będą uniżoną podłość, krzyżami i zaszczytami okryją nędzników i zdrajców, lud ogłupią wódką, szlachtę za pomocą urzędów i epoletów, a na tych, którzy się nie ugną, naznaczą cenę albo pozbędą się ich w odpowiedniem miejscu i czasie. Pomnij sobie tę przepowiednię, gdy mówić będą o wspaniałomyślności cara rosyjskiego, króla Astrachanu, Mongolii, i z pozwolenia boskiego króla Polski.

Polityka, Niewola

Chciałbym bardzo dowiedzieć się czegoś o Twoim artykule o Francji; daj mi o tem jakieś pojęcie. Roget przesyła Ci tysiąc pozdrowień. Uszanowania dla Twojej Matki.

[66] *Bis repetita placent, (…) ter repetita* (łac.) — rzeczy, dwukrotnie powtórzone, są miłe, (...) trzykrotnie powtórzone [nudzą]. [przypis redakcyjny]

[67] *napisałem właśnie długi ustęp mojego polskiego poematu* — mowa o *Agaj-Hanie*. [przypis redakcyjny]

Żegnaj, przyjacielu!
Twój na zawsze

Zyg. Kras.

39. DO HENRYKA REEVE'A

Genewa, 20 października 1831

Kobieta, Mężczyzna, Miłość, Siła

Mój Przyjacielu! W złym jesteś stanie. Trzeba Ci się z niego wyrwać za wszelką cenę. Uważam za swój obowiązek danie Ci tej rady, a za Twój, zastosowanie się do niej. Czy chcesz wiedzieć, w jakiem znajdujesz się położeniu? Ja Ci to powiem: tkwisz między węglem kamiennym i węglem drzewnym, a kochasz Mont-Blanc; pełen jesteś miłości, a nie masz kochanki, istoty, rozumiejącej Twoją duszę, istoty, która by zerwała różę, by Tobie ją ofiarować, która by dawała Ci rękę, usta, kibić swoją, przyciskała Cię, zarumieniona wstydliwie, do łona, godzinami całemi wsłuchiwała się w głos Twój i słowa Twoje, podniecała się myślą, jak silną i potężną jesteś duszą, która by płakała za Tobą, gdy będziesz od niej daleki, a pieściła, gdy znajdziesz się u jej boku. Czy kiedykolwiek kobieta jakaś powiedziała Ci: „Kocham ciebie"? Nigdy, i oto dlatego jesteś teraz słaby, niezdecydowany i chory, gdyż pierwsza twoja miłość była niczem, czarą piany bez kropli nektaru, długiem marzeniem bez obawy i nadziei, bez czynu i ruchu, słowem — bez siły. Przeznaczenie, które Ci dało tyle, tego jednego Ci poskąpiło. Stąd pochodzi, że apatia, rozmarzenie stały się stanami duszy, drogiemi Twemu sercu, gdyż z niemi związane są Twoje wspomnienia. Z miłości poznałeś tylko tęsknotę, lecz nie jej siłę, nie szał, nie impuls, który daje duszy, a który w duszy zostaje nawet wtedy, gdy miłość przemija. Nawet natchnienia swoje czerpałeś mimochodem, przypadkiem w uczuciu, które żywiłeś dla K. Czy kiedykolwiek, tak jak ja, pisałeś przez rok cały tylko o H..., tylko o miłości? K... śmiało to twierdzę, nie była Twoją kochanką. Kochanka Twoja oczekuje Cię tam, gdziekolwiek, nie wiem gdzie, lecz Cię oczekuje i znajdziesz ją, gdy godzina odpowiednia nadejdzie. Masz więc tylko wspomnienia spokoju, słodyczy, tęsknoty. Gdy zwracasz wzrok swój w przeszłość, nie masz tam ani jednego zdarzenia, które by Cię zelektryzowało, podniosło Twego ducha, świadczyło o Twej sile i potędze zewnętrznej. Wszystko dotąd u Ciebie tkwiło wewnątrz, nawet K., gdyż więcej była w Tobie, niż w Bourdigny. Oto, zdaje mi się, przyczyna Twej obecnej bezsilności, gdyż na nieszczęście Twego spokoju, a na szczęście Twojej sławy, wyprzedziłeś swoje lata, stałeś się mężem, gdy inni są dziećmi, i dużo czułeś w wieku, w którym mało się czuje, a dużo mówi. Znalazłeś się, że tak powiem, w fałszywem położeniu względem przyrody, lecz jednocześnie było to wysiłkiem, a po każdym wysiłku następuje osłabienie. W szesnastym roku życia wiedziałeś już, co znaczy miłość. Przeczytałeś Petrarkę, i Byrona, i Moore'a, sameś już pisał. W tem byłeś mężczyzną, lecz z drugiej strony w tem, co wymagało doświadczenia, w tem, co wymagało śmiałości, byłeś dzieckiem. Chciałeś kochać i zwróciłeś się gwałtownie ku K., ku obrazowi K. Stąd długie Twoje troski, cierpienia, westchnienia bezpłodne, teorie miłości, gdyż raz marzyłeś o tem, by ją mieć za kochankę, później, żeby była Ci przyjaciółką, następnie, żeby ją wydać za Huberta, wreszcie, żeby jej coś powiedzieć; nigdy jej nic nie powiedziałeś, nigdy się z tego nie zwierzyłeś. To „coś" pozostało w Tobie, skamieniało w Tobie i ciąży teraz na Twem sercu. Wychowałeś się nie w swojej ojczyźnie; obcy kraj ma dla Ciebie urok ojczyzny, a ojczyzna przykrości obcego kraju.

Polityka, Lud, Szlachcic, Walka klas, Rewolucja, Poezja

Z którejkolwiek strony na życie Twoje spoglądam, nie widzę nic prócz fałszywych sytuacyj, goryczy, rozkoszy nieosiągniętych, gdyż pożądanych przedwcześnie, naturalnego przygnębienia, które musi ustąpić i ustąpi, gdy do „Koloseum Oceanu" wstąpią gladiatorzy. Mam tylko jedną radę dla Ciebie: kochaj, Henryku, gdyż dotychczas mało dla duszy swojej kochałeś, i nie pozostań bierny w wielkiej walce, jeśli walka nastąpi! Przypomnij sobie prawo Solona, skazujące na śmierć tych, którzy pozostawali bierni. Rzuć się w objęcia arystokracji lub ludu. Co do mnie, skłaniam się ku pierwszej, gdyż wielka jest wspomnieniami, gdyż, choć zaślepiona, mieści w sobie całą starą Anglię, gdyż więcej poezji jest w jednym z jej członków, niż we wszystkich warsztatach Johna Bulla,

gdyż jest pełna energii, choć się myli i kroczy na drodze, prowadzącej do zguby. Co do ludu, widzę dlań tylko jeden środek dojścia do celu: krew. A Ty, Ty nie zmaczasz we krwi swoich białych dłoni. Zresztą, kto wie, czy nie znajdzie się część arystokracji, która kroczyć będzie przed ludem na czele rosnącego ruchu, rozwijając nad głową swe stare, sławne sztandary? Zresztą, ja nie chcę, nie mogę wydać o tem sądu. Rozstrzygnąć tę sprawę, znaczy zadecydować o losie człowieka, a więcej jeszcze, o losie przyjaciela. Radzę Ci jedynie: nie pozostań bierny! Sumienie Twoje w Twojem jest łonie; masz matkę przy swoim boku; a wreszcie, wierz mi, że dni przełomowe i rewolucje, ponieważ są wielką poezją życia, mają również chwile natchnienia. Módl się do Boga gorąco, a On lepiej Cię natchnie, niż ktokolwiek inny, lepiej, niż ten, który Ci pisze teraz i drży przy każdem przez siebie napisanem słowie i z obawy o Ciebie, i ze wzruszenia na myśl, że rady jego, pośpiesznie rzucane, mogą stać się dla Ciebie zgubne. Lecz przede wszystkiem staraj się przezwyciężyć swój bezwład, zerwać bezpowrotnie z ideałem szczęścia spokojnego i słodkiego, które tu na ziemi jest chimerą dziecka.

A ten ideał ci się uśmiecha, widzę, kochasz go, upajasz się jego urokiem. Poznaję to ze słów: „Lecz zadaję sobie pytanie, co za szczęście, jaka korzyść, jaka przyjemność w tem wszystkiem". A więc, Henryku, wierzysz jeszcze w szczęście i przyjemność. Ta cena jest Ci miarą czynów mas i jednostek. Żądasz od nich, gdy, gnane instynktem ludzkości, biegną walczyć, by zdały Ci sprawę ze szczęścia, z rozkoszy, które tam zdobyć mogą. Przestań się łudzić, jeśli kiedykolwiek w to wierzyłeś! Człowiek dużo mówi o szczęściu, dlatego właśnie, że czuje, jak jest nieuchwytne, i, gdy ku niemu dąży, biegnie jedynie na spotkanie wielkości lub śmierci. Szczęście wymyka mu się na skrzydłach motyla, by spocząć gdzieś daleko, daleko i wyśmiewać się zeń do woli. Trzeba przyzwyczaić się do tej myśli słusznej a niezmiennej, że wszystko, co świat ten dać nam może, ogranicza się do chwil silnych wzruszeń dla jednych, i do chwil spokoju dla innych, a w dodatku liczba pierwszych większa jest od liczby drugich. Lecz myśleć o szczęściu jako o celu — toć to czyste dzieciństwo! Nigdy na tem nie zyskasz, zawsze stracisz. Ja również dawałem się kołysać tym szalonym myślom i dziękuję Bogu, że dość prędko i dość wcześnie od nich się odwróciłem. Jedyną rzeczą, której człowiek może się spodziewać, do której może dążyć, do której skierować może swoją duszę i wzruszenia swej duszy, jest wielkość, to znaczy wyższość w czymkolwiek bądź. I przyznaję, że to dążenie, ta ciągła walka między przeszkodami a ludźmi może sprowadzić chwile podniosłe i promienne, chwile miłości i szału, radości i błogiego szczęścia. Lecz żądać spokoju, to żądać rosy od pustyni Sahary, to tworzyć utopie, to nie znać swoich bliźnich, to otoczyć się smutnemi złudzeniami, to nieuniknione bankructwo duszy. A cóż się staje, gdy się żyło długo w kole takich myśli? Oto, że koło pęka i rozsypuje się, a człowiek pozostaje nagi, słaby, drżący z zimna, na łasce każdego, kto będzie trochę od niego silniejszy. Wtedy niepodobna podnieść się znowu: wszystko skończone. Po cóż piszę to wszystko? Czemu wkładam w to tyle ognia i uporu? Dlatego, że chcę ścigać Twój ideał spokoju aż do najtajniejszych skrytek Twej duszy, że chcę wygnać go z Twej duszy na zawsze. Gdyż, jeśli go zachowasz, nie dokonasz tego, czego Bóg chciał od Ciebie — gdyż, jeśli go zachowasz, zniżać się będziesz zamiast wznosić, zaśniesz, gdy wszyscy czuwać będą wkoło Ciebie, będziesz dalej strzelał do kuropatw, ale nigdy nie staniesz się ani mężem, ani poetą. A ja chcę, żebyś był mężem i poetą, a ja chcę, żeby przepowiednie moje nie rozwiały się z dymem, chcę usłyszeć pochwały, skierowane ku Tobie, i widzieć Cię takim, jakim po wiele razy mówiłem, że Cię zobaczę. Dawniej nie byłoby mi to potrzebne, lecz dziś, gdy wszystko dla mnie skończone, gdy przeznaczone jest, by imię moje nie wypłynęło na powierzchnię wód otchłani, pragnę i chcę, żebyś był sławny. Jeśli oddasz się spokojowi, stracisz w moich oczach i uchybisz mojej miłości. A wówczas obaj rozczarowani, nieznani, weźmiemy kije i sandały pielgrzymie i puścimy się w daleką podróż, z której nigdy nie powrócimy. Reevie, Henryku, przyjacielu mój, przyzwij całą swą energię! To Anglia cała grzmi wkoło Ciebie. Nie siedź dłużej spokojnie, wstań, spójrz całej Anglii w oczy i szukaj wpośród tego zamętu, tego chaosu fałd białej sukni, szukaj tej, którą byś mógł kochać i bronić, róży wśród dzid i szabel! Wierz mi, wówczas staniesz się znowu i Anglikiem, i poetą, i mężem. Gdyż ziemia Anglii będzie ziemią Twej ukochanej, gdyż poezja ta będzie pieśnią dla Twej ukochanej. Wierzaj mi, ja również niegdyś kochałem.

Szczęście

Zyg. Kras.

Trudno mi przesłać Ci coś z mego poematu, gdyż on jest całością, której nie można rozsypywać w kawałki. Nie zrozumiałbyś ich. Ale, u diabła, to nie poemat o historii Polski, lecz o zdarzeniu wziętem z historii Polski, o rosyjskich Dymitrach Samozwańcach, z których jeden miał Polkę za żonę, a właściwie obaj.

Mylisz się, mówiąc o trzydziestu listach: mam trzydzieści pięć od Ciebie, a ty masz trzydzieści dziewięć moich.

Właśnie napisałem dzisiaj do Augusta Z.[68] za pośrednictwem jednego Polaka, przejeżdżającego przez Genewę, przez p. Jezierskiego, tego samego, którego na początku rewolucji[69] posłali Polacy do Mikołaja. Opowiedział mi dziwne i straszne rzeczy o klubach... Polska zginęła przez kluby. Opowiadania jego były dla mnie pełne goryczy, pokazały mi one dużo nikczemności i tchórzostwa. W Warszawie panował sztylet, wszędzie niesnaski, w sejmie i w wojsku. Biedna Polska, łuski spadły mi z oczu. Czy uwierzysz? Było dużo tchórzów między nami i ci tchórze nie walczyli, krzyczeli w sejmie między czterema ścianami, a Polska zginęła.

Polska, Polak, Klęska, Powstanie

Daj mi z łaski swojej trochę wiadomości o H. Tak, z łaski swojej, mój panie, to znaczy: wtedy, gdy Ci się uda je otrzymać. Nie wiem, czy ją kocham jeszcze, czy już przestałem kochać, jednakowoż pisz o niej w swoich listach, choćbyś napisał nie więcej, niż „Henrieta".

Napisałem Augustowi Z., że go ściskasz, będąc pewien, że żywisz takie zamiary.

40. DO HENRYKA REEVE'A

Genewa, 30 października 1831

Mój kochany Henryku!

Wróciłem właśnie z jeziora. Nic nie wiem. Jezioro, mój drogi, było takie, jak rok temu, przed moim wyjazdem do Włoch. Byliście wtedy ze mną, Ty i August. Znasz to dobrze. Brzegi całe żółto-czerwone i bardzo zielone, gdzieniegdzie już widoczne szkielety drzew, dom H. w Paquis cały biały, dom lorda Byrona w Cologny szarawy, wreszcie świeżość powietrza, olbrzymie chmury na niebie, nad górami jurajskiemi nad Saléve przebłyski słońca, coś wiosennego, woda niebieska, chwilami brunatna. Sam nie wiem dlaczego powróciłem zupełnie źle usposobiony, całkiem przygnębiony. Wszedłszy do pokoju, instynktownie zbliżyłem się do mojego stołu, obejrzałem swoje pistolety, sprawdziłem, czy są nabite, czy proch jest na panewce. Potem porzuciłem je, by zmówić modlitwy, co poszło jako tako. Powstałem i piszę do Ciebie. Jestem diabelnie źle usposobiony.

Wczoraj wszedł do mojego pokoju Leon Łubieński[70]. Rozmawialiśmy przez pięć godzin. Brał się na wszystkie sposoby, by mię pozyskać. Przysiągł mi zauważ, że pisał do mnie dwa listy z Paryża w celu pogodzenia się; są to dwa listy, których nigdy nie odebrałem. Rozpoczął od pochlebiania mi, mówiąc, że mam wszędzie opinię potęgi umysłowej; na to odpowiedziałem mu sucho: „Mój kochany, w tejże chwili, gdy wypowiadam te słowa, myślisz, jesteś przekonany, że masz tysiąc razy więcej rozumu ode mnie. Chcesz mię podejść". Zmienił przedmiot rozmowy, wpadł w czułostkowość, mówiąc mi, że jestem bardzo szczęśliwy, mając takiego przyjaciela, jak Ty, że słyszał wiele o Tobie od Jerzmanowskiego, między innemi twierdził, że Jerzmanowski jest Tobą zachwycony. Odpowiedziałem mu na to: „Od ciebie tylko zależało, by mię mieć za przyjaciela, lecz zdradziłeś mię i przyjaźń nasza skończona". — Wtedy, ponieważ słyszał, że jestem religijny, powiedział mi, że stał się także gorliwym katolikiem. Henryku, nie mogłem już więcej nad sobą zapanować. Stałem, ściskając pięści i tupiąc nogą. Gniew mój wybuchnął. Położyłem mu rękę na ramieniu i uderzywszy go na znak zaprzeczenia, taką mu wypowiedziałem tyradę. „Dla ciebie cel twój to twoja religia, a cel twój to podstęp, to chęć podbijania ludzi, przewodzenia nad nimi i nasycania swej ambicji ich pochwałami. Wszystkiem będziesz:

Wróg, Nienawiść

[68] *do Augusta Z.* — Zamoyskiego. [przypis redakcyjny]

[69] *rewolucja* — tu: powstanie listopadowe. [przypis edytorski]

[70] *Leon Łubieński* — kolega uniwersytecki Krasińskiego, przeciwnik jego w sprawie pogrzebu Bielińskiego i główny sprawca ówczesnych zajść, razem z nim relegowany z uniwersytetu. [przypis redakcyjny]

katolikiem jak i ateuszem, gdy ci to będzie potrzebne. Systemy moralności, wiary, honoru, wszystko, jest dla ciebie tylko narzędziem. Nie masz żadnych zasad w głębi swej duszy, z dnia na dzień coraz innym jesteś człowiekiem, a wierzysz tylko w siebie i swoje szczęście. Znam cię. Pamiętaj, że, jeśli ci się powiedzie, nazwą cię wybitnym, wielkim, jeśli ci się nie uda, nazwany będziesz nędznikiem i nikczemnikiem. Przed powstaniem w Polsce nienawidziłem cię z głębi duszy, ciebie, którego przez dwa lata kochałem, jak brata; podczas powstania byłbym ci buty czyścił, gdyby to było mogło przyczynić się do wolności Polski. Dzisiaj, gdy stoimy na swych dawnych miejscach, nienawidzę cię znów, a nienawiść moja, jak wszystko we mnie, jest namiętnością". — Dziwne położenie; słuchał w milczeniu, mówiłem mu prawdę. Czuł to doskonale. Lecz ponieważ jest to umysł potężny, głowa w rodzaju Mirabeau, wykręcał się na wszystkie sposoby i zapewniał mię znowu o swojej przyjaźni. Człowiek ten chce uczynić ze mnie swoje narzędzie i zasiąść na mnie, jak szatan na trupie ofiary. Ma on tęgą głowę, potężną, nieskończenie więcej praktyczności ode mnie, więcej zręczności, więcej panowania nad sobą. Oszuka mię zawsze, jeśli nie powstrzymam się od słuchania go z ufnością. Jest to człowiek, jakich mało. Możesz mu powiedzieć: „Jesteś nikczemnikiem" — nie rozgniewa się, uśmiechnie się tylko, lecz powiedz mu: „Jesteś głupcem" — a skoczy ci do oczu, zabije cię. A to jest pewne, że nie jest on wcale głupcem. Jest to geniusz w zdobywaniu powodzenia w świecie; cały świat intryg, zasobów i zdolności mieści się w tym mózgu, pod temi długiemi włosami, ułożonemi na modę republikańską, poza temi rysami bladoróżowemi, układnemi, słodkiemi na pierwszy rzut oka, fałszywemi na drugi, srogiemi, niegodziwemi, krwi żądnemi, gdy się spojrzy po raz trzeci. Poza tem jest to tchórz na polu bitwy, w pojedynku, lecz nie będzie tchórzem na trybunie. Jest to człowiek, który nie zadrży, ujrzawszy się w otoczeniu deputowanych, krzyczących i wyjących, uzbrojonych w sztylety, lecz zabierz go w piękny poranek, zaprowadź do Saléve, daj mu szablę, pistolety, potem w obliczu słońca rozkaż, by bił się z Tobą — a zblednie, bardzo zblednie, odmówi może, jeśli sam będziesz, lecz nie odmówi, jeśli będziesz miał dwóch sekundantów. Rozmawialiśmy długo o literaturze, polityce, filozofii: ma on rozległe wiadomości, olbrzymie zdolności, i rozum, lecz brak mu nawet pojęcia o tem, czem jest ofiara, wyrzeczenie się samego siebie, obowiązek, powolne cierpienia, straszne i nieznane, poświęcenie dla rodu ludzkiego. Zrozumiesz więc łatwo, że jest mojem przeciwieństwem. Jest cały egoizmem, poza tem ma płomienne namiętności, namiętność do kobiet, do gry itd., lecz namiętności swoich jest panem. Nie mów mu o miłości do kobiety według naszego rozumienia, nic by z tego nie pojął. Nienawidzi muzyki. Gdy mi o tem powiedział, natychmiast mu zacytowałem:
Fit for stratagems and crimes,
Let such a man not be trusted[71].

Zagryzł wargi, po czem rozpoczął rozmowę, mieszając niekiedy sarkazmy do swoich rozpraw, wynosząc się sam ponad wszystkich, a gdy widział, że chcę mu przerwać szorstką prawdą, starał się mnie ułagodzić pochlebstwem na temat mojego rozumu, geniuszu poetyckiego i innych tego rodzaju bredni. Lecz wtedy gniewało mię to bardziej jeszcze i za każdym wyrazem gromiłem go, mówiłem mu surowo o jego lekkomyślności, o braku wyrzutów sumienia z powodu, że nie walczył za Polskę. Pozwolił sobie na drwiny z Zamoyskiego i z mojego biednego kuzyna, Stanisława Krasińskiego. „Jak to", zawołałem, a głos mój był doniosły, „jak śmiesz, ty, który nic nie zdziałałeś, którego całą sławą było napisanie paru listów o Olszewskim, mówić tak bezczelnie o człowieku, który w piersiach ma 7 ran od bagnetów?". Zaśmiał się i odpowiedział: „Ma krótki wzrok i rzucił się, sam nic nie wiedząc, na cały batalion". Ta odpowiedź doprowadziła mię do ostateczności: „Uszanuj", zawołałem, „ty, którego krew nie popłynęła, tych, którzy walczyli, i zakryj sobie twarz ze wstydu, żeś nie był tam, gdy być tam mogłeś". Lecz był to stracony trud, był to groch o ścianę, te słowa honoru, rzucane w jego serce.

Jest to dusza ogromna, lecz bez jednego ziarnka poezji, tej poezji, która sprawia, że się kocha groby przodków, wspomnienia przeszłości, która stwarza sobie bohatera z człowieka, przez ludzi nieznanego. Ma innego rodzaju poezję, coś w rodzaju balzakowskim. Lecz całe wieki średnie w nim umarły, ani jednego rycerskiego uczucia. Chełpił się tem

[71] *Fit for stratagems and crimes (…) trusted* (ang.) — Nie wierzcie takiemu człowiekowi, zdolnemu do podstępów i zbrodni. [przypis redakcyjny]

przede mną: „Jestem człowiekiem przyszłości, a nie przeszłości". Odszedł, powiedziawszy mi, że powróci.

Lecz niech to wszystko pozostanie między nami tajemnicą na wieczność, inaczej byłoby to nikczemnością z mojej strony w takich słowach mówić o swoim wrogu. Dla świata byłoby to podłością, lecz dla Ciebie jest to zwierzenie przyjaciela. Ty także wydajesz się smutny. Do diabła, znów wracasz do swojej komety.

Przypominam sobie ten wieczór, było to u mnie; piliśmy piwo z winem, cukrem, cytryną i arakiem, a Ty mówiłeś o niej przez cały wieczór. A więc było to w czasie mojej miłości do H. Nie, nie zapomniałem o niej. Codziennie rano i wieczorem modlę się do Boga za jej szczęście. Napiszesz mi, jeśli będziesz coś o niej wiedział. Napisałem w tych dniach dla „Biblioteki Powszechnej" historię w rodzaju Balzaca: o młodym Hiszpanie w Wiedniu, który miał polecone przez jakiś nadprzyrodzony, tajemniczy związek rozsiewanie cholery za pomocą białego proszku, zamkniętego we flakonie. Jest to historia, napisana jednym tchem bez opuszczenia stołu, chyba tylko dla zapalenia cygara. Toteż, gdy wstałem, byłem na wpół obłąkany. Jest to historia straszliwa. Mam ciągle w sobie w ostatnich dniach niecierpliwość, głuchy gniew, który mię nurtuje i czyni nieszczęśliwym, jak nigdy.

Trucizna

Żegnaj, drogi przyjacielu!

Twój do śmierci

Zyg. Kras.

41. DO HENRYKA REEVE'A

Genewa, 3 listopada 1831

Kochany Henryku!

Scena przy grobie Twojego ojca[72], jest jedną z tych scen krótkich, przelotnych, lecz długie po sobie pozostawiające wrażenia. Zapamiętaj sobie, Henryku, słowa moje! Dłużej będziesz pamiętał o tym rozbitym powozie i o kościele, niż o K. i Bourdigny.

August jest w Polsce, zdrów i cały.

W poprzednim liście opowiedziałem Ci moją rozmowę z Łubieńskim, od tego czasu już inne nastąpiły. To dziwne! Jest to mój wróg śmiertelny, a jednak przepędzam z nim 6–8 godzin, rozmawiając o dawnych wspomnieniach, wyrzucając mu brak lojalności, ukazując jedną po drugiej złe strony jego charakteru. To nadzwyczajne! Człowiek ten, którego nienawidzę, przychodzi do mnie, wie o tem, że go nienawidzę, i o wszystkiem ze mną rozmawia, o swojej przeszłości, teraźniejszości, przyszłości, o swoich środkach i zamiarach, o swoich wierzeniach i systemach, nie zraża się, widząc moją nienawiść, znosi moje wybuchy gniewu, pozwala, by gniew mój spływał po nim, jak woda po ceracie, w milczeniu lub z uśmiechem przymilenia na ustach słucha moich wymówek, moich oskarżeń, czyni mi zwierzenia, podczas gdy co chwila mu mówię, że jestem jego zaciętym, wiecznym wrogiem. Opowiada mi o naszem wspólnem przeznaczeniu, o losie, który nas ku sobie popycha, który nas, gdy tego zachodzi potrzeba, łączy i dzieli, który ani mnie, ani jemu nie pozwolił walczyć za Polskę, by żaden z nas nie miał wyraźnej nad drugim przewagi, byśmy mogli walczyć z równemi siłami przy różnych sposobnościach; potem nagle rozkłada się na mojej kanapie, podciąga nogi pod siebie, wstrząsa gęstą czupryną i pochlebia mi, a potem niekiedy puszcza gorzki sarkazm, gdy zaś widzi, że oczy moje się zapalają, że moje gesty stają się gwałtowne, znów wraca do słodyczy i miękkości, następnie chce wmówić we mnie, że jest ze mną szczery i otwarty.

Wróg

Czyś zauważył, Henryku, że jest mojem przeznaczeniem, by zawsze mieć coś niezwykłego wkoło siebie? Wszystkie moje duchowe związki, od H. i Ciebie poczynając, dziwne były, a potem człowiek ten, który był moim przyjacielem przez dwa lata, moim wrogiem (aż do pragnienia zabicia mię i zhańbienia) przez cztery tygodnie, potem wrogiem moim z oddali, a który teraz znów zbliżył się do mnie, czyni na mnie przez swoje rozmowy

Wróg, Rozum, Serce

[72] *Scena przy grobie Twojego ojca* — opisana w liście Reeve'a z dnia 27 października 1831. [przypis redakcyjny]

wrażenie bajki Hoffmanna. A pomyśl, że człowiek ten nie ma w sobie nic podniosłego w dziedzinie wyobraźni. Ma mało wyobraźni. Byłby kretynem na Morzu Lodowem, idiotą w dolinie Lauterbrunnen, tchórzem na jeziorze Thun, patrząc na Włochy ze szczytu Symplonu, zażyje szczyptę tabaki, czytając Byrona, będzie czynił uwagi o gramatyce angielskiej, na widok młodej piękności zrobi kalambur, będzie baraszkował na grobach swych przodków i powie Ci dowcip o arystokracji. A jednak wszystko będzie rozumiał: i przyrodę, i Włochy, i Byrona, i kobietę, i sławę przeszłości, lecz czuć nie będzie nic. Na odwrót, w salonie będzie pełnym dowcipu krytykiem, pełnym starań i wdzięku bawidamkiem, rozmawiającym w sposób gorzki, zjadliwy, przygniatając, jak Rossi, jednem słowem; w domu gry będzie dobrym graczem, namiętnym i panującym nad swoją namiętnością, ogrywającym bez litości, bez wyrzutów sumienia, przegrywającym bez żalu czy słabości; na trybunie będzie człowiekiem odważnym, wielkim mówcą, nie zwracającym uwagi na sztylety stu stronników „góry", gdyż jest przecież wielkiego mniemania o sobie, przypuszcza, że z pewnością ich przekona, przygniecie ciężarem swoich słów. Jest to zły przyjaciel, lecz dobrze zachowa tajemnicę spiskowca, żołnierz tchórzliwy, lecz zuchwały trybun, energiczny morderca wrześniowy. Wątpić o tem nie można: jest to człowiek 19-nastego wieku, w którym przeszłość umarła, w którym nigdy nie istniała. Zapytaj go, co to: Normand, templariusz, trubadur, Dante, Calderon, Szekspir, w nos Ci się roześmieje. Lecz zapytaj go kim był Mirabeau, Voltaire, Danton, Balzac, Laclos, oczy jego staną się iskrami, gdyż wymieniłeś źródła jego natchnienia; mieszczą się wszystkie w głowie, a nie raczą nigdy zejść do serca. Ja utrzymuję, że, kto nie ma szlachetnych wspomnień, nie może mieć szlachetnych nadziei. Mylę się może, lecz jest to we mnie artykułem wiary, gdyż odrzucić przeszłość, to odrzucić część wieczności, całe jedno arcydzieło stworzenia, to nie mieć w sobie wcale religij grobów, to mieć o całą partyturę mniej w muzyce duszy. I przy tem wszystkiem ten człowiek doby obecnej, ten ponury pretendent do przyszłości udaje przede mną postać hoffmanowską. Śmieszna sprzeczność. Wyobraź sobie, przyjechawszy do Anglii, zaledwie umiał po angielsku, a w trzy miesiące później dostał 3 złote medale na uniwersytecie w Edynburgu za 3 rozprawy, z których jedna łacińska, dwie angielskie. Oto dowód jego zdolności.

Co do prozy angielskiej, wcale nie jestem Twojego zdania. Skąd, do licha, ma być ciężka! Weź Sheridana, weź Moore'a. Gdzie widzisz ciężkość? Anglia taka, jaka jest dzisiaj, może Ci się nie podobać, lecz język angielski i literatura angielska królują w Europie. Gdybym nie był Polakiem i bardziej dumnym z tego tytułu, niż z czegokolwiek innego na świecie, pragnąłbym urodzić się Anglikiem, nie, by nim być, lecz aby mówić i pisać po angielsku. —

Żegnaj kochany!

Zyg. Kras.

Łubieński dał mi warszawskie gazety rewolucyjne[73]. Czytałem je z goryczą. Są to teorie z 1792 roku, przełożone na język polski; nie ma w nich nic polskiego, nic narodowego ani w myślach, ani w stylu. Wszystko jest odbite przeklętym stemplem Francji. Jasnem jest, żeś listów moich od 7–14 nie odebrał, gdyż od 9–12 byłem w Montreux. Czyś nic nie słyszał o H.? Żywię ciągle szaloną nadzieję, że przybędzie do Genewy w tych dniach. Powstanie, Rewolucja

42. DO HENRYKA REEVE'A

Genewa, 1831. 7 listopada

Kochany Henryku!

Była to piękna chwila dla mnie, ta, która właśnie upłynęła, gdy list Twój czytałem. Jest to chwila, z której dumny jestem, lecz nie dumą zadowolonej ambicji, nie dumą umysłu, lecz dumą serca i miłości. Dumny jestem z tego, że miałem na Ciebie wpływ przyjaciela, że uwierzyłeś słowom moim, gdy Ci mówiłem, że nie powinno być w Tobie spokoju, że nieodpowiednia na to godzina, ni miejsce, zresztą, że zasada spokoju jest przeciwna god-

[73]*rewolucyjne* — tu: z okresu powstania listopadowego. [przypis edytorski]

ności ludzkiej. A teraz przyznaję Ci, że posunąłem się aż do ostateczności. Istnieją chwile, w których to, co nazywasz spokojem albo marzeniem, jest jednym z warunków naszego życia, jest jedną z rozkoszy wśród naszego długiego cierpienia. Lecz zwróć na to uwagę, Henryku: utrzymuję, że nie jest to spokój, przeciwnie, jest to przeszłość wstająca, pełna życia, w naszej pamięci, cała upstrzona barwami. Jest to zmartwychwstanie powolne, bo uroczyste, milczące, bo święte, lecz nie sen. Innym wydawać się będzie, żeśmy drzemali, lecz czyż jest tak w istocie? Nie, gdyż wszystko, cośmy kochali lub nienawidzili niegdyś, znów powraca do nas, unosząc się w chwale wspomnienia, gdyż tysiące myśli krzyżuje się i, rozerwawszy całun przeszłości jak skorupę poczwarki, unosi się wkoło Ciebie, jak olśniewające motyle, brzęczy Ci nad uchem muzyką minionych dni; są to dźwięki, mogące uśpić dziecię w kolebce, a czasem dźwięki, zdolne lwa gwałtownie zbudzić ze snu. A nigdy tego nie splamię nazwą spokoju, przeciwnie, jest to najwyższy szczyt wewnętrznego życia duszy, jest to potężny dramat, odbywający się w nas w sposób wielki i podniosły. Niczego na świecie nie cenię tak, jak wspomnienia, gdyż, co do nadziei, jest ona snem człowieka obudzonego, jak mówił Alkuin na dworze Karola Wielkiego. Lecz co ścigam i czego nienawidzę, to spokoju bez żadnej myśli, to marzenia marzeń, które w końcu słabnie tak bardzo, że traci wszystkie barwy, całą siłę, nie dając nam więcej ni myśli, ni obrazów, lecz stając się w nas słowem, materialnym, stanem nieudolności, gnuśności, niedbalstwa, egoizmu psa myśliwskiego, wyciągniętego przed ogniem, który woli, by iskry powieki mu opalały, niż ruszyć się z miejsca, drugą naturą, zasadą, przesadnym zachwytem, pragnieniem. Stąd pochodzi niejedna słabość i niejedna niedorzeczność, lęk i obawa, wstręt do walki, do niebezpieczeństwa, do wzruszeń, miłość *dolce far niente*[74], odpoczynku, przyjemności, szczęścia, długich rozpamiętywań, prowadzących do urojonego, fałszywego szczęścia istnej bańki mydlanej, a potem, gdy burza i zawieje nadejdą, jesteśmy zaskoczeni wśród myśli swoich, wyblakłych w mózgu, jak rośliny egzotyczne w cieplarni, zaskoczeni wśród snu, bez możności obrony, schwyceni ciałem i duszą, jak bałwan — jak Stackelberg wśród rewolucji, jak Huber w salonie dobrze wychowanych ludzi. Tak więc, skoro zgadzamy się co do przedmiotu, nie będziemy już mówić o nim.

„A co robi Twój ojciec?" Nie wiem. „Gdzież on jest?" Nie wiem. Czy spodziewa się, że wróci do Warszawy? Tak. A czy spodziewa się, że Ty tam powrócisz? Nie. Po cóż bym dzisiaj do Warszawy jechał? Groby jeszcze źle są zamknięte, zapach krwi unosi się w powietrzu, zapach, zachęcający do krwi rozlewu. Znasz mię dostatecznie, by wiedzieć, że widok Rosjanina, bezczelnego zwycięzcy, depcącego kości braci moich, wzywałby zbyt głośno moją rękę, by ścisnęła rękojeść pałasza, spuściła kurek pistoletu. Nie jestem stworzony na spiskowca. Obce mi są: milczenie, uśmiech, hipokryzja na ustach, podczas gdy serce bije z wściekłości. Nie dla mnie podziemia, tajne stowarzyszenia, przysięgi, których nie można głośno wymawiać. Dla mnie jasne słońce i w słońca obliczu połyskujące ostrze, nieprzyjaciel o dwa kroki ode mnie, a potem zapał zapasów, walka rozpaczliwa, purpura krwi, lojalnie przelanej, ostatnie westchnienie umierającego przeciwnika, tam, przede mną, na otwartem polu, wobec całego świata. Nie umiem udawać, a z Warszawy na Syberię droga gotowa, wyznaczona, wyżwirowana. Jeślibyś dziś słyszał, że udałem się do Warszawy, będziesz mógł powiedzieć: „Za kilka dni jeden lub dwa trupy rosyjskie gnić będą na nadbrzeżnych piaskach Wisły, a potem kilka dni jeszcze — i Zygmunt będzie na Syberii". Zresztą niech to zostanie między nami, mój przyjacielu, lecz prędzej czy później ten los jest mi przeznaczony, kopalnie złota czekają na mnie pod dachem z wiecznego śniegu. Wcześniej czy później trzeba będzie skończyć, gdyż dusza moja w miłości, jak i nienawiści, w dniach zagłębienia się w sobie, jak i w dniach niebezpieczeństwa umie jedynie wyrywać się z piersi. To pewne, że na niewolnika inne trzeba mieć serce, a nawet inny, niż ja, system nerwowy. A gdy będę wśród tej zimy bez końca, wśród tych wybrzeży z mchu i lodu, wszystkie fizyczne związki między nami, drogi, zostaną zerwane na zawsze. Dziś jeszcze niebo pogodne, powietrze świeże, woda błękitna przypominają mię Tobie, gdyż płynęliśmy razem po błękitnej wodzie, pod niebem błękitnem, lecz wtedy wszystko będzie zmienione. Gdy, siedząc przy swem ognisku, usłyszysz podmuch wiatru zimowego, uderzającego o okiennice, gdy zobaczysz płatki śniegu, spadające na równinę, wtedy pomyślisz o mnie, o rydlu górnika, o łańcuchach więźnia, o całym świe-

Polak, Rosjanin, Walka, Powstanie, Pojedynek, Rycerz

Syberia, Marzenie

[74] *dolce far niente* (wł.) — słodka bezczynność. [przypis redakcyjny]

cie, między nas rzuconym, a gdy wtedy przypomnisz sobie białe żagle, przeglądające się w Lemanie, księżyc z Chamonix, pożegnanie z Saint-Cergues, będzie coś poważnego i smutnego i uroczystego i słodkiego w tych wspomnieniach, widmach, powracających po wielu latach, widmach, na których wyblakłem czole będziesz jeszcze chętnie szukał śladów Alp, tych Alp, tak wielkich, tak pięknych, tak gościnnych dla nas niegdyś, u stóp których kochaliśmy, a na których szczytach wielbiliśmy Boga i czuli naszą nieśmiertelność — tych Alp, które nawet wśród burz uśmiechały się do nas, jak do swych dzieci, uśmiechem spokojnym, marzycielskim, podniosłym, tych Alp, mój kochany, które były widownią naszej epoki bohaterskiej, naszej poetycznej przeszłości, gdyż człowiek każdy, jak i naród, ma swoją epokę bohaterską, swoją mityczną przeszłość.

Spójrz na tę nieszczęsną Polskę: „*Vae victis*[75]" Brennusa są to słowa, które nigdy nie umierają, jest to arystokratyczny talizman rodziny zwycięzców, przechodzący z rąk do rąk, z serca do serca. Przepowiedziałem Ci, zdaje się, że amnestia jest farsą jednego tygodnia, zagraną dla zabawienia Europy; później, gdy spadnie kurtyna, zacznie się wielka prawda za kulisami. Są oni tam, w mojej ojczyźnie, rzucą się na wszystko, co naród ma świętego, poświęconego, zacznie się od ciał pojedynczych ludzi, a skończy na religii i języku polskim. Spodziewać się szlachetności od Mikołaja znaczy myśleć, że kometa oszczędzi świat, gdy już przyszło do zderzenia. A potem Mikołaj sam, chociaż despota, jest u siebie monarchą konstytucyjnym, to znaczy, że jego konstytucja to spisek, to sztylet, krawat jedwabny, który każdego dnia może zacisnąć się koło jego szyi i nie dać mu wrócić więcej. Szlachta rosyjska, ciemna, zadłużona, jest wrogo usposobiona dla Polski, dla jej imienia, dla języka polskiego, gdyż obawia się o swoich poddanych i ma instynkt dzikich bestyj, które wywąchują z daleka myśliwca. Wiedzą, że z Polski ma przyjść światło, które Rosję oświeci.

Gdy zobaczysz Niemcewicza, mów z nim o mnie, o dziecku, które tak często przechadzało się z nim w jego wiosce, nad brzegiem Wisły! Powiedz mu, że opowiadałem Ci o nim, o życzliwości, jaką miał dla mnie, o jego wiosce z sosnowym laskiem, zwanej Ursynowem od jego nazwiska Ursyn. Powiedz mu nazwę „Ursynów", a zaręczam Ci, że to wywoła u niego uśmiech radości. Jest to człowiek wybitnie sarkastyczny i zarazem wybitnie tkliwy. On to pierwszy sprowadził do Polski literaturę angielską, on przetłumaczył *Skradziony pukiel* Pope'a, *Elegię cmentarną* Grey'a. Pisał nadto *Śpiewy historyczne*, bajki, komedie, tragedie, *Historię Zygmunta III* (doskonałą), wreszcie wydał pamiętniki o dawnej Polsce. Teraz musi być bardzo stary, wyniszczony; rewolucyjne gazety Warszawy obeszły się z nim niegodnie, z nim, adiutantem Kościuszki i żołnierzem Waszyngtona.

Co do H., masz rację; jest to dusza zacięta i uparta, która zamknęła się w sobie, która nie chce wyjść z siebie i która sobie powiedziała: „Oszukał mię, kochałam go, pogardzam nim, a więc całe życie będę nosić żałobę po jego honorze i sławie". Lecz nikomu tego nie powie. Silna jest to dusza dziewczęca, mój przyjacielu. A jednak, jeśli będziesz mógł, pisuj do niej, zobacz się z nią, a jeśli Ci odpowie, przyślij mi jej bilecik, ażebym zobaczył jej pismo sprzed tygodnia, które jeszcze dobrze nie obeschło. To mi dobrze zrobi, odmłodzi moje słabnące oczy. Dwa lata blisko jej nie widziałem, nie słyszałem i nie rzuciłem przelotnego spojrzenia. A czyż ją kiedyś zobaczę, ją lub Ciebie?

Syberia, Niewola

Czy słyszysz te uderzenia motyki o zamarzłą glebę, te skargi, te jęki, te huragany, przechodzące nad śniegami, wznoszące pagórki i wypełniające szczeliny? A to wszystko nad głowami naszemi. A my pracujemy nad tem, by cesarstwu nie zabrakło sztuk złota i rubli, a na każdym kawałku rudy, który wyrywamy we krwi i pocie, będzie odciśnięta twarz naszego tyrana.

Żegnaj, mój przyjacielu!

Zyg. Kras.

Rachunek listów się zgadza, żaden nie zginął; to ja się omyliłem.

43. DO HENRYKA REEVE'A

[75] *Vae victis* (łac.) — Biada zwyciężonym. [przypis redakcyjny]

10 listopada 1831. Genewa

Mój kochany Henryku.

Przede wszystkiem odpowiadam na to, co jest w związku z Effinghamem Wilsonem[76]. Jest widoczne, że wyżej wymieniony Effingham, człowiek od odbijania, drukowania i oprawiania książek, nie rozumie ani słowa z *Wędrowca* i poezji, jak wszyscy księgarze, nie wyłączając nawet słynnego Murray'a, który mojem zdaniem był największym głupcem, o jakim słyszałem. Tak więc Effingham dał odpowiedź, jakiej można było spodziewać się po jego mózgu, podzielonym na szufladki, odpowiedź kupca, handlarza skończonego, sklepikarza w całej pełni. Jakże mogłeś przypuszczać, że będzie inaczej! Jest to chwila przesilenia dla kapitałów, spekulacji i renty. Czytając Twoje wiersze, myślał o reformie, i reforma podyktowała mu odpowiedź. Może być, że jest on wielkim erudytą. Jestem przekonany, że zna pierwszy szpargał, który był drukowany w Anglii, Szkocji lub Irlandii, że będzie z Tobą bardzo uczenie rozmawiał o manuskryptach Alfreda Wielkiego i psalmach, przepisanych przez św. Cuthberta, lecz czyż człowiek ten, do diabła, ma najlżejsze pojęcie o tem, czem jest poezja? — Dość o Effinghamie! Mówmy teraz o Campbellu[77] i Southey'u[78].

Powiedz mi, Henryku, czy masz w swej niedbałej i rozmarzonej duszy, którą pragnąłbym tak bardzo widzieć silną i rozbudzoną, żywą, najwyższą wiarę w siebie samego, gorącą wiarę w to, że jesteś poetą, gorliwą wdzięczność Bogu za to, że Ci dał w czasach chaosu i nieładu posłannictwo poety, istoty wzniosłej, natchnionej? Czy wierzysz mocno, że Bóg Ci dał lirę i przeznaczył Ci, byś zasiadł od strony przeszłości nad brzegiem przepaści, która dzieli przeszłość od przyszłości, i wyśpiewał wzniosłe myśli dni, których już nie ma, wplatając do nich przeczucia i proroctwa dni, które nadejdą? Czy masz w skrytkach swej duszy, w tajnem sanktuarium swej duchowej istoty coś, co Cię popycha, co Ci zaciska palce dokoła pióra, gdy piszesz, co Ci szepce, że masz do spełnienia cel, co Ci tajemnice odkrywa, gdy stoisz na górze, patrząc na równinę w dole, piękne i szlachetne czyny do dokonania, coś, co by Ci dodawało otuchy wobec niebezpieczeństw życia natury materialnej, póki posłannictwa nie spełnisz, co by wywoływało uśmiech pogardy na trybunie, otoczonej sztyletami, opancerzając Ci duszę pewnością niewymowną, że nie możesz zginąć zanim wybije Twoja godzina, i że godzina Twoja jeszcze nie nadeszła, a nim nadejdzie, nim wybije, trzeba jeszcze, byś oddziaływał na świat, byś wywołał okrzyki podziwu i pochwały, odrazy i czułości, zależnie od tonu, którym zadrżą akordy Twoje? Henryku, wejdź w siebie, zastanów się głęboko! Duszy swej nie pytaj, czy to jest jej stan ciągły, codzienny. Byłoby to obłędem, gdyż zaprawdę na balu, obiedzie, wykładzie, takie uczucie nie byłoby na miejscu. Lecz szukaj wśród wspomnień swoich o Alpach, przywołaj z powrotem myśli, które do Ciebie przychodziły na szczytach górskich, te myśli, które nie od Ciebie pochodziły, które są obce, jednak wszechmocnem prawem podboju boskiego ogarniały Twoją duszę. A wtedy wiedzieć będziesz, kim jesteś i czego ludzie po Tobie i Ty sam po sobie spodziewać się możesz. Mój przyjacielu, pewien jestem, że masz tę wiarę. Wyczytałem to po wiele razy w spojrzeniach Twoich i rysach, gdyż ta wiara tajemna rzadko się wciela w słowa, lecz błyszczy w oczach w chwilach namiętności i wzruszenia. Tak więc, jeśli masz to wewnętrzne przeświadczenie, jeśli wierzysz w siłę swoją i w siebie, jeśli masz przekonanie, że Bóg chce czegoś od Ciebie, że Cię umieścił wśród bliźnich, byś był wyższym od nich i działał na ich umysł, na cóż Ci, mój drogi, po-

[76] *Przede wszystkiem odpowiadam na to, co jest w związku z Effinghamem Wilsonem* — jest to odpowiedź na następujący ustęp listu Reeve'a z dn. 3 października: „Wczoraj zostałem przedstawiony znakomitemu Effinghamowi Wilson. Niestety, nie był szalonym, ni eleganckim. Tak, jak to przepowiadałem, wyraził cały podziw, który mój poemat w nim wzbudził, ale, czy to reforma, czy to cholera, czy też złe usposobienie publiczności dla literatury, czy też tysiąc innych rzeczy, dość, że nie czuł w sobie odwagi, by zaryzykować wydanie. Gdybym jednak zechciał podjąć się połowy kosztów tej spekulacji, chętnie przyjąłby na siebie drugą połowę. Jak widzisz więc, muszę zaślubić tego osła księgarza, by mi zrobił dziecko i trzeba jeszcze, bym miał znaczny posag, od 600–800 franków. Znalazłem z łatwością te pieniądze, lecz chcę naprzód wyrachować, czy sława i reputacja, przez nie nabyte, przedstawiają wartość tej sumy. Czy radzisz mi dać *Wędrowca* do przeczytania jakiemuś wybitnemu poecie, Campbellowi np., by mi wyraził swoje zdanie? Chętnie posłałbym go Southey'owi. Napisz mi, co o tem myślisz". [przypis redakcyjny]

[77] *Tomasz Campbell* (1777–1844) — głośny poeta angielski, organizator i rektor uniwersytetu londyńskiego. [przypis redakcyjny]

[78] *Robert Southey* (1774–1843) — „poeta uwieńczony", autor eposów z życia Wschodu. [przypis redakcyjny]

trzebni Campbell i Southey? Zwykła naiwność początkującego autora, który czyta swoje broszury w rękopisie sawantkom, starym perukom, który drży przed drukiem, obawia się krytyki. Jest to jakby wywołaniem ducha nieszczęsnego Johna Keatsa[79] z jego grobu koło piramidy Kaja Cestiusza. Wierz przyjacielowi swojemu: albo jesteś poetą, a myślę, że nim jesteś, i o to Boga proszę, albo nim nie jesteś. W przypadku pierwszej hipotezy nie jest Ci potrzebnem, by Campbell lub Roderyk, „ostatni z Grotów", dali Ci jałmużnę pochwały i uznania. Było to dobre w wiekach średnich dla czeladnika bednarskiego w mieście cesarskiem, by majster wydał mu świadectwo, podpisane przez członków korporacji. Lecz dla Ciebie dziś nie widzę tej potrzeby, nie rozumiem użyteczności.

Poza tem, ponieważ mię o to prosisz, dam Ci ostatnią radę. Przeczytaj uważnie *Wędrowca*. Dodawaj do niego, dodawaj ciągle! Obudź się, jeśli mię kochasz, gdyż któż cierpieć będzie przez cios, zadany Twojej sławie, prócz mnie i Ciebie? Czytaj Ballanche'a, Micheleta *Przedmowę do historii powszechnej*, a potem *Historię Rzymu*. Cały świat pojęć stanie się wtedy Twoim udziałem, a wtedy wrzuć myśli do swojej formy wieszczej, uczyń z nich dla *Wędrowca* olśniewający ogon komeciany, a potem, pełen wiary i energii, daj to do druku. Nie myśl o sławnych poetach Wielkiej Brytanii, ani o zasuszonych krytykach, ani o eleganckich czytelnikach — myśl o Bogu i o sobie, myśl o wszechświecie i o rodzie ludzkim, myśl o naszym wieku przejściowym, w którym konają starcy, a dla dzieci jutrzenka wschodzi, płacz nad starcami, gdyż oni byli wielkimi w dniach swej młodości, i unoś się nad dziećmi, gdyż one będą wielkie, gdy nadejdzie ich godzina. I daj do druku, daj do druku! Nie miej żadnych obaw! Jeśli masz wiarę, będziesz miał i sławę.

Lecz teraz, gdy zagłębiłem się w tym przedmiocie, niełatwo z niego się wydostanę. Przypominam sobie, że raz w Rzymie, w piękny ranek lutowy, woniejący fiołkami, byłem na cmentarzu angielskim z Juliuszem Arrey, pełnem ognia i życia dzieckiem. Tam widziałem grób Johna Keatsa: kolumnę z marmuru, pod nią złamaną lirę i napis, który znasz dobrze[80]. Czułem, gdy go czytałem, że łzy niemal litości napływają mi do oczu, i w tem zawarte było wszystko, co można było wypowiedzieć o nim. Henryku, jest to człowiek, który spał równie smacznie za życia, jak i po śmierci; jest to człowiek, który miał z poety coś, niewiele, od czasu do czasu trochę natchnienia, parę pięknych wierszy, lecz nie był poetą. Brakło mu wiary. Jest to ostatnie ogniwo długiego łańcucha literatów, którzy schylali głowę przed krytyką i zjadali obiady i śniadania u wielkich panów. A więc grób jego bardziej, niż on sam, może wzruszyć na chwilę, potem przechodzimy i nic z tego nie zostaje. To dziecię, pełne zapału, ta chytra małpka, pełna życia, biegnąca przede mną, skacząca ze wzgórka na wzgórek, wdrapująca się na grobowce, pochylająca się nad płaskorzeźbami, zrywająca tu i tam fiołki, by je oskubywać z płatków na grobach młodych, spoczywających tam Angielek, wzbudza we mnie coś więcej, niż ten kamień, skulony nad Johnem Keatsem, gdyż w tem dziecięciu było życie i rodząca się siła, podczas gdy w Keatsu[81] życia było mało, a mocy zupełnie nic. A jednak chciał być poetą, a jednak wielu ludzi witało go tem imieniem. Poezja, mój kochany, była dla niego snem nieudanym, nie była nawet zmorą; biedaczysko, nie umiał walczyć, ni z walki czerpać natchnienia. „Umarłbym uśpiony, jak żyłem". Cóż znaczą te słowa, które jakby wyszły spomiędzy prochów Johna Keatsa, słowa słuszne, odpowiednie, by unosić się przez chwilę nad trawnikiem grobu, by się mieszać z wietrzykiem wieczornym, a potem umrzeć bez echa, bez śladu — lecz są to słowa ohydne swojem niedbalstwem dla Henryka Reevea, dla poety, dla człowieka, który powinien myśleć o śnie tylko jako o wypadku, który powinien stać mocno, zdecydowany, pełen życia, namiętności, wiary, gotów walczyć, zwyciężyć, jeśli można, lub zginąć godnie, jeśli zwycięstwo nie leży w jego przeznaczeniu. A śmierć ta będzie jednak moralnem zwycięstwem. To ja z większem prawem mógłbym mówić o śnie, o marzeniach, o laudanum, gdyż gdzież jest przyszłość moja? Powinienem powiedzieć: „Potrzymaj mój płaszcz szeroki, bym się mógł weń zawinąć i rozciągnąć na ruinach i grobach! Nadeszła godzina — trzeba zasnąć na zawsze". A jednak myśl ta ode mnie daleka, walczyć będę do ostatniej chwili, by znów odbudować przyszłość sobie i Polsce. Lecz Ty, Henryku, jesteś wśród bu-

Poeta, Poezja, Wiara, Siła

Polak, Polska, Poeta, Twórczość, Historia

[79] *John Keats* (1795–1821) — jeden z najświetniejszych poetów angielskich; był ofiarą nie krytyków, lecz gruźlicy. [przypis redakcyjny]

[80] *napis, który znasz dobrze* — brzmi on: „Tu spoczywa ten, którego imię napisane było na fali". [przypis redakcyjny]

[81] *Keatsu* — dziś popr. forma: w Keatsie. [przypis edytorski]

rzy tak gwałtownej, iż rozdziera obłoki i pozwala się przedrzeć słońcu; jesteś człowiekiem cywilizowanym, człowiekiem postępu, a dodaj jeszcze: człowiekiem Północy. Masz siłę i moc barbarzyńcy, a światło i wiadomości Południa, bez jego niedbalstwa i jego miękkości. Wszystko jest Twoje. Gdy będziesz walczył, zakipi w Twoich żyłach krew świeża, surowa, zdrowa krew Saksończyka, Skandynawa, Normanda. Gdy się zjawiasz, cały świat doskonałości jest na Twoje rozkazy. Możesz wybierać bez związku, chwytać mistyczne marzenia Wschodu, święte, podniosłe prawdy chrystianizmu i bogactwa europejskie. Lecz czegoż mogę dokonać ja, zduszony, ściśnięty wśród mało rozwiniętej cywilizacji, wczoraj rozpoczętej, gdzież są nadzieje moje? Ty masz piękne, czyste i wielkie nadzieje. Lecz, aby się urzeczywistniły, nie czyń z nich snu, „snu nocy letniej"! Nie zasypiaj na początku swojej drogi. Czy pamiętasz słabość tych, którzy zasnęli w ogrodzie oliwnym, podczas gdy ich Zbawca modlił się za nich? — Jakżeż więc zasnąć chcesz, gdy natchnienie jest przy Tobie? Syn Boży zlitował się nad apostołami swymi i po trzykroć ich obudził. Lecz, gdy Ty raz uśniesz, Bóg nie obudzi Cię więcej, gdyż, zaprawdę, posłannictwo Twoje nie jest równe posłannictwu pierwszych chrześcijan.

Poeta, Miłość romantyczna, Kobieta

Zawsze to powtarzam: kochankę Ci dać, a będziesz poetą. Kochanka jest dla Ciebie tem, czem byłby punkt oparcia dla Archimedesa. Wywołuję więc przed oczy Twoje widmo Johna Keatsa, wzywam go z jego zimnego grobu w rzymskiej Kampanii. Przyjrzyj mu się, nie spuszczaj oczu z tego biednego widma, bladego, pokrytego łachmanami, o pomarszczonej twarzy. Z prochu serca jego fiołek się zrodził, smutny, skromny, nieśmiały. Trzyma go on w swoim ręku. W tym kwiatku wybujałym zawarta jest cała jego przeszłość, cała egzystencja, cała słabość. Jak on, żył przez jedną wiosnę, ukryty w puszystej trawie; zaledwie podniósł głowę, a głowa ta opadła natychmiast. Młoda dziewczyna płakała nad jego śmiercią, lecz cały naród nigdy nań nie zwróci uwagi. Przywiązuję to widmo do Twoich kroków, rzucam je w poprzek dni i nocy Twoich. Niechaj będzie u boku Twojego, jak umierający w szpitalu, jako ostrzeżenie i niechaj Cię wstrętem i litością napełnia! — A wtedy dusza Twoja zaniepokoi się, cofnie się przed litością i posiędzie siłę, aby starać się o ich zdziwienie i uwielbienie.

Poeta

W tej chwili właśnie dowiedziałem się, że w Anglii jest cholera. Biedna H. Czyż umrze? Myśląc o Tobie, nie o śmierci myślę, lecz o życiu. Ale matka Twoja? Wsiądź na statek dla swojej matki! Przepłyń cieśninę, wróć do mnie i do Alp! Alpy doskonale Ci zastąpią kochankę. Lecz moja biedna, moja droga H.! Spełniła swoje posłannictwo dziewicy, kochała pierwszą miłością. Przeżyła wszystkie uczucia, od najgorętszych do najzimniejszych, doznała zdrady i uwiedzenia, kochała mocno, a potem pogardzała. Oto cała egzystencja kobiety! To skończony poemat. To dramat w całości. Według prawa dusz i życia — może umrzeć. Oto, co mię boli, co mię przeraża. Czy pamiętasz sen, w którym odprowadzałem kochankę moją w noc jesienną aż do drzwi naszego wspólnego grobu? Sen ten przychodzi mi do głowy. Biedna H., biedne dziewczę, które tak kochałem! Gdybym był przynajmniej zginął w Polsce, jej łoże śmiertelne byłoby ślubnem łożem, gdyż tam rozpoczynałoby się jej połączenie ze mną, gdyż od tej chwili wyciągałaby ramiona ku wieczności i ku mnie. Lecz dzisiaj będzie musiała sama, samotna poza grób się zapuszczać, unosząc z ziemi tylko gorzkie wspomnienia, wspomnienia złudzeń, rozwianych w kwiecie jej lat. Henryku, oby to przeczucie nieszczęścia, ta wizja zmąconego mózgu nie spełniła się naprawdę! Oby ta, którą kochałem i uwiodłem wskutek fatalności mego losu, a nie pragnienia własnego serca, mogła żyć i być szczęśliwą długo po mojej śmierci! To samo życzenie i dla Ciebie składam. Nie jest to frazes, lecz szczera myśl prawdziwego przyjaciela.

Kobieta

Zyg. Kras.

44. DO HENRYKA REEVE'A

Genewa, 18 listopada 1831 r.

Mój kochany Henryku![82]

Nienawiść, Pojedynek, Bóg

Istnieje wielka różnica między nienawiścią dzikiego człowieka, a nienawiścią chrześcijanina. W pierwszym przypadku wróg jest przywiązany do słupa, dokoła którego żarzą się węgle, wyrywa mu się paznokcie, szarpie się rozpalonemi kleszczami czaszkę, piecze się go na wolnym ogniu i tem się nasyca. W drugim przypadku wzywa się Boga, pokłada ufność w jego sprawiedliwości i, jak rycerz średniowieczny, krzyżuje się ostrze z ostrzem wroga. Niechaj niebo przebaczy grzechy temu, kto trupem padnie! Czy przypominasz sobie, jakie jest pochodzenie pojedynków? W wiekach średnich pojedynek „sądem bożym" nazywano i wierzę mocno, że każdy pojedynek jest sądem boskim, z wyjątkiem tych drobnych starć łobuzów, które mają za przedmiot jakąś k..., miejsce w teatrze, lub jakąkolwiek inną drobnostkę w tym rodzaju.

Nienawiść, Niewola, Polak, Polska, Rosja, Rosjanin

List Twój jest piękny, jest wzniosły, Henryku. W innej chwili pochyliłbym przed nim czoło. Dziś podziwiam go jako dzieło sztuki, lecz do serca mi nie trafia. Piszesz mi, że zawsze ubolewałeś nad tą nocą, nad szałem duszy mojej itd. Henryku, należy brać człowieka takim, jakim go przeznaczenie zrobiło. A takiem było moje przeznaczenie, że od kolebki ssałem nienawiść z mlekiem mamki. Ssałem ją z pierwszych spojrzeń matki swojej i z pierwszych słów mojego ojca, a później przyszła silna i nie do przezwyciężenia, by osiąść w mojem sercu na widok ojczyzny, deptanej nogami przez nikczemnych barbarzyńców, na głos jęków braci i łkania sióstr moich. Ty, jako człowiek wolny, człowiek, który się wolnym urodził, zupełnie pojąć nie możesz uczuć człowieka, którego przodkowie, jak Ty, wolni byli, lecz który sam jest uciśnionym niewolnikiem. Nie widziałeś nigdy kobiety pięknej i młodej, płaczącej gorącemi łzami nad utraconą czcią, odebraną brutalnie przez zwycięzcę. Nie słyszałeś nigdy łańcuchów, wstrząsanych na ramionach Twoich rodaków. Nie budziły Cię w nocy gwałtownie nadchodzące nagle skargi, opierając się o poduszkę, nie przysłuchiwałeś się, na wpół śpiący, turkotowi podrzucanych na nierównym bruku kół kibitki, uwożącej ku równinom Syberii Twojego krewnego, przyjaciela, znajomego. W dzień nie widziałeś krwawych egzekucyj, jak tyran w uniformie przebiegał błyskawicznie place publiczne i, popuściwszy cugli swoim czterem tatarskim koniom, najeżdżał wprost na przechodniów; przechodnie byli to moi rodacy, on zaś był Rosjaninem. Nie byłeś zmuszony słuchać, jak ludowi wydają rozkazy w szorstkim i twardym języku, którego nie rozumie. Nie czułeś poniżenia, które za sobą pociąga niewola, i nie wstrząsa-

[82]*Mój kochany Henryku!* — jest to odpowiedź na następujący ustęp listu Reeve'a z dnia 10 października 1831 r.: „Czytam w liście, który mam przed sobą: »Posiada on niezmiernie wiele wiadomości, wielkie zdolności umysłowe, lecz nie ma pojęcia o tem, czem jest ofiara, wyrzeczenie się siebie, obowiązek, powolne, straszne i nieznane cierpienie, poświęcenie dla rodu ludzkiego«. Zaprawdę, mój kochany, gdybym Cię znał tylko z tego listu, gdybym nie był czytał z dzieł Twoich nic prócz tych wierszy i gdybym w Tobie nic innego prócz tych myśli o zemście nie umiał znaleźć i nic w Tobie nie pojął prócz Twoich nieubłaganych i krwiożerczych namiętności, miałbym ochotę powiedzieć surowemi słowy proroka: *Jesteś człowiekiem.* Od pierwszych czasów naszej przyjaźni, gdy ona była jeszcze zwykłą znajomością, podczas przechadzek naszych w Passy, podczas palenia tytoniu u Ciebie, a później podczas przechadzek naszych poprzez góry, widziałem z najgłębszą boleścią siłę Twojej nienawiści, moc Twojego charakteru, szał Twoich namiętności, zwracających się w całości przeciwko człowiekowi, który Ci raz stanął na drodze, a którego zaszczycasz nazwą wroga. Później przyszło cierpienie, złagodziło surowość Twojego charakteru, dało Ci poznać tkliwość uczucia i piękno przyjaźni, lecz niestety, nie nauczyło Cię odczuwać, jak wiele sprzecznego z chrześcijaństwem pierwiastku jest w nienawiści. Pięć godzin rozmowy z człowiekiem, który, szczerze czy udanie, był w każdym razie skłonnym do zgody, a gniew Twój, jak olbrzym z podania, że tak powiem, ledwie tknął ziemi, już odzyskał cały swój ogień i cały zapał. Jak drugiemu Herkulesowi, pozostaje Ci jedynie zdusić go w ramionach. Ten duch zemsty, silny sam w sobie, stanowi słabość Twojego charakteru, a przez szczególną przewrotność Twojej duszy upierasz się, by go uważać za broń dozwoloną i użyteczną. Mówisz mi o przeznaczeniu. A więc przeznaczenie to jest w Tobie, inaczej mówiąc: pierwiastek złego, który kochasz, jak gdyby był pierwiastkiem dobrego, »groszek dziki, rosnący w życie«. Chcesz zło złem zwalczać, zdaje Ci się, że jesteś skrzywdzony; jesteś nim istotnie i odrzucasz od siebie daleko i sprawiedliwość, i wyrzeczenie się siebie, i ducha poświęcenia. Poświęcenie! Chcesz poświęcić drugiego, złożyć ofiarę z ciała i krwi dla namiętności śmiertelnej i ziemskiej. Powiedziane jest w liście Twoim: »Będzie moim przeciwnikiem i złamie mię, o ile się go nie pozbędę w śmiertelnym pojedynku«. Zbir włoski powiedziałby: »O ile go nie każę zamordować na rogu ulicy«; Teodor, rozbójnik korsykański, powiedziałby: »O ile jeden z moich kamratów nie wypali do niego z karabinu«; lecz jedynie szlachcic polski, chrześcijanin, poeta i człowiek uczuciowy, posiadający kochankę we wspomnieniu i przyjaciela w rzeczywistości, zdobył się na chęć zostania katem, opowiadając o poświęceniu, i na chęć zanurzenia rąk we krwi mówiąc o wyrzeczeniu się siebie. Przerwijmy tę sprzeczkę, lecz zaklinam Cię na wszystko, co Ci święte, na imię matki i ojczyzny, których już nie ma, na wspomnienie przeszłości, na *Słowo obłoków*[*Słowo obłoków* — Cytat z *Apokalipsy*; przyp. red.] zastanów się, módl się za siebie, a nie o karę dla niego, módl się, by pokój niebieski zstąpił do Twojego serca i by zgasił nieczyste płomienie, które Cię pożerają. Co do niego, jeśli zechce Cię oszukać, jesteś na to przygotowany. Opuść szablę — cios ugodził w ciebie!". [przypis redakcyjny]

łeś się w napadzie wściekłości, jak pies szlachetny na uwięzi. Nie oglądałeś poprzez kraty więzienne pobladłych i wychudłych braci swoich. I nie opowiadano Ci przy ognisku zimowem, jak znikł jeden, drugiego skazano, w jaki sposób spalono wioskę, zrabowano miasto i całą Pragę zatopiono we krwi mieszkańców, a drgające dzieci rzucano na zimne i zesztywniałe łona matek. Nie opowiadano Ci o dawnej świetności. Nie rozkładano przed Twojemi oczyma starych, podartych sztandarów, strzaskanych biednych białych orłów, herbów zatartych, imion kochanych i wielkich, na wpół wymazanych. Nie śledziłeś na karcie spustoszeń swojego kraju, jak kurczył się coraz bardziej, ubożał, by wreszcie zginąć pod stopami ciemiężycieli. Nic z tego wszystkiego nie wplotło się do Twojej rzeczywistości ani do Twoich snów. Urodziłeś się w spokoju, dzieciństwo Twoje w spokoju minęło, młodość Twoja była poetycznym spokojem, wszystko, Alpy nawet, mówiło Ci o spokoju, błogości, szczęściu, zapomnieniu, milczeniu, marzeniach, i te uczucia wzbudziło w Tobie. Oto dlaczego nienawiść wydaje Ci się ohydną.

Nienawiść, Zemsta

Nie mówię już o Łubieńskim. Wyjechał. On i ojciec jego są nieszczęśliwi. To wystarczy, bym zapomniał nawet o słowie „zemsta". Lecz chcę tylko wyjaśnić Ci i uzasadnić to uczucie, raczej namiętność, nienawiść we mnie. Nienawiść była towarzyszką mojego dzieciństwa; nienawidziłem z całych sił mojego małego serca zanim kochać począłem, bądź to kobietę, bądź przyjaciela. Jest to element, który przymieszał się do mojej natury i wraz z nią się rozwinął, stał się częścią mojej całości i zmuszony jestem go zachować, skoro okoliczności powiększają go tylko i zmieniają w obowiązek. Dla człowieka, który nienawidzi cały naród tak bezgranicznie jak ja, cóż znaczy nienawiść do jednostki? Oto dlaczego ja, chrześcijanin, głęboko przeniknięty duchem chrześcijaństwa, nie cofam się, jak może powinienem, przed nienawiścią i zemstą. Zaprawdę, dziwna jest we mnie mieszanina. Jestem spadkobiercą mało rozwiniętej cywilizacji, sam zaś zdobyłem cywilizację europejską, wgłębiłem się w nią, studiowałem ją dniem i nocą, a potem w chwili, gdy chciałem jej się oddać, gdy chciałem całą przeszłość odrzucić i upoić przyszłością, wtedy, w piękną noc włoską, w blasku księżyca, gdy błąkałem się pod ciemnemi portykami, które mię doprowadziły do krzyża wśród starego rzymskiego cyrku, krzyż ten mię zatrzymał.

A więc przyznaj, że tysiąc sprzeczności istnieje we mnie. Przeszłość feudalna i przeszłość polska, dni o miłości i dużo nienawiści, wiara w nadzieję chrześcijańską i chwile dumnych nadziei na przyszłość. Cała ta mieszanina czyni ze mnie coś podobnego do barbarzyńcy z VI stulecia. Lecz ośmielam się wierzyć, że w tem wszystkiem jest poezja. Co do Łubieńskiego, wyznam Ci wszystko, Tobie, jedynemu mojemu przyjacielowi, jakkolwiek wiem, że narażę się na naganę duszy szlachetnej.

Przepędziłem z nim wiele nocy, rozmawiając o systemach i o Polsce, zwracając rozmowę w inną stronę lub też przerywając ją, skoro chciał o naszej dawnej przyjaźni napomknąć. Po raz pierwszy w mojem życiu byłem tak twardy i powściągliwy. Cierpienie mnie tego nauczyło. Wreszcie ostatniego wieczoru pożegnałem go, uścisnąłem mu dłoń lekko i wyszedłem. Na schodach usłyszałem go, jak mi od drzwi powtarzał swoje pożegnania głosem łkającym; najwidoczniej płakał, jak dziecię. Była to dla mnie chwila okropnego wahania; uczułem, że mam duszę rozdartą; przez chwilę zdawało mi się, że się rzucę, uścisnę mu rękę i powiem: „Przebaczam Ci". Lecz na myśl że wszystko to tylko udane, na myśl, że temu człowiekowi zawdzięczam nienawiść swych rodaków, że z jego przyczyny byłem uważany za złego Polaka, na myśl, że po wiele razy oczerniał mojego ojca, że zmusił mię do opuszczenia Polski — krew nienawiści znów zalała moje serce. Odpowiedzią moją było suche i krótkie pożegnanie — i wyszedłem na ulicę.

Nienawiść, Polak, Polska

Tu się zatrzymałem i odczytałem, com właśnie napisał. Uderzony byłem wrażeniem, jakie to na mnie wywarło. Zaprawdę, byłoby ono zupełnie inne, gdybym mu przebaczył. Żałuję tego szczerze, lecz patrz, jak potężną jest nienawiść we mnie. Chciałbym móc szczerze Ci te słowa napisać: „Przebaczam mu w myśli z głębi duszy". A jednak nie mogę. Byłoby to kłamstwem, gdybym tak napisał. Nie, zaprawdę, słów tych napisać nie mogę. Może właśnie podpisałem moje własne potępienie. Cholera zbliża się. Lecz nie kładź tego przynajmniej na karb przewrotności mojej, przypisz to raczej przeznaczeniu, które sprawiło, żem się urodził na ziemi uciemiężonej. A na tej ziemi nieszczęsnej, spustoszonej, przebaczenie byłoby bezbożnością. Wiesz przynajmniej, że miłość jest jedną z połów mojej duszy; myśl o tej połowie i zapomnij o drugiej! Zaprawdę, cóż Cię

druga obchodzi? Czyś widział, bym kiedykolwiek kogoś nienawidził w Europie lub bym się unosił przed Tobą nad uczuciem nienawiści w poezji? Nienawiść moja odnosi się tylko do świata, z którego nic nie znasz, do świata bólów i wyrzeczeń, niewolnictwa i zbrodni. Świat ten pozostanie dla Ciebie zawsze ciemny i nieznany. Jest dla Ciebie tem, czem była dla Greków Tracja, a Germania dla Rzymian. Lecz ja, który mam w nim żyć i walczyć, musiałbym wkrótce upaść, gdybym nie miał za podporę nienawiści. — Tam, gdzie nieszczęście i zniszczenie są pewnego rodzaju szałem, trzeba szalonych namiętności, by oglądać tę olbrzymią zagładę i nie ulec oszołomieniu. To są tajemnice barbarzyńców, mój kochany. Znałeś mię, kochałem H.; gdy mię opuściła, czyż szemrałem, czy myślałem o nienawiści, o zemście, o zazdrości? Kochałem Cię i kocham, towarzyszyłeś mi w mojem życiu codziennem, czyś znalazł kiedykolwiek we mnie coś brutalnego, twardego, krwiożerczego? Nie widziałeś, jak przyjaciel Twój płakał, widziałeś jak litował się nad innymi i roztkliwiał. Sam w moim pokoju, bardzo często płakałem, myśląc o H. lub o Tobie. Łzy miałem w oczach modląc się do Boga. Dnia każdego modlę się za Ciebie i za nią. Znałeś mię tylko w pełni miłości. Opowiadałem Ci niekiedy o nienawiści, o gniewie, lecz to były oderwane opowiadania, rzucane przypadkowo, słabe, nic nieznaczące. Sceny nienawiści mojej odbyły się z dala od Ciebie, a te, które jeszcze pozostają, również z dala od Ciebie odbywać się będą. Dla Ciebie, dla naszych wspólnych wspomnień, dla naszej wspólnej przeszłości, jest tylko miłość i będzie miłość. Znajdziesz mię zawsze takim, jakim mię znałeś: kochającym Ciebie, kochającym i czczącym Boga. W stosunku do świata, w którym się urodziłem, pozostaw mi nienawiść moją! Poco uprzedzać wypadki? Nie mówmy o tem! Wkrótce już nigdy o tem mówić nie będziemy. Uczucie to nie jest dla Ciebie, nie wchodzi w skład naszych pojęć, dusz naszych, naszych dwóch dusz, Henryku, mój drogi Henryku! Dla mnie jedynie uczucie to istnieje i nie tu, nie w Anglii, ani we Włoszech (ach, gdybyśmy któregoś dnia mogli razem do Włoch pojechać!) lecz gdzie indziej, daleko stąd, wśród ruin i kości. Tam sprzed oczu Twoich zniknę poza stosami popiołów i szczątków, a jeśli znów się kiedyś ukażę, jeśli do Ciebie powrócę, znów będziemy mówić o miłości i będę cały miłością. Mów o nienawiści cicho, bardzo cicho! Jest to śpiące dziecię, rośnie we śnie, i po cóż budzić je przedwcześnie? Cały fatalizm Szekspira daje mi natchnienie w tej chwili. Szekspir bezwzględnie nie jest poetą chrześcijańskim: *Romeo i Julia* jakże jest głęboko rozpaczliwe, jakież to słodkie potępienie, lecz jednak potępienie, potępienie, mój drogi!

Mam do Ciebie prośbę. Dostałem polecenie od człowieka, który był kiedyś moim przyjacielem i moim nauczycielem, by przesłać list Walerianowi Krasińskiemu. Dowiedz się, proszę Cię, gdzie on się znajduje. Czy jest w Londynie? Jeśli tak, przyślij mi jego adres, albo napisz, dokąd pojechał po opuszczeniu „nierządnicy narodów"; sprawiłbyś mi przyjemność, gdybyś mógł się z nim zobaczyć i powiedzieć mu, że mam dla niego list od księdza Chiariniego[83]. Chiarini jest umierający, a list ten pisany na łożu boleści. Zaklinam Cię, odpisz natychmiast, jak najprędzej!

Prawdopodobnie cholera będzie w Londynie, gdy list ten nadejdzie, sądząc z tego, co mówią o jej bliskości. Każdego dnia proszę Boga gorąco, by Cię zachował. Niech Bóg Cię ocali i błogosławi Ci, drogi Henryku! Czy nie lepiej byś uczynił przyjeżdżając z Matką do Genewy, nie dla siebie, lecz dla Matki Twojej? Ja mam się coraz gorzej. Od 9 miesięcy bok nie przestaje mię boleć. Nic nie może zwalczyć i zniszczyć zarodka rozkładu. Czuję jak cierpienie nurtuje mię tajemnie i posuwa się naprzód w piersiach i jamie brzusznej. Zdaje mi się, że można z tem żyć 2–3 lata.

Gdy pomyślę o H., zdaje mi się, że jeszcze ją kocham. Gdybym mógł ją zobaczyć! Gdybyś mógł mieć wiadomość o niej z okropnych dni cholery, przysłałbyś mi ją zapewne. Jest to jakby myśl natrętna we mnie, że biedna dziewczyna umrze na cholerę, a o Ciebie

[83] *Chiarini, Alojzy Ludwik* (1789–1832) — prof. teologii, kanonik kapituły płockiej; urodzony we Włoszech, w Toskanii jako syn cieśli; ukończył uniwersytet w Pizie; od 1819 r. w Polsce; wykładał historię kościoła i „języki orientalne" (hebrajski i grecki) na Uniwersytecie Warszawskim oraz prowadził prywatnie kursy starożytności hebrajskiej; wydał słownik i gramatykę języka hebrajskiego po łacinie; pracował nad przekładem Talmudu na język fr.; był członkiem Komitetu Cenzury ksiąg i pism hebrajskich (od 1822), członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk (od 1827); zmarł w 1832 w pałacu Wincentego Krasińskiego, ojca Zygmunta, który pełnił rolę jego protektora. [przypis edytorski]

najlżejszej nie czuję obawy. Głowa mi cięży, pióro już nie pisze, myśli moje w mózgu stają się ciężkie. Drogi, mam okropny spleen. Żegnaj, Henryku, żegnaj!

Zyg. Kras.

Dziś rok, jak przybyłem do Florencji i tam zastałem listy H., które mię na pięć dni nabawiły gorączki, jednej z tych gorączek egzaltacji, które dają szczęście. Jest to nieprawdą, jeśli mówię gdzie w liście swoim, że list Twój wcale mię nie dotknął. Kłamstwo, czuję to teraz. Rozłożyłem list, który już miałem zapieczętować, by Ci to powiedzieć. Czuję się diabelnie źle.

45. DO HENRYKA REEVE'A

Genewa, d. 21 list[opada] 1831

Kochany Henryku!

Zaprawdę, jeśli coś kiedykolwiek dało mi wrażenie szczęścia, to list Twój dzisiejszy. Wrażenie krótkie, przelotne, jednej minuty, jak świeże tchnienie na moim palącym policzku, jak kropla wody na ustach konającego z pragnienia. To imię Henriety, list Twój do niej, list Twój do mnie, wprawiły mię na kilka sekund w drżenie. Było mi dobrze, po czem choroba wróciła. Gdyż, Henryku, chory jestem na duszy i na ciele, ciało moje zamiera, rozkładając się, dusza moja zamiera, ginąc z bólu lub zapalając się na myśl o ciemiężycielach i o zemście. Zaprawdę, zbyt wiele bólu przypadło mi w udziale.

Co do Henriety, dotychczas kocham ją bardzo.

Wróciła, by zamieszkać w samotnym pokoju moim i czuwać u wezgłowia mego łoża. Przyzywam ją głośno w chwilach męki, sam wśród zmroku myślę o niej przy gasnących węglach, później odwracam się na szmer, wydawany przez drzwi, a gdy spostrzegę brzeg portiery, poruszającej się na ziemi, marzę, że to rąbek jej sukni, że przyszła mię odwiedzić, pocieszyć mię trochę, potem nastawiam pozytywkę z hebanu na *Ostatnią myśl* Webera i przy każdym dźwięku widzę z niej coś więcej: jej kibić, jej rysy, jej uśmiech, jej ruchy. Nie jest to już powiązane razem, jak niegdyś, nie stanowi całości, lecz są to oddzielne szczegóły, które unoszą się dokoła mnie i, jak pszczoły do ula, lecą ku memu sercu.

Sny mam jak najgorsze, jak najbardziej dla mnie obelżywe, pełne wyrzutów i scen przykrych. Raz H. przechodzi ulicą, jest wychudzona, blada, ale przechodzi, nie racząc słowa do mnie przemówić, rzuca mi tylko spojrzenie pełne pogardy; poznać mię już nie raczy. Za innym razem w blasku księżyca kroczę ku Koloseum, lecz ona stoi na mojej drodze; chcę wejść, lecz służba jej mię odpycha. Następnie lord Byron umiera w swoim pokoju i rzuca na mnie przekleństwo z oczyma, błyszczącemi gorączką i agonią, a śliczna, pełna wdzięku Ada u jego boku odwraca się ode mnie — i tysiąc innych dziwactw, zmieniających godziny mego spoczynku w godziny męczarni i nieuchwytnego niepokoju, który zawsze przewodniczy moim snom i pozostaje nawet po przebudzeniu. Poza wszystkiem nie wiem, skąd mi się to wzięło, lecz mam przeczucie rozkładu i zagłady, jak gdyby ciało moje mię ostrzegało, jak wierny i szlachetny sługa, że nie będzie mogło dalej mi służyć poza pewien kres, niezbyt odległy. Zresztą cóż mię to obchodzi kiedy skończy się farsa życia? August zapytywał przyjaciół na łożu śmierci: „Czy ją dobrze odegrałem?". Ja zaś mógłbym powiedzieć: „Czyż ją źle odegrałem?". „Na moje życie", jak mówi Sheridan, mało ludzi ją tak źle odegrało, jak ja.

List, który piszesz do H., jest doskonały. Obawiam się tylko, by mię nie znienawidziła, sądząc, że podniecam Cię do pisania i że kosztem wszystkich chcę przywiązanie jej odzyskać. A potem „Ci, którzy kochali i podziwiali ich przedtem, nie są zmuszeni do zmiany itd.", jest w najwyższym stopniu dwuznaczne, tak dwuznaczne, że, mówię Ci, list ten to bilet na loterię, na której wszystko wygrać lub wszystko stracić można. Zrozumie z tego listu, że wiesz o wszystkiem. A wtedy już ustanie możliwość półśrodków, będzie trzeba, aby albo wróciła do mnie, w co wątpię, lub mię znienawidziła. Zdaje mi się, że to nastąpi. Nigdy z żadną kobietą dobrze nie skończyłem. Kochałem wiele. Żadnej, jak tę. Wszystkie mię nienawidzą prócz H., lecz H. będzie mię nienawidziła najmocniej ze wszystkich. Zdanie o ubóstwie prawdy itd. jest bardzo słuszne, lecz ona w podejrzliwości

swojej będzie je uważała za wymówkę, uczynioną jej pod przykrywką ludzkości. Lecz list jest dobry. Mówisz zresztą, że siła nie do przezwyciężenia popchnęła Cię do napisania go. Na to właśnie liczę. Impuls, który się wcielił w tym liście i poszedł do mojej ukochanej, jest może jedną z tajemnic mojego przeznaczenia. O jednem nie pomyślałeś: trzeba było jej przesłać moją *Upadłą gwiazdę*, przypomniałaby jej człowieka, który niegdyś miał umrzeć za Polskę. Wolałbym, żeby *Spowiedź* w Twoich została rękach; była ona poprawiona i przepisana specjalnie dla Ciebie, a potem spowiedź wielkiego ducha jest prędzej dla Ciebie, niż dla niej napisaną. Pewien jestem, że nie zrozumiała jej i, zaprawdę, nie trzeba, by ją rozumiała. Mylę się może. Czy list ten szczęście, czy nieszczęście mi przyniesie, zawsze go będę błogosławił, ponieważ jest skreślony ręką przyjaciela, jako wysiłek Twój, by dać zabłysnąć promieniom poprzez moje chmury, jako protest wobec przeznaczenia przeciwko nieszczęściom, które znoszę i którym uda się wkrótce zniszczyć moją duszę i młodość. Oto jest sens ukryty listu tego. Nie ma na świecie człowieka, który by mógł więcej dla mnie uczynić nad to, coś uczynił przedtem i coś uczynił teraz. Tak, mój przyjacielu, niech rozjaśni się tajemnica, która pod symbolem milczenia zamyka pogardę. Na tem polega godność człowieka, że długo jej znieść nie może. Niechaj zostanie złamaną. Gdy się rozświetli, skończą się przynajmniej obawy i wahania nasze. Zdołamy objąć jednem spojrzeniem nasze położenie, zrozumieć, ileśmy stracili, odgadnąć, co nam pozostaje, i z gorzkim uśmiechem odwrócić się od przyszłości, by uwielbiać przeszłość, tę przeszłość, tak rozrzutną w obietnicach i błyszczącą złudzeniami, której wszystkie olśniewające fale zamarły na piaszczystym, samotnym, nagim i ponurym brzegu, naszem dzisiejszem schronisku.

Dzieciństwo, Miłość, Młodość, Kobieta, Siostra, Matka, Strój

A teraz o czemże będę Ci pisał? O dawnych grzechach. Parę dni temu przybył tutaj dla spędzenia zimy hr. Roman Załuski. Człowiek ten, dochodząc do mojego pokoju, obudził we mnie świat wspomnień: ujrzałem siebie, gdy dzieckiem będąc, za życia matki mojej, przebiegałem sale naszego pałacu w ubraniu rycerza, w płaszczu templariusza z maleńką szpadą u boku, z hełmem, ocienionym czerwonemi piórami na głowie, szukając wszędzie kuzynki swojej, Amelii, która naówczas, po śmierci ojca swojego, generała wojsk polskich, zamieszkała u nas pod opieką ojca mojego. A gdy nadszedł dzień jej zaślubin z Załuskim, wzniesiono ołtarz w naszej kaplicy pałacowej i arcybiskup pobłogosławił ich związkowi. O dwa pokoje dalej umierała moja matka, lecz przed śmiercią pragnęła udzielić błogosławieństwa wychowanicy, a ja, dzieckiem będąc, lecz dzieckiem o olbrzymich namiętnościach, tonąłem w rozpaczy między grobem matki i ołtarzem tej, którą kochałem. Potem nastąpiła inna scena. Matka moja już od dawna spoczywała w trumnie z lazurowego aksamitu z widniejącą na niej koroną książęcą. Wstępowałem w lata niepohamowanych namiętności. Załuski był w więzieniu i miał w nim dwa lata pozostać za to, że chciał bronić ojczyzny. Żona jego schroniła się do naszego domu. Ja bywałem tam wieczorami po dniach na uniwersytecie spędzonych. I tam w salonie, wybitym purpurą, zapełnionym złoconemi brązami i kryształami, marmurem i porfirem, ponuremi obrazami Murilla i śnieżnemi pejzażami Cinellego, widzę ją w czarnej sukni. Ciągła muzyka i zabawa, włoskie pieśni i dźwięki pianina, filiżanki herbaty i butelki z rumem, eleganckie kobiety, świetna młodzież, oficerowie, artyści, którzy starają się o jej względy, cisną się dokoła niej. Ona w czerni, pełna życia. Poprzez żałobne krepy, z ciemnemi wstążkami, fruwającemi koło jej wysmukłej i majestatycznej kibici, z włosami brunatnemi, lśniącemi, uwitemi w pukle, była zachwycająco piękna i życie można by było oddać za nią. Oczy czarne, palące, pożerające, jak oczy Południa, rysy wydatne, dumne, wyrażające życie, namiętność, rozum, nos według wzorów antycznych i tysiąc wzruszeń odbijających się na twarzy. A za nią szereg wielbicieli, wszędzie dokoła niej atmosfera perfum, harmonii, dobrze powiedzianych słówek, dowcipnych uwag, bukiety z kwiatów na każdym stole, girlandy, rozsiane gdzieniegdzie na dywanie. Było to upajające — toteż upoiłem się. Straciłem w tem połowę mojej duszy, zdrowie całej swej młodości, jedynie przez wpatrywanie się w nią i podziwianie. A potem wrząca herbata, rumem zaprawiona, której piłem pełne filiżanki, gdyż znajdowałem przyjemność w coraz silniejszem podniecaniu się, choć nie miałem odwagi do wyznania jej swojej miłości. Dziwna mieszanina zepsucia i nieśmiałości! Dziś jest w seperacji z mężem, ale pisuje jednak do niego. Jest to człowiek niezmiernego rozumu, skłonny do wesołości, uważający za bezużyteczne długie medytacje, gdyż nabywa wiadomości od razu: czyta książkę i pamięta ją; człowiek

światowy, biorący udział w cywilizacji, w jej postępie, a jednak wydający się na pierwszy rzut oka powierzchownym i pustym, lecz zdanie to ulega zmianie, gdy go się częściej spotyka; charakter niekiedy słaby, w wielu wypadkach stanowczy, umiejący cierpieć, gotów dowcip powiedzieć przy wyjściu z więzienia, w gruncie rzeczy płaczący, gdy słyszy imię Polski, i każdej chwili gotów umrzeć za nią. Lubię bardzo z nim rozmawiać, lecz, mówiąc, zatrzymuję się czasem nagle, gdy pomyślę o dawnych wypadkach, których on, mam nadzieję, nie podejrzewa nawet. A może jednak podejrzewa.

Poezja, Prawnik, Słowo

Kochany Henryku, dobrze zrobiłeś, że zostałeś adwokatem. Jest poezja w człowieku, przemawiającym donośnym głosem do ludzi, którzy są zmuszeni do rozważania jego słów. Jest poezja w tej ciągłej walce, w usiłowaniach, czynionych dla zwycięstwa sprawy, dla zgniecenia przeciwników. I będziesz robił, sądzę, dobre wrażenie pośród zgromadzenia z swoją wysoką postacią i bladą twarzą, gdy będziesz się stopniowo zapalał, odzyskiwał zimną krew, mówił ze swoim zwykłym spokojem zwięźle i powoli, by nagle głos podnieść i znów rozwinąć skrzydła. Lecz pamiętaj, Henryku, że jesteś adwokatem, by żyć przez lata na ziemi, a poetą, by żyć przez wieki. Nie wyobrażaj sobie, że będziesz miał powodzenie w krasomówstwie politycznem; nie masz w sobie nic z Juniasa. *Wędrowiec* będzie zawsze przeważał w Twoim charakterze. Niech Cię Bóg błogosławi, Henryku, na początku Twego zawodu, niezmierzonej pracy, niech Ci się dobrze wiedzie i niech ludzie mówią o Tobie! Będziesz miał doskonałą okazję, by znów szperać w przeszłości, uczęszczając na kursa prawa, by we Wschód wniknąć, by śledzić niemy symbol litery w Rzymie i zaznajomić się ze straszliwem prawem Cyklopów. W tem też jest olbrzymia poezja. Gdziekolwiek bądź ród ludzki rozwija się w masie, to jest wszędzie tam, gdzie istnieje symbol lub abstrakcyjne pojęcie czynów całej ludzkości, wszędzie znajdziesz wielkość i poezję. Szczegóły tylko są poziome. Prawda jest gorzka, że życie nasze jest tylko szczegółem, myśli nasze mogą być tylko syntezą. Lecz do diabła z filozofią! Gdy do Niemiec pojedziesz, ujrzysz mię jako swego wiernego przyjaciela, padającego przed Tobą na kolana i zaklinającego Cię, byś żadnej nie dawał wiary, nie pokładał zaufania w tych systemach niebieskookich i jasnowłosych Germanów, którzy ciągle kręcą się w kółko i nigdy nie postępują naprzód; są to Chińczycy lub Hindusi Europy.

Historia, Poezja

Od tygodnia nie odebrałeś listów ode mnie, a jednak odpowiadam regularnie, jak zwykle, na każdy Twój list. Ostatni mój list był adresowany do Southampton; reklamuj go tam w tej złodziejskiej jaskini! Wyjaśniam w tym liście, czem jest dla mnie nienawiść.

Czy stary Willan jest za reformą, czy przeciw niej? Myślałem o tem wiele, nie, zaprawdę, ażebym się interesował jego opinią, lecz żeby wiedzieć, czy ona nie będzie narażona w razie rewolucji. Co myślisz o tem?

Ustęp ze Schegla jest dobry. Przepiszę dla Ciebie ustęp z Micheleta: „Anglia jest dumą, uosobioną w narodzie". Zaznaczyłem już, że człowiek Północy czuje dla siebie gorący podziw, szczególniej w swobodnem życiu wędrówek i przygód, które wiedli starzy Skandynawowie. Cóż stanie się, gdy ci barbarzyńcy zostaną przesiedleni na potężną wyspę, gdzie się utuczą płodami ziemi i daninami oceanu? Królowie morza i świata, nie uznający praw i granic, łączą w sobie dziką srogość duńskiego korsarza z pychą feudalną lorda, potomka Normandów. Ileż by trzeba spiętrzyć Tyrów i Kartagin, by dorównać w zuchwalstwie tytanicznej Anglii! Karą pokutną dla tego świata pychy są jego własne sprzeczności. Złożone z dwóch pierwiastków: przemysłu i feudalizmu, egoizmu odosobnienia i egoizmu asymilacji, zgadza się na jednym punkcie: na punkcie używania bogactw. Złota ma, jak piasku. Niechaj się niem nasyci i upije, jeśli może! Lecz nie — chce używać i wiedzieć, że używa, zamyka się w ciasnej ostrożności „komfortu". A jednak pośród tego materialnego świata, który jest w jego posiadaniu, którym się rozkoszuje, wkrótce zjawia się przesyt. Wtedy wszystko stracone. Wszechświat ześrodkował się w człowieku, człowiek w używaniu dóbr materialnych, a rzeczywistości materialnej brak. To nie płacz, nie zniewieściałe krzyki, wznoszące się ku górze, lecz bluźnierstwa i groźne pomruki przeciwko niebu. Wolność bez Boga, bezbożne bohaterstwo w literaturze, szkoła sataniczna, zapowiedziana od czasów Grecji w *Prometeuszu* Eschylosa, odnowiona przez gorzkie zwątpienie Hamleta, idealizuje siebie samą w szatanie Miltona. Woła: „Zło, bądź moją cnotą!", lecz wraz z Byronem popada w rozpacz bezdennego potępienia. Ustęp ten jest sam sataniczny, a, co więcej, słuszny. Co do mnie, im bardziej się przyglądam światu, tem jaśniej widzę wszechmocną siłę przeznaczenia, która naśmiewa się z Opatrzności,

lecz kiedyś przed nią padnie. Ta siła przeznaczenia jest o wiele potężniejsza w dniach odnowienia, niż w dniach utrwalania się, gdyż zwątpienie nowej nadaje mu mocy. A któż by mógł nie uwierzyć w jego straszliwy wpływ, jeśli sam Bóg rzekł: „Będą takie cuda, że, jeśli ojciec mój nie położy im kresu, wybrani nawet zachwieją się w wierze". Walczyć przeciwko sile fatalności znaczy być wielkim, bez względu na to, czy się upadnie, czy też olbrzyma powali, lecz, aby walczyć, trzeba czuć się lepiej, niż ja teraz. Żegnaj, żegnaj przyjacielu!

Zyg. Kras.

Czy dowiedziałeś się czegoś o Walerianie Krasińskim? Jest z pewnością w Londynie. Przyślij mi tylko jego adres! Och! Odpowiedź Henriety! Do diabła! Przyślij mi tę odpowiedź w kopercie, jeśli jej zrobienie nie sprawi Ci zbyt wiele kłopotu. Pozdrowienia dla Twojej Matki! Przyjedź do Genewy tej zimy!

46. DO HENRYKA REEVE'A

Genewa, 25 listopada 1831

List Twój sprawił mi żywą radość, Henryku. Widzę Cię, jak ze snu się otrząsasz i przykładając rękę do serca, mówisz pobożnie: „Tak, jestem poetą". Powiedziałeś to, a więc nim jesteś. Inaczej nie ośmieliłbyś się tego mówić; słowa te spaliłyby Ci gardło, przechodząc przez nie, i nigdy by do warg Twoich nie doszły.

Przyjacielu, niech będą błogosławione Twoje wysiłki i natchnienia. Trzeba będzie siły i dzielnej piersi, by śpiewać w te stulecia wśród szczęku pik, które zwalą mury starych miast Anglii, trzeba będzie zasiąść na ruinach zamków i katedr na gotyckim gzymsie, błotem skalanym, i lirę trzymać wysoko, by krew jej nie splamiła, gdyż krew w górę wytryśnie. Lecz z odwagą i natchnieniem przechadzać się można przy blasku pożarów i pogardzać mordercami, zdać się na los swój i w oddali widzieć jutrzenkę, którą można ujrzeć wzrokiem duszy, lecz nigdy oczyma ciała. A cóż znaczą te krzyki, staczające się głowy, wpół spalone, wpół posiekane ciała? To gniew boży, odradzający świat. Upadną kościoły, lecz kiedyś znów się wzniosą, jednocześnie zapadną się domy gry, zabawy, prostytucji, więzienia, cytadele królów, a wszystko to jako szary i drobny pył zapłodni pola, potem pocieknie krew, ciała kawałami gnić będą, aż nadejdzie dzień, gdy w tych dawnych miejscach zakołyszą się świeże plony zbóż. Zresztą nie dla nas myśl o złotych kłosach. Dzieci nasze zbierać je będą między naszemi zbielałemi kośćmi. Dla nas walka, która na tym świecie na nic się nie zda, lecz duszę naszą uszlachetni i uczyni godną niebios; dla nas znój i walka.

A czyż myślisz, że sceny takie nie są może wielkie i godne zazdrości? Nie ma znaczenia życie, spędzone we śnie. Lecz nas czeka życie i czyn. Zanim runie stary gmach, będziemy mogli jeszcze poigrać w tych starożytnych salach i obudzić w nich echa, które może nie zaginą wraz z murami, w których je wywołano. Co do mnie, widziałem krzyż na Koloseum i nie będę, jako ofiara oszustwa kilku obłąkańców, wierzył w to, w co ojcowie moi nie wierzyli. Wszystko to majak społeczeństwa, które w pośpiechu tworzy, robi wynalazki, rozprawia, gdyż czuje, że umiera. Tak i Rzymianie starożytni pośpiesznie pili, jedli i nasycali oczy widowiskami, a zmysły rozkoszą. Mamy przynajmniej wyższość moralną nad nimi. — A więc tylko bez lęku a z silną wiarą i silną pogardą dla wielu szpetnych postaci, kręcących się dokoła nas, a gdy nasza godzina nadejdzie, umrzemy, jak mówi Byron, lecz i ze śmiałością Hugo'a. Żegnaj, mój przyjacielu.

Koniec świata

Zyg. Kras.

Czy H. odpowiedziała, czy też milczy, jak grób?

Co do fragmentu Mickiewicza, zapomniałem o nim najzupełniej, a nawet nigdy dobrze nie znałem, gdyż nie dostałem go nigdy na piśmie. — Tak więc, drogi, nie mogę Ci go przesłać. Duchesne poleca mi napisanie Ci tego co następuje. Dyktuje.

Kochany Reeve'ie. W zamian za wszystkie uprzejmości Twoich robotników z Brystolu i innych miejsc, jako że krew krwi żąda, uprzedzam Cię, że Lugdun jest w pełni rewolucji. Robotnicy fabryki materiałów jedwabnych zbuntowali się, spalili wszystkie towary i warsztaty tkackie, wypędzili z Lugdunu trzy tysiące regularnego wojska i wrzucili do Rodanu całą gwardię narodową, którą spotkali po drodze. Generał gwardii narodowej zawdzięcza ocalenie tylko przytomności umysłu dwóch grenadierów w przebraniu cywilnem, którzy ocalili go, unosząc na bagnetach i podając za zabitego. Było 1500 zabitych z obu stron. Dotychczas rewolucja nie nabrała charakteru politycznego, ponieważ została spowodowana wyłącznie przez najnędzniejszą klasę robotniczą, której chciano zmniejszyć zapłatę. Krasiński by Ci powiedział, że to jądro komety, której ogon zmiecie ministerium Periera. Co do mnie nie patrzę tak daleko. Brak papieru pozbawia Cię reszty moich rozważań.

Twój oddany, niemniej zakatarzony przyjaciel.

Duchesne.

47. DO HENRYKA REEVE'A

1 grudnia 1831, Genewa

Mój przyjacielu.

Miłość i sarkazm przemawiały na próżno[84]. Czegóż mogłeś spodziewać się od tego ostatniego, gdy miłość nie wzruszyła mego serca? Dziwna to walka między nami. Ty masz za sobą prawo, ja zaś to, co mi objęło duszę moją w posiadanie. A czy zdecydowałeś się powiedzieć człowiekowi, który kocha: „Przestań kochać!" Jakżeż więc możesz mówić temu, który nienawidzi: „Przestań nienawidzić"? Odczytaj list ten uważnie, czynię w nim wysiłki niesłychane, by Ci umożliwić dotarcie aż do ostatnich skrytek mojej duszy, gdyż dusza ta cała należy do Ciebie; skąd ją wziąłeś, jaka była, masz ją jaka jest. Nie mówmy więcej o tej istocie z potężną głową, a słabem sercem! Nie mówmy o nim więcej! Wstydem jest dla mnie, żem tego człowieka nienawidził.

Byłoby mi bardzo łatwo, Henryku, serce Twoje rozweselić, podnieść się w Twojem mniemaniu, mówiąc Ci: „Przebaczyłem mu". Widzisz, zyskałbym na tem, gdyż kochałbyś mię bardziej, a szanował jeszcze więcej, lecz miłość i szacunek Twój nigdy nie powinny być nagrodą kłamstwa. Nie mogę, jak chrześcijanin, powiedzieć, oczy w górę wznosząc, w ekstazie miłości i tkliwości „Przebaczyłem bratu swojemu", by następnie w łzach się rozpłynąć i pobożnych westchnieniach, które, jedyne na tej ziemi, wyższe są od westchnień miłości. Lecz mogę zmarszczyć brew, zacisnąć pięści i powiedzieć: „Ostrza nasze już się może nie skrzyżują ze sobą. Pogarda stanęła między niemi i rozdzieliła je na zawsze".

[84]*Miłość i sarkazm przemawiały na próżno* — mowa o następującym ustępie listu Reeve'a z dn. 25 października: „Pamiętaj, kochany, że dzieci nieszczęścia powinny być ze sobą w zgodzie, że niezgoda nie powinna mieszać się do marzeń żołnierzy Polski. Cierp i bądź wyrozumiały! Lepiej, abyś był sam na środku pustyni Sahary, niż wśród braci Twoich, jeśli szablę trzymasz w ręku, a nienawiść masz w sercu. Piszesz, że nienawiść w Twem sercu żyje, a jednak ruchliwe sceny kłótni Twoich odgrywają się z dala ode mnie. Czyżby się serce Twoje oddaliło od mojego? A może przypadkiem nie znałem go nigdy? Powinieneś pogodzić się z Łubieńskim i bez wahania uwierzyć w to, co Ci mówił. »I rzekł do niego Piotr: Po ileż razy prześladowcom moim mam przebaczyć, czy siedem razy? — Zaprawdę, i siedem razy po siedem — odpowiedział Jezus«. Gdy mi napiszesz, żeś powiedział człowiekowi temu: przebaczam, podniesiesz się w mojem mniemaniu. Zygmuncie, Zygmuncie! W liście, na który odpowiedziałeś, nie chciałem deklamować. Cóż mię to obchodzi, że styl jest dobry i do Twojego przemawia serca, gdy myśli nie są Twojemi myślami, ani zasady nie są Twojemi zasadami. Twarde mam serce, nie współczuję z ludzkiemi cierpieniami, litości nie rozumiem; z trudnością poddaję się sympatiom, lecz, Bogu dzięki, nigdy nie pozwoliłem oddalić się ode mnie człowiekowi, gdy głosem łkającym daremnie prosił o przebaczenie. Nigdy nie uścisnąłem z lekka ręki wroga, który mi się do nóg rzucał. Piszesz mi o tajemnicach barbarzyńców. Zaprawdę, znajdują się one w liście Twoim, jeśli pod barbarzyńcą mam rozumieć Zygmunta Krasińskiego. A więc ten barbarzyńca oznajmia mi, że przebaczenie jest dla niego bezbożnością, że Bóg, dla wykonywania najwyższych wyroków nieskończonej sprawiedliwości podzielił świat na katów i przestępców, i że przeznaczenie dało mu za kolebkę salę fechtunkową. Piszę w tonie sarkastycznym, a jednak miłość tylko okazać Ci chciałem. Czyż miłość i sarkazm zarówno przemawiać będą daremnie?". [przypis redakcyjny]

A teraz powiedz mi, Henryku, czy wolałbyś, żebym Cię oszukiwał dla zakończenia sprawy? Gdyż rozumiem dobrze, że w obecnym stanie rzeczy ta dyskusja może tylko poniżyć mię w Twoich oczach i leżałoby w moim interesie skończyć ją dla uniknięcia Twoich wyrzutów i nie odczuwania Twojej wyższości moralnej i poetyckiej nade mną, której nie mogę nie uznać w tym wypadku. Lecz, mój przyjacielu, mój jedyny przyjacielu, gdybyś wiedział, czem stał się Zygmunt Krasiński, nie byłbyś może tak surowy względem niego! Przypomnij sobie, Henryku, stan, w którym mnie zostawiłeś. Już wówczas byłem w silnem podnieceniu, a od tego czasu stan mój pogarszał się z dnia na dzień, z odległości pięciuset mil szedł w jednym szeregu z Polską, podniecając się niekiedy jej zwycięstwami, lecz ciągle zbliżając się z nią razem ku przepaści, a gdy się do niej stoczyła, i ja również padłem, a kto wie, czy kiedykolwiek się podniosę. Ciało moje, powtarzam Ci, zanika, rozkładając się, a dusza moja nie wystarcza na wszystko, co mię przygnębia i przygniata. Dlatego harmonia jej została zakłócona, przez ostatek życia zamyka się jeszcze w miłości i nienawiści, lecz dwa te uczucia nic już w sobie nie mają słodkiego ani melodyjnego, nic, że tak powiem poetycznego — są bezładne, bez hamulca miotają się w niepokoju z dnia na dzień bez świadomości swego celu. Dzisiejsza moja egzystencja jest surogatem życia. To też życie moje nie potrwa długo. Już tylko Ciebie jedynie i poezję kocham w sposób słodki, tkliwy, rozmarzony, jakbyśmy siedząc na łodzi swojej w piękny wieczór i wiosłując naprzeciwko Paquis, mówili „Mamma". O, dlaczego nie zginąłem na polu pod Ostrołęką, pod murami Warszawy, gdziekolwiek bądź pod płotem, w rowie, lub w rzece! Dziś miałbym kochankę, która by pamięć moją kochała i modliła się za moją duszę, i nie byłbym zmuszony mówić o nienawiści do przyjaciela, pełnego miłości.

Powstanie, Poeta, Choroba, Nienawiść

W chwili, gdy słowa te piszę, widzę dachy naprzeciwko śniegiem pokryte, a obok mnie na ścianie zawieszona, spoczywa nieruchomo, cicho flaga mojej łodzi, upstrzona czerwono i niebiesko z białym orłem. Ilekroć ku niej się obrócę, czuję zarazem mękę i słodkie wzruszenie. Nie rozłączę się nigdy z tą flagą, która tak często powiewała między Alpami i górami jurajskiemi, która mię osłaniała swoim cieniem w dni letnie i wraz ze mną znosiła dumnie ulewy i burze jesienne. Na niej wypisana jest historia moich wycieczek i wspomnień z Lemanu. W niej jest miłość moja. Mogłem ją wywiesić tylko ponad mojemi żaglami. Stawiałem z nią czoło tylko wybuchom huraganu, falom i pianie. Powinienem był ponieść ją w środek nieprzyjacielskich oddziałów i, padając, owinąć się nią, jak całunem. Była mi tylko zabawką, a powinna była być znakiem śmierci, sławy i zbawienia. Przeszłość teraźniejszością jest dla mnie. Gdy raz mię weźmie w swe ramiona, nie wyjdę z nich więcej. Straciłem wszystko przez to, że nie walczyłem w Polsce: kochankę moją, sławę, spokój — a przyszła do mnie pogarda zamiast miłości, wstyd zamiast sławy i wyrzuty sumienia zamiast spoczynku.

Tysiąc razy dziękuję za wyszukanie Waleriana Krasińskiego. Napiszę do niego natychmiast i poślę mu list ks. Chiariniego. Powiedz mu o tem, proszę Cię! Zaadresuję, jak zwykle, do Tavistock House itd. Walewski ma dobry smak i jest roztropny. Urządzi elegancko grób swej ojczyzny i będzie go używał jako łoża ślubnego, a lady Montague ułoży się miękko na popiołach i kościach, pokrytych kwiatami, aksamitem i cienkim batystem. Na Boga, człowiek ten rozkoszną wybrał chwilę, by się żenić! Oto, co znaczy żyć w salonach, utrzymywać tancerki operowe i być dyplomatą. Układy w ministerium na Saint-James doprowadziły go do młodej dziedziczki i jest to jedyna pomoc, jakiej Anglia udzieliła Polsce, reprezentowanej przez miłego pana Walewskiego. Nieszczęśnik. Powinien był wywijać bagnetem, lecz miał rozum, takt i znajomość konwenansów, był człowiekiem dobrze wychowanym, starał się o żonę. Dziś się żeni, będzie bogaty, będzie się zakładał na wyścigach, podczas gdy na Syberii, zgarbieni w kopalniach, gnić będą jego bracia i krewni.

Lecz raz na zawsze, nie bądź skłonny do myślenia, że popadnę w dawne moje szaleństwa. Nie. Jestem człowiekiem, który złożył cześć krzyżowi w Kolizeum; gotów jestem do cichego poświęcenia, nie przynoszącego ni współczucia ni sławy, do przebaczenia, do zapominania uraz — lecz nienawiść jest dla mnie przykazaniem boskiem, gdyż ojczyzna, język, obyczaje narodu, są darami Boga, jest więc obowiązkiem bronić ich — zdawać z tego będę rachunek w wieczności. Otóż bez namiętności nie można działać z siłą, a właśnie nienawiść jest uczuciem, niweczącem wszelkie wyrachowania i pcha Cię prosto na drogę, którą powinieneś w imię godności swej kroczyć. Widzisz, nie wystarcza Polskę kochać,

Nienawiść, Polska

należy jeszcze zapytać: „Gdzie jest Polska?". Jest ona wspomnieniem, a wspomnienie nadaje się tylko do marzenia; do działania trzeba celu lub nadziei, a w położeniu naszem nienawiść jest aniołem światła, który do celu nas doprowadza. Zresztą po cóż uczucia rozbierać. Poznane czy niepoznane, są w nas i rządzą nami. Pisałem Ci, że świat, o którym Ci mówiłem, jest od tego świata różny i miałem słuszność. Nie osiągnęliśmy tego stopnia cywilizacji, co Francja i Anglia, istnieją jeszcze u nas poetyczne uczucia honoru, wiary, niepodległości narodowej, podczas kiedy tu myśli się tylko o dobrobycie, o wolności wewnętrznej, o instytucjach, mających zapewnić szczęście materialne, o wielkiej rewolucji nie politycznej, lecz społecznej, która odbierze z rąk ludzi, wygodnie śpiących, dobrze jedzących i dobrze ogrzanych, własność, ziemię i bogactwa, to jest dobre łóżko, dobre obiady i kominki, by je oddać tym, którzy czuwają, drżą z zimna i głód cierpią. I zwróć uwagę na tę prawdę wieczystą, że, im człowiek jest szczęśliwszy, tem niżej upada. W nieszczęściu tylko jest się naprawdę wielkim.

Polska, Polityka, Historia, Szczęście

Szlachta była szczęśliwa i syta zwierzęcem używaniem; padła u nóg stanu trzeciego, który cierpiał i pełen był bólu. Dziś stan trzeci rozkłada się gnuśnie na jedwabistych kanapach, a lud zrzuci go w dół, gdyż on to ma siłę i moc męczarni. U nas przeciwnie, nieszczęście następuje po nieszczęściu. Dlatego też nie dążymy do materialnego użycia, lecz do sławy duchowej, nie dążymy do wewnętrznego zadowolenia, lecz do niezależności narodowej. Gdyż, jeśli się nie mylę, dążenie do dobrobytu właściwe jest ciasnemu sercu, a myśl o wolności narodowej właściwa jest duszy szlachetnej. Lecz wszystkie te szlachetne uczucia zanikły dziś w Europie. Ojczyzna już nie odgrywa roli. Materialne szczęście jest wszystkiem; ci, którzy je posiadają, pragną spokoju, ci, którzy go nie mają, pragną walki, by je zdobyć, a ponieważ wszędzie tam, gdzie jest walka, jest i postęp, ci ostatni są silniejsi w ludzkiem znaczeniu tego słowa, mają przynajmniej wielkość pogańską, lecz ni jedni ni drudzy nie mają wielkości chrześcijańskiej. Dlatego też wierzę w ogromne spustoszenia. Trzeba, by się wszystko rozpadło w ruinę i stało się cmentarzyskiem, i wtedy tylko, a nie przedtem, spodziewam się odrodzenia. My zaś w innem jesteśmy położeniu. Jakkolwiek uciskani, okuci w kajdany, więcej mamy pierwiastków życia od Francji i Anglii; ośmielam się to twierdzić wobec całej ruiny, wobec szalejącej Francji i pysznej Anglii, gdyż w wielkich lasach naszych są jeszcze schroniska dla duchów, tradycji, objawień, gdyż wierzymy jeszcze silnie w prawdę bożą i niewiele trzeba, bym uwierzył, że jesteśmy ludem wybranym z czasów nowożytnych, że od nas przyjdzie odrodzenie, z nas wytryśnie życie nowe i silne ponad grobowcami Zachodu i Południa, gdy już wszystko w Europie będzie tylko milczeniem i gruzami. Niewola nasza jest tylko przypadkiem chwilowym. A jeśli przez tyle przechodzimy prób, to dlatego, że Bóg chciał czegoś od nas. Karci nas przez cierpienie, a gdy nas oczyści, my tylko sami moc mieć będziemy i siłę, by powstać i iść dalej, pośród tych wszystkich starych narodów, które wtedy osiągną już wiek zgrzybiałości i ostatnich drgawek. Lecz, gdy tak mówię, staję na stanowisku wieczności i nie biorę pod uwagę życia jednego pokolenia ludzkiego, naszego pokolenia, naznaczonego piętnem boskiego gniewu. Gdyż, co do nas, ujrzymy coraz bardziej niszczejący świat Zachodu, a może jednak ujrzeć nie będziemy mogli polskiego świata Północy, wstającego z grobu i zaczynającego sił nabierać. Lecz pocieszmy się, Henryku. Jesteśmy przecież duchami nieśmiertelności! Ludzkość, rozpatrywana w całości, jest boską, w szczegółach — piekielną. Lelewel jest łotrem, chciał wprowadzić szał i występki Zachodu do łona czystości, żywych wierzeń, podniosłości Północy, a wszyscy Polacy, bawiący w Paryżu, są albo ludźmi wyrachowanymi, lub zbłąkanymi, albo też mają słabe głowy.

Szczęście, Siła, Rewolucja, Polska, Historia, Odrodzenie, Naród, Nacjonalizm

Myśl o motylu jest bardzo poetyczną i pełną wdzięku, lecz uważam, że rozcieńczyłeś ją w zbyt wielkiej ilości wierszy: „Dlaczego opuściłeś swoje schronienie i swoje miodowe kwiaty" jest powtórzeniem, „Gdzie wałęsałeś się, pijąc wonie" także powtórzenie, zawsze to samo; styl, jak na *Marię*, zanadto w rodzaju Moora. „Twój lot mojemu podobny" bardzo ładne, lecz wrażenie zmniejsza się przez powtórzenie. Odrzuć je, a ustęp będzie prosty i piękny. Oczekuję z niecierpliwością Twojej paczki. Czy Henrieta nie odpisała? Do diabła, stała się córą milczenia, czcicielką tajemnicy! Czy dostałeś kawałek pledu K.? Moje uszanowanie dla Matki Twojej. Przyjedźcie do Genewy, będzie się czuła lepiej. Nie spodziewaj się mnie ujrzeć w Anglii, zanim przejdzie lat wiele ponad cierpieniami mojemi. Nie jestem stworzony na to, by przed każdym wzrok spuszczać i wolę mieć za jedyne

towarzystwo mojego białego orła, niż używać świata za cenę opowiadania swych dziejów pierwszemu lepszemu. Żegnaj, mój Henryku!

Zyg. Kras.

Sen Twój nabawił mię bólu serca. Dlaczegóż ten przeklęty sklepikarz plącze się wiecznie w Twoich myślach? Lecz we śnie tym jest coś dziwnego: Knapp w żałobie, potem ta kobieta, opuszczająca przybraną rodzinę, i Ty, który mówisz chłodno: „Będzie bliżej Genewy". Wiesz, że sen ten wielkie na mnie wywarł wrażenie. Jest w nim coś mieszczańskiego, lecz czuję, że jest w nim poezja i to poezja, tycząca się sprawy, która mi łzę z oczu wyciska. Dziwne! Gdy po raz pierwszy list Twój czytałem, uśmiech tylko wzbudził we mnie, lecz teraz, gdy go znowu czytałem, zdaje mi się, że mię do płaczu pobudzi. Dlaczego — nie wiem. Sen ma zabarwienie, które mi serce ściska; jest to jakby dźwięk nieokreślony, przychodzący z oddali, oznajmiający, że zabrzmiały gdzieś żałobne dzwony.

Nie czuję się dobrze usposobionym w tej chwili, a jednak modliłem się właśnie. Gdyby w tej chwili Łubieński stał o dwa kroki przede mną, przebaczyłbym mu z głębi serca. Coś niezwykłego wymknęło się ze snu Twojego i objęło mię. Może wszystko to jest tylko słabością, grą wyobraźni. Której nocy Ci się śniło? Dowiedz się, czy nic się nie stało w Tunbridge Wells! Stykaj się często z Walerianem, jest to bardzo dobry i wykształcony człowiek. Żegnaj, kochany Henryku! Chciałbym, byś był w tej chwili ze mną, gdyż oparłbym głowę o piersi Twoje i rozpłynąłbym się we łzach.

Żegnaj, żegnaj, żegnaj!

Mam zamiar napisać do Waleriana; powiedz mu, że piszę do niego. Spytaj się, czy list mój odebrał.

48. DO HENRYKA REEVE'A

6 grudnia 1831, Genewa.

Drogi Henryku!

Gdyś mi pisał list, na który odpowiadam[85], byłeś, Henryku, w jednym z tych paroksyzmów radości i szczęścia, przeplatających niekiedy smutki życia i mogących przeistoczyć atmosferę mgły na przestrzeń lazurową i różaną. Dni poprzednich byłeś zapewne rozmarzony i melancholijny, zgięty pod ciężarem istnienia, jednem słowem spleen Cię gnębił. Wreszcie nadeszła chwila przełomu i przez kilka godzin czułeś się lekki, jak ptak, byłeś

[85] *Gdyś mi pisał list, na który odpowiadam* — list z dn. 20 listopada 1831. Mowa o następującym jego ustępie: „Mój drogi przyjacielu! To pewne, że silnie przeceniasz to, co zrobiłem, to, co mogłem zrobić dla Ciebie. Widziałem Henrykę, zgoda, napisałem do niej, zgoda. Mówiłem jej o Tobie, zgoda. Lecz, niestety, grałem jej na fujarce, a nie tańczyła, żałośnie się jej skarżyłem, a nie płakała. Nie ufa mi, czułem to w Tunbridge i czuję jeszcze. Jakżeby mogło być inaczej? A więc wcale nie jestem zdziwiony, że nie odpowiedziała na mój list; prawdopodobnie bardzo się tem zmartwisz. Lepiej bym zrobił, gdybym jeszcze raz zażądał od niej *Spowiedzi*, co by ją zmusiło do napisania do mnie. Wczoraj odwiedził mię Walerian. Powiedział mi, że właśnie pisał do Ciebie, by Cię zachęcić do przyjazdu do Anglii; na to zapytałem go czy przeszkody, na które natrafiłeś przed rokiem, już nie istnieją. Zrozumiał, że mówię o H. Zadał mi tysiąc pytań o niej; wypowiedziałem wspaniałą pochwałę na jej cześć. Wreszcie rzekł: »Czemu, u diabła, nie miałby tu przyjechać i ożenić się? Jest majątkowo niezależny, w ciągu lat kilku nie może wracać do Polski, a jeśli jest ładna, rozumna i dobrze urodzona, cóż by Wincenty mógł mieć przeciwko ich związkowi, tem bardziej, że według tego, co wiem, zależy mu na tem, by syn jego ożenił się młodo?«. Oto piękna sytuacja, w jakiej się znajdujesz. Twój najpokorniejszy sługa i pełnomocnik oczekuje tylko Twoich rozkazów, by udać się do starego Willana i prosić o rękę pięknej Henriety. Stary Willan natychmiast zacznie śpiewać: Ceremonia odbędzie się w Tunbridge Wells, naprzód w kościele anglikańskim, a następnie w kaplicy katolickiej. Przebacz mi, przyjacielu, jeśli styl mój razi Cię swoją swawolnością i jeśli robię dobre, a raczej złe dowcipy, roztrząsając temat tak poważny. Lecz zaprawdę, projekt ten tak mi się uśmiecha, że nie mogę powstrzymać się od uśmiechu. Stawka jest znaczna; albo stracisz kochankę, albo zyskasz małżonkę, a wreszcie kości nie są rzucone, mamy czas zrobić albo nie zrobić. Trzeba, żeby się to stało, zobaczymy się wówczas znowu i w wolnych chwilach przeczytamy razem nasze listy i wydamy je, dając im jako rozwiązanie małżeństwo waszej ekscelencji. Jeśli chcesz, Leach i ja będziemy twymi drużbami, albo Leach da Ci ślub jako duchowny; wszystko jedno, ułożymy to później. Jeśli idzie o małżeństwo, przede wszystkiem należy znaleźć żonę. (...) Daj mi znać, czy Ninetta Lombard jest jeszcze w Lugdunie. Boję się okropnie, czy nie znalazła się w Lugdunie podczas tych trzech dni. Lugduńczycy zrozumieli nareszcie, co to polityka. Nie podnoszą już okrzyku: »Śmierć lub wolność«, który nie ma żadnego sensu, lecz krzyczą: »Śmierć lub chleba«. Każdy rozumie, że lud, który nie jadł od roku, jest głodny. Głodny i spragniony krwi. Żegnaj. H. R.". [przypis redakcyjny]

pełen młodości, życia, dowcipów, życie wydało Ci się przyjemną rozrywką, dymem rozkosznym, wnoszącym się przy każdym Twoim kroku i ulatującym bezustannie ku niebu. Jeśli myśl o mojem małżeństwie z H. mogła Cię zabawić troszkę, jeśli spędziłeś przez nią kilka chwil na sposób francuski, to jestem zachwycony, mój Henryku. Z przyjemnością śledziłeś tę bańkę mydlaną i zdobiłeś ją barwami fantastycznemi i złośliwemi. Przypomniał mi się *Sen Nocy Letniej*, prawdziwy błędny ognik dowcipu, lekki i zachwycający, stworzony przez rozigraną wyobraźnię. Dobre to na mgnienie oka, lecz zresztą jest to dziecinne i mgliste, są to kwiaty rozsypane, więdnące po chwili, latarnia magiczna, po której następuje mrok. Dziwię się tylko dobroduszności Waleriana Krasińskiego, która posłużyła Ci za podstawę do tej idylli, w której Leach występuje w charakterze kapłańskim, co jest najśmielszym szczegółem tej całej baśni.

A teraz wytłumaczę Ci w kilku słowach kim jest Walerian Krasiński, abyś wiedział, jak zapatrywać się na to, co opowiadać będzie o mojem położeniu w Polsce i moim stosunku do krewnych lub do ojca. Walerian Krasiński ma przeklęte pióro, lecz jest to bardzo dobry człowiek o rozległej i głębokiej wiedzy teoretycznej, który dużo czytał i dużo bywał w salonach. Lecz na tem się kończy jego rola i działalność. Widział tylko powierzchnię praktycznej strony życia i nigdy nie zgłębił ani żadnej intrygi ludzkiej, ani serca ludzkiego. Wzrok jego, gdy patrzy wkoło siebie, nie sięga daleko. Zawracając oczy wstecz, przeniknie przez wieki średnie i dojdzie do założenia Rzymu lub zagadek memfickich. Toteż jest on istotą szlachetną, lecz w działaniu okaże się słabym i niezdecydowanym. Zna mego ojca, ale ojciec mój w porównaniu z nim jest olbrzymem zmysłu praktycznego, doświadczenia, przenikliwości. Toteż nigdy nie zgłębił duszy tego olbrzyma. I jeśli Ci mówi: „Wincenty życzy sobie, abym się ożenił młodo i czemuż by nie z H.", to znaczy, że, gdybym to uczynił, ojciec mój umarłby i przekląłby mię na łożu śmierci przed zgonem; ojciec mój jest jednym z ostatnich reprezentantów arystokracji polskiej. A teraz połącz to ze swym snem o Neufchatel i ze swoim sklepem korzennym. Tyle co do powiedzeń i twierdzeń Waleriana. A teraz pomówimy o sobie z naszym najlepszym przyjacielem.

Miłość romantyczna, Kochanek romantyczny, Małżeństwo

Czym Ci kiedykolwiek powiedział, ja, który Ci mówiłem wszystko, że miłość moja do H. miała jakiś cel praktyczny, namacalny, uwiedzenie, lub małżeństwo, że gdy mówiłem o niej przed Tobą, to jako o istocie, którą wielbiłem, lecz której nigdy nie spodziewałem się posiadać na ziemi, duszę raczej w niej widząc, niż kobietę. Kochałem ją, jak nikt jej kochać nie będzie. Byłem zdolny zginąć dla niej, przyszłość swą i majątek dla niej poświęcić, ale nigdy nie prosiłbym o jej rękę i zamienił złudzeń swoich w ciężką rzeczywistość. Od niej pragnąłem tylko serca. Henrieta Willan nie powinna być dla mnie nigdy małżonką, lecz była poetycznym punktem wyjścia dla całego mego życia. Dziś jest moją legendarną przeszłością, moją epoką bohaterską, a choć mną pogardza, zwracam jeszcze ku niej spojrzenia i myśli moje, gdy chcę w pieśń uderzyć lub działać, jak człowiek silny i energiczny. Lecz, gdy twoim pomysłem małżeństwa nasuwasz mi na myśl kontrakt i rejenta, starego ojca i siostry, służbę domową, brata nicponia, przygotowania przedwstępne i cały ciężar uprzęży, którą człowiek, żeniąc się, nakłada na siebie, bezcześcisz wówczas, wierzaj mi, miłość moją i rzucasz błoto i piasek na minione sny. To pierwsza miłość, pierwsza miłość, a nie jakaś lady Montague i jakiś Walewski. To poemat pełen harmonii i piękności, rozpoczynający się szałem, a kończący goryczą — to kształt, w który oblekły się wszystkie moje uczucia, młodzieńcze, gwałtowne i swobodne — to podniosła pieśń zapału, łącząca słodkie wrażenia miłości i marzenia serca z nagłemi przebudzeniami, pogróżkami przeciw gnębicielom i gorącemi nadziejami dla Polski. A przypomnij sobie, jak dźwięki te stały się powolne, majestatyczne i ponure w chwili, gdy nadzieje czy przeczucia urzeczywistniły się, gdy ona myślała, że zgodnie ze swemi przepowiedniami zginę, a ja sądziłem, że ona przez życie całe zachowa pamięć o zmarłym. A wreszcie cała melodia, wszystkie akordy zostały zerwane. Z jednej strony słychać było jeszcze ostatek miłości, lekkie szmery, przez które przebijały już wyrzuty, z drugiej rozlegały się ryki rozpaczy. A po nich przyszło głębokie milczenie. Cała piękność pieśni zniknęła i połowa jej blasku. Dźwięki, które brzmiały jeszcze, stały się dzikie, przenikliwe, przerywane niekiedy; a dziś, jedno tylko ucho, Twoje ucho, jeszcze jej słucha. A z pieśni, jaką Ci opisuję, chciałbyś zrobić żywą i wesołą balladę, odę weselną, hymn radości pod sklepieniem jakiejś kaplicy gotyckiej w starej Anglii. Co za sen! Co za ironia! Lecz nie, historia mojej młodości

smutną jest historią. Nie przerobimy jej. Zostawmy ją taką, jaką ją Przeznaczenie ułożyło! W nieszczęściu tkwi świętość, do której z czasem przywiązać się można.

Małżeństwo, Miłość romantyczna, Żona, Kochanka

Kochanka moja i małżonka moja — co mówię? „Kochanka"? Tak bym dzisiaj mówił; „ukochana moja", gdyż dawniej nie byłbym nigdy śmiał jej powiedzieć „kochanko moja" — a więc ukochana moja i małżonka moja nigdy jedną osobą być nie mogą. Jedna była aniołem, czemś o wiele wyższem od kobiety, drugiej może nigdy nie będzie, a jeśli się znajdzie, będzie zwykłą niewiastą, zdatną do cerowania moich pończoch i podawania mi ziółek w dniach choroby. Czy kiedykolwiek marzyłeś, że będzie Twoją małżonką? Czyś jej kiedykolwiek pożądał? Czyś kiedykolwiek z radością i przyjemnością nad myślą tą się zastanawiał? Nie, odpowiem śmiało, gdyż znam duszę Twoją, gdyż krok w krok szedłem za Tobą w Twych marzeniach, poprzez wszystkie szały Twoje. Wielbiłeś obraz, bo wielbić go musiałeś. Lecz nigdy łoże małżeńskie, nigdy pierścień ślubny nie ukazał się, nie zabłysnął przed Twemi oczyma. Skąd więc zrodził się ten dziwny projekt, ta wizja nieprawdopodobna, która zaigrała w skrętach Twojej wyobraźni? Dość dla mnie, gdy ją jeszcze przed śmiercią zobaczę. Nieskończone jej wspomnienie otoczy całe moje życie. Zresztą od dawna już odstąpiłem jej rękę bez zazdrości, bez goryczy człowiekowi, na którego wybór jej padnie, życząc jej, by była szczęśliwa i by mogła pochylać się z radością i rozkoszą nad kołyską swego dziecięcia.

A skąd, Henryku, przyszedł Ci do głowy projekt, mający dać mi spokój? Czyż zrodziłem się do spokoju? Czy stworzony jestem do spokoju małżeńskiego, drobnych przykrości, bezwładu? Życie moje będzie burzliwe, czeka mię niejedna przygoda i, być może, znajdę spokój dopiero między deskami trumny. Zawsze żyło w duszy mojej przeczucie, że nie przeznaczone mi gnić przez całe moje życie na sofie w salonie. I powiedziałem sobie: „By mi nie zbrakło odwagi, bym miał pociechę w chwili walki, niech należy do mnie na ziemi jedno serce, które, gdy odeń odejdę, błogosławić mię będzie słodkiem błogosławieństwem kobiecem". A wtedy wziąłem Henrietę za rękę i zapytałem ją: „Czy chcesz być moją ukochaną na ziemi, a oblubienicą w niebie?". Od pierwszej chwili, gdy ją zobaczyłem, myślałem o wieczności, a nie o ziemi, gdyż moje postępowanie względem niej (o które po wielokroć się oskarżałem) wypływało raczej z natchnienia niż z podstępu, i jakaś siła tajemnicza popychała mię, ilekroć przyciskałem ją do łona. Ona sama czuła to dobrze. W dniu, w którym Pan umarł na krzyżu, uklękła i przysięgła kochać mię, nie myśląc o tem, by mię posiadać. Na całej jej miłości czuć było wpływ ponurych przepowiedni, które przed nią wypowiadałem. Wylewała potoki łez na mojem łonie, przestała tańczyć. Czyż tak się przygotowuje do małżeństwa? Czy sądzisz, że taka miłość może zakończyć się salonem, przyjęciami i komfortem? Nie, Henryku Reeve, jeszcze raz Ci powtarzam: nie. Dotrzymała danego mi przyrzeczenia, nawet w ostatnich swoich listach pisała mi, że nie spodziewa się więcej, bym został kiedykolwiek jej mężem. Lecz pozory rozbiły naszą miłość. W dniach mej próby nie chciała uwierzyć we mnie. Wzięła mię za tchórza. Biedna dziewczyna, nie wie, ile jeszcze burz mię czeka i ile razy siły swoje rozwinę! Lecz daleki jestem od myśli oskarżenia jej. Zamknęła się, jako nieodrodna Angielka, we wspaniałej pogardzie, a ja zamknąłem się w jej wspomnieniu, które niesie mi pociechę i poezję. Zobaczyć ją raz jeszcze, uścisnąć jej rękę, powtórzyć jej obietnicę, że jeszcze imię moje dojdzie jej uszu... a potem melancholia długiego pożegnania, a potem prześlę jej imię swoje, a gdy tego nie będę mógł uczynić, ktokolwiek zawsze się znajdzie, by jej donieść o moim końcu. Zresztą, drogi mój Henryku, w liście Twoim więcej było żartów, niż prawdy. Nie oceniam przesadnie, tego, co Tobie zawdzięczam. A jeśli Henrieta jest istotą, która mię najbardziej uszczęśliwiła, Ciebie w tej kategorii szczęścia zaraz po niej stawiam, gdyż kilkakrotnie listami swemi wywołałeś przede mną obraz tej, którą tak kochałem. Przypominasz sobie czasy, gdy nie cofałem się przed myślą wywołania Władcy Ciemności, by ją zobaczyć. I byłbym to może uczynił, gdyby nie spokój, zimna krew i przyjaźń Zamoyskiego. Ty, mój drogi, sprawiłeś, że zjawiła się przede mną. Kilkakrotnie wzbudziłeś we mnie zapał z Salève. Wiele Ci jestem winien i wiem, żem Ci wiele winien, nie tylko za to, lecz i za wiele innych rzeczy. Widzisz, ona mię porzuciła, lecz Tyś mię nie opuścił. Gdy hańba była na mem czole, nie wahałeś się złożyć na tem czole pocałunku przyjaciela, a teraz kochasz mię, jakeś mię miłował w Saint-Cergues. Jestem Ci dłużny wiele!

Z drugiej części swego listu piękną zrobiłeś poezję: Muzyka Webera wśród nędzy i zepsucia nędzy, wśród zbytku i bezczelności zbytku, a Ty oparty i rozmarzony wśród tego świata, krążącego wkoło Ciebie! Ten dźwięczny symbol istoty ubóstwianej, istoty czystej i wzniosłej, rozlegający się nad głowami tylu nierządnic, sprawił, że serce moje zabiło silniej, pełne jakiegoś nieokreślonego uczucia. Dla mnie jest w tem coś ohydnego, a poetycznego zarazem.

Ninetka wróciła z Lugdunu na długo przed zaburzeniami. Zupełnie zdrowa, grywa na fortepianie na ulicy de la Cité. Wątpię, żeby Henrieta Ci odpisała. Gdybyś mógł ją zobaczyć raz jeszcze przed swoim wyjazdem do Anglii, zrób to z miłości do mnie i powiedz jej wtedy, że jedziesz do mnie i że ja, że my, długo będziemy od niej oddaleni.

Polska, Historia, Marzenie, Siła, Walka, Rosja

Piszę ciągle mój poemat polski[86]. Są w tym poemacie pożary i walki, zabawy i rozkosze. Ulegam wpływom czasów, w których żyję. Prawda, że akcja rozgrywa się w chwili, gdy olbrzymie państwo rosyjskie kruszyło się od Bałtyku do morza Kaspijskiego w żelaznych rękach polskich wojowników. Był to wówczas również świat ginący, i zwycięzcy miotali się na jego gruzach z chciwością i śmiałością Hiszpanów Korteza w Meksyku. Toteż można tworzyć wspaniałe obrazy z tych dni tryumfu i żałoby, z tych nocy pożarów i rozpusty. Starałem się przede wszystkiem odmalować istotę fantastyczną, dziecię prawie, pochodzące ze Wschodu i przepalone namiętnościami — następnie uczucie niepodległości i życie awanturnicze wodza kozackiego, który, popłynąwszy w wątłej łodzi w dół Dniestru, przebył morze Czarne, by palić wioski Konstantynopola, podczas gdy sułtan, widząc z okien seraju dym i płomienie, kruszył z wściekłości w zębach swój cybuch bursztynowy — wreszcie zamęt w Rosji, wyprawy wodzów polskich, włóczących się awanturniczo aż do Azji i niszczących ten świat klejnotów, kwiatów i światła, gdzie ludy muzułmańskie zmieszały się z chrześcijańskiemi narodami. Wiek ten był dla nas średniowieczem. Wszystko w nim jest bohaterskie i nosi znamię energii. W Polakach, przebiegających na swych rumakach Rosję od morza do morza, widać olbrzymie szaleństwo, wiarę w siebie, poczucie siły indywidualnej barbarzyńców, którzy runęli na Rzym i Rzym pod nogi sobie rzucili. Tak samo padła Moskwa przed moimi przodkami. Ach, przodkowie moi byli wielcy i wierzyli w Marię. Wzywając jej imienia, cięli swemi szerokiemi szablami twarze swych wrogów i wrogowie padali, by nie powstać więcej. Dawna Polska miała dnie sławy olbrzymiej, a wspaniałej; mało jest narodów, które by tyle zdziałały i podbiły. Dla nas przeszłość jest niebem czystem, rozległem, gwiazdzistem. Zwrócić się ku niej, znaczy ku sławie się zwrócić. Przyszłość nasza tylko z przeszłości wytryśnie i litość mię bierze, gdy widzę, jak tylu ludzi czepia się Francuzów, żebrząc o wzory, jak o jałmużnę, gdy wystarczyłoby im klęknąć przy trumnach ojców, by wyczytać imiona bohaterów. Jakże mali, jakże bez wartości wydają się Dantony i Lamarki tam, gdzie byli Zamoyscy i Sobiescy! Ich potomkowie są niewdzięcznikami. Cała przyszłość ludzi dzisiejszych blednie wobec jednego z grobów tych ludzi z dawnych czasów. Żegnaj, mój przyjacielu!

Zyg. Kras.

49. DO HENRYKA REVE'A

11 grudnia, Genewa — Genewa, która kilka wieków i lat temu od dnia jutrzejszego, odparła szturm potomków Allobrogów, jak również wdzierających się na mury wymienionych Sabaudczyków, inaczej zwanych „susłami".

Mój kochany Henryku!

Wczoraj odbył się bal u p. de Combès. K. na nim była. Co do mnie, nie poszedłem nań, lecz spotkałem Aleksandra, który mi go dokładnie opisał. Opowiedział mi, jak K. wyglądała, chodziła, tańczyła. Wszystko Ci podaję. Była rozradowana, wniebowzięta ze szczęścia. Był to jej pierwszy bal tej zimy. Według tego, co mówi Aleksander, przytupywała z radości nogami i trzaskała w palce, jak żywa Hiszpanka, która, rozpoczynając

[86] *mój poemat polski* — tj. powieść historyczna *Agaj-Han*. [przypis edytorski]

tańczyć fandango, porusza kastanietami. Ubrana była biało od stóp do głowy: suknia atłasowa, takież trzewiczki, bukiet geranium w ręku. Gdy się unosiła poprzez salę przy dźwiękach muzyki, odrywały się liście i kwiaty z jej bukietu i padały na podłogę, by tam zwiędnąć, rozsiewając ślady woni i kwiatów. Tańczyła przez cały wieczór, śliczna, jak anioł, roztargniona, jak dziecię, chwytająca chwilę obecną z upojeniem, niewiele myśląc o przyszłości, a któż wie, może niekiedy przypominając sobie przeszłość. A wtedy, jestem pewien, coś jakby błyskawica przebiegało przez jej duszę, a coś jakby uśmiech po jej wargach. Oto wszystko, co mogę Ci powiedzieć, i to jeszcze według mistrza przesyłam Ci ten opis słaby i nikły, lecz wiem, że jedno słowo, jeden promień słońca, jedna świeca, postawiona w odpowiedniej chwili na stole, jedna woń, barwa jedna, dźwięk oderwany, zaledwie słyszalny, obudzić może w duszy cały świat wspomnień, i oto dlaczego słowo, dźwięk, barwę Ci posyłam.

Karczma, Kobieta, Lud, Rewolucja, Pan, Sługa, Sprawiedliwość

I ja także muszę Ci opowiedzieć historyjkę. Niedawno temu byłem w Ferney. Duchesne odwiedził tę, której spojrzenie nie jest już z tego świata, a ja podczas tego wszedłem do nędznego szynku tuż koło drogi, by wyczyścić fajkę, potwornie zapchaną i wypełnioną całkowicie gorzkim sokiem. Był to rodzaj pokoju, zadymionego, niskiego, pełnego szaf, z podłogą z cegieł i wielkim kominem, na którym trzaskał ogromny ogień poprzez mokre i zielone gałęzie, dokoła było mnóstwo rondli, a na łańcuchu czarny olbrzymi kocioł, otoczony wrzącą parą. Patrząc nań, myślałem, że zobaczę z pewnością „wieszcze siostry", i rzeczywiście: obok siedziały dwie wieszcze siostry, ale młode i świeże. Byłoby to zachwycające i nie wywoływałoby wcale ponurego strachu, gdyby mię były powitały jako „tana Cawdoru".

Jedna była wysoka, dobrze zbudowana, bardzo czerwona na twarzy i żwawa. Jej czarne oczy przewyższały blaskiem węgle, żarzące się u jej stóp, a czarne włosy pękami pukli i kosmykami spadały z jej czoła i w nieładzie spływały na ramiona. Rysy jej wyrażały zapał i życie. Byłyby piękne, lecz nie u służącej z oberży o cerze Kopciuszka. Zresztą jako całość była to piękna kobieta.

Druga siedziała na zydlu z głową pochyloną, opartą na rękach i z wyrazem zmęczenia i głębokiego wstrętu na twarzy. Nie ośmieliłbym się twierdzić, że rysy jej były ładne lub imponujące, lecz zaprawdę, nie widziałem nigdy twarzy bardziej bladej, bardziej omdlewającej, słodszej. Przypomniało mi to słowa Byrona z *Don Juana*: „Jakby litując się nad upadkiem rodu ludzkiego". Zupełnie tak wyglądała, a błękitne jej oczy, choć bez siły i bez blasku, rzucające słabe światło robaczka świętojańskiego, miały jednak w sobie coś pociągającego, coś tak wzruszającego w swej skończonej słabości, że chwytały mię za serce spojrzeniem, gotowem każdej chwili zagasnąć. Nie widziałem nigdy rysów, tak doskonale chrześcijańskich. Widać na nich było cień przedwczesnego cierpienia; nic nie miały w sobie z młodzieńczej radości, ni zapału ni nadziei, a jednak pełne były słodyczy, bez śladu oschłości lub sarkazmu. Towarzyszka jej o oczach, jak czarne paciorki, biegała na wszystkie strony, ruszając się żwawo przy zmywaniu talerzy i czyszczeniu noży i śmiała się do rozpuku przy szmerze ostrzy, ocieranych o drzewo. Ona przeciwnie, nie ruszała się wcale. Skupiona, w milczeniu, pozostawała ciągle pochylona nad ogniskiem. Ja zaś opowiadałem o robotnikach lugduńskich. „Dobrze zrobili, proszę pana", zawołała czarna, wykręcając w swych rękach jakąś sztukę bielizny, jakby to była szyja dziecka. „Chcą równości. Już od dawna obiecują nam równość w niebie; niechajże naprzód zacznie się na ziemi". „Osiągniemy ją w niebie" odpowiedziałem „jedynie za cenę nierówności na ziemi, a mówię wam wszystkim, że nie równości, lecz tyranii pragniecie". — „Ach, tak", rzekła z uśmiechem kobiety, która szuka wykrętu, „tak, wiem, że równość jest niemożliwa na świecie. Lecz czyż nie dość długo zginaliśmy przed wami kolana? Niech się zmienią role, niech na każdego kolej przyjdzie, do licha!" I wybuchnęła głośnym śmiechem, od którego zadrżałem. Był to przedstawiciel ludu z oczyma młodej dziewczyny a z sercem tygrysiem i głodem w łonie. „Tak więc chcecie, byśmy byli waszymi niewolnikami, a wszystko na to, byście mogli jeść, i pić, i ogrzać się, a wtedy mówicie: »Będziemy szczęśliwi«. Nie wierzcie temu, nie ma szczęścia na ziemi". — „Wiem o tem także, proszę pana", odpowiedziała, potrząsając kociołkiem „ale lepiej zjeść dobrze, niż źle. A potem czas już, byśmy zajęli wasze miejsca. Od kiedyż je zajmujecie?" I widać było, w jej wielkiej, płomiennej źrenicy pragnienie zemsty za wszystkie rodzaje pogardy, jakich doznała, zamiatając pokoje lub zmieniając talerze, przynosząc wodę i ręczniki. Wszystko to widać było na jej twarzy,

a cała krew nabiegła jej do policzków. Wtedy zwróciłem się do jej łagodnej towarzyszki. „A ty czy nie lubisz rewolucji?" Uniosła swoją biedną głowę — w rysach jej było coś z Emilii Willan, lecz były bardziej harmonijne i spokojne. — „Ach, nie, panie! Nie lubię tego całego hałasu i nieporządku. Gdy się popiją, mówią o krwi i bitwach". I wskazała palcem sąsiednią izbę, gdzie dwudziestu gwardzistów narodowych upijało się do woli, mówiąc o obronie ojczyzny i klnąc, jak gdyby chodziło o zbawienie Francji przez przekleństwa. Możesz sobie wyobrazić przestrach, malujący się w tych oczach niebieskich i omdlewających. — „Na swoje nieszczęście urodziłaś się w naszych czasach, gdyż nic innego nie zobaczysz przez całe życie". — „Mówią mi to właśnie, lecz ja chciałabym bardzo jeść swój kawałek chleba w spokoju, w jakiemś miejscu, gdzie nie ma niepokojów, ni rewolucji". Po czem znów opuściła głowę na ręce i w niewypowiedzianem przygnębieniu patrzała na płonące głownie. Z zewnątrz zawołał mię Duchesne. Wtedy zapaliłem fajkę i, przenosząc swój wzrok z jednej na drugą, zatrzymałem się dłużej na bladej i omdlewającej twarzy, a potem, skinąwszy na znak pożegnania, rzekłem: „Gdybym nie był widział was dwóch, a tylko słyszał zza przepierzenia, jak rozmawiacie, byłbym się domyślił, że jedna ma oczy czarne, a druga niebieskie". Wtedy podniosła twarz i przyglądała mi się przez chwilę zmieszana, po czem znów opuściła swoją prześliczną głowę. Wybuchy śmiechu drugiej zmieszały się z terkotem kół naszego odjeżdżającego powozu.

Czy nie znajdujesz, Henryku, że była to scena poetyczna i poważna, choć odbywała się w nędznym szynku, i przez cały czas śmiechem była przeplatana? Ludzie, nasycający się winem i myślą o mordach, te dwie młode dziewczyny, tak różniące się między sobą, jedna o duszy dumnej i energicznej, niecofająca się przed tem, co się zbliża, zmywa talerze, marząc o dniu, w którym więcej zmywać ich nie będzie — druga, nieśmiała i złamana, przytłoczona prawie ciężarem groźnych obaw, nie pragnąc nic, prócz okruszyny z uczty bogaczy i spokojnego schronienia, zmuszona do życia między barbarzyńskimi żołdakami, do słuchania ich gróźb, siedząc przy ognisku, pogrąża się w smutnych myślach, zamyka oczy, kryje lice w rękach, ażeby uciec od otaczającego ją świata.

Kobieta, Rewolucja, Siła

A druga, druga jest kobietą wyzwoloną, o której marzą opętani demoniczni utopiści dni naszych. Nie będzie już potrzebowała męskiego ramienia, by się na niem oprzeć, lecz nie będzie już więcej bóstwem dla serca męskiego; silna, muskularna i namiętna, będzie równie łatwo zarzynać, jak dzieci rodzić. Zerwie zasłonę skromności, a wdzięki jej zwyrodnieją i przeistoczą się w rysy twarde i ordynarne.

Zobaczymy ją, jak postępować będzie swoją drogą, mocna, pewna siebie, nie chwiejąc się i nie padając, będzie krzyczeć i rozprawiać o stanach i o ludach, wymyślać systematy i maszyny parowe. Hańba wieczna tym, którzy chcą, by anioł zeszedł do rzędu ludzi, by miłość była li tylko potrzebą, zaspokojoną natychmiast po jej odczuciu, by nieśmiałość i słabość znikły z tego świata! Ludzie ci tkali płótno, spekulowali kapitałami, pisali książki, chudli, ślęcząc w swoich gabinetach, zrozumieli rewolucje, wyjaśniali symbole, mieli objawienie przyszłości, znaleźli przyczynę i skutki, dużo ryczeli na trybunach, strzelali z pistoletów do regularnego wojska, robili wszystko, o czem tylko pomyślisz, lecz nigdy nie mieli ukochanej. Nie czuli nigdy, o ile bardziej słodko raczej umrzeć dla niej, niż ujrzeć, że cierpi jej sława lub znikają jej wdzięki — Wszystko im przyznaję: rozum, władzę, rozsądek, geniusz, wszystko prócz serca w łonie, a jeśli mają serce, jest to, mój przyjacielu, jedynie kawałek ciała.

Wiersze Twoje są prześliczne, jakkolwiek myśli w nich mało, lecz rytm i styl są tak lekkie, jak wesoły puchar z Johannisbergu, który piłeś, jak dym z cygara hawańskiego, który unosił się koło Ciebie w górę. Wszystkie strofki są muzyką i czarem. Dziwne, że w tych wierszach, powstałych z natchnienia rozkoszy, znajduje się wiele siły. Lecz przecież i „Ostatnia myśl Webera" jest ostatniem westchnieniem ponurej i silnej duszy. Pierwsza strofka: „Pozostań, piękne widzenie" jest także piękna: w głębi kryje się jakieś nieuchwytne zabarwienie goryczy. Mówisz: „Pozostań", lecz czuje się, że powiesz: „Przeszło".

Dowiedz się, o ile możesz, czy Leon Łubieński jest jeszcze w Paryżu. Proszę Cię także, mój drogi Henryku, dowiedz się, czy Walerian Krasiński odebrał list mój, pisany do Tavistock House i przyślij mi adres jego w Devonshire.

Podstęp, którego używasz względem swojej matki, nie jest najbardziej wzniośle poetyczny, lecz przebaczam Ci go, ponieważ sprowadza Cię w moje ramiona. Przyjedź,

przyjedź, mój przyjacielu! Przepędzimy jeszcze kilka wieczorów, rozmawiając o otaczającym Cię świecie wspólnym. Oba mają swoje dni rewolucji, a miały i dni pogody i oba dążą ku niewiadomemu kresowi. Przyjedź, przyjedź, mój przyjacielu! Uściśnijmy sobie silnie dłonie, skoro jeszcze możemy to uczynić! Siądźmy koło siebie! Czy słyszysz ten wicher północy? Płatki śniegu padają na szyby, by zginąć na nich, jak pszczoły, które umierają po zadaniu ciosu. Nie rozdziela nas ni wicher, ni śnieg, lecz, gdy słońce powróci, gdy ludzie działać zaczną, może trzeba nam się będzie rozstać; każdy z nas podąży do nowego celu, każdy z nas, bez względu na to, czy cel osiągnie czy też go nie osiągnie, myśleć będzie w drodze o drugim, a spotkamy się u końca drogi naszej. Nie mam już kochanki, której mógłbym powiedzieć: „Spotkamy się znowu". Lecz mam jeszcze przyjaciela, któremu mogę to powtórzyć.

Zyg. Kras.

Uszanowania dla Matki Twojej.

50. DO HENRYKA REEVE'A

16 stycznia 1832, Genewa

Od dwóch tygodni, dniem i nocą dręczy mię niepokój. Gdzież on jest? Co mu się stało? Czy rozgniewały go listy moje? Tysiące myśli mózg mój dręczyło i była to dla mnie ciężka próba znieść to dwutygodniowe milczenie. A dziś oto dowiaduję się z pisma Twojego wykoszlawionego, konwulsyjnego, skręcającego się pod Twojem piórem, jak ręka Twoja, która się z bólu wykręcała, że chory jesteś i leżysz, powalony reumatyzmem i podagrą. Mój biedny Henryku! Co Ci się stało, u diabła, skąd przyszło to cierpienie? Lecz niech je diabeł porwie tam, skąd przyszło, byle tylko odeszło szybko i na zawsze. Kochany Henryku, ból jest życia obrazem, symbolem, który przychodzi czasem by ludziom przypomnieć, że wśród bólu się urodzili i umrą wśród bólu. Jesteś teraz przykuty, nieruchomy, jak Prometeusz na swej skale, lecz pamiętaj — ziemia ta jest skałą ogromną, a ludzkość olbrzymim Prometejem. Cierpienie jest na tym świecie prawem, a zarazem wielkością jego. Czyż nie czujesz, cierpiąc fizycznie, pewnego rodzaju dumy duchowej, jak gdyby w tej właśnie chwili cierpienie Twoje wystarczało, by Cię wznieść ponad tych, którzy pełni są radości i zdrowia? Często miałem to uczucie. Idź do kobiety, która kocha, i zapytaj, kiedy najbardziej ubóstwia swego kochanka. Jeśli chce prawdę powiedzieć, odpowie: „Na łożu boleści". Dziś jeszcze pójdę do kasyna, gdzie Konstancja ma zamiar tańczyć i każę jej przez Bineta powiedzieć, żeś Ty, tak młody i pełen poezji, chorobą zgnębiony, bez możności wzniesienia ręki, lub zanucenia pieśni. A zobaczymy czy ta kobieta ośmieli się tańczyć potem. Co do mnie, przeklnę ją całą siłą duszy mojej, jeśli będzie tańczyła. W chwili, gdy rozpocznie walca, powiem jej tylko cichutko, lecz głosem, który, jak klin, wbije się w jej pamięć: „Nie bądź tak hałaśliwa; on Cię słyszy, a ma się bardzo źle". Trzeba, byś miał łzę z oczu kobiety, westchnienie z jej łona. Jest to konieczne — konieczne!

Cierpienie

Nie wierzę, by wojna wybuchła przed wiosną, lecz jest nieunikniona. Kochany Henryku, lecz się starannie! Będę do Ciebie często pisywał. Modlę się do Boga, by choroba Twoja nie miała złych następstw. A za dwa miesiące dwoje rąk przyjaznych uściśnie się nad brzegami Lemanu. Co do billu, mylisz się — przejdzie. Proś, kochany, Matkę Twoją lub kogo ze znajomych o napisanie mi choć dwu słów: Henryk ma się lepiej. O to tylko proszę, lecz proszę usilnie.

Żegnaj, kochany Henryku!

Zygm. Kras.

51. DO HENRYKA REEVE'A

Genewa, 20 stycznia 1832

Drogi Henryku!

Odebrałem właśnie list Twój z d. 27 grudnia z numerem 3716 zawierający wiadomość, żeś się poznał z Czartoryskim i fragment, który służy za wstęp do *Wędrowca*. Twój nowy wstęp jest piękny.

Tak więc to Ty zapomniałeś uiścić opłatę na poczcie! Do diabła, myślałem, że to H.! Lecz obecnie już do tego doszło, że list od Ciebie sprawia mi większą przyjemność, niż list od H. Jestem Twojego zdania. Leach musiał zrobić jakieś głupstwo, błazeństwo jakieś, facecję — wracał z Włoch właśnie. Chciałbym bardzo wiedzieć jak się miewasz. Skoro tylko będziesz mógł wstać, sprowadź pocztę i przyjedź tutaj. Oczekuję Cię z niecierpliwością narzeczonej.

Wczoraj do Ciebie pisałem, lecz, list Twój dziś odebrawszy, nie mogłem się powstrzymać od natychmiastowej odpowiedzi; poza tem sądzę, że, leżąc w łóżku, chętnie czytujemy byle jaką bazgraninę. Co się tyczy Badkina i Kremlinu, rzecz ta wydaje mi się niepewna, wątpliwa i obojętna. Bądź przekonany, że przez zbrodnię nic osiągnąć nie można. Wskaż mi choć jedno morderstwo, które by wydało w rzeczywistości wielkie i zbawienne owoce. Cios sztyletu kładzie kres życiu człowieka, lecz nie zasadom. Trzeba nieraz cały naród wytępić, by doprowadzić do zniknięcia jednej idei. Mikołaj jest tyranem, lecz brat jego i syn nie są lepsi od niego. Wielka mi korzyść, zabić jednego człowieka. W ten sposób tylko jeden łeb urywamy hydrze. A potem, skoro tylko zaczynają się te drobne uprzejmości 19 wieku, zwane zwykle zbrodnią, morderstwem, rzezią, nie bawię się dłużej i przyznaję, że nie przypadła mi w udziale dość wzniosła dusza, by podziwiać wyżej wymienione bohaterskie przedsięwzięcia i wielkie czyny. Czuję to — należę do wieków średnich. Wierzę w Jezusa Chrystusa, w potrzebie dałbym się zabić dla ojczyzny, dla kochanki mojej i przyjaciela. Powiedziałbym łajdakowi, że jest łajdakiem, dałbym się uwieść pięknym słówkom i wolałbym zawsze być oszukanym, niż oszukiwać. Zaprawdę, czuję to, jestem stary, jestem głupcem, człowiekiem przeszłości i to mając lat dziewiętnaście; wstyd i hańba! Lecz porzućmy ton sarkastyczny — nie powinienem był przybrać go w tak ważnych sprawach. Pozostawiam Bogu los Mikołaja. Czy przypuszczasz, że człowiek przejmujący grozą całą Europę, zaślepiony pychą, nie może paść bez ostrza stalowego i ludzkiej ręki? Upadnie w chwili, gdy będzie przekonany, że znajduje się u szczytu swojej potęgi, stoczy się z tronu swojego i padnie między ofiary swoje. Ujrzysz dzień ten, a wtedy powiemy: amen.

Żegnaj, kochany Henryku, mój najdroższy, żegnaj!

Zyg. Kras.

52. DO HENRYKA REEVE'A

30 stycznia 1832, Genewa

Mój kochany Henryku!

Nareszcie ujrzę człowieka, którego tak kochałem; tego, który wtedy, gdym stracił krewnych, przyjaciół, ojczyznę i honor, był mi jedyną pociechą. List Twój podziałał na mnie, jak stos Wolty. Uczułem, że przeszła przez moje serce iskra zapału i szczęścia i wprawiła w drżenie całą duszę. Bogu dzięki! Zdrów jesteś. Wiele nocy śniłem o Tobie, myślami swojemi otaczałem Twoje łoże boleści. Nie widziałeś mię, lecz byłem tam, u Twego wezgłowia. Pismo moje będzie Ci się dziwnem wydawać, lecz mam ból w prawem oku i osłabienie, nie pozwalające mi oka tego używać, a moje lewe oko, nieprzyzwyczajone do kierowania piórem, błyszczy ponad niem, jak niepewna gwiazda, która ukazuje się wśród burzy ponad masztem i sprowadza barkę z właściwej drogi. Nie móc używać jednego oka, lub też czuć, jak stopniowo słabnie przy używaniu, jest męczarnią, lecz zdaje się, że wszystkie rodzaje prób przypadły mi w udziale. Sądząc z tego, co piszesz, przypuszczam, że nie odbierzesz dwóch listów moich, adresowanych do Londynu, gdyż nie zdążą tam przybyć przed Twym odjazdem. Nie chciałbym, by je ktoś otwierał i czytał,

gdyż w jednym z nich znajduje się imię i zwierzenie, którego nie chcę teraz powtarzać, a które powtórzę później, gdy tu będziesz.

Jeśli Bóg mi użyczy sił i wzroku, spodziewam się rozwinąć na Lemanie moją polską flagę ponad głową przyjaciela. Popłyniemy razem pod wdzięcznemi obłokami wiosennemi. Pokłonimy się wirom oparów, unoszącym się ponad górami jurajskiemi i nad Môle, a gdy słońce zajdzie, rozpocznie się różowe konanie Mont Blancu, uściśniemy sobie ręce, jak przed laty, o rok starsi i kochający się bardziej, niż przedtem, gdyż ból i doświadczenia uświęciły naszą przyjaźń. Przez czas rozłąki i dla mnie, i dla Ciebie spłynęła wielkiemi falami gorycz. Obaj znamy ludzi lepiej i dlatego właśnie zbliżymy się bardziej ku sobie. Jak wiele się wydarzyło od owego wiosennego poranku, gdyśmy schodzili z gór jurajskich, z dwu stron przeciwnych! Ty miałeś się rzucić w wir świata, ja zaś starać się skoczyć weń z głową spuszczoną, z rozpaczą w sercu i nigdy tego nie dokonać. Sprawa wielka i szlachetna runęła, oddalała się ode mnie coraz bardziej ta, którą kochałem, wiele dawnych myśli pożegnało moją duszę, osiadło w niej kilka nowych. A Ty? Ty powinieneś do mnie przybyć podobny do olbrzyma. Żyłeś wśród naszego wieku, w wirze zepsucia i intryg, otwarte były dla Ciebie bramy Babilonu, dopuszczony byłeś do uczty Baltazara, a na murach pałacu czytałeś tajemnicze słowa. Widziałeś kilku silnych i energicznych ludzi; były to wyjątki — lud nikczemny, a okrutny oto reguła. Przybądź więc, przybądź, Henryku, i, jak ja niegdyś wsparcia Ci udzieliłem, tak Ty dziś udzielisz mi jałmużny swojej poezji i myśli, mnie, biedakowi, bezsilnemu, który nie ma już na tej ziemi nikogo, komu by mógł powiedzieć: „Chcę umrzeć za Ciebie". Gdzież moja ojczyzna, gdzież kochanka moja? Wszystko to snem tylko było. Mogę powiedzieć, jak arcybiskup Berkeley: „Rzeczywistości nie ma".

Nic mi nie piszesz o matce Twojej. Czy przyjedzie z Tobą? Jak się miewa? Myślę, że p. de Roche[87] w dzień Twojego przybycia przypasze miecz. Oznacz dokładnie dzień! Jeśli wolisz, pojadę do Ciebie w szalupie do Coppet i powrócimy do Genewy. Ty, siedząc u steru, i czterech Ladorsów, pracujących u wioseł. A rozmowy nasze będą długie, będą córami północnej godziny. Wśród ciszy rozmawiać będziemy o świecie, o tym świecie, który pochyla się pod naszemi nogami i zstępuje w przepaść. Może przynosisz mi także choć jedno słowo, jedno westchnienie, jedno drżenie powiek od osoby, której rysów, głosu zapomniałem, lecz którą kocham jeszcze. Nie mam już obrazu jej w swojej wyobraźni, lecz tylko wspomnienie, bez kształtów naturalnych, oswobodzone z tego, co ziemskie, wyzwolone z czasu i przestrzeni. Jest to coś podobnego do myśli o duszy, która niegdyś żyła z nami, a potem odeszła na zawsze. Żegnaj! Szczęśliwym będzie dla mnie dzień, w którym Cię ujrzę znowu. Już bardzo dawno tego wyrazu nie wymawiałem, mówiąc o sobie.

Obraz świata, Otchłań

Zygm. Kras.

53. DO HENRYKA REEVE'A

Genewa, 9 lutego 1832 r.

Drogi Henryku![88]

A więc skończył się dramat mej młodości! Człowiek płacze, opuszczając wybrzeże, na którem mieszkał długo. Trzymałem się oburącz ołtarza tak długo i tak silnie, jak mo-

[87] *p. de Roche* — dr Jan de Roche, lekarz, kolega i przyjaciel ojca Reeve'a, uproszony przez niego w testamencie, aby się wdową i synem jego opiekował. [przypis redakcyjny]

[88] *Drogi Henryku!* — jest to odpowiedź na następujący ustęp listu Reeve'a z dn. 6 lutego 1832 r.: „Co do H., więcej Ci przynoszę niż słowo, niż westchnienie, niż drżenie powieki: napisała do mnie list wspaniały. Odpisałem jej jak najlepiej. — Chciałem zakończyć swą tajemniczą korespondencję i pół wyrażone zamiary przez list zarazem mocny, szczery i godny i Ciebie, i tej, do której był zwrócony. Nic lepszego w życiu swojem nie napisałem. Zachowałem odpis; nie posyłam Ci go, chcę, byśmy go razem przeczytali. Wszystko między nią a Tobą skończone; pozostanie Wam obojgu li tylko ogromne wspomnienie. Kocha Cię teraz tak właśnie, jakeś Ty ją kochać powinien. Ks. Czartoryski i Niemcewicz każą Cię po tysiąc razy pozdrowić. Z jednym i drugim wiele o Tobie rozmawiałem. Książę dał mi *Matkę Polkę* Mickiewicza. Przełożyłem ją i będzie drukowana. Z dnia na dzień oczekują tu rewolucji. Nieszczęsna Europa krwawi, a któż będzie mógł rany jej zagoić? Twój na zawsze H. R.". [przypis redakcyjny]

głem. Lecz godzina wybiła, świątynia zapadła w ciemność. Żegnaj, Henrieto, żegnaj! A Ty, Henryku, przynosisz mi całun. Co prawda, nie dla mnie były szaty weselne. Patrz, czem jest życie, czem czas! Stałeś u kolebki mojej miłości i nie uniknąłeś widoku jej grobu. Ona ma duszę szlachetną i silną; mało jest kobiet na ziemi, które by jej były warte. Piszę Ci tak źle, gdyż ledwo widzę; oczy bolą mię bardzo. Ale jednak, Henryku, chociaż wszystko skończone, list jej do Ciebie wprawia w drżenie moje łono. Ostatnia to flaga, którą wywiesza okręt, nim na dno pójdzie. A stojący na wybrzeżu wlepiają w nią spojrzenia i przywiązują do niej swoje serca — a potem spokój. Ocean kołysze się nad tymi, którzy zginęli.

Mam zaledwie lat dwadzieścia, a już wstręt poczułem do tej gospody ziemskiej i wzdycham do pałacu niebieskiego. Mam zaledwie lat dwadzieścia, a już przeszedłem przez tysiące cierpień, ciało moje znosiło katusze, lecz dusza dużo więcej cierpiała. Niczego nie dokonałem, a dokonać mogłem, bo przecież Bóg dał mi ramię i serce, z których żadne nie drży w godzinie niebezpieczeństwa. Pieśni moje rozwiały się w powietrzu. Gdy się urodziłem, ziemia mi się uśmiechała, lecz inaczej było za dni mojej młodości. Nie skarżę się, nie przeklinam swego losu, lecz niekiedy, w godzinie wieczornej, zamykam oczy, życząc sobie, bym się nie obudził więcej. Ty jeden wiesz, kim jestem, znasz i błędy moje, i siły. Przybywaj, przybywaj prędko! Po raz ostatni ręce sobie uściśniemy. Podaj mi dokładnie dzień, w którym przenocujesz w Gex! Jak przyjeżdżasz? Dyliżansem, czy swoim własnym powozem? Czy kuzyn Twój nie może sam przyjechać do Genewy? Nie potrzebnyś mu w drodze, a, gdybyś nie czekał na niego, przybyłbyś wcześniej. Jacky cieszy się nadzwyczajnie, że zobaczy Cię znowu. Dużo ma dla Ciebie przyjaźni i poważania. A ja ani słowa więcej nie powiem, lecz, gdy u stóp gór jurajskich uścisnę Twą rękę, zobaczysz mą duszę na mej twarzy. Niech Bóg błogosławi naszej przyjaźni, gdy odwrócił się od młodości mojej! Ty przynajmniej odnajdziesz K. taką, jaką była, gdyś ją opuszczał, ale ja już dawnego dziewczęcia nigdy nie zobaczę. Te skargi będą ostatnie. Niech błogosławione będzie imię Pańskie!

Zyg. Kras.

54. DO HENRYKA REEVE'A

17 lutego 1832, Genewa

Drogi Henryku!

Polityka, Koniec świata, Bóg, Błoto

Odgadłeś: saint-simoniści są antychrystami naszego wieku. Weź pisma ich: topią w nich rzeczy tego świata w oceanie piękna, doskonałości i rozkoszy, a jednocześnie dążą do hierarchii surowej i niewzruszonej; chcą urobić niewolników, obdarzonych wszystkiemi możliwemi doskonałościami. Niebo jest słowem, które nie ma już u nich powodzenia, i tak bywa zawsze, gdy zbliżają się ostatnie dnie jakiegoś społeczeństwa. Są przedstawicielami upadku naszej społeczności, ostatniem słowem naszego rozwoju; na wpół przebiegli, na wpół fantastyczni, najszlachetniejsze, najwyższe uczucia układają w formułki matematyczne. Na próżno zamykaliśmy ich świątynie: nie zginą, nie dlatego, by byli prawdą, lecz dlatego, że są kłamstwem. A bywają niekiedy epoki, w których kłamstwo życia samoistnego nabiera i dochodzi do swego kresu. Lecz, gdy to następuje, bądź pewien, że światu tylko lat kilka jeszcze pozostało, że otwiera się gdzieś wielka przepaść, która pochłonie stare społeczeństwo, i że nowe zarodki, niespostrzeżenie wprawdzie, poruszają się już i znajdują na świecie, by utworzyć nową społeczność. Któż wybierać zdoła między despotyzmem, a demokracją? Zadam Ci pytanie: czy nie czujesz pogardy i czasami współczucia dla biednej ludzkości, zakneblowanej w Rosji, a wyjącej we Francji i Anglii słowa, których nie rozumie? A później spójrz na Włochów, którzy nie umieją umierać w dniu bitwy i którym za całą sławę służy nazwa spiskowca. U nich teoria i praktyka są to dwie różne rzeczy. Oni mogą mówić o rzeziach: nie bój się, w dniu walki będą w bilard grali. Lecz są inni ludzie, którzy ich słyszą, którzy ich podziwiają i z ich pomysłów wytworzą rzeczywistość. Ach! Niech mi nie mówią, że cnoty rycerskie nie są z naszego czasu: poezja, muzyka, sztuka, wszystko zmieni się może — cnota nigdy. A jeśli Nemrod, polując dnia

pewnego w lesie, zdobył się na akt łaski, to Mikołaj mógłby dziś czyn ten powtórzyć, i byłoby to równie dobre, jak było dobre niegdyś. Lecz utrzymuję i wierzę w to, że społeczeństwo nasze znika i zginiemy wszyscy w okropnych wstrząśnieniach. To wiara moja; szczycę się nią, gdyż walka, którą będziemy musieli stoczyć, doda sił memu sercu. Wiem — zginę, lecz cóż to znaczy? Przysięgam Ci, Henryku, że na tym świecie dotychczas widziałem tyle podłości. Był to traf szczęśliwy, że spotkałem Ciebie na swojej drodze. Ty masz duszę nie z materii; lecz oni wszyscy — Mikołaj, jak i Saint-Simon, to błoto, błoto, mój przyjacielu! Spójrz na świat, w rozmowach wielkich czy małych, na salon czy na salę obrad, na pojedynek między dwoma wrogami czy na wielkie bitwy — wszędzie to samo. Na ziemi pięknem jest jedynie to, co Bóg stworzył. Daj mi szalupę w dzień burzy, zaprowadź mię na morze lodowe w noc letnią, pokaż pośród zabawy dziewczę, które jeszcze nie zwiędło pod oddechem mężczyzn. W tem tkwi piękno, ale reszta — reszta jest błotem. Niebo musi być dla nas kiedyś wielkie i wspaniałe, skoro ziemia nam się wydała tak nędzną i małą.

Co do miejsca połączenia Rodanu z Lemanem, to zwrócę Ci uwagę, że Benet, Lombard i Duchesne chcieliby się wybrać na Twoje spotkanie; bardzo im na tym projekcie zależy. Byłbym samolubem, gdybym przekładał moją radość nad ich przyjemność. A więc sądzę, że zrobimy lepiej, jeśli będziesz oczekiwał nas z rana w Collonges. Przybędziemy wszyscy konno lub na wozie, a ja przyprowadzę Ci konia, milordzie. Spędzimy pół dnia na rozmowie, wreszcie ku wieczorowi ruszymy konno do Genewy. Zresztą robię tylko propozycję, a Ty wydasz rozporządzenia. Żegnaj, oznacz dzień! Żegnaj!

Twój do grobu.

Zyg. Kras.

Oczy mię bolą. Co do cygar, jestem bez grosza. Przywieź je dla Duchesne'a. Nie widziałem się z nim, ale przypuszczam, że je kupi. Ja dziś na przykład mam nie więcej, niż pięć franków. Pluję na to.

55. DO HENRYKA REEVE'A

20 lutego 1832, Genewa

Drogi Henryku!

Bal cudzoziemców odbędzie się dopiero 5 marca. Masz więc dość czasu.

Choroba, Rewolucja, Koniec świata, Lud, Dziecko

Cholera zabiera w Londynie trzynaście osób na piętnaście. A lud powie: „Jak to? Ci, którzy są bogaci, mniej umierają niż my. Oddzielą się od innych, mają lekarzy i pomoc. Ale, jeśli my mamy już umrzeć, zemścijmy się przynajmniej dzisiaj! Do bitwy! Naprzód piki i siekiery! Rozbijajmy okiennice domów! Niech dywany domów wylatują rozdarte na kawałki i osypią kwiatami ulice, jak w dzień święta! Dzieci i żony nasze wiją się w kurczach. Konają nędznie na tapczanach. Niech łup, wzięty na bogaczach, otoczy je w ich ostatniej godzinie! Naprzód, naprzód! Cholera czyni spustoszenia między nami. Zabijajmy, zaczynajmy! Potem umrzemy". Brawo moi przyjaciele, naprzód! Gdybyście byli chrześcijanami, umieralibyście w milczeniu; lecz któż będzie mówił o krzyżu? Sztandar ludu, to głowa, potrząsana w powietrzu na pice. Palcie i burzcie! Niech każdy ma do zaniesienia w wieczność swoją miarę zbrodni. Szlachta, stan trzeci, biedni i bogaci, ściągnęli nieszczęścia na swe głowy, gdyż Jezus Chrystus wybrał ich sobie jako lud swój, a oni nie umieją czekać na swego króla. Za kawał mięsa, za kielich wina, za sztukę złota wyrzekają się swego dziedzictwa niebieskiego. I dziś Szatan klaszcze w ręce z radości, patrzy na ziemię, jak dziecię na zabawkę, mówiąc: „Złamię ją". Gdyż dzieci, cokolwiek o nich można powiedzieć, mają coś szatańskiego w swej naiwności i złości.

Wczoraj rozpocząłem dwudziesty pierwszy rok mego życia. Mam w sercu coś podobnego do ognia. Namiętność jakaś rozwija się we mnie, namiętność silna i straszna. Żegnaj, śnie, żegnajcie ciche godziny wieczorne, marzenia u kominka, słodkie natchnienia zmierzchu, obojętne i spokojne rozmowy! Nie masz szczęścia, nigdy nie zastajesz mię w spokoju! Taki już mój los, że zawsze widzisz mię, gdy jestem obłąkany, czerwony, w rozpaczy lub szale. Oczy mię bardzo bolą. Być ślepym! Nie jestem Miltonem. Niech

Bóg mię przed tą próbą uchroni! Przybywaj, przybywaj! Dnie są piękne, wiosna na widnokręgu, a jezioro jest, jak za dni naszej młodości. Przybywaj! Z żaglem lub z wiosłem suńmy po lazurze lub kołyszmy się wśród fal piany! Widzę, jak przybywasz. Ciągniesz za sobą widmo, które wyśmiewa się ze mnie i mówi: „Żadna kobieta na ziemi nie kochała Ciebie". Niech i tak będzie! Oddałbym wszystko za czarę opium. Zasnąć i marzyć o życiu, rozkoszy, męce, walkach morskich i bitwach — burzach i o dniach pogodnych, o całym świecie, w którym ja byłbym bohaterem. Żegnaj! Jeśli ktokolwiek Cię kocha, to ja.

Zyg. Kras.

56. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Genewa, dnia 9 marca 1832

Drogi Konstanty! Jakże to przeszło wszystko i dzieciństwo, i miłość nasza! Pamiętasz li erę fajkową[89], i wieczorne rozmowy, i romanse nasze, pracę moją, wiersze Twoje, łowy opinogórskie, przechadzki w ogrodzie warszawskim, zazdrości i miłości moje, smutne zatargi w uniwersytecie, pośród których Ciebie jednego przyjacielem i obrońcą miałem? Gdzież to wszystko się podziało? Gdzie ojczyzna, gdzie tyle dusz szlachetnych, gdzie tyle krwi polskiej? Dawnom nie wylał łzy jednej, sądziłem, że ich źródło wyschło we mnie, bo mózg mój spiekły od dawna, ale dziś zapłakałem, odbierając Twój list, czytając pismo przyjaciela. Jako duch, co powstaje z grobu, takeś zawitał do mojej duszy. Wygnańcze za świętą sprawę Polski, bądź mi błogosławiony! Jako Cię kochał Zygmunt tako Cię zawsze kocha.

Jeśli usłyszysz, że mnie potwarzają, nie broń mnie, ale pomyśl: „To kłamstwo". Znałeś mnie i znaj mnie dotąd! Gorzkie przetrwałem chwile. Jakom zaczął nieszczęśliwe życie, takoż się ono ciągnie i dalej tym samym wątkiem. Dwudziestego piątego marca przeszłego roku wróciłem z Włoch do Genewy i dotąd tu siedzę. Ten cały czas przeszalałem, przebolałem, przechorowałem. Wszystkich sposobów używałem, by dostać się do was, ale silniejsze nad moje ramiona zapory drogę mi zajęły; musiałem słuchać o waszych bojach i siedzieć na miejscu. Zaprawdę Ci powiadam, że mi dnie i noce na gorączce z początku, później na szaleństwie zeszły. Wycierpiałem za winy wszystkich przodków moich. Teraz nadszedł czas odrętwienia. Los, który mnie zawsze towarzyszy, i teraz nie odstępuje mnie. Za dwa miesiące muszę wrócić tam, gdzie brzęczą kajdany, „do krainy mogił i krzyżów!". Tam, na grobie Polski, modlić się będę. Mam przeczucie, że nie dotrzymam oburzeniu mej duszy. Sybir mnie czeka. Tam zastanę rodaków.

Polska, Powstanie, Klęska, Niewola

Teraz powiedz mi, Konstanty, co myślisz robić? Potrzebujesz li czego, może pieniędzy? Niedużo ich mam, ale te, które mam, są na Twój rozkaz. Nie mógłbyś tu przyjechać? Zastałbyś tu Załuskiego Romana i Reeve'a, Anglika, o którym Ci tyle razy pisałem, którzy mieszkają ze mną. Rozpisz się, opowiedz mi swoje dzieje! Może byś do Polski chciał wrócić? Wyrobiłbym Ci to przez ojca. W Polsce sądziłem, że Ciebie mieć będę jednego, któremu rękę mógłbym ścisnąć i serce wyjawić, a Ty w Paryżu. Dopytywałem się wciąż o Ciebie. Ojciec mi w ostatnim liście pisze, że kazał wszędzie Cię szukać, nigdzie wiadomości o Tobie powziąć nie zdołał.

Tego listu, proszę, byś nikomu nie pokazywał i nie mówił, co w nim jest, jeśli mnie kochasz.

Pisz! Na pół ślepy jestem i oczy piekielnie mnie bolą. Pisz natychmiast! Mój adres jest: *Au Molard, chez Mr Le Grand, Genève*. Wierzaj, że ten, który Cię kochał dzieckiem, kocha Cię i teraz, kocha z całej duszy, mój drogi Konstanty!

[89] *era fajkowa* — K. Gaszyński tak to słowo wyjaśnia: „Zygmunt Krasiński w młodym bardzo wieku zaczął palić tytoń, a gdy ojciec surowo mu to zakazywał, palenie odbywało się potajemnie, w ogrodzie, godzinami wieczornemi. Ojciec to wyśledził, a przekonawszy się, że namiętność do palenia silniejsza jest nad zakaz jego, pozwolenie swe udzielił. Tegoż dnia Gaszyński, wchodząc wieczorem do Zygmunta, zastał go siedzącego przy kominku i palącego fajkę na długim cybuchu. Zdziwiony, pyta: — »Jak to? Nie boisz się ojca?« — »Nie boję się, ojciec pozwolił« odpowiedział Zygmunt. Wtedy Gaszyński w uniesieniu porwał kawałek węgla i napisał na kominku: »Żyj, ero fajkowa!«. Stąd na listach do Gaszyńskiego podpis zwykły jest: »Twój Erofajkowy« albo »Ero«". [przypis redakcyjny]

„A wtenczas znowu radośni, weseli,
Dawnego szczęścia będziem obraz mieli,
Ożyję w twojem, ty w mojem wspomnieniu[90]".

57. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Genewa, dnia 17 marca 1832

Drogi Konstanty! Odebrałem Twój list z 13 marca. Konstanty, Konstanty! Przeszła młodość moja po części na złudzeniach, po części na rzeczywistości, a ona rzeczywistość tyle była gorzką, że czasami zdawała mi się złudzeniem złego ducha. Ani Ty do mnie, ani ja do Ciebie, dostać się nie mogę; związane mam ręce, czuwają nade mną, paszportu mi nie dadzą, szpiegów tu niemiara, niechże się choć raz wynurzę! Ha, jakże ich nienawidzę, nie cierpię tych Moskali! Pamiętaj plunąć na moją pamięć, jeśli kiedy posłyszysz, żem od nich co przyjął, żem któremu z nich rękę ścisnął, lub ukłonił się...

Polak, Rosjanin, Nienawiść

Jadę niedługo do Polski, tam ich szarańcza zaległa nasze niwy. Przejdę między nimi z dumą człowieka, pana zwierząt; w Warszawie trzech dni nie pobędę — do Opinogóry pojadę...

Polak, Rosjanin, Pogarda, Niewola

Jeśli będę mógł wydobyć się z ujarzmionego kraju po kilku miesiącach, to wrócę do Europy; wtedy, Konstanty, zobaczymy się. Ale wątpię; tygrys swych ofiar nie wypuszcza nigdy. Mam przeczucie, że Sybir zamknie mój zawód zmarzłemi wroty. Znasz mnie, wiesz, że mam duszę ognistą, niespokojną w łonie; to łono za drobną jest dla niej chatą, ona zawżdy pnie się na lica: w słowach, w spojrzeniach, w rumieńcu na wierzch się wydobywa. Nie wytrzymam. Zresztą niechaj wola Boga się dzieje! Jeślim nie walczył z bracią, niechaj przynajmniej wycierpię to, co oni!

Teraz napisz mi, gdzie Twoja matka? Chcesz li, bym u niej był? Przyszlij mi listy do niej! Ale to wszystko dopiero za miesiąc. Trzeciego lub czwartego maja stąd wyjeżdżam i na Wenecję i Wiedeń jadę do Polski; piętnastego augusta będę w Opinogórze. Mogę Ci przesłać sto pięćdziesiąt franków, napisz mi, na czyje ręce i jak.

Dużom się odmienił, Konstanty! Serce w niczem się nie odmieniło, bo sam Bóg zawiesza serce w piersiach dziecięcia i ono zawsze jednakiem zostaje, ale głowa, wyobrażenia, sądy, dużo się odmieniły. Nauczyłem się daleko częściej o niebie myśleć, niż o ziemi, zwątpiłem o szczęściu, bo widziałem iż to istna mara, a za nią gonić nawet nie warto: *Que l'homme soit malhereux, pourvu qu'il soit grand* rzekł Cousin, i ja tego zdania jestem. Wielkość zaś u mnie zależy na tem, by cierpieć i nie żalić się, by ziemią pogardzać i zawsze być gotowym do odepchnienia jej od siebie, jak łódkę od brzegu. Kiedyś, Konstanty, miłość i sława bywały mojemi bóstwami: pierwsza jako mgła się rozeszła, zamiast drugiej doczekałem się hańby.

Serce

Jednak nie powiem, by we mnie wygasła poezja; jeszcze nieraz natchnienie wraca. Napisałem tego roku dużo rzeczy, wszystkie gorączką i rozpaczą napiętnowane, ale teraz czas nadchodzi, by wziąć się do poezji czynów, a poezja pióra niechaj mi służy tylko za piosnkę, nuconą przez mamkę. Nie mam dosyć mocy duszy, by stać się „szpiegiem" Coopera,[91], ale będę tem, czem Bóg mię stworzył: dobrym Polakiem, zawżdy i wszędy. O kajdany, o śmierć nie dbam; ciało moje w ich ręku, ale dusza — nie!

Na wpół oślepłem, ledwo widzę litery. Bóg daj, by to przeszło, bo mi to jest męczarnią.

A teraz przyjm me dzięki za to, że mnie kochasz jeszcze, za to, żeś nie zwątpił o nieszczęśliwym. I nadal też nie wątp nigdy o tym, którego młodość tak jest ściśle połączona z Twoją, że wspomnień tych dwóch młodości nic rozerwać nie zdoła, ani Ty sam nawet, gdybyś kiedy chciał. Ale Ty nie zechcesz, bo ten, który Cię kochał, aż do grobu Cię kochać będzie. Pisuj, pisuj!

P. S. Zaklinam Cię, byś nikomu listów mych nie pokazywał!

---

[90] *A wtenczas znowu radośni, weseli (...)* — z sonetu Gaszyńskiego *Pożegnanie*, napisanego w roku 1829 przy wyjeździe Krasińskiego z Warszawy. [przypis redakcyjny]

[91] *by stać się „szpiegiem" Coopera* — mowa o sławnej powieści pisarza amerykańskiego J. F. Coopera (1879–1851) pt. *The Spy*, wydanej w r. 1821, a przedstawiającej niemal nieprawdopodobne poświecenie się dla ojczyzny. [przypis redakcyjny]

58. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Genewa, 27 marca 1832

Drogi Konstanty! List Twój z 24 marca w tej chwili odbieram. Męczę się, złożony niemocą oczów i gorączką, do której niejedna się przyczyna przyłożyła. Życie mi jest festynem, do którego zasiadłem z cierniową koroną miasto[92] kwiecia na głowie, z pucharem goryczy przed sobą miasto czary nektaru. O, kochaj mnie zawdy[93], kochaj, bo wielu mnie nie cierpi, bo ci, którzy mnie kochali przestali mnie kochać! Miałem kochankę, a dusza jej była z ognia; dziś mną ona pogardza, bom nie bił się za Polskę. Nie wie, jakie zawady mi ramiona do piersi przykuły.

Konstanty, nie jestem Twego zdania w tem, co mówisz o szlachetności. Szlachetność jest perłą, której nie można rzucić ni w puchar miłości, jak Kleopatra, ni w czarę zemsty. Ale można milczeć i czekać, można przybrać postać głupca lub rozpustnika, uczonego lub gospodarza, i czekać; a kiedy godzina wybije, pójdzie się na śmierć. Myśleć o śmierci za Polskę jest ostatnią moją pociechą i rozkoszą; wszystkie inne odpadły ode mnie, gdyby zwiędłe liście; ale drzewo, choć obnażone, jeszcze potrafi wyzywać do boju wichry i nie ugiąć karku przed burzą.

Chciałem Ci uwagę uczynić co do Twoich wierszy, co do pierwszych, któreś mi przysłał. Nie przypominaj Francuzom, że Polacy za nich walczyli! Naprzód, Polacy za Polskę walczyli; Szwajcary tylko za insze narody, to jest za pieniądze, się biją. Jeśli Francuzi zapomną o Polakach, to Bóg o nich nie zapomni. Ja teraz nie cierpię Francuzów.

Poszlę Ci zaraz jutro 150 franków. Reeve Ci się kłania, jako mój przyjaciel mojemu przyjacielowi.

Czytaj Szekspira, to największy poeta! Byron jest dzieckiem w porównaniu z nim. Nie daj się uwieść nową literaturą tych przeklętych Francuzów, którzy o kochankach piszą, a nigdy nie kochali, którzy świat malować chcą, a w Boga nie wierzą i świata nie znają. Prawda jest najwyższą poezją, szumność jest pianą, z której kilka farb się dobywa, ale za pierwszym powiewem nikną — i po nich na wieki. Religia jest skrzydłem, którego cień na poezję wiecznie zlewać się winien. Patrz, od religii, od krzyża chrystusowego odstępuje ziemia; ale powiedzcie mi wszyscy, kędyż nowy ołtarz się zjawił, kędyż klęknąć mam przed nowem bóstwem? Teraz nam, Polakom, trzymać się krzyża przystoi, bo tyran wygania katolicyzm z kraju naszego. Krzyż i szabla! Pod temi znamiony wybawimy Polskę, lub zginiemy. Jeśli ziemia nam nie dopisze, mamy wieczność przed sobą. Ściskam Cię, pisuj wciąż i wierzaj mojemu kochaniu!

Poezja

Polska, Religia

Przez bankiera mego poszlę jeszcze dziś wieczorem pieniądze do bankiera paryskiego. Ten Ci je poszle i odda wraz z biletem ode mnie, w którym będzie Twój adres.

59. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Genewa, 24 kwietnia 1832

Drogi Konstanty! Wciąż słaby jestem, oczy mnie bolą i mam gorączkę moralną i fizyczną, bo wiem, co mnie czeka. Posłałem Ci Mickiewicza, „Pamiętnik dla płci pięknej" i *Hermana*[94], do Paryża; doszły-li Cię te książki lub nie? Przejeżdżało tędy dziesięciu oficerów polskich z pułkownikiem Gawrońskim na czele; przypomnieli mi Polskę i żem za Polskę się nie bił. Źle, źle mi jest, niedługo pożyję, mam duszę za ognistą na moje nędzne ciało. Jeśli nie masz już czasu pisać z Valenciennes do mnie, bo wyjeżdżam czwartego maja stąd, to przyszlij w połowie czerwca Twe listy do Wiednia, *poste-restante*, a tak w końcu maja pisz do mnie do Wenecji. Rozstajem się, Konstanty mój! Ja idę popracować około wspólnego dzieła, nie na otworzystych polach, gdzie chwała czeka, ale pośród ciemności, gdzie kajdany czekają. Bądź co bądź, świętej dokonam powinności; bądź co bądź, czy się

[92]*miasto* (daw.) — tu: zamiast. [przypis edytorski]
[93]*zawdy* (daw.) — zawsze. [przypis edytorski]
[94]*Posłałem Ci (…) „Hermana"* — powieść swą pt. *Władysław Herman i jego dwór*. [przypis redakcyjny]

uda lub nie, umierając, tę będę miał otuchę, że Bóg mi nagrodzi za męki tej ziemi, że Ty i ci kilku, co mnie znali prawdziwie, wyleją łzę jedną po moim zgonie i pamięć o mnie zachowają, jako się zachowywa pamięć snu, mianego w dzieciństwie. Żyjemy w wieku, w którym śmierć jest igraszką dnia każdego. Konstanty, mnie coś wróży, że już nigdy Cię nie przycisnę do serca mego. Ja przepadnę bez chwały, bez znaczenia, ale Ty pamiętaj, żem był dobrym Polakiem, pamiętaj, żem nade wszystko Polskę miłował, że proszę co dzień Boga, by mi dozwolił za nią zginąć, czy w boju, czy na rusztowaniu, byleby za nią, to będzie dniem najpiękniejszym mego życia, a mało dni czego wartych w niem było. Żegnam Cię i ściskam! Oby moje uściśnienia, oby serca mego bicie mogło przez ten martwy papier w pierś Twą uderzyć. Pisuj i bądź mi zdrowym; płaczę jak dziecko, bo dzieckiem Cię kochałem i dotąd kocham.

60. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Wiedeń, 16 czerwca 1832

Drogi Konstanty! Odebrałem Twój list wczoraj. W ciemnym pokoju, sam jeden, otoczony lekami, mam czas rozmyślać nad przeszłością i przyszłością, mam czas rozpamiętywać, żem za Polskę się nie bił. Nie wiem, co ze mną będzie, oczy zagrożone ślepotą, całe ciało rozstrojone; może niedługo pójdę tam, gdzie tylu poszło, bez sławy, bez miłości i żalu ludzi, bom nic nie zrobił, bom żył na świecie, jak kawał deski, co płynie po morzu, aż wreszcie zgnije i pójdzie na dno. Nikt o mnie wiedzieć nie będzie, moje prace zaginą ze mną razem, moje natchnienia do trumny pójdą.

„Kto raczy podjąć imię nasze z niepamięci piasku"? A przecież nie tak nędzne serce biło pod temi piersiami, mógłbym był i śpiewać i walczyć; przeznaczenie inaczej chciało i chce.

Czy pamiętasz, drogi Konstanty, ciechanowskie błota, owe czasy, owe łowy, owego dubelta, coś Ty zabił, a któregom chciał zaprzeczać Tobie — a później z Danielewiczem podróż do Opinogóry, nocleg u Wąsowicza w borach? Rozpamiętuję ja to wszystko teraz z zamkniętemi oczyma.

Tu miesiąc mam bawić, a może i dłużej, bo kiepsko ze mną. Bądź mi szczęśliwym i zdrowym, ufaj w sprawiedliwość Boga: berła i korony przeminą, ale Jego sprawiedliwość nie przeminie! Pisz tu do mnie! O Fredra każę się dowiedzieć. Kochaj mnie zawsze, a kiedy umrę, wspomnij czasem o przyjacielu lat młodych! Niech żyje Polska!

61. DO HENRYKA REEVE'A

Wiedeń, 14 lipca 1832

Szczęście

Tu Cię mam! Doszedłeś do materializmu! „Szczęście jest celem życia, trzeba unikać nieszczęścia". Brawo, brawo! Popioły Epikura zadrżałyby z radości, gdyby Cię usłyszały.

A ja sądzę, że się mylisz. Raczej nieszczęście jest celem nieuniknionym życia. Przez nie osiągamy pamięć u ludzi i błogosławieństwo u Boga. Wszystkiemi memi życzeniami i wszystkiemi memi modłami wywołuję Cię z tłumu, przyjacielu. Jakże możesz sądzić, że Ty jeden pozostaniesz w spokoju, gdy świat cały w ruch będzie wprawiony!

Choroba matki Twojej zmartwiła mię bardzo, ale miała jeden dobry skutek: wzruszyła Cię, zmiękczyła Twe serce, zmniejszyła Twoje samolubstwo. Podoba mi się również zorza miłości ojczyzny, wschodząca w Twojem sercu. Bogu niech będą za to dzięki!

Rewolucja, Szlachcic, Polska, Mieszczanin, Chłop

Widuję często brata Augusta. „To człowiek przeszłości" powiedzieliby członkowie klubów, a ja mówię: „To człowiek szlachetny i mężny, jak jego szabla". Członkowie klubów nas zgubili. Nie możesz sobie nawet wyobrazić ich szaleństw i wściekłości. Ci nędznicy, szewcy, przechrzty i krawcy, chciwi pieniędzy, nie znający wcale Polski i jej przeszłości, chcieli dojść do majątku, zarobić, spekulować na giełdzie, wieszając, oczerniając i podburzając, a teraz rozpowszechniają broszury przeciwko wszystkiemu co mamy naprawdę wielkiego i szlachetnego. Oni nazywają to arystokracją. Ale, jeśli mię kochasz, to wierz mi i pamiętaj, że poza arystokracją nie ma nic w Polsce, ani talentów, ani świa-

tła, ani poświęcenia! Nasz stan trzeci jest niczem, nasi chłopi są maszynami. My jedni stanowimy Polskę. I pewnego dnia, po wielu poniesionych ofiarach, spotka nas to, że zostaniemy powieszeni przed ołtarzem ojczyzny. Taki jest bieg zdarzeń, nieodwołalny bieg zdarzeń. Czasy muszą się wypełnić, gdy nadeszły. Radykalizm podniesie nas, by nas obalić i zetrzeć z oblicza ziemi. Niechby przynajmniej po nas coś dobrego spotkało ten kraj nieszczęśliwy. Niech się powodzi tym nowym ludziom, by stali się znowu wielkim narodem. Co do nas, pracujemy na naszą zgubę, a jednak pracujemy; to nasz obowiązek i Bóg nas widzi. A później przyjdzie szubienica i wieczność. Rozważ dobrze te słowa, namyśl się nad nimi raz jeden i drugi! To nie nagły rzut ducha, lecz owoc długich medytacyj. Pisz w dalszym ciągu do Wiednia. Oczy moje ciągle w tym samym stanie.

Na zawsze Twój.

Zyg. Kras.

62. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Wiedeń, 14 lipca 1832

Drogi Konstanty! Wciąż zdrowie moje takie same, ni wprzód ni wstecz nie cofnęło kroku. Koźmianowi nawzajem się kłaniaj! Donieś mi, gdzie też nasz Kazimierski? Nigdym nie mógł pojąć, skąd owemu dziecku o słabym wzroku i niemęskim głosie przyszła chętka do teorii o krwi i panowaniu. Dokazywał on ci to niepomału jak słyszę; czybyś był to przepowiedział wtedy, kiedy u mnie bywał i o Bielskim, Kromerze etc. rozpowiadał?

Wiesz? Kiedy zarzucam wzrok na przyszłość, widzę jedno śmierć dla nas, to jest dla tych, którzy są mojego i Twego zdania. Czy z góry, czy z dołu, przyjdzie na nas wyrok. Rozważ dobrze, co chcę zawrzeć w tych krótkich słowach. Ale przeto nie powinniśmy się strachać: gińmy, byleby była Ta, dla której zginiemy, a o rodzaj śmierci się nie pytać. Ale ten rodzaj z Francji przybędzie.

Polska, Rewolucja, Poświęcenie

Za miesiąc lub półtora pisz do mnie do Warszawy; jeśli tu dłużej pozostanę, to Ci doniosę. Przestrzeń, która nas dzieli jest morderstwem dla myśli naszych; jakżebym pragnął z Tobą pomówić! Bądź co bądź, wiecznym Ci jest przyjacielem

Zygmunt.

63. DO HENRYKA REEVE'A

Wiedeń, 25 lipca 1832 r.

Szwadron huzarów poprzedzał trumnę, inny postępował za nią; i trumna i oba szwadrony przemknęły prędko, prawie galopem, nie, jak to we zwyczaju przy pogrzebach. Lud przyglądał się temu tłumnie, ale widział niewiele poprzez dwa rzędy żołnierzy i bagnetów, którymi ulice były obramowane. Potem żołnierze otoczyli kościół. Przybytek Boga otworzył się tylko dla kilku wybitnych osobistości i znikło w nim na zawsze ciało syna napoleonowego. Inaczej wcale stać się nie mogło. Napoleon był dziełem, dzieckiem rewolucji, sam niczem innem jak rewolucją, a tacy ludzie nie zakładają nigdy dynastyj. Toteż syn jego był tylko czemś przypadkowem. Umarł trzy dni temu w dwudziestym pierwszym roku życia, z temi słowami na ustach: „Nie ma nic między moją kolebką a grobem". A jednak do łez mógł pobudzić widok tego pogrzebu, przechodzącego tak szybko, jak przesunęło się w ciągu chwil kilku tyle sławy i nadziei. Urodził się królem Rzymu, umarł księciem Reichstadtu, a później cisza i zapomnienie.

Pogrzeb, Przywódca, Syn, Rewolucja, Władza

Stajesz się uosobieniem zdrowego rozsądku; czuję, że czeka mię to samo: trzeba będzie pożegnać wszystko. Przekleństwo! Ale obaj marzyliśmy i kochali się wzajemnie. Kochajmy się tak samo po przebudzeniu. Jednak poezja wróci jeszcze do nas kiedyś.

Wyjeżdżam stąd 6-go. Pisz jeszcze tutaj, a później do Warszawy.

Zyg. Kras.

64. DO HENRYKA REEVE'A

Warszawa, 15 sierpnia 1832 r.

Drogi Henryku!

Jestem w Warszawie, chory jak pies. Mam pijawki wkoło pleców i oczy zaczerwienione, jak potępieniec. Wychodzę za kilka minut, żeby się spotkać z moim ojcem w naszej willi. Żegnaj, mój drogi! Mam tylko czas napisać te kilka słów i prosić Cię, żebyś zawsze był mi przyjacielem, choć nadejdzie może czas, a z nim wiadomości, które usłyszysz z przykrością.

Twój i to na zawsze.

Zyg. Kras.

Ach, mój drogi! Leży mi na sercu kamień, który nie chce we łzach się rozpłynąć.

65. DO HENRYKA REEVE'A

18 sierpnia 1832 r. (Opinogóra)

Drogi Henryku!

Gdym otrzymał list Twój przed godziną, siedziałem w pokoju, który mam zamiar Ci opisać. Mury białe, bez obicia, w oknach firanki białe i zielone, wzdłuż ściany wspaniały fortepian, obok na stole, gotowalnia z litego srebra: czarki, zwierciadła i wszystkie drobiazgi, służące do czyszczenia paznokci, zębów, włosów itd., itd.; flakony pełne najwytworniejszych wonności; dalej stoi kominek z dwoma małemi globusami, a obok błyszczą zawieszone na murze trzy dubeltówki, dwa rogi myśliwskie, w złoto i kość słoniową oprawne, pistolety wykładane srebrem, torby myśliwskie, różki do prochu itd. Dalej drzwi, dalej piec, dalej łóżko moje, stojące pod kątem do pieca, przykryte denkiem, płótnem i szlafrokiem kaszmirowym. Tuż obok łóżka olbrzymia szkatułka, napełniona podręcznemi drobiazgami, w której po przybyciu znalazłem cztery tysiące złotych i gdzie złożyłem listy H. Dalej stoi biurko, gdzie wznosi się wazon ze starożytnego brązu z bukietem kwiatów w otoczeniu moich książek angielskich, mojej pozytywki i krzyża z Kolizeum, mego sztyletu i znanych Ci rzeczy. To mój pokój. W chwili gdym list Twój otrzymał, siedziałem koło kobiety, która grała i śpiewała dla mnie. Znasz ją — to pani Z.[95]. Mój drogi, co powiesz na to wszystko? Oto zostałem wielkim panem, ja, Bousingaud. To ojciec przygotował mi to wszystko na mój przyjazd. Z okien moich widzę na wzgórku zamek gotycki budowany dla mnie, z wieżą w rozety i z kolumnami maurytańskiemi, pod nim, w dole trzy stawy i pełno zieloności.

Widziałem się ze swoim ojcem. Byłbyś zobaczył łzy, spływające po jego bliznach i wąsach, gdy mię przyciskał do łona. Później poszliśmy razem do grobowca mojej matki i tam wobec trumny, którą Ci opisałem w *Adamie*, dał mi swoje błogosławieństwo. Słodkie i święte jest błogosławieństwo ojca.

Pomyślisz może, czytając te słowa: „Jest spokojny". A więc nie! Mam gorączkę, spać nie mogę. Lecz niekiedy wspomnienia dzieciństwa gromadzą się wkoło mnie i wtedy rzucam na chwilę spokojne spojrzenie na te równiny, na te zboża polskie, które drżą wkoło. Z oczyma mojemi nieco lepiej. Uściskaj Załuskiego, gdy do niego pisać będziesz. Mój przyjacielu, mój dobry, mój drogi przyjacielu, myśl często o mnie! Nic jeszcze nie wiem o przyszłości, używam po trochu teraźniejszości. Zabiłem parę bekasów. Żegnaj! Wierzchowiec arabski czeka na mnie; puszczę się cwałem na chwilę.

Twój na zawsze.

[95] *pani Z.* — pani Amelia Romanowa Załuska. [przypis redakcyjny]

Zyg. Kras.

66. DO HENRYKA REEVE'A

20 sierpnia 1832 r., Opinogóra

Gdy nie jesteśmy już u brzegu życia, gdy oddaliliśmy się trochę w stronę pełnego morza, wtedy zdarzają się czasami chwile ciszy. Jak to się stało, że miłość i sława przestały mię dręczyć? Bo młodość moja nie jest już tak świeża i gwałtowna, jak za dni namiętności mojej i szału.

Ukląkłem na grobach przyjaciół z lat moich dziecinnych, by modlić się i rozmyślać. Wkoło cmentarza przelewają się fale kłosów, nic tylko kłosy, nieocienione niczem; ani jedna kępa drzew nie wynurza się ponad ten ocean zboża. Wiatr północny wyje i zrywa w dole na widnokręgu chmurę po chmurze, wznosi je aż do słońca, a później strąca z wysokości nieba. Błękit ukazujący się między chmurami blady jest, powietrze chłodne, kilka modrzewi kołysze się koło mnie, a jednak spokój panuje w mem sercu i modlitwa moja prostszą drogą dochodzi do Pana, niż te, które szeptałem przed laty na szczycie gór i nad brzegiem morza, bo ci, którzy śpią wkoło mnie, kochali mię niegdyś.

Nagle inne obrazy mieszają się z otaczającemi mię wspomnieniami. Twarz cudzoziemki goni za mną, aż do trumny mojej matki. Dwie kobiety są w tem podziemiu. Jedna, której miłość błogosławiła memu urodzeniu, odziana w strój umarłych, milcząca, nieruchoma — druga, strojna w kwiaty życia, z okiem błyszczącem, wsparta o ołtarz, wskazuje mi palcem stopnie, na których nigdy nie uklęknę obok niej. Widzenie łzy mi wyciska z oczu; dawniej szał by we mnie wywołało.

Rozkosz, Marzenie

Myśli moje innym popłynęły torem. Rozkosz bezwładu mię ogarnia; głos mój stał się cichy i rzadko kiedy słowo jakieś pada z ust moich. Ale dziwne sceny odgrywają się w mojej duszy i żyję w świecie, którym nie rządzi żadna jedność. Marzenia moje przenoszą się w przeszłość, potem podsuwają mi coś z przyszłości, lecz i to prędko znika. Białe żagle i błękitne fale, pieśni włoskie i dźwięki jakiejś obcej mowy wirują wkoło mnie. Wszystko o czem marzyłem i myślałem, wszystko co budziło we mnie niepewne pożądania, znowu przychodzi mi na pamięć — lecz to labirynt, gdzie błądzę na wpół odurzony, na wpół śpiący, a sił mi nie staje, by się ze snu otrząsnąć i skłaniam się ku temu czarowi, który mną włada, jak człowiek złamany zmęczeniem pochyla się ku łożu.

5 września

Zaszła zmiana w scenie mego widzenia. Jak Manfred, wywoływałem duchy: „Astarte, mów do mnie!". Namiętności są błaznami, którzy drwią ze mnie. Nienawiść stała się miłością, a później? Później — było to o zmierzchu: czy widzisz piękny księżyc? A później? Później — było to w pewien piękny poranek. Oto moja ostatnia strofka, przyjacielu. Zrozum i lituj się nade mną! Znowu kilka chwil szczęścia, a później przyjdzie skrucha i kara.

Nie mam anioła stróża, jak Schelling, lęgnę się pod skrzydłami szatana.

Za cztery dni jadę do Petersburga. Jesteśmy przyjaciółmi na śmierć i życie, Henryku! Bóg by Cię pokarał, gdybyś przestał być mi przyjacielem. Piszę Ci do Monachium, gdyż nie wiem dokąd list ten zaadresować. Zostajesz tylko trzy dni w Dreźnie. Napisałem tam do Ciebie. Żegnaj. Napisz mi do Petersburga poste restante. Przyjaźń nasza nie jest tego rodzaju, by przypadek mógł ją przerwać; jakiegoś określonego faktu trzeba, by ją zniszczyć, lecz bez tego zerwanie jej byłoby zbrodnią.

Ja zawsze Twoim przyjacielem zostanę.

Zyg. Kras.

5 września 1832 r., Opinogóra

Wszystkim moim przyjaciołom w Europie pożegnanie.

67. DO HENRYKA REEVE'A

Knyszyn, 22 września 1832 r.

Drogi Henryku!

Odebrałem list Twój z Drezna tu, w jednej z naszych posiadłości, leżącej na drodze do Petersburga. Udaję się tam z moim ojcem. Napisałem Ci już o tem do Monachium, nie wiedząc, gdzie Cię szukać, gdyż nie powiedziałeś mi dokąd się udajesz po opuszczeniu Drezna, a tam dwa dni tylko miałeś pozostać. A więc, drogi, odnajdę Cię we Frankfurcie. Obliczyłem czas i pewien jestem, że list ten nadejdzie w porę. Jadę do Petersburga; będę tam za dwa tygodnie. Tam więc mi napisz. A teraz, jeśli mię zapytasz: „Jak długo tam zostaniesz? Co tam będziesz robił?" Odpowiem Ci: „Nie wiem". Zresztą znasz mię i wiesz, że lubię pić, jeść itp., i że nic na świecie nie może wpłynąć na zmianę moich poglądów w tym względzie, nic, nic... Toteż, ponieważ obaj jesteśmy birbantami, będziemy przyjaciółmi i niech jeden może zawsze liczyć na drugiego. Nigdy nie zdołasz sobie wyobrazić, Henryku, przez jakie zdarzenia fantastyczne przeszedłem teraz, ani jakiem życiem żyłem przez miesiąc od czasu mego przybycia do Polski. Cały mój pobyt w Opinogórze był w najwyższym stopniu dziwny.

A więc nie znałem tej kobiety, o której tyle mówiłem. Zobaczyłem ją znowu i pokochałem. Przyszła do mnie z przebaczeniem na ustach. Wtedy opowiedziałem jej o swojej miłości lat dziecinnych, o późniejszej udręce, zazdrości, nienawiści, cztery lata trwającej, wreszcie o miłości swojej. Bo takie już moje przeznaczenie, że nigdy nie mogę ujrzeć tej kobiety, by jej nie kochać. Wreszcie odeszła, nazywając mnie ciągle bratem, a ja odpowiadałem jej ciągle: „Kocham Cię". Nic nie wymogła na mnie, ani ja na niej. Pozostaliśmy na miejscach, które los nam przeznaczył.

Bóg nie pobłogosławi takiemu jak ja człowiekowi. Żegnam Cię. Pamiętaj, że chociaż jestem może wszystkiem, czem tylko pomyślisz, to jednak, Henryku Reeve, nikt w tym stopniu co ja, nie jest Ci przyjacielem. Przyjaciel, to nie źdźbło słomy, które zdmuchnąć można. Byliśmy przyjaciółmi i będziemy przyjaciółmi, a wrota piekielne nas nie przemogą. Żegnaj, żegnaj! Pisz do Petersburga.

Zyg. Kras.

23 września

Ponieważ jestem dzisiaj spokojniejszy, powiem Ci jeszcze słów kilka przed zapieczętowaniem tego listu. Zacząłeś właśnie rok dwudziesty. Niech Bóg Ci błogosławi, Henryku, niech Ci da siły do zniesienia życia, bo życie teraz jest czemś więcej, niż życie dawniej. Za dni naszych opuszczają nas i sen i spokój. Jesteśmy wszyscy podobni żebrakom, którzy chodzą przez dzień cały, a nie wiedzą, gdzie spoczną wieczorem. W tym wieku wiele nam potrzeba miłości, a pod tem słowem „miłość" rozumiem wszystkie więzy, wszystkie uczucia, łączące dwie dusze, które się rozumieją. Koniecznem jest dla harmonii wszechświata, by w chwili, gdy wszystko się załamuje, przynajmniej dusz kilka, duchy niektóre łączyły się, zbliżały ku sobie i kochały tak silnie, jak inne wzajemnie się nienawidzą. Dwóch ludzi, którzy są przyjaciółmi, to dziś wyspa pokryta zielenią na morzu ciemności. Henryku, według tego świata jesteśmy młodzi, a jednak obaj jesteśmy starzy uczuciami swemi. Wieleśmy sfer przebiegli; wszystko, prawie wszystko nas zawiodło, oprócz nas samych. A więc zadawalajmy się sobą, stwórzmy z nas dwu jedność i niech ziemia rozpada się i pęka wkoło nas! Nie zapomnisz nigdy, jestem pewien, że rozpocząłeś rok dwudziesty życia w tych starych, tajemniczych Niemczech. Niech Bóg Ci błogosławi, Henryku! W tej chwili cały do Ciebie należę. Czuję, jakbym był przed krzyżem w Kolizeum, gdyż myślę o Tobie, gdyż błogosławię Ci z oddali całem jestestwem swojem, a uczucie to czyste, spokojne, majestatyczne. Namiętność jest wielką poezją — spokój większą. Patrz, Henryku, jak olbrzymie robię Ci ustępstwo. Może być, dlatego, że spalony jestem namiętnością i potrzeba mi chwili ciszy. List Twój mi ją przyniósł, list ten tak słodki i spokojny, za-

wiera tyle z przeszłości! Wszystko w nim, aż do imienia Konstancji, wyraża modlitwę i przebaczenie, smutek i opatrzność. O, tak, jesteś pod względem moralnym o wiele doskonalszą istotą ode mnie. Idziesz krokiem wolnym, ja biegnę. Padnę któregoś dnia, ale Ty nie padniesz. Żegnaj! Kochaj swego prawdziwego przyjaciela, który Cię kochał i tak bardzo kocha!

Zyg. Kras.

68. DO HENRYKA REEVE'A

22 października 1832 r., Petersburg

Drogi Henryku!

Oto znów jesteśmy połączeni, wiedząc, gdzie się nawzajem szukać mamy. Masz słuszność — dla nas nie ma już błogosławieństwa miłości. Mogę zginąć ze wzruszenia u stóp jakiejś kobiety, ale nie ukocham nigdy obrazu niewinności, nigdy już złudzenie nie będzie równie święte, jak wówczas, gdy w Paquis całowałem, jak brat, moją kochankę, chociaż drżałem z namiętności. Co do osoby, o której Ci mówiłem, to chce mi ona być jedynie siostrą: „Żywię dla ciebie" pisze mi ona „uczucie bardziej czyste, bardziej eteryczne, niż miłość. Nie ma nic samolubnego w mojem przywiązaniu. Błogosławić będę tym, którzy Ci szczęście dadzą, ukocham tych, których Ty kochać będziesz, a gdy świat cały Cię opuści, odnajdziesz mię taką, jaką dzisiaj jestem. Moje uczucia dla Ciebie są tak czyste, że aniołowie by je przyjąć mogli". Oto jej własne słowa. Oceń myśl i styl.

A więc odnalazłeś Sw.? Stachelberg, który tu bawi, zawsze jeszcze w niej zakochany. Czy mówiła Ci o mnie? Z oczyma memi źle. Lekarze tutejsi wróżą mi utratę wzroku. Duwal oddał mi Twój liścik. Kocham go prawie, bo widział Cię prawie miesiąc temu. Ojciec mój jest dla mnie aniołem. Zresztą jestem chory i samotny przez dzień cały, wieczór spędzam w swoim pokoju i nic robić nie mogę. Życie mi cięży. Daj mi nicość, a złożę w niej moją zmęczoną głowę, ale nicość jest chimerą.

Kilka dni temu przyszedł mi w nocy pomysł poematu, pomysł potężny. Wyskoczyłem z łóżka, wołając: „*Anch'io sono pittore!*[96]". Poezja jest częścią składową mego jestestwa. Oczy mię palą, czaszka moja się rozszerza, cierpię... Ach, Henryku, gdybyś był przy mnie, przy Twoim Zygmuncie! Jakże lubiłem słyszeć, gdyś nazywał mię Zygmuntem, a wolałem zawsze, by inni nazywali mię Krasińskim. To wielkie miasto, Petersburg, masa olbrzymia granitu; gdy śnieg pokrywa jego domy, wydaje mi się, że jestem między skałami. Matce Twojej moje uszanowania i przywiązanie mego serca. Dla Moultonowej i dla Rogeta tysiąc pozdrowień. Czy nie mógłbyś się dowiedzieć, co H. porabia? Nie ma dnia, żebym o niej nie myślał; to rodzaj mgły, która mię nigdy nie opuszcza. Pędzimy obydwaj w pustyni, biały koń na przedzie, chmury, sępy, skały ustępują nam z drogi, naprzód, zawsze naprzód, aż nadejdzie godzina spoczynku wiecznego, aż nastąpią dla mnie mroki ślepoty. Wątpię, czy będę miał siły, by żyć jako ociemniały. Boże mój, odwróć ode mnie ten kielich! Ale czy mam prawo modlić się do Boga? Ach, módl się za mnie Ty, który jesteś czysty i mniej namiętny! Módl się za przyjaciela swej młodości! Żegnaj! Pisuj do mnie możliwie często! Nie wiem, z kim się Leach żeni. Żegnaj, żegnaj! Ani Salcburg, ani nic innego nas nie rozdzieli. Jacky jest głupcem. Bądź zdrów!

Z. K.

69. DO HENRYKA REEVE'A

Dn. 1 listopada 1832 r., Petersburg

Kochany Henryku!

[96] *Anch'io sono pittore!* (wł.) — „Jestem jeszcze malarzem!". Słowa przysłowiowe, przypisywane Corregiowi... [przypis redakcyjny]

Przeczytaj jeszcze raz ostatni list, który Ci napisałem z Wiednia. Mylisz się bardzo, mówiąc o dobrych obiadach, pięknych kobietach itp. Posłuchaj opisu mego życia. Siedzę od rana do wieczora w swoim pokoju o srebrno-zielonem obiciu. Pośrodku niego cztery kolumny greckie, za niemi łóżko moje, piec i kominek, fortepian i kanapa, a wreszcie dwa okna, które wychodzą na podwórze i na niebo, zwykle pokryte ciężkiemi chmurami. Zresztą zbytku mam powyżej uszu. Wstaję, przechadzam się, piszę trochę, później kładę się, przechadzam się — i tak w kółko, zawsze to samo. Nauczyłem się myśleć. Stanę się dzikim i głębokim myślicielem. Oczy mnie bardzo bolą. Wiesz, dawniej wina, cygara, kobiety było mi trzeba, by mię oszołomić — dzisiaj upijam się, myśląc intensywnie, śledząc tok rozumowania. Czasami czuję, jak nerwy rozprężają się w moim mózgu. Wiesz, co za stworzenie ze mnie? Jak Ci się zdaje, do czego mię podobne życie doprowadzi? A zdrowie mi nic robić nie pozwala. Nie wychodzę, nie widuję się z nikim, nie znam nikogo. Wskutek klimatu tutejszego cierpię na swój dawny reumatyzm itd., itd. Mógłbym powiedzieć, jak człowiek z Longwood: „Ten klimat mię zabije". Zresztą nie sądź, że dusza odchodzi razem z ciałem. To prawda, że nuda i obrzydzenie bezustannie mi towarzyszą, ale siła, która tkwi na dnie, tam pozostanie i nie ulegnie zmianie. *Hamlet* jest piękną tragedią. Czy przypominasz sobie tę piękną Wenecję i te dni promieniste, i Lido, gdzie Trevor walczył ze żmiją, i żagiel wzdęty, krzyżem haftowany, który ukazał się nam o zachodzie słońca jak widzenie niebiańskie? Przypominasz sobie naszą przechadzkę po ogrodzie? Czy przypominasz sobie przejażdżkę konną do Gex i tę noc ciemną, podczas której powiedziałeś, mijając mię cwałem, że kochasz Konstancję? Wydaje mi się, jakby to wszystko zdarzyło się na innej planecie przed mojem urodzeniem i, gdy słyszę głos Twój, to jest on jakby głosem ducha z innego świata. Żegnaj. Nie zrozumiesz nigdy, jak Cię kocham.

Zyg. Krasiński.

Twoje wiersze do K. są smutne i spokojne, poważne i proste; są dobre.

70. DO HENRYKA REEVE'A

12 grudnia lub 22 grudnia 1832 r., Petersburg

Drogi Henryku!

Z oczyma mojemi tak źle, że zaledwie mogę Ci kilka słów napisać.

Lud nie jest ojcobójcą, gdyż rzuca się na coś, co mu obce. Czy lud ma przeszłość, czy ma przodków? O nie, a więc nie jest ojcobójcą. My byśmy byli ojcobójcami, gdybyśmy podali rękę ludowi.

Lud, Rewolucja

Przeczucie, że oślepnę, wzrasta we mnie. Ale powiedz mi, czy z moim charakterem mogę być niewidomym? Czy dusza moja może się zadawalać mrokiem? Zresztą, niech losy się spełnią. Żegnaj, drogi Henryku! Najserdeczniejsze ukłony Paulinie.

Zyg. Kras.

71. DO HENRYKA REEVE'A

6 stycznia 1833 r., Petersburg

Drogi Henryku!

Jestem ciekaw odpowiedzi tego osobnika. Jakim głosem przemówi przyszłość do przeszłości, która zwraca się do niej z zapytaniem i chce wiedzieć, czem ona jest? Otóż ja, lepiej niż ktokolwiek, wiem, że przyszłość być musi. Rozumiem pochód tryumfalny tej przyszłości: widziałem go nieraz w moich rozmyślaniach i powtarzam jak Hugo, mówiąc o Antychryście: „Przyjdzie". Wiem, że miniemy wszyscy jak garść prochu, nigdy nic rzeczywistego nie podziwiając, ani kochając, a wiele nienawidząc. A jeśli coś kochamy, to wyłącznie przyszłość, ten świat marzeń i nicości. Jeśli rozpatruję rzeczy, jako filozof,

widzę w nich jedynie wieczny porządek, godny podziwu; lecz jeśli rozpatruję je, jako człowiek o sercu i uczuciach ludzkich, związany z tą ziemią, mający długi rząd przodków, w hełmach i pancerzach śpiących w trumnach swoich, i przeszłość wielką, pełną czynów i imion braci swoich, widzę w tem tylko brak ładu. A wtedy mówię sobie: „W imię Jezusa będziemy cierpieli, walczyli nawet, jeśli nas zmuszą do tego, a w chwili walki przyjdzie nam na pomoc siła barbarzyńcy lub rycerza, który był naszym praojcem". A gdy zginiemy, niech porządkują ziemię na swój sposób — nikt im przeszkadzać nie będzie. Ale sądzę, że nadejdzie dzień, w którym miłość znów weźmie górę. Gdyż Bóg jest sprawiedliwością i pięknością, wszechświat jest harmonijny, a ja nieśmiertelny. Gdy mówisz o wiekach wieków, padam na kolana i ubóstwiam, podziwiam, kocham. Jeśli mówisz o teraźniejszości, podnoszę się z klęczek i zobaczysz, że na ustach moich pojawi się uśmiech sceptycyzmu. Błogosławmy Bogu za to, że nas pobłogosławił błogością przyjaźni! A teraz zaklinam Cię, przerwij wszelkie stosunki z P.! Spotykamy niekiedy istoty, które działają na wyobraźnię, a nie przemawiają do serca: unikaj ich od pierwszej chwili, lub gorzko tego później żałować będziesz, gdyż, mojem zdaniem, wyobraźnia bez serca równa się szatanowi samemu. Wierz człowiekowi, który kilkakrotnie nabył w tej mierze smutnego doświadczenia!

Zobaczymy się na wiosnę. Znowu będziemy mieli sobie do powiedzenia tysiące słów, wszystkie zawarte w jednem, które nazywa się „przyjaźnią". Żegnaj, mój drogi Henryku! Jestem ciągle chory; stan moich oczu się pogarsza. Pokłoń się ode mnie moim przyjaciołom genewskim!

Zyg. Kras.

72. DO HENRYKA REEVE'A

20 stycznia 1833 r., Petersburg

Kochany Henryku!

W tym samym czasie doszliśmy do tych samych wniosków. Początek roku 1833 zastał nas obydwóch dość znudzonych marzeniami i miłością, a może złudzenie to jest jeszcze marzeniem. Spędziłem wieczór sylwestrowy w towarzystwie dwu dzieciaków: Stachelberga i Drwala, którzy miauczeli jak koty i wyśpiewywali głupstwa. Możesz sobie wyobrazić, jakie to na mnie zrobiło wrażenie. Ale w tej samej chwili, w której mówiłeś z Marią Eichberger, ojciec mój wszedł do pokoju i przycisnął mię do łona; była to dla minie chwila uroczysta, występująca wyraźnie na płaskiem tle całego tego wieczoru. Zresztą ogarnęła mię również głęboka gorycz. Nie są to już młodzieńcze napady melancholii, które zawsze mają w sobie coś orzeźwiającego, nie są to też owe przekleństwa i porywy wściekłości, które podkopywały moje zdrowie i stworzyły w zakresie szaleńczej poezji *Adama*. Jest to raczej smutek męski, bez uroku, bez szału, dość spokojny, a silniejszy i bardziej stały, niż jakakolwiek radość, którą sobie przypomnieć mogę. Czytałem tej zimy Ballanche'a, Damirona, Quineta. Później czytałem Biblię i pomyślałem, że filozofia warta jest tyle, co miłość: można być Werterem w obu kierunkach. Następnie napisałem rzecz, która podobna jest do czegoś, co było we mnie, to znaczy do zamętu i do kilku myśli, dość głębokich. Nazwa dość dziwaczna: *Irydion Amfilochides*. Jest to Grek w Rzymie. I, umierając, wspomina słodkie Argos.

Filozof, Miłość

(Ręką Z. Krasińskiego): Pierwsza to moja próba dramatyczna. Całość jest na wpół dramatem, na wpół opisem i opowiadaniem.

(Dyktowane)

Powiesz mi, że zamierzasz wrócić do Anglii. Sądzę, że źle czynisz. Powinieneś jeszcze trochę rozmyślać, uczyć się i widzieć. Zanim rzucisz się w przepaść, Kurcjuszu, wyszukaj sobie najpiękniejszego rumaka, przywdziej najpiękniejszą zbroję, żeby przynajmniej lud podziwiał Cię, gdy przejeżdżać będziesz; później znikniesz.

Biedna Anglio, którą kocham przez miłość dla dwojga istot, z których jedna jest rzeczywistością, a druga widmem! Jeszcze tylko lat kilka, a wszystko się spełni.

(Ręką Z. Krasińskiego). „I anioł olbrzymi wziął kamień, jak wielkie koło młyńskie, i cisnął go w morze, mówiąc: — Tak obalony będzie siłą wielki gród Babilon i nigdy więcej znaleziony nie będzie".

(Dyktowane)

Zostań przynajmniej do maja w Niemczech i przyjedź do Wiednia, by spędzić ze mną dni kilka! Pójdziemy razem do katedry św. Szczepana. Jakże piękna i jedyna była myśl chrześcijańska, która wzniosła katedry średniowieczne! Któż ją dziś rozumie?

Nie pisuj już do mnie do Petersburga, lecz do Warszawy, gdzie spędzę dwa tygodnie, zanim pojadę do Wiednia. Zabieram ze sobą człowieka, o którym Ci często mówiłem i z którym zapoznać Cię pragnę. Miał niegdyś wielką przyszłość przed sobą. Dziś nieszczęścia, od niego niezależne i marzenia, od niego zależne, razem złączone, przyszłość tę złamały. Dużo ma do mnie podobieństwa, żadnego prawie do Ciebie. Żegnaj, mój drogi, niech Bóg Ci błogosławi! Często myślę o Tobie.

Zyg. Krasiński

73. DO HENRYKA REEVE'A

25 stycznia 1833 r., Petersburg

Drogi Henryku!

Znowu niesmak, apatia i niepewność przechodzą przez Twoją duszę. Chciałbyś być małem dziecięciem, żeby skryć się na łonie matki. Żałujesz, że nie możesz kochać. Z tem wszystkiem trzeba skończyć, mój przyjacielu; należy znosić z poddaniem życie i cierpienia, nawet gdy nie możemy przykładać balsamu złudzeń na nasze rany. Niegdyś pragnęliśmy zostać istotami poetycznemi, dziś stać się musimy istotami moralnemi i żyć w rzeczywistości, to znaczy toczyć ciągłą walkę, która z wolna nas spala, walkę, wywiązującą się między pojęciami naszemi a faktami i powodującą zmianę naszych pojęć i ustępstwa, czynione z musu przez naszą duszę, tak bezwzględną i wspaniałą przed laty, na rzecz świata materii, czynu i korzyści itd. Jednak i w tem jeszcze tkwi ogrom poezji. To już nie miłość, sława, potrzeba pieśni i opowiadań, lecz przeciwnie, uczucie, że wypełniamy nasze obowiązki w cieniu, nieznani, zapomniani, niedocenieni, że pracujemy w pocie czoła, nie myśląc o żadnej nagrodzie ludzkiej, ani o spojrzeniu piękności, ani o wieńcu laurowym i zadawalniając się własnem przeświadczeniem, tem poczuciem wewnętrznem a głębokiem własnej godności, bez starania się o okazanie tego innym, gdyż to byłoby próżnością, podłością i stratą czasu: ludzie nigdy nie rozumieją człowieka. W tem wyrzeczeniu się, w tej pełnej miłości dumie, w której nie ma nic z gorzkiej pogardy, okazywanej ludzkości przez niektórych geniuszów, spostrzegam ogrom poezji i ku niej wyciągnę ramiona. Gdyż ja całe życie zostanę poetą: rolnikiem, mnichem, żołnierzem, bogaczem, nędzarzem, rzemieślnikiem będąc, zawsze zostanę poetą. Urodziłem się poetą i nie dbam, czy mię kto podziwia lub rozumie, prócz Ciebie. W tych kilku słowach wypowiedziałem obszerną teorię; zastanów się nad nią przez chwil kilka, Henryku!

Poeta

Dlaczego uciekasz przede mną, przyjacielu, gdy ja kieruję się ku Tobie? Nie jedź tak prędko do Paryża, udaj się do Wiednia! Być może, że zetknięcie się naszych dwu dusz więcej da nam obydwom korzyści, niż wiele innych widowisk lub książek. Skończyłem właśnie i uzupełniłem poemat, z którego Ci czytałem ułamki w Wenecji, i z którego Ci przetłumaczyłem jedną scenę w którymś z mych listów — scenę wywoływania duchów. Nazwa jego: *Widzenie*. Usiany jest wspomnieniami H., a na pierwszej stronicy widnieją słowa:

Ukochanej powiedziane i teraz i na zawsze.

Nigdy już kochać nie będę, jak kochałem. Mój przyjacielu, proś Boga, by Ci dał silną duszę; nie tak silną, by nie odczuwać namiętności, lecz dość silną, by je przezwyciężać. Żegnaj, przyjedź do Wiednia! Żegnaj, mój Henryku!

Zyg. Kras.

74. DO JEN. FRANCISZKA MORAWSKIEGO

St. Petersburg, 30 stycznia 1833 r.

Po tysiąc razy dziękuję Panu Jenerałowi za Jego łaskawą pamięć o mnie. Nie mogąc sam pisać z przyczyny bólu oczów, muszę cudzego pióra używać, by Mu oświadczyć wdzięczność moją i chwil kilka, jeśli pozwoli, z Nim pomówić. Myślę, że może będzie przyjemnie Panu Jenerałowi w dalekich stronach usłyszeć rozmaite wieści literackie, chociaż literatura teraźniejsza mało ma w sobie powagi i wielkości; przypatrzyłem się jej z bliska siedząc przez dwa lata w Genewie, która jest stekiem wszystkich wiadomości naukowych Europy.

Poeta, Literat, Korzyść, Pieniądz, Upadek

Widziałem tam kilku znakomitych ludzi, przejeżdżających różnemi czasami, naprzód Chateaubrianda, który, przypiąwszy różę białą do czarnego fraka i w oną różę wlepiając oczy, przechadzał się dosyć smutny; pono wspominał sobie męczenników swoich. Czasem mówił starodawne komplementa kobietom i potrząsał głową, bo nie miał pieniędzy. Kto by dobrze zważał, poznałby w jego żywych oczach próżność bez miary. Na jego czole nie mogłem wyczytać nic chrześcijańskiego. Potem poznałem się z Wiktorem Hugo; natura wydoskonaliła w nim wszystkie zmysły tak, że wzrokiem sięga ogromnych odległości, słuchem wyrównywa dzikim Ameryki, a Marcinkowskiego (Jaxę) przechodzi o wiele w żarłoctwie, w dumie zaś szatana. Powtarza zawsze: „Po Karolu W. Szekspir — po Napoleonie ja", twierdzi, że doskonale pojął swój cel od dziesięciu lat przeszło i że ku niemu dąży matematycznie: gwiazdą wschodzącą jego nieśmiertelności ma być epopeja napoleońska, nad którą pracuje. O ile sądzić mogę, zda mi się, że chęć zysku jest najdzielniejszą jego pobudką, poezja ta cała jest poezją bankierów, pozbawiona czucia i harmonii, ni jedna jak u starożytnych, ni rozmaita w swojej prawdzie jak u Szekspira, ale potworna, osypana marzeniami gdyby pieprzem, utwór dnia jednego handlowego, cień nędzny i znikomy w dziejach sztuki, żadnej prawdy nie mający za podporę, jedno tę, że przynosi pieniądze. Nie mówię ja tu o samej fantastyczności, której barwa cechuje wszystkie te płody, bo zda mi się, że fantastyczność jest prawdą, jak np. u Hoffmanna — i w rzeczy samej, są fantastyczne zdarzenia w życiu, kształty w naturze, uczucia w duszy, tony w muzyce. Wydać je doskonale, przeniknąć się całą ich prawdą, jest tak trudnem w poezji, jak w fizyce spostrzeżenia nad magnetyzmem i elektrycznością, ale zda mi się niezmiernie łatwą rzeczą napisać jakiekolwiek bałamuctwo, ułożyć niejaką, że tak powiem, arytmetyczną kombinację z kilku zbrodni i przezwać cudzołóstwo, morderstwa, oszukaństwa, pijaństwa, karty etc. etc. imieniem „*fantastique*", bo któż, proszę, sprzeczać się z nim będzie, że to tak nie jest, kiedy fenomena fantastyczne niezmiernie są ulotne i niepojęte dla wielu. Tam, gdzie Byron, ostrzeżony szeptami geniuszu, swojego jedynego anioła stróża, stanął, zatrzymał się i już nie szedł dalej, tam właśnie początek ich drogi, a droga ta wiedzie w przepaść nie ich samych, bo oni wiedzą, że kłamią, że nie mają żadnego natchnienia, ale tych, którzy ich czytają i wierzą im — *servile imitatorum pecus*[97].

Literat, Filozof, Podstęp, Rozczarowanie

Pierwsze miejsce piastuje między nimi Balzac, niby to filozof, niby poeta. U niego prawie wszystkiem jest mechanizm stylu, zależący na obwijaniu jednej myśli tysiącem wyrazów, na przeciąganiu scen, na sztucznem odwlekaniu, na wmawianiu w czytelnika, że coś niezmiernie ciekawego się zbliża. W tem zachodzi wielkie podobieństwo między nim a każdym grzechem, który łudzi, ciągnie do siebie obietnicami, a nigdy ich nie dotrzyma. Zresztą dążeniem Balzaca jest materializm; i tak np. w jednej z ostatnich powieści swoich pod tytułem *Louis Lambert* opisuje człowieka o mdłem ciele, o cudnem licu, o potężnej duszy, rozwijającej się wewnątrz siebie bez żadnego zewnętrznego wpływu, kształcącej coraz bardziej wszystkie swoje władze, spostrzegającej najdrobniejsze szczegóły analityczne, a zarazem umiejącej się podnieść do najwyższej syntezy, przenikającej tajemnice, dochodzącej do samych niebios. Przez cały czas sam autor się rozpływa nad tym cudem stworzenia, z czułością, z zachwyceniem ściga za postępami tego umysłu i najpiękniejszemi, najczystszemi przymiotnikami go otacza (*cette brillante intelligence,*

[97]*servile imitatorum pecus* (łac.) — niewolnicze bydło naśladowców. [przypis redakcyjny]

exquise, céleste, délicieuse[98]), a kiedy omamił czytelnika, zda się, oderwał go od ziemi, przeniósł go do kraju ducha, jednym wyrazem obala tę całą budowę duchową, wykrywając, że wszystkie objawienia tej duszy, głębokie jej myśli i przeczucia, są jedynie skutkiem szkaradnego nałogu, cała zaś powieść poświęcona kochance. Jest w tem coś ohydnego, nie myślę zaś by było coś fantastycznego.

Pan Jules Janin na pierwsze wejrzenie ma więcej ognia i popędu; jego *Barnave* jest niepospolitem dziełem. Jako się Byron przejął charakterem szatana i postawił go na nogi, tak Janin przejął się hrabią Mirabeau i utworzył z niego kolosalną postać, wokoło której jednak dużo jest grochu z kapustą. Styl jego z początku czaruje, zda się, tęczą połysków, ale to trwa krótko, gdyż ten sam zupełnie układ wyrazów wraca wciąż, gdyby zwrotka w balladzie. Wynalazku jeszcze mniej jak u Balzaca, ale za to karty pełne, tomów zawżdy cztery, zapłata u księgarzy, a do tych dochodów dodać trzeba jeszcze jeden: Panna Mars, owa sławna aktorka, go utrzymuje.

Eugéne Sue pisze powieści morskie; ma on niekiedy błyskawice poezji, ale cóż z tego, kiedy każda piękna postać, którą opisze z początku święta, pełna szczerości i powabów, musi koniecznie stracić cześć w końcu i przemienić się na obrzydłą. Znać, że się w jego mózgu powikłał korsarz Coopera z korsarzem Byrona, a z owej mieszaniny powstały dziwne bałamuctwa, zemsty najszkaradniejsze, nienawiści bez przykładu etc. etc.

Charles Nodier czasem jeszcze głos swój podnosi, ale krótko przemawia i przepowiada koniec rodu ludzkiego; on jeden wierzy w to, co mówi, insi żadnej wiary nie mają, żadnej myśli wspólnej, wielkiej — miasto[99] jedności mają monotonię — słowem, cała teraźniejsza literatura jest śmieszną w swoich okropnościach; styl składa się z kilku pewnych wyrazów: *révélation, fatal, virtuellement, pantelant, mission* itp... Rzecz zaś snuje się ogniwem z trumien, z sztyletów, z domów gry i rozpusty, z namiętności pofałszowanych, z uczuć wykutych, jako się kują złe wiersze za pomocą truflów i wina. Otóż to się łacno daje zrozumieć, że po dobrym obiedzie, który jest antynaturalną rzeczą, nerwy żołądka, wprawione w ruch chorowity, przesyłają część swej gorączki nerwom mózgu, a stąd owe wszystkie marzenia, sprośności, które są tem samem, co wątroby gęsie, z których złożone pasztety strasburskie: chorobą, sztucznie sprawioną gwoli większej rozkoszy żarłoków.

I tak pan Soulié świeżo wydał *Les deux cadavres*; treść tej powieści oparta na trupie Kromvela i na trupie Karola I-go. Rozmaite losy tych dwóch ciał opowiada autor. Ze wszystkich scen jedną tylko Panu Jenerałowi opowiedzieć chcę: Barsteat pragnie zemsty nad Karolem II-gim, który kazał stracić jego ojca za to, że podpisał wyrok śmierci Karola I-go. Długo więc nad nią rozmyśla, a nareszcie wynalazłszy, pośród nocy ciemnej bierze się do jej wykonania. Idzie po trumnę, w której leży ciało i głowa odcięta Karola I-go, ową trumnę kładzie na barki i niesie do rowu przed domem kochanki, która jest córką nieprawą Karola I-go, dziwnym trafunkiem wychowaną w domu Barsteata, towarzyszką jego lat dziecinnych, siostrą dawniej, a teraz lubą, jedyną pociechą, ukochaną nade wszystko. Woła na nią, by wyszła z domu. Szesnastoletnia dziewczyna, ładna, niewinna, rozmiłowana, śpieszy na głos kochanka; wtedy walka następuje w duszy Barsteata, chęć zemsty przeważa. Wymaga więc od niej, by mu się oddała zupełnie; ona, nieboga, złoży pocałunek na jego ustach i rzecze: „Otóż dostałeś mnie", ale on tłumaczy jej, że to jeszcze nie wszystko i ciągnie nieszczęśliwą do trumny ojca; owa trumna staje się łożem jego rozkoszy. Gdzież tu poezja? Gdzie harmonia? Same fałszywe tony. Są w muzyce niektóre fałszywe akordy, które, powiązane z następnemi zgodnemi, w ogóle swoim tworzą najświetniejszą harmonię; dobór takich fałszywych i melodyjnych tonów w poezji tworzy, jak mi się zdaje, fantastyczność. Ale oni bez żadnej sztuki, bez żadnej uwagi, samemi jedynie fałszywemi grają, a każą słuchać i mówią: „Patrzcie, jaka doskonała muzyka! My pierwsi ją wyjawili światu".

Od kiedy średni stan wziął przewagę i nazwał się osiemnastym wiekiem, można było przewidywać, że literatura stanie się spekulacją, że tomy na funty sprzedawać się będą. Trzeba poecie, by wierzył w siebie i w poezję jako w cel, nie jako w środek, inaczej stanie się bankierem i kupcem, kupcowi zaś wszystko jedno, czy bohatyra posłać na skałę, by tam umarł wśród mąk, czy napisać i rozsiewać najfałszywsze zasady. Upatruję wielkie

Literat, Sztuka, Mieszczanin, Rewolucja, Interes

[98] *cette brillante intelligence, exquise, céleste, délicieuse* (fr.)— ta świetna inteligencja, wyborowa, boska, rozkoszna. [przypis redakcyjny]

[99] *miasto* (daw.) — tu: zamiast. [przypis edytorski]

podobieństwo między polityką angielską a dzisiejszą literaturą francuską. Do tego jeszcze dodać można różne insze wpływy. Publiczność łaknie takowych obrazów, bo jej ojcowie i ona sama już objadła się i opiła wszystkiemi trunkami, mianowicie krwią. Takowi ludzie nie mogą czytać idyll Gesnera; nerwy ich rozdrażnione do najwyższego stopnia, trza wraz nowszych poruszeń. Rzymianom pod koniec cywilizacji starożytnej trzeba było igrzysk i biesiad; to był ich szał zmysłowy, ostatnia konwulsja zmysłowego świata. Teraz to jest nasz szał moralny, może ostatnia konwulsja naszego świata. Byron także się do tego przyłożył, on pierwszy porwał razem tysiąc obrazów i rzucił razem, ale któż mu wyrówna? Kto go naśladuje, przepaść musi. On jest sobą samym, początkiem żadnej szkoły być nie może, a kto wie, czy nie jest końcem romantycznej, ostatniem echem średnich wieków, bo, choć powątpiewa, jak Spinoza, szydzi, jak Wolter, nieraz w nim coś rycerskiego się obudza, powstaje nagle baron angielski w szyszaku i zbroi, pan nad mnogimi wasalami, a choć nie wierzy ukrzyżowanemu Bogu, jakże doskonale pojmuje i Danta, i Tassa i, gdyby[100] oni sami, ich głosem przemawia. Jednak *Don Juan* ogromny wpływ wywarł na teraźniejszą literaturę francuską. Stało się, jako się dzieje zwyczajnie z naśladowcami: chcąc utworzyć coś podobnego, przesadzają, a nie rozumiejąc geniuszu, któremu hołdują, wszystkie jego piękności i prawdy zamieniają na fałsze. Pamiętam wiersz Pana Jenerała:

Jam się wieszczem mych czasów, a nie małpą, zrodził.

Ja bym się teraz do nich podobnie odezwał i jeszcze nieco inaczej:

„Jam się wieszczem mych czasów, a nie świnią, zrodził".

Tymczasem Lamartine z żoną Angielką wsiadł na okręt i popłynął do Palestyny, rzucając brzegi ojczyste z ściśniętem sercem poety, którego nie rozumieją. On miał wiarę, a choć nie uniknął monotonii, kto go czytać będzie, uwierzy w niego. Ja nieraz płaczę za średniemi wiekami, za ową poezją, która utworzyła Danta i dźwignęła katedry gotyckie. Jako błyskawicy służą za tło czarne chmury, tak jej tłem były podania północy, skandynawskie Sagi — a jako Eschylos przypomniał sobie świat zniszczony tytanów i natchnął się nim i wskrzesił go na chwilę, tak Szekspir, chrześcijanin, przypomniał sobie mity zatracone północy i wyrósł na olbrzyma. Gdzie owa poezja dzisiaj? Staliśmy się drobnymi, a mamy się za poważnych i groźnych, okropności nasze w śmieszność przechodzą, a co w teraźniejszej literaturze jest najzgubniejszem, najbardziej przeciwnem porządkowi wszech rzeczy, przeznaczeniom duszy ludzkiej i celom ludzkości całej, to, że każda walka moralna kończy się na zwycięstwie złego, a kiedy szatan przemoże, kiedy gach osiędzie w domu i mąż mu zawierzy, kiedy filozof, rozumując, dojdzie do najfałszywszego wniosku, szaleniec dostąpi celu swych namiętności — wtedy zapada kurtyna. „Skończyło się. Widzowie, wracajcie do domu!". Poezja to na wspak natury, bo przeznaczeniem duszy jest cierpieć, zmagać się, ale wreszcie ujrzeć Boga; szatan snać rozgościł się na tej ziemi, wiele serc natchnął i serdecznie się raduje. Chciałbym tych wszystkich panów, którzy sobie tak łatwo marzą o trumnach, trupach, zabójstwach, nienawiści i zemście, widzieć za bramami Paryża w jakiem niebezpieczeństwie; pana Sue w burzy na morzu, pana Janina wśród konwencji narodowej, a Balzaca obok jakiego rycerza z czasów Ligi, który by mu groził sztyletem. Pono by uciekł, jako niegdyś Jaksa przed korpusem oficerów w Lublinie.

Poezja, Upadek, Szatan, Literat, Sztuka

Poznałem także zagranicą Mickiewicza. W nim jest prawdziwa poezja, bo szuka prawdy i jedynie prawdy — umrze z głodu, a nie będzie zmyślał fałszywych uczuć; od nieba dostało mu się natchnienie, jakie znamionuje wieszcza, połączone z wielką potęgą myślenia i rozumowania. Do tego jest wielka harmonia między wyobraźnią, a jego sercem. Tamci wszyscy francuscy mają wyobraźnię, ale serca nie mają, wyobraźnia zaś bez serca prowadzi nieraz kobiety do zbrodni, a mężczyzn zawsze do głupstwa. Byłem z Mickiewiczem w Rzymie; tam trza żyć w przeszłości i owóż żyliśmy w niej. Nie przeto jednak rozumiem, iżby Mickiewicz nie znał swojego wieku i nie pojmował go. Ostatnich jego poematów jeszcze tu nie ma; jeśli nadejdą przed moim odjazdem, niezawodnie je prześlę Panu Jenerałowi. A teraz, kiedy się obrócę ku literaturze polskiej, głuche milczenie. Mnie się zdaje, że trza wrócić do starych pisarzy, stamtąd czerpać i z tych pysznych, porozrzucanych kawałków marmuru wybudować świątynię.

Poeta, Prawda

[100]*gdyby* (daw.) — tu: jak gdyby, jakby, jak. [przypis edytorski]

W Anglii zjawił się młody poeta Tennyson — same dotąd ułamki wydawał; ma w sobie wielką prostotę i razem bogatą wyobraźnię. Jedną strofę z niego pamiętam:
The poet in a golden time was born,
With golden stars above,
Dowered with the hate of hate, the scorn of scorn,
And the love of love. [101]

Moore jeszcze czasem zaśpiewa piosnkę; romanse wychodzą podług formy Walterscota nieboszczyka — fantastyczność francuska nie ma w nich miejsca.

Znudziwszy Pana Jenerała tą długą gadaniną, upraszam Jego, żeby raczył na mój zamiar uważać, a nie na wykonanie jego. Przyłączam serdeczne ukłony moje dla Jenerała Milberga; przyjmijcie Oba wszystkie moje życzenia, wszystkie chęci życzliwe, które składam życzliwem sercem, a których nigdy czuć nie przestanę. Zapewne kiedy ten list dojdzie do Pana Jenerała, już mnie wtedy tu nie będzie, a zatem nie mogę spodziewać się odpisu, tylko tę mam nadzieję, że kiedyś miasto[102] słów pisanych będą słowa prawdziwe i uściśnienia.

Polecam się łaskawej pamięci Pana Jenerała i powolne[103] mu służby moje zalecam.

Zygmunt Krasiński

75. DO HENRYKA REEVE'A

Petersburg, 5 lutego 1833 r.

(List dyktowany)

Drogi Henryku!

Gdy ja dla Ciebie stałem się pojęciem, Ty pozostałeś dla mnie człowiekiem, kształtem ludzkim, jednem słowem Henrykiem Reeve o wysokiej postaci, bladej twarzy, słodkim i czarującym, a niekiedy wyniosłym i szorstkim w obejściu, którego znałem i którego widuję prawie co dzień, skoro rozkażę mym myślom zebrać siły. Zdaje mi się tylko, że wiele lat minęło od chwili, gdym po raz ostatni uścisnął Twą rękę przed katedrą salzburską; i w pewnej mierze nie jest to złudzeniem, gdyż od dnia tego dokonała się we mnie praca lat kilku. Z początku wstrząsnęły mą duszą gwałtowne wzruszenia, później nastąpiły gorączkowe marzenia, dalej wyrzuty sumienia, to znaczy świadomość, że zakłóciłem porządek i harmonię piękności tego świata, wreszcie zjawiły się rozumowania i rozmyślania, które prawie zawsze występują z czasem po nieustannych cierpieniach fizycznych. Dużo myślałem też o ludziach. Niech Bóg mi przebaczy, że doszedłem do konkluzyj, poniżających ludzkość: oto, że tłum zna tylko pożądania, a nigdy nie rządzi się rozumem, że człowiek jest wszystkiem, że on wszystkiego dokonywa, a ludzie są niczem. A jednak człowiek zawsze obowiązany jest poświęcać się dla ludzi, a nigdy nie poświęcać ich dla siebie. Choć przekonany, że szczęście na tej ziemi jest niemożliwe, musi w nie wierzyć dla innych i dążyć ze wszystkich sił ku temu urojonemu celowi. Wielka to i święta mistyfikacja; źródło jej leży w stanie niedoskonałości naszej. Przekonany jestem, żeśmy wszyscy istotami niedokończonemi: na tem polega grzech pierworodny. Następnie myślałem o kobietach i znalazłem, że są to istoty ziemskie, zdolne w chwili przełomu stać się aniołami; złudzenie trwa krótko i anioł opuszcza ziemię. Jednak dziwne zjawiska we mnie się odbywają; zdaje mi się nagle, że słyszę skrzydła anielskie wkoło siebie, a później spośród tych wszystkich postaci, które podnoszą się z przeszłości, jedna nigdy nic ze swego podniosłego charakteru nie traci, wydaje mi się zawsze czystą i świętą, spokojną i promienną, a wtedy budzi się w mej duszy cała moja tkliwość i rezygnacja. Zwróć

Obraz świata, Kondycja ludzka

Kobieta, Anioł

[101] *The poet in a golden time was born (…) of love* — w dosłownym przekładzie z jęz. angielskiego: „Poeta, urodzony w jakimś złotym wieku, ze złotemi gwiazdami nad głową, musi płacić nienawiścią za nienawiść, pogardą za pogardę i miłością za miłość". [przypis redakcyjny]

[102] *miasto* (daw.) — tu: zamiast. [przypis edytorski]

[103] *powolny* (daw.) — posłuszny; podporządkowany czyjejś woli. [przypis edytorski]

na to uwagę, że sen ów odgrywa się całkowicie w przeszłości, że nie ma żadnego związku z przyszłością, żadnego bezpośredniego działania na teraźniejszość. To jakby święta, zmarła w kwiecie lat swoich i pochowana przez pierwszych chrześcijan w katakumbach rzymskich. Noc i milczenie otaczają jej grobowiec, a ja przychodzę czasami, by uklęknąć i zmówić modlitwę.

Obraz świata

Myślałem również o świecie i jego ustroju. Odkryłem w nim prawa niewzruszone, mechanizm kompletny, koła i liny, jednem słowem całość matematyczną. Ale się na tem nie zatrzymałem, chociaż jest to może wystarczające. Poznałem nadto, że przy każdem kole, każdej linie, każdej cyfrze, już w całość związanych, w ruch wprawionych i wypełniających swe przeznaczenie, było nadto coś jeszcze, jakieś działanie bezpośrednie, jakaś myśl uduchowiona, być może, że duch jakiś lub anioł, i to nazwałem życiem. Jednakowoż istnieje już życie organiczne w każdem kole, w każdej linie, ale to inne życie, o którem mówię, jest wyłącznie mistyczne. Każde zdarzenie, każde zjawisko może być wytłumaczone przez jedną z tych metod, co jest mi dowodem, że obie działają wspólnie i są słuszne. Każdej chwili, sądzę, odbywa się we wszechświecie przemiana, transfuzja jednej z tych form życia w drugą. Oto dlaczego wierzę również silnie w ducha Cezara, mówiącego do Brutusa: „Zobaczysz mię pod Filippi", jak w prawa Keplera i Newtona.

Ale w życiu realnem trzeba być wielkim mechanikiem, gdyż świat dnia powszedniego jest jednym olbrzymim mechanizmem. Zamknij ogrom ten w jednem pojęciu, a będziesz miał życie mistyczne, anioła stróża ziemi. Ale, ponieważ trzeba żyć w szczegółach, w analizie, a nie w syntezie, i my zmuszeni jesteśmy zapomnieć o aniele, a chwycić się koła i liny. Tam całe życie mistyczne wymyka się spod obserwacji naszych słabych oczu, jak powietrze, zamknięte w butelce. Butelka jest dla nas wszystkiem, ważymy ją, nie zwracając uwagi na wagę powietrza; wszystkie obliczenia nasze się zgadzają, choć, ściśle biorąc, są tylko przybliżonemi. Otóż we wszechświecie matematyka jest też tylko przybliżeniem; trzeba być szaleńcem, by się nią nie posługiwać w życiu codziennem.

Nie pisz mi do Petersburga, jeno do Warszawy. Czy przyjedziesz do Wiednia? Od tygodnia jestem chory, jak pies, a zdrowie pogarsza się stopniowo. Żegnaj, drogi Henryku! Uszanowania dla matki Twojej i niech Bóg Cię chroni i błogosławi.

Zyg. Krasiński

76. DO HENRYKA REEVE'A

Warszawa, 4 kwietnia 1833 r.

(List dyktowany)

Drogi Henryku!

Byłem w drodze, przeżyłem zimę całą. Odebrałem 5 listów od Ciebie i nie mogłem na nie odpowiedzieć, nie mając już sekretarza. Ponieważ teraz znowu opuszczam dom ojców swoich, będę Ci mógł pisywać jedynie, o ile miłosierny przypadek pozwoli mi spotkać jakiegoś współczującego śmiertelnika, raczącego podjąć się pisania pod mojem dyktandem. Ty zaś pisuj mi, jak możesz najczęściej, do Wiednia.

Poezja, Sztuka, Artysta, Wzrok

Koniec *Fausta* dowodzi mi, że Goethe był naprawdę wielkim wieszczem, większym od samego Byrona, gdyż, rozpatrzywszy *Manfreda*, *Kaina*, *Marina Faliera* etc. etc, zobaczysz, że wszędzie potępienie wieńczy dzieło. W tem Byron jest tylko przybliżeniem do poezji wszechświata — nie objął go w całości; Goethe zrozumiał wszechświat, walkę złego z dobrem, i dał zatryumfować dobru. A jednak pod względem formy Goethe jest jeszcze ze szkoły osiemnastego wieku. Bywają chwile, w których Goethe bierze sobie za wzór Diderota. To bardzo dziwne, że ten człowiek zwyciężył w końcu świat i pychę szatana. Potężny również jest pomysł, że Faust w końcu staje się ślepy. Ale tak być musiało. Wyczerpał wszystko na ziemi, wyczerpał wszystko w piekle. Wszystko się dla niego skończyło i teoria, i praktyka: zaprawdę, musiał oślepnąć. W muzyce *Wolny Strzelec* Webera jest tem samem, co *Faust* Goethego.

Opis Twój śmierci poety Żyda przypomina opowieści fantastyczne Juliusza Janina i Balzaca. W gruncie rzeczy jest trochę suchy. Byłeś artystą tam, gdzie Ci należało być

chrześcijaninem. Piękny to opis śmiertelnego łoża, ale brak mu czegoś, czegoś, co nie jest sztuką, lecz prawdą. Gdyż sztuka, to jedynie prawda prawdy i uczucie uczucia, a nie uczucie samo. Artysta doznaje niewypowiedzianych rozkoszy, ale przeznaczone mu są również większe cierpienia, niż komukolwiek innemu na świecie. Wprawdzie egoizm jego jest podniosły, ale bądź co bądź jest egoizmem. A co zrobi, gdy znajdzie się w położeniu, w którem należy przestać być sobą, jeśli się chce szczęścia? Tu piekło jego się zaczyna. Nie będzie nigdy wiedział, co to w rzeczywistości miłość kobiety, gdyż dla niego wszystko jest nim samym. Wszystko sam stwarza: świat, posąg, wiersz, kochankę. Kocha swoje arcydzieła, lecz nic innego nie kocha. Dlatego rzeczywistość jest dla niego trucizną. Oto dlaczego nie może nigdzie znaleźć spełnienia swych życzeń, ani końca swych marzeń. Wszystko, co nie jest nim, wstręt w nim wzbudza i do rozpaczy przyprowadza. Żyje wśród ludzi, jak Kain, nosząc przekleństwo na czole swojem. A jednak kocha aż do szaleństwa, pragnie dobra, życzy szczęścia światu, choć świat go na każdym kroku odpycha. Ale skoro sam jest, czuje się szczęśliwym, silnym, jak półbóg. Dlatego też wielki artysta nie jest nigdy ani dobrym małżonkiem, ani dobrym ojcem. To straszne! Oto, co wywołało nienawiść Byrona do świata, oto co wstręt w nas wzbudza tam, gdzie wielu ludzi znajduje przyjemność i mądrość. Drogo trzeba opłacać zetknięcie z tajemnicami bogów! Jedna kropla, która spadła ze sfer nadziemskich na nasze czoło, niezdolnymi nas czyni do ziemskiego życia; a jednak nie staliśmy się aniołami, pozostaliśmy ludźmi, ale nie mamy już braci. A później, jeśli mamy słabe ciało, napadnie nas może powolna gorączka lub obłąkanie nawet. Piszę Ci to wszystko w stanie najwyższego rozstroju nerwów, w sali gotyckiej naszego pałacu, pełnej herbowych zbroic, dzid i mieczy.

Artysta, Sztuka, Egoizm

Żegnaj! Napiszę Ci jutro lub pojutrze.

Zyg. Krasiński

77. DO HENRYKA REEVE'A

7 kwietnia 1833 r., Warszawa

Drogi Henryku!

Marzenia naszej wyobraźni, złudzenia, będące w młodości formą naszego bytu, są przy rozważaniu analizy praktycznej tego świata kłamstwem; lecz, widziane z pewnej wysokości, stają się prawdą wyższego świata, gdzie wszystko jest syntezą i gdzie nie znajdujemy wieczystej analizy krwi i potu. W naszych marzeniach, w tych podniosłych tworach, które jednak tłumowi muszą się często wydawać śmiesznemi, nie odczuwamy nigdy najpospolitszych trudności, gotowiśmy stawić czoło piorunowi niebieskiemu; ale, jeśli wypadnie nam zrobić dwa kroki, powiedzieć słów kilka, jednem słowem zbliżyć się do życia ziemskiego z jego codziennemi wypadkami, upadamy ze znużenia. A jednak, przysięgam, miałbym dość siły, by przebyć z kochanką swoją pustynię Sahary, gdyby kochanka moja była tem, czem są sny moje. Co to wszystko znaczy? Znaczy to, że niegdyś, w czasach poprzedzających upadek człowieka, światem rządziły prawa odpowiadające tym prawom, które dziś budzą się niekiedy w naszej duszy, i że po spełnieniu się naszych przeznaczeń, świat na nowo do tych samych praw powróci. A więc w marzeniu przebywamy w innym świecie, ale nie jesteśmy przez to ani nieukami, ani szaleńcami. Szaleństwem byłoby jedynie, gdybyśmy sądzili, że możemy zastosować prawa naszych marzeń lub naszej syntezy do analizy tego padołu; ale każdy z konieczności początkowo w błąd ten popada. Jedni w nim trwają: są to istoty słabe, niedoskonałe, ale pełne słodkiej poezji i nieszczęścia. Inni, oceniwszy należycie swoją młodość i nie zrozumiawszy wzniosłego ostrzeżenia niebios, wyobrażają sobie, że wszystko skończone i że świat rzeczywisty, to nędza i analiza. Ci również są istotami słabemi i niedoskonałemi, które kończą na zepsuciu materializmu. Mało jest ludzi, dość sił mających, by znosić trudności i przeszkody, by zdecydować się na wejście wprost do życia rzeczywistego, jedynego, które doprowadza do jakichkolwiek wyników, i by zachować przy tem niewzruszoną wiarę w obietnice, dane im w dniach ich szału, gdy spostrzegali chwilami sfery promieniste, do których nigdy później nie udało im się dotrzeć. Oni jedni czegoś dokonają. Złudzenia są więc symbolem. Trzeba umieć

Marzenie

łączyć je z faktami. Zrazu odrzucamy stronę materialną życia, żyjemy wyłącznie życiem duchowem; to długo trwać nie może. Trzeba, by człowiek się przetworzył, by dusza przeniknęła ciało, a jeśli przeobrażenie to dokonało się w nim, dokona się ono również w jego poezji. Obrazy nabiorą więcej kolorów, wszystko stanie się u niego charakterystycznem; zagłębi się on w tradycję, nie będzie spędzał dni swoich przysłuchując się aniołom, wywołując szatanów, ale będzie w wysokim stopniu człowiekiem. Zrozumie swoich braci i zwracać się będzie do wyższego świata, jakby się zwracał do wspomnienia kochanki lub do przeczucia błogiego szczęścia. Wtedy ludzie go zrozumieją i powiedzą mu: „Bądź pozdrowiony!". Nie czuję się zdolnym do tej roli. Społeczeństwo wzbudza we mnie wstręt przeraźliwy. Każde zetknięcie się z istotą ludzką sprawia, że staję się zimnym i natchnienie moje znika. Tylko w samotności jestem silny. Biada mi! Nie mogę przyzwyczaić się do tego, że moi bliźni zużywają niegodnie wszystko, co piękne i wielkie, na pokrywanie wszystkiego, co brzydkie i podłe. Miłość, sława, przywiązanie oznaczają jedynie — interes. Oto zdanie, określające najlepiej organizm społeczeństwa: „To więcej, niż zbrodnia, to błąd". Ja przynajmniej mogę się schronić do świętego przybytku przyjaźni. Moja wiara w nią nigdy się nie zachwieje.

Obraz świata, Samotnik

Za trzy dni jadę do Wiednia i spodziewam się tam listów od Ciebie. Drogi Henryku, zmieniliśmy się diabelnie od czasu, gdy nasze życie bohaterskie, nasza epoka kosmogoniczna skończyła się. Wątpię, czy dostaniesz Karolinę. Ale jestem pewien, że przez prośbę o jej rękę narazisz sobie matkę, a lepiej mieć za wrogów wszystkich mężczyzn, niż jedną kobietę. Mówię z doświadczenia.

Zyg. Krasiński

78. DO HENRYKA REEVE'A

Warszawa, 9 kwietnia 1833 r.

Drogi Henryku!

Mamy dziś dzień wielkanocny, dzień długiego monologu, który wypowiedział Faust, gdy, zrozpaczony po wyczerpaniu wszystkiego, chciał skończyć ze sobą. Ale dzwony rezurekcji wytrąciły mu z ręki zatrutą czarę. Powietrze wiosenne przemknęło do sali, gdzie rozmyślał i łono jego, przed chwilą suche i puste, wezbrało jakiemś tajemniczem, a ogromnem życiem. Nie ma nic bardziej wzruszającego i poetycznego, niż Wielki Tydzień w kraju katolickim. To dramat skończony a wspaniały. W pierwszych dniach mamy chwałę ziemską, tryumf. Chrystus przechodzi przez Jerozolimę, pokrytą kwiatami i zielenią, lud jest obecny, krzyczy, klaszcze w dłonie, pijany entuzjazmem. Lecz trwa to dzień zaledwie. Scena się zmienia, wszystko się ściemnia. Następują prześladowania, niepewność, obawa; powoli niebo i ziemia zaczynają przyjmować udział w dramacie. Śpiewy w naszych kościołach stają się żałosne, ołtarze pokrywają się kirem. Przeczucie katastrofy wzrasta z każdą chwilą i pokrywa wszystko. Nadchodzi wieczór ostatniej wieczerzy, którą Syn Człowieczy spożywał na ziemi; i tu jeszcze budzi się coś wzruszającego, słodkiego i promiennego, jak gdyby nie miał umrzeć, ale natychmiast potem organy ryczą i rozlega się grzmot beznadziejnego zniszczenia, nieskończonego potępienia. Wtedy w przybytku świętym zasłona rozsuwa się na dwoje, burza grzmi, a później wszystko znów staje się spokojem. Ostatnie westchnienie wydarło się z piersi. Bóg umarł, a więc musi nastąpić spokój, spokój nicości. Wtedy nie ma w naszych kościołach ni złota, ni srebra, ni świateł. Cała wspaniałość została usunięta, cała piękność zniknęła. Schodzimy gdzieniegdzie do ponurych podziemi i padamy twarzą na ziemię u stóp grobowca. To zmierzch nieożywionego chaosu, to wspomnienie życia, które już nie jest życiem. Nagle z tego uroczystego milczenia, z tego tytanicznego spoczynku, z tego bezmiaru boleści wznosi się okrzyk zwycięstwa, młodości wieczystej i miłości. Przyroda święci zmartwychwstanie Pańskie wiosną. Precz z czarnemi zasłonami! Niech drzwi grobów zamkną się na wieki! Muzyka, światła, drogie kamienie, kwiaty wychodzą z ukrycia, jak gdyby następowało znowu stworzenie nowego świata. Dramat skończony, duch złego rozwiał się, nie pozostawiając

Religia, Poezja, Teatr, Zmartwychwstanie

śladów nawet w przestrzeni. Podnieśmy oczy: niebo jest błękitne, słońce lśni. Któż myślałby o śmierci w dzień podobny! Nie ma więcej śmierci we wszechświecie! Faust został zbawiony, bo w dzień ten wierzył.

Odkąd człowiek, z którym jadę, grywa mi *Wolnego Strzelca*, zrozumiałem walkę złych i dobrych duchów. Ta muzyka jest niezrównana. To nie wytwór daleko posuniętej i znudzonej sobą cywilizacji. Przeciwnie, to wieki średnie i więcej może, niż wieki średnie. Gdyż w tych akordach przerażających, głębokich jest coś z podań skandynawskich; niejasne wspomnienie walk bogów z olbrzymami wypełnia duszę. To Eschylos, Szekspir, to *Nibelungi*. Niekiedy słyszymy głos biednej Małgorzaty, anioła, porzuconego na ziemi, który wyciąga ręce ku niebu, a w oddali odpowiadają z kolei głosy nadprzyrodzone, ginące wkrótce wśród burzy. Wtedy rozpacz ogarnia serce, las jęczy i stary dąb pada pod uderzeniem piorunu. Piekło jedynie pozostaje na świecie, demony wyją i same nie wiedzą, czego pragną. Wszystko im jest obojętne, byleby panowały nieład i ciemności. Lecz anioł nie będzie zwyciężony, choć pochylił swą słodką głowę na piersi i zamilkł na chwilę. Nawet jego milczenie, jego zmieszanie zawiera obietnicę szczęścia i, gdy wzdycha, westchnienie jego, choć słabe i niepewne, słyszymy wśród burzy i czujemy, że szatan nie przemoże. Każ sobie zagrać tę muzykę, a staniesz się podwójnie poetą! Rozumiem tę walkę równie dobrze, jak Dante, jak sam Goethe, ale nie umiem jej wyrazić. A jednak kiedyś ją wyrażę, jeśli nie padnę przedwcześnie. Żegnaj, drogi Henryku, pisz do Wiednia! Uszanowania dla matki Twojej a błogosławieństwo boskie dla Ciebie. Jeśli możesz, przyślij mi wiadomości o H. Czy nie można by w jakikolwiek sposób dostać jej portretu? Pomyśl o tem, drogi Henryku! Byłoby to szczęściem dla mnie.

Zyg. Krasiński

79. DO HENRYKA REEVE'A

Kraków, 20 kwietnia 1833 r.

Drogi Henryku!

Miłosierny przypadek, wielkie bóstwo tego świata, sprawił, że spotkałem w Krakowie mego krewnego, Karola Krasińskiego, który w dobroci swojej zechciał mi służyć za sekretarza. Mam nadzieję, że tym razem przynajmniej list będzie pisany ortograficznie.

Wyjechałem z Warszawy z człowiekiem, o którym Ci mówiłem. Jest to wielki muzyk, o bladej twarzy, umiejący lepiej wyrażać swoją poezję w akordach, niż we wierszach; zresztą myśli głęboko i może dojść do ogromnej abstrakcji. Dziś mamy dzień wiosenny i stare kościoły Krakowa wydają się odmłodzone w tem powietrzu łagodnem i pełnem światła. Wszędzie tutaj znajdują się ślady dawnej Polski. Kraków jest polską Weroną. Czy przypominasz sobie naszą przechadzkę do grobu Julii? A więc doznaję tych samych wrażeń tutaj. Przeszłość wyciąga ku mnie ramiona i przygarnia mię łagodnie do swego łona, by dać mi starcze błogosławieństwo. Każda wieża, każda strzała, każda dzwonnica myśl jakąś dla mnie wyraża. Ukołysany jestem marzeniami jak dziecię, które niczego nie oczekuje i żyje z dnia na dzień w domu ojców swoich, sądząc, że zawsze tak będzie. Chcę dzisiaj, żeby wiek dziewiętnasty dla mnie nie istniał. Zanurzam się cały w czasy, w których symbole wznoszą się wkoło mnie jako arabeski gotyckie, arkady fantastyczne i nawy katedralne. Spójrz na tych wszystkich rycerzy, którzy wyszli z swoich grobów, na tych wszystkich królów, wybranych przez naród, idących ku ołtarzowi i padających na kolana dla przyjęcia olejów świętych! Spójrz na przodków moich, którzy drżą wkoło mnie! Cała dawna Polska powstała na mój głos. Oto ona, jest tu, tu! Spójrz, jaka wielka, jaka wspaniała, błyszcząca orężem, głośna krzykiem, harmonijna śpiewem, jedyna tarcza Europy przeciw niewiernym, prowadząca sama jedna walkę olbrzymią od wrót Konstantynopola aż do murów Wiednia. A teraz nie ma już śladów dawnej Polski: jest to przeszłość skończona, zupełna, poetyczna. Nowa może powstać i do tysiąca przemian da się zastosować, lecz rzeczy samej nie ma i nie będzie.

Miasto, Historia, Polska

Napiszę Ci do Wiednia krótki list, do którego włożę długi urywek. Proszę Cię, przeczytaj go i prześlij w jakikolwiek sposób H.!

Żegnaj, mój drogi! Z oczyma memi co dzień gorzej. Uszanowania dla matki Twojej. Kochaj mię zawsze, a gdy oślepnę, będziesz mię jeszcze bardziej kochał.

Z. Kras.

80. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Wiedeń, 7 lipca 1833

Drogi Konstanty! Przypadkiem się dowiedziałem, że jesteś w Montpellier i że Ci się wcale nie wiedzie; wierzaj mi jednak, dobrześ zrobił, żeś nie pojechał do Ameryki. Nie wiem, czyś odebrał list, który przeszłego roku w miesiącu auguście napisałem do Ciebie z Opinogóry wraz z Danielewiczem, w odpowiedzi na ten, w którym mi donosiłeś, że za kilka dni odbijasz i płyniesz tam, gdzie jeszcze są ideały. I w tem gorzko się myliłeś, drogi mój Konstanty, bo na tej ziemi nigdzie ideałów nie ma, są tylko one w sercu naszem jako przeczucia i w niebie, jako rzeczywistość, ludzkie zaś życie oddane analizie potu i krwi. Ucieszyło mnie mocno, kiedym się dowiedział, żeś został w Europie, kiedy pomyślałem, że łańcuch, który nas łączył od lat najmłodszych, nie zapadł w głębie oceanu, rozciągnął się tylko, rozdłużył po naszym starym lądzie.

Teraz winienem Ci zdać rachunek z dopełnienia życzeń Twoich i danych zleceń odjeżdżającemu do Polski. Pisałem do Twojej matki trzy razy, donosiłem jej o wszystkich sprawach, tyczących się Ciebie, wreszcie jej donosiłem, jakoś przykazał, że opuszczasz Europę. Właśnie w kilka dni po odebraniu tej smutnej nowiny sam pojechałem do Petersburga i tam w środku zimy odebrałem list od Twojej matki, w którym była łaskawa mi dziękować za doniesienia o Tobie.

Przeleżawszy cztery miesiące i pół w łóżku, coraz słabszy na oczy i na duszy, wyjechałem do Polski i stamtąd puściłem się do Wiednia wraz z Danielewiczem i tu odbywam kurację długą, nudną, niewiele mi polepszenia przynoszącą. Wierzaj mi, Konstanty, nieraz myślałem i myślę o Tobie, nieraz, leżąc w gorączce, cierpiąc z zamkniętemi oczyma, przypominam sobie twarz Twoją, głos Twój, wszystkie ruchy Twoje. Jakżeś Ty się musiał zmienić od czasu, w którym zawsze wesół, zawsze z konceptem lub wierszem na ustach przychodziłeś do mnie, zapisywałeś na kominie „erę fajkową", czytywałeś mi o Władysławie Łokietku, a ja Ci się odpłacałem Władysławem Hermanem. Mój drogi, cóż Ty robisz teraz? Smutnym jesteś w krainie południa i wiosny; piękności natury, o których tyle marzyłeś dawniej, na nic się nie zdały Twojemu sercu. Cóż Ci po cieniu pomarańczowych drzew, cóż Ci po woniach kwiatów, rosnących naokoło, kiedy przyjaciół nie masz wokoło siebie, kiedy matka Twoja nie wie może o Tobie, jedyną tylko ma pociechę w powtarzaniu czasem imienia Twego. Ależ i mnie los nie obdarzył swojemi dary: w głębi duszy mojej osadził wiele myśli i uczuć wiele, które żrą i palą, i nasłał na mnie wielu nieznajomych, wielu obojętnych, którzy mi krzyczą chórem: „Tyś szczęśliwy", bo słyszą śmiech mój nieraz, konceptów tłum, żartów mnogość, a nie domyślają się nigdy, że pod tą powłoką coś głębszego smuci się, czasem rozpacza.

Coraz gorzej zdrowie mi się psuje: nerwy moje drgają wciąż, jak struny, i przyjdzie do tego, że same fałszywe akorda wydawać będą. Wiek, który nas otacza, ciąży na mnie. Tytan starożytności jednej góry, złożonej z warstw gliny, z popiołu bez myśli, z lawy i ognia bez duszy, zrzucić nie potrafi — gdzież się człowiekowi jednemu spodziewać, że zepchnie sponad siebie nawał tylu myśli, cisnących go na dół, ogrom, pełny życia i przekleństwa. Piszę jeszcze czasem, ale nie z taką wiarą, jak dawniej; gdzież się podziały wszystkie wiary moje!

Przesyłam Ci wraz z tym listem małą sumkę 360 franków; może Ci się na co zda, a przynajmniej na to, żebyś był pewny, że Cię nigdy nie zapomnę i najszczerzej zawsze kochać będę.

Odpisz mi zaraz i, jeśli masz jakie polecenia, daj.

Twój Z.

81. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Rzym, 21 novembra[104] *1833*

Twój list z Korsyki wczoraj odebrałem w Rzymie. Są chwile, są głosy, które dochodzą mnie, jak gdyby z łona wieczności: Twój właśnie brzmiał mi tak wczoraj. Kiedym pomyślał, że razem wzrośliśmy, że przestrzeń pokoju mojego w Warszawie, gdzieśmy tyle godzin przeżyli, rozszerzyła się na lądy i morza, dzielące Rzym od Bastia, do Aix, zdało mi się to dziwnem. Oba błąkamy się po świecie, a dom nasz, powiedz, z której on jest strony?

Miasto, Upadek, Ruiny

Ja tu zimę prześlęczę, bo lubię te gruzy, lubię tę karę, która spadła na miasto wieczne, na miasto ucisku i podłości, egoizmu i zbytków, słowem na ten Rzym, co był otchłanią, pożerającą wszystkie narodowości świata. A teraz, spojrzyj na te ruiny, na ten bluszcz, rozkosz zieloną jaszczurek, na te groby pomieszane, powikłane, leżące w pustyni, w Kampanii Rzymskiej, a potem pójdź do pałacu cezarów, do Kolizeum, do gmachów Karakalli! Olbrzymy stawiali te mury, tysiąc ludzi skonało, nim drugie tysiąc dźwignęło te filary, te stosy rzniętych, dłutowanych opok, a dziś wyryte na nich dłonią czasu przekleństwo, jak na czole zbrodniarza, i Rzym leży zwalony, leży i gnije, leży i nie powstanie więcej!

Tu dopiero masz wszystkie idee tego świata, rozciągnięte na ziemi i zdeptane: patrycjat w sarkofagu Scypiona, w grobie Metelli, zwierzchnictwo ludu w cyrku gladiatorów, w pałacach cezarów, bo cezar był najwyższy trybun, cezar był niegdyś reprezentantem ludu. Patrycjat, choć srogi, nieubłagany, egoista, miał cnoty wielkie, znał, co to poświęcenie dla swojej idei, co to walka długa, uporczywa i śmierć bez trwogi. Ale lud i cezar nie znali nic, nie umieli nic; byli zwierzętami, zataczającemi się wśród krwi i złota. Patrz, jak się rozpili: z Rzymu przodków swoich zrobili rynsztok rozkoszy i legli w nim, i przeszło lat trzysta leżeli w nim, aż zagrzmiała trąba Północy, aż przyszli barbarzyńcy i znieśli ich precz na wieki!

Religia, Poeta

Ale razem tu jest świętszy widok: krzyż tu panuje, katolicyzm tu stanął po wszystkich wzgórzach; on świat ocalił, a razem w miłosierdziu swojem obronił ostatki starego świata. Żebyś tu był, ukląkłbyś i uwierzyłbyś. Poeto, wstydź się nie być katolikiem!

Teraz Ci powiem coś, ale żądam od Ciebie najświętszego słowa przyjaźni, że nikomu, bez wyjątku, nie powiesz nic o tem. Mam dramat, dotyczący się rzeczy wieku naszego; walka w nim dwóch pryncypiów, arystokracji i demokracji; tytuł: *Mąż*. Przeszlę Ci manuskrypt; nie wątpię, że zyski będą, bądź łaskaw je przyjąć od przyjaciela. Rzecz, sądzę, dobrze napisana. Jest obrona tego, na co się targa wielu hołyszów: religii i chwały przeszłości. Bezimiennie powinno być wydrukowane; nikt nie powinien domyślić się autora. Słyszysz, Konstanty! Jeśli mnie kochasz! Ten wyraz usta Ci na kłódkę zamknie, nieprawdaż? A rzecz ułożysz następującym sposobem: pan Jędrzej Firlej umarł w Korsyce kiedyś i Ty tam był. Młody to był Polak; umierając, powierzył Ci manuskrypt ten, prosił o wydrukowanie. Przyszlij mi swój adres, odpisz czy się podejmujesz tajemnicy, a przesłanem Ci dzieło zostanie. Pamiętaj, że mnie kochasz, że żadne względy nie mogą Cię zniewolić do wydania tego, co Ci przyjaciel powierza[105].

Mickiewiczowi ode mnie tysiąc uścisków. Żegnam Cię. Mój adres: Piazza di Spagna Nr 26 Roma.

Ściskam Cię najserdeczniej, najserdeczniej.

Jeśli wpadnie Ci w ręce *Agaj-Han*, drukowane we Wrocławiu u Korna niedawno, to myśl o mnie!

82. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Rzym, 16 decembra 1833

Drogi Konstanty! Czego Ty naśladujesz formę mickiewiczowską? Czego Ty nie dążysz do udzielności, do głębszych myśli? Czego Ty bierzesz poezję, jako styl, jako skupienie

[104]*novembra* — listopada. [przypis edytorski]

[105]*do wydania tego, co Ci przyjaciel powierza* — mowa o *Nieboskiej Komedii*. [przypis redakcyjny]

pewnej ilości porównań, a nie jako rzecz, jako duch, z którym przez długie namysły zapoznać się trzeba. Np. wiersz Twój o Napoleonie jest to Delavigne, jest to to właśnie, co inni wszyscy powiedzieli o Napoleonie: ale ja chcę, byś Ty coś powiedział. Dalej, w *Olszynie* piękne i trafne porównanie odchodzącego morza i zostawiającego muszlę za sobą, ale czemu efekt cały psujesz zaraz wierszem: „Tutaj muszlami były nieprzyjaciół ciała". Na co ten opis, to wytknięcie, że ja to i to powiedzieć, a to tylko, nie co inszego, chciałem?

Pamiętaj, że poezja jest syntezą, analiza zawsze jej szkodzi. Uczucie poetyczne przecież jest nieopisanem, syntetycznem, kiedy się więc rozrabia na słowa, na myśli, trzeba, o ile sposób, zachować jego naturę: podnieść ramię i wskazać ludziom, a niech oni rozbierają, ile promieni w tej gwiaździe i jak szybko światło jej bieży do ziemi. Daję Ci te rady i krytyki bez bojaźni, by Ci się nie spodobały; gdybym Cię nie kochał serdecznie, tobym Ci powiedział, że nic z tego nie widziałem w Twoich wierszach. Myśl głębiej, myśl głębiej, drogi mój Konstanty! Wyzwól się raz na zawsze z form cudzych i w poezji, i w polityce! Odrzuć fatalizm warszawski, który jeszcze przebija w Tobie!

Co Ty nazywasz duchem rewolucyjnym u nas, co Ty mienisz przez „przytłumienie" jego? Czyś się dotąd nie przekonał, że wszystko było niedojrzałe, że ideę wielką wcielono w krzyk i hałas, i mierność? Jej niedobrze było w tych łachmanach, więc usunęła się. Ale powiedz mi, cóż nie było miernością, co nie wyszło u nas na ostatnią nędzę: i zapał, i olbrzymi terroryzm, co miał być nowym 93 rokiem, i poezja pisana, i elokwencja mówiona, czy to nie małe dzieci wszystko? Czemu Ty, drogi mój Konstanty, ufasz słowom, jakoby przyjaciołom doświadczonym? Słowa, wierz mi, są niczem, ale możem się przyzwyczaić do uważania ich za wszystko. Krótko mówiąc, nie rozumiem Twoich utopij o rzeczypospolitej, kiedy żyjesz śród najzepsutszego towarzystwa. Potem naucz się ważyć ludzi na wartość ich, przekonaj się, co to są imiona głośne, sławy, czyny, trąbione po świecie. Mój drogi, mój przyjacielu! Wierzaj słowom kochającego Cię szczerze, zamknij się w sobie nieco, myśl udzielnie, rozważaj sam, odłóż entuzjazmy, które zwykle kończą się niczem, bo w słowach siłę duszy wyrzucają na wsze strony świata, a kiedy do czynu przyjdzie, idź te siły zbierać tam, gdzie wiatry je poniosły!

Poeta

Improwizacja Konrada jest dzielna, „Pielgrzymstwo[106]" jest tak głęboko pomyślane, jak nieczęsto zdarza się myśleć naszemu wiekowi, ale przez krewkość ludzi będzie ono raczej szkodliwem, niż użytecznem, bo mało kto zrozumie cele autora, cele najczystsze, najświętsze. Mickiewicz jako człowiek jest jeszcze piękniejszym, niż jako poeta; on jeden szczerze mówi, on jeden wie, co poświęcenie. Dlatego myślę, że źle mu jest pomiędzy ludźmi, którzy interes swój mają na celu, a słowo „poświęcenie" przyczepiają do siebie, jak liść figowy na posągach, by zakryć, wiesz co.

Agaj-Han jest *meus*. Sądzę, że nie było jeszcze po polsku dzieła formy takowej. Poemat prozą, często liryczny; zresztą może być głupstwem, bo myślę, że wiek 19-ty jest wiekiem mierności pod wszystkiemi względami, co pochodzi z tego, że wspólnej idei w nim nie ma, a indywidualność ludzka, jakkolwiek genialna, za słaba, jeśli nie w związku z ideą, tyczącą się ogółu świata. I dlatego też w poezji sztuka przepadła — sztuki dziś nie ma, są tylko sztuczki pojedynczych ludzi.

Manuskrypt Ci przyślę, kiedy będzie przepisany; jest on po polsku. Daruję Ci go, zrobisz, co zechcesz; jeśli nie wydrukujesz, to będziesz miał pamiątkę po przyjacielu, a pamiętaj imienia jego nigdy nie wydać! Jeśli będę miał fundusze, to Ci prześlę na to, zresztą za miesiąc poślę samo pismo. Danielewicz Cię ściska. Pisz do mnie zaraz i wierzaj, że Twój Zygmunt Cię kocha.

83. DO HENRYKA REEVE'A

Rzym, 19 grudnia 1833 r.

Drogi Henryku!

Filozofia, Idealista, Niebezpieczeństwo

Nie poznaję Cię więcej! Cóż za zmiana zaszła w Tobie! Wydaje mi się, że dusza Twoja jest zacieśniona i ze wszystkich stron otoczona zaporami, że wyobraźnia Twoja dobro-

[106] *Improwizacja Konrada (…), Pielgrzymstwo — Dziady* cz. III i *Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego* Mickiewicza. [przypis edytorski]

wolnie dała się skrępować ciężkiemi łańcuchami, jednem słowem, że umysł Twój zapuścił się w filozofię niemiecką, jakby w jeden z tych podziemnych lochów egipskich, gdzie powietrze jest ciężkie, a droga ciemna. Obowiązkiem moim i przyjaźni mojej ostrzec Cię przed tem zawczasu. Jeżeli masz być poetą, nie bądź metafizykiem. Jeżeli masz być mężem stanu i czynu, nie bądź filozofem niemieckim! Poznaj wszystko, ale nie umieszczaj swego serca tam, gdzie są tylko formułki i frazesy, a nie ma ani uczucia, ani myśli! List Twój, zaprawdę, jest dla mnie niezrozumiały, ale co w nim rozpoznałem natychmiast, to wpływ Monachium i może p. Edwina Hell. Dlaczego zamykasz się w celi? Dlaczego patrzysz na Boga przez szczelinę? Pozostaw to jakiemuś Niemcowi o niebieskich oczach, duszy, zbudowanej na kształt labiryntu, włosach prostych i długich i sękatym kiju, podobnym do tych, które nosili sofiści, wyśmiewani przez Lukiana. Wyjdź, udaj się między ludzi, badaj ich charaktery i namiętności, niezależnie od tego, czy przeznaczone Ci jest, byś ich później opisywał, czy też kierował nimi! Dobra erudycja powinna być sztuką, a nie nauką. Posługuj się Spinozą i Oryginesem, jakbyś posługiwał się dwiema myślami, przechodzącemi Ci przez głowę. Ale nie rób sobie przyjaciół z tych dwu umarłych, nie żyj z umarłymi, ograbiaj ich tylko, jak Twoi przodkowie, barbarzyńcy, którzy zabierali broń, a zostawiali trupa. Widziałem kilkakrotnie, że Niemcy wywierały wpływ bardzo ujemny na obcych. Trzeba być Niemcem, by móc wykorzystać naukę niemiecką, jak trzeba być Indusem, by zrobić coś z mitów indyjskich.

Co do uczucia i myśli, jestem odmiennego, niż Ty, zdania. Sądzę, że myśl znajduje się na połowie drogi między pierwszem, niewyraźnem uczuciem, a uczuciem końcowem, zupełnie jasnem; myśl jest czemś wypracowanem, analizą, pracą, pochodzi z uczucia i za cel ma również uczucie. Szczytem doskonałości jest czuć to, co się uprzednio zrozumiało, to znaczy czytać biegle po sylabizowaniu, grać bez nut na klawicymbale to, czego się wyuczyło nuta po nucie, objawiać ludziom w formie natchnienia to, co się zebrało przez długie lata w pocie czoła. I w tem widzę podziwu godne prawo opatrzności, która w końcu przyznaje nagrodę wysiłkom duszy, poezję obliczeniom matematycznym, zwycięstwo umęczeniom długiej walki.

Co do mnie, jestem ciągle chory, chociaż mam się lepiej. Poetyzuję jeszcze i wierzę nawet w moje postępy. Ale postęp dokonywa się w sposób anektywny przez myśl i cierpienie. Dawniej natchnienie przychodziło częściej, gdyż jest ono łatwe, gdy się pisze jedynie błahostki o sobie; w tem z Tobą się zgadzam. Dwa miesiące temu ukazał się we Wrocławiu poemat mego wyrobu na 210 stronicach, wzięty z dziejów tych czasów, gdy ojcowie moi pustoszyli Moskwę, a Polka wstępowała na tron carów, by zginąć później w pustyniach Azji. Jest to dzieło, którego styl i forma są nowością w naszym języku. Piszą mi, że zrobiło wrażenie.

Od tego lata piszę dramat, traktujący o sprawach obecnych tego świata, o zasadzie arystokratycznej i ludowej. Bohater jest hrabią i poetą zarazem; przeciwstawiłem mu naczelnika ludu, człowieka genialnego, niskiego pochodzenia, który kroczy na czele miliona szewców i chłopów. Wprowadziłem sceny konwulsyjne na ruinach zburzonych katedr, wściekłe śpiewy, chóry przechrztów, saint-simonistów, kobiet wolnych, proroków przyszłości, lokai wyzwolonych, rzeźników, obojętnych na wszystko prócz namiętności do krwi przelewu, klub zabójców. A wśród tego pokazałem wodza, rozumiejącego swoje dzieło, i wyznawców, porwanych zapałem i nic nie rozumiejących. A później nakreśliłem postać hrabiego, poety, śpieszącego bronić swych braci do zamku gotyckiego, ostatniego ich schronienia.

Jest samolubny jako poeta, mężny jako szlachcic, a nadto jako poeta ma poczucie uczucia. Czuje co to znaczy być dobrym mężem, a powoduje śmierć żony z szaleństwa i boleści; czuje, co to być dobrym ojcem, a syn jego odziedziczył obłąkany umysł swej matki. Oślepł i śpiewa przyszłą zagładę swego stanu. A przy tem hrabia Henryk ma ambicje: cieszy go, że jest wodzem tylu baronów i książąt, którzy zebrali się by zginąć. Słyszy w lochach podziemnych groźne głosy. Dawne ofiary feudalizmu grożą mu: „Nic nie kochałeś, nic nie czciłeś prócz siebie, prócz siebie tylko. W tobie zebrał ród twój całą duszę swoją i za to po kilku dniach chwały zginiesz na tej samej skale boleści, gdzie zginęliśmy z ręki ojców twoich. Nie masz dla ciebie nadziei ni na ziemi, ni w niebie!". On jednak walczy wściekle, nie chce się poddać, szydzi z braci swoich, hrabiów i baronów, którzy chcą układów, wzywa jeszcze Chrystusa i Marię, chociaż czuje piętno wiecznego potępie-

nia na czole; ale, widzisz, jest poetą chrześcijańskim. Wreszcie zbliża się szturm ostatni; każe przyprowadzić syna na wały; mówi mu: „Czoło matki twojej było niegdyś takiej samej bieli i miękkości", a później dodaje: „Rozstajemy się, mój synu, czy wiesz na jak długo? Wkrótce wśród chórów anielskich ty nie raczysz rzucić kropli rosy swemu ojcu, pożeranemu przez płomienie. Żegnaj, Jerzy mój, żegnaj!".

Kula trafia Orcia, pada. Hrabia rzuca się naprzód i woła: „Nazad, w przepaść, syny wolności!". Walczy po raz ostatni, a gdy tłumy hrabiów i baronów zapytują go z dziedzińców zamkowych, dokąd ich prowadzić każe, odpowiada im: „Na śmierć"; i nakazuje pędzić ich przeciwko wdzierającemu się ludowi. Wreszcie, gdy zamek wzięto, rzuca się z murów, a jego ostatnie słowa są te: „Wdarli się na wieże i patrzą, czy nie odkryją gdzie hrabiego Henryka. Jestem tu, ale wy mię sądzić nie będziecie. Ja się już wybrałem w drogę, ja stąpam ku sądowi Boga (posuwa się dalej ku brzegowi przepaści). Widzę ją, całą czarną, obszarami ciemności płynącą do mnie, wiecznie jaśnieje, a nic nie oświeca (krokiem dalej się posuwa). Biegną, zobaczyli mię! Jezus Maria! Poezjo, bądź mi przeklęta, jako ja sam będę na wieki! Ramiona, idźcie i przerzynajcie te wały!". Potem skacze w przepaść.

Zwycięstwo należy do ludu. Tych, którzy wierzyli w jego miłosierdzie, posłano na śmierć. A wtedy naczelnik w towarzystwie proroka, miotanego konwulsjami, wstępuje sam na mury i przybywa przypadkiem na miejsce, gdzie leżą szabla i strzępy odzieży hrabiego, które rzucił, skacząc.

LEONARD (PROROK, ENTUZJASTA, MŁODZIENIEC)
Bledniesz, mistrzu.

PANKRACY (NACZELNIK)
Czy widzisz tam wysoko, wysoko?

LEONARD
Nad ostrym szczytem widzę chmurę, czerwoną od ostatnich promieni słońca.

PANKRACY
Znak straszny na niej.

LEONARD
Oprzyj się na mnie: coraz to bardziej bledniesz.

PANKRACY
Lud cały słuchał mnie przed chwilą — gdzie jest lud mój?

LEONARD
Słyszysz ich okrzyki? Wołają ciebie, czekają na ciebie. Odwróć wzrok od tej skały! Oczy twoje zdają się umierać, przykute do jej szczytu.

Pankracy
Jest tu, nieruchomy. Trzy gwoździe, trzy gwiazdy błyszczą u jego boku, ramiona jego dwie błyskawice.

LEONARD
Kto? Gdzie? Zbierz siły.

PANKRACY
Galilaee vicisti! (kona)

Ujrzał krzyż i dzieło jego okazało się kłamstwem. Zwyciężony został w chwili swego zwycięstwa; gmach jego jest zburzony, a on umiera, powtarzając słowa Juliana Apostaty.

Żegnaj, Henryku! Napisz mi natychmiast!

Zyg. Kras.

Biedna H. W. To mi serce łamie.

84. DO HENRYKA REEVE'A

(Bez daty)

Drogi Henryku!

Amen! Gdy dowiedziałem się o małżeństwie H., poczułem dreszcze w piersiach, a potem zapadłem w sen gorączkowy, który trwał pół godziny, a gdym się zeń obudził, byłem bardzo rozstrojony i myśl moja błądziła. Stan ten trwa aż do dzisiaj i nie mogę zrozumieć, że H. jest zamężna, chociaż z drugiej strony dziękuję za to Bogu i proszę Go, by jej błogosławił na nowem stanowisku. Dziwne są te dawne uczucia, które drzemią w naszem łonie, i nagle budzą się bez siły i bez szału, lecz pełne goryczy i tęsknoty. Oto przynajmniej dramat rozwiązany, skończony i spełniony.

Jeszcze raz: amen!

Szliśmy tą samą drogą i w jednaki sposób dokonaliśmy naszego biegu. Te same uniesienia do tych samych doprowadziły nas wyników. Mnie do nudy i bezczynności, Ciebie do erudycji i krytyki. Wszystko to, choć różne formą, jest apatią i wskazuje na wielki brak w nas obydwóch rzeczywistego życia i dających się stwierdzić czynów. Lecz Ty jesteś w o wiele lepszem, niż ja, położeniu. Dziś, jak i w dniu, gdy marzyć i podniecać się rozpocząłeś, stoisz mocno na nogach i posiadasz wielkie zdolności, które Twoje badania naukowe coraz bardziej rozwijają. Ja jestem zdyszany i zniszczony fizycznie, moja siła wewnętrzna nie ma organów rozwoju, toteż zwraca się zawsze ku sobie i sama siebie pożera.

Walerian także mi napisał list pełen stoicyzmu i animuszu. Sądzę, jak Ty, że mu się trochę w głowie przewraca. Ktoś powiedział, a ja to powtórzę teraz, że mierność, która się upiera, więcej dokona, niż geniusz, który się zniechęca. Ale zresztą jest to naprawdę człowiek honoru i serca.

Powiedz mi, proszę Cię, Henryku, co się z nami stało? Czem są nasze dawne myśli, czem nasze życie minione? Czy jest jeszcze w nas cośkolwiek z tego, co było w 1830 i 31 r.? A wiesz, jaką wielką różnicę zaznaczyć należy? Oto, że niegdyś robiliśmy wiele, źle, ale mieliśmy wiarę, dziś mało i dobrze robimy, ale bez wiary, bez celu, bez nadziei, z przyzwyczajenia raczej, niż z natchnienia; tylko, ponieważ przyzwyczajenie jest wielkie, nabyte i zręczne, dzieło ma formę artystyczną. Coraz bardziej mię zadziwia wiek nasz, zadziwiają młodzieńcy i młode kobiety, które mię otaczają. Nikt nie chce być sobą, każdy marzy o tem, by zostać Napoleonem. Kobiety drwią, gdy im się mówi, że powinny być małżonkami, matkami itd. Chcą być wielkimi politykami, wodzami. Cała ta szczytność jest po prostu śmieszna; rozpasana wyobraźnia unosi się nad wszystkimi głowami, a mało jest piersi, które zamykają serca. Stąd ta cała góra głupstw, długa nić nudy, starająca się znaleźć zajęcie, a odmawiająca przyjęcia każdego i rzucająca się wówczas w nadzwyczajność, w fantastyczność, w której tarza się bez celu, choć z odrobiną talentu, nie stwarzając nic, nic nowego; przeciwnie, żyje w okropnej jednostajności, gdyż brak jej pierwiastka twórczego — serca. I zobaczysz, jak całe to nędzne pokolenie dzięki napadom nerwowym minie przed czasem, niby liść zeschły. Wszystko gotowe, by sierp Niszczyciela znalazł na drodze swojej tylko słabe kłosy. Wielkie lenistwo panuje między ludźmi naszego czasu. W tem tkwi tajemnica ich słabości i ich marzeń awanturniczych, braku sztuki w ich poezji, energii w polityce, wiary w religii. Gdyż aby stać się wielkim człowiekiem, trzeba być niestrudzonym. Duch, rozmiłowany w spoczynku, oddany gnuśności, oddala się jedynie od potęgi ruchu myśli boskiej: to potępieńcy, to męczarnie jednostajności. Poznałem teraz wiek ten, a wszystkie jego płonne podniecenia przypominają mi fanfaronady pijackie bezsilnego Falstaffa. Gdzieżeśmy zaszli, Henryku?

Kobieta, Mężczyzna, Historia

Niech Ci Bóg błogosławi! Niech Bóg chroni H. W. Kochaj zawsze człowieka, który przynajmniej (śmiało to twierdzić może) ma serce. Pisz do Rzymu!

Zyg. Kras.

Czy odebrałeś mój przydługi list ze streszczeniem *Hrabiego Henryka*? Jeśli spotkasz H., nie mów jej nigdy więcej o przeszłości! Powiedziane jest, że kobieta opuści ojca swego

Kobieta, Żona, Kochanek

i matkę (ja dodaję: i kochanka), by pójść za mężem swoim.

85. DO HENRYKA REEVE'A

20 lutego 1834 r., Rzym

Drogi Henryku!

Odebrałem wczoraj list Twój z 4 lutego. Byłeś bezustannie zajęty i widzę w Tobie żywą wiarę w pracę Twoją. To dobrze. Ale powtarzam, nie stawaj się zanadto Niemcem! Co do mnie, zmuszony byłem od dawna porzucić wszelką erudycję. Prawie od dwóch i pół roku nie przeczytałem ani jednej książki. Miałem co prawda lektorów, ale częściej spałem podczas ich jednostajnego czytania, niż słuchałem. Stąd pochodzi, że zapomniałem wszystkiego, co umiałem (a nie było to zbyt trudne), i niczego nowego się nie nauczyłem. Toteż stałem się zapewne wielkim nieukiem. Tak się losom spodobało. Spostrzegam nawet, że zmniejszyły się zdolności przyrodzone, które posiadałem kiedyś. Często urywam w połowie zdania; nie wiem, co powiedzieć kobietom, a rozmawianie z mężczyznami mię nudzi. Leżę samotny na sofie, żadnej z sobą nie wiodąc rozmowy, i żyję przykrem uczuciem wyczerpania duchowego, a moja miłość własna silnie podupadła. Człowiek, który do takiego stanu doszedł, powinien przynajmniej starać się o materialne rozkosze życia. A ja i tego nie czynię, gdyż tutaj również odznaczam się głęboką nieznajomością rzeczy i brak mi nici przewodniej. Wobec tego zaniepokojony zwracam się ku sobie, jak wąż, i pożeram ostatek swej duszy. Przy sposobności: wczoraj skończyłem rok dwudziesty drugi. Zdawało mi się, że jestem bardzo stary wszystkiem, prócz doświadczenia, i zwróciłem się do siebie z długim powinszowaniem, którego zwrotką było: „Jesteś niczem". Ale wieczorem spotkałem w jakimś salonie bardzo piękną pannę, która powiedziała mi, że ma lat dwadzieścia pięć. Ona również nic nie zrobiła, nawet dziecka, i pocieszyłem się, patrząc na dwie śliczne zmarszczki, zaczynające się rysować na tem czole dziewiczem.

Kobieta

Często przechadzam się w Kampanii rzymskiej, zyskując tem katar i odciski; ale jest to coś bardzo pięknego. To najrozleglejsza nuda, nuda najlepiej wyrażona, jaką znam. Jest tam i milczenie, i zgrzybiałość, i bezmiar zarazem. Ruiny rozpadają się w proch powoli. Ludzie, błądzący między nimi, podobni są owcom, które pasą; wszystko tam ponure, bez nadziei, bez postępu, wszystko stoi w miejscu, a raczej posuwa się z wolna ku nicości. Ja i Kampania rzymska to jedno, a krzyki puchaczy, radujących się na tych murach, odpowiadają w zupełności napadom wesołości, które budzą się niekiedy w sposób urywamy i błazeński w mojem sercu. Zresztą mało kogo widuję. Znam la Bidoyera, syna sławnego pułkownika. To chłopiec lat dziewiętnastu, rześki, krzepki, o dobrem sercu i nienasyconym apetycie. Jest to wielka przyjemność dla mnie, gdy widzę, jak je i śmieje się. To mi przypomina, że był czas, gdy i ja dużo jadałem i śmiałem się głośno. Widuję młodą, wysoką dziewczynę, zagrożoną suchotami, bardzo muzykalną, pełną nauki i talentów, pożeraną nudą i w najwyższym stopniu dziwaczną: hrabiankę Kalikstę Rzewuską, córkę sławnego Rzewuskiego, który był emirem w Arabii i zginął w ostatniej wojnie. Lubię dosyć drażnić się z nią i sprzeczać. Jest zupełnie naturalna i dobra. Przyglądając się jej, zbieram bardzo cenne obserwacje o tem, czem jest erudycja, poezja, muzyka, i przekonywam się, że wszystko to nie warte macierzyństwa. Widuję ciotkę swoją, księżnę Lubomirską, podległą ostrym bólom bez nadziei na wyzdrowienie, pełną rezygnacji, prostą i słodką, jak anioł, niegdyś jedną z pierwszych piękności w Polsce, dziś istotę świętą i zgnębioną cierpieniami. Czuję się bardzo mały, ile razy jestem z nią razem. Taka jest moja powieść.

Nuda, Przestrzeń, Ruiny

Kobieta

Nie wiem, co zrobię. Oczekuję tu swego ojca na wiosnę, ale, jeśli pojedziesz do Genewy, Henryku, to się zobaczymy znowu i pić będziemy z pucharu dni minionych dość zwiędłemi wargami.

Żegnaj, mój drogi, najserdeczniejsze pozdrowienia dla matki Twojej.

Twój na wieki.

Zyg. Kras.

Prześlij mi streszczenie szczegółowe swojej pracy!

86. DO ANNY ANKWICZOWEJ

(Rzym, około 15 marca 1834)

Pani żądasz nowin ode mnie, bym nie gadał o Bertramie[107] ale o sobie i o Rzymie. — Bertram a ja wszystko jedno. O Rzymie powiem, że mnóstwo narodu się nazjechało na Wielkanoc. Polaków dość, Aleksander[108], Sołtan, Stanisław Sołtyk, Rajecki, Jastrzębski, Bobry[109]. Z nowin zaś włoskich dwie tylko wiem: pani Rzewuska wdowa idzie za Zdzisława Zamoyskiego, a panna Alopens za młodego La Ferronaye. Teraz, żeby Pani mnie zawiesiła miecz Damoklesa nad głową, to już nic więcej nie wiem. Oh, prawda: król i królowa neapolitańscy tu są: król chodzi po sklepach i targuje się o luidora, hurmem lud wali za nim.

Ja 11-go kwietnia Rzym opuszczam i jadę do Münich przez Florencję, Genuę, Genewę i Zurych, a to wszystko z Sauvanem[110], który twierdzi, że moje zdrowie znacznie pochylone i spiesznie idące po drodze złego, a zatem że trza ostatnich i najmocniejszych użyć środków do poratowania jego. Te środki mają być: wody mineralne około Ems. Bóg da mi to, że będę miał szczęście może Panią tam obaczyć, a potem razem na zimę do Neapolu. Wierzaj mi Pani, bez Pani Rzym nic nie wart, bez Pani Polacy się nie znają, nie widzą, bez Pani nudno i długo, ponuro ciągną się wieczory. O Panią Rzym woła, o pannę Henrietę wołają z nim; obiecałem Rzymowi, że Panie tu wrócą, a więc jadę, pędzę ku brzegom Renu, stamtąd porywam Panią i Pana Hrabiego i pannę Henrietę, a dzień, w którym wjedziem do Rzymu, będzie podobnym do tych dni, w których tryumfatorowie szli na Kapitol. — Bądź Pani łaskawa w pierwszych dniach junji[111] napisać mi parę słów do Münich, — gdzie przyjadę 2 lub 3 czerwca — i nadmienić o swoich zamiarach. — W Neapolu na ten czas nie będę. Danielewicz jedzie tam na 12 dni i list do panien Rosetter zawiezie, potem wraca do Rzymu i razem we trzech puszczamy się. Oczy moje wściekle mnie bolą, za tę bazgraninę niech one mi będą wymówką. Dziękuję bardzo za zdanie łaskawe o *Agaju*[112]. Ja zaczynałem już myśleć, że to wielkie głupstwo, a co do *Gwiazdy* proszę nie wydawać autora[113]. Dziwię się sądowi Montalemberta, bo ten kawałeczek jest tuzinkowym, a największa jego zasługa, że bez zmyłek gramatycznych jest napisany.

Tak mnie już moja kochana choroba przygnębiła, tak mi się wkradła do mózgu, że myśleć nie mogę, pisać tem bardziej. — Już nie wiem, co to jest poezja; przekonywam się, że poezja pisana jest niczem w porównaniu z muzyką, bo muzyka jest sama poezją, a poezja pisana jest tylko naśladowaniem poezji, uczuciem uczucia, obrazem malowanym rzeczy żyjącej. Zresztą bądź nie bądź to pewna, że nie wiem, co się dzieje ze mną, że głupieję co dzień i Bertram mi już niewiele pomaga. Ze służby go wypędzę, niech wraca do piekła.

Księżna Czartoryska zdrowa, o Pani często wspomina; ile razy się widzim, mówimy o Pani. Pani Circours jest tutaj dotąd, byłem parę razy u niej.

Szkuta się rozbiła z Karlistami w Rzymie; biedne i nędzne to zwierzęta. Proszę o jedną *Zdrowaś Maria* za mną, bym zupełnie nie zgłupiał, proszę o tę *Zdrowaś Maria* Pani, panny Henriety i panny Marcjanny[114]

Zyg. Kras.

---

[107] *Bertram* — służący Krasińskiego. [przypis redakcyjny]
[108] *Aleksander* — Aleksander Potocki. [przypis redakcyjny]
[109] *Bobry* — tj. Teodor Bóbr-Piotrowicki z żoną Joanną i z dwiema córeczkami. [przypis redakcyjny]
[110] *Sauvan* — lekarz i przyjaciel, towarzyszący stale Krasińskiemu. [przypis redakcyjny]
[111] *junji* — czerwca. [przypis edytorski]
[112] *Agaj* — *Agaj-Han*. [przypis redakcyjny]
[113] *a co do „Gwiazdy" proszę nie wydawać autora* — wiersz francuski *Gwiazda*, drukowany w „Bibliotece Powszechnej" w Genewie, a przedrukowany w wydaniu lwowskiem z r. 1904 tom VI, str. 264–268. [przypis redakcyjny]
[114] *panna Marcjanna* — Marcelina Łempicka. [przypis redakcyjny]

87. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Rzym, 28 marca 1834

Drogi Konstanty! Niech Ci Bóg odpłaci Twoje serce ku mnie; ile razy czytam listy Twoje, tyle razy lepszej jakiejś nabieram otuchy. Wczoraj był Wielki Czwartek. Siedziałem w kościele św. Piotra do godziny dziewiątej w wieczór, słuchałem *Miserere*. Nic wznioślejszego nad te głosy ludzkie rozpaczające, konające z bólu i żalu, rozchodzące się z wolna po tem ogromnem sklepieniu, między masy cieniów, masy złota, marmurów i drogich kamieni, zanurzonych w ciemnościach. Nad grobem Piotra pali się gromnic kilka, a reszta kościoła, to nicość cieniów, to nieskończoność cieniów, chaos jakiś z marmuru i cieniów. Świat, jakiegoś nie widział nigdy. Bóg wszędy — Bóg, co skonał na krzyżu — i dziś On, o tej czarnej godzinie, kona w każdym zakącie tego olbrzymiego gmachu. Szumy burzy, zda mi się, słyszę, bo wiesz, On dech wyzionął wśród burzy. Ogrom wieczności, zda mi się widomy, zaczyna się za tym ołtarzem. Patrz! Ołtarz wysoki, wysoki, jak olbrzym, niknący w górze, u stóp jego gromnic kilka, a za ołtarzem ciemność, wieczność, i reszta kościoła, i te pieśni wszystkie, płaczące nad Bogiem umarłym, nad mękami Boga!

Gdzie nadzieja wasza, ludzie, kiedy Syn Boży zniknął i nie ma Go? Ale trzeciego dnia On zmartwychwstanie i świat ten zbawi.

Czemuż Ty tu nie jesteś — serce Twoje pożarłoby wszystko, o czem piszę. Pojąłbyś sercem, co to była śmierć Chrystusa.

Ale ja już pisać, opisywać nie umiem; czuję głęboko, ale wyrazić, co dzień mniej wyrażać umiem. Nie wiem, co się ze mną stało.

Odebrałem Twoje dziełeczko[115]. Najlepiej Ci się udały kawałki z serca pisane, np. *Pomnik księcia Józefa*, kiedy siebie samego opisujesz dzieckiem u ojca. Chowam tę książeczkę, jakby włosy Twoje. Za dziesięć dni stąd jadę; pisz mi do Genewy na 12 maja, do Münich na pierwsze dni czerwca. I tą razą nie obaczymy się, ale przyjdzie chwila, w której się obaczymy. Żegnam Cię. Myśl o Zygmuncie i proś czasem za nim Boga!

Z.

Danielewicz serdecznie Cię ściska. Odbierzesz z tym listem pięćset franków. Oczy mnie żrą, palą, rozdzierają. Żegnam Cię i ściskam. Nie turbuj się o matkę; gdyby się co jej stało, toby mnie byli napisali z Polski.

88. DO HENRYKA REEVE'A

(7–8 czerwca 1834)

Drogi Henryku!

Na próżno oczekiwałem od Ciebie listu z Monachium. Musiałeś widocznie pisać do mnie do Genewy, przez którą jechać nie mogłem. Wyruszyłem na Wenecję, by wrócić do Europy, a teraz jestem z ojcem w Kissingen w pobliżu Würzburga, gdzie piję wody. Wczoraj spotkałem tutaj panią Edwin Hill Handley, z którą się zapoznałem. Znajduję, że ma umysł wybitny i obejście wykwintne. Mówiliśmy dużo o Henryku Reeve, i nie wiem w jaki sposób zeszliśmy na H. W. Dowiedziałem się, że po jej ślubie przez tydzień nie wychodziłeś z domu i wydawałeś się smutny. Powiedz mi, mój drogi, czy zrobiłeś to z miłości do mnie, do niej, czy do siebie, gdyż nie umiem zagadki tej rozwiązać. Uwagi pani Hill Handley o Tobie wydały mi się bardzo trafne, ale dowiodły mi, drogi Henryku (nie gniewaj się o to!), że jest jeszcze coś dziecinnego w Twym charakterze, a trochę afektacji w Twojem obejściu. Ale to przejdzie z czasem, gdy Twa miłość własna upokorzona zostanie właśnie przez to, czem błyszczeć chciała i gdy się przekonasz, że afektacja nigdy długo łudzić nie może. Najgłupsi nie dadzą się na nią łapać dłużej, niż przez dwa lub trzy

[115] *Twoje dziełeczko* — mowa o pierwszej edycji poezji Gaszyńskiego pod tytułem: *Pieśni Pielgrzyma Polskiego*, Paryż 1833. [przypis redakcyjny]

miesiące, a człowiek, choć trochę obyty w świecie, pierwszego dnia się na niej pozna. Zresztą, o ile zauważyć mogłem, pani Hill Handley jest jak najlepszego zdania o Twoich zdolnościach i sądzi, że masz świetną przyszłość przed sobą.

Pamiętaj rzecz jedną, Henryku; nikt prędzej, niż kobieta, nie dojdzie do sedna rzeczy, nie pozna odwrotnej strony medalu. Gdy będziesz miał z jakąkolwiek kobietą stosunek miłosny, nie staraj się nigdy czegoś w nią wmawiać. Bądź naturalny, a będzie Cię kochała. Nie mówię tutaj o miłości w rodzaju Konstancji. Miłość podobna, jako że jest wyłącznie na wyobraźni oparta, musi we wszystkiem przesadzać i wznosić się do obłoków. Ale miłość męska, miłość dojrzała, musi być ugruntowana na prawdzie, na piękności i ponętach z jednej, na sile charakteru z drugiej strony. Bez siły charakteru, bez panowania nad sobą niczego na tym świecie spodziewać się nie możemy — ani kobiety, ani sławy, ani ojczyzny. Panowanie nad sobą, to prawdziwa poezja wieku męskiego, to siła, to potęga. Starajmy się więc ją osiągnąć! Wszystkiego, o czem Ci mówię, Henryku, sam doświadczyłem. Przeszedłem przez wszystkie te stany i w końcu miałem dość rozumu, by poznać, że przez całe życie robiłem wyłącznie głupstwa. Zapewne istnieje na świecie olbrzymia poezja, ale to nie ta, którą pisaliśmy i wymyślaliśmy. To ta, którą czujemy, gdy chwila poetyczna nadchodzi, ale wtedy, na Boga, słowo: „poezja" nawet nam do głowy nie trafia. Obrzydliwe jest wymuszanie z siebie poezji, kalanie każdego wrażenia przez chęć urobienia zeń dramatu; trzeba żyć, czuć, doświadczać. A wtedy zacznij pisać jakiegokolwiek dnia, jeśli Ci czasu starczy! A mówię Ci, to, co dnia tego napiszesz, będzie czytane i uznane za dobre, bo odpowiada wszystkim uczuciom ludzkim. Różnorodności! Różnorodności! Bądź złożony, jak otaczający Cię świat, i jednolity, jak Ty sam jesteś. Byron był widmem długiej i burzliwej nocy, straszliwem, gdy trwała ciemność, zapomnianem, gdy nadeszły zorze. W promieniach słońca trzeba szukać i odkrywać. Kto naśladuje Byrona, będzie miernotą. A z ręką na sercu: czyż kiedykolwiek robiliśmy coś innego prócz naśladowania Byrona?

Poezja

Żyć, żyć, wychylić do dna czarę życia, szczęścia i smutku, powodzenia i przeciwności... A później z piórem w ręku!... Jeśli nie lepiej schylić głowę na piersi i spocząć w grobie.

Żegnaj! Napisz do mnie za dwa tygodnie do Frankfurtu nad Menem!

Zyg. Kras.

89. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Kissingen przy Würzburgu, 10 lipca 1834

Drogi Konstanty! Twój list odebrałem jeszcze w Münich przed trzema tygodniami, ale że potem zaraz wyjechałem, a tu spotkałem się z moim ojcem, nie miałem chwili jednej wolnej do odpisania Ci. List Twój do matki posłałem przez ojca mego do Polski i dojdzie niezawodnie. Ja lepiej mieć się zaczynam, już mnie nie męczy tak pisanie. Teraz najpiękniejszą podróż zrobiłem przez Florencję, Wenecję, Münich. Wenecja to kochanka moja wśród miast wszystkich, w niej przez ośm dni prawdziwie byłem szczęśliwy. Na zimę wracam do Neapolu; czy tam się czasem nie zobaczymy? Tymczasem pisz do Frankfurtu nad Menem, bo jeszcze ze dwa miesiące zabawię w Wiesbaden i Ems.

Dużo ja przez te czasy myślałem nad życiem ludzkim i odkryłem wielką prawdę, że moc nad sobą samym jest poezją dojrzałości, jak rozpasanie wszystkich uczuć jest poezją młodości. Wiesz Ty, że Byron stracił względy moje: wielki zapewne poeta, ale kto go chce naśladować, ten będzie miernym i ślamazarnym. Byron, potem, nie rozumiał rozmaitości, a to jest połowa całego stworzenia. By dobrze pisać, trzeba żyć wprzódy. Ja zarzucam na pewny czas pisanie, biorę się do życia: wychylę kilka pucharów wesela, kilka pucharów boleści, po ludzku kochać będę, po ludzku cierpieć, a potem siądę i napiszę, i to będzie dobrem. Materia nie jest tak podłą rzeczą, jak sądziłem dotąd; my przez wieczność całą będziemy w materialnych ciałach; nie ma ducha bez materii, jak nie ma myśli bez słowa, jak nie ma ciała bez formy. Są rozkosze i jest poezja materialna. Tę należy harmonijnie pomieszać z poezją ducha, a wtedy stanie na nogi człowiek upoetyzowany, wtedy każdy go pozna i pokłon mu odda. Inaczej nikt by nie uczuł sympatii do niego, inaczej byłoby

Dorosłość, Młodość

Ciało

to stworzenie nieorganiczne na ziemi, może organiczne na księżycu lub Jowiszu, ale tutaj marne, niezrozumiałe. Tak więc się zmodyfikowałem i z chmur zstąpiłem, i chmury mam odtąd za baldachim nad głową, nie za pobyt i mieszkanie. Co różni człowieka prawdziwie i poetycznie pojętego od człowieka idealnego czysto? To, że w pierwszym jest ciągłe życie, to jest przemiana i walka uczuć, a w drugim tylko myśl jedna, tor jeden, metoda zawżdy ta sama. Są chwile uniesienia i opadnienia: to się życiem zowie, to jest ruch, to śledzić i poznać należy. Stąd się wywija, że człowiek nie może ciągle być wielkim, rozumnym, natchnionym, dramatycznym. Jeśli go takim wystawisz, to będzie afektacja, przywara, brak rozsądku. Czego najwięcej trzeba unikać, to, żeby bohatery nasze nie wyglądały na aktorów. I stąd pochodzi przesada literatury dzisiejszej, że autorowie, miast doznawania sami uczuć i faktów, przestają na chodzeniu regularnem na teatr i tam uczą się, jakby z natury, kiedy już teatr jest nauką, wyciągniętą z natury. Przez drugie ręce więc odbywa się poezja epoki naszej i stąd jest śmieszną i przesadną.

Twoje sonety uważam za wielki postęp; więcej w nich kolorytu, niż zazwyczaj, i myśl w każdym jest. Ciekawym bardzo *Pana Tadeusza* i nowego dzieła Lamennais'go. Już to w modę wchodzi pisać ewangelicznym stylem. Mickiewicz zaczął, Lamennais ciągnie dalej; zobaczysz, że wreszcie tyle się ewangelii namnoży, że *vaudeville* pan Scribe napisze ewangelicznie. Co to małp się zawsze kupi naokoło geniuszu! Za jeden geniusz sto tysięcy głupców musi się urodzić, jakby masa ducha była na tym świecie skończona, jak masa materii, i tylko mogła się ukazywać bardziej skupiona w wielkich ludziach, i za to też zaraz rozrzedzać się musiała w ich współczesnych. Żegnam Cię, drogi mój Konstanty. Danielewicz i mój ojciec Ci się kłaniają. Nie zapominaj o Twoim

Zygmuncie.

90. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Frankfurt, 23 augusta[116] *1834*

Drogi Konstanty! Odebrałem Twój list w Wiesbaden. Widzę w nim, że żyjesz jak możesz, to jest szukasz zatrudnienia i zajęcia się, gdziekolwiek się zdarzy. Ja żyję, ale jak żyję? Tobym trudno opisał. Naprzód we mnie jest pierwiastek zgubnej goryczy, który objawia się ciągle, czy się rzucę na chmury i siedzę nad ziemią, czy zejdę na ziemię i rzeczywistości się chwycę, tak, że rzeczywistość jeszcze zda mi się ideałem. Fizycznych nawet rozkoszy dopełnionych nie ma, umysłowe jeszcze błędniejsze. Gdzież jesteśmy? Gdzie żyjemy?

Dwudziestego septembra[117] wyruszę zapewne do Włoch. Do tego czasu pisz do Frankfurtu, potem do Genui, a potem do Neapolu. Moja babka przeszłego miesiąca oddała ducha Panu Bogu. Czy pamiętasz, ileśmy razy jedli u niej obiad w Warszawie? Biedna, sama była, bez syna i wnuka, umarła wśród cudzych ludzi.

Jeśliś czytał w gazecie „Polonais" kawałeczek pod imieniem *Etoile*, to mój, dostał się zaś tam szczególnym, nieprzewidzianym przeze mnie sposobem. Zachowaj numer ten, a potem mi go prześlesz, gdzie Ci napiszę, jeśli możesz. Mój *Agaj-Han* wielkie, jak słyszę, robi wrażenie w Galicji, Krakowie i Poznańskiem. Żegnam Cię, mój drogi. Jabłonowskiemu, o którym wyobrażenia mi nie zostało, bardzom wdzięczny. Ulrychowi się kłaniam. Tysiąc z serca uścisków Tobie. Od Twojej matki nic nie odebrałem.

Z.

Napisałem w tych dniach powieść *à la* Balzac; wchodzi do niej romans mężatki z oficerem polskim w Londynie, po wzięciu Warszawy, wchodzi i Grzymała monstrum, i Lelewel etc. Zda mi się, że udała mi się. *Addio*!

[116]*august* — sierpień. [przypis edytorski]
[117]*septembra* — września. [przypis edytorski]

91. DO HENRYKA REEVE'A

1834 r. Wiesbaden, 25 sierpnia

Drogi Henryku!

Od blisko sześciu miesięcy żyjesz w nieświadomości dzieł i czynów bohaterskich swego przyjaciela. Ledwo dwa lub trzy listy odebrałeś od niego. Teraz, w chwili wytchnienia, jaką daje każde działanie, poznasz ogólnie stan duchowy, przez który w czasie tym przeszedł.

Ubiegła zima nie przyniosła mi żadnej ulgi, ani duchowej, ani fizycznej. Rozciągnięty na swej sofie w Rzymie, dręczony smutnemi myślami, czułem, jak z dniem każdym mniej miałem w sobie życia. Nie mogłem już pisać. Ale zdrowie moje było tak słabe, że pragnienie to wydawało się prawie szyderstwem. A jednak zdarzyło mi się spotkać to, co przeczułem na dziesięć dni przed moim wyjazdem do Rzymu. Toteż, skoro tylko iskra padła, a wzrok mój doznał wzruszenia i wstrząsu, odrzuciłem precz od siebie wszelkie względy, jak się rzuca pochwę szabli w sprawie na śmierć lub życie. I taką była dla mnie ta sprawa. Bez nagłego przejścia od uśpienia do stanu świadomości, od apatii do namiętności, od bezwładu do czynu, groziło Ci poważnie, że zastaniesz mnie idiotą.

Otóż od tej chwili, a jeśli się nie mylę był to dzień Wielkanocny, natychmiast po błogosławieństwie papieskiem prowadziłem życie rzeczywiste, a pełne marzeń, życie ciała i ducha, życie ludzkie wreszcie, otoczone poważnemi niebezpieczeństwami i śmiesznemi małostkami, upiększone w przerwach poezją, przeniknięte smutkiem przez przykre sytuacje, wznoszące się chwilami do tragiczności i popadające z kolei w błazeństwo; życie, przeplatane podziwem i szyderstwem, słabością i egzaltacją, błahostkami w rodzaju mody, wstążki, plotki, i sprawami poważnemi, uroczystemi, jak uwiedzenie, upojenie miłosne, wyrzuty sumienia kobiety cnotliwej po poświęceniu się, nienawiść do tego, który jest jej mężem, tysiące obaw niespodziewanego podejścia i zemsty, tysiące wyczekiwań szczęścia, sto razy zawiedzionych, a raz spełnionych, wreszcie rozkoszy — koniec zwykły podobnego dramatu, gdzie, jak mówi Balzac: „Dwie piękne dusze są rozdzielone przez wszystko, co jest prawem, a połączone przez wszystkie uwodzące siły przyrody". A sceny te, Henryku, odgrywały się we Florencji, Wenecji, podczas zachwycających wieczorów, gdzie wszystko żądało rozkoszy i miłości. A później, przejeżdżając niekiedy pod Mostem Westchnień, słyszałem głos mówiący mi: „Zbrodnia i kara". Ale głos ten niczem był dla pożerającej mię namiętności. Często cierpiałem, jak potępieniec; wzrok mój prawie zupełnie był zniszczony, a mimo to w południe, w blaskach olśniewających słońca włoskiego, wiozłem ją w swej szalupie na Lido, do Malamoco, do Chiosy.

Przypominam sobie, że jednego wieczoru, przechadzając się w świetle posępnem księżyca na pustem wybrzeżu Lida i oglądając znowu miejsca, gdzie byłem z Tobą, opowiadałem jej o bladym i wysokim Angliku, który strzelał z pistoletu do białych muszelek, kruszących się pod naszemi krokami. Powiedziałem jej, że ten Anglik był moim przyjacielem młodości i że zna tę, którą kochałem niegdyś. Zadrżała, a później zapytała o imię Twoje, zapytała o imię pani Burdett. Była bardzo piękna owej nocy. W rysach jej było coś z odaliski i z anioła. O czem myślałeś wtedy, gdy mówiłem o Tobie w miejscu, gdzieśmy byli razem? Było to 22 maja. Później zaprowadziłem ją do swej gondoli; Chiopeta rozwinął żagle. Mąż był w innej barce. Wiatr okropny się zerwał; uczuła przestrach. Powiedziałem jej: „Gdyby Henryk Reeve był tutaj, poprowadziłby łódkę pewną ręką; to jemu zawdzięczam swoje wiadomości żeglarskie". Schwyciłem za wiosło, opuściłem reję i tak dopłynęliśmy, podrzucani falami laguny, do placu świętego Marka.

Po opuszczeniu Włoch wszystko się zasępiło, jak niebo i otaczająca nas przyroda. Monachium, Kissingen, Frankfurt były pełne namiętności i miały chwile rozkoszy; ale okoliczności stawały się coraz trudniejsze. Mąż zaczął pilnować, ogarnęła go zazdrość i niepokój. Nareszcie rozstaliśmy się; ja zostałem w Wiesbadenie, ona pojechała trochę dalej. Niekiedy wyjeżdżam na dwa lub trzy dni, żeby się z nią zobaczyć. Ale towarzystwo, które ją otacza, nic nie robi, prócz plotek, i zazdrości jej piękności; toteż cnotliwość tych pań bardzo ją szarpie.

Widzisz więc, jak żyłem. Od pięciu miesięcy ani razu się nie modliłem, a jednak nie odczuwam skruchy, tak silna była we mnie konieczność działania, która pchnęła mię do

używania życia wszystkiemi memi zmysłami, do szukania zbawienia tam, gdzie inni śmierć znajdują. Zdrowie moje poprawiło się; wśród tysiąca niepokoi, tysiąca wyczekiwań nerwy moje znów nabrały sił. Chciałem żyć i żyję. Ale teraz zbliża się chwila rozstania. Ponieważ nie była to nigdy miłostka ludzi z towarzystwa, lecz dramat smutny, prawdziwy, namiętny, zgubny i silny, muszę być przygotowany na cierpienie dojmujące i długie. Niechaj tak będzie!

Żegnaj! Pisz mi jeszcze do Frankfurtu! Ani słowa o tem nikomu! Chciałem Ci opowiedzieć tę historię, żeby Ci dać obraz stanu mego ducha. Żegnaj!

Zyg. Kras.

92. DO JOANNY BOBROWEJ

28 października 1834 r. Mediolan

Pani!

Czemuż nie mogę Ci przysłać garści tych kwiatków, które wokoło mnie rozkwitają, skrawka tego bezchmurnego błękitu, który lśni nad mą głową! Sprawiłyby one może Pani przyjemność kontrastu w smutnem pod szaremi chmurami mieście, w którem Pani obecnie zamieszkuje, a dla mnie te piękności mało mają pożytku. Niegdyś pobudzały one moją myśl, nadzieję, wspomnienia; lecz minęły te czasy naiwnych wrażeń, wiary dziewiczej w piękne położenie, w piękny dzień. Wszystko pochłonął pierwiastek goryczy, oschłości, pragnień daremnych, które z dniem każdym wzrastają we mnie i sprawiają, że rzucam na błękit nieba włoskiego równie smutne spojrzenie, jak i na zadymiony sufit mego pokoju w oberży.

Jestem w Mediolanie. Nie podejrzewają tu jeszcze zbliżania się zimy. Słońce nie rzuca tu jeszcze takich długich, żółtawych świateł, jak te, które już widzieliśmy razem we Frankfurcie, gdy kładły się na wioski razem z obumarłemi liśćmi, zmiatanemi przez wiatr, z liśćmi, które nie mogły trwać dłużej, niż przez jeden sezon. Przeciwnie, ono świeci z całą siłą ponad katedrą, która, nie wiem dlaczego, przypomina mi wodospad Terni.

A propos; pewnej nocy, gdy przechodziłem, zdaje mi się, przez ciemny wąwóz Brenneru, Danielewiczowi przypomniała się jego rozmowa z Zosią. Sądzę, że zajmie ona Panią. Dziewczynka położyła raz główkę na jego kolanach, a ponieważ spoglądała figlarnie w górę, Konstanty zapytał się jej, czy wie, co to jest niebo. „O, tak — odpowiedziała — jest tam moja dobra przyjaciółka, Józefa". — Jakże to? — „O, widzi pan doktor, bo pan jest pan doktor, ona zasnęła pewnego dnia, potem przyszło czterech ludzi, zamknęli ją do skrzyni i, wziąwszy na ramiona, zanieśli ją prosto do nieba". — Nie wiem, co na to odpowiedział Konstanty. „Tak, tak, mówię panu, że ją zanieśli do nieba na ramionach. I kiedy Mimi jest grzeczna, moja dobra przyjaciółka przychodzi powiedzieć dobry wieczór grzecznej Mimi — widzi pan doktor". Jest coś wzruszającego w pojęciu tego dziecka, które nic jeszcze nie wie o odległości, dzielącej nas od nieba, które wierzy w całej czystości swego serduszka, że śmierć jest snem tylko, a zbawienie duszy — krótką podróżą. Trzeba być bardzo niewinnym, aby nie mieć pojęcia o przeszkodach, które piętrzą się między ziemią a Bogiem. Piękne jest zapytanie Lolly w ogrodzie Borghese, lecz mniejszego znaczenia, niż pojęcie Zosi. Każda osoba dorosła mogłaby to samo wyrzec o księżycu, lecz wątpię, czyby która mogła w czystości swych wierzeń powiedzieć to, co powiedziała Mimi. Jest w tem coś wzniośle dziecięcego, jest coś anielskiego w tej prostocie. To naprowadza mnie na to, co miałem napisać Pani o Jej kuzynce. Skończyłem to w Mediolanie. Nie posyłam natychmiast, bo trzeba to przepisać czytelnie, a bardzo mnie bolą oczy. Starałem się do tych kilku wierszy o losie duszy, co uleciała z ziemi, wprowadzić nieco pierwiastku anielskiego, którego mi odmówiono, według zdania wielu. Pierwsza to rzecz, jaką napisałem w życiu, wyrzekając się w niej zupełnie środków piekielnych. Sama Pani orzeknie, czy mi się udało — prawdę mówiąc, te ostatnie zaczynają mnie nudzić. Mam ich dosyć w swem łonie. Chciałbym widzieć przynajmniej jutrzenkę rozleglejszą, piękniejszą, światło nie tak wyczerpujące i cienie mniej posępne i kształty mniej złowrogie itd.

Jedyny moment silniejszy, jakiego nie odczułem od dawna, tak od dawna, że dni, godziny nawet wydają mi się bardzo długiemi, przeżyłem wczoraj w La Scala. Pani Malibran śpiewała Normę. Jej śpiew to nic jeszcze, lecz jej gra, to oblicze, zmienione przez zazdrość i rozpacz, lecz jej ręce, drżące w uniesieniu, lecz jej oczy płomienne, zwracające się bezustannie od Adalgisy ku Sewerowi, od Sewera ku Adalgisie, zatrzymujące się potem w złowrogim, spokojnym, imponującym majestacie na obliczu człowieka, którego niegdyś kochała. A gdy w scenie duetu wymawia słowo: „Giura[118]. dreszcz elektryczny wstrząsa widzami. To słowo „Giura" rozbrzmiewało w głębi mojej duszy; później ostatnia chwila — śpiew wspomnienia i śmierci — modły na kolanach u stóp jej ojca. A rysy jej twarzy coraz bardziej pokrywające się cieniem śmierci, jej rysy, targane konwulsyjnie, miłość, ogarniająca ją znowu, jej głowa, z rozburzonymi włosami chyląca się na piersi temu, który wraz z nią chce zginąć, jej wzrok namiętny, wlepiony weń po raz ostatni i ta czarna zasłona w rękach ofiarnika, powiewająca już nad jej czołem, pobladłem z żalu i miłości. Ach! Ta kobieta wstrząsa mną w tej chwili siłą artyzmu. Zdawało mi się, że widzę prawdziwą Normę, wierzyłem w wieczną rozłąkę — potem zasłona spadła, a wycie parteru przypomniało mi rzeczywistość.

Czy Pani przypomina sobie ten wieczór w Kolonii, gdy patrzyłaś na tę wieżę nieskończoną, nie mogąc wytłumaczyć sobie odczuwanego w owej chwili wrażenia? Niechże Pani przypomni sobie oczy Alberta Dürera w galerii monachijskiej i niech Pani powie, czy nie ma uderzającego i mistycznego podobieństwa pomiędzy tą katedrą a tym portretem?

Jestem prawie pewny, że Pani przepędzi zimę w Dreźnie pomiędzy panią Ch. i panią G., jak Pan nasz między dwoma łotrami. Błagam Panią, ponieważ Pani właśnie robi spostrzeżenia nad oryginałem, którego ja mam być kopią, niechaj mi Pani powie, czy moje zachowanie się jest w czymśkolwiek do niego podobne? Ta myśl jest dla mnie nieznośną. Zresztą to małostka z mej strony, że myślę o tem.

Pani Wacławowa jest w Wiedniu — zakorzeniła się w salonie pani Rozalii. Biedna kobieta! Jak też muszą wyśmiewać się z jej fałszywej erudycji, z jej zachwytu nad Balzakiem i długiej czupryny! Ale, mój Boże, wpadam w sieć komeraży — mówię o istotach, o których powinienem zapomnieć, jak się zapomina o pyle wielkich gościńców.

Cóż Pani jeszcze powiem? Powiem Pani, że często z wielkim żalem myślę o chwilach, które przebyłem w Pani towarzystwie, nawet wtedy, gdy byłaś nieruchoma, blada, milcząca — bo więcej jest szczerości w najgorszym Pani humorze, niż w chwilach najpogodniejszych u innych, a stąd pochodzi, że i więcej jest powabu. Co do mnie, jestem o tem najmocniej przekonany, że bardzo często musiałem nudzić Panią. Wybacz mi Pani! Mówią, że nieobecni są jak umarli. A Pani wie, że nie można odmawiać przebaczenia zmarłemu. Mój Boże! Wchodząc w życie, bynajmniej nie zapowiadałem tego, czem się stałem. Oto, widzi Pani, wierzyłem mocno w piękną przyszłość, a dziś ta przyszłość rozchwiała się wprzód, nim tchnienie moje mogło jej dosięgnąć. Czemże jestem? Tułaczem rzucającym się na kanapy setek oberż, co wieczór na inną, kopiącym sobie codziennie własnemi myślami coraz głębszą mogiłę, pojmującym dobrze, iż wśród innych okoliczności mógłby sobie wytknąć inną drogę, nieco szerszą i szybszą, lecz, że wśród tych, które dziś kierują jego istnieniem, trzeba spać, chrapać, wreszcie — zasnąć na wieki! Kobieta nie potrzebuje sławy — lub raczej sława jej zamyka się w ciaśniejszych granicach. Dla niej szmer salonu jest pieśnią zwycięstwa, lecz, gdyby go była pozbawioną na długo, może na zawsze — ach, niech Pani pomyśli, czy nie wytworzyłby się w niej wstręt i rozgoryczenie?

Otóż moim salonem przestrzeń dwóch tysięcy mil kwadratowych, mojem towarzystwem — czternaście milionów ludzi, a nie ma już w tym salonie uroczystości, muzyki, śpiewów, tańców. Draperie spadły na ziemię, światło lamp zbladło wśród zapadających cieniów, kobiece stroje zniknęły i tylko kilku mężczyzn pozostało nieruchomych przy swoich wywróconych do gry stolikach. Cóż robić! Trzeba przełamać serce na dwoje, jak zgina się kartę, która zawiedzie w faraonie. Lecz źle czynię, mówiąc Pani o tak smutnych rzeczach, Pani i beze mnie dość ma czarnych myśli. Przeciwnie, chciałbym Panią natchnąć wiarą, którą straciłem. I czemuż przyszłość nie miałaby uśmiechnąć się Pani? Lolly stanie się kiedyś kobietą, jakich mało będzie na świecie. — Zosia będzie słodkiem

[118]*giura* a. *congiura* (wł.) — sprzysiężenie, spisek. [przypis redakcyjny]

stworzeniem i — pewny jestem tego — szczęśliwem. W dzielności jednej, w szczęściu drugiej znajdzie Pani radość i pociechę.

Ponieważ nie wiem, gdzie jest Teodor i jak do niego mój list adresować, kładę go w list Pani, spodziewając się, że Pani prześle mu go łaskawie.

Pozwoli Pani złożyć u swych stóp moje najgłębsze uszanowanie.

Oddany Pani

Zyg. K.

Niech też Pani raczy przyjąć zarazem wyrazy uszanowania, które Konstanty polecił mi przesłać Pani.

Spodziewam się być w Rzymie za dwa tygodnie, a najsłodszem dla mnie oczekiwaniem jest to, abym tam już zastał wiadomość o Pani i o jej bliskich.

93. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Mediolan, 30 oktobra[119] *1834*

Czy Ciebie nie ma w Aix, żem tak dawno nie odebrał listu od Ciebie? Przed dwoma miesiącami pisałem do Aix z Frankfurtu, w odpowiedzi na list, w którym mi opisywałeś jarmark w Beaucaire. Teraz jadę do Neapolu, ale w Rzymie zabawię z piętnaście dni. Tam adresuj pierwszy list swój i czekaj na moją odpowiedź.

Zdrowie moje dźwiga się nieco, ale próżnia ducha, o której tyle razy Ci wspominałem, odzywa się często. Są chwile, których nie życzę nikomu, a które duszę mi rozstrajają. W tych chwilach łamię we dwoje serce moje, jak kartę nieszczęśliwą, która przegrała dziesięć razy raz po raz w faraona. W tych chwilach wszystko mi się tak bez nadziei wydaje, życie ziemskie tak ograniczone, tak ciasne, a żądania moje tak ogromne, że wątpię o wszystkiem!...

To pewna, że dotąd nic nie zaspokoiło pragnień moich na tym świecie. Ani żądzom mojej miłości własnej, ani żądzom serca mego nigdy nie stało się zadość, choć miałem szczęśliwe chwile dla jednych i dla drugich. Ale zawsze więcej, dalej goni myśl moja; często nawet nie wiedzieć gdzie. Sam nie wyrozumiałbym, czego żądam, ale czuję skorpiona żądań, przewracającego się we wewnętrznościach moich, który, nie dostawszy nic, sam siebie zakłuwa. Tyś nie tak stworzony: Ty miewasz błogie dni, pełne dziękczynień ku Bogu i ku ludziom, którzy Cię kochają; Ty nieraz wieczorem przestajesz na zmierzchu, Ty pośród czarownej okolicy przestajesz na jej pięknościach. Przynajmniej przez chwilę jesteś cały, dopełniony w sobie samym; nie czujesz, jakoby część jakaś Twoja nie była przy Tobie, ale wyprzedziła Ciebie i goniła dalej, i żądała więcej, i rozdzierała swojemi wołaniami resztę Twej spokojnej duszy. Ty dlatego niezawodnie lepszy, cnotliwszy będziesz ode mnie. W Tobie namiętność nigdy w rozhuzdanie nie przejdzie. Jej najwyższym szczeblem będą łzy rozczulenia, a we mnie zdarzyć się mogą wściekłe uniesienia, rozpacze nieopisane, bo, im więcej żądam, tem częściej się zawodzę. Ty także ciągle będziesz czynny, a ja zapadnę w lenistwo, w odrętwiałość i lata przeleżę, by powstać raz jeden, by pięści pogryźć własnemi zębami lub pieśni odśpiewać w natchnieniu serca mego, i znów zasnąć potem. Takie istoty, jak ja, powinny były urodzić się w nieprzeklętym świecie, poczynającym żyć, w wiośnianym Edenie, przed grzechem pierworodnym, kiedy wszystko było świętem i wolnem — lub prosto w piekle, jeśli im już los kazał narodzić się wśród niedopełnionych, w grzechu i karze żyjących stworzeń.

Pan Tadeusz jest epopeją drobnej szlachty naszej, jest wiecznym, jak *Don Quichotte*, jak Poliszynel we Włoszech, przenosi o cztery głowy *Monachomachię*, jedynem jest dziełem dla Polski. *Wallenrod* jest poema arystokratyczne, *Pan Tadeusz* jest poematem drobnej szlachty.

Mochnackiego *Powstanie narodowe Polski* jest ciężkiem do czytania, ale ma swoje zasługi. Niemiecki styl zgubił Mochnackiego. Bóg go stworzył redaktorem: to jest Dmóchowski, podniesiony do ideału. A propos: Dmóchowski wciąż spekulacje księgarskie

[119] *oktobra* — października. [przypis edytorski]

robi; przyznaj, że trzeba mieć geniusz, by wynaleźć co do wydrukowania w miejscach, w których Walter-Scott zakazanym bywa. Osiński jakąś odę wypalił; przyznaj, że i na to geniuszu jakiegoś miedzianego trzeba — *poëtis atque pictoribus*[120]. Co też to za głupia była poezja, co nas otaczała w dzieciństwie naszem, co też to za głupi ludzie dawali nam pierwsze wyobrażenia o filozofii i literaturze! Mój Boże!

Danielewicz serdecznie Cię ściska; stał się z niego kompozytor wielki muzyczny. Geniusz muzyczny buchnął raptem z głowy, jak Minerwa całkowita, uzbrojona, z jowiszowego mózgu. Wszyscy znający się przyznają mu ogromny talent. *Addio*, mój drogi Konstanty, kochaj mnie i nie zapominaj!

Z.

94. DO JOANNY BOBROWEJ

Mediolan, 4 listopada 1834

Pani!

W chwili wyjazdu z Mediolanu, gdzie pozostawałem do dnia dzisiejszego, zatrzymany przez kwarantannę, którą zmuszony jest odbyć każdy statek parowy w Genui z powodu cholery, wzbudzającej szaloną obawę w królu neapolitańskim, posyłam Pani to, co napisałem o jej kuzynce. Niechaj Pani widzi w tem tylko zamiar spełnienia jednego z jej życzeń, bo samo wykonanie — jestem przekonany — nie wiele warte. Jedenastego b.m. przybędę do Rzymu. Ze smutkiem powitam okna Pani na Corso — i wszystko, aż do starego Aignera, będzie na mnie sprawiało wrażenie przez pamięć chwil, przebytych w domu Pani.

Jak się Pani miewa? Czy lepiej pod kierunkiem Carrusa, czy też Sauvana?

Co do mnie, dość marnie się czuję. Nudzi mię wszystko, co mię otacza, i to, co otaczać mię będzie — wskutek powziętego z góry uprzedzenia. Nie widzę innego środka, jak tylko porzucić któregokolwiek dnia scenę, gdzie dla mnie roli nie ma. Być wśród figurantów — rzecz mała i licha. Ażeby zaś grać pierwsze role, potrzeba *primo*: innego teatru, następnie potrzeba... Bóg wie, czego potrzeba. — Czy wygrałem zakład? Czy Pani była na balu? A może przegrałem? Bal to piękna rzecz dla tego, kto ma lat piętnaście i wybiera męża lub nawet szuka żony! Dla reszty śmiertelników jest to mdłe przepędzenie czasu, jednakże myślałem często, że chciałbym ujrzeć Panią na balu, ażeby wygrać zakład, jestem bowiem przekonany, że Pani ożywia się na dźwięk muzyki, na widok wesela i girland z kwiatów — albo może się mylę. Gdyby Pani wiedziała, jaki jestem samotny od czasu, kiedy nie słyszę dąsów Lolly i dowcipów Mimi, a potem tego przeciągłego akcentu bony: „Idźcie do drogiej waszej Mamusi!".

Istotnie, stałem się rośliną pasożytną w salonie Pani, a wie Pani, że bluszcz, latorośl winna i wszystkie gatunki tych badyli więdną i zamierają, gdy się je odrywa. Oto i teraz zdaje mi się, że wszędzie spostrzegam powóz Pani albo karocę jej męża, zdaje mi się, że słyszę wszędzie jej głos i jej dzieci. I zawsze się mylę, i wracam do tych złudzeń, bardziej, niż zwykle, zawiedziony. Dziwny to zwyczaj szukać osób żywych tak, jakby się szukało i wywoływało zmarłych. I jestem pewny, że, gdyby Pani mogła widzieć myśli moje, zawsze ku Niej zwrócone, znudziłoby to Panią nareszcie. Teodor powiedziałby, że to jedna z moich myśli dziwacznych lub jeden ze śmiesznych zwyczajów. Niechaj to sobie będzie, jak chce, ale tak jest. Jestem dość samolubnym, aby nieustannie, dwadzieścia razy na dzień wyobrażać sobie, że spostrzegam błękitny lub różowy kapelusz Pani, czarny lub biały jej męża, że widzę przesuwający się trzewiczek Lolly i rozwiane loki Zosi — a to wszystko sprawia, iż mniej nędznie przepędzam moje nędzne dni.

Jeden tylko wypadek mógłby zmienić bieg moich myśli i nieznośny stan mej duszy. Oto: gdyby statek parowy się rozbił, i gdybyśmy wszyscy wraz z nim się rozbili. Wtedy można przypuścić, że zupełnie ukojony zasnąłbym na dnie Morza Śródziemnego. Lecz,

[120] *poëtis atque pictoribus* (łac.) — poetom i malarzom. [przypis redakcyjny]

skoro marzę jeszcze, to pewna, że marzyć będę o dawnym nałogu znajdowania się w salonie Pani.

Przyjmij Pani wyrazy mego najgłębszego szacunku.

Zyg. K.

95. DO JOANNY BOBROWEJ

Rzym, 1834. 11 listopada

Pani!

Wczoraj otrzymałem list, który Pani była tak dobra do mnie napisać, natychmiast po mojem przybyciu. Przy odczytywaniu go zdawało mi się, że słyszę dźwięk tych samych dzwonów, o których Pani mówi. Doprawdy, jest coś gorzko smutnego w przeczuciach Pani samej o sobie i w opinii, jaką Pani sobie o mnie wytworzyła. Niech Bóg broni, aby się pierwsze kiedykolwiek spełniły, niech Bóg broni, aby Pani drugą zachowała. Że ja mogę leżeć w łóżku, że mogę być oddzielony od świata — to naturalnie, to dobrze; lecz co do Pani, o którą cały świat się upomina i ma prawo się upominać, to straszne wiedzieć, że Pani jest w łóżku, to straszne wiedzieć, że Pani jest cierpiąca, myśleć, żeś sama, zupełnie sama w cierpieniu, a potem jeszcze przyjdą fałszywe przyjaciółki zasiąść u wezgłowia Pani, przyjdą z radością w sercu, że już nie możesz ich zaćmiewać, przyjdą oświadczać ci zainteresowanie się i współczucie — a Pani będzie wiedziała o tem wszystkiem i będzie zmuszona dziękować im dla zachowania konwenansu. Nie ma nic okropniejszego nad te ludzkie konwenanse wtedy, gdy się leży na łożu boleści. Nie uwierzy też Pani, jak cierpię z tego powodu, że Pani cierpi.

Jednakże Sauvan pociesza mię trochę, utrzymując, że niedomaganie Pani długo trwać nie może i nie ma w sobie nic groźnego. — Teraz chciałbym powrócić do tego, co Pani mówi o mojej wyobraźni, o fałszywości tej wyobraźni i o tem, że ja sam wiem doskonale, iż moje idee są fałszywe. Za każdym razem, kiedy Pani dotknie mojej miłości własnej lub moich myśli takich, jak je wynurzam, będę miał dla Pani jak najgłębszą wdzięczność, bo wówczas albo wytknie Pani coś śmiesznego we mnie, a ja postaram się pozbyć tego, lub wskaże mi Pani błąd, a ja postaram się z niego poprawić. A wówczas jeszcze mi zostanie coś głębszego, szlachetniejszego, niż śmieszność, coś prawdziwszego, niż błąd — zostanie mi głąb mej duszy i tam będę mógł cofnąć się z uczuciem pociechy.

Lecz, oskarżając mię, że sam wiem, iż moje idee są błędne i że je podtrzymuję tylko przez zamiłowanie do mistycyzmu i potęgi złowrogiej wróżby, czy wie Pani, co czynisz? Zarzuca mi Pani złą wiarę, podkopujesz grunt we mnie, zstępujesz w najgłębsze tajniki mego serca i mówisz: „Tam jest tylko wyrachowanie — ten człowiek stworzył sobie doktrynę poetyczną, której nie odczuwa, z której — być może — sam się wyśmiewa, a idzie za nią, aby tylko oszukiwać innych". Otóż, widzi Pani, gdyby ktoś przyszedł z bardzo daleka i powiedział mi, że Pani tak o mnie myśli, nie uwierzyłbym w to. Nie pojmuję, jakim sposobem mogła powstać w Pani podobna myśl o mnie. Wzbudzać tego rodzaju opinie w tych, których się nad wszystkich poważa, na których nam najwięcej zależy — jest to prawdziwe nieszczęście. To jedna z najdotkliwszych przykrości, jakich doświadczyłem w mem życiu. Bo przecież zna mię Pani tak dobrze, jak mało osób na tym świecie. Żadnego z mych błędów, żadnego z dziwactw, niczego, co tylko jest we mnie złem, nie ukrywałem przed Panią — lecz z drugiej strony spodziewałem się, że Pani wie o jedynej, być może, dobrej rzeczy, którą zawiera dusza moja — o mojem sercu, bo ono właśnie zawsze powstrzymywało mię od uciekania się do fałszu względem Pani, bo zawsze okazywałem Pani jak największy szacunek i jak najszczersze uwielbienie. I właśnie dlatego, że uwielbiałem i szanowałem Panią, nie mogłem nigdy mówić Pani nic innego, jak tylko to, w co sam mocno wierzyłem. To, co by mi Pani sprawiedliwie zarzucić mogła, to chyba coś nieokreślonego w myślach moich, w przeczuciach, w opowiadaniu tego, co mi cięży zawsze i wszędzie — ale czy taka nieokreśloność jest złą wiarą?

Nieokreśloność oznacza dwie rzeczy: albo brak związku między uczuciami, których dusza doznaje, albo też rzeczy mocne i pewne, które przeniknęły aż do szpiku kości, lecz

które nigdy całkowicie z ust nie wyszły — które na wpół tylko mogą się wyrażać, bo są zbyt bolesne, aby się w całości wyrażać mogły — które przez to samo wreszcie, że nigdy z duszy nie wyjdą całkowicie, rzucają na wszystko, na najmniejsze szczegóły, coś smutnego i nieukojonego. Jeżeli Pani jeszcze pamięta nasze wspólne rozmowy, jeżeli jeszcze mogę się spodziewać, że ich wspomnienie nie zatarło się w umyśle Pani, jeżeli Pani zauważyła to, co wyrażałem, i to, czego nie domówiłem, jeżeli lepiej, niż moje określone wyrazy, ma Pani jeszcze w pamięci moje długie i pozytywne milczenia — niech Pani sama orzecze, w którym z tych dwóch przedstawionych Pani wypadków ja się właśnie znajduję? Powiedziałem, że Pani była sprawiedliwą, oskarżając mnie o nieokreśloność. Chciałbym dodać jeszcze jedną myśl swoją. Sprawiedliwość tem jest prawie w sferze duszy, czem matematyka w sferze ciał. Obie są surowe i niewyrozumiałe. Obie są córkami Rozumu a nie Serca. Otóż nigdy nie przestanę wypowiadać mej wiary w tym względzie. Rozum wydaje mi się znacznie niższym od serca, a wszakże to nie na sprawiedliwość Boga liczymy, lecz na jego łaskę i miłość nieskończoną, kiedy wznosimy oczy ku niebu, aby Go prosić o litość nad nami. Na przyszłość, błagam, niech Pani nie ma o mnie tak złej opinii, niech Pani nie stawia mnie w rzędzie chorych z przywidzenia. Niegdyś życie moje musiało być zbyt piękne, skoro wyobraźnia moja sama jedna mogła je zwarzyć, a jeżeli ono się zwarzyło, to dlatego, że wielu modlitw wcale nie odmówiono, że wiele nadziei, i to słusznych, nie spełniło się, że pozytywna rzeczywistość zagrodziła mi drogę. Ta właśnie wewnętrzna wiara sprawia, że najczęściej nie odpowiadam wcale na oskarżenia i na uwagi, jakie mi czynią, bo myślę wówczas, że godność moja nie powinna zważać na nic; lecz tu nie było tego wypadku. List Pani przeraził mię, bo pragnąłem go zawsze, chciałbym go ciągle — i życzę sobie, aby Pani miała o mnie pojęcie szlachetne. Umysł mój mogę rzucić krytykom świata jako rzecz, którą mało sobie ważę — lecz, jeżeli już raz wyraziłem i odkryłem komukolwiek najtajniejsze uczucia mojej duszy, mam prawo żądać, zgodzi się Pani, aby je ten ktoś zrozumiał i nie wydawał o nich tak okrutnego sądu, jakim był sąd Pani. Niechaj Pani zapyta tych, którym nic z mej duszy nie powierzyłem, którzy mię znają tylko z widzenia i słyszenia w świecie. Wszyscy oni powiedzą Pani, że nie znali nigdy weselszego i szczęśliwszego człowieka. Niech Pani zapyta tych, którzy mię znają i pojmują. Odpowiedzą Pani, że nigdy nie znali człowieka smutniejszego i bardziej ponurego. Być może powiedzą też, że nie wiedzą, dlaczego. Bo to „dlaczego", Pani, to ostatnie schronienie mej duszy, to jej niewidzialny zakątek. W starożytnych świątyniach znajdowały się zasłonięte posągi. Gmin przychodził i oddalał się, nie znając tajemnicy — lecz byli ludzie, którzy ją posiadali, chociaż nigdy nie podnieśli zasłony! Dlatego też powinna by Pani wierzyć, że nie ma złej wiary w człowieku, co bywa wesołym tylko dla tych, których chce złudzić, a zawsze jest smutny z tymi, którzy mu są drodzy.

Jeżeli Panią znudziłem, daruj mi! Tak, czuję to, znudziłem Panią. Niech Pani przeczyta to, co piszę, jako dowód wysokiego poważania, najszczerszego, największego szacunku, jaki dla Pani odczuwam; bo, gdyby było inaczej, starałbym się odpowiedzieć w tonie lekkim i żartobliwym, nie poruszyłbym aż do głębi mej duszy wszystkich bolesnych prawd, które tam się rozpościerają i złożone są na zawsze — lecz nie śpią.

O, Pani, jakże jest smutnym dla mnie obraz Twych cierpień! Jakże chciałbym być w Dreźnie, chociażby dlatego, aby codziennie zasięgać o Pani wiadomości, aby rozżarzać węgle na Jej kominku, lub od czasu do czasu opowiedzieć Pani jaką starą opowieść. A co do czarnej wyobraźni, to sądzę, że i Pani także jest bardzo wrażliwą.

Po cóż Pani myśli o swych ostatnich godzinach? Dla kobiety tyle jest rozsianych po świecie uśmiechów, tyle codziennych drobiazgów, zdobiących dowolnie jej byt; tymczasem dla mężczyzny jest tylko pole bitwy i trybuna. Nie, Panią jeszcze otoczą objawy szacunku, czci i hołdów. Jeszcze na drogę Pani rzucać będą wieńce kwiatów. Będzie Pani miała chwile, w których poczujesz całą świeżość młodości i najpiękniejsze nadzieje. I jeżeli w jednej z takich chwil spotkam Panią wesołą, wielbioną, z uśmiechem na ustach, królową wśród szmeru i zachwytu, to, tak, jak i dziś, mało elegancki, mało mający nadziei, powiem Pani: „Kto z nas miał słuszność?". A jednak wówczas szczęśliwym będę, widząc Panią w chwili pełnego wdzięku poddania się i radości. Bo ileż razy, gdym Panią widział omdlewającą na kanapie, pragnąłem w duszy, chociażby z daleka, zobaczyć Panią świetną i olśniewającą wśród ciżby, tłoczącej się za Nią.

Postanowiłem pozostać w Rzymie, by przepędzić tu cały karnawał. Długo nienawidziłem Rzymu — teraz kocham go. Niech Pani będzie tak dobra i napisze mi kilka słów, abym wiedział, jak się Pani miewa. Będę w największym niepokoju, dopóki nie otrzymam wiadomości o Pani.

Zyg. K.

Dzięki Ludwice, że myśli o mnie!

Zakaz pisania o kuzynce Pani przyszedł już za późno. Prawdopodobnie już Pani otrzymała urywek, który posłałem z Mediolanu. — Nawet przelotne życzenia Pani były dla mnie zawsze prawem.

96. DO HENRYKA REEVE'A

1834 r. Rzym, 12 listopada

Masz najzupełniejszą słuszność, gdy zarzucasz mi jednostajność: zawsze to samo, wielka fala, która wznosi się i opada. Toteż wedle praw mojej jaźni jestem teraz pogrążony w najgłębszej apatii. Wszystko mi obrzydło, nienawidzę nawet obłoków, które przechodzą nad mą głową, i żądam od Boga, od przyrody, od społeczeństwa ludzkiego, od wszechświata czegoś, co mogłoby wypełnić moje serce i pustkę mojej duszy. Próżna i pusta jest dusza moja. Jestem tylko grobem pobielanym. Myśli moje nie warte są zgnilizny kości umarłych. Z dniem każdym staję się bardziej samotnym, bardziej odosobnionym na świecie. Z każdą chwilą mniej mam wspólnego z ludźmi. Wszystko, co ich w całości spotyka, mnie częściowo się tylko zdarza. Ich najprostsze przyjemności zawierają dla mnie olbrzymie przeszkody, a z drugiej strony moje pożądania i namiętności są dla nich niezrozumiałe. Nie wiedzą, jak mię nazwać. Jednego dnia mówią: „To szaleniec", a potem: „To dziecko", wreszcie: „To demon". A cóż oni o tem wiedzą i cóż ja sam wiem o tem? Wiem tylko, że ciężar mię przygniata, nuda pożera, a żądze nieokiełzane mną miotają. Chciałbym rozpłynąć się w czemś, co bym kochał, jak święta kocha Jezusa Chrystusa. Chciałbym, żeby mnie spotkało to, co Semelę, gdy Jowisz w swojej chwale zeszedł do wezgłowia jej łoża. Stała się popiołem mocą płomienia, którym była. Siłą uczucia stała się nicością. A ja czasem jestem tak bliski nicości, że pożądam gorąco wrażeń półboga, by się podnieść i uzdrowić.

Ach, nieraz, gdy jestem sam w pokoju, w dzień duszny i mroczny, gdy po wchłonięciu tego, co mi pozostało jeszcze z myśli i wspomnień, wstaję ze swojej sofy bez wiary, bez miłości, bez nadziei, zdaje mi się, że z rozkoszą zwróciłbym się przeciwko wszystkiemu, co żyje i co istnieje, przeciwko sobie samemu, przeciwko latom, które przeszły, i tym, które mi do życia pozostały. Bywają uczucia piekielne, które wślizgują się niekiedy do serca ludzkiego. Cierpienie fizyczne sprawia, że wracamy do Boga, że podnosimy oczy ku niemu, by zlitował się nad nami. Ale cierpienie moralne odpycha, oddala nas od nieba. W duszy, która się pożera, która zwraca się ku sobie i naprzód nie postępuje, rodzą się zachcianki szatańskie, pożądania pychy bezgranicznej, halucynacje zemsty przeciwko najwyższej potędze wszechświata. Zdziwisz się, Henryku, słysząc, że tak przemawia człowiek, który niegdyś tak silnie wierzył w Boga i tyle pokładał w nim nadziei. Ale szedłem szybko po drodze wiodącej do zguby. Stałem się łupem moich żądz i moich namiętności; nic mię zadowolić nie mogło.

W znoju upłynęło życie moje zarówno na drodze zła, jak na drodze dobra. Skutki występku i cnoty były dla mnie prawie jednakie, to znaczy: żadnej pociechy, żadnego spokoju serca. Często, źle czyniąc, czułem w sobie pełnię sił i rodzaj fanatycznej świętości. Często, postępując dobrze, czułem w duszy gorycz i słabość. Wyprowadziło to z równowagi moją religię, moją filozofię, jednem słowem wszystkie moje wierzenia; wreszcie nicość mego życia napełniła po brzegi czarę obrzydzenia. Nudziłem tych, których najbardziej kochałem. Kto mnie zna powierzchownie, utrzymuje, że jestem wesoły, że mam serce i umysł, że wdzięk i pomoc we mnie znaleźć można. Kto mnie zna dokładnie, ucieka przede mną, pyta mię, kim jestem, skąd przychodzę. Kobieta, którą najdłużej kochałem i która mnie najsilniej kochała, wyobraziła sobie w końcu, że jestem diabłem. Jednem słowem, jestem

w wojnie z ludźmi, mymi braćmi. Wszyscy mię nudzą i zanudzają. Świat od gwiazd do kwiatów, od pojęcia anioła do pojęcia dziecka stał się dla mnie nudnym, powtarzającym się dowcipem. Jestem za młody, by w łeb sobie palnąć, za stary, by szkołę na nowo rozpoczynać. Jestem jedynie zdatny do odgrywania roli skorpiona przez lat dziesięć, a następnie do wydania swego ostatniego tchnienia w przekleństwie lub w długiem ziewnięciu. Ach, jeśli wiesz, gdzie znajduje się promień nadziei, nowa zorza, wiara młoda, zdolna mi serce wypełnić, powiedz mi o tem, Henryku! Daj mi ideę lub rzecz, którą bym mógł ubóstwić, z której bym mógł sobie ołtarz uczynić, a ległbym przy niej i żyłbym miłością, uwieńczony kwiatami, osnuty kadzidłami, otoczony muzyką. Widziałem dzisiaj chłopa polskiego, brudnego i zgrzybiałego, który z kosturem w ręku i z dwiema muszlami pielgrzymimi na plecach przyszedł pieszo z Warszawy do Rzymu, by klęknąć u grobu św. Piotra. Gdy go zobaczyłem, pozazdrościłem mu jego podróży, jego idei, która tak silnie go pchnęła naprzód. Daj mi ideę podobną, a jeszcze jeden świat stworzę!

Chłop, Pielgrzym

Jadę do Neapolu dopiero za dwa i pół miesiąca. Nie mam najmniejszego pojęcia, co dalej zrobię. Ale przyjedź w lutym do Neapolu, a zobaczysz coś w rodzaju trupa, toczonego przez robaki. Handley jest tem, za co go uważasz. To człowiek, który ma całe moje poważanie. Żegnaj! Uszanowania dla matki Twojej, ukłony dla Waleriana.

Zyg. Kras.

Pisuj do mnie, jak możesz, najczęściej.

97. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Rzym, 29 novembra[121] *1834*

Przybywszy do Rzymu, ugrzązłem i siedzę tu do czwartego marca, potem do Neapolu jadę. Pisz więc tutaj: Hôtel Spillman, via della Croce. Wciąż słaby jestem na duchu, roją mi się fantasmata w sercu i mózgu, nieskończone żądze, niewymowne upragnienia, którym nigdy nie stanie się zadość, jako się nigdy nie stało. Są chwile, w których upadam na łóżko i leżę jak martwy, ale są i takie, z których myśli duszy mojej wytężam, gdyby ramion tysiąc, w które objąć chcę świat cały, wszystkie piękności ziemi i nieba. Tak Briareus, olbrzym, stąpał ku mieszkaniu bogów i, dostawszy piorunem w łeb, zwalił się pod gruzami gór, które dźwigał. O, gdybym choć raz mógł na jawie obaczyć wszystkie moje ukryte żądze, sklejone w ciało, ubrane w formę! Ponieważ jestem mężczyzna, ta forma musiałaby być kobietą. Nie byłby to posąg Pigmaliona, ale ona, utworzona z żebra duszy mojej; poznałaby mnie, byłaby mną i sobą zarazem. O, wtedy, sam na sam ukląkłbym przed jej śnieżnem ciałem! Nie byłaby to Wenus grecka, owszem, w jej urodzie przebijałaby powaga Apollina belwederskiego, ale ta uroda wzniosła, ta duma wzroku, to panowanie nad wszystkimi w łzy by się rozpłynęło przede mną. Dla mnie ona by śpiewała piosenkę dziecinną, dla innych straszną pieśń natchnienia.

Kobieta, Marzenie, Mężczyzna, Muza

Dzisiaj, nie wiem skąd, poezja mnie odwiedziła. Ale nie ma, nie ma jej! Pięść gryzę, jak niedźwiedź litewski łapę swoją w zimie.

Przesyłam Ci z tym listem sto piastrów rzymskich, co podobno czyni pięćset trzydzieści franków; przyjm je ode mnie, a jeśli Ci się na co zdadzą, to wdzięczność z mojej strony pozostanie, żem mógł sobie, mój drogi, ulżyć chwil kilka tego przeklętego życia.

Z.

Napisz co w rodzaju *Pana Tadeusza*, np. Uniwersytet Warszawski z wszystkiemi śmiesznościami swemi; bohaterem takiego poematu mógłby zostać Lach Szyrma.

98. DO JOANNY BOBROWEJ

Rzym, 4 grudnia 1834

[121] *novembra* — listopada. [przypis edytorski]

Pani!

Milczenie Pani sprawia mi niepokój okrutny. Zdaje mi się zawsze, że widzę Panią cierpiącą i omdlewającą na łóżku lub na kanapie. Potem nieraz myślę o antypatii, jaką wiem, że Pani ma do pisania listów, i to mię wówczas pociesza, gdyż, wiedząc o tem, wolę przypisać milczenie Pani temu, co nazwałbym niedbałością, zniechęceniem, wahaniem się, lub wreszcie wolą nawet, aniżeli niezdrowiem. Jednakże, bądź co bądź chciałbym mieć przynajmniej od Pani te słowa: „Lepiej mi". Potem przychodzi mi jeszcze na myśl, że moje lub Pani listy giną, a dostateczna jest przestrzeń między nami, aby niezręczność pocztyliona mogła mi złe sny sprowadzać. Jednem słowem, chciałbym bardzo wiedzieć, co się z Panią dzieje. To może śmieszność z mojej strony lub dzieciństwo, nie móc zapomnieć łatwo o osobach z któremi żyłem, mówiłem wiele, u których stołu siadałem, których szczęściem zainteresowałem się, których dobroci zawdzięczałem dni nie tak ponure i milczące jak te, które zwykle spędzam z sobą samym.

Świat w ogóle inaczej w takich razach postępuje; tak nawykł zmieniać znajomości, przystosowywać się do wszystkiego i żyć powierzchownie, że pożąda jedynie nowości i nigdy nie żałuje przeszłości, dość podobny w tem właśnie do dzieci, które bawią się dobrze tylko nowemi zabawkami. Lecz ludzie mówią, że tego właśnie potrzeba, a życie większości z pośród nich upływa na przedstawianiu się i żegnaniu, co jest najwyższym konwenansem, przyjętym w towarzystwie. Tam, gdy się powie: „żegnam pana" lub „żegnam panią" — wszystko skończone ku wielkiemu zadowoleniu stron obu. Ja jestem inny i, gdy znałem kogoś długo, gdy raz poświęciłem mu coś głębszego, niż słowa i bilety wizytowe, wtedy wyraz „żegnam" zawiera dla mnie nadzieję zobaczenia go znowu i obietnicę myślenia o nim, żądania ciągle o nim wiadomości, życzenia mu ciągle dobrze, świadczenia mu przysług za każdym razem, gdy Bóg sposobność nadarzy — oraz prośbę, aby ten ktoś zechciał czasami przypomnieć mnie sobie. — Oto widocznie nowe źródło nudnego dziwactwa, które Pani odkrywa we mnie. Lecz, Pani, czyż mogę się zmienić? Czy człowiek może sprzeciwić się Stwórcy swemu i być innym, niż go stworzono? Do dzisiejszego dnia przynajmniej to było niemożliwem; być może przyjdzie i to z postępem oświaty. Opierając więc na tych zasadniczych podstawach moją korną prośbę, pytam się, czyby Pani któregokolwiek dnia lub wieczora, znalazłszy przypadkiem na stole kawałek zmiętego papieru, urywek papilota lub szczątek tektury, nie mogła ołówkiem, piórem lub szpilką skreślić kilku wierszy, które by mi powiedziały, jak się Pani miewa i co dokazuje moja młoda narzeczona, Lolly, a potem przesłać mi je przez smutne śniegi, które dzielą Panią od Włoch, równie smutnych dla mnie, jak śniegi. Bo i ja także zapadłem na chorobę piersiową i cierpię dość silnie, by mniemano, że mi zagrażają suchoty — ponure dziedzictwo, jakie mi przekazała matka moja wraz z wyobraźnią, jeszcze bardziej ponurą. A Pani powie, przeczytawszy te wyrazy: „Ach, ach! Oto znów choroba z przywidzenia. Należałoby wyryć na jego grobie:
Tu leży
ten, który wyobraził sobie,
że umarł".

Nieprawdaż?

Ale chcę Panią pobudzić do śmiechu. Dajmy pokój smutkom! Bawi tu pani Bobonigo, która według mego zdania jest kobietą najśmieszniejszą, lecz zarazem ma najwięcej przebiegłości i taktu ze wszystkich kobiet, jakie tylko znałem. Ona też zwiedzie wielu — a biada temu, kto wpadnie w jej sieci, zawsze zastawione, zawsze przygotowane, zawsze drżące pożądaniem schwytania ofiary; bo już nadaremnie błagać będzie o czułość lub litość. Znajdzie tylko ironię i sarkazm, próżność i miernotę tryumfującą. Czasami bywam u niej. Zastaję ją zawsze leżącą, utrzymującą, że jest słaba, schylającą głowę na ramię, układającą się na kanapie, dopóki nie znajdzie najpowabniejszej pozy i wtedy mówiącą nieokreślenie, cichym głosem, jak osoba zatopiona w potężnych marzeniach. Otóż jedynem jej marzeniem jest uważać, czy sprawia efekt. Przy tem na stoliku z boku znajduje się alabastrowe popiersie Chrystusa Buonarottiego i tuż zaraz alkoran u stóp wspaniałego krzyża z drogich kamieni i złota. Olbrzymi stos romansów tworzy jakby poręcz nad brzegiem stołu — bliżej niej leżą plany architektoniczne, projekty pałaców i kościołów na Ukrainie, aby nie powiedzieć w Hiszpanii. Dalej drzwi uchylone do buduaru markiza

Bobonigiego. Tam ośm błyszczących lasek leży rzędem na stole, zarzuconym cackami — i wznosi się srebrna toaleta na śnieżno białym obrusie.

W rzeczywistości margrabina jest dość niewykształcona. Myli się w historii, w literaturze i poezji dość często, aby książęta rzymscy, jej wielbiciele, uważali ją i rozgłaszali jako studnię uczoności. Na fortepianie gra nie tak biegle, jak pani Groch. Dość dobrze brzdąka na gitarze. Słowem, utrzymuję, że to zupełnie pani Otylda, tylko mająca trzy lub cztery razy więcej pieniędzy na wydatki i fałszu do ukrywania się, ale w gruncie rzeczy jest ten sam brak naturalności, to samo szalone pragnienie zawracania głowy wszystkim i każdemu, te same środki, wymyślone, aby zainteresować sobą i rzucić melancholijną zasłonę na swe rysy, które więdną same z siebie, ta sama sztuka i zabiegliwość i wyrachowanie w dramatyzowaniu każdego ruchu, każdego kroku, każdego wyrazu. Wyższość margrabiny polega na tem, że jest obdarzona większą inteligencją i większą znajomością zwyczajów wielkiego świata. Wyższość pani Otyldy jest w tem, że nigdy nie przywdziewa sukien wygorsowanych.

Po porównaniu tych dwóch znakomitych dam widzę, że papier już się kończy. Żegnam Panią i niech Bóg zsyła na Panią wszystkie swe błogosławieństwa. Kazałem odprawić msze w kościele Il Jesù e Maria al Corso. Czy mogę, Pani, pochlebiać sobie nadzieją, że otrzymam wkrótce wiadomości o zdrowiu Pani i jej dzieci?

Zygm. Kras.

Konstanty poleca mi złożyć Pani swoje najgłębsze uszanowanie.

Przed dwoma dniami widziałem rękę Pani u jednego rzeźbiarza na Corso.

99. DO JOANNY BOBROWEJ

Rzym, 1834. 9 grudnia

Pani!

Jestem bardzo wdzięczny za to, że Pani była tak dobrą i napisała do mnie. Zarzuca mi Pani, że źle zrozumiałem Jej pierwszy list — przepraszam, stokrotnie przepraszam — lecz nie może mi Pani wyrzucać tego, że ze wszystkich sił pragnąłem się uniewinnić. Chciałem, aby Pani wiedziała, aby Pani wierzyła, że są istotne nieszczęścia, związane z moją istotą, z moim losem — nie dlatego, aby Panią zainteresować tą istotą lub tym losem, lecz aby Panią przekonać, że ta istota nie kłamała, nie udawała wobec Pani, a jeśli miała nieszczęście znudzić lub nie podobać się Pani, mniej w tem było jej własnej winy, niż winy przeklętego przeznaczenia — bo ono, Pani, jest przeklętem.

Tak, Rzym ma dla mnie jeden potężny powab, ten właśnie, że tu wiele cierpiałem i wiele uwielbiałem — ale też ten jedyny, bo widuję księżnę Lubomirską, którą cienie śmierci z dniem każdym coraz bardziej spowijają — bo nigdzie nie chodzę. Spaceruję nawet rzadko. Nadzwyczajnie cierpię na piersi, a trochę mniej na oczy, co pozwala mi pisać czasem i czytać, poruszyć to tu, to tam kilka iskier w popiołach mojej wyobraźni, która niegdyś obiecywała mi sławę a dziś zanika, jak cała moja istota. Jednak, zanim zniknę z widowni, chciałbym na niej zostawić coś, co by mię przypomniało tym, którzy nigdy nie słyszeli mego imienia. Na kilku stronicach chciałbym zebrać wszystkie me myśli, wszystkie me marzenia, wszystkie moje oddalone ambicje, które — czuję to — nie urzeczywistnią się nigdy. Chciałbym to, co stanowiło cel moich myśli, wcielić w jeden silny, majestatyczny wyraz, potem niech się spełni wola boża. A ponieważ akcja tego, nad czem pracuje mój umysł, rozgrywa się w Rzymie, w głębi katakumb, wśród męczenników, na wyżynach Kapitolu, obok purpury cezarów — oto także dlaczego wolę pobyt w Rzymie, niż w Neapolu. Przy tem w Rzymie — jak to Pani mówiłem — wiele cierpiałem i wiele uwielbiałem.

A oto jeden ustęp z listu Pani przypomniał mi ponurą historię, historię, którą często sam Pani opowiadałem. Czy Pani przypomina sobie te blond włosy Cecylii Metelli, którą rzucono do Tybru — to ciało kobiety tak pięknej i tak kochanej, która, spoczywając w ciszy grobu, w ciągu wieków była z niej wyrwana na rozkaz kilku nędznych księży i niemiłosiernie strącona do rzeki, na której brzegach królowała uśmiechem i łzami. Spierali

się nawet, czyby nie lepiej było spalić jej szczątki a popioły rozsypać, lecz za wspólną zgodą postanowili wrzucić ją do wody, w czasie ciemnego jesiennego wieczoru, przy wyciu gwałtownego wichru. I uczynili to bez miłosierdzia! Czy Pani przypomina sobie to podanie?... Czy Pani wyobrażała sobie kiedykolwiek tę biedną Cecylię, pogrążającą się w głąb Tybru i tych czarnych ludzi w długich sutannach, cieszących się nad brzegiem z dzieła swego? Mówią jeszcze, że kobiety, którym poruczono stoczenie trupa w nurty, zatrzymały się, przejęte bojaźnią i litością, na widok tych falujących włosów, tak delikatnych, rozwijających się na wietrze i w lokach spadających na jej łono, którego śmierć i czas zniszczyć nie mogły. Lecz księża nazwali je buntownicami i wzywali imienia Boga miłości i miłosierdzia dla usprawiedliwienia świętokradztwa, a Cecylia Metella, podrzucana, porywana, wpół pochłonięta, popłynęła z biegiem rzeki w stronę morza. Żaden żeglarz ani rybak nie zobaczył jej już nigdy. Niekiedy w samotnej wieży słychać słabe jęki, podobne do tych, jakie wydaje opuszczona dusza, gdy wichry rozniosły ostatnie rękojmie jej miłości, jej ostatnie pamiątki.

Nie wiem, skąd przypomniała mi się ta cała historia — niech Pani sama powie — nieprawdaż? To dziwne! Nie wiem, jakim wypadkiem wczoraj rozmowa wpadła na Drezno, i Sołtan opisał mi most na Elbie, potem Chrystusa, który się tam znajduje; to musi być rzecz bardzo piękna.

Miasto, Melancholia, Historia

Mój Boże, mój Boże, pyta mię Pani, dlaczego pozostaję w Rzymie. Rzym, to tak jak ja — ruiny wśród skwarnej pustyni piołunu. Rzym ośmielił się wszystkiego żądać od nieba: panowania nad ciałami i nad duszami — potem nadszedł dzień, kiedy się on znalazł leżącym wśród cierni i wężów, przetrząsanym przez cudzoziemca, żołnierza, wędrowca, przygnębionym swemi własnemi wspomnieniami, opadającym na siłach ze znużenia. Dziś kona on w pięknych promieniach słońca, kona, spowity w błękit swego nieba. Na każdym z jego kamieni napisano: „Bez nadziei".

Lecz zdrowie, zdrowie Twoje, Pani! Niech się Pani szanuje, wraca do życia i do towarzystwa! Dręczę się bardzo często myślą, że Pani źle się miewa. Proszę Boga, aby obdarzył Panią radością i szczęściem. Ciągle o Pani myślę, a im więcej myślę tem bardziej podziwiam to wszystko, co przymioty Pani mają wzniosłego i pięknego — tem bardziej umysł Pani, wolny od wszelkiej przesady, przedstawia mi się jako wznoszący się ponad te wszystkie wykrygowane marionetki, które świat zwykł nazywać „czarującemi kobietami" lub „mądremi kobietami". Słowem, jedyną moją pociechą jest myśleć, kiedy skończę to, czego nie zacząłem — życie (bo gdzież ja żyłem?). Niech Pani zechce niekiedy z dobrocią wspomnieć o człowieku, który nigdy nie przestawał życzyć Pani takiego szczęścia, jakie tylko dusza jego pojąć mogła.

Z żywą radością dowiedziałem się, że się Pani zabrała do angielskiego, bo, jeżeli się nie mylę, to ja pierwszy tę myśl Pani poddałem i udzieliłem pierwszych lekcyj w Kissingen. Czy Pani pamięta ten stoliczek, tego Szekspira czarnego i starego, ten wspaniały monolog Hamleta, który Pani tłumaczyłem i którego pierwsze wiersze udało się Pani tak poprawnie wymawiać:

„*To be or not to be, that is the question*[122]!"

Czytałem wiele rozmaitych rzeczy, ale nigdy nie znalazłem na tym świecie nic, co by dla mnie równało się nieprzepartej mocy, potędze magicznej tego wiersza. Pani też wie, jak go kocham i jak często go powtarzam. Dziesięć razy dziennie jest on na mych ustach i w mojej myśli — to jak ogniwo magiczne, które się wpiło wokoło mego serca — to jak przyjaciel, którego odnajduję w danych chwilach, czasem to jakby wspomnienie, potem znów jak nadzieja. Zdarza mi się, iż wymawiam go we śnie, iż chcę po przebudzeniu coś powiedzieć a zamiast tego, zaczynam: „*To be or not* etc.".

To dziwne, że tych kilka słów tak skrępowały moją duszę.

Pyta mię Pani, co czytać po przeczytaniu Moora. Niechaj Pani weźmie Byrona — *Manfreda* Byrona lub jego *Bride of Abydos*, albo *Parisina* lub też *Giaura*. Niech Pani nie czyta *Don Juana*. Jest to dzieło, którego ja sam, aczkolwiek zahartowany w pojęciach mojego wieku i goryczy naszej literatury, nie mogę czytać bez cierpkiej, głębokiej przykrości — tyle tam rozsiano ironii. Wątpię, czy kobieta może być szczęśliwą po przeczytaniu tego poematu. Przede wszystkiem niech Pani przeczyta *Five Worshippers* Moora. Niech Pani

[122] *To be or not to be, that is the question!* — Być albo nie być, oto jest pytanie (*Hamlet*). [przypis redakcyjny]

kupi poezje Felicji Steamans. Są to słodkie, dźwięczne poezje kobiece — sprawią one Pani przyjemność. A potem, kiedy Pani pocznie łatwiej rozumieć język — przystąpi Pani do Szekspira *Romeo i Julia*; najpiękniejsze to marzenie miłosne, jakie człowiek wcielił w wiersze; potem *Otello*, *Makbet* itd. — a wreszcie najtrudniejszy ze wszystkich *Hamlet*, dla którego rozpoczęła Pani naukę, i obym mógł wtedy znów znaleźć się przy Pani, by go czytać wraz z Panią.

Otrzymałem właśnie listy od ojca mego, w których z najżywszem zajęciem dopytuje się o Panią i poleca mi kilkakrotnie zapewniać Panią przy każdej sposobności o jego uwielbieniu i najprawdziwszej, najszczerszej przyjaźni.

Wczoraj pozdrowiłem w imieniu Pani sosny willi Borghese i widziałem księżyc, wznoszący się nad nimi. Wiele było osób, cały świat elegancki Europy, używający przejażdżki w faetonach, tilbury i karocach na ruinach starego Rzymu. Markiz Bobonigo na czarnym koniu, uszczęśliwiony nadzieją spożycia obiadu o godzinie 6-ej, ambasadorowie i ambasadorowe wszelkiego rodzaju. Ja byłem z Sołtanem i obydwaj mieliśmy bardzo skromną minę wobec tych wszystkich wielkości. Nie znaliśmy nikogo, nikt nam się nie kłaniał; chodziliśmy wśród tłumu z szyderstwem w sercu — ja przynajmniej, bo jakżeż nędzne są te wszystkie wystrojone i wykrygowane istoty, które ruszają się błyskotliwie na scenie świata! Ileż razy z głębi duszy rzucałem im pociski pogardy! Jednakże czegóż ja więcej dokonam, niż oni wszyscy? — Jak oni, przeminę obcy, nieznany. A będą oni mieli nawet jedną sławę więcej ode mnie: sławę salonów, rautów, balów, pikników itd. itd.

Pełną jest goryczy dusza moja. Niekiedy czuję przeklętą nienawiść ku wszystkiemu, co mię otacza; akordy boskie wypuszczają tylko przelotne dźwięki, później wracają ciemności. Szczęście na tym świecie, to jak muchy z Pratolino — gdy przeleciały, noc staje się jeszcze ciemniejszą. Oh, jak te wieczory florenckie były czyste i spokojne! Czy Pani pamięta, jak galopowaliśmy o zmroku, jak harmonijnie roztaczały się wkoło nas cienie wieczorne — jak wszystko, co jest ponurego i nieszczęsnego w życiu, było daleko od serc naszych? Dni podobne, to aniołowie, którzy ulatują, a gdy znikną, nicość powraca do swych praw.

Onegdaj mieliśmy tu trzęsienie ziemi, dziś oczekujemy go znowu.

Spodziewam się, że Pani nie odmówi prośbie, z jaką się do Niej zwracam. Donoś mi, Pani, często o sobie, mów jak ze zdrowiem, opisuj mi osoby, które widujesz! Zdaje mi się wtedy, że jestem bliżej Pani. Już raz o tem Pani mówiłem. Jestem stworzeniem nałogowem, a tyle dni spędziłem obok Pani, że te, które teraz daleko od Pani przepędzam, są o tyle tylko dla mnie warte, o ile mi przynoszą wiadomości o Pani. Tysiąc pięknych słów dla Loli, ściskam Mimi, a u stóp Pani składam mój hołd najgłębszy i wszystkie życzenia szczęścia. Żegnam Panią. *Farewell*[123].

Zygm. Kr.

Aleksander Potocki przybędzie tu niezadługo — obecnie jest w Paryżu, skąd zabierze do Rzymu księcia Eustachego Sapiehę. Co powiedziałby na to Anioł Melancholii?

Karol Chodkiewicz jest także w Dreźnie. Wszyscy Karolowie umówili się, aby przybyć do Drezna. Zresztą ten to wyborny chłopiec, trochę ociężały.

Pani Drzewiecka jest w Dreźnie — Jaroszyńscy przepędzą całą zimę we Florencji; młodszy za miesiąc przyjedzie odwiedzić mię w Rzymie. A propos, czy Pani widziała w Dreźnie w galerii portret Alberta Dürera, o którym Pani tyle mówiłem?

Czy Jugiel przysłał Pani *Nieboską komedię*?

100. DO JOANNY BOBROWEJ

Rzym, 24 grudnia 1834

Jeden rok mija, drugi nadchodzi, i dla większości ludzi nic to prawie nie znaczy. Dzieci przez kilka dni cieszą się, myśląc o podarkach gwiazdkowych. Redaktorowie kalendarzy, księgarze i handlujący zabawkami również o tem myślą; zresztą z wyjątkiem tych kilku błahych myśli, kilku istot, rok, który kona, i rok, który się rodzi, służą tylko do tworzenia towarzyskich frazesów i zwykłych komplementów. Dla mnie zawsze jest

[123] *farewell* (ang.) — żegnam, do widzenia. [przypis redakcyjny]

coś tajemniczego i przykrego w tych ostatnich dniach kończącego się roku, coś nieokreślenie uroczystego miesza się z mojemi myślami. Wtedy podwójnie kocham to wszystko, co na tym świecie kochałem, jak gdyby rok nadchodzący miał wznieść o jedną tamę więcej między mną a nimi. Niegdyś to był okres mej żarliwości, moje dni modlitwy. Siła nieznana pchała mię do kościołów i modliłem się, o nic nie prosząc, bez żadnego celu, jedynie dlatego, aby się modlić. W owych dniach mogłem również zwracać się słodko ku memu dzieciństwu, cofnąć się, że tak powiem, na łono matki. Dziwne marzenia nachodziły mię nocą, widziałem znowu osoby, z któremi związany byłem, smutne myśli, lecz bez goryczy, bez ironii, wspomnienia poważne i spokojne, nadzieje słodkie i marzące. Jednem słowem, ta pora roku wywierała znaczny lecz niepojęty wpływ na moje serce i umysł. I dziś jeszcze to odczuwam i również nie wiem, z jakiej przyczyny. Czyżby mi się zdawało, że jestem przy zgonie starca, który usypia, jak lampa wyczerpana, lub przy narodzinach dziecka, którego życie, chociaż krótkie, jednak może być obarczone burzami? Czy tak, czy inaczej — w tem właśnie usposobieniu umysłu ośmielam się złożyć u stóp Pani życzenia, które dla Niej żywię. Życzę Pani wszelkiego szczęścia, wszelkiego spokoju, wszelkiej pociechy. Oby ten rozpoczynający się rok, oby te wszystkie, które poza nim się tłumią, przyniosły Pani same tylko trwałe radości, nigdy nie więdnące kwiaty. Ujrzy Pani jeszcze wiele wydarzeń; będą wśród nich i takie, które rzucą może zasłonę smutku na niektóre chwile Jej życia, będą może takie, które obudzą Twoją litość, i zdarzą się może nieszczęścia, z któremi dusza Pani współczuć będzie, bo taki jest los ludzi, że życzenie im szczęścia nigdy niezamąconego mogłoby zdawać się gorzką ironią lub życzeniem dziecka. Lecz poprzez te zmiany i te niestałości losów, które wokoło Pani krążą, niech serca Jej nie rozdziera nigdy próżnia, brak nadziei, myśl o nicości — niech ono czuje, lecz się nie łamie — niech cierpi, lecz niech zawsze znajdzie pociechę, niech się urzeczywistnią jego nadzieje — niech na czole córek Pani serce to znajdzie zawsze myśl miłosną, błogie schronienie przed tem wszystkiem, co jest na ziemi zimnego, kłamliwego i złowrogiego.

O północy, w chwili rozdzielającej rok, w którym widziałem i rozmawiałem z Nią, od tego, w którym już Pani nie zobaczę, nie będę już z Nią rozmawiał, myśl moja będzie zwrócona ku Bogu, a imię Pani cichutko przemknie po moich ustach. Jeżeli wtedy anioł jaki unosić się będzie nad ziemią, on mnie usłyszy i zaniesie prośbę moją do nieba, bo każda prośba prawdziwa — taka jest moja wiara — jest przynajmniej słuchaną; czy wysłuchaną, tego nie wiem!

Gdybyś, Pani, tu była, lub gdybym ja był przy Pani, chciałbym wypowiedzieć Pani wszystkie moje myśli, opowiedziałbym Pani wszystkie moje pojęcia o chwili, która jeden rok odrzuca w przeszłość, a drugi wydziera przyszłości. Powiedziałbym Pani, jak bardzo nie lubię w dniu tym uroczystości i balów, jak mi się zdaje, że każdy powinien uklęknąć i modlić się, zamiast tańczyć i pić, bo któż z nas wie, co mu przyszłość gotuje? Alboż ja wiem, czy za rok w dniu takim nie będę w więzieniu lub wśród śniegów? Alboż ja wiem, czy nie będę na innym świecie, na jednej z tych gwiazd, na które Pani tak lubi nocą spoglądać? Pani będzie — to Jej przepowiadam — na ziemi, a Lolly przyjdzie powiedzieć: „Życzę mamie dobrego nowego roku".

Dunin umarł; widziałem pogrzeb, wychodzący z domu, gdzie Panią po raz pierwszy ujrzałem. Księżna Golicyn, z domu Złotnicka, jest tu, w tym samym, co i ja, domu. To dziwne, że w Ems musiała odwołać się do Pani dobrego serca, a odtąd znalazła dość pieniędzy, aby odbyć podróż do Włoch.

Sołtan zawsze ubolewa, że Pani już nie ma w Rzymie, i nieraz wieczorem zdarza się, że, kończąc u mnie cygaro lub nudną jaką rozmowę u Ankwiczów, powiada: „Ach, gdyby Pani Bobrowa tu była!". Ankwiczowie zawsze są wyborni i gościnni. Lecz to dowód wielkiego panowania nad samym sobą, gdy ich próg przestępuję. Pewne oczy, które nazywam „zdechłemi oczyma", zawsze wpatrzone we mnie, czynią mi ten dom nieznośnym.

Otrzyma Pani ten list w 1835 r. Piszę go jeszcze w 1834 do jednej z najpiękniejszych moich przyjaciółek. Miałem 22 lat. Boże miłosierny, stawiam cyfry, jak ta Reichberg!

Raz jeszcze niech Pani przyjmie moje życzenia — raz jeszcze powtarzam je Pani z głębi mej duszy: *Be happy and calm and bright*[124]. Dla Lolly tysiąc słów miłych i ten mały bukiecik na gwiazdkę.

[124]*be happy and calm and bright* (ang.) — bądź szczęśliwą, spokojną i jasną. [przypis redakcyjny]

Zyg. Kras.

Mężowi Pani przesyłam kartę wizytową do Kijowa.

101. DO ADAMA SOŁTANA

(bez daty)

Odebrałem Twój list w Ems, tysiąc razy Ci za niego dziękuję, tysiąc razy. Nie uwierzysz, ile Twój szacunek i przyjaźń Twoja ima się serca mego, ile Twój głos, przychodzący z oddali, wywarł wrażenia na mnie. Wkrótce, jeśli Bóg da, zobaczymy się. Około 10 października zapewne, wsiądę w Genui na statek parowy z Danielewiczem i Sauvanem[125]. Płynę do Neapolu, ale zatrzymam się w Civita-Vechia, puszczę towarzyszy naprzód, sam zboczę do Rzymu, by księżnie[126] moje uszanowanie złożyć i Ciebie powitać, uściskać. Może się namówisz jechać ze mną do Neapolu i tam zimę bawić, co by nie przeszkadzało czasem księżnę odwiedzić w starym Rzymie. Moje losy, od kiedyśmy się widzieli, były przeplatane chwilowemi uniesieniami i długą goryczą; moje oczy mają się lepiej. Przed tygodniem miałem bardzo przykre zdarzenie. Odprowadziłem księżnę Adamową[127] do Koblentz. Jej doktór ubrdawszy sobie coś do mnie, wyzwał mnie na śmiertelny pojedynek wobec dam dziesięciu; odpowiedziałem mu, że jest *un assasin*[128]. bo najgrzeczniejszy byłem zawsze dla niego. Przyjąłem wyzwanie, nastąpiły sceny najdolegliwsze dla mnie, dla księżnej. Opowiem Ci to wszystko, kiedy się zobaczymy; wreszcie on zemknął. Górowski[129] stara się o amnestię. Rana Mikulskiego[130] musiała Cię niespokojności nabawić, ale wyratowany i przychodzi do zdrowia. Księżnie złóż moje najserdeczniejsze uszanowanie. Danielewicz i Sauvan przypominają się Twojej pamięci i z serca kłaniają. *Addio*. Bądź zawsze pewny, że wdzięcznego masz we mnie i przywiązanego do Ciebie dozgonnie.

102. DO JOANNY BOBROWEJ

Rzym, 10 stycznia 1835

Bywają chwile, zniewalające pisać do tych, którzy są od nas daleko; to prawie instynkt, prawie natchnienie, którym musimy być posłuszni. Chciałoby się wtedy odsłonić swą duszę przed nimi, dać im ją, że tak powiem, do trzymania w ręku, do kołysania na kolanach, tak bardzo się czuje, że jest ona przenikniona ich wspomnieniem, że zlała się z nimi i z przeszłością. A te stany duszy smutne, marzące, nadaremnie pożądające, doznające jednak przyjemności w pożądaniu, najczęściej wywoływane są przez drobne zdarzenia, które przypadkowo dotknęły pamięci. Dźwięk jakiś, promień światła, cień padający tak, jak padały cienie minionych dni, wystarczają, aby od razu pogrążyć w niepokój i niepewność, aby roztoczyć przed nami całe miejscowości, aby wywołać w uszach drgnienia głosu, które brzmieć już przestały.

Jest to prawda, znana tym wszystkim, którzy kiedykolwiek mieli sposobność żałować przeszłości. I ja tego wczoraj doświadczyłem. Wczoraj wieczorem byłem w teatrze Apollo. Unger grała Parisinę. Gdzież ja to widziałem Unger, gdzie słyszałem *Parisinę*?

Zdaje mi się, że wtedy była wokoło mnie wiosna rozkoszna, że nad mą głową rozciągały się czyste, lśniące niebiosa. Gdy więc ona ukazała się na scenie, w drugim akcie, spoczywająca na łożu, w bieli ubrana, drzemiąc i marząc o Hugonie — kiedy wszedł książę Azo i drżąc z zazdrości, zbliżył się aż do spadającej około niej draperii, kiedy ona podniosła drżący głos i w marzeniu miłosnem wymówiła imię tego, którego ubóstwiała,

[125]*Sauvan* — doktor medycyny, który przez kilka lat towarzyszył Krasińskiemu w podróżach. [przypis redakcyjny]
[126]*księżna* — Księżna Maria z Granowskich Lubomirska. [przypis redakcyjny]
[127]*Adamowa* — Adamowa Czartoryska. [przypis redakcyjny]
[128]*un assasin* (franc.) — morderca. [przypis redakcyjny]
[129]*Adam Górowski* — emigrant, osławiony awanturnik. [przypis redakcyjny]
[130]*Izydor Mikulski* — emigrant, ranny był w pojedynku. [przypis redakcyjny]

gdy rozbudzona litośną ręką, przerażona, zdziwiona zsunęła się ze swego posłania na ziemię i z włosami w nieładzie, z błędnemi oczyma rozpoczęła swego walca rozpaczy — czy Pani go pamięta? Taki szybki, tak dobrze na tę chwilę pomyślany, tchnący namiętnością, szaleństwem prawie — och, wtedy, wierzaj mi Pani, byłem przeniesiony daleko od Rzymu, daleko od tłumu, który mię otaczał i miałem jakby widzenie gorączkowe, jakby wszechpotężne objawienie przeszłości. Im dłużej trwała ta muzyka, jaśniejszym i dokładniejszym stawał się mój wzrok, tem wyraźniej oko w oko wpatrywałem się w twarze i miejscowości, które widziałem był razem. Niech będzie błogosławioną moja wyobraźnia; jeśli mi sprawiała męki, obdarzała mnie też i rozkoszą. Ma ona w sobie moc, która drwi z czasu i wydziera mu jego ofiary. Szczęśliwy byłem wczoraj wieczorem i dziś jeszcze wspomnienie cieni, które przesunęły się przed mojemi oczami, wywołane muzyką florencką, jest tak silne jak rzeczywistość była zupełną; trzeba ją było opisać, przesłać poza Alpy, trzeba było nadać jej kształt cielesny, wyraz, cel — Panią. I dlatego też ośmieliłem się pomyśleć o nudzeniu Pani listem, chociaż przed kilku zaledwie dniami napisałem był już inny.

Gdzie Pani przebywa? Co porabia? Jak zachodzi dzień w Pani salonie? Jak zarysowują się tam wieczorem cienie? Kto Panią odwiedza, komu Pani odpowiada? Kto Panią nudzi? Jakiego koloru suknię nosi Pani najczęściej? Jakie są ten most, te ulice, te aleje, przez które Pani przechodzi? Z jaką myślą budzi się Pani, a jaka jest ta, która sen Twój poprzedza?

Muszę to wszystko odgadywać. Jest pewna gorycz w odgadywaniu, a wątpliwość — to sam szatan!

Cierpię temi dniami dość silnie na piersi. Sauvan mówi mi, abym pozostał przez całe lato i jeszcze jedną zimę w Neapolu, i brał morskie kąpiele. Utrzymuje, że przepiszą je i Pani z pewnością. Och, przybądź Pani do Neapolu, do Livorno, bo mówią, że w Genui kąpiele są najmniej dobre. Zresztą mało się troszczę o moje oczy i piersi; nie umiałaby Pani wyobrazić sobie, czem noce stały się dla mnie. Nigdy snu, nigdy spoczynku, wieczna gorączka, pożerająca ciało i ducha. Ciągłe rozpaczliwe wysiłki, aby zapełnić przepaść, która dzieli osobę od jej widma, aby zatrzymać to widmo, by z niego stworzyć człowieka. Pigmalion niegdyś tak się męczył u stóp swego posągu. Podczas tych godzin, których jednakże nie chciałbym za nic na świecie zamienić, rozdziera mnie niepokój, niepewność, żale, nadzieje. Tam jedno słowo, tam spojrzenie, tam jedno dotknięcie fortepianu, tam wyraz twarzy — wszystko to odosobnione, następujące z kolei, porozdzielane, falujące w ciemności. A ja staram się połączyć to razem, uczynić z tego całość harmonijną, lecz na to potrzeba by być Bogiem. Czy pojmuje Pani to udręczenie, tę mękę Tantala, to dzieło, ciągle rozpoczynane, zawsze niedokończone? Powiedz mi Pani, czy to pojmujesz, czy doznałaś kiedy czegoś podobnego? Oh, niech aniołowie spokoju błogosławią Twój sen — niech wspomnienie będzie dla Pani kwiatem bez kolców!... Zostaw Pani cierpienie i tortury daremnych pragnień, dalekich nadziei, życzeń niespełnionych tym, którzy zostali stworzeni na to, by się sami pożerali, by żyli ogniem i ginęli w płomieniach. *Farewell* — i przez miłosierdzie odpowiedz mi Pani!

Z. Kras.

103. DO JOANNY BOBROWEJ

Rzym, 21 stycznia 1835 r.

Jakże Pani się bawi w Dreznie? Słyszałem, że tam jest p. Karol Chodkiewicz, pan Karol Drzewiecki, pan Karol Krasiński, mój dawny towarzysz podróży z Wenecji do Rzymu przeszłego roku; z dam podobno pani Drzewiecka i nasze dawne, miłe znajome, i pani Sobańska, której nie znam. Jej siostra wciąż we Florencji przyjaciółkuje królowym i królewnom i książętom rozmaitego gatunku.

W Rzymie towarzystwo zawsze jednakowe i nudne jednakowo, nieopisanie, nieskończenie. Panna Czacka jedna, z którą parę słów pomówić można, reszta dzikiego obyczaju. Jest tu jakaś księżna autorką romansu, który, jeśli Pani zapamiętała, pokazywałem Pani u Jugla w Frankfurcie — *Vanda ou la superstition*. Więcej głupstw, zawartych w dwóch

tomach, nigdy nie czytałem. Z początku śmiech bierze, potem sen napada. Syn jej kupił sobie w tych dniach za 500 szkudów komanderię maltańską i krzyż, co dowodem wielkim rozsądku matki i rozumu jego samego. Dwa czy trzy razy byłem u tych państwa, od kiedym przybył do Rzymu — wywierają na mnie wrażenie zupełnie magnetyczne — zasypiam. Księżna Lubomirska coraz głębiej zapada — coraz mniej jej jest na ziemi. Zdaje się, jakoby już niedługo zagasnąć miała. Kiedy ją żegnam co wieczór, mówi mi zawsze: „Życzę ci, byś był szczęśliwszym ode mnie". Wychudła, zbladła, rękoma ledwo że chustkę utrzyma, oczy jej zabite w głąb, a jednak ich spojrzenia dotąd coś anielsko-słodkiego zachowały i w jej mowie odbija się słodycz serca. Tak święte musiały niegdyś cierpieć i umierać.

W tym steku nud i odrętwiałości napadło mnie wielkie obrzydzenie do wszystkich figur, kołujących naokoło mnie. Często na zapytania tych dam odpowiadać nie mogę — głos mi staje w gardle, jak ość ryby i przedłużonem ziewnięciem zwykle wywikłuję się z tego położenia.

Stary Aigner grzeczniejszy ode mnie — i wszystkich sukcesów mu z serca życzę. Świat zresztą rzymski huczny bardzo i ciągle po balach szaleje. Bolesław Potocki pierwszym fashionablem[131].

Nieraz sobie myślę: gdyby Pani tu była we Włoszech! Nigdy nie mogłem wyrozumieć, dlaczego Pani tak sobie umiłowała w tem Dreznie? Śniegi, błoto, jak u nas, a ludzie jak wszędzie — nudni; przynajmniej tu, wyszedłszy z ich grona, można powitać coś lepszego, spojrzeć na niebo i podziękować Panu Bogu za kompensację — ale tam, gdzie Pani jesteś, cóż ujrzysz? Na dole twarze, napiętnowane komerażu miernością — w górze szare chmury. Mój Boże! Nic nie znam podlejszego nad komeraże, nad kobiety, które, niedorozumiewając się nawet pięknego przeznaczenia swego, trawią życie na plotkach i maleńkich nienawiściach, i drobnych zemstach, i najdrobniejszych utarczkach. U Pani tego nigdy nie widziałem — chęci tej do podsłuchiwania jednych, do szarpania drugich nigdy nie widziałem — i dlatego, ile razy sobie Panią wystawiam wśród otaczających ją teraz osób, tyle razy zda mi się, że widzę anioła wśród ludzi lub człowieka wśród małp. Rozumiem, że Pani chroni się pod ołtarze Boga, w milczenie kościołów; lepsze milczenie grobów, niż gwar istot, co chwila widokiem swoim przypominających, do jakiego stopnia poniżenia i mierności człowiek dojść może.

Serca tych istot kąsane bywają mrówkami; widzę ich uczucia, gniewy, żądze, ruszające się żywo, biegnące, upadające, jak mrówki. I wartoż było się urodzić, by nosić w piersiach mrowisko!

Gdzież Pani myśli pojechać, wyruszywszy z Drezna, bo nie myślę, by tam już Pani osiadła na zawsze. Czy Alpy, czy Apeniny nie obaczą już Pani nigdy? Czy gondola wenecka, kołysząc się smętnie, nie doczeka się powrotu tej, którą unosiła po falach Adriatyku? Czy w grocie lazurowej, tym najpiękniejszym kościele Pana wszech piękności, nie pomodli się już nigdy Pani jego dziwom? Ja, co się stanie ze mną, nie wiem. — Ja żyję od dnia do dnia — przeszłość mam za sobą i często tulę się do pamięci, ale przyszłości nie mam; to jedno wiem, że nigdy nie przestanę być wdzięcznym tym, którzy łaskawymi mi byli, że nigdy nie przestanę czcić ich wspomnienia i żądać, by na powrót zjawiły się dnie, przepędzone przy ich boku. Niech Pani czasem myśli o tem, że Ją tyle razy znudziłem, a teraz Ją żegnam i powolne służby moje Jej zalecam.

Zyg. Kras.

104. DO JOANNY BOBROWEJ

Rzym, 8 marca 1835

Z najgłębszym smutkiem dowiedziałem się o pogorszonym stanie zdrowia Pani. Skąd ta słabość tak nagła przypadła właśnie wtedy, kiedy zdawało się, że Pani już zupełnie do sił wracasz? Skąd te tak ponure przeczucia, które niechaj Bóg odwróci? Rad bym szcze-

[131] *fashionable* (ang.) — modniś, elegant. [przypis redakcyjny]

gółowiej co wiedzieć, bym mógł o tem z Sauvanem pomówić, bym zarazem mógł walczyć choć z daleka, choć słowami z myślami posępnemi, które Panią trapią, które srożej niż ból fizyczny prowadzą do zniszczenia ciała, do przetrawienia duszy. Srogie bywają złudzenia na tej ziemi! Często wydarza się, że najwyższa, że najpiękniejsza prawda, dostawszy się w ręce ludzi takie przybiera pozory, tak okropnemi obleka się kształty, że miasto słodyczy i pociechy jad i fałsz tylko z siebie sączy. Widziałem już kilka takich przykładów(!) — i dzisiaj mam jeden, okropny, ciągły przed oczyma — księżnę Lubomirską. To, co miało być rajem jej chwil ostatnich, nadzieją jej lat podeszłych, stało się zgubą, trucizną, przeszkodą do wszelkiego działania, spętaniem jej myśli wszystkich, więzami jej woli. Księża jezuici rzymscy zgubili tę anielską istotę. Umysł jej przyzwyczaił się pod ich wpływem do ciągłych powątpiewań o własnej sile i czystości, do walk bez zwycięstwa, do smętności bez światła, do wahań się nad każdą rzeczą, zwanych skrupułami, do rozbierania najdrobniejszych postępków, życzeń, myśli własnych, do wyszukiwania grzechów tam, gdzie ich nie było, do wyrzucania sobie każdego słowa powiedzianego, każdego czynu popełnionego i w tej analizie bez końca, w tej mozolnej pracy ducha bez pożytku, w tem rozsypywaniu umysłu swego na garsteczki piasku, upadła siła przewodnicząca duszy, kiedy jest razem skupioną i jedną, zatracił się rozum, wola działać ustała, zostało się tylko serce anioła, szarpane zgryzotami urojonemi co do istoty swojej, ale prawdziwemi co do bólu, który sprawiają, podobnemi do tych, których chyba szatan w piekle doznaje. O takie życie, gorsze niż letarg ciągły, niż śmierć sama, przyprawili ją dozorcy jej sumienia, ludzie to ograniczeni w swoich pojęciach, to interesem wiedzeni, to rozkoszujący się w myśli podbicia jej duszy swojemu absolutyzmowi, bo ostatnią rozkoszą księdza, który nie jest świątobliwym mężem na tej ziemi — a takich bardzo mała liczba — jest, wszystkie napotkane dusze podciągać pod władzę swoją.

W każdym zawodzie człowiek, który nie odrzucił zupełnie świeckich namiętności i świeckiej pychy, dąży do tego — zdobywca podbija narody, adwokat sędziów i strony przeciwne, doktor osoby, które leczy, fashionable elegantki i młodszych od siebie, wchodzących do świata, ksiądz osoby, które spowiadają się jemu, a ze wszystkich tych najwięcej pokusy ma ksiądz do tego i może bym go uniewinnił łatwiej, co nie przeszkadza temu, że jego wpływ często bywa okrutnym, szkaradnym, niezgodnym z miłosierdziem boskiem, co nań włożyło obowiązek zbawiania, pocieszania a nie mordowania i opętywania, bo ksiądz jest samotnym, a zatem pyszniejszym od innych i chciwszym powodzeń — powodzeniem zaś jedynem dla niego jest duszę oderwać od wszystkiego, otoczyć strachem i sobie przywłaszczyć — do czego dojść nie może, jeśli jej wolności nie wydrze, jeśli w niej woli nie zabije. Dusza, w której to nieszczęście się dopełniło, mojem zdaniem, oddaliła się ogromnie od Boga. Wszystko, co osłabia jej siłę do czynów, jej potęgę co do myśli, jej sprężystość co do niepodległego ruchu, odsuwa ją od nieśmiertelnych celów, czyni ją bojaźliwą i pomieszaną, wprowadza ją w stan obłędu i chorowitości, który w końcu przechodzi w letarg, w martwość, w brak wszelkiej żądzy, nadziei, w rozpacz milczącą — i taka dusza w chwili zgonu nie ujrzy Boga, bo żyć trza, by wiedzieć, by pojąć wszechmocne życie. Nad taką duszą może przez wieki całe Anioł-Stróż płacze, nim się rozbudzi, nim zdoła rozgmatwać to, co tu na ziemi dyrektor sumienia zasklepił i powikłał.

Poezja

To wszystko żadnego związku nie ma z religią, tak jak złe wiersze żadnego wspólnictwa nie mają z poezją, tak jak wszystkie błędy i usterki ludzkie żadnego uczestnictwa nie mają w mądrości i piękności boskiej. Bóg miłości i przebaczenia żyje na wysokościach niebios i gotuje nam nagrody i kiedyś, jak ojciec, nas wszystkich przyciśnie do łona, ale ludzie, którzy w imieniu jego na tym świecie rozwiązują i zawiązują są słabymi, nieoświeconymi lub złymi, podłymi tak, jak reszta towarzystwa. Dlatego choć spowiadać się należy, choć spowiedź jest może najszczytniejszą chwilą dla duszy porzuconej wśród tylu nieszczęść i omamień, myślę jednak, że przybranie człowieka, zwanego dyrektorem sumienia, jest niebezpieczną rzeczą — jest narażeniem się częściej na odpadnięcie od Boga, niż na przybliżenie się do niego. Nie ma głębszego i ciemniejszego grobu nad ten, który sama dusza wykopuje pod sobą, kiedy raz podda się niewoli, wyrzecze się swoich praw własnych i zacznie lękać się, nie dowierzać, bać się Boga a nie kochać jego. Bojaźń jest wbrew przeciwną miłości, poniża, zaciera, obraca w popiół, upadla. Miłość zaś podnosi, wolności nie odbiera, owszem każe być niepodległym i w tej niepodległości kochać namiętnie.

Czyż można sobie wyobrazić, by Pan kiedyś powitał łaskawie duszę, która rzeknie do niego: „Panie, lękałam się kar Twoich — piekło, czyściec sny moje rozdzierał, palił mnie już na ziemi i w drżeniu, w wstręcie do nich przystałam na Twoje przykazania". — Ta, która powie: „Kochałam Cię, Panie — w miłości Twojej niechaj rozpłyną się moje przestępstwa, bo czułam Ciebie i kochałam Cię, Boże" — ta ujrzy chwałę i zasiądzie na tronie nieśmiertelności.

Nastręczone mi są te uwagi nieco podobne do kazania przez widok codzienny dogorywającej księżnej. O, strzeż się Pani takiego stanu — o, uwierz głosowi mojemu! Nie dorywczo, nie w roztargnieniu ja mówię te słowa. Długo nad tem myślałem, młodość moja przeszła na srogich cierpieniach, na modłach do Boga i dzisiaj zawsze moje kolana gotowe zgiąć się przed Tym, który jest pięknością bez granic, bez końca — ale ludziom, co czarno ubrani i krzyż noszą na piersiach, nie w sercu — mało bym zaufał. Księża po większej części są dumnymi jak tyrani, złośliwymi jak karły. Ich pokora jest udaniem, bo takiej pokory przybrać prawdziwie nikt inny by nie mógł, jak święty — a gdzież świętego szukać w XIX. wieku, w wieku egoizmu i podłości i niedowiarstwa.

Zmiłuj się Pani — czytaj Fenelona, czytaj ewangelię, módl się, ale sama; spowiadaj się, ale sama. Niechaj nad duszą Pani nikt nie rozpostrze opieki swojej zgubnej. Ta opieka jednemu tylko, Ojcu naszemu, Ojcu, który jest w niebiesiech, się należy. Aniołowi swemu, Marii, matce Chrystusa, powierzaj Pani swe myśli, cierpienia, dumania, ale nie człowiekowi, co dybie na Ciebie, jak na zdobycz, jak na moralną ofiarę swej dumy i zgryźliwości. Starych panien strzeż się zawsze, Pani, a staremi pannami dziś są królowie i księża.

Niechaj Bóg odwróci to gorzkie przeczucie duszy mojej, ale patrząc na księżnę Lubomirską, kiedy łzy do ócz mi się cisną, kiedy zrywa się ona i chwyta mnie za ręce i woła ratunku, którego dać jej nie mogę, nieraz przyszło mi na myśl, że widzę Panią, że to Pani tak znękana, obłąkana, nieszczęśliwa — że już proroctwo może się spełniło, że stoję przy Pani i że jej zbawić już nic nie potrafi... Ale to są czarne marzenia, wylęgłe z fatalnych spleenów moich. Tego nigdy nie będzie — siły tylko trzeba i prawdziwego poznania Boga, a Boga poznaje się cichą, samotną myślą i gorącą prośbą o łaskę Jego. O, jakże smutno uchodzą mi dnie i wieczory; zawsze jestem nad grobem tych, których bym chciał szczęśliwymi ujrzeć, zawsze cierpienia ich i jęki, czy z bliska, czy z daleka. Dosyć już moich własnych. Dlaczegóż przeznaczenie nie uwieńczy ich tą cząstką szczęścia, która mnie się przynależała, a której nie dostanę nigdy! Zdaje się, że księżnę będę musiał wywieść do Neapolu z sobą. Ten jedyny ratunek pozostał; trza się oderwać od jezuitów tutejszych, ale to lampa gasnąca — niedługo już tleć będzie — przewiduję, że skona w ręku mojem... może nie poznając mnie, może nie wiedząc, ani gdzie jest, ani gdzie idzie!

Przed kilkoma dniami, o 1-szej po północy, w ciasnej uliczce obok Piazza di Spagna napadł na mnie człowiek, który, jak się później wykazało; wziął mnie za Włocha, który tego samego dnia zadał mu był, kłócąc się z nim, lekką ranę w szyję. Nie miałem ni broni, ni kija nawet, ale zaraz w pierwszej chwili uniknąłem jego rzutu i skoczywszy nań, wyrwałem mu po dość długiem pasowaniu się pałkę sękatą, przeznaczoną moim skroniom. Wtedy schylił się ku nogom moim, płaszcz mój zebrał w ramiona i głowę mi jego fałdami obwinął tak zręcznie, żem splątany, oślepiony, myślał przez chwilę, że już mi przyjdzie upaść na ziemię, ale szczęściem rozerwałem klamrę na piersiach i płaszcz upadł na ziemię między nami oboma. Wtedy on, po dostaniu kilka razy własną pałką, uciekać zaczął. Ja goniłem za nim aż na Babuino. Tam go jacyś ludzie przytrzymali i dopiero wtedy poznał, że mnie nie zna i że nieznanego chciał zabić. Po tych wszystkich objaśnieniach puścić go kazałem — żal mi było go do policji oddawać — sam zaś na miejsce bójki wróciwszy nie zastałem już płaszcza mego. Jakiś Włoch, amator, musiał go sobie przywłaszczyć w mojej nieprzytomności. Wróciłem więc do domu dosyć zły z zamiany płaszcza na pałkę. Lubiłem ja ten płaszcz sieraczkowy mój, stary i podarty. Ileż razy mi służył na gondolach w Wenecji, w podróżach do Ems, do Spa etc. etc. — Ma Pani dowód, że geniusz awantur służy mi wiernie zawsze.

Niech Pani będzie łaskawa i opisze mi szczegółowiej wszystko, co Jej dolega. Niech Pani pocieszy minie doniesieniem, że lepiej się miewa, że wraca do sił, zdrowia i do spokojnej, dobrej myśli. Odległość jest męką — podwaja obawy i niepewność. O trzysta mil każda choroba jest śmiertelną. O, gdybym mógł otoczyć Panią wiosną, co tu kwitnie,

zmartwychwstałabyś Pani z łoża boleści! Sam tej wiosny nie czuję, mógłbym ją tylko uczuć dla drugich.

Zyg. Kras.

105. DO JOANNY BOBROWEJ

Neapol, 30 marca 1835

Jestem na wybrzeżach, które Pani lubiła. Potrzeba mi tylko oderwać wzrok od tej karty, aby zobaczyć od razu Capri i Wezuwiusz i całą zatokę Neapolitańską. Mieszkam w domu najbardziej z całego miasta wysuniętym, ponieważ jest zbudowany na części skały, wystającej z morza. Jest to willa di Roma a S-ta Lucia. Piękną jest zaiste przyroda w tych stronach — lecz trzeba być bardzo młodym i bardzo naiwnym, aby żyć w przyrodzie i nic nadto nie żądać. Są jednak chwile, kiedy ogrom tego widoku, tak urozmaiconego i tak wspaniałego na przemian, uderza mnie wprost w serce. W tem morzu jest coś z wieczności. Potem, gdy poruszone lekkim wietrzykiem, przerywając swą ciszę i nieruchomość, kołysze się i rozdziela na lekkie i wdzięczne fale, przychodzi mi na myśl wziąć je za kobietę, tak barwy jego są nieokreślone, miłe, zmienne, tak w każdej chwili jego odcienia i zarysy znikome zdają się zwodniczemi i gotowemi zniknąć na zawsze — i wtedy rzucam na nie spojrzenie smutku. Oh, wśród tych kwiecistych, palących wybrzeży, wobec tylu ponęt, potrzeba by mieć w sercu radość gwałtowną, a w duchu życie potężne. Wówczas pojmuję, że można być chwil kilka szczęśliwym w Neapolu. Co do mnie, pojąć Pani nie zdoła, jaki wpływ wywierają te miejscowości na myśl moją. Wszędy czytam tylko ponure przepowiednie. Ta równina lazurowa, wytworzona przez wonne wiatry u stóp czarnej góry, to rozkosz w objęciach śmierci, to raj ludzki u progu piekieł. Wspaniałym jest ten znak boży, który co chwila, jak srebrna kolumna, z łona ziemi wznosi się ku niebiosom i rozwija się tam w posępne obłoki. Gdy noc nadchodzi, jest to słup ognisty, który w górze rysuje czerwonawe światła, a na dole w głębi wód się odbija.

Dziś, jak przed wiekami, wszystko, co tylko jest pięknego i miłego na tych brzegach, jest przeznaczone na zagładę przez śmierć gwałtowną. Zawsze to jest świeża Pompeja, piękna Pompeja, strojąca się w wieńce i festony w wigilię dnia, który będzie dla niej ostatnim.

Na tej ziemi cieniem znikomym jest wszystko, od skromnej stokrotki aż do wulkanu. Ludy i przyrody mijają, odradzają się i odchodzą. Przyroda więcej ma sił, długi czas jest widownią, na której się miotają miliony istot, z roku na rok więdnących, kiedy ona sama więdnie w przeciągu całych miriadów stuleci. Ale u kresu, to w ostateczności wszystko jedno! Jedna jest tylko rzecz wieczna, niewzruszona, nie ginąca — to serce jednostki, myśl ludzka, bo ona nie podlega ani przestrzeni, ani czasowi — dla niej nie może być końca, chybaby się sama zabiła. Wszystko, co żyje istnieniem widocznem i namacalnem, podlega działaniom zewnętrznym i obcej mocy, które mogą je zmienić i w proch obrócić. Lecz duszy nic zniszczyć nie zdoła na świecie — tylko ona samą siebie. Z niemocy w niemoc duch ludzki dąży niechybnie do samobójstwa. Serce, które więdnie, które zapada samo w siebie i rozpacza pod własnym ciężarem, nie złamie się, lecz zaśnie i stanie się zeschłym kwiatem. Bóg wie, czy serce takie odzyska swe tętno w dzień chwały i zmartwychwstania?

Treścią duszy jest ruch, pragnienie, działalność w każdym kierunku — bez tego nic ona nie może. Obojętność więc gorszą jest od zła, sen gorszym od szaleństwa. A gdy widzę istotę, która zasypia, serce moje krwawi się za nią, brak mi łez, aby opłakać tę stratę. Ona, nieszczęsna, nie wie, dokąd idzie, co ją czeka, co jej zagraża. Nie wie, że wyrzeka się swych praw ludzkich na tym, a boskich na tamtym świecie. Przepaść, w którą się wpada i skąd wydaje się krzyk boleści, niczem jest jeszcze w porównaniu z nicością, z letargiem. Do chwili, w której się cierpi jeszcze, jest nadzieja — bo cierpieć — to czuć, czuć — to istnieć, istnieć — to być ogniwem w łańcuchu istot, przeznaczonych do nieśmiertelnej przyszłości. Lecz, gdy powieki opadają, gdy wszystko, co stanowiło naszą radość lub nieszczęście, to wszystko, co mogło nas kiedyś wzruszać, ściemnia się, maleje, ginie w naszej pamięci, gdy dochodzimy do smutnej możności zachowania zimnej

krwi względem pewnych rzeczy lub osób lub wzruszeń, gdy imię, które było nam drogie, staje się pospolitym dźwiękiem, gdy pragnienia, któreśmy żywili, przestają nas wzruszać, gdy modlitwa drży omdlewająco na naszych wargach, gdy od silnych, potężnych myśli przechodzimy do komunałów, gdy wreszcie pochylamy głowę i wzywamy zapomnienia dla uszu naszych — wtedy biada nam, wtedy zaczyna się zmrok naszego życia, wieczór naszej duszy, a noc, która ma nastąpić, będzie ponurą i niemą. Nie daj, Boże, aby była wieczną!

Piszę te słowa, spoglądając na najwspanialszy z tworów ziemskich. Przeczuwając nieskończone piękno, którego ten widok jest tylko gęstą zasłoną, słabem odbiciem, zabłąkanym dźwiękiem, pozwoliłem sobie na te myśli, które, jakkolwiek w małej pozostają z nim harmonii, są jednak jego fatalnym wynikiem. Jak to morze jest wielkie i uroczyste! Ileż majestatu w jego równomiernych i olbrzymich ruchach! Ręka Boga spoczywa na jego czole aż do chwili, gdy ją zdejmie, by je oddać burzom. Niechże błogosławieństwo Boga będzie i wokoło Pani! Nie lękaj się Pani niczego! Trenta Tre ciągle modlą się za Panią.

Zygm. Kras.

Czy ten bałamut Jugiel przysłał Pani książkę?

106. DO JOANNY BOBROWEJ

Neapol, 21 kwietnia 1835

Chciałbym, aby oddano Pani ten list 7 maja. Przed rokiem w tym samym dniu raczyła Pani przyjąć ode mnie trochę ofiarowanych Jej kwiatów.

Te, które teraz Pani posyłam, zerwałem u stóp Wezuwiusza. Przybędą do Pani zeschłe i spłowiałe, jak wszystkie nadzieje, jak cała przyszłość tego, który pisze do Pani. Niech Pani wybaczy to pisanie. Lecz w przeciągu krótkiego czasu — dwóch tygodni — zszedłem znów do tego samego punktu, na którym byłem, gdym ujrzał Panią po raz pierwszy.

Zdaje się, że los raczył mi przyznać zaledwie rok wytchnienia, aby tem bardziej przygnieść mnie potem, a to morze, tak piękne dla wszystkich, dla mnie jest tylko jakby piekłem, gdy błyszczy w słońcu.

Trenta Tre modlą się ciągle za Panią. Przepowiedziały szczęście dla Lolly i dla Mimi, a mnie nie dały żadnej odpowiedzi, gdym zażądał wiadomości o sobie.

Spodziewam się, że Pani ma się lepiej. Wiadomości od Pani oczekuję, a nie odbieram ich. — Z wolna, stopniowo widnokrąg ściemnia się coraz bardziej wokoło mnie. Jeżeli zaniewidzę, nie będę mógł już zobaczyć Pani — lecz poznam Jej głos i bałamutne gwarzenie Mimi i poważniejszą mowę Lolly. Niech jej Pani powie, że jej narzeczony stracił wzrok. Pewny jestem, że to zniechęci ją na zawsze do myślenia o nim.

Żegnam. Wznoszę ku niebu gorącą modlitwę, aby Pani była spokojna i pełna sił, by letarg serca i duszy dalekim był od Pani — i oby życzenia moje się spełniły, oby kwiaty, które Pani posyłam, nigdy nie były symbolem tych, które kwitnąć będą wokoło Pani — niechaj tylko przypominają Pani istotę, która, jak one niegdyś, była spalona żarem słońca, a dziś, jak i one, niczem już prawie nie jest.

Zyg. Kras.

107. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Neapol, 26 kwietnia 1835

O nieufność względem Ciebie oskarżony z powodu *Komedii*, odpowiadam, że, pisząc do Ciebie, nie mam pewności matematycznej, iż mój list do Ciebie dojdzie; może być przypadek, że go inne ręce pochwycą — a wtedy co? Bo mi tak zależy na tem, tam u was, jak u nas, żeby to było pokryte milczeniem; proszę Cię więc i zaklinam o nie!

Za kilka dni udaję się do Florencji, skąd może za parę miesięcy dalej ruszę ku Tyrolowi. Odpisz mi więc już do Florencji *poste-restante*.

Byłem w Pompei: u wnijścia do miasta groby, zaraz potem za bramą pierwszy budynek, to dom rozpusty, śmierć i rozkosz, dwa największe działacze materialnego świata. W tej odgrzebanej mumii piękne są pomniki. Architektura grecka skandowana, jak wiersze *Enejdy*; matematyka, prawo rzymskie stare, w kamień wcielone. Tu dopiero starożytność się pojmuje i porównywa z nowemi czasy. Starożytni szli od nieskończoności w skończoność; co od pierwszej zarwać mogli, opisywali drugą, oddzielali od matki. My ze skończoności wychodzim, a dążym w nieskończoność. Oni mieli obręb ciaśniejszy, ale daleko lepiej go znali i rozumieli, niż my nasz rozumiemy. Stąd nasze usterki i brak powagi, i skoki, i potykania się; u nich zaś godność i surowość, bo, kto zna dobrze drogę swoją, ten poważnie i z wolna stąpa. Ale oni byli synami ziemi i ziemię wgłąb kopali; my, jak elektryczność, rozlegamy się w przestrzeń i dążym w górę, bośmy synami nieba. Weź Pompeję i weź katedrę w Kolonii, najpiękniejszą z gotyckich utworów, choć niewykończona. W Pompei równoległobok i elipsa, to są zasady, jedyne kształty, miara doskonała, filary cudownie piękne; ale wszystko ciasne, skończone, ograniczone: nic nie ma za kapitelem kolumny, na kapitelu kończy się kolumna. W Kolonii Ty idziesz za strzałą gotycką a kiedy się przerwie, Ty dalej wzrokiem sięgasz tam, gdzie Ci ona wskazuje — w niebo! W Kolonii piękność formy nie jest rytmiczną, jak w Pompei, ale pod formą żyje duch organiczny, wielki. W Pompei ducha nie ma, tylko jest ciało, i ciało najpiękniejsze, w rzeczy samej, ale zawżdy określone i nieżywe. Fidiasz nic by nie pojął w liściach kapuścianych, w żabach, karłach i potworach, dłutowanych w podnóżu każdej katedry gotyckiej, Wergiliusz plunąłby na *Fausta* Goethego; bo im trzeba było symetrii, jedności, regularności, co pochodziło stąd, że oni tylko jednę część człowieka znali, to jest ciało, i z tej części jedność zupełną wyidealizowali. My zaś pstrocizny musimy używać, bo śpiewamy o stworzeniu, złożonem z duszy i ciała, między któremi zachodzi walka, sprzeczność, i ból, i ruch. To, odbite w naszej architekturze, w naszej poezji, stanowi pstrociznę. Stąd my bardziej rzeczywistymi jesteśmy, prawdziwszymi, a zatem poetyczniejszymi, niż oni. Oni materialnie bardziej idealnymi byli. Większa część ludzi utrzymywać Ci będzie, że starożytni, owszem, bardziej realnymi byli, bo realność zwykle u ludzi, to materia. Lecz u mnie rzeczywistość jest to, co jest w myślach Boga i dziełach natury, a zatem, ponieważ my wyżsi dążeniem i wiedzą, zatem realniejsi jesteśmy. Im kto bliżej Boga, tem jest prawdziwszym, rzeczywistszym, a my od starożytnych odsadziliśmy się skokiem ogromnym. W tym rzucie fałdy tuniki, fibule, toga zsunęły się i zmięły na piersiach ludzkości, ale jej duch dziwnie wypiękniał i wyzwolił się.

Niech Cię Bóg wyprowadzi z choroby i zdrowie Ci odda! *Addio*, mój drogi! Kochaj zawsze tego, który Ci powiada i powtarzać zawsze będzie: *Io t'amo*[132].

Z.

Przyślij mi adres matki, który zgubiłem, to się dowiem, jak się miewa i co robi. Danielewicz serdecznie Cię ściska. Jeśli posłyszysz o jakim sądzie względem *Komedii*, to mi napisz i wyszczególnij.

108. DO HENRYKA REEVE'A

Neapol, 4 maja 1835 r.

Drogi Henryku!

Nareszcie, nareszcie doszedł do mnie list Twój wczoraj. Po długiem oczekiwaniu rzeczy, które były przyzwyczajeniem, stają się wzruszeniem i niespodzianką. Donosisz mi o tysiącu rzeczy i nazwisk. Zmartwiła mię wiadomość o Twej chorobie. Strzeż się tej choroby; wciska się ostrożnie i powoli, a nagle nadchodzi chwila, gdy nie ma już ratunku. Mam nadzieję, że jest to silny katar zaniedbany. Przez miłość dla matki swojej nie myśl o pociechach, które by jej się zostały po stracie jedynego syna, lecz raczej myśl o tem,

[132] *Io t'amo* (wł.) — Kocham cię. [przypis redakcyjny]

byś był jej podporą, chwałą i duszą jej istnienia. Winienem jej nieskończoną wdzięczność za zawiadomienie Cię o tem, że się o Ciebie niepokoję. Podziękuj jej w mojem imieniu z całego serca.

A teraz przechodzę do tej panny Jaskwicz. Oczywiście, to Ankwicz, córka tego starego szlachcica, który był obecny, jeśli sobie przypominasz na jednej łodzi wraz z Odyńcem i Klustinem przy pożarze mej szalupy, w której znajdowałem się z Augustem Z. Poprawiwszy ortografię nazwiska, przechodzę do nieprawdy wiadomości. Od tego dnia nie wiem jaki diabeł opętał tę rodzinę i wzbudził w niej nadzieję, że wcześniej lub później zostanę jej zięciem. W Niemczech, we Włoszech, na ziemi i na morzu gonili za mną westchnieniami, czułemi spojrzeniami i obsypywali mię uprzejmościami, zaproszeniami etc. Zrobiłem wszystko, co mogłem, by im dowieść, że jestem im wdzięczny, jako przyjaciel lub znajomy domu, ale że nigdy pierścień ślubny nie przejdzie przez koniuszek mego palca. Ale co można zrobić z ludźmi ślepymi? Z matką, która ubóstwia swoją córkę i prawdopodobnie czyta w gwiazdach, że będę jej mężem. Z młodą dziewczyną, egzaltowaną, przepojoną Byronem, zatopioną w Moorze, umiejącą na pamięć starożytności i znającą historię według dat i minut. Zresztą dobrzy i przyzwoici ludzie o doskonale z lewej strony umieszczonem sercu, bogaci gościnni, ziemianie, ale mylący się diabelnie co do wyroków Przeznaczenia. Zapewne słyszałeś o tej sprawie przez Montalamberta, ich wielkiego przyjaciela. Jest to ta sama osoba, w której Mickiewicz tak szalenie kochał się w Rzymie pięć lat temu. Właśnie mniej więcej w tym czasie zapoznałem się z nimi. Przypominasz sobie może, że w tym okresie Henrieta Willan była dla mnie słodkim i pociągającym obrazem. Przypominasz sobie może, że nosiłem na palcu pierścień z jej imieniem, który mi dała. Pierścień ten dnia pewnego zobaczyła tamta panna. Obie noszą to samo imię. Z tego zwykłego wypadku wynikł szereg nieskończony nadziei dla tej rodziny, szereg, którego nic przerwać nie mogło, ani obojętność moja, umyślnie okazywana, ani inne miłostki moje, odgrywające się pod ich nosem, ani tysiąc innych dowodów, jeden od drugiego wyraźniejszy. Bóg mi świadkiem, że zawsze starałem się wyprowadzić ich z błędu, i że nie ma winy mojej w tej historii przykrej dla mnie, a smutnej dla tej panny, która odmówiła kilku konkurentom, nie wysłuchała westchnień Mickiewicza i zmusiła go w końcu do ożenienia się z inną, wszystko dla niepewnej nadziei, nie zawierającej nawet cienia możliwości.

Piszę Ci to wszystko, byś wiedział, co o tem myśleć, jeśli kiedyś usłyszysz między Polakami, że zarzucają Zygm. Krasińskiemu unieszczęśliwienie panny Ankwicz. Nic wówczas nie odpowiadaj, daj ludziom mówić, ale miej to przekonanie w sobie, że przyjaciel Twój niezdolny jest uczynić rzecz podobną i że wszystkie jego wysiłki skierowane były na to, by otworzyć oczy tej upartej matce i tej upartej córce. Zresztą, powtarzam, są to osoby bardzo przyzwoite, bardzo bogate i bardzo dobre. Przez tę ostatnią miałem Ci przesłać załączony bilecik, który teraz posyłam wprost, by dowieść, że nigdy o Tobie myśleć nie przestałem.

A teraz przejdziemy do czegoś innego. Jest tu klasztor „Sepolte vive"; nazywają się one „Trenta tre" i jedna z nich, signora Agata, przepowiada przyszłość. Byłem tam. Kobieta, którą kocham i o której tyle razy Ci mówiłem, jest chora. Wymówiłem jej imię chrzestne u krat klauzury. Byłem oddzielony przepierzeniem od zakonnicy, której nie wolno oglądać twarzy ludzkiej; natychmiast głos jej dźwięk zmienia, inny się staje; woła, że czuje się bliską omdlenia, że serce się ściska, ale że dla niej Boga wzywać będzie. Po dziesięciu dniach powracam. Wówczas zakonnica obwieszcza mi, że ona umrze z tej choroby. Od tego dnia powróciłem razy dziesięć i zawsze powtarzano mi to posępne proroctwo. Kobieta ta nie wie, co to za choroba, wie o niej tylko, jakie imię chrzestne nosi, a wszystko odgadła. „Jest młoda, jest czuła, jest pełna miłości. Śmierć jej będzie ciężka". Oto jej ostatnie słowa. A później o mnie, o ojcu moim powiedziała mi rzeczy dziwne, natchnienia mistycznego dowodzące, gdyż inaczej, należałoby przypuszczać, że jest obeznana z historią i polityką, co nieprawdopodobne, co niemożliwe, gdyż po przejściu chwil proroczych kobieta to prosta i ciemna, jak chłopka. Wiadomości, otrzymane przeze mnie od tej, która ma umrzeć młodo, potwierdzają słowa proroctwa. Choroba jej zaostrza się i powoli dokonywa swego okropnego zniszczenia. Cóż powiesz o tem, Henryku? Czyż posty i zamknięcie bardziej zbliżają do nieba, niż działanie?

Czytałem w tych dniach Herdera. Potężny to geniusz, występujący zaciekle przeciwko katolicyzmowi, przyznający Chrystusowi niewiele, ale podniosły swą powagą, potężny rozumem, przecinający zaostrzonym mieczem noc czasów, sędzia nieubłagany nikczemności i zbrodni, prorok czasami, zawsze świeży i majestatyczny, stojący ponad wszystkiem, w gruncie rzeczy materialista, zaczynający od materii i opierający na niej wszystkie konsekwencje duchowe, człowiek, który miał coś z Pytagorasa, coś z Arystotelesa, a nie z Platona, człowiek stworzony do rytmu i liczby, człowiek rozumiejący świątynię egipską i Fatum greckie, ale nienawidzący mroków katedr gotyckich, może dlatego, że zbyt się przyzwyczaił przez łatwość swego poetyckiego talentu do uważania poezji wyłącznie za formę, za narzędzie, podczas gdy poezja jest, ponieważ jest, a nie inaczej.

Ukazało się właśnie u Pinarda w Paryżu dzieło, zatytułowane *Comedie non divine*, po polsku *Nieboska Komedia*, które Ci polecam. Życzyłbym sobie, żebyś je sprowadził i poprosił Waleriana lub kogo innego o przełożenie przy czytaniu. Uczyń tak, proszę, i sąd mi swój prześlij! To niedługie, ma zaledwie sto sześćdziesiąt cztery stron. Gdybyś skądinąd o tem słyszał, napisz mi, co o tem powiedziano, to mię nieskończenie interesuje. Lecz „Bezbożnikiem ten, kto tajemnice Cerery...". Jeśli przypominasz sobie Horacego, przypomnij sobie tę cytatę i strzeż się języków!

Piszę w dalszym ciągu mój poemat o Irydionie, synu Amfilocha, powoli a stale. Chrześcijaństwo, Północ i Imperium Rzymskie, które się w nim łączą, sprawiają mi dość dużo trudności. Ale jednak to idzie, to pójdzie. Wiek mój dostarcza mi obrazów zepsucia i ucisku. Mój bohater ma coś z Hamleta, ale cele jego o wiele są potężniejsze i wymagają geniuszu, bardziej do życia zastosowanego. Choć jest sprawiedliwy, przeznaczono mu zginąć, gdyż przyszedł zbyt wcześnie. Chciał spełnić w dniu jednym przeczucie wieków przyszłych. Ale przynajmniej niech cała chwała ziemi przypada w udziale tym, którzy zwyciężyli i czynu dokonali, niech jedna jej iskra padnie na zwiędłe czoła tych, którzy pragnęli wielkości i dobra, ale, opuszczeni przez świat i ludzi, mogli być tylko głosem, rozlegającym się w pustyni.

Addio. Pisz mi natychmiast do Florencji!

Twój na zawsze i na zawsze.

Zyg. Kras.

109. DO JOANNY BOBROWEJ[133]

Florencja, 15 maja

Od dawna już nie miałem szczęścia otrzymać od Pani wiadomości. Jestem we Florencji. Stan oczu moich zmusił mnie do opuszczenia Neapolu. Jestem tam, gdzie byłem przed rokiem w tym samym czasie. Wszystko zieleni się i kwitnie, nocą świecą muszki, i zdaje mi się, że słyszę galopującego konia Pani. Jest mi coraz gorzej. Danielewicz prowadzi mię po ulicach za ramię, idę z oczami zamkniętemi. Wieczorem tylko mogę patrzeć, i wtedy zdaje mi się, że odnajduję dziwaczne jakieś znaki w obłokach; są to jakby kawałki krepy, jakby zielone nieśmiertelniki, które fruwają wokoło mnie. A te znaki odczuwam, lecz nie pojmuję ich. Oh, bogdajby to nie były szydercze złudzenia! Czyżby niebo drwiło z mego osłabionego wzroku, zaludniając przestwór widmami?

Jakże zdrowie Pani? Czy Pani otrzymała tę trochę kwiatów, które pozwoliłem sobie przesłać Pani na dzień 7 maja? Czy Teodor przyjechał? Chciałbym, aby mi dał wiadomości z kraju. Musiało być zimno w zimie! Aleksander Potocki jest tutaj. Przybyłem z nim z Rzymu statkiem parowym; ma on pasję do pierścieni z talizmanami. To coś okropnego, te wszystkie pierścienie. Bardzo nam dobrze razem.

Pragnąłbym wiedzieć, czy „Nieboska" doszła do rąk Pani. Ja ją otrzymałem. Chciałbym wiedzieć, że to dziecię, które się Pani niegdyś podobało, (zdaje mi się, że to było w Wiesbadenie), spoczywa już na Jej stole. Otrzymałem list z Paryża, w którym mi mówią, że nikt nie zna nazwiska autora „i że z największym entuzjazmem od Mickiewicza,

[133] *109. Do Joanny Bobrowej* — oryginał tego listu pisany w języku francuskim. [przypis redakcyjny]

Goreckiego i w ogólności od wszystkich była przyjęta". Wyborne jest to, że mój korespondent nie więcej wie od innych i prosi mię, abym go objaśnił, jeżeli mogę. Proszę, niech Pani nie mówi tego nikomu.

Eh, co mi tam po tych wszystkich uciechach miłości własnej. Pragnąłem sławy — lecz sława, i nic prócz niej więcej, czemże jest na tej ziemi? Chlebem suchym, maczanym w pocie!

Przepędzam długie dni w zamyśleniu, a myśli moje są jakby zasłoną krepową. Są tu cyprysy, których widok dobrze mi robi. Jaką będzie moja przyszłość, nie mogę tego powiedzieć. Wiem, że kilka razy w życiu miałem duszę złamaną.

Żegnam Panią. Gdybym miał przy sobie takie dziecię, jak Mimi, zdaje mi się, że mógłbym się stać dzieckiem dla niego — tak czuję potrzebę kochania czegoś na tym świecie zimnym, obojętnym i ciasnym. Niech mi Pani powie słów kilka o swojem zdrowiu.

Zygm. Kras.

Mój adres we Florencji: Fenzi, bankier.

110. DO HENRYKA REEVE'A

Florencja, 3 czerwca 1835 r.

Czyś chory? Niepokoję się bardzo o Ciebie, gdyż powinienem od dawna był odebrać wiadomości od Ciebie we Florencji. Co do mnie, jestem w jednym z tych stanów duchowych, które zużywają siły, żadnej nie przynosząc korzyści. Coś wzywa mnie gwałtownie do Monachium: marzenie szczęścia mogłoby się ziścić dla mnie w jego okolicy. Dzień i noc wysilam myśl swoją, aby odgadnąć, jak obalić otaczające mię zapory, a jedną z najpoważniejszych jest to, że nie mam do rozporządzenia w tej chwili trzystu napoleonów w złocie. Wzniosłe porywy... marzenia fantastyczne, na czem się skończycie? Jeśli nie masz weksla na wehikuł, jesteś bezpowrotnie zgubiony. A odległość nie pozwala krzykom Twoim dojść do ucha, które drży, nadsłuchując. Ale może niebiosa się rozjaśnią i spadnie z nich garść złota, jak niegdyś na Danae, z tą różnicą, że w tym wypadku ja znajduję się w położeniu Jowisza.

A więc odpowiedz mi do Florencji, choć grozi Twemu listowi, że mię tam nie zastanie. Ale ponieważ nieobecność moja nie będzie trwała wiecznie (miesiąc lub półtora), później odbiorę go z poczty wyżej wymienionego miasta. To pewne, że przed tym terminem jeszcze do Ciebie napiszę. Co do małego dziełka, o którem Ci w ostatnim liście wspomniałem, to ma ono, zdaje się, powodzenie. Donoszą mi, że Mickiewicz i Niemcewicz przyznają mu geniusz i mówią o niem z zachwytem. Ale nie znają nazwiska *puerpery*[134], i daj Boże, by się go nigdy nie dowiedzieli. Henryka uprasza się, by nie opowiadał, że już dwa razy mu o niem mówiono.

Zdrowie moje kiepskie, czego Ci dowiedzie list ten, inną, niż moja, pisany ręką. Jednakowoż dotarłem prawie do końca *Irydiona Amfilochidesa*, który trzykrotnie podarty i dziesięciokrotnie przerywany bądź przez me cierpienie, bądź przez me namiętności, od trzech lat nie przestawał dręczyć mego mózgu i rozrastać się w nim, wydobywając się zeń częściowo porodami. Teraz z chaosu Rzymian, barbarzyńców i pierwszych chrześcijan wydobyłem myśl, która mi leżała na sercu i myśl tę uczyniłem człowiekiem o przodkach greckich, dążącym w dniach panowania i zepsucia cezarów do zemsty na Romie, która oszukała Ateny i zdusiła Korynt. Sam jest: ojciec jego umarł, przekazując mu nienawiść przeciw cesarstwu. Matka jego, kapłanka Odyna, porwana niegdyś z Chersonezu Cymbrów, otruła się, gdy był jeszcze dzieckiem. Pozostała mu siostra. Oddaje ją Heliogabalowi, by zmąciła jego umysł i otoczyła go stopniowo szałem. Gdy to osiągnął, poskromił cesarza. Stał się jego prefektem pretorium, jego bezwzględnym panem. A wtedy przekonał go, że cezar, by zbawić cezara, musi knuć spiski przeciw Wiecznemu Rzymowi. Pobożny Eneasz swego Turnusa, to Aleksander Sewer, syn chrześcijanki Mammei. Jeden i drugi knują jednocześnie spiski. Ale Aleksander chce złożyć z tronu Cezara i wrócić

[134] *puerpera* (wł.) — położnica, tu: rodzicielka, matka. [przypis redakcyjny]

siły cesarstwu, podczas gdy Irydion chce jednem uderzeniem obalić Rzym wszystkiem, co mu się pod rękę nawinie: przez Cezara, pretorianów, chrześcijan, barbarzyńców. Jego potężna, nieokiełzana myśl miota się, jakby wirami rozpaczy i nienawiści, przeciw wszystkiemu, co rzymskie, a przy tem dzień i noc udawać musi. Niewolnicy i gladiatorzy jedzą chleb w jego pałacu. Znalazł dwóch patrycjuszów, ze starożytnych rodów, doprowadzonych przez nędzę do walczenia w cyrku, i odsłonił im swoją zemstę. Scypio i Werres, obaj pokryci łachmanami, uśmiechali się na myśl zasztyletowania Romy, niegdyś ich matki, dziś ich macochy.

Wśród wszystkich tych postaci i wszystkich tych namiętności stoi obraz spokojny starca afrykańskiego, Masynissy. Majestat jego jest gorzki, jak każde ze słów jego. Wydaje się niekiedy, że żył od wieków i że nigdy nie umrze. Pierś jego pali, szyderstwo i pycha wypływają z niej strumieniem ciemności. On jest jedynym powiernikiem spiskowca. Pobudza go do cierpienia w milczeniu, powtarzając mu, że poza grobem istnieje inna Roma, z którą walczyć przyjdzie przez wieczność całą. Wreszcie skłania go do uwiedzenia i do uzbrojenia katakumb. W katakumbach znajduje się dziewica chrześcijańska, fanatyczna i czysta, którą miłość do szału doprowadza. Nie chcąc grzeszyć buntem przeciw Chrystusowi, pada zemdlona u stóp Irydiona, a później budząc się, bierze go za Chrystusa, który przyszedł zakładać swe millenium. Wszystko do tej chwili przyrzeka zwycięstwo bohaterowi tych stronic; ale w dniu oznaczonym, w chwili, gdy okiem tryumfującego Katyliny rzuca ponure spojrzenie na miasto, które ma poświęcić bogom podziemnym, w chwili, gdy podnosi rękę, by zapalić stos, mający być sygnałem pożaru Rzymu, zdradzają go chrześcijanie, ugodzeni piorunem klątwy biskupa rzymskiego, gdy, uzbrojeni, wybiegają z łona katakumb. Wtedy on, który stał się chrześcijaninem, wraca do bogów matki swojej, do nieubłaganego Odyna. Heliogabal i boska Elsinoe, siostra nieszczęsna, giną. Następuje walka krwawa, rozpaczna z Aleksandrem Sewerem. Później, gdy wszystko stracił, gdy żaden dziryt, żaden miecz go nie dosięgnął, ucieka, jak Orestes, daleko ku brzegowi morskiemu. Tam oczekuje go Masynissa, żądając, by mu sprzedał duszę. Zwyciężony poznaje w ostatniej swej godzinie, że był jedynie myślą proroczą o zburzeniu Rzymu, myślą tylko, niczem więcej. Wtedy oddaje duszę swą księciu ciemności; ale żąda za to zapłaty. Chce, przez dzień jeden przynajmniej, widzieć Rzym ten, którego nienawidził, w błocie i pohańbieniu. Masynissa zgadza się na to i usypia go w jednej z jaskiń gór Latyńskich. Dzień, w którym się obudzi, nie będzie ani dniem Alaryka, ani dniem Attyli: jest to noc roku 1835, gdy, po panowaniu w Romie materii i ducha, z pierwszej pozostały w Rzymie jedynie ruiny, z drugiej zgrzybiała teologia.

Wstęp ma kształt poematu, reszta jest dramatyczna. Koniec, przebudzenie, będzie balladą. Wybacz, mój drogi, że nudziłem Cię tak długo streszczeniem mego dziełka. Żegnaj i kochaj mię zawsze!

Zyg. Kras.

III. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Livourno, 14 czerwca 1835

Za trzy dni jadę do Niemiec, do wód Kissingen w pobliżu Würzburga. Tam będę przez trzy tygodnie, pisz tam do mnie. A potem wracam na jesień do Florencji, na zimę do Rzymu.

Jeśli takeś się zakochał w malarstwie, tobyś dopiero tu mógł użyć widoku arcydzieł. Ja jakoś dość obojętny jestem na obrazy; może to i stąd pochodzi, że nie mogę patrzeć na nie długo bez bólu w oczach. Co pojmuję być wzniosłem, to pierwszą chwilę natchnienia malarskiego, kiedy twarz, niewidziana na ziemi, staje mu, jak gorejące słońce, w mózgu i świeci, jak nadzieja — ale następny mechanizm sztuki nieznośnym byłby dla mnie. Wolę pisać: atrament mi nie śmierdzi, palców nie mażę, nie żyję w jadowitej atmosferze. Ale, jeśliś dobrze pojął, co malarz i jego dzieło, stosunek między nim a niem, to powieść twoja Ci się uda. Po francusku nie radziłbym jednak pisać. Horacy mówi: „Nie noś drzewa do lasu"; a potem nie napiszesz tak, jak Janin lub Sue. Wreszcie świętym dziś obowiązkiem

dla każdego z nas o ile możności pisać po polsku; jedyny to kamień, pozostały z gruzów — budujmy na nim! Potem, pisząc po francusku, styl swój polski zepsujesz; niepodobna dobrze w dwóch językach pisać, chyba listy. Duch człowieka różnorodnych form nie może przyjąć, żeby jedna nie następowała na kształty drugiej. Zresztą, jeśli czujesz się na siłach wystarczenia tym olbrzymim, zdaniem mojem, trudnościom, to rób podług myśli swej! *Addio*.

Z.

O Magnusie[135] nic nie wiemy. O matce Twojej doniosę Ci wkrótce.

112. DO HENRYKA REEVE'A

Kissingen, dn. 10 lipca 1835 r.

Drogi Henryku!

To niemożliwe, niemożliwe! Nie będę mógł być w sierpniu ani w Schlangenbadzie, ani w Ems. Kobieta, którą w życiu najbardziej kochałem, ostatni koniec mej młodości i początek mego wieku dojrzałego i męskiego, będzie w tym czasie w Tryjeście i Wenecji. Przeznaczenie ciągnie mię ku niej, gdyż po raz ostatni w życiu przycisnę ją do serca. Bawi teraz tutaj. Jestem potężny i szczęśliwy, jak bóg pogański. Za kilka dni wyjeżdżam do Ischlu; później, mniej więcej na początku sierpnia, udam się do Tryjestu. Napisz tam! Po dniach tych, które się kończą i które nigdy nie powrócą, złożę swoją koronę młodości i szaleństwa. Stanę się mężem. Bieg mego życia będzie może nic nie znaczący dla ludzi, którzy mię otaczają, ale wypełniony, ciemny i straszny w tajnikach mojej duszy. Praca bez wytchnienia jest celem, który, jak Saturn, pożera swoje dzieci, zanim wyrosną, lecz niech się co chce dzieje! Takim się urodziłem, takim umrę. Rozpocząłem od fanatyzmu miłości i sławy, później goniłem w milczeniu i uroczyście za innym fanatyzmem, pewny, że Bóg tam, gdzie jest... Czytaj św. Pawła!

Zyg. Kras.

W tych kilku słowach masz całą duszę moją i przeznaczenie.

113. DO ANNY ANKWICZOWEJ

(Wenecja, wrzesień 1835)

Żem w Iszlu szukał Henriettas Stelle, zaświadczyć mi mogą wszystkie echa, co odbiły moje grzmiące kroki, wszystkie drzewa, które pokaleczyłem, wdzierając się wzwyż i staczając się na dół, wszystkie kamienie, które postrącałem w przepaść, wszyscy włościanie, których się pytałem o drogę, a którzy mi jej nie przekazali. — Trzy dni szukałem — i to miejsce było dla mnie jak ognik latawiec po trzęsawiskach, co usuwa się dalej coraz i dogonić go nie sposób. Wreszcie stało się, żem znalazł dnia trzeciego. Stolik doktor Gotz zabrał, dwie ławki tylko zostawił — i stoi jawor z literami A. H. na korze swojej. Pod jego dopóki mój pojazd nie nadjechał a wtedy pożegnałem drzewo ono, ślad dawnych cierpień i marzeń młodocianych, cichych, które niczem są dla świata, a znaczą może wiele w niebie, i puściłem się dalej, ku Salzburgowi. Teraz jestem w Wenecji, w Wenecji mojej kochanej, własnej, której nikt mi nie odbierze. Pływam po morzu w rybackich barkach, obwisłych żaglami, lotem od Piazza do Molo i Chiesa i dalej; barka sunie bokiem po wodzie, wiatr pcha ją mocniej od pary i żyję życiem, które kocham.

Za kilka dni udam się ku Rzymowi. A Panie gdzie jesteście? Czy w Wiedniu, czy w Miechowie, czy w Krakowie? Ja myślę, że w Ober-Braunerstrasse. — Czas jest cieniem wspominałem sobie salon Pani, piękny, księżyc po nocach świeci, a wtedy Wenecja staje się światem duchów, światem prorokiem tego, który kiedyś nadpłynie ku nam i porwie nas w swoje fale, błękitniejsze jeszcze, bardziej szklarnie jeszcze, niż szyby Adriatyku,

[135]*Magnus* — Magnuszewski Dominik, kolega szkolny Krasińskiego i Gaszyńskiego. [przypis redakcyjny]

niż niebo Włoch. — Ale to dla niektórych tylko, bo dla innych będą tam dziksze skały i potężniejsze burze, niż bywały tutaj. Nad Wenecję nic nie znam świętszego, piękniejszego. Jej milczenie wymowniejsze, niż wszystkie karety i bruki, o których Descar marzy. A cóż się stało z tym bohaterem bojaźni, z tym mazaczem herbów własnych? Kiedy gdzie zobaczę garkuchnię, wtedy jego postać staje mi w pamięci etc. etc.

Ale przypomniałem sobie: należy hołd złożyć i myto za przejście Alp, podatek u wejścia do Włoch zapłacić pannie Henriecie. Inaczejby mnie dalej nie puściło ni morze, ni niebo Włoch. A zatem płacę, złą monetą pewno, ale proszę darować, bo wyjeżdżam z Austrii. Moje uszanowanie p. Hrabiemu. Przypominam się pamięci p. Marcjanny[136]. Kilka razy sięgnąłem ręką po mgłę, przesuwającą się nad moją głową na skałach Tyrolu, by z niej zasłonę śnieżystą jej utkać na dzień strasznego sądu zakonnych obłóczyn, ale mgła przeleciała; może i jej zamiar przeleci. Upraszam o wiadomości o sobie i swoich, a teraz żegnam i proszę wierzyć temu, co kilka razy powtarzałem, o wdzięczności całego serca mego. Pani Hrabiny najniższy sługa

Zyg. Kras.

P. Danielewicz składa uszanowanie swoje.
Mój adres: Rzym, Torlonia.

114. DO E. JAROSZYŃSKIEGO

Wiedeń, 1835 r. — dnia 10 decembra[137]

Drogi Edwardzie!

Padłem na kolana i podziękowałem Bogu, kiedym przed kwadransem list Twój z 24 now[embra] odebrał. Zdało mi się, że coś jaśniejszego, lepszego stało się na świecie, że wiosna jakaś niespodziana wróciła. Bo trza Ci wiedzieć, że smutne, okropne wiadomości się rozchodziły, tak okropne, że już tylko pomoc w Bogu zdawała się zostawać, że po nocach żal ciężył mi nieznośnie na sercu że po nocach widywałem straszne miejsca straszne, ostateczne sceny, że wtedy jeden ratunek był mój w modlitwie, jeden ratunek chodzić do kościoła św. Szczepana i msze kazać odmawiać, jakby już za duszę, co odleciała, za istotą, z którą wieczny, straszny rozdział nastąpił! Oh, przez Ciebie ja wróciłem znowu pod te ciemne arkady gotyckie, dla Ciebie, od dawna rozbratany z śpiewami, z obrzędami, z temi gromnicami wśród ciemności, poszedłem przed ołtarze. Bóg widzi, żem szczerze się modlił, żem silnie ściskał dłonie w niewymownym żalu, żem Go prosił, jak dziecko, co krzyczy i krzyczy, i chce koniecznie czegoś! Chwała Jemu, chwała Bogu — Bogu, że rozśmiały się niebiosa, że przynajmniej otucha się znalazła, że nie ma tego przedziału, gorszego od śmierci, w którym wie serce o drugiem, że bije, a choćby pękło za nie, pękłoby samo, nadaremnie.

Są smutne pasma życia, są dni stroskane na świecie, są położenia, w których dusza odpycha, jak może, ciało, by jej lepiej było po rozerwaniu łączących tasiemek; ale są też chwile zbawienia, chwile uniesienia i dziękczynień dla tej miłości, która strzeże i z toni wyrywa. Im toń głębsza, tem akord wesela, co z niej wychodzi, potężniejszy, anielszy. Taki ja usłyszałem dzisiaj!

Słuchaj! Ty chcesz wciąż mi dowieść, że ja dobry byłem dla Ciebie a Ty nie dla mnie. Porzuć te dowodzenia, nie możesz w nich tylko sofizmami postępować. Powtarzam Ci, żeś Ty był dla mnie nie po ludzku dobrym, ale po anielsku, że żadnej równości w tem nie istnieje między nami, że ja czuję w tem całą niższość moją. Myślą, zapewnie, i sercem kochałem Cię mocno, wielce, tak, jak wypaść musi z mojej natury niezimnej, ale czynami nigdy! Czynem Ty mnie kochałeś, Ty mi tysiąc dowodów dałeś; co są w porównaniu Twojego położenia moje okoliczności?... Choć na brzegu przepaści choć na progu śmierci, ruszałem się wolno, niepodlegle: nie ciężyła przyszłość nade mną ponura. Żyłem cały namiętnością, ogniem, który mógł zgasnąć wprawdzie, ale z własnego popędu, w jednej

[136] *Przypominam się pamięci p. Marcjanny* — Łempickiej. [przypis redakcyjny]
[137] *decembra* — grudnia. [przypis edytorski]

chwili. Cóż dziwnego, że w takim stanie mogłem myśleć o Tobie, ale Ty żeś o mnie myślał — o, Boże, pobłogosław mu za to na wieki! Nie mógłbyś wynaleźć innego adresu, przez który mógłbym pisać do Ciebie? Mam w tem pewną przyczynę. Może oskarżysz mnie o podejrzliwość, ale to jest tylko chęć odsunięcia pokusy; na co kusić ludzi a potem na nich się skarżyć?

Dzień 16 nowembra był dniem śnieżnym, ponurym, z tych dni nieśmiertelnych, które nigdy w pamięci nie wymierają, z tych dni zabijających, stanowczych, które odmieniają postawę, twarz, ruchy człowieka, a w duszy jego coś niszczą, przetwarzają, z tych dni koniecznych, w których objawia się siła przeznaczenia, jakby siła jaka natury ślepa, ogromna, bez ale!... Ten dzień przeszedł mi nie w Wiedniu, ale w jego okolicach. Ten dzień przeszedł mi, jak sen, a został się we mnie, jak męka. Kiedy pomyślę o nim, zda mi się, jakobym widział rusztowanie i słyszał ostatnie namowy księdza. Po tym dniu życie moje stało się bryłą granitu: ni mchu, ni rosy! Po tym dniu spotkałem się z p. K...; był u mnie, mówiliśmy o Tobie, mówiliśmy o rozmaitych zresztą, a bardzo obojętnych rzeczach. Byłem spokojny; on nie wie, co we mnie się działo tego pewny jestem! Potem on pojechał, i jechał tak wściekle prędko, że dogonił to, za czem gonił nadaremno, i znów obserwował ten drugi przedmiot ciekawości we Lwowie. W tem podobny do podróżującego anatomisty, co w jednem mieście jednego, w drugiem drugiego trupa egzaminował, a o duszy, co z nich wyszła, nic się nie dowiedział. Ta dusza, Edwardzie, obleczona cieniami śmierci, gdziekolwiek ona jest w tej chwili, proś za nią Boga i umiłuj ją. Ta dusza z dwóch części się składa, z dwóch serc wyzionięta, i teraz już jednością w wieczności! Chwila, kiedy opuszczała ciało swoje, straszną była, — straszną, powiadam Ci!

Ach, gdzież to drugie ciało, opuszczone, martwe? Gdzie ono w tej chwili? Ty je ujrzysz, Ty odmówisz modlitwę wspomnień nad niem, Ty je pobłogosławisz, nieprawdaż?... Ale dość o sobie! To nawet za wiele, w tem egoizm mój!

Bądź łaskaw, pisz teraz mi zawsze pod adresem: *Simmy banquier à Vienne*. On mi odeszle tam, gdzie będę. Wybieram się ostatnich dni decembra do Florencji; miałem jechać natychmiast po tym dniu, o którym ci wspomniałem, ale wstrzymało mnie przeczucie śmierci o Konstantym z cholery, i dlatego przeczekałem jej kryzys w Lombardii.

Co się tyczy listu z Gratz, to ja się pomyliłem, bo pisałem Ci go między Gratzem a Wiedniem, a oddałem na pocztę w Wiedniu, ale że mi się to wszystko bardzo mieszało w głowie, tom ci napisał *à Gratz*. Był to ten list w którym Ci wspominałem o pokusach, które czułem w Wenecji, i które doprowadziły mnie do czynu złego — opłakanego!

Ach, miałem chwile nieskończonej goryczy! Wszystko, co piękne i kochane łamało się przede mną, jak lód, co w kry się rozsypuje. Widziałem spokojne czoła, co tak pękały z rozpaczy; miałem dni, w których samo szczęście, samo uniesienie stawało się ironią, w których pomyśleć o uśmiechu, choćby smętnym, tkliwym, było nie sposób, w których łzy nawet byłyby szyderstwem, dzieciństwem, oznaką marną bólu, bo żeby go wydać, wyrazić — chyba trzeba było skonać!... Ale przeszło, przeszło. Ty wiesz, że w wspomnieniu trumny, oświeconej promieniami zachodniego słońca, trumna znika wreszcie, jedno światło się zostaje. W tem fatalizm — dusz naszych Rządca dobrodziejem jest! — Niech Cię Bóg wszechmocny strzeże i błogosławi ochroni od wszelkiego złego, wróci nam, wróci mnie Ciebie, Edwardzie drogi. Te same życzenia i uściski przesyła Ci Konstanty przeze mnie. Ciągle rozmyślamy o Tobie razem, wspominaliśmy ubiegłe chwile, frazesa twoje ulubione zwyczajne; nieraz z westchnieniem pytaliśmy się jeden drugiego, co on robi, gdzie on jest teraz. Ach, Ty biedny, Ty, coś zawsze gadał o lokomocji! Ale da Bóg, że się skończy wszystko szczęśliwie, że prawda się okaże i że się obaczymy znowu. Pisz zaraz do mnie! Addio! A jeśli ujrzysz... wtedy bądź pociechą, powiedz, iż wiesz, iż ten człowiek kocha, kogo przyrzekł kochać. Jeśli się dowiesz o szczegółach różnych, to napisz.

Dzięki Ci dzięki, mój Edwardzie, że tak myślisz o mnie. Twój

Zygmunt.

„*The Phashion*" także Ci się przypomina; nieraz w łysinę się palnął, mówiąc o Tobie i żałując Ciebie.

115. DO ADAMA SOŁTANA

1835. 16 decembra, Wiedeń

Odebrałem dziś Twój list. Niezawodnie po Nowym Roku stąd wyjeżdżam do Florencji a stamtąd po odwiedzeniu księżnej do Rzymu, do Ciebie. Smutny jestem, jak tysiąc nietoperzy. Twój list rozdarł mi serce. Zaraz napisałem do ojca, by się dowiedział o nich i doniósł mi, sądząc, że to Ci będzie przyjemnem[138].

Z Edwardem lepiej się dziać poczyna, miałem list od niego[139]. Zdaje się, że przy końcu sprawy rzecz inny obrót wzięła, że pokazało się, że to wszystko niczem było, że go skażą tylko na areszt przemijający. Dopiero zawczoraj tę tak dobrą wieść odebrałem; powiedz o tem szambelanowi, o którym wieść chodzi, że muchy latem zabija w przelocie. Jednak nic tak bardzo pewnego w tem jeszcze nie ma. List od księżnej odebrałem, odpisałem zaraz. W Florencji będę jej mówił o Twoich córkach. Sądzę, że dla niej samej najlepszą by było sposobnością wyrwania się z tego stanu nicości i mienia czegoś na tym świecie. Jak tylko stanę w Florencji, do Ciebie napiszę.

Jest tu pełno magnatów. Szczęśliwy, kogo zająć mogą komeraże, intryżki, klucze na połach fraka i gwiazdy na pętlicy. Szczęśliwy, kto nie doszedł prawdy, że wszystko jest nicością i marnem ubieganiem się, że każda chwila szczęścia zapisuje lata całe boleści, tonącemu wcześniej czy później w jedynej realności, w wszechpotędze Boga. Addio, drogi mój i szanowny przyjacielu. Konstanty, Sauvan Cię ściskają. *A rivederla*[140].

116. DO ADAMA SOŁTANA

25 stycznia 1836, Florencja

Przyjechałem tu wczoraj o dwunastej w nocy, dziś Twój list odebrałem i te inne, któreś mi był łaskaw przysłać. Chciałbym jechać do Ciebie jak najprędzej, bo mi smutno, źle, gorzko, a jestem goły jak bizon, wszystkiego mam piętnaście napoleonów. Liczyłem na pewno, że będą pieniądze u Torloniego[141], muszę więc tu brać stancję na miesiąc za kilka piastrów i dopiero potem do Rzymu jechać, bo tu nikt nie pożyczy złamanego szeląga. Wszystko coraz gorzej na tym świecie, przyszłości za bajona nigdzie, Polska wszędzie w łeb bierze. Jeszcze tego trzeba było, żeby Jelski kozła przewrócił; wszystko się starzeje, błaźni, psuje. Ja sam co do moich stosunków i położenia jestem dość źle, nie wiem, co się ze mną stanie; widzę ze wszystkich wiadomości z kraju, że mnie czekają niemiłe przeprawy, że niczego dobrego spodziewać się nie mogę, ni moralnie ni materialnie.

Teraz słuchaj jednej rzeczy. Mam tu przypadkiem i za bardzo tanie pieniądze mieszkanie nie na dwóch, ale na dziesięciu; przyjedź, zmiłuj się, przyjedź, będziem stali razem! Mam wyborne hawańskie cygara, pod spodem jest kawiarnia Donnego, z której kawa rano, taniej wszystko, niż w Rzymie. Przyjedź, Adamie, kto wie, co się z nami stanie, gdzie los nas rozrzuci; kto wie, czy już długo będziem obok siebie w możności widywania się, kto wie, czy który z nas nie wybierze się w drogę. Piesa[142] skończona, „pójdziem k' chowot" w tę drogę, na której jeśli są oberże, to planety, słońca lub komety. Zmiłuj się, przebądźmy razem jeszcze chwil kilka! Rzadko się kochają ludzie na ziemi, a kiedy się kochają, niechże będą razem, niechże pomówią jeszcze z sobą, niech się uścisną jeszcze, bo każde jutro może ich rozdzielić na wieki! Księżna rada niezmiernie będzie Twojemu przyjazdowi; mówiła mi wczoraj, że chciałaby Cię widzieć. Przyjedź w interesie już samych dzieci, drogi mój Adamie! Co do Pacównej, to jużci możem tak samo z Florencji

[138]*Zaraz napisałem do ojca, by się dowiedział o nich i doniósł mi (…)* — synów Sołtana porwano na rozkaz cara Mikołaja i wywieziono do Moskwy do korpusu kadetów. Najmłodszy syn, Michał, miał wtedy niespełna cztery lata. [przypis redakcyjny]

[139]*miałem list od niego* — Edward Jaroszyński, po powrocie do kraju uwięziony i osadzony w fortecy. [przypis redakcyjny]

[140]*A rivederla* (wł.) — do widzenia. [przypis redakcyjny]

[141]*Aleksander Torlonia* — bankier rzymski. [przypis redakcyjny]

[142]*piesa* (fr.) — ustęp dzieła, fragment. [przypis redakcyjny]

jak z Rzymu z Kniaziewiczem korespondować[143], a potem byśmy razem przed wielkim tygodniem wrócili do Rzymu.

Przywiozłem Ci z wód niemieckich szklanicę i pierścień z Twoim herbem, bo chciałem, byś miał pamiąteczkę z tych miejsc, w których ja byłem. Jeśli nie przyjedziesz, prześlę Ci je przez Fenzego do Torloniego; ale usłuchaj nas, przyjedź, przeżyjem jeszcze dni kilka razem. Jeszcze raz: przyjedź — przyjedź, i kochaj mnie ciągle!

Twój.

W tych dniach spodziewam się pewnych wiadomości o Twoich synach. Salvanus[144] się przypomina Tobie.

117. DO OJCA

Florencja, 26 stycznia 1836 r.

Polska, Polak, Historia, Polityka, Zwątpienie

Wszystko, co było nami, rozprzęga się i wraca do nicości. Zginiem, jak Żydy zginęli, ale nie utrzymamy się jak oni, choć winniśmy sobie sami. Byliśmy najniepewniejszym, najbłędniejszym, najbledszym, że tak powiem, narodem w historii ludzkości. Nic nigdy organicznego, zupełnego, całego u nas nie było: ni arystokracji, ni mieszczaństwa, ni ludu. Byliśmy politycznemi infusoriami, ale nie indywiduami. Dlatego tak łatwo koniec przyszedł na nas. Żeby nasza arystokracja miała była z kim walczyć, jak francuska, jak angielska, byłaby była dzielną i żywotną. Życie jest to tarcie się, jest to podwójność, nie zaś jedność spokojna. A szlachta polska była jednością — sobiepańską, niedbałą o nic, bo nic się jej nie sprzeciwiało, nie nauczyła się życia, w letargu leżała; obudzenie jej było śmiercią.

Ślamazarny był los nasz. Zabierało się na coś w początkach. Zdawało się, że my Słowiańszczyznę spoim i urządzim. Garnęły się do nas narody i korony, ale z niczego korzystać nie umieliśmy, nic w czas zrobić. Gdzie kiedy jaki Polak był genialnym politykiem? Gdzie kiedy Polska wpływ na Europę, reakcję choćby, wywarła? Dobrze gadać obcym o Turkach, ale w rzeczy samej wojny tureckie nie były u nas owocem rozmysłu i przewidywania, tylko dziełem chwilowem nieodbitej konieczności.

Przedmurze chrześcijaństwa

Wielki rozum, wielka zasługa, że, kiedy przyszli Tatarzy lub Turcy, to my się bronili wtedy. Ale czyśmy przejrzeli, jakoby obalić potęgę turecką? Ale czyśmy założyli sobie ją obalić, lub przynajmniej określić? Ale czyż wyprawa pod Wiedeń nie była jeszcze prostym przypadkiem — szczęśliwym!

A w naukach, w kunsztach, w sztukach cóżeśmy stworzyli? Jestże poezja, architektura, lub malarstwo, lub muzyka polska? Czyśmy mieli kiedy co polskiego na świecie, prócz rubaszności? — Ubiór od zachodniej Europy, potem od Wschodu pożyczony. Język narodowy porzucony dla umarłego, łacińskiego, potem porzucony dla żyjącego, francuskiego. Literaturka nasza z konceptów włoskich, z maksym Cycerona, z wierszyków francuskich, z ballad niemieckich wyarlekiniona.

Upiór, Religia, Walka

W niczem geniuszu, ni zewnątrz, ni wewnątrz; w niczem życia, ni w polityce, ni w duchu krajowym. Po śmierci dopiero żyć się nam zachciało: kiedy nie ma, dawaj! Upiory z nas, nie ludzie. Wszystko po niewczasie. Upiory męczą się srodze: to sekret mąk naszych. Ale to przodkom naszym winniśmy.

Że wojen u nas religijnych nie było, to tylko dowód, że nikt w nic nie wierzył mocno. O to, w co ludzie wierzą, biją się. Wojna jest znakiem życia. Naród polski bywał zawsze leniwy do wojny, do pospolitego ruszenia, lubił wygódki. Ale za to fanfaron wielki; bo ten tylko się chełpi, który czuje niedostatek rzeczy, z której chełpi się — ale za to małpa, bo ten tylko naśladuje, co nie ma nic własnego.

Te dwie przywary, razem połączone, tworzą afektację, brak naturalności. Dlatego też my najmniej naturalni z ludzi.

[143] *Co do Pacównej, to jużci możem tak samo z Florencji jak z Rzymu z Kniaziewiczem korespondować* — Kniaziewicz był opiekunem Pacównej, Sołtan jej współopiekunem. [przypis redakcyjny]

[144] *Salvanus* — Sauvan. [przypis redakcyjny]

Dlategośmy często wystawni dla widzów, skąpi w domu. Dlategośmy często namiętni dla widzów, zimni w sercu. Dlatego krzyczym, nie myślimy, dowodzim bez przekonania. Jedyną tradycją stanu u nas była: swawola. Jedynym celem powszechnym towarzystwa: używanie. Jedynem pojęciem wolności: lenistwo.

Lekkomyślność nasza pochodziła zawsze z braku głębi w czuciu, z braku prawdziwych celów, słowem z braku wiar jakichkolwiek. Trza było okropnie słabych i ślamazarnych ludzi, by po oczytaniu się w starożytnych, po obznajomieniu się z całą cywilizacją europejską, dać się opanować przez jezuitów, by dać sobie wydrzeć z rąk wszystko przez ludzi, którym nie wierzyli, bo któż z panów polskich wierzył katolicyzmowi? Cała Polska, to raz protestancką, to znów socyniańską, to znów rzymską apostolską bywała.

Nigdy w Polsce ni silnego despotyzmu, ni silnej opozycji nie było. Król żaden nie był wielkim. Stefan Batory zapił sprawę swoją wielką. Ileż to prac podejmować trza było, by tym ludziom wytłumaczyć coś korzystnego dla nich, a rząd, który zawsze wnosił i tłumaczył, sam nie umiał dobrze tłumaczyć. I tak: unia z Litwą z jakiemiż trudnościami się spotkała! A unia z Rusią, z kozactwem nigdy do skutku przyjść nie mogła.

Często się przydarza, że bezinteresowność raczej jest lenistwem, tak samo jak, że pozory szlachetności pochodzą z głupstwa, tj., że są pewne bezinteresowności, że są pewne fakta, wynikające z głupstwa, którym ludzie podchlebiają, przezywając je szlachetnemi. U nas takich bardzo wielka siła. Z lenistwa naszego, z chęci używania a nie działania, srodze potępiające nas wyniknęły skutki: na drodze realnej, że nie mamy bytu — na drodze idealnej, że nie mamy wspomnień naszego bytu, życia naszego życia, tj. historii polskiej. W tym względzie żaden naród niżej od nas nie stoi. Tak tu się stało, jak we wszystkiem: mamy ułamki kościotrupowe historii, tj., chroniki, z których najlepsza chronika Naruszewicza, tyle razy obdarzona tytułem historii — ale nie mamy organicznych dziejów polskich, nie mamy całości. Stąd wynika, że nie ma Polaka, który by głębiej nie znał szkockich dziejów od swoich własnych. Przyznaję zresztą, że gdyby przyszło prawdziwie i filozoficznie komu pisać polską historię, to chyba trza by mu było być cudzoziemcem, żeby się odważyć do takiego dzieła. Serce Polaka nie zdołałoby przenieść na sobie, by odsunąć zasłonę, leżącą nad takim ogromem niedorzeczności, błędów raczej słabości, niż namiętności, głupstwa raczej, niż zbrodni, dzieciństwa raczej, niż ludzkich czynów.

Nie zdołałaby ręka polska opisywać, jako nam opatrzność wydzieliła ogrom darów swoich, jako nas postawiła na pysznej drodze, na samym środku Sławian, jako napisała w przeznaczeniach naszych, że my powinni ich skupić i uorganizować, jako nam dała potęgę, wtedy kiedy sąsiedzi byli słabi i dzicy, jako nas połączyła, nas jednych z sławiańskiego szczepu, z żyjącą i oświeconą Europą i jako my wszystko zmarnowali nie przez hojność, nie przez popęd, nie przez rozpasane namiętności, ale tylko przez nieporządek, przez opieszałość, przez brak rozumu, a nieraz i serca. Podobni w tem do tego, który nikomu szklanki wody nie dał, a stracił majątek.

Historia, Literatura, Polska

Słyszałem nieraz naszych sawantów, dziwiących się, że nie ma epopei polskiej. Rzecz jasna: gdzie nie ma historii, tam epopei być nie może. Epopeje nie przez poetów, ale przez narody się robią. Grecja u stóp murów trojańskich zrobiła *Iliadę*. Germanie w walkach Attyli *Nibelungów*. Trza czynu, który by lud cały poruszył aż do wnętrzności jego — a u nas nigdy nic takiego nie było. Żadne factum w Polszcze nie wdarło się głęboko ani w uczucie, ani w pamięć narodu. A, mój Boże, mój Boże, my nie dzieci, my nie młodziki, my od tysiąca lat przeszło żyjemy! Jedyna nasza epopeja to *Myszeida* Krasickiego. Jedyna liryczna poezja, to *Fraszki* Kochanowskiego. Jedyna tragedia to *Barbara* Felińskiego. I w rzeczy samej tragicznego przedmiotu w historii polskiej nikt nie wynajdzie. Tam tylko jest tragiczność, gdzie były głębokie uczucia i silne namiętności.

Tragedia jest to to w teraźniejszości, co epopea w przeszłości; do jednej i drugiej trza ruchu, tradycyj poważnych i wiary w coś na świecie.

Śmiech, Szlachcic, Polak, Cnota, Upadek

Było pryncypium, zakorzenione w Polszcze, które niszczyło wszelką w niej poezją: pryncypium buffońskie, rubaszność szlachecka, trefność dworzańska, krotofilność. W innych narodach byli szczególni ludzie, wyznaczeni na pastwę temu pryncypium: zwali się błaznami królów (Triboulet etc. etc). U nas cała szlachta ćwiczyła się w tem rzemiośle, a że wszystko przesadzamy, byliśmy nieraz fanfaronami błazeństwa (tak, jak Lacenaire był *fanfaron du crime*). Ileż to z tego opłakanego zwrotu ducha narodowego wyniknęło podłości i uniżenia w postępowaniu! Ileż razy szlachcic, dworzanin, tak się przyzwyczaił

wszystko w koncepta stroić, że nareszcie koncept powiedział o cnocie i został łajdakiem! Ileż to sejmów przez koncept zerwanych! Samo *liberum veto* było rodzajem konceptu, ale to z tych konceptów, które kończą się płaczem.

Były u nas indywidualne cnoty i bohatyrstwa, ale narodowych nie było. Co u innych narodów wyszło na cnoty i zbrodnie, to u nas wychodziło na buffonady. Tam, gdzie wielkie zbrodnie, muszą być i wielkie cnoty, bo pierwiastek zbrodni i cnoty jeden: moc ducha, ale tylko kierunki różne (mówię ja tu o zbrodniach politycznych, o spiskach, o niesprawiedliwych zaborach, o dumie i żądzy panowania). U nas było ogromne nic.

Ni cnota, ni niegodziwość, ale *mezzo termino*: błazeństwo. Ni sroga tragedia, ni idylla niewinna, ale *mezzo termino*: farsa. I tak, leżąc na kożuchu, pijąc małmazję i piwo, trefnując dziwnie krotofilnie, zeszliśmy do grobu.

Teraz niech mi Papa odpowie: czy takie przyczyny nie wydają gorzkich owoców? Czy potomkom takie przeszłości nie zapisują chwil smutnych? Czy taka nicość nie wydrąża nicości w duszach, które się ku niej obracają? Czy można się dziwić, że plemię nasze, że pokolenie nasze pochyloną trzyma głowę, kiedy pokolenia przeszłe wszystkie żarty zużyły, a nam tylko zostawiły niedolę?

O, ze śmiechu, który niegdyś rozlegał się po Polszcze całej, została nam tylko zawczesna starość. Polska lat pięćset się śmiała gardłem całem i komiczną była — przez kompensacją my dziś płaczem i czujem nieco tragicznej.

Pisałem ja tak długo, choć z obawą znudzenia, jak zwykle, dlatego, że serce moje i usprawiedliwić chciałem z zarzutu, jakoby ono nic nie czuło, jakoby usiłowania drogiego Ojca nie mogły go powołać do chwili nadziei. Chciałem, z ogółu rzecz biorąc, oskarżyć okoliczności i przeszłość, a zdjąć z teraźniejszości ciężar wyrzutów.

Ludzie są tem, czem ich przeszłość zrobiła. Zależą nie tylko od chwil, w których są, ale od wszystkich, w których nie byli. Strasznemi bywają zapisy czynione przez przodków: zdrowie, choroba materialnie — radość, smutek moralnie — i jeszcze kara, lub chwała. My w testamencie dostali tylko wypłatę długów...

118. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Florencja, 9 lutego 1836

Drogi mój Konstanty! To chyba diabeł konfiskował listy, które Ci pisałem z Niemiec, a potem z Tryjestu. Pewno, pewno. Wielką radość miałem dzisiaj i za nią Bogu dziękuję, żem się dowiedział, że żyjesz; nieraz my z Konstantym, siedząc wieczorem, mówili o Tobie i myśleli już, żeś umarł. Wczoraj jeszcze prosiłem Seweryna Mielżyńskiego, żeby pisał do Prowancji i dowiedział się o Tobie. Chwała Bogu, mój drogi. A, jak widzę, nie tylko żyjesz ciałem, ale i całą duszą, bo tak piszesz po polsku i po francusku, prozą i wierszem! Oby nigdy Cię nie opuściła ta łatwość, ten dar boży, który tyle chwil słodko odpędza, maskuje tyle chwil gorzkich, kiedy nie można ni czuć, ni pisać w nich. Obyś nie przyszedł do stanu przeklętego, w którym poeta zapytuje samego siebie: „Jestże poezja, nie ma li jej na świecie? Cierpkie to zwątpienie, a zarazem za niem, jak dwa widziadła, stąpają dwa drugie zwątpienia: jedno o Bogu, drugie o nieśmiertelności duszy własnej.

Niemiec, Filozof, Bóg, Poezja

Przekleństwo tym Niemcom, panteistom, filozofom! Oni chcą, by materia i duch jedno były, by zewnątrz świata, by za naturą nic już nie było, by organizm świata był Bogiem, żyjącym na ciągłej przemianie, na ustawicznem umieraniu cząstek swoich. Przeklęci, przeklęci — oni mnie pozbawili na czas długi uczucia piękności! A jeżeli to prawdą, żeśmy błaznami dni kilku, a potem prochem, gazem, infuzoriami, idącemi się zrosnąć w jakie inne błazeństwo organiczne? A jeśli prawdą, że świat tylko nieśmiertelny, a wszystka cząstka jego śmiertelna, odmienna, bez wiecznej indywidualności? Jeśli Bóg, to otchłań tylko przemian bez końca, to wieczność śmierci i urodzin, to łańcuch nieskończony o pryskających ogniwach, to ocean, w którym każda fala wspina się, by kształt dostać, i opada natychmiast bez kształtu? Ah, powiedz mi, gdzie piękność, gdzie poezja? Bo poezji nie ma bez nieśmiertelności duszy, bo poezja, to losy dusz naszych w przeszłości i w przyszłości, w porównaniu z naszym stanem dzisiejszym, bo poezja moja i każdego, to to, że był kiedyś, gdzieś, i że będzie kiedyś, gdzieś, ale ten sam, on, on zawsze, czy

na ziemi, czy na jakimś komecie, czy w raju, czy w piekle, czy w czyśćcu, czy w polach Elizejskich, czy na Wallhalli, byleby to on był, on! Bez tego już mi i oczy kochanki, już i promienie słońca niemiłe. Ah, przeklęte Niemcy, filozofy!

Widzisz Ty z tej przemowy, że nie w rozkosznym jestem humorze. Żeby to nawet tylko filozofia Niemców, tobym jeszcze dał sobie rady; ale, od kiedy Tyś o mnie nic już się nie dowiedział, zaszły wypadki, które wstrzęsły mną całym od stóp do głowy i od mózgu do serca.

Teraz, co się tyczy *Komedii*, nie mam żadnego egzemplarza. Ta rzecz się stała przez księgarza w Frankfurcie nad Menem, i ten księgarz się przestraszył potem, i wstrzymał i wstrzymuje dotąd gotową edycję; ładu z Niemcem dość nie można, tak się boi. Edycja mała, bo tylko dwieście pięćdziesiąt egzemplarzy. Teraz, kiedy widać, że chwalą dzieło (nie tylko jeden egzemplarz, ale ze dwadzieścia wykradziono i rozesłano), powiedz mi, czy nie można by drugiej edycji zrobić? Mógłbym ja dostać od kogoś, który ma jeden egzemplarz, i przesłać Tobie, a jeśli myślisz, że zyskasz na tem, to sobie na swój zysk wydawaj! Odpowiedz mi na to! Nikt się upomnieć o podrobioną edycję nie może, bo nikt manuskryptu nie kupił.

Nieszczęśliwy ja jestem w edycjach. Wystaw sobie, posłałem teraz *Irydiona* i pieniądze komuś; od tego czasu ani słychu o nim, zapewne manuskrypt, by dojrzewał, do szuflady schował. Jeśli to potrwa, to ja Tobie drugi tego samego manuskrypt prześlę, Tylko, mój Konstanty, napisz mi wszystkie objaśnienia w tym względzie: napisz, jak do Ciebie co posłać, pewno do Aix, jak drukują w Paryżu, wiele arkusz druku kosztuje etc. etc, a pamiętaj być szah! z tem wszystkiem. Ciekawym niezmiernie wierszy Twoich francuskich; prześlij mi kilka w pierwszym liście!

Danielewicz serdecznie Cię ściska i zapytuje, gdzie Ulrych i prosi o adres jego.

Mój Konstanty drogi, Bóg Tobie nagrodził dobroć Twoję, wiarę Twoję we wszystko słodkie, poczciwe i piękne. Znalazłeś przyjaciół, którzy radzi Tobie, znalazłeś i cele. Ah, Ty nie czujesz tej próżni bez imienia, bez granic, w której obumieram; choroba nieubłagana, powolna, rozstrajająca nie przepsuła Ci ducha i ciała; znosisz mężnie wygnanie i w pięknem niebie są jeszcze blaski nadziei, chmury rozkoszy dla Ciebie. Ja nigdy nie mogę dojść do czegoś słodkiego, niewinnego; w poezji mojej nic nigdy nie było naiwnego, potulnego, dobrego. Szatan, nie anioł stróż mój, natchnął mnie od lat dziecinnych. Zawsze pękające serca, przeklinające siebie same serca cisnęły się pod moje pióro. Gruz i popiół, oto państwo moje, i, siedząc na tych ruinach, zżarłem ostatki nadziei i miłosierdzia Pańskiego w sobie. Powiedz mi, drogi mój, czy pamiętasz, jakem był lekkomyślny, wesoły, jak mi dni schodziły, gdyby motyle. Oh, nie! Podobno ja nigdy takim nie byłem; już w dzieciństwie mojem były namiętności, które mnie kaziły, które mi czystość duszy odebrały przed czasem; starością jakąś zawsze cechowały mnie bogi, nigdym nie był tak niewinny, tak dobry, tak ufny, jak Ty, i dlategom nigdy nie był, jako Ty, szczęśliwy. O, jakże chciałbym choć na chwilę jedną zostać dzieckiem wśród zielonej łąki świata i śmiać się do muszek, i śmiać się do kwiatów, i dziewcze jakie młodziuchne mieć u boku swego, do której mógłbym powiedzieć: „Siostro moja". Ozwała się we mnie potrzeba niewinności, konieczny mus wiary w niewinność, kiedym już stary na sercu, kiedy już niewinności ufać nie zdołam. Coś czystego, coś czystego daj mi, a ja Ci duszę oddam w zamian! Wieku mojego nie cierpię, a jednak wszystko we mnie zgodne z wiekiem, w którym żyję: te same rozhuzdane żądze i niemożność ta sama, te same pół-wiary i pół-błyski rozumu i ta sama nuda ogromna, straszna, piekielna, zimna, jak lód, pożerająca, jak ogień. Bądź co bądź, Ty nie zapomnisz o przyjacielu lat młodych, Ty będziesz pamiętał, że on kochał Cię szczerze. Cokolwiek ze mną się stanie, Ty pamięć moją szanować i miłować będziesz. Ale to wszystko mgły, co mi mózg zaciemniają; rozpędzić ich nie zdołam.

Słuchaj, muszę co dla Ciebie napisać, jaki dramat lub co i to Ci prześlę kiedy, i to gdzie wydasz. Odpisz mi zaraz do Florencji i wierzaj, że Cię kocham z duszy mojej całej.

119. DO HENRYKA REEVE'A

Florencja, 25 lutego 1836 r.

Drogi Henryku!

Nareszcie odebrałem od Ciebie list, który mi przysłano z Rzymu tutaj, gdyż odbędę swój wjazd do wiecznego miasta dopiero koło Wielkiego Tygodnia. Podzielam Twoje zdanie. Można by zrobić coś wielkiego z Giordana Bruno; ale zwróć na to uwagę, że wszelka poezja panteistyczna może być tylko tem, czem są posągi bóstw indyjskich, olbrzymie, potworne, straszne i przygniatające. Jest coś zwierzęcego w poezji podobnej. Według mnie, gdy poezja traci ludzki punkt widzenia, przestaje być prawdziwą i harmonijną. Wyradza się w filozofię, w formułki i, chociaż rozwój podobny może przybrać rozmiary olbrzymie, jeśli dodamy barwy wyobraźni sztuki, nie dojdziemy nigdy do czegoś wdzięcznego, czegoś prawdziwie poetycznego, gdyż, jednem słowem, istnieje tylko jeden przedmiot poezji we wszechświecie, a nie jest to ani Bóg, ani przyroda, jeno człowiek, człowiek działający jako indywidualność nieśmiertelna poprzez przyrodę dla Boga lub przeciw Niemu. Poezja jest oparta na przeczuciu nieśmiertelności indywidualnej. Wszystko, co mię spotkało, zanim przyszedłem szukać nędzy tu, na świecie, wszystko, co mię oczekuje, gdy skończę zbierać nędzę tu, na ziemi, oto moja poezja. Ale spraw, by życie moje stało się jedyną rzeczywistością tego świata i niczem poza tem, postaw poza niem jedynie i wyłącznie wszechświat i Boga, a diabli wezmą wszelkie uczucie poetyckie. Chyba, że się zidentyfikuję z tym wszechświatem, zrobię go sobą, wchłonę go w siebie i stanę się Bogiem i wszechświatem. Tylko za tę cenę zdobędę się na napisanie kilku wierszy, ale wiersze te będą poza granicami wszelkiej prawdy ludzkiej. Nie będą ani popularne, ani ludzkie. Zwracać się będą do mózgu kilku myślicieli, ale nie pobudzą serca wielu ludzi. Oto, jakie są moje poglądy na poezję, wypływającą ze źródła panteistycznego. Świat nasz jest dziwny. Odosabnia się w odrębnych egoizmach, a następnie chce połączyć się w całość egoistyczną, pożerającą, wchłaniającą. Nie może zrozumieć wszechświata i Boga inaczej, niż według podobieństwa swego, to znaczy, że każdy osobnik, który chce być tylko sobą, nie pozwalając żyć obok siebie żadnej wolności, wyobraża sobie, że Wielki Duch postępuje tak samo. Panteizm jest wyższym rodzajem materializmu. Z niego, jak i z materializmu, pochodzi fatalizm i oschłość serca. Nienawidzę czary życia i śmierci, którą podaje mi Siwa.

Myślę teraz o wykopaniu z grobu doktora Procidy. Dwóch ludzi miernie go zgalwanizowało, Delavigne i Nicolini. Kilka muskułów wielkiego męża zostało w ruch wprawionych, a potem zapadł znowu w sen wieczny. Trzeba mu dać życie i na nogi postawić. Wyobraź sobie tego Fausta politycznego, przyjaciela Fryderyka II, przyjaciela śmiałego Manfreda, tego człowieka, wychowanego w nienawiści do papieża i w nauce przyrody, tego człowieka, który, spędziwszy życie swoje na Sycylii między Saracenami, w podeszłym wieku powziął myśl Nieszporów Sycylijskich i urzeczywistnił ją mocą swej potęgi duchowej, swej władzy nad ludźmi, zdobytej rozgłosem jego sławy naukowej i politycznej, sławy wielkiego lekarza, wielkiego przyrodnika i wielkiego obywatela. W nim masz wszystko, czego można pragnąć w poezji: ideę ogólną — przyrodę; ideę indywidualną — ojczyznę. Wywołuję cię, wielki, olbrzymi myślicielu, ciebie, ostatniego przyjaciela Hohenstauffów, ciebie, któryś ich widział wszystkich, jak ginęli przez zrządzenie losu i przez podłość ludzką, ciebie, w którym zgon nieszczęśliwego Konrada zrodził pożądanie zemsty i wolności. I ciebie również powołuję Karolu Andegaweński, bracie świętego, ciebie, hrabio Prowancji i uzurpatorze Neapolu, ciebie, pierwowzorze Ludwika XI, ciebie, rycerzu bez czci, królu bez sprawiedliwości, człowieku bez religii, zabobonny i okrutny, jak kobieta, ostrożny i chciwy, jak stary ksiądz. A później w oddali, na mglistym widnokręgu włoskim, występujcie, cienie nieszczęsne, widma szlachetne, które napełniałyście świat chrzęstem waszej broni i rozgłosem waszych niewypowiedzianych nieszczęść! I ty, piękny Enzio, któryś zwiądł w Bolonii, i ty Manfredzie, sułtanie Nury, błyskawico Kalabrii, i ty, biedne dziecię, który rzuciłeś swoją rękawicę, zanim głowa twoja stoczyła się z rusztowania! I ty, wielki mężu, ty, Fryderyku, ojcze ich wszystkich, którego jedyną słabością było, żeś nadto ukochał Piękno! Jeżeli z was wszystkich nie stworzę pieśni żałoby i zemsty, niech lutnię moją diabli wezmą!

A teraz, Henryku, racz mi napisać, co porabia R. Z. Gdyż on już do mnie nie pisuje. Gdybyś go mógł natychmiast zawiadomić, że się silnie niepokoję w Rzymie i że go błagam, by jak najprędzej pisał do mnie, to szczególnie Ci tę sprawę polecam.

Odpisz mi natychmiast do Rzymu!
Twój na zawsze

Zyg. K.

Uszanowania dla matki Twojej.

120. DO HENRYKA REEVE'A

Florencja, 6 marca 1836 r.

Drogi Henryku!

Kilka dni temu na list rzymski odpowiedziałem do Hampstead, według Twoich wskazówek. Dziś piszę Ci jeszcze do Paryża. Nigdy nie wątpiłem w Twoje do mnie uczucia, chciałem Ci tylko przywołać na pamięć, że jestem Twym starym przyjacielem.

Nie mogę Ci opisać goryczy, która ogarnęła mię w ostatnich czasach. Zaprawdę, spojrzenie, które rzucam światu, pełne jest rozpaczy. Zacząłem pić z czary nauki niemieckiej. Rozmyślałem nad Okenem, Schubertem, Schellingem i diabli mię biorą! Grałem rolę doktora Fausta, oni Mefistofela. Jednym słowem, głęboko czuję się nieszczęśliwy. Ale po cóż się skarżyć? Jeszcze kilka dni, a później nastąpi wieczność. Dusza moja w równej mierze czuje wstręt do idei nicości, do braku wytchnienia, nieskończonego szeregu światów, wiecznej metampsychozy nędzy i bólów. Gdyż nic innego być nie może: sen lub życie, nicość lub szczęście i zło na przemian. Otóż nie ulega wątpliwości, że w tych zmianach zło przeważa, a gdyby nie przeważało, dobro i szczęście przestałyby dla nas być słodkimi i drogimi. Stałym warunkiem jakiegoś działania musi być cel; a ponieważ celem nieskończonym jest szczęście, musi nastąpić jedno z dwojga: albo działanie ustanie po osiągnięciu celu, a wtedy mamy nicość, albo w dalszym ciągu będzie istniało działanie, od celu dalekie, a w takim razie mamy trudy i cierpienia. Nie mogę wyjść z tego fatalnego dylematu; kiedyś roztrzaskam sobie o niego czaszkę. Szczęśliwi ubodzy duchem — ich jest królestwo niebieskie!

Wkrótce ukaże się rzecz, o której Ci pisałem ostatniej wiosny i co do której odpowiedziałeś mi do Kissingen, że poznajesz w niej myśl moją dawną. Proszę Cię, nie okazuj nikomu, że wiesz coś o tym, ale proszę Cię również, abyś obserwował, jakie wrażenie wywrze i zdał mi z tego sprawę. Czy widujesz Mickiewicza? Spytaj go w rozmowie o jego zdanie o małej książeczce, zatytułowanej *Nieboska Komedia*, tak, jakby kto powiedział: „La Non Divina Comedia", która nawiasem powiedziawszy, jemu jest przypisywana i której tytuł drukowano niedawno między jego ostatnimi utworami w katalogu księgarzy paryskich.

Musi to być przyjemna facecja ta *Bitwa pod Kirchholmem* czyli *Miłość Angielki*. Nie znam człowieka, bardziej zdolnego do napisania głupstwa, niż mój kuzyn. W zupełności jest na to stworzony. Posiada, prócz innych zdolności przyrodzonych, siłę muskułów, wystarczającą dla rąbania i piłowania drzewa. Szkoda, że jej nie rozwija i że używając pióra, robi swoje palce zniewieściałymi. Ale w gruncie rzeczy to bardzo dobry człowiek. Jego szczęście, że nigdy wina nie pije, inaczej stałby się najstraszniejszym zawadiaką w Europie. Jego istota wewnętrzna składa się z grubych ziarn piasku, jego mózg z jednego krzemienia, jedynie serce jego jest z ciała. Napisz, co to jest właściwie, to jego dzieło! Założyłbym się, że Angielka z bitwy pod Kirchholmem jest Angielką z przedmieścia, w którym mieszka, a sama bitwa sposobem atakowania szablą, nauczonym przez p. Verteta, nauczyciela fechtunku w Warszawie. Walerian ze swej strony wystawia Zygmunta Augusta w Covent Garden. Przyznaj, że moja rodzina, chociaż trochę głupia, jest przynajmniej pracowita.

Za dwa tygodnie jadę do Rzymu i zostanę tam do połowy maja. Rzym to coś bardzo starego i bardzo różnorodnie starego. Ja, który nigdy młody nie byłem, kocham go za jego zgrzybiałość. Czy słyszałeś o *Życiu Jezusa Chrystusa* Straussa, nowym dziele, obalającym naukowo i historycznie objawienie, po moralnym obaleniu go w sercach ludzkich? Dzieło to wielką robi wrzawę z tamtej strony Renu.

Ostatnie miasto polskie, Kraków, zajęte zostało przez wojska sprzymierzone. Niech drży Kartagina! Dużo musiał czasu zużyć Rzym, by podbić i wymordować Samnitów, lecz,

gdy tego dokonał, zwrócił się przeciwko królowej morza. Istnieli jeszcze Hannibalowie, lecz nie było już Kartaginy. Przyjdzie dzień, gdy żal gorzki ogarnie serca kupców; gdyby choć trochę byli mężami, zachowaliby złoto swoje i klejnoty. Na lodowatych wybrzeżach żyją czyści Katoni, którzy powtarzają: *Delenda est Carthago*[145]! Przeznaczenie zbliża się, żelazo barbarzyńców odmłodzi świat. A o sercach szlachetnych, rozbitych w walce z nimi, pozostanie niewyraźne wspomnienie w rocznikach ludzkości.

Addio! *Addio*!

Zyg. K.

121. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Rzym, 22 maja 1836

Mój drogi! Kiedy się Ty mnie pytasz o szczegóły życia mojego, uśmiech smutny czuję na ustach: niewarte one wspomnienia, choćby dla przyjaciela, niewarte! Znałeś mię kiedyś u wstępu do życia wesołą, pełną ruchu istotą. Nic z tych czasów, ślad ich nawet nie pozostał we mnie. Szczegóły życia mego! Błądzić po ulicach, nie sypiać po nocach, ledwo słyszeć, co do mnie mówią; cierpieć wiecznie w głębi ducha, książkę do ócz zbolałych przyłożyć i odrzucić ją ze wstrętem; położyć się na sofie i słuchać muzyki Konstantego, by zaraz wstać w jakiejś rozpaczy, obudzonej pięknością dźwięków, i prosić go, by przestał grać; w karty kilka minut pasować się z szyderskim, niewidomym losem i karty rzucić na stół w nudzie; tysiącom myśli powtarzać, jak Kartuzy *memento mori*[146], „bądźcie zdrowe"; drżeć na pewne wspomnienia, czasem puścić im serce, a potem odsuwać je od nich; sypać żarciki jakieś gorzkie, płonąć gorączką od nagiego gwałtownego śmiechu i zapaść w próżnię bezdenną, w milczenie kilkogodzinne: oto masz szczegóły życia; nie zabawią Ciebie, mój drogi, nie ucieszą Ciebie; lepiej było ich nie wspominać.

Jest tu Juliusz Słowacki, miły człowiek, ogromem poezji obdarzony od niebios. Kiedy ta poezja w nim dojdzie harmonijnej równowagi, będzie wielkim. *Kordian* jest poematem zapału, szaleństwa; są w nim pyszne położenia i dziwnie trafne pojęcia. *Maria Stuart* jest także znakomitą. Mickiewicz nawet sam nie miał tak różnobarwnej i giętkiej wyobraźni. Jednak trzeba, by te żywioły doszły w Słowackim do harmonii muzycznej, by sztuczniej jeszcze nauczył się godzić dysonanse z prawdziwemi dźwiękami. Brak mu czasem powagi, bez której poezja może być miłą igraszką, ale nigdy nie zostanie częścią świata. Tej on nabędzie, bo zdolności tak silne nie ustają, nie słabną, aż odbędą drogę sobie przeznaczoną, i wydadzą wszystkie owoce, w nich nasiennie zawarte. Garczyński nie miał i trzeciej części jego ducha, choć tak w obłoki podchwalony przez Mickiewicza. Poeta

Za dni najdalej dziesięć puszczam się w drogę, za dni zapewnie dwadzieścia będę w Kissingen, blisko Würzburga w Bawarii. Tam pisz zaraz i donieś, jeśliś słyszał o jakiej recenzji lub krytyce, lub sądzie, tyczącym się *Irydiona*, o którym *Irydionie* kiedy będziesz pisał, to proszę, byś go dłużej nie wymieniał nigdy, jak przez I.

Opuszczam Romę. Nie wiem, czy wrócę do niej, nie wiem, co mi losy gotują nie tylko w przyszłości, ale nawet za cztery miesiące. Może być, że do kraju pojadę. Jeśli pojadę, każ mszę za przyjaciela odmówić i bądź na niej obecny, bo zdaje mi się, że na moją zgubę tam zapadnę. Pamiętaj także, że, gdybym pojechał, to, co pisać będziesz, powinno być niewinne, jak idylla. Jeśli zdołam, znów, krótko zabawiwszy, wyjadę. O matce Twojej dowiem się wszystkich szczegółów, a jeśli będę mógł, sam ją obaczę. Przyszlij mnie jej adres znowu!

122. DO HENRYKA REEVE'A

(Bez daty)

[145] *Delenda est Carthago* (łac.) — trzeba zburzyć Kartaginę. [przypis redakcyjny]
[146] *memento mori* (łac.) — pamiętaj o śmierci. [przypis redakcyjny]

Drogi Henryku!

Zapewne, ponieważ wróciłeś wcześniej, niż sądziłeś, do swoich penatów, nie otrzymałeś ostatniego listu, który posłałem Ci do Paryża. Twój list zastał mię w Rzymie w czasie rezurekcji, przepychu ceremonii, Miserere, ogni sztucznych i nieznośnego ciągłego deszczu. Zawiadomiłem Cię, że myśl, którą Ci przesłałem zeszłej wiosny, wyjeżdżając z Florencji, ma stać się *caro facta*[147] i prosiłem Cię, byś mi napisał, jakie wrażenie zrobiła na *cingente corona*,[148] przy czem zbytecznem by było powiadamiać wyżej wymienioną *cingente corona* o twojej dawnej znajomości z wyżej wymienioną myślą. Co do Procidy, to go opuściłem. Przez dwa lata obcowałem prawie bezustannie ze starożytnością, ze starością, z ruinami. Chcę się orzeźwić trochę i rozważyć stan obecny, czas teraźniejszy. Zresztą mógłbyś mi powiedzieć, że jest to diabelnie gorzkie, jak na środek orzeźwiający.

Pokłoń się ode mnie Handley'owi. Podaj mi o jego żonie wszystkie szczegóły, które możesz. Czy księżyc, oświetlający miesiąc miodowy, zniknął z widnokręgu? Czy nie powstrzymały go koncerty Beethovena, gdy blady skłaniał się ku zachodowi? Prawdę powiedziawszy, Henryku, zaczynam nudzić się tem przeklętem życiem wcielacza idei, które prowadzę. Chciałbym przynajmniej przez czas jakiś, by nogi moje chodziły, pierś pokrywała się potem, a ręce stwardniały. Lecz próżne to życzenie. Co do ruchu, to biję się tutaj codziennie przez dwie godziny na szable i szpady. Bohaterstwo moje posuwam tak daleko, że ci panowie nie chcą ze mną skrzyżować ostrzy. Zresztą, dzielę mój dzień między żale nad rozkoszami nikłemi, które rozwiały się w powietrzu, a chęcią zrobienia czegoś — rzeczą bardzo trudną. Później kładę się i w nocy śnię o kobietach umierających, krucyfiksach, bitwach, przygodach. Noc jest moją epopeją, mojem życiem rzeczywistem, czynów pełnem. Dzień to sen mój i niezdatność, rodzaj okrutnej niemocy... W Kolizeum, w Wielką Sobotę wieczorem dużo było ludzi, księżyc wspaniale świecił i dziesięć głosów śpiewało Miserere na szczycie amfiteatru. *Corpo di Dio*[149]! Piękny to był widok. Przypomniało mi to Benvenuta Cellini walczącego w noc podobną w tem samem miejscu z dziesięcioma legionami diabłów. To mi przypomniało całą moją młodość. Gdyż, wiesz zapewne, Koloseum wielki wywarło wpływ na moją wyobraźnię. Był taki tłum, jak w szczęśliwym dniu sądu ostatecznego. I czy mam Ci powiedzieć? Ten orszak, ten galimatias, wszystkie te wspomnienia przybrały w oczach moich postać maskarady, robiły na mnie wrażenie opery „buffo"! Patrz, jak ludzie się zmieniają! Niegdyś byłoby to opera „serio", poematem, hymnem. Jakież nędzne stworzenie! Jakże nędzny i spodlony jest człowiek! Sam sobie jest największym wrogiem. Nie umie nawet zachować dla siebie swych najwznioślejszych uczuć w nienaruszonym stanie. Dusza jego, jak i ciało, to kupa błota, z którego dziś lepi ołtarz, a jutro rozpuści w kloace. Duch, jak i ciało, służyć mogą materiałem do wszystkiego. Forma jedynie jest boska lub nikczemna. A później filozofia przychodzi nam na pomoc i mówi: „Forma jest niczem". Do diabła ze wszystkiem, nie wyłączając Twego przyjaciela.

Zyg. K.

Odpisz do Rzymu. Wyjadę stąd dopiero za miesiąc. Kuzynowi Walerianusowi nasze pozdrowienia.

123. DO ADAMA SOŁTANA

1836. 10 lipca, Kissingen

Po jakichże górach teraz wędrujem? Ileż wschodów i zachodów słońca nad ślicznemi jeziorami widziałeś? Czy tknęła Ci smutkiem serce dysharmonia okropna, tak fałszywo wszędzie brzmiąca między tą naturą, tyle wzniosłą, a tym ludem, tak chciwym i podłym? Każda gospoda, do której w wieczór przychodzi człowiek w Szwajcarii, niszczy urok, którym go dzień cały otaczał. Rachunki gospodarzy i tryngelty garsonów brudzą czystość ludwików i niebios i łąk zielonych, aż wróci ranek i znów zapomnisz o ludziach wśród

[147] *caro facta* (łac.) — [ma stać się] ciałem. [przypis redakcyjny]
[148] *cingente corona* (łac.) — otaczającym wieńcem. [przypis redakcyjny]
[149] *Corpo di Dio!* (wł.) — na Boga! [przypis redakcyjny]

chwały natury. Ja dotąd tu bawię; nic żadnej zmiany nie przyniosło w mojem usposobieniu, wiem tylko, że za dni kilka jadę (za dziesięć dni) do Pragi; tam Konstanty zostaje, a ja z Salvanem puszczamy się do Gräffenbergu na wodę zimną, w której będę się kąpał do połowy septembra. Pisz więc do Pragi, Danielewicz będzie mi Twe listy przesyłał. Potem co się ze mną stanie, nie wiem, ani się domyślam. Na dwoje babka wróżyła: albo ojciec do Pragi przyjedzie, i tam rozmówiwszy się rozjedziem się na nowo, albo pojadę do Polski. W tym ostatnim lub pierwszym przypadku, zawsze się będę starał Twój obraz przesłać synowi lub córkom; obaczę, komu łatwiej będzie. Jeżeli wrócim *coram in patriam*[150], przyznam się, że to będzie dla mnie pogrążeniem się w zupełne ciemności, do piekieł zstąpieniem. Ale darmo, człowiek nie może ukuć losu swego, przeznaczenie mu go wykuło, przewiduję tylko, że na tem kowadle przeznaczenia może mię jaki młot w miazgę zdruzgocze; wtedy pamiętaj o mnie, myśl o mnie, i bądź mi zawsze przyjacielem, czy żyjącemu, czy bardzo dalekiemu, czy umarłemu. Na tej granicy, na której niegdyś ojcowie nasi chwytali z szczęsnem uczuciem rodzinne powietrze w piersi, na której klęknąwszy dziękowali Bogu, że im pozwolił wrócić z dalekich wędrówek, dziś my, stając, musim się żegnać z najdroższemi uczuciami i osobami. Dziś domem nam cudze ziemie, własna stała się gorszą, niż obca, niż daleka, bo więzieniem. W tej naszej ziemi, prócz ojca, żadnego przyjaciela, prawie żadnego znajomego nie liczę. Co dzień dochodzą mnie wieści o stanie społeczeństwa warszawskiego, które mnie przenikają zgrozą: podłość doszła nieprzebranej miary, nie ma prawie człowieka, który by umiał nawet powierzchowną godność zachować; dobry byt pieniężny i gospodarski ukołysał serca zranione, burakami i pszenicą grób polski zasypali, na wyścigi się uniżają i liżą. Mojem zdaniem roztropnością się zowie z motyką na słońce się nie porywać, ale z drugiej strony podły ten, kto plwa na motykę za to, że słońca z niebios strącić nie potrafi. Jednem słowem na śmierć smutny jestem i nigdzie żadnej nie upatruję nadziei. Najlepiej by się stało, gdybym mógł zachorować na jaką gorączkę i umrzeć. Wszystkie moje szlachetne marzenia w łeb biorą tem samem, że szlachetność jest wyjątkiem na tym świecie. Ja i Danielewicz gramy tu wściekle, by czas a raczej myśli własne zabić; dosyć nam się powodzi, bośmy dotąd wszystkich jeszcze pieniędzy nie przegrali. Rajecki, któremu się dostała w udziale cierpliwość starej Penelopy — żony Ulissesa, nie księcia Kapui — przepędza czas na przepisywaniu nut lub jedzeniu czereśni. Salvanus drapie się w łysinę i rozmyśla o znaczeniu tego słowa „koza", ja zaś, niczego dobrego się nie spodziewając z przyszłości, wiedząc, iż każda chwila szczęścia jest wygraną na loterii, a ja w loterię wygrywać nie umiem, ni długo ni często, na wszystko gotów jestem, pocieszając się tą myślą, że jedno z dwóch zawsze wypaść musi: diabli albo człowieka wezmą, albo to, co go trapi, i z tą dewizą zasuwam się dzień po dniu w coraz grubsze ciemności. Temu rok, taki szczęśliwy byłem! Czasem, kiedy w nocy się przebudzę i wśród ciszy obrazy przeszłości przesuną się w żywych barwach, to podskakuję, jakby mi kto kulę między żebra wpakował. Addio, drogi mój — Ty, którego tak szczerze kocham i tak święcie szacuję!

Polska, Ojczyzna, Polak, Polityka

Z.

Danielewicz serdecznie Ci się kłania, toż samo Salvanus i Otton Rajecki. Angliz zabity. Czy list mój odebrałeś w Genewie?

124. DO ADAMA SOŁTANA

1836. 1 augusta[151]*, Praga*

Wyjechawszy z Kissingen 26 lipca, od trzech dni już stanąłem w Pradze. Nic nie wiem o przyszłych losach, nic a nic, to tylko wiem, że szczególne próbki towarzystwa warszawskiego *fashionable* za dni teraz płynących, przechadzają się po Karlsbadach i Marienbadach, przechrzty, celnicy, ludzie spanoszeni od 1831 roku arendą wziętą od rządu na wódkę, tabakę, i towarami, ludzie zowiący się....., gadający o swoich kucharzach, apartamentach, o balach dawanych na Zamku pod kolumną Zygmunta, w których fi-

Polak, Żyd, Zazdrość, Koniec świata, Antysemityzm

[150]*coram in patriam* (łac.) — otwarcie do ojczyzny. [przypis redakcyjny]
[151]*august* — sierpień. [przypis edytorski]

gurują na pierwszem miejscu wraz — aj waj! — z panami polskimi pozostałymi. Był w Marienbadzie jeden egzemplarz tych panów, z matką, z siostrami, wlokący się za tymi żydami z prawdziwie świętą rezygnacją, rozmawiający z nimi, jedzący, piknikujący, tak zupełnie oddany im, jak słyszałeś, że niegdyś starożytni oddawali się Fatom kiedy poznali, że daremna przeciw Fatom walka. Cezar sobie togą oczy przysłonił za pierwszem uderzeniem Brutusa, Katon sobie dialog *Fedona* odczytał i pchnął się w serce, ten zaś wzdycha i z tem samem poświęceniem się, na wolę losów, panu P. rękę ściska i kieliszkiem o jego kieliszek dzwoni. Nic zabawniejszego by dla mnie nie było, gdybym sam nie był Polakiem, ale to wszystko zmienia i, co by śmiesznością tylko się wydało, w tem znaczeniu musi podłością koniecznie być. Im bliżej do rodzinnej ziemi, tem obrzydliwsze powstają widma. Na przykład we Włoszech ujrzysz jeszcze X. X., ludzi możnych, jeszcze jakiś polor czasami czegoś mających; w Kissingen nad Renem ujrzysz z kijowskiej gubernii X., skąpego filantropa, przecież jeszcze, mówiącego dobrze po francusku, żałującego dwóch guldenów dla biednej żony, ale jeszcze, jeszcze ujść mogącego. Lecz w Karlsbadzie i Marienbadzie już wytrzymać nie potrafisz: tam ni Ukraina, ni Wielkopolska, ni Litwa, ale Warszawa się wylała, wylały się pomyje, co zostały na dnie w tej beczce, braha skiśniała gorzelników i piwowarów. Tam dopiero usłyszysz i pojmiesz, co to Polska dzisiaj: jak wszystko się płaszczy, jak wszystko przekupne, jak urzęda, przez Polaków odzierżone, dziesięćkroć razy straszniejszemi są, niż piastowane przez Moskali, jak wali się z pieca na łeb ostatek godności narodowej, jak z nędzy i hańby powszechnej korzystają Niemcy i Żydzi, jak Żydzi wszędzie i Żydzi tylko mają wpływy, znaczenie, potęgę, dostatki. A jak zobaczysz na własne oczy te figury naszego *tiers-etat*, gorsze tysiąc razy, niż niemieckie bankiery i epissiery niemieckie lub francuskie, podlejsze i chciwsze, niż najlichszy *agent de change*[152], czekający w przedsionku Rotszyldów, bogatsze i potężniejsze w dzisiejszym stanie rzeczy, niż największy pan polski — to ci coś przeklętego w sercu stanie, to i łzy zakręcą się w oczach, i świat cały Ci się wyda tylko marną farsą, której chyba koniec jest początkiem czegoś szlachetnego i lepszego, lub przynajmniej ciszą!

Nie, nie, mój drogi! To jest wieczne prawo: kraj, który stał przez arystokracją, gdy ta arystokracja ginie, musi przejść przez długie lata poniżenia i podłości. Nie od razu siły żywotne, zgromadzone w niej, mogą inny kierunek wziąć i znów być jasnym płomieniem. Gdzie lud jeszcze niewywyższony na wielki — oświeceniem, tam bez arystokracji nic nie będzie i być nie może. Lud sam działać nie zdoła nigdy, reprezentanci jego prawdziwi, to arystokracja, nie kupcy, nie *tiers-etat*, nie bankiery. Kto porywa masy? Kto się sam porywa na drogi niebezpieczne, którym tylko przyświeca gwiazda honoru lub sławy? Kto? Lud tylko i arystokracja. Lud zaś umie tylko przez trzy dni być zgodnym, wielkim, potężnym, reszta czasu musi wpaść w ręce mniejszej liczby ludzi. Smutny jestem bardzo, wszystko dokoła kirem powleczone mi się wydaje.

Powiedz mi, czy lżejsze powietrze w górach, czy wolniej serce bije nad jeziorami? Wspomnij też czasem o mnie na tym Lemanie, kędy tyle uczuć młodego serca puściłem wraz z biegnącemi falami, kędy lubiłem marzyć o przyszłości, której nigdy nie obaczę!

Jadę do Graeffenberga za dni kilka; pisz do Pragi, tylko zaraz, ja Ci z Graeffenberga pisać będę. Konstanty i Salvanus i Otton O'Connel[153] Ci się najszczerzej kłaniają. *Addio*, mój drogi!

125. DO HENRYKA REEVE'A

Grefenberg, 26 października 1836 r.

Drogi Henryku!

Dopiero dziś odebrałem list Twój z dn. 24 sierpnia. Nigdy nie byłem w Marienbadzie i generał omylił się w tem, jak i w wielu innych rzeczach. Od dwóch miesięcy jestem w Grefenbergu, gdzie biorę kurację wodną, nowo wynalezioną. Jeśli list ten odbierzesz prędko, gdziekolwiek się znajdujesz, odpisz natychmiast do Freywaldau, Śląsk austriacki, Okrąg Tropawa. Jeśli odbierzesz go dopiero później, daj odpowiedź do Wiednia, gdzie

[152]*agent de change* (fr.) — ajent giełdowy. [przypis redakcyjny]
[153]*Otton O'Connel* — Otto Rajecki, młody Litwin, chory na suchoty. [przypis redakcyjny]

zimę spędzę. Nazywa się to po grecku: Ananke, gdy się jest oddzielonym od siebie o trzydzieści mil zaledwie, a list, który się napisało, zużywa dwa miesiące, by dosięgnąć miejsca przeznaczenia. Żegnaj. Ale jest to jednak z Twojej winy, gdyż od sześciu miesięcy ani słowa jednego nie napisałeś.

Tak jak dawniej

Zyg. Krasiński.

126. DO HENRYKA REEVE'A

Grefenberg, 5 listopada 1836 r.

Drogi Henryku!

Trzeba rzeczywiście nie mieć szczęścia, by nie zobaczyć się po pięciu latach rozłąki, gdy się było od siebie w odległości zaledwie dwudziestu mil; wszystko przez to, że generał wyobraził mię sobie w Marienbadzie, podczas gdy żona jego, którą widziałem w przejeździe w Pradze, wiedziała doskonale, że pojechałem do Grefenbergu, miejscowości uczepionej u szczytu góry, gdzie prosty chłop, nazwiskiem Priesnitz, wynalazł kurację wodną. Biorę ją od trzech miesięcy i odebrała mi prawie wszystkie siły. Otóż patrz, co się stało! Otrzymałem Twój bilecik, pisany 24 sierpnia z Pragi, dwa miesiące później, to znaczy 30 października wieczorem w przeddzień mego wyjazdu do Wrocławia, dokąd odprowadziłem ojca, który przybył, by spędzić ze mną dwa miesiące w pustyni. Odpowiedziałem Ci do Pragi do pałacu hrabiego Thuna, nie wiedząc, dokąd się zwrócić i zachowując przy tem jeszcze słabą nadzieję, a raczej żywe pragnienie, żeś jest jeszcze w Pradze. Ale ponieważ dotychczas nie dałeś mi żadnego znaku życia, piszę do Ciebie wprost do Hampstead. Ten zawód, Henryku, wynika jednak z Twojej winy. Prosiłem Cię w moim ostatnim liście z Rzymu, abyś pisał do mnie do Kissingen, a od sześciu miesięcy nic o Tobie nie słyszałem. Utrzymuję, żeś źle postępował względem starego przyjaciela. Jeśli życzysz sobie wiadomości o mnie, oto one:

Od trzech miesięcy dwa razy dziennie, doprowadziwszy mnie do kulminacyjnego stopnia potu, jaki ciało ludzkie osiągnąć zdoła, wrzucają mię do źródlanej wody, gdzie kilka minut pozostaję. Później każą mi brać kąpiel głowy, oczu, nóg, pół-kąpiele w tej samej wodzie. Następnie pozostawiają mię zupełnie nagiego przez dziesięć minut pod kaskadą w lesie, wreszcie w dzień i w nocy noszę mokrą płachtę na brzuchu i na głowie. Jednem słowem, jestem rybą. Możesz sobie wyobrazić, jak tego rodzaju końska kuracja wprowadza w rozprzężenie maszynę p. Zygmunta, lecz przepowiadają mu najlepsze rezultaty, których ciągle jeszcze oczekuję w przyszłości, nie odczuwając w teraźniejszości najmniejszej poprawy. Ponieważ jednak tu, w górach, zima już nadeszła, od dziś za tydzień jadę do Wiednia, gdzie spędzę zimę, używając w dalszym ciągu zimnej wody. Tam też będziesz do mnie pisywał.

Nie mogę Ci powiedzieć, w jak nędzny sposób spędziłem w najgłębszej samotności te trzy miesiące, mieszkając w chacie na szczycie górskim i chodząc dwa razy dziennie pół mili do małego miasteczka, gdzie mieszka mój przyjaciel Danielewicz, który chciał dzielić moje przykrości, mając przez cały ten czas za jedyną pociechę swoje pianino. Jeśli zobaczysz panią Handley, powiedz jej, że Danielewicz robi w kompozycji olbrzymie kroki naprzód i napisz mi nieco o tem, co porabia pani Handley. Stary Szambelan Reichberg z Monachium powiedział mi, że ma zamiar się rozwieść. Czy to prawda? W każdym razie złóż jej moje uszanowania i powiedz jej, że przypominam sobie z przyjemnością pełne harmonii wieczory, spędzone u niej. Oddaj również Handley'owi pozdrowienia ode mnie. A Ty co porabiasz? Co robisz? Jaką drogą pójdziesz?

Starzejemy się, przyjacielu Henryku, nasza pierwsza wiosna przeszła; lato się zbliża, a lato, miłosierny Boże, będzie suche! Dla mnie życie jest jedynie szpitalem, którego sala wydłuża się w miarę mych kroków.

W ostatnich czasach dużo czytywałem po niemiecku. Przysięgam Ci, że powietrze jakiegoś kraju wnosi do duszy dźwięki jego języka, gdyż, nic nie umiejąc, zacząłem czytać Jean-Paula i Okena, i Hartmanna, i Nibelungi, i Sagę Frithiofową, i Novalisa, i Goethego,

i nie wiem, jak to się stało, że ich zrozumiałem. Wtedy jakby świat nowy otworzył się przede mną. Jean-Paul zrobił na mnie wrażenie nieznanego Boga, który stworzył nowe wybrzeża. Jest to dusza najbardziej świeża, jaką znam, najbardziej dziewicza. I w ogóle poezja niemiecka bliższa jest najwyższej Istoty, niż jakakolwiek inna w Europie. To też jest mniej indywidualna, mniej silna, mniej ludzka, niż Szekspir i Byron, lecz nieskończenie bardziej podniosła, szersza, mniej cielesna. Wszechświat, to wieczny bohater tej literatury. Poeci jej zlewają się ze wszechświatem, podczas gdy Byron zwęża wszechświat do siebie, a Szekspir wtłacza świat w ramy społeczności, miejsca, intrygi, którą rozwija i przedstawia. Niemcy, to trójkąt w kole, Szekspir, to koło w trójkącie. To też ile w nim siły, jakiż jest ostry, wyostrzony, przenikliwy! Ale zupełnie nie umie odnaleźć siebie, nie umie nadać sobie falistych poruszeń duszy, zlewającej się z Bogiem, rozpraszającej się we wszystkiem. Nie ma pojęcia o tem, co to ciecz, jest ciałem stałem, marmurem, żelazem, posągiem. Niemcy zrozumieli lepiej, niż cośkolwiek innego, naturę cieczy i wibracje. Wzdychają i wznoszą się ku jakiemuś kształtowi, a później opadają znowu na łono Boga. To sprawia, że są tak dziecinni, tak naiwni i tak głębocy zarazem, a niekiedy pełni tak boskiego wdzięku. Gdyż nic na świecie nie ma tyle wdzięku, co fala wodna, żagiel i zapewne (gdybyśmy mogli je zobaczyć) fale powietrzne, magnetyczne, prądy elektryczne.

Żegnaj, drogi! Odpisz mi! Twoje długie milczenie, wierzaj mi, to tylko wrażenie wywarło na mnie, że powiększyło we mnie w dwójnasób pragnienie usłyszenia głosu Twego. Mówię Ci na honor i na prawdę; jestem zawsze Twoim przyjacielem.

Zyg. K.

Gib treulich mir die Hände,
Sei Bruder mir und wende
Den Blick vor Deinem Ende
Nicht wieder weg von mir!
Ein *Tempel, wo wir knieen,*
Ein *Ort, wohin wir ziehen,*
Ein *Glück, für das wir glühen,*
Ein *Himmel mir und dir!* [154]

Wspaniałe wiersze Novalisa, jedyne prawdziwie piękne, które napisał, gdyż proza jego nieskończenie przewyższa wiersze. Te jednak są wspaniałe.

127. DO ADAMA SOŁTANA

Wiedeń, 12 novembra 1836 r.

Dziękuję Ci za list, który mnie przywitał na samym wstępie tutaj. Mój drogi! Smutne w nim myśli. Powiadam Ci, biedna Twoja maleńka szczęśliwsza od nas wszystkich, śniło się jej tylko, że była na ziemi i po nocy jednej obudziła się na powrót w domu. My zaś niejedną noc jeszcze mamy. Nic czystszego, nic bardziej błogiego, jak zgon dziewczęcia. W późniejszych latach, wśród pokus życia i trudów jego umierać, to inaksza sprawa, bo już duch nasz przyrósł do ziemi, przylgnął do ciała, człowiekiem stał się zupełnie i tak się omamił, że rzadko myślał, iż ta ziemia złudzeniem tylko; wtedy są zapasy ciężkie w godzinie ostatniej, wtedy prawdziwie więdniejemy na łożu śmierci, bośmy prawdziwie rozwici byli. Ale ona, ta biedna, ta dobra, ta mała, święta Twoja, był to pączek tylko, który śmiercią w różę się rozkwitł, tylko, że niewidzialną dla nas. Pewno, konając, nie żałowała nieznanego świata; może jej przyszła myśl o ojcu dalekim, jak przez mgłę, ponuro, a wtem pękła mgła i gdzieś ujrzała się w błękitach, i wtedy jasno, oczkami anioła, ujrzała ojca ziemskiego i rączki ścisnąwszy za nim, udała się do niebieskiego. A kiedy na wiosnę przynosić Ci będą kwiaty, pomyśl, że taki jeden świeży i południowy masz w nie-

[154] *Gib treulich mir die Hände (…) mir und dir* — w dosłownym przekładzie z niemieckiego brzmi ten wiersz: „Podaj mi z ufnością ręce, bądź mi bratem i przed swym końcem nie odwracaj się znowu ode mnie! Jedna jest świątynia, w której klęczymy, jedno miejsce, do którego dążymy, jedno szczęście, dla którego płoniemy, i jedno niebo dla mnie i dla ciebie. [przypis redakcyjny]

bie, którego wonią są modły i pieśni za Tobą. Nie płacz nad jej zawczesnym grobem, ale mów raczej: *manibus date lilia plenis!*[155]

Księżnę zastałem daleko lepiej. Sama pisać nie mogąc, kazała mi, bym Ci doniósł, że pisała przed tygodniem do księdza Chołoniewskiego, zasięgając rad jego względem przeniesienia Marii. Przy sobie jej mieć nie odważa się, ale chce ją mieć przy Tobie w Rzymie. Pojmujesz, że to będzie dość długo trwało; ja zaś co dzień o tem przypomnienie i ekshortację do rozmowy wtrącę.

Mój ojciec pojechał na Podole; zapewne w tych dniach Maria portret Twój mieć będzie. Co zaś do jej miniatury, już pisałem wczoraj do panny Szadurskiej[156] poleciwszy ten interes plenipotentowi ojca w Dunajowcach, który powinien odebrać ją z rąk panny Szadurskiej i tu mi przesłać, jak najrychlej będzie można. Pisałem zaś niby to od księżnej, która się podpisała, bo inaczej by zapewne Szadurska nie dozwoliła, ile że trzeba zasięgnąć pozwolenia biskupiego, by malarz mógł wejść w mury klasztorne — lub Maria z nich wyjść do malarza. Mam nadzieję, że najdalej za dwa miesiące będę mógł Ci portrecik na Torloniego ręce przesłać.

Polityka, Historia, Grób

Jakem przed laty czteroma właśnie tu przyjechał na pogrzeb Reichstadta tak dziś trafiłem na pogrzeb Karola X., który za godzinę odbędzie się u augustianów. Patrzaj, w jednem mieście i ostatni z Napoleonidów, i ostatni z Burbonów śpią w trumnie gościnnej, nie własnej, orzeł młody i lilia stara, pobratani snem śmierci, pojednani przeciwnością i zapomnieniem. Tymczasem Canino u was, Ludwik w Strasburgu stoją obok rusztowania; pierwszy za drogowy, drogi za polityczny rozbój. Jeśli wiatry od Europy przynoszą marzącemu w grobie Napoleonowi odgłosy hańby żony, nieszczęść krewnych, drżeć musi skała granitowa od jego bolesnych podrzutów. Orzeł, co zwykł siadać na trofeach i oczy wlepiać w słońce, dziś na rusztowanie, dziś w topór kata spojrzeć musi. Patrz, jak się wszystko psuje i błaźni na świecie, jak indywiduami los poniewiera. Jedna ludzkość pozostaje tylko poważną i wielką; reszta, jak pył, jak liście jesienne, jak miłość Don Juana! Z tem jednak ciężką rzeczą jest odegrać rolę indywiduom, tyle rzeczy, sama natura rzeczy spiknięta przeciwko każdemu; kto więc w ciągu dramatu swojego nie stracił powagi i godności, kto przylgnął do ideału ludzkości, która nigdy ich nie traci, temu chwała i szacunek, a jednym z takich widzisz mi się, Adamie.

Wyszedł stary rękopis szlachcica polskiego, Paska, malujący najwyborniej obyczaje XVII. wieku za Jana Kazimierza, Korybuta, Sobieskiego etc. etc. Pisany on z rzadką fantazją i dowcipem prawdziwie polskim, trzeba pękać od śmiechu. Pewny jestem, że byłoby Ci miło go przeczytać, jeden tom tylko; czy chcesz, żebym go przysłał do Rzymu? Zapytaj Torlonich, czy też przyszły moje książki, oczekiwane na wiosnę. Powiedz mi także, czyś słyszał o nich w podróży. *Addio — addio.*

Z.

Danielewicz Cię serdecznie wita. Salvan jeszcze nie wrócił. *Civita Vecchii*[157] moje uszanowanie. Józiowi i Hermanowi ukłony.

128. DO HENRYKA REEVE'A

12 listopada 1836 r. Wiedeń

Drogi Henryku!

Przybywszy przedwczoraj do Windobony Augustorum, znalazłem wczoraj na poczcie list Twój z Krakowa, co jeszcze żal mój powiększyło. Jestem zadowolony, że kraj, który widziałeś z bliska, nie umniejszył idealnego obrazu, jakiś sobie z dala o nim wytworzył, gdyż, drogi mój, każda piękność blednie wobec swego pierwowzoru, napotkanego na ziemi. Co prawda, piękność grobowców, będąca całkiem ziemską, jedna jedyna zyskuje na bliższem poznaniu. Piękna kobieta straciłaby na tem, gdyż jest aniołem w Twoim mózgu,

[155] *manibus date lilia plenis!* (łac.) — dawajcie pełnemi rękoma. [przypis redakcyjny]
[156] *Panna Szadurska* — wiceprzeorysza zakonu wizytek w Kamieńcu Podolskim. [przypis redakcyjny]
[157] *Civita Vecchia* — tak nazywano ks. Dorotę Czartoryską. [przypis redakcyjny]

ale trumna, to co innego. Nie mogę dość odżałować fatalnego zbiegu okoliczności, który przeszkodził naszemu spotkaniu, i oddzielił mię od Ciebie jakby zasłoną mgły, choć byliśmy tak blisko siebie. To ten przeklęty szczyt górski, nieznany światu, winien wszystkiemu, ale bardziej, niż on, Twoje milczenie, to, żeś do mnie do Kissingen nie pisał. Ty zaś na mnie winę zrzucasz. Postępujesz w tym wypadku, jak ładne kobiety, które, gdy się czują winne, same sprzeczkę rozpoczynają. Ale o umarłych jedynie dobrze mówić należy, a ponieważ sposobność ta dla nas umarła, pokryjmy grób jej listami, jak gdyby to były kwiaty.

Przybyłem w sam czas, aby być obecnym na pogrzebie Karola X. Przed czterema laty w tem samem mieście przesunęła się przed mojemi oczyma trumna księcia Reichstadtu. Młody orzeł i stary kwiat lilii dziś zbratały się w podziemiach monarchii austriackiej. Udzielono im nicości. Biedny król Francji! Dobrze postąpili tutejsi, że nakazali żałobę dworską. Względy, należne nieszczęściu, uszlachetniają tych, którzy je okazują; *Requiem*, śpiewane w kaplicy cesarskiej nad trumną wygnańca, sprawiło radość memu sercu. Tyle nikczemności na świecie, a fakty dokonane tak mało się zwalcza, że pociesza to mię zawsze po trochu, jeśli spotkam jakąkolwiek ideę, która powstaje przeciw rzeczywistości, jak gdyby skrzydła z piór, uderzające o skałę granitową. Widzę w tem godność ludzką, protest ducha przeciw materii.

Spędzę więc zimę w Wiedniu. W dalszym ciągu poddaję się kuracji wodnej. Mało bywam, a właściwie nie bywam wcale. Jestem codziennie w Burgu, najlepszym teatrze Europy, i widzę, jak przechodzą przede mną Romeo, Makbet, Hamlet, Wallenstein, Faust itd. Może coś napiszę. Od roku nic nie pisałem. Gdyby kto miał geniusz diabła, a był Żydem lub Polakiem, niemożliwością by było dla niego osiągnięcie jakiegokolwiek rozgłosu; raczej na więcej by mu się zdało być Żydem.

Literat, Polak, Żyd

Zdrowie moje bardzo niepewne. Cierpię ciągle na oczy. Bogu dzięki, nie ślepnę. Mam nadzieję, że odebrałeś mój list z Grefenbergu, adresowany do Hampstead. Jeśli możesz, znajdź w Londynie widzenie zakonnicy Emmerich, wydane przez Klemensa Brentano i napisane pod jej ekstatycznem dyktandem; jest to jakby epopeja ostatnich dni Jezusa Chrystusa. *Se non e vero e bene trovato.*[158] Czy czytałeś *Sagę Fritjofową* Ezajasza Tegnera, przetłumaczoną świeżo na niemiecki? To pierwszy współczesny poemat epiczny. Daj mi pojęcie o nowych poetach angielskich i napisz mi, co porabiają Handley'owie! Żegnaj! Twój przywiązany

Zyg.

129. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Wiedeń, 1 grudnia 1836.

Drogi Konstanty! Ślicznieś wyfrancuził serbską pieśń, tylko kochance jej nie dawaj: bo, jeśli uwierzy, że cała natura na podsłuchach, i że słowiki nawet skompromitować mogą, to nigdy nie da ci *rendez-vous*. Jeden tylko wiersz mi się źle wydał: *Se transforma en un souffle empesté d'un marais*, coś w nim niezupełnie francuskiego. Zresztą prześliczne wszystko.

Ciekawość moją podbechtałeś niepomału, donosząc o powtórnej edycji[159]. Byłbyś zarazem jej dogodził, gdybyś napisał, kto, do diabła, wykradł i drukuje? Z Panem Bogiem, byleby z tego biedy nie wynikły. Bądź łaskaw donieść, kto to jest? Żeś *Dionira*[160] nie odebrał, pojąć, zrozumieć nie mogę i złym niezmiernie. *Per Dio*! Żebyś jeszcze miał tracić pieniądze na sprowadzenie! A to śmieszna rzecz! Wolę twoją wypełnię zaraz jutro względem księgarni marsylskich; jeśli będzie można, nie omieszkam uczynić. Wiem skądinąd

[158] *Se non e vero e bene trovato* (wł.) — Jeżeli to nie jest prawda, jest dobrze wymyślone. [przypis redakcyjny]

[159] *Ciekawość moją podbechtałeś niepomału, donosząc o powtórnej edycji* — mowa o *Nie-boskiej Komedii*, której pierwsza edycja pojawiła się w r. 1835. Druga edycja pojawiła się w Paryżu w końcu 1836, wydanie Jełowieckiego i Spółki. [przypis redakcyjny]

[160] *„Dionir"* — *Irydion*. [przypis redakcyjny]

pewno, że Tatarzyn[161] znajduje się także w Paryżu. Co do Greka[162], bądź tak dobry, powiedz, czy żadnej recenzji nie wyszło po tej, którąś w lecie mi przysłał, i jak ludzkie o nim gawędzą języki. Mam nadzieję, żeś go już się dochwytał.

Filozof

Henryk Heine jest to wyraz zgrzybiałej filozofii, wpadającej nazad w dzieciństwo, wracającej do materializmu i lekkomyślności, tak, jak Wiktor Hugo zgrzybiałej poezji jest arcykapłanem. Heine i cała jego szkoła, chcąc koniecznie coś nowego utworzyć, nie pomiarkowali, że do bardzo starych zasad się cofają, że przedrewolucyjny materializm Helwecjusza i panów dworskich, przebrawszy go tylko w mieszczańskie szaty, nazad stawiają na nogach. Dziwna to zamiana. Kiedy Francuzi chcą koniecznie wziąć się do *serio* przez naśladowanie Niemców, Niemcy osiadają w Paryżu i *buffo* grać zaczynają! Odpowiedź, którą Ci się wywinął, jest godna jakiego markiza z 1750 r. Ten człowiek wiele śniadań i obiadów uprzyjemni przytomnością swoją, spodoba się wielu ludziom, wytknie wiele wad, spostrzeżeń trafnych tysiąc na godzinę wysypie z rękawa, ale jego pamięć niedługo potrwa, jego myśli pójdą za jego ciałem w proch i nicość. Jest on z rzędu używających, wiary żadnej nie ma, o panteizmie lub idealizmie twierdzić nie umie, ale spytaj go, czy miło jeździć w wygodnej karecie, czy przyjemnie pić szampana i za pieniądze kupować uszanowanie ludzi, a pewno się nie zająknie i powie: „A juściż!".

Wiesz, co Dante wyrzekł, kiedy w piekle ujrzał kondotierów francuskich, którzy przeciwko Hohensztaufom walczyli we Włoszech, którzy mężnymi byli i bitwę niejedną wygrali, tylko żadnej wiary ni czci nie mieli: „Świat nie przystał na to, by po nich jaka sława została, — spójrzmy, przejdźmy i nie mówmy o nich (*guarda e passa*)". Niech to służy Heinemu.

Ciało

Piętnaście dni z tobą przebył, a już rozpoznaję ślady jego w tej lekkomyślności, z którą powiadasz: „*La matière a aussi son mérite; changeons de cuisine et de four*[163]". Materia, Konstanty, o tyle jest piękną, o ile jest suknią ducha; sama przez się, niczem. Człowieka całego, to jest ciało harmonijne z duszą, ukochać, jest twór Boga kochać; ale samo ciało, dla samego ciała, jest bezrozumem. Ah, gdyby przed Tobą postawili zwierciadło i Ty widział w nim twarz kochanki, sam bym Cię popchnął, byś upadł na kolana przed zwierciadłem; lecz gdybyś nic w nim prócz blasku białawego, prócz nicości przestrzeni nie widział, a stał godziny przed nim, miałbym Cię za szalonego. Takiem zwierciadłem bez treści żadnej jest sama materia.

Biedny mój Konstanty! Zawsze rady, ostrzegania, morały. Ależ mój drogi, to wynika z tego, że Cię kocham sercem całem i że drżę zawsze, żeby się Tobie nie stało co złego. Gdybyśmy razem byli, nie tak bym gdyrał, bo każdej chwili sam mógłbym skoczyć Ci na pomoc. Pewno, że materia jest młodszą córką Boga; lecz, kiedy w rozdziale z bratem swoim, duchem, słabą jest i nędzną; jest to słowo bez sensu.

Czyś słyszał o jakim Ludwiku Mierosławskim, autorze historii rewolucji polskiej w stylu rzeźnika? Powiedz mi, gdzie jest i czem był i jest dotąd? Jeśli kiedy spotkam tego człowieka, to ja, albo on, chwilę gorzką mieć będzie. Mój Boże! Przekleństwo Twoje na nas wszystkich spoczywa, zatrute głębie serc naszych, nie ma jednego uczucia, w którem by gniew Twój nas nie doścignął. Z własnych braci, katów nam dałeś i gotujesz na później! Może Ty słów tych nie rozumiesz, ale ja, na nieszczęście moje, rozumiem je aż zanadto. Bądź mi zdrów i szczęśliwy w grudniu, i pisz jak najprędzej!

Ojciec mój wiele się wypytywał o Ciebie. Dałem mu czytać Twoje wiersze; był pewny, że Lamartine. Kiedym powiedział, czyje, bardzo się dziwił, żeś do takiej gładkości doszedł, i kazał Ci z serca powinszować. Pamiętasz go, jaki był czerstwy, silny, przystojny dawniej; teraz blady, wychudły, posępny, dawnych uśmiechów śladu już nie ma. Ah, czy pamiętasz, kiedyś mu *Jaxiadę*[164] czytywał? Lepsze to były czasy. To mnie także nęka, co chwila się obawiam, bym się o jego chorobie, śmierci nie dowiedział, a wiesz, jak go kochałem zawsze. Teraz on jeden pozostał z domu całego naszego, wszyscy inni pomarli. Jego tylko

[161] *Tatarzyn* — „Agaj-Han". [przypis redakcyjny]

[162] *Grek* — *Irydion*. [przypis redakcyjny]

[163] *La matière a aussi son mérite; changeons de cuisine et de four* (fr.) — Materia ma także swe zasługi: przemieńmy kuchnię i piec. [przypis redakcyjny]

[164] *Jaxiada* — żartobliwy poemat Gaszyńskiego o Jaksie Marcinkowskim, marnym wierszoklecie warszawskim. [przypis redakcyjny]

mam w Polsce, prócz niego nikogo: bo jeden Konstanty ze mną, a drugi w Prowancji. Bądź szczęśliwy!

130. DO ADAMA SOŁTANA

17 stycznia 1837, Wiedeń

Mówisz mi o tych drobiazgach, które Ci ofiarowałem, jak gdybyś mnie za obcego uważał, a zapominasz, że ja Ci wdzięczność winienem za to, że je dobrem sercem ode mnie przyjąłeś; bo, przez Boga, w tem egoizm mój był, Adamie, gdyż miło mi było myśleć, że Ty, odbierając je, pomyślisz także, żem pamiętał o Tobie; miło mi było marzyć i wybierać i zastanawiać się nad tem, co może Twojemu stolikowi się przydać. Przyznaję więc otwarcie, żem w tem był samolubem; ale zważ, że Ty się stajesz samolubem, jak tylko mi wzbraniasz nadal tej uciechy. Jeśli się kochamy, ustały między nami światowe przystojeństwa. Tem tylko słodka jest przyjaźń, że drugi świat tworzy, w niczem niepodobny do otaczającego. W miłości, nie ten, który daje, ale ten, który bierze, daje; a zatem, mój drogi, proszę Cię, nie chciejmy wracać do światowych porządków.

Wyobraź sobie, jak mi smutno; dowiedziałem się dzisiaj o śmierci ojca Danielewicza, on tymczasem dniem i nocą pędzi, już dzisiaj musi być w Krzemieńcu, pojutrze przybędzie do Białocerkwi, pełny męczarni oczekiwania, z bijącem sercem, znękany na ciele i duszy i zastanie trumnę. On w rzeczy samej ma los zawzięty na siebie: nie widziałem jeszcze, by mu się co bądź na świecie udało, jak w karty banku, tak w karty życia nieszczęśliwy. Teraz do Niemiec z Anglii była przyjechała, wiesz, ta pani, co tak sławnie grała na fortepianie, co za Anglika poszła, dla której on to komponował *romance* swoje; przyjechała, rozdzieliwszy się z mężem, który widać zwariował, nie tak, by do ciupków go wzięto, ale tak, że dom własny i pożycie domowe na ciupki zamienił. Otóż Konstanty wybierał się do Münich — piękna to kobieta, rozumna, jak anioł muzyki piękna, kiedy uderzy w klawisze, natchnione czoło[165]! Może by z nią był szczęśliwy; wtem wieść o ojcu, i pobiegł i opuścił mnie, ją, wszystko, by *Zdrowaś Maria* zmówić na grobie!

Ja wciąż chory jestem. Rzadko gdzie bywam, na teatrze tylko często, doskonałe aktory, osobliwie pani Rettich; kiedy patrzę na nią, czuję strumień życia w poprzek piersi wybuchający. Zresztą smutno mi schodzą dni, ale schodzą i wkrótce 25-ty rok mi przyciśnie pieczątkę dojrzałości na głowie.

Pisał mi ojciec w ostatnim liście zawczoraj, że Twoi synowie zdrowi. Ja imieniem księżnej pisałem do księcia Radziwiłła, by o paszport się wystarał dla Marii. Księżna Ponińska ofiarowała się ją przewieść do Wiednia na wiosnę, bo jedzie w marcu do Kamieńca. Nasza księżna zrazu się wahała przyjąć, bała się komandora, ale jej dowiodłem jak dwa a dwa równe cztery, że nigdy lepszej sposobności nie znajdzie, a że komandory duszą Don-Juanów; nie są zaś Don-Juanami, szczególnie ten, o którym mowa. Zatem pisze do Ponińskiej, przyjmując jej udział w tej sprawie; nie pisz jednak o tem do niej, aż Ci sama o tem napisze. Przyznać trzeba, że Ponińska, choć śmieszna, dobre ma serce i Tobie wielce przyjazna; list, w którym ofiarowuje się księżnie, pełen delikatnej i czułej grzeczności. Mówią, że tu wkrótce Rozalia Rzewuska z córką przyjedzie, jadąc do Włoch. Podziękuj Skibickiemu za list jego i powiedz, że Salvan mu się kłania i że Edward wkrótce wyjdzie na wolne powietrze.

Malarz Włoch z Wenecji, który rok siedział na Wołyniu i wiadomy Ci obraz robił, przywiózł mi kopię śliczną i żywą; mam ją na stoliku. Często w wieczór sam jeden siedząc, marzę nad tym obrazem, aż mnie przebudzi pytanie, grzmiące w głębi duszy: „Jaka przyszłość Twoja?" I wtedy świat marzeń pęka i zdaje mi się, że coś twardego, obrzydliwego mnie obejmuje. I gdybym w takiej chwili mógł ducha w lepsze strony wyzionąć, bez cierpień konania, Bogu bym podziękował. Co z życia, kiedy siły spać muszą, spać będą coraz głębszą nocą; kiedy nic nie nęci, nie zapala, nie wstrząsa; kiedy najwyższym celem polowanie, lub fabryka cukru burakowego, a wszystkie miłości i żądze, jak szereg pogrzebny, przesłonięty całunem, co noc żegnają nas na wieki! A propos żądz i miłości; Sołtyk już

[165]*piękna to kobieta, rozumna, jak anioł muzyki piękna (…)* — Pani Delfina Heel-Handley. Po rozwodzie z mężem zaręczyła się z Danielewiczem. [przypis redakcyjny]

żonaty, a zatem nie dureń, bo trzydziestu lat nie ma. Mówią, że okropne sceny się dzieją między nim a matką żony; pięćset tylko dukatów dostała panna w intercyzie. *Eheu*! *Eheu*! To są nasze polskie przepychy. *Addio* mój drogi, pisuj często do swego Zygmunta.

131. DO ADAMA SOŁTANA

(22 kwietnia 1837)

Właśnie w tej chwili odbieram list z Petersburga, w którym pisze mój ojciec, by przysłać na jego ręce list księżnej o paszport i że zaraz paszport wydany będzie, że już to wyrobił; ale tymczasem, jak wiesz, już tego nie potrzeba, bo Przeździecki w Kamieńcu rzecz ułatwił w nieprzytomności Guriewa. Z niecierpliwością czekam przybycia Marii. Chciałbym, nim stąd odjadę, ją ujrzeć i opisać ją Tobie. Jadę zaś 25 maja do Kissingen.

Jestem wciąż chory, mój Adamie, i na ciele, i na duszy. Świat materialny dwoi się przed mojemi słabemi oczami, moralny pęka i łamie się w dziesięcioro w sercu i umyśle moim; nie ma nic w duszy mojej, na czem bym spocząć mógł, żadnej gałązki zielonej po potopie, żadnej oazis na puszczy, żadnej nadziei na przyszłość. Pić opium i marzyć to szczęście największe; prawda, że i tu piekło zjawia się po przejściu snów o niebie. Dziś rano Konstanty coś zagrał z czasów, w których byliśmy w Neapolu, z czasów, które mi się dzisiaj wiosennemi wydają, z czasów, które też poprzedziły najszczęśliwsze dni mojego życia — i słysząc tę *preghierę*[166] Mojżesza uczułem taką żądzę, taką, że tak powiem, lubieżność skończenia bytu, żem westchnął z żalu, kiedy minęły akorda i opadło we mnie żądanie śmierci. Gdyby kto czasem mógł zajrzeć w duszę moją, kiedy sam jestem u siebie, kiedy myślę i męczę się, toby się wzdrygnął — bo, jak fala, wiecznie podnoszę się, by żądać, i opadam w rozpaczy, czując, że z żądz moich nic nigdy nie będzie. Stąd też ja z całej natury najbardziej kocham fale morskie, rozbijane na ostrych skałach Sorrento lub na mieliznach Lido; zdaje mi się zawsze, że w nich coś siostrzanego widzę. Każden podobno człowiek taką falą jest w nieskończoności stworzenia. Im kto silniejszy, tem więcej razy wróci do szturmu, ale wszystkim, wcześniej czy później, jeden koniec bywa — rozbicie. Bohatery zakwitną pianą białą, świecącą, jak wielkie bałwany, i to się zowie ich gwiazdą; mierne dusze płyną z boków i z tyłu, płyną i płyną, łamiąc tylko w drobne zmarszczki powierzchnię głębin. W głębiach zaś, mówią, że są perły ciche, i różowe korale, i kwiaty — któż wie, co rośnie w grobie? Groby przecież, to dna oceanu naszego. I tam muszą być perły, korale i kwiaty. Żegnam Cię i ściskam.

Zygmunt

132. DO HENRYKA REEVE'A

30 kwietnia 1837 r.

Drogi Henryku!

Mówiąc o Henriecie, obudziłeś w mej duszy coś niewypowiedzianego. Zdawało mi się, że we własnem sercu usłyszałem dzwon pogrzebowy. Żadna z kobiet, którą kochałem na tym świecie, nie była szczęśliwa, nie szedłem bowiem w miłości drogami świata i nie kochałem żadnej według przepisów i ceremonii, ustanowionych przez społeczeństwo. A teraz, gdy sprawiłeś, że struna, drzemiąca w mojem sercu, wydała jęk przeciągły, cała moja pierwsza młodość wraca do mnie. Ujrzałem znowu te same widoki, twarze, czuję woń tych samych kwiatów i niejasne zarysy tych samych marzeń. Mały domek Empeyta szydzi ze mnie białością swoją, ciasny ogródek, gdzie przycisnąłem ukochaną do łona, gdzie ukląkłem po jej odjeździe i tyle się za nią modliłem, obejmuje mnie swemi drzewami, łodygami, gwiazdami. A fale jeziora zdają się skarżyć i w promieniach księżyca spostrzegam łódeczkę swoją, kołyszącą się na wodzie. Biedna Henrieta! Los jej jest losem większości kobiet: mierność, przerywana kilkoma rozdzierającemi wspomnieniami,

[166] *preghiera* (wł.) — modlitwa. [przypis redakcyjny]

i duch ich powoli drętwieje, a piękność ich niknie z każdą wiosną. Gdy róże znów się pojawiają, one więdną; wszystko je opuszcza: i kochankowie, i mężowie, i dzieci. Serce ich tylko pozostaje niezmienione, świeże i zawsze młode w ich łonie. Gorzkie szyderstwo, które my, mężczyźni, nie jesteśmy skazani znosić, co nam oszczędza przynajmniej śmieszności, ale czyni nas zimnymi, rozumującymi, chciwymi dóbr doczesnych materialistami. Kobieta nigdy materialistką nie jest; jeśli chce za taką uchodzić to dlatego, że się wstydzi przeciwieństwa, które wytworzyło się między jej położeniem a sercem, że pragnie wydać się zrezygnowaną i rozsądną. Ale w gruncie rzeczy ma zawsze nadzwyczajnie gorące uczucia, jakiekolwiek byłyby lody, rzucone na nią przez wiek, jakąkolwiek powściągliwość, którą wlały cierpienia lub doświadczenie w jej formy zewnętrzne, w jej codzienne rozmowy. Dlatego też kobiety są nadzwyczajnie nieszczęśliwe po przekroczeniu czterdziestki, dlatego też kobiety są bardziej religijne od mężczyzn, dlatego też widzimy, że mają niewyczerpane sposoby przywiązywania się nawet do obcych: jest tyleż improwizowanych matek i sióstr na tym świecie, co kochanek; kochać, to znaczy żyć dla kobiety.

Biedna Henrieta! Jeśli pierwsza kobieta, którą mężczyzna kochał, wywiera wpływ ogromny na resztę jego życia, cóż ma to dopiero za znaczenie dla kobiety? Widzę jeszcze ten dzień deszczowy, w którym schodziłem górnemi ulicami, przechodziłem przez most Rodanu, biegłem do Paquis, i siostrę Emilię, idącą do kościoła, i mały opuszczony domek, i milczącą służącą, jak mówi mi, że nie ma nikogo, i schody, które przemierzyłem w dwóch susach, i pokój naprzeciw Mont Blanc'u, i dziewczę młode, całe w czerni, wychodzące ze swej sypialni, by mi słów kilka powiedzieć, i świat westchnień, i ten pierścień, który jej na palec włożyłem, i mój płaszcz, cały mokry, rzucony na ziemię, i jej śnieżno-białą kryzę, wznoszącą się i opadającą na jej wzburzonem łonie. Czuję wielkie pomieszanie, gdy myślę o tem teraz: po co tam przyszedłem? Przyszedłem, by żądać wszystkiego, a nic nie przyrzec. Mówiłem: „Będziesz mię zawsze kochała, a ja nigdy nie zostanę twoim mężem". Na co biedaczka wśród łez odpowiedziała mi, wierząc w to szczerze: „Przyjmuję twoje serce, moje do ciebie należy, o reszcie nie mówmy!" Byłem wówczas bardzo głupi, bardzo nieświadomy spraw tego świata, ale nigdy nie byłem tak szczęśliwy i, jeśli będziesz miał kiedykolwiek sposobność zobaczenia jej znowu, powiedz jej, że istnieje myśl męska, która z prawa do niej należy i która jej nie zapomniała. Dzwonami pogrzebowemi, dzwonami pogrzebowemi jest to wszystko, mój przyjacielu. Jezioro spokojne i niebieskie, jakby wielki kamień grobowy z lapis lazuli, i jedyne dwie rzeczywistości, które tam pozostały, jedyne widma, które przychodzą błądzić nad jego brzegami, to my obaj: Ty i ja. A my dwaj, czy jesteśmy ci sami? Czy tysiąc rzeczy w nas nie zginęło? Co się stało z naszym szerokim widnokręgiem? Z naszemi nieskończonemi aspiracjami, które kiedyś (tak spodziewaliśmy się wtedy) miały się wcielić w twarde głazy tej ziemi? Dokąd zaszliśmy z naszą straszliwą pożądliwością sławy? Wiosła rybaków więcej wydają dźwięku, niż nasze imiona, a przepływająca fala zna je lepiej, niż nas ludzie. Jeden jest tylko cel na tym świecie — to śmierć. Poza nią wszystko przemija, ona jedna jest wieczna. Czas i ruch, to praca, pożądanie, ból, rozbicie wszystkiego — śmierć, to spokój, szczęście, połączenie wszystkiego: żyjemy jedynie, aby umrzeć, a umieramy na to, by martwymi pozostać. Nicość żadnej roli nie odgrywa w moich pojęciach. Jest śmierć, a więc jedność i błogie szczęście, lecz nie ma nicości. Umrzeć znaczy żyć w sobie, żyć znaczy żyć poza sobą. Nie można żyć w sobie, póki się nie osiągnęło pełni ducha, spokoju. Oto dlaczego nieskończoność duchowa może bardzo dobrze nie zajmować żadnej przestrzeni. Mówiąc inaczej, żyć bez istnienia znaczy być umarłym, a istnieć z cząsteczką życia znaczy być jeszcze na tym świecie.

Żegnaj, mój drogi! Odpisz mi do Kissingen, koło Würtzberga w Bawarii, gdzie, przypuszczam, będę na początku czerwca. Uszanowania dla matki Twojej. Henryk W. każe Ci przesłać pozdrowienia i dziękuje za Twoją o nim pamięć.

133. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Kissingen, 6 czerwca 1837

Drogi Konstanty! Ulrych się na krytyka urodził, ma naturę zaprzeczania; „nie" jest jego wszystkiem, tak jak u Mefistofelesa w *Fauście*. Jego rozumowanie podobne do tego: „Jeśli czarno, to fałszywie, jeśli biało, to nieprawdziwie; jeśli zaś cudem jest zarazem biało i czarno, to niedorzecznie". Naprzód krytyk powinien ogarnąć myśl dzieła; jeśli jej nie pojmuje, niechaj się do krytyki nie bierze. Albowiem można sądzić tylko o tem, co jest w naszym rozumie pojęciem, o tem co się stało niejako gościem mózgu naszego. Lecz jeśli mówimy: „Twarz tego zamaskowanego człowieka jest brzydka lub piękna", to głupstwo, bo naprzód larwę, co go kryje, zedrzeć powinniśmy, a dopiero o rysach jego wydać zdanie. Jedyna prawda całej krytyki Ulrycha w tych mieści się wyrazach: „Gdzie chciał być dowcipny, nieco ciężki", zresztą nic a nic podług mnie nie trafił[167].

„Massynisa niepotrzebny".

Co to znaczy powiedzieć „niepotrzebny"? Jak tylko podobało się poecie wprowadzić postać, ona jest i żyje. Chyba, że jej nie dokonał, nie postawił na nogi, nie uczynił częścią żyjącą całości organicznej; wtedy należy mówić, że owa postać niedopełniona, nieożywiona, niedorzeczna, ale nie, że niepotrzebna. Tak samo można by wyrzec, że wszystko niepotrzebne, że cały poemat niepotrzebny, że suknie, obuwie niepotrzebne. Tak samo można by wyrzec, że wszystko niepotrzebne, bo można nago, boso chodzić. Mefistofeles w *Fauście* niepotrzebny, bo można było wszystkie jego mowy i czyny skupić w parę sentencyj i położyć w przedmowie, przypisku lub dewizie. Sam *Faust* niepotrzebny, można było nic nie napisać; stworzenie całe niepotrzebne, można było nic nie stworzyć. Nic nie jest potrzebnem, ale są rzeczy konieczne: i tak Bóg nie potrzebował zapewnie ani komet, ani słońc, ani komarów — lecz koniecznością jego rozumu poszło, że biegną komety, świecą słońca, brzęczą komary.

Szatan, Zło

Massynisa jest to pierwiastek wszech-złego, który ciągle przemienia się koniecznością samego stworzenia na dobre, są to ciemności na dzisiaj, które przestaną być ciemnościami jutro; jest to to *nic*, to zero niepojęte, okropne, straszne, szatańskie, dopóki go nie znamy, dopóki ono nas otacza tajemnicą nieskończoności, a które co chwila przetwarza się na coś: jak tylko coś powstaje, robi się światło, dźwięk, harmonia. Jest to, słowem, szatan wszystkich wieków i społeczeństw wiecznie walczący, wiecznie pobity, w mgłę się rozchodzący, mający jednak chwile swoje piekielne, zbrodnicze, złośliwe.

Dalej Leon takie stawia zadanie: „Czy autor chciał powiedzieć, że zemsta nie tylko pogańskim bogom, ale i chrześcijańskim miła, czy też, że Irydion jest to ludzkość, na wieki wieków zemsty szukać przymuszona? Jeśli to myśl polityczna, to niestosowna forma; jeśli filozoficzna, to radykalnie fałszywa".

Czas, Kondycja ludzka, Historia, Poezja

Dość zawiły period, rozwikłać go trudno, jednak dzieło samo winno było nań odpowiedzieć. Spytaj się Leona, czy nigdy nie słyszał, nie znał, nie ścisnął ręki postaciom, które żyły, a częścią znikły nieszczęśliwie na ziemi, których głowa pałała jednem tylko dzikiem marzeniem, a których serce cierpiało, i żądało, i wszystko poświęciło, i wreszcie pęknąć musiało w żelaznych rękach konieczności, nic nie wyprosiwszy u losów, nic nie zdziaławszy dla braci. Zstąpili oni do grobu, hańbą pozorną okryci, wielu ludzi ich przeklęło; oni święci byli uczuciem, wielcy męstwem, błędem ich tylko to było, że nie wymiarkowali czasu, sił, zasobów, słowem, całego mechanizmu i matematyki życia. Tacy ludzie należą duszą i ciałem do poezji. Polityka mało o nich lub nic nie powie, historia więcej, poezja najwięcej, wszystko może! I po wszystkie wieki byli tacy bohaterowie nieszczęścia, żadnem nie uwieńczeni zwycięstwem, bez-sławni, o grobach bez-pomnikowych, co przeczuwali daleką zorzę, ale jej nie mogli ujrzeć, i zginęli przez to, że raczej w przeczuciu żyli, w żądzy swojej, niż w rzeczywistości faktów ziemskich. Z masy takich bohaterskich serc złożone pokłady ziemi, na której zakwitnie później kwiat dni pogodnych.

Otóż uosobieniem tej masy jest *Irydion*. Ale choć on jest poetyczną prawdą, nie jest on prawdą filozoficzną. Nie zemstą dzieją się wszelkie postępy rodu ludzkiego, ale miłością, ale pracą długą ducha. Ciało musi się zżymać, krwi pragnąć, mieczem i włóczniami miotać, krótkie albowiem dni jego; duch może myśleć, modlić się, kochać, bo ma wieki przed sobą. Ciało gdy raz padnie, nie powstanie więcej; duch, z serc, co pękły, przelewa się w serca, co biją, i kończy zaczętą drogę. Otóż w połowie pogańskiej dzieła, w połowie

[167] *Jedyna prawda całej krytyki Ulrycha w tych mieści się wyrazach (…)* — odnosi się list ten do recenzji *Irydiona*, napisanej przez p. L. Ulrycha. [przypis redakcyjny]

zmysłowej, młodzieńczej, bohaterskiej, poetycznej, wre ciało, wre zemsta, jako jedyna myśl; żelazo, ogień i zniszczenie idą za nią. Lecz ogień zagasa, żelazo pryska, zniszczenie w własnym chaosie nie wie, co począć, śmiech szatana nad tem wszystkiem się rozlega. Ciemno i gorzko. Najszlachetniejsze cele giną niedokończonemi, ogień i żelazo słabemi są na doprowadzenie ich do końca. W drugiej, ostatniej części, chrześcijańskiej, filozoficznej, następuje zbawienie: bo wszystko, co złe, darowane być musi za to, co było dobrego, i przestroga, nauka, by duchem działać, by z pracy wieków zmartwychwstać. Cóż to jest praca wieków? To jest praca ducha, święta, żmudna, długa, ale jedna prawdziwa. A zatem właśnie to, czego Leon żąda, tam jest: to jest, że dzisiaj już kierunek społeczeństw na drodze wolności nie uznaje konwulsji i rzezi, jedno uznaje konieczność rozumu i cnoty. Logika, konieczność doprowadziły autora do tego końca, choć sam się przyznaje, że on jest bardziej w sercu pogańskiej części zwolennikiem, niż filozoficznej; wolałby dzień taki jeden, choć z przegraną, niż nadzieję dalekiej przyszłości. Ale darmo, co jest, to jest; nie nasze kaprysy światem rządzą, ale rozum boży. Artysta ten rozum pojąć winien; gdy go nie pojmuje, jest dzieckiem, a dzieło jego nie jest poezją, koniecznością, ogółem.

Autor więc dwie części miał w tem wszystkiem na myśli: 1. Zemstę, ciało i konwulsje, co zwykle miotają światem, i tylu umarłych za wcześnie, pięknych, dzielnych, niepamiętnych. 2. Ducha i prawdziwy postęp rodu ludzkiego, chrześcijański, idealny, którym wszystko, co jest i co będzie, się dzieje; przetworzenie wnętrza ducha, by potem wcielić w świat tegoż ducha; rozum boży, przeciw postawiony namiętnościom indywidualnym, wiecznie rozbijanym. Stąd pochodzi, że za czyściec, za powtórną próbę, każe głos, słyszany w Koloseum, iść Irydionowi „do ziemi mogił i krzyżów", i tam już nie dbać o chwałę własną, ale o dobro braci swoich; nie już o zewnętrzne tryumfy, o zwycięstwa własne, ale o duchową piękność, o przekształcenie tego, co złem, na dobre — i w nagrodę takiej pracy (okropniejszej, niż wszystkie przewalczone boje) obiecuje mu zmartwychwstanie, i to jeszcze na ziemi. Chrześcijaństwo nie inaczej owładnęło światem. Spodziewam się, że teraz Leon mnie pojmie.

Zresztą, mówiłem z autorem wiele o tem. On sam wie, że wykonanie jest w wielu miejscach słabe, niedostateczne, chrome, że dramatyczność nieraz zasypia, słowem, że są ogromne błędy pod względem wyrobienia. Lecz o myśli głównej, przewodniczej, o tem, co było marzeniem jego młodości, sądzi, może uwiedziony dumą, że jest szeroka i głęboka i że jest zgodna z prawdą wiekuistą z jednej strony, a z drugiej z przemijającemi objawami, których za czasu naszego, za dni krótkich naszych wiele już było, a znikły wszystkie, zostawiając za sobą jęk niesłychanej, tytańskiej boleści, zawodu najświętszych i najjaśniejszych nadziei. Ten jęk, wcielony w postać artystyczną, był jego miłością i celem. Jak dalece dokonał celu, o tem każdy niech sądzi, ma prawo; ale celu się tykać samego, to się zdaje niesłusznem i poza granicami wszelkiej krytyki, bo to, co jest prawdą, nie podpada pod jej zarząd. A na to, że to prawdą, mógłby autor wywołać cienie poległych i łzy żyjących, mógłby niejednego zapytać: „Czyś ty nie czuł, nie marzył tak?". A niejeden by odparł: „Tak jest" — nie tylko niejeden, ale naród cały.

Zresztą niech się sam autor broni; psuć sobie oczów w obronie jego nie myślę, i tak już nie wiem, po co tyle o tem do Ciebie nabazgrałem.

Co do konfederacji barskiej, uznaję, że przedziwny przedmiot, ale do takowego zbywa ducha, na którym coraz więcej zbywać zaczyna Twojemu przyjacielowi. Coraz bardziej okrążają go realne nudy, przymusy, fakta, życie praktyczne. Spokój, Twojem zdaniem tak potrzebny przy tworzeniu, daleki od jego duszy, przeczucie nędznego zawodu i końca go trapi. Jednak on Ci obiecuje, że jeśli nieba dozwolą mu jeszcze spokojniejszych chwil, to on wypełni, coś jemu zalecił, gdyby to nawet być miało tylko przez przyjaźń dla Ciebie! Kilka rzeczy on zaczął, ale dalej ich ciągnąć nie umie, nie chce mu się. Wandy mit jest przecudowny dla poety, który pod jego postacią pojmie wieczne losy Polski, zagarnianej ciągle cudzoziemszczyzną, a wolącej zawsze w przepaść skoczyć, niż jej się poddać. Różne także komiczne, humorystyczne wiły się zamiary w głowie jego, ale to wszystko oporem stąpa i najczęściej leży odłogiem. On jest w tej porze życia, w której wszystko pod zwątpieniem schnie i męczy się. Niech Bóg mu dozwoli z tej toni z nową i męską wynijść wiarą!

Polska, Historia

Mówisz, że podżegacza żadnego materialnego nie potrzeba, by pisać; różnię się zdaniem od Ciebie. Praca rąk i nóg na co dzień przeznaczona człowiekowi, tę odbyć może bez

rozdrażnienia nerwów; ale natchnieniem się nie napoi, jeśli wprzódy mózgu nie nastroi na nutę natchnienia.

Pisz mi tutaj zaraz; jestem tu z ojcem moim schorzałym. Pisz zaraz! Konstanty Ci się kłania serdecznie.

Żegnam Cię i ściskam z głębi duszy.

134. DO HENRYKA REEVE'A

Kissingen, 8 czerwca 1837 r.

Drogi Henryku!

Nadzieja zobaczenia się z Tobą, którą obudziłeś we mnie, sprawiła, że serce moje skacze z radości. Staraj się tylko przybyć koło 30 lipca do Frankfurtu, gdyż nie będę mógł udać się tam wcześniej: ojciec mój wyjeżdża stąd dopiero koło 18 lipca i rozumiesz, że pod żadnym pozorem w świecie nie powinienem go opuścić. Odpisz mi natychmiast; podaj dokładnie dzień, w którym będziesz w Frankfurcie i zobaczymy się, zobaczymy się, my, których rozłączała taka wielka przestrzeń i tyle czasu. Zapewne poznamy w nas tylko nasze serca, reszta musi być szalenie zmieniona. Co do porównania Handley'a z niżej podpisanym, to nie rozumiem go. Przykrawanie sukni dla namiętności nie jest wcale rzeczą poety, przeciwnie, świat, życie praktyczne nakłada suknie namiętnościom, a poezja je oswobadza i wyprowadza na światło dzienne, na wolność. Symbolizowanie najwyższej prawdy jest rzeczą poety, odkrywanie jej jest rzeczą filozofa, bycie nią rzeczą Boga. Nie ma innej poezji, prócz tej, która zawiera te pięć słów: „Bóg, który stał się człowiekiem". Trzeba mieć nadzieję, że nie wszystkie bogi wcielone zginą na krzyżu. Na ogół w ostatnich czasach za wiele zajmowałem się filozofią, by móc jednocześnie napisać coś poetycznego; ale spodziewam się, że anioł stróż mej młodości nie opuścił mię na zawsze. Czynu pragnąłbym dzisiaj, pióro mi nie wystarcza. Ale wszystko to są marzenia, w które *credat Judaeus Appelia*[168].

Oczy diabelnie mię bolą. Wody Kissingeńskie szumią mi w głowie. Żegnaj i do widzenia! Pisz natychmiast, a dzień, w którym Cię znów zobaczę, będzie pięknym dniem w mojem życiu.

135. DO ADAMA SOŁTANA

Kissingen, 1837, 15 czerwca

Jużem się troszczyć zaczynał o Ciebie, nie mając od tak dawna już żadnej o Tobie wiadomości, kiedy dzisiaj przybyły list mnie uspokoił. Mnie paszport się kończy koło marca przyszłego roku, a zatem nieodzownie muszę wracać z Danielewiczem. Na jak długo? Nie wiem. Ojciec słusznie bardzo żąda ode minie, bym się z interesami mojemi zapoznał, a zatem wejdę na te drogi, sadzone wierzbami i zasypane prochem i urozmaicone to grudą, to błotem, które imię „praktycznych" noszą. Zresztą takem głęboko i ostatecznie znudzony sobą samym i ciężącą atmosferą, wszędzie gdzie tylko być mogę, że mi prawie wszystko jedno, co robić będę i gdzie będę; mam lekarstwo, które niezawodnie mnie uzdrowi, jeśli choroba na długo nieznośną się stanie; każdy z nas takim lekiem może się uwolnić, a gdy raz go użyje, powtarzać go nie trzeba — zatem gdziekolwiek jestem, swobodny jestem. Co dzień rano, w dzień, w wieczór, mogę przenieść się w inne sfery; na teraz ta myśl składa jedyny zasób pociechy, który ostał się w duszy mojej, zanadto drażliwej i zanadto przed czasem znękanej. Nikomu o tem nie gadam, Tobie jednemu się zwierzam z tem, bo wiem, że coś podobnego jest w Tobie, i że mnie zrozumiesz doskonale. Nie twierdzę jednak, by to nieodbicie nastąpić miało, bo taki koniec jest zawsze słabością; nie na to albowiem stoimy na pobojowisku, by zeń ratować się ucieczką, ale na to, by zwyciężyć lub przynajmniej dostać kroku przeciwnym losom. Może jakieś nieznane siły urodzą się we wnętrzu mojem, gdy wstąpię w nieznane mi dotąd położenie; ale co się tyczy

[168] *credat Judaeus Appelia* (łac.) — cytat z satyry Horacego, znaczy: „w to niech sobie wierzy Żyd Icek" (Apella, nazwisko żydowskiej rodziny wyzwoleńców). [przypis redakcyjny]

szczęścia, to się żadnego już więcej na ziemi nie spodziewam. Mój ojciec coraz schorzalszy, słabszy, smutniejszy; patrząc na niego, srogich przeczuć doznaję, czytam w niedalekiej przyszłości wyrok, którego może nic nie odwróci. Ile razy pójdę na przechadzkę z nim wieczorem, ile razy głos jego, rozkochany we mnie, słyszę i ściskam tę rękę, do szabli stworzoną, która dla mnie jednak miękka i błogosławiąca, jak ręka matki, serce mi się kraje tem szerzej i głębiej, że w słowa ubrać myśli moich nie mogę, że, gdybym nawet je wyrzekł, nic by nie pomogły, bo fatum dzikie cięży nad nami wszystkimi i nie dzisiaj pękną narzucone przez niego kajdany. Ta pewność śmierci niedalekiej ukochanego, czy pojmiesz, jaka to męczarnia? Dziś jeszcze razem, dziś wśród łąk zielonych i świeżych lasów, a jutro się rozdzielimy i może się już nigdy nie zejdziemy razem, chyba pod zimnemi sklepieniami kościoła, tam, gdzie nie wiedzieć, czy sen wieczny, czy wieczne czuwanie. Och, ja oszaleję kiedy!

Z tem wszystkiem trzeba być, jak na męża przystało, być tak, jak Ty jesteś, poważnym i zimnym zewnątrz, choć wewnątrz i potoki łez, i pożary rwą, palą na przemian i mdłościami roztapiają duszę. Taki odtąd los mój będzie. Wrócę między ludzi, którym trzeba będzie sypać koncepta, by je żarli chciwemi uszami i dobre mniemanie stąd o mnie powzięli — mniemanie lekkomyślności. Jak w ciemnych i niskich lochach weneckiego pałacu działo się więźniom, tak mnie się wszędzie dziać będzie; wszędzie nieufność, wszędzie niebezpieczeństwo! Na takiej roli przyjdzie mi przewracać skiby o pocie krwawym serca mego, a kroki moje będą tak powolne jak wołów, ciągnących w jarzmie, a lemiesz nie ziemię będzie krajał, ale duszę moją!

Pamiętaj, o przyjacielu, pamiętaj o dniach, przeszłych nam na gruzach Rzymu. Kiedyś wrócę do nich, do siebie i może sam będę już tylko gruzem, nieskalanym jednak żadnym napisem podłości! Siądziem gdzieś na odłamie muru i ściśniemy ręce sobie i płakać będziemy, Ty, żeś życie całe znużył w daremnych zabiegach, ja, żem stracił młodość moją!

Odpisz mi zaraz do Kissingen. Sauvan opuszcza mnie za kilka dni, bo rok trzeci mu się kończy. Z Konstantym się zostaję, oba na jednej drodze, oba stworzeni raczej do czegoś innego, niż do życia, które nam przeznaczyły okoliczności, oba nierozdzieleni zasuwać się będziem w dolne zakręty i może kiedyś o jednej godzinie się z nich wydobędziem. Pamiętaj o mnie, boś Ty mnie znał młodym i widział szczęśliwym dni kilka. Teraz trzeba się zacząć starzeć. *Addio — Addio*.

Zygmunt

Nim wyjechałem z Wiednia przyprowadziłem do księżnej malarza włoskiego i prosiłem księżnę, by Marię pozwoliła wymalować — miał zacząć nazajutrz po moim wyjeździe. Powiedz mi, gdzie ten obraz Ci przesłać? Zdzisławowi tysiąc ukłonów.

136. DO HENRYKA REEVE'A

25 czerwca 1837 r., Kissingen

Drogi Henryku!

Przez jeden z tych niespodziewanych zbiegów okoliczności, zdarzających się czasami, odebrałem właśnie w tej samej chwili list od Ciebie i od tej, która... Chociaż ten drugi naznacza mi miejsce spotkania inne, niż Frankfurt, odłożę na dni kilka szczęście zobaczenia jej znowu i możesz liczyć, że 18 przybędę do Frankfurtu do hotelu Angielskiego. Zostanę tam tak długo, jak Ty, ale nie mogę towarzyszyć Ci do Heidelbergu, gdyż trzeba mi będzie wówczas widzieć się z tą kobietą, może po raz ostatni w życiu.

Ach, jaką radość mi sprawia zobaczenie się z Tobą po długich latach! Daleki jest dzień, gdy społem widzieliśmy po raz pierwszy, jak Wenecja wznosi się z łona Adriatyku, daleki jest dzień, gdy uciekaliśmy cwałem z ogrodu Konstancji, bojąc się, by nie zauważono, żeśmy kwiat ukradli. Jakże się jest niewinnym w młodości! Teraz nie przeraża mnie ukradzenie kobiety. Ach, czyż to moje ostatnie dni szczęścia na ziemi, że ze wszystkich stron mię ono spotyka? Mój ojciec, później Ty, wreszcie ona, czystsza przez swe cierpienia, niż inne przez swe dziewictwo. Wszyscy ci, których kochałem, uwielbiałem, o których marzyłem, cisną się wkoło mnie; słyszę, jak fale Renu szemrzą i wzywają

mnie; na wieży gotyckiej są kwiaty, które mię pamiętają. Pogoda taka piękna! Jesień jeszcze piękna będzie, a nie mów mi o zimie, nic o niej wiedzieć nie chcę! Wystarczy, że nadejdzie, nieszczęsna, i że wówczas będę musiał wrócić do domu, gdyż ostatni rok moich pięciu lat upływa. Trzeba będzie wziąć gorzki pług wiejski i postępować krokiem wołów, zgiętych pod jarzmem, a lemiesz rozedrze mi serce, zamiast użyźnić pole. Ale nie chcę myśleć o tem. Oddaj katedrze kolońskiej ode mnie tysiąc westchnień! Spytaj się jej, czy pamięta słodki wieczór, podczas którego przechadzałem się wkoło niej ze swoją ukochaną. Byłem wówczas o trzy lata i tysiąc trosk młodszy. Wzywałem ducha, który według legendy przyniósł plan arcydzieła. Mówiłem mu, żeby się ukazał, a choćby to był sam Szatan, schwyciłbym go wpół i walczył z nim; tak byłem upojony wówczas. Śpiesz się! Popłyń rzeką, zjedź ku mnie — oczekuję Cię z otwartemi ramionami i z bijącem sercem. Im dłużej Cię nie widziałem, tem bardziej Cię kocham. Nie jestem niewolnikiem czasu i przestrzeni; duch mój może się zgiąć pod nimi, ale serce moje się nie ugnie. To moja jedyna cnota. Do widzenia, Henryku!

Uszanowania dla matki Twojej.

137. DO ADAMA SOŁTANA

Frankfurt, 24 lipca 1837

List Twój, zapowiadający wyjazd do Wiednia, wczoraj odebrałem, jednak dopiero pewny będę Twojego przyjazdu, kiedy dowiem się o jego dniu i godzinie; dlatego ten list na ręce księżnej przesyłam, prosząc ją, by go Ci oddała lub odesłała, jeśli oddać nie może. Smutek ogromny i poważny objął duszę moją; prawda jest świętsza nad wszystkie względy, nie ma miłości na świecie! Ze wszystkich snów naszych jeden tylko urzeczywistnić można: przyjaźń! Bo przyjaźń nie żąda kształtu, na samej głębokiej treści rzeczy się opiera; przyjaźń ma coś purytańskiego, protestanckiego, surowego w sobie, obejdzie się bez pędzla Rafaela, bez muzyki Belliniego. Ale miłość prócz myśli, idei, wymaga jeszcze tego, co najszczytniejszem i najtrudniejszem jest na świecie — sztuki, kształtu, widomej piękności, pewnego rodzaju katolicyzmu. Dlatego tak trudno ją znaleźć. Tak samo znajdziesz łatwiej pełniącego wszystkie obowiązki swoje kalwina, niż katolika, a w istocie katolicyzm jest daleko wyższy od reformy, tylko, że nie ma go na ziemi, a reforma i naga, i odarta łatwiej objawić się może. Bo zważ to dobrze, że dla katolicyzmu, jak dla miłości, trzeba pojednania harmonijnego najszczytniejszych moralnych ofiar z najbardziej nęcącemi, pięknemi materii kształtami. Co to jest Madonna? Czyż to nie najurodziwsze ciało i najczystsza dusza? Co Chrystus? Najpiękniejszy i najcnotliwszy z ludzi! Co muzyka kościelna? Najsurowsze a zarazem najmelodyjniejsze dźwięki, jak np. w *Requiem* Mozarta. Teraz wybierz się w drogę i szukaj żyjącej kobiety, która by dorównała ideałowi miłości! Znajdź taką, w której by boskim składzie forma była kwiatem materii, dusza kwiatem ducha, taką, która by w objęciach twoich czystą została, a w podniosłości ducha jednak twoją była — taką, jednem słowem, której by czyny nie popsuły ideału, a której by ideał nie popsuł rozkoszy czynów! Jeszcze Bóg córki nie miał, dotąd syna jego widzieliśmy tylko!

Kobieta, Chrystus

Spotkałem się tutaj z Feliksem Czackim, który mi opowiadał dni, z Tobą spędzone w Rzymie. Sauvan rozłączył się ze mną po skończeniu terminu kuracji; co zaś do niej samej, Bóg widzi, że nie jest skończona, sądzę raczej, że nieskończona. Konstanty jest ze mną, chory i dość niewesoły, kłania Ci się serdecznie. Kiedy ten list odbierzesz, będziesz przy Marii Twojej. Niech Bóg zleje wszystkie swoje dary na jej głowę, a tem samem na Twoją. Jeśli Ci pozwolą zabawić dłużej, obaczymy się w novembrze; jeśli zaś będziesz musiał po dwóch miesiącach wyjechać, napisz mi kędy myślisz drogę swoją obrócić, a dołożę starań, by się z Tobą gdzie na niej spotkać. Pisz zaś do Kissingen i dodaj na kopercie: „*Et s'il ne s'y trouve pas, à Francfourt*"[169]. *Addio*[170].

[169] *Et s'il ne s'y trouve pas, à Francfourt* (fr.) — A jeżeli go tam nie ma, w Frankfurcie. [przypis redakcyjny]

[170] *napisz mi kędy myślisz drogę swoją obrócić, a dołożę starań, by się z Tobą gdzie na niej spotkać* — „W jesieni tegoż roku przyjazd Zygmunta do Wiednia. Zima razem spędzona. Wieczory, raczej noce, schodziły na wspólnych rozmowach u Danielewicza". [z listu] A[dama] S[ołtana] [przypis redakcyjny]

138. DO HENRYKA REEVE'A

Wiedeń, 25 września 1837 r.

Drogi Henryku!

Wybacz, jeśli tak długo zwlekałem z napisaniem do Ciebie, ale od dnia, kiedyś mię opuścił, widziałem jedynie sceny bolesne i doznawałem wyłącznie gorzkich wrażeń. Wielekroć chciałem wziąć za pióro, palce odmawiały mi posłuszeństwa. Zdolny byłem pisać Ci jedynie o tem, co w głowie mi wirowało i co się działo przed mojemi oczyma, a wiedziałem z góry jakiego będziesz o tem zdania; nie spodziewałem się obudzić w Tobie sympatii dla nieszczęść, dla których miałeś jedynie krytykę prawodawcy, moralisty i filozofa. To też milczenie wydało mi się lepsze i czekałem na pierwszą chwilę spokoju, która przyjdzie raczej przypadkiem, niż przez zmianę położenia lub uczucia, by Ci powiedzieć, jak bardzo ucieszył mię list Twój, otrzymany jeszcze w Kissingen. Zanadto pogrążyłem się w chaosie bym mógł ocenić szczęście, którego doznałeś po swojem przybyciu do Genewy. Ale istniało coś w głębi mego serca, co współczuło Twoim dobrym chwilom, lecz czułem zadowolenie z tego i przyszło mi na myśl prosić Boga o niezamącanie Twego życia, tak byś zawsze był zdolny odczuwać słodycz spokoju i milczącą harmonię niewinności. Widziałem Cię, jak czysty i spokojny płynąłeś po drzemiącem jeziorze. Nie zazdrościłem Ci, ale życzyłem Ci, byś w dalszym ciągu takim pozostał.

Zacząłem w ostatnich dniach czytać Tocqueville'a, a odtąd go pożeram. Od czasu Tacyta styl podobny, od czasu Monteskiusza podobne myśli nie wyszły spod niczyjego pióra. Tytuł jego jest tylko pozorem. Ameryka dla mego to tylko punkt wyjścia, jego cel prawdziwy, to przyszłość, przeszłość, teraźniejszość, to filozofia metafizyczna narodów. Arystokracja i demokracja ukazują mu się w świetle zjawisk, które osądzić należy, a nie jako waśnie, w których trzeba być stroną. Jest coś wzniośle surowego w umyśle tego człowieka, woń starożytnej cnoty przenika poprzez wszystko. Rzeźbiarz to raczej, niż malarz, a w naszych czasach cudem jest, gdy ktoś ciosa w marmurze, zamiast rzucać tu i ówdzie barwy; dowód to siły i geniuszu. Gdzież zahartował swego ducha ten obrońca dziewiętnastego wieku? Któż zdradził mu tajemnicę wieków minionych, a może nawet wieków przyszłych? Czuję głęboki szacunek dla tego człowieka.

Prawdopodobnie pojadę w tych dniach do Drezna i po spędzeniu tam dwóch tygodni, wrócę do Wiednia. Odpisuj więc zawsze tutaj! Pozdrów serdecznie ode mnie Rogeta, Couteau'ów, Binela i jego potomstwo. Musi to być bardzo dziwne, posiadać dziecko. Chwila nieszczęsna, gdy kwiat się rozsypuje i owoc okrągły, ciężki, zajmuje opuszczone przezeń miejsce. Przypomina to chwilę, gdy arystokracja przechodzi w demokrację, sława jednostki w dobrobyt wszystkich, poezja w użyteczność, olśniewająca siła zewnętrzna w stan domowy i nieznany. Zrobić dziecko jest czynem wybitnie demokratycznym i dlatego trzeba w tej chwili być *sansculotte*.

Dziecko

Czy czytałeś *Listy z podróży* George Sand? Jeśli nie, to biegnij na złamanie karku, kup je i przeczytaj. To lord Byron wyidealizowany przez nerwy kobiece. Nie znam nic piękniejszego w literaturze francuskiej. Na każdej stronicy daje się odczuwać rozpacz, a jednak powiedziałbyś, że pachnie różami. Przekleństwo jej, rzucone na Talleyranda, jest arcydziełem oryginalności i szyderstwa. A za każdym razem, gdy opisuje swe serce samotne i spustoszone, serce tak niewzruszone, a jednak tak zbolałe, cierpiące, rozdarte, musimy przyjąć ją taką, jaką jest i błogosławić jej błędy, skoro zrodziły tak wzniosłe żale.

Żegnaj, mój drogi! Odpowiedz mi! Uszanowania dla matki Twojej i ukłony dla spelunki ludzi przyzwoitych. Powiedz jezioru, że polecam się jego pamięci, Mont Blancowi, że jestem jego przyjacielem. Powiedz Rodanowi, że jeśli kiedykolwiek się utopię, chcę się utopić w jego niebieskich wodach, tak niebieskich, że Henrieta Willan dziwiła się, iż traciły błękit swój w butelce. Żegnaj! *Pensa a me*.

Zyg. K.

To, co czytałeś o generale w gazetach, jest zupełnie mylne. Przeciwnie, nigdy nie cieszył się bardziej kwitnącem zdrowiem.

139. DO HENRYKA REEVE'A

29 grudnia, Wiedeń, 1837 r.

„I Snowdon rycerz był Szkocji królem", czyli i Henryk Reeve był Lordem Kanclerzem. Powiemy tak kiedyś. Przyjm moje powinszowania z powodu tego, co się stało, a nie życzenia tego, co później nastąpi. Niech Cię prowadzi gwiazda Wiktorii, jak gwiazda Elżbiety wiodła Rabeigh'a lub Laxestera. Oby Ci się powodziło na łonie Twego wielkiego narodu, oby kiedyś zaliczono Cię do mężów, którzy będą w przyszłości kierowali siłami jego może ku szlachetniejszym celom, niż te, do których dążycie teraz. Pamiętaj zawsze o swojej pierwszej miłości i swym pierwszym przyjacielu!

Nie wiem, co chcą powiedzieć ci poczciwi Genewczycy przez swe dobre wiadomości. Po prostu podziękowałem Lombardowi za to, że zawiadomił mię o Twojem wstąpieniu do biura Rady osobistej i dodałem słów kilka dla naszych dawnych towarzyszy. Dobre wiadomości i ja nie chodzimy jedną drogą. Nie mogę oczekiwać żadnych dobrych wiadomości prócz afiszu w Burgteatrze. Gdy dają *Julię* albo *Karlosa*, oto dobra wiadomość dla mnie. Zresztą, nie znam lepszej. Od Frankfurtu położenie moje tylko się pogorszyło. Zobaczyłem się w Kissingen z kim należało. Nastąpiło niejedno smutne spotkanie; a zgadnij, gdzie? Na cmentarzu, gdyż wszędzie indziej były zawsze tłumy gości kąpielowych. Tam, na grobach niemieckich, całkowicie pokrytych kwiatami, spędziłem z nią dziesięć do piętnastu wieczorów letnich. Jeśli burza nas zastawała, zgadzała się moknąć aż do nitki; nie bladła już, jak dawniej, na odgłos grzmotu. Tam, w sukni jedwabnej, w kapeluszu paryskim na głowie, w ażurowych pończochach na nogach, stała na wilgotnej murawie z dłonią w mojej dłoni. Jednem słowem, była to kobieta, która doszła do najwyższego stopnia egzaltacji, porzuciła konwenanse światowe, spokojnie rozważając, że świat ją wkrótce odtrąci, i nie widząc na ziemi nikogo, prócz tego, który nie powinien był nigdy doprowadzić jej do tej smutnej ostateczności. Wtedy wyżej wymienionemu przyszła do głowy rozpaczliwa myśl miłości. Chciał się poświęcić dla niej. Napisał do ojca, że chce ją namówić do rozwodu i ożenić się ze swą ukochaną. Tu rozpoczyna się okropna komedia. Ojciec nie odpowiedział więcej, pisując jedynie do jego przyjaciela. Zagroził synowi przekleństwem, oskarżył go, że go do grobu wtrąca i oświadczył, że nigdy to małżeństwo nie dojdzie do skutku, chyba, żeby doszło z nim do procesu, chyba, żeby się rozłączyli na zawsze i nigdy więcej nie zobaczyli. Cóż mógł syn, wobec gróźb tak strasznych? Czyż miał prawo narazić się na przekleństwo ojcowskie? Czyż miałby serce to uczynić? A więc kilka dni temu przysiągł ojcu, że będzie jedynie przyjacielem tej, która go kochała. A ona jest w Dreźnie. Droga jej wiedzie wzdłuż przerażających przepaści. Słyszałeś o tych, które pochłaniają złamane serca i opuszczone kobiety. Jeśli umkną nawet śmierci ciała, nie ujdą śmierci duszy. Umrzeć lub oszołomić się, oto co im pozostaje. A wiesz Ty, jak się oszałamiają? Miłosierny Boże! Jest coś piekielnego w niewzruszonej logice, według której układają się sprawy ludzkie. Na próżno walczymy z nią, na próżno, na próżno! Najpiękniejsze dusze, najszlachetniejsze serca ulegną temu losowi, jeśli doprowadziły się do położenia, w którem ulec muszą. Krok pierwszy rozstrzyga o wszystkiem zarówno dla kobiety, jak i dla mężczyzny, a potem pochyłość dokona reszty. Nogi nasze zstępują same, nie poruszając się wcale. Ach, szczęśliwe są dzieci, które otrzymały od niebios dar czarodziejski nieprzewidywania, to znaczy nieodczuwania uprzednio całej goryczy i wszystkich okropności, przeznaczonych ludziom. Przewidywać, to znaczy żyć w piekle przez całe życie. Henryku, bardzo jestem nieszczęśliwy, bo przewiduję przyszłość tej nieszczęsnej kobiety. Dlaczego nic nie przewidziałem pierwszego dnia, gdym ją spotkał? Dlaczego byłem ślepy wówczas, a tak jasnowidzący dzisiaj? Bo szczęście zakrywa nam widok nędz ludzkich, a nieszczęście odsłania nam je wszystkie razem. Widzę je, widzę! Taka jest powieść moja. Sądzę, że opowiedziana mi będzie raz jeszcze na sądzie ostatecznym.

Miłość romantyczna, Kochanek, Syn, Ojciec, Małżeństwo, Rozstanie

Żegnaj, Henryku! Pisz do mnie do Wiednia! Złóż matce swojej w mojem imieniu życzenia na rok 1838. Bądź szczęśliwy i czynny. Gdy będziesz miał się żenić za lat sześć, długo się nie zastanawiaj, zanim to uczynisz. Pozwól, niech się szlachetny lord uspokoi i nie drażnij go ani słowami (które mogą mu być powtórzone), ani obejściem. Początkowo

jedź krokiem, później kłusem, wreszcie nadejdzie czas galopu. W ten sposób utrzymuje się swego wierzchowca w dobrym stanie i nie ponosi się porażki w dniu bitwy.

140. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Wiedeń, 1 kwietnia 1838

Mój drogi! Dzięki ci za Twój list, za Twoją troskliwość. Ty wiesz, czasem napadają mnie dnie, tygodnie, miesiące całe takiej smętności, że wtedy, do niczego niezdatny, i do kochanych nawet przemawiać nie umiem. Mój powrót bliski rzucił mi na duszę zasłonę z krepy czarnej. Dziesiątego maja wyjeżdżam stąd, pierwszego czerwca stanę w Opinogórze, tam, gdzie przed dziesięcioma laty byliśmy razem, Ty i ja, dziećmi prawie jeszcze oba, nieświadomi srogiej przyszłości, wiszącej wtedy już nad nami jednak, jak ów miecz sykulski — i ten miecz padł i rozdzielił nas, rozdzielił, Konstanty, daleko, daleko! Ah kiedyż się zobaczymy? Czy raz jeszcze ściśniemy sobie ręce na ziemi? Z daleka czy z bliska, zagranicą czy w kraju, wierz, że moja dusza nie przestanie nigdy wspominać ciebie i myślą latać do Aix Twoich. Ile razy będę mógł, przeszlę Ci *indirecte* cokolwiek pieniędzy i napiszę; pamiętaj nigdy mi o nich nie wspominać! Pisz rzadko i po francusku, podpisuj się A. G. zamazanemi, pisz o rzeczach, zupełnie niewychodzących z prywatyzmu, bo inaczej mógłbyś diable mi zaszkodzić. Raz na zawsze pamiętaj więc o tem! Konstanty także cię ściska i żegna. Oh, to słowo: „Żegnam cię" ma w sobie coś zatrutego. I tak byliśmy przedzieleni, teraz będziemy odmurowani jeden od drugiego. Bądź co bądź pamiętaj, żem Cię kochał szczerze i że nie powinieneś nigdy zapomnieć o pierwszym przyjacielu, którego miałeś na wstępie do życia! Bóg mi świadkiem, łzy mi w oczach, łzy gorzkie stoją. Chciałbym przynajmniej rękę Ci uścisnąć.

Bądź szczęśliwy, o ile ziemia obca kwiatów Ci przynieść zdoła. Szukaj pociechy w świecie ducha, bo w innym prawdziwej nie znajdziesz! Prócz idei, wszystko, odbywszy krótki swój taniec, znika. Kształty, najtwardsze na pozór, są tylko chmurami, co za lada powiewem omdleją na niebie; ale serce własne jest czarą, z której pić możemy szczęście — szczęście wzniosłe, idealne, szczęście cnoty i piękności. Koło tej czary niech zawsze świeci jasno, złoto obrączka sumienia! Duch wtedy wyglądać będzie, jak owe geniusze Fidiasza, nachylone nad greckimi puchary.

Idealista

Weź błogosławieństwo przyjaciela, weź je! Każda dusza ma prawo drugą pobłogosławić w godzinie uroczystej rozstania, kiedy nie wie, dokąd idzie i na jak długo. Ja nie wiem, dokąd, nie wiem, na jak długo. Weź zarazem i uścisk serdeczny!

Twój

Weksel ten jest na Marsylią, na bankiera Pascala. Odpisz mi jeszcze zaraz tutaj, a ja, wyjeżdżając, raz jeszcze Cię pożegnam.

141. DO HENRYKA REEVE'A

Wiedeń, 12 kwietnia 1838 r.

Drogi Henryku!

Czy Biuro Rady mieści w sobie źródło wody letejskiej, że tak o mnie całkiem zapominać się zdajesz? A tymczasem godziny ulatują, dnie przechodzą i zbliżam się do kresu, to znaczy, że za miesiąc wyjeżdżam stąd i wracam do Polski. Gdy będziesz pisywał do mnie do Warszawy, przypomnij sobie mądrą Minerwę i ten wdzięczny emblemat starożytnych, który przedstawia miłość z palcem na ustach. Bądź klasyczny, przyjacielu! Nie wiem, na jak długo wracam. Nie wiem, co robić będę. Prawdopodobnie rzeczywistość życia ukaże mi się w postaci wołów, pługów, kapusty, zboża, ziemniaków, maszyn do wyrobu wódki i innych kształtów, równie wdzięcznych i równie umysłowi mojemu

odpowiednich. *Manibus date lilia plenis, purpureas spargam flores animamque nepotis*[171]... Była to dusza odchodząca. Weź więc *manibus plenis* rododendrony Alp, jeśli kiedykolwiek wrócisz do Chamonix i rzuć kilka ich pęków na *animam amici*, na wspomnienie tego, czem by być mogła w innym czasie i miejscu. A później, gdy będziesz płynął koło Paquis, proszę o te kilka kropel wody, które spod wiosła Twego wytrysną, i powiedz wówczas: *Sit tibi terra levis*[172]! Gdyż słowo *terra* nie oznacza jedynie prochu, pokrywającego łoże umarłych. Proch ten jest bardzo lekki w porównaniu z prawdziwą ziemią, ciążącą na życiu żywych. To jedno słowo zawiera całą wagę materii, przeraźliwe stłumienie oddechu przez przygniatający go ciężar, serca przez dręczący smutek, ducha o związanych skrzydłach.

Ziemia

Za czasów Cycerona najgorszem, co sobie ludzie wyobrażali, była śmierć. *Stygia regna, inamabilis unda*[173]. Za dni naszych jest tem życie samo. Trzeba przyznać, że wielkiego dokonaliśmy postępu. Ach, gdyby śmierć mogła zjawić się w starożytnym kształcie pięknego geniusza o wywróconej pochodni, który objąłby nas swemi giętkiemi ramionami i zaniósł do świeżego grobowca Canovy! Ale: „Nie, mój mistrzu", jak mówi Diabeł Fryderyka Soulie! Żyć będziesz, rozciągnięty na kupie nawozu, i umrzesz prawdopodobnie na tem samem legowisku, i zrobią ci grobowiec z gipsu, którego napis odczytywać będą pająki polne; a woły, kupione przez ciebie na dwa miesiące przed twoją śmiercią, nie odwrócą się nawet, przechodząc mimo niego. Doskonały obywatel wiejski. Taka jest moja powieść, opowiedziana Tobie, który jesteś w Biurze Rady. Niech Ci się powodzi! Bądź szczęśliwszy od niżej podpisanego! Zawsze Ci przepowiadałem, że zajdziesz wyżej ode mnie. Pamiętaj zawsze, że miałeś i nigdy nie przestaniesz mieć przyjaciela w nieznanym właścicielu ziemskim, który prawdopodobnie nie zobaczy Cię znowu, aż tak zardzewieje, że do niczego nie będzie zdatny. Uszanowania dla matki Twojej. 10 maja wyjeżdżam z Wiednia. Żegnaj, Henryku, żegnaj! Wiem, że poczujesz coś w głębi duszy, gdy list ten czytać będziesz.

142. DO JOANNY BOBROWEJ

(bez daty)

Ile razy sięgniesz do tej czarnej siateczki, by dać grosz biednemu — wspomnij na mnie, bo ja także biedny — ja takżem żebrał i Tyś mi niegdyś jałmużnę serca rzuciła!

W tej chwili mrok już pada, ledwo mogę dostrzec litery, które piszę, a patrzę w stronę Twoją — w niebo za górami; gwiazdka tam wschodzi i kocham ją, bo niby przyszła od Ciebie.

Leniwo mułem mętne ciekną życia fale
I na nurtach potoku wszędzie słychać żale —
Z tyłu śpią bladym zmierzchem przyprószone tonie,
Z przodu niebo w oddali krwawą łuną płonie,
A z stron obu pływamy tak zimno i ciemno,
Że każdy, płynąc, woła: „Przekleństwo nade mną"!

Wśród takiego życia bądź mi Ty błogosławiona, coś jedynym tu mi była aniołem! O, wspomnij o mnie, ile razy dasz grosz ubogiemu!

143. DO ADAMA SOŁTANA

Salzbrunn, 19 maja 1838

Od kiedym Cię pożegnał, samych doznałem przypadków i nud; do Ołomuńca wiodło się dobrze, ale od Sternberg, pierwszej poczty za Ołomuńcem, ciemna gwiazda górę brać zaczęła. Żebyś dalsze dzieje moje zrozumiał, wprzód pojmij dobrze ten trójkąt zaklęty.

[171] *Manibus date lilia plenis, purpureas spargam flores animamque nepotis...* — Dajcie pełne dłonie lilij, będę rzucał purpurowe kwiaty na duszę wnuka... [przypis redakcyjny]

[172] *Sit tibi terra levis!* — Niech ci ziemia będzie lekką. [przypis redakcyjny]

[173] *Stygia regna, inamabilis unda* — Królestwo Styksu, wstrętna fala. [przypis redakcyjny]

Sternberg — Hof — Lubnik — Neisse[174]

Moryś tyle mi nagadał o piękności widoku ze Sternbergu, że, wziąwszy tylko fajkę Wąsowicza z powozu, bez grosza w kieszeni, udałem się piechotą naprzód, zostawując w Sternberg, miasteczku, powóz niezaprzęgnięty. Nogi diable szparko mnie poniosły. Widok nieszczególny. Stanąłem, powozu nie ma jeszcze, a więc dalej, w przekonaniu, że oni do Lubnika pojadą, nie wiedząc nawet, że istnieje droga do Hof lepsza. Idę a idę, wtem spotykam dwóch rzemieślników pieszych; pokazują mi ścieżkę, przerzynającą pole i wzgórza, mającą prędzej, niż pocztowa droga, zaprowadzić mnie do Lubnika. Wpakowałem się na ową ścieżkę; przeklęta! Po trzech godzinach drogi męczącej dowiodło mnie do lichej wioski, przy dużym borze, zwanej Lubnik; pewny, że tam Danielewicza zastanę, wpadam co tchu na pocztę. Poczmistrz mnie wita, pyta, skąd; powozu żadnego nie widział. Co to znaczy? Czekam pół godziny, godzinę, półtory — jak ich nie ma, tak nie ma. Poczmistrz patrzy na mnie i pyta mnie o imię z przeproszeniem, dodając, że są rozkazy bardzo ostre rządowe względem ludzi, błąkających się po kraju. Szczęściem przy sobie miałem list z Drezna, kopertą się zastawiam; fajka arystokratyczna z lotną gęsią także mi waloru przysparza; rozmawiając, dokazuję palcem, na którym śliczny pierścionek księżnej Lubomirskiej. Jak mogę, precjoza, które miałem na sobie, używam na świadków, często wyjmuję zegarek; lecz w drugiej kieszeni próżno. Nicem nie jadł, głodnym, ale jakże tu kazać dać co, kiedy nie mam czem zapłacić; cygarów nie wziąłem, tytoniu nie mam: powiadam ci, że zupełnie lichołacko. Wreszcie poczmistrz ofiaruje mi się iść do lasu naprzeciwko mojego powozu, którego istnieniu, widzę, nie bardzo wierzy. Idę. Z pół mili walim, głucho i pusto; wreszcie słychać turkot, pokazuje się jakaś dorożka, w niej ksiądz prefekt ze Sternberga jedzie sobie do Freudenthal; żadnego kocza na drodze nie widział. Poczmistrz wtedy zaczyna mi wkładać w głowę, że mój powóz pewno do Hof pojechał bez wiedzy mego towarzysza, który myślał, że do Lubnika jedzie. Wracamy do Lubnika, proszę poczmistrza, by wysłał sztafetę do Hof. Poczmistrz prosi o pieniądze, przyznaję się do zupełnego ich braku. Wtedy on mi powiada, że chłopczyka z listem do Konstantego pieszo pośle, a to pięć godzin drogi. Siedzę więc na pocztamcie, gorączka mnie pali, oczy bolą, głód doskwiera. Poczmistrz zaczyna ze mną rozmawiać. Widzę, że człowiek wcale do rzeczy, że filozof, artysta na skrzypcach i poetycznego zwrotu myśli. Boże, daruj, żem użył tych jego zalet na wybrnięcie ze złego położenia: powiadam mu, że jadę do Salzbrunn, że tam jest kuzynka, z którąm się wychował, śmiertelnie chora, że może te godziny, które tracę w Lubniku, pozbawią mnie ostatniego uścisku jej ręki. Niemiec słuchał uważnie, Niemiec zaczął się rozczulać. Nim poproszę go o konie i pojazd darmo do Hof, raz jeszcze chciałem spróbować, czy też Konstanty nie domyślił się i z Hof do Lubnika nie zawrócił. Raz więc jeszcze, fajkę Wąsowicza w zakład powrotu zostawiwszy, idę do lasu, tam się kładę pod sosną i słucham dalekich szelestów. Dzięciołów dwadzieścia naokoło stuka w pnie drzew, fura czasem chłopska się przesunie, czasem pieszy podróżny przejdzie, ale nic więcej. Leżałem z godzinę, przeklinając ślepy ten przypadek, jak mazur spod ciemnej gwiazdy. Wilgoć ziemi zwiększyła gorączkę, napadły mnie najdziksze marzenia, rodzaj jakiejś delirium. Pamiętniki diabła na pamięć mi wróciły; zaczęło mi się wydawać, że jakiś diabeł także szydzi ze mnie, że Danielewicz gdzieś daleko pojechał, że sam tu zostanę. Jeszcze raz pół mili boru przeszedłem, nic nie spotkałem; ciemno się zaczyna robić, kręci się w mózgu od czczości. Wróciłem do Lubnika. Mój poczmistrz się rozbierał już; proszę o szklankę wody, wypiłem i zaczynam znów gadać o mojej umierającej; zdaje mi się, żem sam w gorączce uwierzył, iż ktoś umierający na mnie czeka. Wtedy poczciwy ten człowiek kazał zaprząc do dorożki pocztowej dwa konie, dał mi pocztyliona, okrył mnie swoim starym płaszczem, bo zrywała się burza i, ufając mojemu słowu, puścił mnie czarną, jak dziegieć, nocą do Hof. Droga od samego diabła, po górach i lasach, bez szosy, wśród ciemności tak grubych, że można by krajać je nożem. Do tego wiatr prawie mroźny, deszcz, niespokojności, głód i ból w oczach nieznośny. Jedziemy, jedziemy krok za krokiem dobre trzy godziny; około dwunastej w nocy dostajemy się do szosy, pocztylion zaczyna ruszać, pewny swego. W największym pędzie,

[174]*Sternberg — Hof — Lubnik — Neisse* — w tym miejscu w źródle znajduje się rysunek, na którym od nazwy *Sternberg* wiedzie ku dołowi kreska do podstawy trójkąta o wierzchołku również skierowanym w dół; u podstawy po lewej stronie jest umieszczone nazwa *Hof*, po prawej *Lubnik*, zaś u wierzchołka *Neisse*. [przypis edytorski]

nic nie mogąc rozpoznać, zjeżdża w rów głęboki i jedną razą czuję, bo nie widzę, czuję, że mnie diabły jakieś przewracają; padam szczęściem na krzyże, nie na głowę, ale okropnie, bo na kamień, a kolaska w drobne kawałki. Zrazum myślał, żem na dwoje przełamany, wygrabuję się spod szczątków dorożki, staję na nogi; wtem jak iskry zaczną mi się sypać przed oczy, potem sino i blado się robić, słowa ani wymówić, i padłem zemdlony, jak długi. Pocztylion, także w głowę i ramię mocno stłuczony, ocucił mnie. Porwałem się, słabość przeszła. Rozśmiałem się i, konie wyprzęgnąwszy od ruin kolaski, piechotą walimy do Hof. Na poczcie dowiadujem się, że Danielewicz wrócił do Sternberg. Wtedy mnie już rozpacz wzięła, bo przeczuwałem, że stamtąd do Lubnika pojedzie, a ja w Hof. Zaraz jednak sztafetę wyprawiłem do Sternberg, i teraz mi łacniej szło, bo byli widzieli mój powóz, a zatem pewni byli zapłaty; i poszedłem do lichej austerii, gdzie, wypaliwszy fajkę knastru, wziętego od hausknechta, zasnąłem. Nazajutrz rano Danielewicz, jadąc o trzeciej do Lubnika, z moją sztafetą się spotkał i pospieszył do Hof. Możesz sobie wyobrazić, jak był niespokojny, a jak się uradował, zastawszy mnie w łóżku w austerii. Choć mocno rozbolały, zaraz puściłem się w drogę. O dziesiątej w nocy byłem na granicy pruskiej, gdzie niemiłosiernie nas przetrzęśli i, cukierki Wąsowiczów za kontrabandę uważając, kazali cło płacić, równie jak za wiele innych rzeczy. Do Nissy przyjechaliśmy o czwartej z rana wczoraj, potem cały dzień jechaliśmy drogami najgorszemi, a o czwartej z rana dziś stanęliśmy w Salzbrunn.

Mój drogi Adamie! Całąm drogę myślał o Tobie i tęsknił za Tobą. Kiedyż się zobaczymy? Liczyłem dnia godziny i chwile wieczoru, domyślając się, co robisz i gdzie jesteś o każdej z nich. Uściskaj ode mnie serdecznie Generała i podziękuj mu jeszcze raz ode mnie za jego dobroć i przyjaźń[175]. Księżnie stopy ucałuj ode mnie, a teraz do jutra bo mnie oczy mocno bolą!

20 maja. Wczoraj wieczorem poszliśmy z Konstantym do Fürstenstein, zamku starego, o milę stąd. Przystęp doń okolony gęstym, głuchym borem, przypominającym okolice, które zwykle opisuje Jean Paul. Nagle stajesz nad głębokim, przepaścistym jarem, w dole strumień huczy, boki spadziste, nastrzępione jodłami; pośrodku jaru wznosi się opoka, równie odległa od obu brzegów, na niej gniazdo arystokratyczne grafów Hochbergów, zachowane w całości, zewnątrz i wewnątrz. Wejdziesz bramą na dziedziniec, tam mury ostrołukami podparte, na kształt nerońskich gmachów: z jednej strony sam zamek mieszkalny z wieżą, z drugiej wieża więzień, połączona ze skrzydłem pierwszem arkadami, a od czwartej strony mały mur tylko, nad przepaścią, i widok na jar, na bory, dalej na wzgórza, dalej na góry Czech. W zamku wszystko, jak 1500-go roku było. Ciasne ale poważne komory, wszędzie gobeliny, kantorki, wykładane szyldkretem i weneckiemi zwierciadły, ogromne krzesła, obite robotą, tkaną dłoniami pań średnich wieków, pań zadumanych, samotnych, bo mąż lub ojciec gdzieś daleko walczy, chyba paź młodziuchny siądzie na stołeczku u stóp haftującej i powiastką ją rozweseli. Pokój sypialny, szerokie łoże za kotarą srebrną, okropnie ponuro; tam znać nie kije, ale ostrza puginałów po rękojeść w serce brali kochankowie. Po korytarzach pełno obrazów zblakłych, blade twarze niewiast i mężczyzn; muszą one o zmierzchu odrywać się od płócien i wlec się po zamku, dopóki kur nie zapieje. I ujrzałem tam obraz Leopolda cesarza: siedzi Niemiec na tronie, tłoczy stopami nagiego Turka, w głębi Minerwa i stoustna Fama, lecz nigdzie Sobieskiego nie widać. Już w XVII wieku, znać, sprawiedliwość umiano wyrządzać Polakom. Wdali schody i schodki, zawroty i podziemne przechody, któremi niewidzialno z zamku do lasu można uchodzić.

Ze szczytu wieży więzień, nad kaplicą, widok ogromny, cudnej piękności. Jar stamtąd, już szczerą otchłanią się wydając, ciągnie ciebie: rad byś rzucił się w jego głębiny. Co tylko zajrzysz okiem, czy lasy, czy wsie, czy góry, czy pola, wszystko do pana zamku należy. Okrągłe ramy z gór sinych opasują ten obraz. Widać niedaleko za gęstwiną nowy zamek Fürstenstein, stawiany w XVIII wieku, podłej architektury w porównaniu z gotycką starego, przeznaczony na mieszkanie cesarza rosyjskiego. I stojąc na szczycie tej wieży, o Adamie, wpadłem w głęboką, w nieskończoną smętność. Żal mi było upłynionych wieków, żal tych ludzi, okutych w żelazne zbroje. Oni mieli wysokie pojęcie piękności, na wzór orłów obierali sobie szczyty na mieszkania. Wzrok ich zasięgał dale-

[175] *Uściskaj ode mnie serdecznie Generała (…)* — jenerała Wąsowicza. [przypis redakcyjny]

ko, a każdy, patrząc na poddane ziemie, mógł pomyśleć, że przed tysiącem lat przodek jego, o takiej samej wieczornej godzinie, z równą dumą, spoglądał z tego samego miejsca na tę samą okolicę. Myśl ich nabożnie zwraca się ku niebu; arkadami wiązali swe dumy w sklepienia, w westchnienia ku lepszemu światu, a na tym dokazywali orężnie i dziarsko, lekcy w ciężkich pancerzach. Zazdroszczę im, zazdroszczę! Wiem i wierzę, że świat, że ludzkość musiała się wydobyć spod tych mostów zwodzonych, musiała się rozsypać i ziemię pokrajać na małe zagony, by kiedyś każdy był wolny i pełen godności; ale, kiedy cała godność tysiąców skupiała się w jednego wodza, jakżeż ten wódz mógł być wielkim i dumnym! Dziś tego już być nie może. O, daj mi kochankę w takiem ustroniu, w takim zamku, niech choć jedną noc z nią przebędę w tych komnatach gotyckich, niech od wieczora do ranku marzę, iż jestem częścią przeszłości, a nie teraźniejszej doli poddanym, niech ona będzie panią zamku tego przez całą noc jedną tylko, a nazajutrz puszczę się z mężniejszem sercem tam, gdzie iść muszę, tam, gdzie ja sługą będę!

Patrz, jak zamarzyć się może dusza, jak śnić na przekór rzeczywistości! Boże! Pewno, wiele cierpień spłynęło na mnie z powodu wijących się ciągle mar w wyobraźni mojej, ale też nieraz wśród tych widziadeł doznałem szczęścia. Wczoraj, Adamie, mimo niespokojność, mimo tęsknotę, panowałem z tej wieży całej dolinie: mój surdut w kolczugę się przedzierzgał, nie kapelusz, ale hełm przytykał mi do skroni, i patrzałem na drogę daleką, kędy jechać ma ona, i zapraszałem ją do tego zamku. Działo się to wszystko 1500-go r. Dziś znów, 20 maja 1838, deszcz pada, w bilard gram z Danielewiczem. Przyznaj, żem długą drogę przebył od wczoraj wieczór; ślad jej zapisuję tutaj w Twojej pamięci.

21 maja. Danielewicz się wścieka, widząc mnie smutnym. Gram z nim cały dzień w bilard i szachy. Jemy pruskie gołąbki i mizerię i bez smażony. Monarchia pruska daleko niżej stoi od Austrii pod względem kuchennym. W Austrii lud daleko lepszy i powolniejszy, grzeczniejszy. Tutaj landwera każdego golibrodę przemieniła w bohatera, każden wieśniak nosi furażerkę wojskową, a kiedy pytasz go się o drogę, dalibóg, wielkie szczęście, jeśli ci raczy odpowiedzieć: są to duchowi Moskale. Fałszywem jest wyobrażenie, rozsiane w Europie, jakoby w Prusiech nie wolno było palić tytoniu po wsiach i miastach; wszyscy chodzą z fajkami. Dzieci jedne tylko wieczorem mówią ci *Gut Abend*, a czasem kobiety, zresztą mężczyźni inni, przechodzą w milczeniu wojskowem, na formę Blüchera starając się wyprężyć. Nad każdym bilardem Fryderyk Wielki na koniu. Wolę Madonny we Włoszech. Wszędzie źle na tym świecie, osobliwie dla Żydów i dla nas.

Żyd, Polak, Obraz świata

144. DO ADAMA POTOCKIEGO

Opinogóra, 12 czerwca 1838

Drogi Adasiu! Dzięki Ci za list Twój i za przysłanie dwóch drugich — odebrałem je nazajutrz mojego do kraju powrotu. Dzięki Ci i raz jeszcze dzięki.

Sądząc z słów Twoich, widzę, że się męczysz, żądzom daremnym na pastwę oddany. Radą żadną, jedno współczuciem służyć Ci mogę — jedno żałować z głębi serca, że przetrawisz na próżno wiele sił, które mógłbyś w innym kierunku użyć, jedno prosić Boga, by odwrócił od Ciebie pragnienie tego, czemu stać się nie może zadość; oto masz zdanie rozsądku. Teraz, gdy zapytasz się serca mego, powiem Ci, że czuję wszystko, co Ty czuć musisz, bo może zdarzyło mi się tak samo, jak Tobie, żądać ze wszystkich sił chmur odległych, co miały roztopić się w powietrzu, a nie spocząć na piersiach moich. Wiem, jakie wtedy pustynie wydrążają się w duszy, jaką smętną gorycz zostawia w puściźnie po sobie gwałtowna namiętność; wiem, że miłość do kobiety niejednego zabiła u wstępu do życia, tak, że później już nic innego równie kochać nie mógł. Lecz to losem Twoim nie będzie — być nie powinno: pamiętaj o matce Twojej! Do niej najświętsze wiążą Cię powinności.

Miłość, którąś jej winien powinna wszystkie inne pochłonąć. Jej szczęście Twoim najpiękniejszym celem. Jeśli jej nie ujrzysz szczęśliwą, śmiej się z wszystkich darów, któremi niebo Cię osypało, śmiej się — bo sam nigdy nie doznasz, co szczęście! Dopókim był z Tobą dopókim co dzień mógł spojrzeć Ci w oczy i cieszyć się z ognia szlachetności, który w nich pałał, czasami tylko o Twoją lękałem się przyszłość. Ileś razy przemówił szczerze, ileś razy ścisnął mnie za rękę, strach mnie opuszczał. Teraz daleki jestem, teraz

nie mogę już śledzić co chwila Twoich myśli, ni wiedzieć, jakie osoby lub okoliczności Cię otoczą, i teraz nieraz myślę o Tobie z głębokim smutkiem. Wiesz, wiesz, że Cię kocham i taką miłością, co życzy Tobie tego, co najpiękniejszem jest na ziemi: dzielności i cnoty! Masz wszystkie jej zarody. Bóg Ci włożył w piersi najdroższy klejnot: szlachetne serce — nie popsuj dzieła boskiego, nie zapominaj nigdy o tej prawdzie, nie mojej, ale *samej swojej*, że obowiązek jest najwyższą moralną ideą! Wszystko reszta podległe zepsuciu i odczarowaniu. Obowiązek jeden tylko nosi na sobie cechę wspólną z Bogiem; jest nieodmiennym wszędzie i zawsze, jest wiecznym; przez pojęcie jego duchem już dostajesz się do okręgów wyższych, niż nasze ziemskie nędze, ale przez dokonanie jego sprowadzasz niebo na ziemię na wzór Chrystusa, przymuszasz Boga, by się stał w Tobie człowiekiem. W każdej chwili dopełnienia jego w boską przyoblekasz się naturę. Otóż, drogi mój, czegóż Ci świętszego życzyć może przyjaciel, jak żebyś bosko myślał, czuł i działał? Czyż nie kocham Ciebie wszelką piersią moją, kiedy przenoszę ducha Twego piękność nad marne ciała Twego rozkosze, zyski lub korzyści?

Lecz i w duchu Twoim mogą być zawady, postawione najwyższemu celowi życia Twojego — mogą być przestrzenie promienne na wzór zórz wschodzących, które zawisną Ci nad sercem i umizgać się będą do Ciebie i nęcić wszystkie uniesienia Twoje ułudą piękności. Niezawodnie te przestrzenie są piękne, rajskie, boskie także, ale tyczą się egoizmu Twego. Gdyby nie było innych obok nich szczerze radziłbym Ci, byś rzucił się na ich fale i popłynął w nieskończoność snów i marzeń. Lecz wiesz, że inne czekają na Ciebie. Powtarzam raz jeszcze: Ty wiesz, że masz matkę; poświęć jej ten pożar, wrzący w duszy Twojej, bo inaczej on za wcześnie Cię zniszczy, a kiedy matka później zażąda od Ciebie pomocy, podpory, Ty sam będziesz takiej potrzebował.

Nie mówiłbym Ci tego, gdyby uskutecznieniu Twoich żądz jakikolwiek środek można upatrzyć. Owszem, wtedy bym pierwszy chciał zaprowadzić Cię do ołtarza.

Szczęście takowe potroiłoby Twoje siły, ale nieszczęśliwa miłość w popiół je rozwieje lub na złe skieruje — nie dręcz się, nie męcz! Dość mąk czeka na Ciebie — pchasz się sztyletem, a nie stanie Ci krwi; przyjdzie ją wylewać z ran, przez zewnętrzne dłonie zadanych. Usłuchaj głosu mojego — on nigdy Cię nie zdradzi, on Ci wiernym będzie do końca. Pisz do mnie często, pisz każdą myśl i każdą boleść; choć daleki, będę ja wtenczas przy Tobie i, czując, co czujesz, będę miał prawo wymagać od Ciebie, byś choć na chwilę pomyślał to, co ja myślę.

Daj rękę! Ty masz przyjaciela!

Lepsza to może dola, niźli mieć kochankę.

Frusia[176] uściskaj ode mnie, proś go, by przypomniał matce to, co mi przyobiecał. Reytera[177] poczciwego równie uściskaj p. Galetowi[178] tysiąc ukłonów. Pułkownika[179] dziesięć razy uściskaj ode mnie. Matce Twojej złóż moje najgłębsze uszanowania i powiedz jej, że ją proszę o jeszcze jeden pacierz — niech mi go rzuci, jak ubogiemu jałmużnę na drogę życia. O, potrzeba mi takiej!

Cóż porabiacie? Często bijecie się na szpady i na szpadrony? A wtedy wspominacież o mnie? Jeśli przyjmiesz radę moją względem nauk, to prosić Cię będę, byś przykładał się szczerzej do historii powszechnej. Wszystka mądrość ludzka zawarta w historii. Wszystkie przeznaczenia rodu ludzkiego odbijają się w niej, jak słoneczna jasność w płynącym potoku. Tam myśl Boga o ludziach i myśl ludzi o Bogu połączone razem. Przeczytaj, proszę Cię, *Historię* Micheleta, francuską i rzymską. Przeczytaj kawałki historyczne i literackie Szyllera. Jeśli będziesz miał czas po temu, weź także Herdera *Idee o filozofii historii*, a świat ogromny roztworzy się przed Tobą i może nieco ukołysze wzburzone fale, spienione podrzuty serca Twego.

Pisz zawsze do mnie: *à Varsovie*; gdziekolwiek będę, list Twój mnie takim sposobem dojdzie: *Varsovie, Palais Krasiński — F-bourg de Cracovie*. Co do mnie, chory jestem — oczy mi się znacznie pogorszyły. Szanuj zdrowie — zdrowie jest to dla ducha to samo, co doskonałe narzędzie muzyczne dla kompozytora. Jeśli struny się rozwiążą, popękają klawisze, kto światu objawi myśl mistrza? Arcydzieło zostanie wśród wiecznej nocy, po-

[176] *Fruś* — stryjeczny brat Adama, Alfred Potocki, późniejszy namiestnik Galicji. [przypis redakcyjny]
[177] *Reyter* — profesor matematyki. [przypis redakcyjny]
[178] *Galet* — Francuz, guwerner Adama i Alfreda Potockich. [przypis redakcyjny]
[179] *pułkownik* — Adam Sołtan. [przypis redakcyjny]

grzebane we wnętrzach niedostępnych i ludziom nie zda się na nic. Teraz bądź mi zdrów, bądź mi spokojniejszy! Kiedy zaś napadną Cię burze duszy, siadaj, bierz pióro, posyłaj mi je. Ja je przyjmę, jak siostry... O ile zdołam, rozświeciwszy je promieniem lepszej nadziei, Tobie odeślę.

Zygmunt Krasiński

145. DO ADAMA POTOCKIEGO

Warszawa, 1838, 4 lipca

Drogi Adasiu!

List Twój z d. 26 czerwca wczoraj odebrałem. Jesteś ciągle w tym samym stanie umysłu, żresz się i palisz i, choć Ci to ból sprawia, ten ból lubisz; Ty może byś nie chciał się zgodzić na jego ustanie. Taką jest natura serca bardzo młodego, pełnego sił niestrawionych jeszcze, że pragnie nade wszystko bić gwałtownie, a mniejsza mu o to, czy z rozkoszy, czy z cierpienia. Zwykle dziwny popęd czują młodociane dusze do smętku, do obrazów rozpaczy i burz, miotających życiem, bo w takich położeniach zachodzi wielka działalność, nadzwyczajne tarcie. Jednem słowem Ty może bardziej żyć pragniesz, niż ją kochasz — ale inaczej być nie może. Ja taką uwagę zdołam uczynić o Tobie. Ty mi tej prawdy nie przyznasz, chyba kiedyś później. Jednak z tych słów nie wnoś mylnie, że ja wątpię o Twojej miłości; wcale nie — sądzę tylko, że sam siebie łudzisz. Teraz ją zobaczysz. Cóż z tego będzie? Widok jej zapewne doprowadzi Cię do najwyższego szczebla namiętności i cierpienia, a, kiedy się ona oddali, zostanie tęsknota gorsza, niż wszystkie uniesienia, niemoc niechcenia, pewien rodzaj lenistwa do wszystkiego, niebezpieczny strasznie dla duszy takiej, jak Twoja, która właśnie teraz winna roztworzyć się, jak kwiat, i zewsząd pożywne soki ściągać do swojego kielicha. Ona ma tędy przejeżdżać, gotowe są dla jej matki pokoje, może ją zobaczę — ale nie, ja sam, chcąc, byś był spokojniejszy, wpadam w dzieciństwo. Czegóż Ty się możesz spodziewać? Kto wie, gdyby dzisiaj jaki anioł cudowny zleciał z niebios i wziął Cię za rękę i zaprowadził do kaplicy fantastycznej, gdzie by ona już przed ołtarzem czekała na Ciebie, kto wie, jeszcze raz mówię, czybyś się nie cofnął w głębokiem przekonaniu, że nie na to roztwiera się życie przed Tobą, byś je u samego wstępu zamykał. Zresztą, raz podobno Ci mówiłem, że możesz niezmiernie uszlachetnić i na rzeczywiste uczucie zamienić tę zmorę, która Cię trapi, a to przejęciem się myślą i wolą strzeżenia jej moralnie, opiekowania się moralnie losami jej całego życia, w jakiekolwiek położenie wprowadzi ją przeznaczenie. Zamień kochankę na siostrę, a będziesz spokojny i nie zaprzestaniesz kochać. Tylko Twoja miłość czystą będzie zupełnie. Jam nigdy siostry nie miał, ale myślę, że piękniejszego stosunku nie ma na ziemi od tego, co zachodzi między bratem a siostrą. Myślę, że taka miłość jest wyższym ideałem, niż wszystkie inne, do których zwykle mieszają się ułudy zmysłów lub fałsze rozumu.

Zaprawdę Ci mówię, że będziesz jeszcze kochał, będziesz, o, będziesz — i, kochając, sprawisz nieszczęście tej, którą ukochasz; bo zwykle ludzie podobnego charakteru do Twego, miasto szczęścia, przynoszą żałobę w progi tej, którą ukochali. Nigdym nie widział, nie słyszał o namiętnych miłościach, którym by błoga gwiazda świeciła. Jej uskąp takowych darów — jej przeznacz to, co masz najlepszego w sobie. Daj jej przyjaźń męską, trwałą, poważną, a tysiąc okoliczności nasunie się w ciągu życia, w których będziesz mógł zostać czemsiś piękniejszem, niż jej kochankiem lub mężem — jej aniołem stróżem.

Mój drogi, pragnę z serca, byś lepszych doznał kolei ode mnie. Życzę Tobie, byś zachował wszystko, com ja stracił. Dlatego tak usilnie się staram odwrócić Twoją duszę od zgubnego kierunku, na którym może ona spotkać się z boskiemi chwilami, ale też niezawodnie w końcu z obszarem głuchych ciemności. Chciałbym Cię jak najprędzej ujrzeć mężem (*vir*), to jest człowiekiem potężnej woli, świętych i rozumnych celów, zdolnym do przetwarzania się w sobie samym na coraz wyższą skalę, przekonanym, iż wszystko na świecie ustąpić powinno idei powinności. Do takiego stanowiska niepodobna może dojść bez walk rozdzierających i długich, bez krwawych doświadczeń. Otóż moim snem o Tobie jest, żebyś od razu osiągł wysokiej godności człowieka, a nie przechodził przez nędze

i troski, któremi ocierniona droga, wiodąca do niej. To snem nazywam, bo to prawie niepodobnem jest nawet do przypuszczenia, ale darujesz mi go, bo to sen przyjaciela.

Proszę Cię, dostań sobie dzieł następujących i przeczytaj je: Herdera *Ideen* po niemiecku; *Conquite de l'Angleterre par les Normands par* Thierry; Micheleta wszystkie dzieła, a szczególnie *Histoire de France* i *Histoire Moderne*; *Cours d'Histoire de France par* Guizot; *Discours sur l'Histoire Romaine et les barbares* p. Chateaubriand; *De la grandeur et décadence des Romains* p. Montesquieu; *De la démocratie américaine* par Tocqueville — a jeszcze jaśniej stanie przed Twoją myślą obraz ogromny przeznaczeń ludzkich, prowadzonych opatrzności rozumem do dalekiego celu dobra i piękności. Tam się przekonasz, iż wszystko zrazu wydaje się przypadkiem, ślepym trafem, złem, ironią, podłością, lecz z tego chaosu stopniami wydobywa się porządek i świątobliwe przeczucie dobrego — wreszcie dojdziesz do tej prawdy, iż wszystko dzieje się duchem, przez duch i w duchu, że materia jest raczej złudzeniem, że złe na tym świecie jest najokropniejszym fałszem i że tylko dobre, sprawiedliwe i piękne jest rzeczywistością, coraz bardziej podrastającą i wzmagającą się. Wtedy padniesz na kolana i podziękujesz Bogu za tę pewność, Jego palcem wyrytą na kartach historii. Historia jest sumą wszystkich działań ducha ludzkiego, z której się wykazuje, że to, co Bóg myśli na szczytach niebios, to samo ludzie pomyśleć, pojąć i uskutecznić muszą na ziemskim padole.

Każdy z nas jest obrazem Boga na ziemi. Od lat tysiąców to Pismo św. wyrzekło, po lat tysiącach to samo z doświadczenia historii wypada. Biada tylko temu, kto ten obraz psuje lub niszczy w sobie. On przestaje być rzeczywistością, staje się marnym cieniem, staje się nicością.

Kiedy dojdziesz do przeświadczenia się gruntownego o tem, co twierdzę tutaj, nabędziesz wewnętrznego pokoju i zewnętrznej powagi. Staraj się więc jak najrychlej własną myślą przeniknąć te głębie. Bądź mi nurkiem, co rzuca się w morze trudu, by perłę wydobyć. Wiem, że od tej drogi niepodobna, byś tysiąc razy nie odskoczył, nie zboczył, nie zbłądził na stronę — ale przynajmniej pamiętaj, gdzie droga leży, by świat nie został pustynią nieodgadnioną dla Ciebie.

Wierz mi, że Ci dobrze radzę — a teraz Cię ściskam z całego serca. Pisz do mnie, kiedy Ci tego potrzeba i ile razy Ci tego potrzeba.

Z. K.

Matce Twojej najgłębsze moje uszanowanie. Frusia ściskam i Galetowi kłaniam. Pułkownika ściskam. Zdrowie moje źle idzie — osobliwie oczy — trudno mi długo pisać lub czytać.

11 lipca

Do 11 lipca ten list leżał w moim stoliku, bo chciałem Ci coś o niej donieść.

Widziałem ją[180] kilka razy i dość długo za każdym razem, a choć nie mówiłem z nią, bo wiesz, że z pannami nigdy nie rozmawiam, przekonany jestem, że musi być bardzo dobra i słodka. Niezaprzeczenie także i piękną jest; pełna do tego prostoty i niewymuszoności, czem o całe niebo przeważa nad „boską" Julią[181]. Jej siostra wydała mi się piękniejszą — najśliczniejsza zaś ze wszystkich jest maleńka[182] — oto żona dla Ciebie w przyszłości. Zachowaj się dla niej; przenieś od dorosłej miłość swoją do dziecka, które niezadługo podbieży w górę i stanie na równi z Tobą wtedy, kiedy będziesz panem wyboru i działania. Jeśli późniejsze rozwinięcie jej wdzięków nie zaćmi, będzie to anioł, nie kobieta. Sama pani, której starałem się dać wysokie o Tobie wyobrażenie, mówiła mi, że jedzie teraz do Karlsbadu, a potem do Toeplitz. Wspominała też o Maurycym z wielkiemi pochwałami, na co jej tak powiedziałem: „*La différence, qui existe entre Maurice et Adaś est que Maurice*

[180] *Widziałem ją* — mowa o Elżbiecie Branickiej, późniejszej żonie poety. [przypis redakcyjny]

[181] *przeważa nad „boską" Julią* — Julia Potocka, córka Alfreda i Józefy z Czartoryskich Potockich, później księżna Lichtenstein. [przypis redakcyjny]

[182] *najśliczniejsza zaś ze wszystkich jest maleńka* — Katarzyna Branicka, późniejsza żona Adama Potockiego. [przypis redakcyjny]

est un homme, qui est enfant, et Adaś un enfant, qui est homme[183]". Ale nie myślę, by moje słowa wiele ważyły u niej. Teraz bądź zdrów i napisz do mnie. Jutro wyjeżdżam stąd na wieś — i daj Boże, bym tu nigdy nie wrócił.

Zyg.

146. DO ADAMA SOŁTANA

Gdańsk, 12 sierpnia 1838

Przyjechałem tu wczoraj, a jutro wyjeżdżam na powrót do domu. Interesa mojego folwarku pruskiego[184], wymagały przysięgi. Odebrałem Twój list ostatni. Dzięki Bogu, że Colonnelo i Chevalier już przybył. Swatać mnie chcesz z jego córką. O, mój Adamie, to słowo „swaty" brzmi w moich uszach na podobieństwo tego drugiego: pogrzeb. Nie możesz sobie wyobrazić do jakiego stopnia rozdrażnienia doszedłem pod tym względem, jakie życie moje codzienne w domu, jak czuję, że zabijam mojego ojca i jak nawzajem sam zabijany jestem. Stałem się uosobioną troską i tęsknotą. Chory jestem na umyśle, na sercu być może, nie przeczę, sam to czuję; ale ta choroba z najlepszych sił mnie ogołaca, ssie mnie na kształt raka i w tęsknotę niczem nieskończoną pogrąża, a leczyć się nie potrafię. Zresztą, mój Adamie, jestem z tego gatunku ludzi, którzy dostali przenikliwy wzrok na wszystko co czarne i smutne. Coraz bardziej ogarnia mnie smutek, coraz bardziej przekonywam się o prawdzie słów moich, do księżnej pisanych, że prócz Boga nie ma podpory ni nadziei na wszechświecie.

Teraz wracam do domu, za dziesięć dni pojadę do Litwy, potem nie wiem, jak się obrócę. Zresztą wszystko mi jedno, w chacie czy w pałacu zawsze będę chory, do niczego niezdatny; przeklęte oczy moje, które mi nigdy nie dozwolą żyć na zewnątrz, jedno wewnątrz gryźć się i męczyć przymuszają.

Pisz rzadko, Adamie, bo ledwo mogę czytać pismo czyje, bo ledwo sam pisać mogę. Zdaje mi się czasem, że jakaś nieskończona ciemność zaczyna się roztaczać koło mnie, że tysiąc tysięcy pająków wiją nici cieniutkie, a jednak widnokrąg od nich ciemnieje; czasem znowu duże plamy czarne, czerwone, żółte, jak chmury, płyną koło skroni moich; oganiam się, ale to mało pomaga.

13 sierpnia. Zdaje mi się, że jest prawem stworzenia, iżby człowiek coraz bardziej smętniał, im dalej postępuje w życie. Zrazu tęcze się snują, przewodniczki nadziei, potem prysną, zwodnice, i, coś mienił światłem, w deszcz się przetwarza; później i deszczu już nie znajdziesz nigdzie, choćbyś kropli jego rad z chustki wycisnąć i nimi usta odwilżyć, będzie pogoda szara, sucha, pod nogami piasek, mgła nad głową, i w mgle utoniesz na wieki.

Gdańsk, miasto stare, piękne, gdzieniegdzie podobne do Wenecji. Nikogo tu nie znam, chodzę po ulicach, a nieznośnie mi ciężko, tęskno, niedobrze; w rzeczy samej schorzały jestem. *Addio*, mój drogi. Córce Twojej mnie przypomnij. Montlearowej moje uszanowanie. *Addio*, *addio*.

Twój

Konstanty Cię ściska. O Sylwanie ani słychu, nie wiem, gdzie przepadł.

147. DO E[DWARDA] JAROSZYŃSKIEGO

Opinogóra, dnia 27 aug[usta] 1838 r.

Drogi Edwardzie!

[183] *La différence, qui existe entre Maurice et Adaś est que Maurice est un homme, qui est enfant, et Adaś un enfant, qui est homme* (fr.) — Różnica, istniejąca między Maurycym i Adasiem, jest ta, że Maurycy jest mężczyzną, który jest dzieckiem, a Adaś dzieckiem, które jest mężczyzną. [przypis redakcyjny]

[184] *interesa mojego folwarku pruskiego* — Kleszczewka pod Gdańskiem. [przypis redakcyjny]

Pisałem raz do Ciebie zaraz za przyjazdem do kraju, drugi raz w trzy tygodnie później, trzeci raz pokrótce, zapraszając cię do Knyszyna na początku septembra; ale teraz już tam nie pojadę, z ojcem podobno niedługo do Włoch wyruszę. Przesłałem Ci wreszcie pierścionek, który niegdyś do Rajeckiego należał, przez p. Proskurę. Na to wszystko żadnej, a żadnej odpowiedzi od Ciebie nie mam. Nie wiem co myśleć, co przypuszczać? Listy moje pod kopertą siostry Twojej powierzone... w Brodach, zdaje się, iż przepaść nie powinny były. Możeś Ty mnie odpisał przez poczty krajowe, nie przez Galicję i list Twój gdzieś się zawieruszył, lub dopiero 1839 roku mnie dojdzie. Moje listy zawierały dużo rzeczy, na które, że nie mam odpowiedzi Twoich, niezmiernie mi przykro i tęskno, że tak powiem.

Była tam i ciągła prośba moja do Ciebie, którą Cię zaklinałem, byś czuwał nad nią, i, jeśli jej położenie kiedykolwiek wymagać będzie, nadbiegł jej na pomoc, a mnie zaraz o tem uwiadomił.

Donieś mi też, co się z nią dzieje, co mąż robi, w jakim ona stanie umysłu, bo zupełnie przerwane są między nami komunikacje; a co dzień czuję, jakby przekleństwo, wiszące mi nad głową za to żem dowiódł ją do nieszczęścia. Ona i ja będziem tego znamię całe życie nosili. Raz jeszcze polecam ci ją — powierzam ci ją! Ty się nie domyślisz może nigdy, ile goryczy jest dla mnie w tych słowach, jednak tak szczerych, tak pełnych wiary w Ciebie które tu piszę.

Na miłość Boga mi odpowiedz! Na miłość Boga Cię proszę, a pisz do Warszawy! Choćbym już był wyjechał zagranicę, to mi list twój prześlą, a z miasta pierwszego, w którem się zatrzymamy, doniosę Ci, gdzie nadal masz mnie szukać.

Bądź zdrów i spokojniejszy, i szczęśliwszy ode mnie, na coś zasłużył — bo i lepszy jesteś. Twój

Zygmunt.

148. DO ADAMA SOŁTANA

Linz, 9 novembra 1838

Przejeżdżając tak blisko Wiednia a nie mogąc Cię uściskać, niech Cię przynajmniej powitam kilką słowy, niech Ci powiem: „dobry dzień". Coś mi w sercu nad miarę tęskno, żem tak niedaleko od Ciebie, a z Tobą nie będę; z wszystkich sił chciałoby mi się uściskać Ciebie. Wleczemy się diable wolno. Dopiero od dwóch dni zaczęliśmy nocami jechać. Zdrowie mego ojca nieszczególne, a humor także. Oh, dawniej inaczej bywały podróże moje, kiedy serce mi w piersiach biło, jak kopyta koni, i skry takie zeń leciały, i wszędzie w powietrzu rozlany był szał miłości, namiętności, nadziei, zachwycenia. Przeszło — a co przeszło, nie powróci.

Już trąbią na koniu pocztyliony. Bądź zdrów, ściskam Cię z serca, pisz zaraz do Wenecji! Mamy stamtąd do Neapolu jechać na zimę. Powiedz Adasiowi, by do Wenecji napisał także. W kraju coraz gorzej. *Addio*! Kiedy się zobaczym? Oh, mój Adamie, jakbym chciał przycisnąć Cię do piersi.

Twój.

149. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Venezia, 18 novembra 1838

Drogi mój Konstanty! Kiedy wzrokiem, skierowanym ku biegunowi, myślą, pochyloną w stronę zorzy północnej, ścigasz mnie, głos mój nagle z łona mórz adriatyckich się podnosi, i woła na Ciebie z głębi pałacu Giustinianich, przerobionego dziś na Albergo di

Europa[185]. Jeszczem pierwszego tego miesiąca był w kraju. Jazdą dwutygodniową, ciągłą, przerzuciłem się na brzegi, kędy kwitnie róża, pod lepsze niebo, które już nie świeci mi nad twarzą kochanki, ani nad bladem licem przyjaciela, bo Konstanty został się w kraju, myśli się żenić.

Mój Boże. Nie wystawisz sobie, z jaką goryczą na nowo ujrzałem te niegdyś dla mnie tak szczęśliwe wody, te pałace, te gondoły; wszystko to teraz, jak grób, stoi przede mną. O, nie wracaj nigdy do miejsc kędy szczęśliwy byłeś, bo w nich już nie zastaniesz szczęścia dawnego, a one wtedy wydadzą ci się trupem, z którego wyleciała dusza, i mniej jednym, cudnym, rajskim obrazem będziesz miał w pamięci życia twego.

Tam, kędy tęsknota duszy Cię porywała, kędy być przeszłej wiosny tak żądałeś, coraz ciemniej i gorzej. Wierz mi dziękuj opatrzności, żeś znalazł kątek pięknej ziemi, gdzie masz przyjaciół.

Czy czytałeś nowy poemat Słowackiego, *Ahelli*? Piękne to dzieło, z wielką sztuką wypracowane: styl przejrzysty, spokojny, kryształowy, myśl jest prawdziwa. Anhelli, to pokolenie, które przemarnieje w łzach, w boleści, w daremnych żądzach, a umrze dnia, poprzedzającego dzień, w którym te ich żądze dopełnić się mają. Ten Anhelli, taki samotny, taki opuszczony, patrzący na śmierć wszystkich swoich, jest doskonałym symbolem poetycznym naszego przeznaczenia. Naprzód to, co Boga ma w sobie, to, co najwznioślejsze, entuzjazm, prawda, miłość wielkich rzeczy, pod postacią proroka Szamana umiera. Zostaje się jeszcze Anhellemu jakaś osłoda ludzka, pokutnica, siostra Ellenai. Ale człowiek taki nawet pociechy ludzkiej długo mieć przy sobie nie może; umiera i siostra. Ta śmierć jej po mistrzowsku z boską prostotą opisana. Sam już teraz, zupełnie sam Anhelli, bo wszyscy współwygnańcy pozabijali się, zatracili się, zginęli; duszno mu i tęskno. Ostatnią mu towarzyszką został anioł Eloe, stworzony przez Alfreda de Vigny, a przez Słowackiego zagnany na śniegi biegunowe, anioł, urodzony z łzy Chrystusa na Golgocie, anioł litości, co się dał uwieść szatanowi, anioł, co teraz grzebie kości pomarłych na błoniach białych, oświecanych przez zorze północne. Ten anioł drugi raz się urodził w ręku Słowackiego. Anhelli nareszcie, sam, skłoniwszy głowę, ducha oddaje. Aliści, ledwo skonał, pędzi rycerz na koniu, rycerz podobny do zjawisk *Apokalipsy*, wołający piorunowym głosem: „Do broni!". Ale Eloe rzecze mu: „Jedź dalej, Anhelli już umarł, już on mój na zawsze". Taki koniec. Nie znam nic smętniejszego, nic poetyczniej pomyślanego i wykonanego. Trudno było w elegią smętną, a jednak pełną barw moorowskich przetworzyć Sybir; poeta tego dokazał. Jeśliś nie czytał, dostań; jeśliś zaś już miał w ręku to dzieło, powiedz, co myślisz, czy to samo, co ja? Wiem, że po przeczytaniu tego utworu zapadłem jakby w sen magnetyczny i wyśniły mi się wszystkie gwiazdy, wszystkie tęcze, o których tam mowa; gwiazdy i tęcze, nie takie, jak u nas, ale podobne do świateł, nicość oświecających, gdyby można pojąć świat nicości.

Pisz zaraz do Neapolu. Godwinowi kłaniaj się, kontent jestem, że od Clarkiego miał wiadomość[186].

Z.

Możesz na wszelki przypadek do Romy napisać, ale natychmiast, bo tam tylko kilka dni zabawim, a potem do Neapolu.

150. DO E[DWARDA] JAROSZYŃSKIEGO

Neapol, dnia 29 decembra 1838 r.

Mój drogi Edwardzie!

Na tych samych brzegach, z których wsiadałem z Tobą na łódkę, z których patrzałem na okręt parowy, co z Tobą odpływał i żegnał mnie czarnym dymem, gdyby krepą żałoby;

[185] *Albergo di Europa* (wł.) — hotel europejski. [przypis redakcyjny]

[186] *Godwinowi kłaniaj się, kontent jestem, że od Clarkiego miał wiadomość* — przez czas pobytu w kraju Zygmunt Krasiński pisywał listy do Gaszyńskiego po francusku pod adresem „Mr. Godwin" albo „Mr. Toson chez Me. Baume". [przypis redakcyjny]

na tych samych brzegach, gdzieśmy się o donnę Giovaninę[187] i o siostrę Twoją pytali, przedzieleni murem od tego głosu, co nam tak dziwnie odpowiadał, nam stojącym pod obrazem Chrystusa — wczoraj Twój list odebrałem.

Długo on szedł, aż przypielgrzymował do mnie; Konstanty[188] go w Warszawie włożył w list swój i przesłał tutaj.

Kochanek romantyczny

Wszystko, co mówisz, Edwardzie, może być prawdą *objective*, ale nie jest dla mnie *subjective*. Trybunał mojego rozumu nie może się zebrać i wyroki głosić za mną, tam, gdzie sam przewiniłem: on tylko umie mnie potępić i przebłagalnych domagać się ofiar. Ty nie wiesz, co to pamięć kochanej, połączona z wyrzutami, co to jej głos cichy, we wnętrzu duszy szepczący. Jak tylko ludzie zasną dokoła, a ty nie możesz zasnąć, bo i kochasz i lękasz się tego głosu zarazem, i rad byś go zatrzymać, by przez wieki mówił do ciebie, i chciałbyś go odegnać, by pokoju ducha dostąpić... A potem, gdybym choć marzyć mógł, choć oszukać siebie, choć przypuszczać, że się coś dobrego i świętego ze mnie w niej zostało, że ona uwierzyła światom ducha, które jej objawić pragnąłem... Ale nie! Ja myślę, i to mnie nęka, że ona w nadziejach zawiedziona, na szczęściu otruta, teraz przeklina mnie i złorzeczy wszystkiemu, czem ją natchnąć chciałem, czem przez czas jakiś natchniętą była. I dlatego, że to natchnienie widomego kształtu nie przybrało, ona o jego idei samej źle trzyma, ona w goryczy serca zaprzecza moim myślom, dlatego, że moje czyny im dorównać nie mogły, że moje indywiduum oddzielone od niej. Bo dusza niewieścia tem różni się od męskiej, że dopiero przez objawienie prawdy prawdę pojmuje, ale nigdy *a priori*. One wszystkie podobne Tomaszowi, co ran potrzebował się dotknąć palcem, by sercem uwierzyć w Zmartwychwstanie Pańskie, i dlatego też one są pięknością na ziemi, bo same są prawdą, wydaną zarysami materii, owianą welonem zmysłowości! A to zlanie się melodyjne ducha z ciałem, to zjednoczenie się, to pojednanie się dwóch na pozór sprzecznych pierwiastków, duszę nam potopem ognia zalewa i unosi nas szałem! W mężu nie ma tego tak ścisłego połączenia, zidentyfikowania; duch zawsze górą się trzyma. On panuje i trzyma w poddaństwie ciało — jakby pewną pogardę objawia ku ciału; stąd mniej piękny, mniej prześliczny, ale wielki i spokojniejszy.

Mojej winy nikt względem niej ocenić nie zdoła, oprócz mnie samego: przez niesłychane walki dowiodłem ją wreszcie do nieszczęścia. — Ona przewidywała wszystko, co się stało, ona nigdy nie zapomniała o przyszłości, nigdy pokoju szczęścia nie widziałem w niej, nigdy nie wyglądała na równą mi, ale zawsze na moją ofiarę, poświęcającą się, ale z głęboką wiedzą, że się poświęca. Czyż nie było okrucieństwem walczyć z takim wyrazem jej twarzy, z takiem przekonaniem jej rozsądku, a nie zważać nań — czyż nie było najogromniejszem samolubstwem? Wiem i to, że namiętność ma swój świat własny, na który teraz zapatruję się z sfery mojego rozumu, a zatem wierzę wiarą nie swoją, w to coś, które wtedy wrzało we mnie. Wiem i wiele innych rzeczy jeszcze, ale cóż mi to pomoże? Ją kochałem, a teraz ona smutna i cierpiąca; ona bez nadziei jakiejkolwiek przyszłości, będzie jej przekleństwem niezadługo żyjącą każdego jej dnia torturą, to widmo, które mnie ściga. — Daj, Boże, by się moje przeczucia o niej nie spełniły.

Rodzina

Nie ma tragedyj okropniejszych nad te, co się odbywają koło ognisk domowych! Niby cicho, niby dobrze... Zajrzysz do salonu — zgromadzona rodzina cała; na ich twarzach, nie poznasz nic — wyjdziesz z dobrą myślą, westchniesz, tęskniąc za podobnym spokojem i życiem, a ledwoś próg przestąpił, już oni z krzeseł się zerwali, z ich lica zeszła wszelka powszedniość i cisza; najdziksze, najbardziej jadowite kwasy pryskają im z oczów; rozdzierają się słowami gorzej, niż żelazem; jedni przeklinają drugich! Ale z takowych obrazów ten najstraszniejszy, w którym córka przeciwko matce powstaje. *Apage, apage Satanas*[189]!

Otóż kiedy podobne larwy mnie otoczą, i ścisną i dławią, kiedy widzę jej twarz bladą i coraz bledszą, i coraz oczy jej gasnące, i w oddali samotne łoże choroby, samotną śmierć i wyrzucającą matce dzieje przeszłości — córkę; miasto uderzyć ją nożem — wymawiającą moje imię! A to imię odbija się tak żałobnie, tak kamiennie w sercu nieszczęśliwej, i ona sama może doda do niego przekleństwo, lub krzyknie: O, Boże! Czemuś nasłał na mnie tego człowieka! Oh, wtedy, wtedy, wierz mi, piekło staje mi się zrozumiałem,

[187] *donna Giovanina* — Pani Joanna Bobrowa. [przypis redakcyjny]
[188] *Konstanty* — Konstanty Danielewicz. [przypis redakcyjny]
[189] *Apage, apage Satanas!* (łac.) — precz, precz, szatanie. [przypis redakcyjny]

jasnem, widomem, dotykalnem! Na próżno bym z niem się pasował. Ono nie zewnątrz, nie głęboko pode mną, ale głęboko we mnie! Daruj, że się powtarzam, daruj, że Cię może nudzę, bo takie wszystkie uczucia są treścią własnej duszy, ale nie drugich. Koniec więc temu! Ach! Ty bądź zawsze dobrym dla niej (pamiętasz, co Trenta twe wyrzekły: *la sua morte sara dura*, a kiedym się pytał *perche*? — odparły: *perche è giovane, sensibile e affetionato*. Ten dzwon pogrzebny w moich ustach nie przestał nigdy się odzywać).

Życie moje w Neapolu jest dość przykrem: klimat mnie ten zabija. Siedzę, bo ojca nie chcę samego zostawić, a ojcu tu mniej więcej dobrze.

Co do mnie, znam tylko jednych K... Dobrzy ludzie, ale coś suchego w ich domu. Fashion z nich moralne mumie porobił, balsamiczne może, ale wyschłe. Potem życie moje nie może być nie przykrem; ileż razy na dzień, spojrzeniem lub słowem nic nieznaczącem ojciec mi objawia, żem jego nadzieje zniszczył, i że oba samotni jesteśmy na ziemi! Najczęściej wieczór przepędzam u siebie sam jeden; świeca gdzieś za parawanem tleje, myśli moje snują się bez końca, ale nieskończonością goryczy, smutku, wstrętu. Jeśli czasem zjawi się cicha chwila wewnętrzna, twórcza, natchniona, to, cud... cud, który dawniej bywał powszednim chlebem. Już ta natura tak ogromna, tak czysta, tak wdzięczna, nie budzi we mnie braterskich uniesień. Morze darmo huczy i zaprasza — już nie kocham żagli, ni wioseł. — Estetykę Hegla przewracam w dzień, kiedy oczy nie bolą, ale rozum jest kwiatem, który na sercu rośnie; gdy ta rola jego bez rosy ożywnej, on sam zwiędnąć musi! I tak żyję — nie ten, którym bym być powinien, ni ten, którym byłem niegdyś; — będęż innym kiedy? Co we mnie świeżem, niepokalanem zostało, to przyjaźń dla was: dla Konstantego i dla Ciebie! W tem żadnej zmiany, oprócz zmiany wzrostu. Czemuż nie chcesz mi pierścionkowych opowiedzieć dziejów? Kiedyż się zobaczymy, gdzie? Nie odkładaj! Każda chwila stracona już nie wraca! Choć w oddali, żyjmy w spójni ducha! Wynurz wszystko, co składa treść dzisiejszą lub przeszłą Twojego, a jeśli umrę przed czasem, to przynajmniej uniosę z sobą całą duszę przyjaciela.

Zygmunt

Odpisz: Roma, Torlonia.

151. DO ADAMA SOŁTANA

31 decembra 1838, Neapol

W wigilią wyjazdu z Rzymu, przed kratami księżnej Stolnikowej, zapoznałem się z Lubomirskim[190], który właśnie był powrócił z Neapolu. Pierwsze jego pytanie: „Czyś to Pan przysłał od Sołtana heliotropy żonie mojej?" — A moja odpowiedź: „Nie". — „Jak to, Pan teraz w Wiedniu go nie widziałeś?" — „Przez Wiedeń nie jechałem nawet". — To ostatnie go przekonało. Zaczyna mi więc opowiadać, jak przed trzema dniami ktoś wieczorem przyszedł, zostawił, zniknął, etc. etc. mnie, własne moje dzieje. To mnie bawiło. Ostałem się przy mojem incognito. „Kto wie, może sam Sołtan w Rzymie" — powiadam mu. Namyślił się: „Może". Potem: „Ale nie, on w Wiedniu" — i zaraz mnie prosi, bym przyszedł przed odjazdem zapoznać się z żoną. Przystałem. Cały więc wieczór tam przebyłem przez *Corso*, na *via Laurina*, niedaleko od mego mieszkania.

1 stycznia 1839. Rok zaczynam od pisania do Ciebie, by sobie samemu wywróżyć obaczenie się z Tobą w ciągu tych dwunastu miesięcy.

Zapoznałem się z domem Komarów, znasz ich; one mnie mówiły dużo o Tobie. Natalia chora wciąż, nie pokazuje się; Ludmiła tęga postacią i śmiałomówna. Sama matka i domu pani naturalna, uprzejma, ludzka. Już mi wszystkie lampy przysłonili zielonemi umbrelki. Bywam więc co wieczór. Są i kuzynki, i siostry jakieś stare z Podola, są synowie, ogółem ze czternaście osób ten salon zapełnia. Ale wśród nich wszystkich jest dziwna istota, która stoi już za przepaścią, istota, której duszę żywą i silną i prawdziwie wszystkiemi dary, któremi Bóg Polki obdarzył, do najwyższego stopnia obrzuconą, przepsuł Paryż i Londyn, książę d'Orleans, Flahaut, mąż niegodny i próżność *fashionu*[191], najnędzniejsza

Kobieta, Kochanek romantyczny

[190] *Lubomirski* — Kazimierz Lubomirski z Równego. [przypis redakcyjny]
[191] *fashion* (ang.) — moda. [przypis redakcyjny]

z próżności. Mimo to jednak zostały w tej duszy iskry, podobne wybuchom wulkanu, kiedy wspomnienie jakie lub silna boleść je rozdmucha; została żądza długa, namiętna, długa, jak nuta własna, przeciągniona przez doskonałą śpiewaczkę, żądza wyższego stanu rzeczy, piękniejszej sfery dla ducha, spokoju jakiegoś promiennego po tylu i obłędach, i prawdziwych nieszczęściach. Kiedy zaś te iskry gasną lub drzemią, nieznośna to kapryśnica, nie mogąca dwóch słów poważnych wyrzec, potrzebująca śmiać się i żartować, by uniknąć strasznej nudy, która ją toczy; podobna znarowionemu dziecku, źle wychowanej dziewczynce, lub Don Juanowi w spódnicy, który wszystkiego doznał i teraz krzyczy: „Dajcie mi księżyc, chcę skosztować czy z księżyca dobry marcypan, bo na ziemi już nic nie ma". Literatura francuska dzisiejsza zna takie kobiety, cywilizacja dzisiejsza takie płodzi twory; ale w nich jest jakaś nieskończoność bólu, jakaś przyszłość nieodwołalna coraz sroższych cierpień, które mnie przejmują litością. Czy poznasz z tych rysów panią Delfinę Potocką? Nieraz ona mi przypomina... wiesz kogo? Nie wtedy, gdy wpadnie w chwile swoje *buffo*, ale kiedy smutna serio. Tę samą widzę wtedy nieutuloną rozpacz w niej, tę samą nieudolność do uczucia jakiegokolwiek szczęścia — i ta przekwitłość serca wywiera silniejsze wrażenie na mnie, niż świeżość młodociana, niż szczęście, zdrowie, przyszłość, kwitnące razem na panieńskiem licu. Kiedy widzę istotę, której nie potrzeba pociechy, której życie stoi otworem i którą każdy zrozumie, każdy uśmiechem przywita, zdaje mi się, że ona mnie nie potrzebuje, że ona tysiąc ludzi zdatniejszych do podzielenia czy jej dumy, czy jej bogactw, czy piękności, czy niczem niezatrutej duszy znajdzie; nic mnie nie wabi, nie ciągnie do niej; siedząc na uboczu, lubię patrzeć na jej marsz tryumfalny, jak na piękne zjawisko, ale się nie zbliżam: dość mi na tem, że ta sztuka graną jest przed mojemi oczyma. Tak samo nie czuję żadnej żądzy do arcydzieła jakiego sztuki, nie ścisnę ręki Wenerze Medycejskiej, dość mi patrzeć na nią; myśl moja, nie serce wchodzi w stosunek z takim ideałem. Zupełnie przeciwnie się dzieje, gdy na czyjem czole ujrzę ślad żałobny, wyciśniony kolejami życia; wtedy marzy mi się, że moje słowo lub przyjaźń lub ręki uścisk może w tych piersiach obudzić na nowo życie. Co do kobiet mylę się zapewne, bo one zmartwychwstać nie umieją; ale złudzenie jest mocnem i łudzę się. W tem leży to moje stronienie od panien; jest to natury mojej po prostu układem, tak mnie stworzono.

Przez to, com powiedział, proszę Cię nie rozumiej jednak, by cokolwiek innego prócz litości wiązało się mnie do pani Delfiny. Zrazu kłóciliśmy się okropnie, bo szyi nie chciałem zgiąć przed jej zewnętrznym *fashionem*; tak się nawet kłóciliśmy, że ona mnie, ja jej dziwnie przykre powiedziałem rzeczy. Ale dopiero, kiedy ton swój paryski odmieniła i szczerze mówić zaczęła, i ja ton odmieniłem, i teraz co wieczór ona smutno, żałobnie opowiada mi swoje życie moralne, a ja słucham i czasem ją cieszę.

Wezuwy (jak mój Jan zwykł mawiać) dziś o dwunastej w nocy zaczął składać powinszowanie miastu chmurami perzyny, której pełne ulice; kłęby dymu ogromne walą z krateru, cały Neapol bieży go z bliska obaczyć.

Zdrowie moje szwankuje w tym klimacie, oczy znacznie się pogorszyły, w dzień nie mogę wychodzić, bo słońce za jaskrawe; dopiero po zajściu jego lub w nocy, gdy księżyc wejdzie, idę na *Strada nuova* i, chodząc nad tą otchłanią błękitu, marzę o tych, których kocham, a do których mi tak daleko! Twego płaszcza hiszpańskiego tak mi brak na tych brzegach, co tak długo hiszpańskiemi były.

Generał Pepe[192] każe Ci serdecznie się kłaniać; jeszcze wczoraj prosił mnie, bym Ci napisał, że dniem szczęśliwym w jego życiu będzie ten, w którym Cię na nowo tu ujrzy. Mój ojciec także znacznie chory, ból głowy, zębów i ran wszystkich prawie konwulsje mu sprawia, a wtedy wznoszą się w mojem sercu jak gdyby wyrzuty, że nie mogę go szczęśliwym uczynić. Ale cóż chcesz! Tak się mam do małżeństwa, jak do klerykatury, żadnego a żadnego powołania nie czuję.

Adasia uściskaj, pani Arturowej złóż moje uszanowanie[193]. Do księżnej naszej pisałem list w tych dniach. Marysi za pamięć dziękuję serdecznie, a Tobie za to, że mnie krzepisz; prawdę mówisz niedługo wszystko się skończy, niedługo czekać, a będzie odpowiedź, jak mówił marszałek Poniński. I w rzeczy samej, życie od kolebki do grobu jest ciągłem zapytaniem tylko, a odpowiedź grzmi z tamtej strony. Nie wiem, czy marszałek Poniński

[192] *Florestano Pepe* — generał komenderujący w Neapolu. [przypis redakcyjny]

[193] *Adasia uściskaj, pani Arturowej złóż moje uszanowanie* — hrabina Arturowa Potocka i syn jej Adam. [przypis redakcyjny]

to samo myślał, gdy wyszedł na korydarz, jednak wyrzekł głębokie słowo. *Addio*, mój drogi, raz jeszcze i na zawsze drogi!

Twój

152. DO E[DWARDA] JAROSZYŃSKIEGO

Neapol, dnia 20 stycznia 1839 r.

Drogi Edwardzie!

Jakżeż dobry jesteś — dobry dla mnie! Temi kilku słowy, skreślonemi jej ręką, przeniosłeś mnie w dawne czasy, zmusiłeś serce moje do bicia, już nie doznanego od wieków. Dzięki Ci, bo dusza moja leżała odłogiem, podobna do ugoru spiekłego, na którym każda skiba, gdy się jej dotkniesz, w proch leci. Lepiej, Edwardzie, na tej ziemi doznać wielkiego nieszczęścia, niż wielkiego szczęścia, bo pierwsze, jeśli nie zdruzgocze, jak piorun, sił podda, a drugie z sił rozbierze na zawsze. Żebyś mnie widział, kiedy leżę wieczorami sam jeden w swojej izbie, myślałbyś, że już dostałem się do piekła; nie do owego, gdzie płomień bucha, ale do gorszego, gdzie próżnia nieskończona i brak wszelkiej nadziei i myśli — do piekła dusz, które niegdyś żyły w niebie i poszły na wygnanie potem, i czuję dobitnie w każdej czasu sekundzie, że nigdy do nieba nie zdołają powrócić, bo z nas samych śmieje się niebo nasze, jak nici z pająków. Wszelki zewnętrzny objaw, o tyle tylko nas może unieść i rozradować, o ile w nas jest usposobienie do przyjęcia go w siebie. Inaczej wszystko martwe i głuche! Nie ten golf jest błękitny, ale myśl moja; a dziś, gdy myśl moja szarą się stała, co mi po tych falach?

List Twój do Warszawy przesłał mi tu Konstanty, i zaraz Ci nań odpisałem przez Brody, Winnicę na Tywrów. Portu nie pamiętam, o którym Przeździecki czyli Don Sebastian Tobie wspomina; raz go tylko widziałem w wilią wyjazdu, i jeślim zostawał wtedy, to zapewne dla pokrycia ciężkiego smutku, który mnie rozdzierał. Koło tych samych dni oddałem S. list do Ciebie niezapieczętowany, bo tego żądał trwożliwy szambelan, a zatem pełny metafor, hieroglifów, tyczących się jej położenia. Jeśli Ci go nie odesłał, jak obiecał, to może żona jego skonfiskowała ten list i sąsiadkom go swoim pokazuje. Mądre, jeśli co zrozumieją z mojego stylu! Zawsze jednak, proszę Cię, upomnij się, bom ciężkie głupstwo popełnił, ale z rozpaczy, że żaden list mój nie dochodzi Ciebie.

Są tu K.[194] wszystkie zebrane razem, i matka, i córki, i panny, i D. P.[195], ale zatraciłem już znaczenie słowa tego „kobieta"! Chodzę często do nich, bo grzeczne i zapraszają. Co chwila mnie nękają dwuznacznemi wyrazy, tyczącemi się mojej przeszłości. Potrzeba mi w takich razach być bezczelnym, by nie zblednąć jak trup! Serce mi się kraje, a odpowiadam zimno, obojętnie, udając, że nic nie rozumiem! To strach, jak wszystko wiedzą na świecie! Przytaczają mi słowa moje własne, czyny moje własne — przeczę ze śmiechem, ale to śmiech konających, bo wtedy, wtedy dopiero widomem, dotkliwem mi się staje, jakem dalece i nieodwołanie imię tej, którąm kochał, puścił na łup językom ludzkim... Biada mi!... Hańba mi! I patrz!... Nie było przez lat tyle chwili jednej, drobniutkiej chwili jednej, w której bym nie marzył o jej szczęściu, o dobru jej, o chwale jej, o piękności jej — a skutek jaki? Rozważ sam, powiedz, czy to nie szyderstwo, nie zabójstwo, nie piekło?... Co ja im zrobię, tym wszystkim teraz? Mogęż usta paplaczy wszystkich zamknąć na wieki? Co począć z dziewczynami i staremi baby? Trzeba dowcipem je nękać, a ja bym chciał je w proch rozetrzeć! A mężczyzna żaden się nie przesunie, żaden nie zacznie gadać, kiedym ja przytomny! Rozkosz zemsty nawet niedostępna dla mnie. — Dopiero gdy wyjdę, gdy nie zdołam im nakazać milczenia, oni gwarzą i szarpią; i ja to wiem, i ja tak żyć muszę! A przyszłość moja? Czy Ty wiesz, co mnie czeka? Czy Ty wiesz, że może za pół roku, obaczę się w najdzikszem, w najzagmatwańszem położeniu, gdzie stracę rozum, nie wiedząc komu się powierzyć, czy diabłu, czy aniołowi stróżowi czy przypadkowi ślepemu, czy rachubie? I jędze mnie rozszarpią! — Proś Boga za mnie, ja już i modlić

[194] *K.* — Komarowie. [przypis redakcyjny]
[195] *D. P.* — Delfina z Komarów Potocka. [przypis redakcyjny]

się nie umiem za siebie! Gdy wejdę do kościoła, jakiś wstręt, jakiś dreszcz mnie chwyta; chcę uklęknąć — i sztywnieją kolana; chcę zacząć *Zdrowaś Maria* — a to imię Maria, jedno tylko, samo jedno z ust moich wychodzi, reszta w gardle utyka!

Czyś widział Konstantego[196]? On w tych czasach miał być w Kijowie i zajechać po drodze do Ciebie, potem wrócić do Warszawy i ożenić się. Szczęśliwy, że ma proste serce a głęboki rozum szczęśliwy, że go świeżość młodości nie opuściła. Ale co do mnie, na samą myśl małżeństwa wzdrygam się, jak gdybym nastąpił na łuski węża, bo wiem, że wskrzeszać umarłych jest szalonym zamiarem, a śmierć udać za życie, trupa rzucić komuś do boku, zamiast ciała pełnego krwi i ducha, jest obrzydliwą rzeczą! Tak więc dzień mija za dniem i corazem bliższy przepaści! Dlatego w tem słońcu nie ma ciepła dla mnie — w tych śnieżnych żaglach nie ma ułudy — w tych twarzach wszystkich niewieścich uroku; jedna mi tylko została ręka przyjaciela, i w tej chwili zda mi się, że ją ściskam, gdy piszę, zda mi się, że takim uściskiem, a nie żadnym innym żyć jeszcze. Wszystko inne, co mi zdarzy się w życiu, będzie formą tylko, a nie treścią, fałszem, a nie prawdą, liberią włożoną mi na barki, a nie własną szatą, musem, a nie wolnością, męką, a nie pokojem — i koniec tego zgubnym będzie!

Lecz już dosyć, dosyć! Chciałbym się dowiedzieć, że nad Tobą błysnęła gwiazda szczęścia, że Twoje serce rozkwita! Dla siebie pojąć już szczęścia nie mogąc, ciągle marzę o niem dla drugich: dla Konstantego i Ciebie. Niech Ci Bóg zdarzy żonę, która odbije duszę Twoją, jak czyste zwierciadło!

Odpisz mi do Rzymu; za miesiąc tam będę i aż do pierwszych dni kwietnia.

Boże! Tego roku Wielkanoc znów 30-go marca, jak temu lat pięć — a wy gdzie? Ona, i Ty, i Konstanty? Wy, trójca moja!

Oh, na ten 30 marca myśl o mnie! Twój

Zygmunt.

153. DO ADAMA SOŁTANA

Roma 1839, 16 marca

Jak Ci podziękuję za Twoją dobroć? Z głębi serca. Zawczoraj doszły opłatki. Bruttemu[197] opowiedziałem wszystko, prosił o kilka dni czasu. O Harysonowej dowiedzieć się nie mogę.

Nie dziw się, mój drogi, jeśli list ten będzie i pomieszany, i krótki. Dwie rzeczy mi rozum odjęły: 1. Domyślasz się, że gwiazda jest zgubna i zarazem szczęśliwa dla mnie w Romie. 2. Konstanty jest w rozpaczy, najsroższe nieszczęście, najnikczemniejsze spadło na niego: ta którą ubóstwiał i dla której chciał się poświęcić, ta kobieta chciała go oszukać...

Odbieram w tej chwili Twój list z 6 marca. Oh, Ty się nie domyślasz tego, co mnie ogarnęło, nie, Adamie, nie! Zresztą niech Bóg mnie sądzi! Zapewne, nie jestem na najprostszej drodze, ale kto wymiarkuje drogi serca, kto rzuci kamień na drugiego? Przynajmniej niechaj go nie rzuca dłoń przyjaciela! Ledwo pisać mogę; pomieszały się wszystkie wyobrażenia i wiary we mnie, jestem jako ślepy i obłąkany. Tymczasem mój ojciec nic się nie domyśla i taki tkliwy dla mnie; ja go oszukuję, może gotuję mu dziwne zdarzenie. Boże! To mnie najsrożej nęka, ale jest we mnie coś, co mnie do zguby popycha. Nie chcę Ci nic mówić; może się wstydzę, może się lękam, może czuję, że nie powinienem gadać, ale Ty odgadniesz wszystko, i proszę Cię, nie potępiaj, ale raczej żałuj, bo Ty wiesz, że ja ją szczerze kocham i na zawsze. Błędy moje, szały moje niechaj Twego serca nie odwracają ode mnie, bo Ty na nich nigdy nic z duszy mojej i przywiązania tracić nie możesz. Ty sam wiesz, że są tak gwałtowne, tak porywające uczucia, że rozum przeciwko nim jest raczej przedrzeźniającym bufonem, ale nie zaradczym lekarzem. Otóż jestem w takiem położeniu. A jak się ono wyrobiło, ile walk zniosłem, jak powoli giąłem się pod tą fatal-

[196] *Czyś widział Konstantego* — Danielewicza. [przypis redakcyjny]
[197] *Brutti* — Monsignor Brutti z kancelarii watykańskiej. [przypis redakcyjny]

nością, jak darłem się z sobą samym i rozdarłem siebie, to niech mnie i Bogu wiadomym pozostanie. Odpisz mnie, że mnie kochasz! Twój

Zygmunt.

Księżnie drogiej naszej podziękuj za list, powiedz jej, że chory jestem i że odpiszę jej w tych dniach. Niech Bóg jej odpłaci za to, że taka dobra dla mnie!

154. DO ADAMA SOŁTANA

Neapol, 29 maja 1839

Nas trzech: Konstanty, Orcio i ja, siedzim tu po całych dniach i nocach, owiani powietrzem, pełnem woni kwiatów, patrząc się na wody zatoki, oświecone księżycem, lepszym od słońca naszego. Prawda, że nie mamy Prateru, ni Tadeuszów, rozpartych pompatycznie w tryumfalnych rydwanach; nikt nas nie zna i my nikogo, świat został na prawo, my sobie usiedli na lewo, palim doskonałe cygara kontrabandowe, pijem wodę, zaprawną lodem i sokami, jesteśmy szczęśliwi! Życie nasze przeszłe jak w latarni czarnoksięskiej przechodzi przed nami, a my spokojnie każden obraz jego rozpatrujemy i oceniamy. Zgadzamy się na wspólną prawdę, że życie jest celem najwyższym życia, i że, kto żyć umie, ten nigdy nie umrze. Zresztą wiemy, że tych dni kilka pozazdroszczą nam losy, że pęknie zwierciadło tego morza wkrótce, że za trzy lub cztery dni księżyc zniknie z niebios, a nas rozpędzą konieczności rozmaite i daleko od siebie zagnają na wyspy odludnych nudów lub cierpkich przykrości. Spokojnie przewidujemy przyszłość. Na co, jak sam mówisz, martwić się przed czasem? Stałem się zupełnie obojętnym na wszystko złe, co mi się stać może. Wiem, że serce moje nigdy podłem nie było, co mogłem chwil boskich wydrzeć smutnemu pasmu życia ponurego, wydarłem i przywłaszczyłem sobie; bo w mojej duszy wrzała zawsze nieskończona żądza chwil takich, bliższych nieba, niż reszta innych, co się żmudnie ciągną i wikłają nędznie, a jeśli za takie chwile cierpieć mam później, niechże i tak będzie; powiem amen, jak gdybym pacierz kończył. Darmo! Z kolebki dzieciństwa wyniść potrzeba, oglądać się przez całe życie nie sposób na wszystko, co otacza; wszystkiemu nikt nie dogodzi. Długo biłem się w piersi i pokutowałem, ale pokuta nie uszczęśliwiła drugich, a mnie zbłaźnić w końcu i zbezsilić mogła. Teraz spokojny jestem; gdybym dziś miał umrzeć, jeszcze byłbym spokojny.

2 czerwca 1839. Bez chyby dwudziestego trzeciego czerwca stąd wypływam, w Livournie łączę się z Konstantym, który jutro wyjeżdża, i jadę na złamanie karku do Pragi albo do Töplitz, gdzie 5 lipca mój ojciec czeka na mnie. Tam rozstrzygną się zapewnie stosunki nasze na resztę życia. On jeszcze marzy o mojem ożenieniu: nie ożeniony, nie mam żadnej wartości w jego oczach; zatem zapewnie mnie znienawidzi lub zobojętnieje dla mnie. Ja zaś żenić się nie ożenię, a to z wielu przyczyn: 1. że nie czuję powołania do tego świętego stanu; 2. że żyć jeszcze myślę, bo żyć mi potrzeba i żyć pragnę. Każ tam koło 5 lipca mszę na moją intencję odmówić, bo będę w diabelnych tarapatach. Po tem wszystkiem starać się będę wpaść do Wiednia i ciąg życia mego, dość zawikłany i ciemny od kilku miesięcy, Ci wytłumaczyć. Księżnie drogiej naszej ucałuj stopy ode mnie. A teraz bądź mi zdrów i kochaj mnie i czekaj, aż Ci z Czech napiszę!

Twój

155. DO ADAMA SOŁTANA

Drezno, 1839, 16 lipca

Pierwszego wypłynąwszy z Neapolu, stanąłem tu wczoraj i zastałem już ojca wyjeżdżającego do Warszawy; był tak łaskaw, że mnie zostawił zagranicą. Chciałbym był koniecznie na Wiedeń jechać, by uściskać Ciebie, ale nie mogę dla braku pieniędzy tak długiego zbaczania w drodze się podjąć, gdyż droga moja wije się teraz wprost przez Ba-

warię do Bad-Baden, gdzie muszę stanąć za tydzień. Tu tylko do 19 lipca zabawię. Proszę Cię, mój Adamie, pójdź do bankiera Sinny w Wiedniu i spytaj go się mojem imieniem, czy nie przyszły na jego ręce pieniądze dla mnie z Gdańska, a jeśli przyszły, albo w tych czasach przyjdą (o czem, proszę Cię, dowiaduj się lub każ sobie donieść do domu), to mi zaraz napisz do Bad-Baden, Gross-Herzogthum von Baden. W tych albowiem pieniądzach ostatnia moja nadzieja: z wygrania sprawy w Prusiech spaść powinny na niżej podpisanego, a jeśli nie spadną, to niżej podpisany sam bęknie na ziemię w całej goliźnie świętych tureckich. Proszę Cię więc o to, byś się dowiadywał czasem u Sinny, a kiedy flota owa nadpłynie, doniósł mi zaraz, a wtedy Cię poproszę, byś mu wskazał, gdzie chcę by mi je przysłał. Dosyć o materialnych interesach.

Konstanty jest ze mną; odbył tę podróż przez Splügen, Szwajcarii kawałek, Ratysbonę i Pragę, dniem i nocą, w gorączce, ale jednak w dość wesołem usposobieniu. Teraz się wybiera zwiedzić brzegi górnego Renu, aż do Amsterdamu żądze jego zalatują. Rozdzielim się więc na miesiąc, a zapewne potem się spotkamy gdzieś w północnych Włoszech. Nie mogę powiedzieć, by mi nie smutno było, choć nie mam żadnych do smutku przyczyn, owszem, powinien bym być dość szczęśliwy i różanych myśli; ale jakaś zgryzota trapić mnie zaczyna, jakaś bojaźń przyszłości, której nigdy wprzód nie doznałem. Wydaje mi się czasami, że tak marnie żyłem i dotąd tak marnie żyję; szereg moich dwudziestu siedmiu lat staje przede mną, jak szkielet suchy, nagi, bez muszkułów i bez prawdziwego kolorytu. Ale, na cóż rozwodzić się z żalami, kiedy nic nie pomogą? Mógłbym wziąć sobie za dewizę ową Lorda Sommerwilla, zdaje mi się, *che sara — sara*[198]; bo zwykle tak zawsze postępuję, prawdziwie czasem chciałoby mi się spać na wieki.

Wczoraj, dojeżdżając do Drezna, w Pyrna, podczas przeprzęgu koni, wszedłem na cmentarz, a śliczny to cmentarz, zaraz przy drodze, pełny pomników, podnoszących się wśród gęstwiny kwiatów i cyprysów, a po bokach, za kratami przestronniejszych grobów, stoją donice z różami i liliami, przyniesione umarłym przez tych, którzy ich kochali za życia. Czemuż, sobie pomyślałem, takie ładne cmentarze, a takie szpetne drogi, któremi żywi jeżdżą? Bo na drodze tuż obok wiły się tumany kurzu i kwiatów nie było, i ciągnęły wozy, piszcząc kołami, brzęcząc łańcuchami, konie ich sapały, potem zbryzgane, furmany szwaby w brudnych bluzach, trzaskając biczami. Czyżby nie lepiej było, gdyby ciche lilie i wonne róże rosły w rękach żywych, a nie na mogiłach, pełnych próchen, które ich nie czują? Ale niezawodnie na tym świecie, przynajmniej na jego powierzchni, co krok zdarzy się napotkać dziwną ironię: szczęście jednemu dane, które nie jest szczęściem dla niego, a które by drugiego, któremu odmówiono, porwało do niebios; lub szczęście za późno zdarzone, dziś nadaremne, choć wzywane wczoraj, gdyby wczoraj było nadeszło, i dzień dzisiejszy byłby jeszcze rajem, ale, że dziś dopiero się objawiło, niczem już nie jest. Kto tajemnice wszystkie te zbada, kto rzeczywisty ich sens wykryje? Wierzę całym duchem, że one są tylko zasłoną prawdy, a nie prawdą samą. To, co się nam wydaje ironią, musi być dobrem, musi być jedną z form dobrego, tak, jak noc jest jedną z form światła, jedną z modyfikacyj światła. Zatem nie trzeba trzymać się śliskiej powierzchni życia, bo ta spadzistością swoją powiedzie wcześniej czy później do rozpaczy, do przepaści. Ale trzeba, czy wiarą w religii, czy rozumem w filozofii, starać się przeniknąć do gruntu wszechrzeczy, by ujrzeć, że harmonia kryje się za chaosem, dobro za złem, nadzieja za smutkiem, niebo za chmurami. Amen.

Księżnie naszej moje uszanowanie najtkliwsze; jakże się ma? Marysi tysiąc przypomnień się i życzeń szczęścia. Czy panna Bourguignon zawsze przy miej? Napisz do Bad-Baden!

156. DO E[DWARDA] JAROSZYŃSKIEGO

Freiburg in Brisgau W. Ks. Badeńskie

Dnia 5 septembra 1839 r.

[198] *che sara — sara* (wł.) — co będzie, to będzie. [przypis redakcyjny]

Drogi mój Edwardzie!

Są pewne uderzenia moralne, które bym rad nazwał elektrycznemi iskrami ducha. Jedne z takich iskier wziąłem w serce wczoraj, gdym z Twego listu się dowiedział, że za kilka dni przestąpisz jeden z progów życia — jeden mówię, bo kilka jest porohów na tym Dnieprze. Ale ten jeden, choć wieńczony girlandami, choć liściami róż osypan, niemniej jednak uroczysty, poważny, wielki od innych, które zowią się urodzeniem i śmiercią.

Pierwszą myślą było, nie myślą, raczej mimowolnym instynktem, ścisnąć mocno ręce i wymówić w duszy imię Boga, otoczone prośbą za Ciebie, z życzeniem, byś raz wstąpiwszy w jedność szczęścia, ciągle w tej jedności dotrwał, i wziął tyle, ile dajesz, i dał tyle, ile weźmiesz. Znam tę, która, gdy ten list odbierzesz, już imię Twoje nosić będzie; znam ją z wieści i z opisu mi uczynionego przez osobę, która ją często widywała i zwykła ją nazywać aniołem skromności i słodyczy. Jest tu wielka katedra, jedyna ze wszystkich katedr średnich wieków, bo zupełnie dokończona, a wiesz, że żadna inna nie dostąpiła tego dopełnienia. W tej nad wszelki wyraz pięknej katedrze, 12 septembra odbędzie się msza za szczęście duszy, której na imię Edward. Niech zupełność tego kościoła będzie symbolem doskonale pomieszanej i zlanej nieskończoności uczuć z skończonością ściśle opisanego związku małżeństwa. Na tej mszy będzie się modlił gorąco człowiek, który od dawna już nie klęczał podczas mszy w kościele; będzie prosił Boga o wieczność miłości dla tego, którego kocha i dla tej, którą ten, którego on kocha, ukochał.

Pamiętam Edwardzie, że kiedyś — nie pamiętam już kiedy — przesyłałem Ci w chwili głębokiego smutku i zwątpienia radę i życzenie, byś ukochał szczerze młodą duszę, i na wieki tę pierwszą, którą ukochasz, zjednoczył z życiem Twojem. Stało się więc zadość i radzie, i życzeniu. Bądź mi więc błogosławiony i szczęśliwy i spokojny, tym ducha wielkim pokojem, któren już na ziemi jest początkiem wieczności.

Szczęście albowiem niebios, tem zapewne tylko różne od tutejszego, że pojęte w pokoju, a zatem w nieskończonej trwałości; lecz ta różnica jest różną od mijających uniesień, różną na całą długość i szerz, dzielącą ziemię od nieba.

Dwa razy w życiu, nie wiedząc o niczem, dziwnem losu zrządzeniem, udałem się do Ciebie, prosząc, byś mi ważną wyświadczył przysługę: pierwszy raz byłeś wśród najdolegliwszych wrażeń okropnej skończoności, i wyświadczyłeś mi, o com prosił. Drugi raz wśród najżywszych i najmilszych uniesień błogiej teraźniejszości. I znowu uczyniłeś, o com prosił. Zaprawdę, przyjaźń Twoja dla mnie przypomina mi owe formuły „*Vehmgericht*[199]": o którejkolwiek godzinie, któregokolwiek czasu przyjdę po Ciebie, itd. itd. Dzięków Ci już nawet nie złożę. Tyś taki dobry dla mnie, że słów nie dobrałbym! Wolę zachować na wieki w sercu wszystko, co czuję, i mieć to ciągle na pogotowiu dla Ciebie, bym i ja także mógł Ci podobną wszędzie i zawsze odpowiedzieć formułą.

Gdy ten list Cię dojdzie, dotąd go przeczytasz, potem zamkniesz do stolika, odkładając resztę na później, bo wszelka filozofia, mojem zdaniem, w takiej chwili jest naddatkową i może mdłą rzeczą. Kiedy ci chwila wolnego czasu zostanie, kiedy na przykład Eleonora ubierać się będzie, a Ty cygaro pójdziesz wypalić do siebie — przypomnisz sobie, że kilka słów Zygmunta drzemie w szufladzie; wtedy dymu kłębem je obudzisz, weźmiesz do ręki i co następuje przeczytasz:

Winisz mnie o ciągłą abstrakcją — na to Ci odpowiedzieć mogę *a priori* i *a posteriori* teoretycznie i praktycznie, absolutnie i historycznie:

1. Duch tylko wtedy w abstrakcji żyje, kiedy nie pełno, ale wyłącznie i kiedy z jego ruchów żadne działanie zewnątrz na drugie duchy nie pada. Lecz kto określi podług jakiego prawa ma odbywać się to działanie? Kto naznaczy formę jedyną na to właśnie, co jest rozwijaniem się wiecznem Rozmaitości? Kto powie jednemu: „Ty tak żyj i działaj" — a co jednemu powiedział, wszystkim drugim powtarzać będzie? Milion milionów ścieżek snuje się z serca każdego ku sercom drugich; każda o danej chwili może stać się potężnym życia przewodnikiem i czynu zasadą. Ale są czyny mniej więcej widzialne, dotkliwe, ale dlatego niemniej pewne i rzeczywiste. Rzeczywistość albowiem nie zależy na miąższości formy, którą idea przybiera, ale na doskonałości stosunku, zachowanego między tą formą a ideą — na harmonii.

[199] *Vehmgericht* — średniowieczne sądy tajemne. [przypis redakcyjny]

2) Są czasy, są luki, że tak powiem, w tym ogromnym lesie dziejów ludzkich, do których doszedłszy nie sposób iść dalej. Trzeba stanąć i uważnie patrzeć na okolicę, widną przez te luki — inaczej nie pojmiesz gdzie jesteś i jak dalej iść nie będziesz wiedział. Czekać jest czasem ogromnem działaniem, bo gdybyś nie czekał, potknąłbyś się na pierwszem lepszem mrowisku i milion mrówek ciebie obalonego oblazłoby i zginąłbyś może od mrówek. Patrząc na człowieka, co stoi i wzrok ma wbity niby to w próżnią przestrzeni, łatwo sąd o nim wydać, łatwo go potępić, łatwo go nazwać nicością; że świętszem by było, gdyby jeden kartofel zasadził, lub jedną jabłoń cywilizowaną na dzikiej zaszczepił jabłoni. Nieraz sąd taki słuszny, zasłużony, jednak czasem zdarza się, że i nie, bo wszystko zdarza się na tym zdarzeń świecie. Anioł stróż jeden wie tylko, co podczas tego zadumania w wnętrzu piersi ludzkich się dzieje i przetwarza. Ile tam rośnie ziół ukrytych, ile tam przelatuje stąd myśli, ile tam może warownych wznosi się szańców?

Dusza, kiedy rośnie, nie może się roztapiać wszerz na zewnątrz: naprzód trzeba, by się stała, by wyrosła! Dajże tej biednej wygnance, daj jej czasu trochę! Nie gnaj jej w pole, nie zaprzęgaj jej do pługa, nie chciej, by skrzydłem ujęła lemiesz lub gwoździe brony i skrzydłem orała — na to są ręce! Ale trzeba, by twarde, grube ręce spod skrzydeł wyrosły, wypadły spod skrzydeł; matką ramienia jest skrzydło — ramię później, jak syn, podpiera matkę swoją, ale to później, później dopiero. Czas właśnie tem jest, co stawia jedne fakta po drugich: w idei tylko wszystkie zlane są razem, i nie w idei nawet, raczej w pomyśle idei (*in dem Begriff*).

Spotkamy się kiedyś, Edwardzie, wtedy Ci wytłumaczę wiele szczegółów indywidualnych, którym papier za lekkomyślnym jest przesłannikiem. Opiszę ci na przykład życie samotne, ale dziwnie szczęśliwe, do cudu podobne, które teraz wiodę. Jest w niem coś tak wolnego od zwykłej, codziennej skończoności, a zarazem tak ściśle połączonego z wszelką rzeczywistością, że muszę ten fenomen nazwać boskim. Wiem, że na ziemię bogi tylko pod pewnemi warunkami zstępują, pod warunkami nieraz strasznemi, na całą przyszłość zahaczającemi dusze, w których ich postać na chwilę się objawiła, alem już tak stworzony, żem zawsze gotów na najgorszy raz, bo zawsze czuję w głębi serca nieskończone pragnienie najlepszego. Kto nic nie stawia, nic nie wygra, a można wszystko przegrać. Lecz powiedz mi, czy życie samo już nie jest wielkiem przegraniem? Ile razy na łono Boga wrócić możesz, choćby chwilowo, o, wracaj!... A nie dbaj, że potem ciemność cię otoczy, bo ona siostrą twoją na ziemi. Światło zaś zdobyczą sępa tego, co wiecznie w twoich piersiach żyje i serce twoje bijące ma za skrzydło, które wyrywa się do niebios!

Filozof, Filozofia, Religia, Niemiec

Teraz pozwól, bym kilka uwag dodał o dzisiejszym stanie filozofii w Niemczech.

Smutne to, arcysmutne rzeczy położenie! Ledwo ta potężna głowa, która stawiała sama siebie wśród głowy Chrystusa i Platona, opadła bez czucia — ledwo mózg Hegla stał się pastwą robaków, ucznie jego zatracili prawdę, którą im wykładał lub tę prawdę dziwnie zagmatwali. Z jedności szkoły jego powstała rozmaitość, hetorodoksje, schizmy, kłótnie, swary bez końca. Teraz Niemcy brzmią całe Hegelingów waśnią: jedni drugim zarzucają najszkaradniejsze teorie, jedni drugich powołują przed trybunał opinii publicznej, rozdzierając zasłonę (jak twierdzą), która dotąd kryła posąg ten Izydy. Zasłoną zaś takową w przybytku filozofii bywają frazesa i niedostępna terminologia, pod którą albo przepaść, albo zbawienie zarówno ukrywać się mogą. Otóż dr. Leo z Halli wystąpił z oskarżeniem na Hegelingów, sam także hegelista, ale średni umiarkowany i zarazem chrześcijański człowiek. W tem oskarżeniu zarzuca im po prostu:

1. Że, ot, cały systemat jest po prostu ateizmem, zaprzeczeniem Boga indywidualnego (*Persönlichkeit Gottes*) i nieśmiertelności duszy.

2. Usiłowaniem do obalenia chrześcijaństwa zupełnie i ostatecznie, przez przemianę wszystkich jego dogmatów na pewien rodzaj mitologii — tak, jak to sławny Strauss ogromem pracy i nawałą nauki starał się wykazać w życiu Jezusa. To ostatnie dzieło ogromnie od trzech lat porusza Niemcy. Teologia, jak może, walczy przeciwko niemu, ale słabą jest; wróg jej zwyciężać się zdaje na polu polemiki. Hegel, jeśli już przewidywał taki ostateczny skutek, nigdy się jednak z nim nie oświadczał jawnie, albo przynajmniej obwijał go tak misternym zmierzchem, że jeszcze w tym zmierzchu można było klęknąć przed ledwo widzialnym, lecz bielejącym dotąd, posągiem Chrystusa. Strauss całkiem ten zmierzch usunął, odemknął drzwi, rozbił szyby, wpuścił strugi światła, a gdy ono zalało świątynię,

ujrzeli klęczący, że na ołtarzu nic a nic nie ma, prócz wielkiego historycznego wspomnienia, prócz mary jakiejś osłabłej i mglistej, szemrzącej cichym głosem: „Niegdyś Bogiem mnie zwano"! I tu nasuwa mi się dość prawdziwa uwaga, tj. że owa filozofia niemiecka, taka ogromna, taka pełna wzniosłej pogardy ku filozofii nędznej Francuzów XVIII wieku, po 70 latach pracy tytańskiej, doszła nareszcie, zupełnie inną drogą, bo drogą idealizmu, do tego samego rezultatu co materializm francuski!

Wartoż było tyle pracować i pysznić się? Tyle pisać, a tak mało wcielać się? Co od 60 lat stało się we Francji i przeszło w czyn i jako czyn już się rozsypało i starło w proch, to samo dzisiaj dopiero zaczyna się krystalizować z tej strony Renu. Niewiara zaczyna być tak silną, że z negacji przechodzi w afirmacją i znak swój — (minus) stawia na miejscu + (plus), uważaj, że na miejscu krzyża Chrystusowego!

Możesz to nazwać kalamburem filozoficznym, ale są dziwne, czasem nawet w najdrobniejszych znaczkach i formach, znaczenia i symbole. Analiza rozrabiająca i niszcząca góruje dziś w Niemczech, literatura francuska ogromnie się przedziera przez rzekę; tłumaczą na łeb na szyję wszystkich jej klasyków i nie klasyków, zdobią ich edycje takiemi samemi winietami i obrazeczkami na środku i po bokach kart. Zgoła lasy Hercyńskie czują ogromną ciekawość do Bulwarów, a Francja także zakochała się w wyrazach: panteizm, plastyczność, *Subjectivität, Objectivität, Idee, Begriff, Selbstbewusstsein*[200], itd... itd... i nic śmieszniejszego od młodych Francuzików, jeżdżących dyliżansami, potrząsających włosami, długiemi na łokieć, i wymawiających te tajemnicze słowa (osobliwie dla nich tajemnicze, bo ich nic a nic nie rozumieją) jakby magiczne jakie zaklęcia, mające wszystko ułatwić, pogodzić lub zniszczyć! Lecz mojem zdaniem, owi *Commis voyageurs* wygrali, bo wcześniej czy później, przez wpływ tej filozofii idealnej, wyidealizują się. A Niemcy przegrali, bo przez wpływ literatury francuskiej wpadną w coraz głębszy sceptycyzm. Kto wie, czy zresztą tego nie potrzeba? Kto wie, czy Niemcy na tej drodze nie znajdą ciała sobie, a Francuzi duszy? Niech przyszłość odpowie. Ja, jako widz i słuchacz, dodam jeszcze to: panteizm, czy jawny, czy ukryty, czy surowy, jak u Spinozy, czy przerobiony, lamowany złotem, jak u Schellinga i Hegla, jest tem właśnie, co oznacza, że duch wyłączny epoki, zaczętej przez reformę Lutra a we wszystkiem przeciwny feudalności czyli potędze indywiduum, coraz bardziej potrzebuje wszystko na wzór siebie ułożyć i świat — wszechświat pojąć na wzór siebie samego. Cała starożytność i wieki średnie, myślę, że to czas indywidualności człowieka — nie ludzkości, czyli tej cząstki ducha człowieka, która siebie za jedność odgraniczoną, pewną, silną, pojedynczą, jeśli chcesz egoistyczną, pojmuje. Zatem wszędzie masz w niebie bogów pojedynczych lub Boga osobistego; wszędzie patrycjat lub jedynowładztwo, nie słychać o masach, ale są bohatery. Historia się pisze imionami wielkich ludzi, posągi ich, każden na osobnej podstawie, stoją widne — stoją w przestrzeniach, jak słupy tej drogi bez końca. Teraz ozwała się inna cząstka ducha, ta, która siebie przyjmuje, jako związaną z drugiemi, jako należącą do drugich, jako nie ja ale wszystko. Zaraz więc i Boga osobistego ona rozpuściła w oceanie ogromnym, zaraz patrycjat i kształt z góry władnący rozwiodła w tłumach, zaraz indywidualności duszy zaprzeczyła, i jednej tylko ludzkości nieśmiertelność przyznała — słowem, na swój obraz wszechświat urządziła: wszystko pojęła jako zlewek wielu, a nie jako dzieło jednego! I tak ślepy Homer został trzystu, lub nie wiem wielu, rapsodami, Rzymu historia poematem przez masy wymarzonym, Chrystus figurą, do której utworzenia przyłożyły się ludy i wieki. Przypomina mi to nowożytne stowarzyszenia: jak drogi żelazne, jak gmachy w Londynie, z tysiąców sakiewek połączonych razem, tak Chrystus, na przykład, z tysiąców marzeń stowarzyszonych koniecznością epoki powstał i stoi. Czy to w oczy nie bije, Edwardzie? Czy ta wyłączność nie dowodzi, żeśmy zawsze i ciągle na drodze błędu?.. Ale jak linia krzywa, linia życia, składa się w matematyce z nieskończonej ilości linij abstrakcyjnych, martwych, linij prostych, tak samo zapewne prawda składa się z nieskończonej ilości błędów! I zagadką ludzkości jest upić się każdym błędem, postawić go na nogi, uczcić go, jako Boga, i wreszcie go obalić, uznając, że tylko w tym bałwanie był jeden promień Boga, a ten promień jeden ocalić, unieść z sobą i wpleść do następ-

[200] *Subjectivität, Objectivität, Idee, Begriff, Selbstbewusstsein* (niem.) — podmiotowość, przedmiotowość, idea, pojęcie, świadomość. [przypis redakcyjny]

nej tęczy, aż, jak Jean Paul mówi, cały widnokrąg stanie się jednym, rozwitym, jednego kwiatu kielichem!

Otóż dlatego ja wierzę głęboko, ale nie w Hegla. Bóg jest Jehową, Bóg jest Chrystusem, Bóg jest panteizmem, ale prócz tego, Bóg jest jeszcze czem jest — sobą samym! Człowiek jest patrycjuszem, człowiek jest plebejanym, człowiek jest ludzkością, ale prócz tego jest czem jest — sobą samym! I dusza jego nieśmiertelną, osobistą, i zarazem duch jest jego powszechny! Pogodzenie sprzeczności w Bogu i w człowieku, jest to ten cud właśnie, który stanowi zarazem i życie i zagadkę życia... Wiara, to silne przeczucie, że te sprzeczności są jednością nierozerwaną, żyjącą razem i harmonijnie. Ziemia, to stan niepewności, to pokusa, starająca się zawsze postawić nam przed oczy tę jedność jako nonsens, i każdą cząstkę jej osobną za całość przed nami udać.

Śnią się nam w czasie części nas samych; każdą witamy słowem miłości: „Ty jedyna!" Otóż, gdyby zamiast ducha, który się duchowi śni, śniło mu się jego własne, rozerwane ciało, gdyby najprzód ujrzał nogę jedną, stąpającą w przestrzeni i rzekł: „Ty jedyna, ty się zowiesz człowiek", potem rękę jedną błądzącą, i zawołał: „Daruj ręko, żem nogę tak nazwał, noga była marą i kłamstwem! Ty jesteś kształtem człowieka jedynym!" A wreszcie, gdyby wnętrzności się roztoczyły w powietrzu i czołgały się ku niemu: „O, wy wnętrzności, wy tylko jedne" itd., itd. *Risum ne teneatis amici...*[201] Lecz, gdyby po przejściu wszystkich cząstek, cząsteczek, cząsteczeczek ciała i po następnych ich apoteozach, po ubóstwieniu raz jednej żyłki, to znów nerwu, to znów kości lub ścięgna jednego nareszcie pojął, że te wszystkie części razem składają człowiecze ciało ale nie pod formą osobistości rzeczywistej, opisanej, żyjącej w czasie i przestrzeni, ale tylko jako idea — znów by tę ideę ubóstwił, znów by się ciężko pomylił, ażby nareszcie się przebudził i ujrzał siebie samego, i pojął, że zarazem jest tem wszystkiem, co marzył, i jeszcze do tego czemsić więcej, to jest: doskonałą zgodą tego wszystkiego, pojednaniem przeciwnych członków i kierunków, zgoła istotą, życiem, formą i duchem. Wtedy pewno by sobie sny swoje przeszłe za czas próby poczytał, za wiek dzieciństwa.

Bóg jeden wie kiedy się przebudzim, a kiedy się przebudzim, będziem na Jego łonie.

Niech Cię Bóg naszych ojców, Bóg potrójny i jeden błogosławi. Twój

Zygmunt.

157. DO ADAMA POTOCKIEGO

W dzień św. Adama — w Rzymie, 1839 r.

Mój drogi! Dziś imieniny Twoje. Dziś wigilia — niech Ci się szczęści w życiu — niech wszystko dobre i piękne spada na Ciebie. Z kimże tam opłatek dziś łamać będziesz? Pamiętam, że jedną wigilię odbyliśmy razem — temu lat dwa, jeśli się nie mylę, w Wiedniu, w Kohary Haus. Temu dwa lata dopiero — a od dnia tego wieki upłynęły dla mnie i dla Ciebie. Poślij tylko wspomnienia w przeszłość, pomyśl, jakie myśli Twoje były wtedy, porównaj je z dzisiejszemi, a pewno ogromną zobaczysz różnicę; i tak dobrze jest, bo tak być musi. Inaczej człowiek by się nie rozwijał, ale martwą byłby istotą. Szczęśliwy, kto coraz silniejszym i szlachetniejszym się czuje, kto, patrząc w przeszłość, nie ma do wyrzucenia sobie, że spadł z jej szczytów. Dziwny skądinąd i przyrodzony sercu ludzkiemu żal za przeszłością — bo jużciż ona ma coś matczynego, tkliwego, cudownego nawet, ona była początkiem i już w niej zawartem było, ale pod kształtem snu, wszystko, co później rzeczywistością stać się w nas musi. Źle myślą i rozumują ci, którzy walczą na zabój przeciwko niej. Nie zabijać jej, ale, owszem, nowem ją życiem rozwijać trzeba — przemiana na tym świecie jest tylko dalszym postępem rzeczy. Nie ma morderstwa dla rozumu świata! Lecz, by przeszłość dalej stąpać mogła, trzeba doskonale ją znać i umieć, że tak powiem — umieć, co jest, pochłonąć to w sobie. Kto nie zna przeszłości, ten przyszłości nigdy nie stworzy, o ile więc zdołasz, ucz się jej, a choćbyś ogromne błędy w niej napotkał, nie rozpaczaj. Gdyby w niej ich nie było, gdyby doskonałą była, czyżby mogła

[201] *risum ne teneatis amici...* (łac.) — nie wstrzymujcie śmiechu, przyjaciele. [przypis redakcyjny]

iść dalej i żyć dłużej jeszcze? To właśnie życia warunkiem, co nieraz śmierci wydaje się koniecznością. W każdej niedoskonałości masz zakład poprawy na później. W każdym fałszu prawdy zawarta nadzieja — o to chodzi tylko, czy ten sam, który zbłądził, poprawi się. Bo co do błędu jego, to pewna, że kiedyś zniknie i w coś wyższego przejdzie — ale on, ale on sam, ten, który zgrzeszył, ten, który zbłądził, czyż dożyje chwili grzechów zgładzenia? Dożyje jej, jeśli wolę wzbudzi w sobie. Ludzkość cała zbawiana przez opatrzność, lecz indywiduum tylko przez wolę — i naród tylko przez wolę. Trudna to droga, droga woli i czynu — lecz ze wszystkich najwznioślejsza, najpodobniejsza do boskiej. Brak woli był niezawodnie śmiertelnym jadem w żyłach przeszłości; wszystko w niej masz: piękne myśli, wzniosłe uczucia, ale rozsypane, oderwane, nieskupione razem — węzłem ich jest wola. Dopiero całość ducha objawia się w woli — a gdzie całość ducha wystąpi, tam dopiero jest życie. Krzep więc wolę w sobie. Nieustanny to głos mój do Ciebie. Może za często się powtarzam, ale cóż Ci innego mogę powiedzieć, kiedy to, co mówię, jest właśnie najwyższem.

Polak, Niemiec, Polska, Historia

Wychodzi teraz w Paryżu periodyczne dzieło *Skarbiec* — sprowadź je sobie! Dotkniesz się w niem drgających trzewów historii naszej. Tam zobaczysz, czem byliśmy, a czem być mogliśmy, jakie wady nasze wieczne, nieodżałowane, w części dotąd trwające — lecz, jeśli wytrwać mamy, koniecznie przeznaczone temu, byśmy je sami zagubili. Okręgiem koła byliśmy, lecz nie kołem całem, bo środka nie było w nas samych — we wnętrzach dusz naszych jakaś próżnia stała, pośpiech jakiś gnał wiecznie wszystkie siły ducha naszego na zewnątrz, a nie dozwalał skupiać się im wewnątrz. Tak dzieci skaczą i pląsają, tak dzieciom wiecznie potrzeba zabawy, nie umieją sobą być w sobie, tylko są sobą dla drugich! Lecz w tym pośpiechu jest i piękna strona, jest nieraz śmiałość bohaterstwa, jest nadzwyczajna siła pojętności. Dotąd pojętniejszego, bystrzejszego od nas ludu nie ma. Gdybyśmy takie zewnętrzne piękno byli pogodzili, pożenili z równie prawdziwem i głębokiem wnętrzem, bylibyśmy pierwszym narodem ziemi. Niemcy są zupełną z nami sprzecznością. Im właśnie brak na tem, czem my wojujemy, na zewnętrzu — ale wnętrze mają!

Jeśli Ci się czasem marzy o mnie, — jeśli, chodząc po Edymburga ulicach, wspominasz Wiednia okopy i Burg-Teatr, — wierz mi, że nieraz ja myślę o Tobie i czuję żądzę obaczenia Ciebie — uściskania Ciebie! Nie wiem, gdzie i kiedy spełni się to moje serdeczne życzenie. Ty wiesz, że nigdy nie wiem nic o mojej przyszłości. To wiem tylko, że zapewne za trzy tygodnie pojadę do Neapolu, bo w Rzymie coś okropnie ponurego mnie dusi: czy to, że deszcz wściekły, czy to, że tu same ruiny, widziane po tysiąc już razy — czy to, że nigdzie mi dobrze nie jest i nigdy nie będzie! Odpisz więc mi do starej Partenopy. Jerzy jest w Genui — nieszczęśliwy los tego człowieka, a nie znam duszy bardziej młodocianej, bardziej zdolnej poświęcić się i kochać. Matce Twojej, podobno teraz z Tobą będącej, złóż moje uszanowania. Napisz też, co czytasz, czego najpilniej się uczysz, z kim żyjesz — powiedz, czy w sercu Twojem nie porosły kwiaty. Twój na zawsze.

158. DO DELFINY POTOCKIEJ

Rzym, Niedziela 29 decembra 1839 przy słońcu zachodzącem.

Droga! Wracam z kościoła św. Piotra *in Vinculis*. — Piękny był nadzwyczajnie dzień dzisiejszy, a mnie było niezmiernie tęskno, porzuciłem więc pokój mój, wyszedłem — i pomyślałem sobie: „Ot, pójdę obaczyć »Mojżesza«, któregom z nią razem widział — pójdę w jej imieniu do Michała Anioła". Pamiętasz ten biały, przeczysto marmurowy kościół. Gdym zbliżał się do posągu, wielka pogarda, wielki gniew tych ust, odepchnął mnie. Prawdziwy to prorok, co niedawno z Jehową rozmawiał, a teraz na lud swój bezrozumny patrzy z całą wyższością rozumu i z całym żalem olbrzyma: „Boga wam przynoszę, Boga wy nie zrozumieli, hańba i biada wam". Tytan tak mówi. Co powie Chrystus później? To samo, ale inaczej zakończy. „Daruj im Panie". Miłość pogodzi niższe duchy ludzi z najwyższym Boga rozumem. W piersiach Mojżesza Jehowa się jeszcze sroży, — Jehowa jeszcze szydzi i piorunuje! Nic wznioślejszego nie znam od tego posągu — Apollo belwederski blady przy nim. Czy to dlatego, żem go razem z Tobą widział? Obraz Twój w tym

kościele snuł się przede mną, u stóp każdego ołtarza klęczała Twa postać. Zarazem góra Synaj, błyskawice i grzmoty, a w dole obóz ludzi i bałwany pogańskie i twarz Twoja i głos Twój mieszały się w mojej wyobraźni. Potem przybyły jakieś Francuzy, zaczęli arcydzieło krytykować; ich myśli wlazły na ten posąg, jak pchły, i skakały po posągu. Zdało mi się, że słyszę Lutrota — bo także o brodzie gadali, brodę ganili i powtarzali co chwila: *bizarre*[202], tam, gdzie co chwila należało krzyknąć: *sublime!*[203] Wtedy ujrzałem znów Ciebie w tym samym kościele u stóp tego samego posągu, ale już beze mnie, w towarzystwie sekretarza ambasady i jego wiedeńskiej żony. Oni oboje krzątali się około „Mojżesza", piszcząc, — a Ty stałaś zadumana, pojmująca, piękna wyrazem uwielbienia na twarzy. Piękny tylko piękność pojąć może. I zdało mi się, że w tej chwili takżeś myślała o mnie, tak, jak ja teraz o Tobie, i że ten uśmiech pogardy na ustach posągu ni Tobie ni mnie nie przeznaczony, — ale innym wielu, tym właśnie wszystkim, co go nie pojmują! Bo uważaj, Dialy, Michał Anioł dla każdego krytyka gotową już w twarzy Mojżesza zamknął nagrodę, — kazał tej twarzy pogardzać aż do końca świata! I wyszedłem pełny myśli o Tobie i nie zważałem, że idę przez forum, bom myślał o Tobie, że przechodzę przez Corso, bom myślał o Tobie, — wszedłem jak w magnetycznym śnie do mego pokoju i zaprawdę przyszedłem do Ciebie. — Ot! Piórom wziął i papier i, o ile mogę być, jestem teraz z Tobą.

Lubię o tej porze być zawsze z Tobą; gdy słońce się zniża, gdy blisko już do wieczora coś dziwnie tęsknego chwyta mi serce. Chciałbym z tem słońcem — z tym dniem, co odchodzi, odejść także i polecieć do Ciebie. Zawsze mi się wydaje, że to światło, co znika, w stronę Neapolu błądzi — a te gwiazdy, co wschodzą, z Neapolu przyszły — to znów myślę, że o tej godzinie Ty bardziej niż kiedykolwiek mnie wspominasz. Pamiętasz, Dialy, owe spokojne słońca Niemiec, co nam tak równo i cicho zachodziły co dzień? Ową wieżę katedry, co tak płonęła o zmierzchu? Owe zielone wzgórza, owe łąki przezielone, co nas tak mile z przechadzek odprowadzały do domu? A kiedy ciemno zaczynało być, siadałaś do fortepianu i jak duch niewidzialny śpiewałaś w ciemności, aż odezwał się krok burmistrzowski Pfauna[204], czyli raczej Sterba, drzwi się odemknęły, zabłysnęły owe trzy świece na stole, w filiżankach klejek zadymił, musieliśmy siadać do obiadu. Jam do sałaty się brał z powagą arcykapłana, tarłem żółtka z zapałem wyrobnika. Serce mi się kraje, gdy widzę to wszystko przed oczyma, bo widzę, widzę, jakbym tam był z Tobą! Czemu ten czas tak chyżo upłynął? Czego życie tak pędzi naprzód? Gdzie dom mój i gdzie Dialy moja? Wszystko kocham, co tylko tknęło się Ciebie, — i „Mojżesza", i Sterba. Wiesz — tak mi się płakać chce, ale tak, jakbym dopiero dziś się dowiedział, żem się rozłączył z Tobą, i w każdym dniu moim podobna chwila jest.

30-go decembra, poniedziałek. Przyszły listy Twoje. Biedna, biedna Dialy moja, jak Ty się męczysz, jak Ty usychasz. Nie myśl o mnie; co tylko Tobie ulgę lub pociechę przynieść zdoła, to mojem dobrem i szczęściem. Myśl, że mniej płaczesz, że czasem się uśmiechasz, zamieni mi w raj najprzykrzejsze nudy. Bo żyć, wiedząc i czując każdej chwili, że cierpisz, nie jest mi życiem, tylko konaniem wewnętrznem, gorszem sto razy niż raz wycierpiana boleść zgonu. Kula co serce przeszyje, lepsza niż ta, co wiecznie w sercu ciąży. Czasem, gdy nagle stanę na ulicy lub w pokoju się zatrzymam i uczuję, żeś tam gdzieś sama, opuszczona, w żałobie, wierzaj mi, odchodzę od rozumu, płaczę, jak dziecko, wołam na Ciebie, po nocach się budzę, ledwo zasnąłem, zdaje mi się, że Ty jęczysz, że ktoś Cię zabija. Przeczytaj na złotym medalionie napisane cztery wiersze nad kamyczkiem. One Ci o mnie prawdę powiedzą.

Pani Czosnowskiej niepodobna, by Cieszkowski wydał się miłem stworzeniem; przede wszystkiem ona szuka męża, Cieszkowski na nic jej się nie przyda. W istocie jest brzydki na twarzy, w istocie nawet jest czasem pedantem, bo filozofia nie jest najwyższem życiem, jest tylko dyssekcją najwyższego życia. Z tem wszystkiem trudno o rozleglejszą naukę, o wyższy rozum, a zarazem o lepsze i cichsze serce. Jeżeli ma się za pięknego, to łaska boska nad nim, bo, gdyby wciąż czuł się brzydkim, toby w końcu już musiał oszaleć. Opatrzność ludzi ratuje próżnością i zarozumieniem. Komu nie da piękności i rozumu,

[202]*bizarre* (fr.) — dziwaczny. [przypis redakcyjny]

[203]*sublime!* (fr.) — podniosły, wspaniały. [przypis redakcyjny]

[204]*Pfauna, czyli raczej Sterba* — nazwa gospody, w której poeta mieszkał z D. P. w Fryburgu Badeńskim. [przypis redakcyjny]

temu daje przekonanie o nich. Stąd pochodzi, że głupcy prosperują i że szpetni kwitną. Inaczej większa część świata w łeb by sobie postrzelała. Taki jest stosunek między Cieszkowskim a Czosnowską, że, gdzie druga ustaje, tam pierwszy się zaczyna, zatem nigdy ona o nim nic wiedzieć nie może. Dla niej on musi być koniecznie śmiesznością, a ona dla niego mniej jeszcze — bo niczem. Gdybym wierzył w metempsychozę, pewnym byłbym, że Sokrates na ziemię powrócił pod imieniem Cieszkowskiego. Dziwna to wiara, ta metempsychoza jednych ludzi w drugich. Za naszych czasów wracają do niej. Twierdzą, że dotąd odbywała się bez świadomości, że ludzie umierali i w następne przechodzili pokolenia, ale nie wiedząc o tem, a że przyjdzie czas w historii rodu ludzkiego, w którym każde indywiduum przypomni sobie szereg wszystkich przetworzeń swoich. Od tego punktu zacznie się jasna wiedza przeszłości i nieśmiertelności na przyszłość etc. etc. Nie ma w tem nic niepodobnego do prawdy. Dlaczegoż obiecana nieśmiertelność nie miałaby się pod takim kształtem nam objawić? Powiedz mi, czyś Ty nie była przed wiekami ową Greczynką, co z wieży nad brzegiem morza zapalała co noc światło płonące i tęskna czuwała, — a ja tym Grekiem, co, przepłynąwszy Hellespont, skonał u stóp tej wieży pod Twemi oczyma? Kto wie, może w średnich wiekach Tyś się nazywała Francesca, możeśmy razem czytywali Galeotta, może już o nas Dant smutną pieśń śpiewał? I dlatego lubiłaś powtarzać wiersz: *L'amor, che a nullo amato*[205] etc. etc. nie wiedząc, nie pamiętając, że dla Ciebie napisany, a kiedyś później, na tej samej ziemi, ale przemienionej, ale podwyższonej, nagle znów obok siebie staniem, mgła nam z oczu spadnie, z serca niepamięć, poznamy się, lecz już wtedy na wieki! A gdzie to nastąpi? Może nie w starej Europie, może gdzie pod biegunem, kędy już lodów nie będzie, ale wzgórza zielone, ogrody, polane jasnemi elektryczności strumieniami, może gdzieś nad Niagary nurtami, których grzmot ucichnie, których każda fala stanie się słodką nutą muzyczną. O tej chwili może cała ziemia już nie dzisiejszą, ale inną drogą wędrować przez przestrzenie będzie, ujrzy bliski księżyc, jak widnokrąg złota, lub kometa jaki świecić nam będzie szmaragdowym ogniem. I podam Ci rękę, jak niegdyś przed tysiącem lat, by z brzegu wsiąść do barki na zatoce Neapolitańskiej, — ale teraz nie z Chiatamone[206] do barki, ale z ziemi do innej gwiazdy, na mojem oparta ramieniu Ty przejdziesz — a jednak to Ty, i to ja, nikt inny. Ty i ja zawsze! Poezja jest niezawodnie prawdą ostateczną przyszłości. Co ona marzy, to stanie się. Jej wszystkie obrazy będą stały i ruszały się w przestrzeniach, tak, jak teraz stoją i ruszają się tylko w umysłach naszych. Nie ma dwóch światów, nie ma dwóch Bogów, jest tylko Bóg, jest tylko świat jeden. Gdyby poezja była złudzeniem, fikcją, głupstwem, a jednak żyjącem, od kiedy człowiek żyje, toby z resztą odwiecznych przeczuciów człowieka trzeba także się schować. Kwiat uczucia najwyższy, to poezja, owoc najwyższy to religia. Zniszcz kwiat, co z owocem począć? Na takiej drodze trzeba by dojść do ateizmu, wszystko za ironię poczytać i za złudzenie. Nie ma rady: albo poezja, od której poczyna się religia, z której znów idzie filozofia, jest prawdy przeczuciem, albo religia i filozofia są także fikcjami. Taki związek między pięknością a prawdą, że pierwszej zgubić bez zadania ciosu śmiertelnego drugiej — nie można. A zatem, kto się dotknie poezji, kto ją kłamstwem nazwie, ten nie wie, co robi, ten siebie, świat i Boga zabija! Nie na to przez 6 tysięcy lat ród ludzki śpiewał pieśń swoją, by ona tylko marnym dźwiękiem być miała. Duch nasz żyje i kształci się w czasie, ale wieczność w sobie zawiera. Wszystko, co było, co jest, co będzie, w nim być może, a zatem i jest. Tylko że albo pod kształtem snu, albo pod kształtem przebudzenia. Otóż już i teraz to, co na ostatku będzie, Nowa Hierozolima, niebo, stan doskonałej ludzkości, przemiana jej w anielskość, zbawienie, szczęście wieczne, raj — jak chcesz to nazwij, ta rzeczywistość ostateczna jednem słowem już w nas jest. Tylko, że pod formą lotną myśli, wyobrażeń, obrazów i ona składa jedną z potęg koniecznych, wszędzie i zawsze objawiających się w duchu naszym. Gdy zapytam się Ciebie, jak zowie się ta potęga, odpowiesz mi zapewne: poezja. Tak, poezja jest to konieczność nieśmiertelnych przeznaczeń naszych, już teraz będąca w nas, jest to ciągłe proroctwo tego, co kiedyś będzie, jest to pojęcie świata i bytu w boskiej formie, jest to ciągła wizja przyszłości. Dopóki niebo w nas — nie naokoło nas — dopóty żyje poezja. Gdy my będziem w niebie, skona poezja, ale za to będzie niebo wtedy!

[205] *L'amor, che a nullo amato* (wł.) — Miłość, która nikogo kochanego (nie uwalnia od wzajemnego kochania); cytat z *Piekła* Dantego. [przypis redakcyjny]

[206] *Strada Chiatamone* — ulica w Neapolu. [przypis redakcyjny]

Oto masz prelekcję.

159. DO DELFINY POTOCKIEJ

18 w sobotę (styczeń 1840, Rzym)

Moja droga! Słaby jestem bardzo. Wczoraj po obiedzie, przyszedłszy do domu, padłem w pokoju na podłogę bez zmysłów. Było to w wieczór. Jana nie było. Zapewne z dziesięć minut tak przeleżałem, a potem przyszedłem do siebie, ale dotąd mam zawrót głowy, a w sercu wstręt do życia wszechmocny.

Pytasz mnie się o panie Potockie. Jednąm tylko, żonę Henryka[207] widział. Suchotnica; raz ją widziałem. Innych tych dam, z któremi Aleksander Pot[ocki] przyjechał, nie widziałem i zapewne nie obaczę. Co mi tam po nich! Cóż Ty powiadasz znowu, że zdaje Ci się, że mój przyjazd matkę Twoją zanadto zmartwi? A zaraz na następnej kartce listu mówisz mi, bym przyjechał. O przyszłości zaś mówisz, że nic nie wiesz, że od mojej woli zależy etc. etc. Boże mój! Tak od mojej woli, jak reszta przeznaczeń ludzkich! Jedną tylko rzecz mam od woli mojej zależną zupełnie tj. w łeb sobie strzelić albo nie strzelić. Zresztą nic — nic.

Ach! Dialy, ja umrzeć chcę, mnie piekło już pochłonęło. Nikt nie opisze, nikt nigdy nie wytłumaczy stanu, w którym jestem. Jam czasem przekonany, żem już zwariował. Biada mnie samemu i tym, którzy mnie kochają, bo ja wiecznie i oni ze mną wiecznie nieszczęśliwi być muszą. Ale oni mogą się znudzić mną, uwolnić ode mnie, zapomnieć o mnie. Ja nie mogę się od siebie wyzwolić — oni są szczęśliwsi!

Z Dąbr. się rozmówię. Myślę, że dobrze by było, gdybyś go i teraz miała, boby nam wiele stosunków ułatwił, ale na 1-go kwietnia koniecznie, jeśli myślisz wyjechać, musisz go wziąć nazad. O Twój furgon co dzień się targują cudzoziemcy, a jak przyjdzie brać i płacić, ni biorą, ni płacą. Od mego ojca nic a nic nie mam. Co pisał o Bran. już Ci doniosłem. Boże! Jakże nam w życiu szło wszystko spiesznie, rozerwanie, zawsze bez nadziei! Wtedy, kiedym na tym statku między Capri a Neapolem stał z Tobą, myślałem, że Cię w Genui opuszczę. W Genui pewny byłem, że w Como, — na jeziorze Como dopierom się dowiedział, że przez Splügen przejadę z Tobą — w Bregenz, gdym Cię żegnał, anim wiedział kiedy wrócę — w Baden, gdym Cię witał, anim myślał, że Cię w Mannheim zobaczę — w Mannheim, że w Frejburgu. Do Frejburga, gdyś przyjechała, czyż widmo St. Assise i Paryża nie wisiało nade mną co dnia? Czyż wiedziałem w septembrze, że i nowember mój będzie, że i jeszcze początek decembra mi darujesz? A teraz co? Gdzie? Jak? Przeklęte niechaj będzie życie bez przyszłości, życie bez nadziei, jakie ja wlokę od urodzenia, ja, człowiek ruin i wspomnień, przeszłości kochanek, płaczący za tem, co przeszło, nie wiedzący nigdy, co przyjdzie, nie ufny w dni, co mają nadejść — słowem ja!

Daruj mi, przebacz mi, że tak wybucham rozpacznemi jęki. Ja bym powinien Ciebie cieszyć, Twoje troski kołysać, usypiać bóle Twoje, a nie jątrzyć je temi daremnemi wykrzyknikami, temi podrzuty serca, w którem jędze siedzą. Ale Ty nie wiesz, Ty mnie nie znasz, Ty się nie domyślasz, co to jest być mną i czuć się co chwila mną — tak — Tyś mnie widziała — przysięgam Ci — Tyś mnie widziała zawsze szczęśliwym. Ty nie wiesz, co to ja, kiedy wpadnę w tę ponurość nieskończoną serca i rozumu, w tę noc wieczną ducha, którą potępieni cieszą się w piekle, a z której ja umieram na ziemi. Ty nie wiesz, co tysiące mąk rwących duszę moją na wszystkie strony — co ta pustynia we mnie samym — co to niepodobieństwo bycia zbawionym, które wtedy czuję. Powiadam Ci, anioł by z nieba zstąpił, a nie wymógłby na moich ustach jednego uśmiechu — przeklęty jestem, przeklętym się czuję — nie wiem, czy za winy ojców, czy za swoje własne. Ah! Umrzeć, nie być już, wszystko porwać, o wszystkiem zapomnieć — zapomnieć — zapomnieć, że tak gorzkie były słońca, tak cudnie piękne księżyca promienie — zapomnieć, że tyle ponurą była rzeczywistość, a tak boskiem marzenie — tak twardym i brudnym świat — tak śnieżną i słodką ustroń daleka — tak pustym i ponurym mój własny dom — tak jasnym Correo — tak anielskim Pfaun! Czemu mnie każden kawałeczek nici jedwabnej, każden listek suchy rozrzucony na podłodze Pfauna ściga, drażni, spać nie daje? Czemu

[207] *Henrykowa Potocka* — z domu Sułkowska. [przypis redakcyjny]

każda nuta tego fortepianu drga w mojem sercu, jak struna, co pęka, i pękając, z góry na dół serce przerzyna? Czyż to być może, że te dni uszły? Że te miesiące uleciały? Jak to? Dlaczego Ty już nie ze mną, a ja gdzie? Mnie tu nie ma! Tu jest tylko kat mój, ale nie ja. Jam został tam — lub jestem z Tobą — lub roztopiłem się w powietrzu! Szaleję, Dialy! Ręka Twoja niech na czole mojem będzie, jak cień, jak chłód, jak zimno zbawienne, co krew uśmierza, co mózgowi nie daje się rozlecieć, a sercu pęknąć. Taki stan mój — tak żyję. Niech Ciebie strzegą anieli! Ja szatanom na pastwę, na igraszkę się dostałem — ale wśród piekła ja kocham Ciebie.

160. DO DELFINY POTOCKIEJ

22-go stycznia, środa 1840, Rzym

Droga moja! Coś zatrutego, coś bezrozumnego, coś zwariowanego jest w rozdziale dwóch serc kochających się. Życie obojgu zamienia się wtedy na ciągły nonsens i na wieczną boleść. Co na przykład znaczy przebyć tak noc całą, jak ja dzisiejszą — słyszeć od 12-stej wszystkie bijące godziny aż do drugiej 12-stej, nie zmrużyć oka, a jednak wciąż śnić i marzyć — z Tobą ciągle być razem, a jednak nie być jednej chwili z Tobą. Nie wiem, czegom niebu nie ślubował dzisiaj za dzień choćby jeszcze jeden wolny do przebycia z Tobą. Były chwile, w których jak dziki zwierz rzucałem się i szarpałem firanki łóżka. Okrążyłem marę Twoją ramionami, brałem głowę Twoją w ciemnościach i przyciskałem ją do serca. Wołałem pocichu: „Dialy, Dialy, śpij", aż łzy mi z ócz płynęły, na przemian wściekłe, na przemian tęskne i smętne. Z dziecka przetwarzałem się w tygrysa, z tygrysa w dziecię, co wzdycha i kwili. Zdawało mi się już, że umrę tej nocy, że pęknie mi serce z żalu, mózg, pełny iskier, na popiół się spali! O, moja Dysz, Tyś nie słyszała, jak zgrzytałem zębami i wszystkiemi myśli, jakem przeklinał i buntował się, jakem wzywał Ciebie, jakem dawał za Ciebie duszę moją, marząc, że szatan jest na tym świecie i żartując z niego, bo kto dojdzie do takiego szczytu namiętności, do takiej burzy uczuć, do tak nieskończonego upragnienia, do takiego braku szczęścia i do takich marzeń o szczęściu, ten nie lęka się żadnych potęg na ziemi, ten by zaprosił umarłych na biesiadę i pił z nimi zdrowie śmierci, nie blednąc!

Ty strachu, duchu, Ty siostro, kochanko, Ty moja, Ty, co wszystkiem tem razem jesteś, bo, kiedyś bliska, siostrą i kochanką się zowiesz dni moich, a kiedy się oddalisz, stajesz się królową nocy, widmem, duchem nocy bezsennych, Ty zawsze jednak ta sama, Ty kochana, Ty Dialy moja! Kiedyż przepaską rąk moich obwiążę Ci kibić? Kiedyż Cię porwę i nieść będę na jawie w ramionach, tak, jak w snach co dzień Cię porywam, przyciskam do serca i noszę gdzieś, nie wiem, gdzie, ale noszę ciągle, daleko, silny, jak olbrzym, kiedy Ty lekka, jak wiązka kwiatów. O! W moje objęcia wrzuć się, jak ze skały wysokiej w morze, niech uczuję spadającą Ciebie w ramiona moje, niech Twoje usta uderzą mi w usta i zostaną do nich przykute na wieki! Jak piorun spada, niech szczęście pada na mnie i zdruzgoce mnie, niech umrę, spalony ogniem niebieskim!

Ty powiesz może, żem ja oszalał. Zowie się to dla rozsądku szaleństwem, ale dla namiętności, dla miłości, zowie się to powszednim stanem, stanem walki i pragnienia, siłą wszechmocną, która nieba domaga się na ziemi, która na ziemi gołej, brudnej i ciernistej żyć nie zdoła. To boska żądza, której trzeba chwil boskich w rzeczywistości albo śmierci! Dialy, Dialy, Diały, jedno albo drugie — Ty albo zginąć! Bo żyć bez Ciebie, marząc o Tobie, to być szatanem, co siedzi w piekle na stosie popiołu, a przypomina, że niegdyś tron miał z tęcz uwity na głowach gwiazd!

161. DO DELFINY POTOCKIEJ

27-go, poniedziałek, 1840 (styczeń, Rzym)

Droga, najdroższa! Twój list, sny Twoje, odebrałem, wszystkie wyrazy i błogosławieństwa miłości Twojej. Droga, droga moja, a we czwartek wieczorem będę w Pallazzo Gallo, w kilka godzin po tym liście. Dąbrowskiemu kazałem już szukać pokoju od 15-go

marca dla Ciebie — i dla mnie w pobliżu. Będzie regularnie przesyłał mi do Neapolu plany wynalezionych pokoi. Gdy zaś tu wrócę 1-go marca, to Ci go poślę do Neapolu, by się z Tobą zabrał, a sam czekać będę na Ciebie w Terracina. Jadę w środę o 4-ej z rana do Diszy mojej dyliżansem, przez Ceprano i Monte Cassino; przeklęty dyliżans nocuje w Ceprano. Dopiero we czwartek o 4-ej po południu stanę w Neapolu. Do hotelu Belle-Vue pójdę. Jak tylko się ubiorę, przyjdę do Dyszy mojej. Tak około 7-ej lub 8-ej w wieczór. List Twój zaraz Aleksandrowi oddam. Może i on ze mną pojedzie.

Pani Czosn. nie widziałem już nigdzie. Chybabym katalepsji dostał, gdybym chodził do niej do Correo, do tych drzwi, do tych pokojów. Ah! Dysz, jaki Twój sen straszny! Nim będę tam, gdzie śnieg, książkę Twoją fioletową zapełnię. Chyba tam drugą zacznę pisać, bo Twoja wkrótce pełna będzie.

Do obaczenia, Dysz droga! Pakuję się na łeb i na szyję, zostawiam wszystko u Dąbrowskiego. Do obaczenia, Dialy! Od dni piętnastu już jednej nocy nie spałem i prawiem nic nie jadł (wierz mi, wróciłem do neapolitańskich głodów). Dusza mi wre, mózg kipi, serce umiera ku Tobie. Jeśli Cię w Neapolu tylko myślą i wzrokiem uścisnę, to w Rzymie, Boże mi daruj, ja zabiję Cię jednem przyciśnieniem. Serce mi wybuchnie z piersi i Twoje na wskróś, Twego serca szukając, przebije.

Do obaczenia!

Twój, Twój, Twój Zyg.

162. DO EDWARDA JAROSZYŃSKIEGO

Roma, dnia 21 lutego 1840 r.

Pokój Tobie i domowi Twemu; pokój Boga niechaj będzie z wami! Temi słowy list zaczynam, ja, daleki od pokoju ducha, ale wiedzący, że sprzeczności, gdy dojdą do najwyższego stopnia zobopólnego rozwinięcia, spływają w siebie; wiedzący, że najnamiętniejsze stanowisko ducha jest bratem najspokojniejszej ciszy, byleby namiętność nie była podła, a cisza mierności spokojem.

Stakelberg, tutejszej ambasady sekretarz, mówił mi wczoraj, że przed ośmiu dniami posłał dyspensę dla Twego kuzyna. List Twój odebrałem w Neapolu; zaraz nie odpisałem, bom czuł się w rozerwanym stanie ducha. Teraz tu, w Romie, gdzie spokój ruin, co dzień większy, wszelkie rozdarcia i walki serca łagodzi, uśmierza piszę do Ciebie, i zacznę od przypomnienia Ci, że przed ośmiu miesiącami twierdziłem Ci przeczuciem, że już stanowisko Hegla przeskoczonem jest, a teraz mogę Ci tego dowieść rozumowaniem. Ten, co Hegla dalej rozwinął, poprawił w filozofii historii, a w absolutnej odmienił, jest to ziomek nasz, August Cieszkowski, z którym tu właśnie teraz jestem, a który na wiosnę w Berlinie wydrukował *Prolegomena zur Historiosophie*, księgę, nie większą od broszury, a zawierającą myśli takie, że duch nasz kornie się im ukłonić powinien.

Będę się starał w krótkich słowach Ci tę książeczkę opowiedzieć, wiele narobiła hałasu w Niemczech.

Pamiętasz, że Hegel w historii filozofii, wbrew wszystkim swoim własnym logicznym wywodom, nie na trychomią, ale na tetrachomią historią podzielił, a doszedłszy do teraźniejszości, skończył, jakby historia z nim już dopełniła się była, jakby przyszłości już nie było dla rodu ludzkiego, jak gdyby myśl myśli była najwyższem stanowiskiem ludzkości i wyższego pogodzenia sprzeczności od pogodzenia ich w myśli na świecie nigdy być nie miało.

Teraz występuje August i tak mówi: Logika Hegla jest prawdą absolutną, wszędzie zatem przystosowalną, w historii, jak w naturze. Historia trzy podziały i trzy tylko dostanie: 1. Przeszłość starożytna; 2. Epoka chrześcijańska; 3. Przyszłość. W filozofii Hegla schwycił się sam duch ludzki na uczynku: sumienie filozoficzne zeszło się z sumieniem ludzkości! To jest najwyższy, klasyczny punkt filozofii. Jak niegdyś sztuka grecka była klasycznym, najwyższym punktem sztuki, i jak od tego punktu sztuka, przez romantyczny kierunek, podniosła się wyżej, lecz zaczęła jednak przechodzić w filozofią, tak teraz filozofia także się podniesie wyżej, ale już nie jako filozofia, i zacznie przechodzić w pole

woli, działania, czynu absolutnego. Starożytność była epoką czucia; najwyższe jej stanowisko — sztuka! Sztuka jest to byt tożsamości bytu z myślą. Chrześcijaństwo było epoką myśli; najwyższe jej stanowisko — filozofia. Filozofia cóż to jest? Myśl tożsamości myśli i bytu! Sztuka jest już całością, i filozofia jest całością: jednak obie jeszcze pewnym abstrakcyjnym kierunkiem, formą raczej obciążone, bo w definicji pierwszej masz byt dwa razy, w definicji drugiej myśl tyleż powtórzoną; obie garną się ku wyższej syntezie, ku tożsamości, z zlewka ich samych wypadającej. Jakaż to jest? Jak się zowie ostateczne pogodzenie sprzeczności, ostateczne pojednanie myśli z bytem. Oto czyn, oto wola. Czucie, myśl, wola, oto trzy władze ducha, z których trzecia dwie pierwsze zamyka, zawiera pod kształtem jedności. Oto cecha trzeciej epoki, epoka woli być musi, woli absolutnej.

W Heglu wszystko się kończy na *Denken des Denkens*[208]. Z tej wysokości gazów nie umie on już zstąpić nazad i realność granitową na nogi postawić. U niego tak ciągnie się wszechrzecz[209]: Δ Λογοσ[210] — *duch* — *natura*, a doszedłszy do ducha, znów tak: Δ *sztuka* — *filozofia* — *czyn* — *filozofia*.

Cieszkowski tak uważa: Δ *sztuka* — *filozofia* — *religia*, czyli czucie, myśl, wola. W epoce woli wszystkie premisy dwóch pierwszych zlane, pogodzone, dopełnione zostaną; tylko, że zawsze akcent tu na woli postawionym będzie. Wola w uczuciu będzie to miłość absolutna; wola w myśli, czyli myśl, stająca się czynem, działalnością, potęgą, będzie to mądrość absolutna; wola w woli, czyn, wiecznie stający się, czyn czynu, będzie to wszechpotęga życia; a zatem te same predykaty ludzkości i ducha absolutnego: Miłość, Mądrość, Potęga!

Jeszcze inaczej on to wyraża: Starożytność była tezą, chrześcijańska epoka antytezą, przyszłość syntezą. Wiesz z logiki, że moment drugi, że antyteza nie tylko objawia się w sprzeczności z tezą, ale jeszcze w sobie samej zawiera rozerwanie konieczne, sprzeczność i walkę. I tak w starożytności, w tezie, w pączku nierozwitym, na polu całości w czuciu, na błoniach sztuki, nie było dwójności, nie było ziemi i nieba, przedgrobu i pogrobu była tylko jedna ziemia zielona! Chrześcijaństwo nie tylko, że stawia się w sprzeczności do świata pogańskiego, ale w własnej treści swojej rozdziera się na dwoje, jak ów welon świątyni o godzinie skonu Chrystusa: ziemia i niebo, padół łez przed grobem, błękit wiekuisty po grobie. Materia i myśl: pierwsza potępiona, druga wywyższona, zwycięska. Stąd romantyzm w sztuce, stąd brzydota, wprowadzona jako moment sztuki, jako materii znamię!

Teraz, gdy synteza się zbliża, czemże ona się objawi? Oto pewnym powrotem z antytezy do tezy; lecz nie takim, by antyteza z wyżyn zdobytych znów miała zstąpić na doliny tezy, ale takim, by teza wyszlachetniła się i podniosła i przylgnęła zrównać[211] myśli, teza antytezie. Materia musi ciążącego nad sobą pozbyć się przekleństwa, przez podniesienie się, przez stanie się *adognat* myśli. Natura cała musi przejść przez drugą kreację. Industrialny popęd nowego wieku sam o tem nie wie, że jest tego zwiastunem, i tego do antytezy — zatem potępioną już nie była, ale zbawioną i piękną. Byt musi tylko, niczego innego.

Dotąd, podług Augusta, były tylko w dziejach *Thatsachen*[212], teraz będą prawdziwe *Thaten*[213]. On je nazywa: *Nachteoretische Thaten*[214], by je rozróżnić od przeszłych czynów, które zawsze działy się na ślepo, a z których dopiero po ich objawieniu wysysano teorią.

W trzeciej, syntetycznej epoce, w epoce woli, inaczej dziać się musi: teoria poprzedzi czyn, i czyn będzie adognat teorii, byt wszędzie równy myśli. Tak się dzieje w Bogu. Bo musimy przyznać, że logika poprzedziła naturę, chociażeśmy dopiero logikę z natury wydobyli. Dotąd myśl z bytu się nam snuła, kiedyś byt z myśli snuć się będzie, i wola Boga będzie wolą naszą, lub nasza raczej boską.

W epoce czucia były wyrocznie, i proroki widzieli przyszłość; w epoce chrześcijaństwa byli głębocy myśliciele i przemyśliwali przyszłość; w epoce trzeciej będą wielcy ludzie,

[208] *Denken des Denkens* (niem.) — myślenie myślenia. [przypis redakcyjny]

[209] *tak ciągnie się wszechrzecz* — w tym miejscu w źródle pojawią się trzy diagramy, których z przyczyn technicznych nie można umieścić w naszej publikacji. [przypis edytorski]

[210] Λογοσ (gr.) — logos; słowo, idea. [przypis edytorski]

[211] *zrównać* — dorównać. [przypis redakcyjny]

[212] *Thatsachen* — fakty. [przypis redakcyjny]

[213] *Thaten* — czyny. [przypis redakcyjny]

[214] *Nachteoretische Thaten* — czyny po-teoretyczne. [przypis redakcyjny]

czynić będą przyszłość! Zatem najwyższa absolutna wola, czyn, realność, jest ostatecznem przeznaczeniem ludzkości; a myśl myśli, i pogodzenie sprzeczności bytu i myśli, w samej myśli tylko, abstrakcją, choć ją Hegel chciał udać za całość.

163. DO JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Rzym, dnia 23 lutego, 1840 r.

Kto mówi o Keatsu[215] Kto słyszał o Keatsu? Kto to jest Keats? Łzę litości upuść nad grobem dziecka, niech ptaszki szczebiocą hymn umarłych tej duszy, rozwiązanej przez edynburską krytykę — a teraz słuchaj i wiedz!

Gdy Byron zaczął drgać nad uszami ludzi (zawsze zrazu zaskorupionemi, aż powtórne drgania ich nie otworzą i nie oczyszczą), ludzie rzekli, żaląc się niezmiernym sposobem: „Ciemny, ciemny, ciemny!". Dziś w każde dziecię już wsiąkły myśli Byrona; siedzą malcy za ławkami, a rózga przy nich, i myślą, że są Korsarzami, Dżaurami, Manfredami, etc. Co ich matkom i ojcom z pracą niejaką wcisnęło się do mózgu, to już w ich żyłach, w ich krwi naturalnie żyje. Kiedy Goethe wydał *Fausta*, Niemcy całe wyprawiły nie wiem jakiego pedanta w poselstwie do samego Mefistofelesa z zaproszeniem, by sam diabeł przybył i wytłumaczył siebie samego. Mefistofeles, figlarz wielki, dał mu szczutka w nos i niezmiernie potem zesmętniał, a gdy go pedant zapytał, czemu? — „Oto temu, mości dobrodzieju, że dobre to były czasy, kiedy diabeł musiał tłumaczyć ludziom, w raju jeszcze, czy później za rajem, to, czego ludzie nie pojęli. Teraz już jedyny diabeł nosi imię: dziesięć lat. Odejdź waćpan, a gdy z piekła wrócisz do Weymaru, przywitają cię niezawodnie słowem Εὕρηκα[216], ale z większą obyczajnością, niż Archimedes, bo nie goli od stóp do głów na ulicy". I tak się stało. Po trzecie: gdy pan Adam zaczął balladkować (ty balladynujesz), kto nie porwał się z całej Polski przeciwko niemu? Pamiętam te czasy: brałem jego pierwsze tomiki, żarłem je, ale, dalibóg, nie rozumiałem. Wszystkie niedźwiedzie (bo to było w zimie), przestawszy ssać łapy, podniosły się i ryknęły: „Czego on chce"? Wszystkie wiewiórki z sosen pisnęły, zawieszając się na rudych ogonach: „Niedowarzony". A potem co się stało? Precz mi, precz raz jeszcze z grobem Keatsa!

Słuchaj i wiedz! W Tobie leży jeden ze znaków, że to, co poczytują za umarłe, nie umarło. Życie Twoje duchowe jest tak wzniosłem, że mi zawsze jest jakoby znakiem zmartwychwstania. Znam takie trzy duchy, każdego wielkim w swoim okręgu. Jeden przeszedł, minął, zostawił za sobą obelisk granitowy wśród pustyni. Obelisk stoi; ten, co go postawił, uczy Szwajcarów, jak nie mają nigdy umieć po łacinie. Drugi posiadł wszystko, na czem zbywało pierwszemu: posiadł język polski tak, jak się posiada kochankę, gotową na każde skinienie, na śmierć, gdy każesz, na życie, gdy spojrzysz; posiadł i pojął ten język magnetyzera cudną potęgą, tak, że nie on za językiem, ale język za nim goni i prosi go, i mówi mu: „Ot, cały twój jestem, każ, a posłucham, zawołasz — przybiegnę; mrugniesz w niebo — polecę tam; wskażesz piekło palcem — zstąpię do piekła; chcesz, bym stwardniał w bryłę — patrz, marmur ze mnie; bym w gaz się ulotnił — patrz, jakim błękitny i znów śniady przejrzysty, płynny, prawie już niebędący, jednak zawsze twój". Ten drugi duch zagarnął pod siebie wszystkie widnokręgi wyobraźni: to, co w pierwszym było jednością twardą, granitową, w siebie garnącą świat, w pewne ciaśniejsze kluby, niż sam wszechświat, chwytającą, tu się stało rozpłynieniem, powrotem do szerzy, do płynności światła, do gry tęcz, do fal muzyki, do woni kwiatów, do wszystkiego, co tylko chce się rozprysnąć i rozwiać na wszystkie strony, by znaleźć nieznalezionego Boga. Jest forma panteistyczna niezawodnie w tym drugim duchu: on stoi jako szyba mórz wśród wszechświata i odbija wszystkie słońca, księżyc, anioły, bogi, szatany, co się przesuwają nad nim. W nim właśnie jest jedność ich wszystkich; stąd pochodzi, że ludzie jego władzy nie umieją odkryć, bo im zawsze chodzi o to, co mają najbliżej pod nosem, nie o to, co nad głowami ich się dzieje, a to jednak dzieje się w niebie. Ten drugi duch, Ty wiesz, że to Ty! Trzeci, to August Cieszkowski, ale ten należy do filozofii. Otóż w was

[215] *Kto mówi o Keatsu?* — por. list do Reeve'a [nr 9 z 22 XII 1830 i nr 43 z 10 XI 1831; *Keatsu* — dziś popr. forma Msc.: o Keatsie; red. WL]. [przypis redakcyjny]

[216] Εὕρηκα (gr.) — znalazłem, wiem. [przypis redakcyjny]

trzech odgadnąć łacno, że ziemia, co was wydała, zieloną jest i że na jej mogiłach kwiaty porosną.

Widać, że Cię nie doszły nędzne wiersze, ale nie nędzne myśli, pod ich gałganami ukryte, któremi przed sześcią[217] tygodniami dziękowałem Tobie za Twoję pamięć, za Twój list, wtedy dopiero doszły do mnie, chociaż napisany przed rokiem. Com przed laty myślał o siostrze Aliny, to samo do dnia dzisiejszego myślę. *Midsummer-nights-dream*[218] doskonalszego, kapryśniejszego a jednak rzeczywistszego co do formy i treści swojej nie ma na świecie: płuc już dobrzem nadtracił i żółci mi przybyło niemało, od kiedy tłumaczę im, a oni nie rozumieją; nie widzą, że nawet pod historycznym względem ten czas winien być tak pojęty, bo był w rzeczywistości takim chaosem, taką mieszaniną, takim socjalnym grochem z kapustą, chrześcijaństwa, niedowarzonego jeszcze, i pogaństwa, usuwającego się z powierzchni ziemi. Dalej, wszystkie zarody narodowego charakteru postawione, rzucone doskonale, bez żadnego musu, bez intencji, bez pedanterii, słowem: poetycznie! „Ja bym zbawcę zbawił". Kto inny od szlachcica polskiego takie słowo powiedziałby na kuli ziemskiej? Jeśli jest brak ścisłej, klasycznej harmonii, to, że właśnie pojęcie dzieła zależy na tym braku widomej jedności, bo to są czasy mityczne, lecz tysiąc lat wyrwane po sobie z grobu, a zatem ariostycznej tylko formy zdolne, nie homerycznej ani eschylowskiej — zresztą, Ty lepiej to wszystko wiesz ode mnie. Mojem zdaniem, komu zaraz sypną się wieńce laurowe, ten znać, że diablą bufonadę, przystępną, zrozumiałą natychmiast wszystkim powiedział; kto ma nigdy nie umierać, niech poczeka trochę, aż żyć zacznie; wszystko, co tylko ma styczność z wiecznością, powoli się odbywa. Tak myślę; pochlebiać ni chciałbym, ni mógłbym. Choć moja natura śmiertelna, jednak w czasie ma w sobie zarody nieśmiertelne, a zatem i dumę, bo dumą duch trwa. Indywidualność, to duma, tylko pojąć trzeba, co duma, nie mieszać jej z fanfaronadą. Zatem prawdę Ci mówię szczerze: gdybym Cię liczył do *morituris*[219], równie szczerze bym milczał, milczenie jest albowiem mową grobów. A zatem, nie keatsuj mi się, ale wierz, że jesteś, i bądź, i idź dalej!

Za to, o co mię się pytasz, czy się może dąsam, z serca wdzięcznym Tobie i za pierwsze, i za drugie; kiedyś Ci odpiszę. A kiedy mówię „wdzięczny", to wdzięczny ze łzą w oku, z tą samą, co, nieraz może niewidoma Tobie, ale dotkliwa mnie, przesunęła się pod moją powieką tego samego wieczora, kiedym raz ostatni patrzył na drogę bolońską i żegnał Ciebie. W tej wieżyczce ciemno było, możeś się spostrzegł, żem płakał. Zgromię Cię tylko, Julu za jeden frazes. Skąd Tobie, znawco natury, instynkcie chodzący i wnikający we wnętrza rzeczy i serc, skąd Tobie, poeto, przyszło tak grubo się omylić w stosunku do jednej z najpiękniejszych, najnamiętniejszych dusz na ziemi? Mentorem i ochłodzicielem zowiesz przyjaciela mego — gorzka zaprawdę wesołość; pamiętaj jednak, że on pierwszy poznał się na *Balladynie*. Poeto! Kiedy ujrzysz blade lice, zasępione czoło, kiedy Ci się wyda, że chłód powiewa z twarzy takowej, pytaj się strun lutni sto razy o rozwiązanie zagadki, bo może pod tym alabastrem wre serce serc. Nie pokazywałem mu tego zdania w liście Twoim; on Ci się szczerze kłania, on tu jest ze mną. W tym duchu jest ogromny rytm, nadobna miara muzyczna: w najwyższych uniesieniach, w najdzikszych podrzutach jeszcze u niego przebija coś śpiewnego, coś harmonijnego, i właśnie to jego piękność stanowi, to jego władzę nad sobą; w charakterze tym jest pitagorejska siedmiostronność, jest odbłysk starożytnych całości.

Pozwól, bym Ci jeszcze jeden apolog o Tobie i o sztuce w ogóle powiedział: każdy wielki poeta jest niejako i objawicielem, tj. że nieobjawione wyrywa z szarej przestrzeni przedstworzenia i przenosi w jaźń świetlaną stworzenia i rzeczywistości. U niego dzieje się to w jednej chwili, torem błyskawicy, spadem gromu; lecz nim grom, co z niebios pada na ziemię i rozlewa się wśród pól zasianych, ukaże się, zniknąłszy od razu, ukaże się później pod kształtem wyklutego, zielonego zboża, musi minąć kilka tygodni. Otóż zboże to, wolno wschodzące, z gromu rodem, lecz późno, dopiero po uderzeniu gromowem widne, to są pojęcia w głowie publiczności (a zatem zielono jej w głowie). Grom sam — to poeta! Poeta

Chciałbym jeszcze z Tobą pomówić kęs o poezji. Poezja, zdaniem mojem, jest to wieczne przewidzenie najwyższych form, jakie czy na ziemi, czy w niebie przybiorą kie-

[217]*sześcią* (daw.) — sześcioma. [przypis edytorski]
[218]*Midsummer-nights-dream* (ang.) — *Sen nocy letniej*. [przypis redakcyjny]
[219]*morituris* (łac.) — mających umrzeć. [przypis redakcyjny]

dyś realne życie. Gdyby nie była tem, byłaby fikcją, że zaś tem jest, jest prawdą. W raju nie było poezji, w niebie nie będzie poezji pisanej; poezja śpiewana czy pisana jest to stan przejścia, jest to odwieczny wykrzyk braku, wykrzyk boleści na teraźniejszość, a zarazem hymn wesela na przyszłość. Jest to bóstwo człowieczego ducha, które burzy się wewnątrz niego, nim dostanie się na zewnątrz, nim stanie się krwią jego i ciałem. Zatem wszystkie fale poezji od początku świata garną się potokiem niewstrzymanym jęków i pieśni ku ostatecznej formie swojej, ku czynności, ku realności anielskiej. I nawet już teraz i dawniej i zawsze nie tylko była poezja śpiewana, ale istniały wśród prozy faktów połyski czynno-poetyczne. Są chwile w życiu, schwytliwe ręką, uderzalne serca biciem, widome oczom słuchalne uszyma, nigdzie nie pisane, ni drukowane, które nazwać muszę czynem poetycznym, czyli najwznioślejszą formą poezji, bóstwem życia. Kiedy więc, przeniósłszy mnie na kulę święto-petryńską, chciałbyś mię kusić do oddania pokłonu poezji, źle byś uczynił, bo kusiłbyś kusiciela, bo kusiłbyś samą pokusę, która by wtedy, rozwinąwszy skrzydła Ciebie samego porwała; porywając Cię w szpony, może by harfy Twojej w tej chwili połamała strun kilka i zaniosła Cię w wiry z ognia, w kłęby z dymu, wśród nie widm smętnych, ale olbrzymich postaci, zlepionych z marzeń, w krew i ciała już zmartwychpowstałych, przeszłych tam, gdzie każde uderzenie serca jest śpiewem, każda krwi kropla rymem jednym, każden wzrok średniówką, każden uścisk dłoni dytyrambem, a życie całe poematem poematów, bez śladu wielkim, bez chwały boskim, sobą żyjącym, w sobie skończonym i dopełnionym, jak pierścień jaki saturnowy z ognia i złota, zamknięty, ale toczący się wiecznym ruchem i tym ruchem mający w sobie nieskończoność.

Dotąd opisywałem Ci rozumem, krytyką, nie sercem, ale, kiedy papier się coraz bardziej umniejsza, czuję, że mi serce rośnie w stronę Twoją i rade by z piersi się wychylić, by spojrzeć ku Tobie. Julu, zaklinam Cię, nie dbaj o te gwary, które kiedyś nawrócą się do Ciebie! Trzymaj, na kształt harfy eolskiej, duszę Twoją wyżej nad wszystkie dłonie ludzi, wśród powiewów nieba: niech myśli Boga, promienie gwiazd i skrzydła przelatujących aniołów grają na niej, a nie myśli ludzi, redakcje paryskie, zdania, uwagi, rozprawy. Przymieszaj trochę żółci do Twoich lazurów, obaczysz, jak ten ziemski pierwiastek chemiczny ziemię przynęci do Ciebie: więcej jest wątrób na świecie, niż serc — ach, jakże Cię wtenczas będą rozumieć wątroby! Dalej, niezawodnie żółć jest w poecie tym klejem, co spaja rozerwane cząstki jego bytu, co świat cały przeistacza w jego osobę! Spróbuj, oni o to się domagają! Dopiero uczują Twoją rękę, gdy z gruba na nich uderzysz, gdy im spadnie ciężka, koścista na skronie. Dopóki wzniesiona w powietrzu i ku gwiazdom, ku przybytkowi Boga, dopóty oni myślą, że to biała lilia, rosnąca niewinnie na łąkach błękitnych przestrzeni. Do korda i na sejmik, rąbać mi i siekać, a zostawiwszy trupy na placu, znów poróść w skrzydła i zawisnąć na niebie! Julu, czekam na Twój list wendyjski; pamiętaj, że naszem polem jest sztuka i że o sztuce rozmawiać winniśmy. Dzięki Ci raz jeszcze za Twoją pamięć, i przyjaźń, i dobroć.

Zapewnie te ruiny miasta przetrzymają mnie ze sześć tygodni jeszcze; trzeba nie opuszczać już teraz żadnego zmartwychwstania Pańskiego, bo kto wie, czy liczba dni tych skróconą nie jest? Bądź zdrów, bądź szczęsny, bądź kochany! Nie mówię: bądź sławny, bo będziesz nim: nie życzę nikomu tego, co mu bogi dały. Dotąd wielki artysta, tylko artysta Cię obejmie, zgruntuje, zrozumie; ale Ty zstąpisz niżej, by wsiąknąć w serca malutkich. Gdybym miał i ja nareszcie jedną Ci uwagę uczynić, to jedyną tylko bym uczynił: granit rzuć pod Twoje tęcze; tęcza, gdy łukiem się zakala po niebie, winna stopy śliczne oprzeć na podstawie granitowej, to jeszcze ją lepiej tęczą robi.

A teraz myśl o mnie, pamiętaj o mnie! Tobie tortury zaczęły, mnie skończą życie; oddasz mi kiedyś (jesteś dobry) ten napój pociechy, który zawsze sączyłem Tobie, a nie tak z czary mózgu mego, jak z serca. Bądź mi sercem kiedyś, kiedyś w przyszłości! Ściskam Cię, jako dawniej nad drogą bolońską.

164. DO DELFINY POTOCKIEJ

18-go (marca 1840), Molo, środa

Jechałem noc całą, noc z 17-go na 18-ty marca. Jechałem, jak błyskawica leci; księżyc świecił złoty nad wszystkie złote księżyce. Zdawało mi się, że gdzieś wśród niebios, już po końcu świata. Bolu gardła i piersi nie czułem, bom myślał o Tobie i o Correo, Tyś była przy mnie ciągle, wraz z księżycem, w tym powozie, od stóp do głowy ubrana w białe miesięczne promienie. O szóstej z rana wjechałem między cyprysy i bukszpany Camposeli[220], wziąłem pokoje dla nas, pobiegłem na pocztę z kałamarzem, lakiem i piórem w kieszeni, by Ci zaraz odpisać, bo tak się krzyżują poczty rzymska i neapolitańska, że ledwo kwandrans czasu mieć mogłem [na napisanie listu, a poczta o milę włoską] od Camposeli odległa. Przybywam — kiedym nogę na progu poczty stawiał, od końca ulicy przeciwnego przyjeżdżał kurier neapolitański list Twój mi wiozący; drugi do Rzymu pisany pojechał sobie do Rzymu. Ten do Molo, ten w którym wątpisz, czy ja w Molo, otworzyłem, a serce mi z oczekiwania kruszyło się, jak lak pieczątki, którąm rozdzierał. Otworzyłem i co? Piszesz sobie niedbale o zamiarze matki, o wieczorze we czwartek, o tem, bym nos schował, jeśli przypadkiem dwie karety miasto jednej ujrzę etc. etc. Co Tobie się stało? Czyś zzimmniała dla mnie? Wróciłem, odpisawszy Ci naprędce, do Camposeli. Dzień długi, jutro dłuższe jeszcze, dopiero pojutrze, — biorę więc książkę, kładę się na sofę w Twoim pokoju, chcę czytać! Tak, czytać, właśnie serce pozwoli, — w sercu pełno smutku, bólu, lękliwości, zwątpienia. Nareszcie coś wściekłego mnie porywa, list Twój odczytuję, list Twój zimny, Dialy! Jak to, Ty nie wiesz, Tyś nie przeczuła, że ja będę w Molo? Tyś chyba zapomniała, że kiedym wyjeżdżał przed pięcia dniami z Neapolu, Tyś mówiła: „Gdybyś przynajmniej był w Molo, bliżej mnie, i czekał na mnie". Zapomniałaś o wszystkiem, o co Cię błagałem, prosiłem, byś wyjechała nie dzwoniąc i nie otrąbując światu całemu dnia Twego wyjazdu, tymczasem w wilię przystałaś na wieczór. Będziesz na wieczorze, — śpiewaj mi jeszcze, o śpiewaj, byś powtórnego bólu gardła dostała, dla indyków i gęsi, co Ci mówić będą: *C'est charmant*. Ubierz się po światowemu, zrzuć chusteczkę z szyi, by się przeziębić w wilię wyjazdu. Proszę Cię, bądź na tym wieczorze i pomyśl sobie, że kiedy z temi zwierzętami gadasz i żegnasz np. Bedmara, człowiek w Molo di Gaeta przy jednej świecy, w ciemnym pokoju, smutny i przetrawiony, siedzi sam i przeklina wszystko. Czyż zwierzętom wiecznie hołdować będziesz? Czyż człowieka zawsze im poświęcać? Czyż w walce między światem i mną ja przegram nareszcie? Niby Ty nie masz dość bystrego dowcipu, by matkę odwieść od jechania z Tobą? Nie możesz Natalii namówić, by się oparła? Ta umie nie robić, czego nie chce. Przysyłasz mnie zbolałemu, choremu, mnie umęczonemu od nie wiem wielu tygodni miły rozkaz, bym się schował, bym sobie nazad niewidziany pojechał, jeśli Twoja matka z Tobą będzie. Dialy, Dialy, Dialy, czegoś tak zzimniała? Czyż i Ty, siostrze podobna, im więcej kochana, tem mniej umiesz kochać? Dialy, zmiłuj się nade mną, ale nie godzi się tak lód i śnieg mi sypać na głowę. Pamiętasz, i ja kiedyś z ojcem byłem, a to inny człowiek, niż Twoja matka, człowiek woli nieugiętej, a kiedy przyszło rozdzielić się z nim, by pojechać z Tobą, czyż moja wola góry nie wzięła? Powiadasz: *cela serait dur et impoli*. Oh, Dialy! Teraz ten list, coś do mnie napisała, był *cruel*. Czasem Ty zupełnie wpadasz w chwile snu duszy, martwości serca, patrzysz, a nie widzisz, słuchasz, a nie słyszysz, nie wiesz sama, czy kochasz, czy nie. Świat Cię zgubił, świat dotąd trzyma Cię w ręku; Ty jemu niebo poświęcisz, a on Ci odpłaci niczem, zapomnieniem lub potwarzą. Serce, które Cię kocha, serce to moje rozedrzesz, wybierzesz siłę życia z niego, tkniesz go śmiercią po rozpaczach wielu; czyż wtedy świat przyjdzie Ci na pomoc? Czy znajdziesz pociechę w nim? Czy poda Ci przynajmniej dłoń, byś mogła klęknąć łatwiej przy grobie serca mego? Nie — nie — nie. Ten list Twój, chybaś go pisała nudzona całym salonem przechadzającym się w Twoim pokoju, ten list nie wyszedł z serca Twego, albo serce Twoje, zmęczone, usnęło na chwilę!

Patrz! Jestem tu w tych pięciu pustych pokojach, w tej ogromnej sali, spodziewam się Ciebie. Gdy wchodzę do pokoju, w którym masz dzień jeden przemieszkać, do pokoju, co czeka na Ciebie, za to, że może głowa Twoja przez noc jedną spocznie w nim, ja klękam i modlę się do tej głowy uśpionej w przyszłości. Ale czy wiesz, czy rozumiesz, ile ja chwil tu cierpkich przebędę, ile oczekiwań, zwątpień, niepewności, strachów, gwałtownych uniesień, niewstrzymanych wydzierań się ku Tobie pastwić się będzie nad moją

[220] *Villa Caposele* — (nie Camposele) koło Formia — zawiera szczątki rzekomej willi Cycerona. [przypis redakcyjny]

duszą? Jak duch skazany, potępiony, pokutujący, chodzić będę wzdłuż i wszerz przez te pokoje, aż Ty przyjedziesz. Ani chcę przypuszczać, byś z matką była, ani chcę, ani mogę, bobym wtedy padł na tę podłogę bez zmysłów: nie — nie — nie — nie!

Chory jestem na ciele, a gorzej na duszy. Wczoraj jeszcze rano synapizm przyłożyłem trzeci czy czwarty od pięciu dni. Ulżył mi trochę bólu gardła, ale teraz znów zaczyna. Gdym list Twój przeczytał, cała krew serca skoczyła mi, jak lawa wulkanu, do szyi i głowy, palę się żarami, płonę. Smutek mój z węgli wrzących, suche oko, nie ma łez temu smutkowi. Biję się sam z sobą i szarpię siebie i list Twój noszę na piersiach, a on jak gorycz, co przetrawia aż do kości i szpik w popiół zamienia. Nie, nie, Ty sama przybędziesz. Po dniach tylu, po tylu mękach, czyż jeszcze niżej trzeba zasunąć się w piekło? Nie, — już ja sił nie mam. Spojrzyj na Twój szmaragd, przeczytaj: „Zmiłuj się nade mną". Dialy, gdzie serce Twoje? Powiedz, czemu tak bałamucisz? „Czekaj, czekaj, czekaj", oto wieczny Twój głos do mnie; usłuchałbym go, gdybym mógł powtórzyć to samo: Czekaj, czekaj, — młodości, szczęściu, śmierci! Pamiętasz w Grunenbergu, tak samo się działo. Dzień po dniu, od godziny do godziny, gdybym nie był przyleciał, gdybym jak duch nie czuwał niewidomy nad opieszałością Twoją, czy byłabyś wyjechała? I tameś śpiewała, i tameś czasu nie miała na odpisanie mi słów dwóch, i tam światu sypałaś w ofierze hojną ręką cząstki życia mego, stracone, spalone w ogniu oczekiwania, zatrute jadem niepewności. Czy Ty mnie znasz? Czy Ty nie wiesz, z jakiegom kruszcu ulany? Czy nie wiesz, że umieram?! O Dialy, Dialy, nigdy niech Ci się nie zdarzy czekać na kochanego, na mnie czekać, nie — nie — nie. Nieprzyjacielowi śmierci bym życzył, ale nie miałbym sumienia mu życzyć takich dni, jako są te, które przeżywam, czekając na Ciebie. Gdybym dostał gorączki nerwowej, Ty byś zbladła, serce Twoje by się zlitowało, a wiedz, że lepsza stokroć gorączka nerwowa, dżuma łaskawsza, niż gorączka ducha, kiedy myśl każda wrzodem, każde serca uderzenie kamieniem, każden turkot pojazdu cięciem noża w piersi, a milczenie, kiedy przejedzie pojazd ten, grobem, nicością, z której zaraz potem znów wybucha gorączka, znów snuje się męczeństwo. Nie dziwiłbym się, gdybym się spalił, czekając na Ciebie. Przyjedziesz za późno, wysiadasz, pytasz się: „Gdzie Zygmunt mój?". A Jan smutno Cię prowadzi. Wchodzisz do mego pokoju, Jan jeszcze smutniej pokazuje ręką na stos węgli i popiołu leżący na ziemi. Oto Zygmunt Twój! Nie doczekał się Ciebie, to tylko po nim zostało!

Zatem w tym samym domu, o tej samej porze jestem, co przeszłego roku[221], kiedym wołał: „O zostań się, godzino", a teraz wołam: „Przemijaj prędzej, godzino, bo konam". To samo morze jednak, te same cyprysy i pomarańcze i światło i góry, wszystko to samo, tylko bez życia! Wszystko leży, jak ciało bez serca, bez duszy, nieupiększone siłą boską! Wszystko to wygląda mi na marę stworzenia, a nie na utwór, na arcydzieło! To dopiero arcydziełem będzie pojutrze! O! Ty jesteś najwyższa sztukmistrzyni, najdoskonalsza artystka pod niebem; ni dłuta, ni pędzla, ni harfy Ci nie potrzeba wcale. Tylko staniesz gdzie i spojrzysz, wnet światło się świetli, murawa się zieleni, góry błękitnieją, natura cała dostaje kształtu, barwy, życia. Ona była wprzódy, i światło i zieloność i błękit, wszystko to było wprzódy, ale jakieś światło bez jasności, kwiaty bez kolorów, niebo nie niebieskie. Przybądźże, Ty czarownico sztuki, Ty, bez której nie ma nigdzie poezji, Ty moje wielkie *Fiat*, bo choć to słowo Bóg wyrzekł przed wiekami, jeśli go nie powtórzysz teraz, dla mnie ono nie jest. Tyś w życiu mojem, czem w ogromnej kompozycji Haydna moment, w którym światło wytryska. Ten moment muzyczny jest alfą i omegą całości!

I tak zacząłem od łajania, a kończę na prawdzie, do pochlebstwa podobnej. Tak, do pochlebstwa, gdyby ją usta jakiego markiza wyrzekły, który by sam nie rozumiał, co mówi, ale to jest prawdą w moich ustach. Ty sama wiesz, a wiesz, że życie moje tam się zaczyna, gdzie Twoja przytomność, i razem z nią się kończy. Ty wiesz, że mnie nie ma, gdzie Ciebie nie ma, wtedy jest tylko ogromnie bolesne nie, które ludzie nazywają wciąż Zygmuntem, ale którego ja nazwać nie mogę. Gdybym mógł, Ty byś się rozpłakała, Ty byś darła włosy sobie, Ty byś zaraz tu przyjechała, zapomniała o świecie, o wszystkiem, boby to imię moje, to słowo, nauczyło Cię i wyraziło Tobie wszystkie męki tego, którego kochasz! Wszak Ty kochasz mnie?

[221] *co przeszłego roku* — 21 kwietnia 1839 zatrzymał się Krasiński w Mola di Gaeta, jadąc w towarzystwie D. P. do Neapolu. [przypis redakcyjny]

18-go w wieczór, Gaeta. Że też nie pękną mi piersi od mnóstwa tego wspomnień, od świata, nazwanego „Ty", który je rozdziera i bucha w nich i rzuca niemi, i na chwilę uciszyć się im nie daje.

Cały dzień mi zeszedł na rozpacznem oczekiwaniu. Gorczyca przepaliła mi mięso na gardle do muskułów. Wewnątrz gardło się pali także, nerwy sobie tańcują po całem ciele, jak na balu, a dusza, a serce wygląda Ciebie, sroższą niż nerwy i gardło miotane gorączką. Ileż godzin jeszcze takich przejść musi, nim Cię do duszy przycisnę, nim serce moje krzyknie Twojemu: „Ty, Ty dawno niewidziane!".

Chodziłem do grobu Cycerona. Język mu Livia przekłuć kazała szpilką złotą, kiedy głowę jego ściętą jej przynieśli. Czemuż żywej głowie pani Üxküll i tylu innych ja tej przysługi wyświadczyć nie mogę? Otóż długom chodził, czasem mi się marzyło, że to sen, Frejburg, Baden, Mediolan, że to sen, że rok 1840 także snem, żem na wiosnę 1839 r. i że jestem w Molo z Tobą, jedziemy do Neapolu, że ja mam płynąć do Sycylii, żem Cię na chwilę zostawił w Camposele, a sam wyszedł na drogę tę, że Ty tam czekasz na mnie, że zaraz wrócę i ujrzę Ciebie, że jutro do Neapolu ruszymy, że wysiądę na Toledzie, że iść piechotą będę aż do Vittorii obok pojazdu Twego, że przed Villa Reale Cię pożegnam, że godzinę później ujrzę Twą chustkę białą na ganku Chiatamone, że nazajutrz przeniesiesz się do Belle-Vue, że za tydzień popłynę do Palermo, że za drugi wrócę, zamieszkam u Krona, że wtedy zacznie się to życie nocy miesięcznych i gwiazd niebieskich i kwiatów na ziemi, że przez trzy miesiące będę całował cicho stopami wschody z śnieżnego marmuru, wiodące do Ciebie, że po tylu dniach słonecznych razu jednego oboje spojrzym, aliści płyniem oboje sami wśród wielkiego, nieskończonego morza, że brzegi Włoch przemijają, jak drzewa, po drodze, miasta Włoch nikną i giną. Że na ląd wysiędziem w Genui, że nad jeziorem Como zatrzymamy się dzień niebieski jeden, że przez Splügen przebierzem się, że się zabijem pierwszą śmiercią naszą, — rozdziałem, w Bregenz.

Otóż dziwnym zawrotem, dziwnym ruchem pierścienia lub węża, co głowę pożera, znów dotykam Frejburga, już bliski jego jestem.

Tak, nie wiem, czy to przeszłość, czy przyszłość, ale wiem, że część boska życia mego nosi imię Frejburg. Jak tam zaszedłem, lub jak tam się dostanę znowu, nie pytaj się, ja nie wiem, ja przecie w Molo di Gaeta jestem. Ja marzę o tem, co mnie się dopiero stać ma. Jakiś dobry anioł objawia mi przyszłość moją; otóż wiem, że mam być szczęśliwy w Frejburgu, że gdzieś jest miejsce, tak nazwane, które czeka na mnie. Marzy mi się, że widzę kościół jakiś gotycki, dom jakiś wiejski, wzgórza okryte zielonością, nigdym wprzód ich nie widział, nigdy tam nie byłem. Ah! To przyszłe dni moje tak pełne zieloności! Czemuż tak smętnieje okolica, zamglewa się niebo? Zimno mnie przeszywa, śnieg prószy, zdaje mi się, żem już nie w domu tym, ale gdzieś na drogach dalekich, długich świata, zawsze jednak z Tobą, a zatem dobrze, nie lękam się niczego. Choć już nie słońce świeci, ale chmury się czernią, choć już nie murawa, ale lody po skałach i górach, co mnie to szkodzi, kiedy przeczuwam, żem wciąż z Tobą — wciąż — wciąż — — aż gdzie?... Co to jest? Czy Ty mnie opuszczasz, dobry aniele mój? Aniele, czy powtórna śmierć moja się zbliża? Oh! Zaprawdę śmierć — śmierć. Teraz przyszedłem do zmysłów, obudziłem się ze snu, pod grobem Cycerona. Ja umarły, ja upiór, ja nie z Tobą od dni tylu, tylu już, droga!

Przeklęty niech będę, żem opuścił dom ten wiejski i tę katedrę gotycką. Czemuż się rozstaliśmy? Patrz! Jak nam trudno teraz znów się połączyć. Oh! Niech się połączę z Tobą, a nigdy, nigdy już się nie rozstanę więcej. Wiem teraz, co to umierać, — co to umrzeć, — co być umarłym. W Terracina zabito mnie ćwiekami do trumny i odesłano do Rzymu. Od chwili tej jeszczem nie zmartwychwstał, a życie pracuje, wre, burzy się w moim duchu. Zmartwychwstaję wiecznie, a nie mogę zmartwychwstać. Irydion inaczej mówił, lecz nie cierpiał więcej! Konam wiecznie, a nie mogę skonać! — wołał Grek nieszczęśliwy. Teraz osądź, co okropniejszem, co bardziej rozdzierającem, czy niedopełnienie żądzy śmierci, czy życia? Były niegdyś chwile, w których Sygurd pragnął nicości, a teraz wzywa niebieskich uniesień — woła i prosi się życia i piękności — życia, co było jego życiem, piękności, co była jego pięknością — o zmiłuj się Ty, zmiłuj nade mną!

Z pokoju w pokój, to powoli, to gwałtownie, przemyka się Zygmunt, od kiedy tu przybył; — przywiózł dwie książki: *Estetykę*Hegla i *Historię Rusi* Lelewela. Gdy weźmie pierwszą do ręki, wnet rzuca dla drugiej, a gdy drugą rzuci, że trzeciej nie ma, trzeciej

nie bierze. Gdyby miał sto, sto by przerzucił tak samo. Filozofia umiała niegdyś spokoić burzliwe chwile zygmuntowe — ale te czasy minęły. Dziś uczucie zanadto wielmożne, by niemiecki rozum zdołał walczyć z niem. Zygmunt czyta, ale litery tylko, bo oczy jego czytać umieją, słów dusza nie rozumie. W jednym kącie Twego pokoju leży więc *Estetyka*, w drugim *Historia*.

Teraz noc — cicho — w tej dużej sali dwie świece — Zygmunt przy stole pisze — Ty o pięć poczt daleka — a jednak tak ogromnie rozdzielona od Zygmunta. Ty masz przybyć pojutrze, a jednak zda się jemu, że wieczność przegradza Ciebie od niego. Dlaczegoż to piekielne złudzenie? Dlaczegoż nie czuję, żeś blisko, niedaleko, dlaczegoż nie piję już z czary szczęścia — czemu dotąd kubek trucizny stoi na tym stole przede mną?

Mówiłem sobie w Rzymie: „Będę spokojnie i radośnie siedział w Camposele, nim ona nadjedzie, natchniony bliskością szczęścia poemat napisać chcę — dawnom już nic nie pisał". Rozśmiej się, Dialy, śmiej się ze mnie. Im bliższa godzina połączeń, tem siła rozdziału, co ma skonać wkrótce, wzmaga się także. Rozdział gorączki dostaje. Rozdział staje się gwałtownym i mocnym, jak wariat. Rozdział teraz mnie trzyma za włosy, kolanem w pierś mnie gniecie i nóż mi w sercu zatapia. Śmiej się z myśli pisania poematu, z takim gościem przy sobie. Ten list czy dziennik będzie prawdziwym stanu duszy mojej opisem, jedynym poematem, któregom zdolny. Co Ty już takich łachmanów, szmat duszy mojej, krwawych szmat, mieć musisz, Dialy — kilka tomów listów moich! W tych dniach ostatnich ja Twojem listy wszystkie uporządkował i przebiegłem od pierwszego bileciku, pytającego się o zdrowie moje, od pierwszego listu, żartującego z myśli porwania za pomocą małp wiosłujących — do ostatniej karteczki, przez Dąbrowskiego temu dni 6 z rana mi przesłanej. — A w środku, między temi dwoma, leżą wszystkie skarby moje, zebrane w Frankfurcie, Frejburgu, Rzymie. — Widziałem na nowo napis: „A. Mr. Sig. de Grunenberg". Odczytałem wiersze francuskie, jednego ranka mi przez Nanetę przyniesione w Pfaunie. — Wszystko, wszystkom przebiegł, ocałował, zczytał, opłakał, wdzięcznością związał i tam zostawił, pod Twoim obrazem, na brzegach Tybru.

Jutro więc wieczór, Mościa Pani, w Palazzo Gallo. Winszuję, ścielę się do nóżek. I ja tu będę na balu, drzazgi będą tańcować w kominie, a wiatr im grać mazura z dachu. Ha! Gdyby można ten wieczór utopić w łyżce wody! Bedmara powiesić na ogonie rosłego konia i puścić na Chiaię, — Bugaja tysiącem kozackich, jego własnych, nahajów poczęstować i wyrzucić przez okno — neapolitańczykom szczutka dać w nos — oni by myśleli, że kula pistoletowa — uciekliby!

Ha! Mogłaś, mogłaś ten wieczór odwrócić. — Czemże świat Ci tyle chwil straconych wynagrodzi? Za co mu hołdować, kiedy on nie jest panem. Tym tylko służy, którzy mu nie służą, a wyżsi są od niego. W walce między światem a indywiduum, indywiduum wygra, jeśli ma prawdziwą wyższość umysłową, powiadam Ci, że wygra. — Lord Byron czy przegrał? George Sand czy przegrał?

Przyjm moje życzenia na wieczór ten. Zapewne już o tej godzinie ruch w domu. Grzegorz świece kupuje do kandelabrów. Myślą o waszych strojach. Zefiryna frazes wysoce przystojny po angielsku powiedziała o chustce z muślinu, — Natalia, jak basza, leży rozciągnięta na sofie, a Hołyński na krześle przy jej nogach milczy. — Ty — a Ty! Czy Ty myślisz, żem tu w Molo i że piszę do Ciebie?

Im więcej rozważam i bardziej modlę się do Boga, tem pewniejszy jestem, że Twoja matka nigdy nie ruszy z Neapolu, przynajmniej nigdy razem z Tobą w piątek, bo gdzieżby była gotowa do drogi nazajutrz po wielkim wieczorze! I wcale się nie ruszy, pieniędzy nie ma, potem Natalia!

Noc — cicho — pusto, dobre Camposele. — Nikt nie przyjeżdża. — Jutro Ty musisz trochę cierpieć, jutro się dowiesz, że ja tu cierpię. Nie wiem czemu, ale rad jestem, że podczas tego wieczoru Ty już będziesz wiedziała, że ja tu i żem nieszczęśliwy. To zaćmi białość pereł na szyi Twojej. Wy kobiety! Nigdy nie pojmujecie podniosłości, gwałtowności, pospiechu, niewstrzymanych boleści serc męskich. — Co w was rozwodzi się na szeroką przestrzeń, jak ta elektryczność, której nie znać w powietrzu, to u nas się skupia w piorun! Wy umiecie cierpieć, cierpienie stało się sztuką waszą. Cierpienie u was tak głębokie, tak ukryte, tak niewidome, że szpilki jednej nie zrzuci z kołnierzyków waszych. — U nas głowę nam z karku zrzuca, serce z piersi wydziera. — Wychowanie wasze jest

niewolnic nauką. Jarzmo dźwigacie za wcześnie, — serce wam rośnie w głąb, nie ku powierzchni piersi, — wasze życie skrzywione, — godność poniżona, — wyobrażenie cnoty waszej niczem innem od wyobrażenia niewoli. Wstydzicie się szlachetności waszej, na myśl, że uczucie wielkie, silne i boskie mogłoby przypadkiem lica wasze powlec bladością, już bledniecie, a czujecie jednak w każdej chwili, w każdem miejscu, że to stan fałszywy, nędzny, haniebny, nieznośny. — Biedne jesteście! Ale bliski już dzień, w którym wam będzie i godniej i lepiej, w którym rozpusta zniknie z ziemi, ale za to miłość zstąpi i wolność dla was na ziemię. — Wtedy nie odwrócicie czoła zarumienionego od tego, któremuście po cichu rzekły w głębi serca: „kocham", wtedy wybór wasz będzie świętem prawem waszem, wtedy ustanie wyobrażenie najdziksze i najtwardziej pozbawione rozumu i czucia, że tylko po połowie może kochanego ukochać kobieta, — serce i duszę oddać, a siebie zatrzymać. Dla kogo? Komu? Bóg całość stworzył, a nie ułamek. Miłość nie jest arytmetyką ułamków, ale życiem całości. Serce męskie inaczej bije, — nie zarzucam nic niewieściemu, forma jego tylko ułomna, ale ono samo anielskie — lecz forma męskich uczuć daleko wznioślejszą, — tchnie wolnością, — pełna godności, — patrzy w słońce i, nie mrużąc ócz, pije światło słońca.

Pomyśl, co cierpi takie serce w chwilach podobnych tym, które teraz przebywam. Pamiętasz, opowiadałem Ci, że czasem w gabinetach anatomicznych na świeżo wydarte serce kładą deskę, i człowiek staje na desce, a ostatnie serca konwulsje tyle mają siły, że tę deskę z człowiekiem podnoszą. — Dziś serce moje pod taką deską. Jutro serce moje pod taką deską, — powiedz, co będzie pojutrze!

165. DO DELFINY POTOCKIEJ

Gaeta, 20 marca, piątek (1840). Wieczór 7½

Dopierom co wrócił z Carigliano. Czekałem na moście żelaznym, aż mię słabość duszy porwała i rozpłakałem się, że nie spieszysz do mnie. Zacząłem truchleć, czyś znowu nie zasłabła, potem wróciłem przez tę całą pocztę w nieopisanym smutku. Ale tu, wróciwszy, odczytałem list Twój po raz dziesiąty — uspokoił mnie. Dziś rano był deszcz i wicher w Neapolu — nie mogłaś wyruszyć. Ale jutro obiecałaś! Dotrzymasz — jutro o tej godzinie będziesz tu ze mną.

Jestem ostatni tu wieczór, który przebędę na pisaniu do Ciebie; chcę zapisać tu więc coś, coby zostało po mnie, jak ślad myśli, gdybym, tej myśli nie wykonawszy, umarł. Słuchaj, Dialy! Poszedłem, przestawszy pisać z rana, pomiędzy góry. Długom chodził, myśląc o Tobie, wyglądając Ciebie. Pogoda zaczęła błyskać kawałkami błękitu po niebie. Stąd lepsza w mej duszy otucha, stąd jakieś serca rozweselenie. W dzikiem ustroniu, wśród obłamanych głazów usiadłem w ciepłych promieniach słońca; pod nogami morze, Capri i Ischia przed okiem, za wysuwającym się przylądkiem Neapol i dusza duszy mojej — Ty!

Otóż, kiedy tak siedzę, nagle uderzyła na mnie dawno nie doznana żądza, żądza snów moich młodocianych. Żądza nieśmiertelności! Ale już nie dla mnie osobno, nie dla mnie tylko — żądza, byś Ty była nieśmiertelną w pamięci ludzi, potrzeba konieczna, bym ja Cię wyrwał spośród znikomych i znaną postawił przed ludźmi na wieki — tak, jak Beatrice Danta — tak, jak Laura Petrarki! A mówię tylko o żądzy ducha mego, o potrzebie serca mego, Dialy, tylko o tem teraz mówię, nie zaś o skutku, o wykonaniu, o doprowadzeniu snu do rzeczywistości. Mówię tylko, że kiedym siedział na tym kamieniu i słońce zza chmur wyszło, ogrzało mnie światłem, nagle z temi promieniami spadła w moje piersi myśl głęboka, pomysł na dal, pomysł szerokiego dzieła sztuki, kędy Ty masz być królową.

Czytałem Ci niedawno 2-giej części *Fausta* rozbiór — poema to, widziałaś, że obejmuje całej ludzkości dzieje i przeznaczenia, ale pod formą idei, ale pod formą rozwijali się sztuki. Grecka Helena i romantyczna poezja tam głównymi są aktorami. Wszystkich wieków czyny występują wyrażone przez sztuki koleje. Ludzkość tam jest literaturą! W moim pomyśle inaczej. Jeśli to poema, w imieniu Twojem zawiązane w głowie mojej na tym kamieniu, będzie kiedy — to będzie ono poematem woli i czynu, nie sztuki. W niem wola i czyn w sferę sztuki przeniesionemi zostaną, a nie sztuka *wysztuczona*, jak

u Goethego. Już tego poematu jest część jedna, sama nic nie znacząca — dopiera ważna, kiedy pierwszą część i trzecią, ostatnią, za towarzyszki dostanie.

Ta część, która jest, a sama niewiele znaczy, zowie się *Nieboska Komedia*.

Już przed dwoma laty myślałem I-szą część, początek do niej napisać, nawet-em napisał ułomek, który Ci kiedyś przelotem czytałem — ale nigdy pomysł tej całości i tego ogromu mnie się tak jasno i koniecznie nie objawił, jak dziś, kiedy na tym kamieniu, nagle, myśląc o Tobie, zażądałem w głębi serca, byś nigdy nie umarła na ziemi.

Niech Ci przypomnę zarys I-szej części.

Ten, co ludzkość, co typ człowieka wystawia, Hr. Henryk, na początku I-szej części ledwo młodym jest. Ta pierwsza część, będzie to poema młodości. Przyjaciel starszy jest przy nim, a ten przyjaciel, to anioł stróż, widomy, dopóki człowiek dzieckiem, dopóki walka życia nie poczęta jeszcze, a znikający, jak tylko się pocznie. Scena otwiera się na górach niedaleko Wenecji; młodzieniec hasa po nich i poluje. Tymczasem przyjaciel został się na szczycie skały i modli się do Boga o tę duszę, co wkrótce żyć zacznie w realnym świecie i walczyć wśród rozerwania świata — prosi Boga, by mu pozwolił snem fantastycznym prawdę jej ukazać.

Wieczorem obłąkuje go w dolinie, mgłami zawianej, nagle sen ciężki zsyła mu na oczy młodzieniec, zasypiając, marzy, że twarz przyjaciela przemieniła się na twarz Danta. Sen się zaczyna. Duch Danta wiedzie młodzieńca. W tym śnie ma być prawda epoki naszej. Epoka nasza jest przejścia epoką. Każda podobna nosi barwę przemożną złego, bywa piekłem na ziemi. Bo z jednej strony wiary stare upadły, nowe nie wywikłały się jeszcze. Równie gwałtownie i nieubłaganie jedni ludzie stoją przy prawach przeszłości, drudzy przy nadziejach przyszłości, a pierwsze już niesłuszne, drugie jeszcze nie są słuszne. Zatem walka i niesprawiedliwość, i gwałt z każdej strony, i brak Boga wszędzie. W innych epokach, gdy są ścisłe, pewne wiary, niezawodne, określone niebiosa, obrzędy, religie, piekło bywa gdzieś, ale nie tu. W naszych czasach piekieł nie ma za ziemią, pod ziemią, ale one są na ziemi.

W tym śnie zatem Dante prowadzi młodzieńca po ziemi — do koszar, gdzie wojska, czyli zezwierzęceni ludzie. Do sekretnych policyj, gdzie uszatanieni ludzie. Do giełdy, gdzie upodleni ludzie. Do klubów, gdzie zwariowani ludzie. Do fabryk, gdzie nędzą niżej od zwierząt przyduszeni ludzie. Pokazuje mu wszędzie dobry byt (który jest środkiem godziwym i potężnym), wzięty za cel, a przez to zamieniony na niegodziwość i podłość. Słowem ten sen fantastyczny niczem innem jak wprowadzeniem aktora na scenę i opisem dekoracji na tejże scenie będącej.

Gdy się przebudzi młodzieniec, pełny wstrętu i magicznych przelęknień, gdzież się przebudzi?

Ot, w mieście, które kochasz, w Wenecji.

Tam on musi spotkać Ciebie, tam żyć z Tobą. Tam ja Ciebie muszę z fal Adriatyku wyrwać jak drugą boginię piękności, tam na dnie morza znaleźć pierścień złoty dożów i włożyć go na duszę Twoją, by ta dusza Twa zaprzedała się mojemu natchnieniu i oddała mi się na zawsze. By Twój charakter przenieść z pola życia w sferę sztuki, trzeba o stopień trzeci jeden podnieść znany dotąd i idealizowany typ kobiecy. Ty masz w charakterze swoim przeszłość i przyszłość kobiet zarazem. Te trzeba związać, spoić razem i uharmonizować, by stanęła idealna Dialy — Twój charakter jest zarazem tkliwy, lękliwy, bo znerwowany, śmiały, nieskończenie ponury — coś byrońskiego w nim oddycha. Ty nie jesteś charakterem, typem, istotą czasu pewnego, już osiadłego, mającego objawione wszystkie warunki życia i bytu — ni Andromacha Hektora ni Julia Romea z Ciebie być nie może. Ty, jak cała epoka nasza, idziesz z przeszłości, a idziesz, nie zatrzymując się, ku przyszłości. To pochodzenie, to niezatrzymanie się Twoje i ten ruch Twój wydać potrzeba — a w tem jest coś niezmiernie tragicznego, bo Ty cierpisz na tem — Ty żądasz domu i wypoczynku, a jednak iść dalej musisz — przyszłość Cię porywa, przeszłość Cię popycha — masz dość odwagi, by dążyć naprzód, a tysiącami łez i westchnień dowodzisz, żeś córką przeszłości. I będziesz w tym poemacie, będziesz, jako jesteś w sercu mojem i na obrazie tym badeńskim, boginią smutku i podniosłej hardości, panią niedoli i uroku zarazem! My oboje to samo jesteśmy — Ty po kobiecemu, ja po męsku. Zbliżają się czasy zbliżeń zobopólnych i pojednań. Ja mam coś z tkliwości niewieściej, Ty coś z ponurości

męskiej. Obojeśmy figurami epoki, co nie jest *twoją własną*, ale cudzych, innych dwóch epok się dotyka i jęczy i płacze pomiędzy niemi.

A zatem w Wenecji się objawisz. Tam Cię młodzieniec kochać będzie, Ty jego — tam was czarna po falach unosić gondola, tam, pod mostem westchnień przepływając, nieraz wspomnicie o mnie! Tam pałac mieć musisz — sale długie, karmazynowe, złocone, o obrazach Tycjana, o posągach, z Konstantynopola wziętych, o gankach, co się wychylają na zewnątrz domów, o wschodach z marmuru, co zstępują w kanały.

Tam kochać będziesz, tam walczyć ze światem, tam Hr. Henryk, duszę Twą ukochawszy, tknięty jej pamięcią, na resztę dni swoich już zapomni, co inną ukochać. Tam zaczną się i skończą losy serca jego, a Twoja postać zostanie, jak postać boska, co świeciła jego młodości, jak gwiazda polarna, diamentowa, nieruchoma na tem niebie, na którem wszystko się rusza i odmienia.

Wiesz, co w drugiej części, w tej którąś czytała. Jest to wiek męski: polityka, osobisty interes, walka wyobrażeń arystokratycznych z demokratycznemi, nareszcie przegrana pozorna pierwszych, zgon Henryka, zwycięstwo ludu — a jednak przy końcu śmierć naczelnika demokracji i wyznanie ust umierających jego: „*Galilaee, vicisti*".

Trzecia część, to starość, ale wielka starość, prawdziwa starość — to to samo, co młodość, tylko pod wyżej rozwiniętą formą: potem nie ma starości dla ludzkości, jest tylko dla indywiduum. — Wiek trzeci ludzkości to postęp, wywyższenie, pokój, zgoda, rozum i uczucie, pojednane razem — to wiosna, ale harmonijna, nie w ciągłej walce, jak pierwsza!

W tej trzeciej części musi znaleźć się przetworzenie ludzkości. I Ty, i Henryk tu zmartwychwstać musicie. Ale Ty już nie w Wenecji, Henryk już nie jako wódz stronnictwa: Ty jako coś anielskiego na ziemi, Henryk jako przewodnik ludu, całego, pogodzonego, jednego.

Henryk na pozór tylko zginął. Ocalony został przez duchy Pańskie i oddalony od zgiełku świata, nim burza nie przeminie. Tam gdzieś w pustyni, gdzieś w jaskini lata mu schodzą na rozpamiętywaniu życia i odgadywaniu innego, wyższego — a Ty, jak duch, siedzisz przy nim i poprawiasz knot u lampy jego czuwań i szeptasz mu do ucha przeczucia przyszłości.

Tymczasem arystokracja i demokracja zużyły się na ziemi — ludzie westchnęli ku zgodzie i jedności. Ludzie sobie przypomnieli, że kiedyś żył młodzieniec, co śpiewał o przyszłości, a później walczył za przeszłość i zginął — a zatem w tym duchu była prawda, pogodzenie przeszłości z przyszłością, one obie pojęte!

W takim stanie świata wróci Henryk pomiędzy ludzi — oni go okrzykną za przewodnika. On poezję lat młodych na rzeczywistość zamieni — on wszystkich podniesie, wywyższy, uszlachci, a nikogo nie poniży. Wszyscy się zrównają, ale na wysokości, nie na padole!

Taki pomysł. Może umrę nim go zdołam wykonać — skreśliłem go tu kilku słowami. Ten pomysł obejmuje świat cały idei, zdarzeń, czynów, uczuć, walk, namiętności. Jest to ludzkość w rozwijaniach się swoich historycznych i uczuciowych. Jest to byt poetyczny ludzkości.

W I-szej części najwięcej przeważać będzie indywiduum, w trzeciej najbardziej ludzkość. W tej trzeciej musi się wszystko przetworzyć, podnieść, pogodzić — religia, polityka, socjalność! Koniec winien być jak w *Fauście*, boski, nadziemski, a jednak ziemski zarazem. Tam głos Twój także słyszan będzie wśród głosów — wyżej ponad głosy aniołów!

Taki szkic mi wpadł do mózgu dziś w tych promieniach słońca, co mi obiecały na jutro pogodę i wyjazd Twój z Neapolu.

O przybądź — przybądź, Ty, Beatrice moja! A jeśli umrę wcześnie, pamiętaj o tej żądzy mojej, o tej żądzy, byś Ty nigdy nie umarła na ziemi, byś Ty zawsze pamiętaną była. Dałaś mi szczęście — o gdybym mógł dać Ci nieśmiertelność!

Kochanek romantyczny, Poeta, Kobieta, Nieśmiertelność

166. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Roma, w samą Wielkanoc 1840

Mój drogi Konstanty! Czy Dydaktyczne Poema piszesz, że na Twojej pieczątce, miasto K. G., wyczytałem D. P.? Oskarżasz mnie o milczenie; słusznie, przewiniłem, ale też przez całą zimę wciążem był w ruchu, ciągle na drodze między Romą a Partenopą, tam i stamtąd, nieraz smutny, a często chory i bardzo chory, choć nie na oczy, choć nie w łóżku, aż nareszciem się przekonał, że mam solitera w sobie. I nie ma dnia, w którym bym okropnie nie cierpiał.

Dzięki Ci, drogi, za to, coś dał Jerzemu[222] dla mnie. Jerzy tu wkrótce będzie i odbiorę gościniec Twój.

No, proszę Cię, jak też nas rozrzuciły losy! Von Bilberstein[223] u Persów, ty w Aix, ja w tej Romie odwiecznej! A kiedyś, nie przewidując przyszłych niebios, co nam głowy wieńczyć miały na przemian to wiankiem gwiazd, to splotami cierni, pamiętasz, jako razem, ciasnym ale silnym i pełnym braterstwa okręgiem „ery fajkowej" objęci, siedzieliśmy po długich wieczorach, rymując, figlując, tak młodzi, tak niedbali, że nie znaliśmy, co wyraz „jutro", tylko wiedzieli, co słowo „dzisiaj". Pamiętasz postać panny Heleny, i twarz centkowaną Jakubowskiego, ów dramat w garderobie babki mojej? Pamiętasz błonia wiośniane Opinogóry, kszyków latających beki w powietrzu, bór sosnowy koło domu leśnika, krę na Narwi — oto jest *Pan Tadeusz* życia naszego. Zgoła epoka, a epopeiczna, a spokojna, a tak zanurzona w oddal przeszłości, że tylko łza w naszem oku poświadcza naszym duszom, że to my, ci sami, co dzisiaj, jej wtedy doznali, w niej żyli, w wista grali, płatali figle, kochali się, skakali rubasznie i dziecinne, jak szlachta polska! Mój Ty Konstanty! Żeby nam wtedy duch jaki był powiedział, że raz ostatni na długie lata żegnamy się w Błoniu, że przez te lata długie Ty z Prowancji, ja z gruzów Rzymu do siebie pisywać będziemy, że tyle figur obcych, nieznanych, przejdzie przed naszemi oczy, niektóre w sercach ustrzegną, niektóre, jak dymy, z serc znów do widnokręgu wrócą i rozejdą się, słowem, że tak będziemy, jako jesteśmy — o mój Boże, powiedz, byłże byś uwierzył? Wziąwszy mnie za rękę, nie byłże byś strząsnął popiołu z fajki na czoło tego proroka i roześmiał się i rzekł: „Marzy się jemu"? Patrz, wszystkie rzeczywistości, widziane z oddali, prorokowane, nim się staną, noszą barwę snów i marzeń. Otóż, kiedy ci na przyszłość coś nadzwyczajnego prorokują, kiedy poezja przepowiada ci, że się ludzkość odmieni, że planeta ten się odmieni, że w anielstwo porosną syny ludzkie, pamiętaj, że to marzenie może być kiedyś rzeczywistością! Marzenie tylko tem różne od idealności, że w jednej chwili całość chwyta i stawia przed oczy, kiedy realność tę samą całość snuje dniem po dniu, nitka po nitce i z wolna ją przeprowadza, bez skoku, do najwyższego szczebla. Poezja o kwadrach księżyca nie wspomina, jedno go zna zawsze pełnym; natura tylko przez kwadry dochodzi do pełni!

Piszę to z rana, przy odgłosie dzwonów, grzmiących od kościoła świętego Piotra, wołających na mszę Zmartwychwstania Pańskiego. Za dwie godzin papież wyjdzie na ganek bazyliki i stutysięcznemu pobłogosławi ludowi dwoma słowy: „*Urbi et orbi!*[224]". Z okna mego, nad samym Tybrem sterczącego, widać wielką przestrzeń zielonych na tamtym brzegu rzeki ogrodów, a za niemi zamek świętego Anioła, a dalej na wzgórzu Watykan i Święty Piotr. Widzę białą obsłonę, chrześcijańskie *velarium*, zarzucone w kształcie baldachimu od szczytów ganku do połowy perystylu kościoła. Dzień pogody błękitnej, lecz nie rażącej, bo niebo tak cienką warstwą wyziewów przesłonione, jak dźwięk w głosie kontraltowym. Bazylika wieków stoi mi przed oczyma, choć z daleka; mogę rozeznać każdą kolumnę, każdą framugę, posąg każdy, tylko ludu na dziedzińcu nie widzę, tylko gwarów jego nie słyszę; za daleko, ale tem lepiej. Sam jeden wśród pustyni widnokręgu wznosi się przede mną ten posąg granitowy Boga, ten świat kamienny, zwany kościołem Piotra. I czuję, jak wszystko naokół gotuje się i garnie ku chwili Zmartwychwstania Pańskiego. Lecz dziwnem myśli wysnuciem co chwila inny obraz staje między mojemi oczyma a Świętym Piotrem: obraz łąki zielonej, rowu, pełnego niezabudek, rosnących wśród pokrzyw, olszyny, rozsypanej po bagnie za rowem, i drewnianego kościółka, w którym przed laty wyśniła się Wielkanoc mnie, dziecku. A później koło tego kościółka nieraz polowałem, zda mi się, że z Tobą nawet, pod Ciechanowem, w bok od Opinogóry. Tam

[222]*za to, coś dał Jerzemu* — Jerzy Lubomirski. [przypis redakcyjny]
[223]*Von Bilberstein* — Wojciech z Bibersteinu Kazimierski, tłumacz *Koranu* i *Gulistanu*. [przypis redakcyjny]
[224]*Urbi et orbi!* (łac.) — Rzymowi i całemu światu. [przypis redakcyjny]

dziś także pełno ludzi, tam dziś skowronek śpiewa, słońce wiosenne świeci nad równiną wielką!
Mnie smutek zabił, mnie gorzkie koleje,
Mnie gwałt namiętnych, nieskończonych marzeń,
Mnie krok leniwy ognuśniałych zdarzeń,
Co wyrwał z serca nadziei nadzieję.
Jam pił zanadto z krynic, mętnych łzami,
Za dużo trumien przeszło mi przed wzrokiem.
„Czekaj!" świat wołał. Rok ciągnąc za rokiem,
Świeżemi co dzień witał mnie trumnami.
Wszystko, com marzył, w ziemi pogrzebałem,
Snów moich krzyże sterczą tam, po błoniach,
Gdzie blade jeźdźce śpią przy śpiących koniach
Z orłem na piersiach, sennem, krwawem, białem,
Gdzie leżą w popiół rozsypane chaty,
A w bagnach rosną niezabudek kwiaty,
I czajka woła, jak wprzódy, na dzieci,
I słońce cicho nad równiną świeci.
O, pójdźcie, pójdźcie przez rodzinne sioła,
Przez łąk moczary i przez zbożów łany,
Tam w kłosie każdym szemrzą ziemi żale,
Tam lilia polna o zemstę zawoła,
etc. etc. etc. etc.

Odczytałem niedawno *Pana Tadeusza*; to epopeja. Znam trzy epopeje wielkie: *Iliadę*, *Don Kiszota* i *Pana Tadeusza*, który jest środkującym zlewkiem *Odyssei* i *Don Kiszota*.

Rad jestem temu, żeś się zapoznał z Jerzym. Jest to dusza, jakich rzadko, koniecznie oddychać pragnąca poświęceniem, jak każdy inny powietrzem. Znam go od pieluch prawie, nieraz wpływałem, zdaje mi się, na jego rozwijanie się. Mam k'niemu coś podobnego do uczuć ojca dla syna, przynajmniej niektóre myśli jego są dziećmi memi. Pisze do mnie, że przyjedzie tu pierwszego maja.

Zapewne, Konstanty, nie gniewasz się na mnie za moje milczenie? Nie wątp nigdy o przywiązaniu mojem! Dobrześ zrobił, że kazałeś w Poznańskiem drukować, bo, co w Paryżu wychodzi, to rzadko dochodzi. Odpisz mi tu, do Romy, tylko niebawem. Donieś, czy wyszła *Lilla Weneda*, znowu *Irydionowi* poświęcona, jak *Balladyna*? Pisał do mnie Juliusz bardzo smętny list, choć udający, że nie smętny, z powodu krytyk. Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam, wy się na nim nie znacie; przyjdzie czas, w którym się poznacie. Wszyscy krzyczeli na Byrona, wszyscy na *Fausta*, wszyscy na pana Adama, że ciemny — a dziś dzieci go rozumieją, bo, co się przeprowadza w mózgu ojców, to do serc dzieci przechodzi i rodzi się z niemi instynktownie. Poeta, Sława

Ciągnij dalej Twoje *tendre attachement*[225], zobaczym, pod jakim się rozrośnie kształtem. Co do mnie, Konstanty, o ile podobna na ziemi, o tylem szczęśliwy nieraz, a nieraz nieszczęśliwy. Nie inaczej płynie tajemnica życia!

Teraz idę wziąć na głowę: *orbi et urbi*!

167. DO ROMANA ZAŁUSKIEGO

Rzym, 13 maja 1840 r.

Drogi Romanie! Na żaden sposób nie mogę uznać za prawdę i słuszność niesprawiedliwości wyrządzonej przez publiczność Juliuszowi. Zapytam się: w czem go nie rozumieją? Ty pierwszy powiedz mi, czegoś w nim nie rozumiał?... Pięć jest jego przedniejszych dzieł, o nich pomówię chwilkę: *Ojciec zadżumionych* — *Szwajcaria* — *Wacław* — *Anhelli* — *Balladyna*. Poeta

[225]*tendre attachement* (fr.) — serdeczności. [przypis redakcyjny]

Pierwsze ma w sobie potęgę laokoońską boleści, tylko, że nie rzeźba, ale farby malarskie użyte do wydania myśli. Drugie jest tak prześlicznie idylliczne a zarazem tragiczne, tak oderwane a zarazem prawdziwe, że nic podobnego o miłości marzonej nie znam w żadnym języku. Są tam takie szklistości, takie przezrocza, takie bańki tęczane, takie wieńce świeżych wiszeń nad główkami śnieżnych gołębi, takie przymilania się do natury szwajcarskiej, nachylania się gór i słupów z lodu ku sercu, które kocha i szczęsnem jest, że czytając zdarzało mi się wykrzykiwać po sto razy w duszy: „Niech go diabli porwą! Kto po nim potrafi wiersze pisać! Trzeba bezczelnym być, by brać się do pisania wierszy po przeczytaniu wierszy Juliusza!" I to instynkt był mój, wrażenie, na mnie wywarte, nie żadne rozumowanie. W *Wacławie* spowiedź pełna motywów tak pięknych, jak rzadko. Charakter Wacława, przejęty z ręki konającego Malczewskiego, dociągniony, dorysowany, domalowany, jak na wielkiego mistrza wypada. Byron lepiej by nie był potrafił, to też całkiem byrońskie.

Teraz o *Anhellim*. Zaprawdę, trzeba potęgi uroczej, genialnej, nadzwykłej, by Sybiru otchłań tak wystroić w alabastry śniegów i sine oczy gwiazd. Gdym czytał, wzdychałem, tęskno mi było — żal się mnie, Boże — do Sybiru! Przez kilka nocy Sybir śnił mi się, jakby Eden melancholijny. Wiesz, że mówią, iż czasem duch samobójstwa niesłychane obiecuje rozkosze, szepta do ucha, i łudzi, i nęci, i porywa. Otóż piekło Sybiru nie przestając być piekłem, przybrało w *Anhellim* taką ułudę dziwną, prześliczną i straszną, okropną i ponętną zarazem. Tak samo w splotach węża jest lubieżność jakaś, pociąg niepojęty, magnetyczność, porywająca ptaszki. Juliusz w takiego węża przemienił Sybir i lgnąć doń kazał duchom czytelników. Cechą niezawodną, piętnem jego poezji jest owa cudowna mieszanina, złożona z wstrętu i ponęty — ów urok panteistyczny, co razem każe Twoim stopom cofać się od przepaści a głowę Twoją ku niej podaje i serce nachyla, aż Ciebie całego zrzuci w głąb — ta barwa nadzmysłowa i zmysłowa zarazem, która Ci ducha powleka, ile razy spojrzysz w noc gwieździstą, w noc wszechświata, zasianą światami. Ciekawość, pragnienie wiedzy, żądze niebotyczne porywają wtedy umysł. Rad byś rzucił się i pływał w nieskończoności, aż tu trwoga Cię obejmie zarazem, zmysły Twoje cofną się przed temi ogromy, pomyślisz o nich i mózg Ci się zawróci — a jednak w tejże samej chwili znów uczujesz, że chciałbyś na zabój przez wszystkie drogi mleczne dostać się do Boga, rozpłynąć się, nie być i być zarazem, topić się, czując, że się topisz, czując wiecznie, że się topisz w błękicie. Z tego to głównego akordu, raczej tonu, rozwiedzionego po całym duchu dzieł Juliusza, wypada ich forma, raczej rozprzęgliwa, niż skupliwa, raczej odśrodkowa, niż dośrodkowa, raczej malownicza, niż kująca rzeźbę, raczej muzyczna, niż malownicza, raczej szukająca Boga, niż mówiąca dogmatycznie o wynalezionym słowem jednem, raczej panteistyczna, niż katolicka! Ale bo też panteizm jest niezawodnie połową jedną życia, natury, sztuki, wszechświata, Boga!

Panteistyczny kierunek jest wszędzie, ale nie sam jeden. W tem błąd, mieć go za jedyną prawdę; w tem prawda, mieć go za prawdy połowę. W duchu Mickiewicza przewaga na stronę indywidualizmu, osobnika wiary uosobiszczonej, energii, skupienia, środka, co w się wszystkie zebrał promienie okręgu. W duchu Juliusza zupełnie przeciwnie. Przewaga na stronę nie podmiotu ale przedmiotu, nie indywiduum, ale świata, nie jedności, ale rozmaitości, nie środka, ale peryferii. Stąd Mickiewicza postacie są rżnięte w opoce z granitu, olbrzymie są, architektoniczne, wzniosłe (*sublimes, grandioses*), Juliusza zaś wdzięku niesłychanego pełne, uderzające wonią, błyskające, świecące, jak tęcze, wieczną tęsknotę zostawiające w duszy, ale przy tej tęsknocie pewność, że były, przesunęły się i gdzieś odleciały i nigdy nie wrócą; on im przypiął skrzydła, posłał je za gwiazdy stałe, za konstelację Oriona, poza drogi mlecznych pyłów... Gdzież one teraz?... Kiedy tymczasem p. Adam, owszem, z nieba każe zstępować swoim i tak je dłutem przybije do ziemi, że z nią się zrosną i na niej posągowo zostaną na zawsze. I on, i Juliusz są dwoma mistrzami, ale dwóch sfer innych, niby to przeciwnych na pierwszy rzut oka, tymczasem zupełnie z sobą harmonijnych a dążących do zlania się razem; a gdy się zleją, wtedy będzie mistrz trzeci. W naszej literaturze konieczność była Adama, jest Jula, będzie owego trzeciego kiedyś. Wcale Juliusza nie mam za zwierzchnika Adama, ale mam go za jego logicznego następcę. Mógłby Adam jeszcze dzieł wydać wiele, ogromnych, najwznioślejszych (i wierzę, że tak będzie), tyle, ile już ich pokazał światu, a zawsze by duch Juliusza był i pozostał dalszem rozwinięciem się, koniecznie potrzebną wynikłością ducha Adamowego, choć wrzkomo

zdaje się z nim walczyć. W tem jest optyczne złudzenie chwili. Gdy się oddali świat od dni naszych, może temu przeczuciu mojemu prawdę przyznają. Mickiewicz na zawsze zwać się będzie stwórcą; on zastał chaos, on rzekł w naszej literaturze: „Światło, stań się!" By z rozerwanych, samopas chodzących atomów coś stworzyć i ukształtować, trzeba tej siły, wszystko do środka kierującej, wszystko osadzającej na dół, wszystko, co płynne, zmieniającej w kryształ. Mówią, że z wyżyn atmosfery błąkające się gazy opadły na ziemię w kształcie granitowych skał: to kości planety, jądro jej, energia jej. Tem samem Adam w świecie duchowym Polski: w nim siła tytańska, to Michał Anioł nasz. W oczach posągu Mojżesza, któremu roztłukł młotem kolana Michał Anioł, mówiąc: „*Adesso parla!*"[226] — jest coś, przypominającego oczy Mickiewicza.

Ale teraz planeta, choć ma granit i marmur, choć nad tym granitem i marmurem świeci światło białe, jeszcze nie jest zupełnym, całkowitym. Muszą rododendrony zakwitnąć na granitach, musi światło białe rozpaść się na siedem barw tęczy, i znów z posady tej kamiennej, tytańskiej, z tej planety, którą zaokrągliła siła skupień, muszą ku niebu rozlecieć się wonie, wiązki kolorów, piany wodospadów, wyziewy dolin, chmury, coraz wyżej, wyżej powracające w niebo, aż zginą przed oczyma — i tam gdzieś, gdzieś poniosą wieść o tem, że świat nowy stanął i bieży w przestrzeni. Takim gońcem świata od światów wszystkich, takim powrotem stworzonej rzeczy do okręgu niebios, w naturze samej już jest dźwięk muzyczny, pochodzący z drgania ciał i niszczenia się pewnych atomów w ciele drgającem; w duchu ludzkim jest kierunek panteistyczny (*la facette panteistique*); w literaturze polskiej — Słowacki.

W *Balladynie* masz tego najoczywistszy dowód. Jest to najpiękniejszy *midsummer-night's-dream*, najprześliczniejsza epopeja, ale nie homeryczna, jak *Pan Tadeusz*, tylko ariostowska, sama z siebie żartująca, pryskająca na wszystkie strony fantasmagorią, kapryśna, swawolna, a zawsze i wszędzie przyciągająca, wijąca się w górę, jak Goplana, by się roztopić i zniknąć, aż ci, co patrzyli a teraz już nie widzą nic, tęsknić muszą na zawsze. A *Pan Tadeusz* zupełnie przeciwnie: Wojski, Podkomorzy, Assesor, Telimena, na wieki osiadły tu, są tutaj, przy mnie, ze mną, znam ich, jem, piję z nimi; nie tęsknię za nimi, bo w każdej chwili mam ich: tak ich mistrz w mózg mój wrył, że, choćbym chciał się od nich rozdzielić, nie potrafię. Jeszcze raz: wykuł ich z granitu. Ale gdzież pójdę szukać Anhellego? Kto mi wskaże nadpowietrzny szlak, kędy raz ostatni westchnęła dusza odlatująca Haliny, biednej Haliny, co wczoraj jeszcze zasypiała, tak szczerze prosząc Boga, by jej malin nie skąpił na murawach boru? A ta sroga Balladyna, z czterech wierszy legendy gminnej wysnuta, *Królem Learem* i Lady Macbeth popchnięta — ta przejrzysta zbrodnia, zawierająca w sobie wszystkie błędy i cudne przymioty Polek wszystkich — ta Maryna Mniszchówna bajeczna, ta odważna, śmiała, nade wszystko dumna, ale, kiedy już królową, chcąca zostać aniołem i żałująca grzechów Laszka — czy wiem, gdzie szukać nawet jej popiołów, rozbryzgniętych uderzeniem piorunu?... Sen był — sen minął. Ach, gdzież sen mój?... A ten Kirkor „coby był Zbawcę zbawił na Golgocie", czy to nie monada najprawdziwsza idealnie szlachcica polskiego?

Trzeci przyszły kierunek literatury naszej zapewne się objawi w doskonałem urównoważeniu tych dwóch wyłącznych kierunków. Wracając do analogii z planetą, można by powiedzieć, że właśnie jego całość na tem zależy, że doskonale umiarkowane są w nim: potęga skupienia do środka i rozprzężenie od środka. Pierwszej wyłącznie go oddać, a skamienieje, drugiej, a rozleci się i roztopi. Trzecia więc musi być siła-spójnia. Ale znowu ta trzecia nie może być bez dwóch pierwszych, ni druga bez pierwszej, ni pierwsza bez wydania drugiej, ni obie bez dążenia ku trzeciej. Każda z nich jest warunkiem drugiej, a wszystkie między sobą równe, bo żadna bez którejkolwiek z drugich dwóch istnieć nie może. Z tego wypada, żem Juliuszowi żadnej nad Adamem wyższości nie myślał dawać, kiedym go nazwał następcą Adama w logice naszej literatury: mam go za równego — czas usprawiedliwi lub potępi to zdanie moje — ale tak za równego, że Mickiewicza siła nie jest jego siłą, ni jego siła nie jest Mickiewicza siłą. Czego jednemu brak, to drugi ma, a co z nich każdy ma, to posiada w najwyższym stopniu. Styl, którym włada Juliusz, jest tak giętki, tak wierny jemu, tak niewolniczo słuchający go, że mi czasem przypomina ten wiersz p. Adama, w którym mowa o „heroizmie niewoli" w chłopie słowiańskim. Nie

[226] *Adesso parla!* (wł.) — teraz mów! [przypis redakcyjny]

sposób z językiem i z wierszem trudniejszych dokazywać cudów. Chyba tak Liszt gra, jak on wiersze pisze. Gdyby słowa języka polskiego mogły stać się idywiduami, powinny by się zebrać i złożyć się na posąg dla Juliusza z napisem: „*Patri patriae*"[227], bo język wtedy byłby całą ojczyzną. Tak nie jest: prócz języka wiele innych jeszcze pierwiastków jest w ojczyźnie; z tych niektóre mogłyby także taki sam posąg postawić Adamowi.

Gdyby publiczność była Juliusza wyniosła pod obłoki, byłbym, krytykę pisząc, wspomniał o tem, co w nim jest słabością, usterkiem, niedokończeniem, dysharmonią. Ale to wam zostawiam, którzy na to otwarte oczy trzymacie. Wy to jemu powiecie, powtórzycie. Zresztą on o tem sam wie, inaczej nie byłby wielkim poetą. *Cerevisiam bibit — sententiam dixit*[228]. Możesz to o mnie powiedzieć, jeśli chcesz. Co piszę, to z przekonania. Takem się tym długim krytycyzmem zmęczył, że kończę list na dzisiaj. Co mogę, przesyłam Ci. Odpisz mi jeszcze do Rzymu. Addio. Wierzaj, że, jak było, tak jest między nami, teraz i na zawsze. Twój

Zygmunt.

Jeszcze dodam uwagę. Im bardziej zapatruję się na literaturę polską, tem bardziej się przekonywam, że w równi się trzyma co do poezji z resztą Europy. Żaden europejski lud dziś nie ma takiej epopei, jak *Pan Tadeusz*. Odczytałem go niedawno. *Don Kiszot* tam się zlał z *Iliadą*. Poeta stał na przesmyku między znikającem tem plemieniem ludzi, a między nami; nim umarli, widział ich, a teraz ich już nie ma. Właśnie to jest stanowisko epopeiczne. Dokonał tego Adam po mistrzowsku: to plemię umarłe uwiecznił, ono już nie zaginie. Temu lat sześć czytając *Pana Tadeusza*, nie pojmowałem całej jego wielkości, dziś biję czołem i mówię: to jest epopeja. Więcej powiedzieć ni można, ni potrzeba.

168. DO ADAMA SOŁTANA

1840, Karlsbad, 27 lipca

Gdybym wczoraj był list Twój odebrał, nie mógłbym był nań odpisać, bo nagle rodzaj jakiejś cholery wpadł na mnie, i po dwunastu godzinach ciągłych fenomenów cholerycznych, w rozmaite kierunki się objawiających, nad wieczór prawie już bez zmysłów leżałem. Doktór przywołany dał mi tęgą dozę opium i to wróciło do sił. Jednakowoż dotąd jeszcze co chwila dzielę się na nudności i na anty-nudności, i czuję się bardzo osłabionym. Wczoraj aż do dwunastej w nocy leżałem ciągle z myślą, że mnie diabli wezmą, a powiem Ci, żem wcale się nie lękał. Żałowałem tylko, że już nie zdołam obaczyć tych, których kocham: Konstantego, Ciebie, mój drogi Adamie, i jeszcze kogoś! Lecz tak około północy zacząłem się pocić i myśl śmierci odeszła ode mnie, uczułem, żem przemógł chorobę. Tu już kilka takich od tygodnia było przypadków. Od dawnam już tak gwałtownie nie chorował; pamiętasz, od tej gorączki mojej w Neapolu, temu półtora roku!

Kiedym Ci pisał, że dla mnie lepiej nie być w Wiedniu, chciałem wyrazić, że muszę być gdzie indziej i to jak najprędzej, a jak tylko człowiek przekonany, że musi coś czynić, wtedy zrealizowanie tego przekonania, może nazwać słowem lepiej, nawet mógłbym tu zamiast wyrazu mus położyć powinność. Wierz mi Adamie, że gdyby nie to, nie pewna powinność, nie pewien obowiązek, mnie tylko znany, tobym całą duszą natychmiast pogarnął się ku Wiedniowi, a raczej ku Tobie! Co zaś do niebezpieczeństwa, o którem napomykasz, domyślając się, jakoby w bojaźni przed niem leżała przyczyna moich Wiednia omijań, przecież znasz mnie dość na to, by wiedzieć, że nie dbam o nie, że nigdy nie dbałem, że, jak dla marnego głupstwa, myślę, że dzieciństwem jest na nie się narażać, tak skądinąd uważam, że dla dobrego i świętego uczucia byłoby podłością przed niem się cofać. Zresztą takie niebezpieczeństwo nie spada od Ciebie na mnie, nigdy przynajmniej o tem nigdzie wzmianki najmniejszej nie słyszałem. A to, Adamie, żem nigdy nie oznaczył Ci miejsca na spotkanie, pochodzi z bardzo prostej przyczyny: z tej, że wiem, ile każda droga byłaby uciążliwą Twojej kieszeni, i mnie, raczej mnie, należy do Ciebie,

[227] *Patri patriae* (łac.) — ojcu ojczyzny. [przypis redakcyjny]
[228] *Cerevisiam bibit — sententiam dixit* (łac.) — wypił piwo i powiedział myśl. [przypis redakcyjny]

niż Tobie do mnie zjeżdżać. Lecz, kiedy nie mogę, to nie mogę. I przeszłego roku byłem w podobnem położeniu, to jest goły; nie o tyle, bym nie zdołał tam się obrócić, gdzie mi trzeba było, ale o tyle, że nadłożenie drogi do Wiednia byłoby mi już szeroką dziurą w mieszku i przeszkodą jechania dalej. Miej więc mnie za wytłumaczonego i kochaj ciągle, i wierz, że z całego serca Cię kocham, i wierz, że się zobaczymy czy dziś, czy jutro, czy pojutrze, ale się zobaczymy niezawodnie. Pamiętaj, by list księżnej był koło dwudziestego w Warszawie pod adresem mego ojca, bo dwudziestego siódmego tam przybędzie cesarz.

Proszę Cię, gdybyś przypadkiem spotkał Adasia[229], (może przez Wiedeń jechać będzie), to mu powiedz, by z rzeczy u niego zostawionych przesłał mi pod adresem Torlonia a Roma, przez kuriera jakiego kancelarii austriackiej: *Sen nocy letniej*, który jest oprawny; on jeden jest oprawny, kiedy reszta, ile pamiętam, nieoprawne. Dwa przypadki być mogą, bo mi się myli w pamięci: albo to się zowie *Sen nocy letniej*, albo tylko *On lub Ona*, ale pozna najlepiej po tem, że oprawne. Gdybyś zaś sam wiedział, gdziem to On zostawił, to mi wyjm i poszlesz, czy teraz, czy później do Romy. Powiedz mu także, że przed wyjazdem z Romy list ogromny do niego pisałem do Edynburga, pełny popiołów Napoleona. Te popioły, ten pogrzeb morski, ten bryg, zamieniony w jarzącą kaplicę, ten lud wielki, czekający na brzegu, to jedyna chwila epopeiczna czasu naszego! Nieraz widzę w myśli te zwłoki, tę trumnę po mórz nieskończoności. Przepowiedziano było, że powróci: wszak wraca! Cóż stąd, że prochem tylko, kiedy w prochu tym jest życie wieczne! Szczęsny ten, czyj duch powracać może do ojczyzny, choć ciało jego zasnęło od niej daleko! Szczęśni pamiętani przez ród ludzki! Miłość jest chwałą ukochanych u kochających; chwała jest miłością u rodu ludzkiego. Szczęśni ci, w których ludzkość się zakocha! Ale i to serce szczęsne, które choć w jednem innem sercu na ziemi znalazło chwałę swoją!

Nim stąd mnie porwą losy, jeszcze do Ciebie napiszę. Są tu Braniccy; tą razą nie spisałem się, jak niedźwiedź, owszem, rozmawiałem długo z panną Elizą; zdaje się słodka i dobra bardzo osoba, życzę jej z serca, by była szczęśliwą na ziemi. Twój Zygmunt teraz i na wieki.

169. DO DELFINY POTOCKIEJ

31 lipca 1840, Karlsbad, 10-ta w nocy

Najdroższa moja! Gdzie mi już pociechy szukać, jeśli nie w sercu Twojem! — Coraz moje położenie się pogarsza. Już mój ojciec nie chce gadać ze mną. Pierwszy raz w życiu mogę go o niesprawiedliwość względem mnie oskarżyć. Rozdarłem sobie serce własnemi rękoma. Opuściłem Ciebie, żeby tu przyjechać. Widziałem karetę z Pilawą, wyjeżdżającą z Wiese, a zostałem tu przy nim. Chodziłem z nim, gdzie chciał, przełamałem wszystkie moje wewnętrzności, by przybrać zewnętrzność, która by mu się podobała, ale to wszystko na nic się nie zdało, na nic; o tylem tylko mu synem, o ile bym pannę El.[230] wziął za żonę. Już mi się dzisiaj rozchorował i leży; ja cały dzień przebyłem zamknięty w moim pokoju. Źle mi, gorzko, ponuro, czasem wściekle; wzdycham do Ciebie, chciałbym w tej chwili wyjechać i proszę Boga, bym jak najprędzej wyruszył stąd. Wszystko, co mnie otacza, przybrało dla mnie barwę obmierzłą, obrzydliwą. Dusza moja zacznie chorować. Już Opinogóra wstaje z przeszłości i za gardło mnie chwyta, dusi! Już spleen, który Ty wygnałaś ze mnie, na nowo, jak zły duch, chce mnie opętać. Ten Karlsbad to piekło. — Targam się, jak człowiek skuty łańcuchy. — O Dialy, bardzo mi źle jest. Wieczorem poszedłem sobie na górę z tamtej strony Wiese, przeszedłem obok kaplicy żałobnej i czarnej, jak ta, której się ulękłaś, jadąc na ponym i wracając nieznaną Ci ścieżką ze wzgórzów za Villą Borghese do Porto del Popolo. Wstąpiłem w góry, w las — stamtąd cały Karlsbad ujrzałem u stóp moich i góry boczne, okryte borami. To mi Frejburg postawiło przed oczyma serca. Musiałem usiąść na murawie, tak mi się słabo zrobiło; usiadłem i płakać zacząłem. Zdało mi się, że słyszę Twój głos: „*Nessun maggior dolore*[231]" etc. O Ty droga, kiedyż ja się dostanę do Ciebie, kiedyż ścisnę Ci rękę, kiedyż krzyknę: „Patrz, oto wróciłem!".

[229]*gdybyś przypadkiem spotkał Adasia* — Adam Potocki. [przypis redakcyjny]
[230]*pannę El.* — Elizę Branicką. [przypis redakcyjny]
[231]*Nessun maggior dolore (…)* (wł.) — Nie ma większej boleści (niż przypominać sobie czasy szczęśliwe w nieszczęściu); Dante. [przypis redakcyjny]

Nie, nie! Duch mój do bladych niebios nie stworzony. Krew moja zastyga mi w żyłach i marznie pod temi szaremi chmury. Bóg mnie napełnił miłością niepodległości, miłością błękitów nieskończonych, czy nieba, czy morza, czy lądów południowych. Nie, nie! Żyć tylko tam zdołam, gdzie Ty, a nie indziej. Te wszystkie postaci kobiece nienawistne mi. Olalczyły mnie dokoła. Ja kobiet nie cierpię, ja tylko anioły kochać mogę, ale matki, jak baryły, ale córki, jak śpiące, nierozwite jeszcze widma stworzeń przyszłych, nie rzeczywiste Boga stworzenia — to nie mój świat, to nie moja wiara, to nie kochanie moje. Ci wszyscy ludzie tylko w mięsie się kochają. Rzuć im poziomek kwartę na misę śmietany i postaw z daleka, niech myślą, że to twarz, wnet zakochają się, starać się będą, zamienią pierścionki, ożenią się z talerzem poziomek! I oni o piękności rozprawiać będą, oni, którzy nie domyślają się nawet, że dusza coś znaczy w kobiecie, oni co nie wiedzą, co piękność znaczy na ziemi i w niebie!

Daruj mi, Panie Boże! Ja wiem, że mnie zabijają i że do tego świata ich nigdy się nie zapiszę, dopóki będzie mi aniołem stróżem coś wyższego, niż krawiec, szewc, praczka lub modniarka. Didysz, módl się za mnie! Ty teraz bardzo nieszczęśliwa, lecz wiesz, że ja nie mniej. Serce moje mnie uwiodło, wyobrażenie powinności mnie pchnęło w tę drogę. Głupstwom zrobił, żem tu przyjechał. Nie żałuję go, bo, ile razy uczuję powinność i dopełnię jej, mam w sobie samym sąd o moim czynie, i ten sąd mój własny może zrównoważyć wszystkie przykrości, skądinąd na mnie spadające, ale, po ludzku mówiąc, głupstwom zrobił. Będzie mi to nauką niezapomnianą. Teraz tylko o to chodzi, by tę naukę jak najprędzej skrócić, bo jużem na studenta za stary. Kochaj mnie, myśl o mnie — broń się od tego Szatana, pisz do Genui!

Żebyś wiedziała, jak Cię kocham, tobyś mnie więcej jeszcze ukochała.

Twój Zyg.

Wyobraź sobie, jeszcze przy tem wszystkiem pani B.[232] list rozpaczny, pełen wyrzutów do mnie pisze i wzywa mnie, bym przyjechał się z nią widzieć na Helgoland!!! Już nie wiem, gdzie głową się rozbić.

170. DO E[DWARDA] JAROSZYŃSKIEGO

Karlsbad, dnia 4 augusta 1840 r.

Drogi mój, drogi Edwardzie!

W styczniu czy w lutym pisałem do Ciebie list ogromny, wyłuszczający Ci ogólnie systemat *Historiozofii* Augusta Cieszkowskiego, który wydaniem wstępu do historiozofii ogromnie berlińskie mędrce zbudował, i całkiem Heglowi dowiódł, iż sam nie umiał swej własnej logiki do historii zastosować.

Nie wiem czy ten list mój doszedł Ciebie. Jeśli doszedł, toś mi zapłacił za niego milczeniem; bylebyś nie zapomniał duchem o mnie, przystaję na Twoje milczenie, bo z niego ciągnę dowód, żeś szczęśliwy. Gdybyś był smutny, gdyby ciężar niewidomy gniótł Ci serce, ozwałbyś się przecie wtedy do przyjaciela? Teraz z Włoch tu przyjechałem widzieć ojca, i za dni kilka do Włoch wracam.

Rozpiłem się, Edwardzie, Południa błękitami; błyszczą tam gwiazdy, których nigdzie indziej nie zobaczysz. Księżyc tam, jak dziewica niebios, słońce, jak archanioł potęgi, Rzym, jak archanioł zwalony, leżący na ziemi, śródziemne wody Neapolu, jak toń wieczności, ale szczęśliwej, ale wielkiej! Sycylia, jak królestwo marzeń wcielone w kształt, równy pomysłowi tych marzeń. A pod tym wszystkim dantejskie piekło, buchające czasami kraterem — Wezuwiusza, Etny, Stromboli! A nad tym wszystkim przesłona dzika i pełna żałoby — czyściec dantejski, unoszący się w powietrzu między grobami, na których kwiaty rosną i migają lucjole, a niebem, gdzie drugie lucjole świecą! Lucjole pana nad pany, muszki wszechświata, świętojańskie robaczki przestrzeni; a tam, gdzie one na mlecznych drogach oparte, raj się poczyna, raj niedojrzany, w którym Beatriks niewidzialna

[232] *pani B.* — pani Bobrowa. [przypis redakcyjny]

mieszka! A cień, odbłysk jej, mara jej, czasem przesunie się na dole, czasem odbije się w magicznym zwierciadle niebios, w tym zwierciadle zwanym włoską ziemią!

Tak więc z tych słów byś sądził, o Edwardzie, że mi serce, jak grób rafaelowski Marii, porosło w kwiaty, że duch mój cały przetkał się gwiazdami! Nie, Edwardzie, bo posępne lice świata, ogółu smutek moje indywidualne uniesienia gasi, zabija i niszczy, i sam zresztą zawszem taki sam, jakim mnie znałeś. Błąkam się, i błądzę, i szukam, i czasem, gdy piosnkę zaśpiewam, to taką:

O, nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Że ciebie tylko goryczą zraniłem,
Bo ja goryczy kielich także piłem
Zawsze i wszędzie!

O, nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Że tobie tylko los życia popsułem,
Bo własną dolę sam także zatrułem
Zawsze i wszędzie!

Ale mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Że Bóg jest dobry, że mnie schował w grobie,
Bo tobie byłem nieznośny i sobie
Zawsze i wszędzie!

Ale mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Żem żył na ziemi dzikim ducha szałem,
Bo z serca ciebie, choć gorzko, kochałem
Zawsze i wszędzie!

Możesz tym słowom, co się pod niebem włoskim urodziły, kazać dorobić muzykę jaką ukraińską — muzykę, brzmiącą jak ten wiersz Malczewskiego:

I smutno, pusto, tęskno w dzikiej Ukrainie!

I zawołaj kozaka, i każ mu grać na teorbanie i śpiewać tę piosnkę moją, i wspomnij wtedy o sercu, które znasz, które znałeś dawniej, bo jego prawda jest w tych słowach.

Tak, drogi mój! Noszę głęboką nędzę wszędzie w sobie, jak król, choć w pewnych chwilach potrafię się ubrać w purpurę wieczorów, w księżyce nocy, w błękity i muśliny pian mórz włoskich... Coś mi pod tymi szaty serce wyjada!

Darmo głaskam owe żmije rodzinne, darmo się ich proszę, by mi krwi mojej nie piły — one mleka nie chcą, one krwi mojej wiecznie żądają! I tak dalej idę, cisnąc pod szatą poezji owe gniazda robaków, i gdybym je wyrwał, toby i serce poszło za nimi. Epaminondas pod Mantyneą skonał, gdy wyrwał z piersi włócznię, co mu pierś przeszyła!

A nieraz wśród dolegliwych bólów życia, wśród wiatru i gradu moralnego, co chłosta mi ducha, zjawia się przede mną widzenie Ciebie, szczęśliwe, błogosławione! Widzę dom piękny na stepach, widzę dwojga duchów spokojnych, nie martwością osłupienia, ale pokojem wzniosłym serca i duszy, w jednym domu, w tym domu żyjących. Widzę Ciebie i żonę Twoją, i wtedy błogosławię wam z daleka i proszę za wami chmur świata, by nigdy z żadnej widnokręgu strony nie przeciągały nad dachem waszym. Edwardzie, odpowiedz mi choć słów kilka, powiedz, że dobrze czynię, gdy modlę się o nieskończone przedłużenie szczęścia Twego! Powiedz, żeś szczęśliwy, a gdy to przeczytam, miło mi będzie, miło, błogo, rozkosznie, tęskno do Ciebie, do domu Twego, do stepów Waszych.

Teraz, jeśli chcesz co o stanie filozofii wiedzieć, powiem ci, że dr. Leo z Halli, doniósł na hegelistów zupełnie takie samo zaskarżenie, jakie przed wiekami zaniesiono przed areopagiem na Sokratesa, o obalenie religii, o przeczenie bogów nieśmiertelnych, itd. itd. Przeczytaj na Sokratesa skargę — słowo w słowo to samo. Otóż po wyjściu tej skargi,

tego doniesienia, z kilku katedr zaczęto rugować Hegelistów, wydawaną przez nich gazetę w Berlinie impedymentami różnymi trudzić i obarczać. Michelet, ich głowa, wziął się zatem tego roku do kursu „O nieśmiertelności duszy i osobistości Boga". Ciekawy to będzie kurs, jeśli go wydrukuje. Widziałem jednego z słuchaczy, ale niewiele mi powiedział o tym; podobno sam nie zrozumiał nic. Moim zdaniem, tych dwóch punktów szkoła heglowska nigdy nie rozwinie, nie dowiedzie, nie postawi marmurowo na nogi. Jak powiada słusznie Cieszkowski o niej, logika tylko pozostanie wieczną jej prawdą, a logika to tułub! Tułub już jest, ale gdzie głowa i nogi?... Otóż w rzeczy samej głowy nie ma w heglizmie! Hegel mógł stanąć, bo był nieśmiertelnym, mógł się rozradować w pysze logiki, mógł, kończąc Encyklopedię w rozdziale o *absoluten Geist*[233], udawać, hipokryzować, dyskurować o anegdotach indyjskich, by nigdy nie dojść do głównej kwestii — by spokojnie umrzeć, nie rozstrzygnąwszy tego, co mu nie danym było rozstrzygnąć, tj. nieśmiertelności i Boga! Bóg tylko jak *Allgemeinheit*[234] pojęty, Bóg heglowski, Bóg li tylko panteistyczny jest taką wyłącznością, takim tylko jednym terminem, jak Bóg li tylko osobisty, li pojedynczy, odłączony od wszechświata. Idzie teraz o zlanie tych dwóch bóstw w trzecie, równie osobiste, jak panteistyczne, równie wszystko obejmujące, jak siebie samego. W Trójcy naszej najdoskonalszym punktem jest Duch Święty. Czekaj na niego w filozofii — nie nadszedł jeszcze. Nie hegelisty go odkryją, ale przyjdzie i świat padnie przed nim; z samej logiki to wypada. Lecz teraz Ci jeszcze i to powiem, że przyjdzie czas, w którym duch ludzki zapragnie logiki! Logiki — bo każda logika uznana staje się skutkiem, faktem, fenomenem; póty tylko jest przyczyną przyczyn, póki nie odkryta, póki na jaśnią nie wyrwana!

Ja to czuję, że świat ten jeszcze nie doszedł do uzupełnienia się swego. Ni myśl mu wystarcza dotąd, ani też wiara i przeczucie, ale stan jego jest stanem, gdzie przepaść przed myślą, przed rozumowaniem stoi czarna i głęboka. Tam skacz, jak Kurcjusz, z wiarą, z natchnieniem, z lutnią o złotych strunach! Tam bądź poetą, prorokiem, tam przeczuwaj, tam miej widzenie. Kiedy lutnia śpi i nie sposób jej obudzić, gdy serce nie bije, gdy oko ducha nie zdoła przewidzieć — wtedy bierz myśl i dochodź; mierz, snuj, pająć się, a czy tak, czy owak, ciągle, wiecznie idź dalej! Lecz nigdy nie mów *myśl* tylko i nigdy nie mów *serce* tylko, lecz owszem, *i myśl i serce*; a pierwszą kuj w wszechświat jak kroplą w granit, drugim kochaj, i w tej chwale miłości patrz na wszechświat, zgaduj, jaka ostateczna będzie forma jego! Poezja niczym innym, jak ciągiem tej ostatecznej formy widzeniem, apokalipsą, odbywającą się w duszy ludzi od ośmiu tysięcy lat, znakiem niezawodnym, że jest związek, że jest wspólność między nami a tym co będzie na końcu! Nazwiesz li to rajem czy nową Jerozolimą, czy wniebowstąpieniem, czy niebios zstąpieniem, czy pójściem planety w drogi mleczne, czy przerobieniem jej na wstęgę mleczną — to wszystko to anegdota przyszłości, to sposób, którym się to odbędzie! Idea zaś tego, pomysł tego, to to, że to się odbędzie; a przeczucie formy tego, to poezja! Powiedz, czyś równego ze mną zdania?

A teraz, mój drogi Edwardzie, zostawię Ciebie Twoim cichym penatom, zielonym Twoim larom domowym. Jeśli Ci one kiedy szepną do ucha, żem winien Tobie tysiąc rubli sr., to proś ich ode mnie, by czekały, aż będę mógł je oddać.

Wszak zaniesiesz tę prośbę moją przed lary i penaty Twoje, wszak bogi domowe nieraz gniewają się na mnie za to? O wdzięczności mów im także mojej, bo kiedy Tobie o niej wspominam, Ty słuchać nie chcesz; zatem im mówić i wiecznie powtarzać będę, żem Ci do zgonu i całem sercem wdzięczny za Twoją dobroć i przyjaźń. Twój

Zygmunt.

Adres mój: Torlonia, lub po prostu: Rome, poste-restante.

171. DO E[DWARDA] JAROSZYŃSKIEGO

Karlsbad, dnia 10 augusta 1840 r.

[233] *Geist* (niem.) — duch absolutny. [przypis redakcyjny]
[234] *Allgemeinheit* (niem.) — powszechność. [przypis redakcyjny]

Drogi Edwardzie!

Z Romy pisałem Ci kilka razy, nie odpisałeś mi. Zawczoraj list drugi Ci na ręce Hausnera posłałem; ale, chcąc abyś w razie nieoddania upomniał się u niego, te słów, kilka przesyłam Ci przez Tadeusza Walewskiego. I z Romy, i stąd pisałem Ci *de philosophia et quibusdam aliis* jak np. *de gratitudine*[235]. Pierwszą może diabli wezmą kiedyś, drugiej nic z serca mi nie wygluzuje.

Jeśli milczysz dlatego, żeś szczęśliwy, dzięki Bogu za Twoje milczenie! Gdyby przypadkiem przez Lebens-Ironię ze wszystkich moich listów ten tylko Ci się dostał w ręce, to miast tamtych staraj się dostać *Einleitung zur Historiosophie*[236] przez Augusta Cieszkowskiego, wydane przeszłego roku w Berlinie i słynące szeroko. Punkt wybujały wyżej nad Hegla, proroctwa moje spełnione! Przeczytaj a uznasz!

Do mnie, jak zwykle, Torlonia, lub po prostu: Rome, poste-restante. A teraz niech anioł szczęścia i pokoju będzie zawsze nad domem waszym. Nie zapomnij o wdzięcznym i przywiązanym Ci

Zygmuncie.

172. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Sorrento, 29 septembra 1840

Zaiste, mój drogi Konstanty, myślisz, żem umarł lub zapadł w letarg bobakowy? Ni to, ni owo, ale od kiedym z Włoch wyjechał w lipcu do powrotu do nich, przed dwoma tygodniami, takem ciągle ruszał się żwawo i wielolicznie, żem nie miał chwili żadnej próżnej, to jest zdolnej do wzięcia pióra do ręki. W Karlsbadzie do tego napadł mnie atak choleryczny (może imaginacja), który mnie na piętnaście godzin czucia pozbawił. Jedynie przez ogromne dozy opium wróciłem do zmysłów; od dnia tego ciągle bieduję i choruję.

Cóż tam się dzieje w waszym świecie literackim? Od dziewięćdziesięciu dni wszelkiej wieści o nim pozbawiony jestem. Czytałem w Niemczech *Lillę Wenedę*. Pomysł mitu Lelum Polelum jest prawdziwie wzniosłym i poetyckim. Sama Lilla jest białą Antygoną, ale żal się Boże św. Gwalberta i tego Szlaza, który naśladuje Grabca z *Balladyny*, który Grabiec sam naśladuje jakiegokolwiek z tysiącznych, potwornych błaznów Szekspira. Aż mnie smutek wziął, gdym ujrzał tych dwóch bohaterów i tę anielską siostrę ich w towarzystwie takim gałgańskim. Zaniosę przed Jula, kiedy będę pisał do niego, skargę Lilli, bo mi się biedna dziewczyna skarżyła. Szlaz jej białą tunikę powalał rękoma, tabaka z nosa Gwalberta na skroń jej kapnęła; lepiej było ją zaraz nożem w serce pchnąć, niż tak jej strój zwalać. Ale to niech pozostanie uwagą moją, wypowiedzianą Tobie. Spowiedź jest nienaruszalnym sakramentem!

Czytałem w Niemczech jakąś *Bogunkę*[237], poema niby wielko-poznańskie ze szkoły sławiańskiej, co się sili zwrócić język polski do pierwotnego tła sławiańskiego, to jest do nihilizmu; bo początek każdej rzeczy jest niższym i mniej charakterystycznym, niż jej dalsze rozwinięcie i postęp. Wszystko wychodzi z nic, a staje się czemciś. Otóż, to poema, o ile ja, nieuk, zrozumieć zdołałem, traktuje o jeziorze Gople *et de quibusdem aliis*[238]. Lecz zabij mnie jeśli wiem, co to za alia. Na każdej kartce podziękowałem losom za zrozumienie trzech lub czterech słów, reszty anim doszedł. A nie z powodu myśli ciemnych, jedno z powodu słów samych, czeskich, ruskich, morawskich etc. Jeśli to się nazywa kształcić polszczyznę, czemuż tak krzyczą na makaronizmy? To są istne makaronizmy, tylko że nie z łaciny zarwane; to jest, co do gramatyki, tym samym, co zastępować w literaturze małpowanie klasyków małpowaniem niewolniczym romantyków. Dlaczegóż głupstwo

[235] *de philosophia et quibusdam aliis (…) de gratitudine* (łac.) — o filozofii i niektórych innych sprawach [jak np.] o wdzięczności. [przypis redakcyjny]

[236] *Einleitung zur Historiosophie* — właściwie: *Prolegomena zur Historiosophie*, tj. Wstęp do filozofii historii. [przypis redakcyjny]

[237] *Czytałem w Niemczech jakąś „Bogunkę"* — *Bogunka na Gople*, jeden z dwu utworów *Powieści wielkopolskich*, Ryszarda Berwińskiego (Wrocław, 1840). [przypis redakcyjny]

[238] *et de quibusdem aliis* (łac.) — i o niektórych innych rzeczach. [przypis redakcyjny]

Szekspira ma być świętszym, niż głupstwo Rasyna? Maniera Szyllera znośniejszą, jak Kornela? Czemu czeski frazes ma mi się wydawać niepokalanym, kiedy łacińskiemu nie przepuszczam? Wszystko to *aurea mediocritas*[239]; a w tej szkole sławiańskiej jest inne niebezpieczeństwo jeszcze. Polska wykształciła bladość pierwotną słowiańszczyzny na polor i kolor zachodni; tak dzieje świata, tak duch ludzkości chciały i umiarkowały. Teraz powracać z wyższego szczebla, ze wzgórza, do pierwotnej niziny, czyż to Ci nie przypomina frazesu: „przywrócone prowincje", używanego przez senat rzymski, kiedy cudzą własność zagrabiał? A nie uwierzysz, jaki zapał w Poznańskim panuje do tej, choć nowej, jednak wstecz cofającej mody. Nie mogą po prostu napisać: książę patrzy, muszą Ci wypalić: książę szatrzy. Osobliwie w artystycznym dziele miłym jest wyraz z odsyłaczem do dykcjonarza na końcu, zupełnie toż samo, co dziura w moście, co zastanówka w orkiestrze wśród finału opery, który tylko przez ciąg swój nieprzerwany pięknym wydać się może, lub co zająknienie się aktora wśród deklamacji. Te tylko wyrazy nowe stawiać lub stare odświeżać się godzi, które wewnętrzne, że tak powiem, tak logiczne, rażące światło mają, że natychmiast same się nim oświecają, skoro się zetkną z umysłem czytelnika. Kiedy wyraz nieużywany nie posiada takiej fosforencji, nie jest taką siarniczką, palną natychmiast, nie wolno go do poetycznego utworu używać. Wprzód trzeba dykcjonarz wydać i pedancko wprowadzić w używanie takie słowa, a po dwudziestu latach obiegu dopiero nimi pisać wiersze i poemata, bo poezja, organiczną całością będąc, przerwy mechanicznej nie cierpi. Gdzie tylko ma być pięknie, tam wszystko harmonijnie ruszać się winno, jak w życiu wszechświata, tam nie wolno skupiać proszków, choćby to nawet były miki metaliczne; siłą kohezji nie trzymają się utwory sztuki, ale siłą organiczną życia, tajemną, duchowną, jedną! W anatomii, w mineralogii inaczej — bardzo dobrze i słusznie; ale też anatomia i mineralogia i reszta wszystkich na „ja" kończących się rzeczy nie zaczynają się przez „poez", który to wyraz pochodzi od greckiego ποιεῖν, a znaczy tworzyć. Siła zaś twórcza całość wydaje i życie snuje z siebie. Nauki zaś nie są tworzeniem, są rozebraniem stworzonych płodów i istot. Im wolno iść powoli, im wolno odrywać cząstkę po cząstce i zastanawiać się; ale, kto tworzy, w tym musi być duch: gdzie zaś duch, tam jedność i wolność i piękność bez przerwy, bez analizy, bez zająknienia się, bez odsyłaczów! Odsyłacz znaczy: „prawdę tego lub owego znajdziesz dalej", a w sztuce o to idzie, by prawda tego lub owego, już przeźroczysto w tym lub owym jaśniała, już tam była doskonale powiązana i pojednana! *Sententiam dixi*[240]! a że poznańczycy *cerevisiam*[241] piją, to niezawodnie znać w *Bogunce*.

Teraz odpłać mi się wiadomościami literackimi z stron nadsekwańskich! Czy Bohdana poezje nigdy z druku nie wyjdą? Czy pan Adam rozpoczął kurs swój? Piękne ma pole do wyrwania na jaśnią figury dziewięciowiekowej, co dziś leży w grobie.

Odpisz mi do Rzymu, tam zapewne zimę przebędę. Takem przylgnął, nie do ludzi, ale do kamieni tamtejszych, że czasem zamiast podpisu mego gotów bym nabazgrać: Rzymska kampania:

To miasto wiecznym, w tych grobach jest życie,
Które pod ziemią spokojnie i skrycie
Krąży krwią wieków i serce spokoi,
A może czoło w laur wieków ustroi.
Może kto kiedyś na jednym z tych wzgórzów,
Wśród prochów bogów i gruzu podmurzów,
Gdzie róż i bluszczu powiązane zwoje,
Bluszcz gdy odchyli, znajdzie imię moje!

173. DO ADAMA SOŁTANA

1840. Roma, 26 listopada

[239] *aurea mediocritas* (łac.) — złota droga średnia. [przypis redakcyjny]
[240] *sententiam dixi* — wypowiedziałem myśl. [przypis redakcyjny]
[241] *cerevisia* — piwo. [przypis redakcyjny]

Dzięki Ci tysiączne i za Twój list, wczoraj przez pocztę, i za rękopis, też wczoraj, z rąk księżnej Czartoryskiej, która go z rąk Brzozy przejęła w Mediolanie, odebrany. Aleksander[242] przyszedł do mnie, nie zastał; ja wieczorem do nich poszedłem. Stoją w Meloni na Piazza di Popolo. Zastałem ich samych przy kominku, bo *tramontana*[243] huczy. Przyjęła mnie łaskawie, grzecznie, naturalnie — pewno z miłości dla Ciebie. O Tobie mówiliśmy dużo, pytałem się o Marysię, o Ciebie, o księżnę. Jutro wyjeżdżają, jadą do Neapolu. Widzisz więc, że, gdybym mógł radzić, to nie będę miał czasu z żadną radą wystąpić. Jednak, by Twoich zleceń dopełnić, gdy ona unosiła się nad naturalnością, i afektację Polek ganiła, wtrąciłem maleńką dyskusję o tym, co tu we Włoszech zowią naturalnością kobiecych ruchów i myśli i rozmów. Za przykład prze-naturalizowanej Polki na włoską bufonerię i odsmak postawiłem panią T... Stąd łatwo mi było o złym tonie i złym towarzystwie Włochów napomknąć i dodać, że wdzięk ruchów, pochodzący z prawdziwej podniosłości ducha, z prawdziwej wewnętrznej piękności, jest perłą, której kobieta strzec winna, jak źrenicy: jeśli tę perłę rzuci nieuważna w morze, wszystko straciła! Naturalność jest o tyle piękna, o ile przez wychowanie i długi nazwyczaj wszystkie wewnętrzne myśli wzniosłe i piękne, cała cywilizacja, że tak powiem, serca i duszy, przeniosły się do zewnętrznych form i tak się z nimi zlały, jakby wraz z nimi były się urodziły w kolebce: to jest arcydziełem żywym, to jest panią Zamoyską[244], to jest wyrobienie siebie na doskonały poemat! Lecz naturalność rodzima, naturalność, przez naturę wpojona, to zwykle grubiaństwo, dzikość, niezgrabność; chyba, że już tak Bóg kogo ukocha, że go stworzy Wenerą medycejską, lub Madonną Rafaela od razu, lecz to rzadkie cuda! Człowiek nie jest synem natury, ale synem siebie samego, czyli pojęcia swego, jaki powinien być, czyli sztuki! Naturalnie, że nie o komedii żadnej tu wspominam. Otóż w ten sposób pogawędziwszy, odszedłem.

Pisałem Ci raz, że tu wzięli Szczyta z Pińskiego do S. Spirito do wariatów. Wyobraź sobie szlachcica, dziedzica wsi Kożangrodek, pana całego klucza, Szczytowszczyzną zwanego na Litwie, namówił proboszcz tamtejszy, by jechał do Rzymu prosić Ojca Świętego o pozwolenie na mszy mówienie w dworze kożangrodzkim, zależnym w tym od innego parafialnego proboszcza. Szczyt się wybrał, jakby do Wilna lub Nowogródka, sam jeden zupełnie; tu przybył, podał prośbę, otrzymał i zaraz chciał wrócić do Kożangrodka, do domu. Miał bzika w głowie. W Kożangrodku nic to nie zawadzało i owszem — tu go za wariata poczytali, bo sypał dukatami za lada co, sypiał w stajni przy koniu, dwa osły kupił w Tivoli, dwóch obszarpańców wsadził na nie i sam przodem konno uwijał się po Kampanii, szukając wsi i domu na wsi do najęcia, gdyż miasta nie cierpi. Otóż te obszarpańce, te Sanszy go za wariata donoszą urzędnikom bramy di Popolo. Przytrzymują szlachcica, przez dwa dni go męczą, gwałtów niesłychanych na nim się dopuszczają, sodomskich, gomorskich, z kieski mu wszystkie holendry wykradają, potem z bzikowatego zamieniają go tam na wściekłego, raport piszą do władzy. Władza doktorów śle, on doktorów kpa, grozi im nożem. Doktorzy za wariata go ogłaszają, wiążą go i prowadzą do S. Spirito. Tam byłem u niego.

Dumny jak hidalgo, nieugięty jak Litwin, wspaniały, jak szlachcic z czasów, kiedy Rzeczpospolita nierządem stała, podejrzliwy, jak każdy nieszczęśliwy, dziwaczny, jak Radziwiłł Panie Kochanku, pełny ciasnych wyobrażeń i bzików, ale, mospanie, nie wariat. Pytam się, czy pisać do krewnych na Litwę? „Dziękuję, nie potrzeba, ja przecież dziedzic; gdy Ojciec Święty się dowie, każe tę intrygę ukarać, a mnie uwolnić". Pytam się, wiele mu ukradli pieniędzy. „Nie liczę nigdy moich pieniędzy". Pytam się, czy nie przysłać książek lub czego innego. „Niczego mi nie potrzeba, jeno wolności, zresztą za wszystko dziękuję". I odszedł w ciemne korytarze, pełne wariatów, taki spokojny, taki swój, taki pyszny, jak gdyby w Kożangrodku szedł ze strzelcami i psiarnią na niedźwiedzia do boru. O biedny, biedny typie, typie doskonały szlachty naszej, coś tu się dostał do szpitala obłąkanych! Gdy patrzę na ciebie gdy słyszę ciebie, zda mi się, że widzę bagna mozyrskie, owruckie puszcze, i tego proboszcza, co cię namówił jechać po jedną mszę do Rzymu, i rogi twoje, zawieszone na ścianach drewnianego dworu, i niedźwiedzie skóry na

[242]*Aleksander* — Czartoryski. [przypis redakcyjny]
[243]*tramontana* (wł.) — wiatr północny. [przypis redakcyjny]
[244]*pani Zamoyska* — Józefa z Walickich Zdzisławowa Zamoyska. [przypis redakcyjny]

podłodze, i wszystko, wszystko co cię w Kożangrodku otaczało! Czuję, że mógłbym być twoim Cervantesem, płakać z głębi serca nad tobą, kiedy złośliwi czytelnicy może by się śmiali z ciebie, ale nie ja, nie ja; bo, choć czasy twoje przeminęły, o biedny, o szlachetny dziedzicu, jednak tyle w tobie poczciwego i dzielnego, że każdy poczciwy i dzielny musi cię żałować i kochać! Lubecki jego wujem rodzonym; już postarałem się, by się o tym dowiedział i wdał się w to, to jest, by go stąd wyciągnął i przywrócił do Kożangrodka, gdzie będzie mu dobrze, i nikt nie powie, że jest wariatem.

„Panie — mówił do mnie — ja kawy nie piję; tu mi kawę dają, zagraniczne wymysły — ja zacierkę lub rosół piję, panie; panie, tortury mi włożyli na ręce, tortury panie, a ja nie prosty człowiek, ja dziedzic, panie. Niczego nie potrzeba mi, panie. Wiele ten robi, kto musi. Możesz dać wolność, daj, nie możesz, za wszystko dziękuję. Nie potrzeba pisać do nikogo. Ja dziedzic przecie. Ojciec Święty mnie uwolni, bo cóż złego popełniłem? Czyż nie wolno lubić wsi? Czyż nie wolno koni lubić? Płaciłem za wszystko: spałem w stajni, alem płacił za stancję; kto mi zabroni, panie? Ja dziedzic przecie. Chyba za język polski tu mnie wsadzili, bom nic złego nie zrobił".

Cóż, Adamie? Nie tragicznaż powieść, ale w rodzaju *Don Kiszota*? Tragiczność w komiczności. A teraz pisz, kochaj i bądź mi zdrów i szczęśliwy!

Twój

174. DO JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Rzym, 19 grudnia, 1840 r.

Drogi Julu! I *Lilla*, i list Twój oddane mi są; o pierwszej już temu pięć tygodni długi a długi do Ciebie wyprawiłem artykuł. Iżeliś go odebrał? Przeczytałżeś skargę białej dziewczyny? Uznałżeś w głębi serca jej prawo do skargi i rozrzewniłżeś się nad nią? Oby Cię zły duch Szekspira nie popchnął do niesprawiedliwego sfuknienia się na klęczącą u stóp Twoich! Odpowiedz mi na to zapytanie, proszę Cię! Użyłem wyrażenia: „zły duch Szekspira", i musiałem Ci się zuchwałym wydać kacerzem; ale kacerstwo moją naturą jest i iścizną mojej figury. Jest w starym Szekspirze i duch dobry, wzniosły, tytański, ale i zły jest również, i ten zły, czyli niedomiar dobrego, brak wielkości, brak pojęcia, na czym powszechność, ogół, harmonia wszech-życia zależy, piętno materializmu angielskiego, piętno specyficzne, narodowe wyciska na czole Szekspira, piętno charakterystyczne, ale nie piętno piękności. Nieporównany co do szczegółów, co do ich doskonałego wyrobienia, co do analizy życia — w tym nikt go nie prześcignie. Lecz właśnie dlatego, że nadto wyłączny i jednostronny, zanadto w same pojedynkowe rzeczy i części tylko zapatrzony: zewnętrzny mechanizm życia ziemskiego rusza się w nim, ale głęboki, wieczny jego organizm gdzie? Gdzie wiara życia, gdzie to, co wszystko rozsypane skupia, wszystko rozmaite jednoczy, wszystko sprzeczne w końcu godzi i tożsamuje? Wielki to mistrz na dysonanse — dysonanse są połową życia; lecz gdzie przejście w harmonią, w ogół, w nieskończoną prawdę i piękność, w tę drugą, wyższą życia zarazem i połowę i całość? Czym w stosunku do filozofii historii taki wielki historyk, jak Tacyt, tym w stosunku do pomysłu poezji taki wielki poeta, jak Szekspir: wielki zaiste, lecz niedorównywający całemu pomysłowi poezji. Wiele w nim jeszcze martwego, nierozbudzonego, nieprzypomnianego lub niewskrzeszonego, bo to na jedno wypada; i brak tego, czego nie ma w nim, a ku czemu dysonanse jego same z siebie się garną, czego dysonanse jego się domagają, brak ten właśnie nazywam złym duchem jego. I w naszym wieku, na stanowisku naszym, chcę i żądam, byśmy się strzegli takiego nierozwiązywania fałszywych akordów, takiej wyłączności w ostawaniu się w pośrodku szczegółowych partykularności, niepodwyższonych do właściwej im prawdy, tj. do pojęcia, że nie są rozsypką marną ślepego losu, ale że, owszem, podobne do żyjących członków jednego ciała, do żyjących części jednego organizmu, do płynących fal jednego życia. Poezja, tak, jak wszystko zresztą, rozwija się coraz wyżej, a gdy, mędrkując, krytyki bełkocą o jej upadku, ja nowy wschód jej przeczuwam, nową gwiazdę jej widzę. Dopóki ducha, dopóty poezji, bo jest formą konieczną ducha. Duch odbija się sam w sobie pryzmą poezji. Natura jest poezją przyrodzoną Boga, nigdy

niepoczęta, nigdy nieskończona. A ta sama władza, która jest u Boga wieczną i jedną, u nas doczesną i rozmaitą się staje, tj. podlega coraz innym kształtom, a wyższym — piękności! Dziś dochodzim punktu, w którym duch nasz przechyli się ku nowemu poezji pojęciu, ku przybraniu świeżych form, nieznanych, nieoglądanych dotąd, a szerszych, niż przeszłe, a jednak tym czystszych, treściwszych, prostszych! Czym perystyl marmurowy grecki piękniał przy słońcu, i czym gotycka czarna katedra tęskniła przy księżycu, to i owo zleje się razem w wyższą potęgę, zawierającą całą rozmaitość i szerz katedry, całą jedność i prostotę świątyni; wprowadzim, że tak powiem, komy, punkta, rytm doskonale miarowy w ten las ogromny, szumny, rozrzucony gotycyzmu, na treść jego nieskończoną wynajdziem formę skończoną, która tę treść całkowicie odbije, a odbije marmurowo biało. I stanie się ogół piękności, w którym będzie i człowiek, i ta ziemia, i niebo, i Bóg razem, tak, jak są w wszechświecie, tak, jak są istotnie w duchu naszym, w tym jedynym „Ja", które wszystko zawiera pod kształtem snu, coraz rozbudzającego się jawniej. Już słyszę, jak ptaszęta poranku gwarzą i jak kwiaty o wschodzie słońca wonieją. Szekspira stanowisko było jeszcze, że tak powiem, dzikie i dziecinne: stał w pośród rozmaitości świata, obserwował fenomena, w głąb przyczyn nie zachodził, podobny w tym do szkoły filozofii Locka lub Kondyllaka. Sens jego moralny, ogólny taki: „Ty płaczesz, tobie serce pęka, ty krzyczysz: „Ja nieszczęśliwy"! Spojrzyj, proszę cię, alboż to ty jeden? Patrz no: i tam łzy płyną, i owdzie, serca pękają wszędzie i zawsze; taki życia tryb od kolebki urodzenia do trumny zapomnienia, wszyscy się zżymają, i płaczą, i cierpią. Pomyśl no, czy to nie wielka bufonada tak rodzić się, nie wiedzieć skąd, tak żyć, nie wiedzieć czemu i tak sobie odchodzić, nie wiedzieć gdzie? Ja bym ci radził wszystko to za żart jeden przykry uważać; a kiedy żartują z ciebie, nie wiem, kto, czy los, czy Bóg, czy diabeł, czy traf, ej, wierz mi, i ty zażartuj z nich, kpiną płać kpinę, bądź aktorem komicznym, ty, dotąd tragiczny aktorze na teatrze świata"!

Na tem kończy się Szekspir, bo tylko obserwował fakta, doświadczenia robił z charakterami ludzi, jak fizyk lub chemik z ciałami: wie, że się męczą ludzie, że serca pękają, krew i łzy i pot ciecze, ale nie wie, po co, o co, na co, nie domyśla się, żeby ta cała męka ku czemuś wyższemu garnąć się miała. A płakać, męczyć się, krwawić się o nic, za nic, jest w rzeczy samej smętnem błazeństwem; dopiero tam prawdziwa i wyniosła tragiczność, gdzie jest cel męce, gdzie życie pokoleń ludzkich pojęte jako męka po szekspirowsku, ale jako męka serio, nie buffo, męka, wznosząca się coraz wyżej ku Bogu, męka, rozwijająca wszystkie siły natury ludzkiej na to, by kiedyś ustała i przeszła w błękit pogody, w pogodzenie i pojednanie ziemi, tej trumny, z niebem, tą kopułą świątyni. Śmierć i ból jest momentem tragicznym, ale o tyle tylko, o ile już w sobie ma zaród zmartwychwstania, bo życie tylko jest poezją, śmierć zaś zupełna, absolutna jest niczem jest głupstwem, jest nieduchowną rzeczą, jest oderwanem pojęciem, nie poetycznem, ale metafizycznem. Śmierć więc i ból, uważane jako część, ale tylko część realna życia, są najwyższym smutkiem, najpoetyczniejszą chwilą. Bogu tylko, duchowi tylko może być okropnie umierać, bo żyje, bo jest całością. Lecz stąd, że to Bóg, że to duch umiera, a nie kamień, koniecznie wynika, że ten Bóg, że ten duch z martwych powstać musi i że ta chwila tragiczna jest tylko przejściem; kto więc ją za ostateczny cel postawi, ten odejmie całości prawdę, a jej samej — jej właściwą tragiczność. Bo któż wtedy umierać i cierpieć będzie? Nie Bóg żywy, nie duch nieśmiertelny, ale ktoś, ale coś przeznaczonego śmierci, coś, czego prawem jest śmierć i ból, zatem nicość wielka. Mający umrzeć, umrze — cóż za tragiczność? Żadna, mój drogi. Ten tylko tragicznym jest, kto nieśmiertelny, kto boski, a jednak umrzeć musi i w chwili zwątpienia woła: „Czemuś opuścił mnie, ojcze"! Ten tylko tragiczny, kto łzy i krew leje, ale kiedy każda łza jego i kropla krwi policzona jest i zdała się na coś; inaczej byłoby to wszystko, raz jeszcze powtarzam, tylko smętną buffonadą, najniepoetyczniejszą, jaką tylko pomyśleć można, a takie właśnie stanowisko jest Szekspira stanowiskiem. Wszystkie obserwacje jego są doskonałe, jest to najwyższy z empiryków, ale do głębi życia nie dotarł i dlatego na nim zatrzymywać się jest błędem. Pozostanie on na zawsze drogiem Pismem Św. narodu angielskiego, bo tego narodu, który się nad myśl ostateczną wygody cielesnej nigdy nie podniósł wyżej i nie podniesie, tego narodu wszystkim potrzebom zadosyć odpowiada i czyni. Już Byron daleko wyżej stał duchem: może wierzył w to samo, co Szekspir, ale rozpaczał o to; rozpaczać zaś

— jest nie chcieć czegoś, a nie chcieć czegoś jest już brać się ku odrzuceniu tego. Na co z pokojem greckiego boga patrzył Szekspir, na to samo spoglądał Byron z buntem wszechmocnym, z buntem szatana w oku; być zaś szatanem, buntującym się przeciwko śmierci, i nicości, i materii, jest to, zdaje mi się, poczuwać się do archanielskich skrzydeł, jest to czuć, że się jest synem Boga, i tem był Byron. Za to też Anglia, co pod poduszką tuli Szekspira, jak niegdyś Aleksander W. *Iliadę*, wygnała go i spotwarzyła. Lecz my dzisiaj stoim już daleko od Byrona, a od Szekspira jeszcze dalej: długośmy leżeli w grobie, lecz już z grobu wracamy do Boga. Taka wiara moja, taka logika moja.

A teraz o czem innem: piszesz mi, że Ci mówili, żem smutny. Byłem tego lata bardzo, cholery dostałem w Karlsbadzie, od tego czasu już nie mogłem przyjść do siebie; zresztą co do smutku, nigdym wesoły nie był i znałeś mnie zawżdy prawie pod tym samym kątem umysłowym. Życie codzienne prawdziwie szekspirowskiem jest, pełno w nim ironii; same fakta, w miarę, jak płyną, stawiają się ironicznie w stosunku do człowieka. To, czegoś żądał niegdyś całą duszą, to, za co byś był życiem sypnął zaraz całem, jakby talarem jednym, to samo później ci się zdarzy, a ty nic nie uczujesz, ba, przykro ci nawet. Otóż szczęście, zdarzające się, kiedy przestało być szczęściem, lub ból, w duszy wymierający, ból, dziś prawie niedotkliwy, kiedy dawniej trząsł tobą, jak wulkan podziemiem, ta litera umarła szczęścia czy cierpienia, z której duch wyszedł, a której forma jeszcze się zdarza, oto jest ironiczny punkt życia praktycznego! W historii ludzkiej tem samem są pozostałe instytucje, w które już nikt nie wierzy.

Tak, pełno jest smutku na tej ziemi: ale poety powołaniem jest rozedrzeć ów kolor czarny i za nim posąg Boga czy ukazać, jeśli już stoi, czy wykuć przeczuciem i wolą, jeśli go dotąd nie ma.

Pisz, kochaj i wierz Twojemu

Z.

175. DO JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Rzym, 16 marca, 1841 r.

Skąd ten akord? Gdzie się ta harfa odezwała? Kto dał wieszczom wzrok sztyletowy, sięgający w głąb dusz ludzkich i odkrywający, co te dusze kryć chcą, pragną, nie zdołają? Czy tak z nimi, jak z księżmi? Każdy ksiądz, choć ma prawo słuchania spowiedzi świeckich wszystkich, musi znów księdzu drugiemu się spowiadać; tylko, że tu spowiedź bezgłośna, tu spowiedź nie wymyka się z ust grzesznika, bo grzesznik nie domaga się odpuszczenia win, nie żąda absolucji, ale rodzi się w zwierciedle duszy poetyckiej, która drugą w sobie odbija, chwyta, więzi, przenika, przejrzystem a gorzkiem światłem oblewa, i każe się jej kąpać w falach ubiegłych, niepowrotnych przeszłości. Słuchaj! Chciałbym na godzinę, na godzin dwie, byśmy, Ty i ja, stali się starcami; chciałbym, by nas sześćdziesięcioletnich ta sama znów Willa Róż otoczyła. A tam, siedząc na starościach cezarowych ruin, opowiadałbym Ci szczerze, zerwawszy symbol z prawdy, dzieje mej przeszłości; wtedy nie Ty już byś nożem wspomnień sięgał pod serce moje, ale ja bym tego serca ostatki rzucił, roztrząsł przed Tobą, tak, jak grabarze czynią z kościotrupami, przeznaczonymi do kostnicy. Są straszne prawdy, raczej rzeczywistości, wzorem lekkich motyli igrające po murawach tej ziemi, a pełne jadu wewnątrz, a rojące się z samej dłoni przeznaczenia. Istota, którą oczy Twego ciała ujrzały[245], a na którąś oczyma już duszy był spojrzał od dawna, jest najsłodszą, najlepszą, najszlachetniejszą z dusz, którym ten planeta już czyśćcem i męką ciągłą. Ona nigdy a nigdy szczęścia nie zaznała: niesprawiedliwość, oto jej był pokarm ciągły, chleb powszedni. Nie umiała nigdy w jednę chwilę skupić wieczności na ziemi, a kto tego nie zdoła umieć, ten na ziemi niech nie pragnie szczęścia, bo w niebie chyba jest pogodzenie trwania i uniesienia, stałość i namiętność życia i niewzruszoność! Stąd też wszystkie jej smętki i boleści. Jej, nade wszystko teraz przyjaznej, męskiej, a jednak, że tak powiem, siostrzanej ręki potrzeba; bo zupełnie męska dłoń tylko by palce te białe i miękkie przełamała! Nam, powiadasz, zostawisz koniec zagmatwanej naszej tragedii, a sam odejdziesz.

[245] *Istota, którą oczy Twego ciała ujrzały* — Pani Joanna Bóbr-Piotrowicka. [przypis redakcyjny]

O, nie, Ty się mylisz, Ty zostaniesz i sam się zagmatwasz, sam, jeźli czasu Ci stanie. A nie myśl, Julu, by tu się odzywał ze mnie *Furiis agitatus Orestes*[246]; nie! Cichym teraz, jak dziecię, i martwym, jak trup, bo gotuję się na śmierć — nie na śmierć ciała, ale na powtórną duszy. Nim raz pęknie budowa zewnętrzna, żyły prysną, rozprószą się kości, wierz mi, kilka razy dusza wnętrzna może umierać i zmartwychwstawać, a zgony coraz cięższe, sny w grobie twardsze, zmartwychpowstanie krótsze i bladszem światłem owiane, aż w końcu ciało samo się rozłamie, rozkwitnie się błękitnym bławatkiem próchna, a duch na ziemi nie zmartwychwstanie już. Więc jestem spokojny bardzo i wdzięczny Ci z głębi serca za list Twój: sercu Twemu za list Twój i szczegóły w nim zawarte, duchowi Twemu za wzrok przenikliwy, który on rzucił w samą iściznę ducha mego, tam, aż tam, gdzie z niewidzialności zaczynają powstawać owe kryształki myśli, czucia, natchnienia, z których długie całkie zrastają się struny harfy wewnętrznej w człowieku. Dotknąłeś palcem każdego z tych wymoczków kryształowych, położyłeś dłoń całą, jako szeroka, na duszy mojej; tak, że dusza odjękła: „prawda"! i jedynąś może nagrodą, jaką tu wezmę, nagrodził mi za tyle cierpień, w jedną pieśń związanych. Ale teraz, o poeto, nie dotykaj rany śmiertelnej, którą krew nasza się wylewa wiecznie, aż kropla po kropli, cała z nas wypłynie i, w cudze serca się wcieliwszy, nas samych bezżywotnemi marami zostawi! Nie pytaj się, czemu, czemu inaczej brzmi ten sam kruszec, gdy naciągnięty i nawiązany do lutni, a inaczej, gdy obrócony w kolej pod parowe powozy! Nie pytaj się, czemu duszy Twej miękko położyć się myślą na chmurze, gdy gaz ten sam, z którego wykwita chmura w niebiesiech, tu, na ziemi, w skałę czarną i ostrą opadły, strącony, skupiony, rozkroi Ci podróżne stopy i własną Cię krwią omaże! Od chwili *fiat lux*[247] o to samo cały się ten planeta pyta; ktoś odpowie mu kiedyś, ale nie dzisiaj jeszcze. Dlatego poezja jest formą najwyższą rzeczywistości świata, jest najwznioślejszym kształtem życia, że różni się w swoich rozwiązywaniach od rozwiązywań codziennych i potocznych: dla niej nie ma ślamazarnych przeciągań się, nędznych odgrzewań, w niej jest wieczne dopełnianie się, a w żywotach naszych świeckich następne niedopełnianie się! Poezja, gdzie powieje skrzydłem, tam musi albo na obraz ducha świat ludzi urządzić, i wtedy bohater zwycięża, albo musi z pogardą porzucić ten świat głuchy, niemy, ślepy i wrócić do siebie, do domu, do Boga — wtedy bohater albo idea umiera. Straszny to los mieć grób przedsienią życia i nie móc do życia życiem, jedno śmiercią się dorywać! Wierzę, że tak na dzisiaj i na tysiąc tysięcy „dzisiaj" innych jeszcze. Zatem nie kalecz wiecznie skaleczonych, Ty, sam krwią i ranami okryty, nie pytaj się krwawych i rannych: „Proszę was, mili, co to za purpurowe cętki u was na piersiach?" Niech Ci z jednej strony Bóg, z drugiej przepaść odpowie!

Jeśli macie tam z Księstwa dzienniki, tak, koło kwietnia, maja i aż do pół czerwca, pilnuj, czy w nich nie znajdziesz pewnych myśli bratnich a szczerych, a już nie w biurku zatęchłych, lecz wolnym okąpanych powietrzem[248]. Gdy je czytać będziesz, nie myśl o ich treści, bo to, co w sobie masz, znasz przecież, a tam o tym tylko mowa; ale pomyśl, że w Willi Róż było niegdyś dwóch ludzi, co ślubowali przyjaźń i dochowali jej, a wtedy to może rozwidni Twoje niektóre marzenia o niestałości uczuć ludzkich.

Nie próbuj też zanadto niezgłębionych serc: gdy puścisz w morze kotwicę, nie widzisz, gdzie poszła, bo głąb morska ciemna; ale czy wiesz, czyś tam czasem na co żyjącego żelazem nie trafił i tego nie rozdarł, nie rozranił, nie przebił? Długo czekać musisz, aż krew z przepaści wzniesie Ci się aż nad fale i krzyknie: „Okrutnyś!". Może nie doczekasz się jej nawet, odejdziesz wprzódy, nigdy nie dowiesz się o ranie, którąś zadał. Wierz mi, bądź raczej jak anioł światła i dźwięku, a eksperymenta zostaw staremu Wilowi i anatomikom! Rozwiedź tęczę cichą a promienną nad tymi, którym życie gorzką było rzeczą! Ściskam Cię z głębi duszy; każdy list Twój będzie mi smętnym a białym gołębiem.

176. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

[246] *Furiis agitatus Orestes* (łac.) — Orestes, gnany przez Furie (po zabiciu matki). [przypis redakcyjny]

[247] *fiat lux* (łac.) — niech się stanie światło. [przypis redakcyjny]

[248] *a już nie w biurku zatęchłych, lecz wolnem okąpanych powietrzem* — mowa o rozprawie Z. Krasińskiego pt. *Kilka słów o Juliuszu Słowackim*, która ukazała się w IV. tomie poznańskiego „Tygodnika literackiego". [przypis redakcyjny]

Rzym, 20 marca 1841

Drogi mój! Gdym list Twój przedostatni odbierał, byłem po prostu jak święty turecki. Nie odpisywałem zatem zaraz, czekałem, aż mi się uśmiechną lepsze losiki. Gdy cośkolwiek teraz od bisurmańskiej świętości odszedłem, co mogę, przesyłam Ci. Dzięki Ci za wszystko, co mi piszesz; rad bym, by o rzeczy, nie o przyczynie rzeczy, tyle mowy było, bo to wszystko może się kwaśnym katarem skończyć.

I oto znowu marzec, wiosna! Światu z łaski bożej 1841, mnie trzydziesty rok! Czas, to najokrutniejszy z archaniołów. Ten, co u bramy raju z mieczem gołym, przynajmniej stoi na miejscu — ale Czas, z podobnym żelazem w obu dłoniach, goni nas i ostrza tych mieczów w plecy nam wtyka. Przez plecy wskróś na tamtą stronę piersi się przebijają, i tak po tej kuli ziemskiej, wiecznie skaleczeni, wiecznie krwawi, z sercem stąpamy przeszytem. Oh, życie gorzkiem jest, bo trzeba zapominać o przeszłości, bo trzeba oddzierać ją od ciała, jak koszulę Dejaniry, za którą mięsa kawały idą. Mój drogi! Kiedyś, kiedyś, kiedy będziesz wspominał o mnie, pomyśl, żem ogromnie wiele nieznanych cierpień wytrzymał i że czasem w ciągu życia chciało mi się śmierci. Coby Ci wiedza faktów pomogła? Wieczne faktum moje, oto ból, i ból, i ból jeszcze! Znasz mnie, są chwile, w których nawet pisać nie zdołam. Niech Cię Bóg strzeże i błogosławi.

177. DO STANISŁAWA KRASIŃSKIEGO

1841, 2 kwietnia, Rzym

W tej chwili nie masz czasu na czytanie listu czyjegokolwiek — kochasz — więc tylko czytać umiesz w oczach ukochanej, ale zawsze jednak stanie Ci cierpliwości na przeczytanie tych słów kilku, szczerym Ci przesłanych sercem. Bądź szczęśliwy dziś i jutro, teraz i na zawsze.

Zygmunt K.

178. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

Roma 1841, 8-go kwietnia

Drogi Auguście mój! Zawszem się domyślał o tem, że jedyną widomą i dotykaną nieskończonością na naszym planecie jest głupstwo ludzkie, alem nie przeczuwał, że tak się Tobie da we znaki i oskarży Ciebie — Ciebie o bezbożność! Zapewnie nie pojęcie pewnych wyrażeń gramatykalnych przywiodło ich do tego — sprzeczają się o *lana caprina*[249] o literę zdechłą, a w treść, w ducha się nie wgłębili. Mnie, który znam Twoje myśli, mnie, który Ciebie odwodziłem od zbytnich pokut i mortyfikacyj i praktyk, moim zdaniem zabobonnych, śmiesznym się nade wszystko wydaje, kiedy słyszę teraz, żeś popadł zarzutowi antyreligijności, bo nie znam na ziemi tej ducha bardziej, niż Twój, przepojonego do głębi religijnem uczuciem. Staraj się ich przekonać, że się mylą, by się nazbyt nie gorszyli — nie z winy Twojej, ale z własnej — obłędnem pojęciem, jakie się w nich wyrobiło o Tobie, a ufaj w Pana, który sług swoich nigdy nie opuszcza, jedno czasami próbie kwoli wypuszcza na nich, gdyby psów szczekanie, ludzi kłamliwy wrzask; ale w borze świata prędko giną te grania ogarów, a prawda się zostaje, jak szum nadpowietrzny a wieczny sosen wielkich, modlących się konarami drżącemi do nieba!

Czyś czytał Trętowiusa[250] *Vorstudien zur Wissenschaft der Natur*? Jest to malarstwo, następujące w filozofii po posągowatości Hegla. Wszystko, co tam ócz nie miało, co tam białe i marmurowe było, to patrzy, spogląda, zrzenicuje i płonie kolorytem weneckim: polskie życie, śmiałość, napad, rąbanie, rzutność zastąpiły jędrność bez stawów i kości bez

[249] *lana caprina* (łac.) — o kozią wełnę, tj. o głupstwo. [przypis redakcyjny]

[250] *Czyś czytał Trętowiusa* — tj. Bronisława Trentowskiego (1808–1869); zob. w dalszej części tomu listy do niego. [przypis redakcyjny]

mięsa olbrzymiego, suchego, li metafizycznego szkieletu germańskiego, pojęcie Boga jako zarazem osobistego i nieosobistego, tj. będącego wszystkim, czem tylko być można a realnie wielkiem jest. Ale też materia wtrącona w skład Jego — co u Germanów *Geist*, u Trętowskiego *Dasein*, *Wirklichkeit*. Jeśliś nie czytał, przeczytaj! Nie tak wspaniale mu się udało z nieśmiertelnością: Wystawił sobie świat pogrobowy na kształt płaskowypukło-rzeźby uwiecznionych postaci i duchów, dopełnionych a niewzruszonych, leżących na łonie przeszłości, jak po katedrach granitowe posągi rycerzy na grobowcach średniowiecznych. Ależ dotąd same początki jego systematu wybrnęły na jaźń — może w ich rozwiedzeniu i rozwinięciu pojęcie nieśmiertelności także się ożywi i nóg dostanie. Co zaś do natury, tej wszystkie kategorie prze-logicznie, a zarazem prze-rzeczywiście już przeprowadził; w tym pokazał się mistrzem. Jasność jego stylu i dowodzenia ogromna; czytając go, zdawało mi się, że zorza jakaś stepowa wschodzi w Czarnolasach niemieckich i że nareszcie duch się wydostaje z okręgów ciemności *a riveder le stelle*[251] — każda nauka albowiem przechodzi następstwem koniecznym przez owe trzy dantejskie sfery, zaczyna żyć w wnętrzu ziemi jak ziarno, wyrasta z tego piekła czarnego w czyściec powietrza, tam, gdzie jeszcze szaro od brył gliny, a już biało od światła atmosfery, i, coraz bardziej się oczyszczając, rośnie, rośnie, aż jej korona całkiem rozkołysze się w czystym błękicie nieba!

Od powszechnego zacząwszy, przechodzę do jednostki, tj. do siebie. Choć nie warto i dwóch słów o niej wyrzec. Schorowana i bezsilna to jednostka już, parta zewsząd nasuwającą się powszechnością i gotowa dać się rozwiązać, nie bez pewnego oporu jednak, nie bez sercowego buntu — bo w tej *jednostce* wre i żyje także *całość*, tylko, że bezpotężna.

Ani anonimowo, ani autonimowo, ani heteronimowo[252] owa jednostka nie pragnie żadnej wzmianki i nigdy i nigdzie, zupełnie się takowej opiera — k'temu słuszne ma powody.

Czekam z najżywszą niecierpliwością listu Twego obiecanego. Zastanie mnie na *via Sacra*[253] — ruina stoi wśród ruin i nie rusza się, a niedługo rozsypie się w proch. Pisz więc, dopóki jeszcze iskra czeka na Ciebie, zdolna Cię zrozumieć, bo później proch tylko list Twój odbierze i, przysypawszy go sobą, a może nie pojąwszy już, wraz z nim leżeć będzie wśród gruzów i bluszczu aż do dnia, w którym słowa apostoła się ziszczą: „Inne niebo i ziemię nową".

Ściskam Cię z głębi serca.

Twój na zawsze

Zyg. Kr.

179. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Rzym, 12 czerwca 1841

Drogi mój! Tysiąc Ci dzięków składam za mozolny trud, któryś zadał sobie dla mnie, przepisując ten artykuł[254], który już tutaj mnie był doszedł *sub propria specie*[255]. Ślicznym stylem pisany, ale złośliwie i stronniczo. Gdzie z duchem dziennika nie zgadza się duch pisarza, tam potępiony, bez uwagi na artystyczność rzeczy. Twierdzi np. krytyk, że *Sen* wyższy nad *Legendę*. Czemu? Bo w *Legendzie* zadraśniony mur, który według nich stoi na opoce. Wspomina też krytyka o rafinerii romansowej, o galanterii, której w średnich wiekach nie było u rycerzy. Prawda, ale galanterią romansową zowie się uciec z cudzą żoną i skryć się gdzie i żyć z nią; zabić zaś ją w przekonaniu, że dopiero w świecie duchów można ją odzyskać, nie jest galanterią żadną. W średnich wiekach zdarzały się takie rzeczy: samobójstwo Romea jest poświęceniem wszystkiego dla miłości; u nas pan Żółkiewski,

[251] *a riveder le stelle* (wł.) — aż znowu zobaczy gwiazdy. [przypis redakcyjny]

[252] *Ani anonimowo, ani autonimowo, ani heteronimowo* (gr.) — ani bezimiennie, ani pod własnym, ani pod cudzym imieniem. [przypis redakcyjny]

[253] *via Sacra* — ulica w Rzymie. [przypis redakcyjny]

[254] *ten artykuł* — recenzja *Trzech myśli* i *Nocy letniej* w *Dzienniku Narodowym*. [przypis redakcyjny]

[255] *sub propria specie* — pod własnym kątem widzenia. [przypis redakcyjny]

synowiec hetmana, gdy mu jakiś wojewoda córki odmówił, porwał za nóż, pchnął się i zabił w oczach wojewody i córki jego. Wreszcie położenie tego, który się zabija tam, tem usprawiedliwione, że gdyby się nie zabił, musiałby własnego stryja zamek zburzyć, a jego pod sąd poddać. W tym zbiegu okoliczności leży możność pojęcia, że on musiał od swoich odstąpić i, swoją zabrawszy, odejść do Pana Boga, na ziemi albowiem nie było już miejsca dla niego. Wśród partyj politycznych często zdarzają się podobne stany umysłowe, podobne konieczności, podobne fata; kto ich nie czuje, ten dzieckiem jeszcze co do historii rodu ludzkiego. Nie każdemu być wielkim człowiekiem, wielki człowiek albowiem jest ten, któremu się uda wszystko pogodzić, siebie i zewnętrzne okoliczności zlać w jedną chwilę, w potęgę jedną; ale bohaterem być można bez zwycięstwa, wśród najopłakańszej przegranej. Poezja ceni wysoko bohaterów, nie pyta, czy im się udało, czy nie, pyta tylko o to, czy byli dzielnymi; a gdy muszą w pół zawodu, nie dokończywszy dzieła swego, umierać, skrzydłem ich swojem okrywa i mówi: „Przypomnę was ludziom i ludzie rozpłaczą się nad wami". Taka różnica poezji od historii: w pierwszej jest miłość, w drugiej rozum tylko. Co zaś krytyka słusznie zauważyła i wytknęła, to nieraz napotkane napuszenie, niby pretensją; to prawda. Ale proza poetyczna jest trudem trudów, i w niej szum prawie warunkiem koniecznym się stawa. Tyle o tem.

Za Twoje inne doniesienia tysiąc Ci dzięków także. Prześlij mi do Kissingen tłumaczenie *Snu*, niezmiernie będę go ciekawy czytać. Zapewne do pierwszego augusta tam zabawię; stąd za dni kilka wyjeżdżam.

Ciągłem chory, a co najgorsza, że na duchu: nic czytać, nic pisać nie zdołam; wszystko mi obrzydło, ludzie i rzeczy, pieśni i mowa, sny i rzeczywistość. Wątroba serce mi zabiła i mózg; sama jedna, rozpuchłszy się, pierś mi zalega. Módl się za mnie, Konstanty, i kochaj mnie!

Oto biedny Ursyn[256] poszedł do Ojców! Muszą się cieszyć umarli, bo coraz więcej żywych ubywa.

180. DO JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Rzym, 18 czerwca, 1841 r.

Bóg jeden tylko dotyka się umarłych i wskrzesza ich; kto śmiertelny, ten galwanizuje ich tylko i sam się zabija. I ja tak zginąłem, i Ty teraz w taki sposób omdlałeś. Ależ można, Julu, kilka razy przed ostatecznym końcem martwieć i odżywać na ziemi; prawda, że zmartwychwstanie coraz leniwsze, a sny, ospałość, smutki coraz cięższe: kilka prób śmierci przed śmiercią człowiek odbywa, coraz to bardziej opadając na siłach, uczy się wiecznego pokoju. Zapewne na odwrót, gdy poleży w trumnie, uczy się w niej życia innego, niewzruszonością i ciszą krzepi się do ruchu i nowej wrzawy jakiejś. Świat sprzecznościami stoi: gdy zasypiasz, dążysz ku obudzeniu się, gdy się budzisz, w tym znak, że masz zasnąć. Rad nie rad, muszę Szekspirowi złożyć hołd, przyznać prawdę. Ironia gości w tym życiu. Ironia, to praktyka świata! Teorią zaś jego jest wiara i szczęście. Cóż powiesz? Otom znikczemniał i dusza mi się rozwłókniła na wzór spalonej rośliny; cierpię, a głosu mi brak na wydanie cierpienia, głuchym, oniemiał śród życia: ni świat zewnętrzny już odbija się we mnie, ani też ja nie odedrgiwam już światu zewnętrznemu. Dziwna też pora: czy uwierzysz, że włoskie niebo zniemczało, ni wiosny, ni lata nie widzieliśmy, wciąż bure chmury, zimno, plusk, deszcz, błoto; planeta chłodnieje, planeta choruje. Dobrze umierać, ale źle jest być młodym w takim zbiegu okoliczności kosmicznych. Coraz się bardziej wszystko anhelluje, od bieguna rozszerza się białe widmo Anhella i zasępia ziemię, przez równik przechodząc: gwiazdy w górze gasną, w dole więdną kwiaty, wyschną zdroje i źródła wreszcie, spleśnieje morze, ognie pogasną, będzie ciemność, przepowiedziana przez Byrona. Spotka się dwóch wrogów przy lampie, palącej się przed Madonną, przy ostatniej iskrze na ziemi poznają się i zabiją się.

Za dni kilka stąd wyjeżdżam, jadę tą samą wieczną drogą moją: naprzód mokrą i parową do Genui, następnie suchą i górzystą przez Alpy, wreszcie równą i nudną przez Bawarię do Kissingen, gdzie mineralne wody, pite przy odgłosie muzyki freischützowej

[256] *Ursyn* — Julian Ursyn Niemcewicz. [przypis redakcyjny]

o piątej z rana co dzień, mają zdrowiu mojemu pomóc!!! Napisz tam parę słów do mnie! Dotąd *Beniowskiego* nie odebrałem. Tassowi nie mogę powiedzieć tego, coś żądał, bo nie będę już w Neapolu; ale, jeśli Ci chodzi o to, by obłąkany i smętny człowiek wiedział o tym, to sobie samemu to powtórzę, a stanie się Twojej chęci zadość. Szczęśliwi ci, co biją się w pierś i mówią: „Tu wiara i potęga jest"; szczęśliwi, którzy lekkomyślności pełni; szczęśliwi, którzy miłością własną do purchawek podobni, bo nim pękną, dobrze im jest po wszystkie dni żywota ich, a gdy ich silniejsza noga roztrąci, już nie czują nic; szczęśliwi, którzy się kochają w koniach, powozach, powozikach, frakach kamizelkach i infantkach hiszpańskich; szczęśliwi głupcy i durnie i nikczemni wszelkiego gatunku, bo ich królestwo ziemskie, a nam niebieskiego czekać trzeba. Kto wie, czy nadejdzie? A kiedy nadejdzie, może już odechce się jego, jak wszystkich długo żądanych rzeczy bez skutku. A tamtym dobrze będzie i z królestwem niebieskim, jak z każdą nowością: dostaną na progu w skórę za głupstwo i amnestią, bo gdzie by się Pan Bóg mógł na głupców wiecznie sierdzić? Lecz z nami inaczej; nuda i tam zeżre nam zmartwychwstałe serce. Wiesz, co piekło? To nuda w niebie, to pragnienie wieczne sławy i wielkości śród demokratycznego tłumu zbawionych i wybranych, świętych i aniołów. Ta sama chwała, to samo dobro: jednym niebem, drugim będzie piekłem!

Lecz darmo, gdzie płyną fale, tam poniosą nas; my idziemy dalej, a pieśni nasze krzepną i zostają z tyłu, jak baba owa, w solny posąg przemieniona za to, że chciała boskiemu dziełu zniszczenia się przypatrzeć. I nam, i pieśniom naszym także się dostało: patrzeć na same dzieła gniewu i zaguby. Bądź zdrów! Czym zdołasz, krzep się i nie daj, a ile razy będziesz na czyim pogrzebie, pomyśl, żem umarł i zmów Zdrowaś Maria za mnie, bo zaprawdę na sercu i umyśle strupiałem już i nie jestem tym, czym byłem niegdyś. Dłonią umarłych wciągniętym do dołu. Szukaj żywych, Julu, z żywymi przestawaj! Igrać nie można ze śmiercią. Twój

Z.

181. DO ADAMA SOŁTANA

Rzym, 1841, 21 czerwca

Cóż Ci powiem? Od czego zacznę i na czym skończę? Dotąd z Rzymum nie ruszył, dopiero za tydzień jadę do Civitty, i siadam na statek parowy i płynę tą samą, tyle razy przepłynioną już drogą, do Genui. Dowiesz się z gazet, że przed kilku dniami „Pollux" w nocy około jedenastej, niedaleko od Elby, spotkał się z „Mongibellem" i dostał tak przeważnie w pierś, że od razu roztrzaskał się na dwoje i w dziesięć minut się zatopił; szczęściem jeden tylko z ludzi, na nim będących, zginął, resztę „Mongibello" ocalił, ale pojazdy, rzeczy, wszystko, co tylko było na i pod pokładem, poszło w głąb Śródziemnego Morza. Gdym się o tym rozbiciu dowiedział, żałowałem szczerze, żem nie wypłynął z „Polluxem", tak, jak zamyślałem, i żem nie był właśnie tym jednym, co się tej nocy utopił. Sądź po tym wyznaniu, jak mi różowo w duszy i lekko na sercu! Choroba straszna mnie pochyliła, zgarbiła do ziemi, uczyniła rzeczą martwą a smętną. Tę chorobę zaś sprawiły od lat wielu ciągnące się wewnątrz mnie samego walki, zapasy i trujące mnie zgryzoty. Pókim mógł, opierałem się czarnym, robaczywym myślom, którym się chciało zawsze i którym się nareszcie udało przeważyć nad siłą ducha mego. Teraz doszedłem do takiego stanu, że mi świat, jako szeroki, wydaje się pustynią, a światło słoneczne krzywdą, obrazą, pośmiewiskiem. Nie chcę wytykać po szczególe wszystkich okoliczności i przyczyn, czy to prywatnych, czy szersze koło od domowego zajmujących, które z wolna takim mnie jadem zapełniły, taką rdzą przedwczesną serce pokryły; po większej części wiesz o nich, ale czego nie wiesz może, to do ila zawsze mnie one rozdzierały. Od lat dziesięciu, od kiedym począł być młodym, ciągle czułem się w podwyższonej drażliwości nienaturalnym stanie. Żyłem, jak galwanizowane trupy, życiem z zewnątrz zaciągnionym, bo wewnątrz zawsze śmierć była, śmierć mi znana, dotykalna dla mnie, a drugim niewidoma, ukryta przed nimi maską żywości, której elektryczne nurty w końcu się przebrały, i teraz nie ma nade mnie nędzniejszego stworzenia! Reszty życia mego, przyszłości mojej nienawidzę.

Bóg mnie do niej nie stworzył, a ludzie mnie w nią wpychają. Brak mi zupełny cnoty, największej wśród chrześcijańskich cnót, rezygnacji; pod tym względem poganin jest ze mnie i zbliża się, jak pogrom, chwila, w której właśnie przez brak takowej pokory i submisji[257] będę musiał się rozbić, zaginąć, jak ów biedny „Pollux", który nie potrafił ominąć na morzu, choć tak szerokim, „Mongibella" i wolał prosto płynąć, nie zbaczając, dostać śmiertelnym ciosem w bok, niż się zrezygnować do obrania drogi nieco dłuższej i krzywszej. Co tylko więc stanie się ze mną teraz, Ty, o tym słysząc, bądź pewny w głębi serca, że to się na moje nieszczęście i zgubę dzieje; niech Cię pozór ni blichtr żaden nie łudzi. Odtąd droga moja wikłać się i gmatwać zaczyna pod moimi stopami, odtąd nie będę już w zgodzie z sobą samym, ale rozdwojony i przy poczuciu się do tego rozdwojenia dążący, by jak najrychlej to tragiczne fatum zakończyć. Wszystko, co tu mówię, głębi duszy i rdzeni serca Twego poruczam; nikt inny niechaj nie wie o tych moich bólach i o srogich przeczuciach. Od dwóch miesięcy co dzień Boga gorąco o śmierć błagam, bo chciałbym umrzeć przed dotknięciem się świata; rzeczywistość albowiem jego taka brudna i skalana, że ten tylko białe ma ręce, kto zdołał się na niej nigdy nie opierać. Unieść bym chciał siebie samego niepokalanym stąd do wieczności.

Bądź zdrów, napisz co do mnie do Kissingen, piętnastego lipca tam stanę. Bądź zdrów i kochaj tego, który, umierając, będzie jeszcze kochał Ciebie.

Zygmunt

Oh, stary Ursyn już poszedł! Konary i kwiaty i liście opadają z drzewa, sam pień się już tylko wkrótce zostanie, sam pień, tysiącami siekier i pił, do pół weń zanurzonych, okryty; i dzieci nasze, chcąc dotknąć się kory, chcąc drzewo stare rączkami objąć, dotkną się tego żelastwa i okaleczeją na wieki!

182*. DO DELFINY POTOCKIEJ

Wildungen, księstwo Waldeck — szczyt góry, 2-gie piętro gospody — 26 lipca poniedziałek 1841

Droga moja! Prawdziwie z pustyni wołam do Ciebie. Wystaw sobie wzgórze z miasteczkiem na szczycie, podobne do owego gniazda orlego z domów ludzkich w Itri[258], któremu nieraz dziwiliśmy się razem. Wystaw sobie, że naokoło inne są, to mniejsze, to wyższe od tego środkowego wzgórza, a tak ułożone, że z jednej strony od południa nagie, zbożem tylko żółknieją, a z drugiej, od północy, roślejsze, dziksze, lasami okryte, rozdzierają się na wąwozy i parowy, które obwiązują wkoło ową górkę, na której wierzchołku stoi Wildungen, miasteczko o niewielu domach, o jednej tylko ulicy, długiej, brukowanej gwoździami z kamieni, a pełnej błota, brudu, słomy i stosów śmieci, tak, jak u nas po miasteczkach żydowskich. Wszystkie domy wysokie, czarniawe, z ostrokątnymi dachy, krzyżackim, pruskim obyczajem stawiane. Kościół jeden stoi, niby to gotycki, z resztą ostrołuków rozbitych i odartych, niegdyś katolicki, dziś przeprotestantyzowany, i widzisz koło niego, oparte o mury jego, powyrzucane z jego wnętrza groby i nagrobki dawnych rycerzy katolickich. Obok lipa szeroka: wzdychają pod cieniem jej rozłożystym owi kamienni, pozbawieni wiecznego pokoju, na deszcz i powietrze z głębi przybytku wyciągnieni rycerze. Te głazy grobowe, ryte w napisy i postaci ludzkie, dowodem są, jak mało protestantyzm wszelką sztukę i tkliwość uczuć rozumie. Kto rusza prochy umarłych? Kto znieważa dawnych wieków pamiątki? Zwykle barbarzyńcy to czynią, gdy na Rzym napadną, zwykle lud ślepy i kapryśny jak dziecko, a wściekły jak tygrys, to czyni, gdy rozwala rządu jakiego lub formy dawnej socjalnej budowlę; ale protestantyzm, który przezywał się dumnie Aufklärung, to jest rozświeceniem, nie powinien był się dopuszczać takich grubiaństw i głupstw, powinien był przeszłość uszanować i pojąć, że nie ma możnej religii bez sztuki, bez czci umarłych, bez grobów dla tych, co zniknęli, i bez obrzędów dla tych, którzy żyją. Niemałej ponurości dodają temu miasteczku owe nagrobki ześwię-

[257] *pokora i submisja* (łac.) — poddanie się, uległość. [przypis redakcyjny]
[258] *Itria* — Miasteczko między Terraciną a Gaetą. [przypis redakcyjny]

tokradzione, że użyję słowa tego przydługiego na wyrażenie myśli mojej, bo w istocie ukradła je Reforma z głębi świętej kościoła, by je wyrzucić na świeckie zewnętrze tegoż kościoła. I owe posągi w zbrojach i średniowiekowych szatach zdają się, klęcząc nie tak, jak dawniej, poziomo, ale prostopadle do ziemi, gdyż oparte są o mury, nie zaś leżą nad trumnami, zdają się, mówię, czekać dnia sądu i oń do Boga się modlić w nadziei, że w tym dniu, za długie z ostatniego pomieszkania, z podziemnej ojczyzny, wygnanie, Bóg im wynagrodzi. Prócz tego kościoła nic nie ma w tych stronach coby myśl jakąkolwiek obudzić mogło w duszy; wszystko chłopstwem jest, grubiaństwem, niemieckim prostactwem, kartofladą. O wiorstę od miasteczka, w pobliżu źródła mineralnej wody, wznosi się jedyna w tej puszczy gospoda, podobna z położenia na wierzchołku góry i z nędznej powierzchowności do gräfenbergskiej. W niej dwa mamy pokoiki. Od tej gospody dwie ulice lipowe się w dół rozchodzą przeciwnym kierunkiem: jedna ku miasteczku dąży, druga zstępuje do źródła, pod drewnianą altaną bijącego i opatrzonego parodią kurhauzu, ulepioną z drewna i gliny, w której jest sala, a tam co niedziela, wczoraj tego oczywisty dowód mieliśmy — zgromadza się okoliczna szlachta, to jest ekonomy, komisarze z dóbr okolicznych, niektórzy mieszczanie z Kassel z żonami, z córkami — piją, jedzą, śpiewają, wrzeszczą, tańcują, nawet w ruletę grają: tutejszy gospodarz, korruptor całej okolicy, trzyma ją, ale tylko w niedzielę, kapitałem z 500 talarów ją podścielając. Z tego możesz pomiarkować, jakie tego Badu przepychy i wygody. Na tej pierwszej drodze, co ku miastu zmierza, o pięćdziesiąt kroków od gospody, skąd piszę do Ciebie, stoi dom o kilku pokojach, niezamieszkany, samotny zupełnie, bez ogrodu, bez sztachetów, słowem nagi zupełnie, w którym ojciec mój będzie musiał mieszkać; kazałem go meblować na ten koniec.

Masz więc, droga Dysz, opis geograficzny i statystyczny tego obrzydliwego miejsca, kędy będzie trzeba miesiąc august cały mi przebyć. Wczoraj, ponieważ pełno było niedzielnych gości (polski kalembur), wsadzono nas za przyjazdem do małej ciupy z Konstantym, gdzie stało łóżek cztery i wisiała na kółkach cała garderoba (po staropolsku: całe ochędóstwo) gospodarza. Wśród pcheł miliona noceśmy nie przespali, ale przedrapali, a dopiero teraz dwie nam osobne celki dano, i w jednej z nich, siedząc przy kiwającym się stoliku, piszę do Ciebie.

183. DO DELFINY POTOCKIEJ

30 lipca 1841, Wildungen

Droga moja! Odebrałem Twój list 3-ci z Neapolu, w którym piszesz mi, że *ogromnego konwusonisty* szum Ciebie samą w konwulsje wprawił. Biedna Ty, Didysz moja! Wierz mi jednak, że tu gorzej jeszcze: nie ma fal, ale powietrze tak się trzęsie i podrzuca co chwila, jak ten żebrak straszny w Fondi, na którego galwaniczne ruchy Ty patrzeć nie mogłaś. Słońca ze szczytów tych wzgórzów nigdy nie dojrzeć — smutno strasznie. Zawczoraj ojciec mój przyjechał, ażem się przeraził, taki zmieniony od roku. Kiedym go ujrzał, wiesz Ty, co mi się przypomniało nagle? Oto litografia ta smętna cesarza, leżącego w trumnie, to czoło tak wyschłe i zmniejszałe, ta postać cała taka skupiona w siebie, nie wewnętrzną siłą, ale zewnętrznym form wszystkich opadnieniem. Tak wygląda mój ojciec, powiadam Ci, straszno wygląda, a przywiózł z sobą strzelca Niemca, który kropla w kroplę podobny do p. Mieczysława, tak, żem się na pierwszy widok aż cofnął, myśląc, że to on! Naturalnie, ta myśl tylko chwilkę błysnąć mogła mi przez mózg. Lecz nic na świecie tak dalece coś innego, różnego od siebie, przypominającego nigdym nie widział. Jedyna różnica na wyrazie twarzy zależy. Bo ten strzelec zdaje się dobrym i usłużnym człowiekiem.

Dotąd mowy o niczym nie było, — pokazywał tylko mój ojciec ślubną szpilkę z datą: *19 lipca, Frankfurt*, i z napisem: *Liv. Odes. i Zof. Br.*[259] — Zatem pobrali się już. Cała familia w Frankfurcie, i Aleksander. Odeschalstwo jedzie do Syrmii, a za dwa miesiące do Rzymu. Co zaś inni myślą robić, gdzie się obrócić, nie wiem. Mój ojciec w początku

[259] *Liv. Odes. i Zof. Br.* — Livio Odeschalchi i Zofia Branicka; mowa o ślubie panny Zofii Branickiej z ks. Odeschalchi. [przypis redakcyjny]

septembra musi być w Warszawie, potem myśli jechać do Dunajowiec[260]. Zresztą nie mogę się jeszcze ani jego projektów, ani myśli domyśleć. Rozmawiamy wciąż o obojętnych przedmiotach, jak to o minerałach, saletrorodzie, statystyce, ekonomii politycznej itd., — ale czarna krepa wisi w powietrzu nad nami, podejrzliwość i nieufność wzajemna krążą koło nas, stoją u drzwi pokoju, w którym siedzimy, jak żołnierze na straży, a gdy wstajem i wychodzim na przechadzkę, prezentują broń i idą za nami.

Smętnem życie takie, Dyszo najlepsza moja, — ale jakie życie nie jest smętnem? Są chwile piorunowe — lecz, jak piorun, ogromne światłem i znikome zarazem — szczęścia! Lecz każdy ciąg dni wielu gorzkim jest — miłością prawdziwą nie kochanie się w weselu, ale kochanie się i poleganie na sobie wśród smętku i goryczy. Czym się od nich bronić, czym się przegrodzić od myśli samobójstwa, jeśli nie taką miłością cierpliwą, stałą, wytrzymałą, zawsze jedną, czy w radości, czy w nędzy? Miłość nie winna się opierać na szczęściu, ale winna żyć sobą samą. Kształtem jej tylko przemijającym, raz ukazującym się, to znów rozmdlewającym się, jest szczęście — ale głąb jej jest ona. Bóg mówi: „Jestem ten, który jest", a nie przydawa sobie żadnego przymiotnika, żadnego kształtu, żadnego opisu, albowiem *nieskończoność* nie opisuje się niczym. Tak samo dziać się winno i z miłością. *Jest, bo jest, i jest ta, która jest*. Może zaś być i tak i owak, i tu i tam, na ziemi i za grobem, w chacie i pod purpurą, na szczycie radości i na samem dnie przepaści. Dante doskonale to pojął, gdy Franceskę w piekle jeszcze obwiązał ręką kochanka i tak zawiesił ponad głowami złych duchów.

31 lipca — — — Z ojcem moim trudna rada — niepodobna rozmowa. Jest w zupełnej melancholii, — jęczy i wzdycha i gryzie się wewnątrz — nigdy o żadnym ważnym przedmiocie nie gadamy. Kiedy wyjdę od niego, żal mnie jego i strach o niego chwyta — gdy jestem z nim, męczę się, burzę się, czuję się złym i pełnym ukrytego buntu. Dialy, nieszczęśliwy jestem, i od lat już 15-tu z tego powodu wyrasta przepaść między mną a tym, który dał mi życie, i wychował mnie, i kochał mnie silnie niegdyś, między mną a tym, którego ja niegdyś ogromnie kochałem. Tej przepaści nic już nie zapełni, a most choćbym postawił nad nią, zaraz się załamie. To mnie gryzie, szarpie, zatruwa, ale czuję, że nic a nic temu stanowi rzeczy już nie zaradzi, tej wspólnej choroby serc naszych nie wyleczy: ja ciężkie rany dźwigam z jego przyczyny, i on głębokie też wziął ode mnie. Działamy i oddziaływamy zgubnie na siebie. Darmo, tak jest, być inaczej nie zdoła. To się zowie fatalnością, niechaj mi kto jej zaprzeczy, nie uzna w tym przypadku! O, wieczne przekleństwo, boskie przekleństwo tym, którzy pierwsi zaczęli nas rozdzielać, którzy pierwsi stanęli między sercem mojem a jego, żelaźnie silni, czarno-potężni, podobni szatanom, co kuszą, a, skusiwszy, naigrawają się z ofiar swoich, nie cofają się przed żadnym środkiem, dniem i nocą pchają ku nieszczęściu i rozbratowi tych, którzy by winni być w jedności i pokoju, używając ojca za narzędzie zguby dla syna, syna za narzędzie tortury dla ojca! Bóg widzi, Bóg słyszy, Bóg niech wysłucha przekleństwa mojego!

Tyś mi jedynem dobrem, jedyną osłodą była w życiu — ale życie moje w treści swojej już popsute, na dnie swoim już przeżarte jadem było, gdyś mnie poznała. Nie dziw się więc, o droga, żem nieraz i smutny wyglądał, i objawiał się gorzki. Rzadko się zdarzały zupełnego zapomnienia letejskie, nadziemskie, wolne od wspomnień rozdzierających i od strasznych przeczuciów chwile. Rzadkoś mnie widziała bezchmurnym, naiwnie radosnym, z sercem białem i wonnem, jak konwalia; a jednak serce moje tak się urodziło, lecz los z kwiatu niewinnego przetworzył je w ziele jadowite. Musiałem Cię martwić moim zmartwieniem, kaleczyć moimi rany, straszyć moim strachem, pozbawiać nadziei brakiem jej własnym, ale przez Boga wiernie i święcie i ogromnie Cię kochałem i kocham, gorzko wprawdzie — to nie ze mnie pochodzi — lecz ogromnie i głęboko przy tym, a to mojem jest.

Począł się dla mnie tutaj ciąg dni nieszczęśliwych. Na czem się skończą, przewidzieć nie mogę; to jedno wiem, ze Cię muszę wkrótce obaczyć nazad i rozpłakać się na piersiach Twoich wszystkimi łzami krwawemi serca mego. Proszę Cię o tyle razy już proszony list koło 25-go augusta z Munich. 1-go sept[embra] mój ojciec musi być w Warszawie, familia święta[261] powędrowała do Karlsbadu. On by chciał, żebym tam kurę stroić[262] pojechał,

[260] *Dunajowce* — majątek koło Kamieńca Podolskiego, który niegdyś należał do matki jenerała Krasińskiego, z domu Czackiej, siostry Tadeusza Czackiego. [przypis redakcyjny]

[261] *familia święta* — rodzina Branickich. [przypis redakcyjny]

[262] *kurę stroić* — nadskakiwać, starać się o względy (franc.: *faire la cour*). [przypis redakcyjny]

ja zaś na przykład chciałbym, żeby ludzie wynaleźli sposób polecenia do Słońca lub do Syriusza. Co niemożnym jest, tego nie można uczynić — to tylko można, co można.

Wczoraj w wieczór list Twój piąty z Neapolu odebrałem, gdzie mi mówisz o Luciolce i Luizie Strozzi. Tak, tak — pamiątki są jedynym rajem nie do wydarcia człowiekowi. W tem *przeszłość* świętą i potężną jest, w tem boska, że nikt jej zmienić nie zdoła — prawdziwie każda przeszłość jest na wieki! Życie, droga Dialy, jest dziwnym na tym planecie pojawem; tak prędko upływa wszystkimi falami, a tak nieznośnie męczy każdą z osobna. Spojrzyj wzad: dziesięć lat lśni Ci się i miga, jak dzień jeden. Spojrzyj naprzód: rok jeden wydaje Ci się równym, nie wiem, wielu, dniom długim, a tymczasem te dni długie przeminą, jak owe przeszłe krótkie lata przeleciały. Jeszcze jeden dzień, jeden lub dwa życia mi pozostało, mnie i Tobie — czegóż tak się frasujem, męczym, rozdzieramy, jak gdybyśmy tu wiecznie przebywać mieli? Już urodził się proch, już skłębiła się glina, która nas kiedyś okryje na cmentarzu, już wyrosło drzewo, co nad grobem naszym cień rzucać będzie i szumieć przy wietrze jesiennym. Darmo, choć wiemy o tym, nie przestaniemy się troszczyć.

Daj rękę więc! Bądźmy razem smutnymi, idźmy razem po tej drodze nieznośnej! Zlać dusze nasze w jedną jedyną będzie nam znośnością, jedyną ulgą na tym świecie. Przynajmniej Ty mi wierzysz, Ty mnie o zdradę, fałsz, chytrość, podstęp nigdy nie posądzisz, Ty wiesz, że we mnie coś szlachetnego bije, ja to samo wiem o Tobie, tak samo polegam na duchu Twoim. Na tem szczęście jedyne tego planety zależy — inne wszelkie dymem jest. Dysz, do obaczenia!

Twój nieszczęsny Zyg.

184. DO ADAMA SOŁTANA

1841, Wildungen, przy Kassel, 1 augusta

Wystaw sobie wzgórze z jednym domem na wiatrami ogwiżdżonym szczycie, z kopułą wiecznych chmur nad tym szczytem, z kałużami błota na całej swej powierzchni, i trzech ludzi na tym wzgórzu, z których jeden stary już i pełen smutku, drugi młody jeszcze a pełen smętku, trzeci młodszy daleko od pierwszego, nieco starszy od drugiego, a pełen smutku, jak pierwszy, i smętku, jak drugi, a będziesz miał Wildungen i nas: mego ojca, mnie i Konstantego[263], jedynych tej puszczy mieszkańców, jedynych tego źródła pijaczy, błądzących po tych jarach, gdy słońce zabłyśnie, przechadzających się po tych małych i ciemnych izbach, gdy słota na dworze, rozmawiających z sobą od rana do wieczora, a zawsze jedną mową chorobliwą cierpienia itd., itd.

Mówiłem o paszport Marysin, odpowiedź ta sama co zeszłego lata: by księżna raczyła napisać prośbę do jenerała Benkendorfa, tę przesłać w liście do mego ojca na pierwszego septembra do Warszawy, a oddaną będzie i spełnioną. Zresztą, kto na rok otrzymał paszport, ma prawo siedzenia lat pięć i przed upłynieniem tego terminu nic mu zrobić nie można. W prośbie jej wyłuszczyć winna księżna, że jedyną jest opiekunką Marysi, i że Marysia jedyną z familii jej, siedzącą przy niej jakby córka, że zatem prosi Najjaśniejszego Pana przez jenerała Benkendorfa, by raczył pozwolenie siedzenia jej w Wiedniu dać. Teraz co do testamentu księżnej: nic niewart, jeśli się na nim podpis ambasady nie znajduje; jeśli zaś takowy tam się czerni, ma on moc prawną, jako każdy inny akt, nawet przybrania za córkę, w obcym kraju zrobiony a zaopatrzony takim podpisem, bo zagranicą ambasada używa władzy notariuszowskiej. Ambasada nie potrzebuje nawet wiedzieć, co zawiera testament, ona tylko ręczy i uprawnia podpis testatorki.

A zatem Brzozie się udało. Mam w tem maleńki udział, przybył albowiem do Rzymu znękany, przerażany, bez chęci ponowienia oświadczeń, źle już po kilka razy przyjętych. Gdy tak sechł i tęsknił, wsparłem go tym dowodzeniem, że kto się kocha, głupi, gdy wzdycha o trzysta mil od kochanki, i że trzeba, cokolwiek ma wypaść, próbować raz jeszcze losu z bliska, nie z daleka, do samejże panny, nie do jej braci, lub babki, lub ojca

[263] *mnie i Konstantego* — Konstantego Danielewicza. [przypis redakcyjny]

się biorąc. Zagrzał się moją wymową, jak kieliszkiem wódki, siadł w dyliżans i ruszył. Rad jestem, że mu się udało, dobry i poczciwy obywatel. Tak to na świecie! Alleluja! Amen! *Fiat voluntas tua, Domine*[264]. A jednak przy końcu życia, po wielu kwasach, nastaje *mea culpa, mea maxima*[265], i tłuczenie się w pierś, i żal, bo jużci wolna wola jest w człowieku. Skądinąd jednak i to pewna, że każda droga do nieszczęścia i smutku i żalu prowadzi, bo dróg wiele, promieni moc od środka do okręgu koła: jednym tylko iść możesz, jakimkolwiek, ale jednym tylko, a wszystkie inne widzisz, znasz, pojmujesz, więc tyle żalów będzie w tobie, ile widzeń, znajomości, pojęć, słowem, ile innych dróg, ile promieni. Młodość jest staniem w samym środku koła, w tym punkcie idealnym, niezawierającym jeszcze przestrzeni, a zatem boskim, niezapadłym jeszcze w kał, brud i trud i mękę rzeczywistości. Słoneczna to pora, gdy spod stóp Twoich rozchodzą się wszystkie drogi świata, a Ty wszystkie trzymasz pod stopami, nie zstępując na żadną, mogąc być na wszystkich, — wtedyś prawdziwie jak słońce wśród systematu planet. Później sam musisz zostać planetą, czemsiś, cząstką, nie już być myślą czystą, ideą niewcieloną, wszystkich kształtów zdolną! Musisz pójść jakimś promieniem, i tym promieniem, coraz już bardziej wcielając się w realność i oddalając od środka, zbliżać ku okręgowi; a tam koniec Twój, tam granica zakreślona siłą, którąś z punktu środkowego zabrał. Zaczynasz zawsze od punktu, od ideału; kończysz zawsze na linii krzywej, na okręgu, na rzeczywistości! Początek Twój był orlim, wszystkie realności w nim, jak w pączku drzemały, i ten ich sen był Ci skrzydłem, nie ciężkością! Gdy staniesz na płaszczyźnie koła, realność się staje, wtedy zaczynasz czuć, żeś ciężki, bo ona ołowiem ciągnie Cię za nogi na dół: skrzydła młodości kostnieją, przemieniają się w garby, w krzyże pękate, w kłęby, w brzuchy wielkie itd., itd. Walki nie było wprzódy, bo punkt, nie zawierając materii, czysto idealnym będąc, nie mógł się sprzeczać sam z sobą; boskie nie walczy z boskim, ludzkie tylko bije się z nadludzkim, materia z duchem. Teraz jużeś wszędzie tą walką ogarnion, a im dalej się posuwasz, tym więcej świata, tym więcej rzeczywistości i płaszczyzny i cielska! Kto dotrzyma skrzydeł swoich na barkach wśród tej wędrówki, ten rodem z Boga, ten *divus est*. Najczęściej ludzie przy końcu podróży są tylko *dives* a nie *divus*[266]; rzadko który uniósł całą duszę z tych równin błotnistych, zwanych życiem rzeczywistym. Ale też na tym sztuka, na tym siła, na tym wielkość, by zarazem umieć być rzeczywistością i ideałem; w tym pogodzeniu dwóch sprzeczności zawarta cała godność męża — to się zowie harmonią, i takiej muzyki, chętniej niż śpiewu aniołów, Bóg słucha w niebiesiech. Odpisz mi tu jeszcze. Twój do zgonu.

185. DO DELFINY POTOCKIEJ

3-go augusta 1841, Wildungen

Droga moja, najlepsza Dyszo! Wystaw sobie to wzgórze ponure, potokami deszczu zalane, mgły kłębami zacienione i nas trzech, błądzących w tym czyśćcu, smutnych, cierpiących, rozdzierających się nawzajem. Co najgorsze, żeśmy w tej walce wzięli każden po połowie prawdy ogólnej, że oba mamy prawa swoje, oba słuszność swoją, ale tak wyłącznie, że jeden drugiego sfery ni przyjąć, ni pojąć nie chce, nie może, nie stara się. Waśń więc i sprzeczka i rozdział rosną coraz bardziej, miasto żeby do pogodzenia nachylić się miały. Każden z nas z innego środka wychodzi, każden z nas logicznie, wynikle swoją zasadę doprowadza do ostatniego końca, do ostatecznej wyłączności. Dzieje się z nami, jak z systemami filozoficznymi idealistów i empiryków. Wyszłe z przeciwnych źródeł, pogodzić się nie mogą, a jednak kiedyś zlać się muszą w jedno, bo jeden Bóg je stworzył! Konstanty jest Trentowskim między nami: chciałby moją niemiecką idealną filozofię pojednać z filozofią francuską, doświadczalną mego ojca. Lecz dotąd nikt w filozofii, kto się o to kusił, nie dokazał tego. Na ziemi wszystko podobnie się dzieje — w polityce, w religii, w życiu potocznym, publicznym, wszędzie rozdział, sprzeczności, walka, wszędzie płciowość. Walka ta dla Boga, co widzi wszystko i snuje z przeszłości całej przyszłość

[264] *Fiat voluntas tua, Domine* (łac.) — Niech się dzieje wola Twoja, Panie. [przypis redakcyjny]
[265] *mea culpa, mea maxima* (łac.) — moja wielka, moja bardzo wielka [wina]. [przypis redakcyjny]
[266] *dives a nie divus* — bogaty, a nie boski. [przypis redakcyjny]

całą, jest zgodą wieczną, muzykalną, wywodzącą harmonię z dysonansów, ciszę z burzy, prawdę z fałszów, zdrowie z chorób, porządek z nieładu, trzecią doskonałość z podrzędnych niedoskonałości dwóch! Dla nas znowu ta zgoda boska jest nawałnicą ciągłą, ten pokój wrzącą wojną, ten układ niesfornym rozkładem, ta całość nieskończona objawia się nam pod pozorem cząstek skończonych. Sami jesteśmy tymi cząstkami, więc musim się burzyć i sprzeczać, bo z nas dopiero powstać może i ulepić się pokój, my nie jesteśmy ciszą, zgodą, my tylko narzędziem do niej. Z naszych mąk będzie wielka, wspaniała, mądra cisza kiedyś. Ty, kiedy siądziesz do fortepianu, względem nut pojedynczych masz się w tym samym stosunku, co Bóg do ludzi. Dla Ciebie powstaje melodia, i pogodzenie, i pokój muzyczny. Lecz klawisz każden innym się odzywa dźwiękiem, kłóci się z bliźnimi swymi na skali muzycznej, walczy i bije się; dla niego nie ma harmonii, bo on tylko cząstką jej jest, dla niego, gdyby czuł i żył, byłby ból tylko i walka. Ty zaś z tego bólu i walki tworzysz piękność bez końca i pogodę dźwięków.

W tem różnica zachodzi, że kiedyś ludzkość uczuje i pozna się na harmonii, którą palce boskie na niej wygrywają, a wtedy każden osobny klawisz zrozumie całość tematu i dobrowolnie przyłoży się do niej — wtedy prawdziwie obraz Boga zstąpi uzupełniony w ducha ludzkiego! Taka przyszłość — wróćmy teraz do teraźniejszości, do Wildungen.

4-go augusta. Miejsce to złowrogiem mi jest — nic bardziej ponurego w życium nie widział, nic bardziej radzącego płaczem deszczu, jękami wiatru, kolorem chmur, samobójstwo. Skryta jakaś rozpacz i beznadzieja unosi się w powietrzu tutejszem. To wzgórze całe podobne do jednego grobu. Te ulice niby do orszaku pogrzebowego, idącego powoli: księżyc, gdy wejdzie, przypomina mi widziane twarze umarłych — zgoła, na co tylko spojrzę, źle mi wróży. Czuję, że coś zgubnego spotka mnie tutaj.

Mój ojciec wciąż bada moje myśli, zamiary, uczucia — straszny jest — ogromną siłą woli i żądzy mnie przeraża, co chwila serce jego na pęknięciu, gniew na wybuchnieniu. Gdy przechadza się dużym, a stękającym krokiem po pokoju, lękam się zawsze chwili, w której zawraca ku mnie, zdaje mi się, że ma mnie przeklnąć. Jutro Konstanty rano mu zaniesie moją odpowiedź. Jak ją przyjmie, Bóg jeden wie; znowu zaczną się dni opłakane. Chciałbym uciec, skryć się w przepaść jaką. O Dialy, źle mi jest! Daj mi walkę z Tytanem, daj z katem, daj z wrogiem potężnym, nie przelęknę się kajdan, miecza, więzienia, będę gardził dumnie i spokojnie. Lecz te zapasy z ojcem, te tortury z ojcem starym, są mi męką nieskończoną, a, choćbym chciał, nie sposób mi ich uniknąć. Tego, co on żąda ode mnie, nie mogę dopełnić, bo nie mogę — nie ma we mnie siły na to, nie ma popędu, nie ma możliwości; przysiągłbym, a nie dotrzymałbym, zmusiłbym się, a nie podołał, zabiłbym się, a nie sposób by mi było! Darmo, są wewnętrzne niepodobieństwa, są konieczności wszechmocne w człowieku, silniejsze nad wszelki przymus zewnętrzny. Mogą gwiazdy padać, można widzieć spadającą i kark jej poddać i jeszcze się nie ruszyć. Czasem łatwiej lwu dać się zarżnąć, jak cielę, niż wstać i wstrząść grzywą, i skoczyć za zdobyczą. Mnie się marzy, że łacniej bym mógł zaciągnąć się do tureckiego wojska, niż pojechać starać się o pannę jaką. Co to będzie z tego?

O, ja Ci powiadam, że tyle tylko pogody miałem, ilem czasu przebył z Tobą, tyle tylko dobrego w życiu moim, reszta funta kłaków nie warta. Zagryzę się, zmaleję przez smutek, zbłaźnieję. Już i tak otruły się smutkiem wszystkie moje natchnienia, przepadły wzorem motyli, które znikają pod jesień. Do niczego jestem. Mieszczanin z Ciechanowa dzielniej by działał, dźwięczniej śpiewał ode mnie. Z potłuczonej harfy mojej nic nie zostało — zbierz wióry i drzazgi z niej i rzuć na kominek pierwszego lepszego jesiennego wieczora. W płomieniu może Ci się moja twarz pokaże, a jeśli wody kocioł przystawisz, może taką dziwną piosenkę kipiącą i gotującą się usłyszysz, jak owa, którąśmy, pamiętasz, słyszeli razem w Albano. Szczęśliwe, dobre to czasy były, gdy nam kotły i samowary nieproszone, same z siebie śpiewały i gdyśmy bez troski zastanawiać się czas mieli nad ich pieśni zwrotkami. Skąd teraz, o późnej nocy, przyszło do mnie to wspomnienie? Widzę ten pokój, widzę Ciebie, słyszę piszczący głosik gotującej się wody przy ogniu, mógłbym oznaczyć nuty owe trzy ciągle przez nią powtarzane — i tak chciałoby mi się przytulić głowę do rąk Twoich i skryć się za Tobą i szukać obrony, osłony, schronienia przy Tobie. W słabości chwili jestem, wpadłem w niemoc niesłychaną. Już od dawna wszyscy śpią w tym domu, ja czuwam i piszę, a brednie i dzieciństwa — nieprawda? Ah! Kiedyż Cię

obaczę? Z diabłem bym ugodę zawarł, by prędzej z Tobą się obaczyć raz jeszcze, bo pewno nikogom nie kochał tak, jak Ciebie, na ziemi!

5-go augusta z rana. Szkoda mi mej młodości, Dialy, szkoda mi skrzydeł moich niewidzialnych, pieśni przedrgałych, marzeń prześnionych, żądz niedopełnionych i przeżądanych, świata mi mego całego nadpowietrznego z chmur, błękitu, promieni słońca i dalekich gwiazd, szkoda. Kopuła niebios, gdy dotknie się ziemi, przeradza się w szarą płaszczyznę, tak i z duszą niebieską człowieka, gdy wcieli się w rzeczywistą potoczność, a kto znowu nigdy przez ciąg życia nie dotknął czynu realnego, ten z dziewiczością swoją przestarzałą staje się podobnym w końcu do starej panny. Bo jest w życiu tajemna konieczność, każdego śmiertelnika zmuszająca, by przed śmiercią spróbował życia zewnętrznego, pokusił się o dopełnienie celu stworzenia, tj. o pogodzenie idei ze światem, ducha z materią, prozy z poezją, pieśni z czynem. W tej ciężkiej próbie, w tej trudnej czy do rozwiązania, czy do rozcięcia zagadce, po większej części ludzie nie umieją sobie dać rady, przepadają, jedni podle, przechyliwszy się na stronę materii, drudzy po szalonemu, przechyliwszy się zupełnie na stronę niewidomych myśli. Ten tylko wielki, piękny, dzielny, kto potrafi oba światy te sprzeczne z sobą pogodzić i tak umiarkować, by się ich okręgi w nim w każdej chwili przecinały, czyli spajały razem. Lecz szukaj takich, a znajdziesz kilku na planecie tym. „Wielu powołanych, mało wybranych" — to są bezdennie głębokie słowa, zawierające całą praktyczność historii. Zatem straszny strach ogarnia każdą duszę, gdy czuje, że ją losy gnają ku życiu rzeczywistemu, ku tej przepaści, pełnej ciemnych wód, nad którymi czasem tylko jakiś bluszcz lub kwiat szczęśliwszy zakwita. Kto nie rozumie życia i celów jego boskich, ten lekkomyślnie rzuca się w odmęt i, jak liść suchy, błąka się po nim, poddany każdemu wiatrowi, nieświadomy, kędy dążyć powinien, a zatem nie walczący, jedno porwany, nie czynny, jedno bierny ciągle! Lecz, kto siebie czuje i świat rozumie, ten wie, ten święcie wie, co winien czynić, ku czemu stąpać, o co się starać, ten, raz wstąpiwszy w zawód, już nie stawa, już nie odpoczywa, zatem walczy nieprzestannie, a walka męką jest, a męka bez przerwy piekłem! Pod tym warunkiem tylko, bycia w piekle na ziemi, człowiek unika warunku bycia w nicości lub podłości na tejże ziemi pod tym tylko warunkiem staje się twórcą, tj. ciągle z siebie snuje urzeczywistnienie myśli i obowiązków wewnętrznych — i nie przestaje być poetą, czyli po grecku „stworzycielem", „działalnikiem", wśród prozy, materii i realności. Łatwiej się pozbyć świata byłoby, zdaje mi się, niż własnej osobistości — łatwiej przełamać martwy porządek natury cudem, niż swoje wewnętrzne pojęcie, postanowienie, dumę, godność, słowem swoje własne ja, gdy to ja raz już doszło do przeświadczenia o tym, czym być powinno. Powinność jest dziwnym objawem w duszy człowieka — jedyne prawdziwe jego nie marzone absolutum. Jest to wola boska, napisana na jego sercu i tak z jego sercem zrosła w jedno, że już nie ma różnicy w tej cząstce jego serca między nim a Bogiem. Wszystko albowiem może się przemienić w duszy, myśli, sądy, domysły, namiętności, żądze, ale to, co dusza uznała, że winną jest sobie samej, to nieprzemienionym w niej. Jeśli odejdzie od tego, zgubiona sądem własnym na wieki, a nieraz jeśli się uprze i dotrwa przy tym, zgubiona sądem ludzkim na cały czas, który ma przebyć na ziemi. Stąd często się zdarza upadek duszy, ucieczka jej przed powinnością, gdy strach kary ludzkiej i potęgi zewnętrznej świata ją słabą, ją biedną, ogarnie. Prawdziwy tu bój następuje między Bogiem a Szatanem, a idzie w tym boju o godność i wielkość duszy, w której się ta walka odbywa. Wiesz, że po większej części ludzie płacą przegraną ozdóbkami i blichtrami, Bóg zaś pogardą! Wygraną znowu Bóg nagradza wewnętrznym zachwytem, egzaltacją, przekonaniem o własnej zasłudze, ludzie zaś prześladowaniem, nędzą, itd., itd.!

I tak się dzieje, i to się zowie życiem praktycznem — i to nie jest żadną bufonadą, chyba dla buffona[267]. Owszem, to jest tragedią, której bohaterowie giną od lat sześciu tysięcy prawie zawsze nieszczęśliwie. Nie umierając, ale raczej wstępując w życie, trzeba się zatrzymać i powtórzyć wiersz Hamleta: „*To be or not to be, that is the question*[268]. Nim go do krzyża przybiją, nie maszże człowiek prawa postania pod krzyżem, zmierzenia wzrokiem jego wysokości i porównania dłuży rąk własnych z długością ramion jego?

[267] *bufon* (franc.) — błazen; bufonada, błazeństwo, pyszałkowatość. [przypis redakcyjny]
[268] *To be or not to be, that is the question* (ang.) — Czy być, czy nie być — oto jest pytanie. [przypis redakcyjny]

Niech przynajmniej zważy w dłoniach ciężar gwoździ, któremi te dłonie przebite być mają.

Takie myśli krążą po moim umyśle, a teraz znów co innego Ci powiem. Najrzeczywistsze nieszczęście tej ziemi, to nie rozpacz, to nie śmierć, o Dialy, ale to starość! Starość albowiem jest najzupełniejszą niemocą przy najwyższej rozbujałości, żądz wszystkich. Nie namiętności, nie życzenia, nie sny, nie chęci opuściły starca, siła mu już tylko nie służy! A w miarę, jak siła maleje, żądze, owszem, się podnoszą, sny szerszymi się stają, gorętszymi pragnienia, mniej ograniczonymi cele. Daj młodzieńcowi harfę i kochankę, i dom jeden, choćby z dachem dziurawym, na którego wyłomach wiatr jakby na harmonijce gwizdać będzie, on więcej nie zażąda, na teraźniejszość dość mu — będzie kochał, śpiewał, szczęsnym i wielkim się uczuje w tym ustroniu, pod tym dachem, tym wiatrem otoczony. Ale w sercu starym, każdym, siedzi jak wąż, w kłębek zwinięty, przeklęte jutro i, jak rak, to jutro wszelką radość, wszystkie soki żywotne ze serca starego wysysa. Cudów boskich, ogromnych, cudów nie już wymarzonych, ale realnych, dotkliwych, potrzeba by na zadośćuczynienie pragnieniom starców. Każden z nich chciałby już przyszłe pokolenie, jeszcze nie urodzone, widzieć widomie, pieścić na ręku dotkliwie. Młodzieniec napotkaną rzeczywistość, już widomą, dotkliwą, wieńczy idealnymi kwiaty, stroi w przepaski tęcz. Tu nie ma tak wielkiego cudu — ale starzec chciałby w duszy własnej zatloną iskrę widzieć zaraz wulkanem na ziemi przed sobą, kwiatek, w głębi serca wyrosły, przenieść na zewnątrz i natychmiast doczekać się z niego lasu kwiatów, myśl co chwila w granitową skałę przerabiać, a do tego cudu trzeba tego samego, jakim Pan Bóg świat stworzył. W młodzieńcu jest nieskończona potęga, więc zewnątrz siebie poprzestaje na miernym. W starcu jest mierna potęga, co dzień szczuplejsza, więc zewnątrz siebie żąda nieskończoności realnej. I starzec pod tym względem, można by powiedzieć, że poetyczniejszą jest figurą od młodzieńca. Młody albowiem używa chwili danej szczęścia, gra na harmonice materialnych tworów świata, ma wszystko pod ręką, czuje! Starzec nic nie używa; nie pod palcami jego świat, ale w duchu jego, w idealności jego — nie pragnie już dla siebie, ale pragnie dla innych, choćby dla nieurodzonych jeszcze — teraźniejszością gardzi, ciągle sięga w wieki przeszłe. Słowem, choć o ziemi wciąż mówi i wszystko do niej stosuje, jednak sam z sobą raczej już w atmosferze nadziemnej, niż na skorupie ziemskiej przebywa i żyje, a co dzień pragnie nieskończeniej duchem, a ciałem rozwiązuje się bardziej. Ta nierówność, raczej nierównowaga między myślą, wciąż pracującą, podbudzającą, gryzącą, a siłą, coraz bardziej upadającą, coraz mniej wystarczającą domaganiom się myśli tej, stanowi tryb bytu starego człowieka. Jest to robak ciągły, straszna to i co chwila gorzkniejsza trucizna! O, starzy są najnieszczęśliwsi z ludzi, dlatego przebaczać im wszystko trzeba, a modlić się do Pana o śmierć wczesną. Ten, kto umiera za młodu, ten jeden wygrał w walce świata!

Starość, Siła

Konstanty w tej chwili poszedł zanieść moją odpowiedź ojcu memu. W tej odpowiedzi zaś jest, że teraz nie sposób mi jechać do Wiednia starać się o pannę, której nie kocham, i że proszę o odłożenie tej fatalności do przyszłej wiosny. Wicher okropny gwiżdże, gną się stare lipy przed oknami, chmur ciemnych na niebie moc — przeczucie złe w sercu moim — chwila ta wyroczną jest. Powierzmy się Bogu, klęknijmy i pomódlmy się!

5-go augusta. Stał się słupem lodu dla mnie, — skałą nieużytą, pełną ku mnie — wiesz, czego? — pogardy! Nazywa mnie starym smarkaczem, tchórzem, człowiekiem imaginacji, nie czynu. Tak być musi. Ludzie idealni rozumieją praktycznych i dlatego nie gardzą nimi, owszem, uznają ich tęgość w tem, w czem oni są dzielnymi. Ludzie zaś praktyczni nie pojmują idealnych i czują ku nim wstręt i nawet pogardę. Niech i tak będzie — amen! Przyznaj tylko, że straszny to stosunek. Do mnie tylko o obojętnych rzeczach mówi, z Konstantym zaś o reszcie rozmawia; nigdy już, jak dawniej, się nie unosi; unoszenie się jest jeszcze znakiem kochania — władza nad sobą — obojętności lub zimnej nienawiści. Rad bym jak najprędzej wycofać się sprzed oczu jego. Znałem go kiedyś miłującym mnie, teraz nie mogę znieść widoku jego granitowego panowania sobie, jego powierzchownej ciszy, która, jak wód morskich niewzruszoność, kryje otchłań pod sobą. Ani ja, ani on temuśmy wszystkiemu nie winni, ale przeważniejsze od nas obydwu okoliczności, które, zastawszy go na drodze czynu, pchnęły go dalej, a mnie, spotkawszy na punkcie bezczynu, zatrzymały na nim, równie silnie, równie koniecznie. Jeszcze raz: amen. Może w innym świecie duch jego kiedyś mojego ducha spotka i przekona się

wtedy, żem nie zasłużył na wzgardę. Na tym zaś świecie wątpię, by już kiedy dusza jego moją pokochała na nowo, bo to nie lekki ani słaby człowiek — z brązu odlany, zrodzony do czynów, i wielkich, zatem samodzielny, pełen zaciętości i woli własnej, a, gdy go piorun uderzy, jeszcze gotów w samym piorunie szukać lekarstwa na piorun. Jemu nie mnie trza było, ale Konstantego mieć synem. Na polu rzeczywistości ja mu nierówny, w sferach ideału on nie tak potężny, jak ja — on widomie ode mnie, ja niewidomie od niego dzielniejszy. Stąd rozbrat, rozdział, i gorycz, i smutek na wieki!

Ale dosyć już o tem! — Mam nadzieję, że będę w Munich ostatnich dni tego miesiąca i że list, o któren Cię prosiłem, tam zastanę. Chciałbym, gdyby to być mogło, przepędzić z Tobą czas jakiś w zupełnej samotności. Niechby tylko Pan Bóg trzeci był z nami gdzie u stóp Alp, w Varennie lub gdzie indziej. Niech Cię św. Matka Boska strzeże! Nieraz troszczę się o to, co Ty robisz tam. Już nie miałem listu od Ciebie od dni kilku; może dziś nadejdzie. Myśl o mnie i kochaj mnie, i nie myśl, żeby kto inny mógł był Cię głębiej kochać ode mnie! Zważ tylko losy moje i powiedz, czy się nie godzi przebaczyć dotkniętemu niemi gorzkie smutki jego? Nie na weselu, ale na przywiązaniu miłość stoi.

Twój na zawsze Z.

Myślę o Twoim piesku i o mojej miniaturze. Lecz jakże tu pierwszego dostać, a drugą odmalować kazać? Wszak będziesz wolała mnie samego *in persona*[269] od obojga ich. Jeśli zaś swoją możesz kazać zrobić, każ, proszę Cię.

186. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Wildungen, w księstwie mikroskopijnym Waldecku, 7 sierpnia 1841

Drogi mój! Jedno wzgórze, domów dwa, wieniec z lasów naokoło, lip starych ulice, prowadzące do źródła mało głośnego mineralnej wody, ciągła słota i zimno, samotność, zaludniona tylko mną, Konstantym i trzecią ową osobą, dla której przed laty *Jaxiadę* pisałeś, przechadzki powolne, częściej długie siedziby, i rozmowy w pokoju poważne, rozumne a smutne, składają opis miejsca tego i pobytu mego w nim. Nie byłem w Kissingen, stamtąd odesłano mi oba Twe listy, ale *sous-bande*[270] żadnegom nie odebrał.

Takim więc odczytaniem wszystkich listów dawnych nanizałeś jakby różaniec z pamiątek, ujrzałeś marę idealną tych dziesięciu lat rzeczywistych, już teraz pod prawo ideału, pod przeszłość podpadłych. Wszystko zmienne, powiadasz, prócz naszej przyjaźni. O, tak, mój drogi! Powierzchnia duszy, jej pojęcia, sądy, mniemania, muszą w ciągłym ruchu to raz postępowym, to znów cnotliwym, kręcić się około jej treści wiecznej, nieprzepartej, nietkniętej, jak wszystkie punkta kuli ziemskiej wirują około osi i biegunów niewzruszonych, nie wirujących. Człowiek, który by się w niczym nie odmieniał, byłby mumią; taki, który by we wszystkim się przeobrażał, byłyby tylko kombinacją chemiczną. Natura duszy zależy na ciągłej przemianie zewnętrznych kształtów jednej i tejże samej idei, stanowiącej rdzeń jej wewnętrzny, istotę jej niedotkliwą, a jednak twardszą, niż granit. Kiedy mówię „idea", rozumiem przez to nie tylko czyste jakieś metafizyczne pomysły, łacne do przejścia w mrzonki filozoficzne, ale zarazem i uczucia, charakter osobny, indywidualny stanowiące, rozumiem wszystko, co życia źródłem bijącym jest w piersiach: wiarę, miłość, nadzieję. Taka idea nie martwa, nie logiczna tylko, ale pełna niewidomej krwi i niedosłyszalnych tętn, rzeczywista, wiecznotrwała, z świata duchów rodem, winna być iścizną duszy. Kto by w niej dał się przełamać, byłby nikczemnikiem. A koło niej, jak koło środka, niech sobie krążą planety, satelity, komety umysłu, co chwila innymi elipsami, raz pierścieniem zamkniętym, to znów rozwartym, sięgającym w nieskończoność. Taki taniec myśli znikomych koło myśli słonecznej, środkowej, wszystkie do siebie ciągnącej i odbijającej je znowu, powtórzeniem jest w duchu ludzkim układu wszechświata i przeto odblaskiem bożej mądrości i godnością pojedynczego człowieka. Kto zaś nie tak żyje, nie tak się rusza, kto nie ma słońca w sobie, kto tylko z księżyców ruchliwych złożon, lub

[269] *in persona* (łac.) — we własnej osobie. [przypis redakcyjny]
[270] *sous-bande* (fr.) — pod opaską. [przypis redakcyjny]

przeciwnie, kto jedynie tylko jednym punktem niewzruszonym się stał i potracił wszystkie inne swoje ciała niebieskie, ten odpadł od podobieństwa ze Stwórcą, ten przekaprysił na głupstwo własny ideał bożej opatrzności, ten utracił godność ducha swojego. Jednak wolałbym jeszcze mumię egipską czarną, poważną, ponurą, zawsze tęż samą, niż mgłę wiotką, nieschwytliwą, ciągle przetwarzającą się, niewolniczkę lub pochlebniczkę każdego powienia, nie mogącą ani się dobrać kształtu starego, ani się rozejść w nicość i ćmiącą mi tylko błękit niebieski. Przynajmniej bym mógł, jeślim kochał mumię za życia, jeszcze się nad nią rozrzewnić po śmierci, jeszcze oblać łzami te rysy niezatarte, jeszcze dotknąć się tej ręki, w proch nie rozwianej. Doznałbym jakiegokolwiek wrażenia, uczułbym się, jeśli nie przy człowieku, to przynajmniej przy wspomnieniu człowieka. A z mgłą co? Nic.

Jeszcześmy wczoraj wieczorem, o rozmaitych scenach mówiąc z Konstantym, wspominali Ciebie. Opowiadał, jak Cię, już dawno temu, spotkał, sam biedny, zmęczony, opuszczony od wszystkich znajomych, w budzie z chrustu, siedzącego przy dobrym winie i z wybornym tytoniem, którycheś mu użyczył, za co wdzięczność Ci dozgonną chowa, bo nigdy w życiu nic smaczniejszego nie pił, nic doskonalszego nie palił — i tak mówi, że przebył pół dnia z Tobą. Potemeście się rozeszli, każdy z was drogą swoją poszedł i jużeście się więcej nie spotkali. Tyś wtedy dowodził podkopywaczom, szedłeś do krainy romantyczności naszej; on zaś zawracał ku klasycznemu mostowi, gdzie dwoma dniami później, dostał w udo ołowiem[271]. Jużeście się nie spotkali, i my także jużeśmy się nie widzieli, a od dawniejszej pory jeszcze; dawno, Konstanty, dawno już za nami leży dzień naszego rozstania! Nic nam tego szarego jesiennego poranku nie szeptało w duszy, żeśmy się już nie mieli zobaczyć. Przyszłość stała przed nami, jak brama zaryglowana, naweteśmy żadnym złowrogim przeczuciem nie podważali jej zawiasów. Zdawało się nam, że po czasie niejakim znów się na tej samej ziemi, w tym samym domu, w tychże pokojach spotkamy. Tyś nie myślał wtedy o zamkach prowanckich, o procesjach Bożego Ciała gdzie indziej, jak przed świętym Krzyżem odbywanych, o tych wszystkich, paniach południowych czarnookich, smagławej cery, którym Ci przyszło później składać kwiatów wiązeczki i nieswoją mową oświadczenia. Jam także nie przeczuwał dnia tego, owych szeregów miast, owych nieskończonych zakrętów dróg, owych mórz lazurowych i brzegów, nie ojczystymi drzewy i kwieciem najeżonych, wśród których zaniosły mnie losy i których widok tak przeważny wpływ wywarł na moje natchnienia. Sądziłem, żem przeznaczon do życia wśród ludzi żywych; nie wiedziałem, że ulice z grobów będą domem moim, umarli towarzystwem, kościół największy świata salą godową, posągi białe mroźnego blasku koleżeństwa dawnego zastępcami, równin mazowieckich Kampania Rzymska przypomnieniem, i że młodość moją tak bezczynnie strawię, tak chorobliwie zeżrę, tak nikczemnie utracę! O czym innym mówmy, bo mi się zbiera na ciężki płacz, nie łzawy, ale krwawy, nie z ócz, ale z serca kapiący.

Chcesz, bym prosił tego pana o napisanie rozbioru greckiej książeczki[272]; pytałem go o to, tak odpowiedział: „Łatwiej by mi było drugi taki poemat napisać, niż napisanego już rozbiór przedstawić. Jeśli osnowa tak dalece niezrozumiała, że idei, podszytych pod posągi działające, Twój przyjaciel nie może z pod nich wydobyć, przyznasz, że nie warto jej rozbioru pisać, w żadnym zaś razie mnie nie wypada tego się podejmować; nie tylko nie wypada, ale nie mógłbym, bo poema jest syntezą, krytyka zaś lub rozbiór analizą, jedno i drugie robić, jest w świecie idealnym na dwóch stołkach siedzieć — nie umiem". Widzisz, że *cerevisiam bibit, sententiam dixit*[273], uparta sztuka, jak Litwin; ciosaj mu kołek na głowie, a nie wskórasz nic.

Za dwa tygodnie lub trzy będę w Münich, tam mi odpisz poste-restante. Dalej gdzie się udam, tak, jak zawsze, nie wiem; *risum ne teneatis, amici!*[274] Zapewne przez Alpy pojadę do słońca. Niech północną przyrodę Bóg ma w swojej opiece! Niebo tu niebem, kwiatem tu kwiat nie jest. Żeby nie rezeda, zapomniałbym, że są wonie na świecie, żeby nie zapałki fosforyczne, że światło świeci w naturze. Księżyc tutejszy ma się do neapolitańskiego,

[271] *Tyś wtedy dowodził podkopywaczom, szedłeś do krainy romantyczności naszej (…)* — mowa tu o spotkaniu Gaszyńskiego z Danielewiczem w czasie kampanii 1831 r. Gaszyński z korpusem Gełguda szedł na Litwę, Danielewicz ranny był w bitwie pod Ostrołęką. [przypis redakcyjny]

[272] *Chcesz, bym prosił tego pana o napisanie rozbioru greckiej książeczki* — tj. *Irydiona*. [przypis redakcyjny]

[273] *cerevisiam bibit, sententiam dixit* (łac.) — wypił piwo i powiedział myśl. [przypis redakcyjny]

[274] *risum ne teneatis, amici!* (łac.) — nie wstrzymujcie śmiechu, przyjaciele. [przypis redakcyjny]

jak Jaxa do Danta, a w gwizdach wiatru coś złowrogiego się odzywa, rzekłbyś, że Twój; pogrzeb własny, niewidzialny przeciąga przez powietrze!

Drogi mój, niech Cię Pan Bóg i Najświętsza Panna Częstochowska strzegą! Konstanty każe Ci się kłaniać i za wino owe jeszcze dziękuje. Ja ściskam Cię z duszy całej.

187. DO DELFINY POTOCKIEJ

8-go augusta 1841, Wildungen

Droga moja! Znów wczoraj wieczór przysłał mój ojciec do mnie Konstantego z naleganiem, bym choć na dwa tygodnie pojechał do Karlsbadu, tylko grzeczność zrobił, atencję złożył, a potem pojechał sobie, gdzie chcę. Wszystko to bardzo logiczne, dobre, rozsądne; inny każdy potrafiłby to uczynić — ja nie umiem! Coraz czarniejsza melancholia mnie obarcza, coraz mniej krwi w żyłach moich, coraz mniej skier w mózgu. Ołowieję, kamienieję, nie wiem, co mi się stało, przerabiam się na błazna. Wytłumacz mi, czym jestem, bo sam siebie nie rozumiem! Czasem, gdy poczuję się do skrzydeł, rosnę, i rosnę, i wzlatuję, i rozcinam wszelką mgłę, i na skroniach gwiazdy czuję — a znów, gdy opadnę i skurczę się we dwoje, grzybieję co dzień gorzej, na wzór starca lękam się wszelkiego ruchu, rad bym, położywszy się, nie wstać. Wtedy sercu mojemu smętno nad wszelką miarę, a w głowie pusto mi, zupełnie, głupcem do niczego niezdatnym się czuję, pamięć tracę, wyzuwam się z natchnienia, żądzy żadnej nie mam, jak planeta, ściśnięty zimą, tak ja skuty jestem jakimś mrozem wewnętrznym. Gdy chodzę, nogi mi nie służą, gdy się kładę, zasypiam snem śmiertelnym, ile razy się budzę, przeklinam światło i jaw, przejęty wstrętem nieskończonym do życia. Ni pisać, ni rozmawiać nie zdołam, każda rozprawa mnie męczy, odwagi żadnej ducha już nie posiadam, wiara, miłość, nadzieja, jak trzy bogi, wyszły ze mnie — kłodą z drzewa, tlejącą próchnem, zostałem, nic mnie nie wabi, ni ludzi, ni uśmiecha się do mnie, żaden pomysł mi spleśniałej duszy nie rozrusza, żaden czyn nie drażni piersi moich, korony u stóp leżącej bym nie podjął, miecza, wiszącego u boku, z pochwy bym nie wyrwał, harfę w ręce wetkniętą bym na ziemię opuścił. Niemoc, to imię moje. A jednak w tym stanie zupełnego rozwiązania wszystkich potęg moich tęskne przywiązanie do Ciebie jedno ocalało, jedno żyje we mnie, kiedy wszystko reszta zasnęła granitowym letargiem. Wszystkich marzeń mi brak, prócz marzeń o Tobie. Raz zachciewa mi się popłynąć z Tobą do Sycylii, śni mi się o Palermie, o Etnie i skale św. Rozalii, rękę Ci podaję i wstępuję na nią, to znów Varenna się rozwija przede mną i czuję się tam z Tobą spokojnym, szczęśliwym na dni kilka jeszcze, aż tu nagle ku górom Szwajcarii podskakuje mi serce i pragnę wić się z Tobą razem po tych wężowych drogach, co się czołgają wieńcami koło przepaści św. Gotarda.

To, z czego dumny byłem, już zagasło we mnie — to z czego dumny kiedyś być miałem, na kształt umarłej mary dręczy mnie jeszcze, ale już sił moich nie rozbudza. To jedno, com kochał, to jest Ty, ostatkiem roztrwonionych skarbów zostało się w głębi duszy mojej i tam spoczęło na zawsze, a stamtąd jeszcze wschodzi, jak księżyc wspaniały nocy południowej, obwija mnie srebrnymi promieńmi i pociesza i osładza ból mój i nad ruinami mnie samego rozwodzi jeszcze barwę poetyczną, anielskie światło, ostatni boski blask, który się zleje na mnie na ziemi. Tak czuję, w takim stanie jestem; w opłakanym, nieprawdaż? Powiedz, czy to choroba? Czy to długich cierpień ostateczny skutek? Czy to rodzaj szaleństwa?

Niknę, jak mgła, jak para, maleję w oczach moich własnych, rozpraszam się. Gdzież idę? Ku czemu dążę? Jakaż siła mnie rozpręża, rozrywa? Gdzie moje ja się roztapia? Gdzie się podzieję? Nie sposób, żeby to starość być miała; mój ojciec 30-stą laty mnie ubiegł, a jeszcze dzielny duszą, przytomny umysłem, czynny w działaniu. Nie, 29 lat nie mogą człowiekowi liczyć się za głupstwo i niemoc. Daruj mi, Panie Boże, ale czasem na myśl przychodzi mi tego duńskiego księdza proroctwo, pamiętasz, Dialy, ową legendę? Czy Bóg mnie za pychę karze? Jednak w głębi serca nie poczuwam się do niczego, coby karę taką bożą sprawiedliwie na mnie ściągnąć mogło. Czystym duchem pragnąłem zawsze dobra wszystkich, kochałem piękno, a nienawidziłem zła, a teraz przyjdzie mnie ostatecznie pochylić głowę pod zatrutą koroną ołowianą i żelazną głupstwa, ciężką, jak kamień

młyński i przeznaczoną mi już na zawsze. Ja wariuję, zda mi się. Nie przy zdrowych-em zmysłach. Lepiej bym poszedł do łóżka i zasnął, niż pisał do Ciebie.

Głupi jestem, głupi, stokroć głupi, że Cię zasmucam, ale, widzisz, melancholia taktu nie zna, gdzie może, tam szuka ucieczki, ratunku, schronienia. Tyś mi jedynym schronieniem, — biegnę zatem do Ciebie i głowę moją ociężałą, cierpiącą, skostniałą, kładę w dłonie Twoje. Do kogóż się tu obrócę? Konstanty patrzy się na mnie, jak na zwariowanego, mój ojciec jak na człowieka, co nie wart szeląga. Oba w tej chwili prawdę mają, — więc do tych lip starych się obrócę i będę im rozpowiadał żale moje, ale wiatr głośniej świszcze, deszcz szumi płaczliwiej ode mnie, lipy mnie nie usłyszą. Któż nakłoni ucha do mnie, kto zlituje się nade mną? Ty jedna, Ty — więc, choć daleko jesteś, obracam się w stronę Twoją i piszę do Ciebie. Szczęściam Ci nie dał — człowiek taki, jak ja, nikomu szczęścia udzielić nie może — alem dał Ci serce moje; com miał, com mógł, dałem Ci. Ty mnie pożałujesz, może pojmiesz, zrozumiesz, wtajemniczysz się w moją duszę, której ja sam nie rozumiem, staniesz się bardziej moim ja, niż ja sam, powiesz mi, jak się mam ratować, jak odzyskać straconą siłę. Bo, jeśli jej nie odnajdę, nędznym będę na wieki, stanę się mumią egipską za życia, zacznę sam sobą pogardzać i w łeb sobie strzelę!

Taki koniec mój, — przewidywany od dawna. Czułem, od kiedy żyję, że moja droga krzywi się pod moimi nogami, że nie prosto leci, jak strzała puszczona z cięciwy do celu, ale że zstępuje w dół, coraz bardziej w dół — w otchłań jakąś! Cząstkowe spleeny przychodziły mnie ostrzegać, jakby części ożywione grobu mojego, że ten grób mój leży gdzieś w niepoświęconej przepaści, wśród samotności wielkiej. Wyraz „nicość" zawsze nasuwał się pod pióro moje, mieszał i kaził najświętsze mi natchnienia. Koniec mój już zawarty był we mnie, jak owoc w ziarnie, tylko że to owoc pusty, robaczywy, pełen popiołów! Przebacz, najlepsza i najszlachetniejsza, że tak folguję rozhuźdanie czarnym myślom, które mnie toczą. Komuż, jeśli nie Tobie, je wypowiem? Kto będzie, jeśli nie Ty, wiedział, co się dzieje w piekle moim? Do aniołów modlą się potępieni. A może to wszystko czyśćcem tylko, nie piekłem jeszcze? Jak tylko się wydobędę stąd, popędzę do Munich; tam list Twój niech zastanę! Pisz ciągle do Munich.

Twój do zgonu Zyg.

188. DO DELFINY POTOCKIEJ

1841 Wildungen, 12-go augusta, 12-ta w nocy

Droga i najlepsza moja! Noc — burza wstrząsa domem, po szybach biegną konwulsje wiatru. Ja w nie mniejszych, ja w rozpaczy, a kocham Ciebie, kocham i rzewniej, i tęskniej, i gwałtowniej może, niż kiedykolwiek w życiu. A wiesz, co się ze mną dzieje? Dokąd mnie ta burza rwie? Gdzie jutro będę? O moja Dysz najdroższa, najlepsza, muszę jechać do Karlsbadu, by wlać trochę pociechy w duszę pękającą, mdlejącą, odchodzącą ojca mego. Obiecałem mu tam 14 dni przepędzić, bylebym mógł pewno po ich upłynieniu pojechać, gdzie zechcę. Walczyłem strasznie, by przemóc na sobie to postanowienie. Widok jego rysów zbolałych, odmienionych, gorzki jego smutek, wreszcie i to, że zaczął dobrze o Tobie mówić, jakby żałując, że się pomylił w sądach swoich, jakieś straszne do tego przeczucie, myśl potrzebna wrócenia jego duszy skołatanej trochę pokoju i lepszej otuchy, myśl, jak mówię, że kiedyś, w wyrocznej chwili, on mógłby z goryczą w sercu narzekać na mnie, żem nigdy nie chciał nic uczynić, kiedy mnie prosił o co, zniewoliły mnie do tej podróży. Ułożyłem się z nim, że pojadę do Karlsbadu, że przebędę tam 14 dni, że będę grzeczny, ale że nic więcej nad grzeczności nie powiem i że 30-go augusta wyjadę do Drezna, gdzie się z nim spotkam 31-go. On tego samego dnia pojedzie do Warszawy. Braniccy swoją drogą także i do Petersburga, a ja, kupiwszy Tobie Twego pieska w Dreźnie, do Munich i stamtąd do Varenna lub gdzie każesz.

Słuchaj, 15-go septembra moglibyśmy już być razem, gdybyś zaraz za odebraniem listu tego wybrała się z Neapolu i pojechała do Mediolanu lub Genui i stamtąd do Munich mi napisała, i czekała listu mego z Munich, za którego rzuceniem na pocztę zaraz bym wsiadł sam do powozu. Rób jak chcesz; gdzie chcesz, gdzie możesz, gdzie Ci lepiej, tam

przybiegnę do Ciebie i zostanę przy Tobie. Moje serce, gdzie Ty — i czuję, że tak już na wieki. Nic nie poruszy, nic nie obali przywiązania, którem ja połączony z Tobą. Tysiąc kształtów los mój przybierze, a treść jego jednaką pozostanie, bo Cię ukochałem miłością, która nie mija ni na ziemi, ni na niebie — duchem całym!

Straszna to ta podróż dla mnie. Pojmiesz i uczujesz wszystko, co ja czuję; mąk Ci moich nie będę opowiadał, Ty je znasz, Ty je wiesz. Jadę wszechmocny wstrętem, a jadę, aby zostawić sercu starego ojca myśl, że go kocham i że nie zawsze tegom, czego on tak strasznie pragnął, nie chciał uczynić. Jadę tam — wierz mi, to najkrótsza droga jeszcze do Ciebie — jadę tam, by do Ciebie prędzej się dostać i oblać Twoje ręce łzami. Przyjeżdżaj, Dialy, do Varenna, tam siedźmy, póki nas zimno nie wygoni, a wtedy pomyślimy, gdzie się udać. Miastam znienawidził — chcę jeszcze frejburgowego ustronia z Tobą, chcę sam na sam z Tobą całą duszą i sercem raz jeszcze być przy Tobie, a w tych miastach wielkich tylko szpiegów mamy. Usuńmy się od świata, bądźmy jeszcze samotnymi, bądźmy jeszcze jako niegdyś, z sobą, bez nikogo trzeciego!

Com Ci miał oznajmić, oznajmiłem. Teraz to Ci powiem, że pewny jestem, iż tym wymaganiem ode mnie jechania tam do nich mój ojciec gubi wszystko, jeśli kiedykolwiek co z tego udać się miało. Powozem, końmi pocztowymi, ciałem moim, figurą moją albowiem mu posłużę, dopełnię jego życzeń, ale myślą, duszą, sercem czyż mogę? Pojadę i koniec — a gdy tam będę, będę jak trup, sama wiesz o tym, nie potrzebuję Ci gadać; ale trzeba było tym poświęceniem ratować Ojca, który codziennie sechł i słabiał, trzeba mu było poddać życia, siły, a zatem w tę fatalną wybrałem się drogę. Przejeżdżam przez Frankfurt, by paszport do Karlsbadu wizować; pojutrze będę w Frankfurcie, stamtąd napiszę do Ciebie, tj. ten list dokończę. Dysz, do obaczenia, do obaczenia!

Wiesz, że mam piersi rozpękłe, jak gdyby kat mnie na torturach uderzył w nie kłodą żelazną. Są chwile, w których czuję, że lodowacieję i blednę na twarzy, w innych gorączka rozpaczy mnie porywa.

Mówię Ci raz jeszcze, że kocham Ciebie, że od wypłynięcia z Neapolu nie było dnia, w którym bym nie płakał za Tobą, jak za najszlachetniejszą i najdroższą istotą ze wszystkich, którem znał na świecie, i teraz płaczę! Do obaczenia, Ty Dialy moja! Do obaczenia, Bóg da, za miesiąc!

189. DO DELFINY POTOCKIEJ

1841, 22 augusta, niedziela, Karlsbad

Droga moja! Siódma to niedziela już rozdziału naszego, — większa już połowa jego, bo niezawodnie nie dojdziem do 14-tej. Dopiero co przez godzinę wybierałem koroneczki dla Ciebie i szpilki, na pieska muszę, aż w Dreźnie będę, poczekać. Nudnymi, arcynudnymi torami upływa życie moje tutaj. Wąsowiczowa[275], ta śmiertelna mego ojca i moja nieprzyjaciółka, tu przyjechała i siedzi, a łasi się Branickiej, jak garderobiana. Pamiętam czasy, w których p. Wąsowiczowa nie chciałaby była przyjąć do salonu swego pani Branickiej, wtedy była okrutną i podłą. Dziś jest miękką i podłą.

Ja tam zwykle wieczorem herbatę piję. Rozmawiam z Elizą[276] o chemii, fizyce, sztukach pięknych i Paryżu, ale tak mi to idzie oporem, że ona to widzieć musi. Opowiem Ci dwie anegdotki, po których wniesiesz to wrażenie, jakie na mnie wywiera ona, i jakie ja na nią muszę wywierać. Zawczoraj wieczór przyprowadziłem tam pod rękę Wąsowiczową. Baba przez 2 godziny opierała się na ręce mojej i wlokła się, jak ranna hjena, po Wizie. Zasiedli wszyscy do okrągłego stołu. Fregata[277] cukier każdemu odliczała do filiżanki i odmierzała śmietankę. Boreal[278] bawił się końcami chustki swej szyjnej, kompletnie szczęśliwy temu, że żyje. Wąsowiczowa i ja przepatrywaliśmy owe wieczne albumy, które trzymała nam Eliza przed oczyma, przewracając z wolna ich kartki. Trzeba chwalić, ja nie umiem, więcem milczał. Wąsowiczowa za siebie, za mnie, za 3-ch i za stu chwaliła. Kartki

[275] *Wąsowiczowa* — Anna z Tyszkiewiczów 1° voto za Aleksandrem Potockim, właścicielem Wilanowa. [przypis redakcyjny]

[276] *Rozmawiam z Elizą* — Branicką, przyszłą swą żoną. [przypis redakcyjny]

[277] *Fregata* — stałe określenie w listach Krasińskiego dla hr. Branickiej, matki Elizy. [przypis redakcyjny]

[278] *Boreal* — Władysław Branicki, przyszły teść Krasińskiego. [przypis redakcyjny]

jedne ubywały po drugich, wtem nadpłynęła jedna, a na niej była akwarela, wystawiająca kobietę samotną, siedzącą przy szerokim oknie, w białej odzieży, za oknem zaś jezioro smutne i świat dziki z borów i skał i nieba kawał, a ja zatrzymałem Elizę, która szła dalej i zacząłem, znęcony tą akwarelą mówić: „To się Pani udało, zupełnie udało, może nie tak ścisłość rysunkowa, jak raczej ukryta dusza rysunku. Jakiż to wyraz smętny w tej twarzy samotnej! Znać, że ta kobieta w więzieniu z trosk i boleści patrzy w przestrzeń i myśli, że trzeba niezadługo ziemię porzucić, ziemię, która jej tylko goryczą była, a mimo ten wielki wyraz smutku coś upajającego i jeszcze nęcącego jest w tych rysach zadumanych. Znać, że Bóg ją cudem był swoim stworzył, a tylko ludzie zabili. Nie przewracaj Pani kartki, bo to prześlicznym jest!". Milczała p. El., nie przerywała mi pochwał, zatrzymała kartkę, jam patrzał i patrzał, coś z tej akwareli wołało na mnie; pierwszy raz wtedy zaczynało mi się zdawać, że El. ma talent, a kiedy tak mnie wytrzymała, a ja znów otwierał usta, by chwalić, rzekła dziwnym głosem, jakby zasmuconym, ale bez żadnej złości: „To nie moje, to Pani Delfina malowała i na pamiątkę mi dała". Struchlałem. Darmo, gdzie duch mój napotkał ducha mu równego, tam w nim ozwało się życie. Struchlałem, a wiesz czemu? Oto dlatego, że mnie w tej chwili uderzyło przeświadczenie o konieczności nieodwołalnej, która moją duszę z Twoją spaja. Uznałem wyższą, jakby fatalną potęgę, wynikłą z głębi, z natury rzeczy, która mnie zmusza, gdziekolwiek co Twojego lub podobnego Tobie napotkam, podać się ku temu, to pojąć zaraz, roztkliwić się nad tym, znęcić się do tego, słowem to ukochać. Anim wiedział, że ten obrazek Twej ręki dziełem, a on jeden wśród tylu innych przemówił mi do duszy! Tak dalece, że kiedy p. El. przestała album przewracać, zamknęła go, uczułem konieczną potrzebę widzenia raz jeszcze mojej białej, marzącej przed tym wielkim oknem Dialy i rzekłem do niej: „Pozwól mi Pani samemu raz jeszcze otworzyć tę książkę". A ona: „Dobrze, ale pod jednym warunkiem". „Pod jakim Pani?". „Że Pan mi wymyślisz przedmiot do rysunku". „Zgoda, Pani" — i oddała mi album. Jam odszedł od okrągłego stolika i na uboczu znów rozemknąłem i szukałem mojej akwareli ażem ją znalazł i długom patrzał i łzy mi się kręciły w oczach, i to była dobra chwila.

Oto masz pierwszą anegdotę. Wieczór ciągnął się dalej, Józefa Kalinowska siadła do fortepianu. Słyszałaś Ty kiedy ryk krowy tyrolskiej, pisk rozkochanego kota, skomlenie psów zgromadzonych nad ścierwem? Prawda, Tyś mnie słyszała, ale przysięgam Ci, że lepiej śpiewam. Po tym okropnym głosie, który blasfemował[279] *Staendachen* Schuberta, któreś tyle mi razy tak bosko śpiewała, przystąpiła do instrumentu klawiszowego p. Olga. Z Montechów wybrała pieśń jakąś długą, suchą, rulad pełną, pozbawioną wszelkiej idei muzycznej i kręciła ją gardłem swoim, jak szpagaty, z których powrozy urastają, lepiej jednak od siostry daleko, z pretensją olbrzymią, łamane sztuki wyrabiając, nic nie czując. I człowiek, co słyszał Malibranową[280] i Ciebie, tam stał i słuchać musiał i nie plunąć! Wciąż głos Twój krążył mi nad uszami, jakby anielska obrona od tych ziemskich głosów, jakby tarcza melodii przeciwko tym nożom pisku. I tak, słuchając wspomnień o Tobie śpiewających w duszy mojej, zupełniem zapomniał Karlsbadu i Branickich i Kalinowskich. Tymczasem Stefan Potocki, syn Michała, umizgał się do Elizy — Fregata przy stoliku z Hjeną rozmawiała, Boreal zajadał poziomki, Kasia[281], milcząc, obok mnie stała i dumała, a ja także milcząc stałem. Byłem coraz bardziej z Tobą, gdy nagle Wąsowiczowa, spostrzegłszy się, że jedenasta, wstaje i budzi mnie, wzywając mego odprowadzicielstwa. Pamiętasz z rana w Neapolu czasem osłów ryczenie, które śpiących tak mile do życia wołają? Zadrgnąłem, szukam kapelusza, p. El. zastępuje mi drogę: „A obietnica?". Ja patrzę się na nią, nie przypominam sobie: „Co, Pani?" się pytam. — „A warunek, a przedmiot obiecany do albumu?". Zgłupiałem, bo nic na podorędziu w głowie nie miałem. Naiwnie odpowiedziałem: „Zupełnie wypadło mi z pamięci, przepraszam", i skrobię się w skronie. Hjena już na progu woła; panna stoi przede mną, domaga się. Naprędce spytałem się, czy zna Miltona — afirmatywą odpowiedziała. „Więc piekło całe Miltona" rzekłem i poszedłem za Hjeną. To druga anegdota. Z tych dwóch łatwo poznasz, w jakim tu wciąż położeniu jestem, i jak silnych doznałem wrażeń podczas teraźniejszego pobytu, i jak umiem się umizgać, gdy się nie kocham — nawet grzecznym być nie zdołam!!!

[279] *blasfemować* (fr.) — bluźnić. [przypis redakcyjny]

[280] *Malibranowa* — Maria Malibran, wielka śpiewaczka francuska pochodzenia hiszpańskiego. [przypis redakcyjny]

[281] *Katarzyna Branicka* — młodsza siostra Elizy. [przypis redakcyjny]

I tak dzień za dniem uchodzi i o krok dalej nie postąpiłem, czuję się z lodu, a nie ma kobiety na ziemi, coby się na tym nie poznała. Oddaję sprawiedliwość wszelką Elizie — szlachetna, dobra, gotowa na wszelkie poświęcenia, idealna, rozważnej myśli, cicho gromadzącej swoje materiały i cierpliwie gmach swój z ziarn piasku budującej, pełna niezłomnej woli w ważnych i stanowczych rzeczach, w małych zaś i potocznych wielkiej uległości. Wytrzymała do nieuwierzenia, w postępowaniu z Kalinowskimi pełna godności i miary, ale wszystko w niej jest namysłem i pracą, trudnym wyrabianiem się, że tak powiem: filozoficzną metodą, nie zaś darem bożym, natchnieniem, poezją, talentem. Ona pracuje na talent, stara się o poezję, bo pojęła w myśli, że talent jest pięknym, że poezja jest cudem cudów — ona prosi wciąż Boga o łaskę bożą, ale jej nie ma. Wszystko, co ona robi, jest *zasługą*, ale nie jest *pięknością*. U niej nurt ducha nie płynie z wewnątrz na zewnątrz, by tworzyć, ale owszem, z zewnątrz na wewnątrz, by skupić się i dopiero w tym skupieniu trafnie uważać, mądrze wyrokować. Myśl jej nie z ołowiu, dajmy, że ze złota — ale myśli powinny być z światła i z elektryczności! Ona ma się do młodszej siostry, jak Cieszkowski do mnie, a do Ciebie jak Doerianowa — dobra niemiecka aktorka, co przygotować się musi, by wygrać rolę i zawsze tak samo, do Malibranowej, natchnionej, nigdy nie przygotowanej, a zawsze doskonałej, co dzień odmiennej, żyjącej pięknością i sztuką, tak, jak kto inny powietrzem oddycha!

Oto przyszły karlsbadzkie harfiarki, grają mi pode drzwiami. Lubię te dźwięki strunne, ten prosty śpiew, wart zwanzigera, a lepszy, niż pretensjonalny a czczy i pusty Olgi. Gdy te harfy się odezwą, to przypomina mi się Neapol, i ten pokój w kwiatach, i ta harfa w kącie za fortepianem, którąś czasem trącała wieczorem, gdy księżyc na zatoce pod oknami srebrną swą, wiodącą w wieczność drogę wytykał i jacht lorda angielskiego obok niej czarno się kołysał. Już nic lepszego życie mi nie da. Zatem, by szczęścia chwilę uczuć muszę się oglądać, muszę w przeszłość całą duszę podać, obrócić się sercem i pamięcią ku tym nocom letnim pełnym woni, blasku, rozkoszy, upojenia i gwiazd i dźwięków i nieśmiertelności[282].

Widzisz, Dialy, że harfy mnie do wierszów popchnęły.

Do obaczenia, droga — do obaczenia — niedługo będziemy razem! Wzdycham do Twojej twarzy i Twojego rozumu, jak do wolności więzień, jak dusza pokutująca do zbawienia, jak do ojczyzny góral, jak do Karlsbadu p. Kołomyjska, jak majtek do lądu, jak wędrowiec do fontanny, jak wygnaniec do domu, jak duch rozdzielony do powrotu w siebie! Do obaczenia!

Twój Z.

Nic a nic nie wiem, co się dzieje z Tobą, schnę z oczekiwania, a listy Twe nie przybywają. Może dziś co wieczorem będzie. Do obaczenia, Ty najlepsza moja!

190. DO ADAMA SOŁTANA

1841, Münich, 24 septembra

Wczoraj tu przybywszy, list Twój zastałem. Zapewnieś słyszał już o moich błędnych podróżach do Karlsbadu i Töplitz; niech Ci w tym względzie wieść publiczna gada o mnie, bo ja nie zdołam. Pomówić bym mógł, mową, w pobliżu wytłumaczyłbym Ci wiele rzeczy; pismem, z daleka, nie sposób, a przedmiot pełen wstrętu dla mnie. Pogadajmy lepiej, jak za dawnych czasów, o rozmaitych rzeczach. 1) List księżnej doszedł kogo należało. 2) Nie możesz pojąć, co to jest, przebywszy dwa miesiące w ciągłych kłopotach, wreszcie odzyskać nieco wolności; zda się, człowiek narodził się na nowo! Zdaje się niebo niebieściejsze i jesień zieleńsza od wiosny! O jedną łaskę Cię błagam: listy, które teraz będę pisał do Ciebie, na miłość Boga niech u Ciebie zostaną na zawsze w tece i niczyim uszom słyszalnymi nie będą. Jeźli mi tego święcie nie przyrzeczesz, stary a zacny przyjacielu, to nie będę Ci mógł serca pękającego wylać, obryzgami krwi jego Cię okryć, bo pełno

[282] *(…) i gwiazd i dźwięków i nieśmiertelności (…)* — tu znajduje się w autografie wiersz: „Im dalej idę po drodze żywota (...)". [przypis redakcyjny]

uszów czyha teraz na każde słowo moje; lada jakie może zaszkodzić, wprawdzie nie moim celom, ale tym, które podzielić, których uczestnikiem być się podjąłem, a więc jak gdyby i moim. Rozpacz ojca, zwątlone jego zdrowie, zmusiły mnie! Nie miałem czym sił i życia mu poddać; jedyne to lekarstwo było dla niego. A więc? Cóż było robić? Czyż ojca zabijać? I tak już tyle rąk go zabija! Czyż i z mojej dłoni ostatnie, najgłębsze cięcie miało paść mu na serce? Nie, nie! Gdym ujrzał, że doprawdy tym tylko ratować i krzepić go mogę, westchnąłem ciężko, alem postanowił siebie zabić, jeśli mnie co zabić zdoła, a jego wskrzesić, jemu radością życia naddłużyć. Takie dzieje moje, nic innego w nich nie szukaj! Zresztą wszystko obmierzłem mi jest, wszystko tam, gdzie moje kroki stąpają, gdzie kształt persony mojej się obraca; a duch mój i serce, to są skryte własności moje, nieodebralne, nienakierowalne, wolne, swoje, które nigdy nie przestaną żyć, jak żyły, i być, czym je Pan Bóg stworzył. Przeczuwałem już to, co mi się stać miało, kiedym z wiosną z Rzymu, jakby z trumny, smętny do Ciebie list pisał; wiedziałem, że mi się życie łamie, że mi się droga z pod stóp wycofywa, i że dni przyszłości pełne są gorzkości dla mnie. Darmo, Adamie! Mógłbym jeszcze i tu powtórzyć, że przeczuwam koniec nieszczęśliwy; ale na co skarg tyle? Znasz mnie, i z tych słów kilku wybadasz całą iściznę duszy mojej.

Skąd piszę, tam odpisz. Dobrze się stało, że Brzoza dostał, czego pragnął, przynajmniej człowiek jeden szczęśliwy na czas jakiś na świecie. Z głębi serca Cię ściskam i kocham, mój Ty drogi i szlachetny.

191. DO STANISŁAWA MAŁACHOWSKIEGO

15 oktobra 1841, Münich

Mój drogi! Dopiero wczoraj, za przyjazdem tu z włóczęg moich po Niemczech, Twój list zastałem i zaraz Ci spieszę z odpowiedzią do Lukki, jakeś wskazał. Cóż Ci powiem! Oto nic dobrego, przez Boga! Tłukłem się *safandulnie* (nowym polski język ozdobion przysłówkiem) po Dreznach, Kaslach, Karlsbadach, Toeplitzach, Franfortach, po kolejach żelaznych — per Baccho! — żelaznych i dymem czarnym zamglonych, aż wreszcie tu przybyłem, i siedzę, i sam jestem z Konstantym, i jak długo tu siedzieć będę, nie wiem. Jednak coś mi się marzy, że się w Romie spotkamy znowu. Tam trochę więcej gruzów przybyło, te zastaniem na serca pociechę, prochu garści kilka więcej w Koloseum lub pod Kapitolem. *Eccolo*! Postęp! *Eccolo*[283]! Za powrotem do miejsca skąd wyruszyłeś, a gdzieś długo mieszkał, jedyna ulga! Brawo, panie Stanisławie! Życie jest wesołą piosenką, a krztusi się coraz lepiej człowiek, ją śpiewając, wreszcie go zadławi! Nawet już w mary, proroctwa, widzenia, od których mózgi ludzkie szaleją, bo kruchymi się stały od uderzeń powtarzanych gromu, wierzyć nie myślę. *Memento mori*[284] jest jedynym słowem, które warte wyrzeczenia, bo śmierć wielką sztuką, tak, jak życie, i, kiedy dziarsko żyć nie sposób, przynajmniej godzi się i przystoi z dumą umierać. Gladiatory doskonale to umieli, a w starożytnych ludziach było coś olbrzymiego!

Drogi mój, odpisz mi tutaj, ale bladym atramentem, powiedz, gdzie będziesz i co myślisz robić. Zaprawdę tuszę, że się zobaczymy.

Ściskam Cię z głębi serca. Nie zapominaj o mnie!

Twój

192. DO JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Münich, dnia 27 października, 1841 r.

Drogi Julu! W cuda wierzę zawsze i wszędzie, w cudotwórców prawie nigdy; nie znam zaś próżności próżniejszej nad tę, która siebie uważa za konduktorkę płynu cudów. Nie pochodziż to nieco z tej urzędo-namiętnostki, tyle zawsze burmistrzującej w naszych

[283]*eccolo* (wł.) — otóż i on. [przypis redakcyjny]
[284]*memento mori* (łac.) — pamiętaj o śmierci. [przypis redakcyjny]

sercach? W Piśmie, Księga Proroków następuje po Księdze Królewskiej, w dziejach bieżących to samo się objawiło: w sferze niby to widomej wystąpił tytuł, urząd, zaszczyt, nazwa miasto rzeczy, blichtr miasto istoty, słowem królewskość; w sferze niewidomej, w kościele poezji, awansowano na proroków. Jest tu także stopień, *dignitas*[285]. I znowu tu, jak tam, tytuł wprost rzecz samą skaził. Kształt obrócił się przeciwko treści, wyniknęła komiczność! Co za wiek, Julu, co za świat! Co za kolej zgubna, porywająca wszystkich do otchłani, nie dantejskiej, ale stokroć głębszej, bo stokroć dalszej od zmartwychwstań nieba, chcę mówić: do otchłani śmieszności! Za dni moich widziałem dzieci ponure, dzikie, jeszcze ssące pierś mamki, a już recytujące wiersze byrońskie i piszczące usteczkami, pełnymi mleka: „To piołun". Widziałem piętnastoletnie dziewczynki, wołające Boga na usprawiedliwienie się przed nimi, jak Hiob niegdyś, jak Faust później, i szpilkami grożące gwiazdom. Widziałem olbrzymów ducha, przez czas jakiś zapełniających serca ludzi imieniem swoim, a potem idących na starość do św. Pelagii, i głupstwa, i brednie, próżnostki same drukujących; orłów, co w słońce patrzyli, spadłych w staw i przemienionych na pływające pośród pleśni kaczki. Widziałem za dni moich, acz niedługich, zbłaźnienie wszystkiego, i zaczyna mi smętno być w duchu. Tym się jedynie pocieszam, żem, zda mi się, doszedł ukrytej sprężyny tych wszystkich zjawisk: zowie się brakiem dumy, a przesytem próżności. Jak cud jest rodzajem pewnym niepracy w naturze, pieczonego gołąbka, co spada z nad chmur do gąbki, tak i w duchu ludzkim próżność jest wieczną żądzą chwały bez pracy; kiedy duma, wbrew przeciwnie, jest wieczną żądzą chwały, lecz za pomocą olbrzymiego trudu. Kto dumny, ten i pokorny zarazem, a duma połączona z pokorą, stanowi wielkość człowieka. Duma bez pokory, to próżność; pokora bez dumy, to podłość. Na pozór tylko sprzeczne te władze duszy, a w istocie wielkość prawdziwa bez nich obydwóch obejść się nie może. Pokora powinna zawsze objawiać się w środkach, a duma w celu. Tym, że duch nigdy nie zadowoli się tym, co uczynił już; tym, że dalej iść pragnie i piękniejszego czynu się dorwać; tym, mówię, pokorę swoją pokazuje, bo ciągle się ma z niższego do ideału: skąd tęsknota, smętek, czasem zwątpienie. Tym zaś, że dalej stąpa, że karmi się wiarą urzeczywistnienia w końcu piękna, którą pojął, że gardzi wszelką skończonością i poczuwa się do pobratymstwa z nieskończonością, że uznaje się niezwalczonym i wolnym od śmierci, tym jest dumnym i boskim! Lecz nie mógłby takim być, gdyby zarazem nie był ludzkim i pokornym, bo bez pokory duch stanąłby na pierwszym lepszym stanowisku osiągniętym i nazwałby to doskonałością wszystkiego, końcem i dopełnieniem, wiecznością, wielkością, pięknem i zaraz by tym samem okrutnie się zbłaźnił. Zatem bez pokory byłby poliszynelem, bez dumy także by się dostał do Bergamu natychmiast, bo padając na ziemię i bijąc czołem o dróg bitych kurz w lecie, a błoto w jesieni, w wiecznej fakirowskiej niewzruszoności oznajmiłby sobie samemu, że dalej kroku ujść nie zdoła i że stworzony jest na zwierzę lub roślinę. W naszej epoce brak wszelkiej harmonii między dumą a pokorą przeszkadza wszelkiej wielkości. Jesteśmy próżnymi, tj. albo mamy pokory śmiecie bez ognia dumy, albo rośniem w szum dumy, w pianę, w bryzg, w nicość, nie opierając się na głębi żadnej! Rozbite akordy gubią zawsze ludzi, podnoszą zaś ich tylko pełne i pogodzone: pierwsze są fałszem i piskiem, drugie tylko — muzyką! Otóż my nie w muzyce, ale w fałszu, w kwasie tonów żyjem, i dlatego przepadamy. Patrz tylko, na co wyszli Lamennais, Lamartine, Sandowa[286] w ostatnich płodach? A wszystko przez próżność, przez serwilizm dla ludu lub dla urzędu, przez chętkę poklaseczków teraźniejszości, niepamiętni o poklasku wieków!

Teraz, mój drogi Julu, o Tobie słów kilka. Ucz się, patrząc, do czego wiodą rozmaite dusz słabości: unikaj wszelkiej, nie zapadaj w niemoc, bo niemoc nie jest pokorą; ni znów rośnij w dzikie przekonanie, że można jedną strofą wieki przewrócić, bo takie przekonanie nie jest dumą. Bądź dumny a pokorny! Lecz, kiedy się korzysz, to korz się przed Panem wiekuistym, lub przed wszechświata pięknością, lecz nie przed tą dziwną Madonną, której za podstawę dałeś piersi swoje. O Julu! Ja wiem, że to Ci wiele smutku rzuciło do serca i może wiele sił na czas jakiś odebrało. Szkoda Ciebie, byś z takiego zadraśnięcia miał się rozranić i osłabnąć, otrząśnij się! Gdzie Rafael nie malował, tam nie myśl o Rafaelu, marz raczej o Rubensie i duszy Twej całej nie kładź pod stopy aniołów rubensowych, daj im

[285] *dignitas* (łac.) — godność, dostojeństwo. [przypis redakcyjny]
[286] *Sandowa* — tj. Pani George Sand. [przypis redakcyjny]

rękę, opiekuj się nimi, życz im dobrze, bądź im bratem, ale nie konaj dla nich! Bo Twój grób po takowej śmierci nie porósłby w bluszcze nieśmiertelne, poczciwe niezabudki, ładne gwoździki, małgorzatki i tulipany na nim by się nie urodziły — a o to idzie, by na grobie stał krzyż, w laury oplecion, nie kwiateczki rosły! Ty wiesz, żem Cię kochał zawżdy; Ty wiesz, że Cię kocham: może nie wiesz, ale się dowiesz, że nigdy nie przestanę. Julu, powtarzam Ci, nieśmiertelność jest w Tobie, od Ciebie zależy z piersi ją własnych wyrwać i uzewnętrznić. Nie kładź się więc na ziemię, *taking the measure of grave*[287], nie chciej sobie samemu wmawiać, żeś tylko już mozaikowym artystą! Nie, tak nie jest. Artysta z Ciebie, mistrz! Lecz nie ufaj nigdy chwilowym ludzi poklaskom. Wszystko, co żyć ma i trwać, musi przejść wprzód przez walkę: od pieska, co na robaki umiera, od dziecka, co płacze, gdy mu ząbki się wykłuwają, aż do epopei Danta, aż do idei chrześcijaństwa. Co zatem zaraz zyskuje aprobację gminu, to nie długo pożyje, wierz mi, Julu! Tyś przeznaczony żyć, jeśli sam nie wyrzeczesz się wieczności dla znikomych ułudek. Bądź dumny a pokorny, a będziesz wielkim! Niech Cię Bóg strzeże! Myśl o mnie zawsze jako o istocie, mającej serce wiecznie rozkwitające i stulistne, gdy obraca się ku Tobie! Odpisz do Münich!

193. DO DELFINY POTOCKIEJ

26-go (listopada) 1841, Münich

O Towiańskim nowych szczegółów pełno się dowiedziałem. Był rejentem w Wilnie, słynął zawsze z poczciwości, ale wcale nie z rozumu. Kiedy Nowosilcow w Wilnie 1825 roku i wprzód jeszcze odkryte towarzystwo „Promienistych", towarzystwo mistyczne, wierzące w wpływy magnetyzmu i w siłę wszechmocną czucia, a najlepiej w 4-tym tomie Mick, opisane, indagował, nękał i tłumił, był tam Mianowski[288] doktór, który dość podle się spisywał, służył mu i braci własnych wydawał — powszechne przeciw temu człowiekowi oburzenie powstało. Był to materialista, anatomik, wiecznie nad trupami siedzący z nożem w ręku, nie wierzący w nic. Towiański jeden tego człowieka bronił przed innymi, a kiedy ten człowiek nagłą rażony śmiercią, co się w owe czasy cudem wydawało, umarł, on jeden tylko z całego miasta Wilna poszedł za jego trumną na cmentarz. Stąd zaraz urosła wonczas legenda, że przez wdzięczność, z mąk czyśćca dusza owa zawróciwszy, pokazuje się naszemu rejentowi. Rejent ni potwierdzał, ni zaprzeczał tej wieści, ale już wtedy zapadł w jakieś mistyczne usposobienie; później się ożenił, pierwsze trzy noce po ślubie przebył z żoną na cmentarzu i duchy wywoływał, by się małżeństwo nie tylko zmysłowo ale i duchowne dopełniło. Odtąd uważano, że się stał innym człowiekiem, potężnym w naukę, w rozum coraz wyższy i w urok wszechmocny nad ludźmi, magnetyczny, prawdziwie promienisty. Ile razy się rozłączył od żony, wracał do dawnego stanu mierności. Ile razy był z nią razem i mieszkał, odzyskiwał swoją potęgę, którą kilka razy wywarł na oskarżonych w sądzie, zmuszając ich czarowniczo prawie do wyznania zbrodni. Pierwszy połóg żony niebezpieczeństwem śmiertelnym groził, nadziei już nie było, wtem Mianowski z czyśćca przybywa, podaje sposób — żona Towiańskiego ocalona. Odtąd często Mianowski powtarzał odwiedziny swoje i uczył Towiańskiego o czyśćcu, o tamtym świecie i o zbliżającej się epoce nowej na tym. Wreszcie wybrał się nasz rejent, urząd i dom zostawiając na zawsze w Wilnie, wybrał się z żoną i dziećmi w świat. Jedni twierdzą, że zaczął podróż od Petersburga, gdzie mu urzędu odmówiono, drudzy, że zaraz zagranicę się udał i przez lat kilka po Niemczech i Włoszech rozmaitych się rzeczy i ludzi napatrzył. On sam twierdzi, że widział się z najwyższymi urzędnikami, rządzącymi losem państw po Europie i z nimi rozmawiał i przejmował ich miłością, zwiastując im przyjście ducha. Tymczasem, kiedy siedział w Dreźnie, gdzie długo przebywał, mówią niektórzy, co go tam znali, że uwiódł biedną dziewczynę i był ojcem dziecka jej, a to do królestwa ducha nie należy! Słowem, całe życie tego człowieka dziwną jest mieszaniną, nierozplątaną gmatwaniną, pokostem mistycznym pociągnioną. Wszyscy, którzy go widzą doznają, nim nawet przemówi i zacznie ich nauczać, wpływu niepojętego na zmysły swoje, który ich ciągnie k'niemu i podbija ich wolę. Taki wpływ należy do nieznacznej dotąd i nieobliczonej siły,

[287] *taking the measure of grave* (ang.) — biorąc miarę na grób. [przypis redakcyjny]
[288] *Mikołaj Mianowski* — od r. 1818 prof. położnictwa w Uniw. Wileńskim. [przypis redakcyjny]

coraz jednak mocniej za dni naszych objawiającej się w naturze i, moim zdaniem, poprzedzającej ogromne jakieś odkrycie, tyczące się nieśmiertelności duszy po zgonie — do siły magnetyzmu! Każda siła natury ślepa, konieczna, nim przez ducha ludzkiego odkrytą, z zasłon obnażoną i podbitą zostanie, ma się do niego po szatańsku, tj. wywiera na niego wpływy tajemnicze, niezrozumiane, wolę jego ujarzmiające, jest materią, jest naturą, występującą jako pani nad człowiekiem. Zrazu człowiek klęka przed naturą i zowie ją bóstwem — cała mitologia dowodem tego. Nie elektryczność, nie magnetyzm, nie to, co najwyższą jest idealnością materii, ale prosto rzeki, bory, skały, chmury w pierwszych czasach ludzkości tak były mało zrozumiane, że trwogą przejmowały serca ludzi i że je ludzie czcili jako bóstwa. Teolog chrześcijański Ci powie, że szatana to było dziełem, że szatan gadał przez usta pytonissek itd., itd. W istocie były to fałszywe bogi, — szatańskie, demoniczne wpływy, — bo celem człowieka jest być panem natury, — więc kiedy jest jej sługą i niewolnikiem, ona, której przeznaczeniem jest podlec jemu, tj. być niewolnicą jego, niby przybiera gest buntu, postawę zbuntowanego anioła, chcącego ducha ujarzmić. Szatana tak samo rozumiemy w stosunku do Boga wszechmocnego.

Tyle co do samej rzeczy serio uważanej. Każde serio ma swoją sprzeczność, swoje buffo na świecie tym — otóż szarlatanizm tu wystąpi z czapeczką i dzwoneczkami bufona. Interes, chęć próżności, chciwość wyskoczą jak arlekiny, i ziemię obiegać będą w Boga imieniu. Prawdziwa historia pana Towiańskiego taka, o ilem mógł się o niej dwiedzieć, — lecz nie myśl, że od naszego poety, co krótkie miecze Rzymian rodzi za pomocą strof 8-mio wierszowych, — nie, skądinąd — od Witolda[289]. Ów prorok był urzędnikiem w Petersburgu, tam czworo dzieci zostawił, sam z żoną się wybrał i szedł przez Litwę, aż przybył w Poznańskie, tam osiadł na czas i opowiadał swoje słowo. Założył towarzystwo tajemne dam, którego celem być miało przyspieszenie przyjścia ducha, ale wymagał od nich, by się spowiadały jemu, jakby księdzu katolickiemu, i wszystkich tajemnic swoich go panem uczyniły. Stało się; wtedy zaczął sypać im zdradne słowa w uszy, grozić wydaniem tego, co się był dowiedział, słowem, za dotrzymanie sekretu żądał nagrody. To jego misje w umyśle owych dam w niezmierne podejrzenie, a wreszcie i ohydę podało. Więc ruszył dalej i przywlókł się z żoną do Paryża! Pamiętaj, że czworo dzieci jest w Petersburgu! Ta familijność, rozciągniona z jednego końca po drugi Europy, przyznasz nie jest linią matematycznie prostą, weź tylko mapę, a zobaczysz, że strasznie labiryntnie krzywo po niej! *Eccolo*, — i ja powtórzę: *chi lo sa!*[290] Tak więc obudzone we mnie marzenie, tym, żeś Ty mi o nim napisała, musiało upaść pod szczegółami, o którychem dziś się dowiedział. Jednak trzeba na tym świecie zarazem i niczemu nie wierzyć, i wszystkiemu. Na tym świecie, mówię, bo nad tym światem, jedna tylko droga: wszystkiemu. Trzeba tu umieć nic za wcześnie nie odrzucać, a zarazem niczego łapczywie nie chwytać — mądrym być trzeba, szczególniej kiedy głos boży od bieguna idzie! Obacz tego człowieka, — przeniknij go wzrokiem, — wpij się w jego duszę odgadnieniem Twego ducha, ale nie polegaj na mimice jego i strzeż się!

194. DO STANISŁAWA MAŁACHOWSKIEGO

Münich, 1841, 7 decembra

...Ogniwko złote, w wielkim brązowym łańcuchu, tarte twardymi braćmi wreszcie rozkruszyć się musi, rozpłynąć się. Ale gdzież proszeczek ten, idealnie lekki a złoty, wiecznie osiada? Oto właśnie na chropowatościach, ostrzach, skazach, szczerbach tamtych ołowianych i żelaznych ogniw. I tak pracą powolną, wiekową, z brudu, z męki, wreszcie ze skonu szlachetnych, łańcuch cały głupich i niegodziwych się pozłaca. Bohatery, mędrcy, sprawiedliwi, ofiary, kochani mrą, roztapiają się, wołając: „Czemuś opuścił nas, Boże!?" Ale ludzkość ich myślą myśli, ich czynami się wzmaga, ich pięknością pięknieje; aż wreszcie, przez zaofiarowane i poświęcone wielkie osobniki urobiona, odpłacać się zacznie osobnikom, bo każdemu da byt duchowy, godność i rozum i szczęście — ale to na końcu drogi, drogi, u której wstępu stoimy. Indywidualność każda, czy chce, czy

[289] *od Witolda* — Witolda Czartoryskiego, syna ks. Adama. [przypis redakcyjny]
[290] *eccolo (…) chi lo sa!* (wł.) — Otóż to... kto to wie? [przypis redakcyjny]

nie chce, poświęconą jest. Śmierć jest to nóż ofiarny, który ją zarzyna dla całej ludzkości. Ale to logika tego planety, to pozytywizm tej strony grobu tylko; za to, na tamtej, każda indywidualność nieocenionej wartości nabywa, bo jest nieskończenie nieśmiertelną i w duchu bożym, jako cząstka tego ducha, ale cząstka, mająca wiedzę, że jest cząstką, utrzymaną wiecznie przy wiedzy tej, zatem sobie samej już na kształt całości wyglądająca, i będąca istotnie całością!

Cóż to jest całość? Rzecz, złożona z innych, ściśle z sobą spojonych i pogodzonych! Dusza nasza taką jest, bo ma tę cudowną siłę rozkładania się przez sumienie na dwa, i łączenia się znów w jedność. Trójca boża w niej odbita. Co chwili myślą myślisz nad sobą, wiesz o sobie za pośrednictwem myśli: trzech was w jednym, zatemeście całości ducha! Cząstka tylko przepaść może, bo, spotkawszy się z drugą, trzecią itd. cząstką, wiąże się z nimi i w całości jakiejś, której była oderwanym członkiem, przepada. Lecz to, co już z siebie całym dopełnionym, wewnątrz siebie samego rytmicznie żyjącem jest przez wiedzę, jaką ma o tym życiu swoim, to nie może przepaść, to się tylko rozwijać dalej w nieskończoność może! Więc w istocie jako ludzie planetarni żyjem poświęceni w wielkim doczesnym panteizmie ludzkości; jako duchy, jako ja każdego z nas, żyjem znowu udzielni, nieśmiertelnie tym ja obdarzeni, poza grób przeciągnieni, jak promień, który wiecznie podnosi się ku Bogu. Na planecie więc jest miejsce pokory i śmierci naszej — za planetą miejsce dumy i nieśmiertelności naszej. Dwoma wiecznie kierunkami bieżym w jednego wszechpięknego Boga, w jedną Sprawiedliwość, w jedną Mądrość cudowną. Jako cząstka ludzkości, widoma i rozrywalna, posuwa się ku ostatecznym jej celom, a te są: rzeczywiścić na planecie królestwo niebieskie dobra, czy przez dalsze podbicie natury, czy przez dalsze rozgoszczenie się ducha miłości w piersiach ludzkich. O ile jesteśmy na świecie tym, o tyle się staramy, by ten świat stał się podobny bożemu, wszedł w stosunek ściślejszy z bożym, to jest z tym, z którym sojusz nieśmiertelności naszej indywidualnej nas sprzęga na wieki wszystkie nasze dalsze. Za życia więc tu nic innego nie czynim, tylko gotujemy sobie samym na później coś boskiego, punkt jakiś boski w przestrzeniach, by nam, umarłym i nieśmiertelnym, było na co spojrzeć i z czego się radować i w czym rozkoszować, by wszędzie nam niebo było. Lecz właśnie dlatego, że, będąc w sobie całością, niczyją inną, jedno Boga, wszechrzeczy cząstkąśmy, a nie planety tego lub owego, nie do tego punktu skuci lub tamtego, ale wszystkich panami; zatem musim przestać przez śmierć wygrywać rolę cząstki ludzkości, a zacząć na większej scenie wygrywać naszą prawdziwą, istotną, to jest musim my, nieśmiertelne całości, zacząć po wszechświecie mieszkać jako cząstki, ale tylko Wszech-Boga! Jako w pierwszym kierunku, nosząc ciężkiego ciała żałobę, musieliśmy służyć planecie, planetarnemu rozwijaniu się, tak w drugim to rozwinięcie planetarne nam kiedyś służyć będzie musiało; to jest: ziemia, doprowadzona do najwyższej przemiany swojej, będzie cząstką nieba naszego. Zatem my syny nieba, a zarazem na niebo nasze pracujem!

Pytasz, czemu wszyscy równo nadgrodzeni, a nierówno zasłużeni? Wiele zasłużony ma już w sobie nagrodę swoją, bo wzniosły duch każden wzniosłość własną musi mieć już w sobie za pyszny dar lub święty wyrób i w tym wyrobie lub darze już kocha Boga, już czuje Boga: więc, w tej miłości wyższej ku Bogu żyjąc, doznaje jej rozkoszy! Dalej, kto może opowiedzieć, jakim sposobem mniej zasłużeni jeszcze później się zasługiwać muszą. *Eccolo ignorantes sumus*[291] w tym! Ale wiele tajemnic pryśnie, i myślę, że może jeszcze za dni naszych. Objawienie Syna Bożego, objawienie praw Ducha nie powtórzy się, już dopełnionym jest, i, co duch nasz tutaj, znamy; ale drugie potrzebne a nie dane, bo Ojciec niebieski nie umie opuszczać, a to się tyczy sfer natury, która, nim poznana, bywa zawsze szatanem, człowiekowi, a gdy on ją ściśnie w ramiona, i przymusi powiedzieć imię swoje ukryte, staje mu się wnet cudownym aniołem, i podbitym aniołem. Tak ogień, woda, para dotychczas; ale elektryczność, ale światło, ale magnetyzm, czyli cały system nerwowy natury? Zbliżamy się do wielkiego odkrycia magnetycznego, które nas połączy z wszechświatem przez widzenie w odległości, i może z światem dusz umarłych, a na tym planecie stworzy nowe źródła bogactw dla klas, które inaczej do buntu gotowe, pożrą wiek nasz z wewnątrz tak, jak barbarzyńcy pożarli Rzym z zewnątrz i duch ludzkości przez to

[291] *Eccolo ignorantes sumus* — Otóż jesteśmy nieświadomi. [przypis redakcyjny]

objawienie w okręgu natury rozszerzy się, jakby drugi raz przemówiło słowo boże. Ale dość o tym, masz nad czym zabawić się lub zanudzić. Odpisz tu!

195. DO JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Münich, dnia 28 lutego 1842 r.

Pismu się nie dziw! Tak piszą ci, których głowa już w ciemnościach grobu leżała. Dziewiętnastego lutego, w samą chwilę dobijających mi lat trzydziestu, dwoma rażony apoplektycznymi w mózg piorunami, padłem, jak Ci powiadam, głową w grób. Dwa razy puszczona krew przywróciła życie, odtąd piszę tak. Jam ledwo co nie umarł, a Konstanty umiera na zgniłą gorączkę! Już od trzech tygodni leży i co dzień gorzej. Pomnij, Julu, jak mi dobrze jest, a to wszystko spadło na mnie wśród najwyższego stanu umysłowego ze wszystkich, których kiedykolwiek w życiu doznałem. Odkąd pisałem o regencie do Ciebie, życie moje jedną było godziną: lało się, płynęło, buchało, coś przemieniało się we mnie, czułem w sobie coraz głębszą głąb, coraz jasnowidniejszy ton, i garściami błękitu z tej przepaści mógłbym był rzucać w świat; ale to tragicznem w moich losach, że, ile razy duchem sięgnę w górę, grom z tej góry spada na ciało moje, i *farewell, king*[292]! Trudno mi pisać, bardzo, bardzo: za każdym słowem koło serca mdło, a tysiąc cieniuteńkich szponów zatapia się w mózg, jakby włos każden stał się ostrzem, rosnącym wgłąb i przenikającym aż na drugą stronę mózgu. Do tego smutek, rozpacz! Konstanty umiera, siedzę przy nim, już mnie nie zna, śpi ciągle; gdy się ocknie, błąka się myślą już nie po tym świecie. Forma jego leży zżółkła jeszcze w łóżku tym, ale on, gdzie on? Czy już w Bogu? Więc dobrześ uczynił, Julu, żeś sobie przypomniał tych dwóch, którzy Cię kochali, a z których jeden odchodzi, a drugi waha się, a przed tygodniem już był zupełnie odszedł i, przez trzy kwandranse gdzie był, sam nie wie, tylko to wie, że dostał toporem wewnętrznym w głowę, że to cięcie rozerwało mu na dwoje sen rajski, marzeń tysiąc, rozsypało całkiem grupy form, świat cały, planetę wnętrznego, nowo-narodzonego z światła i płomieni, rozbiło, i że padł, *taking the measure of grave!* Więcej nie mogę, musisz poczekać, aż wieczór przyjdzie ktoś do mnie, który pisać będzie pod moim dyktowaniem, bo, choć słaby i nędzny, wiele rzeczy chcę Ci powiedzieć, chcę Cię, jeśli zdołam, wyrwać z melancholii, bo nie czas na nią teraz, a więc do wieczora!

Dał Bóg chleb, zębów nie dał — dał potęgę, ale cóż kiedy palca ściągnąć do pióra nie sposób. Tu przybyłem po Sołtanowe serce, to szerokie, wielmożne serce, i sercu lepiej memu z nim. Pisz ciągle do Münich, bo, jeśli wyżyję, to wrócę tam, kamień grobów mu zostawić i pokończyć interesa, po nim pozostałe, a potem do Kissingen. Źle ze mną; jeśli zginę, co po moim duchu się zostanie, rąk Twych dojdzie, pamiętaj! A ostatnią wolą moją jest, byś nie tracił życia na nędzne zgryzoty, ale na wielkie gotował się bóle, a po nich na wielkie wzniesienie. Bądź mężem z białego marmuru! Zrzuć z piersi nogi rubensowych Madonn, żyj, a, gdy mnie już nie będzie, wspomnij mnie!

Zyg.

196. DO STANISŁAWA KRASIŃSKIEGO

1842, 18 marca, Münich

Mój drogi Stasiu!

Tysiąc dzięków Ci składam za Twoją przyjaźń i pamięć dnia 19 lutego. Pamiętasz — w rocznicę tych fortec, zdobywanych w dzieciństwie i tych kuglarzy, sprowadzanych na urodziny moje, uderzony zostałem dwoma apoplektycznymi rzutami krwi, które mnie mało co że o zgon rychły nie przyprawiły. Puszczeniem krwi uratowan — później wód Kissingskich piciem na nogi postawion i już daleko lepiej, doznałem najokropniejszych

[292] *farewell, king* (ang.) — bądź zdrów, królu. [przypis redakcyjny]

wrażeń moralnych i znów mnie one mocno zaszkodziły. Biedny Konstanty[293] albowiem, który już od miesiąca leży w łóżku, 9 marca konać zaczął i doktorzy mu tylko kilka godzin życia dozwalali, więc nocą po księdza biegać musiałem i widziałem, jak olej ostatniego namaszczenia spoczął na tych, tyle kochanych przeze mnie, powiekach. Gromem mi w nerwy był ten widok. Znów się rozniemogłem cały — lecz dzięki Opatrzności wszechmogącej i której wyroki nie pilnują się rachub lekarzy, po trzech dniach ciągłego konania na tyfus snadź zwyciężył jego organizm i śmierć, już stojąca obok, odeszła od łoża jego — został się żywy na nim, ale strasznie osłabiony i nawet dotąd zupełnie podług prawideł sztuki, z niebezpieczeństwa nie wybrnął, lecz według nadziei serca mego zda mi się, że go Pan ocalił — i dzięki, dzięki Panu, bo z nim połowa i umysłu i serca mego byłaby zeszła pod ziemię, w zimno grobu! Piętnaście lat wspólnych myśli, rozumowań, uczuć byłyby odeszły ode mnie. Dzięki Panu, dzięki — czekam tylko, aż mi doktor powie, że zupełnie z niebezpieczeństwa wydobyty, by stąd natychmiast wyruszyć. Zaraza w tym mieście szeroka — umierają licznie, pogoda wściekła, jak żyję takich burz nie widziałem. Wyruszę zatem zaraz po świętach, jeśli Bóg pozwoli, ku północnym Włochom, lecz jeśli zechcesz do mnie napisać, pisz zawsze tu, a list mnie dojdzie bez chyby.

Straciłeś dziecię — aniołem jest w niebie. Co myślisz lepszego: czy nieszczęśliwym być człowiekiem na smętnej ziemi, czy sługą bożym w królestwie bożym? Za dziećmi umierającemi płakać, to płakać nad sobą, nie nad nimi, bo im życia los oszczędził — zatem próby ciężkiej, i dał zaraz to, czego my się dorywać musimy, trudem i bólem, niepowodzeniami, widokiem i doznaniem wielu złego i nikczemnego. Dziecię Twoje, Stasiu, dziś modli się o Ciebie w niebiesiech. Niech ta myśl żal Twój ukoi. Wierz mi; choć śmierć jest straszną chwilą, może życie straszniejszym jeszcze w pewnych czasach. Tobie osobliwie takowa strata bardzo dotkliwą być musiała. Pamiętam kiedyśmy dziećmi jeszcze bawili się po trawnikach ogrodowych, domowych, już wtedy w Tobie leżał zmysł ojcowski i do przyszłych, nieurodzonych dzieci Twoich przywiązanie. Raz, pamiętam, jakbym Cię dziś słyszał, gdym Ciebie się pytał, czemu sobie nie folgujesz po studencku po akademicku, słowem, czemu nie hulasz, jak to nasza owoczesna generacja cała, Tyś mi odrzekł poważnie: „Chowam siły moje dla dzieci moich". Możeś miał wtedy lat 16 — nieprawdaż, Stasiu mój? Więc czuję i rozumiem, jak dalece to nieszczęście musiało rozranić Ci duszę, ale ufaj w Boga — mieć jeszcze inne będziesz, które wychowasz na ludzi i poczciwych, i zdrowych, i zacnych. Nie każda kolebka zamienia się na trumnę w domu Twoim — owszem, obaczysz, ród dzielny i siły pełen rozmnoży się z Ciebie, mam najgłębsze przekonanie tego. Od kiedyś się ożenił[294]. ni Ty do mnie, ni ja nie pisałem do Ciebie. Racz moje uszanowanie, choć nieznany jestem Jej, żonie Twojej złożyć. Powiedz mi, czy Karol szczęśliwy; on także oniemiał, od kiedy dostał tak rozumnej żony — uściskaj go serdecznie ode mnie i powiedz, że czasem napisanie listu do mnie z ufnością dawnych czasów w niczym by nie ubliżyło małżeńskiej wierności. Powiedz, co i Adaś porabia? Jedyna wieść o nim doszła uszu moich, to była, że niemiłosiernie upił się chłopak na weselu Karolowym. Lepiej by był uczynił, gdyby książkę jaką przeczytał. Pilnujcie wy jego, by nie wykierował się na reprezentanta nowej generacji, zakochanej w kartach szampanie, śledziach holenderskich i nicości umysłowej — szkoda by było duszy jego i imienia.

Kiedy mnie znaglasz do powrotu, nie zważasz na stan zdrowia mego; chciałem spróbować, czy mi się uda przezimować z tej strony Alp — patrz, jak mi się próba udała: mało, we mnie się krew tak nie uspokoi, na północne pogody narażać się nie mogę.

Raz jeszcze dzięki Tobie za pamięć. Wiesz, że Cię kocham, jak za dni wspólnych dzieciństwa; co u wstępu do życia w sercu ugrzęzło, tego nic później oderwać ni wygluzować nie zdoła. Tak i związki nasze — przyjaźń nasza; tym złóż uszanowanie moje i Matce.

Twój na zawsze Zyg.

197. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

[293] *Konstanty* — Konstanty Danielewicz. [przypis redakcyjny]
[294] *Od kiedyś się ożenił* — St. Krasiński był żonaty z Dorotą Jabłonowską. [przypis redakcyjny]

Bazylea, 9 kwietnia 1842

Od czegóż zacznę i na czymże skończyć muszę, o mój Konstanty! Już od imienia tego serce mi pęka. Słuchaj pogrzebowego opowiadania!

Trzech nas było przed dwoma tygodniami jeszcze, trzech dawnych, z dzieciństwa połączonych razem, teraz dwóch tylko — Ty i ja! List mój ostatni był do Ciebie, zda mi się, w decembrze. Przez cały styczeń ogarniony nadzwykłem natchnieniem żyłem tak, że mi jedną godziną, snem jednym, był ten miesiąc cały! Drogo losom zapłacić miałem za tę rozkosz ducha. Dzień cały nad stolikiem, a wieczorem u Konstantego mego drogiego, ah, pogrzebanego już! Nie uwierzysz, jaka w nim była się, szczególnie w ostatnich tych latach, ocknęła potęga; z uwielbieniem słów jego słuchałem. Rósł on na jednego z pierwszych w Polsce. Muzykę był porzucił, wziął się do pióra; co w duchu długich lat pracą nagromadził zewsząd, to teraz wylewał i świat tworzył, ogromny, nowy, pełen energii i niepomyślanych od nikogo pomysłów. Noce nam schodziły na wspólnych rozprawach. On mi czytywał w miarę, jak napisał, a często powtarzał: „Zobaczysz, nie skończę", a ja zaś temu odpowiadał, przecząc; teraz wiem, że prawda i odpowiadam szlochami! On był mi aniołem stróżem, on siłą moją, rozumem rozumu mego, i tak kochał mnie, tak kochał, że, przez wszystkich opuszczony, byłbym jeszcze nie skarżył się, gdyby on jeden tylko mi został! A teraz, teraz co?

Zaczął się luty i on jakoś źle się czuł; mnie jeszcze nic nie było. Wtem i mnie krew strasznie zaczęła tłuc w głowę, jemu coraz gorzej; wreszcie się kładzie, woła lekarza. Lekarz mi oświadcza, że to tyfus i że on już ma wrzody we wnętrznościach. Dziewiętnastego lutego, w sam dzień i godzinę mych urodzin, sam dostaję apoplektycznym buchem krwi w głowę i padam, jak długi, krew mi puszczają; w wieczór raz powtórny padam na posadzkę, znów krwi upust mnie ocala. Przez kilka dni bardzo źle ze mną, wreszcie wracam do pewnych sił; zresztą i zapomniałem o sobie, w niego zatapiam się cały. Ta, która go kochała, jedna z najrozumniejszych i najmilszych kobiet na świecie, i ja, we dwoje, już od tego łoża nie odstępujem[295]. On wciąż prawie bez zmysłów, czasem jednak nas poznaje. W nocy z dziewiątego na dziesiąty marca już lekarze mu tylko sześć godzin życia dają. Biegnę w tę noc straszną, w burzę tę wściekłą, burzy nie słysząc, na drugi koniec miasta, po księdza. Przybył kapłan z Panem Bogiem. Konstantemu o tym mówię. „Czy już czas?" tylko się zapytał z uroczystą spokojnością. Klęczałem tam, widziałem, jak hostia, niezmiernie biała, zstępowała ku tym ustom kochanym, i olej ostatniego namaszczenia na tym czole ujrzałem. Pękło mi serce, i jej też, jej, co tam stała, nieodstępna, czujna, wierna, kochająca, piękna! Jednak śmierć sfolgowała, chciała nam przed ostateczną rozpaczą dać ironię nadziei: po konaniu trzydniowym zaczął się lepiej mieć. Do dwudziestego lepiej to trwało, nam już dusze lekko biły w piersiach z wesela; lecz znów choroba zaczęła swoje, z wnętrzności na gardło się rzuciła, gangrena wdała się, i dwudziestego siódmego marca, o czwartej z południa, w sam dzień Zmartwychwstania Pańskiego, otworzył oczy, zamknięte od dawna, spojrzał w górę, w niebo, w Boga, i westchnął lekko, bardzo lekko! Tym westchnieniem wśród nas, śmiertelnych, przemienił się na nieśmiertelnego, i wnet czoło jego, to piękne, myślne, szerokie, pamiętasz — opadło, i twarz stała się cudownie do chrystusowej podobną. I oto ja sam zostałem na ziemi!

Taki napis na jego grobie pod 85 arkadą cmentarza w Münich:

Konstantemu Danielewiczowi.
Wśród najwznioślejszych w Polszcze umysłów Wzniosłemu.
Wśród najszlachetniejszych serc Szlachetnemu.
Oficerowi ostatnich wojsk Polskich.
Przeszytemu kulą, gdy szedł na bagnety pod Ostrołęką.
W lat jedenaście później zmarłemu na obcej ziemi,
W 34 roku życia po długiej chorobie w Münich d. 27 marca 1842 r.
Towarzyszowi młodości całej,
przyjacielowi,
Więcej niż bratu,

[295] *Ta, która go kochała (…)* — narzeczona Danielewicza, pani Delfina Heel-Handley, znakomita pianistka, dama dworu królowej bawarskiej. [przypis redakcyjny]

Kamień nad zimnymi zwłoki
W rozpaczy położył
Zygmunt Krasiński.

Niech śmierć i stokroć tu zwłoki Twe grzebie!
Ty żyjesz, żyjesz! Pod zimnym kamieniem
Nie jesteś prochem, ni snem, ni milczeniem
I Ty wiesz w niebie, jak ja kochał ciebie!

III. 25. Ale dni moje prędsze były, niż poseł, uciekły, a nie widziały nic dobrego.
26. Przeminęły, jako prędkie łodzie, jako orzeł, lecący do żeru.
Rozd. 9 HIOB.

Oto wszystko, wszystko, co po nim pozostało. Niedokończony rękopis mam u siebie. Jeśli podołam, dopełnię, ale filozoficzniejszą miał inteligencję ode mnie, nie wiem, czy potrafię! Zresztą kiedyś, i jako ułamek, ogromnie ważny dla nas, można będzie to wydać. Tam jest duch żywy, a nie umarłe frazesa.

Teraz, mój drogi, wiesz wszystko, a że mnie znasz, więc wiesz, jak mi na duszy. Przed trzema dniami, pogrzebawszy go, uciekłem z Münich. Sroga tam epidemia tyfusowa, jak za cholery dni, ludzie mrą; alem wszędzie sam, i kto wie, czy już tak nie na wieki! Trzydzieści lat mam, przyjaciela już nie znachodzi się w takiej porze na świecie. O, żebym też mógł zobaczyć Ciebie!

Skąd piszę do Ciebie, do nikogo nie pisz i nikomu nie mów, na miłość bożą Cię zaklinam i proszę. Choć stąd wyjadę, list mi Twój odeszlą tam, gdzie będę, więc tu odpisz! Czy odebrano pod adresem danym *Nieboską*?

Za pięć lub sześć dni stąd w głąb Szwajcarii się zasuwam i tam do czerwca będę, w czerwcu do Niemiec, do ojca. Pisz prędko!

Ah, Ty mu już nigdy nie dasz wina w pochodzie na Ostrołękę! Gdzie on, gdzie on? Konstanty, płacz nad Konstantym!

198. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

Bazylea, 1842, 24 kwietnia

Mój Auguście! Źle ze mną. Po dwa, trzy razy na dzień napada mnie kształt konania: krew w mózg wali, a serce się zatrzymuje — nieznośny stan. Jeślim do czego nadal, to to przejdzie — jeśli nie, to nie. Tum zatrzymany tą chorobą — wody piję. Gdy mi lepiej będzie, ku Mediolanowi się puszczę. Moim zdaniem cała towiańszczyzna, dziejąca się w Paryżu i podparta wiarą Mickiewicza, jest mistycznym, magnetycznym stanem ludzi, bliskich nowej idei, a nie mogących rozumowaniem logicznie jej wywieść. Tej nowej, w sferze religii wymaganej, żądanej, pierwszemi sługi będą ci, którzy najogromniej do przyszłości tęsknią, teraźniejszości nie mają, a w przeszłości jako ciało usadowić się nie mogli, bo należeli już do 3-ciej epoki[296]. W niej być i żyć przeznaczeni, w przeszłości tylko mogli się objawić, jako próba bytu i życia, co prysła, niby skonała — ale takowe groby najświętszymi z kolebek. Ten naród będzie słynął w 3-ciej epoce, który pełen wiedzy o sobie umarł, pełen wiedzy śmierć czuł, pełen wiedzy z niej się wydostał. Oto nowe organizma socjalne z nim wychodzą na widownię historii. Nie już rodzące się i ginące, jak rośliny i zwierzęta, ale ginące i rodzące się, jak duch świadomy. By tak się urodzić trzeba było tak umrzeć, tj. w pełni świadomości, i ową zachować w trumnie, i być trupem wiedzącym o sobie, tj. duchem, przemieniającym się bez zatracenia myśli swojej. My tym. Rozwiązana zagadka w nas. Na ziemi dokażem (chciałbym powiedzieć: dokazaliśmy już bo to dla mnie jest widomo-jasnem, a zatem już przeszłem) tego, co każda osobna dusza, przechodząca z ziemi przez śmierć w wyższy świat. Sztuka nieśmiertelności

[296] *bo należeli już do 3-ciej epoki* — por. wstęp do *Przedświtu*. [przypis redakcyjny]

narodowo-socjalnej od nas się pocznie — w tej samej chwili się objawi jako pewność natura nieśmiertelności pojedynczej duszy. Logika mnie to każe mówić, bo co na planecie narody i ludzkość, to za grobem każden osobnik czyni — i my tu w ludzkości, a tam ludzkość w nas. W obu kierunkach jest pełnia boża — dopełnienie — wspaniałość — pogodzenie. Więcej nie mogę — z tego dojdziesz myśli moich o wielu rzeczach. Wiele tu Twego: prawie wszystko.

Twój Zyg.

199. DO ADAMA SOŁTANA

1842, 29 lipca, Kissingen

Prawda, długom nie pisał, ale bom nie mógł, nie tylko oczy, ale i dusza nie służyła; nie uwierzysz, Adamie, jak mi źle i coraz gorzej od śmierci Konstantego. Czasem duch mój zerwie się na chwilę, wtedy jasne błyskawice snują się przed nim, a potem zapadam w melancholię nieskończoną. Tak, tak, źle ze mną, Adamie.

W dzień przypadku księcia Orleańskiego Towiański dostał rozkaz od rządu francuskiego opuszczenia ziemi francuskiej. Już miał wiernych swoich, brakowało mu prześladowania; wreszcie przyszło. Pamiętaj, że każda rzecz, co zasłuży na prześladowanie, tym samym uważana jest nie za kpiny ni słabość; siłę tylko siła prześladuje!

Stąd ruszam do Hajdelbergu, gdzie pojechał ojciec radzić się doktora sławnego; stamtąd podobno na kąpiele pojadę do Genui; o czasie rozstrzygnięcia doniosę Ci.

Wody dotąd mi nie pomogły, moje nerwy coraz gorzej. Odescalchowie tu przybyli. Pisać więcej mi nie sposób, dusza pełna rozmaitego bólu: wszystko, wszystko bólem, i jaka przyszłość? I jaki koniec? Nie mówię tu o ogóle, bo wiem, że wybrnie i że sąd Pański sprawiedliwy jest, ale mówię o sobie: ja podobno przeznaczon bardzo złemu końcowi; Ty wiesz, że od wieków to przeczucie mnie ściga, teraz wzrosło znakomicie.

Księżnie stopy ściskam, Marysi się przypominam. Módlcie się za mnie, a Ty kochaj mnie do końca i kiedy wpadnę w *angustiae*[297] przypomnij sobie, ilem razy miał to *second view*[298] przyszłości. Skoro będę wiedział gdzie jadę, napiszę do Ciebie. Ściskam Cię, Adamie. Twój do zgonu.

200. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

Heidelberg, 14 augusta 1842

Drogi Auguście mój! Byłem w Frankfurcie przez dwa dni. Nic mnie nie spotkało nemezyjskiego, choć był tam Jegomość. Wróciłem tu i siedzę do 20-go. Choć wstaję rano i zaraz biegnę w góry, Twoim nauczon przykładem, zdrowie moje coraz gorsze, a głupstwo coraz możniejsze. Antytetyczna[299] nienawiść do własnych dzieł ogarnęła mnie — kochałem, a nie cierpię teraz! Jednak albo na wieki ogłupieję, albo swoje w tej mierze zrobię.

Nie mam nawet miejsca, gdzie bym Ci wskazać mógł, że mi odpisać możesz — zapewne jednak będę za dwa tygodnie lub trzy w Spezia; stamtąd Ci napiszę, nieprawdaż w Kałuszynie? Jerzy[300], jak przewidziałem, nie przybył i pewno nie przybędzie. Dobrze, bo taka obrzydliwie nudna teraz ze mnie figura że nie warto się trudzić dla niej. Ciężko mi pisać — gorzko mi; dawniej umiałem coś powiedzieć. Patrz sam, jaki to list nikczemny, a dalibóg, nic mędrszego nie powiem — już koniec, to jedno tylko, że Cię z serca i na wieki kocham!

---

[297] *angustia* (łac.) — trudne położenie, kłopoty. [przypis redakcyjny]
[298] *second view* (ang.) — powtórny widok, przeczucie. [przypis redakcyjny]
[299] *Antytetyczna* (gr.) — wynikająca z antytezy, z przeciwstawiania się czemuś. [przypis redakcyjny]
[300] *Jerzy* — Jerzy Lubomirski, przyjaciel Krasińskiego (1817–1872), pod koniec życia kurator Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. [przypis redakcyjny]

Czekaj-no! Ostatnia prelekcja[301] oświadczyła, że literatury naszej cecha to mesjanizm, że czekamy wszyscy na nowe „słowo wcielone" — na *Ideę* widnokrężną, ale żywą, bo w postaci człowieka — i że ten wśród nas się narodzi. Tęsknota do niego, to wieczna Polski pieśń.

Tak kurs zamknął. Chciano mu katedrę odjąć, ale Villemain[302] go obronił. Dziwny obywatel[303] udał tylko, że ustępuje z Lutecji[304] — w istocie zaś w niej pozostał i widuje się często z Thiersem — nieprzyjaciele mówią o nim, że 13-go dzięki Bogu składał. *Quod vis credere, crede*[305]! Ten list zastanie Cię z ojcem — mam nadzieję, że z dwoma. Złóż ojcu ode mnie najszczersze uszanowania, a co się drugiego tyczy, powierz mu ducha mego — niech zmartwychwstanę!

201. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Chiavari, 28 septembra 1842

Drogi mój! Wciąż słaby i zmelancholiczały ze mnie człowiek. Żadne kuracje mi nie pomogły, reumatyzmów się dokąpałem w morzu tym, w mózgu ciągłe rozdrażnienie nerwowe, imię moje „Ruina"!

Chciałbym, Konstanty, widzieć się z Tobą. Mam do proszenia Cię o oddanie mi ważnej przysługi; Tobie to łatwo przyjdzie. Ale trzeba, byśmy się rozmówili po tylu leciech rozdziału. Koło ósmego oktobra będę w Nicei, niech tam Twój list zastanę, w którym mi powiesz, czy możesz, choćby na parę dni, przyjechać z Aix do Nicei, lub tylko nad granicę samą, a ja wtedy z Nicei przejdę ją, by Cię uściskać. Musisz, nadgraniczny człowiecze, wiedzieć, jak się to w tamtych stronach robi. Skoro stanę w Genui, poszlę Ci do Aix fundusik na tę podróż. Proszę i obliguję, byś o tym nie pisał, nikomu z naszych w Aix o tym nie wspominał, bo już byś tym samym nie mógł uczynić dla mnie tego, czego po Twojej przyjaźni spodziewam się, że zechcesz uczynić. Do obaczenia więc, jeśli Bóg pozwoli. Twój od dawna i do zgonu[306].

202. DO ADAMA SOŁTANA

Genua, 3 oktobra 1842

Z Heidelbergu pojechałem do Spezzii na kąpiele morskie, stamtąd tu. Coraz gorzej ze mną: melancholia w mózgu, kość pacierzowa bardzo rozbolała, ogólne nerwowe osłabienie; zawroty głowy ciągłe, niemożność czytania ni pisania, do tego samotność, do tego smutków tysiąc; czasem zdaje mi się, że niedługo już mnie być na ziemi. Mam podobno na zimę jechać do Rzymu.

O źle, źle jest bardzo ze mną; nie pisałem, bo nie mogę pisać, już z tych kilku liter głowa mi się rozpada. Zlało się na mnie od śmierci Konstantego tysiąc bied i trosk, przyszłość też *amaritudinis plena*[307]! Ale ze wszystkiego najgorsze, że zdrowie zupełnie mnie opuściło i duch upadł; zdechł pies, zdechł, Adamie!

Odpisz mnie tu zaraz, proszę Cię, bo przed dwudziestym szóstym oktobra nie myślę do Romy. Podobno tam się udał teraz prorok. Dziwne dzieją się rzeczy, Adamie. Zmartwychwstanie bliskie, przynajmniej duchem i w duchu, lecz ja umieram, ja schodzę z tej widowni. Odpisz, odpisz i kochaj tego, który Cię zawsze z całego serca kochał i kochać będzie *ad finem*.

Twój

---

[301] *Ostatnia prelekcja* — Mickiewicza w Collège de France, z dnia 1 lipca 1842 r. [przypis redakcyjny]
[302] *A. F. Villemain* (1790–1870) — pisarz francuski, ówczesny minister oświecenia. [przypis redakcyjny]
[303] *Dziwny obywatel* — Towiański. [przypis redakcyjny]
[304] *Lutecja* — rzymska nazwa Paryża. [przypis redakcyjny]
[305] *Quod vis credere, crede* (łac.) — wierz, w co chcesz wierzyć. [przypis redakcyjny]
[306] *Twój od dawna i do zgonu* — celem zjechania się było przepisanie i oddanie do druku *Przedświtu*, który wyszedł jako dzieło Gaszyńskiego. [przypis redakcyjny]
[307] *amaritudinis plena* (łac.) — pełna goryczy. [przypis redakcyjny]

203. DO DELFINY POTOCKIEJ

(Roma) 8 stycznia (1843), 3-cia popołudniu

Znów serce i mózg krwią zalane, a w duchu nieskończone cierpienie. Słuchaj, Dialy, co się stało! Poszedłem dowiedzieć się o zdrowie Aleksandra[308]. Zastałem tam Fregatę i Elizę, okropnie bladą i pomieszaną; gdy wyszły, Aleksander porywa się z krzesła i zaczyna przeklinać Montforta[309], który dzisiaj napisał, prosząc o rękę Elizy, a Fregata każe jej, by go przyjęła, Eliza zaś nie chce się decydować. Fregata nastaje i Boreal też. Ja tej całej deklamacji słuchałem spokojnie, dodałem tylko, że wszystkie napoleończyki o siostrę się starają, bo i Walewski wraca do Rosji. Na to Aleksander zaczyna przysięgać się, że siostra nie kochała Walewskiego, ja zaś, że tego za złe bym jej nie miał, tylko radzę, by nie szła za Montforta. Wreszcie Aleksander tak zaczął blisko następować na mnie, że powiedziałem: „Słuchaj, potom przybył do Rzymu, by wiedzieć, czy siostra twoje chce mojej figury, lub nie chce. Jeżeli mogę się jej przydać na co, by za Montforta nie poszła, to jestem na jej usługi". Na to Aleksander: „Chce, chce ona ciebie", wykrzyknął, ale w tej samej chwili zbladłem, jak trup, serce mi się zatrzymało i padłem na kanapę.

To mimowolne moich uczuć wyrażenie wstrzymało jego zapał; ja po kilku chwilach rzekłem: „Każ się jej więc zapytać, lecz niech stanowczo odpowie. Nie dziwiłbym się wcale, gdyby mnie nie chciała, a wolała Walewskiego, lub innego. Bez ceremonii żadnej mówmy! Jeśli mnie chce, tom tu, jeśli nie, to życzę jej szczęścia, ale nie Montforta, więc pojmij dobrze, co masz jej powiedzieć ode mnie. Stoję za nią, by ją ocalić od Montforta. Wspólny cel może nas połączyć, tym celem Topolina[310]. Jeśli przystanie, to proś, bym na cztery oczy mógł się z nią rozmówić, bo w żadnych salonach nie będę ja *kurmacherem*[311] żadnym. Wszystkie stare maniery i idee o małżeństwie nie są moimi".

On wtedy mi obiecał, że jutro w wieczór będę miał odpowiedź i wyznał, że matka pragnie Montforta, mnie nie lubi — ojciec zaś mnie lubi, ale się boi mnie. Po takiej rozmowie wyszedłem, i jestem u siebie, i piszę do Ciebie, i konam, i proszę Boga, by Eliza mnie odmówiła. Zrobiłem wszystko, co mogłem, dla ojca mego i niby to dla praw rozsądku, ale serce, serce teraz buntuje się i gnie się w dziesięcioro i łzy mi płyną z ócz — i czuję, że Ciebie jedną tylko kochałem na świecie i kocham — i czuję, że na resztę dni moich oto nieszczęśliwy będę! O Dialy! Czemuś mi ten pierścień odesłała! Uczułem zaraz, że to zła wróżba. Pojutrze znów Ci go odeszlę — nie chcę, nie chcę jego — on Ciebie strzec winien, nie mnie. Ledwom go na palec włożył, już to straszne rozstrzygnienie samo z siebie, bez dołożenia się mego, tak zbliżyło się do mnie! O biedne serce, o serce moje, nie konaj tak! Żadna panna nie ma takiego serca na ziemi, a Ty je tyle razy posądzała i miała za nieczyste, za niedobre! Myliłaś się — myliłaś się, o aniele mój! O Dialy moja, powiedz, czy ta panna mnie odrzuci? O, niechby odrzuciła! Jeśli przyjmie, dopiero to wtedy ja nie będę wiedział, co uczynić. Mówią, że wola człowieka działa; pięknie tu wola moja działała, sam zbieg okoliczności wszystko zrobił i robi. Stałem, patrzałem, wreszciem jedno słówko wyrzekł, i klamka losu gotowa zapaść! Ale cokolwiek się stanie, prawda tylko prawdą być może — a prawdą jest, żem na wieki Twój, w każdym miejscu i położeniu Twój, tylko Twój! Ale kiedyż teraz Cię zobaczę?

Cokolwiek się stanie, o wyrwę się ja, wyrwę do Ciebie, choćby na dni kilka. Głowa mi się zawraca, — serce pęka, — do jutra, do jutra, a Ty kochaj mnie, jak ja Ciebie — na wieki!

204. DO DELFINY POTOCKIEJ

9 stycznia 1843, Rzym

[308] *zdrowie Aleksandra* — Branickiego. [przypis redakcyjny]
[309] *Montfort* — Hieronim Napoleon Karol ks. de Montfort. [przypis redakcyjny]
[310] *Topolina* — Polska. [przypis redakcyjny]
[311] *kurmacher* — słowo niemieckie, urobione przez poetę na wzór francuskiego *faire la cour*: nadskakiwać, ubiegać się o względy. [przypis redakcyjny]

Droga moja Dialy! Źle — źle, źle. Oto jak Eliza odpisała bratu: „*Dis à ton ami, mon cher Alexandre, que j'accepte et dis »oui« de bien bon coeur, si mes parents y consentent, — mais je desirerais infiniment pouvoir avoir une conversation auparavant avec lui, car j'ai mille choses sur le coeur*[312], z których się muszę jemu wyspowiadać", — tak brzmiał ten bilet, który mi Aleksander pokazał w tryumfie, a który ja przyjąłem jak człowiek, co bitwę przegrywa. Ostatnią moją nadzieją pozostało, że w tej rozmowie ją przekonam, że z innym szczęśliwszą będzie. Zatem spytałem, kiedy nastąpi. Aleksander odparł mi, że musi na to sam trochę lepiej być, by mógł wyjść z pokoju i przeprowadzić mnie jakimiś schodami i kuchniami, kiedy Fregata i Boreal wyjdą, i stać na straży, by, gdyby wrócili, wpaść i znów mnie wyprowadzić cichaczem, — gdyż niby tak rzeczy stoją, że Fregata i Boreal nie życzą mnie sobie, ale Eliza, jak widzisz, życzy. Moja Dialy, moja Dialy, widzisz jak mimowolnie pchany w to jestem i tak dalece mimowolnie, że krok każden dalszy zarzyna mnie.

Aleksander prosił mnie, bym w wieczór wczoraj był u nich, więc chciałem pójść; ubrałem się, wyszedłem raz i z ulicy wróciłem, bo mi nogi nie służyły, znów drugi raz i znów wróciłem, bo czułem, że mdleję. Kiedym wrócił do pokoju mego, gdziem Orcia i Małachowskiego był zostawił nad Napoleonem, kryzys nerwowa, niewstrzymana, niepohamowana wybuchnęła. Zzimniałem, jak trup, padłem w ich poczciwe ręce — i potok łez wylał mi się z ócz. Szlochałem, jak Ty w Fryburgu, czując śmierć zimną w głębi serca, i serce strasznie bolało. Wołałem wciąż w głębi duszy: „Dialy, Dialy", potem zostałem na krześle niewzruszony i już nie poszedłem do nikogo. Zostałem z moimi dobrymi i wiernymi i z wielkim duchem Napoleona, dowodzącego, że Chrystus Bogiem. Darmo, niepodobne niepodobnem! Czemuż ta kobieta chce mnie? Czyż nie dosyć jej dowiodłem, że nic dla niej nie może dusza moja ni uczuć, ni uczynić? Żebym choć kiedy słowem miększem, choć jednem się jej przymilił spojrzeniem, — ale nigdy, nigdy. Jeszcze wczoraj bratu mówiłem, że doskonale bym pojął, żeby mnie nie chciała.

205. DO DELFINY POTOCKIEJ

12-go stycznia 1843, Rzym

Droga moja Dysz!

Ja wciąż znękany i coraz bardziej serca ból rośnie, — bo coraz bardziej ta panna chce mnie. — Zawczoraj na chwilę tam wieczór poszedłem, — Fregata, jak psa, mnie przyjęła, Boreal jak najuprzejmiej i najuniżeniej. Do panny to tylko powiedziałem: „Aleksander mi mówił, że w tych dniach będę mógł z Panią się sam na sam rozmówić". — Okropnie się zaczerwieniła i odpowiedziała tylko: „*Ah, si seulement c'était possible*[313]". Wtem ojciec grający w wista coś do mnie przemówił. „Widzisz Pani, rzekłem, jak tu niepodobna gadać; już by mnie był ojciec przerwał, gdybym był zaczął jaką do Pani perorę". Uważaj, Dysz, ten klasyczny wyraz użyty przeze mnie: „perora", który każdej kobiecie, mającej nerwów cokolwiek, powinien spaść na te nerwy, jak fałszywy akord. Lepszegom nie znalazł. Wtem matka o stół karty rzuciła, wstała i przyszła do panny, ja do ojca poszedł i, przez pół godziny o polityce nagadawszy się, wyszedłem, lecz, nim wyszedłem uważałem, że panna dostała nerwowego ataku, bo ręce jej skakały i blada była, jak trup. Czy to matki gniew, czy co innego, nie wiem. Poszedłem do brata i prosiłem, by siostrze ode mnie powiedział, że niech dobrze rozważy, iż ja: 1-mo chorowity, 2-do melancholik, 3-tio *devoré d'ambition*[314], a że to nie są domowe cnoty. Wczoraj na te trzy pewniki te trzy mi przyniósł odpowiedzi od niej: „*1-o Je sais qu'il est malade. 2-do S'il est triste, je tacherai de l'égayer. 3-tio S'il est ambitieux, je tacherai de partager cette ambition parce qu'elle est noble*[315]".

Wczoraj czytaliśmy Towiańskiego *Biesiadę*. Tak się zowie pisemko, powierzone Skrzyneckiemu, a przez Skrzyneckiego wydane partii ultramontańskiej. Jest to dość niezgrab-

[312]*Dis à ton ami, mon cher Alexandre (…)* (fr.) — Powiedz swemu przyjacielowi, mój kochany Aleksandrze, że przyjmuję i że z głębi serca mówię „tak", jeżeli moi rodzice się zgodzą — lecz pragnę bardzo rozmówić się z nim przedtem, bo mam w sercu tysiąc spraw. [przypis redakcyjny]

[313]*Ah, si seulement c'était possible* (fr.) — Jeżeli tylko będzie to możliwe. [przypis redakcyjny]

[314]*devoré d'ambition* — pożerany ambicją, pragnieniem sławy. [przypis redakcyjny]

[315]*1-o Je sais qu'il est malade (…)* — Po pierwsze: Wiem, że jest chory. Po drugie: Jeżeli jest smutny, będę się starała rozweselić go. Po trzecie: Jeżeli jest ambitny, będę się starała podzielić z nim tę ambicję, gdyż jest ona szlachetna. [przypis redakcyjny]

nie, a nadzwyczaj niepoprawnie pisany zwój z trzech arkuszy, którego treść mniej więcej taka: „Wszechświat cały, czy fizyczny, czy moralny, jest zbiorem żywych duchów, stojących na rozmaitym stopniu ukształcenia, z których niższe są duchami ciemności, wyższe światła. Miłość Boga do wszystkich tworów taka, że stara się nieustannie, ale według praw nadanych, według konstytucji, im nadanej, by się wyrobiły i dobrowolnie zgodziły z Jego wolą, dobrowolnie Jego ukochały! Wszystko dąży ku takowemu ukochaniu Boga, ku powszechnej harmonii. Człowiek jest ostatnim punktem, ostatnią pochwą, przez którą objawia się świat niewidzialnych, a żywych i czynnych duchów. Chrystus, posłannik Boga, ojciec tego planety i wielu innych globów, pierwszy rozpędził ciemne duchy, niższe, zalegające planetę tego, bo do czasu Chrystusa jedynie tylko tych niższych duchów wola i potęga pracowała na planecie wraz z wolą i potęgą człowieka. Chrystus z sobą tu pierwszy przywiódł orszak duchów światła i, według prawa harmonii zapoznawszy z nimi duszę ludzką, ich do niej przywiązał. Lecz po zniknięciu Chrystusa z widomego świata ciemne, niższe duchy wróciły i pomieszały jego dzieło. Wszyscy święci, wielkie wszystkie dusze, co tu żyły, choć już doszły do stopnia cherubinów, choć już chciałyby glob nasz opuścić, by popłynąć do Boga, bo już z globem naszym nie mają nic wspólnego, jednak o tyle tylko mogą wyżej się wznieść, o ile ludzi przywiodą do postępu i miłości bożej, którą Chrystus przyniósł, — i aż do dnia tego muszą, przyczepione do globu, żyć na najwyższych kończynach jego atmosfery. — Pragną więc ogromnie, by dopełniły się czasy, a skoro wola ludzka nakłoni się dobrowolnie do Boga, one zaraz przyjdą jej na pomoc według prawa harmonii, które tylko wyższym z wyższymi pozwala się łączyć, by rozpędzić niższe, ciemne, nie wyrobione dotąd, które dzieło Chrystusa zagmatwały. Czekają więc i tęsknią, choć są już w chwale wielkiej. Sam Bóg czeka i tęskni, choć jest Bogiem wszystkich światów, bo sam Bóg nie może według praw własnych obejść się bez miłości człowieka, bez wyrobienia się w doskonałości jakiejkolwiek cząstki wszechświata. (To piękne jest). Otóż w konstytucji boskiej przewidziane, że będzie siedmiu posłanników, siedem gałęzi chrystusowych, które coraz wyżej ziemię podnosić będą, aż za siódmym złe wszelkie zniknie i ziemia stanie się niebem. Teraz nadszedł jubileusz łaski wtóry. Chrystus, który nigdy globu nie opuszcza, bo jest ojcem jego na wieki, gotuje się posłać zastęp białych duchów na pomoc ludziom. Duch Napoleona idzie na czele i ma wszystkiego dopełnić. Ogień, przez Chrystusa zapalony przed 2000 lat, teraz stanie się gwiazdą (przestrzeń — bryłą, myśl — czynem), która jednak nie na całej ziemi, tylko na punktach jej pewnych zajaśnieje, bo nie czas jeszcze, by cała ziemia była niebem — ale odtąd ludzie, te punkta widząc i znając, łatwiej będą mogli z niemi się łączyć, a tym samem je rozprzestrzeniać. — Te punkta zaś wybrane, to Polska i Francja!".

Oto masz nieco jaśniej wyłożoną gmatwaninę tę. Znać, że Towiański widzi obrazowo, poetycznie, bo to samo, co tu się zawiera, można znaleźć we wszystkich nowych pisarzach, lecz pod czystą formą rozumowania. Jednak wcale nie chcę twierdzić, by forma nawet Towiańskiego mylną zupełnie była. Bóg jest Bogiem żywych, nie umarłych, zatem i te wszystkie prawa boże, czy natury, czy ducha, które zowiemy martwemi, lub duchem objektywnym, jak np. prawo ciężkości, ruchów ciała etc., etc., lub naród ojczyzna, dobre, złe, piękne, w sferach ducha, muszą także być żywe, tj. reprezentowane w wszechświecie przez nieskończoną ilość istot, nam dotąd nieznanych, duchów! A magnetyzm nam świat ten odkryje. Żona Towiańskiego jest somnabulką[316]. Ona wszystko widzi, nie on.

Generał Skrzynecki tak go opisuje w jednym z swoich listów: „Towiański nie ma żadnej nauki, ale ma bystrość ogromną i geniusz w rozpoznawaniu zaraz charakterów ludzkich. Sam dla siebie i familii oszczędny i skromny nadzwyczaj, lecz, gdzie idzie o dopełnienie celu sprawy swojej, uważa pieniądze za nic i szafuje nimi, jak podłem narzędziem, przy tym, gdziekolwiek idzie mu o dopięcie tegoż celu, rozwolnione ma sumienie — gotów wszelkiego środka użyć; zresztą człowiek uczciwy, ludzki nawet!". Uważaj przyznanie nieprzyjaciela; mówi, że dobroduszny, a wypadało z tego, co wyżej, że chytry! To mi dowodzi, że szczególnego coś jest w tym człowieku, coś podobnego do charakteru Joanny d'Arc, która także, gdzie szło o sprawę, wszystkiemi ruszała sprężyny, a zresztą we wszystkiem innem pełna była prostoty i szczeroty.

[316]*somnabulka* (z łac.) — lunatyczka. [przypis redakcyjny]

Przepisuję Ci Napoleona, ale to powoli idzie, bo głowa i oczy nie służą. Chciałem Ci o Towiańskim napisać; straszniem się zmęczył.

Niech Twój palec Cię nie boli, proszę Cię. Ząbka Twego strasznie mi żal. Jabłka Twoje i cukry jadam, kamizelki i szpilki noszę, książki czytam. Leroux to Strauss[317] drugi, suchy filozof, raczej krytyk! Svedenborg przybył. Pojutrze pakę Ci poszlę. Nanetta sama pakowała, wszystko, co warto, tam Ci zmieszczę, — reszta, to jest nuty i książki, tu zostaną, a gdy będę wyjeżdżał, złożę je gdzie. — Jakieś przeczucie w sercu mi gwarzy, że niedługo Cię obaczę, Diały moja. Bóg by dał! Do obaczenia, do obaczenia, — ale wprzódy jeszcze dzielnie się tu namęczy Twój — Twój

Twój na wieki Zyg.

Napisz mi, czyś zrozumiała wykład mój doktryny Towiańskiego?

206. DO DELFINY POTOCKIEJ

1843, 16-go stycznia, Roma

Moja Najdroższa!

Wczoraj widziałem się sam na sam z panną, kiedy Fregata o trzy pokoje dalej grała w wista w biały dzień z Borealem. Powiedziałem jej, o ile mogłem tylko, jak dalece nieszczęśliwą ze mną będzie. Z tegom zaczął, że, przeczytawszy w bileciku do brata jej przystanie, chciałem się z nią widzieć, by ją reflektować i zapytać, czyby nie mogła być szczęśliwszą z kim innym na świecie. Na to odpowiedziała, że nic nie żąda już teraz, że dawniej jej ideałem było kochać ogromnie i być kochaną nawzajem tak, lecz że teraz wie, że z nikim szczęśliwszą nie będzie. Na to wyliczyłem jej szereg moich wad. „Wszyscy, którzy żyli ze mną, w końcu zawsze przeklęli moje szatańskie niepokoje ducha, żądze nieskończone, nieopisane smętki; jestem z tych, których nic nie zadowolni nigdy, którzy zawsze wyżej i dalej chcą, a gardzą wszelką rzeczywistością, potocznością, spokojem, zaciszem domowem — jestem z tych, których żadne względy wstrzymać nie potrafią, gdy wybije godzina oderwania się od nich, choćby przyszło ściągnąć zgubę i na mnie, i na innych. Droga, którą idę, może powieść, i łatwo, do zguby — lecz, nim powiedzie, ja nieznośny na niej, bo, ilekroć co mi się nie udaje na tej drodze, wpadam w przepaść smutku, rozpaczy, zgryźliwości, a wtedy nic i nikt mi nie pomaga. — Od kiedym się urodził, pokoju ducha chwili jednej nie miałem. Pomyśl Pani, czy nie ma kogo, coby Ci mógł więcej szczęścia dać ode mnie?" Na to ona bardzo słodko i pokornie: „*Et rien, rien ne pourra jamais vous consoler*?" — „*Rien*[318]", odparłem jej. Westchnęła i wpadła w zamyślenie, potem: „Comment, vous n'avez jamais été heureux dans votre vie?" — „*Qui j'ai eu d'immenses phases de bonheur, mais cela ne reviendra jamais*[319]". Znów zamilkła. Jam dalej jeszcze tłumaczył jej, o ilem nieznośny i straszny, dodając, że żadne pociechy, jedynie tylko samotność i oddalenie się od przytomnych mnie zbawia, kiedy w spleen taki wpadnę. Powtarzałem jej na pamięć wszystko, cokolwiek Tyś w chwilach goryczy wyrzekła o mnie. „Że Pani musisz z tego salonu wyjść, to pewna, bo więdniesz i tracisz na nic pozycję socjalną, którą Bóg Ci dał, i którą możesz pomóc Topolinie. Na to, by jej użyć dla Topól, trza, byś znalazła takiego, który by umiał jej w tym celu używać. Więc to pewnem, że iść za mąż musisz. Lecz teraz rozważ, za kogo, wielu jest innych w Polsce — rozważ sama — może kto inny wszystko potrafi pogodzić razem i to użycie, o którem mówię, i szczęście Twoje". Tak się bronił do tchu ostatniego Zygmunt. A ona znów: „Nie, nikt inny". I podała mi rękę. Jam musiał ją, tę rękę, do ust podnieść. Kiedy się zobaczymy, opowiem Ci szczegół, który mnie mocno uderzył, a którego tu pisać nie chcę. Potem rzekła: „*Et m'aimerez vous un peu, après la Topola*[320]?" Jam stał oparty o forte-

[317] *Dawid Strauss* — autor dzieła naukowego o życiu Chrystusa. [przypis redakcyjny]

[318] *Et rien, rien ne pourra jamais vous consoler (…)* (fr.) — I nic, nic nie potrafi nigdy Pana pocieszyć? Nic. [przypis redakcyjny]

[319] *Comment, vous n'avez jamais (…) Qui j'ai eu d'immenses phases (…)* — Jak to, czy Pan nigdy w swem życiu nie był szczęśliwym? Tak, miałem mnóstwo chwil szczęścia, ale to już nie wróci nigdy. [przypis redakcyjny]

[320] *Et m'aimerez vous un peu, après la Topola?* — A będzie mnie Pan kochał troszeczkę, po Topoli (Polsce)? [przypis redakcyjny]

pian ze zmarszczonemi brwiami, z oczyma na dół. Serce pękało, nic nie odpowiedziałem, jęknąłem tylko głuchym jękiem.

207. DO JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Rzym, dnia 12 kwietnia, 1843 r.

Julu mój! Przez dni czterdzieści nie było mnie w Romie, dopiero wczoraj list Twój odebrałem z 23 marca; zarazem powiedział panu Walerianowi, by na poczcie poszukał. Poszedł, był i wczoraj, i dziś, męczył urzędniki papieskie, ale nic dla niego nie znaleziono; smutny więc wrócił do mnie, skarżąc się na losy, że list ten Twój przepadł, skarżył się mnie także na podejrzenie Twoje, jakoby tego listu „wielka prostota" obrazić go była mogła: „Alboż, mówił mi, ja z tych, którzy nie wiedzą, że prostota jest pięknością aniołów?" Prosi więc Ciebie, byś mu powtórzył w drugim liście to, co się w tym zgubionym zawierało.

Ja znowu, z drugiej strony, nie jasno pojąłem, czym mogłem sobie zarobić na epitet starej dewotki. Zwykle te panie szanowne, najwierniejsze wyobrazicielki światów konających, światów litery umarłej, to mają do siebie, że wszystko niezmiernie ciasno, jednostronnie, karłowato pojmują: wraz z wyżywitami[321], mistrzami swymi, miasto ducha żywego czcić, czczą tylko kształt tego ducha przeszły; miasto rozszerzać się w uniwersalną społeczność, kupią się w sektę i doktrynkę; miasto miłości, wszystko obejmującej i pojmującej, wrą fanatyzmem, jedne tylko stronę rzeczy ogarniającym i z tej to przyczyny tak okrutnym i nienawistnym. Cóż w moich zdaniach wspólnego z nimi? Ale mniejsza o to, bo to osobistość, a tu nie o osóbkę tę lub ową chodzi, ale o ideę świętą i wyższą od wszelkiej jakiejkolwiek osobistości.

Drogi Julu mój, od dawna mi drogi! Czemu sobie wymarzasz o ludziach, jak np. o Stanisławie Małachowskim, rzeczy, których nie ma? Dlaczegóż by on miał chodzić z puzderkiem filigranowem od zarazy? Dlaczegóż by w Romie miał się duch skupiać przeciwko duchowi? Któż by mógł być dość nędznie głupim, żeby marzył stać się protektorem lub sprzymierzeńcem idei, prawdy wiecznej! Każdy z nas jest sługą jej, a kto najwierniejszym i najprawdziwszym, ten dopiero drugim ludziom stać się może wodzem lub obrońcą. Czemuż podejrzywać? Czemuż domyślać się złych uczuć w kim? Czy to miłości jest cechą, czy to znakiem błękitnego spokoju ducha? Czy nie nadszedł już czas, by zaprzestały prawdy walką świat zdobywać, a zaczęły go ogarniać prostem siebie samych objawieniem, wyrzeczeniem, ukazaniem świetlanem, które przez moc swoją bożą i rozumną i serdeczną zarazem wszystko pogodzić musi i stanąć wyżej, niż wszystkie podrzędne sprzeczności, dotąd stanowiące rozterkę wieczną świata? Czyż brak nam na prawdach takich i na miłości takiej, byśmy się starym trybem udawać musieli do ukrytych dróg, do wstrętów, do niewytłumaczeń się lub utajeń, do ukazywania tylko połówek lub trzech ćwierci, słowem, do całej dyplomatycznej metody, jakiej używały wieki przeszłe, gdy pełno złych, nieprzygotowanych i nieodkupionych duchów jeszcze istniało na planecie tym?

Oto zadane pytania. W liście walerianowym zamknięte pytania zostały przez przepadnięcie odpowiedzi nierozstrzygnione. Twój zaś list wczorajszy te nowe obudził, widzę w nim albowiem jakoby kwas melancholijny przeciwko mnie: już nie czujesz sercem serca mego. Czemuż to? Przecież przez te wszystkie lata je czułeś, i w nim nic odmienionego, ono zawsze Twoim, tak, jak w Willi Róż bywało. Chrystus mawiał: „Przyszedłem świat rozerwać, syna od ojca oddzielić, brata od brata", a znów w innem miejscu: „Przyniosłem pokój ziemi". Niby sprzeczności, ale wrzekomo tylko, bo Chrystus zarazem był duchem, co ma wiecznie trwać na planecie, i osobistością, objawioną w danej chwili. Jako ta osobistość, będąca i żyjąca ludzkiem życiem przed 1843 laty, w istocie on przyszedł był rozerwać świat, brata od brata oddzielić; ale wiedział Pan, że w następnej epoce słowa jego nie już rozerwanie, ale pogodzenie wszystkich przez ono słowo nastąpi, i dlatego to mówił o nas, mówiąc: „Pokój przynoszę". I wierzę, że dziś nadeszła pora owa: lecz, jeśli nadeszła, to jej pierwszą cechą u mnie być powinna wszechmiłość, która nic nie rozrywa, nic nie rozdziera i brata już od brata nie potrzebuje oddzielać. Ile razy patrzę w taką przy-

[321] *wraz z wyżywitami* — jezuitami. [przypis redakcyjny]

szłość, klęczę przed taką ideą, jestem! Ilekroć znów ogarnie mnie fałsz świata, wirujący koło mnie, gorzej mi, niż gdybym nie był, bo jestem, a nieszczęśliwie! I ten fałsz świata nie taki dobroduszny, żeby sobie osobnym, oddzielnym stanął taborem, miał obóz swój własny i tylko swoich napiętnowanych służalców: daleko on rozumniejszy, bo wszędzie się wkrada i krąży, czując, że krótki czas już jemu; znajdziesz go i tu, i tam, znajdziesz go śród pojmujących przyszłość, jak śród tych, co li tylko przeszłości się trzymają, a wszędzie znakiem, po którym go poznasz, to bezlitość, to brak miłości, to hiszpańsko-filipowe potępianie drugich. Ostatnia to pokusa szatana, bo wie szatan, że tylko siłą aspiracji, siłą miłości, wszech-westchnieniem ducha można zlać się z wolą i duchem bożym. Zatem pracuje na to, by ci nawet, co pojmują ową wolę świętą, miasto rozlać się na świat, skupili się w siebie, miasto pójść za przykładem ojczyzny polskiej, która się utrzymała oddzielną, służąc całej ludzkości i przelewając się w nią, poszli za przykładem żydowskiej, która się utrzymała oddzielną ojczyzną wręcz przeciwnym a niższym sposobem, tj. ścieśniając się w siebie i wypowiadając wojnę ludzkości i konspirując jako cząstka. Był to ideał starożytnych ojczyzn; chrześcijański, to nasz! Tak więc myślę, i nieraz rozpacz mnie porywa, jednak wiara moja niewzruszalną jest. Wszystkie błędy ludzkie nie przemogą przeciw bożemu duchowi, opóźnią tylko wstęp jego na stolicę.

Lecz znowu, żeby moją osobistość zrozumieć, jeśli się godzi o niej przyjacielowi wspomnieć, trzeba by wiedzieć, o ile ona od roku ciągłą a coraz gorszą znękana chorobą, i ile walk się jej zewsząd gotuje, i ile kielichów goryczy jej co chwila podawanych. Śmierć, gdyby tylko egoizmu swego słuchała, śmierć byłaby jedyną jej ulgą, i prośba o nią co dzień z ust jej wzniosłaby się do Boga. Ale trzeba ofiary. Zatem nie modli się ona o spoczynek lub inny kształt, mniej nieznośny, losów i kolei swoich, bo spoczynku i w grobie nie znaleźć, trwa i żyje i żyć będzie, dopóki jej naznaczone jest, i wierzy i kocha; ale darmo, sama w sobie *aerumnarum plena est*[322]! *Aerumna*, to pyszne słowo łacińskie, użyte przez Cezara, kiedy, chcąc ocalić spólników Katyliny, wystawił senatorom bezlitosnym Rzymu, że zostanie przy życiu, pełnem trosk, gorszą karą, niż śmierć. Twój imiennik prawdę mówił, Julu! Kocham Cię i jestem Twój.

208. DO STANISŁAWA MAŁACHOWSKIEGO

1843, Wielka Sobota, 15 kwietnia, Roma

Drogi Wojewodo! Ileż my już razy, przechodząc to dniem, to nocą z Jerzym przez Gregorianę krzyknęli: „Wojewodo!", a nikt nam nie odpowiedział, i smutno nam się stało; lecz to pewna, że taki nałóg, iż musim zawsze tak samo się odezwać. Pytasz, co się dzieje ze mną. Patrzałeś przez całą zimę na mnie, otóż to samo się dzieje. Ja o tyle żyję, o ile mi się wydaje, żem jeszcze koło willi Geoffrey; trzeciego stamtąd wypłynąłem, ósmego tu byłem i już tu ojciec był.

Na wieki te dni ostatnie mnie pozostaną błękitnem wspomnieniem. Jeździliśmy konno po tych górach, co z Tobą; śliczne było niebo i w duszy błogo, spokojnie, wzniośle, bo ciągle mówiliśmy o świecie idei, o świecie ducha, o świecie przyszłości.

Dostań na moje słowo dzieła: *Resurrection* par Stoffels, Paris 1840, i przeczytaj! Czytaliśmy to w Nicei. Nic piękniejszego o przyszłości żadne pióro ludzkie nie napisało, a podobno i pan Antoni, czy Jędrzej raczej, nie pomyślał[323]. Masz prawdę, pan Adam, to olbrzym, pan Jędrzej to magnetyzer, co obudził olbrzyma; to zrobił, co robią kobiety, gdy iskrę, śpiącą w łonie mężczyzn, zapalają.

Słowacki do mnie list pełen kwasu napisał, ja mu odpisałem pełen miłości, wykazując, że nie powinniśmy skupiać się w sektę, fanatyzmem jednostronnym się skwaszać i że ludzie przyszłości i prawdy nie powinni metody starej przejmować, ale wszystko rozumieć miłością żywą, a nie potępianiem i judzeniem postępować; nie konspirować przeciwko ludzkości, jako cząstka osobna, ale wszystko ogarnąć, wszystko pojąwszy, wszystko wyrozumiawszy, i stać się tym samem najwyższym punktem ludzkości! Tak, on myślał, że

[322]*aerumnarum plena est* (łac.) — jest pełna trosk. [przypis redakcyjny]
[323]*Jędrzej* — Andrzej Towiański. [przypis redakcyjny]

Ty, przyjechawszy, padniesz krzyżem przed człowiekiem, a zapomniał, że od lat wielu leżym już krzyżem przed ideą!

Co się stanie, gdzie pojadę, nic nie wiem. Pisz tu do mnie, a stąd mi odeszlą, gdzie będę. Orcio trochę lepiej, ale zawsze niedobrze; gdyby nie on był tu teraz, tobym się obwiesił, bom nie przywykł żyć w takim świecie. Huk Polaków, nikogo nie widuję.

Proszę, że tej nocy ten kometa taki był bliski nas, ja coś czułem nerwami niezwyczajnego. Tośmy się wygrabali, Wojewodo!

Moim zdaniem, protestacja przeciwko temu samozwańcowi, co z przechrzty został księciem, a z księcia schizmatykiem, nie błahą rzeczą; myślę, że Władysław[324] pięknie postąpił, łącząc się w wyższą, wspólną zgodę z przeciwnikami, i tym dowiódł, że idea wszystkich spaja i wiąże[325]. Materialne protestacje mogą być śmiesznymi, bo są sprzedażą skóry przed zastrzeleniem zwierza, ale takie duchowne są prawdą, są świętością! Mogłeś mieć powody osobiste do niepodpisania, i te rozumiem, bo oni by zaraz krzyknęli: „Nasz", ale Władysław dobrze zrobił. Oskarżenie Semenenki o herezją przypomina mi podobne, zaniesione przez St. Simona na papieża, a które twierdziło, że papież stał się heretykiem od chwili, w której dał się wyprzedzić i zaprzestał być rzeczywistą głową postępu ludzkości.

Jeśli się machina powietrzna uda, to komory skończyły się i pasporta. Ilekroć w duchu gotowa idea, musi natura podać środki do jej wykonania; bo duch jest panem natury i ten planeta poddany jest temu, którego Bóg na obraz swój stworzył.

Pomysł pana Adama w dramacie szczególny; mogłoby to być rodzajem pewnym wystawienia dramatycznego, ale nigdy sztuki dramatycznej jedynym kształtem. Byłby to liryzm w dramacie subiektywny; lecz dramat wymaga obiektywności. Przyjdzie pora taka, że aktorowie, wielkimi artystami będąc, sami improwizować będą w pełni natchnienia; ogólna tylko treść dramatu będzie im podana, ułożona, a wszystkie środki, tyrady, ruch cały i postęp sztuki żywotnie improwizowany. Takim sposobem połączy się pomysł pana Adama z potrzebą obiektywności, która jest koniecznością dramatyczną! Czy też o *Irydionie* mowa będzie? Tam jest metempsychoza[326].

List ten spal, albo zamknij, a nikomu nic o nim; im mniej o mnie, tym lepiej mnie. Panią Komarową i Delfinę wkrótce tam obaczycie, jeśli już nie oglądacie; donieś mi, jak się mają. Ludmile ode mnie serdecznie się kłaniaj.

Szczęśliwych świąt, Wojewodo! Kończysz list, mówiąc, że piszesz, jak umiesz, ale kochasz lepiej od drugich; a ja Ci powiem, że i piszesz ślicznie, doskonale po polsku. Co zaś do kochania, wierz, że całem sercem Ci wdzięczny jestem za serce i na zawsze będę; kiedyś przypomnimy sobie to wszystko na zagonach naszych, i wtedy jeszcze Ci powiem: „Dzięki za serce Twoje, takie poczciwe, szlachetne i polskie".

Jerzy Cię ściska, Aleksander Branicki także; to dobry chłopiec.

209. DO DELFINY POTOCKIEJ

27-go kwietnia 1843

Cały dzień wczoraj byłem chory. Wieczór odbyłem pańszczyznę, alem się wcześnie wyniósł. O 10-ej byłem w domu i zastałem już u siebie Bohdana[327], który przez 3 godziny najciekawsze szczegóły opowiadał o panu Andrzeju i Adamie. To, com na Righi mówił, i oni to mówią, lecz zwykle parabole tylko sypią nieprzygotowanym. Słowacki odmienił się nadzwyczajnie, roztkliwił się, płacze wciąż; inni, twardzi i próżni, to samo — lecz przy tym mnóstwo szczegółów jak najdziwaczniejszych, jak najdzikszych. Np. dusz ludzkich za karę przechodzenie w swojskie zwierzęta, koty, psy. Czekają na męża przeznaczenia, na Mesjasza, który w bitwie wielkiej zwycięży, a dnia onego duch Napoleona przy nim bić się istotnie będzie, a nad nim czuwać duch Chrystusa. Ten Mesjasz kuszony ma być na wszelki sposób, lecz duch Chrystusa, jak tarcza, broni go i przez nią te pokusy przechodzą i łamią się. Trzy narody, Francja, Polska, Żydy, przemienią świat i cieszyć się będą, każden

[324] *Władysław* — Władysław Zamojski. [przypis redakcyjny]

[325] *idea wszystkich spaja i wiąże* — mowa tu o protestacji emigrantów polskich przeciw Mirskiemu. [przypis redakcyjny]

[326] *Tam jest metempsychoza* — mowa tu o prelekcjach Mickiewicza w Collège de France. [przypis redakcyjny]

[327] *zastałem już u siebie Bohdana* — Zaleskiego. [przypis redakcyjny]

tym, co ukochał: Francja wielkim człowiekiem, Polska wielką ojczyzną, Żydy wielkim Bogiem Jehową. Więc ci ostatni najwyżej stoją?!! Matka Boska jest patronką tej sprawy — i dotąd jest na ziemi. Cała Familia święta dotąd jest na ziemi. Schodzą do takich np. szczegółów, że nawet kolory sukien noszonych są przeznaczone temu, który je nosi. Np. kolor brązowy i barakanowy surdut p. Andrzejowi. Żona mu go szyła, jako i resztę ubioru. Fraka mu wdziać nie wolno. Dwóch jeszcze proroków zjawić się ma — Bieliński i Szyszło — lecz nie wiedzą dotąd, gdzie oni, tylko ich nazwiska im są przepowiedziane. Mickiewicz, na rok przed przyjściem Towiańskiego, razu jednego był wieczorem u siebie z Bohdanem i drugimi, a smętny, w rozpaczy i bez wiary — w tym nagle krzyknął: „Widzę het, het daleko, widzę Litwę i z Litwy kałamaszką jadącego szlachcica, w okularach, który więcej wie, niż my wszyscy". Właśnie wtedy raz ostatni z Litwy pan Andrzej wyjeżdżał. Klękają przed nim i całują go w ręce. Pierwszym warunkiem przystąpienia jest wiara, że Andrzej od Pana posłany. Bez tego nic. Kto zaś kalwin lub luter, ten wprzódy na katolicyzm przejść musi, nim przypuszczą go do siebie. Oto masz, co opowiadał Bohdan!

Wszystkie tajemnice mają być uchylone dotychczasowe, a inne mają powstać. O małżeństwie taka nauka, że tam tylko jest prawdziwe, gdzie jeden w drugim potrafił ducha obudzić — i to dopiero sakramentem. Wielka prawda! T. wciąż pisze a pisze, foliały leżą u Adama, który wciąż je czyta, a czyta i przyznaje, że wiele rzeczy dopiero później zrozumie, np. o eucharystii i o przyszłym rządzie dotąd nie mógł nic pojąć. Jednak Adam teraz stał się naczelnikiem i już sam przyjmuje innych i słucha ich ślubów. Dał mu tę moc T. Ja myślę, że Towiańskiemu dał moc raczej Adam, a im obu idea, a idei Pan! Lecz co do teorii ich, słowo w słowo odgadliśmy, powiadam Ci słowo w słowo w *missale Romanum*[328]! Co do szczegółów, chwała Bogu, że nie, bo niektóre za bzikowate!

Moja Dialy droga, czekam na listy Twoje i pójdę tymczasem do ojca.

Wrócił Jan z poczty — listy nie przyszły z Toskanii dotąd, bo burza straszna trzy noce była. Więc muszę, nie wiedząc, do Ciebie pieczętować list. Odpisz mi zaraz do Genui, a potem do Lucerny i Bazylei. Odpisz, co, jak, gdzie, czy w Melun, czy gdzieś indziej, choćby Freg. pojechała do Paryża, to zawsze mnie najbezpieczniej i najskryciej pod samym obozem nieprzyjaciela. Co dzień słabszy jestem, czasem do szaleństwa smutku dochodzę, ale, gdy ujrzę Ciebie, Ty mi dasz chwilę spokoju, chwilę szczęścia, chwilę wzniosłości. Do obaczenia, zapewne koło 6. stąd z ojcem wyruszę. Do obaczenia, Dialy, Ty aniele mój!

Twój na wieki Z.

210. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

Roma, 30 kwietnia 1843

Drogi Auguście! To bieda, że trzeba Cię zawsze ścigać listami, gdyś już wyjechał stąd i że Ci nigdy listów tych nie odsyłają. Dwa duże, dwa ważne, pisane z Aquae Sextiae według Twego rozkazu do Berlina poste restante, ale może je masz w tej chwili. Właśnie w nich na Kurza listy Ci odpowiadałem i błagałem, byś dostał i przeczytał *Resurrection* par Stoffels (1840) z tym motto: *Que votre règne d'amour arrive*[329] Zanadto mało ty dbasz o ruch paryski. Na jego czele stoi *mens divinior*[330], połączona ze żelazną wolą i ogromną miłością. Taki duch nie ustanie, póki nie zginie lub swego nie dopnie, a potem podstawa ich prawdą jest. Idea ich prawdą jest, choć sami o tym nie wiedzieli. Siła więc tam, choć dotąd jednostronna, ale ona potrafi się lepiej zwszechstronnić, potrafi z sekty i doktrynki, ściśnionej na wzór hebrajszczyzny, wyrość lub wylać się na morze, rozlane na wzór potopu, co był pod piramidami, i w St. Domingo i w Hiszpanii, a nie o siebie tylko, o ludzkość falami bił. Miej k'temu wzrok bacznie obrócon! Mimo wiedzę niemiecką, wiarą moją, że nie ona zbawi, ale że to, co wiesz, zbawi świat. Ty chcesz przeczekać ich. Dobrzej ale przeczekanie nie jest odrzuceniem. Przeczekanie ludzi jest niejako na tychże samych ludzi liczeniem, bo nie inni, tylko ci przeczekani pod nowym wodzem wszystko czynią. Ale na

[328] *missale Romanum* (łac.) — mszał rzymski; prawdopodobnie oznacza to *Przedświt*. [przypis redakcyjny]
[329] *Que votre règne d'amour arrive* (fr.) — że wasze królestwo miłości zbliża się. [przypis redakcyjny]
[330] *mens divinior* (łac.) — duch natchniony; tu: mowa o Towiańskim. [przypis redakcyjny]

to, by oddali mu się w ręce, trzeba, by do nich w porę przyszedł. Przyjść zaś w porę nie tylko się rachuje na zegarach bijącego czasu, ale jeszcze i na czymś innym, na usposobieniu dusz, Owoż trzeba przemieniać, a nie odmieniać takowe, dalej je pchać w wyżynę, a nie skręcać na prawo lub lewo.

Uważasz, Auguście, ja Ci często powtarzam to, coś Ty sam mówił; a dlaczego? Bo czasem się lękam, byś nie popełnił pomyłki, którą zarzucasz Heglowi, tj., że sam przystosował własną logikę nie dobrze, nie ściśle; skąd mu historia taka fałszywa wypadła. Proszę Cię i zaklinam o to, byś rozważył, czy nie my jedynem możliwem narzędziem? I czy nie Chrystus przemieniony nad nami?
Nie tak, jak dawniej, w cierniowej koronie,
Nie tak, jak dawniej, z gwoździami u ręki,
Pan bolu tylko i Bóg tylko męki!
Innym już wiekom inny Chrystus płonie!
Od ramion krzyża na zawsze odpięty,
Jak duch świetlany, wyzwolony, święty
Zawisł na Ojca wszechbłękitnym łonie,
I w światów nowych wschodzącej jutrzence
Macza wzniesione, wniebowstępne ręce!

Teraz co do mnie. Subiektywność, zarżnięta i pocięta, drga podobno, jak wąż, aż do zachodu słońca, tj. aż człowiek nie umrze. I drgam takim drgnieniem, i nieznośnie mi jest, ilekrociem nie w sferze idei, ilekroć muszę z ludźmi mówić, lub ich rąk się dotykać. Nie spokój, ale męka mąk zgotowana mi.

Słuchaj! Tyś mi Katylinę naznaczył przodkiem, ale wiesz, czym on był raz jeszcze w średnich wiekach, nim dostał się do piersi mojej? Zgadnij!

Oto Savonarolą! — Nie uwierzysz, jak życie tego człowieka pokrewnym mi się wydało żywotem — jak uczułem, że oto ja mógłbym, choć nie w mniszym stroju, i tak z mównicy wołać, i tak gardzić dumnemi, i tak zginąć, na trzy godziny przed zgonem zdjęty snem magnetycznym i powtarzający te słowa: „Renowacja[331]"...

1-go lipca mam być w Dreźnie. Jeśli o tej porze Ty tam możesz być, bądź, a ostatnią przysługę mi oddasz. Teraz odpisz mi do Bazylei, jeśli prędko ten list odbierzesz — jeśli późno, to do Heidelberga, a nikomu i nikomu o mnie nie wspominaj, proszę Cię i zaklinam na tę przyjaźń naszą, dziecinną zrazu, a później męską i świętą teraz, bo mającą się przeciągnąć aż poza grób i wieki!

Jerzy nieco lepiej. Ojciec mój dobrze zupełnie; odmłodniał, rozwiośnił się, rozzieleniał — lecz ja opadam i z liści i z kwiecia, bo co chwila czuwać muszę, strzec się, bronić — świat albowiem, w który wstępuję, skoniurowany[332], sam nie wiedząc o tym, ale dlatego, że takim jest, jaki jest, powtarzam: skoniurowany przeciwko duchowi — rad by siłą bezwładności swojej przeciągnąć mnie na stronę gehenny, co po hebrajsku znaczy *Nicość*! Rozumiesz więc położenie wiecznie broniącego się od śmierci wiecznej! Mądrej głowie dość na dwie słowie — w tych kilku powiedziałem Ci wszystko[333] — i to, przyznasz, warto nazwać męką mąk! O! Rozdwój świata nie nastał jeszcze, walka żywiołów trwa dotąd. Ideał musi się niepokalanym zachować wobec wcieleń teraźniejszych, by mógł sam potem się wcielić w piękną i nową formę.

Byłoby mi szczęściem, gdybym Cię w Dreźnie[334] mógł obaczyć, bo wiele i wiele rzeczy mam do wyspowiadania Tobie —

Twój na zawsze

vale et ama! [335]

---

[331]*renowacja* (z łac.) — odnowienie. [przypis redakcyjny]
[332]*skoniurowany* (łac.) — sprzysiężony. [przypis redakcyjny]
[333]*Mądrej głowie dość na dwie słowie (...)* — mowa tu o bliskim ślubie Poety z panną Elizą Branicką. [przypis redakcyjny]
[334]*w Dreźnie* — gdzie miał się odbyć ślub Poety. [przypis redakcyjny]
[335]*vale et ama* (łac.) — bądź zdrów i kochaj. [przypis redakcyjny]

211. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Grenobla, 21 maja 1843

Mój Konstanty! Wczoraj przyjechałem i Twój list i wiersz *Do Matki Polki* zasiałem. Moim zdaniem, czwartą i piątą strofę trzeba żebyś jakoś przerobił na energiczniejsze: strzelby, kulbaki, lance i pałasze zanadto techniki wojskowej! „W imię boskich ołtarzy" słabe, przypomniało mi *l'autel et le trône*[336]; trzy zaś pierwsze piękne są. „Paryski akcent" tylko mi wpada w nietragiczność, chybaś to na Lola napisał; Te cztery wiersze: „Niechaj się dowie... wygnania przecieka!" pyszne są — wielki, majestatyczny obraz. O Korsyce dzielna strofa, tylko o odwecie nie dość dobija targu. Trzeba by na zakończenie tak energicznej strofy coś jeszcze energiczniejszego! Taką jest krytyka moja.

Od dawna Ty już marzysz o Kazimierzu Pułaskim; pamiętam, ukochany to był zawżdy bohater Twego serca, i w istocie homeryczna figura. Można by w pierś mu włożyć wszystkie teraźniejszości przeczucia, i gorzki żal, pochodzący z wiedzy, że te proroctwa markowe nie za dni jego spełnić się mają, choć pewno się spełnią; zupełnie, jak u Achillesa, który wie, że Troja upadnie, ale też wie, że sam przed jej upadkiem zginie, a pragnie tak całą duszą zwycięstwa i Trojan zaguby. Oto byłby prawdziwy zarys tragiczny w Pułaskim. Pamiętaj też, że się całe życie kochał szalenie w tej Krasińskiej, co była za Karolem Saskim, i chciał ją osadzić na tronie. Ta miłość była mu bodźcem indywidualnym. Koniecznie trzeba by naszej epoki myśli i przeświadczenia wetknąć mu w serce na to, by żywotną był figurą, nie tylko historyczno-rzetelną, ale i duchowo-prawdziwą. Przeszłość albowiem tym żyje, rośnie, nie umiera, że od każdej teraźniejszości nowej krwi do żył zastygłych dostaje. To jest, co stanowi następne wskrzeszenie umarłych przez żywych, na tym zależy umysłowe zmartwychwstanie tych, którzy przeminęli; a potęgą, co im w oczach ludzkich życie, wraca, jest poezja, zanim rzeczywiście, przez Boga powołani, do życia powrócą w obliczu Boga samego!

Proszę Cię, zaraz mi tu odpisz i, co będziesz wiedział, pisz aż do dziesiątego czerwca. Ja także będę do Ciebie pisał. Bądź co bądź, przekonanym teraz, że *Przedświt* nie głupstwem jest. Wieleż też kosztował ze wszystkiem? Ciekawym, czy zysk będziesz miał jaki?

Ściskam Cię z serca.

212. DO ADAMA SOŁTANA

1843, Drezno, 3 augusta

Daleko ode mnie wszystko, co kocham. Wracam do kraju za dni trzy, głęboko czuję się obalonym ręką... Czyją? Powiem, że losu. Słabym na ciele, pomieszanym i rozerwanym na duchu, co dzień mi gorzej. Wróblom lub kanarkom dobrze do klatki, gdzie dużo nasypano lnianego nasionka lub maczku; ja innego łaknę pokarmu. Wolę milczeć, niż rozwodzić skargi. Cokolwiek kiedykolwiek usłyszysz o mnie, niech Cię nie dziwi; prócz podłości, a tej nie uwierzysz, zresztą wszystkiemu wierz, nawet, żem się powiesił gdzieś na rozstajnej drodze pod figurą.

Bądź mi zdrów, módl się za mnie, i odtąd nie zwij mnie już Zygmuntem, ale wiedz, że się zowię: „Rozpacz". Dopóki żyję, jestem Twój wierny i kochający

Zygmunt.

Przeczytaj nowo wyszły *Przedświt* Gaszyńskiego, a będziesz wiedział, co myślę.

213. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

Wierzenica, 1843, 14 sierpnia

[336] *l'autel et le trône* (fr.) — ołtarz i tron. [przypis redakcyjny]

Drogi mój! Chciałbym Ci rozkryć to całe gniazdo żmij i robaków: serce moje, bo może się nie spotkamy, a przez pocztę trudno! Siedzę w Twoim pokoju; list Twój Niemiec wysoki mi oddał — przeczytałem i jęknąłem, bo Ty nie znasz położenia mego, Tobie się wydaje, że można pokonać serce, że można... miłość puścić w niepamięć. Przeczytaj w *Resurrekcji*[337], co to miłość, co to *ce pacte scellé, où l'âme s'est incorporé une autre âme*[338]. Możem dotąd nie wiedział, co miłość. Zmysłowy koloryt niegdyś miałem za nią, a to gruba pomyłka. Miłość, to płciowość dusz, nie ciał. Teraz wiem, co miłość, a wiem, bom w rozpaczy za duszą, a w pogardzie i wstręcie nad ciałem. Biada mi, żem Was słuchał mimo krzyk sumienia mego! Ja nie na wielkiego pana z 19 wieku, ja na trybuna raczej stworzon. Savonarolę czuję w sobie, a czemże się stałem? Czemże jestem? Człowiekiem w krzywem położeniu — człowiekiem, który sto razy na dzień przeklina chwilę, w której zrobił dla ojca to[339], czego nawet Ojciec niebieski nie ma prawa wymagać; — człowiekiem, który musi w końcu po wielu mękach albo zabić, albo być zabitym!

O, nie, nie szaleniec ze mnie, Auguście, ale nieszczęśliwy człowiek. Biedna pani de la Haye[340] pewno przebudziła się w grobie i płacze nade mną teraz! Samotność stała mi się jedyną ulgą, jedyną pociechą. Cały dzień mi się przemienił na sztukę uciekania od przytomności, która mnie zarzyna. Oto w tej chwili czuję się lepiej — chciałbym tu, w Wierzenicy, ot zostać i nie wracać do Poznania, ni jechać zaraz do Torunia, gdzie ojciec znów czeka, ni do granicy, na której komora czeka — ni do Warszawy, gdzie Paszkiewicz[341] czeka — wszyscy czekają, ja tylko już na nikogo nie czekam! Nikt już nie przyjdzie mi duszy rozświecić — chyba Mesjasz Tryumfator. Oh, na tego czekam i porzucę dom i wszystko i pójdę za nim.

Zapewnieś czytał przeczucie Mickiewicza o Tobie[342]. Nikt takiego ducha, jak adamowego, nie oszuka. On odgadł Ciebie w przyszłości z kilku słów Twoich. Towiański posłannikiem jest, co obudza w drugich ogień, nic więcej — ale ten ogień będzie płomieniem! Ten ogień z nas wszystkich ma stosy swoje. O, spalmy się, spalmy i świećmy ludziom — Polszcze, a przez Polskę światu! Składam tu *Przedświt*, Tyś jego ojcem pierwszym — spod serca mi wybrzmiał i kocham go!

Przy tem zostawuję Ci „Polskę Chrystusową[343]". Jeśli nie znasz, przeczytaj — wiele tam myśli wspólnych, choć jednostronnością spaczonych.

Wreszcie zostawuję i powierzam miłości Twojej dwie paczki z napisami: większą, w której mój pulares, a w pularesie pięcioletni dziennik; spalisz, jeżeli mnie kochasz, bez przeczytania, gdybym umarł, nie wróciwszy do Wierzenicy; — mniejszą, w której wstęp do 1-szej części *Nieboskiej* i cokolwiek wierszy, po śmierci mojej otworzysz i, co chcesz, przeczytawszy, zrobisz. Komisarzowi zaś przykaż, by spały tu te papiery i by nikomu ich nigdy, chyba Tobie, lub mnie za przyjazdem, nie oddawał.

Jeżeli Bóg pozwoli, jeżeli całkiem dusza się sama nie wygryzie, przez zimę będę kończył tę pierwszą część *Nieboskiej*. Ale trudno o natchnienie, gdzie zatrute zewsząd tchnienie, gdzie za domem ucisk i hańba, a w domu rozpacz! Pamiętaj o mnie, krzep mnie listami i kochaj mnie! Aż płaczę, ten list kończąc, płaczę, żem Cię nie zastał. O, kiedy będziesz w lepszych stronach z tymi, co pamiętają o mnie, mów o mnie, a mnie wtedy lżej będzie w grobie moim.

Veni Creator Spiritus[344], niech się coś zacznie, niech grom uderzy, choćby pierwsza iskra miała serce mi rozsadzić, bo serce pęka! Ściskam Cię, Auguście, tem sercem.

Aerumnarum plenus[345] Twój

---

[337]*Resurrekcja* — Stoffelsa. [przypis redakcyjny]

[338]*ce pacte scellé, où l'âme s'est incorporé une autre âme* (fr.) — przypieczętowany układ, w którym dusza wciela się w drugą duszę. [przypis redakcyjny]

[339]*chwilę, w której zrobił dla ojca to* — mowa o ślubie z hr. Elizą Branicką, dokonanym w Dreźnie, 24 lipca 1843 r. [przypis redakcyjny]

[340]*pani de la Haye* — wspólna bona francuska Z. Krasińskiego i A. Cieszkowskiego. [przypis redakcyjny]

[341]*Paszkiewicz* — Namiestnik Królestwa Polskiego. [przypis redakcyjny]

[342]*Zapewnieś czytał przeczucie Mickiewicza o Tobie* — w wykładach Collège de France z d. 6 i 13 czerwca 1843. [przypis redakcyjny]

[343]*Polska Chrystusowa* — pismo poświęcone zasadom społecznym, wydawane staraniem L. Królikowskiego, tomów 2, Paryż 1843. [przypis redakcyjny]

[344]*Veni Creator Spiritus* (łac.) — Przyjdź, Duchu Stworzycielu. [przypis redakcyjny]

[345]*Aerumnarum plenus* (łac.) — pełen trosk. [przypis redakcyjny]

Zygmunt.

Jakiż ten Poznań daleki od tego, czym mógłby i powinien być, jakżeż ideał Polski od Polski daleki! Ale musi on się zbliżyć.

Niech tu także zostanie *Nieboska* i *Noc letnia*.

(Na osobnej kartce:) Jeszcze słówko przy wsiadaniu. P. Adam[346], przed miesiącem wybrawszy się do Brukselli, pisał przed 15-oma dniami do mnie do Drezna dwa razy, że bardzo by chciał się ze mną widzieć, że w Heidelbergu do 15-go sierpnia czekać będzie na mnie, że, jeśli teraz się nie zobaczymy, to może nigdy, i że ma wiele do pomówienia ze mną. W przeklętym tym położeniu nie mogłem pojechać, bo już byłem na wyjezdnem i ten księżyc piołuniowy[347] świecił nade mną. Więc się z nim nie widziałem. Podobno razem z Towiańskim idą przez Szwajcarią do Romy. Ostrzegałem go w liście, jaka tam zgniłość w tych pobielanych grobach. Zetknij się z nim! Razem we dwóch zwyciężycie. To duch wzniosły i z żelaza ten człowiek.

Jeśli się z Tobą nie spotkam, to znak, że moja gwiazda nachylona ku upadkowi. Sam, sam będę! Sam, straszliwie sam, bo wśród istot ludzkich sam i samemu trza walczyć, samemu zwyciężyć. Kochaj mnie i z daleka pomagaj mnie — pomagaj, a jeśli przyjdzie do lochu i krat, nie zapomnij o Kissingen.

Twój Zyg.

Wiesz, że ludzie podli są! Bóg mnie strzeż od nienawiści, Bóg strzeż mnie od pogardy! Duch mój stworzony, by kochać! Auguście, Auguście, o, kochaj mnie i pamiętaj o mnie!

214. DO DELFINY POTOCKIEJ

14 augusta — Wierzenica (1843)

Przyjechałem. Tylko list od Augusta[348] zastałem — jest w Królestwie — i usiadłem przy jego stoliku w pustym, polskim dworze i piszę do Ciebie raz ostatni przed granicą. Nie było żadnego listu od Ciebie na poczcie w Poznaniu. Boże, co to się znaczy? Ty chora być musisz, byłabyś inaczej napisała do mnie. Rozpacz mnie wciąż żre i przeje mi serce.

O Dialy, o aniele mój, pamiętaj, że umierający woła na Ciebie, byś wierzyła w niego, byś wierzyła, że dopóki dni mu na ziemi stanie, on Twoim w każdej chwili i na każdem miejscu. Co chwila duch mój cały wyrywa się do Ciebie. Tyś zawsze przy mnie, ze mną, we mnie. O, kiedyż powrócę do Ciebie, o kiedyż, kiedyż! Ale darmo. To jedynym celem moim, instynktownym nawet, bo wszystko, co robię, zmierza do tego, jak igła magnesowa do bieguna, każda chwila życia mego przepojona tym celem, mimo woli nawet każden ruch mój, każden gest to oznacza.

O Dialy, Dialy, Dialy! Przez piekło teraz dopiero idę. Wszędzie, gdzie stąpnę, pogardzam, albo nienawidzę. Straszny stan ducha, a w Tobie tylko, w myśli o Tobie, odpoczynek mój. Boś Ty wzniosła, dumna i dobra zarazem, bo teraz, teraz jasną tkwisz mi przed oczyma, i czuję, ileś mnie kochała, po torturach moich znam, ileś Ty tortur przebyła. O, u stóp Twoich leżę i błagam Cię, przebacz mi wszystkie łzy, któreś wylała! Patrz, równie gorzkie i krwawe ja teraz co dzień leję, a wszystko, co widzieliśmy i czuliśmy razem, wydaje mi się niebem, rajem jest tej ziemi, świętością, anielstwem. O moja, moja, zmiłuj się nade mną, niech wiem zawsze, co myślisz, co czujesz, co robisz, gdzie jesteś, wszystko, wszystko. Niech nasze duchy będą jednością, niech połączeni, choć dalecy, zawsze nachyleni ku sobie, w Bogu, który nas zapoznał i spoił, ufni, wierzący w siebie i mający nadzieję w dzień spotkania, niech jedni, nierozdzielni idziem oboje po tej smutnej drodze, wspominając niebo i nadziejąc się w niebo. Nadzieja to cnota nierozdzielna od wiary i miłości, ale miłość wyższa, niż wszystko. Miłość niech trwa, a przepadnie świat.

I miłości pełny i miłością ku Tobie natchniony, miłością, co wszystko pokonywa, miłością, co wszystko przecierpi w imieniu Twojem, miłością świętą i anielską przepojony

[346]*p. Adam* — Mickiewicz. [przypis redakcyjny]
[347]*księżyc piołuniowy* — miesiąc poślubny. [przypis redakcyjny]
[348]*list od Augusta* — Augusta Cieszkowskiego. [przypis redakcyjny]

idę na męki straszne, na życie wśród ciemności, na płacz i zgrzytanie, idę ciałem, ale duch mój zawraca, duch mój stąpa ku Tobie, duch mój z Tobą, tam gdzieś Ty. Myśl, że nie ma chwili, w której o Tobie nie myślę, każda chwila czasu jednem uderzeniem serca mego ku Tobie, jednem wyrywaniem się duszy mojej do Ciebie. Nie licz dni już odtąd na godziny i minuty, ale na tęsknoty i żale moje, a gdy wieczorem kładniesz się na spoczynek, pomyśl: „Tyle a tyle jego łez dziś upłynęło, a każda płynęła w stronę moją i to się dniem jego nazywa".

W Bogu i przed Bogiem Twój jestem teraz i na wieki. Co Pan połączył w duchu jednym, tego ludzie nie rozplączą. Mogę umrzeć, ale nie przestać być Tobie, czem byłem od chwili, w której nasze zapoznały się dusze i, wiedząc, że się znały dawniej i że w wieczności się razem zleją, pobiegły ku sobie, jak dawne znajome, jak przyszłe siostry na wieki wieków.

Tak mi Bóg dopomóż na ziemi, a kiedyś za grobem! Do obaczenia!

Twój nieszczęśliwy

215. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

1843, 25 augusta, Opinogóra

Dzięków Ci błogosławczych tysiąc, żeś był tu — i za te godziny, przebyte razem na cmentarzu. Niegdyś z Termów Karakalli patrzaliśmy na podobnie widnokrężną równinę — ale i Tobie, i mnie lepiej było wtedy. Możesz wierzyć, Auguście, że dołożę starania pilnego, by 15-go października stanąć w Wierzenicy — dasz mi tam pokój i spokój — i będziesz dobrodziejem moim.

Śni mi się Wierzenica teraz, jak Nicea dawniej — wyrywam się ku niej, wyciągam ramiona. Gdy odjeżdżać będę, wezmę trochę piasku jej na pamiątkę. Do obaczenia więc! Raz jeszcze Cię ściskam i z głębi serca dziękuję.

Twój na zawsze

216. DO DELFINY POTOCKIEJ

27-go augusta 1843, Opinogóra, 10-ta w wieczór

W tej chwili odbieram sztafetę od ojca. Wczoraj umarł p. Branicki[349], po obiedzie u Sapiehy apopleksją rażony; już go Eliza nie zastała dziś rano, gdy z ojcem moim przyjechała. Muszę więc zaraz jechać do Warszawy. Ojciec mnie wzywa, ale tu wrócę za dni kilka. Tak mi się nie chce jechać, że strach. Biedny człowiek, zawczoraj jadł obiad z ojcem moim, był zdrów, tylko smutny — jutro na pogrzeb przyjadę. List ten zaraz za przyjazdem rzucę na pocztę.

Odebrałem list od poczciwej księżnej Lubomirskiej — od tej samej, co mi ten nasz pierścionek dała. Ani powinszowań, ani nawet wzmianki o wszystkim co się stało w tym liście nie ma, tylko przesyła mi tę modlitewkę św. Bernarda do Najśw. Panny. Za to mi ona drogą jest, że tak delikatnie przysłana, a że mi droga jest, więc posyłam ją Tobie; włóż ją do książki czerwonej!

Konie zaprzągnięte. Czeka mnie jutro płacz i lament, a serca nawet do tego nie czuję w piersiach. Módl się za mną, bom znękany, jakbym sto lat życia dźwigał na plecach, i zazdroszczę temu, co wczoraj świat ten pożegnał i dziś już spokojny jest. Raz jeszcze dziś odczytałem te dwa Twe listy i tak mi się tęskno zrobiło, żem myślał, że zemdleję. Jeden dzień tylko dobry miałem, tj. dzisiejszy przed odebraniem tej wiadomości — niedługo trwał.

[349] *p. Branicki* — teść poety. [przypis redakcyjny]

Módl się za mną, bo mi coraz gorzej! Możesz sobie wyobrazić, co się dzieje we mnie. Ja nic udawać nie umiem, ja nawet cieszyć nikogo nie potrafię. Módl się za mną, proszę Cię! Do obaczenia.

Twój teraz i na wieki Z.

217. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

Warszawa, 1843, 2-go septembra

Drogi Auguście! Może już słyszałeś, że Branicki 26-go sierpnia, wróciwszy na noc spokojnie i zdrowo do domu, w nocy przebudził się i skonał z pęknienia żyłki jednej w mózgu; owoż to mnie sprowadziło tu i zmusiło przytomnym być obrzędom rozlicznym pogrzebowym. Straszny ból odezwał się w córce — bliski zupełnego obłąkania. By ją wyrwać z tego stanu, za trzy dni wywożę ją stąd nazad do Opinogóry, potem jadę do Knyszyna, a 15-go oktobris[350] będę w Wierzenicy.

Wzdycham do Wierzenicy całą serca tęsknotą. Więcej nie piszę, bo cóż nada[351] pisać?

Najwyższym mistrzem ceremonii na tym świecie, to próżność i rozsądek, każden z osobna lub zjednoczone razem. Chorujem, my, wszyscy ludzie dzisiejsi, na przemianę litery — strach, ile litery po świecie — masy, ogromy jej — wszystko literalnie, nic żywotnie się nie odbywa.

Dzięki Ci składam za porobienie moich tu sprawunków, a czulsze jeszcze wkrótce, przyciskając Cię do serca, Ci złożę.

Twój in aeternum[352]

218. DO DELFINY POTOCKIEJ

14 sept[embra] 1843, Opinogóra

Aniele mój! Wczoraj pisałem pod kopertą Rotszylda do Ciebie. Czekam na kogokolwiek, coby jechał z miasta, może mi co od Ciebie przywiezie; już 7 dni, jak nic nie mam do Ciebie. Pani Arturowa[353] tu wciąż, całe dni siedzi z siostrzenicą i o zmarłym mówią, więc mi lżej, bo ja całe dni to u siebie siedzę, to w polu, a gdy pójdę w pole, nogi ni ochota nie służą, więc psy puszczam, strzelca puszczam, sam się kładę pod drzewem lub kamieniem, bo rzadko drzewa na tych błoniach, albo, jeślim bliski Chrzanowa, zachodzę do tego Kocha, o którym Ci mówiłem, i tam kładę się na kanapę, trochę z nim pogadam o Napoleonie, potem umilkam i czekam zamyślony, aż słońce rozczerwieni się na szybach okien. Gdy widzę, że już na dobre zachodzi, wybieram się z powrotem, siadam w bryczkę, każę tęgo pędzić, skaczę pod gwiazdy i opadam w przepaść siana, wreszcie przyjeżdżam, u siebie jeszcze bałamucę, jak mogę, potem idę do salonu. Tam z tymi damy i ojcem siedzę, jak mruk, ubrany w kaftan nicejski i grenoblową burkę, bo już zimno, i tak do 10-tej, do 10½, a potem odprowadzam tę pannę ze dworku, gdzie mój ojciec, do zamku gotyckiego, gdzie ona mieszka — wtedy to rzadko się obejdzie bez gorzkiego uśmiechu lub łez moich. Nic odpowiedzieć innego nie mogę na jej się zapytania, czy admiracje, czy naiwności, czy oświadczenia, i dobranoc jej powiadam i odchodzę sobie, a gdy przyjdę do mego pokoju i zamknę się i zapalę cygaro i przez okno spojrzę w noc tę wielką, co mnie otacza, wtedy to wołam na Ciebie i przypomina mi się ta straszna strofa, zawierająca proroctwo straszne, którąm kiedyś Ci napisał, pamiętasz?

I dla mnie rozdział jest godłem kochania,
Bom ile razy w życiu nienawidził,

[350] *oktobris* — października. [przypis edytorski]
[351] *nada* (z ros.) — wolno. [przypis edytorski]
[352] *in aeternum* (łac.) — na wieczność. [przypis redakcyjny]
[353] *Pani Arturowa* — Zofia z Branickich Arturowa Potocka. [przypis redakcyjny]

Los ze mnie wtedy połączeniem szydził, —
I, gdziem przeklinał, nie było rozstania.

Straszne to wiersze, straszna to *divination poétique*[354]. Czyż podobnie aż do *bottomless perdition*[355] wszystko mi się sprawdzi? Podobno, że tak! O, módl się za mną, módl się, Ty, co jedna już na świecie znasz mnie, jakby anioł sędzia, i nie admirujesz mnie, ale wiesz, co dobrego i złego we mnie! Ty, na której sądzie więcej polegam, niż na wszystkich ludzi zdaniu, Ty, coś pełną goryczy, powagi i godności i wdzięku surowego, głębokiego, nadanego Ci przez cierpienie, rozum, serce i natchnienie, połączone razem, Ty, wśród kobiet jedyna i wielmożna duchem, Ty, przed którą czułem się nieraz małym, tak, jak przed Konstantym, choć nigdy przed innymi tego uczucia nie doznałem, Ty, której nic nie zwiedzie, nie przekona, o, módl się za mną!

Za tydzień zapewne pojadę do Knyszyna, tam przez 15 dni nie będę listów miał od Ciebie, bo się lękam, by nie zginęły. Dopiero za powrotem do Opinogóry je znajdę, a 12-go oktobra wyruszę do Wierzenicy. Z dni 10 tam bawić będę i robić interesa majątków moich pruskich, które są bardzo rozgałęzione i zagmatwane. Koło 19-go nowembra będę nazad w Warszawie, i zacznie się ta zima, może ostatnia moja zima na ziemi, bo czuję, czuję, że pękła sprężyna wnętrzna życia mego! A jeśli nie ostatnia, to wieczna przynajmniej, bo wiosny po niej już nie upatruję, chyba, że zdołam ku Nicei jak ptak polecieć — oh, to byłoby wiosną, wiosną, wiosną! Odżyłbym, odtrupiałbym. Nikt mnie nie rozumie, nikt nie pojmie, nikt nie wie, co się we mnie dzieje, czego mi potrzeba, by nie umrzeć. Przebaczam wszystkim, ale sobie nie przebaczę nigdy. Do obaczenia! Twój teraz i na wieki

Z.

219. DO DELFINY POTOCKIEJ

Opinogóra, 1843 12-go oktobra

„*Malheur à la mère qui*", — tak mi się trzęsie ręka, że ledwie pisać mogę, — „*Malheur à votre mère qui vous a mis au monde, malheur à moi qui vous ai engendré, malheur à la femme qui vous a épousé, — malheur à vous-même*[356]". Dopiero co takie słowa słyszałem od ojca — już od kilku dni zbierała się burza. Wczoraj przed Elizą mi powiedział: „*Vous êtes un egoiste qui, pour cuire son oeuf, brulerait la maison de son meilleur ami*[357]. Jam tylko tymi słowy odpowiedział: „Czy papa w sumieniu swoim o tym przekonany?"; „Przekonany" odparł mi. „Więc nasze zdania się różnią" rzekłem wtedy. Rozgniewany, wyszedł i położył się w łóżko i dzień cały leżał. Dziś rano poszedłem do niego. Oskarżał mnie o niesłychane rzeczy, z czego wypada wszystkiego, żem lord Byron, szelma, gałgan, bez serca, kiep fizycznie i moralnie, a w końcu frazes, przytoczony na początku, mi powiedział. Lecz niesprawiedliwym byłbym, gdybym zostawił Ci najleksze dorozumienie, że do tego w czymkolwiek ta panna[358] się przykłada. Owszem, za to prawie znienawidziła mego ojca. Wczoraj jeszcze jej tłumaczyłem, bo żądała koniecznie tego, że nie mogę jej kochać, że są chwile, w których nawet ona mi piekielne sprawia wrażenie i ból nieskończony, i że łzy moje te częste od niej pochodzą, — że nigdy nie myślałem, by w niej było uczucie najmniejsze ku mnie, iż sądziłem, że chce uwolnić się od Freg[359]., — nic mniej ani więcej. Wtedy smutną się stała i obiecała, że odtąd będzie starała się być dla mnie tylko, jakby być mogła stara, 80-cioletnia panna, a dziś po tej scenie oznajmiła mi, iż doskonale rozumie, iż mnie jest nieznośną i że była, choć mimo woli, mego życia całego

[354]*divination poétique* (fr.) — proroctwo poetyckie. [przypis redakcyjny]
[355]*bottomless perdition* (ang.) — zupełna zguba. [przypis redakcyjny]
[356]*Malheur à votre mère qui vous a mis au monde (…) vous-même* (fr.) — Przekleństwo twej matce, która cię wydała na świat, przekleństwo mnie, który cię spłodziłem, przekleństwo kobiecie, która cię poślubiła, przekleństwo tobie samemu. [przypis redakcyjny]
[357]*Vous êtes un egoiste qui, pour cuire son oeuf, brulerait la maison de son meilleur ami* (fr.) — Jesteś egoistą, który, aby upiec swą pieczeń, gotów spalić dom najlepszego swego przyjaciela. [przypis redakcyjny]
[358]*ta panna* — żona poety. [przypis redakcyjny]
[359]*Freg.* — Fregata; tak nazywa poeta stale swą, teściową. [przypis redakcyjny]

nieszczęściem, że prosi mnie tylko o to, bym ostatecznie jej nie znienawidził i bym jak najprędzej do Prus jechał i tam odpoczął. Piszę Ci te wszystkie szczegóły, Dialy droga, tylko na to, byś wiedziała, w jakim ja położeniu, jak się życie moje odbywa, i z jednego dnia pobytu mego tutaj domyśliła się innych wszystkich. Rzeczywiście, dziś, słysząc, co mi ojciec mówił, tylko żal głęboki mi się jego robił, bo zdawało mi się, że w obłąkaniu mówi.

Co to za zima będzie, co to za zima! W końcu końców ta panna szlachetną jest istotą! Co za szał ją ogarnął, że chciała, chciała, chciała mimo wszystkie przestrogi i moje, i cudze, to zrobić, co zrobiła! Nic mi nie pozostanie, tylko względem niej być szlachetnym zawsze najszlachetniej, a co do serca, wie ona dobrze, że nigdy mojego nie może mieć i już przystała na to; serce raz się daje, nigdy więcej. Bóg widzi, że ten raz jeden, raz ten uroczysty, wiążący duchy na zawsze, stał się już dla mnie, stał się i trwa na wieki! Jeszcze czasu trzeba, czasu męki pewnego, nim znękany i osłabły i już konający przetnę to położenie. Konanie jest olbrzymią siłą, rozpacz jest potęgą, bo śmierć za nią przybywa, albo wraca życie! A śmierć jest dobrem, i życie jest dobrem, oba to dary boże! Tylko wahanie się między jednem a drugiem jest męczarnią! O moja Dialy, mój drogi aniele, biedny ja bardzo, lecz czasami śród najgłębszej rozpaczy staje się na chwilę poważnie i mądrze w duchu moim i wtedy z tej chwilki, jak z ganku, zawieszonego zewnątrz rzeczywistości dni moich, patrzę okiem umarłego już a wiele wiedzącego na cały żywot mój, i czuję, widzę, wiem, że tylko przy Tobie byłem istnie szczęśliwy i nim być mogę! Bo Ciebie ukochałem całym sercem i umysłem moim, przywiązałem się do Ciebie, jak do domu jakiego nieziemskiego, w którym na zawsze słodko i dobrze było. Co mi inni wszyscy dać mogą? Nic, żeby najpotężniejsi, to jeszcze nic, bo od nikogo nic nie żądam, nic nie przyjmę, nic nie chcę. Ty tylko możesz mi wszystko dać, tak, wszystko, boś dla mnie wszystkiem, bo kocham Ciebie! Bo razem chadzali my po drogach życia, bo razem byliśmy młodzi oboje, natchnieni, niebiescy! I nie w mocy już niczyjej na ziemi stworzyć sobie ze mną tę przeszłość, którąśmy razem mieli! Nie tylko serdecznie, uczuciowo, ale i logicznie, koniecznie, nieubłaganie przywiązanym do Ciebie. Jak zasługa po czynie dopełnionym, tak konieczną jest miłość moja! Jest, bo jest, bo musi być! Kto akord potrafi złożyć z innych nut od tych, które ten właśnie akord składają? Kto zdoła uczynić, by cztery nie następowało po 3-ech i nie składało się z dwóch do dwóch dodanych? Taką liczbą, takim akordem jest to, co na wieki połączyło mego ducha z Twoim!

Dokończę listu tego w Toruniu pojutrze.

Toruń, 14-go oktobra. Wyjechałem o 11-tej wczoraj, a tu o 3-ej z południa stanąłem, dopiero co. Drogi, o których straciłaś wyobrażenie! Kocz nieśmiertelny prawdziwie dowodzi nadziemskiej siły swojej; że nie pęka co chwila, to cud. Niektóre kawałki drogi z Uriage do Vizille, tam, gdzie zsiadałaś z Orciem, podnieś do potęgi setnej, pomnóż przez tysiąc razy, a będziesz miała owe piaski, błota, kamienie i korzenie, po których się tłukę od trzydziestu godzin. Po skończeniu listu tego pojadę dalej, jutro wieczorem zapewne stanę w Wierzenicy.

Stąd temu dwa miesiące, dzień w dzień, pisałem w nocy do Ciebie, a było to w miesiąc po pożegnaniu się w Sens! Więc jutro trzy miesiące mija. Bóg świadkiem, że rzadko człowiek na ziemi nieszczęśliwszym był ode mnie przez ten cały przeciąg czasu. Boże Wielki! Od 15-go lipca przez cóż ja nie przeszedłem? Gdy spojrzę na te dni wszystkie, zda mi się, że piekło otwarte widzę przed sobą. Zda mi się, że to nie sposób, bym dotąd żył. Czemuż ani śmierć, ani nerwowa gorączka, ani mózgu zapalenie lub serca dotąd mnie nie odwiedziło? Straszną walką walczę przeciw rzeczywistości od trzech miesięcy — od wieków trzech, bo te trzy miesiące wydają mi się nieskończonością cierpienia! Walczę z ojcem, który by chciał, bym przynajmniej udawał, tj. *que je garde certaines convenances*[360], przeciwko tej pannie walczę, która prosi się przynajmniej o bez-wstręt, o jakąkolwiek przychylność, a ja dać jej nie mogę, nic dać, prócz łez i konwulsji i przekleństwa, jeśli nie głośnych, to buchających z ócz mi wzrokiem, z ust jękami; walczę przeciw światu, który ogłasza, że źle robię i w cnocie swojej mnie potępia w Warszawie, lub też plotki zbiera, mnoży, wynajduje, i nimi puginałuje mego ojca, skoro do Warszawy przybędzie. Tak, zewsząd

[360]*que je garde certaines convenances* (fr.) — żebym zachowywał przyjęte formy towarzyskie. [przypis redakcyjny]

tylko biję się, biję na zewnątrz, a rozdzieram się wewnątrz, tym wewnątrz, żem daleki od Ciebie. Nic bym nie żądał na świecie tylko procentu z 40 000 fr. na rok i chaty w Nicei i oglądania Ciebie co dzień, nic więcej, nic więcej już nie żąda ten, który tylekroć tyle żądał, śnił, chciał! Wszystko, prócz serca, jest kłamstwem, goryczą, trudem, konaniem! Gdzie serca nie ma, tam nic nie ma, choćby wszystko na pozór było, a gdzie sercu zadość się dzieje, tam niczego więcej nie potrzeba. Powiadam Ci, te trzy miesiące wydają mi się piekłem. I co będzie dalej? Kto pierwszy padnie ofiarą tej walki strasznej? Czuję, że ja, bo sił mniej co dzień, a co dzień więcej rozpaczy, wstrętu, bólu, nudy, braku życia! Żyję tylko w przeszłości, i nic, nic, nic już iskry żadnej nie obudzą we mnie, obalonym i zdeptanym! O, wierz mnie, Tobie lepiej, niż mnie, Ty sama jesteś!

Otom wyrwał się na dni kilkanaście, by wytchnąć, by odpocząć, ale ściga mnie to wszystko, do czego będę musiał wrócić, rozdłużyłem tylko trochę łańcuch mój. O, gdyby przynajmniej na miesiąc mnie byli dali paszport, kto wie, czybym nie był poleciał do Melun? Temu rok w Nicei byliśmy, temu dwa dni, jak byłem przyjechał z Genui, piechotą chodziliśmy po tych łączkach zielonych za domem, a dziś co? Oto Toruń zamiast Genui, chmury zamiast słońca, rozpacz zamiast Ciebie. Ty obaczysz, ja niedługo pożyję już, może to zima ostatnia moja, bo i nie chcę żyć, nie chcę! W tych dniach, przewracając stare, odwieczne papiery, znalazłem ten maleńki kajeciczek, który pisałem, mając lat 6. Wziąłem go i ślę go Tobie, bo wiem, że Cię roztkliwi serce Siżysa sześcioletnie, bonę swoją kochające i dedykujące jej *un conte de Fée*[361] — ortografia Cię zabawi. Czasem zabawnie widzieć, od czego się poczynało to, co znamy rozwiniętem i dopełnionem już. Około tychże samych czasów tańcowałem z Tobą! Augustowi zaś oddam dla Ciebie *Listy z Krakowa*[362] (tom 1), estetykę podług wyobrażeń niemieckich dzisiejszych zawierające, pięknie pisane, czasem za szumno, ale za to znów czasem doskonale. — Kazanie Trynkowskiego, Życie Kaliksty, moje kawałki angielskie i francuskie z Genewy, z „Biblioteki Warszawskiej" Libelta, znakomitego pisarza z Poznania, o Literaturze niemieckiej. Da Ci to wyobrażenie ruchu umysłowego w tej stronie Polski, zobaczysz, że rośniemy. Wiele jeszcze do żądania, bo mniej więcej estetyka na przykład cała ta jest naśladowaniem heglowskich teoryj, wszakże przy tym religijności pełna, co ją stawia wyżej od Niemców i barwę polską jej nadaje. Wszędzie, gdzie byłem od dwóch miesięcy, w Koronie i na Litwie, szukałem coś takiego, czem bym mógł obarczyć Augusta[363] dla Ciebie; śniło mi się o futrze jakiem lekkim i ciepłem, coby zdało się Tobie w zimie, ale nigdzie nic nie znalazłem w tych puszczach, po których siedziałem, wilczury albo kożuchy, nic innego nie było; już chciałem kaszy Ci posłać, to znów kukurydzy, to znów kamyczków z pola, bo nic, nic innego nie było!

Tak, tak, temu dwa miesiące tędy przejeżdżałem. Jak mi sił stało tu powrócić? Co mnie utrzymało przy życiu? Pewno nie miłość życia. Zapewne to, że znów ujrzę Ciebie. Dziwna rzecz: skoro wyjadę od tej panny, staje się ona dla mnie, jakoby nigdy nie istniała, nigdy, aż znów ją obaczę, nie przychodzi mi myśleć o niej, czuję tylko w piersiach głuchą rozpacz ciągłą, bo moja dusza wie, że tam ona jest, gdziem ją zostawił, i że wrócić trzeba do tego miejsca. Lecz o niej samej, jako o istocie żywej, nic nie wiem. Tak i teraz, cały jestem w Sens, w Aix, Grenoble, Uriage, Paryżu. Wszystkie godziny drogi, w dzień, czy w nocy, upływają mi na fantasmagorii snujących się miejsc, nam wspólnych. Ciebie widzę i słyszę wciąż. Ileż to razy powtarzam wszystkie poczty nasze, lub daty, czasem wypadające z pamięci, chwytam nazad i stawiam w sercu! Wczoraj wziąłem „Debaty[364]" z sobą na drogę i czytając, że Nemury[365] były u Najśw. Panny de Fourvières, rozpłakałem się w koczu. Prawie nigdy „Debatów" bez łez w oczach nie mogę czytać, to faktum, bo zaraz śnią mi się Champs Elisées lub Mathurins itd., itd. Łączę tu nowy anons autora *Prodromu*. Racz książkę tę przeczytać i zdanie mi o niej, o ile będzie można, powiedzieć. Podobno w całych Włoszech bandy polityczno-rozbójnicze, — nawet w Sardynii; — gdyby to potrwać miało, to odwlecz wyjazd do Nicei. P. Amorowski[366] żałował, że mnie

[361]*un conte de Fée* (fr.) — baśń o wróżce. [przypis redakcyjny]
[362]*Listy z Krakowa* — dzieło Kremera. [przypis redakcyjny]
[363]*czem bym mógł obarczyć Augusta* — Cieszkowskiego. [przypis redakcyjny]
[364]*Debaty* — „Journal des Debats", wielki dziennik paryski, założony w r. 1789. [przypis redakcyjny]
[365]*Nemury* — Ks. de Nemours, drugi syn Ludwika Filipa. [przypis redakcyjny]
[366]*p. Amorowski* — car Mikołaj. [przypis redakcyjny]

nie widział, i pojechał do dóbr swoich; mnie także bardzo żal, ale cóż robić? O! Twoja perła czarna, Twoja perła, jakże piękna i smętna! Już ją nosić będę zawsze teraz, choć w podróży, mam ją na chustce. O aniele mój, aniele, wszak Ty często myślisz o mnie? Wszak często przed Chrystusem modlisz się za mnie? Wszak Ty wiesz, o ilem nieszczęśliwy, i za to przebaczyłaś mi łez Twoich wiele? Całuję stopy z brązu Chrystusa, przed którym wespół z Tobą w Aix klęczałem 24-go czerwca w wieczór. Powiedz mi, wszak Orcianki nie rzuciłaś ubogim, wszak ją zachowałaś na pamiątkę najuboższego z ubogich, bo dalekiego od Ciebie? Ręce i stopy Twoje oblewam łzami. Kocham Cię, kocham, kocham, i teraz i na wieki Twój jestem. —

Biedny Zyg.

220. DO DELFINY POTOCKIEJ

16-go now[embra], 9-ta w wieczór, 1843, Warsz[awa]

Aniele mój! Jakby o 12-stej w nocy pusto i cicho w domu, dobra chwila, rozjechali się wszyscy, panna do chorego brata, mój ojciec do Sapieżyny, mnie na dziś był zaprosił Jan[367] na wieczór — byłem się obiecał, ma grać u niego jakiś młody człowiek, zapowiadający talent, lisztowskiemu równy. Obiecałem więc, że będę, ale w chwili pójścia przypomniałem sobie, jak Dysza z takich wydobywa się trudności, osobliwie za moją poradą. Siadłem więc do stolika i napisałem bilecik, podobny tym, co krążyły między Geoffroy a domem Meszczerskich lub pani Bonghem, wymówiłem się bólem głowy, a to nie kłamstwo, bo szalenie boli. Mój Boże! Na grę fortepianową mnie zaprosili, — na muzykę, — nie wiedzą ludzie, że teraz dla mnie usłyszeć akord jeden, mistrzowską ręką z nut wydobyty, tyle, co rozbeczeć się i nerwowym atakiem rozśmieszyć przytomną publiczność. A potem wydaje mi się świętokradztwem nakłonić ucho do dźwięków, nie z Twoich ust, lub nie z pod palców Twoich wznoszących się. Zatem, gdy inni pojechali sobie, myśląc, że ja to samo uczynię, uczułem się panem w puszczy, przyszedłem do mojej ciemnozielonej jaskini, odsłoniłem białe widmo i postawiłem je przed sobą między dwiema świecami, jakby włoską Madonnę, i piszę do Ciebie, patrząc w ono widmo ukochane, piękne nad pięknemi. Nie znaleźć na planecie całym obrazu, który by bardziej czarodziejskie i czarnoksięskie na mnie wywierał wrażenie; to nie płótno, nie farby, to życie jakieś z poza świata, w „bożostanie" swoim, jak mówi Trentowski, pojęte i przedstawione. Jakażeś Ty blada w tej chwili, i jak dziwnie błękitnieją mgły wkoło Ciebie — dziwnie, smętno a ślicznie, cudnie błękitne, choć to nie szafir neapolitański, ale raczej niebo księżycowe, które duchy otacza. Włosy długie, ciemne, z niesłychaną, z arcydzielną powagą spływają Ci na ramiona, szaty Twoje z śniegu, przyprószonego przejrzystością powietrza, mglaną niebieskością. Lica blade, bardzo blade, bosko blade, a oczy obrócone ku mnie, pełne dumy, wyniosłości, natchnienia. Zdajesz się wyższa ode mnie stokroć, litować się nad nędzą moją. O Dialy, uklęknę przed tym widmem białym, przed Tobą. Dziwny to obraz. Nie rwą się k'niemu oczy śmiało, ale spuszczone, ni usta, by pocałunek choćby pokoju złożyć mu na czole, nie, ale duch cały rad by się wyspowiadać z wszystkich grzechów i nikczemności przed nim, rad by błagać o litość, o przebaczenie, i zawołać wreszcie: „O Pani moja, prowadź mnie w nieskończoność". Ideał to zupełny, lecz zarazem nic nie może być podobniejszego do Ciebie. Twój chód, Twoje rysy, postawa, te same fałdy, co na sukniach Twoich, — kto by zgadł, że to pędzel angielski tę Beatryczę malował? Coś dantejskiego żyje i panuje w tym obrazie; ja Ci mówię, mówię, że chce mi się uklęknąć przed nim, przed Tobą! Oto mi piękność prawdziwa, ledwo że obleczona w cielesny kształt, a jednak widoma, dotkliwa, rzeczywista, innej piękności duch ni sztuka nie znają, znieść nie mogą. Wszystkie rubensady przy tem to trupy bez duszy, a to dusza prawdziwa: jest kształt cielesny, nie ma ciała koło niej! Ileż już ten obraz rozlał pociechy nad smętkiem dni moich, w rozlicznych okolicznościach, — ileż to razy mnie natchnął, pokrzepił, rzucił mi do pustej piersi ducha jakiegoś, do wyschłego serca świeżą

[367] *Jan* — Jan Zamoyski. [przypis redakcyjny]

i wonną rosę odmłodnienia! Jemum winien, żem z Tobą jeszcze, choć nie przy Tobie, jemu, że, gdy mgłą zachodzą najszlachetniejsze władze umysłu mego, skoro go ujrzę, aliści znów czuję, wiem, widzę, pojmuję, co ideał i to najwyższy, bo powtarzam, w tej postaci jest coś podobnego do owej surowości, wielmożności i czystości, którą znawcy czują, gdy słyszą wielkie, kościelne symfonie. Oto *Requiem* Mozarta i ta struga światła muzycznego, bijąca w kierunku Boga, w górę, z *Westalki* nasuwają mi się na myśl. Ta sama prostota, niepokalaność, czystość, pycha potęgi i piękności uderzają na mnie z tego obrazu — a idąc za tą postacią, czuję się nie przykutym, choć ciągnionym, bo nie żadna ziemskość mnie oplata, dusi, gniecie, ale duch wolny mnie porywa, i, lecąc za nim, nie przestaję być także duchem wolnym! Co to jest jednak prawdziwa piękność! Jaka jej wszechmoc! Jak pierś napełnia! Jak podbija skrzydłami ramiona! Jak poi nektarem i zdaje się wszystko, co twarde i okrutne, przeistaczać na chwilę w sen boski, w życie wieczne! Od wielu dni takiej chwili nie doznałem; dzięki Tobie, żeś mnie ją dała, dzięki Tobie i obrazowi Twemu, który niczem byłby bez Ciebie, on z Ciebie wyrósł, on Tobą, on tym, co wiecznem w Tobie, wdziękiem i duchem Twoim! Więc raz jeszcze dzięki Tobie, Dialy! Noc teraz, a czuję pierwszy słoneczny promień, ogrzewający mi pierś od czasu tyla, tyla, tyla! — Już pisać dalej nie mogę, — do jutra, — do jutra!

17-go now[embra]. Ah! Boże, za jednę taką godzinę wzniesienia się, ileż to innych zatrutych, zagorzkowanych. Nic koło siebie nie widzę prócz ślepych instynktów zwierzęcych lub podłości lub głębokiego głupstwa w ludziach. Rozmowy ich ciążą mi na powiekach, zamiary ich, choć ubrane frazesami, tylko do napełnienia kieszeni dążą, i kiedy obnażam je z tych strojów, naga tylko obrzydliwość zostaje.

Są straszne na tym planecie tajemnice, tkwiące w samym rdzeniu natury człowieczej; miałażby być istotnie przeklętą? Nie, ale oczyma ducha, gdy zapatrzym się w obiecaną Doskonałość i Piękność, którą także jako cel nasz ostateczny i dzisiaj już w sobie nosim, obecna niedoskonałość i brzydota, przez porównanie, przekleństwem nam się wydają, nie harmonia, dysonanse same brzmią nam w uszach, a w głębi ducha brzmi oddalona muzyka, co kiedyś spoić ma wszystkie dźwięki, więc ciągłym rozstrojem, rozdarciem się czuć musimy. Gdy myślim, nie tak jest, bo myślą możem wyrwać się z obecności, możem ją odrzucić i tylko całość, tylko niebo pojąć i usprawiedliwić wszystkie ścieżki Pańskie, lecz, gdy czujem, czuć możem tylko tę falę, która nam skacze do serca, to ostrze, które nam piersi rani, ten kolec, który nam w tej, a tej chwili stopy rozkrwawia, więc choćby w myśli i pojęciu najwspanialej było, może w czuciu być piekło, i czucie może dotykać się przekleństwa, mimo to, że myśl wie o ogólnem błogosławieństwie, łączącem ludzkość z Ojcem jej niebieskim. O, serce to dziedzina zarazem i raju i czyśćca i piekła, — przez cały ciąg żywota ono pielgrzymuje z jednego w drugie i trzecie i zawraca nazad i znów zapada w głąb. Jedna tylko moc je zbawić może, moc wielkiej, niezłomnej, świętej miłości, wyjętej już z pod praw ślepych i namiętnych doczesnej ziemskości i przeniesionej pod prawa Wiecznego Piękna, Nieskazitelnego Ideału. Taką miłość wczoraj Ci wyraziłem, patrząc w postać białą Twoją, taka miłość na wieki mnie kojarzy z Tobą, nikt do niej nie dochodzi bez przejścia wprzódy przez wszystkie drogi doczesne, nikt się nie wznosi do ideału, kto nie był w raju, a z raju wraz z ukochaną nie wyszedł i nie skosztował goryczy z pucharu żywota. Bo ideał, to koniec, to korona, to najwyższy, ostatni szczebel dla człowieka, choć pierwszym jest dla Boga. Kto pojął ideał, kto doszedł do niego, kto ukochał w ideale drugą istotę bliźnią sobie na ziemi, tego już żadne ułudy ziemskie nie poruszą, żadne ponęty nie przyciągną! Pod postacią kochanej wieczność w nim żyje i ta wieczność zarazem mu bronią i puklerzem! Lecz za tem spokój nie idzie, bo kto rozdzielony od wieczności swojej, ten wiecznie tęskni, za tem tylko idzie potęga i świętość i nienaruszalność miłości. *I knew the perfect Beauty and therefore I am alone on the earth*[368], to tylko na dzisiaj powiedzieć mogę. Wielkąm pogardą zdjęty ku wszystkim życia nikczemnościom, co się w kwiaty i blichtry i szychy stroją, — a wielką litością nad sobą samym, żem oderwan od tego, co pięknością mi nieskazitelną i nieskończonem przywiązaniem jest, od Ciebie! Bom z Tobą wstąpił już do nieba, już do krain Ducha, do krain Majestatu, z Tobąm już przeszedł życie, już owędrował wokół planetę i zostawił go pod sobą, za sobą. Takiej wędrówki

[368] *I knew the perfect Beauty and therefore I am alone on the earth* (ang.) — Poznałem doskonałą piękność i dlatego jestem samotny na ziemi. [przypis redakcyjny]

potrzeba, by poznać, co jest wiecznem, a doczesnem co, lecz drugi raz nikt jej nie odbywa na ziemi, chyba poliszynel lub błazen. Stąd zarazem i nieskończoność tęsknoty mojej i nieskończoność miłości mojej, bo kochać tylko rozumnie i serdecznie białą postać mogę, a z tą, którą kocham, nie jestem, ale Bóg da, że będę!

Ah, żebyś Ty wiedziała, jak kocham, jak kocham, tak, jak Rafael Madonny swoje, tak, jak Michał Anioł Boga, kiedy ostatni sonet swój pisał, tak jak Dant ową postać z światła, na najwyższych stropach niebios!

Słuchaj — wróćmy do zdarzeń pielgrzymki, bo i pielgrzymka święta, która dowiodła do takiej miłości. 6-go now. 1839 wszystkie gwiazdy paliły się na szafirze nieba, a śniegi widmiły się biało na skałach Splugenu, gdyśmy późnym wieczorem do la Spluga dojeżdżali. Dopiero 9-go w wieczór Mediolan nas powitał. W rok później, już od 3-ech dni w Rzymie byliśmy i konno przy ślicznej pogodzie z Wojewodą po Kampanii błądziliśmy, w rok jeszcze później, pokój Twój czerwienił się firankami, ogień palił się na kominku, dwunasta dobijała między 5-tym a 6-tym dniem tego samego miesiąca, a ja płakał, a Ty mówiła: „Nigdy nie ujrzę już Ciebie". Przeczucie to Twoje nie na mnie, ale na Konstantym biednym się sprawdziło. Działo się to w Melun, a jeszcze rok przydaj, oto Nicea, i Biribi pewno pod Tobą, i konna przejażdżka i pospiech, by na obiad trafić do Mamy.

Wszystkie szóste nowembra Ci wyliczyłem. — *The shiver of unhappiness*[369] równie w moich kościach, jak w Twoich; okropnie głowa mi się rozdziera, rozpada, kończę już, do obaczenia. Proszę Cię, ten list dwa razy przeczytaj i pomyśl, że w nim jest prawda święta. Niech wszystkie anioły Pańskie Cię strzegą. Zostań, zostań się i owszem, tem lepiej, listy prędzej dochodzić będą, zostań się, a z wiosną Rey ujrzysz, gdy porośnie rezeda!

Twój teraz i na wieki.

221. DO ADAMA SOŁTANA

(z Warszawy, pod koniec 1843)

Zdarza mi się sposobność przesłania Ci pamiątki po dwóch umarłych, co niegdyś żyli z nami razem. Gdy Otto Rajecki umarł w Nicei 1838 roku, wierny Grześ jego wrócił na Litwę i tu, w Warszawie, Konstantemu kij ten po panu odstąpił — odtąd Konstanty tej laski używał. Niechże Ci na pamiątkę po drogim nam wspólnie i dzielnym duchu będzie! Lepiej on, zaprawdę, zaprawdę uczynił: *Meliorem partem elegit*[370], odwrócił twarz od tej piramidy podłości, zwanej światem i odszedł! Jam się został i żyć muszę śród podłych.

Nie uwierzysz, zacny mój i ukochany, do jakiego stopnia poniżenia doszły tu serca; jak płyn, co w nich krąży, krwią już nie jest. Powiadam Ci, błogosławieni ci, którzy o głodzie wędrują po drogach bitych świata, błogosławieni, którzy jej na oczy nie oglądają swoje! Im może niewygodnie, ale za to godnie; im głód dokucza, ale nie hańba, wstyd; im nie przychodzi co dzień pogardy łzami krwawemi płakać nad gnijącemi gruzy serc ludzkich. Męczeństwo poniżenia jest najgorsze z męczeństw. Adamie mój! Ty mnie rozumiesz, nie mam co pisać dalej! Módlmy się tylko do Boga o to, by zwiał śmiecie podłości z dusz wielu — i Ducha Świętego tchnął w piersi żywe a umarłe, by przestały wierzyć, że dobro ciała ostatecznym jest celem na tym planecie!

Reszta rzeczy, które Ci przesyłam, niech się dostanie Czajce, do własnych rąk jego; dla niego to samego jest, więc tak uczyń, by on to dostał[371].

Pozdrowiłem Cię krótkim liścikiem i żegnam. Com Ci radził, pamiętaj przeczytać, przeczytaj, poznasz głos przyjaciela, daj Boże, by nie na puszczy wołający[372]. Pamiętaj o mnie, bo nieraz tu myślę o Tobie, ilekroć marzą mi się postacie pełne dumy, godności

[369] *The shiver of unhappiness* (ang.) — drżenie na myśl o nieszczęściach. [przypis redakcyjny]

[370] *meliorem partem elegit* (łac.) — wybrał lepszą część. [przypis redakcyjny]

[371] *Reszta rzeczy, które Ci przesyłam, niech się dostanie Czajce (…)* — sześćdziesiąt dukatów posłano Czajkowskiemu, na ręce księcia Adama w grudniu 1843 r. [przypis redakcyjny]

[372] *Com Ci radził, pamiętaj przeczytać, przeczytaj, poznasz głos przyjaciela, daj Boże, by nie na puszczy wołający — Przedświt.* [przypis redakcyjny]

i cnoty, z których czoła nie starło się piętno ducha onego, co ożywiał przeszłe wieki, i zwał się Duchem Rzeczypospolitej! *Vale et ama*[373].

222. DO DELFINY POTOCKIEJ.

23 dec[embra] 1843. Warsz[awa]

Consuelo[374]! Strach, jak mi smutno, smutno — smutno! Dopierom zapieczętował list do Ciebie i znów piszę, smutno mi, smutno. Tak mi samotnie, — tak mi nie u mnie. Niebo szare — nie takie było, gdyśmy wigilie razem jadali, biedni my oboje! Ten sztych, któren mi dziś przysłałaś, taki czarny, zda mi się, jakby to duchy nasze po śmierci patrzały na obraz ciemny, zamglony stron świetlanych, gdzieśmy bywali za życia. To nie Sassenage, to nie Aix na wiosnę, ale to czyściec jakiś, mający kształty Sassenażu, rysy Aixu, bez światła, i my tam oboje, jak za życia, Ty wyższa, Ty wysmukła, z kapelusikiem i suknią konną, ja niższy, ręką podpierający Ciebie, i patrzym na tę wodę tak bladą, na te wzgórza tak ciemne. Ale dobrze nam, bośmy razem, lepiej tysiąckroć, niż gdyby każden z osobna stał w okolicy nadobnej, gdzie pełno światła, a gdzie nie ma duszy jego. I w istocie zważ, czy tak nie z nami teraz? To, co moja fantazja tu kreśli i przenosi poza grób, czyż właśnie nie stanowi położenia obecnego naszego? Czyśmy nie razem, Consuelo? Strasznie się mylimy, gdy myślimy, żeśmy nie razem, tylko my nie w raju razem, my razem w czyśćcu, a czyśćca dla nas by nie było, gdybyśmy nie byli dalecy jeden od drugiego! Więc tem samem, że my nie razem w raju, jesteśmy razem w czyśćcu naszym. Kiedyś musimy być w niebie, bo żaden czyściec końcem nie jest, ni celem ostatecznym, tylko przejściem z raju do nieba, tak dla każdego, jak dla wszystkich, tak dla serca jednego, jak dla całej ludzkości. Lecz trzeba umieć przetrwać czyściec, bo, kto zwątpi, idąc przez pustynię, nie dojdzie jej końca i ziemi obiecanej nie obaczy. Wieczne to prawdy. Rozpacz jest konieczną w życiu, lecz i ze dna samego najgłębszej rozpaczy można się podnieść własną pracą, własną zasługą. Miłość właśnie jest tą potęgą, co cierpliwsza od złego i silniejsza od śmierci. Dla miłości próbą śmiertelną, próbą grobu, czyśćcem, pustynią, pracą, zasługą (bo te wszystkie wyrazy jedno znaczą), jest rozdział. Kto go przetrwa, ten wróci do połączeń nieba, i to na ziemi, tu, tu, gdzie był i raj jego serca i czyściec!

Tak piszę, a zbliża się noc, a zjadą się wkrótce goście i będzie wieczerza, lecz 23-go dziś, a nie 24-go, zważ na ten szczegół. Losowi wdzięcznym za niego. Jutro o prawdziwej rocznicy spotkania duchów naszych na ziemi sam jeden będę, a samotność dla mnie to Ty, bo pełna Ciebie, bo nigdy niczem nie zaludniona, tylko Tobą. Więc, o ile można być z kim, gdy się jest w czyśćcu, będę z Tobą jutro o 6-ej z wieczora.

24-go dec[embra]. Dziś więc św. Delfina. Neapol, Neapol, gdzie Neapol? Strach mnie chwyta, gdy wspomnę, żem mógł w takim żyć raju i nie umrzeć — nie umrzeć! Czy Ty widzisz tę wyspę Capri, ostatni raz widzianą przez nas oboje z wierzchołka Righi? Czy Ty ją widzisz, jak stoi na środku błękitów? O tej godzinie temu lat pięć patrzałem na nią, bezwiedny tego, co mnie wieczór spotkać miało. Stałem przed Vittorią długo, długo, — ciche morze jak spokojne szkło leżało. Smutno mi było, myślałem o śmierci tej biednej Rozpędowskiej[375], rozmaite widzenia ze snu dantejskiego wiły mi się po głowie. Byłem bez przeszłości i bez przyszłości, zobojętniony, znudzony, jednak jeszcze pełen życia, nie domyśliwałem się, że za godzin kilka przyszłość cała moja rozstrzygnie się, że spotkam istotę, bez której żyć, czy w szczęściu, czy w nieszczęściu, czy w przytomności, czy w rozdziele, już nie potrafię nigdy. Że spotkam duszę mi przeznaczoną, z którą wszystkie losy moje przedgrobowe i pogrobowe odbyć się będą musiały. Że spotkam biegun ducha mego drugi, połowę konieczną i dopełniającą mnie samego, z którą układać się będę do jedności i spójni przez lata, przez stany wszystkie mego ja, przez wieki, na tym planecie i na innych. Pamiętam, żadnym sposobem jechać nie chciałem do Palazzo Valle. Wahałem się instynktowo, jakby duch mój się lękał tej chwili uroczystej, która miała zawrzeć w sobie wszystką przyszłość serca mego. Dopiero uproszony pół-gniewnym smutkiem ojca, poszedłem się ubrać i wstąpiłem do powozu z nim, z strasznem

[373] *Vale et ama* (łac.) — bądź zdrów [a. zdrowa] i kochaj. [przypis redakcyjny]
[374] *Consuelo* — bohater powieści pani George Sand pod tymże tytułem. [przypis redakcyjny]
[375] *Rozpędowska* — panna respektowa matki poety. [przypis redakcyjny]

biciem serca; wiedziało, wiedziało dobrze serce, czemu bije. Już nigdy na ziemi tak bić nie miało na progach edeńskich. Chyba podobnie uderzy, gdy do nieba zbliżać się będzie, gdy, wygnane, powróci do domu. Kto nie doznał wspólnych, wszystkich naszych losów, ten nie wie, co miłość, ten nie domyśla się, co to kochać. Kto tysiąc razy rozdarty, przebity, konający, tysiąc razy nie ożył, nie wrócił, nie odzyskał szczęścia i znów go nie stracił, kto nie doznał wszystkich najtajemniejszych natchnień namiętności i najświętszych uniesień przywiązania, kto nie ryczał, jak lew wściekły, i nie płakał zaraz potem, jak dziecię, jak anioł niebieski, kto nie przebył wszystkich okręgów zdarzeń i uczuć, a zawsze jedną myślą, ideą, miłością wiedziony, — kto w najrozmaitszych położeniach, okolicach, smutkach i weselach nie kochał zawsze równie, zawsze tak samo, z woli i mimo woli zarazem, z natchnienia i z rozumu zarazem, jeden i ten sam wiecznie sercem, choć różny chorobą, nerwami, okolicznościami, różny ciałem i duszą, lecz duchem zawsze ten sam, ten nie kochał! Ten dzieckiem w kochaniu, ten, choćby posiadał wszystką wiedzę, ten, choćby był dopełnił wszelakiego czynu, ten, choćby błysnął najwyższym geniuszem, darmo, ten nie wie, ni czuje, co to jest miłość, co to jest kochać, i tego mu nikt nie wytłumaczy!

6-ta w wieczór! I nadpłynęła ta mistyczna duchowi mojemu godzina. Sam jestem, pożegnałem wszystkich, zamknąłem się na klucz, zapaliłem świece, i witam Cię, o postaci dialowa, witam Cię tak, jak wtedy wyglądałaś, kiedyś weszła do tego salonu neapolitańskiego: w trumnie jeszcze śnić mi się będzie ta chwila. Na sądzie planety jeszcze Ci o niej będę gadał. I gdzieś jeszcze dalej i gdzieś jeszcze wyżej, anioł ją przypomni aniołowi, ja Tobie! Jakżeż rozrzuceni ci, którzy wtedy byli razem. Już jedna umarła, biedna ciocia Pelagia, pokój i światło duchowi jej! Ty i Lusza gdzie indziej, Matka gdzie indziej, ja tu, o, ja nie tu! Alboż ja nie z Tobą teraz? O Boże! Z tej jednej chwili, co się wysnuło? Ile szczęścia dla mnie, ile łez dla Ciebie, jednemu i drugiej, myślę, że cały dalszy ciąg życia! Nie tylko szczęście, nie tylko łzy, nie tylko to albo owo, ale wszystko, słowem życie całe w swoich wszystkich kształtach, jedną wielką mocą kierowane i rządzone! Ani Ty, ani ja w tej chwili brzemiennej obojgiem nas nie wiedzieliśmy, że na zawsze ona nas połączy i z nas utworzy to, czym później byliśmy, to, czym teraz jesteśmy i czym będziemy jeszcze. Ale teraz z ubieżonej części życia możem resztę wymiarkować, możem już po nitce dopełnionej przeszłości przyszłości dojść, możem sobie powiedzieć, że, jako nas ta chwila połączyła, tak już żadna inna nas nie rozłączy, i że stało się naszem fatum być razem, pod wszelkiemi kształtami połączenia czy rozdziału, szczęścia czy smętku, nadziei czy rozpaczy, życia czy śmierci! Jużeśmy to wypracowali, wyrobili, wysłużyli u nas samych. Już staliśmy się nieodzowną zawisłością jedno od drugiego, i wspólnem nam wszystko!

Jakżeś Ty dumno wyglądała wchodząc, z tym półpłaszczykiem na ramionach. Zarazem pokłócił się z Tobą, ale nie byłbym się pokłócił, gdybyś już nie była na wskróś poruszyła wszystkich strun ducha mego, byłbym milczał lub same bladostki i nicostki plótł. I cały wieczór siedziałem; ojciec wyjechał, ja został! Ach, ja tam zostać miałem na wieki! Czy pamiętasz? Czy widzisz? Czy czujesz tak dobitnie, tak jasno-widnie, tak cudownie to wszystko dotąd, jak ja? Mnie się wydaje, żem w tym pokoju i że pierwszy raz Cię widzę, mnie się wydaje, że siedzę przy stole obok Pelagii, a naprzeciwko Ciebie, a ten głupi Noailles przy Tobie. Jestem tam, jak somnambulka jest w przeszłości, teraźniejszym sposobem.

Znać straszniem osłabły na nerwach, bo tylko wstałem przed godziną od stolika, chciałem przejść się po pokoju, trąciłem o łóżko, padłem na nie i zasnąłem, snem wyczerpnięcia, snem boleści i widziałem Ciebie, lecz jakoby za chmurą, za mgłą, nie jasno. Teraz przebudziłem się, patrzę, wpół do 8-ej już; wróciłem do stolika. Twój obraz wyjąłem z szuflady, postawiłem przed sobą! O mój duchu biały, niech pomodlę się do Ciebie, — święta moja, błogosławię Ci! Nie wyglądasz mi srogą ani zagniewaną dzisiaj. Idziesz, jakobyś szła ku niebu dalekiemu pełna wiary, mocy, potęgi, i spozierasz na mnie z nieskończoną tkliwością, mgieł nawet mniej, niż zwykle, na płótnie tym, góry lepiej widać, i niebo jaśniejsze! Włosy Twoje czarniejszemi, twarz iskrą życia bardziej, niż zwykle, natchniona. Wierz mi, Dialy, ja sobie nie tworzę, nie wyobrażam dowolnie wszystkich tych szczegółów, ilekroć opisuję Ci Twój obraz, ale wiernie opowiadam wrażenie, w tej chwili doznane. O, Ty piękna, piękna jesteś! Bóg Cię pięknie pomyślał! Znów mnie osłabienie chwyta; jutro listu dokończę; siły moje niszczeją w miarę, jak się rozdział przedłuża. Nie,

nie, ja dobrze się nie czuję. Oto przyszły mi te wiersze Petrarki na pamięć, nagle, w tej chwili:

O serce moje! Wszak siła jest w tobie,
Z ziemią, z wszechświatem, z Bogiem samym styczna!
Siła przed grobem, w trumnie i po grobie,
Niepokonalna, żywa, magnetyczna!

I czas i przestrzeń daremnym rozdziałem,
Od drugiej duszy oddzierają ciebie!
Wszak ty w mych piersiach kwieciem wiecznotrwałem...
Zwiędłe w twym raju, odkwitniesz w twem niebie!

Lecz między rajem a niebem żywota
Snuje się droga, gdzie gęsto — bezmiernie,
By krew pić twoją, bolu rosną ciernie!

O krew tę nie dbać, to anielska cnota!
I przez tę cnotę w końcu moc twa zmienia
Ziemię rozdziału w niebo połączenia!

Czy przez sen przyszły mi na pamięć, że tak doskonale mogłem je napisać, nie czytawszy ich już od tak dawna? Ale słabo mi, słabo, przestać muszę, do jutra, o Dialy moja! A dziś ostatnie słowo moje niech będzie: błogosławię Tobie!

25-go grudnia. I wczoraj i dziś poczta mi nic nie przyniosła, złą noc przegorączkowałem, oczy bardzo mnie bolą. Dziwna rzecz: na Boże Narodzenie sześć stopni ciepła. Dotąd futra nie wdziałem, chodzę w surducie lub w burce. W Rzymie, gdy pochmurny czas, to nie cieplej o tej porze, tylko, że w Rzymie i Nicei słońce świeci, a tu chmury płaczą. K[sią]że Henryk Lubomirski[376] miał przypadek: upadł, stłukł sobie mocno kolano i musi na kulach chodzić, ale chodzi tak po wszystkich salonach i dobrej myśli jest. Niechże Jerzy mi adres swój przyśle — pisać do niego nie mogę inaczej! Gr. jeszcze nie przybył, podobno dopiero po Nowym Roku się zjawi i ptaszek z nim — a leć, a leć!

Czy bywasz czasem na jakich kursach, Quineta na przykład lub Micheleta? Tego ostatniego wyszedł szósty tom historii francuskiej, przeczytaj, Dialy! Bouchera czytam. Pełno trafnych inspiracyj i uwag, lecz przy tem i niedołężnych bałamuctw, grubych pomyłek, materialnych nazbyt wyobrażeń. Wszystko, co on mówi o światach i istotach żywych, dobrem, trafnem jest, ale Boga nie pojmuje. Nie wie, że Bóg zarazem i osobą i wszystkiem, początkiem i końcem, że my wszyscy w Nim, a zarazem zewnątrz Jego. Nie wie, że wszystkie sprzeczności pogodzone w Bogu, rozumuje o Nim jakby o silnym i genialnym człowieku. Powiada, że materia oddzielna od Boga i niestworzona nigdy, a Bóg tylko jej organizatorem; w tym myłka. Materia i myśl to są obie tylko ducha bożego cząstki rozczłonia, narzędzia, ani jednej, ani drugiej osobno nie ma, wszędzie są razem, bo wszędzie jest duch! Powiada, że stworzenia są także niestworzone *(incréés)*, że Bóg tylko je przebudził i pchnął do rozwinięcia się. W tym to prawdą, że wszystkie wyszły, wypadły z Boga, jak krople, ale długo jeszcze potem nie wiedziały o sobie, więc jako byt początku nie mają, ale jako osoby wiedzące i wolne mają początek. I o to właśnie chodzi, by, wypadłszy z Boga pod kształtem snu, wróciły do Niego wolne i wiedzące o sobie na wieki! Na to im nieskończoność przejść i przepracować trzeba. — Jeśli czytać będziesz to dzieło, to nigdy z uwagi nie spuszczaj tych uwag moich, bo inaczej byś wpadła w dziwaczny sposób zapatrywania się na Boga, bez którego nic nie ma, w którym wszystko jest, i który miłością do niestworzonych stworzył wszystkich, a miłością do stworzonych prowadzi wszystko.

Niech On Cię otacza i strzeże, niech Jego anieli będą wkoło Ciebie. Stopy Twoje oblewam łzami. Strach, jak mi słabo i nędznie, ale kocham, i to siłą moją. Do obaczenia, do obaczenia, do obaczenia, do obaczenia. —

[376] *Henryk Lubomirski* — ojciec Jerzego Lubomirskiego, przyjaciela poety. [przypis redakcyjny]

223. DO DELFINY POTOCKIEJ

4-go stycznia — 1844, Warsz[awa]

Drogi, drogi Consuelo mój! Wczoraj ledwom mój był posłał na pocztę, Twój list przybył, i serce mi napełnił błogosławieństwem. Jakżeż Ci podziękować, żeś raczyła okiem rzucić na te biedne kwiateczki, na tę biedną, przejrzystą, podłużną karteczkę, na której niezgrabnie napisałem był przed trzema tygodniami moje imię. Jakżeż Cię w ręce i stopy pocałować za to, żeś napisała taki pełen światła i ciepła list do mnie i nim mi serce ogrzała tak dalece, że to serce zbolałe od dwóch dni nagle przestało cierpieć po przeczytaniu Twoich słodkich i dobrych wyrazów. Jeszcze gdym zdzierał pieczątkę, czułem w głębi jego sztylety elektryczne, ale, gdym duszą wypił duszę Twoją z tego listu, ucichło płaczące dziecko piersi moich, ukołysało się pod tchnieniem Twojem, Consuelo. Zdało mi się na chwilę, żem silny, wielki, bo na chwilę byłem szczęśliwy anielską dobrocią Twoją! Mógłbym Jerzego w rękę pocałować za to, że mi taką chwilę sprawił, taką pociechę przyniósł. Łączę tu do niego bilecik, bo dotąd jego adresu tu nie mam. August także swego nie przysyła, a chciałbym mu podziękować za przewiezienie łabędzi. Bouchera de Perthes wciąż czytam, już piątego tomu dochodzę. Pełno prawdziwych, ale nieharmonijnie pojętych rzeczy, nie może, choć się często doławia, trafić na pojęcie ducha — i to go bałamuci, ale wszystko, co mówi o następnych kształtów przemianie, o rośnięciu osobistości każdej w świat i w Boga, o niepodobieństwie śmierci, o jej pozornych złudzeniach, o ciągłej nieśmiertelności, utrzymującej się właśnie temi pozorami, arcypięknem i arcyprostem jest, choć dziwacznem wydać się może tym, co nie nawykli do myślenia własną, jedno cudzą myślą. Pojmuje on także, że mogą gdzieś, kiedyś, zdarzyć się istoty, lub że są już takie po innych światach, które nie potrzebują śmierci, odpoczynku, bezwiedzy, bezwoli, letargu chwilowego, słowem jednem śmierci, dla przemienienia się w kształt swój dalszy, że wolą własną i wiedzą własną, z boskiemi zrządzeniami zgodną, mogą, wciąż żyjąc, zmartwychwstawać bez skonania, iść dalej bez siadania na drożnym kamieniu, który się grobem nazywa, a to właśnie, co ja stanem anielskim nazywam po rozwiązaniu losów naszych człowieczych w dniu sądu Chrystusa, przemieniać się, nie umierając, przeprowadzać się z jednego stanu w następny, nie tracąc przytomności, wiedzy, woli, to właśnie jest Żywot Wieczny! Będziem my kiedyś o nim mówili z sobą, na jego skrzydłach niesieni!

Tam, gdzie wzrok mój dzisiaj kona,
Śród iskierek twych bez końca,
Wyżej planet, wyżej słońca
I Syriusza i Oriona,
Tam my będziem!

12-ta w nocy. Z rana mi ten list przerwano. Potem musiałem wyjść, by widzieć się z Ptaszkonośnym, który jutro wyjeżdża. Nie zastałem go, wróciłem do domu. Ledwom był wrócił, on przyjechał. Gdy mnie go anonsowano, zacząłem trząść się cały, gdy wszedł, małom mu na szyję nie skoczył, co mogę uprzejmego nagromadzić w oczach i na twarzy, tym go przywitałem. Miły jest i grzeczny człowiek. Usiadł i zaraz zaczął mówić o Twoich interesach i konferencji, już w tym względzie z Jerzym odbytej. Z godzinę rozmawialiśmy. Wszystko, co on mówił, muszę Ci wypisać, bo o to mnie prosił, a potem ważne to jest i jednego prawie z nim jestem zdania, gdyż on prawdę mówi.

O moja droga, droga Dialy! Najdroższa istoto w życiu mojem! Ty, której tyle bolu przyniosłem i której radzić jeszcze muszę, by nie poszukiwała krzywdy własnej na niegodziwych, Ty Consuelo mój, Ty aniele mój, wszak Ty wierzysz, że tylko, co za prawdę mam świętą, co za dobro Twoje uważam, Tobie mówię. Wszak nie wątpisz o mnie, wszak nie zwątpisz o mnie tak, jak wielu zwątpili? Smutnem mi było o tem się dowiedzieć, a dowiedziałem się. Wiesz, kto zupełnie zwątpił o mnie i już za nic mnie nie ma? Oto ten sam, który przeszłej zimy tak pięknie o mnie gadał, choć karcił i zarzucał, że nie lubię Żydów.

Otóż z Drezna list rozpaczy pełen napisałem do niego; list ten zgubił mnie w jego opinii! Taka to niesprawiedliwość sądów ludzkich! Ale jest wyższy sędzia nad ludzkie rozumy bez serca. U Boga jest serce, takie wielkie, jak świat. I On kocha tych, których sądzi, a ludzie zwykle sądzą tych nawet, których kochają. Oh, i Tyś wiele razy zwątpiewała o mnie, ale nigdy ostatecznie! Proszę Cię, nie wątp, proszę Cię, a gdy Ty nie zwątpisz, mało dbam o drugich zwątpienie. Ręce i stopy Ci całuję. Do obaczenia, Diały, do obaczenia. August mi pisze, żeś tych ostatnich dni trochę lepiej na zdrowiu. Bogu dzięki, dzięki! Oto lecę do Ptaszkonośnego. Niech Cię Bóg strzeże, i natchnie mądrością Duch święty. —

Teraz i na wieki Twój

224. DO DELFINY POTOCKIEJ

9 stycznia — 1844, Warszawa

Drogi, drogi Consuelo mój! Noc dziwnie jasna wczoraj z księżycem i gwiazdami wszystkiemi rozmroziła się nad miastem tym. — Śnieg bielił się na ziemi, — szafir na niebie lśnił, — ja siedziałem koło 11-ej przy fortepianie, sam jeden, w zupełnej ciszy, w sali wielkiej, bez świec, — tylko przez okien trzy wysokich noc świecąca wmykała się do otaczających mnie ciemności, — i grałem, jak grywam, kiedy zdaje mi się, że za pomocą nut, których nie znam, mogę powiedzieć coś do Ciebie. Rękoma przesuwałem po klawiszach, a głową, odwróconą w bok, patrzałem w niebo, — i w jedną gwiazdę, która samotnie na tym kawałku nieba, przez szybę zajętym, iskrzyła. Zdało mi się, że znana, kochana, przyjacielska, — że w innych krajach, w tysiącznych miejscach my razem ją spostrzegali, znali, lubili. — Tak, to był Mars, ale bez giermka, — i palce moje zaczęły gadać (o ile zdolne) do Marsa. — Potem łzy z ócz zaczęły kapać — łzy, choć milczące, także swoje mówiły do Marsa — a światło księżycowe lało się na całą długość komnaty przez tych okien trzy, i znów tknięta struna, co się Iles Britanniques[377] zowie, zadrnęła w duszy mojej. — Ot, tam morze, — tam jacht lorda angielskiego czernieje się i kołysze na kotwicy — a niebo, to neapolitańskie — a ta noc, ta majowa!... O ścian dwie dalej Konstanty i Serey mieszkają, palą cygara, rozmawiają o tym Zygm., na którego przez wieczór cały nadaremnie czekali, — a ktoś nie wrócił jeszcze, ktoś bawi długo na Chiatamone. Dużo się łez, dużo wylało z ócz moich, a palce wciąż bez wiedzy mojej grały; słyszałem dźwięki, ale jakoby pochodzące od kogo innego, dźwięki, śród których może czasem niezupełnie fałszywy się akord zdarzał, — bo nie sposób, by serca natchnienie absolutnie fałszywo się czymkolwiek, choćby zupełnie nieznaną mową, wyrażało. — Właśnie wstałem i poszedłem do siebie, do zielonej jaskini, chciałem zaraz pisać, — lecz tak mi ręce drżały, że nie sposób mi było.

Wczoraj i dziś nic od Ciebie. — Czarki pełne perfumów wciąż wysychają przed czarą brązową, której symbolizm coraz bardziej mnie uderza, bo pełen Alby. — Myślałaśże Ty o tej stronnicy tego pomniczka, kiedyś natrafiła na niego okiem? Sosny także i kaplica w serce mi wnikają, ilekroć się koło stolika mego obrócę. — Wczoraj z kwadrans przebyłem niewzruszony, jak słup, trzymając w ręku ową oprawę z aksamitu czarnego, do której Lafontaine nicejski haftki dorabiał, a w której spoczywa św. Janowa postać Twoja przez pana Alixa zarcydziełowana. — Piłem ją oczyma i duszą — piłem każden rys jej — ah, podobieństwo żywe, — a wyraz taki idealny, taki powagi pełen i bolu i rozumu i spokojności, że nie mogę pojąć, jak Natalia, matka i Ty sama, obruszyłyście się na ten dagerotyp; — powiadam Ci, pyszny — *eximius*[378]!

225. DO DELFINY POTOCKIEJ

13 stycznia — 1844 Warszawa

[377] *Iles Britanniques* (fr.) — wyspy brytyjskie. [przypis redakcyjny]
[378] *eximius* (łac.) — wyjątkowy, znakomity. [przypis redakcyjny]

Consuelo drogi! Owszem, owszem, posłuchaj mnie, przeczytaj Bouchera, ale piąty tom tylko, bo w tym 5-tym wszystkie poprzednie zawarte i jasno wyłożone. Pamiętam, nieraz chodząc z Tobą po cyrku Flawiana, nieraz po Kampanii lecąc konno, przepowiadałem Ci, że jeszcze za życia ciekawości Twojej stanie się po części zadość, że śmierci tajemnica straci zasłon swoich przynajmniej połowę, i że przeto stanie się łatwiej ludziom umierać, i oto proroctwo moje staje się, zaczyna się dopełniać. Pierwszym dopełnienia się jego zarodem niezawodnie dzieło Bouchera. Nigdy i nigdzie nie spotkałem tyle dowodów ścisłych na nieśmiertelność duszy, a z wielką prostotą i wzniosłością stylu wyłożone. Coś świętego, coś spokojnego, jak prawda, wszędzie przebija; owszem, przeczytaj 5-ty tom, a zobaczysz, że wiara nie tylko że się nie osłabi, ale wzmoże się, spotężnieje w Tobie, wszelkiemu odejmie się zwątpieniu. Wiara pełna wiedzy, wiara z przekonania, wiara rozumu, gdy oparta na czuciu serca, wyższą jest potęgą, niż jezuicka, nakazana, wtłoczona na duszę, jak jarzmo na wołu. Właśnieś takie dzieło przeczytać potrzebowała; znajdziesz tam tysiąc rzeczy podobnych tym, o których tylekroć rozmawialiśmy; znajdziesz taki wywód, taką konieczność, taką pewność nieśmiertelności, że żadna myśl nie zdoła się jej w Tobie oprzeć. Gdy skończysz, nie pojmiesz już, jakim sposobem kiedykolwiek wątpić mogłaś o tak jasnej, wszechobecnej, co chwila widomej prawdzie. Zresztą nic tam nie ma sprzecznego z dogmatem katolickim — rozszerzony tylko na wszystkich, na wszystko, na wszechświat! Co dotąd samemu człowiekowi się należało, należy się wszystkim istotom, — bo duch jeden i ten sam. Ja tożsame od najniższego szczebla formy dźwignąwszy się z łaski bożej, żyje na wieki, coraz wyższem strojąc się życiem i według uczynków swoich karę niższości względnej, lub wyższości następnej odbierając. Dogmat kościelny tą samą ideą jest, zupełnie tą samą, tylko nie rozbiera sposobów szczegółowych, któremi się ta idea odbywa, nie wdaje się w anegdotę jej, bo zostawia tę anegdotę pracy umysłu ludzkiego, czyli zasłudze ludzkiej, do odkrycia. Bóg objawia ideę, całość, a praca ludzka, opierając się na tej łasce bożej, zdobywa coraz bardziej oznaczone i dotykalne dzieje, szczegóły, kształty, które są cochwilnem tej idei wcieleniem się. Zapewne jest jeszcze wiele niedostatków w tem dziele, Boucher myli się nieraz, osobliwie, gdy uważa, że wszystkie dusze, niezależne od Pana, współwiecznemi z Nim były. Były współwiecznemi z Nim, ale zależnie od Niego, bo z Niego wyszły, wypadły, bo je życiem udarował przed wiekami i życiem na wieki obdarza, pomaga im w każdej chwili, prowadzi je, pielęgnuje, słowem kocha miłością bez granic i miary i one w tej miłości istnieją i postępują coraz wyżej, rozbierając się z ciał i ubierając się w ciała coraz giętsze, piękniejsze, wznioślejsze. Lecz co wielkiego i prawdziwie świętego w tej książce, to ta niezbita pewność nieśmiertelności — to wykazanie wszelkiemi rozumu dowody i serca potęgami, że śmierć niepodobnem jest marzeniem, — złudzeniem złudzeń, — marnością marności, — nie żadnym końcem osoby, ducha, jaźni (du moi), tylko zrzuceniem całej szaty jednej, by drugą przybrać, zrzuceniem tej szaty, której części zrzucasz przez całe życie, jako na przykład włosy itd., itd. Jako pukiel włosów, tak kiedyś całe ciało zrzucisz, ale duch twój, to nie ciało twoje. Duch twój to najwyższe, najściślejsze pojednanie pierwiastka myśli i materii w tobie, ciało zaś twoje tylko objawieniem na zewnątrz pierwiastka materii, tak, jak dusza twoja teraźniejsza przeciągnieniem tylko, objawieniem na wewnątrz pierwiastka myśli w tobie, ale duch twój wyżej od nich obojga stoi. Im objaw ciała twego piękniejszy, im duszy twojej wznioślejszy, tem lepiej poznajesz, czem sama jesteś, czem duch, bo ty duchem jednym, tym samym, nieśmiertelnym, ale rozmaicie, postępowo objawiającym się samemu sobie, świadczącym sobie, wiecznemu, za pomocą przemijających w czasie kształtów myśli i ciała. O to idzie, byś coraz głębiej poznawała siebie, tj. ducha Twego, byś coraz jaśniej objawiała się sobie samej, a na to potrzeba Ci zrzucać sterane, zestarzałe kształty, już nieodpowiednie stanowisku, do któregoś doszła, a przybierać nowe, dogodne duchowi Twemu. Tu śmierci konieczność, ale dwa są jej rodzaje: jeden, jak w nas wszystkich, trochę gwałtowny, zabierający nam od razu całą zewnętrzną odzież naszą, to śmierć niższych duchów, to śmierć ludzka, bo jeszcze duch nasz dość się nie poznał, dość nie rządzi sobą, nie panuje sobie, dość woli bożej nie zna i z nią się nie jedna. Więc Bóg sam za nas robi, czego my dotąd nie umiemy robić, jak matka rozbiera i ubiera dziecko swoje. Ale dziecko wyrośnie i samo się nauczy sztuki przemieniania strojów swoich, wtedy śmierć będzie tylko szczęściem, bo czynnością rozumną, aspiracją serca anielską do wyższego, piękniejszego kształtu i urzeczywistnieniem zaraz tej żądzy. To się pocznie dla nas

w dzień sądu Chrystusa. Pamięć całej przeszłości, nam przywrócona, objawi nam, czem duch każdego z nas, który przez powolną pracę wieków (choć my myśleli, że to sen wieków, — przeczytaj koniec *Irydiona*!) doszedł do stanowiska, na którem wyczerpnięte zadanie ludzkości, a zaczynające się anielskie życie. Wiedza objawiona przeszłości stanie się nam potęgą przyszłości. Nie będziem już ciał naszych wiecznych zrzucali od razu, bez wiedzy, bez woli. Te ciała i dusze nasze będą żywym, co chwila ruchomym objawem, wyrazem, prawie słowem duchów naszych, będą one się przemieniały, lecz duch nasz sam tą przemianą stopniowaną, harmonijną, kierować będzie, w niej rozkosz, a nie ból będzie. Śmierć wtedy stanie się najsłodszem uczuciem wzbijania się coraz wyższego, coś na kształt ruchu ptaka, gdy skrzydła podnosi, by lecieć, znajdzie się w każdej śmierci takiej, czyli raczej, śmierci nie będzie już, tylko ciągłe życie, żywot wieczny, ciało pełne chwały, przemieniające się, jak gra farb światła na tle zawsze jednem, tem samem, nieśmiertelnem ducha naszego!

Boucher tego wszystkiego nie mówi, jak ja, bo nigdzie nie dotyka dogmatu kościelnego, by pogodzić go z swoją teorią, ale wszystko, co on pisze, doprowadza koniecznie do tego wniosku, do konieczności sądu chrystusowego i przybrania przez nas ciał już więcej niepodległych śmierci całkowitej, lecz tylko przelewających się rozkosznie w coraz wyższe kształty, rozwijających się w coraz piękniejsze kwiaty. Jeśli o panteizm Ci chodzi, to dowiedz się, że nie tylko on nie grzeszy nim, ale, przeciwnie, grzeszy brakiem jego, bo nie dość głęboko pojmuje wszechobecność Boga we wszystkich i we wszystkiem, nie dość miłość, spajającą wszystkie duchy z Bogiem i z innemi duchy, nie dość możność, jaką każden z nas na wzór boży posiada, nie tylko bycia wewnętrz siebie samego, ale i bycia zewnątrz siebie, w drugim, w drugich, w wielu, we wszystkich. Zajęty głównie pojęciem osobistości, nie zwrócił uwagi na wspólność, na odpowiedzialność jednych za drugich, na tę przedziwną władzę miłości uniwersalnej, która, pozwalając każdemu być nieśmiertelnem Ja, każe mu zarazem to Ja własne stwarzać, kształcić, przez rozlewanie się zewnątrz siebie na drugich. Panteizm albowiem jest tylko błędem, gdy za jedyną, jednostronną prawdę miany, ale jest ścisłą prawdy połową, kiedy go uważać będziesz za drugi, konieczny przymiot Boga osobistego. Bóg zarazem jest w sobie, u siebie i wszędzie, bo nie ma nic za Bogiem, nic, coby w Bogu nie było, nic, coby nie żyło w Nim i przez Niego, a zarazem nic nie ma takiego, coby było Bogiem. On jeden jest Nim. I człowiek też każden i duch też każden nie tylko u siebie jest, sobą się zasklepia, jak ślimak, ale właśnie tem żyje, że, będąc sobą, zarazem współcześnie może być w drugich. Miłość — to być w drugich, nie przestając być sobą. Życie tem samem. Miłość i życie to — jedna myśl. Życie absolutne — to Bóg. Bóg więc — to miłość absolutna! A my, pojedyncze miłości, coraz wyżej stąpamy ku absolutnej! Kochamy się w niej, jak ona w nas, i temu kochaniu końca nie będzie nigdy — to miłość na wieki, bez przerwy i bez granic. Proszę Cię, 5-ty tom przeczytaj!

14 stycznia z rana. Consuelo mój drogi! Poczciwy, dobry August z kwiatami swemi, wiem, gruszkę zjadł. Pisał o tem do ojca swego, który mi list przyniósł. Nie zważaj na nos, ale na umysł i serce człowieka, a przekonasz się, że oba wielkie! Bo pierwszy jak u anioła potężnego, a drugie jak u dziecka niewinnego! Czemu też Jerzy taki niełaskaw na mnie? Od kiedyż to już wciąż go proszę, by pisał do mnie, a ani się odezwie? Czyż natura Radziwiłłów, co woleli pojechać, niż napisać, w niego wstąpiła? Słowo daję, zażalonym na niego; wie, że mi listy jego są ulgą, pociechą, a nie chce mi jej dawać! Żebym wiedział, że czemsiś niezmiernie ważnem zatrudniony, nie narzekałbym, ale wiem, że nie, wiem, że czas traci. Czemuż go nie woli tracić przyniesieniem ulgi komuś, który go kocha, niż milczeniem uparłem? Daj mu to przeczytać, niech się w pierś uderzy i poprawi!

Co mam z listem, pisanym do Zeneidy, robić? Czy go Tobie odesłać, czy zachować u siebie, czy Ptasznikowi posłać, by z niego wyrozumiał dokładnie położenie Twoje? O moja Dialy, moja Dialy ukochana, zawczoraj, idąc ulicą właśnie z Tym listem do tego jegomości, ujrzałem do rogów kamienic przybity afisz teatru z napisem: „Pierwsza wyprawa młodego Richelieu". Jakby kto iskrą ze stosu Volty pchnął mnie w mózg i w serce. Stanąłem, odczytałem wszystkie osoby, Macon mnie otoczył, ujrzałem ten bulwark nad rzeką, uczułem rękę Twoją na moim ramieniu. Cukiernia wstała z ziemi przede mną, gruba cukierniczka wyszła z niej, szklankę z orszadą śród palców uczułem, potem

wszedłem do sali pustej, my jedni tylko i dwudziestu bluźników na dole, Ryszard III wystąpił, Richelieu później — i to wszystko w jednej chwili, w jednej, na ulicy Miodowej w Warszawie, przy dziesięciu stopniach mrozu! Takim obrazem, jakby atmosferą, okrążon, szedłem dalej list Twój oddawać. O, Boże, Boże! Wspomnienie jest najwyższą potęgą człowieka. Wszelka przeszłość, chęć, żądza, wola, z niego się rodzi, ono światy stawia i światy obala w duszy indywidualnej, ono zarazem nektarem bogów i zjadła trucizną, lecz bardziej nektarem, bardziej; gdyby nie ono, tobym już nie żył, w nim czerpię ostatnie siły moje, i przez nie zbawiony będę, i przez nie stworzę sobie jeszcze nadzieję i uczynię przyszłość! O, prawda, prawda, miłość serca tem podobna do potęgi Boga, że dla niej nic małego, nic drobnego nie masz. Wszystko dobre, piękne, kochane równą opatrznością, tak teatr w Macon, jak katedra mediolańska, jak podróż pocztą do Sens, jak żegluga łódką w Neapolu, lub konno na Righi! Czyż to nie *omnipraesentia*[379] serca?

Do obaczenia, do obaczenia

Twój teraz i na wieki.

226. DO E[DWARDA] JAROSZYŃSKIEGO

Warszawa, dnia 14 stycznia, 1844 r.

Mój drogi Edwardzie!

List Twój kochany i taki dobry wczoraj odebrałem, ale powodu milczenia Twego nie pojmuję dotąd. Od roku 1839 w lecie, kiedyś był łaskaw mi pieniędzy przysłać, ja pewno z piętnaście razy do Ciebie pisałem, a nigdym odpowiedzi nie odebrał. Wreszcie przed trzema miesiącami, odsyłając Ci owe tysiąc rubli, także pisałem i pisałem, jak do tego samego zupełnie, z którym na łódce pożegnałem się wśród błękitów morza i nieba 1835 roku.

Widzisz stąd zaraz, że ani przestrzeń, ani czas najlekszej odmiany nie przyniósł do serca mego, i żem wiecznie tak samo Cię kochał i ufał Tobie; lecz i na ten list nie odpisałeś nic, tylko rewers z podpisem Twoim bankier mi przysłał. Wtedy coś gorzkiego wstąpiło mi do duszy; nie myśl, by jaka gorycz przeciwko Tobie, o nie, ale sroga przeciwko losom moim; bo wydało mi się, że nosisz w samej głębi serca jakiś wyrzut ku mnie, i że on przeszkadza Ci mówić ze mną. Wtedym oznajmił Skibickiemu żal mój i prosiłem go, by do Ciebie o nim napisał!

Nie porozumiemy się, Edwardzie drogi, aż się obaczym i głosem żywym, nie martwą literą, się pojednamy! Ten wyraz nie znaczy, jakobyśmy poróżnionymi być mieli, ale tylko to, że przez martwy papier dojść nam nie sposób do wyższej, świeżej jedności duchów naszych! Mogłeś i słusznie bardzo mieć przyczynę pewnego żalu do mnie, do ducha mego. Słyszałeś o mnie, nie dotykałeś się mnie; nie możesz łańcucha ogniwów, zwanych zdarzeniami zewnętrznemi i uczuciowo wewnętrznemi, a z których żywot ludzki się ogniwi, obliczyć dokładnie w piersiach moich. Ale, jeślim dbał o czyj sąd, to o Twój, bo Ciebie szanuję i kocham. Sąd ten kiedyś wydasz o mnie, mnie samemu, gdy się spotkamy i gdy się połączym grą wspólną myśli, gdyby grą światła! Do tej godziny, przeze mnie upragnionej, polegajmy jeden na drugim — wierz mojemu przywiązaniu, jak ja Twojemu wierzę.

A co, panie Edwardzie, czy stanowisko Hegla nie przekroczone w jednym kierunku piekielnie? Bo osobistość boża i ludzka zaprzeczone przez szkołę wielkiego mistrza, a w drugim kierunku anielsko — bo są ludzie, którzy dalej rzecz powiedli; wsparli się na logice jego, ale wykazali, że ona prowadzi do innych wyników, niż jego własne, bo do czynu opatrznego, bo do uznania konieczności religijnej, bo do nowych wieków ludzkości.

Czyż sądzisz, że Chrystus nadaremno obiecywał Pocieszyciela? I czyż epoka tego pocieszyciela nie nadchodzi? Trzecia, ostatnia na planecie, — korona historii — dopełnienie się proroctw i żądzy nieskończonej ducha człowieczego?

[379] *omnipraesentia* (łac.) — wszechobecność. [przypis redakcyjny]

Napomykam tylko o tym, bo tomy, nie ćwiartki, o tym pisać, jeśli pisać; — jeśli uczuć, to i ćwiartki nie potrzeba — jedno trzeba w własną spojrzeć głąb i spojrzeć w wewnętrzny świat.

Przyszlij mi Twój dokładny adres, żonie, proszę, złóż moje uszanowanie i najserdeczniejsze ukłony jej, jak sobie samemu od jej siostry ciotecznej, od Elizy. Do obaczenia się, Edwardzie drogi! Twój na zawsze

Zygmunt.

Każ tam czasem u siebie mszę odmówić za duszę Konstantego.

227. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

4 lutego 1844, Warsz[awa]

O spowiedniku! Mniej kamienny, mniej drewniany byłbyś, gdyby Ci mniej kwaśną była atmosfera, którąś spotkał — gdybyś *vulgi cingentem coronam*[380] był znalazł gotowszą do rozkwitu wiosennego, gdyby większa równowaga zachodziła między Twoim ideałem, a rzeczywistością, u stóp Twoich piszczącą i pełzającą po bruku, po błocie, po jockey klubach, kawiarniach, restauracjach, polach elizejskich itd., itd.! Czyż myli się serce moje? Czyż także i nie stąd pochodzi twarda nieużytność, której używasz, tykając serce, o którem wiesz, że po ojcowskiem najszczerzej i najmocniej kocha Cię ze wszystkich, co otaczają Twoje? A tykasz świętych uczuć w nim okrutnie! Wiesz, czemu okrutnie? Bo rozsądnie tylko! Rozsądek zaś, sam jeden, okrucieństwem jest; połączony z miłością, zbawieniem! Zresztą takżeś napadł o rzeczy, o których nie myślę. Zanadto kocham, bym nie miał cochwilnego instynktu, bardziej, niż wszelkie rozumowania, nauczającego mnie, czym mógłbym szkodę, a czym potrafię ulgę i dobro przynieść ukochanej! Nie lękaj się, by mnie kiedy w tym zawiodło jasnowidzenie serca. — Wiem, że miłość ciężką cnotą (jak mówi Daniel), pełną cierpliwości, a zatem cierpienia, muszącą dowieść siebie samej, nigdy nie cofającą się przed żadnym sposobem dowodzenia siebie, choćby ten był poświęceniem bez miary i końca. Wiem, że, według tego prawa tylko stąpając, można świętość własną uświęcić przed ludźmi i zmusić ich plotki do przemienienia się w admiracją i poszanowanie. Siostra moja nie dozna ode mnie żadnej lekkomyślności. Mnie trzeba ludzi zmusić do tego samego uczucia, jakie ja czuję względem niej. Szanować mi ją trzeba i czcić i strzec jej ducha nade wszystko. Nie lękaj się szkolnej popędliwości! — Marzyć nie przestanę o dniu szczęścia, który mnie kiedyś z nią połączy pod cieniem tych samych drzew, nadbrzeżnych śródziemnym błękitom, pod któremi już z nią przechadzałem się, śpiewny, jak słowik. Lecz by to marzenie, by ten serca ideał urzeczywistnił się, na to ciężko pracować, na to wzniośle i święcie, a wiele cierpieć potrzeba. — Do tego, nie jak Attyla, ale jak O'Connel zmierzać. I jej dopiero tym samym, że ją kocham, dowiodę. Gdy dowiodę, bom dotąd nie dowiódł, zapewne duch jej uczuje, co szczęście. A dać komu uczucie takie, uczynnić to, by ktoś uczuł, że kochan jest miłością anielską, wielką, nieziemską, a na ziemi, to to samo, co siebie i jego w anioła przemienić. Wątpię, byś mnie wzbraniał takiej subiektywności.

Teraz słuchaj! — Młodem sercem człowiek motyluje i za każdą nową tęczą żywota, byleby w niej koloryt był zmysłowy, się puszcza. Starym zaś, co ukochał, kocha na zawsze i coraz wyżej za Beatryczą się wznosi. — Stare mieć serce nie znaczy u mnie nie mieć serca!

Teraz i to posłuchaj: *Legi satisfactum est*[381] — niech *lex*[382] abstrakcyjna z tego się cieszy! Indywiduum, wątpię, bo nic nie zyskało prócz przekonania, że ostatnią kartę postawiło i przegrało — ostatnią! Rada Twoja, rozkaz Twój spełnion, choć siły nie dałeś z rozkazem. Zapisz to w archiwum spraw społecznych, ale nie w sercu Twojem, ni w mojem, ni w niczyjem. Bo wszystko jest obrzydłą, trupią literą tam, gdzie ducha żywego nie masz!

[380]*vulgi cingentem coronam* (łac.) — wieniec (otrzymany od) ludu, otaczający (skronie). [przypis redakcyjny]
[381]*Legi satisfactum est* (łac.) — stało się zadość prawu (domyślnie: małżeńskiemu). [przypis redakcyjny]
[382]*lex* (łac.) — prawo. [przypis edytorski]

O anegdocie za widzeniem się, albo może nigdy, bo straszna, bo okropna, bo nieludzka, ale za to ściśle legalna. Winszuję prawu!

Teraz bądź mi przyjacielem — bądź mi i oświeć mnie w niepojętych rzeczach. Co się z Jerzym dzieje? Gdzie tak czas traci, że już nie miał chwili od 2-ch miesięcy do napisania do mnie, choć prosiłem go o to nieraz i z rozpacznem błaganiem. Powiedz mi, w czyje wpadł ręce? Jakieś złe przeczucie mnie oblega. Wkradł się wąż, wkradł się między nim a mną. Taką awanturę słyszałem: O 12-tej w nocy kareta zajechała i porwała go z domu — w niej siedziała zamaskowana kobieta, która mu tysiąc infamii powiedziała na mnie — oskarżyła mnie, żem jego nigdy nie kochał, wciąż zdradzał etc., etc. — ale on sam mnie o tym nie doniósł, nic a nic nie napisał, już nigdy nie pisze. Ta kobieta to zapewnie pani z Kissingen (nie pani Hill), ale owa druga, pani B. Jeśli możesz, ocal Jerzego; mnie się wydaje, że on na złej drodze, na lekkomyślnej, na brukowej bardzo. Odpowiedz mi, co myślisz o tym wszyskiem, bo Twój wzrok przenika w głąb dusz! Co zaś tyczy się pani Bóbr, to złóż jej tysiąc ukłonów ode mnie i powiedz, że tuszę, iż kiedyś i wewnętrzną sprawiedliwość mi odda. Więcej dziś nie piszę, bo ledwo widzę. Strasznie oko boli i mózg. Co dzień gorzej nerwy moje się psują. Schnę w szpiku kości — nie ma dnia, bym nerwowego ataku nie doznał i nie pił w nim własnych łez moich.

Ojciec Twój zdrów, zawczoraj byłem u niego. Bóg Cię strzeż i błogosław! Ja Ciebie kocham na zawsze.

Twój Zyg.

O tym liście żadnej nikomu na świecie wzmianki nie uczynisz.

228. DO DELFINY POTOCKIEJ

1844, Warsz[awa], 7 lutego

Najdroższy Consuelo! „Wszystko wolno, tylko nie wolno być niewdzięcznym i okrutnym". Prawda, kiedy z własnej woli, zemsty, rozmysłu pochodzi okrucieństwo. Lecz kiedy mimo woli ono być musi, bo je położenie samo rodzi, kiedy zresztą w kolizji tej każden z działających równe ma prawo i znów nie ma żadnego oskarżania drugiego o to samo, bo jeden i drugi równie zarżnięci, wtedy nie o okrucieństwie już mowa, ale o bezecnej fatalności stosunku, zdarzenia, okoliczności. Czyżbyś na przykład uznała, że p. Souza ma prawo skarżenia się na Twoje okrucieństwo? Czybyś uczuła w głębi serca, żeś mu okrutną i niewdzięczną była? Nie, choć i to by mogło być, by on męki piekielne przecierpiał, odnoszące się do Ciebie. Szlachetność najwyższa, oto co mi pozostaje, ale nic innego. Zresztą teraz ustały trochę katalepsje, zdrowia dość w głębi tej istoty, może się łatwo zdarzyć, że nie ona wyschnie, zwiędnie i zgaśnie, ale ja. O, ja schnę, ja więdnę, myśl mnie toczy, jak robak, myśl pada i kapie mi w serce, jak kropla, co kamień przebija. Nie chcę wspominać, nie chcę odwracać się ku temu, com od sześciu miesięcy przecierpiał, przekonał, bo to jednem, temżesamem wciąż konaniem było. Nigdy, nigdy ku tym dniom strasznym nie kieruję myśli. W Sens, przerywa się żywot mój — tylko dzień obecny, chwilę w której żyję, łatam do Sens, a zawartą między nimi przestrzeń rzucam w otchłań, deptam jakby płazy jakieś okropne, obrzydłe, których widok i zimne dotknięcie przenikają dreszczem szpik pacierzowy człowieka. O, Boże, Boże mój! Jeśli ta istota prawdziwie szlachetna, to ona uklęknie kiedyś przede mną i błagać mnie będzie sama o przebaczenie, błagać i zaklinać sama, bym ulgi szukał w tej strasznej męczarni. Wiem, i ona cierpi, i ona przeszła przez najokrutniejsze bole, których doznać może niewieści duch, bo wszystko, co stopniami, jak gracz, stawiała na kartę, wszystko, wszystko do ostatniej karty przegrała, i nie obudziła nic we mnie, nic, nic, ale też za to nigdym ją o nic nie prosił, nigdy do niczego nie przynaglił, nigdy nie próbował nawet jednym jej krokiem, jedną jej myślą rządzić. Dałem jej wolność, niepodległość wszelką; prawda, że i przy tym samotność wielką, ale czyż ona nie widziała moich wszystkich mąk? Czyż nie karmiła się codziennym widokiem moich konwulsyj i łez? Czyż bez nich dzień jeden się obszedł, od dnia tego

otchłannego, bezdennego, horrorycznego w Dreźnie[383]? Czyż i teraz dzień choćby jeden mija bez nich? A jednak nigdym się nie uniósł do przekleństwa, nigdy do wyrzutów. Piłem łzy moje i upiłem się nimi, ale godnie milcząc, zimny jak posąg z lodu, lecz nie gwałtowny ni złośliwy, czasem prawda gorzki i szyderski, ale raczej światu, instytucjom ludzkim, fatalności, niż osobie. Czyż to wszystko zowie się być okrutnym? Nie, to zowie się nieszczęśliwym być! Tak dalece to prawda, że istota, która to niby tu skrzywdzona, sama dojść musi do podziwu przed uczuciem wiecznem, które mną całym się stało, przed nieobalalną miłością, która żyje we mnie! I nie tylko musi, ale już doszła. Ona wie, wie nieodzownie w głębi, w samej głębi serca swego, że niewzruszona, niczem nieobalalna, nieskończona siła spaja mnie z Tobą, ducha mego z Twoim, i że darmo by się kusić o naruszenie tego, co wiecznem jest z natury swojej. Oddam tu jej świętą sprawiedliwość, nie wiem, czy jej mądrości, czy jej szlachetności: nigdy się o to nie kusiła, nigdy! I za to tylko czuję wdzięczność dla niej! Za to jedno tylko! Cóż byś do niej pisać mogła? Z początku trzeba było zręcznie się do tego wziąć, ale teraz cóż napisałabyś? Listu mi Twego nigdy nie pokazała, musiał się tam kwas jakiś przebijać, ale ilekroć wspomina o Tobie, to zawsze spokojnie, przywiązanie, dobrze, rzadko jednak do tego ją puszczam, — bo dla mnie, ilekroć słyszę Twoje imię, to mi w sercu i mózgu staje się zalew krwi i zda mi się, że się rozpadnę jak Cuverclum! Potem świętych imion nie nadużywa się, o tem prawie wie miłość! Powiadam Ci, powtarzam Ci, obaczysz mnie w Rey, obaczysz, a bez szkody najlekszej dla siebie, obaczysz wracającego, obaczysz konającego, i Ty mu życie oddasz!

Mówisz, że marzec brzydki tam. O Consuelo, co Ty mówisz! Czyż zapomniałaś? Czyż nie widzisz? Za miesiąc rok temu będzie! Czyż nie widzisz siebie i mnie pędzących, jak strzały, na koniach, a wkoło wszystko kwiatem, zielonością, błękitem! O, nie, to był boski marzec! Czyż nie świeciło słońce południowe, gdyśmy przez most Varu doganiali odjeżdżającego Taktaka? Czyż brzydko było na niebie, gdyśmy ponami się przesuwali po żwirach potoków? Czy nie ślicznie dzień zachodził, gdyśmy w willi Cesolles, zsiadłszy z koni, piechotą chodzili? Czyż nie błękit lśnił nad wąwozem tym ciasnym, w którym marzyłem, że zasyp skały oddzieli mnie od Ciebie? Czyż w St. Barthélémy, czyż w domu astrologa nie pogoda nas witała na ziemi i niebie? Ale dobrze robisz, że się nie ruszasz. Zazdrościłbym willi Rey Ciebie beze mnie, i wiem, pewno podróż by Ci zaszkodziła. Niech powóz kwiecisty śpi jeszcze, niech odpocznie!

U Jegomości znów byłem, nie przyjął, ale jeszcze będę. Trudna to sprawa z tymi panami! Proszę Cię, Dialy, ufaj i polegaj na mnie. Życia mego celem „przynieść ulgę i pociechę temu drugiemu życiu", o którem wspominasz! Gdybym mógł, śmiercią własną bym się o to postarał, wierz mi, to nie frazes. Żyję tylko myślą tą, żądzą tą, wiarą w to, inaczej bym nie żył! Raz jeszcze Ci mówię: Tyś prawdą mego bytu, prawdą serca mego, zatem życia celem! Być aniołem Tobie, stało się ideałem moim, a wiem, że takim być nie można, lekkomyślnie działając. Lekkomyślność nie jest sposobem na odsunięcie cierpienia drugich, własne tylko nią się odsuwa. Nie lękaj się egoizmu mego, bo ja Cię kocham! Czy Ty rozumiesz to słowo: kocham! Bezdenne, jak niebo, a, jak niebo gwiazdami, tak ono zasłane dobremi i szlachetnemi czyny! Nie lękaj się Twego Zyg.

Twój teraz i na wieki

Do obaczenia, do obaczenia, do obaczenia.

229. DO DELFINY POTOCKIEJ

18 luty, Warszawa

Najdroższy Consuelo! List Twój z 9-go taki dobry, taki tkliwy, przyszedł w sam czas, kiedy już pękało serce i serce obalsamił. Rozlał po nim spokoju trochę. Tysiąc razy za niego stopy Twoje całuję. Niezawodnie, co dzień jest chwila w dniu, w której doznać muszę wzruszenia olbrzymiego, wstrząśnienia całą moją istotą, ale to wzruszenie bywa

[383]*od dnia tego otchłannego, bezdennego, horrorycznego w Dreźnie* — tj. od dnia ślubu poety. [przypis redakcyjny]

albo gromem bolu, albo li też egzaltacją pociechy, błyskawicą jakoby szczęścia. Domyślasz się łacno, że mówię o chwili, w której list Twój odbieram. Lecz przede wszystkiem, jakie bądź on z sobą przynosi wrażenie, pełny list smutku, czy też mniej niebłękitny, świetlańszy trochę, pierwszym on warunkiem bytu mojego, pierwszą karmią życia mego! Gdy już blisko do tej chwili wieczornej, do tej szóstej lub pół do siódmej, opanowywa mnie dreszcz oczekiwania. Niespokojniuję się, jak owe ptaki przed runięciem szczytu góry owej, co naprzeciwko Righi, jak owe konie neapolitańskie przed wybuchem Wezuwiusza, jak owady przed burzą w atmosferze — i trwa stan taki, aż się dowiem od Jana, czy *briefträger*[384] co przyniósł lub nie. Gdy go wołam i pytam, zawsze czuję, że bledną na twarzy, a że w sercu dwa razy krwi tyle. Jeśli odpowie: „nic", to jakbym zimną siekierą dostał w kark. Jeśli wyjmie z kieszeni i odda list, tedy dreszcz się podwaja. Pierwszem spojrzeniem oglądam pieczątkę, ona mi zwiastuje barwę wewnętrzną skarbu, któremu za klucznicę służy. Potem palcami, latającemi na skrzydłach nerwów, rozdzieram kopertę i zaczynam żyć dawnem życiem, żyć życiem, rozpaczać, płakać lub uśmiechać się z błogiego uczucia, wyciągać duszę, jakby rękę lotną, przejrzystą, ogromną ku Tobie i błogosławić Ci. Kilka razy już mi się zdarzyło, żem upadł, *come corpo morto cade*[385], na dywan. To znów zdarzyło mi się, żem pomimo woli, nagle, zaśpiewał, ja, który nigdy już nie śpiewam. Ot, śpiew buchnął z rozszerzonej piersi i o sufit uderzył i zmilkł. Wczoraj powolne łzy zaczęły mi kapać z ócz, słodkie łzy, łzy, z których każda była modlitwą o Ciebie i zarazem wdzięcznością dla Ciebie, łzy lepsze, niż wszelka radość, niż uśmiech wszelki! Bo uczułem, że wiara niezniszczona w duchu Twoim, uczułem, że jeszcze polegasz na mnie i kochasz mnie! Uczułem, żem nie stracił Ciebie.

Co do Jerzego, nie mogę zrozumieć, czym pachnie mi jego milczenie. Zapewne Tyś w samą prawdę uderzyła, twierdząc, że jeszcze z niego młody chłopiec bardzo, wrażliwy i drażliwy, któremu trzeba łechtania przytomności, by w równem utrzymał się przywiązaniu. Jeszcze duchem, jeszcze osobistością się nie stał. Trzeba mu ran dotykać, by w rany wierzył, trzeba mu na oczy widzieć kogo, by kogoś kochał. Młodość bywa zwykle straszną zmysłowością, a że zmysły zapominalskiemi są, co chwila innemu wrażeniu gotowe się poddać, stąd młodych lekkomyślność, — powiedziałbym: lekkozmyślność! Duch tylko jeden umie być wiecznym! Umie równo kochać, czy przy zmysłowej przytomności, czyli też bez niej, bo duch to człowiek wszystek, — to osoba cała, to nie część, to nie połowa nas samych, ale my sami, całkowici już, a co my całkowici ukochamy, jakżeżbyśmy bez zaprzeczenia siebie samych, bez zniszczenia siebie samych to mogli przestać kochać, o tym zapomnieć, kiedy to stało się nami, a my tym się stali. Dopóki zaś to, co kochamy, jest tylko cząstką nas, to jest, albo zmysłów tylko dotyka naszych, albo też myśli naszej tylko, póty można twierdzić, że nasze kochanie łatwe do przemiany, lekkomyślne, choćby na pozór najszaleńsze. Lecz z drugiej strony i to uważać potrzeba, że człowiek żaden od razu duchem nie został ni jest, ale duchem sam się wyrabia, częścią przez moc własną i zasługę, częścią przez okoliczności i cierpienia życia! Dlatego bardzo młodzi uniewinnionymi być muszą w lekkomyślności swojej. To się w nich prawie fatalnie dzieje, jednak i to pewna, że każden może owładnąć sobą, rozpoznać pokusę zawartą w fatalnych, w nim rządzących prawach i wyrozumieniem tej konieczności samąż tę konieczność znieść, zniszczyć. Jerzy już dzieckiem nie jest, myślałem o nim, że już wyrósł na ducha. Dotąd nie pisałem nic do niego — ale wczoraj kilka słów napisałem poważnych, serdecznych i zażalonych. Szczególnie o to, że mi nie doniósł o potwarzach, rzuconych na mnie i na to, co najdrożej i najświęciej kocham na świecie. Te słowa kilka dni jeszcze poleżą w moim stoliku; jeśli nie doczekam się listu od niego, poślę je! Teraz żegnam Cię krzyża znakiem i polecam aniołom. Do obaczenia, do obaczenia —

Twój teraz i na wieki.

230. DO DELFINY POTOCKIEJ

[384]*briefträger* (niem.) — listonosz. [przypis redakcyjny]
[385]*come corpo morto cade* (wł.) — jak pada umarłe ciało. [przypis redakcyjny]

12-sta w nocy, 1844, Warszawa, 6-go marca

Najdroższy Consuelo! Wiesz, co to był gnostycyzm, gnostycy (od słowa *gnosis*, to znaczy nauka po grecku) w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Oto wszystkie podania kabalistyczne Żydów, wszystkie zoroastrowe perskie wyobrażenia i filozofia grecka, spotykając się z chrześcijaństwem i przyjmując je, i ze swego też nieco do niego wprowadzały, to walcząc z jego czystością, to układając się do niej, to chcąc ją przerobić, to znów pochłonięte przez nią. Stąd szkoły gnostyków później za heretyckie uznane przez kościół rzymski — ale wszystkie rozprawiające aż do 6-go wieku o wszystkich dogmatach, o naturze Chrystusa, Boga, świata itd., itd. Spomiędzy wszystkich mistrzów tych szkół jednym z najsławniejszych jest Bardesan[386], tak dalece z początku katolik apostolski, że bronił ortodoksji przeciw innym heretykom, tak dalece chrześcijanin, że naraził się na męczeństwo, odmawiając cesarzowi Verusowi wyrzeczenia się wiary. Otóż jego gnosis tak jest osobliwa, tak dziwnie wdzięku mitologicznego pełna, tak fantastycznie mieszająca chrześcijańskie podania z podaniami wschodniemi, a skądinąd tak filozoficzna i tak całym składem swoim dowodząca, ile to przejść musiał dyskusyj i trudów kościół ortodoksyjny, by swoją prawdę postawić, a wszystkie inne systemata obalić, że chcę Ci tu przytoczyć ten pomysł dziwny i poezji pełen. Słuchaj — to na chwilę oderwie Cię od interesów i od paryskiego turkotu, który obrzydł Tobie. Następnym sposobem rozwija się stworzenie u Bardesana:

Na początku początków, przed wszystkiem istnieniem, był *Pater agnostos*, Ojciec nieznany po grecku — imię Boga przed wszelkim ruchem i objawieniem się — ten sam, który Starcem wieków zowie się w Kabale, a Czasem bez miary i końca w Zendawesta Persów. Ten *Pater agnostos* stworzył nasamprzód Sofię (mądrość), córkę i zarazem małżonkę swoją, pierworodnym synem z niej jest Christos, dalszą emanacją Sofii, dalszem stworzeniem Boga jest siostra i małżonka Christosa, — domyśl się, kto? Oto Pneuma albo Sofia-Achamoth, czyli Duch święty, po żeńsku tu pojęty. — Pneuma to duch po grecku. To pneuma, ten Duch święty, ta Sofia-Achamoth tem samem, że jest córką Sofii pierwszej, a nie prostym, pierwszym wypływem Ojca nieznanego czyli Boga, niższej jest natury od matki swej i od Christosa, brata i męża swego. Jednak należy do pleromu (pleromem zwali gnostycy pełnię niebieskich sił, okrąg, zawierający wszystkie czyste, niewidzialne, duchowe emanacje Boga. U nas Trójca tylko byłaby pleromem). Jej powierzono świat widzialny, ziemię i ciała niebieskie stworzyć, urządzić. Pamiętasz, w *Genesis* pneuma boża unosi się nad wodami. Otóż u gnostyków to była ta Sofia-Achamoth. Lecz gdy zetknęła się z materią, gdy zgubiła myśl czystą w praktyce, że tak powiem, stworzenia, gdy z niebios pierwotnych zstąpić musiała na ziemię i wionąć w człowieka cząstkę ducha swego, stało się, iż zamgliło się coś w niej, i tęskno, strasznie tęskno było jej, uczuła się poniżoną, oderwaną od męża i brata, niepewną, wzdychającą, już nienależącą do pleromu, i zaczęła biedna wołać: „Czemuż, o Boże i królu mój, opuściłeś mnie?". Tęsknota do wyższego świata wnet uniosła ją na drogę ku niemu, ale trzeba było, by zasłużyła na powrót swój do pleromu. Mąż i brat jej, Christos, którego porzuciła była, zbiega jej na pomoc, jednak wolną jej wolę zostawia, nie zmusza do niczego, tylko wpływa na nią. Wnet ona w nim poznała doskonałe światło, skoro przypomniała go sobie, pokochała go znów nieskończenie. On ją więc poprowadził drogą oczyszczeń, na której końcu znów się z nią połączył, jako z pierwotną oblubienicą. Gnostycy w modlitwach do boskiej matki, tej Sofii-Achamoth (do tej pierwszej Sofii, małżonki i córki Boga) przepowiadali sobie: „Kiedyś przytomni będziem twoim godom w niebie, tam anioły twemi gośćmi, a twoja córka na twoich kolanach, i ty pieścisz ją i śpiewasz jej". Tak zaczynała się teoria Bardesana. Później dla ratowania ludzi, którzy także mieli kiedyś połączyć się z pleromem, schodził Christos na ziemię w ciele nie rzeczywistem żadnem, ale niebieskiem, wiotkiem, jak ciała aniołów, rodził się przez Marię, ale nie z Marii, i ludziom objawiał przyszłość i sposób powrotu do pleromu. — Z tego możesz poznać, jak świat marzył i filozofował, świat chrześcijański początkowy, koło tradycji apostołów wyrastającej w opokę kościoła, bo to nie byli niechrześcijanie, którzy tak twierdzili, ani też oni co do litery martwej temu wierzyli, ale taką alegorią tłumaczyli sobie Trójcę i rozwinięcie się Ducha Boskiego w stworzeniu. Uderzyło mnie podobieństwo Psychy, szukającej

[386] *Bardesanes* — gnostyk II wieku, żyjący w Edessie. [przypis redakcyjny]

Erosa z Sofia-Achamoth tęskniącą za Christosem. Tak dusza każda tęskni do niebios, do przyszłości, do nieskończoności, i pojęcie takiej siostry odwiecznej Christosa, którą on ratuje, gdy ona zatęskni ku niemu, wydało mi się pełnem orientalnej piękności. Czegoż już wyobraźnia ludzka nie przemarzyła? Czegoż serce ludzkie już nie przeczuło? Czegoż umysł ludzki już nie dotknął i nie starał się odkryć na tym świecie! I pięknie i dobrze tak, w tem leży zasługa, bo w tem jest praca duchów śmiertelnych, stających się nieśmiertelnemi! Lecz przyznać należy, że Trójca trzech osób, zupełnie sobie równych, jednego Boga składających, jest nieskończenie wyższą, prostszą i rozumniejszą ideą nad wszystkie genealogie rodzących się z Boga jestestw niższych, a Trójcę kościół ustalił. Pierwsi to ojcowie kościoła, koniecznie, boskiem natchnieniem zdjęci, koniecznie, mówię, zażądali utrzymać w Trójcy pneuma, czyli Ducha Św., o którym, jak widzisz z Sofii-Achamoth, takie różne i dziwne krążyły wyobrażenia, wszystkie wynikłe z najdawniejszych podań wschodnich i filozofii platońskiej. Kościół przeczucia, domysły, teorie ludzkie rozstrzygał stanowieniem dogmatów. A teraz nadchodzą czasy, w których dogmata zawsze te same rozszerzyć się powinny, z cienia się wychylić, wszystko, co w nich ukrytego leży, wyjawić, i tem jeszcze bardziej stać się prawdami. Natchnął je Duch św. i Duch św. je rozświeci, roztworzy, objawi na jawie! Zapisałem się — już 2-ga — pomodlę się za Ciebie i pójdę spocząć.

7-go marca. Co szczególnego w tej formie, którą opowiedziałem Ci wczoraj, to żeńskość jej, to przerobienie ducha na istotę kobiecą. Otóż w tem masz wytłumaczenie tego *Ewig-Weibliches* na końcu *Fausta*, za którem idzie Faust i zbawion jest.

Twój omeopata nieźle gwarzy, — w istocie w każdem ciele martwem (my zowiemy je martwemi, bo nasze zmysły za martwe na dostrzeżenie w nich życia) jest siła specyficzna, jemu właściwa, tak dalece charakter jego stanowiąca, że działa na nas zupełnie inaczej od drugiego ciała. Trucizny szczególnie tego dowodzą, bo każda ma sympatię właściwą do tej, a nie innej części ciała. Np. zażywszy jedną, trzeba będzie później szukać jej w wątrobie, drugą w sercu, trzecią w śledzionie, a jednak każda zrazu do żołądka się tylko jedynie dostała, a stamtąd dopiero poszła ciągniona atrakcją wyłączną do tego organu, z którym tajemny ma związek. Rozprawy pana Orfila i Raspail szczególnie to wyświeciły. Któż by wątpił, że wszędzie jest duch i życie? Więcej powiem, duch tylko, tylko duch jest — ale duch się składa z dwóch kierunków, z jednego widomego, który zwiemy materią, z drugiego niewidzialnego, który zowiem myślą. Myśl i materia, razem połączone — (a gdzież są nie razem połączone?) są duchem; w jednych istotach jedno, w drugich drugie przeważa, stąd wszystkie nieskończone kształty duchów! W ciałach np. martwych materia tylko zrazu się objawia nam, jednak w nich jest to niewidome, które, choć niewidome, niedotykalne, jednak działa, a ta myśl w nich zowie się ich siłą. Kto kiedy siłę widział, kto siły w naturze się dotknął? Kto okiem zmierzył, kto palec położył na atrakcji, na sile ciężkości, na elektrycznej sile, na magnetycznej itd., itd., itd.? Tylko skutki ich widzimy, tak jak w człowieku tylko skutki woli i myśli i żądzy jego, — więc i w ciałach jest duch, złożony z siły niewidzialnej i z objawu widzialnego. Duch żywy, choć niepojmujący siebie, choć senny jeszcze, nierozbudzony, ale mimo to działający według woli bożej w tym śnie swoim. Teraz, jakim sposobem omeopata przykłada się do podwojenia jego działalności przez rozdrabnianie na cząstki ciała jakiego, to tego jasno nie rozumiem, chyba, że przez to ciągłe tarcie obudza magnetyczną siłę, w każdem ciele ukrytą, a magnetyzm niczem innem, tylko przyprowadzeniem ducha jakowego, życia jakowego, siły jakowejś, do wyrażenia zupełnego na zewnątrz wszystkich władz, wewnątrz siebie spoczywających, czyli do objawienia się cudownie. Bo cud czemże innem, jeśli nie całą niewidzialnością myśli, siły, intencji, objawioną widzialnie, dotkliwie, na oczy, tak, że to, co było tylko ukrytą wolą lub chęcią lub pomysłem, staje się czynem realnym! W takiem skojarzeniu się zupełnem myśli wewnętrznej, woli wewnętrznej, z zewnętrznym światem, ciałem, objawem, cóż widzisz? Oto znów ducha widzisz, który, powtarzam, jest najwyższą zgodą materii i myśli. Cud to jest właściwa władza, przymiot naturalny ducha, ale ducha zgodnego z wolą świętą ducha duchów wszystkich — Boga. W naturze wolą tą świętą są wieczne prawa natury. Jeśli trafi na nie uczony, czy lekarz, choćby ich sam nie rozumiał, muszą wtedy ciała, jak zaklęte duchy, mu służyć, i tak w omeopatii służą, przynajmniej można przypuścić, że nie jest niepodobnym, by służyły. Alem już musiał Cię znudzić,

moja droga Dialy, i gnostykami i omeopatią. Nie byłbym tego czynił, gdybym nie był z Twego listu spostrzegł, że Cię już serdecznie znudziło wszystko, co Ciebie otacza, — do munichowskich więc wróciłem czasów.

Perthesa czyś kazała szukać? Jerzy szuka zawsze czegoś w zewnętrznym świecie. Wielką prawdę mu powiedz ode mnie: o tyle tylko da komu co świat, o ile światu ten ktoś co da z siebie. Trzeba wiarę, nadzieję i miłość mieć wewnętrzną, a wtedy ożywi się świat zewnętrzny. „Według wiary twojej stanie ci się". Jerzy się rozbałamucił, choć nieskończenie wyższy od tej młodzi, co siedzi po kawiarniach i klubach lub faetonuje na Elizejskich Polach, jednak stał się podobnym do niej tem, że wymaga wciąż od samej materii, tj. od samych zewnętrznych miejsc, ulic, towarzystw, życia, zajęcia, odnudzenia. Niech w siebie zstąpi, coś w sobie stworzy, a wtedy dopiero spotyka się z światem, walką, czy pokojem! Nie mogę się odpowiedzi doprosić od niego. Czyż to nie dowód szalonego rozbałamucenia się, zlazzaronienia się? Kogo rozpacz przyprowadzi do bezżycia, ten prawie świętym, bo życie bolem bolów, ale kto sobie z wolnej woli obiera taki stan deptania po bruku, ten lepiej by uczynił na lokaja pójść, przynajmniej byłby komuś usłużnym! Gorzkiem mi to wszystko, i nieufność jego i zślamazarnienie! Do obaczenia, do obaczenia, stopy Twoje całuję. Nie przeziąb się!

Twój teraz i na wieki

231. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

1844, Warszawa, 9 marca

Drogi Auguście mój! Nędzna byłaby to miłość, która by w chwili danej uniosła się porywczością chłopięcą, mającą ujmę lub szkodę przynieść ukochanym. Nie posądzaj mnie nigdy o takową tam, gdzie wiesz, że kocham. Dla siebie samego gotówem tak porywać się i czynić, bo siebie nie kocham, bo o siebie nie dbam, lecz nawet w rozpaczy spokojnym, kiedy idzie o Siostrę, przed drugiemi! Ty mnie, choć znasz, nie poznałeś jeszcze. Serce pełnią przywiązania przejęte — wierz mi — mieści w sobie natchnionym sposobem całą logikę rozumu. Roztropnem jest, bo mu trzeba opatrznością być względem tych, ku którym się ma. Zatem i silnie i zręcznie, a beznamiętnie, zatem gorąco działać, lecz nie występować. Właśnie takiemi były cechy, piętnujące sposób, który obrałem. Takowy obrać, bo przeciwny mojej entelechii[387] całej, było ofiarą — było poświęceniem. Alem się ani nie zawahał, gdym ujrzał, że tylko taki pozostał mi, a żaden inny. Długo zaś by czasu zabrało donosić Tobie, albo jej, z jakich ogniw łańcuch ten pleciony, dość na tem, że 1-mo: w niczem ona do niego nie wciągnięta, żadna na nią odpowiedzialność nie spływa. Nigdzie jej imię, ani chęć, ani wola nie występują. Wszystko ode mnie się poczyna i na mnie się kończy, a przy tem jednak żadnego objawu wystąpienia mojego tam nie masz; 2-do: Cel zaś do osiągnienia zupełnie ten sam, jaki wyraziłeś, że żądany przez nią — bo w istocie wszystko już teraz na tem się opiera[388]. — Żadne procesa ni procedury prawne nic nie pomogą ni przyniosą. Sam akt już się nie odrobi, ale o to idzie, by się coś uratowało z ruiny tej całej, a ratunek tylko z góry[389] może przyjść. Za trzy miesiące wszystko rozstrzygniętem być powinno. Zatem uspokój się i ją też uspokój. Zresztą dalsze listy moje już musiały ten wpływ na nią wywrzeć, bo z nich się przekonała, że właśnie użyłem tego *modus in rebus*[390], widząc, iż wszelkie pieniactwo niemożebnością się stało, a zatem, że ta *γνώσις κατ' ἐξοχήν*[391] moja nie jest żadnym procesem ani osobistym *pugilatem*[392] z owym panem, z „cnotliwych i wolnych" pochodzącym!

[387] *entelechia* (z gr.) — u filozofa Arystotelesa przemiana zawartych w kimś lub czemś możliwości w rzeczywistość. [przypis redakcyjny]

[388] *Cel zaś do osiągnienia zupełnie ten sam, jaki wyraziłeś, że żądany przez nią (…)* — mowa tu o procesie rozwodowym Delfiny Potockiej. [przypis redakcyjny]

[389] *ratunek tylko z góry* — tj. z Petersburga. [przypis redakcyjny]

[390] *modus in rebus* (łac.) — sposobu. [przypis redakcyjny]

[391] *γνώσις κατ' ἐξοχήν* (gr.) — doskonała wiedza. [przypis redakcyjny]

[392] *pugilat* (łac.) — walka na pięści. [przypis redakcyjny]

Powiem Ci rzecz, która winna Ci dowieść, o ile factum widome więcej ma siły nad logiki pisane i o ile siła magnetyzmu, jako siła żywotna, rozbudzająca się u przedsionka trzeciej ery, dziwnie umie walczyć przeciwko nieosobistości czy w Bogu, czy w nas samych. Temu trzy miesiące tędy przejeżdżał Rogierek[393], oddychający nieosobistością — dający słowo honoru, że duch obiektywny jedynym jest absolutem i że osobistości nigdzie nie masz. Teraz wraca wierzący w osobistość Starca wieków, jak zwali kabaliści lub *πατρός ἀγνώστον*[394] jak mówili gnostycy, i w ciał zmartwychwstanie w dzień rozwiązania się losów planety. Kto go tak przeinaczył? Kilka tygodni przy Jadwidze Lubomirskiej, o której wiesz, że umiera, a ciągle jasnowidzi. Pytał się ją o katolicyzm. Nic nie odpowiedziała, kiedy się jej spowiadał jej samej, że we wszystkie punkta ortodoksji wierzyć nie może, ale rzekła: „Religijności miej więcej! — Religijnego ducha nie masz" — i to słowo niewieście wszystkich Feuerbachów i Baurów zwiało mu z duszy! Patrz, co to słowo w porównaniu z kazaniem! O, kazań już dość było! Słów teraz trzeba!

Czyś odebrał muzykę moją? Proszę Cię, pisz do mnie częściej — pisz szczegółowiej — pisz mi o Siostrze[395] — jak jest, jak wygląda i jak wiele cierpi? Jerzego ratuj, bo gubi się lazzarońswtem.

Twój ojciec przybył z Surowa nazad, był chory na nogę. Dwa dni nie wychodził, — ale to nic nie było — *dolor artriticus ambiens et volalilis*[396], który znikł. Dziś jest tu na obiedzie — więc widzisz, że zdrów.

Twój na zawsze Z.

232. DO DELFINY POTOCKIEJ

12 marca 1844, Warszawa

Mój Consuelo! Trzeci to już dzień bez słówka od Ciebie! Czy znowu grypa Cię ogarnęła po tej przejażdżce po Bulońskim lesie? Czy też dzielę los wspólny donosicielom złych nowin, do których niechętnie odpisują ludzie? Nic na pewno nie wiem i darmo suszę głowę, a serce drę rozmaitemi przypuszczeniami, to jedno wiem, że mi smutno piekielnie.

Wczoraj nową edycję, prześliczną, *Marii* Malczewskiego przepatrywałem i odczytałem najsmętniejsze tego arcydzieła smutku wiersze. Nikt nic podobnego ni wprzód, ni później, ni nigdy nie napisze już po polsku, i sam Byron tak nie umiał pisać, bo nigdy do rozpaczy olbrzymiej nie domieszał tej słowiańskiej, anielskiej tkliwości, jaka tam wszędzie łzami wonnymi, a zatrutymi przebija i świeci. Płakałem, czytając, bo dopiero teraz ocenić mogę całą duszę Malczewskiego, tę duszę wędrowną po Włoszech i Montblanie, tę duszę czynną, a ściganą losem, jak Konstantego duch, tylko że Konstanty nie wyśpiewał, jak łabędź, bolu swego przed śmiercią, — duszę tę wreszcie kochającą namiętnie, ale i czysto, święcie z dziecinną czułością i tytańską mocą, jak dusza moja. Co tam półcieni przywiązania, co tam drobnostek wysmukłe ładnych miłości, a ileż łez, tęsknic, gorzkiego cierpienia, jaki do świata żal, jaka wrogiem dusz kochających! Wiersz, choć wzgarda melancholijna nad tym wiecznym nie kształtowany, choć często dziki, szorstki, niepoprawny, jednakże piękniejszy, niż wszystkie inne innych wszystkich, bo po przeczytaniu zostaje w duszy nie jako wiersz, nie jako słowa, ale jako muzyka i domaga się nazad siebie samego, zmusza cię, byś wróciła do książki i znów otworzyła ją i znów czytała, a płacząc. Nic muzyczniejszego w języku ludzkim nie znam; mówię tu o dźwięku zmysłowym, mówię o duchu muzyki, duchem zaś muzyki jest: wyrażać to, czego słowa nie potrafią — czucie! Czucie najskrytsze, najnamiętniejsze, najuroczystsze, które leży w siódmej głębi serca. Otóż wiersz Malczewskiego jest takim duchem śpiewającym; zdarza się, że nie zrozumiesz nawet jasno wyrazów, a jednak zostaje po nich czarująca tęsknota. Czujesz je, jakbyś śpiew ponury, śpiew głęboki usłyszała była na fortepianie i nie mogła się ukoić,

[393] *Rogierek* — Raczyński. [przypis redakcyjny]
[394] *πατρός ἀγνώστον* (gr.) — *patros agnoston*; nieznanego ojca. [przypis redakcyjny]
[395] *pisz mi o Siostrze* — Delfinie Potockiej. [przypis redakcyjny]
[396] *dolor artriticus ambiens et volalilis* (łac.) — ból artretyczny latający i przejściowy. [przypis redakcyjny]

uspokoić przed usłyszeniem go znowu. O, proszę Cię, odczytaj to poema, które niegdyś czytaliśmy razem!

Co to za wiersz np.:

A gdy się troski do duszy wkradną,
Hucząc w niej chmury czarnemi;
A gdy nieszczęścia na kogo spadną
I postać wzniosłą, szlachetną, ładną
Smutek nachyli ku ziemi:
O, niech na chwilę złość się już schowa,
Rany sztyletem nie cuci...
Niech choć przy zgonie zabrzmią te słowa:
„Wróci spokojność, wróci!"

Bo na tym świecie śmierć wszystko zmiecie,
Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie!

A gdy kto chętny w drugich obronie
I sam się w przepaść zagrzebie,
Krótka stąd radość w Zawiści łonie!
Choć złe i dobre w grubej zasłonie,
Sąd ostateczny jest w niebie! —
Może w kłopocie i silna głowa
Posępnie kiedy się rzuci...
Niech z ust życzliwych brzmią wtedy słowa:
„Wróci wesołość, wróci!"

Bo na tym świecie śmierć wszystko zmiecie,
Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie!

A gdy kto, dążąc z dalekiej drogi,
W mieszkanie przyjaźni zajdzie
I już w uściskach topić ma trwogi,
Lecz ciche, puste przebiegłszy progi,
Twarzy kochanej nie znajdzie —
Więc drżąc, czy się co złego nie dowie,
Spuszczone czoło zasmuci...
Niech choć gościnność, kręcąc się, powie:
„Wróci gospodarz, wróci!"

Bo na tym świecie itd. itd. itd.

A te cztery:

Tam Wacław raz ostatni posłanie Jejmości,
I czułem wyręczeniem bezwładnej skromności
Jej członki, szaty, włosy w porządek układa,
Bo ciekawa Złośliwość i w śmierci ogada!

Czy to nie niebieskie, a tak ziemskie zarazem!

Jakaś posępna słodycz w jej każdem ruszeniu,
Ani łzy, ani żalu w jej mglistem spojrzeniu!
O, nie! — Przeszłych już zgryzot nie widać tam wojny,
Tylko znikłej nadziei grobowiec spokojny,
Tylko się lampa szczęścia w jej oczach paliła

I zgasła, — i swym dymem całą twarz zaćmiła!

Kto z wszystkich poetów naszych kiedy pojął tak kobietę? Nikt, nikt! Bo inni żyli z szynkarkami, a ten jeden żył z niewieściemi duchy!

233. DO KAJETANA KOŹMIANA

Warszawa, dnia 23 marca 1844 r.

Przyznaję prawdę całą: zrazu z uprzedzeniem, dalej z zajęciem, później z rosnącym uwielbieniem, wreszcie z miłością słuchałem i czytałem *Czarnieckiego*[397]. Bo miłość, to stosunek ducha do piękności, a *Czarniecki* pięknym jest. Oto ogół wrażenia. Teraz jeżeli pozwolisz, łaskawy Panie, wspomnę o niektórych szczegółach i, całość ukochawszy, dlatego właśnie, że ją kocham, drobnostkom pewnym, ją nadwyrężającym, opierać się będę. Ani myślę sprzeciwiać się zdaniu czcigodnego Pana, że w naszej Rzeczypospolitej rzymska i chrześcijańska cnota, rzymskie i chrześcijańskie wyobrażenia harmonijnie się zespoliły. Oryginalność nawet charakteru polskiego wynikła z zawarcia w sobie, zgodnego i niewymuszonego, dwóch tych różnorodnych światów, ku pojednaniu i zespoleniu których dopiero teraz reszta europejskiego świata dąży. Ale racz uważać, że każdy Polak, ni sztucznie, ni matematycznie, dodając jeden do drugiego, te dwa pierwiastki w sobie mieścił, ale żywotnie! Był jako Rzymianin, był jako chrześcijanin, ale nade wszystko był Polakiem, tak, że w nim rozdzielić się nie dadzą te składowe części, ale muszą żyć przepojone sobą — jak żyją w trzecim ciele dwa inne, co je chemicznie złożyły, stały się niem, nie są już sobą, a jednak owe trzecie, tylko z nich się składa. Dlatego *Czarniecki* choć miał Godfryda w sobie, nie był Godfrydem, choć Scypiona, nie był Scypionem, ale czymsiś trzecim, inszym, zwanym duszą żywą Stefana Czarnieckiego, duszą polską! Stąd to wynikła krytyka moja ostatnich o nim wierszy, przesłanych w liście do Jędrzeja[398]. Przecudne jest jako efekt i jako prawda, zdaniem mojem, zaprzeczenie, którem wieszcz odrzuca Achillesa i Hektora, wprzód postawiwszy ich posągi za miarę Czarnieckiemu; ale podobnie powinien uczynić z Godfrydem i Tankredem i ich postawić na chwilkę, i ich też obalić, a dopiero wtedy zawołać:

To on, to szlachcic polski, wódz sarmackich wieków.

Gdybym śmiał ręczyć, tobym ręczył, że w tym uczuciu mojem jest prawda, że w tem pojęciu Czarnieckiego jest życie, że on właśnie tem, a nie czem innem był na ziemi, że mu takie zostawić lice, jest na nowo go stworzyć. Zresztą spostrzeżenia względem tego miejsca, rozciągnąłbym do całego poematu, do całości Polski, która w tej epopei objawić się i odsłonić powinna. Wcale więc a wcale nie sprzeciwiam się wspominaniu Rzymian i Greków, jednak sądzę, że raczej osoby, mówiące w epopei, ich wspominać powinny, niż sam wieszcz, bo osób tych to było obyczajem. Wieszcz zaś obyczaju swego własnego w epopei mieć nie może, jedno całkowite życie epoki; jej lice, schwytane we właściwej barwie, jego obyczajem. Jak stwórca, wyższym on być powinien od stworzonych i pojmować ich wszystkich razem i ich wszystkość całą, kiedy oni, to jest każdy z nich, tylko siebie pojmuje. Z tego stanowiska właśnie krytykując, pyszną mi się wydała rozmowa między królem szwedzkim i Wąsowiczem; obie strony mówią każda swoje, a ponad niemi znać wtedy ich stwórcę, który jest *sine ira et studio*[399], jako sama prawda.

Epopei wieczną wymagalnością, celem ostatecznym jest takiego pokoju osiągnienie, a osiągiwa się wymierzeniem każdemu sprawiedliwości. Sprawiedliwość zaś na niwach sztuki, zdaje mi się, że to właściwe lice, właściwy życia koloryt, oddany każdemu z tych trupów wielkich, o których ona wspomina. Gdyby na przykład Spartakiem Chmielnickiego nazwał był jaki pan polski, tobym całem sercem na to się zgodził, ale zdaje mi się, że w inwokacji początkowej bardziej czytelnika każdego przeszyje pierś zatrute imię Bogdana, aniżeli Spartaka nazwa. Dzwon Zygmuntowski jak rozbrzmiał się w duszy mojej,

[397] *czytałem „Czarnieckiego"* — mowa o dziele Kajetana Koźmiana pt. *Stefan Czarniecki. Poemat w 12-tu pieśniach* wydanym dopiero po śmierci autora w Poznaniu w r. 1858. [przypis redakcyjny]

[398] *w liście do Jędrzeja* — Jędrzeja Koźmiana. [przypis redakcyjny]

[399] *sine ira et studio* (łac.) — bez gniewu i bez przychylności, tj. bezstronnie. [przypis redakcyjny]

tak coraz potężniej grzmi; takie wiersze przeciągają dźwięk takich dzwonów w najodleglejszą przyszłość, one same są żywemi sercami, bijącemi nad dusz słuchających poziomem; i owe, któremi Kazimierz tłumaczy czoła swego wypogodzenie, arcypięknemi mi się wydały. Ośmieliłem się „śmiertelnych" na „śmiertelnej" przemienić. Czy nie czujesz, łaskawy Panie, że tę śmiałość moją trzeba mi przebaczyć, bo majestat wiersza przez nią się podniósł.

Dalej nie chcę mojemi nudzić uwagi, czuję i wierzę, że *Czarniecki* wielkiem dziełem będzie, za każdą pieśnią więcej *Ecce Deus*[400] w piersiach wieszcza znać; taki wzrost, taki postęp, taka potęga znamieniem jest wszelkiej prawdziwej piękności, i przyszło mi na myśl, czytając te pieśni, że w Tobie trzecim, łaskawy Panie, za dni moich powaga starości cudnie się zmięszała z młodzieńczym natchnieniem i energią. Dwaj inni są jeszcze, choć w innych okręgach ducha. Com uczuł, to piszę, prawdę mojego uczucia. Jeśli w czem błądzę, racz mi łaskawie darować i przyjąć z głębi serca mego wynikłe dzięki za tkliwą i powtarzaną wciąż pamięć. Serdecznie przywiązany i wdzięczny

Zygmunt.

P.S. Co zaś do dalszej osnowy, czyby nie warto dać Stefanowi *conscientiam*[401] przyszłości Polski, której zapewne nie miał w myśli swojej, choć ona koniecznie z czynu jego wytryska? Nie można by niektóre prorocze chwile, błyskawice przelotne przeczucia ogromnego, wlać w serce tego człowieka, tego pierwowzoru wszystkich, mających kiedyś skupiać rozebrane części i ratować kraju całość? My dziś już możem widzieć, ku czemu Polska, na świat ten zesłana, stąpa. Możemy, krzyża chrystusowego oświeceni światłem, pojąć, co znaczy podobny krzyż, wystawiony na przejściu z jednej epoki do drugiej, krzyż, na którym nie już Bóg-człowiek, ale naród jako jeden człowiek kona. Czyż to nie święta tajemnica także? Czyż to nie znak wielkiej przemiany, powszechnego zmartwychwstania? Czyż na polu śmierci naszej, na politycznem polu, przez tęż śmierć nie mamy się spodziewać wykupienia także i dla nas i dla całej ludzkości? Czyż w piersiach Polski, tej drugiej Matki Bolesnej, nie ma także się urodzić duch wszelkiej miłości i sprawiedliwości w stosunkach świeckich, którym dotąd panował tylko książę świata tego, Machiavel? Więc bohater, więc ideał zbawicieli kraju niech to przeczuwa! Bo Czarniecki epopei dziś pisanej, jest nie tylko Czarnieckim dni już przeszłych; ponieważ wieszcz drugiem go obdarza życiem, już poniekąd on należy i do tej epoki, w której zmartwychwstaje. Poezja znaczy tworzenie. Niech ten wielki umarły z rąk Twoich, Panie, weźmie część i naszego życia, tem i nam jeszcze lepiej będzie, bo uwierzym w to, i jemu, bo doskonale i zupełnie odżyje w nas. W tem anielskie posłannictwo poety, że wskrzesza, lecz niezupełnie by wskrzeszał, gdyby nic więcej przebudzonemu nie dawał, nad to, z czem on położył się w trumnę. Przeszłość i przyszłość cała powinny zetknąć się, ściąć się w takim ideale, a wtedy o nim wyrzeknie potomność, żeś go także przed ludzi oczyma:

„...wskrzesił
Między niebem i ziemią w powietrzu zawiesił".

234. DO ADAMA SOŁTANA

(Warszawa) 12 maja 1844

Dzięki bożej opatrzności, że spotykają się wreszcie myśli nasze, że jeszcze rozmówić się możem, mój drogi! Kiedy list Twój przeczytałem, gęsto z ócz łzy kapać zaczęły: wszystko, cośmy przeżyli i przesercowali razem, stanęło żywo przed pamięcią. O mój Adamie, dawno, jakeśmy się nie widzieli, a nie odmieniło się nic u nas, tylko, żeśmy starsi i smutniejsi oba, i oba z tych samych powodów: to jest, że sercom, co biją w naszych piersiach, nie udawa się życie, że spokoju znaleźć nie mogą, bo dręczone srogo, okrutnemi losu żartami sprzecznościami, rozdarte tą wieczną bójką, jaka zachodzi między chęcią a spełnieniem,

[400] *Ecce Deus* (łac.) — oto Bóg. [przypis redakcyjny]
[401] *conscientia* (łac.) — świadomość. [przypis redakcyjny]

pomysłem a rzeczywistością. Wiesz: i u Ciebie, i u mnie rzecz rzadka dziś serce jest; więc nam śród tłumu hucznego zawsze opierać się trzeba na wspomnieniach, na uczuciach! Żadna rzeczywistość, nieodpowiednia naszym pragnieniom, nic prócz bólu nie przynosi.

Więc Ty tak chodzisz po świecie, trzymając w ręku trzech umarłych, bo i druga tarcza z napisem marzy się być także nadgrobkiem[402]. Nieraz albowiem czuję, jakobym już umarł; stan zdrowia mego opłakany. Dodaj do tego całe moje usposobienie umysłowe, dodaj, że nieraz rozpacz taka mnie rozdziera, że modlę się o prędki zgon, jako o jedyną ulgę. Dodaj, że mury tebańskie podłości, poniżenia, i gwałtu i ucisku wkoło mnie się mnożą, że w dzień słyszę jęk ofiar i patrzę na naigrawanie się katów; lecz to jeszcze nie tyle boli, co podłość własnych. Zmaterializował się nad miarę ten kraj, potworzyło się mnóstwo hipokrytów, którzy zwą się „ludźmi rozsądku", głoszą w mnogich kazaniach, że jedyną teraz sprawy podporą jest to, by oni gęste intraty do własnej kieszeni zbierali, że o niczem innem myśleć niepodobna, ale że takie sprzysiężenie się na intrat coraz większych wybieranie podniesie godność człowieczą, zniepodlegli ich i masy na drogę oświecenia i przeświadczenia o sobie wprowadzi, a stad kiedyś powrót życia. Na stu, którzy tę ewangelię roznoszą, dziewięćdziesięciu dziewięciu faryzeusze, a jeden tylko prawdziwie dążący do celu za pomocą wzwyż wspomnianego środka, to jest gospodarczych postępów. Drugą cechą tego kraju, coraz bardziej ciążącą na nim, to strach. *Divide et impera*[403] w całej szatańskiej roztropności piekła dopełnionem tu zostało. Wciąż tworzą sami i wynajdują i wywołują jakieś niby jakobińskie spiski miedzy młodzieżą, na to, by właścicieli, gospodarzy owych, owych intratą walczących przerażać i odrywać od klas mniej zamożnych a cierpiących tak, jak się cierpi w piekle. „Was chcą wyrżnąć" — oto sposobiczek, użyty na kapuściane serca i skórzane wory. Stąd niesłychany strach to swoich, to znów rządu, bo lękają się terroryzmu, o którym rząd im plecie, i terroryzmu istotnego, który sam rząd w każdej chwili wywiera. W Rzymie za cezarów podobnie się działo.

Młodzież w najopłakańszem położeniu. Uczą ją kłamstw i bluźnierstw historycznych, nękają na wszystkie sposoby, smagają rózgami za najlekszą winę, za guzika brak lub za chustkę na szyi białą zamiast przepisanej czarnej, wiodą do więzienia za lada książeczkę; słowem ci, którzy zaczynają życie, daleko tu nieszczęśliwsi od tych, którzy je kończą — starość zgrzybiała jest złotym wiekiem na tych równinach. Stąd w młodzieży niesłychany smutek, pełen niepokoju i nawet wyrzutu przeciwko losom, czyli bezreligijności. Serce ich nawyka skarżyć się sobie samemu na Boga, bo nikt ich nie oświeca, kto jest Bóg, a wciąż w imieniu religii i rządu doznają nieopisanych mąk. Wzrasta więc pokolenie smętne a bezbożne, z pogmatwanemi wyobrażeniami, skwaśniałe i zgorzkniałe w kwiecie lat, ale przy tem pełne nienawiści i hartu, nie owego jednak dawnego, naszego, które nigdy rachuby nie znało i czystem poświęceniem było. Ich hart, to niewolników energia, nie wolnych i wzniosłych: o środki nie dbać, byleby celu dopiąć; konieczny to wynik zaciemnionej duszy, czy zepsuciem, jak u Jezuitów, czy nieszczęściem i bólami, jak u niewolników. A dusza taka nie wie, że środkiem złym nigdy celu wielkiego, potężnego, trwałego, osiągnąć nie sposób; bo leży w naturze harmonijnej wszechrzeczy, że złe chwilowym tylko zagrzmieć może wybuchem, ale nie zdoła nic wybudować na wieki. Oczywiście, takie moralne systematyczne zabijanie młodzieży jest potężnym środkiem na zobojętnienie naszych sił. Piekielny to wymysł na zgubę, nie tylko obecności, ale i przyszłości, wymierzony! Zamordować dziecko w łonie matki jeszcze, oto cel!

Duchowieństwo niewiele warte, piją biskupi i, pijani, łamią sobie nogi, inni, krzyżakami orderowemi ozdobieni, zdradzają krzyż Chrystusa, wielu się boi utraty chleba. Religijnego fanatyzmu w masie kleru nie ma, w niektórych tylko indywiduach wre: na dowód czego piękny list chełmski — musiałeś odebrać, czy tak? W istocie, polityka dworu watykańskiego uniżona, chytra, opuszczona od ducha, nie wzbudza już wiary ani nadziei; nie umie już Rzym iskry miłości i męstwa siać w serca ludzi!

Jednak Adamie mój, nie smętnij zanadto, obraz ten, tu skreślony, czytając. Ten obraz, te szczegóły, to męka nasza, to próba nasza, ale nie koniec, ale nie ostateczna prawda! Trzeba i przez to przejść. Czyż Chrystus, mimo bóstwa, nie doznawał ostatecznego

[402] *Więc Ty tak chodzisz po świecie, trzymając w ręku trzech umarłych (…)* — na lasce, pamiątce po Rajeckim, są dwie tarcze; na jednej wyryte: „Rajecki, Danielewicz", na drugiej kilka słów Zygmunta. [przypis redakcyjny]

[403] *Divide et impera* (łac.) — rozdzielaj i panuj; [dziel i rządź; red. WL]. [przypis redakcyjny]

zwątpienia? Czyż nie przeszedł przez gorycz goryczy wszystkich? I na to, by mógł zmartwychwstać, trzeba było mu nie tylko przez śmierć przechodzić, ale w chwili śmierci samej najokrutniejszej męki moralnej doznawać: zwątpić, czy zmartwychwstanie, zwątpić, czy zbawi ludzkość! Ten krzyk jego ostatni do Ojca był zarazem najwyższym szczeblem bólu i zasługi, a zatem i poświęcenia. Nie byłby inaczej do ostatniej kropli wychylił kielicha, a trzeba ostatnią kroplę wypić, by nic nie zostało. Wtedy dopiero śmierć w życie, ból w radość, przegrana w zwycięstwo się przemieniają: *non est saltus in natura*[404]! Otóż i my, patrząc tylko na fakta zmysłowemi oczyma, moglibyśmy nieraz zwątpić; ależ wiedzmy, że i zwątpienie jest tylko bólem najwyższym a nie żadnym dowodem, nie żadną prawdą, owszem, w tak świętych i bożych dziejach, jak nasze, znakiem, że już bliska odrodzeń godzina.

Mimo wszystko, com napisał, jednak po całej ziemi tej unosi się Pański duch — duch, wlewający oczekiwanie i zapał uniesienia nawet w najbardziej zcieleśnione dusze; gromadzą się materiały w cieniu, wzrasta przekonanie, że cały lud i włościan uczłowieczyć, zobywatelić trzeba; nieporządek, hulatyka, pijaństwo ustają. Prawda, że przedajność wzbiera, ale to tylko śród urzędników. Po miastach wszystkiego po niej się spodziewać można, najostatniejszych podłości; ale po wsiach inaczej jest; mnóstwo książek krąży po dworach szlacheckich, ruch umysłowy posetniony od 1830 roku, księgarnie przepełnione drukami po polsku. Duch, pozbawiony ciała, niesłychanych wysileń zdolnym się okazuje w dążności do odzyskania formy utraconej. To miasto zewnętrznem licem nie wydaje zarodku śmierci, toczącego mu serce, owszem, pełno żywotnych rumieńców nosi, jako to: sklepów, fabryk, teatrów, widowisk itd., itd., itd. W końcu końców i to znak siły, która w każdej chwili od błahych do ważnych celów odwrócić się może. Ale co opłakanem jest, co doszło do najuniżeńszego poniżenia, to historyczne imiona: młodzież, która niemi obarczona, zupełnie pozbawiona potrzebnej siły do ich udźwignienia; nawet wyobrażenia nie mają, co godność jaka bądź, a dopieroż co szlachetność najlepszych i najdzielniejszych (*αριστοσχρατος*)! Szynk z jednej strony, a kameriunkrostwo z drugiej i ślepa bezwiedza z trzeciej ignorancja nieskończona — oto ich piętna! Wszyscy ożyją, da Pan, co w niebie, ale oni, i to mi łzy wydziera, oni nie!

Rozradowało mi duszę, że Tobie znikomą choćby mogłem przynieść pociechę — tę, o której mówisz, że w szufladzie Twojej leży[405]. Ta idea moją wiarą, moją nadzieją, moją miłością! Bez niej zdechłbym, z nią żyję! Ani myśl, by żywot nasz przeminął, a my nie oglądali bożej sprawiedliwości; choćby jej zaczątek ujrzymy! Wszystko, nad czem tu płaczę, to ostatnie łzy. Może indywidualności nasze, przecierpiawszy mąk tyle, zniszczeją, rozłamią się, ale nie rzecz sama, nie opatrzny jej koniec. Indywidualność, czując, że sama w proch się rozsypuje, nieraz smętnym wzrokiem pociąga po świecie i marzy, że to nie ona, ale świat! Jednak idealny duch, co w jej piersiach żyje, upomina ją i mówi: „To ty, nie miłość twoja, umierasz"; a wtedy dobrze się robi, wtedy nieba przyszłości się roztwierają. I ona, ta, którąśmy kochali, nieśmiertelna, stoi tam, z łez i krwi dusz naszych świeża, młoda, piękna! Przecież i my nieśmiertelni za grobem, więc i my spojrzym w jej oczy niebieskie, kiedy i świat w nie patrzyć będzie! Boży duch nas nie opuści za grobem, jak nieraz opuszczał tu, porwie nas i postawi przed ukochaną naszą, a Ona nam powie: „Dziękuję wam, żeście żyli i umierali w miłości mojej".

Bez takiej wiary, bez takiej idei życia nie ma, a z taką i śmierć sama nie przestaje być życiem. Więc jakżeż nie wierzyć?

Musim być smętni, bośmy ludzie, bo ciało mdłe, ale zarazem będziemy niekiedy uweselonymi: bo duch ochotny, choć ciało mdłe, a duch boży w nas i w naszych i w sprawie naszej, która nie przypadku trafem zdarzyła się przy końcu jednej z epok ludzkości, a początku drugiej. Trup nasz, to most przejścia dla ludzkości. Gdy na drugi brzeg się dostanie, wstaniem żywi A wiecznie wiedzmy i czujmy, że, gdzie niesprawiedliwość piekielna, tam musi boża sprawiedliwość się objawić; gdzie ludzie nie umieli kochać, tam Bóg pokocha — inaczej pękłoby *universum*[406]!

17 maja. O mój zacny i drogi na zawsze Adamie! Nam się dostał kielich podobny temu, który do ust chrystusowych na Oliwnem wzgórzu anieli przynieśli, kielich, przed

[404]*non est saltus in natura* (łac.) — nie ma skoku w przyrodzie. [przypis redakcyjny]
[405]*w szufladzie Twojej leży* — *Przedświt*. [przypis redakcyjny]
[406]*universum* (łac.) — wszechświat. [przypis redakcyjny]

którym cofnął się Syn Boży, bo kielich nieskończonej boleści! Jednak nie czarty, ale anioły go przynosiły; i z nami to samo: anioły też i nam go podają, bo, gdy ostatnią kroplę jego wychylim, zbawieni będziem i my, i człowieczeństwo tej epoki nowej. Zwątpienie o wszystkiem, oto ostatni znak, najwyższy ból męki naszej! Rozdzielili nas ci, których imię przekleństwem: brata od brata, syna od ojca i ojca od syna; rozdzielili, rozdzielili i ciała ich, i serca ich, i dusze ich! A to wszystko jedna wielka męczarnia, którą musimy świat i ludzkość ocalić, zbawić, podwyższyć, w nowe okręgi wznieść! Znam, o, znam to wszystko! Ale bądź pocieszon, Adamie! Wszystkie ofiary, czy po tej, czy po tamtej stronie, wszystkie jedno mają znaczenie: wszystkie cierpią i cierpieniem dokonywają bożego zamysłu o nas, przyśpieszają rozwiązanie walki olbrzymiej. Wszystkie, wszystkie odnajdą się; pokaże się, że wszystkie, miano pozór zewnętrzny, były narzędziami do jednego dobra, do jednej piękności. I na mogile tych, co pod Kaukazu górami legli, napisze kiedyś anioł polski: „I oni też za mnie", bo bez nich nie byłoby tam apostolstwa duchowego Polski, idea Polski nie rozchodziłaby się i wszystko by martwem zostało! A tak od północy na południe, jako świat wielki, wszędzie w żyłach świata krąży krew, myśl nasza — i pora się zbliża i będzie świt!

Pamiętasz słowa boże: „Kto zachowa duszę, straci ją; kto ją straci, znajdzie ją". Otóż Austria ją zachowała, Anglia zachowała itd., itd. — stracą ją, a my ją stracili, więc odnajdziem ją. Przyszedł czas już nie tylko do indywiduów, ale do narodów też i do całej ludzkości stosować słowo i przepis chrystusowy. Jeden Bóg i jedno prawo i prawda jedna! Dwóch nie ma ni być może. Przyłączam Ci tu w tej wierze, w tej nadziei, w tej miłości napisany Psalm; schowaj go do szuflady, niech leży obok siostry[407].

Przyłączam też i weksel ten: racz tysiąc franków przesłać tam, gdzie wprzódy, ruchomej łódce kozackiej; resztę zaś, proszę Cię i błagam, zachowaj na wszelki przypadek w tejże samej szufladzie, a to, by mi ulżyć troski i strapienia, bo niedawno przez niemałe przeszedłem, myśląc, że będziesz musiał wyruszyć z miejsca, a nie mając żadnej sposobności przesłania Ci czegośkolwiek. Chwała Bogu, żeś się utrzymał na Kolmarku, ale takie „chybił, trafił" może się ponowić, a ja znowu będę niepokoić się sercem całem; pozwól więc, by moja niespokojność leżała u Ciebie. Szpilkę też niedawno z kilku słowy Ci przesłałem; jeśliś jej nie odebrał, to odbierzesz. Tłumaczenie też *Dziewicy Orleańskiej* tu przyłączam. Żaden język europejski podobnego nie ma; pomyślisz, że Szyller pisał po polsku, a wiem, że lubisz tę tragedię, i kto by z nas jej nie kochał, kiedy jakby dla nas pisana, dla nas na dziś! Niech Marysia ją przeczyta[408]!

Jeszcze tu przydam uwagę, Adamie. Racz tak uczynić, by Czajka[409] do własnych rąk dostała te tysiąc franków, nie zaś przez innych, którym się wydaje, że mogą zmieniać przeznaczenie przesyłek. Zrozumiesz mnie łatwo!

19 maja. A zatem już trzeba list zamykać, bo odjeżdża ten, kto ma go wziąć. Żebyś Ty wiedział, jak mi rzewnie, smętno na duchu, jak mi wszystkie moje przeszłości z wami, o ukochani, tu i owdzie po zielonym świecie młodości, po Apeninach i Alpach, morzach i jeziorach, śnią się i wołają, z grobu teraźniejszego wołają mnie nazad do siebie. Rok temu jeszcze, o tej porze wiosennej, byłem z Jerzym Lubomirskim w Szwajcarii i w Sabaudii, żyłem od dnia do dnia śród przepychu stworzenia, śród gór niebotycznych i kwiecia, u stóp kwitnącego, i słowików, śpiewających wszędzie naokół. Piłem po raz ostatni uniesienie życia z kielicha natury, zda się, całe widnokręgi błękitu wychylałem, a teraz wiosny już nie ma dla mnie, nie ma, nie ma! To straszne uczucie — bezwiosenność na ziemi. A gdy obok tego braku wiecznego zaczną wracać wszystkie wiosny zbiegłe i tańcem zakonnic w *Robercie*[410] otaczać ducha, skrępowanego w grobie, kiedy życie rwie się i rwie i pierś nadaremno rozrywa — o mój Adamie, nie wiem, jak to nazwać, ale to męczarnią!

Owa pora i Tobie niegdyś wiosennością się przymilała. Pamiętasz ten karnawał? Widzę Cię jeszcze kroczącego śród rzymian z tą ochotą młodzieńczą, z tym zapałem, którego braku nic nie wynagradza piersiom ludzkim! Jest to tchnienie życia skądsiś, z niebios,

---

[407] *schowaj go do szuflady, niech leży obok siostry* — jeden z *Psalmów Przyszłości*, zapewne pierwsza redakcja *Psalmu Miłości*. [przypis redakcyjny]

[408] *Tłumaczenie też „Dziewicy Orleańskiej" (…)* — przekład Odyńca, zawarty w IV tomie jego *Tłumaczeń* (Wilno, 1843). [przypis redakcyjny]

[409] *Czajka* — Michał Czajkowski, znany powieściopisarz. [przypis redakcyjny]

[410] *Robert* — *Robert Diabeł*, opera Mayerbeera. [przypis redakcyjny]

które ciało i duszę jednym duchem potężnym, lekkim czyni. Zdawałoby się, że się nigdy nie umrze, a teraz zdaje się, że się już umarło. Do obaczenia, mój drogi, drogi i raz jeszcze drogi Adamie! Wierzmy i miejmy nadzieję! Kiedy zdarzy się sposobność, pisz! Ściskam Cię z wszystkich sił serca, które Twojem jest na zawsze. O Konstanty! *Meliorem, meliorem elegit*[411]! to też umierał z wolą wyzdrowienia!

20 maja. Jeszcze słów kilka, nim pojadą te kartki. Pomyślałem, że ten brązowy pomniczek miłym Ci będzie. Jest tu ktoś, co tak wszystkich książąt i królów naszych groby rytuje[412]. Spomiędzy leżących na moim stoliku ten wybrałem, bo najlekszy i najmniej trudny do przewiezienia. Ostatni to dwaj mazowieccy książęta, jak napis pokazuje, a na chwilę niniejszą te dwie bliźnie postacie rycerskie uśpione mogą Ci Koronę i Litwę wystawiać; uśpione koło jednego, tego samego drzewca, bez sztandaru, ale gdy się przebudzą, i sztandar z niebios zleci, i przyczepi się do drzewca!

Raz jeszcze Cię ściskam i ściskam; myśl o mnie, pamiętaj o mnie, kochaj mnie, jakeś kochany!

Twój na zawsze

Tadzio biedny i chory, kłaniać Ci się każe. Księżnie moje najserdeczniejsze złóż uszanowanie ode mnie! Skoro co się dowiem o synu Twoim, doniosę Ci zaraz.

235. DO STANISŁAWA MAŁACHOWSKIEGO

1844, 5 novembris[413]*, Warszawa*

Mój drogi! Niedawno pisałem i przesłałem Ci karteczkę dla pani naszej, którą sam nazwałeś Sylfidą[414]; już musiała Cię dojść i Ty ją posłał dalej — teraz słuchaj. Niestworzone tu rzeczy się dzieją w tych czasach. Posłano kawalerią, infanterią, armaty do Radomia, twierdząc, że tam chłopi mają humańszczyznę zacząć, mają, spiskiem poprzysiężeni komunistowskim, chcieć panów swych zarzynać. Więc protekcja orężna poszła bronić szlachtę polską od włościan sandomierskich. Prawda, że zabawnie? A wiesz, czego to początek? Oto zakrój, by niezadługo, gdy kto, nasadzony i zapłacony, kogo z nas pchnie nożem, zarżnie gdzie na wsi lub w mieście, można było powiedzieć, że to komunizm, że to chłopy nasze, że to przepowiadał ojcowski opiekun nad nami, że my słuchać nie chcieli itd. A tymczasem trup trupem będzie i, kogo zechcą, pozbędą się tym sposobem arcymądrym, bez wielkiego zachodu i trudu. Oto sposób wypolszczenia nas! Więc na zasadzie tej fantastyczności aresztują, gdzie mogą, aresztują dniem i nocą studentów, księży, zakonnice nawet.

Wiesz, że Minister Sekretarz Stanu tu jest i przeprowadza swój kodeks, chcąc Napoleoński wyrugować. Prawnicy tutejsi się bronią, jak mogą, zastawiając się rozumem wieków, rzymskim, francuskim, wykazując, że nie sposób szalonej gmatwaniny, przezwanej nowym kodeksem, wprowadzić. Więc wiesz, jakim rozumowaniem odpowiadają ich rozumowaniu? Nadesłane przyboczne figury przychodzą do nich z radą, by się nie narażali, siebie, i dzieci, i żony, by ustąpili, bo kto wie, zajadą kibitki lada dzień i Sybir będzie! Tak ich straszą, jak Kimbarów, jak Rejtanów, jak Sołtyków, jak Załuskich niegdyś, kiedy szło o miliony ludności i o całe krainy; a teraz ani oni Rejtanami, ani idzie już o tak wiele, a straszą również. Wyobrazisz więc sobie, co to za stan, co to za położenie. Szpiegów, prowokatorów więcej, niż czego. Co chwila w sieci ciągną się, kłamią, imaginują spiski, których nie ma. Towarzystwo wstrzemięźliwości zakazali w krakowskiem, bo jakżeby podatek z gorzelni wybrać, gdyby pić przestał lud, a potem i to — asocjacja.

Widzisz, drogi mój, że się złe szybkim krokiem już przesilać zaczyna. Jeśli będziesz pisał do Sylfidy, wspomnij o tych szczegółach, by wiedziała, jak lubem i miłem życie tu i co grozi każdemu z nas. Tymczasem od strony biegunowej głucho; mówią, że tam spleen

[411]*Meliorem, meliorem elegit* (łac.) — wybrał lepszą, lepszą [część]. [przypis redakcyjny]
[412]*(…) królów naszych groby rytuje* — odlewy metalowe, przedstawiające grobowce królów polskich na Wawelu. [przypis redakcyjny]
[413]*novembris* — listopada. [przypis edytorski]
[414]*Sylfida* — Delfina Potocka. [przypis redakcyjny]

i smutna furia i zamknięcie się od oblicza ludzi. Drogi mój, złe się przesila, bo dochodzi takiej miary, że wkrótce przeleje cierpliwość Boga, który najcierpliwszym jest, póki nie dojrzeje ból ludzki, co miłość jego obudza; a wtedy, jako był wprzódy najcierpliwszym, staje się z Chrystusa ukrzyżowanego Jehową, przed którym „przepaść ze strachu siwieje". Gdy ona siwieć zacznie, nam obu włosy poczernieją, białe włosy nasze!

Ściskam Cię. Zawsze mi dochowaj i serca, i ostrożności wszelkiej! Do obaczenia.

236. DO DELFINY POTOCKIEJ

1844, Warszawa, 8-go novembra[415]

Najdroższa Dialy! List Twój z 29-go mam. Zarazem odebrałem i z przeciwnego krańca świata list Aleksandra[416], dość zawiły, nic nie tłumaczący jasno, broniący się osobliwie pod tym względem, że nie mógł ukryć rzeczy, zapisanej w aktach czarno na białem, wciąż ręczący, że wszystkich dokłada starań, skarżący się, żeś nie chciała przeszłej zimy układu z nim zawrzeć, jak Ci ofiarował, i że stąd wszystko złe pochodzi.

Anim myślał o Tobie, przesyłając Ci kawałeczek o faryzeuszce doskonałej. Nic faryzeuszowskiego w Tobie nie masz, moja Dialy. Chciałem Ci tylko wykazać, co to jest praktyka bez inteligencji, litera umarła bez ducha i serce suche! Faryzeuszów pełno koło Ciebie i pełno w świecie. Dlategom ich charakterystykę Tobie posłał. Nie dzielę zdania Twego, by duch francuski coraz bardziej ubożał — owszem, bogacieje, wysysając z niemieckiej piersi mleko gęste i mętne, a ożywcze, i przerabiając je na płyn świetny, przejrzysty, jasny. W baronie niemieckim zgadzam się, że więcej rozumu, niż w księciu francuskim, niż w lordzie angielskim, ale nie więcej, niż w Lapradzie, niż w Leroux, niż w Sand! Umysłowość francuska stara się o głąb germańską, — przepaść germańska zaczyna porastać kwieciem i trawą francuską. Obu dobrze z tem. Duchy, dopóki odosobnione i sprzeczne, słabymi są, ale, gdy się zapoznają, pokochają, przepoją jedne drugiemi, wtedy ich prawdziwa zaczyna się potęga. Potęga wspólnej miłości.

Świat starożytny dopiero wtedy stanął na szczycie umysłowości swojej, gdy Rzym wszystkie zapoznał narody, gdy proroki hebrajskie, wschodnie teozofy, greckie sztukmistrze i mędrcy zeszli się duchami pod jeden portyk i ręce sobie podali na wskróś przez wieki i kraje. Wtedy uharmonizowały się przeciwne dążenia i uderzyła wszechzgody, wszechwykwitu godzina w starożytnym świecie, razem koniec jego i nowego początek, chrześcijaństwo. Ale jest coś dzisiaj na świecie, co może prześciga już dążeniem i duchem i francuskie i germańskie idee, słowiańska filozofia się podnosi, pełna zarazem wiary i rozumu, miłości i inteligencji. Ona to występuje przeciw sceptycyzmowi i panteizmowi germańskiemu i obali go. Jej zasadą fundamentalną jest, że Bóg nie oceanem rozlanego światła tylko, ale też i osobistością, o sobie wiedzącą, jednostką, wszystkiem rządzącą z góry swojego ja, i że człowiek także nie tylko odbiciem znikomem Boga, przemijającem, jak tchnienie, odpadającem w nicość, jak liść suchy od gałęzi w alpejskie przepaście, ale osobistością, jednostką nieśmiertelną, duchem, przerzynającym wieki wieków dwoma skrzydłami, duszą i ciałem, zsypującym z siebie i tę duszę i to ciało, ilekroć mu przychodzi umierać na to, by wdziać piękniejsze i silniejsze, ilekroć mu przychodzi odżyć!

Nie uwierzysz, ile dzieł w takim rodzaju wychodzi; jest ruch ogromny filozoficzno-religijny na łonie Słowiańszczyzny. Wszystko, o czem tylekroć mówiliśmy przy gwiazdach Koloseum, niezawodnie się wypracowywa i wyrabia, nie w jednym, ale w wielu nieśmiertelność ducha, osobistość Boga — oto dary, które ludzkiemu rodowi, które wątpiącej Europie przyniesie duch słowiański. Przypomnisz sobie, że znałaś człowieka, który o nich nigdy na chwilę nie zwątpił, gdy był czas, że wszyscy wątpili, i który Ci przepowiedział, że, nim pomrzemy, będą to prawdy nie tylko wiarą wierzone, ale dowodem dowiedzione, filozoficznie uznane, matematycznie pewne. Do tego dochodzi już zewsząd dążność tej filozofii, która, przejąwszy od niemieckiej doskonałą metodę logikowania, odrzuca wszystkie jej wnioski i rezultaty, po ich gruzach sama wyżej się wspina i otwiera przyszłości widnokręgi, dotąd nieznane.

[415] *novembra* — listopada. [przypis edytorski]
[416] *list Aleksandra* — Aleksandra Komara, brata p. Delfiny. [przypis redakcyjny]

Pogodzenie się wiary z rozumem, inteligencji z miłością, religii z nauką, nastąpi na słowiańskiej niwie. Prawdziwie odbędzie się tym sposobem zlew Ducha Św., który wytłumaczy wszystko i uwielbi wszystko. Lecz jak mówię, to się odbywa w wielu, w mnóstwie duchów, nie w jednym. Zewsząd do tego materiały znoszą, ale wszędzie to samo dążenie i jedna idea. Nawet wtedy, kiedy się sprzeczać zdają, kiedy jedni z drugich żartują lub krytykują się. Dziwnie to zastanawiający i przepyszny widok, znać w nim opatrzne rządy Boga! Kiedy godzina jakiej prawdy wielkiej bliska, zdawałoby się, że prawdziwie natchnienie o niej spływa w piersi oddychających ludzi przez powietrze, że każdemu liście i kwiaty polne szepcą o niej, że na falach rzek i strumieni ona płynie, że pomieszana z światłem słońca i z gwiazd światłem, na jawie i we śnie, wpaja się w głowy i serca! Oto strona boska dziejów wszelkiej idei. Znasz jej stronę ludzką, przekrzywienie, — głupstwo, — komiczność, fanatyzm! Więc dziś o nich mówić nie będę. Bóg bądź z Tobą i zawsze i wszędzie — wspominaj czasami tego, który sercem czuł przy Tobie tyle razy, żeś Ty i on nieśmiertelne duchy i wzywał na świadectwo gwiazd Kolizeum. Do obaczenia — do obaczenia. Stopy ściskam Ci.

Twój teraz i na wieki Z.

237. DO DELFINY POTOCKIEJ

1844 Warszawa 22-go grudnia

Najdroższa Dialy! „*Kto ma, temu więcej jeszcze danem będzie, kto nie ma nic, temu wszystko odjętem*". Zastosuj te słowa do natury ducha, a zrozumiesz. Któż śród duchów ma co? Oto ten, który się wypracował, wyzasłużył, wyrobił na coś, ten, który wciąż siłą twórczą siebie stwarza dalej na podobieństwo Ojca niebieskiego. Więc, na tej drodze podwyższeń, on coraz bardziej i bardziej rośnie. Im więcej nazbierał, tem nazbierze więcej, co silniejszy, świętszy, płodniejszy, rozumniejszy, lepszy jest. Kto zaś nic nie ma, tj. wcale nigdy nic nie wyrobił z siebie, nie wypracował żadnej potęgi z serca swego, zgnił sam przez się, umarł przez brak woli, uczucia, pojęcia, temu i Pan nic nie da, temu i stopień, w którym jest, odjętym będzie, tj. że się niżej cofnąć musi, że w coś podobnego do nicestwa wpaść może, rozletargować się, więc i dar życia w nim uśpi się, zagasieniczy się! Oto słów tych głębokie, duchowe znaczenie. To prawo wieczne pochodzi z tego, że duchy wolnemi są, że muszą własnowolnie z bożą wolą się zgodzić, czyli, co wszystko jedno, z łaski bożej korzystać, bo wola boża tak już w sobie doskonałą i piękną, że dla nas łaskę stanowi. Otóż, jeśliś wolą korzystała z tej łaski, przystąpiła do niej czy tu, czy na gwieździe jakiej, czy jako człowiek, czy jako anioł, czy archanioł itd., tem Ci łatwiej wciąż do niej przystępować, z nią się we wszelkiem uczuciu, rozumie, czynie jednać i takim sposobem coraz wyższej nabywać potęgi. Im wyższą jesteś, tem jeszcze wyższą być możesz, im piękniejszą, tem jeszcze piękniejszą, a coraz bardziej, rozleglej, wspanialej, bo widnokręgi Twoje coraz rozemkniętsze, olbrzymiejsze. Cały postęp nieskończony ludzkości i światów wszystkich zawarty w tych słowiech Pana, w ziemskiem nawet, najniższem, najodleglejszem od właściwego znaczenia znaczeniu jeszcze się prawdzą. Weź cokolwiek na ziemi, potęgę polityczną, handlową, majątkową, co chcesz! Im więcej kto ma, tem z tego samego wypada, że więcej mieć może. — Rotschild zyska Ci miliony w jednym dniu na giełdzie, bo obraca ogromnemi kapitałami, które już pracą od lat wielu nabył. Praca wszelka, dodana do siebie, zmnożona przez siebie, staje się zasobem, fundamentem, podstawą. Imię świetne nabyte jest łatwością, której nie ma człowiek bez imienia, — on dopiero o takowe musi się starać. Piękność lica nawet jest potęgą, i stąd przychodzim do mniemania, że ona musi być nabytą, wyrobioną, przez zasługę życia przeszłego, innego! Na tem spoczywa idea metempsychozy wszelkiej! Ale dotąd ziemski świat rozdzielon od duchowego, od niebieskiego. Religii i Boga dotąd w handlu, w ekonomii politycznej, w rozdawnictwie i układzie bogactw nie znajdziesz, zatem nieraz szachraj ma więcej i może przez to jeszcze więcej mieć, niż poczciwy i ubogi. Jeszcze nie stało się na tej kuli pojednanie woli ludzkiej z bożą wolą w okręgach świata. Stąd tak na pozór razi nas i kaleczy to prawo wieczne, ogłoszone przez Chrystusa, a które jest naturą samą rzeczy. Nie prawo temu

winne, nie logika boża, ale wola nasza, jeszcze dziecinna, co nie przystąpiła do wiekuistej woli i łaski. Gdyby i w rzeczach świeckich była religia, była wszech-przytomność i obecność boża, gdyby i handel, i bankierstwo, i wszystko podobne było kapłaństwem, było uważanem jako sakrament, wtedy ten tylko miałby więcej śród ludzi, kto by i miał więcej przed Bogiem, tj. duch wyższy moralnie, świętszy i piękniejszy posiadałby tem samem wyższą potęgę, więcej pieniędzy nawet, bo jedynie tylko miłosierdzie, rzetelność, sprawiedliwość, pomoc i usługa miłościwa, drugim wyświadczona, stałyby się celem handlu i podobnie wszędzie, w każdej sferze ludzkiej. Wtedy by to słowo Chrystusa i w ziemskiem swem znaczeniu już nas kaleczyć nie mogło. Wszak pojmujesz, Dialy moja? Nieraz dawniej to miejsce także i mnie ubodło, ironią mi się wydawało i byłoby niezawodnie nią, gdyby Bóg-człowiek był mówił tylko jako człowiek, ale on mówić także musiał jako Bóg, a zatem odsłaniać prawa, które czy tu, czy tam, na ziemi czy w niebie jednakowemi są, prawa wszelkiego postępu. Bez owego nie byłoby postępu żadnego nigdzie, praca żadna cielesna czy duszna nigdy by nic nie przyniosła. Weź najprostszą rzecz — ucz się czego: im pilniej się uczysz, tem więcej posiadasz przedmiotu, którego się uczysz, im więcej grasz, tem lepiej grasz na fortepianie! A skądinąd, im bardziej leniwiejesz, temeś leniwsza — tem zapominasz bardziej, coś umiała, i niezręczniejesz! Życie nigdy nie stoi: albo się wznosi, albo opada i cofa się. Niech Bóg Cię strzeże, moja Dialy! Unikaj czadu i źle opalanych kaplic, a módl się za mną, a módl, Dialy najdroższa. Do obaczenia!

Twój teraz i na wieki Z.

238. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

25 marca 1845, Warsz[awa]

Mój drogi Auguście! Dzięki Ci za wszystkie listy. Ostatni pani D. bardzo był pomieszany — czuła się chora mocno i w głębi ducha wzywała mnie. Głupim, żem się dał podbić chorobie i że teraz muszę się pasować z łóżkiem, które mnie nie puszcza.

27-go. Myślę, chyba chory będę, jak pies, wyruszyć stąd i do Ciebie prosto jechać. Jednak jeszcze Cię listem ostrzegę; potem zobaczymy, co mamy do uczynienia. Chciałbym Jerzego widzieć, choćby przez dzień, a potem do Wiednia, a stamtąd nie wiem gdzie, czy za Alpy, czy nad Ren. Ja wciąż myślę, że pani D. chora, coraz chorsza i że z Włoch nie ruszy. Bóg widzi, żem się tej zimy rozszarpał i rozgryzł nad wszelką miarę; już ciało teraz dziękuje za taką służbę i nie chce słuchać ducha.

Ściskam Cię z wszystkich mi pozostałych sił, Auguście, za Twoją dobroć i to, że chcesz ze mną razem jechać. Niech Bóg Ci odpłaci!

Tak mi spieszno być z Tobą, a znów tak mi trudno podnieść się i stanąć na nogi! Wycieńczyło się życie, nerwy, jak nicie pękające — myśl, jak gąsienica łażąca, bezskrzydlna — serce, jak czara, w której grynszpanu wiele. Co chcesz? Straszliwe bywają stany ducha! *Eli, Eli, Lama Sabachtani*[417]! Ściskam Cię raz jeszcze z serca całego.

Twój Zyg.

P. S. Eliza kazała mi koniecznie, bym od niej podziękował Tobie, że chcesz ze mną jechać — dopełniam rozkazu.

239. DO ADAMA SOŁTANA

Wierzenica, 1845, 21 kwietnia

Krótko będę pisał, a za zobaczeniem się, za dni kilka, długo będę mówił. Wiesz, żem przebył tygodni kilka z Marysią i żem syna Twego widział. Alfons jest najpoczciwszy, najszlachetniejszy człowiek, pragnie tylko tego, byś się do niego przeniósł i żył z Marysią

[417] *Eli, Eli, Lama Sabachtani!* (hebr.) — Panie, Panie, czemuś mnie opuścił. [przypis redakcyjny]

razem[418]. Wiozę Ci rozmaite, przez Alfonsa zasięgnięte wiadomości u prawników, tyczące się tego, co księżna powinna uczynić, by zapewnić Marysi urzeczywistnienie swych chęci dla niej. Jadę przez Wiedeń, żeby Cię uściskać, żebyś przestał się gniewać na mnie za to, żem nie pisał przeszłego lata, i żeby księżnę, jeśli Bóg pozwoli, namówić do tych formalności, których interes Marysin wymaga. Wkrótce się uściskamy, mój drogi Adamie! Odmienionego na włosach zsiwiałych i twarzy zmarszczonej obaczysz, ale nie na sercu. Tymczasem o następną łaskę Cię upraszam, ale pod warunkiem, że, co kosztować Cię będzie, bez ceremonii mi powiesz za moim przyjazdem — inaczej wyrządziłbyś mi dolegliwą przykrość. Proszę Cię więc, Adamie, byś, zaopatrzon tu przyczepioną karteczką, odebrał z poczty wiedeńskiej wszystkie listy, których zapewnie niemało na mnie czeka, i u siebie je trzymał, bym zaraz za przyjazdem mógł do Ciebie polecieć i je przeczytać. W Lipsku będę koło ostatnich dni miesiąca, a u Ciebie koło pierwszych maja; skoro przybędę, zaraz do Tuchlauben 556 przylecę i uściskam Cię, od tak dawna myślą już tylko ściskanego. Proszę Cię, nikomu prócz księżnej nie wspominaj o mojem przybyciu, bo nie chcę nikogo widzieć; mam do tego ważne przyczyny. Los mi zdarzy tę ciągłą przyjemność, ten wygrany bilet na loterii, że ciągnę wszędzie za sobą kometowy ogon z komerażów ludzkich, aż mi już obrzydło wszystko, więc nikomu nic o mnie nie mów. Z Tobą się widzieć i narozmawiać chcę przez dni kilka. Mnie potrzeba spokoju i serca Twego, Adamie, a nic innego, bom chory i wcale nie wesół i nienawidzę ludzi.

Twój

August Cieszkowski, u którego w tej chwili bawię, każe się Twojej przypomnieć pamięci.

240. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

24 maja 1845, Nicea

Mój drogi Auguście! Od altenburskiej kolei przez wiele jużem przeszedł kolei (masz, co lubisz igranie słowami); smutno mi bardzo było z Tobą się rozdzielać, mój Ty dobry Auguście, taki arcy-dobry dla mnie zawsze! Ale teraz wziąłem nagrodę za to, żem się przemógł i wyruszył wtedy, choć zostać z Wami chciało serce. W Wiedniu siedziałem od 3-go do 14-go — w wieczór 14-go na kolej wsiadłem i jużem nie spoczął aż 20-go z rana tu. Snem mi były te wszystkie miasta włoskie — Verona, Mediolan, Genua — przelatywały i znikały. Jak farys, wśród nich pędziłem, tylko jak cywilizowany farys, bo w nowym koczu, kupionym w Wiedniu. Przepaść pod młynem Twoim ostatnią była odwagą i wygraną starego nieśmiertelnego. W Wiedniu rozsypał się, gdy go naprawić kazałem. Tak, jak stare ustawy, wiary, państwa, które na pozór jeszcze twardy żywot zaschły mają, póki ich nie dotkniesz, a gdy jaki kowal lub stelmach, nazwiskiem Ronge lub Czerski lub inaczej, chce je sprostować i podłatać, wnet w proch się rozpadają. Otóż powiadam Ci, te miasta włoskie, te jeziora, te morza, dawniej znane, teraz jak wspomnienie senne lecąc koło mnie dniem i nocą odprowadziły mnie aż do Nicei. I jak generał, pierwszy konsul Bonaparte, wymiarkował doskonale na dzień i godzinę, że, opuściwszy się św-tym Bernardem, zastanie wojsko g[enera]ła Melasa koło Marengo i tyły mu przetnie — tak mój geniusz prywatny odgadł, że w Nicei zastanę jeszcze cel mojej podróży[419] i — zastałem, i jestem tu z nią, i kilka dni jeszcze przebędę. Mieszka w willi swojej, nie ozdobnej w „*stropy złociste*", ale oblanej błękitami niebios i mórz, ale wonnej wonią pomarańczowych kwiatów, ale oświeconej wieczorami przez latające luciole. Bardzo smutna, bardzo sposągowana, bardzo chora na serce i przekonana, że początek anewryzmu ma. Jednak, co można było w niej wskrzesić życia, zdaje mi się, że wskrzesiłem moją przytomnością i przywiązaniem. Przynajmniej ma z kim płakać po matce, ma komu mówić o tej kochanej, straconej — wie, że serce, które jej słucha, nie jest jako inne wszystkie serca, które dotąd ją otaczały; a choć bardzo, bardzo znękana, bardzo zwątpiała, tyla nieszczęściami skamieniała, przekonanym, że nikt nie mógłby tyle ulgi jej przynieść,

[418] *Alfons* — Hr. Alfons Sierakowski, zięć Sołtana. [przypis redakcyjny]
[419] *w Nicei zastanę jeszcze cel mojej podróży* — Delfinę Potocką. [przypis redakcyjny]

co ja, i że dobrze zrobiłem, bardzo dobrze, przyjeżdżając, że może tym przyjazdem i tym cichym tu z nią pobytem przyniosłem jej pierwszy raz w życiu rzeczywiste, prawdziwe dobra. Z tego przekonania i mnie lepiej, rzeźwiej, choć smutno bardzo, gdy patrzę na tę postać, znaną w pełni żywota, a teraz tak przełamaną pod ciosami losu, a jednak dumnie prostującą się pod niemi. Wszędzie tu cień matki jej za nami chodzi, po wszystkich tych ścieżkach. I dziesięć razy na dzień znać na pani D[elfi]nie, że duchem kona, choć chce walczyć z boleścią. Powtarzam, jeśli kiedy co dobrze zrobiłem i trafnie, to to, żem teraz tu przyjechał.

Pusta Nicea — nikogo a nikogo, — nawet de Mestry wyjechali do Turynu. Dzień cały siedzę w willi, to rozmawiam z nią o matce, o śmierci, o nieśmiertelności, to ją wyprowadzam na wolne i odżywcze powietrze, to znów czasem staram się ją dzieciństwami rozśmieszać, odrywać od rzeczywistości.

To wszystko, mój drogi, zachowaj sobie, nikomu o tem nie mów, nikomu, nawet G-łowi prorokowi. Gdyby do Księstwa przyjechał, bo podobno tam jedzie — pamiętaj, Auguście! — dla wszystkich niech będę kamieniem, wpadłym w wodę; powiedz, żem utopił się pod Twoim młynem — łatwo uwierzą. W Wiedniu wszystkim oświadczałem, że do Kissingen jadę. Jerzego, wyjeżdżając z Wiednia, prosiłem, by Tobie tylko doniósł, gdzie się zaganiam. Odpisz mi do Heidelberga poste restante, wyraźnie: poste restante, bo inaczej list przez sto rąk będzie przebrudzał się; niedługo tam będę.

A więc byłeś w Dreźnie z Jerzym; świadczyłeś przeciwko świadectwu plotkarskiemu R...! Dzięki Ci — tem zbawiłeś Jerzego, a mnie takżeś ważną przysługę wyświadczył. Mówiłem Ci, że Rogier przyjechał starać się o Kasię[420] — i teraz wiem pewno przez Elizę, że tak jest.

Pani D. każe Tobie czule dziękować za listy Twoje i ciągłą o niej pamięć. Ja zaś jeszcze dziękuję za to, żeś mi wszystkie listy, i jej, i innych, wciąż płacił — a gniewam się dotąd za szampańskie w Köthen. Napisz, co zamyślasz robić i co robisz w Wierzenicy? Guano — irygacje itd. Napisz też co o małym. Św. Jan się zbliża — czy ząbki pokazują się wciąż małemu, czy też znikły? Wracając w auguście, będę przez Wierzenicę jechał, jeśli w niej będziesz. Teraz przez Turyn i Mon-Cenis ku Heidelbergowi, a potem po wypiciu kissingskich wód w Heidelbergu do Wildbad lub Hagi, jak przeszłego lata, na morskie kąpiele. Bóg Cię strzeż! Ściskam Cię z serca głębokiego.

Twój na zawsze Zyg.

Pisałem do Ciebie z Wiednia o pannie K. Pojedź, pojedź do Elizy! Wierz mi, Auguście, ja mam instynkt dobry dla tych, których ukochałem. Zaufaj instynktowi memu! Sercem wącham przyszłość. Ignasia nie było w Wiedniu — nikogo nie było, tylko w wigilię wyjazdu, wieczorem do domu wróciwszy, zastaję kartkę wizytową: Leo Graf Thun i ołówkiem poniżej te słowa: „*Kochalby se seznati pana Krasinskeho*[421]", ale, żem wyjeżdżał, nie byłem u niego, tylko prosiłem Sołtana, by za mnie odwiedził go. Kopersztychy doszły; jeszcze i za nie winienem Ci coś, Ty, przekupujący mnie człowiecze!

241. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Nicea, 7 czerwca 1845

Odpisz mi, czy możesz, do Heidelberga poste restante, wtedy jeszcze może przed przybyciem poproszę Cię, byś na miesiąc gdzie najął parę stancyjek, np. na Champs-Elysées, tam koło Rond point, gdzie stał Jerzy, bo jeszcze lepiej wysiąść w gotowem mieszkaniu, niż do gospody. To wszystko tylko za pomocą Twojej dyskrecji udać się może, bo, gdyby się ktokolwiek dowiedział, to Crasne[422] nie przybędzie. Jest tam teraz mnóstwo znajomych, jest towianizm, jest monarchizm, jest demokratyzm, jest co tylko komu się podoba! Mnie zaś nic z tego się nie podoba, bo zanadto dobrze wiem i głęboko czuję,

[420] *Rogier przyjechał starać się o Kasię* — Branicką, późniejszą Adamową Potocką. [przypis redakcyjny]

[421] *Kochalby se seznati pana Krasinskeho* (czes.) — pragnąłby poznać [pana Krasińskiego; red. WL]. [przypis redakcyjny]

[422] *Crasne* — Krasiński. [przypis redakcyjny]

żeśmy doszli do wigilii wielkiego czynu, wielkiego przesilenia, którego wszystkie znaki dają się rozpoznać na niwach naszych, koronnych i litewskich. To gdy się stanie, w tem oczywiście, że przepadną, zaginą, przeobrażą się, siłą samej natury wypadków wszystkie dzisiejsze stronnictwa; bo zawsze i wszędzie stronnictwa giną przez swoją jednostronność, wyłączność, fanatyzm, ślepotę, a rzecz sama, sam czyn pozostaje, niepodobny do tego, co każde z osobna marzyło, ale podobny do summy zbitej i skupionej ich wszystkich, na miazgę rozbitych. W czasie zaś, już bliskim końca i wypadku, stronnictwa to mają do siebie, że szaleją, twardnieją w swej dumie i zarozumiałości, stają się fanatycznemi nad miarę. W takiem usposobieniu ducha, bez chęci zaszkodzenia, ale przez samą ślepotę i wyłączność i namiętliwość gotowe zgubić człowieka, wydać go, rozkrzyczeć, czy chwaląc, czy ganiąc, czy uwielbieniem, czy potępieniem nadto głośnem z nóg go ściąć i ścieżkę zamknąć przed nim przyszłości. A potem pomnij na zgubny żywioł paplarstwa, rozlany po naszych piersiach! Pomnij, żeśmy z ludów najgadatliwszym, a że mamy do czynienia z ludem z ludów najskrytszym, najmilczniejszym. Zatem pojmiesz, Konstanty drogi, że Crasne nie może inaczej, jak za pomocą absolutnej Twej dyskrecji i absolutnego alibi przybyć uściskać Cię.

Odpisz o tej nowej negocjacji, co myślisz Ty i Twój deputat. Jeśli można, to zaraz dostań aktu potrzebnego i miej go w kieszeni, najlepiej do Bad-Baden dany paszport z Paryża Crasnowi. Do obaczenia; kilka kawałków nowych Ci się odda. Ściskam Cię serdecznie; skoro mi pomyślnie odpiszesz, dalsze Ci przyszlę moje zawiadomienia i prośby[423].

242. DO DELFINY POTOCKIEJ

1845, 12 lipca

Najdroższa Dialy! Twój list z 9-go wczoraj odebran, w głęboką mnie wtrącił melancholię. Te 12 godzin samotnych zatrudnień, po których opadają Ci ręce, przedzwoniły po sercu mojem pogrzebnie, i płakać zacząłem. Czułem tak okropnie, że Ty sama, że Ty się rozdzierasz, męczysz, nudzisz, walczysz, a upadasz na duchu, i umrzeć mi się chciało, widząc, że nie przynoszę Ci pociechy więcej, że nie jestem Tobie podporą, że Ty nie czujesz mnie przy sobie wiecznie, że ledwo zniknę Ci z przed oczu, znikam i jako siła z duszy Twej. Takim pierwsze było wrażenie. Okrutnie smętne, bolesne nad miarę, tak dalece, że, co Ty mówisz, że czujesz wciąż, tj. niezdatność Twoją do niczego, właśnie to ja a nie co innego uczułem w tej chwili, — niezdatność moją w stosunku do Ciebie, niezdatność, nieużytek mój, jałowość w sprawieniu świąt jakichsiś lepszych duchowi Twemu, i ogarnęła mnie rozpacz szeroka, jakby krąg z mgły nicejskiej, pod którą więdnie kwiat i owoc umiera, aż w szpiku kości przejęciem się galwanicznem Twojej natury i tego, co w niej się dzieje, aż w miazdze mózgu uczułem Twój stan, Twoje zwątpienie, nudę, osamotniałość. I chciało mi się paść twarzą na ziemię i lizać kurz, prosząc Boga, by spuścił promień pociechy do Twego serca, bo, gdy konasz, i ja konam, gdy umrzesz i ja umrę na duchu! Nieraz wydaje mi się, że się staram Ciebie unieść przez powietrze nad przepaściami. Gdybyś się w nie stoczyła z objęcia idealnych skrzydeł moich, o, bądź pewna, Dialy, że i ja w przepaść bym się rzucił. Upadłbym za Tobą, ciężarem miłości na dół ciągnięty. Oto pierwsze wrażenie i wylanych łez cichych, niewidzianych przez nikogo, wiele. Ale potem rozjaśnił mi się duch i ujrzałem błękit wkoło Twej postaci i pojąłem, że Ty się mylisz, Dialy, twierdząc, iż nie masz czem się zająć i że nikomu na nic się nie przydajesz. Bóg świadkiem, mylisz się, aniele drogi mój!

O sobie nie będę mówił, bo powinnaś już wiedzieć i za żart tego nie uważać, żeś mojem życiem lub śmiercią moją. Masz wszystkie losy ducha mego i te, co za grobem, w rękach Twoich. Duch, choćby jednego człowieka, jest zawsze rzeczą nieskończonej, nieśmiertelnej wagi. Masz dwie siostry i jednego brata do poprawienia, do wykształcenia, do nakierowania, do zbawienia. Z nich Polki, z niego Polaka musisz uczynić, bo zbliżają się dni, w których Polska potrzebować będzie wszystkich córek i synów swych

[423] *dalsze Ci przyszlę moje zawiadomienia i prośby* — Krasiński przywiózł ze sobą pierwsze trzy *Psalmy Przyszłości* do druku. [przypis redakcyjny]

bez wyjątku, a znów oni Jej, gdyż bez Niej zostaną wygnańcami gorszymi niż ci, co przez wroga wygnani, wygnańcami przez własną matkę wyrzuconymi! Czy pojmujesz, jaki święty masz wtedy obowiązek oddania ich Polsce i znów przez to samo obudzenia w sercu Polski miłości ku nim i opieki nad nimi. — Wigilia, wigilia to już dnia, w którym nie na brak pracy i zatrudnienia, ale na naddatek trudów skarżyć się będziem. Rozwinie się i przed Tobą obszar działalności, do których, Dialy, duch Twój przygotowan. Nie, ni życia ni czasu nie straciłaś, skoroś przygotowana do pojęcia ważności tego dnia religijnej, historycznej, moralnej! Wierz mi, wielu go nie zrozumieją i zginą duchowo przez to. Lecz Ty z onych, którzy zrozumieją i żyć będą właśnie przez drugich i dla drugich. Tak, Dialy, masz przed sobą dwa niezmierzone błonia otwarte. Jedno, dobrych uczynków, drugie, pomysłów piękności. Sztuką władasz, dobrem możesz owładnąć, dobro możesz robić i zlewać na drugich, to namową, to przykładem, to czynami miłosierdzia i miłości. O tem wszystkiem pomówimy, i wskażę Ci anegdotyczniej, co byś mogła uczynić, co działać; dobrze, wskażę Ci grunt do kopania i przyniosę Ci znów rydel, jak w Nicei, z drzewa oliwnego. Co do mnie, wiarą moją gorącą, jak rozpalona stal, mocną, jak żelazo, to to, że nasze życia i zdarzenia tych życiów, tak ściśle powiązane razem, że Ty ani się dziś domyślasz, ile razy będziesz mogła mi pomagać, ratować mnie, podawać mi rękę czy duchownie, czy istotnie, materialnie. Widzisz, że nie próżne słowo Twoje: Lolo, choć wstrętnie, jedzie. Patrz, gdybyś oparła się była na zwątpieniu Twem jak na opoce i opuściła ręce, przesądzając o nieskuteczności rad Twoich, byłby on, nieporuszony, tak jak kamień, został siłą bezwładności przykuty do miejsca, a teraz jedzie.

Co do Natalii, to i powiem, że powinien by Lolo koniecznie ją z Włoch na brzegi Renu przeprowadzić do Chiliusa, koniecznie, a niechby potem wróciła do Nicei, kiedy Paryża nie lubi, ja nikomu Paryża radzić nie będę. Ale D.or niemiecki, oświecony i głęboki, niezbędny dla niej. Włosi — to zwierzęta w medycynie, Francuzi zaś o duchu w sztuce lekarskiej nic nie wiedzą. Empirycy, Doświadczyńscy, materialiści a wreszcie ignoranty, bo o Vichy tylko słyszeli, natur północnych, naszych, nie znają, leczą sposobami obrzydłemi naturom naszym, Niemcy zaś, osobliwie nadreńscy, wszystko znają i wiedzą. — Na środkowym punkcie wszechnauki i wszechdoświadczenia stoją. Widzą wciąż romański, germański i słowiański szczep, przesuwający się z chorobami swemi przed ich oczyma, Chilius niezawodnie genialnym jest lekarzem. Heidelberg by w niczem Natalii nie obraził. Katolickie są kościoły, powietrze dobre, cudna natura. Lolo powinien ją tu przywieść w septembrze, Chiliusowi pokazać, potem odprowadzić do Nicei. To jego psia powinność. Inaczej Natalia, coraz gorzej ślamazarniejąc, zostanie w kraju głupstwa medycznego i może tak się rozchoruje, że nic już jej ciała nie ocali, tem osobliwie znękanego, że mu duszę odebrali jezuity. Powiedz, chcesz, bym do niej list medyczny napisał, zalecając Chiliusa? Ale nic, cobym radził, nie udałoby się, bo ona mnie nie dowierza, jak zwykle opętani. Ty wbij to w głowę Lola. Niech on na to pracuje, a jeśli chcesz, to Ci napiszę rozprawkę o głębokiem głupstwie lekarzów włoskich, o świetle wysokiem niemieckich, którą wsuniesz w swój list. — Jeśli jej z okolic ischijskich i rzymskich nie wyprowadzicie, ona tam przepadnie na duszy i na ciele, bo to słaba z najsłabszych. Wody wciąż mi dobrze służą. Zmiłuj się, zacznij, ale pilnując się przepisu Siżysa, który żywcem od Chiliusa wzięty. Dotąd Greczynki tu nie ma. Dziękuję Ci, żeś nie dała jej listu, usprawiedliwiającego to, przy czem nie byłaś. Bóg tylko tak występować może, bo jest wszędzie. Rączki Ci całuję za Glawany, biedny pielgrzym się ucieszy. Spytaj się, proszę Cię, gdzie farby najlepsze, o farbę malachitową, tarty na proszek malachit i w oleju rozpuszczon. Dostanie tylko w Paryżu. Suchodolski mnie prosił, i kup mi z 15 lasek. Nie nudziłbym Cię temi komisami, gdybym dwóch celów nie miał: 1. zyskania czasu do bycia z Tobą, gdy będę tam; 2. dania Ci celu w przechadzkach do odbycia, przy piciu wód. Mark nie może mi się pomieścić w głowie. — Patrz, co to za puch-kobieta, kiedy w pozytywiźmie zasklepiona.

Pozytywizm jest zgubą kobiet, a niby ma być ich zbawieniem. Ideał tylko zbawia na wieki. Pozytywizm na dni parę tylko, a potem ruina. I to naturalnem, koniecznem, logicznem. Bo pozytywizm jest stanem rzeczy, nie zaś uczuciem serca, ni ideą ducha, trwa więc, dopóki trwa, trwać nie może wciąż, bo podstawy głębszej nie posiada, ale przyzwyczaja wciąż do mierności, odbiera duszy wrodzone westchnienia ku pięknemu i wzniosłemu. Cóż stąd, że, kiedy pęknie, lada błaznowi oddaje się kobieta, omylona optycznem

sfałszowaniem perspektywy, bo jej delikatność źrenicy odjął pozytywizm! Wtedy, byleby na nerwach co zadrgnęło, choć nic w sercu, nic w głowie nie zadrgnie, już puszcza się zmierniona i skarłowaciała pozytywizmem za pozytywizmu szranki. Głupstwo, długo ssane, zabiera z sobą, a opuszcza ciasne pole, na którem głupstwo wystarczało. Leci na burzę, płynie w ocean, a siedzi na taborecie, z salonu zabranym. Nie dziw, że bałwany ją zaleją. To stanowi gęsiowatość kobiet na świecie, — rozepną skrzydła orle, ale nie wzlecą ku słońcu, owszem na dół lecą i dziwią się robakowi świecącemu (nie lucioli), odbitemu w kałuży, i to próchno adorują, bo w próchnie żyły od początku, bo nie miały wyobrażenia, co piękność, ideał, boży kształt światów, co miłość, ojczyzna, religia. Za miłość uważały brudy małżeństwa i zdawało im się, że Lamorala kochają. Za ojczyznę miały salon, lub kocz elegancki, lub szubkę sobolową, za religię kilka ceremonijek, których treści nie dochodziły. Co dziwnego, że im potem Mark się podoba, że płaczą za Markiem? Przecież Mark czystszy, w stosunku do Lamoralowej, niż Lamoral, bo się nie myje przy niej. Kocz ma może bardziej elegancki i może wolno-myśli, raczej wolno-gdyra o ceremonijkach, bo o nich zupełnie nic nie wie, zatem optycznie wyższy od Lamorala. Masa kobiet dotąd tak jest, a o mężczyznach Ty powiedz wszystko, co trzeba. O głupi i brudny świat! Padnijmy na kolana w pokorze i wdzięczności, bo przecież czujem się, bez próżności żadnej, wyższemi istoty od nich, a mogliśmy być, jak oni, gdyby Bóg nie był nas inaczej poprowadził. Do obaczenia, do obaczenia — do obaczenia. Rączki i nóżki owstęgowywam Ci pocałunkami.

Twój teraz i na wieki Z.

18-go z rana wyjeżdżamy, w St. Disier niech 19-go list zastanę od Ciebie. W kraju bardzo źle, głód i nędza okropna, — nowe prawa Jegomość wprowadza. Okropny kodeks karny, co moment za małe rzeczy po 500 kijów. Za lada doniesienie, że ktoś mówił przeciw rządowi, oskarżają go o zbrodnię zdrady stanu, a kara na to: śmierć lub Sybir; jeden świadek wystarcza. W gazecie kolońskiej wczoraj to wszystko było. Im gorzej, tem prędzej będzie, co będzie...

List, rzucony o 11-tej w nocy 16-go lipca 1845 roku.

Na miłość Boga, Dialy, błagam Cię, miej miarę, miara to godność, miara to piękność ducha. Nie miej się ku temu człowiekowi, jak Julietta, co skacze w łódkę Liona Lioni[424], ale jak wzniosły chrześcijański duch, co mścić się nie chce, ale też nie myśli pomagać zbrodni. Jeszcze raz Ci powtarzam, inne biedaki, nie taki biedak, tam za Boga i Polskę zginęli, a kto wspomniał o nich? Miłowałaśże się nad nimi? Zmiłuj się, miej miarę! Bez miary nawet i szlachetności nie ma. Dialy, ja Ci dobrze, święcie, sumiennie radzę. Nie spiesz się do Wielkiego Księcia. Wierz mi, Kis[ielo]wa chce Cię wciągnąć, skompromitować, na sztych wydać, to wariatka i bez delikatności żadnej, bez czucia, bez pojęcia, o ile Tobie miara i godność potrzebna, konieczna w tym razie. Zresztą nie troszcz się tak o pana Mieczysława. Wierz mi, ma dobre łóżko i jadło w więzieniu. Dwa miliony jego są z nim. Szczególnie z Thurneyssenem się nie wdawaj, ni radź, co ma robić. Widzisz, to tak infamiczna sprawa, że ktokolwiek się z jakiegokolwiek boku jej dotknie, ten nie wyjdzie, ni czysty ni cały. Wierz memu przeczuciu, nie spiesz się, nie leć na oślep. Nie dorzucać mu kamienia, to kres najwyższy Twej szlachetności. Wszystko, co więcej, nie wznosi się w górę, ale owszem już z drugiej strony nazad idzie w dół. Czy Ty to rozumiesz? Czy Ty to czujesz? Chroń się wrażliwości Twojej. Listy tych bakkantek z zimną krwią czytaj, inaczej one Cię porwą na drogę, której później Ty będziesz żałowała, i ja też wraz z Tobą.

Lepiej, święciej, szlachetniej a zarazem rozsądniej matka by Ci radzić nie mogła. Nie pisz zbyt tkliwych listów do Olg i Zofii, bo świat cały je czytać będzie i komentarze robić. Czekaj aż zobaczysz się ze mną.

Piszę wieczorem, bo chcę, by jak najprędzej Cię doszło. Cały zgrypowany jestem, zdaje mi się jednak, że 18-go wyjadę. Kissingska woda zawsze z początku jest prawie chorobą. Trzeba chodzić przy niej, ale nie po deszczu, i trwać, a po dniach kilku lepiej Ci będzie. Lecz jeśli deszcz, to nie pij, bo tak się przeziębisz, jak ja. Co do wyprawy, to odpowiem Ci:

[424] *Leone Leoni* — rzeźbiarz i medalier XVI w. [przypis redakcyjny]

Gdym z Alp niedawno tak spadł gracko, tęgo,
I zwiódłszy wroga, wygrał pod Marengo,
Czemuż bym teraz, gdy znów w wojnę zagram,
Nie miał zwyciężyć cesarsko pod Wagram?

Nię lękaj się tylko! Bilecik Aleksandrowi oddaj! Do zobaczenia — do zobaczenia zapewnie 20-go popołudniu — najdalej zaś 21-go.

Twój teraz i na wieki Z.

243. DO ŻONY

Haga, 1845, 3 augusta

Widziałem wczoraj coś tak pięknego, że muszę Ci o tem kilka słów napisać. Przyjechał tu malarz, Ary Scheffer sławny, ten sam, co zrobił *Franceskę*; zaprowadzono mnie do niego i obaczyłem obraz, który on królowi holenderskiemu sprzedaje: Monikę, nad brzegiem morza nawracającą do światła wiary chrześcijańskiej syna swego, jeszcze nie świętego, Augustyna. Dopiero wczoraj wróciłem i dowiedziałem się, co jest sztuka malarska; wprzód nie wiedziałem, bo przed żadnym obrazem nigdy mi łzy nie szły do oczu i dreszcz podziwu, uwielbienia, miłości, nie przeszywał pleców i piersi. Syn z ręką, złożoną na ręce matki, siedzi przy niej, niżej od niej, na brzegu morskim. Ona trochę wyżej, cała morza i powietrza błękitem oblana, na tle tego błękitu bez żadnej chmury, jakby spoczywająca na piersiach Ducha ś[więte]go. Jej twarz i oczy podniesione w nieskończoność. Wlepiona twarz... i oto nie żadna przesada, w twarz niczyją inną, jedno Boga, bo to znać na jej twarzy wyraźnie, i w tym wyrazie nic innego się nie odbija, jedno Bóg. — Jej lica, jej oczy stały się pod tym pędzlem cudownem zwierciadłem twarzy bożej, doskonałej piękności ducha. Darmo bym słowami opisywał tę miłość bez miary, to zupełne stopienie się z bóstwem, to szczęście pojednania już duszy ludzkiej ze wszechmocnością, które stanowi piętno twarzy tej; mojem zdaniem ideał Rafaela niższy od tego ideału, i trzeba było 2 000 lat po Chrystusie, by tak wgłębić się, wprzepaścić się, że tak powiem, w całą głąb chrześcijańskiego uczucia, w tę otchłań rajskich uniesień i pokoju niebieskiego zarazem, która stanowi zlanie się serca stworzonego z nieskończonem, kochającej ziemskiej istoty z ukochanym niebieskim Wszechduchem. Nic bardziej miłością i zachwytem tchnącego nie widziałem, nie obaczę już — i ten obraz przez całe życie stać będzie koło mnie. Gdym patrzał na tę twarz matki, syna za sobą ciągnącą do niebios, na tę twarz, już niemłodą, niekwitnącą, a tak odmłodniałą przez uczucie, tak rozwitą, jak słońce błogości, przez zetknięcie się z boskiemi promieniami, na tę twarz, tak zupełnie duchową, że w niej piękności śladu nie pozostało, tylko rys każdy czoła, oczy, usta, włosy, wszystko, wszystko, zdaje się w niebo wstępować, choć stoi na miejscu, płynąć do Boga, choć się nie rusza, całe niebo na sobie nosić w odbiciu, choć nic prócz niej samej nie ma na obrazie — gdym patrzał na to, uczułem smutek, że nie widzisz tego arcydzieła, bo więcej, niż moje, niż czyjekolwiek słowa na ziemi ono by Ci powiedziało, co duch, co Pan, co piękność wiekuista na ziemi. Błazny, co wyrzekli, że wiek nasz bez ideału! Idealniejszego nic nigdy w przeszłości nie było, i Rafael materialistą przy tem. Dziś mi już lepiej; może mi pomogła ta piękność, bo dla mnie piękność, to zbawienie. Chciałem Ci tylko to napisać; wczoraj pisałem o innych rzeczach. Niech Bóg Cię strzeże!

Twój Z.

244. DO DELFINY POTOCKIEJ

1845, Builar, 23-go augusta[425] *z rana*

[425] *augusta* (z łac.) — sierpnia. [przypis edytorski]

Najdroższa, najdroższa moja Dialy! Chcę, droga, byś miała wyobrażenie ruchu tego niemiecko-katolickiego (tak się sami przezwali), który przez Czerskiego i Ronge[426] poczęty, tj. raczej objawiony dotykalnie, (gdyż poczęty był w umysłach od dawna i popierany co dzień nadużyciami jezuitów), teraz coraz bardziej się rozszerza, wszystkie miasta niemieckie napełnia i, mieszając się do polityki, przywiódł do tego, co się stało w Lipsku. Zupełnie to to samo, co w Szwajcarii, co we Francji, co w Towiańszczyźnie, oburzenie przeciwko jezuitom, przeciwko martwej literze. Dążenie do podstawienia jej ducha żywego, konieczne przedsięwzięcie, by religia nie była, jak dotąd, oddzielona od polityki, i by księża stali się obywatelami działającymi, czynnymi, zwołującymi meetingi ludowe i przez te meetingi obieranymi, jak niegdyś w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. W sferze hierarchii duchownej zupełnie to samo przejście, jak w sferze wyobrażeń politycznych od monarchii absolutnej Ludwika XIV do 89-go roku. Masz tu wyznanie wiary tych niemiecko-katolików, złożone i objawione w Schneidemühl — podobne zupełnie do nicejskiego *Wierzę w Ojca* itd. z następującemi jednak różnicami: opuścili pod *Duchem św.* „wierzę w obcowanie świętych" — opuścili najszerszy, najpiękniejszy, najwspanialszy, najbardziej humanitarny dogmat Kościoła rzymskiego, bo na nim zasadza się jedność światów wszystkich, jedność wiążąca umarłych z żywymi, jedność czyniąca, że umarłych zasługi wpływają na losy żywych. Towiańszczyzna to utrzymała owszem i bardzo się nad tem rozwiodła, lecz oni opuścili, czemu, łatwo się domyśleć, bo na tej zasadzie oparte były wszystkie nadużycia papieskich indulgencji, które spowodowały Lutra reformę i protestantów dotąd oburzają, więc, dążąc do przyciągnięcia do siebie protestantów wszystkich, ten punkt odrzucili. — W tem znakomitego dopuścili się głupstwa jako rozum, bezsercowatości jako uczucie. Wszystkie 7 sakramentów przyznają, tylko w sakramencie pokuty nie chcą mieć spowiedzi usznej; przytomność rzeczywistą ciała i krwi Pańskiej wyznają, ale wzorem husytów chcą, by lud, jak ksiądz, pod obiema postaciami Pana przyjmował. Dalej, czyśćca według nauki rzymskiej nie przypuszczają, ale wnet dodają: „Ale wierzym, że znajdzie się w domu Ojca naszego niebieskiego wiele mieszkań, zarazem wiele stopni, wiodących następnie do doskonałego widzenia Boga". O piekle ani wzmianki, zatem czyściec i piekło już tem samem przemienione w owe *stopniowe pomieszkania*, których wiele w domu Ojca niebieskiego. Stąd do metempsychozy uznania i pół-kroku nie masz. To im się udało. Dalej, jak obaczysz, twierdzą, iż modlitwy żywych mogą się zdać umarłym, bo: „wyznajem, iż ci, którzy nie zasłużyli na ziemi na zupełne zaraz po śmierci oglądanie Boga, będą musieli przejść przez te wszystkie stopnie, wspomniane wyżej". Lecz zarazem dodają, iż umarłych modlitwy nie mają żadnego wpływu na żywych, czyli po drugi raz w tem miejscu niszczą dogmat obcowania świętych i najwyższe głupstwo bredzą, bo, jeśli my, żywi, niedoskonali i ułomni, możem prosić za umarłych, czemuż by umarli, choć jeszcze nie doszli do widzenia Boga, nie mogli prosić za nas i za ludzkość, w końcu czemuż by ci, co doszli do Boga, nie mogli sobie nas przypomnieć u stóp Jego i kochać nas i prosić za nas. Ten, za którego ja mogę się modlić, może się i za mnie, bo modlitwa, to spotkanie się rozdzielonych we wspólnym pozostałym im środku słonecznym, w sercu Boga, i na tem właśnie miłość wspólna światów wszystkich zależy! Co zaś do urządzenia świeckiego duchownej hierarchii, żądają zupełnego oderwania się od biskupa Romy, zgromadzeń ludu ciągłych i obioru na nich księży i biskupów, a od tych księży i biskupów, przez lud obranych, żądają, by wychowywali lud do coraz wyższych celów, by zrozumieli, co tryumf Chrystusa na ziemi, co Królestwo Boże, co narodowość wielka niemiecka, by stali się przewodnikami narodu swojego do bram przyszłości, słowem, żądają, by dopełnili wszystkiego, czego Quinet się domyśla i chce, co twierdzi, że żołnierze Rzeczypospolitej apostołowali i wybagnetowali po świecie. We Francji żołnierz to uczynił, dopełnił, w Niemczech ksiądz, kapłan prawdziwy, ma tego się podjąć i to dopełnić bez rozlania krwi. W tem najlepiej odbita różnica duchów obu tych narodów, francuskiego i niemieckiego. W Niemczech naturalnie, że to się podobało niezmiernie. Wzywanie do zgromadzeń, mających obierać księży swych i takich księży, z których każden ma być według tego pojęcia O'Connellem, poruszyło wszystkie umysły. Mnóstwo katolików i protestantów na tę wiarę przechodzi, bo ta wiara niesie z sobą

[426] *Czerski i Ronge* — ks. Jan Czerski (1813–1893) i ks. Jan Ronge (1813–1887), propagatorzy neokatolickiego kościoła w Niemczech, czyli katolików niemieckich. [przypis redakcyjny]

ich życzeń wszystkich, życzeń, wspólnych i katolikom i protestantom, dopełnienie! Ta wiara jednoczy religię z polityką, każe księżom, by obywatelami i trybunami się stali, by przestali brać pieniądze za msze, chrzty, pogrzeby, itd., itd., by się utrzymywali tylko ze składek, by mowy miewali do zgromadzonego ludu, jak w Irlandii O'Connell, by się zawsze trzymali strony postępu i wszelkim sposobem walczyli despotyzm i jezuityzm! A cóż to wszystko, jeśli nie dążenie wieku, wpojone w religię? Dlatego to Ronge i Czerski, choć słabe indywidualności, stali się bohaterami, noszonymi na rękach tysiąców, i w ich imieniu już zaczynają się bunty, hałasy, ruchy rozmaite, których końca trudno się domyślić. Cała rzecz Lipska z tego poszła. Książę Jan wychowuje dzieci swe u jezuitów, sam strasznie ich kocha. Rząd saski niedawno, za jego wpływem, zakazał zgromadzeń nowokatolicznych. Wtem książę Jan na przegląd wojska przybywa 12-go au-gusta do Lipska, wieczorem serenadę mu lud daje, 30 000 ludzi na plac przed jego mieszkaniem się zgromadza, zaczynają muzykę, — wtem ta muzyka niby na cześć jego się przerywa, jednym głosem te 30 000 zaczynają śpiewać Lutra pieśń, podobno tę, co w *Hugonotach*. Żeby byli przestali na tem muzycznem ducha swego oświadczeniu, nic by złego nie było, ale niektórzy, śród śpiewu tego tysiąców, zaczęli szyby pałacu tłuc kamieniami. Wtedy to do nich strzelono, 9-ciu zabito, wielu rannych padło, a w nocy książę uciekł do Drezna. Całe miasto odprowadziło te 9 trumien na cmentarz, — i dotąd trwa wielkie poruszenie w niem, nie tylko w nim, ale w Prusiech całych. Rząd zakazał Rongemu i Czerskiemu ruszać się z wyznaczonego każdemu z nich miejsca. Zatem widzisz, jak ściśle ta reforma religijna złączona z politycznemi myślami i ruchami. Powtarzam Ci, zupełnie to samo, jak to, co się dzieje we Francji i Szwajcarii przeciw jezuitom. Najumiarkowaniej dzieje się we Francji, bo tylko mocą słowa, najszaleniej w Szwajcarii, bo mocą karabinów i mordu, średnio w Niemczech, bo dotąd mocą reformy religijnej, ale przyjść może do ruchów niemałych. Cóż tymczasem Roma i jezuici czynią, by się ratować? Rząd papieski spodziewa się nowego wylądawania koło Ancony Giovine Italia i znów gotuje sądy, galery, rusztowania i rozstrzały — w Lucernie Padri nie myślą ustępować, w Niemczech grzmią klątwy i ekskomunikacje przeciw rongistom, i starań pełno jezuickich, by rządy zakazały im wolności obrzędów! Nie tak, nie tak działa, kto zwyciężyć ma, nie takiemi sposoby się zwycięża. Duch, wiara, miłość zwyciężają, ale nie opór i zaślepienie i okrucieństwo. Wszędzie, wszędzie dwa te stronnictwa gotują się do boju. Żadne z nich całej prawdy nie ma. Prawda wyżej, prawda zstąpi, gdy one się wysilą i przesilą w nadchodzącej walce. Smutno, smutno mi nad światem, co się zbiera do boju.

Zapomniałem jeszcze o dwóch punktach rongowego wyznania. Ogłasza bezżenność księży za podstawę najgłębszego ich zepsucia, żąda ich żenności, po wtóre wygluzowania języka łacińskiego, niezrozumiałego ludom, i przyjęcia języka niemieckiego i innych narodowych do obrzędów religijnych. Chce, by się Powszechny Kościół składał z narodowych kościołów. W czem jest słaby i stronny, to w ciągiem krzyczeniu na wszystkich papieżów, jakby niektórzy z nich nie byli świata ocalili. To samo republikanie czynią, gdy krzyczą na Napoleona. — Jednostronność, a ona wszystko psuje i gubi!

245. DO DELFINY POTOCKIEJ

Halla, 24 augusta 1845

Jeszczem w Gotha dostał innych broszurek nowokatolickich, i z nich kilka nowych szczegółów Ci przytoczę. W dalszym rozwoju rzeczy uznali tylko dwa sakramenta, chrztu i ciała i krwi Pańskiej, za rzeczywiste sakramenta, wszystkie zaś inne za symboliczne tylko znaki, nie zawierające żadnej siły nadnaturalnej, ale potrzebne do obrzędu Kościoła. Takim sposobem wszystkie zachowali, te pięć pozostałe, jako ceremonie. Co mówią o małżeństwie, Ci przesyłam, bo tam kilka myśli pięknych; usznej spowiedzi nie nakazują, jako nakaz ją odrzucają, dodając jednak, że, kto chce tak grzechy wyznawać przed kapłanem, niech czyni, i mówią, że tem daje piękny przykład pokory chrześcijańskiej. Uznają za rzecz naturalną, godziwą, dobrą, używać imienia świętych jako wspomnienia wielkich duchów, ale za pogańską, czcić ich jako bogów. Relikwie tyle zachowują wartości, co pozostałe nam przedmioty po drogich osobach, lecz pogańską rzeczą wierzyć, że same przez się mają moc cudowną. Przy spowiedzi nie zewnętrzna moc księdza rozgrzesza, ale

własny, wewnętrzny, wzbudzony żal. Przyjmujący Przenajświętszy Sakrament: *amalgamiert sich mit dem Herrn nicht körperlich, sondern indentificiert sich mit Ihm geistig*[427]. Nie idzie im już o to, by była hierarchia księży, *von Priestern*, ale żeby cały lud chrześcijański stał się *priesterlich*[428]. Zatem każda gmina obiera radę z starszych złożoną, presbyterowie pierwszych wieków, bo po grecku *presbyteros* znaczy „starszy". Zarazem gmina obiera sobie kapłana, którego nazywają Duszostróżem, *Seelsorger*! On chrzci, bierzmuje, poślubia, namaszcza ostatniem pomazaniem itd., itd. Starsi ostrzegają go, jeśli źle się prowadzi, i upominają. On i starsi radzą z gminą o religijnych potrzebach, układają obrzędy itd., itd. On żyje ze składek gminy, a za obrzędy i msze, i sakramentów udzielenie nic nie bierze na to, by „rzemiosłem przestało być kapłaństwo". Widzisz z tego wszystkiego, że co do dogmatu poszli średnią drogą między katolickiemi a protestanckiemi. Wiele zachowali z katolickich, a od protestantów wzięli odrzucenie papieża i uznanie pisma świętego za podstawę wszelkiej wiary. Tak jeszcze mówią: „Jedynym naszym Panem uznajemy tylko Jezusa Chrystusa i na ziemi zastępcę Jego, Ducha Świętego". W innem miejscu głośno wyznanie wiary z ołtarza przez Rongiego czytane zawiera następujące słowa: „Wierzym w panowanie Ducha św. na ziemi". Oto wszystko, com mógł tylko nagromadzić Ci o tej nowej reformie katolickiej, która zrazu wyglądała mnie na nic nie znaczącą i nikłą, ale która teraz coraz bardziej się rozplenia i, osobliwie poparta swą demokratyczną formą, może wydać skutki niepowszednie i rozłożyste. Jezuici najwięcej się przyłożyli do jej obudzenia niesłychanem zaślepieniem i ujarzmianiem coraz cięższem ducha w niższem, katolickiem duchowieństwie. Czyś nie uważała, droga Dialy, jak w *Perezie* Migneta[429] charakter Filipa II-go i czyny jego w Arragonie podobne do charakteru Ferdynanda V i do czynów jego w Tunis. Takie same najście Arragonu, taka sama amnestia, złożona z samych wyjątków itd., itd. Perez zaś sam trochę do Jegomości podobny, wszak prawda? Jegomość pokłócon z Filipem II, uciekający od niego, po zamordowaniu Escovada z jego rozkazu. Chciałbym był to własnemi oczyma oglądać.

Otóż wczoraj rano z Butlar, dziś rano z Halli piszę do Ciebie, a przybyłem za późno na kolej żelazną, muszę czekać do jutra do 7-mej z rana, o 12-tej będę w Berlinie, i do Wierzenicy zaraz wyruszę. Lipsk ominąłem. Zmęczonym strasznie podróżą; już to szósta noc od Bouderot, przebyta w koczu. Znów biednemu Janowi nogi popuchły. A Ty gdzie? Co Ty robisz, Dialy? Ty pewno w Dieppe teraz! O Boże mój! Boże mój! Niedawno tak razem, a dziś tak daleko nam do nas! Dziwna to rzecz ta przestrzeń! O moja Dialy, moja Ty najdroższa, żebyś Ty wiedziała, ileś mi szczęścia wpoiła do serca tym listem Twoim zawczorajszym. — Jak Quinet mówi, że rządca powinien dać się *en pature spirituelle*[430] rządzonym, tak ja bym chciał Tobie się dać, chciałbym, by duch Twój pożarł ducha mego, wszystko moje, byleby Tobie było spokojniej i lżej, i mniej łzawo, i nie tak to serce Twoje chorobnie uderzało. Na wszystkie strony modlę o Ciebie do Boga, do ducha matki Twojej, do Ciebie samej. Moja droga, najdroższa Didysz, czy Ty się nie znudzisz piciem tej wody, czy nie za mało jej wypijesz? Dotrwaj, jeśli skutek dobry, jeśli nie czujesz pogorszonego stanu kongestii sercowych. Wszystko będę czynił, by jak najprędzej być znowu z Tobą. Mnie życia ni spokoju nie ma, gdy nie z Tobą. Wszystkie moje umysłowe potęgi zdychają, a w sercu, w sercu taki brak, taka tęsknota, taka bojaźń, by się Tobie co złego nie stało! Do obaczenia, do obaczenia, do obaczenia, o Ty najdroższa, Ty. Mógłbym się podpisywać Tobie nie „Zygmunt Twój" ale „Twoja św. Teresa", bo czuję, że tak ogromnie, tak wiecznie, tak nieskończenie Cię kocham. Niechbym tylko mógł przynieść Ci spokój i pociechę. — Ręce i stopy Twe całuję i zarazem włosy Twoje, które mam przy sobie. Do obaczenia.

Twój teraz i na wieki Zyg.

---

[427] *amalgamiert sich mit dem Herrn nicht körperlich, sondern indentificiert sich mit Ihm geistig* (niem.) — nie stapia się z Panem cieleśnie, lecz jednoczy się z Nim duchowo. [przypis redakcyjny]

[428] *priesterlich* (niem.) — kapłańskim. [przypis redakcyjny]

[429] *François Mignet* — historyk francuski, wydał 1845 roku dzieło pt. *Antonio Perez et Philippe II*. [przypis redakcyjny]

[430] *en pature spirituelle* (fr.) — na pokarm duchowy. [przypis redakcyjny]

246. DO DELFINY POTOCKIEJ

1845, Opinogóra, 4 septembra

Najdroższa, najdroższa Ty, Dialy moja! Od kiedym tu przyjechał, wciąż chory jestem, wciąż z migreną. Pókim był z Tobą, ilekroć wieczorem odchodziłem i przychodziłem do siebie, prosiłem się nocy, by prędzej przeszła, by ranek prędzej zawitał, by znów wstać i żyć — bo życie było dobrem. Teraz, gdy się kładę, proszę się nocy, by długą, długą była, by światło nie za wcześnie mnie w oczy przyszło zadrasnąć, bo kaleczy mi źrenice. Taka to różnica, i różnica konieczna, różnica wewnętrzna, różnica fatalna, mojego istnienia tamecznego i tutecznego. — Tam, gdzie Ty, to moje super-naturalne, zaświatowe życie, jakby powiedział Trentowius, a tu to moje naturalne, ziemskie, światowe. Więc melancholia już staje u progu ducha mego, u progu tej świątyni, co tyla ogniami i lampami i pochodniami jarzyła, dopóki z Tobą i przy Tobie. Więc i ciało zaraz moje zaczyna z sił wszelkich opadać, bo ciało moje, jak roślina „Sensitiva", tkliwa na wszystkie ducha mego zmiany i koleje, i nigdy nie słabnę prawdziwie, jedno przez ból lub odrętwienie poczęte w duchu. To wszystko zawiera się w jednem słowie tem: „kocham Ciebie", ale dość o sobie mówić, Ty wiesz, kto ja i co we mnie. Ty wiesz, że dwóch jest na ziemi, dwóch mnie. Jeden ten, co przy Tobie, żywy duch, drugi ten, co nie przy Tobie, martwa litera tego ducha żywego! Żywy człowiek jeden — drugi umarły — raczej umierający wiecznie, ale dość powtarzam, dość o tem, bo przed Tobą rozwodzić się mnie nie trzeba z bolami śmierci mojej. — Tobie tylko chciałbym przynosić życia mojego uniesienie, moc, prawdę i światło, jeśli światłem wykwita życie we mnie, a myślę, że wykwita, gdy się w Twojej przytomności rozradowywa. Ale to pewno, że mało kto na ziemi przechodzi przez te same koleje, co ja, mało kto tyle w głębiach samych swej istoty cierpi, mało kto tyle kocha. Czemuż św. Teresa tyle mnie zachwyciła, uniosła, zajęła? Oto dlatego, że stan jej ducha przypomniał mi wiele stanów mojego, i że siła jej uczucia pokrewnie się odbiła w sile mojego. Gdyby była szczęśliwą i spokojną w swej nieskończonej, boskiej miłości, żadnego by na mnie wrażenia nie wywarła. Zostawiłbym ją śród grona aniołów, ale że powieść jej boskiego serca, tyle ludzka, a anielska zarazem, tyle rozdarta, rozerwana, tyle pokrajana na przepaści i szczyty w świetle kąpane, tyle słowem podobna do życia mojego, dlatego to, dlatego prawdem żywą uczuł, gdym ją czytał i ukochałem wspomnienie świętej przez pewien rodzaj samolubstwa. — Do darowania samolubstwo, bo oparte na wspólności dwóch niesamolubnych uczuć, nieskończoności ukochania i w pewnych chwilach nieskończoności bolu, tak jak znów w pewnych nieskończoności szczęścia i żywotnych uniesień! Opowiedziała mi święta w swoich medytacjach to, co ja doznał i co doznaję. Wieki nas rozdzielają, a duchy nasze tak samo czuły, a to właśnie, co najsilniej uderza w dziele jakimkolwiek pióra człowieczego na serce czytelnika, gdy się serce odnajduje żywe w sercu, co z tego planety zniknęło. Gdy w umarłych głoskach uczuwa własne uderzenia, wtedy uznaje jakieś braterstwo rodu ludzkiego przez wszystkie czasy i miejsca, na przekór czasowi i przestrzeni, wtedy rozumie, co obcowanie świętych, co związek umarłych z żywymi, co magnetyczna spójnia, łącząca wszystkie duchy razem. Że Ciebie kocham, pojąłem św. Teresę — a św. Teresa wywarła na mnie wrażenie, bo wiele kochała, bo kochała ideał wieczną, nieznikomą miłością. Gdybym ja Ciebie znikomą, czasową kochał, nie byłbym zadrgnął, jak harfa, trącona niewidzialnym powiewem, na głos świętej. Byłbym powiedział: „Wariatka", jak wielu czytelników, — lub: „Nie rozumiem" jak wielu innych, — lub: „To zapewne tylko Boga, przez łaskę osobliwą, tak się kocha i to super-naturalna rzecz", jak wielu suchych, ślepych ortodoksów. Lecz ja nic z tego wszystkiego nie powiedziałem — jam tylko to powiedział sobie: „Tak duch kocha, — nie, inaczej, — i ona kochała".

5 septembra, Opinogóra. Mam list Twój z 26-go z Dieppe. Przewidywałem wszystkie przykrości, które spotkać Cię miały w tem miejscu i tak się stało, jakom widział okiem serca, że się stanie. Na teraz Luszę zostaw, opamiętają ją nie słowa, nie rady, ale wyniki rzeczywiste z własnych jej czynów, i przyjdzie chwilka, gdzie w Twojej duszy będzie szukała ratunku. Błagam Cię, Dialy najdroższa, skup całą siłę swoją, wolą, tym balsamem na nerwy, spokój nerwy i powstrzymaj od zapadnięcia na nowo w tę przepaść, w której

widziałem Cię, gdym przybył do Nicei. O moja Dialy, moja Dialy, pamiętaj, że życie Twoje to życie moje, że rozum Twój to rozum mój, że nerwy Twoje to nie Twoje tylko, to i moje, że melancholia w Tobie, to śmierć wieczna we mnie. Dbaj o tego ducha, przypiętego do Ciebie, który się mną zowie. Zmiłuj się, najdroższa Ty, nie giń znowu ciałem i duszą. Ah! Dialy, Dialy, żebyś Ty wiedziała, ile sił potrzeba na oparcie się, na wytrzymanie, na wywalczenie, na ciągnienie dalej życia. Są męskiego życia także okręgi, w których olbrzymem siły być potrzeba. — O Dialy, Dialy moja najdroższa, proszę Cię i błagam, staraj się być silną, wkrótce się zobaczymy, ale siła nie tylko na teraz się przyda, przyda się na wszystką resztę żywota. Nie giń mi, nie zapadaj fizycznie, o moja, moja Ty, moja! Słów nie mogę dobrać, słów nie mam. To, co chciałbym w Ciebie wrazić, żadnemi słowy nie da się wyrazić. Kiedy mówisz, że dziwi Cię i cieszy zarazem, że wpół umarła Dysz może jeszcze być życiem mojem, nie wiesz, co mówisz! Czemu to Ciebie dziwi? Czyż nie wiesz, czyż nie czujesz, że kocham Ciebie, czyż w tem słowie świętem nie wszystko zawarte? Czyż to nie sakrament ducha, dziwne i cudowne łaski zlewający w tajemniczości swej na ducha, w którym się odbywa? Nie, Ty dla mnie nie jesteś wpół-umarła, — Tyś dla mnie życiem i sprężyną życia, bo chciałbym umrzeć na to, byś żyła. Więc Ty, która możesz takie żądanie, taką chęć, taką wolę we mnie obudzić, czyż tem samem nie obudzasz najszczytniejszych potęg życia, a kto budzi w kim życie, ten życiem temu. Nie dziw się, o Dialy, ale kochaj mnie, a kochając myśl, że moja moc, inteligencja, wytrwałość, odwaga od Ciebie zależą, żem niczem, gdy Tobie niedobrze, wszystkiem, gdy myślę, żem choć trochę Ci dobra przyniósł. O, kocham Ciebie, Dialy!

Ten list zawiezie do Warszawy i zaraz na pocztę odda Eliza, która jutro do matki wyjeżdża. Ja tu jeszcze z parę dni z ojcem się zostanę, potem do Warszawy, gdzie będę aż do wyjazdu Elizy, który zapewne za dni 10 lub 12 nastąpi. Już zawczoraj Ci pisałem, jaki jej zamiar: jeśli czas nie nazbyt zimny jej pozwoli, to przez Heidelberg i Darmsztad pojedzie, wtedy by mogła z Tobą razem do Nicei, ale ona się spieszy, bo się tak lęka o zimno dla dziecka i niepogodną porę, że ten strach w rodzaj monomanii w niej się przemienia. Wydaje się jej, że już mróz na świecie i że w oktobrze już zima nad Renem i w Darmsztadzie jest. Proszę Cię zatem, moja najdroższa Dialy, każ ojcu „Moniki[431]", by się spieszył, skoro wrócisz do 38, i jeśli Elizę ujrzysz, to, proszę Cię, z ojcem tym ją zapoznaj; ona mu powie, że właśnie to dla niej obraz, przez brata wyproszony. Ja, po wyjeździe Elizy, pojadę na Litwę i do Rodnia, potem wrócę do Warszawy i albo sam, albo z ojcem wyjadę ku Nicei. Zapewne w drodze z nim się rozdzielę, bo on do kuzynka pojedzie, a ja prosto. Tak dotąd stoją zamiary — ale wiesz, co to ludzkie zamiary. Z Tapanowiczem[432] z Hieronima Patur. bardzo źle jesteśmy, szczególnie Gen[er]ał Ornano, — tak mi piszą z Wiednia, to tak Ci mówię nawiasem, bo mi teraz list z Wiednia przynieśli. Wracam do zamiarów, myślę, że się udadzą bez przeszkód, i że znajdę fundusze potrzebne. Zatem byś obaczyła naprzód Elizę, jeśli byś z nią chciała spotkać się nad Renem i dalej zstąpić z nią ku Nicei. Jana jej daję. Skoro przybędę do Warszawy, skoro, jak Hegel mówi, owładnę stanowiskiem całem tego położenia, tj. się dowiem, skąd wezmę funduszów na drogę, czy pojazd skończony, czy paszport otrzymany, będę dzień w dzień Ci donosił, co się dzieje, i kiedy ona i jak, którędy wyjeżdża. Spotkanie się z Tobą, ku któremu ona się garnie, byłoby dla niej ratunkiem w tej drodze, i może dla Ciebie także byłoby lepiej towarzystwo mieć, niż samej jechać tą drogą smętku. Nikomu, proszę Cię, i Eliza Cię prosi bardzo, byś o tem nie wspominała nikomu.

Bogu Wszechmogącemu Cię powierzam, znów mam Twój rewers w pularesie. Hipotekę Ci posłałem. Eliza, nie zrozumiawszy mojego listu, rewersów kopię Ci posłała, zamiast hipoteki. Pomyłka, nic więcej, posłała Ci kopię tego, co już masz w swoim biuwarze z tasiemkami. Pamiętaj Monikarza spieszyć, pamiętaj, bo za ten obraz odstąpiłbym lat wiele życia mojego. Te, które by mnie pozostały, potrójnie silnie bym przeżył z tym obrazem. Ręce i stopy Twe całuję i łzami serca oblewam. Do obaczenia, do obaczenia.

Twój teraz i na wieki Zyg.

---

[431] *(…) każ ojcu „Moniki"* — Ary Scheffer. [przypis redakcyjny]

[432] *z Tapanowiczem* — „Tapanowicz" oznacza Paskiewicza (?). [przypis redakcyjny]

247. DO DELFINY POTOCKIEJ

1845, Opinogóra, 6 septembra

Najdroższa Diały, najdroższa moja! Eliza wczoraj w wieczór o 10-tej wraz z Aleksandryną i małym wyjechały do Warszawy, przy ogromnym komecie, świecącym, jak biała mara, śród czarnych chmur. Ja tu zostałem przy ojcu. Biedny ojciec. Zapada czasem w melancholie głębokie i rozmowami swemi przypomina mi rozmowy, którem miał nieraz w Nicei z tą ukochaną, która odeszła od nas. Wczoraj przez półtorej godziny przynajmniej mówił ze mną o nieśmiertelności ducha, rozmaite przypuszczenia i domysły przywodząc o innych światach i innem życiu. Jam mu dowodził, co zwykle, że nigdy nie spoczniemy w Bogu, ale coraz wyżej, dalej ku Niemu, Nieskończonemu, zbliżać się będziem. Wtedy wziął mnie za rękę, życiem zmęczony, i zapytał z dziwną tęsknotą: „Jak to, myślisz, że nigdy nie przyjdzie chwila spoczynku, *le moment de quiétude*[433]". To słowo francuskie przypomniało mnie książkę, którąśmy razem czytali, zstępując z wyżyn San Laurentowych, i dowiodło mi, że, choć wiele w niej przesady, jednak i prawdy niemało, bo oczywiście żądza *de quiétude* rodzi się w znękanych duchach żywota trudami, więc skądinąd przyprowadzić duszę do tej *quiétude* jest to samo, co ją zanękać, i jezuity w tem mistrzami są. Przypomniało mi też to uczucie ojca, ta żądza spokoju, ten wstręt przed ruchem, postępem, wzrostem dalszym, nawet w innem życiu, Twoje nieraz boleści i słowa, kiedyś zdawała się według pysznego wyrażenia Byrona: *shrink away from immortality*[434]! Ale darmo, to są momenta w duchu, to są stany ducha znikome, to nie jego całość, bo całość jego to nieśmiertelność jego, to wszystkich jego żywotów życie. A zrazu nie pojmuje przemian swoich, każden z żywotów osobnych bierze za żywot cały, nie za część. Później dochodzi do tej wzniosłości, z której patrzy na ciąg swoich żywotów, jak na łańcuch ten sam, nieprzerwany, i wtedy sobą owłada, wtedy wyrzeka: „To Ja", i odtąd takiem Ja anielskiem, ogromnem, nie potrzebującem już umierać, jedno rosnącem przez życia coraz wyższe, pozostaje na wieki, ciągle przestrzeń i czasy odmieniając, w nowe byty i nowe myśli, idee, światy wkraczając, a coraz prędzej i głębiej zapoznawając się z twarzą swego wiecznego ukochanego, z twarzą Boga. Twarzą tą jest wszechświat! I z Jego myślami — myślami temi są wieczne idee. I z Jego osobistością — a tą osobistością jest On Sam, On, wyższy, niż wszelki świat, niż wszelka idea — On, wszystkie światy i wszystkie idee skupiający w jedną pulsację życia, bytu, chwały, dobra, piękności, On, ten, na którego słowa nie ma prócz tego, które nie oznacza Jego, ale tylko nasz stosunek do Niego, a tem słowem „kochać", bo jako historią serca każdego pojedynczego na świecie jest miłość tego serca dla tego, co ono najwięcej ukochało tu, tak historią wszystkich światów i duchów wszystkich nic innego, jedno rozwój ich miłości do Boga. I nie umiemy Go nazwać tak, jak On jest, tylko tak, jak Go kochamy — im głębiej, wznioślej, szczytniej, goręcej zakochujem się w Nim, tem Go prawdziwiej przybliżonym sposobem mianujemy. I dlatego, w miarę rosnącej ludzkiego rodu miłości, odmieniają się Pana historyczne imiona. Gdzieżem się uniósł, o moja najdroższa? Jeśli cokolwiek masz przenikliwości, uczujesz, że, pisząc o miłości wiecznej ku Bogu, mimo woli, mimo wiedzy, a niezmiernie naturalnie, piszę zawsze o miłości mojej wiecznej ku duchowi Twemu — ależ bo i duch Twój z Niego, z tego samego Żywego, Nieśmiertelnego i Wiecznego! I miłości dwóch nie ma na świecie, kocham Go w Tobie. Im wyżej, im święciej, im nierozerwaniej Cię kocham, tem wyżej, tem święciej, tem nierozerwaniej i Jego. Miłości k'Niemu bez miłości k'Tobie bym nie rozumiał, bym nie przenikał. Dwóch miłości nie ma. Jest jedna tylko, a coraz wyżej rosnąca, a On, pamiętaj, wszędzie jest! Wszędzie Go napotkasz, wszędzie Go się dotkniesz, więc muszę Go napotkać, więc muszę się Go dotknąć w Tobie, jeśli Ciebie w prawdzie, w całej głębi i w całej wzniosłości ducha mojego kocham! Bo, gdziekolwiek piękność, bo, gdziekolwiek dobro, tam i On!

Wczoraj przed wyjazdem długo ze mną mówiła Eliza o Tobie i wykładała mi swoje wszystkie bojaźni, żeby Ciebie nie zanudziła, bo powiada, że się czuje nudną istotą, że się boi, by na Tobie nie wywrzeć wrażenia nudy i przykrości. Pytała się, co lubisz, jak trzeba

[433] *le moment de quiétude* (fr.) — chwila spokoju, ciszy. [przypis redakcyjny]
[434] *shrink away from immortality* (ang.) — oddalać się od nieśmiertelności. [przypis redakcyjny]

być z Tobą. Na to jej odpowiedziałem, że przede wszystkiem Tobie, smutnej nad wszystko i samotnej, potrzeba rozgrzewającego ciepła serca i starań, że niech się nie lęka Ciebie zanudzić, skoro Ci pokaże, że gotowa Cię kochać, że owszem, samaś pierwsza tę myśl podała, by ona z Tobą spuściła się ku Nicei; że z Tobą, gdy Cię spotka, niechaj tak będzie, jakby znała Cię od wieków, niech się nie przymusza do mowy, gdy się jej chce milczeć, ni Ciebie do niej ciągnie, gdy widzi, żeś zadumana lub chora, niech kocha Cię i pilnuje, jak siostra, a wtedy Ciebie nie zanudzi. Wtedy się rozpłakała i mówiła, że wszystko będzie robiła tak, byś Ty myślała, że Ci skądsiś Bóg siostrę nową zesłał, ale że jednak zawsze się lęka, by nie wywarła wrażenia nudy na Tobie, bo czuje, że wszystkich nudzi. Mówiłem jej, że w razie, gdyby jechała przez Bourder., a nie odebrała w Heidelbergu np. Twego listu z wyrażeniem nr najętej stancji, toby mogła śmiało do Ciebie, choć z całym patoklanem na pierwszą noc zajechać, że niech się nie boi, że ją przyjmiesz gościnnie i serdecznie. Potem obiecałem jej, że ją zaprowadzisz do ojca „Moniki" i po wtóre, że z nią do Amerykanina ząbnika pójdziesz, bo powiada, że nie rada by sama pójść. Zatem widzisz, Dialy najdroższa, jak stoją rzeczy dotąd. Pojechała do Warszawy starać się o paszport dla siebie. Zapewne nie potrafi przed 17-tym wyruszyć. Dopiero zapewne koło 10-go oktobra mogłaby być z Tobą, jeśli drogą nadreńską pojedzie. Trzeba by więc jej wtedy nie więcej, jak 15 dni w Bourder zabawić, jeśli, jak sama sądzi i Ty osądzisz, dla malutkiego za zimno. Prawdę jednak mówiąc, tam tak zimno nie jest, a skoro się wyjedzie, we dwa dni już ciepło. Wtedy byś, moja najdroższa Dialy, już z nią pojechała ku willi Rey. Bądź więc do tyla łaskawa, by rzucić wzrokiem na jaką stancję, którą byś, gdy pewność będzie, mogła kazać na miesiąc nająć przez Twych znajomych heidelberskich, bo pojmiesz, że lepiej, by jak najmniej o tem gadano, a szczególnie, by nie przychodzili żebracy.*Ha capito vostra Eccelenza Illustrissima*? Co do tego ostatniego, powiem Ci, najdroższa, że straszliwe położenie tego roku właścicieli ziemskich, pomór bydła, głód, zboża nie ma, jednego grosza dochodu nie mam, nie 5000 ale 6000 owiec mi na zarazę wymarło i konie najlepsze. Muszę się zapożyczyć. Żeby Eliza nie miała swego grosza u Thurnesseyna, nie miałaby za co kroku zrobić; z tym ostatnim także ją zapoznaj.

248. DO DELFINY POTOCKIEJ

10-ta w wieczór, Opinogóra, 6-go septembra

Najdziwniejsze niebo — patrzaliśmy teleskopem z ojcem. Wkoło Marsa naszego jakieś dziwne promienie, i w samym środku jakoby dziura ogromna, a wkoło Wenus jakby kometowe włosy. Co to się znaczy? Czyś słyszała o teleskopie lorda Ross w Irlandii, dwa razy od Herszelowego ogromniejszym, który przed miesiącem ukończono, i z którego sobie obiecują najpotężniejsze odkrycia? Wróciłem teraz do zameczku mego, w tym rodzaju[435], na wzgórzu nad ogrodem, a z jego okien widać równinę, równą Kampanii Rzymskiej. W sali mauretańskiej, gdzie teraz piszę, pamiętam, z Konstantym biednym mieszkałem. Sam zupełnie jestem w tych sześciu pokojach, bo Jan sypia we dworze. Wiatr okręca się poświstami wkoło tych murów, nad kominem, pod arkadą, przebitą na wskroś przez mur, tak jak z bilaru do salonu Luszy, (pamiętasz, tam, gdzie tafla szklana) stoi popiersie z marmuru Napoleona i patrzy się we mnie, za mną fortepian, ten, na którym grywał Konstanty przed laty. Rysunek, widzę, wcale się nie udał, jutro we dnie postaram się zgrabniejszy wypracować. Leży na stole moim list Pelagii Czackiej, w którym przepisany list Jarosławowej opowiadający, że była u Miecz., kiedy siedział jeszcze w Kijowie w więzieniu, i że za jej ujrzeniem rozpłakał się i długo beczał. Na Szweykowską tą okropnie Jarosławowa wygaduje, zresztą nic takiego, czego byś nie wiedziała. Odczytałem dziś list Twój znowu i im go więcej odczytuję, tem mi żal większy do tego Dieppu, który tak bezecne wywarł na Tobie wrażenie. Biedna Lusza, która myśli, że się bawi, która sądzi, że żyje i używa życia! A ten *Cavaliere che puzza*[436], a tożbym go dopiero tłukł, gdyby się dostał w ręce moje. Gdzie Ty jesteś o tej chwili, Dialy moja najdroższa? Możeś już wró-

[435]*Wróciłem teraz do zameczku mego, w tym rodzaju* — w liście dość nieudolny rysunek piórem zameczku gotyckiego w Opinogórze, postawionego przez jen. Krasińskiego dla syna, a spalonego w czasie wojny światowej. [przypis redakcyjny]

[436]*cavaliere che puzza* (wł.) — szlachcic, który śmierdzi. [przypis redakcyjny]

ciła, nie wytrzymała takiego społeczeństwa. Mnie strasznie dziś artretyzm męczy i takie boleści krytyczne, jak te, które niedawno miewałem. Wziąłem dziś strzelbę i chciałem pójść na kuropatwy. Wyszedłem, strasznie mnie zmęczyło chodzić i znudziło chodzić za zabójstwem podrzędnych duchów, kuropatwami zwanych. Więc, strzelcowi torbę i fuzję oddawszy, sam i bezbronny z pola poszedłem ku kaplicy. Kaplica na wzgórzu, ale z tyłu z pod niej wysuwa się podziemny kościół, w którym matki mojej zwłoki spoczywają, w trumnie, na łańcuchach zawieszonej u sklepienia lochu, nad którym kaplica. U drzwi tego lochu ukląkłem i modliłem się do niej i o nią i przebyłem z kwadrans zupełnego zatopienia w obcowaniu z światem umarłych. Klęcząc tam, zamknąwszy oczy, czułem się w innym świecie, czasem mi tylko widok Nicei i kościoła nicejskiego w głębiach mózgu się przesuwał, i wtedy modliłem się za matkę Twoją, potem znów wracałem do mojej, a wstawszy, stamtąd udałem się na przyległy cmentarz, gdzie leżą wszyscy ukochani lat moich dziecinnych: pani de la Haye, która mnie i Augusta wychowała, ta biedna Rozpędowska, którąm trzymał, gdy jej skir z piersi wyrzynali, co nie przeszkodziło jej śmierci dwa miesiące później, Girardot, Chiarini, co mnie uczył po grecku i arabsku, i wreszcie ostatni z przybyłych, Wyleżyński. Nad każdym grobem zmówiłem *Zdrowaś Maria* z łzami w oczach. Słońce zniżało się ku zachodowi, szum jakiś smętny żałośnił się po akacjach, nad pomnikami, i myślałem: „Czy też Dialy domyśla się, gdzie jestem w tej chwili?". Biedni umarli, żyli wszyscy razem w jednym okręgu, co dzień do siebie mówili, śmieli się, kłócili się czasem z sobą, co dzień u jednego zasiadali stołu, i ja z nimi w dzieciństwie, a teraz leżą obok siebie pod tą samą murawą, temi samemi brzozami i akacjami, a ja chodzę po ich mogiłach, ja, którego widzieli rodzącym się i którego tak pielęgnowali, tak kochali. Potem wróciłem do ojca i z nim chodziłem po ogrodzie. Oprowadzał mnie po oranżerii i kwiaty pokazywał i rozmaite rośliny, — gadałem mu o genet d'Espagne widzianym na Jura, blisko St. Cergues, i o krzewie tabacznym, widzianym w Rey, a gdym mu te rośliny wspomniał, dusza moja marzyła Twą postać to w Rey, to na górze, zbliżającą się ku St. Cergues, i owe długozwiśne żółte kwiaty, któreś zatknęła na włosach i kapeluszu!

7-go septembra, Opinogóra. Wiesz, nie porzuciłem tego biednego, Twojem zdaniem już nad miarę starego kaftana, który Cię obwijał w St. Laurent, mam go z sobą, wczoraj w nim na polowanie chodziłem, tylko podszewkę inną mu sprawię. Zapomniałem Ci powiedzieć, że sukienki dwie admiracją się stały Elizy i ojca mego, gdy w nich malutki wystąpił. Aksamitny kobierzec także, i El. go do Warszawy zabrała. Wczoraj, gdym skończył pisać do Ciebie, czytałem trochę St. Martina. Wrońskiego mi przypomina obietnicą wieczną i wiecznem niedotrzymywaniem, udaje, jakoby wszystko znał i wiedział, tylko nie mógł tajemnic swych użyczać ludziom, zanadto jeszcze na ich pojęcie małoletnim. Oczywiście należy do illuminatów 18. wieku, o których tyle w „Hrabinie Rudolstadt". Zawsze się tak dzieje, że zmysłowa część człowieka upatruje raj w przeszłości, bo raj był niebem dla ciała ludzkiego, a umysłowa część człowieka upatruje niebo w przyszłości, bo niebo jest rajem dla wiedzy i myśli człowieczej. Duch zaś cały, jaźń cała ludzka, powinna się starać, by ten ideał przeszłości i przyszłości zlał się w jedno teraźniejsze życie. Owa teraźniejszość zarazem rajska i niebieska zacznie się przy ciał zmartwychwstaniu, to to, co ja zawsze zowię anielstwem. W St. Martinie przeważa zawsze idea raju, przeszłości, upadku człowieka, tak, jak w filozofii idealnej Niemców przeważa zawsze idea przyszłości doskonałej. St. Martin wiele zmysłowego jeszcze i mistycznego ma. Raj, czyli doskonałość ciała, zlej z niebem, czyli doskonałością myśli ludzkiej, a będziesz miała doskonałość ducha ludzkiego, czyli jego przeanielenie, czyli taki stan, w którym już każda chwila teraźniejszości jego będzie wielką, świętą, wielmocną! Raj był apoteozą ciał, niebo dusz, duchów zaś przebóstwieniem będzie żywot wieczny, nieskończony, co chwila wyższy, miłośniejszy, piękniejszy, świadomszy, głębiej uczuty, głębiej pomyślany, śliczniej kształtowany! Te myśli nasunęło mi czytanie St. Martina, który, powtarzam, wielce jednostronnością raju nacechowany, ale w którym świetlane są błyskawice. — Żargon Generała Michała składa się z St. Martina i Svedenborga, — taką bym formułkę ułożył: St. Martin + Svedenborg — geniusz = Myciel (+ znaczy plus, — znaczy minus).

249. DO DELFINY POTOCKIEJ

8-go septembra, Opinogóra, 11-sta w wieczór

Jutro jadę do Warszawy i, skoro przybędę, list ten na pocztę rzucę. Przybyła Fregata z czółnem, jadę, a wolałbym jeszcze tu kilka dni z ojcem zostać, ale trzeba interesa Jerzane ułożyć i wynaleźć gdzie i skądsiś list kredytowy na wyjazd Elizy, trzeba służących poodprawiać niepotrzebnych, o paszporta prośby pisać itd., itd.; czyli nudzić się wszechmocnie. Dziś *Gloza* św. Teresy z rana przyszła mi na pamięć, ale miasto po hiszpańsku, po polsku:

Nie śmierci czuję, ale życia trwogę!
Bo taki żywot widzę tam przed sobą,
Że mi ten ziemski grobową żałobą,
I tem umieram, że umrzeć nie mogę!

Zastanę pewno od Ciebie listy w Warszawie; mam przeczucie, żeś Ty w Dieppe niedługo bawiła, i żeś już z powrotem. Ile razy wracam do Twego listu, nowy żal mnie zdejmuje. Rózgą bym dał Luszy, ale proszę Cię, o tem nie wątp, że przyjdzie chwila, w której ona potrzebować Cię będzie i w prośby uda się do Twego serca. Jeszcze w Warszawie kawałeczek dopiszę, a teraz, kładąc się, wzywam opieki Pańskiej nad Twoją głową najdroższą, wzywam spokoju i potęgi zarazem Ducha św. nad nią. Nie uwierzysz, Dialy, jakbym pragnął, by wszelkie złe mi się stało, a Tobie wszelakie dobro. Trzy dni przebyłem prawie na ciągłej rozmowie z ojcem, czułem, że go cieszę i rozrywam; wolałbym tu zostać, niż tam jechać, ale, gdybym nie pojechał, nic by się nie stało, a przecież trzeba pomyśleć i o bursztynie i o bulionie, o tych dwóch moich pocieszycielach. Trzeba drugi nakazać, by był gotowy. Pamiętaj kazać wysypać z wielkiego woru kaszę i raz ją na słońcu rozłożyć w Rey, potem znów wsypać, bo inaczej zupełnie stęchnie. Tak mi tu mówili znający się na tem doskonale! Bóg Cię strzeż, najdroższa moja!

10-ta z rana, Warszawa. Przybyłem w nocy i straszną noc przebyłem w zielonej jaskini. Nie mogę Ci opisać okropnego wrażenia, jakie sprawił ten pokój na mnie. Listy Twe z 28-go i 30-go zastałem u siebie na stoliku. Przeczytałem je, zmartwiły mnie, zmartwiły. I Natalia i Lusza zgryzły mnie, bo gryzą Ciebie, a potem przewiduję, że się gubią i zgubią, a gdy się dogubią, wiem, jak Tobie smutno będzie. Więc, zmartwiony, położyłem się, ale, gdy Jan wyszedł, gdym sam jeden został w tym samym grobie, który mnie opasywał przez całą zimę, zaczęły się snuć przede mną samym widziadła moich boleści niesłychanych, tu wycierpianych, i wpadłem nagle w stan zimy przeszłej, jak człowiek, co ze szczytu skały spada w morze lodowate. Tak nagle, tak nagle uczułem wkoło siebie śmierć, zimno, galwanizm fal duszących. Te same ściany wysokie, ogromne, surowe, pogrzebne, te same makaty śmiertelne, te same połyski świecy palącej się z tyłu, przy oknie, jak onych nocy, gdym tu szalał i przestał był być człowiekiem, otoczon marami nieszczęścia, śniąc, że mój ojciec ginie, i czując w każdej chwili, że Ty się posuwasz ku Nicei, ah, ku Nicei, i nadaremno. Wiosna, Ty, podróż cała, duch rozbudzon, wszystko to jakby nie było, a tamto wróciło, tamto ogarnęło. Dowiedziałem się jakoby na nowo, że matka Twoja chora, że Ty musisz wyjeżdżać, ujrzałem Jerzego odprowadzającego Cię do kolei, Luszę, księcia starego. Potem zdało mi się, że wchodzi ta dantejska figura Stadnickiego i donosi mi, że już po wszystkiem, i wszystkie noże, które mnie wtedy przeszyły, znów mnie przeszywały, uczułem w sobie zmartwychwstającą rozpacz, obłęd, głupotę, beznadzieję, odrętwienie, śmierć wieczną! Uczułem, co to ja, gdym daleko od Ciebie, jaka przepaść mnie dzieli od drugiego mego ja, co przy Tobie, lub co niedawno ożył przez Ciebie. Tak, jakem modlił się wtedy za matkę Twoją, zacząłem się modlić, modlić się i za Ciebie, tak, jak wtedy, gdym nie wiedział, gdzie jesteś, między Paryżem, Avignonem, Niceą. Słowem myślałem, najdroższa Dialy, żem pomieszany na rozumie, — a taki ból świeży, młody, nowo narodzony darł mi serce, gdym myślał o nieszczęściu 6-go stycznia, żem nie wiedział, gdzie duszę podziać, by nie myślała i przestała cierpieć. Co to za władza miejsc? Promień świecy jednej może tak pomieszać ducha człowiekowi. Jakżeż wiecznie wszystko, co składało

życie nasze, obecne w nas jest i drzemie tylko, przeszłe nie przechodzi, — draśnij tylko czem, a żyje, wstaje, rozdziera. Okropną noc przebyłem. Piszę jeszcze pod zmory tej wrażeniem. O Dialy, jakżeż ja kocham Ciebie, jakżeż ból Twój wiekuje we mnie z przykrościami wielą, takiemi właśnie, które najbardziej drą serce, bo z serca ich nie sposób wyjąć, wypowiedzieć, więc zostają w sercu, jak ość rybia w gardle, jak muszki zdechłe w oku, jak ów kłos ogrodu jezuitów w płucach moich, czy rękawie, już nie pamiętam, gdzie był zalazł. Pij, pij wodę żelazną, niech Ci sił przyda, sił, sił. Dziwne to cudowności Aleks, opowiada o Besarabii. Ja jeszcze bardziej zwątpiłem o rzeczywistości tych dóbr, kiedy takie fantastyczne, pełne wersalskich szpalerów, narzędzi do tortur, napierśników srebrnych, tureckich szat i ludzi, o Bogu wyobrażenia nie posiadających. Przyznasz, że mieszanina Guliwerowa, ale to wszystko się rozjaśni za kilka dni, skoro do hipoteki się dostanę. Ręce i stopy Twe całuję. Grypa Twoja musiała była zwolnieć nazajutrz, bo nic mi o niej już nie mówisz. Bóg Cię najwyższy strzeż. Do obaczenia, — do obaczenia.

Twoja teraz i na wieki św. Teresa

250. DO DELFINY POTOCKIEJ

1845, 28 septembra, Warszawa

Najdroższa Ty! Eliza dziś się jeszcze nie dopakowała, ale jutro niezawodnie wyjeżdża, 30-go będzie w Poznaniu, 2-go w wieczór w Berlinie, 10-go lub 11-go w Heidelbergu, tam spodziewa się listów Twoich, zapewne koło 17-go najdalej zjedziesz się z nią. Kazała mnie, bym Ciebie bardzo o to prosił, byś raczyła z nią pójść do Amerykanina ząbnika; dopełniam jej żądania.

Przesyłam Ci przez nią:

Z rzeczy krajowych złożon upominek,
Trzewiki, bulion, kaszę, bursztyn, kminek.
Bursztyn i kminek w skórzanej szkatułce,
O jednej wewnątrz dzielącej ją półce
Z cyframi Twemi i czarną koroną,
Przy czem i chustkę znajdziesz Twą złożoną,
Którąm Ci zabrał przypadkiem w Budero,
A teraz znalazł w rzeczach swych dopiero
I wnet odsyłam. Przy tem San Martyna
Odsyłam także, którego godzina
Przeszła już w świecie; dobry był przed laty,
Lecz dziś już pisarz starej z niego daty,
Choć go w swej myśli potężnej rozbierał
I ma za mędrca M...[437] i generał!

Wszystko to oddanem Ci będzie, a mam nadzieję, że bulion znajdziesz idealnie dobrym. Sam Ci drugi transport przywiozę jako i innych wyliczonych tu przedmiotów. Wczoraj od Ciebie nic nie miałem. Proszę Cię, niech tu do 6-go nowembra odbieram od Ciebie wiadomości, a później w Wiedniu poste-restante. Monikarza nie zapominaj, proszę Cię i błagam.

Smutno, nader smutno mi jest stąd wyjeżdżać na Litwę, a smutno dlatego jedynie, że dłużej listy Twe iść będą, bo zresztą niczego tu nie żałuję w Warszawie; ale to jedno, ponieważ moje wszystko stanowi, więc znowu wszystkiego tu żałuję. Wyjadę zaś dopiero 3-go oktobra, a 4-go będę w Knyszynie; pisać będę, o ile będę mógł, ale smutno mi, smutno, że tak te listy leźć będą, bo Ty wiesz, że one powszednim chlebem moim. Niedobrze mi na zdrowiu, przeklęta grypa znów się odezwała we mnie, kaszlę, i piersi bolą. To szalonego uporu jest choroba — od kiedym przeszłej zimy jej dostał, dotąd się jej pozbyć nie mogę, powraca za lada odmianą powietrza, a potem melancholia mnie znowu

[437] *M...* — Mycielski. [przypis redakcyjny]

pożera. Gdym nie z Tobą, gdy z Tobą nie przechadzam się, gdy Tobie nie czytuję, gdy nie jeżdżę z Tobą, gdy, rano się budząc, nie czuję, że wnet mogę Cię obaczyć, to mi niemiłym wszystko i nie potrafię do niczego się wziąć, a z latami, w takich porach mojego osamotnienia, osierocenia od Ciebie, rośnie gorycz głęboka, coraz głębsza w duszy mojej głębiach. Tak mi się czasem płakać chce, że aż strach, a gdy, przy tem usposobieniu, jeszcze opadną mnie interesa, gdy trzeba myśleć o wydobyciu skąd pieniędzy, o zaradzeniu najnudniejszym wymagalnościom położenia, dobrach, owcach, kupnie zboża na zasiew, o głodzie bliskim, o procesach itd., itd., tak to dalece z moją naturą się nie zgadza, że mi ręce opadają, że mój duch ginie i, jak zając pod kapuścianym liściem, przepada pod pozytywizmem tych zatrudnień. Jedne tylko Twoje interesa to mają do siebie, że mnie zawsze napotykają gotowym, obudzonym, żwawym, bo one tem samem, że Twemi są, natychmiast kolorytu idealnego, kolorytu krwi serca mego nabierają i rozpłomieniają iskrę we mnie. Muszę się na Litwie z Grodzkim widzieć, który przybywa do mego ojca, i jeśli powierzę kwit Twój komu, to jemu do rąk własnych i z zastrzeżeniem, by go nie wydał, aż mu napiszę. Tymczasem od Stadnickiego odpowiedź przybędzie, a Grodzki wszystko mi wytłumaczy i objaśni, bo z gruntu poczciwy i bardzo biegły człowiek. Niech Bóg Cię oosłania, zasłania, owiewa wszechmiłością i wszech-opieką swą. Chciałbym Ci krwi mojej spod serca, mózgu spod czaszki dać, gdybyś mną karmić się mogła i rość w siły, które bym utracał, ależ podobno nawzajem karmimy się sobą i, wyższym sposobem, karmimy się duchami naszemi, i wtedy żaden z nas nie słabieje, owszem, oboje się podnosim i wzmacniamy. Lecz najdzielniej tak się karmim, kiedyśmy razem. O to chodzi, by i z daleka ta komunia równie żywotną i silniącą nas była. Wtedy nastałby pomiędzy nami ciągły cud! O wierz mi, wielka, nieskończona miłość jest ciągle cudem, jest rodzicielką cudu tak w ludzkości, jak w indywiduach, i nic cudownego nie stało się ani na niebie ani na ziemi nigdy, jedno przez miłość. Chciałbym modlitwami uprosić Boga, by Cię jak dziecię swe kołysał w życiu, uspakajał i koił. Chciałbym, byś dostąpiła ulgi, spokoju, ciszy, by to serce, by ta krew, by te nerwy się urytmiły i, jak pieśń brzmi miarowo, tak krążyły w Tobie. O, Ty nie wiesz, jak nieskończenie pragnę, by Tobie choć nieco lepiej było. O siebie o tyle dbam tylko, o ile mogę się do tego przyłożyć, a zresztą nic. Do obaczenia, do obaczenia, Dialy.

Twój teraz i na wieki Zyg.

251. DO ADAMA SOŁTANA

1845, Genua, 5 decembra

Otóżem i tu już: otwarte okno, morze i maszty okrętów, trochę księżyca, stuk młotów pracujących w porcie — przypominam sobie *Fieska*. Zatrzymałem się tu przez dziś, od wczoraj przyjechały, bo mi lepiej jest samemu zupełnie, niż tam, kędy jadę. O, Ty nie wiesz, Adamie, w całej rzeczy i rozciągłości, jakie ja mam życie, Ty nie wiesz, że np. przystałbym tu, w tej gospodzie, nikogo nie znając, ni z kim mówiąc, przebyć zimę, i że bardziej byłoby mnie tu w domu, niż tam kędy jadę. Ale nie lubię o tem mówić, dajmy temu pokój.

Już przyjechała Eliza z panią D., tu listy zastałem. Sobolewskich nie ma, oba w Rzymie, stary ojciec tylko tu[438]. Z Rzymu listy widziałem. Podróż odbyłem szybko, przeczytałem Thiersa i Bülowa i kilka innych tomików; zimno mi tylko było nazajutrz wyjazdu.

Ten sam Zichy, któregoś mi pokazywał, gdzieś wieczorem, już koło Bruck, zaczął mi gadać o Warszawie, że tam był w jesieni, opowiadać, co widział, wreszcie chwalić się, że zna wiele pięknych Polek, pomiędzy innemi bardzo piękną hrabinę Krasińską *née* Branicką, dla której miał listy od swego *beau frère* Odescalchiego etc., etc., etc. Jam go puszczał; poznałem, że to ten sam, który niegdyś o nią się starał w Wiedniu. „Wiesz pan — zapytałem niby z niechcenia — jaka ta pani Krasińska?". On znów: taka a taka, z domu tak, na chrzcie Elżbieta. Wtedy powiadam mu: „*Mais dans ce cas c'est bien*

[438] *Sobolewskich nie ma (…)* — Sobolewscy: ojciec, Ignacy, były sekretarz stanu do spraw Królestwa Polskiego, i synowie jego: Józef i Jerzy. [przypis redakcyjny]

ma femme"[439]. Podskoczył aż Niemiec w karecie, tak się zdumiał i zdziwił. Ogromne mi zaczął palić grzeczności, ściskać za ręce, zapraszać w Wiedniu do klubu itd., itd. Dość komiczne było to spotkanie, osobliwie zdziwienie Niemca, iż człowiek w tak niesutej burce i furażce pomiętej może mieć tak bliską styczność z ową sławioną z posagu panną. Nic wyśmienitszego od uszanowania jego, kiedy się dowiedział. Reszta drogi zupełna nicość. Antosiowi[440] tylko memu ogromnie się Włochy, katedry, marmury podobają. Sprytny to chłopak. Dałem mu czytać Kitowicza; dziś mi mówi: „O, JW. Panie, jaki to podły król, ten król polski, jeśli to prawda, co tam napisano". „Prawda, moje dziecko, podły" odpowiedziałem mu. Jutro wyruszę do Nicei, pojutrze tam stanę i zacznie się życie, od którego gdy uciekam wtedy tylko mi lepiej, a ilekroć wracam doń, gorzej i coraz gorzej. Cóż chcesz, tak jest. Są pewne rzeczywistości na świecie, przeciwko którym żadne teorie ni rozumowania nic nie nadadzą. „Tak jest" jest słowem wszechpotęgi pełnem. Cóż można więcej powiedzieć, że to słowo mocne, jak Jehowa. Nieszczęśliwy jest ze mnie człowiek, i to sam wiesz, z ilu różnych stron! Otom osiem dni dobrych przebył przy Tobie i z Tobą, jakżeż prędko minęły! Proszę Cię, ręce i nóżki księżnej drogiej uściskaj ode mnie, powiedz jej, że niezmiernie mi smutno było ją odjeżdżać i że, gdybym tylko chęci się był, a nie konieczności radził, to jeszcze bym długo przy niej się był pozostał. Niech Bóg ją wszelkiem dobrem darzy i obłogosławia! Pisz do mnie, pisz, a tem przyniesiesz pociechę temu, który Cię na zawsze kocha, a któremu piekielnie smutno.

Twój.

252. DO STANISŁAWA MAŁACHOWSKIEGO

1846, Nicea, 4 stycznia

Drogi mój Wojewodo! List Twój odebrałem z dwudziestego dziewiątego grudnia i serdecznie zań Ci dziękuję. Bądź łaskaw zawarty tu zaraz oddać Gaszyńskiemu, który mnie prosił, bym na ten raz na Twoje ręce go posłał, bo niepewny mieszkania, ile że w tym liście drzemie i weksel.

O Królestwie nic a nic nie wiem. August i *principino*[441] umilkli. Czy im się wydaje, żem ja bardzo szczęśliwy? Nie mogę pojąć — tymczasem nic a nic. Biedny Henryk! Przyszła kreska! *Hodie mihi, cras tibi*[442]. Prawdziwie tą razą Markiz Scapavia pokazał się godnym markizowstwa swego. Co tylko wiesz, mój drogi, napisz mi, nawet zaczynam się mocno niepokoić o Augusta; łatwo w dziurę wpaść, choć na drugiego, nie na Ciebie czyha w tamtych stronach.

Te panie[443] dziękują Ci serdecznie za przesłane życzenia. Mój ojciec w wigilią nowego roku dostał straszliwej gorączki, przeziębiwszy się na spacerze, odbytym z synową. Przez trzy dni męczyłem się nieznośnie w okrutnem przerażeniu, by to nie była zgniła gorączka; ale dzięki Bogu lepiej się ma, choć jeszcze w łóżku leży. My wszyscy, ilu nas tu, niedobrze się mamy. Jam kompletnie się roznerwował i zgłupiał. Nie ma, jak być z Tobą, Wojewodo, w O Campów Elis[444], lub sześcioma końmi udawać króla pruskiego w bramach Strasburga, ale nie tych, co wiodą ku Kehl, bo wtedy znowu źle!

A więc papież widział papieża i uścisk dwu-papieski widziany był w Watykanu sali[445]! Dziwny to potwór stanął przed oczyma patrzących: z dwóch papieżów jeden kształt związany i zwikłany razem, jakby dwóch braci Syjamczyków, nienawistnych sobie, a spojonych tą samą arterią: władzy świeckiej. Zobaczysz, co się stanie: oto będzie zbliżenie się

Władza, Religia, Car

[439]*Mais dans ce cas c'est bien ma femme* (fr.) — Ale w takim razie to jest zapewne moja żona. [przypis redakcyjny]

[440]*Antoś* — Antoni Wojtach, służący. [przypis redakcyjny]

[441]*August i principino* — August Cieszkowski i Jerzy Lubomirski. [przypis redakcyjny]

[442]*Hodie mihi, cras tibi* (łac.) — dzisiaj mnie, jutro tobie. [przypis redakcyjny]

[443]*te panie* — Eliza Krasińska i Delfina Potocka. [przypis redakcyjny]

[444]*być z Tobą, Wojewodo, w* O *Campów Elis* — [chodzi o] Rond-point, pl. na Polach Elizejskich w Paryżu. [przypis redakcyjny]

[445]*papież widział papieża i uścisk dwu-papieski widziany był w Watykanu sali* — Mowa o wizycie cara Mikołaja w Watykanie. [przypis redakcyjny]

tych obu, i Piotr pochyli się jeszcze bardziej w mniemaniu ludzkiem przez ten związek, i u nas, gdy przyjdzie napomnienie od stolicy apostolskiej, by szanować władzę, odpadnie ostatecznie serce od kopuły pękniętej[446]. Anti-Christa przybył do Romy, by w przepaść, dla się zgotowaną, i starca[447] pociągnąć. Wszystko, co ma się skończyć, kończy się tak.

Co tam się dzieje, co, na równinach, kędy niedawno byłem? Ile to płaczu i zaguby i mąk niedosłyszalnych za grubemi ścianami twierdz! Gdy się rzeczy zbliżają do zamierzonego końca, powstaje coś okropnego w świecie! Noc, poprzedzająca wschód nowych słońc, zwykle bywa niewymownie straszną i czarną!

Mowa pana Adama do księcia Adama, o panu Andrzeju[448] w dzień św. Adama, nie pocieszyła mnie wcale. Coraz bardziej słychać, że pan Andrzej, nim się wyprawił na proroczkę, natchnienie wziął w stolicy lodów. Bądź co bądź, koło zaczarowane nie pękło dotąd dla pana Adama, a póki nie pęknie, duch się jego nie wyzwoli i na nowo nie zacznie działać. Gdy się znowu wyzwoli spod jarzma, o to się bardzo lękam, by nie podeptał zarazem i fałszu odkrytego, i wielu prawd, do których się dostał podczas trwania tego snu magnetycznego. Czy nic nie wspominał ci o Ps.[449]? Jeśli się z nim widzieć będziesz, nawiedź na to rozmowę.

Powiedz mi, czy mam do Juliusza[450] napisać? Jak sądzisz, czy mi odpisze? Może stałem się dla niego mikroskopicznem żyjątkiem, niegodnem przerywania mu jego medytacyj. Jednak rad bym listownie się z nim rozmówić. Izydora[451] uściskaj! Jeśli hypertrofią serca ma, mogę mu służyć tem samem; długo to trwa, nim zadusi.

Do obaczenia, mój Wojewodo najdroższy. Dzięki Bogu, żeś rad z władysławowej przemiany[452]; oby transfiguracja nastąpiła, a wtedy zda się, i na niemało, tam, skąd my wszyscy rodem. Ściskam go z serca, a Ciebie jakbym serc trzy miał i wszystkiemi Cię kochał.

Twój.

253. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Nicea, 15 stycznia 1846

Drogi mój! Masz prawdę, nie tylko Ciebie to przeraża, ale i mnie; ależ przyznaj, że ten autor szalonym był[453]. Pamiętasz, jakeś Ty pisał do niego, a jam sam ustnie tylekroć mu powtarzał, że głupstwo robi, że nikomu nie pomoże a siebie łacno zgubić może, że wierszykiem się nie uspakaja zagorzalców, ni sprowadza z drogi zamierzonej konspiratorów; ale skądinąd, że wierszykiem można karku sobie nadkręcić pod rządem despotycznym i tak dalece czuwającym, jak rosyjski. Tem bardziej mnie teraz to przeraża, że on jest w kraju, biedny chłopiec! Zrazu powiedzą, że to Słowacki, że to inny, że to ja wreszcie, a w końcu wykryją prawdę, sami Polacy rozplotą ją i jego wezmą i zaszlą daleko; ależ kiedy to takie, jak jego charaktery nigdy niczego słuchać nie chcą. Poczciwy, dobry, utalentowany chłopiec, ale bez rozsądku, bez wszelkiej znajomości i praktyki żywota, myślący, że mur można głową przebić. Strzeż go Bóg, a niech go ludzie nie wydadzą, niech najlepsi jego przyjaciele nie przyłożą się do jego ruiny, bo to u nas tak bywa!

Dziękuje ci bardzo Jan za zaprenumerowanie, które już odbiera. Powinszowanie też od pana Globów i Ducha ziemi na Nowy Rok odebrałem; nadzwyczajnie styl Towiańskiego

---

[446]*odpadnie ostatecznie serce od kopuły pękniętej* — Kościół św. Piotra, aluzja do *Legendy* Krasińskiego. [przypis redakcyjny]

[447]*starca* — Papieża Grzegorza XVI. [przypis redakcyjny]

[448]*Mowa pana Adama do księcia Adama, o panu Andrzeju* — tj. A. Mickiewicza do A. Czartoryskiego o A. Towiańskim. [przypis redakcyjny]

[449]*Czy nic nie wspominał ci o Ps.* — o *Psalmach Przyszłości*, które pojawiły się pod koniec 1845 r. [przypis redakcyjny]

[450]*Powiedz mi, czy mam do Juliusza* — Juliusza Słowackiego. [przypis redakcyjny]

[451]*Izydora* — Sobańskiego. [przypis redakcyjny]

[452]*żeś rad z władysławowej przemiany* — Wł. Zamojskiego. [przypis redakcyjny]

[453]*ten autor szalonym był* — mowa o autorze *Psalmów Przyszłości*, a zatem o Krasińskim. W ten sposób ostrzega poeta przed zdradzeniem komukolwiek jego autorstwa. [przypis redakcyjny]

podobny do stylu Lelewela. Smutne to życzenie na rok nowy, wezwanie do męczeństwa! A cóż, czy trzeba wzywać do rzeczy, która się na każdym z nas ciągle odbywa?

Bądź łaskaw, nim mi przyślesz *L'Homme p. de Loërne*, wywiedz się, czy dobrze pisane, czy w nowem pojęciu nauki pomyślane. Musiałeś od pana Stanisława list odebrać i weksel, który na jego ręce przesłałem. Co to są dwa akty niby Juliusza? Czy to Juliusza? Czy pisać do niego? Czy odpisze? Bo ci panowie nie odpisują już śmiertelnikom. Co za myśl poematu Laprada? Bądź łaskaw, jak najczęściej pisuj do mnie i, jeśli się wywiesz, powiedz, co demos myśli o naszym szalonym a poczciwym znajomym. Książki odebrałem od konduktora. Choro mi i smutno, widnokręźnie mi źle; wkrótce trzydzieści cztery lat mi przedzwonią, a życie coraz podobniejsze do czarnego lochu. Pisz często, Konstanty drogi, i donoś, co wiesz!

Cyprian, nie Leopold, Robert kurs[454] zaczął; Leopold sobie w łeb strzelił. To samo myślę o Cyprianie, co Ty.

254. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

1846, Nicea (maritime), 27 lutego

Mój drogi, drogi Auguście! Żebym Cię miał pod ręką, tobym Cię bił — bił, powiadam Ci, za to, że nie piszesz. Raz napisałeś z Poznania przed nie wiem wielą tygodniami i umilkłeś — ani wiem nawet, czyś przybył do Berlina. A tak mi markotno, smutno, rozdrażniono na ciele i duszy, że wciąż teraz o samych klęskach, utrapieniach, nieszczęściach, chorobach marzę. Cóż się Tobie stało? Czyś chory? Co Tobie jest, Auguście? Na miłość Boga, pisz do mnie, pisz! Wczoraj z panią D. cały wieczór przepędziliśmy na myśleniu i mówieniu o Tobie. Eliza także wspomina Cię ciągle i pyta, czy listu nie odebrałem od Ciebie. Lepiej było rady mojej posłuchać, przyjechać do Nicei, niż w zimnym klimacie i ponurem mieścisku zostać. A ojciec Twój gdzie? Czy w Królestwie, czy w Berlinie? Pisałem list bardzo długi do Ciebie, odpisem na Twój — czy doszedł Cię? Do wszystkich moich utrapień i boleści a srogich, wierz mi, przybyło teraz niepokoić się o Ciebie.

Wiesz? Jerzy Sobolewski umarł przed miesiącem w Rzymie. Odchodzą zacni i dobrzy. Iluż to w tych czasach umiera, i rozmaitą śmiercią. Napisałem mu nagrobek zawczoraj; a mnie kto pisać będzie? Mój Auguście, czy zostanie kto do napisania nam? Przede wszystkiem proszę Cię, błagam, zaklinam, odpisz mi, gdzie jesteś, co robisz i jakie Twe zamiary na wiosnę. Tu czekam w tęsknocie nieopisanej Twej odpowiedzi. Ściskam Cię z wszystkich sił serca.

Twój na zawsze Zyg.

Ten miesiąc prawdziwie luty. Jerzy z Michalskim podobno we Lwowie — udało mu się otrzymać pozwolenie na zaciąg długu. Nie mogę pojąć, czemu Ty do mnie nie piszesz?

Jestem tak rozdarty wszystkiem, co mnie dotyka, czy subiektywnie, czy obiektywnie, że, prawdziwie, życie moje tu ciągłem zdychaniem. Subiektem, obiektem prawdziwie jestem, absolutnie smutnym — powinien bym się rozwinąć jako idea nieszczęścia na ciąg stworzeń ujemnych, wyobrażających coraz większy brak, rosnącą próżnię, kształtujące się bez-życie, a najwyższe stanowisko, osiągnięte w rozwoju takiej logiki, byłoby: nie duch, ale co? Oto Ci opowiem: myśl, w całej swej potędze pojęcia, a w całej niemocy urzeczywiszczenia. To albowiem najgorsze piekło. Śmierć fraszką przy tem. Ale śmierci nie ma. Stan pośmiertny, między dwoma żywotami zawieszon, to to właśnie. Myśl przy ubytku bytu i czyn żaden nieudający się. Dusze umarłych, nim się narodzą na nowo, w takim stanie są.

255. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Nicea, 1 marca, 1846

[454]*kurs* — kurs literatury słowiańskiej Cypriana Roberta w zastępstwie Mickiewicza. [przypis redakcyjny]

Drogi mój! I ja jak wariat chodzę, od kiedym przeczytał we wszystkich gazetach, co się stało[455]; myślę jednak, że nie koniec na tem, zobaczysz, że nie, i ja czuję, jakobym konał, ale nie tak, jak Ty, bez nadziei w przyszłe życie. O sobie wiem, że skonam, i to może w mękach, ale wiem też, że idea zwycięży! Przegranemi zwycięża ona! To, co ma na wieki zwyciężyć, musi przed dniem tryumfu cierpieć, w bólu się kształcić, męczeństwem się wyrabiać. Prawda, że u nas nie tylko czysty ból i czyste męczeństwo, głupstw rozmaitych domieszanie wielkie; ale któż w świecie kiedy oglądał masy rozumne i subtelne? I kto widział naród nieszczęśliwy, który by potrafił być jednym człowiekiem stanu?

Proszę Cię, pisz i pisz do mnie wszystko, co tylko dojdzie Cię. O Auguście[456] nic a nic nie wiem, gdzie on? Czy nie słychać o nim? Przyznasz, że jest opatrzność nad psalmistą, kiedy dotąd nie powiesili harfy na wierzbie płaczącej: harfą zaś jest sam człowiek. Ściskam Cię z głębi serca.

256. DO STANISŁAWA MAŁACHOWSKIEGO

1846, Nicea, 6 marca

Od dni kilku, jak na piasku ryba zdychająca za wodą, tak ja tęsknię za listem jakim od Ciebie; wreszcie przybył z drugiego marca, ale mało w nim szczegółów o stronach naszych. Gazety pełne nowin różnorodnych. Szlachtę polską wiążą chłopy polskie i wydają! Ojce synów chwytają i wydają! Spiskowi, co chcą piekło obalić, nie jak anioły poświęcenia wstają, ale piekarzów namawiają do zatruwania chlebów! Chcą wyrzynać wszystkich Niemców itd., itd. Dowódcą olbrzymio rozgałęzionego sprzysiężenia kto obran? Młody szaleniec, szarlatan, fraześnik, Mierosławski!!! Boże mój, Boże! Krwawe łzy mi z serca ciekną, ilekroć gazety czytam. Żal chwyta za serce, że choć się tych dwóch czy trzech godzin, podczas których bito się o ideę polską, tych godzin, mówię, kilku tam nie było; to znów wściekłość porywa duszę, że frazesa nikczemne jednego stronnictwa, wymysły śmieszne, sekreta na wytrucie wojsk nieprzyjacielskich, rzezie, marzone na skalę ogromną, a nie mogące udać się nigdy, bo natura rzeczy dziewiętnastego wieku nie dozwala już takich anti-ludzkich głupstw — że to wszystko spadnie na cały naród. Boże mój! A mimo to wszystko dzielne jednak to serca, dzielne i odważne, tylko brak wiary w ducha, co światem rządzi, brak wiedzy o prawie wiekuistem, które temu tylko daje zwycięstwo, kto siebie poświęca, a nie temu kto drugich. Otruwać i wyrzynać, oto mi wynaleziony sposobiczek, oto mi lekarstwo specyficzne z apteczki nierozumu i bez serca. Jedynym warunkiem udania się powstań jest gotowość w każdym oddania gardła za sprawę, a przed oddaniem go bronienia sprawy do upadłego. Tak gotowi, mogą zwyciężyć. Nie siła specyfików żadnych, nie siła proszków, nie siła zwierzęca, ale duchowa, zwierzęcą deptająca, nas zbawi! O mój drogi! Dusza moja grobem. Czyś się spodziewał, by chłopi wiązali szlachtę, by ostatnich obrońców idei własny lud, ów lud, tyle pod obłoki podnoszon, wydawał! Przeklęte gadaniny, frazesy, głupie niedojrzałości smarkaczów demagogicznych! Smutne proroctwo ktoś im wypsalmował przed wybuchem, zaklinając, by celu wieków nie cofali, znów nie spóźniali[457]! Wiesz, w krew rozpływa się serce moje, rozpływa się, jakby miało zniknąć, z bólu się ulotnić i nie być już nigdzie! Ah, czemuż takie przeklęte głupstwo ma oburzyć znów niemiecki świat! Szlafmyca zadrżała na głowie Niemców wszystkich; tchórze, ogłoszą nas za antropofagów[458]!

Zmiłuj się, co tylko wiesz, pisz, proszę Cię, szczególnie o imionach. Co August, co Jerzy? Nie tak o pierwszego, jak o ostatniego się lękam. Łatwo w takiej mieszaninie dostać kulą w łeb, choćby tylko za to, że się przez ulicę idzie. On miał był w one czasy pojechać do Lwowa. Wszystko, co tylko wiesz, napisz!

O przedłużenie paszportu w tych dniach się postaram, kiedy nieco się to wszystko rozświeci, bo dotąd to wszystko jakby za kurtyną dymu wielkiego.

---

[455] *od kiedym przeczytał we wszystkich gazetach, co się stało* — mowa o rzezi galicyjskiej. [przypis redakcyjny]
[456] *August* — Cieszkowski. [przypis redakcyjny]
[457] *Smutne proroctwo ktoś im wypsalmował (…)* — aluzja do *Psalmu Miłości*. [przypis redakcyjny]
[458] *za antropofagów* (z gr.) — ludożerców. [przypis redakcyjny]

Przybywaj tu! Mój ojciec podobno koło pierwszego kwietnia do Turynu pojedzie. Ty pamiętaj o mnie w każdym razie. Nic przewidzieć nie można. Mówią, że i w Litwie, na Podolu, na Wołyniu krew się leje, każden dzień nowe może przynieść wieści; zatem niech wiem co chwila, co czynisz i co zamyślasz czynić. Jednak myślę, kiedy logicznie myślę, że na teraz wszystko już zduszone, a co spadnie grobowych, olbrzymich kamieni na grób, co się na chwilę, na godzin dwie chciał roztworzyć! Tak, to nowego męczeństwa, i okropniejszego, niż wszystkie poprzednie, początek, ale też ono ostatniem już będzie! Za list od Scheffera[459] Ci dziękuję.

Miło mi jest, że na cokolwiek zdałem się Juliuszowi; zostaw mu myśl, że on mnie dźwiga, jeśli ta myśl jego wydźwignąć może.

Kłaniaj się Konstantemu, a odpisz mi prędko i często pisz, bo jestem jak raniony człowiek, a list Twój jak opatrzenie rany. Z serca i na zawsze

Twój

257. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

1846, Nicea, 16 marca

Mój najdroższy! List Twój z 5-go marca odebrałem i w tej samej chwili list od Jerzego ze Lwowa z 1-go marca, mówiący, że „dotąd żyję, ale los okropny spotkał wielu. Druga koliszczyzna, a z tych samych źródeł płynąca, co pierwsza. Tu sąd doraźny zaprowadzon i pod jego opieką żyjemy, szczęśliwi, że nikt z familii nie przeszedł przez katusze nie do opisania, które drugich tylu spotkały — chociaż nie wiedzieć jeszcze, czy im zazdrościć nam nie będzie trzeba?".

Otóż na kopercie data 2-go marca — Lemberg. Czyż to list z aresztu? Nie sposób — naprzód zasadą austriackiego rządu: *Iusticia regnorum fundamentum*[460], więc nie aresztowałby zupełnie niewinnego, który się wiecznie zdaniem swem i czynami opierał wszelkiemu brudowi, szaleństwu, zaślepieniu, świństwu. Zdaje mi się, że to zupełnie fałszywa nowina.

Twoje listy tę mają przewagę nad mojemi, że mnie w dziesięć dni dochodzą, bo z układu poczt pruskich nie wypada im przez Wiedeń iść. Moje przeciwnie: z układu poczt sardyńskich, dość nielogicznego, koniecznie przez Wiedeń przechodzić muszą, więc dopiero za dwanaście dni lub trzynaście Ci się dostają. Jednak, skorom Twój list i tę nowinę przeczytał, natychmiast pomyślałem, co należy czynić w najgorszym razie i do tego się wziąłem ochoczo, choć niezmiernie chory jestem i, jak Ci już mówiłem, z łóżka nie wstaję.

W tych dniach o przedłużenie paszportu się postaram. Wolę jednak ten list posłać przez Paryż. Trzeba go do Wojewody zaadresować — zatem, jak Ci mówię, napisałem dziś zaraz do pana Adama[461] w Wiedniu, by, jeśli prawda, że Jerzy zatrzymany, poszedł zaraz do kobiety pewnej, co uchodzi między nami za wszeteczną i szpiega, ale wielki wpływ ma, i działał na nią, jak się działa w podobnych okolicznościach. Jednak, sądząc z listu Jerzego, niepodobna myśleć, że aresztowany. Mój drogi, drogi, drogi mój! Dzika to bestia lud rozpasany, a do tego schizmatycki. I Tyś przewidywał — tak, ale i mnie tego nie zaprzeczysz, żem także przewidywał i przewidział to wszystko. Okropnie, okropnie! Trzeba się nam koniecznie obaczyć, Auguście. Czy tu nie przyjedziesz? Ja taki chory, że się ruszyć nie mogę. Pisałem do Ciebie niedawno, przed 3-ma czy 5-ma dniami, a przez Wiedeń. Mówiłem Ci wtedy, że Emmy wybiera się za mąż, ale podobno jej mąż przyszły zabity przez chłopów w Galicji, więc jeszcze panną zostanie i może starą panną. Boże mój! Byleby tylko nic z obrzydliwości tej wielostronnej nie spadło na Jerzego!

[459] *Ary Scheffer* (1795–1858) — malarz holendersko-francuski, twórca portretów Krasińskiego i jego rodziny. [przypis redakcyjny]

[460] *iusticia regnorum fundamentum* (łac.) — sprawiedliwość podwaliną państw. [przypis redakcyjny]

[461] *napisałem dziś zaraz do pana Adama w Wiedniu* — Adama Potockiego. [przypis redakcyjny]

Czy Ci się podobały te 10 reńskich za głowę? — Po turecku. — Robert Cyprian by powiedział: *Ideé orientale*[462].

Mój Ty najdroższy! Pisuj jak najczęściej! Wszystko, co tylko dowiesz się o Jerzym, pisz! Jest u mnie gotowych 100 000 fr., gdyby trzeba je dać na ratowanie jego. Pamiętaj Auguście, w złym czy dobrym losie, że zawsze i wszędzie jestem Twoim. Kochaj mnie i wierz, że Cię kocham. Dziś więcej pisać nie sposób. Pisz, czy możesz tu przyjechać!

Twój Z.

258. DO STANISŁAWA MAŁACHOWSKIEGO

Nicea, 20 marca 1846

Mój drogi! List Twój z piętnastego marca odbieram w tej chwili. Donoś mi o wszystkiem z rozwagą! Tu może pod despotycznym rządem nie czytają, ale tam, pod konstytucyjnym, niezawodnie czytają. Eksprofesory, gdy uchwycą panowanie nad państwami, a do tego za pośredniczki przybiorą księżne wielkiego świata, nie wątpię, że się umieją puszczać na takowe figle.

Rad jestem temu, że Cię doszła moja Hierozolima[463]. Wątpię, by teraz zdała się na co; jeśli jeszcze by zdała się na co, to i owszem: klęknąć i pomodlić się u tego świętego grobu było zawsze marzeniem mojem.

Dziś przez odjeżdżającą stąd Sapieżynę Leonową przesyłam Ci mały pugilares nicejskiej roboty, bo musisz mieć teraz dużo papierów do chowania i układania. Jutro lub pojutrze prześlę Ci list, z którym postąpisz wedle mojej prośby. Dziś dołączam list do Augusta[464], który raczysz rzucić na pocztę, nic nie płacąc, bo do Berlina nie potrzeba. Jeśli ujrzysz Konstantego, do któregom pisał wczoraj, powiedz mu, że papier Macquet wczoraj wieczór odebrałem.

Zdrowie moje zaczyna się diablo rozstrajać, od dni dwudziestu żyję w ciągłym ukropie, krew moja zmieniona w ołów roztopiony, ciężka a w piekle gotowana zarazem.

Czyś udzielił siostrom listów Orcia[465]? Oczywiście, że August mylną wieść powtórzył, i że wcale nie aresztowany.

Od dni kilku co dzień piszę i po dwakroć nawet pisuję do Ciebie.

Co mnie zagryza, to to, że emigracja tak się swarzy. Czyż demokraty pozbawieni pojęcia narodowości? Czyż tak już zaprzęgli się w małpiarstwo doktryn francuskich, że nic ich odwołać do czystej myśli polskiej nie zdoła? Doktrynery takie wolą teorię swą, niż życie i życia wypadki żywe. Miękkość to słowiańskich umysłów, naśladować tylko umiejących, a nigdy tworzyć. Kto nigdy nie tworzy, kto nigdy z własnego natchnienia samoistnego nie działa, ten nie żyje, ten nie zwycięża. Doktryny nie ma absolutnie zbawczej. Trzeba umieć w pewnych razach uchwycić konieczność położenia i według niej postąpić. Biedne głowy, przerobione na karb francuskiej rewolucji, jak gdyby jedna tylko rewolucja mogła być na świecie, zawsze ta sama, nigdy w innych kształtach. Głupi oni dotąd. Ale, jeśli przeszkodzą jedności emigracji i wydadzą ją tem samem na pośmiewisko i wzgardę świata w bieżącej wyrocznej chwili, to winnymi się staną, ciężko winnymi, i historia o nich powie, że zmarnowali jedną z ostatnich sił zbawienia, pozostałych Polsce.

Twój.

259. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Nicea, 20 maja, 1846

[462] *ideé orientale* (fr.) — pomysł wschodni. [przypis redakcyjny]
[463] *moja Hierozolima* — *Psalmy Przyszłości*. [przypis redakcyjny]
[464] *list do Augusta* — Zamoyskiego. [przypis redakcyjny]
[465] *Orcio* — Jerzy Lubomirski. [przypis redakcyjny]

Odebrałem list Twój z szesnastego maja. Cieszę się bardzo, widząc, żeś znalazł kogoś, z którym Ci miło i po przyjacielsku. Lepsze we dwóch przechadzki pod drzewami, niż klub, pełny dymu i różnorodnych opinii.

Smutne wieści z Krakowa Cię doszły. Co za rozstrój w Polsce! Co za oskarżanie się wieczne, wzajemne! Okropnie mi, gdy się nad tem zastanawiam, i czuję, że w tej chwili olbrzymie dwie, a sprzeczne niby to, ale na pozór tylko, grożą narodowi apostazje: demagogia i Moskwa. Obie żądają od niego, by zupełnie zerwał z przeszłością, to jest, z wiekami, które jego zasługę ziemską składały i wyrobiły mu na ziemi ciało widome. Gdyby lud z jednej strony uwieść się dał i w rzezaczy uwierzył, a z drugiej mający być wyrznięci, owi *morituri*, rzucili się w objęcia, obiecujące im ochronę, w objęcia, Moskwy — powiedz, czyby to nie gorszy był finis, jak na maciejowskiem polu? To w tej chwili grozi nam, niechaj Bóg nas ochroni, on jeden może! O mój Konstanty! Czuję, że umarłem. To strach, strach położenie obecne! Patrzeć na nich wszystkich, samobójczących się przez nierozum, głupstwo, a niektórzy świadomie, przez podłość, gorszą, niż owa judaszowa.

Dziwne tu biegają pogłoski: mówią, że źle między austriackim a tutejszym rządem, że tutejsza szlachta cała chce koniecznie, by Lombardię przybrać do siebie i ogłosić włoskie państwo, a Niemcom odprawę poza góry dać. Rozmaite w tym duchu manifestacje zaszły w tych dniach ostatnich. W stanach świątobliwych, księdza, co kazanie miał przeciw Francuzom, gdy zeszedł z ambony, tak rozdarli i rozsiekali, że prawie kawałka po nim nie zostało. Będzie jeszcze wielki zamęt na świecie tym! Ściskam Cię z głębi serca, mój drogi.

260. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Nicea, 9 lipca 1846

Drogi mój Konstanty! Witam Cię z pych bruku paryskiego powróconym na spiekłe prowanckie równiny! Już August musiał Ci napisać, że w niebytności pana de Maistre nie mogę Ci żadnego pozwolenia wyrobić i przewieść z St. Laurent do Nicei. Ja zamierzam wyruszyć około pierwszego sierpnia do wód nadreńskich, ale August, który jakoweś dobra kupuje w Basses Alpes, pojedzie do Ciebie po pierwszym sierpnia i weźmie Cię z sobą do onego partykularza, położonego gdzieś w okolicach Digne. Może i ja tę drogę obiorę, by się dostać nad Ren, wtedy byśmy się uściskali. W każdym razie wrócę tu w jesieni; jeśli zatem do Paryża nie pojedziesz, u de Maistra wtedy wyrobię Ci przejazd i obaczym się. Na teraz zaklinam Cię w interesie Augusta, pamiętaj, że, co czytać i przepisywać będziesz, powinno pozostać świętą tajemnicą w Twych piersiach. Oczywiście, gdy przyjdzie do druku, będą domysły i wypytywania. Ty je z daleka zbywać będziesz, a czasami, gdyby Cię przyparto, powiesz, niby tajemnicę odsłaniając, że to pośmiertne Danielewicza papiery, a przy tem błagać będziesz słuchacza, nie słuchaczy, bo chyba we cztery oczy takie wyznanie uczynisz, błagać go będziesz, by nikomu nie powtarzał; powiesz, że przed zgonem, Danielewicz przesłał Tobie, czując już bliską śmierć, zeszyty owe i żądał, by dopiero po kilku leciech wydanemi zostały i że tego dopełniłeś teraz. Sam gdy przeczytasz owe rzeczy, przekonasz się, że koniecznością niechybną tak się z niemi obchodzić, i że wszelka nieostrożność w tym względzie byłaby zgubną, śmiertelnie zgubną! Rad jestem temu, że to wszystko czytać i zgłębić będziesz musiał, (bo bez istotnego zgłębienia i przejęcia się, anibyś zdołał przepisać, ani też wydrukiem pokierować), bo pewny jestem, że wielką korzyść i pociechę z tego odniesiesz, korzyść umysłową, bo to Cię przeniesie w okręgi, dalekie od potocznego życia, które Cię już znudziło, i serdecznie zarazem, bo to obudzi nową siłę w Tobie! Nie ma tam mistycyzmu ni gmatwaniny, jest to, czego trzeba, czego serca wyglądają i rozumy, jest prawda jasna! Autorze *Przedświtu*, spotkasz się ze Świtem[466] teraz! Niemało zgryziesz piór nad nim, lecz, skoro przeczytasz, urośnie w Tobie przekonanie, że Ty, przyjacielską usługę wyrządzając Augustowi, a zatem i mnie, który go tak kocham, wyrządzasz jeszcze ważniejszą komuś ważniejszemu, to jest krajowi Twemu! Zatem gotuj się drogi mój Konstanty, do podróży onej niedługiej i do długiego pisania i do długiej korekty.

[466]*ze Świtem* — mowa o dziele Cieszkowskiego *Ojcze nasz*. [przypis redakcyjny]

Confession wczoraj przybyło. W Królestwie źle się bardzo dzieje. Wszystką młodzież, wylegitymowaną na szlachtę, synów obywatelskich, którzy mieli prawo dania zastępcy, teraz, mimo ten przywilej, biorą do wojska na Kaukaz. Nie wszystkich należących uwięziono, ale takim sposobem wszystkich się pozbędą i pewniej, niż więzieniem, bo nożami Czerkiesów i pałkami Moskali; dzień teraz sądny w Królestwie! Takie to skutki prowadzi: powstać, a nie bić się i nie umrzeć na obranem stanowisku. Śmierć jednych przeciąga walkę drugich, walka przeciągnięta sprowadza nowe wypadki; ale porwanie się, a po porwaniu oddanie się, wydaje naród cały spętany w niemiłosierne ręce. Kto nie chce dziś zginąć, ten jutro zginie gorzej stokroć. Oto sens moralny krakowskiego głupstwa! Bóg Cię strzeż!

261. DO BRONISŁAWA TRENTOWSKIEGO

3 nowembra 1846. Heidelberg (Bad-Hof)

List Twój odebrałem, drogi panie Bronisławie, a mówię „drogi" do Ciebie, bo, od kiedy Cię znam, a jużci i po polsku i po niemiecku znam, drogim mi jesteś dla potęgi umysłu i śmiałej serca prawości: pierwszą podziwiałem na każdym wierszu dzieł Twoich, drugą ukochałem szczególniej w *Cybernetyce*, i w słowie przeszłoletniem *O wyjarzmieniu ojczyzny*. Kto prawdę mówi najnieszczęśliwszemu narodowi, ten go najgłębiej kocha, ten najszlachetniejszym jego ziomkiem, bo mu żywot przynosi, a stara się od fałszu, tej śmierci, na wieki wybawić. Może większą zasługą i duchowo wyższą odwagą nie pochlebiać nieszczęśliwym niż nie pochlebiać szczęśliwym! Otóż widzisz, żem Cię znał, uwielbiał i kochał od dawna. Skoroś się do mnie odezwał, natychmiast byłbym pospieszył na głos Twój do Ciebie, zapewnie, by wiele się od Ciebie nasłyszeć i nauczyć gdybym tu nie musiał, jak przykuty, dosiadywać w oczekiwaniu cochwilnych wiadomości, które natychmiast za przybyciem swojem włożą na mnie obowiązek ruszenia do Frankfurtu i puszczenia się stamtąd w dalszą podróż z żoną i dzieckiem. Oczekiwanie to jednak kilka dni trwać może. Niepodobna mi stąd się wydalać, ale podobna, że dni jeszcze kilka tu przebędę. Jeśli jakie natchnienie chwilowe cię popchnie, zaniesię aż na kolej, a kolej cię żelazna porwie, zdarzyć się może, i bardzo nawet prawdopodobnem, że mnie tu jeszcze byś zastał. Jeśli zaś tak się nie stanie, dołożę wszelkiego starania, bym za powrotem z Frankfurtu, przesuwając się tędy ku Włochom, gdzie na chwilę towarzyszów drogi porzucił i wpadł do Ciebie.

Spotkamy się w posępnej chwili: *sunt lacrimae rerum et mentem mortalia tangunt*[467]. Rzeź humańska niczem w porównaniu z galicyjską: w pierwszej nierównie więcej ciał zginęło, ale w drugiej dusz przepadło wiele, i w jej przeciągłem wrażeniu przepada co dzień jeszcze. Jaźń Polski w niesłychanem rozdarciu, dusza narodu zaczyna się ciała narodu lękać, ciało nie ufać duszy, a nam tak pojednania obojga, tak potrzeba, by jeden tylko był harmonijny duch narodowy! Ciemnota i rozpacz, dwie najpiekielniejsze poradnice u młodzieży naszej; a to z łaski wroga, którego kwestią żywotną, najżywotniejszą: odnarodowienie ludu polskiego, przez ścięcie z jego karku głowy jego, w której to głowie jedynie przemieszkiwa zmysł narodowości, zmysł, pojmujący, że trzymanie z Zachodem i oświeconą ludzkością było i jest pod rozmaitemi kształty, ale w duchu i tradycji zawsze jednej, zasługą, zatem i powołaniem polskiej ojczyzny. Zetnij głowę narodu, o której mówię, wyrznij szlachtę, a zostanie lud bitny, ciemny, rozpasany na chwilę, który, nie mając przeszłości, nie znając przyszłości, obecność swoję za pewien byt dobry odda w ręce pierwszego lepszego Attyli, metodę mającego, to jest kadry wojskowe, i wtedy dopiero w całem znaczeniu rzeczy dopełni się bluźniercze Bogu i ludziom, a tak namiętno-płatne życzenie owego piszczyka, który do Metternicha list o tem napisał[468].

O drogi i czcigodny Bronisławie! O tej porze wiele czartów moralnych grasuje u nas: przerażenie, zawiść, zła wiara, niby nowe obiecują życie, a w zapasie nic nie mają do dania prócz śmierci drugiej, pociągniętej pewnym życia pokostem na chwilę. Kto z grobu

[467]*sunt lacrimae rerum et mentem mortalia tangunt* (łac.) — istnieją łzy (wypłakane przez) rzeczy a cierpienia ludzkie wstrząsają sercem. [przypis redakcyjny]

[468]*owego piszczyka, który do Metternicha list o tem napisał* — tj. Aleksandra Wielopolskiego. [przypis edytorski]

chce zmartwychwstać, ten niech wie, że tylko w świetle się zmartwychwstawa: bo światło i dobro i wszechmiłość wszelkiego życia warunkiem, cóż dopiero powtórnego żywota, żywota zmartwychwstań. Ni wola nasza, ni rozum, ni zasługa nie odpowiadają powołaniu naszemu, powołaniu najwyższemu, jakie dostać się mogło narodowi jakiemu na planecie tym ziemskim; bo jako od Chrystusa poczęła się jaźni jednostkowych ludzkich nieśmiertelność i godność, tak w nas i przez nas powinna by się począć narodowości ziemskich nieśmiertelność, a zatem i godność przedmiotowa, zbiorowa! Wszystko nas woła głosem przeznaczeń, tchnieniem woli bożej do owładnienia całą Słowiańszczyzną, na przekorę piekłu widomemu, ziemskiemu, które nas nęka, do obalenia siłą duchów żywych tego piekła, li z cielesnych środków chuci, niesprawiedliwości złożonego. Od nas mógłby się rozpocząć trzeci wiek, najwyższy dziejów ludzkich! Ale do tego trzeba, żeby z wolą bożą, z rozumem bożym nasza wola i rozum się zeszły do jedni, trzeba nam niepokalanymi być: bo, kto przeznaczon Chrystusa prawo wnieść w świat widomy z idealnego, kędy aż dotąd na uboczu zostawało, ten winien mieć w sobie chrystusową moc. Próżność i lenistwo naszymi katami: lenistwo czyli bezmoc, próżność czyli szalbierstwo, chcące bezmoc udać za moc jaką. I naturalnie, nie bez wiekuistych szwanków zapada się do grobu pomiędzy trzy piekła. Zmiłuj się, ratuj, jak i gdzie możesz, tę jaźń narodową, tak rozpadłą, tak zanękaną w tej chwili; grzmij głosem prawdy niebieskiej i ludzkie kłamstwa rozganiaj!

Rozpisałem się do Ciebie jakby do dawnego przyjaciela; wierz, że nim jestem! List Twój mi drogą pamiątką, którą zachowam, jakby świadectwo jakie, chlubne mi. Jeśli Bóg da, do obaczenia.

262. DO BRONISŁAWA TRENTOWSKIEGO

Aquae Sextiae, 1846, 16 decembra

Różnym zbiegiem okoliczności stało się, że dopiero przedwczoraj odebrałem oba Twe listy, owe tak nagle po sobie pisane, z których następny poprzedzającego rozświeceniem. Dzięki Bogu, że oba razem dostały się do rąk moich, bo ostatni prawdziwie mi był ulgą i pociechą po przeczytaniu pierwszego, który niepomału mi po całem sercu się był rozszedł niewymownym bólem. Dziwiłem się albowiem fatalności nieporozumienia, która mnie przed Twą myślą przemieniała w tej chwili na bezserdecznego Twego serca kaleczyciela i obraziciela, na grubianina duchowego, kiedy właśnie, pisząc do Ciebie, byłem się czuł jaźnią żywą, całkiem ku Tobie podaną, kochającą Cię sercem a rozumiejącą umysłem, że możesz potężnie przyłożyć się do zbawienia ducha ogólnego, i dlatego też polecającą go opiece Twej myśli, opatrzności Twej cnoty, działaniu Twoich czynów! Otóż na chwilę, pókim Twego drugiego listu nie przeczytał, doznałem gorzkiego wrażenia, lecz nie myśl by przeciwko Tobie; nie, owszem, wszelkie w Tobie zaraz uznałem umiarkowanie i powściągliwość. Dziwiłem się nawet, że gorzej na mnie nie napadasz, jeśli już, pomyliwszy się, z tej pomyłki dna do mnie się odzywasz. Powtarzam, nie przeciwko Tobie ale przeciwko losowi, przypadkowi, dziwaczności zdarzeń, przeciwko temu wszystkiemu, co na świecie harmonią psuje, właśnie wtedy, gdy ona nastaje, kształci się i najwyższego stroju dochodzi — a Tobie owszem wdzięcznym był, że tak mnie jeszcze oszczędzasz, mimo to, że mnie za takiego masz. Drugi Twój list ukojenie mi przyniósł zupełne. Piszę to wszystko do Ciebie, byś był przekonany, żem ukojon zupełnie i że śladu najlekszego nie pozostało we mnie po tem nieporozumieniu. Znikło ono, jak chmura, co się rozpływa, jak śnieg, co taje w cieple i świetle. Światłem i ciepłem był drugi list Twój, i teraz dziękuję Ci serdecznie za oba; bo pierwszy był warunkiem wesela, którego doznałem przez drugiego odczytanie. Przywiodłeś mię do głodu, aleś nakarmił mnie; do pragnienia, aleś napoił mnie; do braku, aleś zdodatnił mnie: więc dzięki Ci raz jeszcze, i wierz już na zawsze, żem takim, jakim mnie zrozumiałeś drugim owym listem Twoim!

Śmierć Marcinkowskiego nieodżałowaną klęską. Było ich dwóch na całe Poznańskie, choć pod kształtem sprzecznym, lecz wiadomo, że jednia tylko z sprzecznych kształtów się wyradza. Dwóch ich było: jeden się zastrzelił, drugi się zagryzł, oba zsamobójczeni, pierwszy materialnie, drugi dusznie; i teraz pusto po nich, teraz już nie ma żadnej wzniosłej zacności tam, a za dni naszych trudniej o serce, niż o rozum, trudniej o poczciwość

i niepokalaność, niż o zdolności. Goethe już wiedział o tem, kiedy małgorzatniemu sercu kazał zbawiać faustową genialność.

Kiedyśmy się raz ostatni ściskali, jeszcze była piędź ziemi polskiej, niby to niepodległej, na karcie europejskiej — dziś żadnej już nie znajdziesz. To początek końca, to przesilenie! Ostatnie złe musi w istocie być ostatniem. Przekonanym głęboko, że, jeśli własnoręcznie się sami dobijać nie zechcemy na chwałę naszym wrogom, od dnia zejścia Krakowa rozpoczyna się nasze polityczne odmartwychwstanie. Duch wieku, duch historii, Bóg, jednością w onej cyfrze, a my dziś przemienieni w zera zupełne, zaczniem w istocie wyobrażać to, co zera wyobrażają, gdy od jedności zaczynają... miliony! Lecz trzeba, byśmy się od tej jedności, a nie od czego innego poczynali, np. nie od znaku *minus*, nie od teoryj negacyjnych ujemnych, które sławnie umieją odciągać od życia to, co zgniło w świecie, ale nie potrafią nic a nic przydać do budowy świata i nowe życie wywieść z ruin. Więc bardziej jeszcze, niż kiedykolwiek, o duchu Bronisława, Ty przedziwna i wyborna części ducha ogólnego polskiego, ratuj i wspomagaj Twego wielkiego rodzica; unieś go na barkach z Troi pomieszanych wiar, wyobrażeń, przesądów! A pamiętaj, że, jako są przesądy z przeszłości, tak i bywają przedsądy z przyszłości, równie kłamliwe, okrutne, ciemnoty pełne; deptaj po pierwszych i deptaj po drugich nieznużonym, niezmęczonym żadną przeciwnością umem, przedzieraj się na przebój przez znikome a marne i ludowi Twemu pokazuj, co wiecznem i wielkiem.

W końcu końców wielkość tylko wielką, wieczność tylko wieczną jest i pokaże się tryumfującą oczom ludzkim, z których łuski zawsze nareszcie spaść muszą. Chrystus, Cezar, Napoleon! Przed takiemi postaciami wieki klęczą, choć miesiące, dni, lata mogą im bluźnić, prześladować je, nie pojąć ich. Darmo, mylniki żadne nie zagłuszą prawdy: pora studenctwa i burszostwa przejdzie dla niedojrzałych namiętności i rozumów, byleby z tej pory nie pozapadały w letarg, w szlafmycowość, podłość; bo, kto wiele krzyczał, ten później ochrypieje, umilknie, gotów się z jednej ostateczności przerzucić na drugą a stanowisko prawdy w tym *salto mortale*[469] ominąć. Kobiety przebrane i idące rznąć nie zbudują rzeczpospolitej Platona! Nienawiść nic nie stworzy, miłość tylko twórczą jest, bo jest samą istotą ducha, duchem samym, a jeden duch tylko na równi z sobą samym, w najwyższej składni potęg swych wiednych i wolnych twórczym jest! Wszelka inna nadzieja tylko dzieciństwa piętnem, oznaką słabego mózgu i dobrego serca. O Bronisławie! Nasze zbiorowe powołanie najwznioślejszem na ziemi. Nigdy nie było narodu w tak szczytnych okolicznościach, przy tak pomyślnych warunkach, któremu by tak blisko było od krzyża, na którym wisi, do nieba, do którego powinien by wniebowstąpić. Żadne dzieje ludzkie nie przedstawiały dotąd, w żadnej porze rozwoju historii, takiego zbiegu zdarzeń, ułatwiających przejście ze śmierci do życia i tryumfu! Ale darmo duch absolutny roztwiera pierś wieków przyszłych ludziom skończonym, jeśli oni nie umieją się krwią tej piersi świetlaną nakarmić, jeśli zasługą, pracą, poświęceniem i pojęciem, nie przypadną do jedni z powołaniem wskazanem! Na miłość więc Boga pokazuj im, co stracić przez niedbałość, a co osiągnąć przez rozum i cnotę mogą!

Pisz do mnie i kochaj mnie, jak ja Ciebie!

Zygmunt

Uwaga. Szpetnym i potwornym poczt układem badeńskich, wszelki list do *Nice, Etats Sardes*, jeśli nie oddasz go w Szwajcarii lub Francji na pocztę, nieodzownie musi przez Austrią przechodzić. O to więc idzie, by Twoje do mnie i moje do Ciebie takiego nikczemnego losu nie doznawały. Mnie łatwo, bo o pół łokcia mam granicę francuską; Tobie trudniej, ale konieczna. Więc, ilekroć piszesz do mnie, do *Nice maritime. Etats Sardes*, staraj się, by Twój list rzucony został na pocztę w Strasburgu. Poszlij go tam komu, by go rzucił na pocztę. Inaczej albo nic szczerego nie możesz do mnie pisać, albo, co napiszesz, przepisanem będzie lub nie dojdzie mnie. Pamiętaj o tym praktycznym szczególe!

Czytam *Chowannę* i uwielbiam wszystko, co o jaźni i Bogu, choć się na dalsze losy jaźni nie zgadzam, myśląc i czując, że wciąż są żywemi a nieśmiertelnemi, nie zaś wiecznemi. Pisz i pisz, Ty części zbawienia ludu naszego! Mam nadzieję, żeś się obronił i że

[469]*salto mortale* (wł.) — skok śmiertelny, grożący śmiercią. [przypis redakcyjny]

protestantyzm, obyczajem już u katolików nie praktykowanym, nie zinkwizycił aż do płomieni stosu drugiej tej edycji; w takim razie trzecią by trzeba zrobić.

263. DO STANISŁAWA KOŹMIANA

Nicea, 1846, 18 decembra

Kochany Stanisławie!

List Twój wczoraj odpieczętowałem. Tysiączne dzięki Ci zań. Lecz przecież Bogdan pojechał do Rzymu i Neapolu na miodowe księżyce czy marcepanowe słońca. Tak Konstanty mi zaręczał jeszcze temu dni trzy. P. Adam[470], o którym miałem wiadomość niezachwalnie pewną, coraz bardziej odbiega od pana Andrzeja[471], zawsze go za znamienitego bardzo ducha uważa, lecz już nie sądzi go bezpośrednio natchnionym. Wątpię bardzo, by miał oną konferencję z Guizotem. Innym, którzy przypuszczeni zostali do jej mienia, wciąż odpowiadał eks profesor: „*Mais que Diable voulez vous que j'y fusse*[472]? Ten wyraz *diable* kwitł co chwila na ustach jego. O Bogu ani wzmianki nie było, bo też Bóg jej nie potrzebuje. Gdy zacznie sam o sobie wzmiankować, posłyszą mowę jego narody od bieguna po drugi biegun — a szpicruta wyśliźnie się z rąk Palmerstona a Liewenowa się nie przyda już radą na nic Guizotowi. Piędź ta ostatnia ziemi, nam wydarta, ten czwarty rozbiór, dokonany w 19-tym wieku, więcej, niż cokolwiek innego, posunął naszą sprawę. Każda rana, zadana czemuś świętemu i dobremu, staje się daleko głębsza przez odbicie sprawiedliwości bożej, rządzącej dziejami, raną temu, który ją zadał. Mordercy pchnęli siebie. Wcześniej czy później, kwestia ta już tylko o godzinę, a o niej tylko Ojciec Niebieski wie według słów Syna; wcześniej czy później z tej dokonanej absolutnie zbrodni wyjdzie nasze zmartwychwstanie czyli raczej zewnętrzna okoliczność, która nam pozwoli z grobu się wychylić, bo prawdziwe nasze zmartwychwstanie nie za nami, tylko w nas. Nadanie mu kształtu tylko od Europy zależy. W danej porze korzystać będę z Twoich rad w stosunku do p. Adama. Jednak on tak jest ze mną, że, gdyby chciał mnie widzieć, bez czekania na moją odezwę i żadnej ogródki, natychmiast by mi dał znać o tej chęci swej; przecież nigdym nie zaprzestał obcowania z nim i związki nasze trwały nieprzerwane.

Ten Adam[473], ten jednooki, co w Romie, oto pierwowzór judaszowy! Oto człowiek! Jak jaźń ludzka może wytrzymać w takiej piersi, nie uwolnić się od niej, nie wytrysnąć z niej, nie uciec w głębię wszechświatu od hańby, w którą się zaskorupiła na ziemi, tego nie pojmuję. Żebym był nią w nim, dawno już by był on pękł, a ja wyleciała i, wyleciawszy, uciekałabym w nieskończoność nieskończenie, coraz dalej od ziemi i trupa mojego, dniem i nocą, przez mleczne drogi i mgławiska, za słońce, za Oriony i Syriusze, i tak przez wieczność całą. Nieszczęśliwy człowiek, nieszczęśliwy! Jeszcze przyjść potwarzać naród swój, świętość swoją ziemską, u stóp ojca kościoła! Przed zastępcą Chrystusa oskarżać męczenników, oskarżać to jedyne, co chrystusowego zostało w świecie dzisiejszym! Nieszczęśliwy człowiek — tak głęboko rozstrojony i upadły, że pogarda jakby w litość się przesila nad nim. Wiesz, co Lear o kobiecie, to o nim ja czuję i mógłbym krzyknąć: „*Ciemność, brud, zgnilizna, pfuj! pfuj! pfuj!*". To mi przypomina, że w Romie jest druga podobna istota, ale płci odmiennej, warto się jej na wszystkie boki strzec, żona I. S. Mówią, że ona tego roku, w Czechach przesiadując przez lato u rządzącego Austrią zgrzybielca, namówiła go, nie bez oporu jego, do zajęcia ostatniego zakątka naszego. *Cave*[474]! Tysiąc dzięków za Henryka Ci składam. Gdy masz czas i chęć po temu, przypomnij sobie, że tu każdy list Twój będzie mi pociechą. Druś paszportu nie dostał i ruszył do Galicji. Ogromnie sprawą chłopską zajęty, utył niezmiernie, zresztą zdrów. Na nowy rok urządzenia w stosunku do chłopów będą ogłoszone w Królestwie, ale zupełnie nic nieznaczące. Że zwiną Królestwo, także słychać. Nikt nie zmartwychwstaje jedno z grobu — gdy grób absolutnym będzie,

[470] *p. Adam* — Mickiewicz. [przypis redakcyjny]
[471] *odbiega od pana Andrzeja* — Towiańskiego. [przypis redakcyjny]
[472] *Mais que Diable voulez vous que j'y fusse?* (fr.) — Ale cóż, do diabła, chcecie, abym uczynił? [przypis redakcyjny]
[473] *Ten Adam* — Gurowski. [przypis redakcyjny]
[474] *cave* (łac.) — strzeż się. [przypis redakcyjny]

pocznie się odżycie! Na zawsze, kochany Stanisławie, pamięć dni heidelbergskich należeć będzie do lubych wspomnień życia mego. Niegorzkie to dni były — a więc szczęsne.

Twój Ruinowy

264. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

Nicea, 1847, 15 stycznia

Pęka serce, gdy wglądnie oko w tassowanie się tych kart, w zawiązywanie się tej gry. 1814 r. już Napoleon im powiedział, takiej samej izbie, pełnej prywaty: „Nie bądźcie jako bizantyńskie rozprawiacze, którzy jeszcze prawili i krzyczeli, gdy już wróg taranem rozbijał bramy miasta!". Twój Thiers[475] to obrzydliwa bestia — rad by ludzkość zbawić, by obalić Gu-a[476], ale, gdyby trzeba ludzkość zgubić na to, rad by ją zgubić. Błazen! Bez wielkich charakterów nie ma Rzeczpospolitej: kramarze milczący, drobne dumy krzyczące, lub rozprawiające eleganty, oto skład izb. I co z tego być może? Serce pęka! Losu kaprysikom wszystko powierzyć trza, jak za średnich wieków, jak za napadów barbarzyńskich. Do dziś dnia tak samo w historii. Z pokłócenia się dwóch żbików na trybunie może wypaść wielki jaki przypadek! Oto wiara nasza, nadzieja i miłość! Pfuj! pfuj! pfuj! Biedna Francja! Prowadzą ją prosto do losów Polski. Czem Sasy i jezuici byli u nas, w niej dziś przemysł, handel; doktrynery! A katy te same zewnętrzne stoją, czekają — a te błazny się będą sprzeczali o mariaże hiszpańskie! I powiedz sam, czy bruk paryski nie nikczemny to bruk?

Rysunek nie podobał się Kiprowi. To mi pachnie dziwnemi teoriami w Kiprze. Pamiętasz, jak się unosił nad manifestem Krukowieckiego i niby bronił go od zarzutów komunizmu — on wykarmion w słowiańskich gronach, kędy o komunizmie niedowarzenie marzą. Uważaj dobrze: nie potrzeba by sobie żmiji wyhodować na piersiach! Zresztą powiem Ci, że on może Bułgarów i Serbów ideę, tj. bezideę, pojął, ale Polski nie zna, nie uczuł, ni przeczuł. Co do Polski, ani mu można dać samowolnego postępowania. Trza by go wprzód wyuczyć. Tylko pytanie, czy chciałoby dziecko się uczyć i czy już od dawna nie należy duszą i ciałem do owej szkoły pragskiej, którą i Jerzy niegdyś był nieco zarażon w dzieciństwie. A więc tak trudno znaleźć miejsce jakiekolwiek, gdzie by przyjęto obronę tej biednej szlachty polskiej!

Węzeł gordyjski, drogi Auguście, rozcinam. Bądź łaskaw 1500 fr. panu A[477]. oddać. Mniejsza, na co, druk czy nie druk, ale on w szkaradnej biedzie i bieda mu przeszkadza do jasnego widzenia rzeczy. Ulżyć biedzie, a będzie coś. Do tego dzieci dorastają itd., itd. — nie ma czem ich wychowywać; zatem odeszlij mu 1500 fr., a owszem nadal nic nie przyrzekaj! Mojem prawidłem: wiecznie dotrzymywać, ale nie obiecywać nigdy, bo z obiecanek pierwszy lepszy przypadek, pęknięta żyła w czaszce, z konia upadek, wreszcie szpiega donos cacanki robi. 500 zaś fr. zachowaj na pierwsze Kyprowe zawołanie; skoro o więcej będzie szło, natychmiast daj znać, a znajdziesz co potrzeba u Th[478]. — Sieraw-mu[479] już przez Wojewodę posłałem.

Masz prawdę — w tej chwili potrzebniejszyś tam, ale to w tej chwili i może przez miesiąc jeszcze. Potem pomyśl o słońcu! Czekam na obiecany Twój list, a wtedy szerzej odpiszę. Ciągle mi bezmocnie i gorzko.

Twój na zawsze

Furiis

---

[475] *Twój Thiers* — Thiers J. L. A. (1797–1877) znany historyk i polityk, zwalczający wówczas namiętnie Guizota. [przypis redakcyjny]

[476] *by obalić Gu-a* — Guizota, wówczas prezesa ministrów francuskich. [przypis redakcyjny]

[477] *Bądź łaskaw 1500 fr. panu A.* — Mickiewiczowi. [przypis redakcyjny]

[478] *(…) co potrzeba u Th.* — bankiera Thurneyssena. [przypis redakcyjny]

[479] *Sieraw-mu* — jenerałowi Sierawskiemu na emigracji. [przypis redakcyjny]

Wybornyś z zapytaniem, czy nie powinieneś do Berlina jechać, tam być na sejmie i zarazem być w Paryżu na izbach, i zarazem kończyć w Nicei np. i zarazem cynkować[480], co skończonego w rue Royale, i zarazem może jeszcze podróż odbywać w Oriencie!

Nauczże się, mój Auguście drogi, raz na całe życie ziemskie — bo w wiecznym żywocie inaczej będzie — że to tylko się udaje i do końca doprowadzić można, czemu się razem wszystkie władze osobistości naszej poświęcają. Napoleon nigdy nie marzył jednym korpusem stawiać czoła od razu wielu korpusom, ale, niezmiernie szybko się posuwając, każdemu z osobna się w danej chwili przeciwstawiał i *następnie*, uważaj, *następnie* je pobijał, nie zaś współcześnie. Ty zaś zawsze marzysz o współczesności i wszechobecności. Prawem ludzkiej jaźni jest móc ruch swój swoją wolą przyspieszyć, ale nigdy niech nie marzy o osiągnieniu wszechprzytomności bożej, bo wtedy nie zrobi nic, nic, nic!

2-do: choćby zebrali się w Berlinie i otrzymali 1/100 konstytucji, tego roku jeszcze nie będzie można wpłynąć na żadne dyskusje, bo wdzięczność za łaskę upoi ich serca!

Konstantego ściskam — niech pamięta o litografii!

265. DO BRONISŁAWA TRENTOWSKIEGO

Nizza, 1847, 29 stycznia

Jak lew ryczący, że użyję wyrażenia Pisma, skąd i „robak nieśmiertelny" wzięty, obszedłeś jaźń moją chorą dokoła, szukając, która to strona najbardziej boli. Wszystkie — oto moja odpowiedź. By ją usprawiedliwić, życie by moje całe Ci opowiedzieć trzeba; słuchaczowi byłoby nudno, opowiadaczowi zaś nad miarę gorzko, nawet by się nie podjął. Przydaj do tego, że mój dziad, Radziwiłł, umarł na melancholią, i biedna matka moja też na tę samą, powoli wszystko w organizmie wyniszczającą chorobę; wszystko, w ciele i w duszy, nie mówię o jaźni, bo jaźń, choć ciało zgnije i zgłupieje, dusza może jeszcze bohaterskiego, świętego, boskiego czynu dopełnić; jaźnie nie chorują, tylko ciała, dusze. Otóż duszy, której przymorzyły się w życiu pewne chwile wzniosłe, porywające, potężne, nie móc do nich wrócić, czuć, że koniecznie potrzeba jej, bo drugim potrzeba chwil takich w niej, a nie móc — to, wierz mi, do gehenny idealnej podobne! Powiadam Ci, choć rumianym ci wyglądałem, od kolebkim na najrozmaitsze chorował i ciała słabości, i duszy smutki, i fałszywe niesłychanie położenia, a Bóg widzi, że z ostatnich wydobyć mi się nie łatwo. Gdyś tej strony dotknął obrzydliwej losów moich, to jest tej zależności podmiotu, trafiłeś w samo serce prawdy. Może gdzie skończę kiedy daleki od was wszystkich, co światłem się zachodniem karmicie, od was znanych, kochanych, niepodległych, choć także nieszczęśliwych, ale przynajmniej nie zagrożonych zezwierzęcenia możliwością w więzieniu zapomnianem gdzieści! Wtedy wspomnijcie o mnie!

Serdeczne Ci dzięki za tkliwą troskę, za chęć przyniesienia ratunku. Powtarzam Ci, i wierz, kiedy mówię: rozplątać gmatwaniny, zbiegiem zdarzeń, koło mnie zawiązanej i plątającej się coraz gorzej, nie łatwo, bo na to bym musiał kaleczyć pewne serca, które mi drogie, i deptać po pewnych wolach, które mi świętemi. Co się zaś modlitwy tyczy, nie taką mam rogatą duszę, jak Ty. Gdy grom mnie rozbije, albo wcale się nie mogę modlić w dziwnej a gorzkiej serca suchości, albo, jeśli zdołam paść na kolana, to już łzawo proszę Ojca, który w niebie, by pomógł tym, których ukochałem, i nowych im uskąpił klęsk. Dla siebie zaś tylko o to proszę, o to jedno, by mi dozwolił zdać się im na coś, być im sługą niestrudzonego serca i niezanękanej myśli. Na cóż bym wzywał nowych na głowę mą nieszczęść? Powiedz mi, nie próżneż to nadskakiwanie losom, i tak zawdy gotowym cię prześladować, jeśli w losy trafunkowe i dzikie wierzysz, a puste igranie z opatrznością, jeśli na jej wszech miłości polegasz? Tak Prometeusz na Kaukazie, tak Encelad pod Etną! Ale oni z naturą tylko się znali, oni ją nieubłaganą i ślepą, bogiem swym mieli. Do Wszechducha duchów możnażże tak się odzywać logicznie? Odpowiedz mi na to, a jeśli nie chcesz w liście, to po prostu we własnem sercu, na samem dnie jego! Z Fryburga aż dosłyszę Cię tu, tej odpowiedzi, w mojem!

Mówisz, drogi Bronisławie, że na kurzy skok mi od granicy szwajcarskiej. Co Ty gadasz! Spojrzże na mapę; pięć dni i nocy mi jazdy ciągłej do Szwajcarii, czy przez Francji

[480]*cynkować* — drukować swe dzieło pt. *Ojcze Nasz*. [przypis redakcyjny]

nizinę, czy przez Alpy Piemontu. W istocie, takim skokiem graniczę z Francją: o pół godziny stąd jest graniczna, nikczemna wioska, zwana *St. Laurent du Var* (*Dment du Var*), w której komora tylko i poczty odłamanej szczątek, nie nadzwyczaj wierny w oddawaniu nieraz trudno doń dochodzących przesyłek. Nie śmiałbym na moją odpowiedzialność zachęcać Cię do przesłania rękopismu do owego oderwania ogólnej administracji poczt francuskich. Potem wynikłoby straty czasu ze trzy tygodnie. Wreszcie dyliżansem tylko mógłbyś z Strasburga posłać. Poszłoby na Lugdun, Avignon, Aix, od Aix skręciłoby się w bok i przyszłoby, albo by też nie przyszło do St. Laurent. Nie malle-pocztą[481] gromką takie idą rzeczy, ale prywatnego stowarzyszenia dyliżansami, wlokącemi się nieraz, i nieraz przewracającemi się, zagubiającemi powierzone im paki. Drżę o ten rękopism, bo przeczuwam, że w nim dobro kiełkuje dla niw polskich. W liście mi więc ogół odrysuj, a nie posyłaj na możliwą zgubę, lecz wydawaj na pewny skutek. Dołączam Ci tu środek, przydatny do celu owego; zda się, że 800 fr. wystarczą — gdyby nie, natychmiast dalsze przyszlij rozkazy[482]. Ale wyświadcz mi łaskę, nim zupełnie dzieła dokończysz: dostań wyszłą przed dwoma miesiącami, a przez żyda Salvadora po francusku napisaną *Historię ostatniego powstania żydowskiego i wzięcia Hierozolymy przez Tytusa*; 2 tomy, przeczytasz w dzień jeden. Tam nauczyć się można wielu a wielu rzeczy o nas. Strach, strach, mówię Ci, jaka tożsamość położenia, a co gorsza, postępowania, niezręczności, rozstroju, niezgody, zapału niebotycznie marnego, bo pijanego wyobrażeniem, że „rzeź zdrajców" jest najwyższą sztuką bronienia ojczyzny i pokonywania postronnych wrogów. Odnajdziesz tam wszystkie nasze świętości i biedy, do joty te same stronnictwa: targowicę, Wersal, adamszczyznę, towiańszczyznę — niczego nie brak. Wreszcie wszystko kończy się na wersalczyków zwycięstwie śród murów miasta, to jest na rzeziach radykalnych, a w następstwie koniecznem zaraz potem, na tytusowem wejściu do miasta i ostatecznym Romy tryumfie, upaństwionego miasta jednego nad najprawdziwszą narodowością starożytnego świata! Wiem dobrze, że zaopatrzonemu ze stanowiska wieczności zwycięstwo to tylko pozorem jest, bo po 1700 leciech upłynionych gdzie rzymskie państwo? A lud żydowski dotąd trwa w Polsce, starą wiarą uparty przeciwko rządom znów tytusowym! Ale taka pociecha pociechą mi nie będzie, dopókim nie Bogiem absolutnym, wiekami jak chwilami rządzącym; sercu mojemu ludzkiemu potrzeba, by koniec, zdarzony okopom Hieruzalemy, nie zdarzył się naszym. Nas, wiesz, co zgubi? Niesłychana próżność! A wiesz, co to próżność? Oto dziwne usposobienie do pokory tam, gdzie dumy potrzeba, a do dumy znów tam, gdzie pokora nieodzowną koniecznością. Człowiek powinien dumnym być w celu, swoim, dla celu, do którego dąży, dla idei ojczyzny, ludzkości itd., pokornym zaś w stosunku do środka, za pomocą którego cel ten przeprowadzić ma; a że tym środkiem on sam, więc pokornym w stosunku do siebie, to jest nie żądającym egoistycznie, by od razu i wyłącznie sam wszystko przeprowadził, innych ćmiąc sławą swoją! Na tem uczuciu pokory zależy poświęcenia moc: bo poświęcić się, to przystać na to, by się ziarneczkiem było wapna w budowie, pojętej i widzianej na oczy duszne. Gdy zaś wszyscy tacy dumni w ostatecznym celu swym, a tacy pokorni co do środka, to jest poświęceni, zgoda jest, i nie ma rozstroju. My zaś zwykle dochodzim do straszliwych zwątpień, to jest pokory obrzydliwej pod względem końca, naszym zgotowanego usiłowaniom. Rzucamy się na ślep, w wigilią powstania honorem i szampanem zagrzani, sposobim się na śmierć honorową, a wiary nie czujem w zwycięstwa możność, lub tylko paplem o tej wierze głośno, a w głębi ducha bladycheśmy myśli! Ale mimo to, każden z nas ministrem lub feldmarszałkiem zaraz! Otóż bym chciał wpoić w piersi ich wszystkich tytańską dumę, dumę świętą dla ojczyzny, dla wygranej w końcu dumę, będącą właśnie świadomością zlania się uczucia polskiego z pomysłem Boga samego o losach przyszłych Polski; a znów co do ich indywidualnostek osobniczych pragnąłbym, by się nieco roztopiły w szerz, nie zaś tak jądrowo ześrodkowywały się same w siebie i dla siebie. Duma bez pokory jest szaleństwem, pokora bez dumy podłością, harmonia obu, żywym ducha pędem. U nas zaś samopasem luźnym chodzą te dwie rozkładnice. Patrz też, co się dzieje i czy już wielu, i to najdzielniejszych, fatalna próżność nie przedzierzgnęła na wariatów albo też na prze-

[481] *malle-pocztą* (fr.) — pocztą listową. [przypis redakcyjny]

[482] *środek, przydatny do celu owego; zda się, że 800 fr. wystarczą (…)* — Trentowski w r. 1847 napisał *Wizerunki duszy narodowej* (wyszły w Paryżu 1848 r.). W tej pracy, równie jak w poprzednio wydanej przez Trentowskiego *Przedburzy politycznej*, znajdują się ustępy pióra Z. Krasińskiego. [przypis redakcyjny]

wrotnych niegodziwców! Pamiętaj więc, przeczytaj Salvadora! Jakby wczoraj sam się bił na okopach Hierozolimy przeciw legionom, tak pisze. Jeszcze krew rzymska nie ociekła z jego piersi, rzekłbyś, że zamiast pióra, pryśniętą klingą miecza ryje opowiadanie swe na miedzianej tarczy. Żydem byłem przez 24 godzin, gdym go czytał, ale strach mnie zdjął, gdym nazad uczuł się Polakiem; strach, powtarzam Ci, bo powtarzam: to, w czem wersalczyki i ostatnie sprzysiężenie pokładało nadzieję, zgubiło Hieruzalemę! I w końcu końców, co dziwnego, że rozstrój nie może nic wystroić, że mordowanie swoich wroga nie zamordowywa, owszem, używotnia. W XIX wieku dopiero zaczęli ludzie o tak dziecinnych prawdach wątpić i dyskutować nad niemi. To zjawisko mnie nie dziwi, są albowiem wieki w historii, którym koniecznie potrzeba wątpić o wszystkiem, by następnie w coś uwierzyć zdołały. Lecz mnie, co do Polski, to przeraża: zbrodnie, przemienione na logikę i teorią, srogiem są głupstwem, a lubieżnie bałamutnem lub niegodziwie podchlebnem dla każdego, tylko do zbrodni usposobienie mającego. Przecież najłatwiejszą rzeczą być zwierzem, a najponętniejszą myśleć, że za zwierzęctwo historia da nieśmiertelność. Oto kanar i miód, jak mówisz! Bij więc, o duchu mi drogi i przyjazny, duchu silny i ojczyźnie zaślubiony, bij w to, co ojczyzny onej raną i rakiem. Nie miej jej za kobietę próżną, której mus jest grzecznostki gadać, bo, gdyby taką była kobietą, nikt by jej nie zdołał ratować. Są chwile rozpaczne w dziejach narodów: w takich chwilach tylko prawda wiekuista zdoła im pomóc; ona tylko, nic innego; przecież ona Boga jest zstępującym na ziemię tchem. I zaprawdę, tchu bożego dziś trzeba Polsce na to, by pokonała wszech-złego azjatycki pierwiastek. Patrz, co się dzieje na Zachodzie! Moralnie już taranem walą w konstytucyjne izby Mongoły: izby siedzą, drzemią, sypią powinszowania oratorom, ostrzegającym je, i znów siadają i drzemią. Czytałeś mowę Montalemberta[483]? Płakałem, czytając ją: serce polskie bije mu w piersiach, on zaczął żywot od kochania się w Polsce, a choć nieszczęśliwie się kochał, odtąd się spolszczył duszą całą. Dwie stare baby, dwie akuszerki, Francją i Anglią rządzą, bo tylko o małżeństwach wspominają i kłócą się o nie, a Kraków przemija. Zatem, jeśli my potężnemi sami nie staniem się duchy, Zachód niewiele, w swoich pantoflach i szlafroku zniewieściały, nam pomoże. Nasze takie powołanie, że nie tylko siebie, ale i Europę i cywilizacją zbawić możem, tych zbawić, od których nadaremno zbawienia czekaliśmy od 1773 r. Ale na to musim porzucić głupstwa nasze, nierozumy, próżności, lekkomyślności, zawistki, prywaty, zgoła dzieciństwa. Bohaterom i świętym pozwolono obalać mocarstwa piekielne, ale nie dzieciom lub pijanym niedowarzoną myślą! Musim stać się bohaterami i świętymi, lub zginąć! Powiedz im to, powiedz! A kiedy kto komu zaszczyt czyni, że go woła na bohatera i świętego, może przy tem sobie pozwolić pewnych przestróg i karceń. *Sat est*[484] na dzisiaj, drogi Bronisławie; głowa mi już pęka i zapadam w chorobliwy dreszcz. Nie wyobrazisz sobie, jak dalece mój organizm schorobliwion i przepsuty. Bóg z Tobą i z książką Twą. Błogosławię wam obojgu, i ojcu, i córce, a chciałbym pierwszej lice oglądać na oczy, drugiego zaś pierś przycisnąć do piersi. Twój

Heidelbergski.

266. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

1847, Nicea, 8 marca

Mój drogi! Niezawodnieś zgadł. Mnie od kilku dni lepiej. Dziwne to między nami krążenie ducha. Ale wierz mi, mnie diabli wezmą, a Ty zostaniesz, wierz mi! Bo mam na świecie do roboty z potęgami, które mnie gubią, a którym tylko mogę ręce i stopy całować, bo mnie gubią z dziwną naiwnością, z dziwnem, wiecznem błogosławieństwem, kładzionem mi na głowę, i to najszczerzej. Jedno z dwojga: musiałbym albo siebie samego się wyrzec, tj. tego, czego się nigdy nie wolno człowiekowi wyrzec, dopóki jest — albo walczyć okrutnie. Że zaś i to drugie byłoby wyrzec się siebie, tj. serca, rozumu zaś także

[483]*mowę Montalemberta* — wygłoszoną w sprawie Polski dn. 21 stycznia 1817 w paryskiej Izbie Panów. [przypis redakcyjny]

[484]*sat est* (łac.) — dosyć. [przypis redakcyjny]

skądinąd niepodobna, więc, drogi, chyba mnie Bóg zbawi! Ja rzadko o tem mówię, ale głęboko czuję. W każdym liście, co odbieram od ojca, tylko skargi na samotność — i prawda, on samotny! Nie ma co mówić, samotny i wiecznie spodziewający się, że wreszcie zadzwoni godzina rozsądku, to jest, że żywy duch przystanie na śmierć swoją[485]. Taka jego nadzieja. Smutne to wszystko koleje w piekle na ziemi! Nim wyruszysz, jeszcze przeszlę Ci więźnia[486]; przeczytasz, osądzisz, zostawisz Konstantemu. Na sąd Twój Celina[487] się zdaje. Co do pieniędzy, to je także powierz, gdybyś odjeżdżał, Konstantemu.

Na mózgu nieco mi lepiej, ale oko prawe dokucza, dolega, kiepsko dowidzi. Nie wiem, co to jest. Zmartwienie mam okrutne: sam okpit, okpiłem — i to złote serce okpił J-go[488]. Panna Katarzyna[489] formalnie idzie za pana Adama Potockiego. Biedny Jerzy! Wściekłym. Nigdy od kobiety żadnej nie był oszukan, jedno od tej panienki, i to nie ja jeszcze, jedno przeze mnie mój przyjaciel, i do tego ginący przyjaciel! Pojmiesz, co mi się dzieje! Może plunąć w oczy nie serca mego, ale rozumu, ale przenikliwości! Scena w nr 38[490] także mocno mnie zgryzła. Mało przyjaźni czuje dla kobiety człowiek, który się u niej tak zapomina; jeśli więc nie przyjaciel, to srogi nieprzyjaciel! A jeśli tak, to narobi wcześniej czy później harmideru.

O Adamie[491] nie mówię — zdziczał od biedy i przechrzcijaństwa. Zresztą nigdy nie dbał o maniery swe, jest *sui generis*[492]. Ale G-ał[493] kiepsko się spisał, i ja na ludziach rzadko się mylę, panny wyjąwszy. Pisz do mnie częściej, proszę Cię! Ściskam Cię serdecznie i obłogosławiam sercem całem. O eter się nie lękaj — ani myślę. Mówisz, że o wojnie gadki? Bóg by dał, by to nie cacanki były!

Twój na zawsze Z.

Na wszelki wypadek każ, by w Wierzenicy była zawsze gotowość do przyjęcia botanicznego zielnika[494] mego jakiego, czy teraz, czy później, czy kiedykolwiek. Myślę, że tu do połowy maja będę.

Panna Beaupré umiera w Romie na nerwową gorączkę.

Kocio Br. żeni się z córką Hermana[495] — to ostatnie dobrze.

267. DO STANISŁAWA KOŹMIANA

21 kwietnia — 1847, Nicea

Kochany Stanisławie!

Aż serce pęka krytykowi, gdy rozważa, jaka nędza i małostki jakie na wszystkie strony, np. list Vice-Marszałka, owa wymowa heliodorowa — z drugiej strony ów cywilizowany liberalizm Ulrycha, taki *juste-milieu*[496], taki rozsądnicki, taki martwy! Co chwila niby doławia się czegoś, ale tylko, jak ogar, oszczekuje miejsce, nie trafia na zwierza. Uznaje, że cementem, co ma spoić zawzięte stronnictwa, religia, — ale, trafiwszy na tę wiekuistą prawdę, bo właśnie dlatego i zwie się religią, że jednoczy i spaja wszystkie rozmaitości światów, trafiwszy, mówię, na tę prawdę, natychmiast całość jej żywotną zatraca, przemienia na martwą literę, myśląc, że można bez wiary, to jest bez wiedzy, czem religia, bez ognia, płonącego w sercu, religijnego, bez przeistoczenia aż miazgi i szpiku swego w miłość do Boga poradzić co ludzkim stronnictwom i w istocie je zjednoczyć — czem? — Tem, czego sam jednoczący je — nie posiada! A głupie byłyby dać się przez takiego

[485]*żywy duch przystanie na śmierć swoją* — tj. na stały pobyt w Królestwie. [przypis redakcyjny]
[486]*jeszcze przeszlę Ci więźnia* — poemat *Ostatni*. [przypis redakcyjny]
[487]*Celina* — tj. Krasiński. [przypis redakcyjny]
[488]*okpił J-go* — Jerzego Lubomirskiego. [przypis redakcyjny]
[489]*Panna Katarzyna* — Branicka. [przypis redakcyjny]
[490]*Scena w nr 38* — u Delfiny Potockiej. [przypis redakcyjny]
[491]*o Adamie* — Mickiewiczu. [przypis redakcyjny]
[492]*sui generis* (łac.) — w swoim rodzaju, oryginalny. [przypis redakcyjny]
[493]*G-ał* — generał, tj. Maurycy Mycielski. [przypis redakcyjny]
[494]*gotowość do przyjęcia botanicznego zielnika* — rękopisów Krasińskiego. [przypis redakcyjny]
[495]*Kocio Br. żeni się z córką Hermana* — Konstanty Branicki z Jadwigą, córką Hermana Potockiego i żony jego z Mokronowskich. [przypis redakcyjny]
[496]*juste-milieu* (fr.) — sprawiedliwy, słuszny środek. [przypis redakcyjny]

jednoczącego połączyć. Prawda tylko jest prawdą, nie żadne udanie, nie żadna szarlataneria, nie żadne świeckie przystanie na użytkowalność i korzyść religii, co zdoła sprawić na świecie. Od takiego właśnie pojęcia, które jest hipokryzją, wszystkie rządy zginą. Miłość tylko żywa, prawdziwe ducha zjednoczenie z bożym duchem, rozlewa się w świat i koi ból wieków, i nowe wieki spładza! Ja myślę, że Ulrych na bardzo jeszcze niskim stopniu duchowym stoi — na znamienitym już świeckim — bo jest tolerant: już nie wyje, już nie woła o gilotynę, nie pochwala ni wielbi rzezi galicyjskiej, choć nie przyzna, że dołożyła do niej centralizacja nauk i podszeptów nikczemnego głupstwa swego. Ale skądinąd żadnej wiary nie ma, a jednak żyć nie można bez żadnej. Trzeba żywemu duchowi, na to, by był żywym, mieć w głębi swej coś, co *sacrosanctum*[497] jego jest — a nic, jedno coś opartego na Bogu, coś zakorzenionego w Bogu, coś dłuższego od trumny, głębszego, niż grób, taką świętością być może.

Świętość wszelka ziemska musi na niebieskiej się opierać, bo inaczej skądże by logicznie i prawdziwie była świętością na ziemi? Naród, nie wiedzący, że jest tajemnicą bożą, że jest sprawą bożą, że do piękności myśli bożych należy, wcześniej czy później przeminie. Wszystko, co nie od Boga, a w myśli ludzkiej jest, przypadkiem tylko być może, nigdy zasadą — namiętnością, nigdy celem. To znowu, co niby tylko do Boga dąży, a nic wspólnego nie ma z ludźmi, z ojczyzną, z ludzkością, także chrome. Człowiek każdy powinien pamiętać, że jego Bogiem Chrystus — to jest usprawiedliwienie natury ludzkiej przez boską, a znów poświęcenie tej natury ludzkiej dla boskiej, czyli, że obie natury w ciągłej i nierozerwanej komunii. Demokraty, tak samo jak jezuici, psują ten wyborny i żywy nastrój. Przymierza, między miłością Boga a ludzi, zawartego na wieki w słowie chrystusowem, równo przykazującem kochać Boga i ludzi, niech nikt, kto chce żyć, nie rozrywa! Bo, skoro rozerwie ową całość, natychmiast śmiertelny zaród wkradnie się w jego naukę, czyny, marzone teorie, gmachy polityki, instytucje! I wcześniej czy później śmierć się w nich objawi, a wreszcie i pochłonie! List Ulrycha pełen śmierci zarodów. Jeśli się wyżej nie podniesie demokracja, to po niej! Jakżeż nie cierpię takowych frazesów, studenckich jeszcze: „Nim się przeistoczę na twego politycznego, tj. najzażartszego nieprzyjaciela itd. itd". Frazesa z dawnych lat! Ale oczewiście, że muszą trwać w umysłach i sercach, nie pojmujących, co religia, która w sobie religuje wszystkie nieprzyjaźnie, i właśnie tem przemienia je w miłość! W religii występuje ludzi, poważnionych i krwi chcących, najwyższy rozjemca, jedyny ludzi rozjemca, Bóg — i on im podaje właśnie tę wyżynę, ten szczyt, ten punkt, który wspólny jest wszystkim ich sercom i umysłom, choćby od siebie rozpryśniętym aż po drogi mleczne odległości i przeciwieństwa! Tu się liberalny Ulrych nauczyłby, że polityczny, najzażarłszy nieprzyjaciel jest głupstwem lub zbrodnią, dzieciństwem lub hańbą! Bo dopóki trwać może taka zaciętość, Rzeczpospolita bańką mydlaną, marzoną, wydmuchiwaną, ale i rozpryskującą się wciąż! Kiedy mówię „Rzeczpospolita", to nie rozumiem republiki, prosto rozumiem całość państwa naród wszystek! Z nieprzyjaźni tylko dalsza nieprzyjaźń, rozterka, rozstrój i rozsyp. Z miłości jedynie życie i gmach. Ale kończę, jakem zaczął; miłości nie ma bez Boga. Tylko ów Rozjemca ją dawa!

Teraz powiem Ci, mój drogi, że tłumaczenie Danta[498] jest dobre, a przydałbym: miernie dobre. Pierwsze dwa wiersze, mojem zdaniem zmienić trzeba. Po co to „Jak", które drugi wiersz rozpoczyna? W Dancie tej formy zapytawczej nie ma. To zupełnie barwę zmienia i nic potem. Zresztą dobre. Trudność, jedna z najnieprzezwyciężeńszych, więc żądać więcej nie można. Kłaniaj mu[499] ode mnie i powiedz, że bardzo żałuję, iż nigdy się z nim nie zeszedłem, ale żem czytał wiele jego wierszy — że mam go za mistrza w robocie zewnętrznej wiersza, ale że mniemam, iż nieraz zanadto tej robocie poświęca wewnętrzną treść, która nie dość jasno wygląda spod tej dźwięcznej i ślicznie utoczonej powłoki, że zresztą w tłumaczeniu Danta tego zarzutu mu nie czynię, bo jasne — żądałbym tu zawsze trochę więcej energii zewnętrznej, w wierszu samym. Uważasz, szczere zdanie tu mówię. Znasz człowieka lepiej ode mnie. Jeśli to ma go obrazić, to nic nie mów — tylko, że bardzo dobre.

---

[497] *sacrosanctum* (łac.) — najwyższa świętość. [przypis redakcyjny]
[498] *tłumaczenie Danta* — urywek przekładu *Piekła* przez C. Norwida. [przypis redakcyjny]
[499] *Kłaniaj mu* — Norwidowi. [przypis redakcyjny]

I ja smutny, mój Stanisławie, i mnie zewsząd dochodzą smutne wiadomości. Biedny pan Stefan[500], ale w Bogu nadzieja, że nic mu nie będzie gorszego. Co do matki M.[501] od dawnam to uczuł, coś Ty w dniu procesji — jeszcze wtedy, kiedym poglądał na idącą prawie pieszo z księdzem Jełowickim po nadbrzeżu morskiem z Genui do Romy, w tej właśnie chwili, kiedy po tem Morzu Śródziemnem płynął na złoconej i mahoniowej „Kamczatce" książę świata tego[502], a za ogromnym statkiem onym na barkach pomniejszych króliki i książątka, odprowadzające go aż do Palermo — on i owa biedna, nędzna, pokaleczona i niemocna — oboje ku Romie zdążali, oboje tam stanęli, oboje tam śmiertelną walkę rozpoczęli, on w potędze Nabuchodonozorów, ona w ubóstwie i prześladowana nie tylko od okrutników, przyrodzonych wrogów swych, ale i od rzymskich faryzeuszów. I zdawało się, że książę tego świata przegrał przed światem całym, a męczennica w chwałę prawdy się ubrała i głowę zdeptała wroga — i może zaśpiewać *Super aspicum et basiliscum*[503].

Co do tych 150 fr. tak się rzecz ma — zupełnie nie tak, jak się domyślasz. Konstanty poszedł, wyprawion do Wielogłowskiego spytać się, wiele potrzeba, by zapobiec opóźnieniu ceremonii. Wielogłowski, wcale nie wiedząc, że Konstanty przybył z sukursem, drapał się w głowę, mówiąc, że nie ma za co wykupić, ale że w tych czasach Ty nadeślesz z Romy 150 fr. i że się wykupi. Wtedy Konst. owe złożył 150 fr. od bezimiennego, a ja, wiedząc o tem, ostrzegałem Cię, byś Ty już nie posyłał — oto prawda cała. Kiedym rady Twej chciał zasięgać to owszem w rzeczy, gdzie byś był bardzo nią mnie oświecił — byłbym się zupełnie na mnie oświecił — byłbym się zupełnie na Twój sąd zdał. *De litteratura res erat*[504]. List Ulrycha Ci odsyłam.

Najdziwniejsze wieści krążą — o przyjeździe Mik. do Paryża, o amnestii, o wicekrólestwie Michała, o łaskach, o restauracji statutu organicznego — nie konstytucji naturalnie, przez wpływ Guizota. Wszystko głupstwa, a gdyby nie głupstwa, to gorsze jeszcze szkody i hipokryzja głęboka! Wszystko, co mi piszesz o Piusie, serce mi rozszerza. Przynajmniej jeden duch, wierzący w Boga i kochający ludzi, na świecie! Tak to ciasne serca ludzkie! Ale on ma szerokie — świetlane — i dobrze człowiekowi choć z daleka na takie spoglądać, bo się rzeźwi i nadzieję ma. Niech Pan mu błogosławi i pośle aniołów do odsuwania kamieni z dróg jego, bo czarty mnóstwo ich tam nagromadzą. Dzięki Ci za Twe listy, Stanisławie, i za wypieranie się — dzięki — dzięki!

Twój z serca

Heidelbergski.

Zaraz pisz, bo może wkrótce wyjadę. Edward to najszlachetniejszy duch — nie bój się, nie zapomnę.

268. DO ADAMA SOŁTANA

1847. Nicea, 22 kwietnia

List Twój z piątego kwietnia, z łaskawym przypisem Marysi, odebrałem wczoraj. Wszystko, co mi radzisz najdoskonalszą radą, najwyborniejszym pomysłem; to jedno by rozciąć mogło, raczej rozwiązać, nie rozciąć, węzeł gordyjski moich losów. Bo co do rozcięcia, rozciętym być może aż nadto łatwo i każdochwilnie; ale straszliwe znów przeszkody tego pomysłu wykonalności mieszczą się w innych okręgach tychże losów moich. Trzeba na nowo walkę wznowić i to już z sędziwym, znękanym, wielu walkami otrutym i coraz w gorszy humor wpadającym ojcem. Darmo, ja nie mogę dni mu starości

[500]*pan Stefan* — Witwicki, chory śmiertelnie na ospę; umarł 19 kwietnia 1847 r. [przypis redakcyjny]

[501]*Co do matki M.* — matka Makryna Mieczysławska, rzekoma przeorysza i męczenniczka z Mińska, w rzeczywistości niezmiernie sprytna oszustka. [przypis redakcyjny]

[502]*książę świata tego* — Car Mikołaj I. [przypis redakcyjny]

[503]*Super aspicum et basiliscum* — właściwie: *super aspicon* (lub *aspicem*) *et basiliscum* (*ambulabis*), cytat z średniowiecznego hymnu łacińskiego znaczy: „(będziesz się przechadzał) na żmii i bazyliszku". [przypis redakcyjny]

[504]*De litteratura res erat* (łac.) — chodziło o literaturę. [przypis redakcyjny]

zatruwać i niepokoić, wolę kiedyś wszystko znieść. O mój Adamie! Całe życie moje było tylko rozdarciem, tylko jednem długiem a smętnem fałszywem położeniem, i tak już zgorzkniałem, że aż strach! Czasami chwyta mię taka melancholia, że w istocie zaczynam powątpiewać o rozumu całości w czaszce. Uciekam od widoku ludzi, trochę spokojnieję tylko, kiedym zupełnie sam, gdzie na jakiej ścieżce górzystej, śród skał, śród natury milczącej, która mi nie kraje serca żadnemi ni wyrzuty, ni odpowiadaniami, ni nowinami, ni proroctwy, ni wspomnieniami! Lecz, skoro wracam między ludzkie duchy, wnet czuję się jakby prowadzonym na stracenie, gilotyną mi się staje moralną każdy bliźni mój. Szalony stan, przyznasz! Skwaśniałem, zgorzkniałem, roztrzaskałem się i osłabłem nad miarę. Stąd wynika, że mi determinacji brak do wszelkiej rzeczy, która by mnie w nowe walki wprowadziła i kazała drugich kaleczeniem siebie samego kaleczyć przez odbicie. Ale, że masz najświętszą prawdę w tem, co umyśliłeś dla mnie, to pewna. Będzie z tego, co Bóg zechce i rozstrzygnie. Zdaje się, że wkrótce będę wracał ku Królestwu, postaram się jechać nieopodal od Ciebie i wstąpić lub Ci dać znać i poprosić, byś kilku milami się do mnie zbliżył. Jednak pewny niczego nie jestem.

Najrozmaitsze pogłoski się rozchodzą o jakiejś amnestii, o jakichsiś restauracjach. Gwałt, przybierający lica uprzejme, zowie się obłudą; za to Chrystus tak ganił Faryzeuszów, i sam Chrystus był zdania, że hipokryzja jest gorsza od gwałtu. Więc w gorsze zstępujem. Ale to wszystko wygląda mi na baśnie. W Romie naszej starej trwa zapał niesłychany ku Piusowi i edykt cenzury go nawet nie ostudził. Makryna[505] już dostała pozwolenie założenia bazylianek: odstąpiono jej, obok klasztoru *Trinita del Monte*, drugi gmaszek, niby klasztorek, co w ogrodzie, jeśli pamiętasz, na ten koniec. Procesją po onym ogrodzie, złożoną z naszych księży, wielu cudzoziemców i dwóch kobiet, Polki i Włoszki, co już rozpoczęły nowicjat, inaugurowała odnowienie wytraconego zakonu. Szła przodem, trzymając w ręku prosty z drewna krzyż, podobny do tego, który trzymała, gdy na czele prześladowanych sióstr wychodziła z Mińska. Pius przed ostatecznem zezwoleniem wyszedł do pobliskiego pokoju, klękł i wezwał Ducha Św., potem wrócił i rzekł: „Kiedy taka wola boża, niech będzie". A jeden z kardynałów wtedy: „Ale co powiedzą potęgi?". A on znów: „Nigdym, od kiedym wstąpił na tę stolicę, nie zważał na to co one powiedzą, jedno na to, co mówi Pan!" Pamiętasz, Adamie drogi, broszurkę Marcellinianę, jak to my wtedy się zastanawiali! Dziwne losy nad tą kobietą a opiekuńcze: pomnij tylko, przez co przeszła, jak nadbrzeżem morskiem szła ku Romie, w tej samej chwili, kiedy po morzu onem płynął na pysznym statku jej wróg; jak się oboje spotkali w wiecznem mieście; jak on zrazu zdawał się wygrywać, jak prawie się jej zaparł nieboszczyk Grzegórz[506]. A jednak w końcu ona zwyciężyła moralnie i dźwignęła swój zakon wytracony, i odnowiła go, i do nóg jej padają, i głoszą jej cuda! Angliki nawet, i wszyscy ją uwielbiają, a ano dotąd żadnym językiem niewypowiedziana, jedno po polsku! Jużci palec boży na jej czole leży!

Co się zaś dotyczy spod deszczu pod rynnę, nie sposób odmienić ducha tysiącletniego w tem, co stanowi jego wieczne podstawy, bez zatracenia siebie samego. Wyjmij serce człowiekowi, żyć przestanie; są pewne organki, konieczne do żywota potrzebne dla społeczeństwa jakiego: takim organem jest idea, którą żył wykonywał w każdej chwili życia; paznokcie, włosy, skóra, ręce, nogi itd., itd., mogą odpaść, przemienić się — mózg i serce nigdy, pod karą niebytu!

269. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Nicea, 11 maja 1847

Mój drogi! Wstrzymaj się do przyjazdu Elizy, który wnet nastąpi, z kupnem francuskich rent; dopiero po rozmowie z nią zobaczysz, jaki bankier lepszy. Staś nie tylko wyzwoleńca, ma i co innego, na oba zapewne i w tych dniach przeszle konsens. Chwała Bogu, że tak po Turczech i Ameryce latasz, i pływasz, i z Franciszką się widujesz[507]. Pięk-

[505] *Makryna* — Makryna Mieczysławska. [przypis redakcyjny]

[506] *nieboszczyk Grzegórz* — papież Grzegorz XVI. [przypis redakcyjny]

[507] *Chwała Bogu, że tak po Turczech i Ameryce latasz (…)* — mowa o utworze Gaszyńskiego pt. *Reszty pamiętników Macieja Rogowskiego, rotmistrza konfederacji barskiej*, Paryż, 1847. [przypis redakcyjny]

na była nad pięknemi! Tylko się nie leń w wyrobieniu. Nieraz Ci powtarzałem, że Twoją misją wycerwantesować nam lechickiego *Don Kiszota*, coś podobnego, to jest epopeję, pełną śmiechu a łez! Najwięksi komicy to mają do siebie, że zawsze pod komicznością ich tragedia siedzi, jak wąż pod kwiatami i zielem. Cerwantes, Molière, ze szczegółów śmiech chwyta, ale wrażenie ogólne powstające — smutek! Pamiętaj i o tem, bo to sztuki prawo. Wszelka tragedia winna się rozwięzywać we wyższe wesele, wszelka zaś komedia musi być podszyta smutkiem, inaczej nie ma całości i harmonii. Bo tak jest w rzeczywistości, tak jest na świecie bożym. Ale wpychać tragiczność gwałtem pod komiczność nie należy; nic łatać, nic zszywać nie sposób, to samo z siebie wyniknąć powinno. Jeśli komiczność prawdziwa, jeśli się agituje szeroko, jeśli żywą jest i chodzącą i krew ma w żyłach swych, to fatalnie się taki w niej znajdzie wypadek. Pisarz wiedzieć o tem winien, czuć to, ale nie powinien o to się pocić.

Życzę Ci szczęśliwych podróży aż pod Sawanah! Tam wszelka komiczność w hymn się zamienia śmierci, a znów ten w nieśmiertelności pieśń, i z ust bohatyra konającego może wyjść proroctwo, które tę całą komiczną sferę wnet rozświeci anielskiem światłem, bengalskim ogniem wiary, nadziei, miłości! Ściskam Cię z głębi serca.

Napisz do Augusta, że wolałbym, by rzeczy Danielewicza były w Wierzenicy, niż w gospodzie. Napisz, że Eliza wkrótce przez Berlin jechać będzie i że proszę, by wtedy opiekował się swoim chrzestnym synkiem. Napisz, że i ja zapewnie we dwa miesiące później tamtędy pojadę.

Pisz często! Smutno mi nad miarę. Już głód i u nas, coś okropnego idzie na świat ten! Obaczysz!

270. DO BRONISŁAWA TRENTOWSKIEGO

Nicea, 20 maja, 1847

Był tu Rogier[508], bawił dzień; mówiłem mu. Teraz jedzie do Księstwa; obiecał, że się rozmówi z tymi panami i z Potworowskim itd., itd. Że przez kilka miesięcy będzie próbował, czy można wskrzesić to, co ze zgonem Marcinkowskiego skonało, że po tym czasu upływie mnie uwiadomi o skutkach negocjacji, a w każdym razie sam pozostawa na odwodzie i gotów pospieszać na odsiecz. Zatem się nie troszcz, czy tak, czy owak będzie rzecz, owe 1000 talarów rocznie, skądkolwiek płynąć będą, będą płynęły. Przyszła Wielkanoc udowodni Ci to moje twierdzenie. Piszę jeszcze z Włoch. Myślę, że tak za miesiąc będę przejeżdżał koło Kiehl; wolałbym Cię w Kiehl oglądać lub gdzie zechcesz między Kiehl a Fryburgiem, niż w samym Fryburgu. Skoro albowiem przybędę do Fryburga, natychmiast o tem wiedzieć będą; a nie trzeba, by się domyślano, że się znamy i żeśmy ściśle spójni z sobą. Zatem gdziekolwiek zechcesz na tej kolei, między Kiehl a Fryburgiem. Doniosę Ci zawsze, na kilka dni przed przejazdem, o sobie. Odpisz mi raz jeszcze do Nicei! Ściskam Cię z głębi serca.

Rogier nigdy żadnego listu od Ciebie nie odebrał, a nikt mu nie był wspomniał, że jego szukasz, dopiero ode mnie tu, wczoraj się dowiedział.

Nie dobrze mi na zdrowiu, dlatego krótko i piekielnie niewyraźnie piszę, bo drgam nerwowo od stóp po łeb! Mam nadzieję że już będzie wcielony w druk ów Ojczyźniak, kiedy spotkam się z Tobą i że mi go dasz. Bóg Cię strzeż, drogi Bronisławie!

Zygmunt

Taka przyczyna urwanych dochodów: owi ludzie, przekonawszy się, że z dzieł drukowanych cudem magicznym, jak się spodziewali, nie wyrosły pułki i legiony zbrojne, alboli też, że same książki nie zaczęły latać po powietrzu i przemieniać się na pękające granaty, tryumfujące, powiedzieli sobie, że literatura na nic się nie zda. Oni myśleli, że literatura o dniu naznaczonym, o danej chwili, jak mina prochu leszczyńskiego, buchnie i wysadzi, nie figurycznie mówiąc, ale realnie, świat. Dzień naznaczony minął, książki z półek księgarskich i z bibliotek po dworach nie ruszyły, nie porosły w nogi, ręce, więc

[508] *Rogier* — Raczyński. [przypis redakcyjny]

zdradziły, więc nic nie warte. Czy nie godni głębokiej litości? Ale teraz sam powiedz, czy można z takowemi duchy obchodzić się, jakby z pełnoletniemi, i czy często gęsto nie wypada nakręcać wyrażenia własnego do ich pojęć dziecinnych? Pamiętaj zawsze o tem! Bo o to idzie, by ich zbawić, przede wszystkiem o to! A możnaż kogo zbawić tem, do czego nie dorósł? Owszem, wtedy go się gubi, a nie zbawia; to jakbyś dawał roślinie, miasto powietrza, wody i gnoju, gotowane mięso i pulpety — zwiędła by.

271. DO BRONISŁAWA TRENTOWSKIEGO

Aachen. 1847, 15 septembra

Musisz już być z powrotem z Regensburga. Piszę tak olbrzymio, bo, od kiedym tknął się tutejszych wód, ciągle zawrotami głowy nękany, cierpię okrutnie i co chwila mi się wydaje, jak gdybym konał. Już dwa razy na ulicy padłem bez zmysłów. Jednak ciągnę dalej, ale z przynależną ostrożnością. Dzięki Bogu, że są ludzie u nas i że ten Dymsza tęgi. Niedawno był w Paryżu, na klub polski uczęszczał, tam się nikt nie domyślał odkrytych w nim przez Ciebie przymiotów.

Może się zdarzyć, że dopiero w listopadzie wrócę, może znowu że za tydzień będę musiał, bo, jeśli cholera, już w Odesie przed 18-tu dniami zjawiona, pomaszeruje ku Warszawie, natychmiast tam pojadę, by przy ojcu się znaleźć o takiej chwili. Zatem zależę teraz od marszu cholery. Zawszeż będziesz o mnie wiedział przed mojem odgraniczeniem się od Europy.

W Rzymie pięknie się dzieje: nie tylko legacje, ale i całe Włochy trzęsą się od ducha piusowego. Po Włoszech zacznie się trząść i świat, bo wszystko zogniwione z sobą za dni naszych.

August[509] pisał mi, że się zatrudnia Twoim interesem i rozmaite ku temu kombinacje marzy. Rogier w Księstwie, milczy i ze mną, ale o danem przezeń słowie ani wątpię. Krótko piszę, bo każda litera stara się mnie pod stół obalić. Wszyscy, którzy czytają „Ojczyźniaka[510]", odchwalić się nie mogą, tylko się marszczą i frasująza napotkaniem onych dwóch frazesów, które im chwilowo niesmacznemi się wydają, i dopiero ochłonąwszy, dalej ciągną i znów im dobrze i miło! Ściskam Cię sercem całem, przywiązanem w pełni. Wkrótce znów posłyszysz o mnie. Powiedz mi: a co z *Chowanną* się stało? Czy uniknęła stosu?

Twój

Heidelberski

Augustową myślą jest, by utworzyć ze składek, ale już znakomitych, pewnych, corocznych, licznych, jakoby zakład, mający zastąpić brak uniwersytecki. Dopiero by z tego środka opłacane bywały rozmaite rzeczy, wieloliczne, a śród nich i owe 1000 talarów, o których wiesz. Czy się uda? Bóg wie! Lecz czy tak, czy owak, licz na Boga, który nigdy zacnych nie opuszcza.

Doskonaleś powiedział, że katolicyzm nie idealny, ale transcendentalny. Zaślepieniem prawie wszystkich katolików jest go mieć za idealny. Platoński idealizm, w poprzek rzuciwszy się katolicyzmu, taką barwę mu nadał, a z tą barwą własne jego dogmata (np. zmartwychwstanie ciał) wciąż się sprzeczają. Ale cóż zrobisz z ludźmi, którzy ci wiecznie o katolicyzmie prawią, a sami go nie umieją? Nieśmiertelność myśli oderwanej, czystej, nigdy nie była ni jest w katolicyzmie, raczej u protestantów; tymczasem najzażartsze katoliki zawsze z nią występują. Biedni ludzie! Wiesz, Twój całokształt filozoficzny jest arcykatolickim, tylko, że w tonie filozofii, nie religii.

[509] *August* — Cieszkowski. [przypis redakcyjny]
[510] *Ojczyźniak* — pod tym pseudonimem ogłosił Trentowski *Wizerunki duszy narodowej*. [przypis redakcyjny]

272. DO STANISŁAWA KOŹMIANA

Lipsk, 1847, 10 novembra

Mój drogi! *Dieu dispose*[511]. Oczewiście myślałem, że będę w Heidelbergu dziś — a tymczasem, otom w Lipsku a za cztery godzin w Dreznie. Eliza mnie tam wezwała, kiedym ją wzywał do Heidelberga. Lecę koleją od Akwisgranu od 3-ch dni i zabitym na nerwach i muskułach. Trudno bardzo mi było fanty wieść Tobie, bo ich jeszcze nie było wypranych — dopiero ścierki ich[512] są u mnie, i to jedna, ale pewno ono zwierze, co kuzynkiem zająca[513], a które zajadają Francuzy, nie omieszka ojcu dzieciaczka zaraz przesłać. Odpisz mi zaraz do Drezna, mój drogi, *poste restante*. Nic nie wiem, ale przewiduję, że tylko do 15-go najdalej zabawię, że potem trza się będzie puścić ku Włochom, odprowadzić Elizę aż do Romy — i wrócić na cholerę, która w one czasy zapewnie już sobie z Petersburga do Warszawy przypochodni. Mój ojciec nie chce wyjeżdżać, a zakazuje mnie do siebie przyjeżdżać — ale takie zakazy ojcowskie nic synom nie znaczą. Mam prośbę do Ciebie, drogi. Zawiadomię Cię za parę dni, gdzie i jak jadę — i będę Cię prosił, byś mi donosił jak najpewniej i najpilniej, co się z cholerą dzieje i czy pochód rozpoczyna ku Warszawie. Na tych albowiem wiadomościach serce moje będzie wisiało i obowiązek. Zatem nic mi nie kryjąc, jak najserdeczniej i najprawdziwiej ostrzeżesz mnie, bym zawsze miał czas powrotu. Z gazet człowiek albowiem późno się dowiaduje o pierwszych objawach gdzie zarazy, a ojciec będzie taił przede mną. Ty w Berlinie doskonale zaś wiedzieć będziesz, jaką drogę ta fatalność obiera.

Zdaje mi się: że Adasia Szczęśliwego, jak piszesz, jeszcze spotkam. Więc powiem mu, coś kazał, byleby szczęście go głuchym nie uczyniło. Jeszcze raz Scapa i Erofajkarski każą Cię zaręczyć, że nie oni, ale przy tem, że im mniej gawędy, tem i dla nich lepiej. Zawczoraj 8-go Krucyfiksus i kontent wyjechał do Chatauneuf le rouge près d'Aix. Tam do stycznia bawi w styczniu wraca; melodie Ci tu łączę — więcej ich nie ma. Śliczny wiersz francuski przez Lesguillon wyszedł, którego pierwsza część kończy się *l'ordre regne à V…* a druga *l'ordre regne à hôtel Praslin*[514]. Dostań, jeśli możesz — kartka tylko jedna, a wiersz siły pełen. Zwie się *L'Echo du Ciel*[515], a motto: *A Domino factum est istud*[516]. Ogromnie wraził mi się ten wiersz w nerwy. Vado wciąż 8 Chaussée d'Antin. Choruje często. August w Suchej koło Kałuszyna. Ja zaś *aerumnarum plenus*, mający za chwilę wpaść między Romcia, Aleksandra, Adasia itd., itd.; niepewny, co uczynię, gdzie się udam — kiedy wrócę — bardziej koczujący, niż ten Arab, do tego wcale niezdrów, womitami wciąż prześladowan. Odpisz mi natychmiast — masz czas, bo pewno tylko dzień jeden list idzie. Słyszę, że Cię żenić zamyślają — pamiętaj rozważyć rozważnie! Bóg Cię strzeż i ubłogosławiaj. Ventury kazanie o O'Connellu dziarskie — i dobrze Jełow. przełożył. Kartka 93 pełna mniszej energii. Odpisz zaraz!

Twój na zawsze Heidelberski

Napisz mi, czy gdzie w Dreźnie ostatnich „Przeglądów" bym mógł dostać? Wyobrazisz sobie, że Praslina wszystkie na wsi sąsiady żałują i opłakują, jak najlepszego człowieka i nie mogą pojąć, co się stało jemu, jak go szał napadł. Wszystkim albowiem był dobry, tylko tej ofierze jednej swojej zły i okrutny[517], a okrutny nad miarę cochwilnemi okrucieństwy. Do Dieppe ze wsi nie chciała ruszyć — złudził ją obietnicą, że nazajutrz, przejeżdżając przez Paryż, zaprowadzi ją na obiad z dziećmi do restauratora. Ona, która z dziećmi i z nim obiadu od wieków nie jadła, uradowała się, upatrując w tem znak zbli-

[511] *Dieu dispose* (fr.) — Bóg rozporządza. [przypis redakcyjny]

[512] *ścierki ich* — korekty *Dnia Dzisiejszego*. [przypis redakcyjny]

[513] *kuzynek zająca* — Królikowski, wydawca *Dnia Dzisiejszego*. [przypis redakcyjny]

[514] *l'ordre regne à V… (…) l'ordre regne à hôtel Praslin* (fr.) — „porządek panuje w Warszawie" (słynne słowa ministra K. Periera o zdobyciu Warszawy przez Paskiewicza), a drugie „porządek panuje w pałacu Praslin". [przypis redakcyjny]

[515] *L'Echo du Ciel* (fr.) — Echo nieba. [przypis redakcyjny]

[516] *a Domino factum est istud* (łac.) — owa rzecz jest stworzona przez Boga. [przypis redakcyjny]

[517] *tylko tej ofierze jednej swojej zły i okrutny* — Teobald Książę Praslin zamordował 18 sierpnia 1847 r. swoją żonę, córkę marszałka Sebastianiego, a w więzieniu odebrał sobie życie przy pomocy trucizny. [przypis redakcyjny]

żenia, jakąś pożycia dawnego powracankę — i obiadowi temu kwoli pojechała na śmierć własną, bo przed godziną obiadową, już z rana, padła pod nożem i kolbą pistoletu. Raz ją pierwszym był tak poczęstował, że wyszedł, myśląc, iż zabita — w pół godziny wraca, by otworzyć okno, strzelić w ogród, strzałem rozbudzić dom i oświadczyć, że strzelił do zabójców uciekających. Wtem trupa zastaje stojącego i dzwoniącego na gwałt — wtedy kolbą dobił. Umierając, spowiadał się i dzieciom zalecił, by nigdy nie ufali dziadowi, Sebastianiemu. Zresztą nic więcej nie powiedział. — Jaki łgarz Aleks. — powiedział Elizie, że przez dzień cały szukał mnie po Heidelbergu a nie mógł znaleźć. Rozśmiała się, wiedząc, że przeleciał i tylko Ciebie widział.

273. DO STANISŁAWA MAŁACHOWSKIEGO

1847, 9 grudnia

Odebrałem oba listy Twoje. Widzę, że Ci choro i smutno wciąż — mnie ani zdrowo, ani wesoło. Ilekroć przez jakiś czas dużo ludzi widzę, głupieję, zmieniam się na kształt ich, i robi się w sercu niepociesznie na widok głupstw i miernostek tylu. Zresztą czasy ponure, ponure! Na wszystkie strony drży i chwieje się świat, a kto wie, czy my, którzyśmy całe siły wyniszczyli w oczekiwaniu, potrafim jeszcze jakie zebrać i skupić na godzinę stanowczą. Darmo, oczekiwanie przez lat siedemnaście zniszczyło i przetrawiło nas; brak życia i powietrza uczynił nas schorzałymi. Ci, którzy długo siedzieli w więzieniu ciemnem, w chwili wyzwolenia światła już znieść nie mogą, i wyzwolenie staje się im ślepotą lub śmiercią. Smutne to wszystko bardzo, ale jakżeż się oprzeć tym myślom, które wkraczają w duszę i w niej się rozgaszczają i gryzą, jak grynszpan? Jakoś stary się zaczynam czuć, wszystko mi obmierza i ohydnem się staje. Stronnictwa, świat rozrywające, nic mi dobrego nie wróżą. Srogie zapamiętałości staną się paniami Europy. U nas dezorganizacja moralna ogromna, jednak szlachta o włościanach myśli i czynnie się bierze, czują, że w tej kwestii życie lub śmierć leży. Ale trudna, bo należy ubiec nieprzyjaciół dwóch: rząd i komunizm, należy chłopów usamowolnić, by stali się ludźmi, a skądinąd wpływ polityczny nad nimi zachować, by nie przestali być Polakami. Od rozwiązania tej zagadki, straszniejszej, niż wszystkie sfinksowe, zależy nasza przyszłość. O mój Wojewodo! Smutno i smutno! Za zobaczeniem więcej o tem. Tymczasem Ci powiem, żem tu Cię nie prosił, bo wiem, żeś chory, bo czuję, że zimno, bo wreszcie wolisz sam być ze mną gdzie indziej, niż w tych okolicach; zatem do obaczenia się w Romie. I tam nie z wesołem ja sercem jadę, nic tam mnie nie wzywa ni woła takiego, coby mi miłem indywidualnie było. Dla mnie Rzym mój mi przeszedł; zanadto niegdyś w nim młodo mi było, by on teraz nie miał mi jakby wyrzucać, żem się podstarzał, i to z goryczą grobową! Cóż chcesz, życie diablo smętnem. Jadę, bo muszę, ale, jak Radziwiłł do Hieruzalem: trzecim każdym krokiem w tył. Napisz też, co słychać o koźmianowym *Dniu dzisiejszym*[518].

Teraz mam prośbę do Ciebie i tej prośby wysłuchaj. Nie mogłem znaleźć sposobu szybkiego doniesienia bratu Twemu o tem, coś chciał, musiałem to powierzyć Kasi; ona dopiero w tych dniach to siostrom Twoim powiedziała, siostry dopiero bratu mają donieść, a nim stamtąd skutek zawróci, to i ujdzie dni jeszcze wiele zapewnie. Zatem proszę Cię, pożycz ode mnie tu przyłączone tysiąc franków! Jeśli będzie Ci ich potrzeba, użyjesz, jeśli nie, to nie, ale mi spokojniej będzie myśleć, że leżą u Ciebie, niż, że u mnie gnuśnieją odłogiem. Uczyń to dla mojej spokojności, a wdzięcznie Ci w duchu podziękuję, mój Wojewodo, bo najsroższą troską w oddali troska o kochanych. Proszę Cię, nie gniewaj się na mnie za to, a kiedy będziesz mógł, to przybywaj i wierz, że Cię kocha na zawsze

Twój Scapavia.

274. DO STANISŁAWA MAŁACHOWSKIEGO

[518]*co słychać o koźmianowym „Dniu dzisiejszym" — Dzień dzisiejszy*, Krasińskiego wyszedł jako utwór „Autora wiersza *Do Mistrzów Słowa*", czyli Stanisława Koźmiana. [przypis redakcyjny]

1848, 21 stycznia, Rzym

Mój drogi Wojewodo! Odesłałeś mi franki papierowe a przysłałeś na dobitkę kosztowną, arcy-ładną, absolutnie doskonałą cygarnicę. Dzięki Ci składam za drugą, pierwsze zaś z rezygnacją odebrałem, myśląc w duchu, że się na mnie gniewasz, gdy nie możesz wycierpieć, by leżały u Ciebie, ale przez lądy, góry i morza nazad mi je ślesz. List Twój, wczoraj z cygarnicą przybyły przez Aleksandra Potockiego, przekonał mnie, że się nie gniewasz, ale żeś smutny, tak jak ja. Dzięki Ci z głębi serca za list ten; schowam go do tych, które chowam, które skarb składają serca mego i w których odczytaniu szukam pociechy czasami, gdy mnie nieznośną się stawa każda chwila życia. W istocie wpadłem w melancholią, po prostu w chorobę, bezwładność umysłową a rozpacz serca, w hypokondrią ku ludziom a zwątpienie zupełne o sobie. Czasami nachodzą mnie myśli obrzydliwe[519]; pojmujesz, że je odganiam, deptam, pluję im w oczy — niemniej nadchodzą, to faktum psychologiczne. Choroba, choroba, przeciwko której nie mogę nic, kiedy jej napad mnie schwyci. Nikogo nie widuję, zamknąłem się, wszyscy mnie ranią, kaleczą, obrażają. Cóż chcesz, sam czuję, że to nikczemnienie taki stan, ale cóż począć, kiedy mnie opętał tak, jak reumatyzm, jak febra, jak tyfus. Przyjeżdżaj, kiedy możesz, zastaniesz zawsze dom swój u mnie. Pisać mi nawet trudno, każda litera mi idzie oporem, czuję, że z niej tylko głupstwo i smętek płynie. Wolę Cię uściskać sercem kochającem całem, niż dłużej nudzić umysłem znędzniałym, chorym, upadającym. Do widzenia, drogi. Kiedy zdołasz, przybywaj.

Twój

Czyś o koźmianowym *Dniu dzisiejszym* nic nie słyszał?

W mieście wiekuistem spokój. Tu nie będzie nigdy gwałtów ulicznych. Dwór, jak dawniej, taktyką opieszałości zastępuje moc istotną. Boga reprezentujem, a ludzi się boim!

Znów August przez dwadzieścia cztery godzin, i już tą razą w cytadelli, przytrzyman, potem wypuszczon i grzecznie przeproszon, jak pierwszą razą.

275. DO STANISŁAWA KOŹMIANA

25 stycznia, Rzym, 1848

Mój drogi Stanisławie! Czekałem na Twój list, jak kania deszczu. Pytałem się ks. Hieronima, czy nie pisujesz — odpowiadał, że milczysz. Już mnie sroga zdejmowała obawa — zdawało mi się, żeś chory, albo też nadzwyczaj smutny. Wreście z 13 stycznia Twe słowa dziś mnie rano obudziły i pierwszy raz nie przebudziłem się w melancholii, od kiedym tu, bo Twój list ją rozgonił. Ja zaś, drogi mój, nie pisałem, bom od kiedy tu wstąpił pierwszym krokiem, uczułem się pchniętym w mózg — po prostu fizycznie pchniętym, czy przez wpływy atmosferyczne, czy przez dalszy rozwój choroby, której ni Akwisgran, ni żadne Chiliusy pomóc nie mogą, która co roku powoli postępuje, a tego roku doszła tu do objawów bardzo mi gorzkich, bo takie ciągłe mózgu i serca drganie, taka rozdraźń tych dwóch organów myśli i czucia, że aż organa ruchu, to jest ręce i nogi, dostały od nich drgania ustawicznego, i ja, niegdyś *πόδας ὠχύς*[520], jak Achilles u Homera, muszę teraz wlec nogi za sobą i stąpać krokiem starcowatym. Widziałbyś mnie co dzień popołudniu tak wlokącym się po żebracku, zawsze jedną drogą, przez *Maria Maggiore* i Lateran do Koloseum i nazad — a zawsze samotnie odbywam tę pielgrzymkę, samotnie, jak człowiek, uciekający od ludzi, bo czuje się pękniętą machiną, bo czuje się umarłym, i to w miejscach tych samych, kędym niegdyś tak był pełnym życia. W tem mieście, po tych drogach wiosna moja była mi — a teraz! Więc słuchaj, rozpaczy tak głuchej, jak od kiedym tu, nigdym jeszcze nie doznał w życiu. Tak Ci się długo tłumaczę, byś pojął, czemum milczał; milczałem, bom nie istniał.

[519] *myśli obrzydliwe* — o samobójstwie. [przypis redakcyjny]
[520] *πόδας ὠχύς* (gr.) — szybkonogi. [przypis redakcyjny]

Teraz słuchaj stanu rzeczy tutejszych. Jest Wład., jest Orpisz., jest Kajs.[521], będzie za kilka dni niezawodnie Mickiewicz. Co sobie rokujesz z tej mieszaniny zetkniętej rozmaitych żądz, chęci, wól, zamiarów? Każdy ciągnie na swoje, stara się, każe, podchwytywa — aż tu śród tej cichej niwy usiłowań milczących spadnie piorun, pana Adama głos nieparlamentarny. Twierdzą jednak, że jedzie w skrusze i pokorze. Mnie znękanemu nowem będzie donękaniem to spotkanie. Dam tutejszych anim widział, nikogom nie widział — uciekam od wszystkich. *Haeret lateri letalis arundo*[522]. Nie znam nic podobniejszego do duszy mojej od wiersza tego — a wiersz jakżeż dźwięku rozpaczliwego pełen! Z Norwidem zapoznałem się — to nie z kaleczących ni raniących — owszem. Skarb mu wielki dan od Boga — byle go umiał użyć — to najtrudniejsze. Kolory i światło, to nic — ale tęcza uwita, rozpostarta na niebie z nich, foremna, rytmiczna, istna przepaska niebios, to wszystkiem — to trudnem i w każdej sferze ludzkiej, nie tylko artystycznej! Miły i uprzejmy duch ten norwidowy, ale zdaje mi się, że jeszcze sam siebie nie stworzył. Nie wyrzekł w głębiach swych własnych *fiat lux*[523], ale przyjdzie ta chwila i stanie się on potęgą!

Jak to, fantów nie odebrałeś? A Adaśże ich Ci nie oddał, pod pieczątką, w kopercie, przeze mnie mu powierzonej? Zdaje się, iż Ci niemi najnikczemniejszą-m z przysług wyświadczył — bo zupełną obojętność, a żale, o których mróz, mówisz, że je skrysztalił, może by Ci przyniosły co innego, niż obojętność ludzką. Nic zaś gorszego od obojętności; przebacz mi, ale cóż chcesz począć z pękniętą machiną, którą już należy pod strych gdzie rzucić i zostawić pyłowi i szczurom na pastwę! Tu zaś wszystko harmonijnem dotąd, nie ma żadnych scen ni gwałtów. W Neapolu zmusi powstanie sykulskie rząd do przyłączenia się do Ligi Włoskiej. Pius ukochan przez lud — serce wielkie, dobra żądające i dobro dające. Wiesz, jak takie serca kończą w dziejach? — Na krzyżu — nie mniej ich idea zwycięża! Lecz one same pękają pod niewdzięcznością ludzi udarowanych i u-błogosławionych. Taki i jego koniec! *Utinam sim falsus vates*[524]! Co do Włoch, niezawodnie wygrana ich. Lecz droga, po której wyprawa owa wygrawać się będzie, może być bardzo rozmaitemi ścieżkami, potokami, awalanszami i prądami lawy poprzerzynaną. Jednak, bądź co bądź, nie obejdzie się to wszystko bez dalekich wpływów i drgań, udzielonych z pierścienia do pierścienia w łańcuchu ogólnym. O liście obłudy mówią u nas, że wszeteczne kłamstwo! Pewno Hieronim Ci już doniósł. Co mnie boli, to guizotowe postępowanie. — *Quos perdere vult, prius dementat*[525]. Więc p. Kajetan[526], już i skądinąd mnie doszło — rozgniewał się na mnie, żem obowiązku dopełnił, żem nie chciał, by sam uszkodził w czymkolwiek dziełu swemu. Źle chyba mnie zrozumiał i nie uważał, że ofiarę robię! Wojewoda dotąd w Paryżu ale ma tu wkrótce się zjawić. Castelbianco pracuje nad Chrystusem, fale uśmierzającym. Ściska Cię serdecznie — dobry, poczciwy, milczący. Dzięki Ci za doniesienia o cholerze. Brat Elizy, Potocki Przemysław, przez nią wzięty.

Wiem, czuję, tam Tobie smutno bardzo od mrozu i nerwowo źle, a mnie tu słońce nie ożywia. Brak nam czegoś, czego dotąd nie ma na świecie, co dopiero w łonie bożem urodzone spoczywa i nie zeszło — ale zstąpi — a wtedy lepiej będzie nerwom! Biedny August fatalne godziny miał do przebycia. Jeśli go ujrzysz, powiedz mu, że mi bardzo źle na mózgu — że Konstanty 20-go miał stanąć w Paryżu, i żeby pisał do mnie. Więc u nas o stosunkach nie myślą włościańskich? W nich jednak kwestia życia lub śmierci. Jeśli szlachta nie wynajdzie kombinacji, nadającej godność ludzką i możność podniesienia się chłopom, a zarazem jednak nie wysuwającą ich, jak w Księstwie, spod wpływu tradycji, spod zależności moralnej od tejże szlachty, to źle, to bardzo źle, to fatalnie źle!

Pisz częściej, drogi Stanisławie, daruj mi ten list smętny — uważaj mnie za chorego, uważaj za jakiegoś Hamleta, co się zbliża ku piątemu aktowi — może ukoją się nerwy,

[521] *Jest Wład., jest Orpisz., jest Kajs.* — Władysław Zamoyski, Ludwik Orpiszewski, ks. Hieronim Kajsiewicz. [przypis redakcyjny]

[522] *haeret lateri letalis arundo* (łac.) — tkwi w boku śmiertelna strzała. [przypis redakcyjny]

[523] *fiat lux* (łac.) — niech się stanie światło. [przypis redakcyjny]

[524] *utinam sim falsus vates!* (łac.) — obym był fałszywym wieszczem. [przypis redakcyjny]

[525] *quos perdere vult, prius dementat* (łac) — tych, których chce zgubić, (Bóg) najpierw ogłupia. [przypis redakcyjny]

[526] *p. Kajetan* — K. Koźmian. [przypis redakcyjny]

może wróci siła — wątpię — ale cóż? Nie wielka szkoda ze straty jednego. Pal go diabli i niepamięć. Serce tylko swe zachowaj sercu memu! Pisz i pamiętaj, że Cię kocha

Twój Ruinowy *istotnie*

O Komir. towiańszczującym słyszałem, że wielki szałaput, że znakomity gaduła, że niedyskretny do najwyższego stopnia. Gdzie się podziała ta kamfora?

276. DO DELFINY POTOCKIEJ

Rzym, 8 lutego 1848 r.

Pierwsza w nocy. Dotąd Weyssenhof[527] mnie trzymał, opowiadając o widzeniu się z Panem Adamem[528], co dziś przybył i stanął w *Minerva*. Pan Adam nic szczególnego mu nie powiedział, tylko, że Włochy nie spodziewają się klęsk, które na nich spadną, i że może żal im będzie patriarchalnych rządów papieskich, gdy przyjdą ciężkie trudu i bitew i rozdarć godziny. Ale Gierycz, uczeń i sługa brata Adama, który zawsze, jak Cerber, stoi u drzwi jego i wpuszcza i wypuszcza lub broni progu, wciąż przez cały dzień mu o mnie gadał. Twierdził o Henryku[529] zaś, że wielki, wielki prorok cytował wciąż z jego dzieł wiersze; dziwił się tylko, że ten wielki prorok życia swego nie stosuje do wielkich ducha swego myśli. — „A jakże ma żyć? — zapytał Weyssenhof. — Na to odpowiedzi nie było. Nigdy inaczej nie wyrażał się, tylko: „Brat Adam", a o Towiańskim „mistrz" — i mówi, że brat Adam blednie i truchleje przed mistrzem, ale że go mistrz ukochał wśród innych wszystkich najbardziej i dlatego też najwięcej odeń wymaga. Lękam się, lękam, by do scen nie przyszło; wszelkim sposobem będę ich unikał. Jutro wieczór pójdę Mickiewicza odwiedzić.

277. DO DELFINY POTOCKIEJ

9 lutego

...Rozpacz żarła serce — z rozpaczym poszedł do *Minerva*. Zastałem tam na trzeciem piętrze pana Adama. Wchodzę — był z nim uczeń Gierycz — zrazu nie poznał, ale wnet rzucił się na mnie i ściskał do zaduszenia i rzekł tonem mongolskim do Gierycza, z którym grzecznie się chciałem przywitać i zapoznać: „Ruszaj precz — zostaw nas samych". Ten, jak niewolnik, nie śmiejąc się nawet mi odkłonić, znikł.

Zostaliśmy sami. On zaraz do mnie o wielkościach mego ducha i że z naszego spotkania się dobro dla wszystkich wypłynąć musi. Ja, nie poczuwając się do wielkości onych, coś skromnie zaprzecznego odpowiadam, że blask sam na mnie on rzucił... On wtedy natychmiast w gniew. „A, to żarty, zawsze żarty, tylko kpiny! Czy się nie czujesz? Czy nie wiesz, kimeś? Tu nie o skromność lub pychę chodzi, ale o dary zlane, które trzeba uczynnić... Zawsze żarty, nic serio nigdy, to, jak Mycielski generał, doskonały, zacny, ale rozstrzelał siłę całą na żarty, nie skupi się nigdy — to, jak Pani D.[530] (tum uszy natężył) — wyższy duch, tak, wyższy, niepospolita kobieta, ale co z tego? Przychodzę do niej, z najgłębszem uczuciem jej mówię: »Jadę do Rzymu« — a ona: »*Ah! comme je voudrais aller avec vous*[531]«. Więc ja mówię: »Biorę z sobą« — a ona wtedy: »*Je ne puis pas*[532]«. Więc na co mówić, że chciałoby się, kiedy nie może; na co kpić?... Takim to mi tonem powiedziała lekkim. Szczere, głębokie, chłopskie uczucie inaczej by się odezwało!".

Natychmiast reflektować go zacząłem: „A, to chciałbyś, drogi Adamie, tyranią niesłychaną obarczyć każde słowo, każden ruch, każden wykrzyk ludzki. Jakżeż? Nie wolno już krzyknąć: »Chce mi się!«. Na miłość Boga, co to znaczy? Nie wolno pani Delfinie

[527] *Weyssenhof* — Lucjan Weyssenhof. [przypis redakcyjny]
[528] *opowiadając o widzeniu się z Panem Adamem* — Mickiewiczem. [przypis redakcyjny]
[529] *o Henryku* — tj. o Zygmuncie Krasińskim. [przypis redakcyjny]
[530] *Pani D.* — Delfina Potocka. [przypis redakcyjny]
[531] *Ah! comme je voudrais aller avec vous* (fr.) — Ach, jakżebym chciała pojechać z panem. [przypis redakcyjny]
[532] *Je ne puis pas* (fr.) — nie mogę. [przypis redakcyjny]

oświadczyć chęć jakąś, a potem wyznać, że nie może jej wykonać? To był krzyk naiwny jej ducha. A potem powiedziała: »Nie mogę«. To był znów okoliczności mus — co tu dziwnego? To potoczne życie; szczegół najdrobniejszy — czy warto o nim mówić?" — „Ale chłopskie uczucie inaczej by się było odezwało. Jakoś by powiedziało z westchnieniem: »Ach! żeby to do Rzymu mnie!«" — ale nie takim sposobem: »*Emmenez moi avec vous comme je voudrai*[533]« etc., etc.". Na to ja: „Zapominasz, że całe wychowanie włożyło na panią Delfinę jako powinność, obowiązek nie wyrażania się nigdy po chłopsku!" — „Ah, ah, prawda i to — masz racją. O czem innem mówmy!".

Pierwszą tę walkę stoczywszy i nie ustąpiwszy, zacząłem w mnóstwie rzeczy co chwila walczyć, przystawać, kiedym mógł, opierać się, kiedym nie czuł, że prawda. Kiedy on głos podnosił, ja głośniejszy jeszcze wydobywałem z piersi. To wywierało specyficzne na nim wrażenie. Ale, wiesz, w dyskusji kogo mi najbardziej sposobem łamanym, a despotycznym jej prowadzenia przypomniał? Wiesz kogo? Ot, ojca mego — i to nie tylko w metodzie, ale i w wielu zdaniach swoich, skoro mówi o wadach narodu. Nic przykrzejszego, jak rozmowa z nim, bo ciągłą bójką na noże: nigdy go w ciągu logicznym rzeczy nie utrzymać. Skacze przez otchłanie rozumowania, z brzegu na drugi. Jednak, jak każdy despota, skoro poczuje opór silny i z prawdziwego przywileju wolności pochodzący, zmieszan się cofa. Ból wtedy okropny maluje się na jego twarzy.

Ranę, którą ci wciąż zadaje, ty mu wtedy zadałaś na odwrót.

Choćby i prawda wiekuista była w towiańszczyźnie, jeszcze bym powiedział, że go opętała. Bo, chcieć nie rozlewać prawdy, jak światło się rozlewa, ale wciskać ją tak, jak nakłada się kajdany, to być opętanym, a nie oświeconym przez prawdę!

Myślałem, że doznam wpływu mistycznego, wiesz, onego, który, w mózgu zadrgawszy, spływa mrozem przez kość pacierzową, zaiskrza się łzami w oczach roztkliwionych... Nic takiego, wcale nic nie doznałem; owszem, rzeczywistą tylko uczułem energię, we mnie się budzącą, twardą stal ducha, stającą oporem przeciw stali drugiej; świętej wolności dar mi od niebios dan w stosunku do wszelkiego ludzkiego, drugiego ducha, odzywający się w piersi, przez ucisk obrażonej. I tom mu zaraz wypowiedział, z najtkliwszą prośbą, by pamiętał o tem i w rozmowie nie chciał mi być tyranem: „Możesz być duchem wyższym stokroć ode mnie i myślę, że takim jesteś, lecz przed Bogiem, przed owym Trzecim, przytomnym, oba równości zażywamy jednej co do wolnego, niepodległego myślenia. Ja mam święte prawo mówić i oświadczać, co myślę, czuję, w co wierzę, lub co odrzucam".

A on wtedy:

„Prawda, prawda!" — i znów, jak raniony się cofa i marszczy czoło i przymyka oczy, i nozdrzami chwyta więcej powietrza. Z rozmów moich tyloletnich z Augustem i z wiedzy o tylu myślach, powszechnie za naszych czasów po świecie kołujących, wynika, że nieraz to, co on myśli, że mi objawia, ja uprzedzam — i, nie czekając wypowiedzenia, trafiam w konieczny ciąg jego wiar i, co miał mi oznajmić, sam ja jemu oznajmiam. Wtedy oko jego spocznie na mnie z podziwem: „Prawda, prawda" — i westchnie, i jęknie, i przejdzie się po pokoju.

Czasem znów muszę odpierać pewne, jak mi się wydaje, bałamuctwa, gmatwaniny, błędności w pojęciu istotnem, ale nierozdzierzgniętem. Tak np. o duchu — co to duch? Zerwałem się, mówiąc mu, że to, co powiada o duchu, wygląda mi na chaos. Okrutnie zrazu, tym wyrazem ranny, wstrząsł się; ja mu wtedy się wytłumaczyłem; znów zaczął chodzić i powtarzać: „Prawda, prawda, masz rację". Lecz, jak w Władysławie[534], jak w Kaysiewiczu, jak w każdem stronnictwie, jak w każdej pysze, jak w każdym kierunku jednostronnym, idea-gwoździ tkwi mu na czole — z tą różnicą, że Władysław i Kaysiewicz dobrze wychowani, miarowi, nie gwałtem rzucający się, światowi — a on ze światem zerwał, to zerwanie ma za cnotę, więc gwałt ciągły, jeśli nie wywarty, to czyhający przynajmniej. Stąd bolesne wrażenie walki, stąd, kochającemu nawet, do serca ciągle wtykany bunt i opór przez oddziaływanie ducha. Niezawodnie, on jako narzędzie poddał się pod Towiańskiego. Tylko niewolnik może być takim despotą — i wierzę w jego całką, dobrą wiarę, wierzę, że nim trzęsie Towiański, wierzę, że się jego lęka, że go uwielbia. Ale

[533] *Emmenez moi avec vous comme je voudrai* (fr.) — niech mnie pan weźmie z sobą, jakżebym chciała itd. [przypis redakcyjny]

[534] *jak w Władysławie* — generale Zamoyskim. [przypis redakcyjny]

wszystko, wszystko w końcu końców z Polski, z miłości świętej i tytańskiej do Polski, z żądzy nieskończonej wydobycia Jej na światło żywota.

Bardzo wiele rzeczy pięknych mówi; zupełnie to samo mistycznie, co August[535] logicznie i historycznie, ani źdźbła różnicy. O Chrystusie pięknie mówił — nie mówię, że prawdę, ale pięknie: „We wszystkich duch, czystość, cnota, poświęcenie budzi się przez podniety zewnętrzne, duszy lub ciała dotykające, przez żądze lub nieszczęścia, w Nim jednym obudził się duch przez absolutną miłość dla ludzi. Chciał, by było lepiej na ziemi i tylko to go wiodło — i o to zniósł najsroższe walki duchowe w sobie, a śmierć za sobą, jeśli tak można się wyrazić. Już w dzieciństwie, w ośmiu latach, odbył był pracę ducha, na którą innym kilku żywotów potrzeba. On był Bogiem...".

...Tu mu przerwałem, mówiąc: „Był — ale, schodząc na ziemię, by dopełnić warunków człowieczeństwa, o tem, że był Nim, zapomniał i dopiero własną usilnością ludzką, trudem i pracą dostąpił przypomnienia i wiedzy tej" — oczywiście to wypadało ze stanowiska, z którego uważają losy duchów w stworzeniu.

Ogromnie się zdziwił Mickiewicz, żem mu wyrwał to słowo z ust. — „Prawda, prawda!" — I spojrzał na mnie zdziwiony, zaciekawiony.

Do 12-tej takeśmy mówili. Odprowadzając mnie do drzwi, oznajmił, że ma mi gadać o stanowisku, jakie mą powinnością zająć w kraju, a którego hasłem dojść do tego, bym, ani dostając się tam, gdzie August był, ani znów tracąc na godności, mógł poważnie i spokojnie przed samym Paszkiewiczem mówić o Polszcze, jako Polszcze — jako rzeczy istniejącej i niepokonalnej! Obaczymy, jak mi to on wyłoży.

278. DO BRONISŁAWA TRENTOWSKIEGO

13 lutego, 1848, Roma

Przebacz i daruj tak długie milczenie, tak długi nieodpis na Twój list ostatni z 6-go grudnia. Lecz nie wystawisz sobie stanu, w który zapadłem, skorom stanął tu. Nie wiem, co mi się stało: choroba i to mózgowa mnie opętała, pióra-m w palcach, myśli jednej w głowie-m utrzymać nie mógł. Jakaś posępność nieskończona w serce mi się wdrapieżyła, więc nie pisałem, bo po prostu nie sposób mi było. Skoro dzień jakiś lepszy mi wrócił, natychmiast odbracam go na pisanie do Ciebie. Z gazet pewno wiesz, że konstytucja w Neapolu, że za kilka dni w Sardynii, że nawet może tu już będzie, gdy ten list dostanie się do Twoich rąk. Szybko biegną wypadki. Stary duch klasyczny się zerwał i miarą, której się nauczył, przypatrując się arcydziełom sztuki, dotąd wygrywa na polu politycznem. Jakby Ducha świętego wylanie się w masy; dotąd mas nie bywało takich, jak owe włoskie. Nie możesz sobie wystawić, co to rozruch, zbiegowisko ludu, słowem emeuta[536] w tych błogosławionych od przeznaczenia krajach. Oto tak się odbywa, jak poema, jak dramat, wystawion na scenie, w którym najgwałtowniejsze namiętności skandowanym wierszem się wyrażają i wywierają tem samem na widzach wrażenie pewnego spokoju. W istocie, klasyczny pierwiastek, miara, trzyma się tego ludu, i ta miara, której nam brak zawsze, wszędzie, jego zbawia, prowadzi, zwycięstwo do rąk mu podawa; miara jego instynktem. Austria, czyhająca ze 125 000 barbarzyńskiego wojska na pograniczach, wścieka się od złości, że nie może schwytać pozoru do wkroczenia, bo nigdzie nieporządku, nawet w Palermie bijącem się, a wszędzie konstytucje wyśpiewane, wydobyte, wyklaszczone rytmicznie. Jednak, drogi mój, niedługo potrwa taki polor sztuki w politycznych objawach. Despotyzm przelękły, o zgon mu grożący sam zaczepi; niezawodnie wojna buchnie, i pokaże się jeszcze, że Twój furman, widzeń pełen, odgadł na dobre, czem zasłynie rok 48-my.

Pan Adam[537] tu przybył przed kilku dniami. Dwa razy-m go już widział. Istotnie, przejęty potęgą mistrza swego, jest u niego w niewoli; z czego płynie, że sam często w stosunku do drugich wygląda na despotę. Ale zawsze to ten sam, żadnem cierpieniem niezużyty duch, duch tytański, Prometej, przykuty do skały czy nieszczęść narodowych

[535]*August* — Cieszkowski. [przypis redakcyjny]
[536]*emeuta* (z fr. *emeute*) — zbiegowisko, tumult, rozruch. [przypis redakcyjny]
[537]*pan Adam* — Adam Mickiewicz. [przypis redakcyjny]

czy wiar własnych, ale piersią podnoszący kajdany i ludu swego, nałożone od bogów, jedną myślą, co gwoździem wrosła mu w czoło, chcący przewiercić świat, myślą o zbawieniu ojczyzny!

Pytasz się, drogi, na jakie Rzym mnie naprowadza myśli o chrześcijaństwie. Widzę oboma oczami, że, przez wieki kazawszy o niem, dziś zaczyna je wykonywać, i być inaczej nie mogło. Chrystus przyniósł prawo wiekuiste rodzaju ludzkiego. Wiedzą tego prawa miłości rodzaj ów musiał się przepoić wprzód umysłowo, nim miał zacząć według niego budować i stwarzać i snuć dalsze twory z siebie. Chrześcijaństwo było wskazaniem drogi, przyszłość będzie nią pójściem. Pogaństwo było realnością, chrześcijaństwo idealnością historii; pozostawa rzeczywistość, duch, jaźń, ludzkość, zlana z bożym pomysłem w jedno, a więc żywa, a więc nieśmiertelna, i kiedyś po tej drodze, w coraz wyższe wstępując rozwoje, dojdzie ludzkość do przemienienia się w wyższy ród. Lecz to już pozahistoryczny wiek, kędy żywot śmiercią więcej niekrajany jest!

Skoro w Paryżu wyjdzie dzieło o Modlitwie Pańskiej, proszę Cię, sprowadź sobie i zaraz przeczytaj[538]. Nie myśl na chwilę, że ze mną to styczność jaką ma; ja bym tak nie potrafił, ale, proszę Cię, przeczytaj, przeczytaj natychmiast, skoro się ukaże. Do „Bożycy" więcej Ci się ono przyda, niż wszystko, cobym ja mógł pomyśleć lub napisać. Pamiętaj, dopełnij tej prośby mojej! Pisz zaś ciągle przez Strasburg, ja aż przez Paryż piszę, by uniknąć austriackich poczt. Tu zabawię do połowy kwietnia, potem zacznę się ku Tobie kierować. Zdaje się, że naszych tu wojskowych do pomocy zawezwą i sprawdzi się *Sen*[539] o szlachcie polskiej, przybywającej szablami podpierać kopułę pękającą Piotra.

Dobrze, że, choć skaleczona i ranami okryta, wydobyła się z absolutnej zagłady *Chowanna*.

Ściskam Cię z głębi serca i dziękuję Ci za wszystkie, za wszystkie drogie mi słowa Twoje.

August[540] mi pisze z swej strony, że usiłowania nasze dobrze idą, owe, co mają na celu i Ciebie.

Twój

279. DO DELFINY POTOCKIEJ

Rzym, 14 lutego, 1848 r.

[...] Pisałem Ci w liście ostatnim, że p. Adam mi oznajmił, że moje stanowisko istotne w Petersburgu, że tam powinienem reprezentować Topolinę[541]. Więcej i szczerzej nie chciał mówić, obiecał na drugi raz. — Dziwny duch! Taki twardy, taki rewolucjonista w gruncie, a taki despota na powierzchni. Taki konwencją i Piotrem Wielkim przepojon. Taki sam niewolnik, a taki tyran! Powiedziałem mu w oczy ostatnią razą, com go widział, kiedy mi wielkiemi przysięgi dowodził, że, co mówi, nie z siebie mówi, że to prawda boża. „Wierzę, wierzę, że nie z siebie mówisz — bo dawniej, uważasz, myślałem nieraz, że wszystko z siebie snujesz, z siebie tylko, a używasz drugich imienia, jako pozoru ułatwiającego. Alem odkąd Cię spotkał, czuję w głębi serca, czuję nerwami, że to nie Ty, ale cudza w Tobie potęga przez Ciebie mówi. — Chcesz prawdy? Oto czuję, żeś w niewoli! Na to słowo, co mi się wymknęło, na ten wyraz „niewola" zmarszczył się i zachmurzył. Ale nic nie odgwałtownił na to, tylko rzekł: „Prawda — jeżeli to się zowie niewolą".

Główną jego ideą, czuciem jego zażarłem: stworzyć siłę taką przez świętość, która by mogła od razu wziąć górę tonem swej potęgi nad tonem mongolskim — i zburzyć budowę złego! — Całe działanie powszechne Polski przez wieki i w historii, to, co w istocie ona czyni, czego dokonywa, chce on skupić w piersi indywidualne, wyciągnąć, że tak powiem, filtr magiczny ze swego narodu i nim zwalczyć magicznie drugi naród. Chce

[538]*dzieło o Modlitwie Pańskiej (...) przeczytaj* — *Ojcze nasz* Augusta Cieszkowskiego. [przypis redakcyjny]
[539]*sprawdzi się „Sen"* — mowa o *Legendzie*. [przypis redakcyjny]
[540]*August* — Cieszkowski. [przypis redakcyjny]
[541]*reprezentować Topolinę* — tj. Polskę. [przypis redakcyjny]

świętych, musztry wyuczonych, chce świętych, kierowanych przez sierżantów, oficerów, pułkowników. Śni mu się metoda moskiewska, a w Nowej Hierozolimie!

Myślę, że w tem błąd, bo są pewne sprzeczności niepogadzalne — a to owe sprzeczności, z których obie nie połowicami wyższej prawdy zarówno (jak np. arystokracja i demokracja, dające się ściągnąć do jednego narodu), ale z których jedna prawdą, jak np. Nowa Hierozolima, a druga czczem kłamstwem, wszelkiej prawdy zaprzeczeniem, jak np. metoda moskiewska! Połączże fałsz zupełny z prawdą! Powstanie nie wyższa, trzecia prawda, ale, owszem, prawdy pierwszej kalectwo!

15 lutego. [...] Był wczoraj u mnie pan Adam. Cały wieczór siedział w moim pokoiczku; mówił otwartszem, wolniejszem sercem, niż dotąd. Rysy tej kolosalnej natury mimo wszystką jednostronność, w którą wpadła, wolniej się odznaczały, niż zwykle. Odnalazłem tego, któregom znał. Wiele mi przywiązania i serca pokazał. Jest wielkość rodzima w tym duchu, coś na kształt rozmiarów Michała Anioła. Otóż mówił o mojem położeniu i rozważał, że dwie tylko drogi wielkie i szerokie dla mnie; inne wszystkie fałszywe, połowiczne, pokrzyżowane, nie drogi, ale ścieżki, a w końcu przepaść. Więc albo Petersburg, i to mistycznie pojęty: trza by przemówić do — wiesz, kogo[542], duchem proroka, duchem wyższej natury, która tak się wyrobiła i podniosła, że pełna już tylko zbawczej miłości ku dobru świata, a litości ku złym — i żeby w istocie tak to się prawdą tej natury było już stało, żeby źli na jej widok uczuli, że granit ich serca pęka i przemienia się na wosk topniejący — więc rozumiesz, pojmujesz, co za ideał wysoki jako ideał, a co za śmieszność bezdenna jako praktyka, kiedy się nie jest Chrystusem samym, lub przynajmniej prorokiem, Mojżeszem, Isaim itd., itd.

I ten człowiek tak pewny swego, tak wysoko ceniący potęgi, zawarte w człowieczym duchu, że mi przez chwilę radził to i chciał namaszczać na takie kapłaństwo! Jednak z wielkim rozsądkiem pojął, że niepodobna — i wnet wtedy drugą drogę, łatwiejszą wskazał: wyniesienie się i służenie z tej strony granicy — to samo, co August radził... zupełnie to samo. — „Bo inaczej, obaczysz — dodawał — zamiesza się świat, Ty zaś, nie oparty tam, ni już ocalon tu, przepadniesz, a przynajmniej żyć będziesz w ciągłej fałszywości położenia, w kłamstwie wiecznem, w trwodze nieustannej...". Na to odpowiedziałem mu opisem mego położenia i dni stroskanych onych i sędziwych[543], z któremi boju nie chcę. Głowa wtedy wieszcza pochyliła się na piersi, zamknął oczy, jakby uderzony ciosem — ani jednem słowem się nie sprzeciwił, wziął tylko za rękę mnie i rzekł: „Prawda, prawda, szkaradne, arcytrudne położenie. Nie ma co robić, tylko Bogu Cię polecić".

Ta wyrozumiałość mnie uderzyła w tak straszliwie niewyrozumiałym. To wszelkie odstanie wnet od rozprawy, to nieprzyłożenie do rany żadnego jadu, to milczenie i opuszczenie rąk, dowiodły mi, że jest wielkość i nim — bo niezawodnie piętnem wielkości dla ducha potężnego jest umieć się wstrzymać przed pewnemi zapory, jest umieć mieć serce i uczuć serca cudzego uczucie w pewnych, wyrocznych razach.

O komunizmie potem się zgadało — a on: „Ot, widzisz, jest pewien jednak święty komunizm ducha; przecież i Tyś w stosunku do mnie go tyle razy sprawował z ducha, z serca, z uczucia — nie z musu, nie z prawa, nie z obowiązku, kiedyś mi przysyłał pieniądze".

Pod takim kształtem wspomniał i podziękował. To także podziękowanie na rozmiar posągów Michała Anioła... Znać było w tej chwili wielkość w nim... A potem się zbliżył do mnie, znów za rękę chwycił: „Pamiętaj — rzekł — (i to z bolem i wstrętem przychodziło mu mówić) proszę Cię, nikomu o tem, com Ci o Petersburgu wspominał, nie mów! Bo Ty wiesz, jak oni to fałszywie rozumieją". — Nie mogę oddać tonu, z którym to oni wyrzeczonem zostało. Głęboka w tem boleść, ale jakaś litosna zarazem, choć piołunna była... Przyrzekłem mu święcie i „właśnie dlatego, że wiem doskonale, jak oni to rozumieją...".

280. DO DELFINY POTOCKIEJ

17 lutego, 1848 r., Rzym

[542]*wiesz, kogo* — cara Mikołaja I. [przypis redakcyjny]
[543]*stroskanych onych i sędziwych* — tj. ojca swego, jen. W. Krasińskiego. [przypis redakcyjny]

[...] Z panem Adamem zawsze to samo. Strach, strach, w jaką niewolę się dostał ten duch granitowy; jak go mistrz jego okuł w kajdany i rozbił prometejsko na Kaukazie jakimś ślepej wiary, ślepego posłuszeństwa — i tylko duchy poezji, co go dawniej znały, jutrzenki, gracje, nimfy, zefiry wiosen natchnienia i niepodległości, płyną przez powietrze po nocy i, otoczywszy więźnia, płaczą nad nim łzami tkliwości, żalu, ukochania. Lecz on nie słyszy tych sióstr dawnych swych, jedno trzęsie łańcuchami, nie, by je zerwać, ale, by niemi świat cały rozbić i zdruzgotać — oto obraz jego! Zdaje się w istocie, że ogromna potęga w Towiańskim, że umie obwiązać duszę tak, jak karność mongolska umie ciało, że nakazuje uczniom swym ofiary straszliwe, i że oni, jak Araby przed Mahometem, jak Araby przed Omarem stojący, gotowi palić aleksandryjskie biblioteki! Wszystko, co p. Adam uczynił na katedrze postradanej, wszystko, co mu poczytali za szaleństwa, wszystko, domyślam się, było z rozkazu: takie posłannictwo mu dano, taką drogę mu wskazano, bez pozwolenia miarkowania kroków swoich na niej.

Opowiada tu Łopacińska, Litewka, granicząca dobrami z wioską Towiańskiego, że już od lat dwudziestu on założył „swą sektę", że na wieść o wzięciu Warszawy cieszyli się i tańczyli noc całą[544]; bo zawsze odmawiali od iścia do rewolucji, mówiąc, że czas nie przyszedł i że na niczem się skończy; że Gut, jeden z pierwszych uczniów, nienawidził na śmierć panny jednej w Wilnie; wtedy mistrz kazał mu się z nią ożenić, żądając tej ofiary, jako dowodu, że się duch jego potrafi przełamywać. Posłuchał rozkazu, jak fakir. Dalej, straszniejszy jeszcze szczegół opowiada Łopacińska — czy można wierzyć? — że Gut, będąc doktorem, leczył kogoś — pyta się go Mistrz: „Czy prędko wyzdrowieje?" — a Gut: „Lekko chory — wyleczy się za tydzień". A Mistrz: „Znam dzieje tego ducha, wymagają pokuty dłuższej dla podniesienia się i ekspiacji" — a Gut: „Mogę mu lekarstwami sprawić zatwardzenie wątroby, wtedy pociągnie choroba ze sześć miesięcy". A Mistrz: „Niech się stanie tak"; a Gut: „Dobrze". — I usłuchał rozkazu! Czy to być może?

Ślepa wiara, ślepe wszelkie posłuszeństwo, zdanie się na łaskę sumienia cudzego, kiedy Bóg każdemu z nas udzielił się sam pod postacią sumienia jego, wiedzie do okropnych zjawisk. Zaprzedać wolność sumienia komu bądź, nawet wyniosłemu czemuś, to jest: po diabelsku dążyć do piękna i dobra. Wolność złotym przywilejem ducha ludzkiego; skoro ją kto w nim zaćmi, to go opęta — i bywają czarty o twarzy anielskiej ze skrzydłami ze światła.

Duch polski odpiera taką niewolę.

Ale, że jest namiętność szalona, że jest potęga ogromna, że jest życie ponure, pogrzebne, skazane, fatalne, ale życie wrzące w panu Adamie, to pewno! 49 lat, a jak młodzieniec krzyczy, skacze, zapala się, wierzy, stąpa! Wszystkie mury głową by rozwalał — wszystkie piersi ludzkie targał rękoma, by po meksykańsku serca z nich wydobyć i na ofiarę poświęcić woli mistrza! Jakby mu płynem magicznym kto żyły ponapajał i odstarzył. Włosy mu się jeżą, gdyby siwe promienie — oczy iskrzą, jak żądła diamentowe. Czerwienieje, jak purpura królewska. Przeciw takiemu człowiekowi trzeba być bladym, zimnym, poważnym, spokojnym — a to wszystko jednak od głębokiej miłości. Kto się miłością nadeń nie podniesie wyżej, ten będzie musiał paść w konwulsjach na ziemię przed nim!

281. DO STANISŁAWA KOŹMIANA

1848, Rzym, 20 lutego

Mój drogi Stanisławie! Wczoraj list Twój odebrałem. A więc i Ty jak ja! Rozwiązujem się oba. Potęga po potędze wychodzi nam z duszy — gdzież zapadamy? Czy to nie przeczucie chwili stanowczej, uroczystej, bliskiej, a nie pieśnianej już, lecz innej, twardej? Może tracim władze, służące do myślenia i rozumienia, bo tu trzeba będzie nam czego innego? Tak Cię pocieszam, o drogi mój, sam niepocieszony, sam pożerany wciąż głębokim jadem, nagromadzonym przez wszystkie boleści i zawody żywota. Czasami sam już nie wiem, co się ze mną dzieje — schylę skroń nad papier, a pod skronią tak myśl się plącze i gmatwa, że aż komicznie, jak gdyby mózg z siadłego w płynny się przemienił i ciekł

[544] *na wieść o wzięciu Warszawy cieszyli się i tańczyli noc całą* — są to naiwne plotki, krążące wówczas na emigracji o Towiańskim. [przypis redakcyjny]

już, a nie siedział w czaszce. Módlmy się i prośmy Boga o ratunek! — Pytasz się o Ad. i Władysł. — Adam[545], mojem zdaniem, dostał się w najsroższą niewolę. Spotkał się z ogromną potęgą, zawartą w człowieku indywidualnym. Ta go opanowała, i opanowała tak, jak karność wojskowa opanowuje żołnierzy. Duch jego wzięty w kamasze, kajdanami skuty — i on te kajdany trzęsie nad głowami innych i zowie to najwolniejszą wolnością. Nigdym takiego niewolnika nie oglądał, nigdy też i takiego despoty. Żeby nie ten pierwiastek niewoli, wszystko, co mówi byłoby pięknem i prawdziwem, przynajmniej większa część, jeśli nie wszystko. Lecz przyczepione jarzmo, lecz przypięty bicz, bat, knut moralny do każdej idei, do każdego słowa, gwałt w ruchu każdym, a osobliwie przekonanie najgłębsze, że ten gwałt jest obrządkiem wiar onych, wstępujących w świat, przemienia je w tyranią srogą, nieużytą, w fanatyzm arabski. Najwyższe idee, gdy się do takich środków udają, tracą z rodzimej bieli, Boga się córkami narodziwszy w niebie, odcórkiwują się Jemu na ziemi i, wdziawszy szaty poplamione niewiast ulicznych i włos rozczochrany ich, i zazdrość, i zawiść, i gniew, stają się nie zbawicielkami świata, lecz jednych nałożnicami, a drugich Herodiadami, żądającemi, by im na talerzach głowy świętych Janów noszono. Zdaje się, że wszelka idea takie momenta przebywa, czyli, że dla wszelkiej idei znajdują się tacy posługacze. Smutek zdejmuje, a często i bunt, widza i słuchacza — lecz, co pewnego, to to, że niesłychanie potężny duch z Towiańskiego samego i że tak ich wszystkich okajdanił, że albo Duch Boży ich odkajdani sam, albo już w jasyrze tym pozostaną na wieki — w sferze duchowych reform i wskrzeszeń i zmartwychwstań z siebie koniecznych, to samo, co niegdyś na polu wolności politycznej konwencja i *Comité du Salut public*[546]. Fatalna wiara, że dobro i światło można duchom ludzkim wgnieść w piersi, wgwoździć w skroń, wwiercić w serce — że można, tratując po nieśmiertelnej duszy, ją unieśmiertelnić, do niebios przyszłości i do niebios wszech-życia zagnać, tak jak Furie zaganiają do Erebu! Dałem Ci wyobrażenie metody — co do dogmatów, nie udzielają mi ich, ani pragnę ich udziału, bo ni zdradzać nikogo, ni też nikomu wprząc się w jarzmo nie chcę — a u nich tak rzeczy stoją, że byłby zdrajcą, kto by, w jarzmo głowy i karku nie oddawszy, dogmata posiadł! Mimo to, Ad. zawszeż kolosalnym michał-aniołowym duchem; nieskończona żądza, z rozpaczy wynikła a gotowa do wszystkiego, byleby sprawiedliwość zajaśniała światu, wpędziła go w tę jednostronność. Męczennik to sprawy, która tylu męczenników liczy! Ma się w tych dniach widzieć z Ojcem św. Ojciec św. jeden warunek położył, by przy świadku jednym. Makryna jedna mogłaby, mojem zdaniem, silny wpływ wywrzeć nań, bo dąży jego duch sztucznie do wszystkich supernaturalizmów[547] — które jej duch posiadł naturalnie — tak, naturalnie i logicznie — gdyż zasługa i męczeństwo drogami są logicznemi do krainy cudów i widzeń. Broń, której się jemu chce, ona ma już w ręku — nią by mogła może wyleczyć ranę jego serca wieczną.

Co do Wład.[548], dopełnia obowiązku, który sam na się włożył, pilnie — stara się wszelkim sposobem, gdzie tylko luka się zrobi, ją zaludnić, zapełnić swojemi, a nie mówię „swojemi" w znaczeniu partii, jedno w szerszem daleko. Przeciwko niemu nic nie powiem. Jest coś bohaterskiego w tej naturze, także rozwiązującej się już, ale i upartej i walecznej aż po ostatnią chwilę. Co do orlikowego oka norwidowego, nie lękaj się. Spadł wzrok jego w pracowni Castelbianca na leżące broszurki — wziął w palce, koniuszkiem palców samych kilka kartek przewrócił a oczyma w sufit patrzał, potem nazad położył i wyszedł. Nader uprzejma natura, bez namiętności żadnej, bez stronniczości. Brat jego się stowianił i tu przyjeżdża w tych dniach. Vado[549] przybywa też, bo 15-go wyruszył z Paryża. Konstanty wciąż się dopytuje, kiedy każesz sobie odesłać to, co on Ci winien. Nie wiem, jak uspokoić jego sumienie, pod tym względem niespokojne...

Może przyjść do tego, że za winę jednego wielu wisieć będzie — bo u ludzi wręcz przeciwnie jak u Boga — u Boga albowiem jeden niewinny wielu winnych zbawia! Plączą się myśli — w sercu ból — pióro z rąk wypada. Co się tu dzieje, wiesz z gazet. Jakby wylew Ducha św[ięt]ego nieznany dotąd, na polityczne obszary — w zgodzie i bezgwałcie dotąd. Harmonii przykład pierwszy w dziejach, pierwszy po konstytucji 3-go maja. Pisz

[545] *Adam* — Mickiewicz. [przypis redakcyjny]
[546] *Comité du Salut public* (fr.) — komitet zbawienia [ocalenia] publicznego. [przypis redakcyjny]
[547] *supernaturalizmy* (z łac.) — rzeczy nadnaturalne. [przypis redakcyjny]
[548] *Wład.* — Władysław Zamoyski. [przypis redakcyjny]
[549] *Vado* — Stanisław Małachowski. [przypis redakcyjny]

do mnie, drogi mój — i mnie potrzeba głosu Twego współsmętnego — pisz, proszę Cię — módlmy się — a z daleka błogosławię Ci całym duchem moim, kochającym Cię.

Twój Heidelberski

282. DO DELFINY POTOCKIEJ

Rzym, 20 lutego 1848 r.

[...] Wczoraj w wieczór poszedłem do księży. Jełowicki i blady Hube mnie przyjęli — o potędze piekielnej Towiańskiego mówili. Jam im twierdził, że nie wiem, czy piekielna, że wiem to tylko, że potęgą jest niechybnie, niezawodnie i że przeciwko niej tylko jedną znam do postawienia, jeśli chodzi im o rozkucie więzów Adama, a tą jest potęga Makryny, nabyta zasługą męczeńską[550]... Pan Adam więc musi ukłon oddać w niej swojej własnej zasadzie, a jeśli ona wtedy, natchniona, powie mu, że służy potędze złej, toć go to wzruszyć powinno.

Tak mówiłem księżom. Dziękowali za radę. Zresztą-m o żadnym szczególe rozmowy z p. Adamem żadnej mojej ani wspomniał. Ale wiesz? To dziwnem: Makryna nie może się modlić o niego. Skoro zacznie, powiada, że w kamień się język jej obraca, że wszelka tkliwość ducha w kamień, wszelkie natchnienie w kamień. O Towiańskim zaś samym mówi, że ogromna, niesłychana potęga, ale zła — i że wielu ludzi zwiedzie, wielu księży nawet przeciągnie do siebie. Adam żądał posłuchania od papieża; przystał papież, ale pod warunkiem, by przynajmniej jeden świadek był przytomny. Adam zaś żądał, by nikt. Jużci, że to wszystko dziwne, to pewno. Osobliwe to kamienienie duszy w Makrynie, to niepodobieństwo pomodlenia się za człowiekiem, o którym sama mówi, że go kocha za to wszystko, czem się narodowi przysłużył.

Od księży poszedłem do pana Adama, który zaraz obok mieszka. Jemu, naturalnie, anim wspomniał o księżach. Rozmawialiśmy do pierwszej w nocy. Nie wprowadzał na scenę mistrza. Gadał o rządzie francuskim — o eks-profesorach[551], o królu, wybornie, malowniczo i głęboko... O Sandowej[552] się zgadało. Ja mówię: „Wszystko zanegowała, jest tylko krytyką samą i burzeniem. Lecz iskry bożej żywota harmonizującego i stawiającego coś na miejscu gruzów poczynionych — nie ma!" — „Wielki duch — powiada on, — ale nie umie tak żyć, jak pisze". — „O, tak — odpowiadam — wszędzie w pismach ideał miłości stawia, a sama rozpustnicą obrzydliwą". — „To nie to — odpowiada — mnie nic do tego; ale wszędzie głosi, że się z *ouvrierami*[553] trzeba łączyć, a czemuż córki za robotnika nie wydała? — Albo nie pisz, albo tak czyń, jak piszesz; albo nie stawaj wodzem w bitwie, albo giń i gub się z wojskiem, które prowadzisz".

Tak pojął u Sandowej nieurzeczywistnienie ideału!

22 lutego. [...] Wczoraj p. Adam przyszedł do Makryny. Na jego widok wstała ku niemu i nic mu zrazu powiedzieć nie mogła, tylko westchnęła ogromnie. To westchnienie tyle prawdziwej boleści w sobie wyrażało, że p. Adam mówi, iż jak nożem serce mu przeszyło. Potem, jak w epopejach, wymieniali sobie swoje nazwiska: „Ja jestem Adam Mickiewicz, wygnaniec z Litwy". — „A ja jestem ona mniszka, przerzucona przez świat cały z Litwy na tę ziemię włoską". — To bardzo śliczne! Jakby chronika lub poema średniowieczne! Trzy godzin siedział Adam. Co mówiła mu, nie wiadomo, ani co on jej; bo ona mówi, że w natchnieniu wszystko mówiła i zapomniała. Dość na tem, że się z krzesła obalił pan Adam, spłynął do nóg jej, płakać, szlochać zaczął okrutnie i wołać: „Wszystko uczynię, co każesz, wskaż drogę, a tylko duszę moją zbaw, zbaw duszę moją, bo bardziej skołatana i zmęczona, niż ciało tułacze!".

---

[550]*potęga Makryny, nabyta zasługą męczeńską* — prawdziwą postać Makryny Mieczysławskiej odkryły dopiero badania ks. J. Urbana, ogłoszone drukiem w rozprawie pt.: *Makryna Mieczysławska w świetle prawdy*, Kraków 1923, s. 139. [przypis redakcyjny]

[551]*eks-profesor* — minister Guizot. [przypis redakcyjny]

[552]*Sandowa* — pani George Sand, właściwie Aurora Dudevant (1804–1876), znakomita powieściopisarka francuska. [przypis redakcyjny]

[553]*z ouvrierami* (z fr.) — robotnikami. [przypis redakcyjny]

I kląkł obok niej — i ona modliła się z nim — a wśród modlitwy wyrzekła, na to, by on powtórzył za nią: „Wyrzekam się Towiańskiego", a on powtórzył, może mimo woli. Wczoraj w wieczór poszedłem doń, alem zastał u niego Norwida; więc wyszedłem. Później Norwid mnie dognał na Piazza di Spagna i, nie wiedząc o tem, co się było stało z rana, opowiadał mi, że zastał p. Adama jakby rażonego jakimś nadzwyczajnym wypadkiem i często monologującego z sobą samym: „Strach, strach, jaka to mniszka. Spojrzeć tylko na nią — strach!", a to mówiąc, garbił się i pochylał ciało całe. Dziś o 6.30 z rana był na mszy u niej i siedział z nią do 10-ej; płakał, w piersi się tłukł — mówił jej, że go wszyscy ścigali, prześladowali, słowa dobrego nie dali, że on był bardzo biedny, że tylko u niej miłość znalazł, że wszystko, co każe, uczyni.

Więc odgadłem, że na tem polu ona tylko jedna z nadzieją jakiejś wygranej przeciwko niemu wystąpić mogła, a raczej przeciwko jarzmu niewoli tej olbrzymiej, nałożonemu jego duchowi przez mistrza. Doskonale się jej udało wprzód jeszcze o towiańszczykach: „Ci ludzie psują język polski. *Mistrz* po polsku to *kat*".

Pamiętasz, ilekroć w tym samym Rzymie mówiłaś do mnie: „Ah, żeby Chrystus był za dni naszych gdzie — jakżebym poszła do nóg Mu się rzucić". I nie Ty jedna tak czuła — świat podobno wszystek tak czuł. Gdy jakie czucie w świecie powszechne, zawsze się zdarza, że pojedynczy jakiś człowiek to czucie na siebie jednego przemieni i wystąpi krystalizacją tego czucia. Wielu nawet pojedynczych ludzi o to się kusi i stara — i wielu przepada w tem kuszeniu się o wyrażenie sobą powszechnej żądzy ludzkiej. Jednym z takich zapewne Towiański. Ale musiał do wysokiego stopnia doprowadzić panowanie sobie, moc ducha, potęgę skupienia się w sobie.

Niebezpieczna to droga, straszna, reprezentować Boga na planecie, kiedy już tak trudno powiat jeden na sejmie, naród jeden w Europie!

Bądź co bądź, to sobie zachowaj w pamięci, że twierdzę, iż w tym człowieku niesłychana jest siła! Myślę zaś przy tem, że niezupełnie czysta. Na Mahometa wygląda.

283. DO DELFINY POTOCKIEJ

Rzym, 25 lutego 1848 r.

[...] Wczoraj wieczorem byłem u Adama. Czytał mi list Aleksandra Chodźki, pisan do Mikołaja[554], a dyktowan przez Towiańskiego, z dymisją, posłaną przez Chodźkę, który był w Persji konsulem. O ten to list, zaniesion do ambasady moskiewskiej w Paryżu, Kamiński wystąpił[555] i oskarżył ich o dążenie panslawistyczne. Oczywiście Kamiński inaczej tego listu nie potrafił pojąć i żaden z Polaków, niewysubtilizowanych wielu myślami i nieprzywykłych do gimnastyki umysłowej wieku naszego, nie zdołałby inaczej go pojąć. Trzeba mi było, gdym słuchał jego czytania, wszystkiej siły subtelnej mojego umysłu, by usprawiedliwiać co chwila nadarzające się w nim frazesa. Po prostu myśl główna, pokusa niebieska, którą kuszon przez Towiańskiego w tym liście Mikołaj, taka, żeby, zrozumiawszy Chrystusa, który dotąd jeden tylko na ziemi umiał i zdołał być Panem i Mistrzem — stał się na czele szczepu słowiańskiego, w którym jedynie się zachowała iskra Chrystusa, Panem wszechwładnym świata, a zamiłośniona wtedy w nim ludzkość odda mu rządy nad sobą. Pojmujesz? Pojmij, jak oni pojmują: wyzew posłany sumienia do Mikołaja, do potęgi ogromnej w świecie, by pierwsza śród wszystkich przechrystusowała się, a wtedy w istocie stała się tryumfem chrystusowym, ogarniającym planetę, rządzącym planetą.

Oczewiście rząd moskiewski żąda tego samego, ale ku temu zdąża piekielnemi sposoby; — oni[556] mu powiadają: „Piekielnemi nie potrafisz, ale anielskie przybierz, a stanie się prawdą sen twój". Taki sens główny całego listu. Nad szczegółami się nie rozwodzą; dają do zrozumienia, że, jeśli chcesz zostać wszech-carem świata, to się z nami zapoznaj, my ci damy tę władzę, ale ty nas słuchaj, bo człowiek, który ci ten wyzew posyła, jest *organem Słowa*, kiedy Chrystus był *Słowem samem*.

[554]*Czytał mi list Aleksandra Chodźki, pisan do Mikołaja* — list z d. 18 sierpnia 1844 r. Ob[acz] *Wybór pism* Towiańskiego w wydaniu II Stan[isława] Pigonia (Bibl. Narod. Nr 8) s. 126–133. [przypis redakcyjny]

[555]*o ten to list, zaniesion do ambasady moskiewskiej w Paryżu, Kamiński wystąpił* — pułk. Mikołaj Kamieński, ogłosił w r. 1845 odezwę w sprawie listu Al. Chodźki. [przypis redakcyjny]

[556]*oni* — towiańczycy. [przypis redakcyjny]

Jest tam taki frazes: *Dans ces temps, Sire, de miséricorde du Seigneur, la dure limite, établie entre les vivants et les morts, s'est radoucie et les Esprits des morts, entre autres l'esprit de l'empereur Alexandre, entourent le trône de votre Majesté*[557].

Cette limite radoucie bardzo mnie uderzyła, bo nieraz takem mówił, że przyjdzie do tego za dni naszych jeszcze. Zresztą rozumiem, że każdy Polak, który list ten przeczyta, odbierze wrażenie zmoskalenia się towiańczyków. Inaczej być nie może — a rząd, do którego ten list pisany, niezawodnie dość subtelny i przenikliwy, by pojąć, że mógłby wielu pomiędzy niemi, udając, że przystaje na ich mistycyzm, zyskać sobie i sługami swymi obłąkanymi uczynić. Jednakowoż wszystko to pochodzi z tej zasady, że Towiański, wciąż się stawiając na stanowisku Chrystusa, całkiem przybiera ruchy i postawę rozkazową Chrystusa; nie tylko przepis chrystusowy chce wprowadzać w czyn, ale zupełnie drapuje się jako drugi Chrystus. Pojąć by można, że Bóg tak wzywa Mikołaja — rozumiesz? I dlatego Bóg by nie był Moskalem.

Lecz Polak, który tak wzywa Mikołaja, musi niechybnie wpaść w pewną barwę moskwicyzmu. Pojmujesz? Że go zaś słuchający i czytający za Boga nie uznali wszyscy, więc tym, którzy go nie uznali, musi koniecznie w optyce ludzkości swej wydawać się nieco zmoskwiczałym, a raczej ku Moskwie nakłonnym! Chciałbym, byś to dobrze zrozumiała.

[...] W głębi ducha adamowego niezawodnie wre dla Polski wulkan i dymy tylko tego wulkanu czasem mogą zmylić wzrok, szukający jego wrzących płomieni; nie ma na tej ziemi ogni bez dymu.

Makryna ogromne wrażenie na nim wywarła. Wciąż o niej mówi. Między jej potęgą, w istocie nadzwyczajną, i potęgą Towiańskiego, w istocie niezwykłą, odbywa się rozdzierający bój w sercu tego człowieka.

Jednak myli się, kto myśli, że Towiański pobity, pokonany. O, nie! Wczoraj mi mówił:

„Jeden tylko był Chrystus na ziemi, który to samo czynił w każdej chwili, co myślał i mówił; myślał zaś i mówił po bosku. Drugi zaś był człowiek, Napoleon, który najwięcej się zbliżył do tego pod tym względem, że także wciąż działał, jak myślał i mówił. Ton jego czynów ten sam, co ton jego biuletynów; i to wielkości znamieniem (*wielka prawda!*). Jednak nie myślał i nie mówił bosko — ale dość na tem, że ciągle równy był działaniem swem swemu myśleniu. Otóż znałem człowieka, który tę sztukę doprowadził do najwyższego stopnia doskonałości, który całym sobą jest tem samem, co myśl w głowie jego, co słowo na ustach. Inny każden duch, coby tak trzy dni przeżył, jak ten człowiek żyje, dopełniając w każdym postępku, za każdym krokiem, całkowitości swojego pojęcia — nie wytrzymałby, zginąłby, poderwałby się. Otóż nie wiem, kiedy zdarzą się przeczucia tego człowieka, ale wcześniej czy później — może za kilka wieków — duch tego człowieka... tak, być nie może inaczej — duch tego człowieka świat przebije!"

Na te słowa pomyślałem sobie w smutku, gorzkim, jak piołun wieczności: „Czyż znów to samo? Czyż znów po wiekach tylu oblężona Hierozolima? Rzymianie podsuwają się z taranem pod bramy, bronią się zelatory wściekle, a bramą jakąś tam boczną wychodzą pierwsi chrześcijanie, gardzący obroną miasta świętego, idący obalić Rzym i pogaństwo — ale dopiero za wieków trzy lub cztery!".

Jak błyskawica, ze stopionych sztyletów płynna, przeleciała mi ta myśl przez mózg.

Wiesz, wszystko, co widzę, wszystko, czemu się przypatruję, raczej wiarę moją obala (nie bój się — nieobalalna), niż podpiera! Wydaje mi się, że ten planeta mgłą czarną oddzielon od Boga, że czasem po mgle tej okrężnej rozlewają się czerwonawe połyski, odbicia świateł wiekuistych z oddali — ale nie samo światło. Wygląda mi na to, jakby nie było obcowania duchów naszych ze samem światłem, jedno z temi czerwonawemi na mgle odbłyski.

Moment Ci jeden duszy mej rozpowiadam, smutny bardzo, ale nic więcej, moment tylko. To mistycyzm ma do siebie, że duszę upaja, ale nie uspokaja — on wstrząsa, obala o ziemię lub porywa w niebieskie lazury, ale nie koi! Nie koi!

Jednak jest, jednak żyje, istnieje. Kto mu zaprzeczy? Jest! — Smutno mi.

Widok takiego boju między potęgami dwiema mistycznemi — jakby na ziemi, duchów bój nieziemskich!

---

[557] *Dans ces temps, Sire, de miséricorde du Seigneur (…) de votre Majesté* (fr.) — w tych czasach miłosierdzia bożego, Najjaśniejszy Panie, złagodniała twarda granica między żywymi i umarłymi i duchy zmarłych, pomiędzy innymi duch cesarza Aleksandra, otaczają tron Waszej Cesarskiej Mości. [przypis redakcyjny]

[...] Wielu z nas nie ujrzy, chyba z zaziemskich przestrzeni, dnia tryumfu! Iluż to poginie jeszcze wprzód po lochach, twierdzach, Sybirach — ilu na polu rzezi, na polu bitew! Bo wszystkiego tego pod dostatkiem będzie. Będą po pewnych miejscowościach rzezie, w innych bitwy wielkie. Ah, co ofiar, mąk, prób, łez, krwi, nim wola boża zwycięży ludzką zszatańszczoną wolę.

Ja z tych, którzy nie wejdą do ziemi obiecanej.

284. DO DELFINY POTOCKIEJ

Rzym, 27 lutego, 1848 r.

[...] Dziwnie, dziwnie wszystko tu się odbywa. Wiesz, pan Adam, gdy tu przybył, dziewięć pawłów[558] wszystkiego mu pozostało w kieszeni. Jednak nikomu ani słówka nie mówił — w wierze najsilniej stał, że Bóg mu przyszle. Dowiedziałem się o tem wczoraj z boku.

Ktoś mu zadawał to pytanie: „Ale jakże? Toż trzeba było powiedzieć; jakże dalej by było poszło?"

„Alboż to pierwszy raz? Tak zawsze się dzieje. Ileż to już razy w domu ani grosza, i ani kawałka chleba. Dzieci wołają *jeść*, a nie ma za co im dać. Lecz ja się nigdy nie troszczę o to. Pan Bóg zawsze nadeszle".

Kuty duch na michał-anielskie rozmiary. Co dzień z rana u Makryny mszy słucha we łzach, biciach się piersiowych, nikogo z otaczających nie spostrzegając, czasem w nerwowych podrzutach. Potem idzie do *Scala Santa*, tam kilka godzin przepłacze, przemęczy, przemodli, przeklęczy, przeduchni... Koniecznie, koniecznie chce z siebie wydobyć oną potęgę świętości, która zdoła wygrać we wszelkiej walce na planecie. Tytany dawniej chciały wszturmić się do Olimpu — on dziś wżyć się, wkonwulsyjnić się do nieba.

Do pierwszej siedziałem u p. Adama. Dziwne, dziwne rzeczy mówił, prawdy wiele, a przy prawdzie niestworzone czasem połyski czegoś takiego, czego i nazwać nie sposób; bo jakżeż chcesz nazwać opowiadania o człowieku, który, nie będąc szpitalnym, związanym wariatem, o sobie mówi: „Ja Bóg", a niezawodnie z opowiadań i słów p. Adama to wypada o Towiańskim. Wierz mi, który śmie taki ciężar podźwignąć, który śmie takie słowo wyrzec przed bracią, przed bliźnimi, przed ludźmi drugiemi, a nie jest wariatem, powtarzam, ale po wyrzeczeniu tego słowa, po daniu sobie takiego świadectwa jeszcze żyje, chodzi, spokojny jest — taki człowiek jest duchem niezmiernie silnym i okropnej może, lecz ogromnej potęgi.

„Znałem i widziałem, znaliśmy i widzieliśmy człowieka takiego, który chrześcijańską siłę pierwszy w świecie władnącą siłą, siłą rozkazu, siłą panowania, siłą strachu uczynił. Widziałem i znałem, widzieliśmy i znaliśmy go jedzącym, pijącym, nawet tańczącym (i to słowo całą piersią krzyknął)".

„Zaprosił do poloneza nas i poszedł w pierwszą parę, a wszystko to odbywał nie po ludzku; coś tam niebieskiego, nadludzkiego było w każdym ruchu i kroku: taka powaga, godność, zacność, takie chrześcijaństwo żywe. I po polonezie rzekł: »Dopomnę się po wiekach u Polaków takiej zabawy«".

Na tom się zapytał, niby nie dosłyszawszy: „Dopomną się? Kto? Jacy dopomną się po wiekach?"

„Dopomnę się, nie dopomną się — odrzekł — co znaczy: dopomni się Bóg po wiekach u Polaków takiej zabawy, dopomni się, czyli doszli do takiego wykształtu przyzwoitości i zacności w zabawie".

I Gierycz, uczeń przytomny, wstał, bo był tam i rzekł:

„Strach co jest, znam. Kiedy wściekły książę Konstanty rzucał się na nas, drżałem, jak przed psem wściekłym, ale to nic, nic, nic w porównaniu z strachem doznanym, gdy Mistrz przemówi, a nigdy jednak się nie gniewa ni unosi".

---

[558] *dziewięć pawłów* — Paolo, ówczesna moneta papieska. [przypis redakcyjny]

„Na cóż pierwiastek strachu zawsze — odrzekłem — ludzie śladów bożych na ziemi w strachu nie mogą odnaleźć, szukają ich w miłości".

Wtedy p. Adam: „Jak to? Strachu nie potrzeba na złe, przeciwko złemu, przeciwko Moskalom? Alboż kawał Moskala w tobie, we mnie, w każdym nie siedzi? Jakże go wyrzucisz?" — „Jednak to pewno — odparłem — że was o gwałt i sianie tego strachu oskarżają najwięcej i pojmuję, że gniew i gwałt nie trafia do serc ludzkich za posłanników Boga".

„O nas mniejsza — odpowiedział — my ludzie, my nieraz przewinili i zbłądzili, my nawet i apostołami jego nie będziem, nie jesteśmy — prawda, my nieraz przewinili gniewem i uniesieniem — ale, żebyś był widział, jak nas prześladowali, ścigali, jak odpierali Polacy, jak wołali: »Szpieg i oszust!« — Ah, tego na zimno wytrzymać nie można! A wszystko faryzeusze, wszystko za to, że im spokój ducha przychodzimy mieszać, o Bogu mówić. Polacy Boga nade wszystko nie cierpią — wszystko przebaczą, darują, zapomną, tylko wspomnienia o Bogu nie!"

Na to ja: „Są i tacy, prawda! Lecz ja znałem innych — słuchaj, znałem takich, którzy pewni byli, a pewni przeczuciem, ową siłą ducha, przekonani, wierzący tak, jak wy — wiesz w co?" — „W co?" — „Oto w to, żeście z piekła — że wasza potęga piekielna".

„A więc dobrze, dobrze! Dawaj mi takich, a szczerych! Niech więc duch na ducha pójdzie, niech się odbędzie walka duchów i niech się pokaże, kto zwycięży!"

I znać w tej chwili było w nim, że chciałby nieskończenie gorąco prawdy prawdziwej — i w istocie walki takowej, by się przekonać, kto zwycięstwo otrzyma.

Makryna nim wstrząsła ogromnie, ale... ale — ale... on wciąż Mistrza ma... sama widzisz, za co!

Mnóstwo w Mickiewiczu augustowych[559] rzeczy, tylko że pod kształtem czucia rozgorączkowanego, a nie spokojnej rozwagi i dowodu myślnego — ale mnóstwo! W końcu końców moralność zupełnie ta sama — w dogmatyzmie także zasady jedne. Jakżeż oni, ci dwaj ludzie, tak mało się zrozumieli?! Forma ich tylko przedzielała. Tu uczucie, tam inteligencja. O Boże, sam rozstrzygnij! O Boże, na pomoc, na pomoc!...

Biedna Polsko moja, co się dzieje w Twojem łonie!? Jak żeś ty rozdarta i rozbita! O Boże, na pomoc! — Kto by mózgu nie miał *à trois rubis*[560], jak dobre zegarki, toby mózg mógł mu stanąć. Wciąż o duchach słyszeć, wciąż o cudach, wciąż widzieć ślady potęg nadzwyczajnych na twarzach i w gestach ludzkich!

Ale dość już o tem. Co bądź się stanie, myślę, że w tym wieku, że o tej godzinie dziejów człowieczeństwa trzeba umieć być zarazem i zelatorem na okopach i pierwszym chrześcijaninem. Pod tym warunkiem pogodzenia wszystkiego, wszystko utrzyma się!

285. DO DELFINY POTOCKIEJ

Rzym, 1 marca, 1848 r.

[...] Wczoraj z rana Adam się spowiadał tam, gdzie mieszka Makryna, a wiesz komu? Śmiertelnemu nieprzyjacielowi: Jełowickiemu księdzu. Eliza[561], która była u Makryny podczas tej spowiedzi, w przyległej sali się odbywającej, mówi, że słyszała jakby krzyki rozpaczy, jakby ryki krajanego nożem. Wystaw sobie, że jakaś siła nadludzka zmusiła posąg Mojżesza[562] wstać z kamiennego siedzenia w kościele św. Piotra *in vinculis* i pójść przez Corso do Hojera (tego, co medalion Twój robił) i prosić go o to, by mu kształty poprawiał — posąg michał-anielski ten, wystaw sobie pod dłutem poprawczem otyłego Saksona — albo Wenus medycejską żywą pod nożem, chirurga jakiegoś, co jej pierś rozkrawa i chce ją przemienić na takiego *varnished gentleman*[563] — a będziesz miała wyobrażenie mąk adamowej duszy, spowiadać się zmuszonej takiej miernostce złośliwej i małej, staropanieńskiej i cierpkiej, karlanej i suchej, jak Jełowicki! Tytan w więzach u karła, jak w *Eddzie* skandynawskiej bywa — lew konający pod łapą lisa lub borsuka... Bo jużci

[559] *augustowych* — Augusta Cieszkowskiego. [przypis redakcyjny]
[560] *à trois rubis* (fr.) — na trzy rubiny. [przypis redakcyjny]
[561] *Eliza* — żona Zygm. Krasińskiego. [przypis redakcyjny]
[562] *posąg Mojżesza* — rzeźba Michała Anioła. [przypis redakcyjny]
[563] *varnished gentleman* (ang.) — tu: lalka salonowa. [przypis redakcyjny]

Jełowicki przez lata ścigał za tym ideałem, by on, mierny i próżny, dostał w moc swoją urzędniczą pychę i geniusz adamowy, który jego próżność złajał, podeptał, skaleczył. I stało się!

Urząd doprowadził mesjanizm do zgięcia kolan przed sobą. Ryczał też z bólu mesjanizm. Lecz rozważ także, jaka to pycha, chcąca szturmem zdobyć władzę cudowną, niebieską — u Adama. Tą żądzą bez miary miotan, to u Towiańskiego sił nabiera, to znów padnie do stóp konfesjonału Jełowickiego. Czy tak, czy owak, chce celu dostąpić.

Zapewne myślał, że, gdy dopełni takiej nieskończonej ofiary, gdy tak się przegnie w dziesięcioro, tak się poniży i upokorni duchem, toć zaraz potem wstanie z pod tego konfesjonału, jak olbrzym w obliczu Boga, że nieskończoność pokory da mu nieskończoność potęgi. Szturmem wziąć Boga! Boga, czy tak owak, zmusić! Oto myśl, oto zamiar!

A małe serce Jełowickie jakżeż musiało się rozpuszyć z radości, z odniesionego nadymać się tryumfu! Bo ono nie czuło, że Adam w tejże samej chwili ma je tylko za narzędzie do swojego celu, że używa jego, jak kleszczy brudnych i twardych do brania z niebieskiego pożaru węgli rozżarzonych! Ono pewnem było, że w tej walce zwycięstwem się już cieszyć może — a to pewno próba tylko adamowa: czy pokora najgłębsza dobrym jest sposobem do najwyższej potęgi!?

Dramat to cały: Makryna, Adam i Jełowicki. Błogosławiona a prosta, Tytan szturmujący do sztucznych cudów — i prozaiczny, mierny, próżny człowieczek. Tragedię bym mógł z tych trzech osób napisać. Tymczasem nie napiszę jej!

Dowiaduję się w tej chwili, że wczoraj spowiedź adamowa 2 ½ godzin trwała i jeszcze niedokończona, bo dziś znów tamże poszedł i spowiada się, a wczoraj oba, on i spowiednik, wyszli z konfesjonału łzami zalani. Jednak po południu w jakiejś kawiarni Norwida napotkanego złajał pan Adam i tak spojrzał nań, gdy ten mówił, że kościół ma prawo wymagać cierpliwości od ludzi i nie spieszyć się na drogach swoich — że aż struchlał i powiada, że już nigdy nie przemówi do p. Adama.

2 marca. W tejże chwili dowiaduję się, że p. Adam wczoraj się jeszcze spowiadał od 10-ej do 2-ej temu karłowi moralnemu, zwanemu Jełowickim — i dziś ów karzeł napuszony głośno oświadczył po mszy osobom przytomnym, że p. Adam poddaje się decyzji kościoła i papieża. Dał mu zaś absolucję wczoraj z pełnomocnictwa papieskiego, po które był się udał, nim przystąpił do spowiadania tak wielkiego heretyka!

Bądź co bądź, karzeł trymfuje. Pana Adama nie widziałem. Biedny, rozdarty, walczący duch! Skała granitowa, miotana na wsze strony jak trzcina, trzęsieniem ziemi! Płacząc zacząłem, płacząc ten list kończę.

286. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

1848, Rzym, 2 marca

Mój drogi Ty! List Twój z przebrzydłego mi dnia urodzin mych odebrałem. Dzięki Ci drogi! Nie mam sił już do odpisywania na wszystko, co mi piszesz, bo wszystko mnie się tyczy, a jam obmierzł sobie samemu. Okropnie mi choro, Auguście. Nie lękaj się! W życiu nikomu złego nie zrobię umyślnego, ale też nie mogę nie czuć, jak czuję w chwili, w której czuję. Płacz nade mną, bo ze mnie mógł być posąg paryjski[564], a jest gruz i ruina, a jest ból i rozdarcie, a będzie wkrótce nic! Wolę o czem innem, Auguście mój drogi! Żebyś wiedział, jak mi trudno litery te budować! Jak mularz cegły nosi na 5-te piętro, tak ja te litery. Palce skaczą, nogi skaczą pod stolikiem, mózg chyba mięknieje. Ah, trudno, trudno mi pisać.

Chcę ci opowiedzieć co się stało z Adamem. Makryna go zwyciężyła. W łzach i krzykach padł naprzód przed jej jednem westchnieniem, ale jeszcze potem przez dni kilka bił się olbrzymio przeciwko wszelkiej oficjalności. Wreszcie do tego przyszło, że zgodził się na spowiedź przed karłem, Jełowickim księdzem — i klął ten posąg Mojżesza michał-anielski przed karłem, — a ryczał, spowiadając się, tak, że w gmachu całym go słychać

[564]*posąg paryjski* — posąg z marmuru paryjskiego. [przypis redakcyjny]

było. Zawczoraj przez 3 godziny, wczoraj przez 4 się spowiadał. Wreszcie, oblan łzami, wstał, poddał się pod sąd oficjalnego kościoła i papieża, a karzeł Jełowicki dał mu rozgrzeszenie, mając już na to pełnomocnictwo papieskie; bo uważaj, z straszliwą *herezją* ów ksiądz miał do czynienia, gdyż ta herezja towiańska twierdzi, że Chrystus nie Bogiem przyszedł od Ojca na ziemię, ale się na ziemi dopiero wyrobił własną mocą duchową Bogiem, a wtedy dopiero poszedł do Ojca, i że każden człowiek może się Bogiem wybóstwić tak samo. Ksiądz Jełowicki to, co piszę, oznajmił dziś przytomnym na mszy u Makryny, i Eliza to słyszała. Ja zaś, sądząc z urywkowych słów Adama, myślę, że oni myślą, że przyszedł Bogiem już od Ojca, i synem i 2-gą osobą Trójcy, lecz że, skoro przyjął ludzkość, poddał się po bosku, to jest absolutnie i szczerze pod jej wszystkie warunki, więc zapomniał koniecznie o swej przeszłości wiekuistej i na ziemi, bywszy i będąc Bogiem jeszcze do tego i własną pracą duchową, walkami, zasługą stał się Bogiem. Więc znów absolutnie Bogiem jest i wtedy wrócił do Ojca. Ja myślę, że oni tak pojmowali. Lecz Jełowicki oświadczył dziś, że tak, jak stoi wyżej.

Pamiętaj, drogi, że dziś koniecznie trzeba wiedzieć, kto był Chrystus, trzeba dostąpić zupełnej wiedzy o Chrystusie. Trzeba jasno, jak na dłoni, wykazać obie strony bóstwa i człowieczeństwa w Nim, a wtedy ono trzecie zaraz wybłyśnie. Dotąd misterium było to pogodzenie obojej natury. Dziś misterium musi się w światło zamienić, ale i to pamiętaj, że nie wolno, jak oficjalni[565], li bóstwo tylko ogłaszać — i nie wolno, jak towiańczycy (według Jełowickiego), li człowieczeństwo; trza w harmonii oboje! Pojmujesz, do czego dążę? Gdzie brak, chcę odbrakczyć. Do kogo przemawiam w tej chwili? Bo, widzisz, cała ta walka tutejsza pana Adama z Makryny potęgą, nabytą przez męczeństwo, i z oficjalnymi wiele mnie ciekawych nauczyła rzeczy. Nauczyła, że w istocie jest świat mistycyzmu, w którym zdarza się, iż mogą się zetrzeć potęgi duchowe. Czemuż tak drżała Makryna na imię Towiańskiego? Czemu, prosta i niewiedna, czuła, że niesłychana moc w tym człowieku, ale zwodna i mająca uwieść wielu? Czemu jej westchnienie przeszyło od razu serce Adama? Czemu on, taki tyran i niewolnik, zmiękł tak? Towiański, to metoda tatarska w nowej Hierozolimie, to 93-ci rok, wprowadzający równość, braterstwo, chwałę. Moralnie zdaje mi się, że tem jest Towiański, ale niezawodnie ogromnie potężny. Wszystko co w *Ojcze naszu*, odnajdywałem w nim, w rozmowach z Adamem, ale przy tem ciągłe omarostwo[566], nic wspólnego z Duchem ś[wię]tym nie mające, bicz i kajdany jezuicką musztrę Iwana Groźnego (do którego Stefan Batory pisał jeszcze: „Ty Boże moskiewski, jak się tam podłym poddanym każesz nazywać") — w sferach najświętszych, najwyższych ideał — i stąd poemat ów Króla-Ducha!

Otóż ta niewola, przychodząca oznajmiać wolność, tak, jak politycznie od 93 r. cofnęła wszędzie wolność, aż pod łapy Guizotowe ją na ostatku poddając, tak samo i w teozoficznych okręgach upadła teraz, w osobie Adama, przed kościołem! Na pomieszanie jej stało się jej, że Jełowicki ksiądz ją skuł do konfesjonału swego i rozgrzeszył, i mógł ją rozgrzeszyć — i miał prawo — i trzeba było tego, bo niezawodnie przed Bogiem, choć Ludwik 18-ty, to więcej wart, niż Robespierre. Rozumiesz Ty, Auguście, ciąg moich idei? Może ciemny, bom biedny i skołatan, a chciałbym, byś pojął doskonale, co mówię i czego chcę. Że duchy ludzkie pełne przeczucia i magnetyzmu cudownego jakiegoś, o tem przekonałem się bardziej, niż kiedykolwiek. Takoż i o tem, że nigdzie i nigdy dobra złem, wolności niewolą nie sposób wprowadzać. Tylko światłem światło, tylko miłość miłością.

Możesz Ty sobie wystawić, o Auguście, ból olbrzyma tego u stóp tego karła! Aż ryczał, powiadam Ci. Ależ oczywiście nie karzeł podbił olbrzyma. Karzeł tylko dopełnił nad nim ceremonii. Co go podbiło, to potęga niewieścia prostej szlachcianki polskiej, co stała się świętą i pełną widzeń i proroctwa za pomocą poniesionego męczeństwa. Towiańszczyzna prawowierna zbiła towiańszczyznę *extra muros*[567]. A, wiesz, dziwna to mniszka! Rusza się wolna, jak dech stworzenny, nic a nic pedanckiego w niej. Naród tak ściśle spojon z religią, że jedno stanowią. W każdej chwili natchnienie, a w innych, nienatchnionych, dowcip i rozsądek Paska. Dziwne! Wyobraź sobie Paska i aniołów — i zlej razem, otocz Paska Nową Hierozolimą i zrób, by Pasek się wnowozhierozolimił — a będziesz miał Ma-

[565]*oficjalni* — tj. Kościół katolicki. [przypis redakcyjny]

[566]*omarostwo* — Omar, kalif arabski (634–641), osławiony spaleniem sławnej biblioteki aleksandryjskiej. [przypis redakcyjny]

[567]*extra muros* (łac.) — poza murami (roz[umie] się: katolicyzmu). [przypis redakcyjny]

krynę. Więc pierwiastek szlachecki polski w Nowej Hierozolimie obalił do stóp swych pierwiastek moskiewski w tejże! Pojmujesz? Samem Makryny nie oglądał, ale Eliza tam co dzień, od kiedy w Rzymie jest, bywa, więc wiem do najdrobniejszego szczegółu i doskonale mogę ocenić tę postać. Taką jest, jaką Ci ją przedstawiłem. Naturalne w niej te przeczucia i potęgi duchów wysoko wyświęconych, o których sztuczne nabycie starają się towiańczycy. Bronią ich własną ich zbiła! Jednak nie widziałem po tej spowiedzi dotąd pana Adama i tylko mówię z usłyszanego.

Nie wiem też, o tej chwili co się dzieje w Babilonie[568]. 22-go zaczął się rozruch[569]. Kto przemógł? Więc Ty o tej godzinie już tam, i nazad za miesiąc jedziesz do Księstwa. Żal mi, że Grab. niepięknie się spisał. Nikomu ani pisnę; żal mi wszystkich, wszystkich. Ah, kto dotrzyma, ten wybrany, bo dni straszliwe, bo ziemia sroga na dzieci swe, bo obrzydliwość spustoszenia moralnego już się zaczęła, szczególnie w Księstwie. Piszę na ręce Konstantego. Zapłacisz mu franka lub dwa za list ten, bo nie chcę *poste restante* pisać do Ciebie; wiem, co to za męka.

Sorr.[570] trochę lepiej było; nożem go mi nie rozdzieraj, proszę Cię o to duchem całym, nie puszczaj słóweczek, na nic nie przydatnych, sztylecików, o których sam nie wiesz, a które wrzynają się w serce. Piszże mi, jaka całkowita *morale de la fable*[571]. — Jużci koniecznem mi poznanie, dowiedzenie się o tej *moralności*. Wojewoda tu, tetryczeje coraz bardziej, tak jak ja. Wszystko, co tu się przydarzyło, wygląda na cud Ducha św[ięte]go, rozpoczynający się w okręgach politycznych. Tyle konstytucyj od razu, a tylko kilka kropel krwi! Lecz co dalej będzie? Ja Ci powiem. Bóg zabrał się do sądu już i będzie sądził świat i wiek ten. Wcześniej czy później, wojną powszechną odmłodnieje wszystko, tak, odmłodnieje, ale po wielu obrzydliwościach. Czuję nerwami, że idzie na epokę sąd. W tej chwili od karnawału całe piszczy korso; jeszcze cukiereczkami i kwiatkami rzuca lud rzymski, jeszcze, jeszcze! Ostatnie cukierki! Ostatnie kwiateczki!

Widzieć bym pragnął Cię ogromnie, o mój drogi, drogi, drogi Auguście! Pisać mi tak trudno! Już cały pierwszy tom[572] u mnie. Dobrze! — Ale błagam Cię, a jeśli trza, na kolanach, byś skupił ducha i zaczął rozmyślać, a rozmyślać o Chrystusie — bo, czego w pierwszym tomie nie ma, to konieczność, by w następnych się znalazło. Więc myśl, a, myśląc, proś *Veni Creator* — tylko proś, nie wrzeszcz, jak Adam, co myśli, że można *nastajaszczo* mówić do Boga. Proś i módl się o jasną myśl pod tym względem — i wymódl!

Dzięki Ci, Auguście, dzięki, że tak dbasz o mnie, że tak mnie kochasz, że tak truchlejesz, bym się nie skaził. Ah, Auguście, myślę, że się nie skażę, ale i to myślę, żem zabity, żem bezsilny, żem gruz! Auguście mój drogi, nie uwierzysz, jak mózg mój napadany osłabieniem dziwnem i ciągłą drżączką. Wszelka moc twórcza wyszła zeń. Ale dajmy pokój! Mówić o sobie mi jest zgubą i martwicą!

Wiesz, przez te dni wszystkie ostatnie, w których patrzałem na walkę adamową, na tego ducha rozpad i rozdarcie, a z drugiej strony na zachody jełowiczczane i tryumfy, nieraz przyszło mi na myśl Twoje dalsze życie wszystkie, Twoja przyszłość. Lękam się o Ciebie, Auguście. Niezawodnie potęgi, a srogie, napotkasz i z niemi przyjdzie Ci do boju. Nie wymieniam, kto, co, jak. Nie wiem, ale wiem, że dni Twe pełne będą może niebezpieczeństw i klęsk. Więc, pamiętaj, jedna tylko rada na to: *czystym* bądź wewnątrz siebie i *świętym* jako cel, jako zamiar, jako *miłość* do Boga i ludzi! To Cię wyniesie przed Tobą samym ze wszelkiej otchłani, bo nie mówię już o cytadelach, mówię o własnych, wewnętrznych przepaściach. Od tych albowiem ni Cię uchronić, ni też nie mogę dzielić ich z Tobą, a tamte mogę. Dlatego raczej o pierwszych wspominam. Jednak czuję, że i drugie Ci grożą. Nie uwierzysz, Auguście, jak instynkt ludzi (jak np. Tomasze Lubieńscy, a takich krocie), nie lubi Cię — jak ten instynkt czuje, choć nie wie, że coś jest w Tobie, co im przeciwne, co ich rządy mogłoby skruszyć, gdyby wystąpiło. Auguście najdroższy! Gotuj się i wiedz: masz wielu nieprzyjaciół! Niczem więc nie dawaj im usprawiedliwienia! Strzeż się pewnych drobnostek! Drobnostki stają przeciwko Tobie

[568] *w Babilonie* — Paryżu. [przypis redakcyjny]

[569] *22-go zaczął się rozruch* — tj. rewolucja lutowa, która dnia 24 lutego doprowadziła do ogłoszenia rzeczypospolitej. [przypis redakcyjny]

[570] *Sorr.* — Sorrento, tu: Delfina Potocka. [przypis redakcyjny]

[571] *morale de la fable* (fr.) — nauka moralna bajki. [przypis redakcyjny]

[572] *pierwszy tom* — dzieła Cieszkowskiego: *Ojcze nasz*. [przypis redakcyjny]

nieraz, i świadczą przeciwko. Wytrać tę broń z ręki niepoczciwej wrogów! Nie dawaj się drobnostkom! Ty jesteś cały, jak twarz..., jużci piękna zupełnie, ale na nosie i jagodach brodawek dwie i to ledwie dojrzalnych; otóż, kto wróg, ten brodawki widzi — ja, np. zawsze je widzę u...! Rozumiesz Ty mnie? A wierz, że kocham i że z miłości mówię, ah, ze serdecznej, z wielkiej, z ogromnej, bo kocham Cię, kocham i bardzo, mój drogi Auguście i chciałbym, byś zawsze błyszczał paryjsko! Dopókim chmur nad Tobą nie spostrzegał gromadzących się, nie ostrzegałem; ale widzę chmury, widzę niechęć ludzką, więc mówię: „Pilność i baczność!" A teraz Ty wiedz: co Tobie się zdarzy złego kiedy bądź, toć i mnie, drogi! Przekonasz się!

Ściskam Cię, mój drogi! Proszę Cię raz jeszcze: Sorrenta niczem a niczem nie rań! Ran pełna, a dobra i kochana. Ściskam Cię.

Pisz!

Twój Furiis

więcej niż kiedy.

287. DO DELFINY POTOCKIEJ

Rzym, 17 marca 1848 r.

[...] Co do towiańczyków, myślę, że podobnie radykalnych ludzi świat nie znał dotąd — nie myśl ich jest radykalną, bo myśli nie mają i gardzą wszelką, ale ich wiara, ich chuć jest radykalną i to w najwyższem znaczeniu. Lubią każdemu wróżyć nieszczęście, chorobę, nędzę. Gdy co się gdzie stanie, choćby olbrzymiego, nigdy im nie dosyć; zawsze dalej ducha pchać chcą i natychmiast; — gdy co harmonijnego się odbywa, to ich dręczy i korci. Harmonii cierpieć nie mogą, chcieliby od razu wszystko obalić. Koniecznie chcieliby powtórzyć małpiarsko dzieje barbarzyńskich chwil, które państwo rzymskie rozbiły i kilką wiekami zamętu zaćmiły rozwój ducha ludzkiego. Marzą o takowym stanie rzeczy z lubością. Tęsknią do barbarzyństwa, jakby do sielanki. Improwizacja z *Dziadów*, wykonywana pedancko i co do joty — to ich ideał! Gdyby się im udało, zawróciliby świat wstecz, miasto go naprzód posunąć.

Nie lękaj się o mnie, by mnie usidlili — raczej się lękaj, by mnie kiedy nie zgubili, nie osądzili za to, żem nie chłop i nie głupi dość, i nie wymazali na takiej zasadzie z rzędu żyjących. Do tego wszystkie u nich wady towarzystw tajnych, pod blechtrem prostoty: zła wiara, i kłamstwo dozwolone i uświęcone, byleby podkopać przeciwnika i obalić. Zmysł święty Makryny się nie myli, gdy czuje piekielność w samym Mistrzu! To wszystko dla siebie zachowaj... i nikomu nie mów, bo powtórzą zaraz nasi i zawróci to do uszów p. Adama i śmiertelnego wroga sobie nabędę. Hr. Henryk Pankracego swego dostanie natychmiast! — W istocie oni dotąd tylko na stanowisku Pankracego stoją, nie wyżej — i wiele zburzą rzeczy, nie postawią nic.

By co postawić, trzeba kochać; w nich nie masz miłości... Pierwiastek religijny w świecie zbawiać trzeba przez sprawiedliwość, wymierzaną ludziom, ludzi zaś zbawiać przez pierwiastek religijny — nierozłączalne to dwie potęgi. I Boga i ludzkość należy kochać ludziom, bo Bóg sam to za podstawę wszelakiego żywota i religii wszelakiej ogłosił — przecież sam kocha ludzi i ludzkość aktem stworzenia i ciągłem czuwaniem nad stworzonemi.

288. DO DELFINY POTOCKIEJ

Rzym, 22 marca 1848 r.

[...] Świat się wali na wszystkie strony. Wczoraj tu lud ze wszystkich pałaców, kędy wisiały, zdarł austriackie herby i z ambasady też, powlókł po *Corsie* i spalił na *Popolo* pod obeliskiem...

Pan Adam był u mnie wczoraj, gdy dym spalenizny z orła austriackiego wchodził do mnie przez okno otwarte. Wyrzucałem mu okropnie radykalizm bez granic, nienawiść, brak miłości i chrześcijaństwa — ale okropnie; mówiłem mu, że on Pankracym. Zmiękł natychmiast i złagodniał. Roztkliwił się nawet. Przysięgał, że tylko ma miłość w sercu, że mnie kocha, że chciałby mnie zbawić i każdego; że jego obowiązkiem jest chodzić i ostrzegać, bo bliska godzina i wola boża znaną mu jest. Rzucił mi się w objęcia i ściskał mnie — ściskał!

25 marca. [...] Wszyscy Polacy tu będący, a jest ich do stu, i wielu między nimi demokratów — złożyli sejmik, radzą, chcą tu legią zacząć formować, która by z krzyżem i chorągwią z Najśw. Panną, błogosławioną od papieża, poszła do Polski...

Publiczność polska wybrała Mickiewicza, Jełowickiego, Postępskiego (demokratę wielkiego), by szli do papieża w delegacji. Dopiero com spotkał Gierycza, owego towarzysza p. Adama, który mi rzekł:

„Teraz Adam ostatnie wysilenia czyni, by zbawić arystokrację i szlachtę polską. Jeśli stąd wyjdzie ruch, to zbawiona. Jeśli nie, to do Francji wszystko się przeniesie; stamtąd wszystko wyjdzie, Polak rządy nad Francją otrzyma, a gdy z Francji pójdzie ruch, to i Rzym i arystokracja i szlachta poginą".

Jest coś prawdopodobnego w tych słowach.

Ale powiem Ci, że świat ten stał się światem niepojętym od jakiegoś czasu; wszystko w nim dzieje się mistycznie. Niezawodnie potęgi anielskie i czartowskie walczą w tej chwili o to, czyje będzie zwycięstwo na ziemi; o to, czy świat przeobrazi się chrystusowo i majestatycznie, czyli też spłynie krwią i klęskami, które go zawrócą wstecz, wrzucą w otchłań piekła i ciemności na długie lata. Módlmy się, módlmy się! Ja czuję walkę aniołów z czartami w powietrzu i w każdem zdarzeniu ziemskiem. Pamiętasz, co Wroński nazywa *la bande infernale*[573], której przypisuje, że zrzuciła Napoleona — wszystkie towarzystwa tajne, których ostatecznym celem, pod powłoką wielu szumnych frazesów: ateizm!

Otóż Moskwa cała niemi podszyta, i słowiańskie kraje wszystkie. Jeśli się im uda wytracenie szlachty, poniżenie pozostałych do siermięgi, a nie podwyższenie siermięg do światła, to znów zaczną się barbarzyńskie czasy! Boże, zmiłuj się nad nami! Ja czuję, że coś w świecie dzieje się kosmicznego, coś kosmicznego w ludzkości!

27 marca. [...] Tymczasem tu formuje się legia z przytomnych Polaków. — Sejmik i niezgoda. — P. Adam wszystkich za łeb weźmie i pod Towiańskiego rządy pociągnie. Widzę to jasno. Makryny zacny duch walczy, jak może, przeciw temu. O chorągiew już kłótnia. Jednak ona przemogła: będą herby polskie, nad niemi twarz Chrystusa z chusty św. Weroniki z podpisem: „Chrystus zwycięży", a na drugiej stronie Najśw. Panna Częstochowska. Za tydzień mają zanieść papieżowi do pobłogosławienia i wyruszyć. Mickiewicz okropnie się opiera temu, by Władysław[574] dowództwa nie objął. Kilku żądało Władysława. On powstał i ryczeć zaczął, że Władysław człowiekiem partii (jak gdyby sam Mickiewicz nie był straszliwie i straszliwiej daleko tem samem); że powinien jak prosty żołnierz wejść do tej legii, że nigdy wodzem być nie może — a sam już pisze proklamacje do wszystkich ludów słowiańskich; każe je drukować w propagandzie wszystkiemi dialektami słowiańskiemi — powtarzam, stara się o to, by ten sztandar święty (pamiętasz przeczucie moje o Najśw. Pannie, za którą duchy ojców idą — i to z włoskiego jeziora), przez Makrynę prowadzon, poszedł za nim, a nie on za sztandarem. Myśl zaś tego sztandaru jest taka: zbawić Polskę od rzezi i by zmartwychwstała w imieniu Chrystusa i Najśw. Bogarodzicy tak, jak narodziła się niegdyś.

28 marca. [...] Wczoraj już na sejmiku tutejszym najokropniejsze zgorszenie: z Mickiewiczem przyszło do otwartej bójki. Dwudziestu porwał za sobą, którzy towiańczykami zostali. Reszta odstąpili go i czekać będą na Władysława, by ułożyć rzecz legionu. Okropnie. Zawszem to przeczuwał. Rad jestem, żem od początku samego się odstrychnął i ani stopą na ten sejmik nie wstąpił. Ale p. Adam przeprowadza towianizm pod oczyma kościoła i chciałby wykraść papieżowi błogosławieństwo i sztandar w ręce swoje dostać ten.

Najdziksza z potęg przebywa w tym człowieku; zbiera młodych, nic nie wiedzących, a poczciwych, zbiera służących, kucharzy, podchlebia im i przeciąga pod władzę swoją.

[573] *la bande infernale* (fr.) — zgraja piekielna. [przypis redakcyjny]
[574] *Władysław* — Zamoyski. [przypis redakcyjny]

Chce władać, chce carować!... Władysława powrotu co chwila czekamy. Jeśli jemu się uda uformować legię, to do niej będę należał... Augusta ściskam z duszy całej. Wszystko mu powiedz. Niech wie, jak tu stoją rzeczy. Niech wie, że mu towiańczycy wrogami strasznymi.

289. DO STANISŁAWA KOŹMIANA

1848, Rzym, 28 marca

Mój najdroższy Stanisławie! Dzięki Ci za Twój list, za dni i pod dniami sądu pisany bo to wielką miłością, pisać list o takiej porze trzęsiennej świata. Tu niesłychanych dokazuje wysileń p. Adam, by wyrwać błogosławieństwo i sztandar z rąk piusowych, a za pomocą tego uświęcić towiańszczyznę. Walka między nim a duchem Makryny rozpoczęta. Dużo zgorszenia — dużo nieładu, niezgody. 60-ciu jest naszych, a wszystko między nimi wre wojną cywilną. *Nieboska* już i tu. 20-tu p. Adam przeciągnął na swoją stronę. Jest w towiańszczyźnie ono piekło, o którem w *Apokalipsie*: „Ma rogi, podobne barankowym, ale mówi, jako smok", bo nienawiść wre w ich sercach, a wielkie prawdy mówią. Bóg od ich zwycięstwa Polskę strzeż — rosną w potęgę i liczbę.

Wszystko, co mi piszesz o obywatelach poznańskich, rozdziera mi duszę. Karteczki, w imieniu papieża porozsypywane pod kształtem modlitw, to zupełnie taki sam koncept, jak adamowy tu. Mało zacnych i poczciwych ludzi na świecie, mało szlachetnych — wszelkich środków użyć gotowi, by swojego dopiąć, by władzę i tyranię posiąść. Módlmy się, ufajmy! Spowiadałem się zawczoraj i komunię św. przyjąłem na intencję ojca mojego. O mój najdroższy, dni to sądu nad epoką całą, sądu to dni. Słowa Chrystusa zaczynają się urzeczywistniać — figowe drzewo puszcza listki na wiosnę. Kto z nas odzobaczy drugiego? Tu dotąd spokojnie. Kilka tysięcy ochotnika poszło do Lombardii. Miasto wieczne pozostało bez nich spokojniejszem. O Rzeczpospolitej zamyślają i tu. Pius prawdziwie *crux crucis*[575] — przez co on przejdzie jeszcze! Król sardyński wszedł z wojskiem do Lombardii. Zda się o tej godzinie już Lombardia cała niepodległa. Od dni 12-tu zupełnieśmy przecięci od wszelkich nowin paryskich, lądową drogą przybywalnych — ni listów, ni gazet — więc nic nie wiem, ani o Auguście, ani o pani D. Straszliwie mi tęskno, czy się myślą obrócę ku Paryżowi, czy ku Warszawie. Nie wiem nawet, czym wszystkiego nie stracił w Paryżu. Zgoła nic a nic nie wiem. Żyję w ciągłem oczekiwaniu. Wojewoda tu, ale chce do Paryża jechać. Castelbianco wybiera się na oficera do Bolonii. Norwid dotąd tu. Ach, prawdziwieś napisał, kiedyś pisał, że „gromowym nawałem" spieszą wypadki. Sameś nie wiedział, że o tyle prawdę piszesz w chwili onej! Ale Twego głosu nie usłuchają, nie uderzą się w piersi, będą pchali naprzód, a to „naprzód" będzie naprzód w otchłań. Jednak Makryna mówi, że Chrystus zwycięży, że nie będzie u nas *abominatio desolationis*[576]. Módlmy się, ufajmy! Ja wyczekuję wiadomości jakichciś pewnych. Gdy ta kurtyna dymu, co mnie dzieli od Europy, opadnie, obaczę, co tu jest do roboty. Bóg Cię strzeż i ubłogosławiaj — prowadź i przeprowadź! Kocham Cię na zawsze, mój drogi. Odpisz mi zaraz jeszcze tu! — Ah, dni sądu nad światem!

Twój Heidelberski

Pamiętasz cichy Heidelberg, tę ciszę natury? Ah, ciszej już nie będzie nam! Wieści głuche się rozszerzają, że w Paryżu bójka straszna. Boże, zmiłuj się nad tymi, którzy tam!

290. DO DELFINY POTOCKIEJ

Rzym, 29 marca 1848 r.

[...] Lękasz się dla mnie pana Adama pod względem towiańszczyzny; lękaj się go, ale pod innym zupełnie, to jest, by we mnie uczuwszy koniecznego nieprzyjaciela, kiedy

[575] *crux crucis* (łac.) — krzyż krzyża. [przypis redakcyjny]
[576] *abominatio desolationis* (łac.) — wstręt do osamotnienia. [przypis redakcyjny]

mnie nie zwyciężył i głowy z karku nie zdjął; — bo niezawodnie nigdy nic piekielniejszego-m nie znał na ziemi od tego człowieka. Gengiskan i Pankracy w nim połączeni i sharmonizowani. Wszystko zniszczyć i obalić i swoje postawić — oto popęd, który w nim wiecznie żyw. Już tu zaczął okropnych scen się dopuszczać. Dwunastu młodych ludzi schwytał i oświadczył im, że się wcale Towiańskiego nie zrzekł. Na apostołów ich swoich obrał. Koniecznie żąda, by w ręce mu oddano chorągiew, z którą chciano iść do papieża i której miał papież błogosławić. Zamoyskiego, którego nie ma, zmieszał z błotem na posiedzeniu, księży zarówno przytomnych. Kilku odstąpiło wtedy. Dwunastu się zostało. Dziś ich zgromadził u siebie i tak mówił do nich:

„Kto nie z nami, ten przeciwko nam. Albo dostaniem chorągiew i błogosławieństwo papieża, albo się obejdziem bez niego — i w marsz! Na Moskwę się nie targać, bo potrzebna nam. O Francji nic nie mówić, bo jej służę — a teraz powiem sekret jeden i będzie przysięga".

Na to oznajmienie, stary jeden oficer i drugi, służący Odeschalkowy, wyszli. Zostało tylko dwunastu — i idą do Makryny, by im chorągiew dała. Makryna im nie da jej. Będą najokropniejsze rzeczy. Lękam się, by p. Adam nie chciał do tego i Włochów wmieszać i przeciw księżom podburzyć. Wczoraj Kis-wą[577] złajał okropnie, że się cieszyła z wieści, jakoby admirał młody do rządów się był dostał. Mówił jej publicznie przed dziesięcią Polakami, że wszyscy, co z takiej wieści się cieszyli, znani i zapisani w księdze, i że ich odnajdą na polskiej ziemi, i że pod sąd poddani będą, i że krwi potoki spłyną, że raz trzeba dramat zakończyć. Oczywiście, jemu tylko chciało się błogosławieństwa, od Piusa za pomocą wrzkomej zgody z księżami osiągniętego, by stąd siłę tę wykradłszy, oddać ją w ręce Towiańskiego. Okropny człowiek!

Już u mnie od dni dziesięciu nie był; ani sobie go już życzę spotkać, bo, skoro spotkam, przyjdzie do walki — i to do ostatecznej! August niech wie o tem wszystkiem, ale nikt więcej — nikt więcej!... Moskalów pełno u niego bywa. Czekają nań w przedpokoju Tołstoje i Urussowy. Powiadam Ci, wszystko okropne, bo w tym człowieku jest dzika nienawiść taka, że w istocie, na nią patrząc, nie sposób pojąć, że tylko ludzka, że serce człowiecze tylko taką może oddychać. On chyba się ma za kata, naznaczonego przez Boga samego! Powtarzam, lękam się, by tej sprawy polskiej nie sprowadził aż na bruk uliczny i nie podjudził namiętności włoskich przeciw księżom i papiestwu.

Widzisz więc, że mnie towiańszczyzna nie schwytała, ale przyznaję, że coś piekielnego w niej czuję. Więcej czuję piekło w towiańszczyźnie, niż duchy niebieskie w Makrynie. Ona jedna tu trzyma jeszcze pana Adama. W tej chwili ze swemi dwunastoma poszedł do niej. Zobaczym, kto wygra w tej walce. Wszystko mi to *Apokalipsis* przypomina niezmiernie.

[...] Powiedz Augustowi, że ilekroć p. Adamowi o nim wspominałem, to się wzdrygał, jakby od nienawiści przeciwko Augustowi. Niech wie August! Zarówno nienawidzi wszelką filozofię jak wszelki kościół. Inteligencja mu wszelka nieznośna, światło mu gorzkiem — kochankami ciemności! Wszystko, co tajne, skryte, pod ziemią, wszystko, co nie pod słońcem, serce jego rozradowywa — ku wszelkiej klęsce, nieszczęściu, męczarni, mogącej spotkać człowieka lub wielu ludzi, wytęża nozdrza i chwyta w powietrzu zapach idealnej krwi, jeszcze nie rozlanej! Tak jest! Niech te jego znamiona zna August, bo i August z nim niechybnie się spotka. Lecz niech August zachowa dla siebie.

30 marca. Mickiewicz tu coraz gorzej dokazuje. Wypowiedział wojnę otwartą księżom. Co z tego będzie, przewidzieć nie można. W tej chwili wzywa mnie Makryna, abym jej radził!!! Tu się okropne sceny rozpoczną. Lękam się, by ludu nie wmieszał p. Adam do tego wszystkiego, i o kopułę by nie poszło... Augustowi powiedz wszystko.

291. DO DELFINY POTOCKIEJ

Rzym, 31 marca 1848 r.

[...] Wszystko, co się dzieje, apokaliptycznem. Wszystko przepada. Zda się, że stare wszystkie kształty w proch się rozsypią. Ale nim do harmonii augustowej się dojdzie,

[577] *Kis-wą* — Kisielową, z domu Potocką. [przypis redakcyjny]

jeśli trza będzie przejść przez rządy Mickiewiczowej i Spółki, to *abominatio desolationis*. Zupełnie takie samo wrażenie, jak na Tobie Mickiewiczowa, na mnie Mickiewicz sprawił i sprawia, coraz okropniejsze. Ten człowiek ma się w głębi serca i ducha za kata, posłanego z góry, by karać świat. Wszystko, co August pojmuje miłosiernie i kryształowo, on pojmuje krwawo, mistycznie, obrzydliwie, a Towiański u nich niezawodnie ten, o którym w *Apokalipsis*, że laską żelazną będzie rządził narody. est opętanie w tem wszystkiem, bo jest chytrość, fałsz, podstęp, kłamstwo wieczne, okrucieństwo, a przy tem niesłychana potęga. Jednak na imię *Chrystus* zawsze ócz spuszczanie i tchórzostwo moralne, jak u czartów.

To Pankracowie wszystko. Dziś poszedł znów walczyć z Makryną...

Jużci za p. Adamem do jego hufcu, tu zebranego, nie pójdę; chybabym gardło chciał sam pod nóż poddać. Co zrobię, nie wiem jeszcze... Odpoczynkiem by mi była bitwa, huk armat, zapach prochu; bo żyć z takiemi postaciami, jak p. Adam, patrzeć na takie konwulsje piekielne, to przechodzi siły człowieka. Ledwo pióro trzymać mogę... Co tu się dzieje w duchach ludzkich, nie wyobrazisz sobie. Wszyscy Polacy się kłócą. Rozbrat i miecz przyniósł im Mickiewicz!... Eliza[578] ściągnęła na siebie gniew pana Adama za to, że walczyła przeciwko niemu, za to, że on czuje, że jej nie może oszukać. Ja zapewnie takżem już zapisan na księdze tych, co mają być zatraconymi w nowej epoce.

Ściskam Augusta. Niech się zbyt nie cieszy, niech wie, że będzie *abominatio* — i niech wie, że towianizm już liczy ze 2000 adeptów. Niech tej potęgi się strzeże! Powiedz też Augustowi, że Towiański Żydów ogromnie nawraca, a p. Adam ogromne wrażenie sprawia na Moskali! Ledwo go jaki Moskal posłucha, lata jak szalony i wielbi proroka.

292. DO DELFINY POTOCKIEJ

Rzym, 5 kwietnia, 1848 r.

[...] Pisałem Ci wczoraj, że p. Adam u mnie trzy godziny przesiedział, ślicznie, układnie, miłosiernie mówił — a ledwo wyszedł, dowiedziałem się z rozmaitych stron rozmaitych krętanin jego i dwuznacznych słów i czynności. Obiecał był matce Makrynie, że chorągwi ze swymi dwunastoma nie poniesie do papieża, a tymczasem na łeb na szyję kazał jakąś uszyć, a bez twarzy Chrystusa, i dziś ze swymi dwunastoma ma się rzucić do stóp papieża podczas procesji na dziedzińcu Piotra.

Towiański podobno przybył, a mówił Makrynie p. Adam, że już nie przybędzie. A oni dwunastu chodzą po ludziach i grożą. Z tajnemi związkami włoskiemi narady mają, zwiastują, że nadchodzą rzezie w Rzymie, straszą innych Polaków itd., itd.

Tymczasem u mnie p. Adam barankiem słodyczy i miłości! Masz prawdę; grunt tego ducha to *Israël*, a Israel znaczy: „Ten, który walczy z Bogiem[579]". Masz prawdę! Dobrze go znasz! Ale nigdy bym nie był pomyślał, że chytrość i fałsz do tego stopnia dojść mogą, jeżeli prawda, że na dziś on taką scenę publiczną z chorągwią swą odbyć zamierza i za pomocą tej chorągwi lud porwać. Śni mi się zawsze *Legenda*... — bo niezawodnie Towiańskiemu się wydaje, że jemu naznaczono kościół obalić rzymski i na jego gruzach drugi postawić! Okropne czasy, okropne, okropne! Kto wytrwa i przetrwa, ten zbawion będzie!

Manifest mi swój przyniósł p. Adam z 15 punktów, które jako słowa są niebem na ziemi, a jako czyn mogłyby się przekręcić w piekło na ziemi. Między innemi, obywatelstwa wszystkie prawa nadane kobietom, każda rodzina chłopska gruntem uposażona własnym, każda gmina gruntem gminnym, wspólnym. Polska podaje dłoń Russowi i Czechowi i całej Słowiańszczyźnie. Ewangelia staje się prawem politycznem i społecznem Polski. Na pomoc każdemu chrześcijańskiemu ludowi uciśniętemu Polska zawżdy bieży — słowem, jak gdybyś *Przedświt* zamieniła w kodeks.

Powtarzam: jako słowa na papierze, to niebo; jako wykonanie, może być piekłem. To zależy od wykonania! Pod tem wszystkiem coś leży, jest jakaś krętanina. On chce koniecz-

[578] *Eliza* — Zygmuntowa Krasińska. [przypis redakcyjny]
[579] *Ten, który walczy z Bogiem* — *Genesis*, XXXII, 28. [przypis redakcyjny]

nie stąd błogosławieństwo papieskie, albo Makryny te wynieść. Na to, by to otrzymać, gotów rozruch wszcząć między ludem.

Mówiłem mu wczoraj, że wciąż stawiając się na stanowisku Chrystusa, nie staje się Chrystusem, ale owszem uzewnętrznia się jak szatan. Z wielką pokorą przyznawał. A tymczasem adeptami swymi burzy Włochów! Bóg wie, co będzie na procesji dzisiejszej.

Ukradziono z św. Piotra głowę św. Andrzeja. Długo ją szukali. Wreszcie papież kazał pod bramą św. Pankracego kopać w pewnem miejscu ziemię i tam złożoną głowę tego apostoła Słowian odnaleziono o pięć stóp głębokości. Sam papież mówi, że nie może nadzwyczajnych ogłosić okoliczności, które mu dopomogły do tego odkrycia. Dziś procesja z tą głową. Czyby się nie chciało Towiańskiemu tę głowę odzyskać lub zdobyć, by na niej kościół słowiański założyć? Wszyscy wczoraj Polacy tu przerażeni byli w wieczór: zdawało się im, że coś na dziś gotuje się nadzwykłego. Ja pełen przeczuć nadzwyczajnie czarnych. Ciężkie czasy!

6 kwietnia. Wczoraj postawił na swojem p. Adam. Procesja wielka była do św. Piotra — odnosili ukradzioną głowę św. Andrzeja, apostoła Słowiańszczyzny. Z dwunastoma swymi szedł za papieżem Mickiewicz, a Gierycz niósł chorągiew, naprędce ukleconą: orzełka białego, srebrnego, na szczycie drzewca zatkniętego, a na płótnie czerwonem i białem dwa krzyże. — Nikt o podobnej nigdy nie słyszał. Ciceruacchio[580] stał zaraz obok Gierycza, pilnując wszystkich jego ruchów; był im zaś oznajmił, że, jeśli chcą, mogą sobie pójść wraz z chorągwiami klubów innych rzymskich, ale że biada im, jeśli zechcą zatrzymywać pochód i krzyczeć lub mówić do papieża. Więc odbyło się cicho. Ci dwunastu tylko byli, żaden inny Polak. I tak wystąpił sztandar polski, zamieniony w znak jakiegoś tajnego towarzystwa słowiańskiego, niesion przez najzaciętszego towiańczyka, przez Gierycza.

Tak to wszystko u nas w kłótni, w niezgodzie, w rozdarciu się rodzi!...

Jeśli prawda, że wojna wydana Rosji, to natychmiast ruszę i karabin na plecy wezmę. Do żadnych nie chcę się mieszać teoryj i rozpraw. Com miał teoretycznego w piersiach, wylałem już. Teraz do czynu, i to najprostszego, i na śmierć, bo czuję, żem nie ze zwycięzców, ale z umierających.

Co do p. Adama, niezawodnie wielka w nim przewrotność. Dobrześ go osądziła, doskonale. Gdy do Paryża wróci, jeszcze tam narobi hałasu i pchać będzie do coraz straszliwszego zniszczenia. Doskonały niszczyciel! O, Boże mój, Boże!

7 kwietnia. [...] P. Adam wybiera się do Krakowa ze swoimi, by tam dzieło zacząć i panslawizm ogłosić. Gdy wracał zawczoraj z procesji z chorągwią swą, do odwachów gwardii narodowej posyłał swych uczniów z rozkazem, by broń prezentowali. Jeden odwach nie usłuchał. Wtedy sam p. Adam zbliżył się do żołnierzy i rzekł: „Przed dwoma miesiącami, gdyby chorągiew austriacka tak szła, bylibyście jej cześć złożyli, a dziś polskiej nie chcecie? Zaraz mi prezentujcie broń". Włochy osłupiały i uczyniły zadość rozkazowi.

Jest w tym człowieku zewnętrzna ogromna odwaga, wszystkie jej pozory, ale tylko pozory; bo w gruncie ducha samym, ostatecznym, on się lęka piekła dla duszy swej ogromnie — i wyroku niczyjego wytrzymać nie zdoła. Celem niezawodnie jego jest: powrót do barbarzyństwa, i to zowie świata uchrześcijanieniem. W istocie czartowski to pomysł, a przed żadnym środkiem się nie cofnie, by go doprowadzić. Takich to duchów potworzył Towiański! Makryna o nim mówi: „Pycha, pycha, tchórz, plaśnie, jak marna mucha i nie zrobi nic!"

W oczy to mu powiadała — a on spuszcza wzrok i u stóp jej konwulsjonizuje, ale w końcu końców wszystkich zwodzi i podstępną chytrością ołudza; każdemu co innego mówi. Z Moskalami ogromnie się zawdaje i wciąż o panslawizmie im kazania prawi. Ma jednak wpaść do Paryża, nim do Krakowa pójdzie.

[580] *Ciceruacchio* — głośny wówczas w Rzymie agitator ludowy. [przypis redakcyjny]

293. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

9 kwietnia, Rzym, [18]48

Mój drogi Auguście! Odebrałem z Paryża Twe przypisania się wszystkie. Już byłbym ruszył k'Tobie, gdyby nie Eliza, którą nie wiem gdzie zostawić, która chce koniecznie jechać także do Drezna, do matki — a napadły mnie zdarzenia bezpieniężnym. Listów kredytowych ni wekslów już nie wypłacają. W szalonem położeniu jestem. Sam rad bym polecieć k'Tobie — ależ jakże zostawiać ją tu, kiedy tu mówią o rzeziach, o abominacji, desolacji[581] w świętych miejscach. Jednak w tych dniach rozstrzygnę mojemi losy i przez Frankfurt będę zdążał k'Tobie. Napisz tam do mnie słówko!

P. Adam tu niesłychanych dokazywał rzeczy: zebrał kupkę z 12-tu ludzi, prawie wszystkich nic wartych — chciał dla nich wymusić błogosławieństwo u papieża. Dotąd mu się nie udało. Z sztandarem niby to polskim, a w istocie Towiańskiego, bo z orłem srebrnym na spisie, a krzyżami dwoma białemi na polach białem i czerwonem sztandaru, pokazał się na procesji, która miała miejsce, gdy ukradzioną głowę św. Andrzeja, apostoła Słowian, odnaleziono w ziemi, pod murami miasta, i odnoszono do św-go Piotra. Kto był ją ukradł? Zapewnie ci, którzy nowy słowiański kościół zakładać zamierzają. Panslawizm przebija we wszystkich dążeniach pana Adama. Germańskiego plemienia nienawidzi.

Mój najdroższy! Wszyscyśmy pod sądem bożym o tej chwili. Gdzie Twój, gdzie mój ojciec? Czuję, pisząc, że piszę z nogami nad otchłanią jakąś, która nas jeszcze przedziela od królestwa bożego, od królestwa miłości. Czy abominacji już tam także nie masz, kiedy piszę te słowa? Pamiętasz, ile my razy o niej mówili! Biedne Sorrento w Paryżu, i nie wyjeżdża. Biedny mój ojciec w Warszawie, i nie wyjechał. Biedna Eliza tu i schudła, jak szkielet, i najczęściej bez zmysłów. Mnie zaś od stóp do głów dzieje się uczucie, żeśmy wszyscy pod sądem bożym. Ledwo piszę, jak widzisz. Skoro ściągnę ostatni grosz, ruszę zaraz. Może Elizę w Nicei zostawię. Pisz mi do Frankfurtu nad Menem. Radzisz mi teraz kupować dobra ziemskie — gdzie i jak? Gdzie czas? A zresztą od Thurneyssena kto wydobędzie co w tej chwili? O! Bodajby tylko abominacji nie było i Bóg zmiłosierdział nad nami! Przyciskam Cię do serca i błogosławię Ci, mój najdroższy, najdroższy Auguście!

Twój Furiis

O sobie nie myślę ni przewiduję innego coś, jedno karabin na plecy i dalej! Czy cicha dotąd Wierzenica? Kto mi odpowie? Ściskam Cię, ściskam, ściskam, jakbym czuł, że niedługo koniec mi, że może ostatni to uścisk Ci przesyłam. Pamiętaj o Chrystusie! Jakżeż św. Jan wszystko przewidział w tym poemacie proroczym, pisanym przed 1 700 laty!!!

Opasaniśmy wojną zewsząd — w Lombardii wre, na drodze z Tryjestu do Wiednia powstanie słowiańskie, w Genui 200 rodzin angielskich czeka dla braku koni, wziętych pod zaprzęgi wojenne. To wszystko niczem dla mnie, ale dla Elizy! O, nieszczęśliwy, kto w dniach takich musi się oglądać na kobiety i dzieci — winszuj sobie, żeś nie poszedł za ojcowskiem życzeniem! Winszuj sobie też, że Campotertio masz. Gdzie ją zawieść? Gdzie ją zostawić? Norwid wybiera się ze mną, innych kilku także, ale wszyscy, tak jak ja, zaskoczeni wypadkami, bezpieniężni. Jakoś jednak to będzie, bo być musi. Ah! Kiedy patrzę teraz na Twego synka chrzestnego i na Adzia, to mi się wydaje, żem ich zdradził, wprowadzając ich w życie.

Ledwo mogę nogami ruszać, tak mi choro i osłable. O ojca się troskam dzień i noc. Ah, czy odzobaczym się kiedy na ziemi? Będzie dużo cierpienia i dużo pocieszenia, mówisz? I jam tej myśli, ale przy tem myślę, że ja tylko cierpienia oglądać będę. Daj Ci Bóg oglądać pocieszenie! Wiedziałem, com pisał w Akwisgranie, kiedym błogosławił, umierając!!!

[581] *o abominacji, desolacji* — abominacja (z łac.): rzeczy wstrętne; desolacja (z fr.): spustoszenie. [przypis redakcyjny]

P. Ad.[582] powiada, że przeczyta *Ojcze nasz*, skoro będzie w Paryżu. Tak mi kazał odpowiedzieć, ale pod warunkiem, że Ty z wiarą go odmówisz. Choć tak odpowiedział, w nim Chrystusa nie ma. Jest tylko Jehowa; miłości za grosz nie ma. Bucha tylko zawiść i nienawiść — coś piekielnego! Strzeż się ich — w każdym pychę rozbudzają — na tem zależy ich potęga; a w adeptach pijaństwo ciągłe. — W tem są *κατ' ἐξοχήν*[583]! Cel ich ostateczny zawrót do attylowych czasów!

294. DO DELFINY POTOCKIEJ

Rzym, 10 kwietnia 1848 r.

P. Adam przyszedł mnie pożegnać wczoraj. Był jak człowiek zabity. Od kilku dni wszystko, co tu chciał robić z Włochami i Niemcami, mu się nie udało. Ostatni raz wczoraj widział się z Makryną, która mu powiedziała: „Porwałeś się jak lew, a upadniesz jak mucha. — Odtąd same upokorzenia zbierać będziesz i nic Ci się nie uda, aż do Boga się nawrócisz". Był po tem pożegnaniu się u mnie — miękki, tkliwy — ściskał mnie i żegnał ze łzami, przysięgał, że gdyby czego Ci było potrzeba, to on Ci usłuży i obroni Cię w Paryżu. Ściskał mnie do zaduszenia. Wyglądał na człowieka zupełnie przełamanego. Mówiłem mu jeszcze, by siał miłość, nienawiści nie krzewił. „Masz święte prawo tak mi mówić" — odrzekł i jeszcze ściskał mnie bardziej, jak dziecko, jak pół-obłąkańca, jak starzec rozbity. Wszystkiego tego cechy były na nim, a szczególnie jakby strach przyszłości i w własne losy nieufność, jakby zwątpienie o towiańszczyznie. Niezawodnie w gruncie ten ryczący czasem tygrys ma serce, pełne niepewności. Pycha je nadyma, a źdźbło słomy, napotkane na drodze, obala; w godzinę później znów pycha podnosi i nadzieja, że Towiański posłannikiem z góry, aż znów w kwadrans przychodzi mu do myśli, że on się czartowi oddał i że zaginie duszą w piekle. Z takich żywiołów złożony ten człowiek, i on szczerze jest najprzewrotniejszym i stąd też najniebezpieczniejszym z ludzi.

Rozstałem się z nim jak najlepiej. Jeśli go więc odzobaczysz, nie mów nic jemu, coby go mogło rozdrażnić. *Guarda e passa*[584]... Żegnając mnie wczoraj, rzekł: „Dziękuję Bogu, że się tak rozstajemy, a nie inaczej". — Jeszcze, nim przyszedł mnie pożegnać, namawiał pannę Łopacińską, by szła z nim i z tymi dwunastoma, obiecując jej, że będzie ministrem, kiedy matka gniewała się i stawiała opór entuzjazmowi córki!

Mówił mi też, że Paryż niebezpieczny, ale Rzym stokroć niebezpieczniejszy, że tu będzie rzeź księży. Ku księżom pała piekielną nienawiścią.

Butieniew wczoraj mówił Kisielewowej, że sprężyną tego co dziś ma się stać, Mickiewicz i jego dwanaście uczniów, czy towarzyszy. Prowadzi ich on do Mediolanu, a sam do Paryża jedzie. W Poznańskie mu się nie chce.

Dogmat towiańszczyzny twierdzi, że przez Moskwę Polska wstanie, więc, że nie *według reguł sztuki*, nie chce jej przyjąć od Niemców.

Gdyby wojna była, natychmiast, gdzie pierwszy pułk w mundurze polskim wystąpi, tam idę; ale mieszać się do rozpraw komitetowych nie myślę i nie radzę nikomu...

295. DO DELFINY POTOCKIEJ

Rzym, 13 kwietnia 1848 r.

[...] Wczoraj papież mówił Elizie, że za dni kilka wyjdzie potępienie towiańszczyzny jako najsroższej herezji w stosunku do kościoła. Mówił też, że ostatni fałsz, jakoby im błogosławił; że już go nie widział[585] od chwili, w której stanął przed nim w deputacji od sejmiku tutejszego i tak krzyczał i za ręce go chwytał... Pamiętaj, że towiańczycy to okropni ludzie, przekonani, że Bóg im kazał być katami wieków! Nie krzycz na nich, nie wydawaj się przed nimi, bo najprzewrotniejsi z ludzi; u nich przewrotność świętością. Papież zalecał, by, o ile można, starać się walczyć przeciwko nim.

[582] *P. Ad.* — Mickiewicz. [przypis redakcyjny]
[583] *κατ' ἐξοχήν* (gr.) — nadzwyczajnie, przede wszystkim. [przypis redakcyjny]
[584] *guarda e passa* (wł.) — spojrzyj i przejdź. [przypis redakcyjny]
[585] *już go nie widział* — Mickiewicza. [przypis redakcyjny]

[...] Koniecznie chciał Mickiewicz kokardę czerwoną, ową przez Lamartina[586] z wielkim jego żalem odepchniętą, przywiesić do chorągwi tej polskiej, z którą tu wystąpił, ale oparli się sami jego uczniowie. Czerwona chorągiew jest ideałem Mickiewicza. Pamiętam, wściekał się w kłótni ze mną, gdym twierdził, że bohatersko spisał się Lamartyn, opierając się jej. To wiedz, że błogosławieństwa żadnego od papieża nie wziął, że papież go już nie widział, od kiedy z Orpiszewskim i księżami był u niego przedtem, nim zawiązał w towarzystwo tych trzynastu swoich, że papież potępia towiańszczyznę, że powiada, iż powinni Polacy i Polki kongregację założyć przeciwko niej taką, której by obowiązkiem było modlić się co dzień i wzywać łaski bożej przeciwko ich wpływowi. To są słowa samego Piusa, wyrzeczone wczoraj. Ręczę Ci, że prawdziwe, i przysięgam. Gdyby więc kłamać chcieli, to możesz prawdę oświadczyć. Zresztą jutro, czy pojutrze wyjdzie Towiańskiego potępienie. Przeciw zaś Mickiewiczowi nic nie wyjdzie, bo papież ufa jego słowu, gdyż przysiągł u stóp papieskich, że odstąpi mistrza, skoro mistrz potępionym zostanie. Pewny-m, że nie dotrzyma przysięgi. Ale powtarzam Ci, słowa: *Chrystus i miłość* zabijają go, spuszcza oczy i truchleje, skoro je wymówisz. Na polu daleko niebezpieczniejszem wystąpić mi przyjdzie przeciwko niemu i dopełnię tego obowiązku.

[...] Okropni są ludzie, okropni na planecie tym! O, jeszcze czas królestwa bożego nie nadszedł. Lękam się, by noc zezwierzęcenia się ludzkości jakowegoś nie następowała na świat. *Bande infernale Prodromu*[587] wciąż mi na pamięć wraca.

Dzielny, arcydzielny Twój list do mnie z 31 marca, gdzie mi wyrzucasz, żem nie wystąpił przeciwko Mickiewiczowi. Powiem Ci jeszcze jedną rzecz. Lękam się, by w losach moich zapisanem nie było hrabiostwo Henrykostwo. Dziwnie mnie, ale jak najsprawiedliwiej zamęt niesłychany dziejów ludzkich mógłby do takiego położenia doprowadzić... Ah, chciałbym moich ocalić, ale ocalić na zasadach sprawiedliwości i szlachetności, przyszłość zapierścienić o przeszłość, nikogo nie gubić, wszystkich pojednać... Świętość i piękność i światło kochałem, a spotkam się z piekłem; a piekło mówić będzie: „Jam w imieniu przyszłości". Cóż wtedy serce uczyni? Oczywiście odpowie: „A jam z przeszłości rodem, ja piekła nie chcę, ja piekło wyzywam".

296. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

Wielkanoc — 1848, 23-go kwietnia, Rzym

Drogi i najdroższy! Mam nadzieję, żeś wciąż w Berlinie — żeś w zamęt i odmęt nie zapadł, żeś cały i zdrów, żeś na czasy bliskie a organiczniejsze zachowan. Wieści z Księstwa okropne — rozdzierające a błędne. Wojną przegrodzeni od Niemiec, od 10-ciu dni i więcej „Allgemeine" nie mamy. Tu zaś na każdy dzień zapowiedzian rabunek, rzeź, abominacja w świętych miejscach. „Śmierć Piusowi!", piszą po wszystkich rogach ulic. Życie stało się udręczeniem. Miejsce każde drży pod stopami. Co chwila mi przed oczyma ojciec. Ah, i w Tobie także musi się choć 10-ta część dziać moich udręczeń. Okropnie — okropnie!

Wczoraj przyszło doniesienie, że i biedny Thurneyssen pękł. Miałem jeszcze z 800 000 fr. leżących u niego, powierzonych mu, więc będę musiał wpaść do Paryża na likwidację i inne interesa. Grosza nie mam, nie wiem, skąd pożyczyć na podróż, gdzie Elizę zostawić, co zrobić? Ah, dzieci i kobiety! Mówiłem Ci, zabierz owe 10 000 fr. a Ty natomiast swoich zastawnych zostawiłeś 12 000 fr. Czego mnie nie było usłuchać? A ja także głupi, pani D-ny instynktu nie posłuchałem, gdy radziła przed dwoma miesiącami moje, ze Śliwna pochodzące, umieścić w 3%. — Teraz zapewnie-m wszystko — to jedyne moje na świecie — stracił! Eh, zostało Chamtercier i Rey[588] do sadzenia kapusty, kartofli i zbierania oliwek!

Mój najdroższy, najdroższy! Od kiedym przez Mickiewicza dojrzał szczelin społeczeństwa, a na wskroś przez nie otchłani, nad którą w tej chwili stoi ludzkość, stało się coś we mnie okropnego: jakby uroczyste przerażenie, ale nie człowiecze, kosmiczne raczej, ogarnęło mną. Ten człowiek pomieszał mi mózg i serce. Ah, jaki okropny, jakie

[586] *Alfons de Lamartine* (1790–1869) — francuski poeta i mąż stanu. [przypis redakcyjny]
[587] *Prodrom* — dzieło Wrońskiego: *Prodrome du Messianisme*. [przypis redakcyjny]
[588] *Rey* — Willa „Rey" w Nicei. [przypis redakcyjny]

jego cele, dążności, zamiary, te same, co wszystkich tajnych świata piwnic, tych ludzi podziemnych, których zowie Hoene *la Bande Infernale*[589]. Strzeż się ich! W wielkiem niebezpieczeństwie i Europa i Polska. A Polska tylko zbawi Europę, jeśli będzie czystą i mądrą.

Nic a nic wymiarkować nie możem z wieści poznańskich, galicyjskich i moskiewskich. O Leuchtenbergu[590] twierdzą, że niezawodna. Oszaleć trzeba dziesięć razy na dzień! Donośże Sorrentowi o sobie, bym wiedział, gdzie Ty i co robisz. W tych dniach wyjeżdżam, Elizę nad Ren odwiozę. Stamtąd puszczam do Drezna, sam zaś poskoczę do Paryża, by, jak Marius, usiąść na ruinach kapitałów roztrzaskanych i coś urządzić i komuś powierzyć interesa. Dziś wielki dzień, nie tylko noc, bo wybory we Francji: od nich los świata zawisł. Tu od tygodnia dni i nocy opłakane pędzim. Co chwila grożą nam rabunkiem i zgonem, papieżowi śmiercią. Powiadam Ci, że, jeśli kiedy w życiu jeszcze zejdziem się na kilka godzin ciszy i rozmowy spokojnej, bądź u Muellensa, bądź na cmentarzu, jak w Opinogórze niegdyś u grobu biednej pani de la Haye, to, padłszy na kolana, podziękujem Bogu i uznamy, że te kilka godzin ciszy i spokoju to niebo na ziemi. Co chwila, co chwila marzyć, że ktoś z ukochanych na ziemi w tej chwili ginie: ojciec — Sorrento — Ty. Albo znów, że dziś w wieczór, że jutro rano, że oto za godzinę Elizę zarzną i Adzia — i Twego chrzestnego!

Mickiewicz przyłożył się ogromnie do tutejszych rzeczy zgubnych. On i jego zwolennicy pracowali śród ludu, a nie tak ludu, jak śród sektarzy rozmaitych. Ah, to okropni ludzie! Ah, to zdrajcy absolutne, zdrajcy wieków! Zawrót świata do stanu dzikich ludzi — oto ich cel, oto miłość i piekielna otucha! I to wolą bożą zwą! Strzeż się ich! Strzeż! I jeśli Bronisław gdzie blisko Ciebie, ostrzeż go także! Jam pewny, żeś: w Berlinie; musi być i Konstanty z Tobą. Uściskaj go ode mnie i siebie też. Wciąż Ci do Berlina będę pisał. Kocham Cię, i kocham, i kocham na zawsze, mój Ty drogi Auguście! — Bóg Cię strzeż od nieprzyjaciół!

Twój Furiis

Norwid Ci się kłania — ze mną jedzie. Rogierowi się przypomina. Wstaję z łóżka, by Ci to pisać, bo od dwóch-em dni leżał.

297. DO STANISŁAWA MAŁACHOWSKIEGO

1848, Rzym, 15 maja

Drogi mój! Z listu pani D. i z „Nationala" dowiaduję się, żeś z Quicorain zawrócon do Paryża. Podziękuj Belgijczykom, bo cóż byś pojechał robić czy do Księstwa, czy do Krakowa o tej chwili, w której trzech rozbójników znów nas dusi, a my sami wewnątrz siebie samych się zarzynamy! O, emigracja centralizacyjna odpowie przed Bogiem i sądem historii za powtórny grzech! Już po raz drugi skutkiem jej zachodów wrzucenie nas w ręce Moskwy. Co list do Metternicha zapowiadał[591], to teraz kształt na się wdzieje i rzeczywistość. Najokropniejsza to z dróg, któremiśmy mogli zdążać do zmartwychwstania, bo zmartwychwstaniem, ale jakimże kosztem, po iluż łez, krwi i sumieni, a to najgorsza, wylewie; tak, sumieni, oczywiście albowiem, że nadchodzi chwila, w której nie tylko los od nas łez i krwi, ale jeszcze sumienia naszego zażąda. Germanów szkaradne krzywdy, wywołane po części szkaradną naszych demagogią, walka, wszczęta w Księstwie między organizującymi się a organizatorami, poprowadzi tok naszej sprawy prosto w ręce czyhającego Moskwicina. Przyjdzie do tego, że będziem musieli, by odżyć, pobratać się z plugastwem chuci słowiańskich, a my powinni panować z góry im, i wyczyścić je, i zlać z zachodnią światłością i wiarą. Lecz ludy w rozpaczy nie rozumują, pędzą choćby w otchłań, skoro do ruchu się zerwą. Widzę to wszystko z goryczą niesłychaną serca, widzę.

[589] *la bande infernale* (fr.) — gromada piekielna. [przypis redakcyjny]

[590] *Leuchtenberg* — książę Maks. Eug. Leuchtenberg, zięć Mikołaja I, miał wedle pogłosek ówczesnych zostać wicekrólem Królestwa Polskiego. [przypis redakcyjny]

[591] *Co list do Metternicha zapowiadał* — list otwarty do ks. Metternicha ogłosił z powodu rzezi 1846-go (w języku francuskim) Al. Wielopolski. [przypis redakcyjny]

Chyba, że się Germany upamiętają. My ich i siebie i Słowiańszczyznę zbawić mogli, taki był nasz los niebieski, a teraz przyjdzie do tego, że my ich i Zachód tępić będziem. Módl się, módl się, stary szlachcicu polski, módl się do Boga, by się to nie ziściło, by się sny towiańczyków nie sprawdziły; bo, choć odżylibyśmy takim sposobem, toby pochłonęła nas Słowiańszczyzna, a nie my ją podnosili i nauczali być narodem.

Odpisuję tak późno, bo sił, palców, myśli-m nie miał do pisma, a potem dni te straszne nastąpiły. Rzeź i rabunek co chwila zaglądały przez bramę, przez okna. Czuwaliśmy po nocach z Norwidem i Orpiszewskim, otoczeni dubeltówkami i pistoletami. Lojola[592] ściśle się powiązał z Mazzinim, oba starali się o anarchią i upadek Piusa. Biedny Pius, dał sumienie święte i czyste uwieść pierwszemu, a wtedy pierwszy rzekł do drugiego: „Obal, a zemścij mnie!". Taka prawda dziejów tutejszych. Lękam się o kopułę[593], by, porysowawszy się, nie runęła.

Jeszcze dni kilka tu zabawię, po czem pośpieszę do Paryża i mam nadzieję uściskania Cię tam.

Owe dwa tysiące franków zostaw księciu[594] i ostrzeż o tem Władysława[595], któremu je winienem z powodu niewypłacenia pewnego innego wekslu.

Pan Adam[596] pojechał z Mediolanu do was. Lękam się, byście ciężkiej biedy tam z nim nie doznali, bo, jak tu, tak i tam będzie się starał o zaburzenia.

Dzięki Ci za dowiezienie zegarka i medalionu. Wkrótce, mam nadzieję, że będę z Tobą. Upadek Thurneyssena srogiego mnie figla spłatał, osiadłem na koszu. Z Królestwa ani grosza przysłać nie mogą.

Twój brat zdrów, był w Warszawie trzydziestego kwietnia i u mego ojca jadł święcone.

Ściskam Cię z serca całego, drogi Wojewodo.

298. DO LUDWIKA ORPISZEWSKIEGO

1848, Turyn, 22 czerwca

Mój drogi! Odebrałem wczoraj z rana w Genui na wsiadanem Twój list i wszystkie inne z Rzymu, któreś mi był łaskaw przesłać. Jeszcześ mojego z Civity znać nie odebrał. Napisać do Władysława byłoby na próżno — on sam nie musi bardzo dowierzać Aaronowi[597] — ale z drugiej strony będzie próbował tego pojednania, które się nie uda; nie bój się, trafiła kosa na kamień. Oba się spodziewają, że jeden drugiego zobojętni, tymczasem wkrótce oba poznają, że nic sobie nawzajem zrobić nie mogą. *Laissez faire*[598]. Ani Breański z Kamińskim, ani Władysław z Aaronem nie potrafią się zgodzić. Z instrukcyj zresztą, danych Breańskiemu przez Władysława, przekonywam się, że Władysław wcale a wcale nie ufa Aaronowi, tylko przez grzeczność zaleca Breańskiemu, by mówił przed nim o *podniesieniu* ducha. Możesz sobie wystawić, jak to poczciwemu pułkownikowi wyglądać będzie na farsę, oświadczenia takie metafizyczne i towiańskie czynić przed Aaronem! Myślę, że niedługo będzie pokój zawart. Lecz myślę, że, jeśli kiedy, to teraz gołąbki[599] (wszyscy trzej razem) powinny wziąć municypałów, że, jeśli po Vicenzie ich nie przyjmą, to już chyba tak zaślepieni, że niczego się po nich nie spodziewaj. Otóż widzę tu, a nie tam, stanowisko gotowe Władysławowe. Zresztą, jeśli spotkam Władysława, to jemu o tem wszystkiem powiem moje zdanie. Że przestrzeżon co do Aarona, to wierz mi — wszystkie listy, które od trzech miesięcy pisałem do Paryża, udzielanemi mu bywały, więc doskonale wie, co się działo w Rzymie — w końcu instrukcyj duchowych dla Breańskiego zaleca mu, by nigdy się nie pisał na przyjęcie sztandaru kłamanego, któremu papież nie pobłogosławił — w każdym razie Ty znów pamiętaj, gdzie leży ów drugi

[592]*Lojola* — tj. jezuici. [przypis redakcyjny]

[593]*Lękam się o kopułę* — kopułę kościoła św. Piotra, jak w *Legendzie*, czyli o Kościół katolicki. [przypis redakcyjny]

[594]*książę* — ks. Adam Czartoryski. [przypis redakcyjny]

[595]*ostrzeż o tem Władysława* — Władysława Zamojskiego. [przypis redakcyjny]

[596]*Pan Adam* — Adam Mickiewicz. [przypis redakcyjny]

[597]*Aaronowi* — Mickiewiczowi. [przypis redakcyjny]

[598]*laissez faire* (fr.) — pozwolić działać. [przypis redakcyjny]

[599]*gołąbki* — Mastaiowie (papież ze swą rodziną); rodowe nazwisko Piusa IX było: hr. Mastai-Ferretti. [przypis redakcyjny]

sztandar, któremu gołąbek[600] zapewne nie odmówił pobłogosławienia, a który mógłby się Władysławowym zdać kiedy: obok Twoich papierów leży. Jutro ruszam dalej. Kongres słowiański już rozproszon przez Windischgrätza — cztery dni bójka w Pradze trwała. Zdaje mi się, że i sejm frankfurcki nie potrwa; zdaje mi się, że i w Paryżu coraz gorsze pretendenctwa ze wszech stron objawiać się będą i do wojny domowej wieść.

Ściskam Cię z serca całego i Twojej powierzam pamięci.

Kochaj kochającego Cię

Zyg.

P.S. Żywot nieznośniejszy mi coraz!!!

299. DO ADAMA MICKIEWICZA

1848, 1-go lipca

Kiedyś nie wiedział wprzód, teraz, po dniach czerwcowych, dowiedziałeś się, Adamie, czego wyobrazicielem sztandar czerwony, za którym tak tęskniłeś w marcu. Raczej, zdaje się, nie chciałeś wiedzieć. Dziś chcesz li, nie chcesz li, musisz. Sam albowiem ten sztandar rzecz swoją wypowiedział swemi napisami światu, sam wystąpił przez czyn, rzucił się do mordu, łupieży, wszeteczeństwa, pragnął zniesienia nie onych rzeczy, co przemijalne i przemienialne, ale owych, co wiekuiste tak na planecie tym, jak po wszystkich światach — bluźnił bożym prawom, arcybiskupa zamordował. Gdybyś miał siostrę, siostrze by Twojej nie przepuścił, gdybyś miał syna szesnastoletniego, byłby Ci go na wieki, zostawując mu życie, zesromocił. Kwasem siarczanym, zatrutemi kulami, kłamstwem i zdradą, od piekła zapożyczonemi sposoby darł się — a do czego? Do rozkoszy episjerów, do zbytków, które przeklina, póki ich nie osiągnie! Takie dzieje czerwcowego sztandaru, o którym takeś się ze mną sprzeczał. Upamiętaj się, człowiecze, i już nigdy nie powtarzaj, że takie czasy dziś, iż Bóg samych łotrów dobiera do sprawy swojej. Takich czasów nigdy na świecie ni było, ni będzie. Bóg nie dobiera łotrów do dzieł swoich, ale taki piękny, że, choć łotry wmieszają się w sprawę ludzkości, On z ich szkaradzieństw jeszcze umie piękność jakąś wiekuistą wyratować — taki dobry i miłosierny, że, choć łotry zwyciężą dnia pewnego, zwycięstwo samo ich gubi i zabija, a dobroć wiekuista w wyższe jeszcze okręgi świat porywa. Nie z łotrami więc trzyma Bóg, ale z ludzkością, którą stworzył przeciw łotrom, którzy się odstworzyli. Taka jest prawda, Adamie; mówiłem Ci ją w Rzymie. Teraz koniecznie uczułem sumienie, na mnie wołające, bym Ci ją powtórzył. Podziękuj Bogu, żeś tu się nie znalazł podczas tych dni, bo byłbyś duszę swą aż na samo dno piekła strącił. Opatrzność i dane Ci od niej natchnienie wyratowały Cię. Podziemie Cię paryskie schwycić i wycisnąć ze siebie, jako jedną z iskier swych, nie zdołały, choć taki miał być los Twój. Dziękuj, dziękuj Bogu, byłbyś Polskę w sobie odzacnił, a nad zacność nic wyższego, a szałem mniemać, że może być świętość i sprawa boża bez zacności. Wygraj mi pieśń bez dźwięków.

Bóg Cię prowadź i pobłogosław, Bóg strzeż ducha Twego!

Zyg. Kras.

Izrael w Poznańskiem dowiódł, o ile Polszcze przychylny. Książkę-m Ci Twoją oddać kazał, jakoś był zalecił. Za ostrzeżenie z Bolonii dziękuję, nie ruszyłem się jednak wtedy, bom ciekaw był widzieć w Rzymie czerwonego sztandaru powianie.

300. DO LUDWIKA ORPISZEWSKIEGO

1848, Babilon[601], 14 lipca

[600] *gołąbek* — Pius IX. [przypis redakcyjny]
[601] *Babilon* — Paryż. [przypis redakcyjny]

Mój drogi! Kilka słów tylko. Dotąd-em tu — odwlekany termin strasznego rozruchu mnie wstrzymał od dnia do dnia. Na dziś naznaczona zguba Babilonu. Myślę, że nic nie będzie, alem się został. Zawczoraj Tow-go[602] i Guta zaaresztowano — o tej samej godzinie cud się zdarzył, bo o tej samej zjawił się tu brat Adam i wziął znów rządy i zastępstwo. Wierz teraz tym ludziom i ich wyznaniom, legiom, itd. Oczewiście, com twierdził milion razy, oczewistem się pokazuje. Towianizm w ścisłem połączeniu z podziemiami, w których się knują spiski szatańskie przeciw ludzkości. Nigdy wyobraźnia nie zdoła wymarzyć okropności, tu się dziejących po pewnych lochach. Są teatra, gdzie upajają ludzi, by się bili na noże i od tego bilet się płaci; są zgromadzenia, na których tańcują koło jakichsiś bałwanów itd. Mitra i wschodnie czary wróciły. Do trzydziestu już naszych przytrzymanych, co się bili na barykadach; co będzie z M-czem[603], to zobaczym, ale przyjechał, jest i duszę może aż na samo dno piekła strąci, jak i sam mówił i sobie proroczył. Towiański, gdy go brano, rzekł: „Gdybym nie chciał się dać wam, toby i 30 000 mi rady nie potrafiło dać". Parodia nędzna Chrystusa!

Odpisz mi do Heidelbergu. Tam już Eliza. Adzio wciąż bardzo chory. Jutro tam pojadę. Adam Pot. tu był — wyjechał. Ksawery[604] jest dotąd. Pierwszy tęgi, tylko jeszcze nie wyszumion z przesad języka — drugi nie wyszumion, a nie tęgi przy tem. Nie widziałem żadnego — ściśle *incognito* się trzymam, co mi łatwem, bo nikt o mnie nie myśli śród takich trzęsień ziemi. Dziś ma być znów bójka i na zabój. Gdyby mi się co stało, pamiętaj, że Cię z serca kochał

Twój Romanus

Coś i w Romie były krzyki, ale teraz znów ucichło. Czy prawda, że Ojciec św. miał napad apoplektyczny? Chyba nerwowy? Jest tu i Lubiński rzymski. Skoroby tu się udało, Rita[605] czerwona przeszłaby przez całe Niemcy — i byłoby *voeh mundo*[606]! Okropnie Polacy rozdrażnieni, szczególnie z ostatniej emigracji — zdaje im się, że się zemścić na Europie to obowiązek i rozkosz, a nie wiedzą, że z zemsty tylko zemsta, a nie żywot żaden.

Udziel tych wiadomości Norwidowi — Pani Kalerdżi stąd jedzie do Niemiec zdrowiusieneńka!

301. DO STANISŁAWA MAŁACHOWSKIEGO

25 lipca, Heidelberg, 1848

Mój drogi! Jeśli cholera w Królestwie, to mnie tu nie zastaniesz, do Królestwa ruszę zaraz; ale zastaniesz w Baden, przez cztery tygodnie jeszcze, Elizę i małych. Podobno i August tam (do Baden) pośpieszy. Jeśli zaś cholery nie ma w Warszawie, to w Heidelbergu, *Badischer-Hof*, Ci służę. Widzisz z pisma, żem chory.

Nikt pismem nie wstrzyma tego, co się dzieje teraz. Dziecko, jak się sparzy, staje się doświadczeniem rozumniejsze; tak samo z ludami, tak samo z narodami, z stronnictwami zaś nie; nie zmądrzeją, póki nie poginą. Daremne do nich przemowy, Bóg je pokarze i nauczy.

Dopiero zawczoraj wróciłem z Babilonii i list Twój tu zastałem. Zakład przegrałem co do litery zdechłej z Tobą, co do ducha żywego, nie; bo jużci w Babilonii nie lada podrzuty i szkaradziejstwa. Wolę ich jednak od Niemców.

Wiesz, że Towiański i Guttry w Conciergèrie[607]. Mickiewicz w dziesięć minut po ich wzięciu się zjawił, z Włoch przybywający. Znów oszukuje Bohdanów i katolików, chwali Piusa IX, mówi, że z Towiańskim nic wspólnego nie ma. Zwykłe sztuki. Tymczasem zaraz notę do Cavaignaca[608] napisał, ręcząc za Towiańskim i prosząc o jego wypuszczenie. Miał

[602] *Tow-go* — Towiańskiego. [przypis redakcyjny]
[603] *M-czem* — Mickiewiczem. [przypis redakcyjny]
[604] *Ksawery* — Branicki. [przypis redakcyjny]
[605] *Rita* — Rzeczpospolita. [przypis redakcyjny]
[606] *voeh mundo* — biada światu. [przypis redakcyjny]
[607] *Conciergèrie* — więzienie. [przypis redakcyjny]
[608] *Cavaignac* — jenerał Eugeniusz Cavaignac, ówczesny minister wojny. [przypis redakcyjny]

do Włoch wracać, dokąd Władysław[609] pojechał. Książę w Lambert wciąż[610]. Mickiewicz tam był i cały wieczór rozprawiał ze starą Sapieżyną; wyobraź sobie takie *colloqium*.

Więc do obaczenia, drogi, lub też do nie obaczenia, ale zawsze obaczysz Elizę i małych, to jest dom swój, przejazdem choćby w Badenie.

302. DO CYPRIANA NORWIDA

30 sept. 1848

[...] Wiedz, co świata rzeczywistość: z kryształu ideał, zdarzenia z błota, czyn ze cnoty diamentowej. Oto są trzy integralne części wszech-dziejów. Jak w zwierciadle, duszę w pierwszym odbijać, jak z potworem, walczyć z drugim, a w Bogu zaczerpywać sił do trzeciego! Szczególnie dziś i teraz to prawdą, gdy Germanie wstąpili na scenę działań. U nich albowiem między kryształem a błotem, ideałem a wydarzeniem przepaść. Z drugiej strony i to trza wiedzieć, że nieraz, kto w samym zwierciadli się krysztale, ten przywyka być sam marą i wszystko za marę uważać — a gdy przyjdzie mu do czynów na skalistych i zwinnych drogach planety tego, nie dorównywając siłą potrzebie, jak najłacniej stacza się w burzę i wir i kip wydarzeń. W imię idei przystawa na zupełnie nieidealne środki i sposoby, ją widzi w oddali, dla niej gardzi potocznością; a jednak czynem istotnym: w potoczność ją, tę ideę, cochwilnie wcielać, nie skakać dla jej miłości gorętszej, odczerniać te pomyje dziejów złotemi jej blaski! To zwie się cnota — tego nigdzie nie ma dzisiaj, i dlatego źle i dlatego jeszcze gorzej będzie!...

[...] We wszystkiem, co się stało w Romie, widzę absolutne błazeństwo, błazeństwo, posunięte aż do szczytności. Nikt nie uczynił tego, co był winien sobie, wiekom, nawet stronnictwu swemu, nawet pasji swej, nawet zbrodni swej. Jeden tylko Rossi — bo upadł i skonał przy dokonywaniu swej myśli, swej powinności, a upadł i skonał, jak żył: z pogańską ironią i spokojem. Lecz Pius IX z krucyfiksem w ręku nie wyszedł do zbójców ostrzeliwujących Kwiryna!, nie rzekł do nich: „W imieniu Boga, nie!" — nie zatryumfował w nich czy obaleniem ich przed sobą na kolana, czy też własnem obaleniem się ciała swego przed nimi, przebitego od nich kulami męczeństwa. Wtedy byłby zmartwychwstał potężniejszy daleko — a teraz acz żyw, czy też zmartwychwstanie?

Książęta i szlachta rzymska warta Gemonii[611]. — Ani się jeden nie opowiedział przy papieżu, a niektórzy, strachem gnani, szpad dobyli przeciwko niemu. — Kazałbym bosych, w śmiertelnej koszuli, z powrozem u szyi zaprowadzić przed własne herby, gdzie bądź sterczą, z murów, czy pałacowych, czy cmentarzowych, czy kaplicznych i lizać bym im kazał te herby własnemi języki, ażby wylizali, choćby przez rok cały lizać przyszło — a potem zaprowadzić na szczyt Kapitolu i jednego po drugim przywiązać do ogona konia brązowego Marka Aureliusza, z napisem na czole: „Tak zwał się jeszcze 15-go nowembra 48 roku". Przekonanym, że się w Rzymie wszystko rozlezie. Może przy tem będą zawieruchy uliczne, mordy, rabunki, lecz nic wielkiego nie powstanie. Mamiani pedantem — pedanty nigdy w dziejach nie znaczą nic. Lepszy najprostszy jenerał, co umie brygadę prowadzić, niż najuczeńszy i frazesów najpełniejszy, a bez ducha erudyt. Sterbini zaś tchórzem — mógłby wygrać rolę Robespiera, jak każden tchórz, ale czasu nie będzie miał ni materiału. Że Zucchi przywróci papiestwo — wszystko smutnem! U starych żadnej idei, u młodych żadnego charakteru. Epoka nikczemna! Z robaków jej dopiero, gdy przestaną się wić i rozgniją, wiosna jakaś tchnieniem z góry wyprowadzi kwiaty!...

303. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

1848, 22 oktobra, 38, Math. neuve (Paryż)

[609] *Władysław* — Zamoyski. [przypis redakcyjny]

[610] *Książę w Lambert wciąż* — książę Adam Czartoryski w Hotel Lambert, w Paryżu. [przypis redakcyjny]

[611] *Książęta i szlachta rzymska warta Gemonii* — [chodzi o] *scalae gemoniae*, [tj.] gemońskie schody prowadzące do więzienia mamertyńskiego w starożytnym Rzymie; nimi zrzucano do Tybru trupy skazanych. [przypis redakcyjny]

Mój drogi! Niech Ci Bóg daruje troskę, którą nas napełniasz. Od wyjazdu ani słówka! Żebyś wszechświatem rządził, tobyś mógł był jeszcze od dni tylu znaleźć chwileczkę do napisania jednego: *zdrowym* — i więcej się od Wasana Dobrodzieja nie żąda.

Śród cholery i zbiegowisk ludowych jesteś, a konstytucji nie wotujecie.

Napiszże do pani D. albo do pani Elizy do Baden, bo tam za dni kilka będę wraz z Konstantym. Już Ci doniosłem, że ostatnia o włos co się nie otruła. Trzeci to mój list stąd do Ciebie.

Stasiowi Koźmianowi powiedz, by pisał do mnie i nie zapominał o mnie. Już mi nie odpisuje nigdy. Czy się gniewa? I za co? Tu cicho i będzie cicho jeszcze przez czas jakiś.

Co z Wiedniem? Tam waga Rzeszy w tej chwili. — Oto *Colluvio nationum, sentina gentium*[612]!

Bóg Cię strzeż i obłogosławiaj! Cholery już nie ma w Warszawie.

Twój ojciec zdrów, podziękujmy Wszech-miłosiernemu za ojców naszych obu, a ja w dodatku za ocalenie Elizy.

Pisz-że choć słówko! Pisz tu jeszcze do 38.

Twój Furiis

Jakżeś się zaciął nie pisać! Czy się mścisz? Doskonały sposób obrałeś, bo w istocie serce rozdzierający!

304. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

(Paryż) 38, 1848 r., 28 oktobra

Drogi mój! Dzięki Ci za list — a bez daty, jak zwykle — domyślam się, że 25-go lub 26-go. Razem i list, przez Kasię[613] pisany, dziś odebrałem. W pomieszaniu zmysłów chciał sobie w łeb strzelić[614]. Do tego dowiodły go potwarze demagogiczne naszych wariatów. Bóg im zapłać! Ale zbawiony. Adam[615] był przy nim i nie dał mu się zabić. Prawda! Bogu kornie czołem uderzyć o ziemię za drugie ocalenie — a kiedy mówisz „drugie" kto wie, czy nie dziesiąte? A Twój ojciec — a mój? Zgasła cholera już w Warszawie i wkoło Warszawy — a Ty, a ja, kto wie, ilekroć śmierć koło nas krążyła? Słabym, jak pies, na nerwy mózgu. Wszystkie te gromy mnie rozwiązały. Zda mi się, że co chwila z zawrotu padnę! Dziwna rzecz, konania, a do śmierci nie dochodzi; apokalipsy, a do zniszczenia Babilonów nie dochodzi! Czy to czasem nie ostrzeżenia Pańskie pod figurą o rzeczywistości. co nastąpi niechybnie, jeśli jedni i drudzy grzesznicy pozostaną w grzechu? Mój drogi, i o Ciebiem się natroskał niepomału. Dzięki Bogu, żeś zdrów. Lękam się jednak wciąż i co chwila, bo Berlin mi wygląda na paskudnie zarumienić się mającą knajpę!

Mastai[616] mi pisze z Rzymu, że Austria sieje pełną ręką anarchie najokropniejsze wszędzie po Włoszech i że stąd pójdzie Włoch ruina. — 5-go lub 6-go nowembra będę w Baden — wraz z Krucyfiksem[617]. Vado[618] tu jeszcze. Dzięki Ci, mój Auguście, za Twoje kochanie, dzięki temu kochaniu, żeś kląkł; dobrze i klęknąć czasem, w tych czasach! Ściskam Cię, a więcej nie mogę pisać, bo głowa drga, jak galareta. — Pani D. jak najtkliwiej Ci dziękuje za pamięć.

Bądźże mi zawsze cały i ocalon i zdrów i natchnion i wierz, że kochasz kochającego Cię na wieki.

Furiis

Pamiętaj, każ do gazet niemieckich przetłumaczyć list mój z *Debatów* o Jerzym. Ten list będzie mu pociechą! Kasia pisze, że będzie musiał się wydalić na czas od wszelkiego

[612] *Colluvio nationum, sentina gentium* (łac.) — zlew narodów, szumowiny ludów. [przypis redakcyjny]
[613] *przez Kasię* — Branicką. [przypis redakcyjny]
[614] *chciał sobie w łeb strzelić* — Jerzy Lubomirski. [przypis redakcyjny]
[615] *Adam* — Potocki. [przypis redakcyjny]
[616] *Gabriel Mastai* — bratanek Piusa IX. [przypis redakcyjny]
[617] *wraz z Krucyfiksem* — Gaszyńskim. [przypis redakcyjny]
[618] *Vado* — Małachowski. [przypis redakcyjny]

zajęcia. Już Eliza pisała doń, prosząc, by przybył do Baden. Co za rok Auguście! Co za rok! Co za ręka sądna!

305. DO LUDWIKA ORPISZEWSKIEGO

Brzeg Oceanowy, 1848, 29 oktobra

Drogi mój Ludwiku! Co za fatalizm ścigający! Wiesz zapewne, że temu 4 tygodnie pani Krasińska konno pojechała z Leopoldem Krasińskim na przechadzkę, a gdy wracała po niej, zślizgnął się Leopold z konia, legł u kopyt i umarł rażony gromem apopleksji. Więc Pani Krasińskiej to nie pomogło na zdrowie. Teraz znów inny a jeszcze dla niej gorszy przypadek. Bona się pomyliła — o 7-ej z rana 8-go oktobra miano jej nalać do szklanki lekarstwo na nerwów uciszenie, nalała drugie, dane do zewnętrznego tarcia. Morfiny pół szklanki tak wychyliła od razu Eliza. Natychmiast uczuła piekło w piersiach i gardle. Szczęściem organizm sam odparł zaraz część trucizny — ale przez 18 godzin nie wiedzieli przywołani lekarze, czy wyżyje — przez 18 godzin jej łóżka nie odstąpili. Dali jej gran 12 emetyku, dali 120 ipekakuany, wreszcie trucizna zupełnie wyrzuconą została — i ocalała, ale bliska już była grobu i ksiądz przez czas ten cały stał w przyległym pokoju. Pojmiesz, że i to na zdrowie jej nie pomogło, ni mnie, a teraz mój biedny, kochany Jerzy Lubomirski dostaje w Wiedniu chwilowego pomieszania zmysłów, z rozpaczy przez potwarze naszych czerwonych sprowadzonej, i podczas tego obłędu w łeb sobie strzela[619]. Szczęściem Ad. Potocki, przytomny, ocala go; podobno tylko lekko ranny na twarzy, a na umyśle już zupełnie przytomny. Czy nie fatalność tego roku! Wszędzie, zewsząd, ach, to strach! Za dni kilka będę w Bad Baden, zabawię tam do decembra, a w decembrze do ojca, który nie może wyjechać, pojadę, zachowując Elizę zagranicą, by tem potem łatwiej samemu się wydobyć.

Lecz któż wie, jakie czyje losy? Może się i nie wydobędę tak łacno. Posłałem Ci *sous bande* to, coś lubił; nie mów nikomu o autorze, a o rzeczy, jeśli chcesz, mów — udziel też i Norwidowi. Mickiewicz jest w Babilonie wciąż, wziął na się wychowanie Ksawerego[620]. Biedny chłopiec — mówią mu, że „W. Duch"...

Wiedeń się jeszcze nie poddał, ale to go nie minie — póki demagogii, póty nas nie będzie! Lecz też póki w Rzymie nie pojmą dni obecnych, póty Rzym nie będzie siłą. Ogromny o tem list pisałem do Sig. Luiggi zawczoraj, o to przez niego zaproszon.

Siedź Ty w Rzymie, nie wyzieraj na bałwany pieniące się niemieckiej zaalpejszczyzny, kiedy nic Cię nie woła rozkaźno tam. Tam albowiem jednych mordują, drudzy siebie samobójczą, inni wariują. Zostań w Romie, Ty, coś już dość się napił słonej wody żywota i czekaj, aż się umysły nieco odburzliwią — wtedyć może błyśnie tęcza! Jełowicki (dziś Jał. w Wiedniu) broszurę napisał i — *incredibile dictu*[621], wcale do rzeczy, jakby Pasek był pisał przeciwko Demagogii.

We Francji sprawdzą się Towiańskiego proroctwa. — Ludw. Napoleon 10-go decembra będzie prezesem Rltej obrany — a wiesz czemu? Bo nikt go nie zna, a wszyscy znudzeni tem, co jest, więc X im najmilsze! Ściskam Cię serdecznie i proszę, byś, nie zapominając o mnie, zaraz mi odpisał pod kopertą Elizy.

Twój z Babuina

306. DO BRONISŁAWA TRENTOWSKIEGO

1848, 31 oktobra, Paryż

[619] *i podczas tego obłędu w łeb sobie strzela* — Ob. list do Trentowskiego z d. 25 października 1848 roku. III, 249 i 250. [przypis redakcyjny]
[620] *wychowanie Ksawerego* — Branickiego. [przypis redakcyjny]
[621] *incredibile dictu* (łac.) — nie do uwierzenia. [przypis redakcyjny]

Z głębi serca Ci dziękuję, żeś wczorajszym listem na serce mi, jak na ranę otwartą, zlał balsam uspokojenia. Dopiero od Ciebie się dowiaduję, że Jerzy[622] lepiej i że nie jest w domu onym okropnym, w domu tym, ku któremu tylu teraz zmierza. Dzięki Ci najserdeczniejsze!

Co do mnie, drogi Bronisławie, równością nienawiści wielką i miarową, nienawidzę i czarnych, i czerwonych, bo mara ich zupełnie za to samo. Tak dalece są tem samem, to jest złem szatańskiem, uosobieniem w ludziach, że jedni drugich wiekuiście płodzą i tak sobie koniecznie odpowiadają, jak akorda logicznie następne w generał-basie.

I ja też, jako Ty, czuję, czuję, że chciałbym się zamknąć, np. widnokręgiem Tebaidy jakiej i żadnego brudu się nigdzie nie dotknąć. Ale, ale, prawdziwie boże człowieczeństwo, to żyć śród brudu, działać śród brudu, i zbrodni, a nigdy samemu się nie skalać ni przerażeniem, ni wściekłością uniesienia. Jeden tylko Chrystus na tym planecie absolutnie tak żył, tego dopełnił; po tem poznaję, że bóstwo w nim! O partie! o fakcje! o brak poświęcenia! o pychy ludzkie! o próżności i krewkości koło władzy i sławy! o chciwostki i drapieżności! o ojczyzno zapomniana! o ludzkości nie postawiona jeszcze! o honor zapomnian a cnota nie powstała jeszcze! a więc i bez ojczyzn i bez ludzkości, i bez honoru i bez cnoty! To dzień dzisiejszy! Prawdziwie diabeł w człowieczeństwie, a to, powiadam Ci, wszystko dopiero początki boleści! Wierz mi, ludzie wołać będą do pagórków i skał: „Obalcie się na nas i dajcie zgon!" a nie będą mogli zginąć, i patrzeć będą, co to za skutki, gdy do królestwa bożego biorą się ludzie hipokryci, znający tylko imię królestwa tego, tem imieniem poruszający planetarne potęgi, bo na to imię wszech-stworzenie musi się wzruszyć, a nie umiejący potęg tych prowadzić i stroić, bo bez cnoty są sami, a tylko cnota temi potęgi rządzi. Obudzone więc te demony anielskie, widząc się zawiedzionemi, rozszarpią swoich obudzalników, jak para, źle w lokomotywie kierowana, wysadza i lokomotywę, i kierownika lokomotywy.

Za dni kilka będę, drogi, w Twoich stronach i wtedy Cię zaproszę do Baden, jeśli Ci milej w Baden. Przyjedziesz i wysiądziesz do mnie, więc gospody żadne imienia Twego nie powtórzą. Zastaniesz matkę Elizy, panię Branicką; tam przy niej, rozprawiać nie będziem, bo starzy lubią spokój i ciszę, ale na dole, u mnie, będziem mówić o sądach bożych. Do odzobaczenia.

Twój

Będę Cię prosił, byś mi przywiózł gazety polskie od 1-go oktobra do Baden.

307. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

1848, Bad-Baden, 8 decembra

Mój drogi Ty! Com życzył z głębi ducha dla Ciebie, spełnionem jest. Jużeś nie poseł[623]. — Dzięki Bogu wszechmiłosiernemu! Teraz pamiętaj, na czele Ligi[624] stawaj, schwyć władzę silną dłonią, nie pochlebiaj demagogicznościom, nie dozwalaj mów i przechwałek i głupich wrzasków, ale czyń i prowadź i stwórz potęgę, lecz nie rozhuzdaną, owszem, ohuzdaną! A niemieckie Sejmy i głupie linki[625], parodie dawnych, tęgich, choć piekielnych, porzuć! Widzisz sam — prócz energii mordu, nie ma innej w tem stronnictwie! Także i tego się naucz, drogi, jak to w politycznych sprawach nie należy wierzyć chwilowemu wzruszeniu, błyskowi wieczornych świec czy lamp, odbitemu na kilku bagnetach, i wrzaskom kilkudziesięciu demagogów, podatków odmowę głosujących[626], w zapale, który to zapał nie miał podstaw w narodzie i nic nie sprawił. Wyszedłszy z tego zgromadzenia, myślałeś, Auguście mój drogi, żeś 1/290-tą całości tej olbrzymiej, która przemieniła w jednej godzinie światów postać i dobrała się nieśmiertelnej chwały. Takeś

[622]*Jerzy* — Lubomirski. [przypis redakcyjny]

[623]*Jużeś nie poseł* — Sejm pruski rozwiązano 5 grudnia 1848. [przypis redakcyjny]

[624]*na czele Ligi* — „Liga Polska" w Poznańskiem, zawiązana dzięki inicjatywie Cieszkowskiego. [przypis redakcyjny]

[625]*głupie linki* — lewica sejmowa. [przypis redakcyjny]

[626]*odmowę głosujących* — odmowa uchwalenia rządowi pruskiemu podatków była powodem rozwiązania sejmu pruskiego. [przypis redakcyjny]

Ty czuł, myślał, sądził, a ja tymczasem czułem, myślałem, sądziłem, że to było błazeństwem albo wścieklizną; pierwszem, jeśli się nie opierało na oburzeniu tak powszechnem, że nazajutrz tron w drobne rozłaman kawałki padał na podłogę potsdamską; drugą, jeśli następowało takie oburzenie i taki rozkład społeczny, bo w tej chwili byłby się taki ruch skończył na rzeziach i mordach i komuniźmie, z których trzeba by znów mozolnie się wydobywać i łatać — więc znów strata czasu i strata życia dla tysiąców, czci dla bardzo wielu.

Zatem ani błazeństwu drugi raz nie zaufaj, ani wścieklizny nie admiruj! *Exemplo monitus*[627] a, teraz porzucaj *linki*, porzucaj! Bóg chciał Ci dać naukę; na kurs nieszkodliwy, pełen przestróg i przerażeń, ale jednak nie niebezpieczeństw istotnych, Cię posłać, byś wymiarkował, że między ludźmi a ludzkością przepaść jeszcze, że między wrzaskami a czynem przepaść jeszcze, i że w końcu końców te *linki*, to szuja, to błazny, to tchórze, to i smarkacze nawet! Jeden tylko śród tych wszystkich byłeś człowiekiem i duchem. Nauczże się, Auguście, naucz i nie bądź uparty! Bo Bóg raz tylko takie nauki dawa, raz tylko pozwala człowiekowi tak gracko się wywinąć z takiej plątaniny, a potem go już puszcza, bo ma go za nauczonego i doświadczonego. Biada jemu, jeśli tak nie jest!

Twój ojciec i chory i smutny. Pisze do Ciebie inaczej, niż czuje, bo Cię nie chce ranić. Jeden tylko człowiek, co Ci prawdę mówi zupełną, to ja!

Co chwila na Jerzego czekam. Do Nicei aż po obiorze prezesa[628] pojadę, nie wpierw. Odpisz tu, a jeśli możesz, przyjedź, odpocznij, wytchnij! Gdzie Pius IX? Zniknął — ani słychu[629]. Ściskam Cię i Bogu dziękuję raz jeszcze, żeś *rozwiązany*!

Twój na zawsze Z.

Czyś już dał te 600 fr.? Gdzie Ci je odesłać? Proszę Cię, odpowiedz!

308. DO LUDWIKA ORPISZEWSKIEGO

9 stycznia 1849, Baden

Drogi panie Ludwiku. Odebrałem Twój najukochańszy list wczoraj — dziękuję Ci, żeś nie chciał mnie zmartwić, zgryźć, do beczenia w duchu przywieść, odsyłając mi[630].

Lecz tylkoś zawiesił, odłożył dla mnie smutek ten. Trzymasz mi go ponad głową. Doskonale pojmuję, drogi mój, że nie żadne „*kukuryku*", jak mówisz... Lecz sam rozważ: czasy ponure, wszystkie tego świata akcje ukrzyżowane wiszą między knutem od północy, a gilotyną od południa i zachodu. Kto wie, gdzie kogo burza zaniesie i czy będzie czas wołać śród niej z dala na ukochanych. „Teraz, mówisz, jeszcze nie potrzeba"; dobrze, ale może niezadługo zjawić się, że potrzeba będzie! Więc niech lepiej u Ciebie leżą zachowane aż do tej chwili. Wtedy je wyjmiesz z pularesu i zupełnie tak będzie, jak gdybym ja był z Tobą i mógł Ci był w tej chwili się przysłużyć, tak, jak serce moje pragnie, a Twoje nie odrzuca. I ta myśl, że takim sposobem siedzę w Twoim pularesie, który znów siedzi koło Twych piersi i blisko serca, ta myśl, żem takim sposobem wciąż na rozkaz Twój i gotów wyskoczyć i rzec: „Otom ja!", będzie mi szczęściem. Zatem nie odszczęśniaj mię przynajmniej w tem uczuciu. Bądź mi dobrym i nie odsyłaj nic, drogi mój! Wybieram się, wybieram ku Wam, a wszystko mi oporem: mróz, śnieg, wiszące wypadki, a jednak chciałbym jeszcze i Was ujrzeć, i słońce!

Mickiewicz z Rybińskim i Zaleskim (którego, podchlebiaiąc mu, że pierwszy poeta, przerobił na swego pazia i komerażnika) był u prezydenta i mowę rznął, namawiając do puszczenia się na awantury — prezydent odparł, że „jako Francuz dzieli przywiązanie do Polski z narodem całym francuskim, a życzy, by i inne narody ukochały tak samo Polskę". Czyli, że odpowiedział nic. Widzę, że Mickiewicz się połączył z Rybińskim, którego

[627] *exemplo monitus* (łac.) — upomniany przykładem. [przypis redakcyjny]

[628] *po obiorze prezesa* — tj. po 10 grudnia, dniu wyboru prezydenta rzeczypospolitej francuskiej. [przypis redakcyjny]

[629] *Gdzie Pius IX? Zniknął (…)* — Pius IX. opuścił potajemnie zrewolucjonizowany Rzym i przeniósł się do Gaety. [przypis redakcyjny]

[630] *odsyłając mi* — tysiąc franków, posłanych Orpiszewskiemu. [przypis redakcyjny]

sekretarzem i nosowódźcą jest J. B. Ostrowski. Pisał do mnie Rybiński przed trzema miesiącami list pełen pochlebstw, prosząc, bym się z nim porozumiał. Namyśliwałem się, jak grzecznie odpisać, kiedym się dowiedział, że właśnie pod dni one wraz z J. B. i kilką innymi łajdaki podpisał adres do króla sardyńskiego, w którym Chrzanowskiego i Władysława[631] nazywał zdrajcami ojczyzny. Zarazem tej wiadomości udzielił ostatniemu, a na Rybińskiego plunąwszy w myśli, zachowałem pogardy milczenie. J. B. i Mickiewicz, piękna to będzie spółka!

Biedny Mastai — jaki złoto-dobry poczciwiec, jaki uprzejmy i pamiętny, ale jakżeż niedorosły do zdarzeń! I oni wszyscy tak samo! Szczęście ich, że ich przeciwnicy także smarkacze, skoro ze swoich piwnic wylezą na powierzchnię ziemi i, zrzuciwszy księżycową upiorowość, staną w świetle słońca politycznego!

Odpisz mi tu jeszcze, a zaraz proszę Cię, donieś o Władysławie, i o wojnie, i o sobie, co robisz? Norwida listy częste, ale coraz niezrozumialsze. To sztuka tak pisać, lecz sztuka, nikomu na nic nie przydatna. Biedny, biedny człowiek!

Ściskam Cię z głębi głębin serca,

Twój.

309. DO BRONISŁAWA TRENTOWSKIEGO

1849, 10 stycznia, Baden

Dzięki Ci składam za gazety i przeglądy.

Dziś z Krakowa wiadomość odebrałem, że uniwersytet tamtejszy wezwał Mickiewicza na profesora literatury, albo też jakiej bądź katedry, której by sobie sam życzył — (gdyby np. matematykę lub filozofią obrał) — ale on nic nie obierze i odmówi z przekąsem, bo on marzył, że w Krakowie stanie na czele plemion słowiańskich, na czele krucjaty z żywych i umarłych, z apostołów i attylów, pomieszanych razem, i stamtąd ogłosi narodziny nowej epoki, nowej Słowiańszczyzny itd., itd., więc katedrę odrzuci z pogardą!

Dalej druga wiadomość taka: słyszałeś zapewnie, że jakiś zapaleniec strzelił do Bema, mianując go panslawistą i zdrajcą, lecz nie wiesz, że to wcale nie było szałem u tego zapaleńca, jedno dopełnieniem rozkazu. Otóż Wysocki, naczelnik legionu polskiego na Węgrzech, centralczyk, zebrał swoich i, oświadczywszy im, że Bem zdrajcą (zapewne sprzeciwiał się widokom centralizacji i żądał karności), kazał im na los ciągnąć, kto z nich dopełni na nim wyroku mordem. Los padł na tego młodzieniaszka, który jako urzędnik mordu poszedł do Bema, rozkaz wykonał i kulę mu wpakował w twarz, którą dotąd niewyjętą nosi wypukle Bem na licu, zresztą zdrów. Chcieli żołnierze rozsiekać zabójcę, ale Bem go zastawił sobą, uwolnił, wypuścił. Piękny czyn, ale znać, że morderstwo wchodzi w modę i u nas.

Małachowskiemu list Twój wręczyłem; dziękuje Ci zań serdecznie, jutro do Krakowa rusza.

Prezydent z głupstwa w głupstwo wpada, jest igraszką kobiet najgorszych i intrygantów wszelkiego gatunku. Jego kuzynowie biją się talerzami u niego u stołu, kłócąc się o pierwsze miejsce. Izba nowa, po tej rozpuszczeniu będzie reakcyjną do najwyższego stopnia; Vitel, dawny minister Karola X., Guizot i Duchatel wybrani do niej niezawodnie będą.

Miałem bardzo szczegółowe wiadomości z samej Gaety, od najbliższych krewnych Piusa IX. Zabójstwo Rossego[632] pod koniec oktobra jeszcze ułożonem zostało między Guerazzim, Sterbinim i księciem Canino; oba ostatni potem pojechali do Rzymu i uorganizowali spisek najorganiczniej. Papież nie myślał uciekać, ale 23-go doniesiono mu na pewno, że 25-go mają porwać go i zamknąć w zamku Św-go Anioła, więc 24-go uciekł.

[631] *Władysława* — Zamoyskiego. [przypis redakcyjny]

[632] *Pelegrino Rossi* (1787–1848) — profesor prawa na uniwersytecie genewskim, później w Paryżu, następnie poseł francuski w Rzymie, zginął jako minister państwa kościelnego w czasie rewolucji rzymskiej 15 listopada 1848 roku. [przypis redakcyjny]

Austria silnieje, Węgry jak krowy, co ryczą dużo, a mało mleka dają. Sami się Polacy tylko tam bili, Węgrzy nigdzie, wszędzie się cofali, tylko pełno morderstw popełniali, szczególniej na Słowianach. Słowianie też z swej strony Węgrów wieszają i zarzynają. Paskudztwo: *abominatio desolationis*. Kossut, *der Hauptagitator*[633], teraz już sam nie wie, co począć; wprowadził lud swój, ale go nie wyprowadzi, tak, jak wszyscy gwałtownicy, wprowadzają, ale nie wyprowadzają. Na wyprowadzenie narodów, tak wprowadzonych, trzeba innego rodzaju duchów! Trzeba geniuszów, trzeba Napoleonów, a tylko Francji raz się zdarzyło, że, gdy ją Robespiery i spółka wprowadzili byli w otchłań krwi, błota, nędzy, zepsucia, i duchowej upadłości, że, gdy Europa już na wszystkich granicach groziła jej rozbiorem, pokazał się człowiek wieków i wybawił ją. Ale innym narodom się nie zdarzają takie *Deus ex machina*[634], i teraz Węgry nad przepaścią.

Nie wiem jeszcze, kiedy wyjadę, chorym i smutnym, jak Ty. Tyle klęsk widzę przed oczyma, tyle szyderskich śmiechów szatańskich słyszę, poprzedzić mających uśmiech anielski na ustach wybawionej ludzkości, tyle dni i lat spostrzegam, dzielących nas jeszcze od królestw bożych na ziemi, taki wiew mroźny zalatuje mnie od lodów Sybiru, taki znów krwią przepachły od zachodnich rozstrojów — że czasem, by nie rozpłakać się łzami ócz, muszę klęknąć i rozpłakać się łzami duszy — to jest modlić się do Boga!

Ściskam Cię serdecznie.

Twój

August „liguje" w Poznańskiem.

310. DO CYPRIANA NORWIDA

12 lutego [18]49 r.

[...] Więc w Babilonie! Ach, strzeż się, to otchłań! Zrazu się nią gardzi, depta się po tym bruku, a powoli bruk tak się przypodchlebi podeszwom, tak zacznie szeptać dziwnych pełno powieści im, że przylgniewają coraz bardziej, i wreszcie zlepią się z asfaltem — człowiek cały stanie się niby rośliną, gdyby drzewem tego wszechpotężnego bruku. Tak do oceanu słonego, co z piersi serce mu wymiatał z początku, później przywiązuje się marynarz. Ach, strzeż się tego oceanu kamieni i serc skamienionych lub rozwściekłych! Tam ludzie stają się albo katami z niemiłosierdzia, albo katami z miłosierdzia.

Pierwszymi, bo tyle oglądają podłości i wszeteczeństw potocznych, i fałszu, i sprośności, i przewrotności ducha — a wszyscy, wszyscy egoistami!

311. DO STANISŁAWA KOŹMIANA

14-go lutego 1849, Bad Baden

Drogi Stanisławie! Co do Klaczki prawda historyczna się ma tak: przed dwoma laty, po owym sławnym spacerze naszym w ciemni mgieł i przy salamandrze po górach, list odbieram w Heidelbergu: „Chcąc poznać tego, który tak wieszczy i proroczy itd., itd. (komplementów ciąg itd.), proszę o wyznaczenie mi godziny, a przyjdę, jednak ostrzegam, że moim zwyczajem, gdy do jakiego Polaka się udaję, zawsze wprzód mu oznajmić, żem Żyd, na to, by miał zupełną wolność przyjęcia mnie lub nie, gdyż, w istocie pojmuję ja Żyd, że Polacy mają prawo nas nie lubić itd. — itd.". Taki był sens listu — podpisano: Klaczko. Anim wiedział, skąd, kto, jak — mógł być i szpiegiem, mógł mnie wynęcać na jakie odpowiedzie. Z drugiej strony, przypuszczając, że poczciwy chłopiec, dziwnie wdzierał się w ufność moją, ale znów rozrzewniało mnie, że tak przyjmuje na siebie pariostwo. Odpisałem wtedy tak: „Zapewnie mnie za kogo innego bierzesz i nie mnie chcesz Pan, ale tamtego poznać, bo ja nigdy w życiu żadnych wieszczb, ni proroctw, ni wierszy nie wydawałem. Zatem, skoro się dowiesz, że to nie ta osoba, której pragniesz,

[633] *der Hauptagitator* (niem.) — główny podżegacz. [przypis redakcyjny]
[634] *Deus ex machina* (łac.) — Bóg z maszynerii. [przypis redakcyjny]

tem samem zaniechasz pragnienia zapoznania się z nią, któremu to zapoznaniu skądinąd żadną by przeszkodą być nie mogło i nie powinno, że należysz do plemienia, które śród dziejowych losów ludzkich niezawodnie najarystokratyczniejszem pochodzeniem znaczy synów swoich, bo jest najstarszem, a niegdyś wielkich czynów plemieniem na ziemi". Pytam się teraz, co w tem było tak niegrzecznego, niemiłosiernego, niedobrego? Owszem, w przypuszczeniu, że poczciwy i szlachetny, chciałem mu serce podnieść, chciałem wspomnieć o chwale rodowej hebrajskiego narodu, i dziwno mi, że Żyd tego nie uczuł i za to wdzięcznym mi nie był. Prawdziwy Żyd, pomny Machabeuszów i oblężenia Hierozolimy, nie byłby szukał szyderstwa w tak orzeczonej prawdzie historycznej. Lecz Żyd, na poły nie Żyd, nie chrześcijanin na poły, z duchem zmiękczonym i rozcywilizowanym, pełen pretensyjki nie żydowskiej, ale europejskiej 19-go wieku, tj. żądzy wybłyśnięcia i pychy, źle ukrywanej, rozgniewał się. Już od dawna mi różni donosili o jego monomanii skarg na mnie. Zaręcz go słowem mojem sumiennem, że, nie znając go, a widząc z listu szlachetność, chciałem mu się odpłacić i tom napisał doń, co wydawało mi się w przekonaniu mojem, że powinno wywołać w duchu jego dumną, narodową pamiątkę. Taki był mój cel, taki, a nie inny. Krzywdzi mnie niesłychanie, kto przypuszcza, że, nie znając kogo, że, nie wiedząc na pewno, że niegodny i zły, gotów bym chcieć go upokorzyć i za chleb kamieniem odrzucić, przekleństwo narodowe mu w oczy ciskając. Na miłość Boga! Kto tak sądzi, ten chyba w dniu zwycięstwa sam by mnie, zwyciężonemu, gotów taki cios zadać. Mnie tak postąpić nie sposób by było. Powiedz mu, że, gdym mu to odpisywał dopierom co był czytał dzieło Salwadora o wojnie hierozolimskiej, i że jeszcze chrzęst pancerzy i szczęk mieczów na okopach Hierozolimy brzmiał mi w uszach! Oto masz nerwy młodzieży, nade wszystko jakóbińskie, rozdrażnione, sentymentalno-wściekłe usposobienie. Tak mnie Czarnomski ścigał z gruba materialnie, tak Klaczko z lekka moralnie! Nieszczęśliwy kraj, gdzie każdy ma się za obrażonego, o obrazie swej tylko pamięta, gdy właśnie czas taki, że Bóg wszystkimi obrażon jest i sąd swój gotuje. O tem myśleć, a nie o pysze swojej!

Myślę, że dobrze widzisz rzeczy, kiedy myślisz, że Libelt gotuje upadek Potworowskiemu przez Augusta, o tem ani domyślającego się, a Augustowi znów później przez siebie. Ostrzegałem tysiąc razy Augusta. Bardzo się lękam o Ligę. Moskwa wszystkich środków jakich bądź użyje, by się jej pozbyć, wmiesza do niej swoich, by ją przebękarcić w konspirację i wybuch! Na to, co mi piszesz o kapitałach na wykupienie gruntów w księstwie, odpowiem Ci, że łatwo wyrzec milion, ale trudno go znaleźć. Ani ja, ani Eliza nie odebraliśmy dotąd od Thurneyssena straconych przeszłorocznych, a choćbyśmy i odebrali, to tam i połowy nie ma miliona. Wszystko w zawieszeniu. Co mogę, czynię, ale jak mogę — tj. miernie. Proszę Cię, mój Ty drogi, powiedzże mi, czy Erof. Ci winien co. O to tylekroć Cię zaklinałem już, byś powiedział, ile, a milczysz, jak zaklęty. Nie pojmuję, o kogo Rogier się tak ujął kartoflanym sposobem? Pierwszy raz od Ciebie słyszę; czy żal mu sławy Słowackiego?

Morawski się myli, kiedy twierdzi, że lirycznej polemiki nie ma. Jeśli co zdatnego do polemiki, to liryzm — i liryzm wieczną bywa polemiką. Nim człowiek swarzy się ze skończonością, sprzymierza się z niebem przeciwko doczesności — nim walczy wciąż, jak ostrą klingą światła i zapału, z serca wyrastającą i rąbiącą na wszystkie strony krzyżowym młynkiem świat. Wreszcie bywają epoki, w których klinga ta powietrzniejsza, leksza, a w drugich musi bywać żelaźniejszą, ciętszą. Gdy się rozpada 2 000 lat na szczęty, wolno i poezji stać się orężem rzeczywistym! Wszystko w takich dniach rzeczywistnieje. Sny, ułudy, mglistości uchodzą precz, zostaje się tylko ludzkości grób, a nad grobem Bóg, a na grobie tym klęczący człek, a wokoło hordy szakalów i hien. *Miserere mei, Domine*[635]! — Czytałem Chojeckiego — pyszny styl w służbie najtowiańczyńszego radykalizmu. Piekło przyszłego komunizmu, ukryte zręcznie pod zielonością i kwieciem — tyranii, żądza słowem *miłości* faryzeuszowana wciąż. Styl zaś żywo wybran spod pióra Lud. Blanc w *Historii lat 10-ciu*. Znakomity pisarz, ale człowiek jaki! Przyszłość odpowie. Myślę, że — nadzwyczaj przewrotny.

Od kilku tygodni zapadłem w ciężką grypę a cięższą jeszcze melancholię. Widzę przed sobą czarną przyszłość nad miarę. Nie wiedzą, co czynią, ludzie. Społeczeństwo przywiodą

[635]*Miserere mei, Domine!* (łac.) — Zmiłuj się nade mną, Panie. [przypis redakcyjny]

do odspołecznienia się, cywilizacją do upadku. Skończą tak, jak rzymski świat: on na cezarach, oni, dzisiejsi, na rzeczpospolitach — odwrotny koniec, niemniej *koniec* zawsze. Nikt swego czasu nie rozumie, nikt nie widzi otchłani, nad którą stoi — wisi na włosku.

W Romie piękne dzieją się rzeczy. Żeby Pius był pojął, że powinien zawsze i wszędzie gwelfem być, nie byłby tego puginału na siebie spuścił do rąk wrogów swoich.

Stało się. Światłokrąg z frygijskich czapek czerwieniał na krużganku kopuły ponad grobem Piotra i pod spodem śpiewał ktoś *Te Deum*.

Pisz częściej, proszę Cię, mój drogi. Konst. Cię ściska. Ja z serca sił wszystkich również. Kiedy tylko zechcesz, przybądź tu do mnie, *Blumen-Haus 10*. Nie mogę Ci wypowiedzieć, jak okropną przyszłość, a bliską, już widzę. Gorzkie żale mi prześlesz? *Ludzkość i piekło* nie czytałem. Cóż to za nowy Bzika bryk?

PS. Niech Bóg broni, jaką korektą cieszy się „Przegląd!" Wszelka myśl potwornieje w takiego druku bezkształcie. Jakżeż chcieć, by w czytelników się wpajała, kiedy wygląda na twarz skancerowaną, bez ócz i nosa! Szczególnie poezja nie znosi takich nadużyć zecerskich. Jeśli Ci Twoje one 3 arkusze podobnie wydrukowano, to dziwnie ludzie będą musieli sądzić o rzeczy. *Litera docet, litera nocet*[636] — jeśli gdzie prawdą, to tu. Mam z grudnia i stycznia *Przegląd* z sonetami Konstantego. Za głowę się kilka razy brałem, nie mogąc sensu sam zrozumieć. Cóż to za *Psalmy*, czyje, wyszły w lutym? Prosiłem Augusta, by mi je z Berlina przysłał. Co się tyczy izydorowych papierów, powiem Ci ze wstydem a skruchą, że dotąd nie przejrzane, nie uładnione („*ład*" źródłosłów), a potem wiesz, że ten biedny a poczciwy Izydor czasem nie jest absolutnym ortodoksa. Ach, ręce opadają, słowo zamiera na ustach, bo przeznaczenia idzie ku nam wszystkim rydwan, najeżon w kosy i noże! Jagiernauta wóz! Nie mów nikomu, żem taki melancholik, bo wielu jest, którzy dopiero śmierć uczują po śmierci!

312. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

1849, 20 lutego

Mój drogi Auguście! List Twój wczoraj z 15-go mię doszedł wraz z przesłanemi „Przeglądami", za które Ci serdecznie dziękuję. Prawda, nieraz łudziliśmy się razem nadzieją przemienienia się, a nie przetworzenia się w zgniliźnie i robactwie! Lecz, jeśli pamiętasz, jam to łudzenie się przejął od Ciebie. Jeszcześ mi je do serca wpychał na termach Karakali, mija temu lat dziesięć, pamiętasz? W głębi serca jednak górą mi zawsze smutne biły przeczucia i, od kiedym na ziemi tej, niewiele dobrego spodziewać się umiałem od promieni słońca. Dopiero, kiedy kazano mi wierzyć, wierzyłem — chciałem wierzyć. Sam sobie rozkazywałem Mimo wszystkie te usiłowania wiekuista ku losom podejrzliwość i druga wiekuista ku naturze ludzkiej, kassandrowe mi słowa sprowadzała na usta. O mój Auguście! Z iluż to kielichów goryczy pić jeszcze musim, nim odejdziem z planety tego? Wszystkie austriackie, frankfurckie kroki itp., pochodzą z głównej przyczyny, że wybrali się iść w królestwo boże, a bez Boga. Chcieli gmach postawić, a wapna nie mieli, tylko cegieł kilka. Słowa Machiawela, które przeczytasz, a które taką prawdą na dziś wszędzie, dowodem, że natura ludzka, że wola ludzka nie odmieniła się od wieków czterech, choć inteligencja się rozszerzyła i wzrosła nauka. My zaś od samego początku wypadków także, jak błędne owce, działaliśmy. Zawierzyliśmy zrazu umizgom demagogicznym — mieliśmy demagogów za ludzi! Naiwne z nas istoty! Tymczasem z tego wszystkiego wypada, że wewnątrz, u siebie, rozspołeczniamy się coraz gorzej. Coraz dalej pokolenia nowe od poprzednich odbiegają. Będzie kiedyś u nas nie już nawet komunizmu społeczna walka między posiadającymi, lecz jeszcze głębiej w rozstrój zapadająca bójka, bójka już w okręgach natury między 40-sto a 20-sto letnimi! Może też między kobietami a mężczyznami — między rodzicami a dziećmi! Jeszcze do tego dojdzie, bo celujemy we wszystkich przesadach! *Dii, avertite omen*[637]!

Rzeczpospolita w Romie, we Florencji, papiestwo rozdeptane! Papież powróci za pomocą zewnętrznej przemocy, tak samo jak Rzplta stanęła za pomocą wewnętrznej prze-

[636] *litera docet, litera nocet* (łac.) — litera poucza, litera szkodzi; przen. o słowie, szczególnie pisanym; o literaturze. [przypis edytorski]

[637] *Dii, avertite omen* (łac.) — bogowie, oddalcie złą wróżbę. [przypis redakcyjny]

mocy. Lecz papiestwo samo czy powróci? Snadź z serca ludów włoskich wyszło na dobre. A taki wiek, taki czas, że w niem jednem jeszcze zaród władzy chował się przed oczyma narodów. Gdy i ten pierwiastek wymarł, a inny, następny, daleko gdzieś jeszcze w mgłach przyszłości, osierocieje ziemia i będzie jedną wielką, rozpasaną anarchią! Bez idei władzy stać nic nie może na tej ziemi — a idea ta zupełnie wyprowadzona z umysłów. Są tylko dorywcze fakta władzy, tj., że, kto pięścią silniejszy, czy z prawic, czy z lewic rodem, rządzi na czas, bije i depta i panuje! Tak samo być musiało po rozejściu się od gmachów niedokonanych wieży babelskiej. Darmo! Bóg sądzi i karze ludzi; nim sąd i kara dopełnione, zórz nie ma nowych. Z drugiej strony także darmo, natura człowiecza jeszcze anielską nie jest; jakiś pierworód zguby i poniżenia tkwi w niej. Dzisiejsza bezwola dowodem. Bezwola zaś wiecznie się przemienia w swawolę, swawola przechodzi w obłąkanie, obłąkanie w zezwierzęcenie — i *farewell World* zamiast *King*[638], tak, jak stoi w Szekspirze!

Ksawerego[639] donieśli do ambasady[640], że rozmaite rzeczy robi; wtedy kazano mu wrócić — nie wrócił. Wtedy go odsądzono od żywota cywilnego i skonfiskowano majątek. Naturalnie, że jemu samemu lepiej z tem. Jakieś smutne nad wszelką miarę przeczucia owładają mną, czuję się chory i fizycznie. Masz wielką prawdę, że, gdy zagniję się na jakiem miejscu, zaraz mnie diabli biorą; a tak cierpię wciąż, że w istocie czuję, że lepiej mi było nie urodzić się!

Mój ojciec wczoraj mi pisał tylko słów kilka, że zapadł w grypę mocną, przesyłał mi błogosławieństwo na 19 lutego, na mój 37-my rok — w tym samym dniu i Twój list przybył. Ogromnie więc się duch mój roztroszczył o ojca mego. Żałobne mi tylko widzenia stoją przed oczyma i rozpruwają już i tak rozprute serce! O mój Auguście, módlmy się do niebios, by nam jak najdłużej naszych ojców zachowały, bo, gdy znikną, wtedyć dopiero to poczujem się sierotami!

Wolę kończyć, niż tak ponuro pisać; i Tobie nic dobrego, i mnie też z takiego listu. Bóg Cię obłogosławiaj i prowadź i natchnieniem darz!

Twój do zgonu

Furiis.

Pani D. ciągle w Babilonie — Natalia gdzieś z mężem[641] ściganym kryje się, błąka, ucieka po maremmach włoskich. Eliza nieco lepiej na zdrowiu — Władysław[642] tędy przejeżdżał do Babilonu, a wraca wkrótce do Turynu. Legion[643] przyjęt. On i Breański i Chrzanowski w wielkich łaskach u wnuka panny Krasińskiej[644]. Ściskam Cię serdecznie. Kiedyż się naprawdę uściskamy?

O Jerzym nic a nic nie słyszę!!!

313. DO CYPRIANA NORWIDA

1-go kwietnia [18]49 r.

[...] Od rzezi galicyjskiej serce nie bolało mię tyle — od rzezi galicyjskiej łez tyle nie wyszło mi gwałtem z ócz, co na wieść, z oddali przyleciała. Przegraną pod Nowarą jest przegraną miary i stroju wszelkiego w rzeczach wieku tego. Zwycięstwo 85-letniego Radeckiego (i to figura dziwnie epopeiczna) zasieje najgłębszą, najnieodzowniejszą anarchię umysłową i sercową w Italii. Papieża powrót, konieczny po tem zwycięstwie i koniecznie z niego wynikający, choćby sam papież nie chciał. oddzieli Italię od religii wszelkiej.

[638] *farewell World (...) King* (ang.) — bądź zdrów, świecie [zamiast] królu. [przypis redakcyjny]
[639] *Ksawerego* — Branickiego, szwagra Krasińskiego. [przypis redakcyjny]
[640] *donieśli do ambasady* — rosyjskiej. [przypis redakcyjny]
[641] *Natalia gdzieś z mężem* — Natalia Komarówna, siostra Pani Delfiny, wyszła za mąż za hr. Spada-Medici. [przypis redakcyjny]
[642] *Władysław* — Zamoyski. [przypis redakcyjny]
[643] *Legion* — Polski we Włoszech. [przypis redakcyjny]
[644] *u wnuka panny Krasińskiej* — tj. Karola Alberta, króla Sardynii. [przypis redakcyjny]

Są zwycięstwa widome, które bywają niewidzialnemi przegranemi; ci, co cieleśnie wygrywają, moralnie przegrywają — i moralna przegrana, wcisnąwszy się pod ziemię, pali i spopiela ostatnie nitki społeczne, aż wybuchnie wulkanem znów, który ślepo wszystko zmiecie na powierzchni ziemi, bo już nic w sercach ludzkich statecznego, wiernego i pewnego nie zostanie. To, co mówię tyczy się przyszłości. Co do teraźniejszości, wielki to przykład i straszna nauka dla nas — a wątpię, byśmy ją do ducha wzięli. Co na polach Nowary mimo bohaterskich męstw zwaterlowało ostatecznie sardyńskie hufce? Oto ideologia izb turyńskich, demagogia florencka i rzymska, przekonanie w wojsku, że rzeczpospolita z tyłu stoi, a w narodzie, mieszkańcach bojaźń tejże. Mieszkańcy Piemontu wszędzie Austriaków przyjacielsko powitali jako zbawców. Nikt się nie ruszył, nikt nie powstał, a w końcu bitwy rozstrojone i rozsprzęgnięte pułki przeklinają króla; strzelały w palącej się Nowarze do niego i do księcia sabaudzkiego. To do ucieczki zmusiło Karola Albrechta, w którym niezawodnie krył się duch bohaterski, to zmusiło do zawarcia pokoju jego następcę. „Ideologia" nazywam, kiedy chcący ideę wcielić w rzeczywistość niezgrabnemi kształty, niezrozumiałemi i niepojętemi przez naród cały ją oblekają. To są „ideologi", bo tylko logują, tj. prawią o idei, ale jej nigdy nie przeprowadzą i zwycięstwa jej nie zapewniają. To się stało w Italii, to w Piemoncie. Mazziniści porwali się śmiało, ale nie przeciwko Austrii, tylko przeciwko papieżowi, w-kim książętom i królom. Szło im o *dominationem*[645] dla siebie. Gdyby przeciwko Austrii dla wywalczenia narodowości italskiej, to powinni byli pojąć, że trza nie rozdzielać kraju na fakcje, ale, owszem, jedną iskrą kraj przepalić, a pod kształtami, które zastali — bo nikt przez wewnętrzne rozdarcie siebie samego nie pokona wroga zewnętrznego. Kto wierzy, że to podobieństwem, ten albo zupełnie bez zmysłów, albo faryzeusz absolutny! Cóż więc się stało? Śmiała a bez ojczyzn, mniejszość opanowała wszędzie rządy, nawet w Turynie, deptając po uczuciach i wiarach większości. Większość zachowała się gnuśnie i biernie, bo żadna iskra nie płonęła — dała więc tym kilku opanować stolicę i władzę. Lecz, że nie zrozumiała ich teoryjek i nie kochała się pod tą formą idei, gdy obcy najezdnik przybył, zachowała się również tak samo, tj. biernie i nawet najezdnika przywitała dość łaskawie jako tyrana, co ją uwolni od tyranów. Wojsko to samo szło co i ludność cała — zatem było Waterloo przez dzień jeden, ale nie mogło być wojny i wywalczenia. Mazzini Italię zgubił dla próżnostki swej. — *Omnia serviliter pro dominatione*[646], bo to straszny serwilizm względem pychy własnej swej kraj swój zarznąć na długo. Król sardyński byłby zwyciężył, gdyby w Turynie rzeczpospolita nie czyhała na zwycięstwo — i byłby wtedy zbawił Italię, kto wie, może świat cały! — Teraz wcześniej czy później same kataklizmy i *Apokalipsis*[647] będą!

314. DO STANISŁAWA KOŹMIANA

17 kwietnia 1849, Baden

Mój drogi! Cóż chcesz — od ciemnego pisania nie odzwyczaisz umysłu ciemno pojmującego, ciemno, nie jasno widzącego obrazy wewnątrz siebie[648]! Te dwa wiersze zapewne znaczą, że Pan taką rzeczą ukoi świat i przetnie rozstrój, która nagle robakom, myślę, że to znaczy pysznym i bluźniercom, wyzuje pychy i sił — przekona ich, że są głupi! Coś to takiego być musi. — *Gorzkie Żale* zarazem przeczytał. Śliczne, męskie, wdzięczne wierszowanie. Ustęp, co się zaczyna: „O Panie, ja cię co dzień stokroć błogosławię", bardzo piękny. Ale czasem powtarzalność jest tej samej myśli przez kilkanaście wierszy — czasem ton raczej kazania, niż liryki. Nie ma poety, któremu się to nie wydarza — lecz na to jest mazanie po ukończeniu. Każdy, kto pisze, nie może od razu wymiarkować miary optycznej dzieła. Jemu się zawsze wydaje, że nie dość wyraził — a tymczasem przewyraził już myśl lub uczucie swe. Obraz w końcu aniołów od nieba po ziemię prześliczny, przypominający obrazy najmodniejsze szkoły włoskiej. Strofa: „Polska mowa ma

[645]*dominatio* (łac.) — panowanie. [przypis redakcyjny]

[646]*Omnia serviliter pro dominatione* (łac.) — wszystko w sposób niewolniczy dla zdobycia władzy. [przypis redakcyjny]

[647]*same kataklizmy i* Apokalipsis — tj. klęski, o jakich mowa w *Apokalipsie* św. Jana. [przypis redakcyjny]

[648]*od ciemnego pisania nie odzwyczaisz umysłu ciemno pojmującego (…)* — mowa o wierszu C. Norwida, posłanym za pośrednictwem Krasińskiego St. Koźmianowi dla „Przeglądu poznańskiego". [przypis redakcyjny]

świetlana" wdzięczna, polotna, skandowna, tryskająca mocno w górę. Co chwila wielkie, nagie prawdy, i wyborne wiersze. Zarzucam tylko pewien gatunek jednostajności, dłuży, powtarzania się — to, com na początku wyrzekł.

Teraz o Trentowskim. Widziawszy się z Tobą przeszłego lipca pod 38, w kilka dni później się z nim obaczyłem. Wtedy czytał mi już ukończoną *Przedburzę*, w której były cytacje z D. D. i Ost.[649] — i zaraz mi mówił: poznałem — to Skapy! Na com niezmiernie mu serio odpowiedział, że się myli, że nie Skapiczne, ale Twoje. Przyjął za *factum* — i dlatego w *Przedburzy*, przeczytaj ją od deski do deski, nie znajdziesz nigdzie, by on odnosił swe cytaty do Orła, nigdzie a nigdzie, zawsze mówi: „Wieszcz powiada"; zatem fałszywie Ci mówiono.

Jakżeż nasi republikanie obłudni, mali, podstępni, przekręcający wszystko! Wycinek z „Gazety Poznańskiej" Ci posyłam. Jedno tylko słowo wypuszczone, a to słowo cały sens odmienia. Słowo zaś wypuszczone to słowo: „*Demagogów*", następujące po słowach: „*pod jarzmo*". Wiesz, warto by do Gazety napisać o tem słówku odezweczkę i zapytać się jej, czy o podobne rzeczy nie skarżą zawsze liberały na jezuitów i doktrynerów. Bez słowa „*Demagogów*", wydaje się, jakby Chrzanowski wiedział o konspiracji króla i arystokracji na wydanie wojska w dniu bitwy jarzmu austriackiemu. Lecz ze słowem „*Demagogów*", które w liście Chrzanowskiego stoi i przez wszystkie francuskie gazety powtórzonem było, pokazuje się zaraz, że to Rzeczpospolity zgubiły i wojsko na duchu, i ojczyznę na zwycięstwa możności. Udziel tej uwagi mojej bliższym. Z małych szczegółów niech sądzą o obłudzie partii! Król nowy sardyński zakochał się w Chrzanowskim, a wojsko całe go czci i trzyma się jego, jak kotwicy. Chrzan. dziś rządzi Sardynią. Weissenhof zapewne w tych dniach brał szturmem Sobolewskiego, bo Sobolewski był w Genui, a Weissenhof w dywizji Lamarmory. Władysław, 22-go dopiero z Paryża wyruszywszy, przybył już po klęsce[650] — więc żyw. Witołd też zdrów — Szemiot też, jedno z spuchniętem gardłem i ręką od krzyczenia i walenia pałaszem w własnych żołnierzy uciekających. Breańskiemu też nic się nie stało. W Paryżu Czerwoni bardzo osłabieni, kiedy pod pozorem Włoch nie wystąpili po czerwcowemu. Jednak wciąż trwają w zamiarze wystąpienia. Co do Ksawerego, fałszem, by pomagał „Peuplowi" ale okpili go najszkaradniej z tą obrzydliwą „Trybuną Ludów". Ona jego kosztem i kosztami wyrosła, a wyrósłszy, pokazała się jakby siostrą „Peupla" rodzoniuteńką! Co tam za bezecne wciąż artykuły! Przepowiadam jej redaktorom, że kiedyś sami Francuzi się oburzą na cudzoziemców, chcących dom cudzy wywracać, i ich ubiją! Biedny Ksawery! O biedni, biedni wszyscy nasi, którzy zaufali propagandom i demagogom! Rozranią i rozszarpią samych siebie — ojczyznę rozranią i rozszarpią też — i tylko pamięć wielkiego bezeceństwa i szału zostanie. Towiański z Awinionu znów na Górę Ezel się przeniósł. Wciąż twierdzi, że jeszcze nie czas i że wszyscy, co do Włoch poszli, niesłychanych klęsk doznają. O to się z Mickiewiczem poróżnili. Spokój nadzwyczajny ma być jego cechą, jak Mickiewicza nadzwyczajne rozdarcie. Eliza wciąż z małymi w Paryżu — i ja tu wciąż w trosce wielkiej, bo tam cholera się dąsa. Łączę tu 50 funt. sterl. jako część moją do składki na „Przegląd". Jeśli później nie zbierze się tyle, ile potrzeba, to znów mi napisz, a szczerze mi będzie miło zdać się na coś zacnemu „Przeglądowi". On jeden zacny na całym obszarze miotanej konwulsjami ziemi naszej. Ściskam Cię z głębi serca, mój drogi Stasiu, i proszę Cię, pisz trochę częściej, pisz trochę dłużej, pisz po staremu. Orp. i Konst. Cię ściskają.

Twój Erof.

315. DO STANISŁAWA KOŹMIANA

Bern w Szwajcarii, 31-go maja 1849 r.

[649] *D. D. i Ost.* — *Dzień dzisiejszy* i *Ostatni*, utwory Krasińskiego. [przypis edytorski]

[650] *Władysław, 22-go dopiero z Paryża wyruszywszy, przybył już po klęsce* — mowa o stosunkach sardyńskich i o klęsce, jaką wojska sardyńskie, dowodzone przez jen. Chrzanowskiego, poniosły 23 marca 1849 r. pod Nowarą w walce z armią austriacką. [przypis redakcyjny]

Mój drogi! Z Elizą, dziećmi, Wojewodą, Konstantym, Orpiszewskim, Kajsiewiczem, z Baden tuśmy się przenieśli. Lecz, ledwiem tu przybył, dowiedziałem się o srogiem nieszczęściu, spadłem na mnie. Doktor przywołany mi oświadczył, że mam z drugiej strony ciała tak, jak już na jednej, rupturę — że muszę odtąd dubeltowy pas nosić. Tu nie ma takich — posłano do Paryża — więc z 10 dni w łóżku muszę leżeć. *Fiat sancta voluntas Dei*[651], ale pojmiesz, żem w rozpaczy — czuć się kaleką o takiej porze, śród trzęsień i wulkanów! O mój Stanisławie drogi! O mój drogi! Okropnie mi jest! Krótko więc odpisuję na Twój długi, pełny nowin list, dziś tu z Baden mi przysłany: Jeden Ojciec Niebieski wie, co będzie, co się stanie, co wypadnie. Wcześniej czy później Polska będzie, byleby w *imię Pana*, a nie w imię tych, którzy bluźnią Panu! Pamiętasz, jak się kończy „Dzień Dzisiejszy"?. Umieraniem wieszcza. Ach, podobno sprawdziło się, bo jużci kalectwo śmiercią, bezbytem! Pisz tu do mnie, bo tu pono jeszcze z 15 dni będę — a potem może do Interlaken — może do Cheliusa, gdy będę wiedział, gdzie on to lato przepędzi, a potem do Babilonu, by sprawić sobie zupełnie dobre, pasujące owe sprężyny nieszczęśliwe. Nic nie wiem o zdaniach Tańskiej o *Nieboskiej* i etc. W takiejem rozpaczy, że już mnie sądy ludzkie nie obchodzą. Może ona i prawdę ma, bo zapewnie gani. Bóg Cię strzeż, drogi Stasiu mój! Konstanty Cię ściska, Wojewoda także.

Twój Z.

316. DO CYPRIANA NORWIDA

1-go czerwca 49 r.

[...] Odwieczne to dzieje! Od kiedy świat się burzy i żyje, tacy zdarzali się niegodziwcy i zdarzają się dzisiaj. W tem się najsrożej mijasz z ludzką rzeczywistością, kiedy od jednych wymagasz, by aniołami byli, od drugich zaś niczego, nawet tego by wściekłymi tygrysami nie byli. Jednostronnyś i niesprawiedliwyś. Żyjesz żywotem albo bożym, albo pośmiertnym, ale nie w czasie, nie śród ludzi i z ludźmi. Żyjesz w wieczności. Wszystko, co mówisz, wiecznymi prawdami — zapominasz zaś, że dopiero rozwojem powolnym zdarzeń czasowych wiecznie się tu prawdy wyrabiają. Zaprawdę Ci oświadczam, że 24-go lutego[652] nie przybliżyło się, ale oddaliło królestwo boże na świecie tym; to *frazes*, tylko *frazes* o niem wpadł w usta brudne i w ręce, spragnione krwi i gwałtu. Z jednej strony gwałt pychy, z drugiej pycha gwałtu świat między się podzieliła. — Ty się spodziewasz tęcz z tego złotych, a tylko ujrzysz krwi strumienie i błota obszary. Strzeż się litości dla niegodziwych, bo to litość sztuczna, bo to wykrzywione uczucia... Dopóki mogę, ostrzegam, a czynię to przez miłość, przyjaźń, przywiązanie — nie myśl zaś, bym chciał z katedry uczyć. Nie dość już młody jestem, bym mógł myśleć, że można czego bądź nauczyć kogo bądź. Doświadczenie tylko, klęska tylko i nieszczęście nauczają, bo przez nie nauczycielem jest Bóg sam!...

Ludzi do głębi znaj — to Ci najwięcej pomoże do urzeczywistnienia cokolwiek dobra w sferach ludzkości. Dopiero zasługą przed Bogiem: ludzi znając, kochać ludzkość! To najwyższy szczyt miłości...

Zgadzam się z Tobą że wszędzie rozdarcie, brud, zło lecz, co do Francji, myślę, że tacy ludzie, jak Changarnier[653] są ostatnimi ojczyzny francuskiej, upadającej przez demagogów, zbawicielami. Gdy się dom pali, trzeba ratować — nie czas teoryj robić o chemicznych pierwiastkach ognia...

Miej więcej prostoty, a mniej podejrzliwości i drażliwości — nie myśl o jednych, że są aniołami, czy osobach czy stronnictwach całych, bo takich aniołów nie ma zewnątrz Ciebie, są tylko wewnątrz ideału Twego. — Lecz skądinąd nie posądzaj drugich, że ich celem nie oddać Tobie, co się Tobie należy, to jest: kochania, przyjaźni, szacunku, uznania

[651] *Fiat sancta voluntas Dei* (łac.) — niech się stanie święta wola Boga. [przypis redakcyjny]

[652] *24-go lutego* — 24 lutego 1848 zwycięstwo rewolucji i ucieczka króla Ludwika Filipa z Paryża. [przypis redakcyjny]

[653] *Mikołaj Changarnier* — rojalista, dowódca załogi paryskiej, przez lud nielubiany. [przypis redakcyjny]

wszystkich Twoich zalet, przymiotów, zdolności — bo ludzie, choć nie bywają aniołami, nieraz mają serce tkliwe, dobre, chcące ukochać i sprawiedliwość oddać...

[...] Jeśli mi dozwolisz prawdę Ci powiedzieć, staraj się ludziom wyraźniej i jaśniej kłaść w dusze ideę Twą. Trza być bratnim, miłosiernym, kochającym. Jasność zaś w mowie i piśmie jest mowy i pisma bratnią dla ludzi miłością.

Ciemność zaś egoizmem — bo Ty używasz i rozkoszujesz, a ludzie nie używają i nie rozkoszują. Jak arystokrata się z niemi obchodzisz. Tu potrzeba być demokratą. Jedyną tę uwagę Ci tu piszę: światło powinno być sztuki oddechem!...

Wszystkie giętkości, wszystkie skarby, wszystkie żyźnie i morza, i lądy, i błękity leżą utopione w Tobie — ale nie rozcinasz dość wód od lądu, nieba od ziemi. Nie skończenisz dość nieskończoności swej. Brak Ci tej smętności, która zwie się opisaniem i ograniczaniem, a bez której jednak nie odpozna się nigdy duch ludzki w tworze sztuki. Nam, śmiertelnym, trza śmiertelności obok bezmiaru!...

317. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

Bern — 1849, 29 lipca

Mój drogi Ty! Rozpacz mię żre i żre, i żre. Stałem się Nabuchodonozorem na łące — biednym!

Eliza znów do newralgii wracała. By ją przerwać, kazał jej doktor do Interlaken na parę dni. Pojechała z Sobolewskim i Wojewodą. Ja nie mogłem nawet tam pojechać. Bandażysta znów z Paryża przyjechał i przymierza mi pasy[654], a ja, przymierzając przez kilka godzin na dzień, dostaję napadów nerwowej fiksacji.

Ojciec wciąż a wciąż pisze, że konfiskata, jeśli 1-go oktobra nie stanę[655]. Otchłań, otchłań, otchłań! Skoro będę mógł, stąd ruszę, zawlokę się do Baden, do Cheliusa, i zaraz Ci doniosę.

Ja myślę, żem już zwariował, tak dalece nerwy mną trzęsą i pogląd mój na świat nienaturalny. Rozpacz i rozpacz, bojaźń o każden krok.

Szklanny człowiek ze mnie. Nie wiem, co się ze mną stało. Ta newralgia mi dała pomieszanie zmysłów.

Pani D. w Spa; ma odwiedzić mię w Heidelbergu i pożegnać.

Myśl, że tej zimy skonam w Warszawie, ugważdża się coraz mocniej w mózg mój.

Ściskam Cię i błogosławię Ci.

Twój Zyg.

318. DO LUDWIKA ORPISZEWSKIEGO

1849, Heidelberg, 23 sept.

Mój drogi! Napisz do Mastaia, że gdyby w tych czasach odebrał memoriał jaki lub akta jakie, tyczące się stanu Czech lub czego innego od Jerzego Lubomirskiego, to go proszę, by uważał to jakby ode mnie samego. Zdaje się, że Czechy wkrótce powiedzą Ś[więte]mu Piotrowi: „Nie służymy więcej!" Protestantyzm i husytyzm je sobie rozbiorą na dwie połowy. Jerzy chce ostrzec o tem głowę Kościoła. Co za nieszczęście! Te wszystkie listy z wyspy Ś-go Ludwika Nr 2[656], które wciąż wpadają w ręce gazet niemieckich i bywają ogłaszanemi!!!

Kiedy zacznie ścigać nieszczęście, to już wytchnienia nie da. Ogromnie się troskam o naszego Drogiego[657], żeby go czasem pół księżyca nie zdradziło! Jeśli będziesz go mógł

[654] *Bandażysta znów z Paryża przyjechał i przymierza mi pasy* — przeciw rupturze. [przypis redakcyjny]

[655] *Ojciec wciąż a wciąż pisze, że konfiskata, jeśli 1-go oktobra nie stanę* — rząd rosyjski groził konfiskatą majątku Krasińskiego, jeżeli nadal przebywać będzie za granicą; jako ostateczny termin powrotu oznaczono dzień 1-go października. [przypis redakcyjny]

[656] *Te wszystkie listy z wyspy Ś-go Ludwika Nr 2* — Stronnictwo Czartoryskich. [przypis redakcyjny]

[657] *o naszego Drogiego* — Wł. Zamoyskiego. [przypis redakcyjny]

widzieć wkrótce lub doń napisać, powiedz mu, że jedyną był, dniem i nocą, myślą moją, gdy Europę porzucał, że wciąż Boga o jego całość błagałem — i że go błagam, jego samego, by się teraz już nie puszczał na żadne dalsze błędy, lecz spokojnie wytchnął, a wiedział, że jeszcze będzie powołan, i to do sroższych trudów i mąk, niż te, co przeszły. Bo świata koleje pójdą parowym pędem.

Coraz więcej będzie bez Boga w sercach, coraz więcej rozruchu na ziemi, coraz więcej i niebezpieczeństwa zatem. Niech tego pewny będzie. Bo, choć na chwilę się wyda, że porządnie, że martwo, że karnie, to wszystko tylko złudzeniem, tylko partii jednej zwycięstwem, a partia tylko na krótko zwycięża. Nie w mocy ni w naturze stronnictwa żadnego na długo zwyciężyć i stale panować. Zatem niech wie, że wkrótce znów się rozkołyszą bałwany, a stokroć niebezpieczniejsze, niż pierwszą razą. Kolor ich będzie całkiem odmienny — z żywej albowiem purpury będą! Wtedy trza będzie, jak w arkę Noego, ratować tonącą zacność w świecie. Wtedy istotnie cnotliwych i silnych rozpocznie się era męczeńska — powiedz mu to wszystko! Niech go utrzymuje w spokoju i nienarażaniu się przez czas — niech go to ochroni nam!

Jedź do Romy — niech Kurlandia do Ciebie przybędzie, a w jakimbądź razie pamiętaj na panią D. — i czasem, wszedłszy do jakiego z kościołów rzymskich, zmów *Zdrowaś Maria* za mnie!

Twój z Babuina.

Wojewoda[658] do Paryża — Gaszyński do Porentruy pojechał, a potem do Aix en Provence.

319. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

28 kwietnia, Warszawa, 1850

Mój drogi Auguście! List Twój z 28-go marca, dokończon 15-go kwietnia, odebrałem przed tygodniem, a dotąd nie mogłem się zebrać na odpowiedź, tak mi albowiem źle jest, tak mi brak siły wszelkiej, i coraz bardziej brak. Nie wyobrazisz sobie stanu chorobnego mojego. Tak, jak w Bernie, znów co dzień po kilka nerwowych napadów, a wewnątrz duszy (tj. mózgu) melancholia bez granic.

Czasem dość mi tylko pióro w rękę wziąć, aby zaraz wpaść w drżączkę i mimowolny płacz — ot i w tej chwili już się trząść zaczynam. Marzy mi się czasem, że mam naprawdę to, coś Ty marzył nieraz, że masz, tj. żywotnych soków niewidzialny upływ. Bo takiego rozkładu całej natury nic innego mi wytłumaczyć nie może. Jedź do Campotertio, mój drogi, odetchnij powietrzem gór, dość się już napiłeś mgieł płaszczyzny. Ja jeśli wyjadę, to dopiero na morskie kąpiele, w auguście. Chciałbym przez Heidelberg do Diepu. Tam ostatni raz w życiu zdrowszym się czuł, potem zapadłem i jużem się nie podźwignął.

Wdzięcznym Ci ogromnie, żeś zapomniał o liście pani Handley. Wszystko, co mogłem, uczyniłem dla niej — więcej nie sposób mi. Szturmuje od roku do mnie wszystkiemi sposoby i drogami — ja zawziąłem się milczeć, bo prócz milczenia nic już dla niej i ku niej mieć nie mogę.

Kiedyś będziesz żałował, żeś nie chciał zwrócić serca ku moim namowom, ale Bóg może Ci zdarzy jeszcze, że uczujesz mięniejącą pod tym względem w sobie duszę. Przeczytaj *Felicytę* Odyńca[659], szczególnie od kartki 142 do 151-szej i od 180 do 188-ej, proszę Cię, przeczytaj! Stanął w poprzek między twierdzącymi, że nigdy, nawet cnotliwym, królestw tu być bożych nie może, a utrzymującymi, że nawet niegodziwym należy się królestwo boże. Dwa te błędy jednostronne zarówno odparł, a natchnieniem i wierszem takim, jak rzadko. Obowiązuję Cię, przeczytaj — ślad *skijanizmu*[660] widny. Tym wiewem tknięty umarł Juliusz w obłąkaniu, p. Edward się z mierności podniósł aż do wzniosłości. — Dziwne ścieżki, dziwne i Pańskie, i szatańskie na tej kuli ziemskiej.

Straszne to zapytanie Piłata: „Co to jest prawda?". Gdy wiek jaki zginąć ma tak się pyta, a, zapytawszy, ginie! Bóg Cię strzeż i obłogosławiaj.

[658] *Wojewoda* — Stan[isław] Małachowski. [przypis redakcyjny]

[659] *„Felicyta" Odyńca — Felicyta czyli męczennicy kartagińscy. Dramat w 5 aktach*, Wilno, 1849. [przypis redakcyjny]

[660] *ślad skijanizmu* — towianizmu. [przypis redakcyjny]

Twój Furiis

320. DO KAJETANA KOŹMIANA

Warszawa, 29 kwietnia 1850

Czczony, podziwiany, kochany przeze mnie a wciąż łaskawy na mnie Panie!

Odebrałem wiersz, oddałem komu należał[661]. Odpisać on chciał zaraz, nie mógł, a ja niemoc tę pojmuję, bo sam od roku z górą i co dzień głębiej zapadam, w tem całkiem podobny do wieku i świata tego, który się powoli rozstrajając schodzi w jakieś ciemnice. Piękny to wiersz. Strofy, kończące się temi słowy: „Niechaj truchleją szczęśliwi", wstrzęsły mną całym od stóp do głowy[662]. Tkwi w nich niebotyczny hart. Wszystko, co nas dokoła otacza, wszystko, co się dzieje za dni naszych od lat trzech, czyli raczej dwóch i pół, już, zdaje się, działo się w Rzymie, bo doskonale wszystko Tacyt opisał. Słowa jego niektóre stosują się przedziwnie do stronnictw, rozdzierających nasze społeczeństwo. I tak, pewnym można by powtórzyć: *Professoria lingua regimen orbis expostulans*[663]. Wszystkim zaś bez różnicy: *Conscientiam generis humani aboleri arbitrabantur*[664], i owo drugie: *Omnia serviliter pro dominatione*[665]. Jedni albowiem mają się *serviliter* ku duchowi złego, ku szatanowi, kuszącemu ich i osiadłemu w nich; z czego wypada, że jedni i drudzy zarówno podłymi są, a ciągle o jeden cel, a tym jest *dominatio*. Święty Tacyt!

Skoro się na siłach poczuję, dłużej napiszę. Dziś tylko chciałem dowieść tem kilkosłowiem wdzięczności mojej, i prosić o ciągłą łaskę nad najprzywiązańszym bardzo i bardzo schorowanym.

321. DO KAJETANA KOŹMIANA

(Czerwiec, 1850)

Drogi, łaskawy Panie! Nie dzielę wyrażonego w liście, dopiero co odebranym z rąk Jędrzeja, zdania. Przeszłości, ze składni czasu wiekuistej, nikt nie wytrąci, tak jak z Trójcy Bożej żadnej z osób, w niej współistniejących, nikt nie wyruguje. Czas ani na chwileczkę jedną nie okaleczeje dla przypodobania się wrzeszczącym reformatorom, i przeszłość, ta matka wszech teraźniejszości i przyszłości, których sam Bóg jest ojcem, nie tylko, że nie osłabnie w pamięci ludzi, ale mojem zdaniem wyidealizuje się, spięknieje i spotężnieje w ich sumieniu. Z wszelką przeszłością tak bywa: im dalsza, tem urodziwsza; im urodziwsza, tem od serc ludzkich kochańsza. Teraźniejszość jest bólem doskonałym, co chwila doznawanym. Zapomniane zaś bóle przeszłości i nieprzewidziane przyszłości, odejmują, że się tak wyrażę, wszelką cielesność im obu, i tem samem przemieniają się niejako na duchy niebieściejesz, niż jedna była i niż druga będzie. Stąd pochodzi, że obie należą do wieszczów, i że miłość ku nim po duszach ludzkich rozprowadzają wieszcze. Zatem, łaskawy i drogi Panie, nie martw się, ni w żadne nie wpadaj powątpiewanie względem wrażenia, jakie wywrze *Czarniecki*. Rad bym go widzieć jak najprędzej na świat wyszłym, i wystawiam sobie, że, jak posąg Komandora, przyszedłby ścisnąć kamienną ręką dłoń zbiorowego Don Żuana naszego, to jest młodzieży tegowiecznej. Można by dla zachowania pewnych ugrzecznień i przyzwoitostek, tytuł, powszechnie już znany na naszej

[661] *Odebrałem wiersz, oddałem komu należał* — mowa o wierszu K. Koźmiana do Z. Krasińskiego; poeta mówi o sobie, jak o osobie trzeciej. [przypis redakcyjny]

[662] *Strofy, kończące się temi słowy: „Niechaj truchleją szczęśliwi" (…)* — strofa ta brzmi: „Jużeśmy przeszli przez srogie kary,/ Cóż nas zatrwoży, zadziwi?/ Na te huczące ogniem pieczary/ Niechaj truchleją szczęśliwi!". [przypis redakcyjny]

[663] *professoria lingua regimen orbis expostulans* (łac.) — głosem profesorskim żądając panowania nad światem. [przypis redakcyjny]

[664] *conscientiam generis humani aboleri arbitrabantur* (łac.) — sądzili, że sumienie rodu ludzkiego zamarło. [przypis redakcyjny]

[665] *omnia serviliter pro dominatione* (łac.) — wszystko (spełniać) niewolniczo za możność panowania. [przypis redakcyjny]

ziemi, odmienić, przezwać go na przykład *Wojna Szwedzka*, lub inaczej, bezimiennie go puścić. Bo szkoda, by mający przyjść na odsiecz garstce cnotliwych i w ojczyźnie rozmiłowanych, a już zewsząd osaczonych, zwlekał przybycie i czekał poranku, kiedy właśnie o samej północy winien napaść pijącego i śpiewającego onego Don Żuana, przy akordach straszliwych, sąd idący zwiastujących, raczej z nocą, niż z porankiem zgodnych. Nadejścia przeszłości w przyszłość zwłóczyć nie należy. Rękopism już u mnie i uważać go będę za gatunek świętości. Skoro odczytam a pokommuję (bo jednej kommy w całym nie znaleźć), dam go do przepisania. Co do litografii koła dawnego znajomych, powiem ojcu memu, za widzeniem się z nim, uwagi łaskawego Pana[666]. O Hofmanowej przytyki, sądy i przesądy dbać nie warto. Cieszę się, żem jednego losu doznał z drogim Panem pod tym względem, bo i mnie srogo strofuje ta zacna, kwaśna, zasłużona, ale nic się na poezji nie znająca nieboszczka. *Guarda e passa*[667], tak, jak Wirgiliusz w piekle wyraził się do Danta. Ja się nie gryzę tem wcale, a raczej bym ja gryźć się powinien, bo do przyduszenia głosów krytyki nie mam takiego marmuru z Paros, jak *Czarniecki*. To mi nawodzi na pamięć kilka w myśli ułożonych wierszy, które, w odpowiedzi na odezwę oną pierwszą łaskawego Pana z serca, nie z mózgu, mi trysły, a których nie posłałem, bo wiem sam, że nadzwyczaj mierne. Jednak, ponieważ czuję, że z serca wyszły, tu je pierwszy raz na papier położę:

Czemu, Mistrzu, masz siwiznę,
Stokroć młodszą mej młodości?
Boś za młodu miał ojczyznę,
A ja tylko proch jej kości.
Czemu, Mistrzu, dotąd tleje
Żar ci w piersiach niezrównany?
Boś za młodu znał nadzieje,
A ja tylko zwątpień rany.
Z grobuś nieraz wyjrzał w górę,
Czuł już dreszcze zmartwychwstania —
Jam wciąż patrzał tylko w chmurę,
Która Boga mi przesłania.
Młodość, Mistrzu, jest rzeźbiarką
Co wykuwa żywot cały,
Choć przeminie sama szparko,
Cios jej dłuta wiecznotrwały.
Więc już zwiądłem — gdyś Ty dzielny!
Gdyś żyw jeszcze — mrę nikczemnie,
I nie będę nieśmiertelny!
Ach, szczęśliwszyś Ty ode mnie!

W tych słowach zawarty wszystek smętek mój teraźniejszy. Co dnia mi gorzej. Nie wiem, co się dzieje we mnie, co się stało ze mną. Odszukać siebie samego odnaleźć siebie nie zdołam. Jakaś zasłona rozwisła między mną, jak jestem, a mną, jak się czułem dawniej, i wciąż omackiem targając tę zasłonę, której podnieść nie mogę, tylko paznokcie zostawiam krwawe na jej fałdach, tak przejrzystych, zdawałoby się, jak mgła, a jednak tak ciężkich, jak ołów lub jak granit, z którego głazy grobowe się wyrabiają.

Przepraszam za ten list; czuję, że zawiły, niejasny. Daruj mi, łaskawy i drogi Panie. Syn za powrotem opowie, jak mi trudno nie tylko już pisać, ale nawet mówić. Ten stan chorobny, i on jedynie tylko, był mi przeszkodą do odwiedzin, na które się, jak na wielkie szczęście, gotowałem, a któremi nie mogłem uszczęśliwić siebie, bo czułem, że, przyjechawszy do Piotrowic, byłbym tylko łaskawemu Panu ciężarem. Dzięki za ciągłą pamięć o mnie, i duchową nade mną opiekę. Sercem i na zawsze pozostaję najprzywiązańszym

Zygmunt

[666]*Co do litografii koła dawnego znajomych (…)* — wzmianka tu jest o wizerunkach osób, które stanowiły codzienne towarzystwo tak jenerała Krasińskiego, jak kasztelana Józefa Krasińskiego, a których rysy i całe postacie przedstawił ołówkiem Józef Sokołowski. [przypis redakcyjny]

[667]*guarda e passa* (wł.) — spojrzyj i przejdź. [przypis redakcyjny]

322. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

19 augusta 1850, Drezno

Mój drogi Auguście! Czekaj na mnie w Ostendzie. Tam do Ciebie przybędę, albowiem Dieppes mi wymazano naumyślnie z prośby o paszport, a paszport przysłano z dołączonym tu liścikiem, który przeczytasz i rozważysz. Sam z niego wyciągniesz wyniki filozoficzne. Za zobaczeniem więcej o tem. Teraz jadę do Cheliusa. Tam zabawię z tydzień. Masz czas mi odpisać do Heidelberga zaraz. Proszę Cię, odpisz i naucz mię: *1-mo*, gdzie mam zaraz trafić do Ciebie — *2-do*, czy w Blankenburgu nie lepiej, niż w Ostendzie, nie samotniej, nie szerzej, nie wolniej. Podobno tam dobrze ma być. *3-tio*, czybyś do Brukseli naprzeciwko mnie nie przybył, bo muszę tam ze dwa dni zabawić dla sprawienia sobie pasów do kąpieli, bo już gonię ostatnim — *4-to*, kto w Ostendzie? Ludzi albowiem więcej, niż kiedy bądź, się chronię i strzegę.

Wyobraź sobie, co mi za figiel kolej wyrządziła w Görlitz. Powóz mój, aż do Drezna zapłacony, przez pomyłkę zostawiła tam i teraz już tu czekam nań od 24 godzin, a nie przybywa, w nim zaś wszystko moje, 30 000 fr. itd., itd. Jeśli mi skradli rzeczy, to nie wiem, co uczynię. To mnie tu, jak ćwiekiem, przybiło. *Aerumnarum plenus sum*. Chory jestem do tego bardzo. Rana niezagojona, oczy bolą, newralgia itd., itd., i ten liścik do tego. Musisz mię pielęgnować i nie gdyrać, bo już sił nie mam. Piszże zaraz do Heidelberga! Ściskam Cię. Do odozobaczenia, mój najdroższy!

Twój Furiis

Eliza serdecznie Ci się kłania. Już na nogach. Pani D. mocno zachorowała w Karlsbadzie i troszczę się o nią, ale bo też sprudel na serce, to dziwny wymysł.

323. DO ARY SCHEFFERA[668]

Heidelberg, 30 grudnia 1850

Tylko wielcy twórcy gardzą swemi dziełami. Nie może być inaczej i oto znamię, po którem ich poznaję. Przyczyna tego zjawiska jest zupełnie prosta; jej źródło tkwi w samej istocie wszelkiego tworzenia. Każdy twórca jest ponad i poza swojem dziełem, tak, jak jego dzieło jest ponad i poza publicznością, która je podziwia. Bo gdyby Pan nie był ponad tem, co Pan tworzy, nie mógłby Pan tego stworzyć.

Francesca jest Pańską córką; nie może Pan być kochankiem własnej swej córki. To zupełnie zrozumiałe. Ale niemniej zrozumiałe jest to, że inni kochają ją do szaleństwa. Ideał wieczny, który żyje w Panu i dzięki zrozumieniu którego Pan jest wielkim, nie da się nigdy przenieść na płótno takim, jakim go Pan widzi i jaki stopił się z Pańską duszą. Zawsze jego lepsza część zostanie w Panu. A właśnie to, co zostaje, staje się źródłem pogardy Pańskiej dla tego, co się wyzwala. Gdyż to, co zostaje w Panu, jest to Piękno absolutne, to zaś co się wyzwala, jest pięknem względnem, które dla swego wyzwolenia potrzebuje już pomocy materii, pięknem zawsze boskiem, ale zeszpeconem przez ograniczenie swe w przestrzeni i w czasie.

Za każdym razem, kiedy Pan zetknął się duchem ducha z ideałem i kiedy go Pan pokonał w tej nadziemskiej walce po to, aby dać mu ciało, a potem otulonego w to ciało złożył go Pan na płótno, za każdym razem ci, którzy widzą ten obraz, myślą, że widzą sam ideał, gdyż, mówiąc językiem ludzkim, jest on najlepszem jego odtworzeniem; ale Pan czuje, że ono jest tylko jego więzieniem, jego trumną. My podziwiamy, Pan pogardza! To słuszne. Każdy gra swoją rolę. Tymczasem między nami a Panem unosi się nowe, widome wcielenie niewidzialnego Piękna; nazywamy je „Francescą", nazywamy je „Moniką".

I chociaż nie tak doskonałe, jak jego niebiański pierwowzór, jest ono wyższe ponad całą ludzkość i niech mi Pan wierzy, niech Pan niem zbyt nie gardzi, ani zbyt wiele od niego żąda, gdyż koniec końców jest to córka Pańska, pełna dziecięcej miłości, skoro, nie

[668] *Do Ary Scheffera* — oryginał pisany w języku francuskim. [przypis redakcyjny]

mogąc zaspokoić pragnienia wieczności i absolutu swego ojca, daje mu przynajmniej to, co może, przynosi mu nieśmiertelność na ziemi!

Nie byłbym nigdy rozpoczął tej dyskusji, kochany Panie Scheffer, gdyby mnie Pan nie był wyzwał do niej jednym wyrazem swojego listu, który oznacza coś, jak gdyby cień niewiary w szczerość moich sądów. Ale ja nigdy nic nie odgrywam, a ostatecznie powinien Pan był sam zauważyć, czy mój zachwyt był udany. Mówię to, co czuję. Jedyne arcydzieła tego stulecia, jakie widziałem, to *Francesca* i *Monika*.

Pan i Pańska pracownia byliście dla mnie zawsze źródłem ciepła i życia. Moje serce silniej biło na tym świecie tylko w chwilach prawdziwego nieszczęścia lub radości, a być może, że spośród chwil szczęśliwych mego życia najszczęśliwsze są te, które spędziłem pod Pańskim dachem, niby w głębi sanktuarium, daleki od ludzkiego zgiełku, z duszą i oczyma rozjaśnionemi przez to światło pogodne, słodkie i rozkoszne, które koi ból i zwraca wiarę.

Oto szczera prawda. Niech Pan pomyśli: czy nie jest dziwne, że dzieła Pańskie zmuszają do wierzenia, podczas gdy Pan sam wierzy przelotnie i chwiejnie powątpiewając we wszystko, w niebo i ludzi? Ten jeden objaw bardziej, niż każdy inny, powinien Pana przekonać, że jest Piękno w Pańskich dziełach, bo czyż jest inna moc, która mogłaby podobny efekt wywołać?

Eliza zgadza się ze mną w zupełności i czuje się zdruzgotaną Pańską hojnością. Ale nawet, gdyby chodziło o uniknięcie niebezpieczeństwa śmierci pod ciężarem, jeszcze należałoby przyjąć; któż byłby tak szalony, aby odrzucić Ideał? Prosi ona Pana, by jej Pan nie posyłał nic, aż do czasu, zanim osiądzie w Badenie. Skoro tylko opłakany stan mego zdrowia pozwoli mi oddalić się na trzy godziny do Chelliusa, przyjadę tam i zawiadomię Pana o tem natychmiast.

Proszę oświadczyć moje najżywsze i najserdeczniejsze wyrazy swej córce. Mam nadzieję, że pozbędzie się swego kaszlu i że nie zazna w życiu wiele goryczy, jakkolwiek jest ona może jedną z tych wybranych istot, które rodzą się po to, aby cierpieć, w milczeniu ból swój własny znosić i, pocieszając innych, umierać.

Proszę również oświadczyć łaskawie pani Scheffer moje życzenia na rok 1851.

Z. K.

324. DO BR[ONISŁAWA] TRENTOWSKIEGO

Heidelberg. 1851, 1-go stycznia

Władza nie z diabła, władza wszelka z Boga jest, bo zniskądindziej pierwiastku jej przejąć nie można, jedno od tego, który wszystko stworzył i w którym wszystko żyje. Lecz, kto bądź na ziemi, czy to król, czy to lud, czy jaki bądź śmiertelny dotąd się jej dorywał, natychmiast zapominał właśnie, że od Boga jest i że z Boga nań spływa, a udawał przed sobą samym i innymi, jakoby w nim leżał jej udzielny zaród — czyli, że on sam w miejscu Boga stawiał się Bogiem, a tem samem wychodził na szatana.

Takie są mojem zdaniem dzieje władzy na świecie: kto się jej dotknie, ten natychmiast jakby rażony piorunem zaślepienia, ale wcale nie przeto, iżby ona nie miała być bożą rzeczą, jedno dlatego, że on jej za takową nie uznaje. Pycha, odwieczny grzech, wszystko zbeszczeszcza: czerwoni jak i czarni, trybuny ludu tak jak arystokraty, monarchowie absolutni tak jak parlamenta, wszyscy w ten sam grzech i toż samo zepsucie wpadali i dotąd wpadają. W istocie, innej władzy i polityki od bożej być na świecie dla serca i rozumu nie może; wszystko zaś, co pod taką nazwą dzieje się i odbywa w historii, jest tylko skażeniem zepsutej ludzkości.

Dla Chrystusa oczywiście, że wszystkie królestwa ziemskie, pogańskie, były niczem; w nim to było, co panuje i czem panuje się wszechświatu, a zarazem to, co absolutnie cierpi i czem się absolutnie cierpi na świecie, od pochodzenia swego bożego odpadłym. Ale szatan tego nie był zbadał w chwili, kiedy go kusił; bo szatan, choć wiele wie, jednak nigdy wszystkiego nie wie i w końcu zawsze ostatecznie się myli, a Boga, od kiedy sam zapragnął nim zostać, już w pełni pojąć nie może. Zresztą zgadzam się na to, coś w poprzednim liście pisał o władcach kasselskich i innych, i na to, co w dzisiaj odebranym mówisz

o nieszczęściu powszechnem we wszelkich obecnych stosunkach zewnętrznego świata, i o tej tęsknocie koniecznej, porywającej za dni naszych, jako niegdyś za tebaidowych, duszę znękaną ku zagrobowej uldze i pociesze[669].

Teraz własną ręką, teraz sercem, nie rozumem już. Zgadłeś, żem ciągle chory; prawda, do żadnych sił powrócić nie mogę. Tysiąc razy Ci dziękuję, mój drogi Bronisławie, za Twoje życzenia, a Bogu dziękuję za to, że mi Ty tak dobrze życzysz. Eliza zasyła pani Trentowskiej i Tobie na ten rok najszczersze wszelkiego dobra i pomyślności życzenia. Konstanty też swoje łączy. Rad jestem, że Ty z pisma przynajmniej zdrowszym wyglądasz. Przed trzema tygodniami nie będę mógł przenieść się do Baden. Skoro to się stanie napiszę Ci, a wtedy wielką mi będzie radością odzobaczyć Cię i pomówić z Tobą o wielu rzeczach. Między innemi kilka Ci myśli udzielę o bóstwie Chrystusa, tak, jakoś mi kazał.

O zamiarach Austrii zajęcia południowych Niemiec na teraz jeszcze wątpię. Rosji polityką jest radzić jej szały, by ją, pomagając jej, tą pomocą rozkruszyć. Później wszystko się zdarzyć może. Ale też i Bóg nadbiega, Bóg niedaleki już! Zobaczysz, jeszcze czasu trocha, niech źli będą jeszcze gorszymi, niech z Polski nie zostanie już prawie nic, a w tem *Nic* wychyli się ramię boże, trzymające grom. Czemu już w każdej chwili gotówem wierzyć, to rozbestwieniu chłopstwa i rzezi. Ściskam Cię serdecznie.

Twój

325. DO STANISŁAWA MAŁACHOWSKIEGO

1851 Heidelberg, 13 stycznia

Drogi mój! Proszę Cię, zaraz odbierz pięćset franków od Thurneyssena, i z tych trzysta franków zaraz poszlij zupełnie *anonyme*, w kopercie listowej, 96. *rue de St. Lazare* Norwidowi Kamilowi Cyprianowi, i każ tak wręczyć, by na pewno odebrał, dwieście zaś pozostałych schowaj na rachunek tego, com Ci już i co Ci dalej jeszcze będę winien. Znów mi gorzej i bardzo znacznie gorzej. Changarnier upadł, ale się zemści. Synowiec[670] dowiódł energii, ale to wszystko odmętem, spieszącym ku roztrzaskaniu się własnemu. Ściskam Cię najserdeczniej.

Twój

326. DO BRONISŁAWA TRENTOWSKIEGO

Heidelberg. 1851, 21 stycznia

Dzięki Ci za Twój ostatni list. Zawszem w równym stanie; pas z newralgicznych srogich boleści ściska mię i, jak pierścień, przesuwa się od głów do stóp, to katując głowę, twarz, szyję, to znów piersi i żołądek, to znów nogi! Przez cztery dni niedawno wciąż tak cierpiałem, żem aż ryczał. Szczęśliwszyś ode mnie, bo do żadnej pracy umysłowej nie mogę przystąpić, natychmiast zawrót i ból obalają mnie. Skoro do Baden się przenieść będę mógł (na co dotąd Chelius nie zezwala), zaraz Ci doniosę, a wtedy się odzobaczym i pomówim. Teraz nawet i pomówić bym nie był zdolny.

We Francji jeszcze się tą razą wszystko na gadaninie skończy, ale prezydent o krok jeden, a duży, bliższy cesarstwa, po zrzuceniu Changarniera, który nie cesarza, ale rejentki pożądał.

Wprowadzenie nowych ceł w Królestwie, wymierzone szczególniej przeciwko rolnictwu, zatem właścicielom, więc szlachcie. Najsroższy demagog inaczej by nie działał, jak car; nauczył się od nich, oni znów teraz się od niego wyuczą, i tak *circulus vitio-*

[669] *(…) tebaidowych, duszę znękaną ku zagrobowej uldze i pociesze* — dotąd list dyktowany i pisany ręką Konst. Gaszyńskiego. [przypis redakcyjny]

[670] *synowiec* — Napoleon III. [przypis redakcyjny]

sus[671] wszetecznej nauki się ustanawia! *Sed et his dabit Deus finem! Speravi in Te et non confundar*[672].

Ściskam Cię z głębi i serca i ducha.

327. DO BRONISŁAWA TRENTOWSKIEGO

Heidelberg, 1851, 18 lutego

Nie odpisałem Ci zaraz, bom był chory okropnie. Kiedy chcesz tylko przybądź do mnie i meksykańskich bogów. Do Baden nie mogę się teraz jeszcze przenieść, chyba w kwietniu, więc jeśli masz czas i chęć, to, kiedy zechcesz, przykolej do Heidelberga! Wszystko nad miarę smutnem. W Królestwie coraz bliżej do ostatecznego ciosu: rozpoczynają się prześladowania greko-unitów pozostałych tam, chcą ich popchnąć torem litewskich; klerowi katolickiemu odbierają fundusze i na jurgieltników rządu przemieniają. Zgoła, co rewolucja gdzie indziej, u nas to despotyzm robi, to jest: zrywa z wszelkiem podaniem i wysadza społeczeństwo na punkt, z którego nic mu nie pozostanie innego, jak rzucić się głową naprzód w otchłań i nicestwo. Ściskam Cię z głębi serca.

Twój

Czajkowskiego zbisurmanienie mocno mnie gryzie, a to jeszcze mocniej, że to rzadko kogo u nas gryzie. W tem Czajkowskiego przykład niecny, że odtąd posłuży wielu obłudnikom i niegodziwcom za wymówkę, gdy będą *per fas et nefas*[673] brnęli, udając, że służą tem ojczyźnie. Hipokryzja patriotyzmu tak gubi ojczyzny, jak religijna religią. Służyć można na świecie sprawie jakiejś tylko zacnością, cnotą, szlachetnością, inaczej sprawę się samą gubi. Dopóki nie pojmiem tego prawa, dopóty darmo się będziem miotali. By owładnąć naturą rzeczy, trzeba nią według jej własnego, wiekuistego prawa owładać.

328. DO STANISŁAWA KOŹMIANA

Heidelberg, 1851, 25-go lutego

Drogi mój! Pytasz o Norwida. Nie mogę Ci lepiej wytłumaczyć stanu jego umysłowego, jak przesłaniem tu przyłączonego pęku listów, o których odesłanie Cię proszę, skoro je przeczytasz. Choć tylko do Augusta[674] adresowane, pisane są one i do mnie. Obaczysz, co za fochy, złości, napady, wyrzuty, obelgi. Biedny to, arcy-biedny chłopiec, na ciele rozchorowany ogromnie, a na duszy też nie pomału. Mickiewicz niedawno go ukąsił ironiczną pochwałą, a mój Norwid się od tego dnia wściekł. Jam mu wraz z Augustem radził, by nie tak ciemno pisał. Zawsześmy się starali pomóc, o ile mogliśmy, jego osobie. Prawda, że na druki jego poematów nie dawaliśmy. Czekaliśmy albowiem czegoś jasnego, zrozumiałego, tak dla publiczności, jak dla dobra samegoż autora — bo co mu za korzyść, gdy czytelnicy nic a nic nie potrafią pojąć? Ja pierwszy prawie nigdy nic nie rozumiem, a jeśli co zrozumiem, to krwawą pracą. Takiej zaś poezja nie dozwala! Dobrze Heglowi tak *Logikę* pisać. Otóż rozwściekł się na nas obu, żeśmy tej jesieni szczerą prawdę mu powiedzieli, prosząc o jasność, prosząc serdecznie, tkliwie i dając mu przy tem dowody najistotniejszej przyjaźni. Teraz ja nigdy nie napiszę — ale będę się starał anonyme, jak dawniej, mu pomagać, bo powtarzam: biedny, arcy-biedny, tem biedniejszy, że czasami do kłamstwa się udaje, tak znakomitego, jak owo, żem mu radził drukiem dzieła swe ogłosić. Z Ad. Potockim nie dotrzymał umowy, wziąwszy za pismo przedpłatę. Na umorzenie zaś tego długu, gdy zrywał kontrakt, posłał mu 3 rysunki piękne, ale z takiemi warunkami, że po 3 latach zwróci mu je Adam, a tymczasem zawiesi w Akademii — trzyletni albowiem prąd estetycznej piękności, z onych trzech arcydzieł spływający przez

[671] *circulus vitiosus* (łac.) — błędne koło. [przypis redakcyjny]

[672] *Sed et his dabit Deus finem! Speravi in Te et non confundar* (łac.) — Lecz i tym położy Bóg koniec. Ufałem Tobie i nie zawiodę się. [przypis redakcyjny]

[673] *per fas et nefas* (łac.) — godziwą lub niegodziwą drogą. [przypis redakcyjny]

[674] *do Augusta* — Cieszkowskiego. [przypis redakcyjny]

lat 3 na Krakowian, dług jego całkowicie umorzy! Biedny, powtarzam, biedny! Zachowaj to wszystko dla siebie, ale wiedz, co się święci!

Piszę dziś sam, bo Konstanty ogromnym zdjęty katarem. Oczy moje nieco lepiej. Za to kość pacierzowa ogromnie rozbolała i, jak u Ciebie, tył mózgu, tak, że chodzić już nic nie zdołam, bo po 30-tu krokach przytomność tracę. I tak pozawczoraj mój służący mię wyniósł z ulicy i poniósł przez wschody do pokoju. Po 3, 4 godzin takich konań miewam bez przerwy — i złudzenie śmierci doskonałem jest. Lecz mówmy o czem innem!

Roma pchnęła w samo serce Anglię — to niezawodnem. Anglia, nim runie, postara się Romę na łup oddać mazzinistom — bo Anglicy, to morscy Moskale. Wtedy lękam się, by schizma się nie podsunęła z ofiarą pomocy przeciw wspólnemu wrogowi i Romie nie zadała tem okropniejszego ciosu. Pytasz, co się w Rzymie dzieje. Hieronim pod H. jest przewładą *ut cadaver*[675] — słucha go. H. zaś na Makrynę się rozżarł i niepomału ją prześladuje, co wielkie rodzi we widzach zgorszenie. Brat zaś... namawia go ciągle do powrotu i pracuje koło amnestii dlań. Czy ten na to przystał, o tem nic a nic nie wiem. Wiem tylko, że tam źle, kwaśno, miernie i niezgodnie idą rzeczy! Papież zaś zawsze lubi Makrynę i nią się opiekuje. Skądinąd przewładnie działają i panują Buteniew i mały Esterhazik. Pani Odescalchi w Neapolu na zimę całą. (Wszystko to, co powyżej, także sobie zachowaj!). Pisał do mnie niedawno synowiec piusowy i zaręczał, że doskonale wiedzą o wszystkich dążeniach schizmy, że pilne tam oko mają, ale że zwykłym obyczajem leniwo działają, co osobliwie pochodzi z przymierza ścisłego obu dwójgłowych orłów. *Dworzec*[676] mię doszedł i „Przegląd" też; za obietnicę nowego dzięki Ci. Już mi kończyć trza — zawroty — serce w węzeł się zapina, konam. — Ale jeszcze coś. Arago[677] w tych dniach w Paryżu wyrzekł: *Ou c'est moi qui suis fou ou c'est la lune qui s'approche visiblement de la terre*[678]. Oto zmiana dekoracji będzie na scenie, na której dramat losów człowieczych się odbywa. Trybuny izby zamilkły, ukazy ścichły, bram cytadel, przy świetle takiego księżyca by już nie strzegł nikt!

Ściskam Cię z serca.

Norwidia zaraz mi odeślij.

329. DO STANISŁAWA MAŁACHOWSKIEGO

16 marca 1851, Heidelberg

Mój drogi Vado! Prawdęś wyrzekł o Norwidzie, takim jest. Gdyby nie był w biedzie i niedostatku i chorobie, odwróciłbym się od niego, ale często mi na myśl przychodzi, że, gdybym był w jego położeniu, jak on, może bym wpadł w rozpacz i przeklinanie na czem świat stoi, bo i bez tego jużem w melancholii i z nerwów rozbitych co chwila w rozpacz zapadam. Dziś szczególnie mi źle okropnie, a o samobójstwie nasuwają mi się myśli, bez dołożenia się żadnego woli. Instynkt jakiś rozstrojonego organizmu sfałszowany. Nie uwierzysz, mój drogi, co ja od lat dwóch wewnątrz siebie cierpię, w głębi ducha, w samej głębi; znać, nerwy mózgowe chore, ale z tem wszelki ból cielesny w porównaniu niczem, żartem, owszem, dobrodziejstwem! Widoku ludzi znosić nie mogę, czuję się jak zwierzem dzikim, chciałbym uciec, uciec, nie wiem gdzie, a, chcąc tak uciekać, nie ruszam się ze stołka i z pokoju nie wychodzę! Każda zmiana pogody, by najleksza, już mi duszę rozćwiertowywa, na koło wplata. Czasami zdaje mi się, że zwariuję, lub jeszcze gorzej. *Apage, Satana*[679]! wtedy wołam ostatkiem przytomności. Ah, tak żyć, jak od dwóch lat żyję, to w istocie nie warto!

Ojciec pisze, że w początku maja przybędzie na kilka dni do Badenu. Sołtan dziękuje Ci i wszystkim znajomym za pamięć; za trzy tygodnie pojedzie do Paryża, księcia i przy-

[675] *ut cadaver* (łac.) — jak trup. [przypis redakcyjny]

[676] *„Dworzec" — Dworzec mojego dziadka* Morawskiego. [przypis redakcyjny]

[677] *Dominik Arago* (1786–1853) — fizyk i astronom francuski, dyrektor paryskiego obserwatorium astronomicznego. [przypis redakcyjny]

[678] *Ou c'est moi qui suis fou ou c'est la lune qui s'approche visiblement de la terre* (fr.) — Albo jestem wariatem, albo księżyc wyraźnie zbliża się do ziemi. [przypis redakcyjny]

[679] *Apage, Satana* (łac.) — precz, szatanie. [przypis redakcyjny]

jaciół odwiedzić, jak mówi, raz jeszcze przed śmiercią. Choć pięćdziesiąty dziewiąty rok mu dodzwania, dzielny, prosty, smukły, zdrów jeszcze.

Ściskam Cię z całej siły duszy mojej, bardzo smutnej, a wdzięcznej Ci serdecznie, że ją pocieszasz i chcesz dźwigać. Chwała Bogu, że Twoja grypa zaczyna się zmniejszać.

Twój

330. DO STANISŁAWA KOŹMIANA

Heidelberg, 1851, 23-go marca

Mój drogi! Mniejsza o to, gdyby Norwid był tylko wariatem i kapryśnikiem, ale on przy tem wygląda mi na arcy-wyrachowanego komedianta śród wybryków swoich. Wszyscy ludzie, lubiący udawać wielkie namiętności a mający za jedyną w istocie próżność tylko, są takowymi. Pozór — szaleństwo, głąb — rachuba. Do tego jest to najniewdzięczniejszy z ludzi. Jaki był mnie, tak jest lub będzie bratu Twemu niewdzięcznikiem, bo z pisma Twego się domyślam, że własnym nakładem brat Twój jego poemata, te dwa, drukuje — wszak tak? *Cave hominem*[680]!

Dziękuję Ci tysiąkroć za „Przegląd". W *Dwóch Ideałach* brat Twój zanadto się uniósł potępieniem na Mickiewicza, łaską na Erofa[681]. Bądź co bądź, Mickiewicz jest, był i pozostanie największym poetą polskim i słowiańskim! Prawda, „improwizacją" pchnął młode pokolenie w drogę straszną, uczepił je do wiszoru, wiszącego nad samą otchłanią, i ono tam odtąd, z bluźnierstwem na ustach, a podrygami nóg w próżni, zwisie się trzyma. Prawda, lecz to po części i wina pokolenia, które na odwrót pszczołom, wysysa same jady, a wszelki miód nietknięt zostawia. Co to za spiż koryncki wiersz p. Adama! Nikt nigdy nie wyrówna tej odwieczności wiersza, która cechą jego. Należało więc wspomnieć i o zasługach i o wielkości. Mniej byłoby jednostronnem, a prawda zyskuje zawsze na niejednostronności! Co do Erofa, tak się sam czuje znikczemniałym, że dziwi się i admiruje, gdy znajdzie gdzie o sobie wspomnienie. Zawsze mu się z początku wydaje: „Być nie może, co to?" itd., itd. Ah, taki stan umysłu twórczym nie jest.

Co do Generała, coraz bardziej się przekonywam, że poeci i pisarze straszliwie do kobiet i dzieci są podobni. Miłość własna bez granic. Wiesz — zaczynam niemi (nie osobami ich, ale naturą ich) pogardzać. Gorzkie to, ale tak jest. Jakieś tam błazeństwo leży, którem podszyte najwyższe natchnienia — chyba na pamiątkę *pulvis es et in pulverem*[682] etc., etc. Mickiewicz, Lamartyn, Słowacki, Norwid, a teraz ten gniew... i za co? za krytykę, mojem zdaniem, i najsumienniejszą i najpochlebniejszą! *Delirant*[683]. Ah, bo to straszna rzecz być kochankiem idealnej piękności. Jak się w niej zakochasz, znieść nie możesz zarzutu, żeś jej szat nie dotknął. W każdej chwili chciałbyś o sobie samym, w sobie samym, wiedzieć, że ona Twoją!

Anglią gromem, rzuconym z Watykanu, rozdarł papież i przyłożył się do jej ruiny; boć i Anglia, drogi mój, kiedyś się rozwali! Co za szaleństwo popełnił biskup z Chartres przeciw arcybiskupowi paryskiemu! W kościół wprowadził rozryw taki sam, jaki istnieje w izbie. Tego jeszcze brak było. Wreszcie sama stronniczość przezeń przemawia. Od orędzia arcybiskupa rzadko co wznioślejszego czytałem.

Erof niedawno mi mówił, że przysłałby Ci kilka zgłosek do „Przeglądu" — at, głupstwo, nic, nic — ale że go zawsze przeraża zecer wasz. Pomyłki albowiem takowe i tak liczne sprawiają wrażenie podobne do tego, jakie wywrzeć musi twarz bez nosa lub uszu. W tem koniecznie winniście się poprawić. Teraz o Twego stryja zaczynam się bać, bo *Czarnieckiego* skończył. Wyjątek, co był w „Przeglądzie", o Szembeku i Kmiciance, śliczny. Mógłbyś mi tu przesłać dyliżansem czy koleją raczej egzemplarz jeden *Dnia Dzisiejszego* Twego i *Ostatniego*, edycji paryskiej, bo już w Paryżu nie ma. Powinien byś także

[680] *cave hominem* (łac.) — strzeż się [domyślnie: tego] człowieka. [przypis redakcyjny]
[681] *Erof* — Erofajkowy; Krasiński. [przypis redakcyjny]
[682] *pulvis es et in pulverem* (łac.) — prochem jesteś i w proch (się obrócisz). [przypis redakcyjny]
[683] *Delirant* (łac.) — szaleją. [przypis redakcyjny]

kilkadziesiąt ich odesłać Królikowskiemu[684], który na żądanie musi odpowiadać: „Nie ma — są u autora wszystkie". O „Przegląd" też następny upominam się. Daruj, że Cię tak nudami obarczam, ale do kogóż mi się udawać? Pisuj też nieco częściej! 15-go kwietnia przenaszam się do Badenu. Pułkownik tu do mnie, zacny i poczciwy, aż z malborskiego nadjechał — i bawi jeszcze kilka dni — potem Paryż odwiedzić chce. Konstantego krytyką zanadto nie zmartwcie, bo i on łacno dotkliwy. Jednak prawda przede wszystkiem — lecz obok prawdy niech i przyjaźń będzie. Rzewuskiemu oddaliście, co mu się należy — i to jeszcze z wielką w wyrażeniu miłością. To duch, z błota lepion. Dziwi mnie, że talentu nie ma do poezji. Ściskam Cię z głębi duszy.

Twój Heidelberski

Gaszyński posłał Ci śliczny jeden krótko-wiersz o wygnańcu, co widzi na progu siostrę i żonę czyjąś. Wydrukujże go!

331. DO STANISŁAWA MAŁACHOWSKIEGO

6 kwietnia, Heidelberg, 1851

Drogi mój! Nie odpisałem zaraz na Twój list długi z trzydziestego pierwszego, bom nie mógł; znów na oczy przez te dni byłem zapadł, a dyktować nie cierpię. Choroba mi folgi dać nie chce, i melancholia, i całe ciało w strzykaniach, a oczy ostro dokuczają i błędnie widzą.

Co, myślisz, nastąpi w maju, czy jaki czerwiec? Gazety na żałobny ton pieją, pociesza mnie tylko Dembińskiego przybyt, bo znana rzecz, że, ilekroć rewolucja w Paryżu, to jego nie ma. Tak się zawsze trafiało. Za parę tygodni przenoszę się do Badenu.

Smutek Czajki[685] po niewczasie, trzeba było być smutnym wprzód; poginiem przez takie mądrości po szkodzie. Przykład, przezeń dany, jest jednym z najfatalniejszych dla pokoleń polskich, i tak coraz mniej zasad i wiar mających. Trapistostwo Norwida tyle warte, co islamizm Czajki: pozowanie, teatralność, pycha, próżność, a w końcu otchłań, zgotowana i aktorom sztuki, i teatrowi całemu, i patrzącej publiczności.

Nie mogę dalej dla iskier przed oczyma. Ściskam Cię serdecznie. Ojciec kazał Ci się kłaniać serdecznie.

Twój

332. DO STANISŁAWA KOŹMIANA

1851. Heidelberg. 22-go kwietnia

Alleluja, Resurrexit — i mój biedny Adzio także, z łaski bożej, w tych dniach, z snu śmierci, w którym leżał przez pięć dni i nocy wciąż, zmartwychwstał i ocalony jest! Bóg a po Bogu Chelius go wzbudził, nie odstąpiwszy ni dniem, ni nocą przez godzin 96. Było to *Schleim-Fieber*[686] to samo, na com był stracił już przed laty Danielewicza, co się rzuciła na mózg i zapalenie sprawiła. Nadziei już żadnej nie upatrywano. Mogłem już na oczy rozpoznawać i widzieć rękę śmierci, wyciągniętą, podsuwającą się coraz bliżej po dziecko moje. Wtem Cheliusowi przyszedł pomysł genialny. Ciągłą, bezprzerwną uwagą odkrył był, że ta gorączka anormalnie się objawia, co drugą noc napad silniejszy przypuszczając, a zatem przybierając na się niewłaściwe sobie piętno feber przestających. Dał mu chiny. Na zwykłe zapalenie mózgu byłby dobił takim lekiem, lecz tu przeciął zaród złego i zbawił. Przeszedłem przez otchłanie bolu nieopisanego, a wiesz, śród tego bólu bólów, gdziem szukał pociechy i kto mi jej dostarczył? Oto „Przegląd". Zdziwisz się. Słuchaj!

[684]*Królikowski* — wydawca paryski. [przypis redakcyjny]
[685]*Michał Czajkowski* (1808–1886) — znany powieściopisarz, przeszedł był na islamizm. [przypis redakcyjny]
[686]*Schleim-Fieber* (niem.) — rodzaj gorączki. [przypis redakcyjny]

Pamiętasz wyjątek z Rulina Piotrowskiego[687], zgon okropny, włosom na każdej głowie ludzkiej nakazujący wstawać, przeora Sieroczyńskiego? Niedawno ja i Eliza byliśmy przeczytali, a struchleli, czytając. Otóż, kiedy te dni straszne przyszły na nas, kiedyśmy ujrzeli ową kochaną i przedziwnie śliczną główkę, tonącą w snu wiekuistego głębie, kiedy już sercom naszym zabrakło nadziei wszelkiej, spojrzeliśmy na się w milczeniu rozpaczy, a z jedną, tą samą myślą w sercu, i po długich milczeniach zobopólnych wreście ta myśl nam z ust buchnęła: „Jeśli taka wola boża, niechże wraca ptaszęciem bożem do nieba. Może, gdyby wyżył, przyszłoby na niego kiedyś gnić po więzieniach lub błąkać się po Sybirze, może by to ciałko nadobne i szlachetne knut rozdarł, a tak tylko się ziemia lekko go dotknie. Dziś ducha wyzionie — jutro ogląda niebiosa — a nigdy już, nigdy nie legnie, jak przor Sieroczyński pod 7000-ma kijów za to, że ukochał Boga, bliźnich i Polskę". Taką ulgą, taką to, mości panie, w drugiej 19-go wieku połowie, ujmują sobie rozpaczy rodzice polscy, gdy im najśliczniejsze, najczystsze, najprzedziwniejsze dziecie umiera! Takiem to żelazem rozpalonem oszukują ranę bezdenną, która ich zabija, wypalając ją sobie na piersiach. O nieszczęśliwe plemie! A może nieszczęśliwsi ci, którzy ono plemie do takich pociech przywiedli niesłychanych, zbrodni wiekowym ciągiem.

Teraz przechodzę do Klaczki.

1° — 49 roku z Bernu pisałem do Norwida, który mi jakieś po 13 czerwca dziecinne deklamacje przeciwko Changarnierowi był przesłał za to, że śmiał rozpędzić czerwonych i zmusić Rollina do wyskoku przez okno — że powinien się uważać za szczęsnego, iż w mieście, gdzie go mogą co dzień obedrzeć i powiesić, dowodzi taki dzielny generał, jak Changarnier. 50 roku, na jesieni, ktoś mi pokazał list od Klaczki, w którym stało, że ja pisał do Norwida „o świętym i kochanym jenerale Changarnier" — i za to autor listu darzył mnie przezwiskiem renegata. Wzruszyłem ramionami, widząc, żem wpadł pomiędzy komeraże dwojga dzieci rozumnych, ale dzieci. — 2° — Gdym z Dieppe przybył na jesień do Paryża, znudzony wiecznemi skargami, rozsiewanemi na mnie przez Klaczkę, jakobym go był chciał obrazić w Heidelbergu listem, w którym stało wyrażenie, że naród hebrajski jest jednym z najarystokratyczniejszych w dziejach świata — (co tu dziwnego, co tu fałszywego? naród, co wydał Dawida, Proroków, Machabeuszów, a w końcu Jezusa Chrystusa) prosiłem Augusta, by go zaprosił na rozmowę ze mną, chciałem go albowiem szczerze z błędu wyprowadzić, a tem umniejszyć skwaśniałej duszy — kwasu. Wtedy Klaczko, znów jak dziecko znarowione, kazał mi odpowiedzieć, że się nie chce widzieć ze mną. Pomyślałem: dziecko — i o tem komuś wspomniałem. Ten ktoś, to słysząc, wyszedłszy ode mnie, spotkał owego Jabłonowskiego, z którym żył ściśle, i, obrażony na Klaczkę, zaczął Jabłonowskiemu mówić: „Strzeż się Klaczki, bo to intrygant". Wróciwszy zaś nazajutrz do mnie, chwalił mi się z tego — a ja wtedy owszem zacząłem mu przedstawiać, że nigdy niczem Klaczko na imie intryganta nie zasłużył i że to, co uczynił w stosunku do mnie, raczej burdą, niż intrygą. Jabłonowskiego zaś nigdy w życiu na oczym nie oglądał. — 3° — Przyjętym ani nieprzyjętym nie mógł być od Augusta, bo, co dzień do niego o tej samej godzinie z rana przychodząc, prosto z korytarza w jego drzwi wchodził — i tak raz, wszedłszy, mnie zastał. August rzekł tylko: Pan Klaczko. Ja natychmiast się zerwałem i, przystąpiwszy doń, rzekłem: „Kiedy pan do mnie w Heidelbergu 1847 r. pisałeś jak do proroka, pojmiesz pan, że, nie poczuwając się do żadnych proroctw, nie mogłem się z panem widzieć. Ja nie mogłem, a pan zaś tu w Paryżu, gdym ja znów pragnął, nie chciałeś. Zatem kwita między nami. A teraz szczerej prawdy słuchaj! Panu się zdaje, że pan masz do mnie pretensję i urazę — wręcz przeciwnie jest, bo ja ją raczej do pana powinien bym mieć, wszędzie albowiem pan rozgłasza, żem panu kamieniem odrzucił za chleb, odpowiedział ironią za tkliwe uczucie. Gdybym tak był postąpił, byłbym podłym. Zatem pan mnie wszędzie oskarżasz o podłość. To niedobrze i niesłusznie. Pisząc do pana pochlebnie o pańskim narodzie, sądziłem, że najwyższą panu pociechę przyniosę, i nie mogłem się spodziewać, że pan to za ironią poczytasz. Gdyby na przykład p. Thiers, dziś niecierpiący Polaków, napisał do mnie coś pochlebnego o Polszcze, czy pan myślisz, że ja bym to za obelgę i szyderstwo uważał? Wcale nie. Owszem, miałbym to w dumie mej narodowej za chwilę sprawiedliwości w panu Thiersie, a skądinąd za

[687] *Pamiętasz wyjątek z Rufina Piotrowskiego* — z *Pamiętników Rufina Piotrowskiego* drukowanych w „Przeglądzie poznańskim", wydawanym przez Koźmiana. [przypis redakcyjny]

grzeczność dla siebie osobistą od niego. Jeśli pan w moim liście tego nie uczuł zaraz, i na opak sens zamierzony przejąłeś, to chyba z winy mego stylu pochodzi — możem ciemno się wyraził. Zatem miałbyś tylko prawo chodzić po świecie i mówić: Jaki głupi pan Z. K. — ale nigdy nic innego — rozumiesz pan? Nic innego. Do niczego innego prawa nie masz. Zatem ufam, że po takiem szczerem i otwartem wytłomaczeniu pan już nadal skarg swych na mnie rozwodzić nie będziesz. Obowiązuję nawet pana do tego. Pan sam czuć musisz, że już nie masz prawa żadnego mię w tym względzie ścigać". —

Tu ścisnąłem mu rękę. Przez cały czas pomieszany milczał, potem coś przebąknął, obietnicę, że już nigdy nie będzie wspominał gorzko o liście moim, i oświadczenie, że mi wierzy — ukłonił się najuprzejmiej, najpoddanniej — i wyszedł. Co zaś prawdą, to to, żem prawie w ataku nerwowym był, gdym doń przemawiał, bo trza wiedzieć, że w one czasy pokąpielowe rozstrojenie nerwów moich było doszło do stopnia niesłychanego. Słów zaś: „Pan mię w Heidelbergu nie przyjąłeś, ja mam teraz prawo nie żądać pańskiej znajomości!" — słowo honoru Ci daję, że nigdy ich do mnie ni na początku, ni w środku, ni w końcu nie wyrzekł. Fałsz najabsolutniejszy! Teraz masz prawdę najzupełniejszą, a po jej wypisaniu, z głębi serca mu przebaczam, i raczej żal mi jego, niż gniew mi nań. Sam siebie rozdziera — nie chce wierzyć w serce drugich. Gdyby był uwierzył mojemu, może bym był mu przyniósł cokolwiek ulgi. Mam go za charakter daleko wyższy od Norwidowego i inteligencją daleko potężniejszą — ale żre go robak zawiści i ten drugi, który w naszym wieku wmawia we wszystkich, którzy nie od razu urodzili się potentatami lub Rotszyldami, że nimi gardzą i że im drudzy co chwila pragną ubliżyć. Brak w tem godności, a właśnie tem, zda im się, że jej dostępują. Biedni i bardzo biedni!

Już nie mogę dalej. Ściskam Cię z głębi serca i wiem, że się uradujesz wieścią, iż wyszedłem za Boga opieką z toni nieszczęścia. Raz Ci jeszcze dziękuję za pociechę, wyssaną z „Przeglądu". Odpisz mi jeszcze tu, bo, nim do sił wróci Adzio, nie zdołam się przenieść do Badenu. Jak wyjdą rozszerzone *Dwa ideały*, przyszlesz mi je, a Erof, skoro dokona, prześle Ci do „Przeglądu". Powiedz mi nawet, czy można by czem pomóc Klaczce? Na Twoje ręce bym przesłał.

333. DO STANISŁAWA MAŁACHOWSKIEGO

25 kwietnia, Heidelberg, 1851

Mój drogi! Taka gospoda nas pełna, że się lękam, by nie wylała nami przez okna na ulicę. Cierpię wciąż tak, że sobie rady nie mogę dać i wszystko mi niemiłem, i melancholia, zwykle, gdy czaszka, oczy i zęby rwą, ustępująca, tą razą nie chce ustąpić. W dwóchem więc piekłach, jednem wewnętrznem, drugiem zewnętrznem. Powiadam Ci, drogi Wojewodo, źle ze mną, nic mnie wyrwać nie może z ciągłej, bezprzerwnej, bez odetchnień boleści czy ciała, czy ducha, a każde nowe wstrząśnienie, spadające na taki stan, zaraz go pogarsza, to samo sprawuje, co piorun, na nowo uderzeniem rozpalający przepalone już zgliszcza. Wszelka dyskusja, wszelka rozmowa mię zabijają, widok wielu ludzi, nagromadzonych razem, wprawuje mię w rozdraźń szaloną; chciałbym jamy, nory, jaskini wiecznie ciemnej, i tam przy lampie jednej marzeń jakich, lepszych, niż to, co dać może rzeczywistość obrzydliwa świata, pozostawać! Przy tem każda, by ga zaraz na łożu Prokrusta i tortury nienajlepsza zmiana pogody już mnie rozciąsłychane zadaje. Cierpliwości mi już nie stawa. Od dwóch lat przemarniałem się wszystek od stóp do głów, od serca do rozumu, cierpieniem.

Od Wielkiej Księżnej[688] dziś jeszcze list miałem z Manheimu, ale ani słówka o mojej prośbie, Twojej wizie. Co tu począć? Jeszcze poczekam nieco, a później rozpocznę z Cheliusem targ o wpuszczenie Cię bez wizy ze Strasburga. Widzisz, wściekłość mię porywa, kiedy od dni trzech pod oknami widzę przechadzającego się trzydzieści razy na dzień Prawdzica Hr. Bialskiego, któregom ani odwiedzin, ani odezw, ani listów nie chciał przyjąć i który, jak na zwierzynę, dybie na mnie, a pomyślę, że Tobie wizy nie dają.

Tak to na świecie; ma Bialski, dostanie i Darasz, a Małachowskiemu odmówią. I ci ludzie chcą stać i trwać przy tak bezdennem głupstwie.

[688] *Od Wielkiej Księżnej* — Badeńskiej. [przypis redakcyjny]

Ściskam Cię z głębi duszy.

Scapa

Na gwałt kufry mi szlij. Sołtana uściskaj.

334. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

1851, 7 maja, Heidelberg

Drogi mój Auguście!

Wiesz, czybym pragnął Cię uściskać i nagadać się z Tobą, ale w istocie chwili czasu byśmy nie mieli. Mój ojciec cały mi czas zabiera. Przyjechał zawczoraj. Jest zaś tu pani Branicka, Arturowa, Kasia, Aleksander Potocki. Pani Załuska pojutrze przybywa.

To wszystko nic, bo wszystkie te osoby nie wkładają na mnie *obowiązku*. Mogę ich nie widywać lub tylko 10 minut na dzień widzieć, a resztę czasu Ci oddać. Lecz ojciec — ojciec, to co innego. Tum już na służbie i od niej nie dozwala mi sumienie odwiąży żadnej. Przyleciał do mnie aż z Petersburga w dni 10, a odjeżdża koło 1-go czerwca. Zatem by mi tylko pozostały godziny ranne od 8-mej po 10-tą i wieczorne od 9-tej po 12-tą. Jeśli masz natchnienie, to przyjeżdżaj! Częściej będziesz z temi damy, niż ze mną. Ja wszystek czas, co mi zbędzie, Tobie oddam. Lecz przy tem znajdziesz mnie znękanym, chorym, jęczącym, bo, jak wracam od ojca, z którym muszę ciągle rozmawiać (a z newralgią ruch ust jest potrojeniem bolu), tak się czuję zawsze rozchorowanym, że rzucam się na łóżko lub kanapę i tylko jęczę w nieopisanym osłabieniu i bezwładzie. Masz rzeczywistość położenia, a teraz natchnienia posłuchaj i czyń, jak duch wionie!

Od kiedym jeździł naprzeciwko ojca i z nim tu wrócił pozawczoraj, znów zapadłem ciężko na zdrowiu. Newralgia, a takie wycieńczenie sił, jak nigdy. Łazarz istny ze mnie, a melancholia do tego niepowszednia.

Dzięki Ci, dzięki, drogi mój, za pamięć o ś[wię]tym Zygmuncie. Dawniej urodziny i imieniny były godami. Dziś wszystko to smętnością niewypowiedzianą. Ah, prawda, chciałbym, chciałbym z Tobą się narozmówić o tylu rzeczach, o tej otchłani dziejów, coraz głębiej się zapadających i idących w dół, w nieskończoność, a w dół. Biedny Jerzy we Lwowie i nie utrzyma się przy zakładzie Ossolińskich — wysadzą go, i to go zarzyna. *Fatalitas* jakaś nad nim. Pani D. w tych dniach będzie w Paryżu. Mickiewicz, twierdzą, że się odtowiańszcza coraz bardziej — wszedł do komisji składkowej Biblioteki, prezesem mu Wład. Z.[689], współczłonkiem Wojewoda. Poetyckie natury straszne hetkipentelki. Zwieść i pchnąć ludzi tysiące, a potem samemu zaprzestać dążności i odstać — o lekkomyślność niewieścią, to błazeństwo! Zobaczysz też, że wkrótce on w co innego znów z zapałem się rzuci. — Wszystko smutne. Jedna rzecz nie smutna śród ruin świata, to przyjaźń! Mamy to ostatnie wesele — podziękujmy Bogu!

Z.

Do Baden przed 15 dniami nie będę mógł się przenieść. Dzięki Bogu, ojciec rześki i silny. Jednak Chelius radzi kurację.

Adzio jeszcze chodzić nie zdoła, ale lepiej co dzień.

335. DO BRONISŁAWA TRENTOWSKIEGO

1851, Baden, 14 czerwca

Ostrzegam Cię, strzeż się, na miłość Boga, K... Jeśli nie co gorszego, toć zawsze niesłychany szałaput, wiercipięta duchowy, raz taki, nazajutrz owaki, człowiek, ku któremu w Królestwie największą powzięto nieufność po wypadkach 48 r. bo wszystkich namawiał i gnał w Poznańskie do Mierosławskiego i do powstania. Wyprawił tak wielu, obiecując zawsze, że sam nazajutrz przejdzie granicę, i ogłaszając, że miewa widzenie miejsca, na

[689] *Wład. Z.* — Zamoyski. [przypis redakcyjny]

którem stoczy się bitwa itd., itd. Tamci poszli, on pozostał... i nic mu nie było, i ciągle paszportów używał, gdy innym ich zupełnie nie dawano. Wiem o nim sprawki, które jeśli nie wielkiej przewrotności, to przynajmniej niesłychanej lekkomyślności, bzikowatości, gadulstwa, niedyskrecji, jakby bzika w głowie są oznaką. List, powierzony sobie przez obywatela, w którym ten ostatni przesyłał do Poznańskiego rozkaz oddania stu tysięcy złp. na rzecz krajową 1848 r., oddał w ręce błaznów, co ten list rozpieczętowali i głośno czytali, miasto go zanieść i oddać, jak winni byli, i tem tegoż obywatela niezmiernie narazili przed rządem. Wszyscy u nas mają K... za wariata lub za agenta. W to ostatnie nie wierzę, broniłem go sam razy tysiąc, ale pierwszemu wierzę, i wolałbym z komisarzem policji moskiewskiej konspirować, niż z nim, mniej albowiem lub równo byłoby niebezpiecznie. U tego chłopca próżność (robak, wszystko u nas toczący) ostatnie włókna mózgu przeżarła. Obiecywał mu niegdyś Towiański, że on będzie zbawicielem Polski, wielkim kazał mu się samemu uznać duchem; odtąd chłopiec ten pokoju nie ma i głupstwo po głupstwie pisze, drukuje, plecie i płata. Przy tem, jak zwykle wariatom, nie zbywa mu na pewnej chytrości, i doskonale umie się ułożyć, i z każdym innym tonem mówić. Strzeż się jego, powtarzam Ci. O mnie tyle mu tylko mów, żem chory, i chory, i melancholik, i nigdy mu nic nie przyznaj o mnie, gdy się wdziera w Twoją ufność i do jakiej bądź spowiedzi Cię ciągnie; choćby najnaturalniej, choćby udając, że wie co o mnie, proszę Cię, pozostań jak Bóg amerykański, z głazu kuty. Wielki też łgarz z niego, marzy mu się, że był, gdzie nie bywał, że widział, czego nie oglądał. Do Nicei także od Towiańskiego był zjechał do mnie i Augusta Cieszkowskiego, ale nie zimą, raczej wiosną i tylko sześć dni bawił, a my zachowali z nim największą ostrożność i nie daliśmy mu nawet przystąpić do żadnej konfidencji — i odjechał!

Co zaś dotyczy się Towiańskiego, powiem Ci, że w kraju w nikogo nie zdołasz wmówić (choć to niepodobnem do uwierzenia, by Rosja takich środków używała) że on nie jest wysłańcem Moskwy, na to wyprawionym, by opętać Mickiewicza, a później go tak spętać by on sam poszedł w ręce cara się oddać. I w istocie, Towiański namawiał do tego Mickiewicza, i o to się z nim poróżnił, że Mickiewicz nie uznał w sobie siły dostatecznej na spełnienie tego mistrza rozkazu. Stąd poszło, że Mickiewicz przez lata szukał zastępcy, który by poszedł do Mikołaja na jego miejsce i dotąd go nie znalazł. Księżna Koczubej, Moskiewka, co się była katoliczką zrobiła, twierdziła, że widziała imię Towiańskiego na czarnej księdze, śród spisu używanych i płatnych agentów. Minister Strogonoff, zapytany oń, tak odrzekł: „Urząd mój i obowiązek nie dozwalają mi otwarcie o tym człowieku mówić; znam go, był w Petersburgu u mnie, paszport mu dałem, i tylko tyle powiadam: to nie jest poczciwy człowiek". Mimo te świadectwa ja nie myślę, by on był takim prostym wysłańcem; ale, że zeń ciągną Moskale korzyści, to pewna, bo osią, na której wszystkie objawienia Towiańskiego się obracają, to zasady, że tylko od Moskwy może przyjść dobro i żywot dla Polski. Owoż pojmujesz, że to na rękę Moskalom. Mojem zaś zdaniem, od Moskwy jakiej bądź, czy czarnej, czy rozanarchizowanej, przyjść tylko może zepsucie, obrzydliwość i śmierć dla Polski. Zepsucie i zniszczenie są elementami Moskwy; socjalizm w dole, absolutyzm w górze, oto Moskwa cała. Polski powołaniem bronić ludzkość od tych dwóch potęg niszczycielskich, i żywot Polski całej był tylko taką świata obroną. Zatem, czymkolwiek jest Towiański, jego nauka jest śmiertelną Polsce. Żyłem i skonam w tej wierze.

Tem bardziej zalecam Ci, strzeż się jego i jego wysłańców. Do prostoty gołębicy przybierz, gdy z nimi rozmawiasz, rozwagę zimną węża, a co Ci mówią i podszeptują, zapamiętaj i racz mi udzielić, bo zawsze korzyścią jest znać stanowisko wrogów. Rozważ ten mój list cały, a napisz, co też Ci gadał K. o Towiańskim. Towiańskiemu teraz potrzeba nowych adeptów, bo dawni się już albo zużyli, albo odeszli, albo zzimnieli, jak np. sam Mickiewicz.

Książki przeszlę Ci temi dniami, przynajmniej jednę, a gdy tę przejrzysz drugą. Ściskam Cię z serca.

Twój

Pamiętaj, strzeżonego Bóg strzeże!

336. DO STANISŁAWA KOŹMIANA

Baden, 9 lipca 1851 r.

Kochany Stasiu! Dawno zapowiedziany, obiecany i oczekiwany wiersz, do *Przeglądu* przeznaczony, posyłam Ci. Tytuł łaciński *Resurrecturis*, czyli „do tych, *którzy z martwych powstaną, mają zmartwychwstać*"; lepiej byłoby, gdyby tytuł był polski, ale pracując nad ową nazwą we spółce nie mogliśmy wynaleźć odpowiadającego intencji autora wyrazu. Zresztą, kiedy dziecko zdrowe, piękne i sprytne, mniejsza o jego imię, choćby go nawet Barabaszem nazwano. Nie mam potrzeby Ci przypominać, że na końcu podpisu żadnego nie trzeba, lecz polecam pieczołowitości Twojej korektę. Jedna opuszczona komina już mi dolega, a cóż dopiero przekręcony wyraz! Opuszczony wiersz gotów mi zdziałać atak apopleksji. W Lesznie doskonale drukują, ale Poznań przerażający. Rząd pruski na dowód, że Poznań zniemczony, powinien by posłać do Bundestagu między innemi dowodami książkę polską, drukowaną w Poznaniu. *Irydion*, układany nie z rękopismu, ale z druku, bardzo wiele ma błędów. A więc wymówka za nieczytelne pismo upada. Erof[690] prosi Cię, abyś mu przysłał nowy hieroglif Norwidowy, *Zwalon* czy *Rozwalon*. Do Twojego rozstrzygnienia zostawiam, czy po polsku mówi się: czemciś, czy: czemsiś, bo między nami zdania podzielone, ja jestem za pierwszem.

List ten cały pisany ręką Gaszyńskiego, również dołączon do niego wiersz.

337. DO STANISŁAWA KOŹMIANA

Kolonia, 1851, 1 septembra

Mój drogi! Na dzień jeden tu do katedry przywiozłem Elizę. Za 3 dni będę nazad w Baden. Dawne czasy się przypominają — Bonn i Ty — w Bonn dziś będę. W tych dniach około 8-go odbierzesz Erofową przesyłkę z Wrocławia. Przeczytasz i, jak Ci się wydaje, napiszesz — *Punctationem*. Erof błaga, byś ustrzegł od okrucieństw zwykłych w Księstwie. Proszę Cię, mój drogi, przyślij mi *Bolesława Chrobrego* Szajnochy, i drugi jakiś obraz historyczny przez tegoż (tylko nie dramat jego o Lubomirskim) — *Zwolona* też proszę Cię i Prądzyńskiego. *Zwolona*-m ciekaw. — O dziecko, dziecko znarowione, K. C. N.[691]. Nie słuchał — wydrukował — teraz ma za to sądy ludzkie!

Nie spiesz się z punktacją dla Erofa — daj sobie folgi, ile chcesz — *piano* — *sano* — *lontano*[692]. Chciałem Ci się tylko stąd przypomnieć. Proszę Cię, odpisz mi rychło! Ściskam Cię z serca. Zażywam cykuty, jakby Sokrates, i pomaga mi nieco, alem ciągle źle. Pani Delfina poznała się w Karlsbadzie z Twoją siostrą i nachwalić się jej nie może. Pieśni jej dała jakieś prześliczne, które śpiewa całemi dni. Książę bardzo chory — Witold ledwie z pleury wydobyty, ale o księcia strach! Będzie *luctus ingens*[693]. Klaczko z H. W. wzięli sobie Twego znajomego za piłkę i grają w nią, odrzucając ją sobie w „Gońcu".

338. DO MICHAŁA WISZNIEWSKIEGO

Rzym, 14 grudnia 1851 r.

Bardzo mi miło dowiedzieć się, żem mógł, choć bezwiednie, przyłożyć się w czemkolwiek do wyświadczenia Panu przysługi[694]. Zupełnie i czysto duchowo, bo jedynie przeczuciem, wpłynąłem na kierunek materialny Pańskich interesów. Dobrze, że o tem w owej chwili nie wiedziałem, bo zapewnie bym nie był tak śmiało twierdzenia mojego popierał,

[690] *Erof* — Krasiński. [przypis redakcyjny]
[691] *K. C. N.* — Kamil Cyprian Norwid. [przypis redakcyjny]
[692] *piano, sano, lontano* (wł.) — powoli, zdrowo, daleko. [przypis redakcyjny]
[693] *luctus ingens* (łac.) — ogromny smutek. [przypis redakcyjny]
[694] *Bardzo mi miło dowiedzieć się, żem mógł, choć bezwiednie (…)* — jest to odpowiedź znanemu uczonemu, który dziękował Krasińskiemu za to, że przepowiednią rychłego zamachu stanu Ludwika Napoleona zachęcił go do operacji giełdowej tak szczęśliwej, że podwoiła jego majątek. [przypis redakcyjny]

lękając się odpowiedzialności, a przez tę właśnie lękliwość, bardzo moralną, lecz w tym razie nader niepraktyczną, zaszkodził obrotowi Pańskich kapitałów.

Tak samo Ludwik Napoleon, gdyby zanadto długo był się zastanawiał nad ogromną odpowiedzialnością, którą przybierał, spisek swój przeprowadzając, nigdy by go tak zwycięsko, zręcznie i energicznie do celu nie dowiódł. Udało mu się. Jeśli się nie upoi tryumfem, nie znabuchodonorozuje władzą, która ma to do siebie, że równie jak niewola, zezwierzęca ludzi, kiedy nie chcą uznać, że jest pierwszą z niewol, bo najwyższym i najcięższym obowiązkiem na świecie — to, mojem zdaniem, wyrwie Francję, z otchłani społecznych rozkładów. Odda więc nie tylko przysługę ojczyźnie, ale i światu, ale i wiekom przyszłym. Lecz pełno trudności i zawad na jego drodze. Hydra czterogłowa stronnictw francuskich nie da się tak łatwo zaprząc do jego dyktatorskiego wozu. *Periculosae plenum est opus aleae*[695]. Uchowaj też, Boże, by zaraz teraz jaki nowy Verrina nowemu temu Fiesce puginału do piersi nie wetknął, bo wtedy byśmy przepadli wszyscy: Francja, i świat, i cywilizacja. Niecywilizowani tylko, jakiego bądź oni gatunku i plemienia, z tego by skorzystali i pozostali całymi na gruzach zamordowanego wieku.

Proszę przyjąć najszczerszą podziękę za pamięć o mnie i wyraz uwielbienia i szacunku, z którym miło mi oświadczyć, że pozostaję na zawsze

WPana Dobrodzieja prawdziwym sługą

Zygmunt Krasiński.

Liścik załączony oddałem Włodzimierzowi.

339. DO STANISŁAWA KOŹMIANA

Rzym, 18 marca 1852

Mój drogi! Bardzo zmartwiła mnie wiadomość o zdrowiu Twojej matki, o które to zdrowie nie przestałem nigdy się modlić od dnia, w którym pierwszy raz mi doniosłeś, że słabieć zaczyna. Dopełnię Twego zlecenia i o modły poproszę, kogo się należy. Od Aleksandra Br. żadnej odpowiedzi na mój list nie odebrałem. Dobra scena u Franciszka — najwięcej interesowany, jak mówisz, z duszy rad, że tak się dzieje i nie pragnie, by się działo inaczej. Powiadasz „siostry umierającego". Jak to? Czy umiera Henryk? Nic a nic o tem nie słyszałem. — „Przeglądu" poszyt z obrazem *Słowa Polskiego* i *Machiawelem* odebrałem w tych dniach. Przeczytam oba i zdanie Ci moje napiszę. Wyjeżdżam na 15 dni do Neapolu, wracam tu na Wielkanoc, a koło 1 maja stąd się wybieram nazad do Badenu. W jesieni zaś będę musiał wrócić[696]. Zdrowie moje coraz gorsze. Powrót więc ten jesienny, któremu odjąć się nie mogę na żaden sposób, pogrąży mnie jeszcze głębiej. Co ze mną się stanie, nie wiem. Czuję tylko w głębi ducha najsmutniejsze przeczucie. Prawda, że ten marzec, to wściekły miesiąc na chorych — trzeba być bardzo młodym, by wiosna była wiosną, a nie rozpaczą człowiekowi. Mnie już od 4-ch lat bywa rozpaczą. Jakoś teraz, kiedy spojrzę wkoło siebie, nie odkrywam na widnokręgu żadnej gwiazdy przewodniej, wszystko mi się wydaje nocą jedną, coraz ciemniejszą i głębszą — amen!

Pani Plater, która tu umarła, była wdową po bracie żony Orpiszewskiego — sama także Platerówna z domu. Na balu u jenerała Gemeau przeziębiwszy się już z schorowanemi piersiami, w tydzień po tymże balu ducha oddała. — Z „Czasem" przyszedł tu zawczoraj prospekt „Dziennika Literackiego" ze Lwowa, redakcji Szajnochy, który tygodniowemi numerami wychodzi. W treścianie przedmiotów, w 4-tym numerze zawartych, stoi: „Urywki listowe przez autora *Irydiona* i *Psalmów*". Co to znaczy? Czy nie mógłbyś się dowiedzieć? Najprzód, najdziwniejszą rzeczą, że jednemu autorowi przypisują te dwa zupełnie odrębnego pióra dzieła — 2° Cóż to za listy być mogą? Matka Juliusza[697] tam we Lwowie jest — zdaje się, była w Paryżu i po synu zabrała pozostałe efekta. Czy tam czasem jakich zachowanych nie znalazła listów? W każdym razie to jedna z najgłębszych

[695] *periculosae plenum est opus aleae* (łac.) — sprawa ta jest pełna niebezpiecznego hazardu (Horacy). [przypis redakcyjny]

[696] *W jesieni zaś będę musiał wrócić* — do kraju. [przypis redakcyjny]

[697] *Matka Juliusza* — Słowackiego. [przypis redakcyjny]

niepoczciwości literackich, jaką popełnić kto może. Mimochodem o tem wspominam, gdyż to mnie osobiście nie dotyka, tylko smutno mi widzieć, jaka u nas lekkomyślność i płochość pod wszystkiemi względy.

Smutnem ale pełnem przywiązania i wdzięczności ściskam Cię sercem — i tu mi jeszcze zaraz odpisz, proszę Cię. Mam nadzieję, że Bóg miłosierny pokrzepi zdrowie matki Twojej i to brzemię wkrótce z serca Ci zdejmie.

Twój Scapa

340. DO STANISŁAWA KOŹMIANA

Rzym, 1852, 24 kwietnia

Drogi mój! List Twój z 11-go kwietnia odbieram w tej chwili. Dzięki, dzięki Bogu, że Twoja matka wróciła do lepszego zdrowia. Dniam jednego nie opuścił, bym się o to zdrowie jej nie modlił. Lecz to inne modły, nie moje, pomogły — moje tylko Tobie przywiązania dowodem.

Słowo w słowo, tę samą uwagę czy zarzut, który generał Morawski robi, i ja niegdyś robiłem autorowi *Snu*, kiedy mi go pierwszy raz czytał jeszcze 1838 r. na jesieni, we Florencji. Biedny Juliusz! Pamiętam, z bladą twarzą, z jaskrawemi oczyma, na czwartem piętrze wieżycy jakiejś, w której mieszkał, przy pysznem świetle miesięcznem, wlewającem się w okna, pod lampą wyżej, niż głowa jego, siedzący, czytał mi ten ustęp z ogromnego poematu, o którym pewny był wtedy, że go dokończy — a którego nie miał nigdy dozupełnić. Lecz ten ustęp wtedy już był całki. Kiedy doszedł do miejsca, gdzie pozbawia dusze nieśmiertelności, zerwałem się i krzyknąłem: „Panteizm! Panteizm! Panteizm! Wyrzuć mi to!" A on mi na to spokojnie i ironicznie: „Nie panteizm, ale pogarda, pogarda, na której wyrażenie innego wyrażenia nie masz" — i, wstrząsłszy głową, dalej ciągnął. Pomyślałem sobie: „A kto wie, może ma prawdę, może nie ma innej formy poetycznej na oddanie absolutnej pogardy? Jednak prosiłem go jeszcze po dokończeniu czytania, by odmienił, przynajmniej złagodził ów rys, nicestwo przypuszczać się zdający. Lecz sumienie jego poetyczne niezachwianym pozostało. Biedny Juliusz! Jakżeż on tego wieczora wydawał mi się pełnym życia, ducha, natchnienia — pełnym wiary w własną przyszłość i losy. Ostatni raz go w życiu wtedy widziałem. Później jużeśmy się nie spotkali nigdy. Pokazywał mi *disiecta membra*[698] ledwo pozaczynane lub tylko wytknięte tego samego poematu. Zamysł był olbrzymi: wszystkie tam miały się przesunąć dzieje człowieczeństwa, miały być całkie jedne ustępy prozą, drugie całe pieśni wierszem, i to dziwnym, przezeń wynalezionym, dłuższym, niż ów 17-sto zgłoskowy Mickiewicza w *Dziadach*. Biedny Juliusz! Na Montmartre wszystko to śpi z nim — a *Sen* tylko ten jeden pozostał, by o tem świadczyć na ziemi! Dotąd bez wzruszenia nie mogę sobie tego wieczora przypomnieć w tej florenckiej wieżycy[699].

Nie Teano sam, który dotąd tylko na jedno oko oślepł, ale jego świekra zawsze mię była zwykła męczyć opowiadaniem o tych wężach i iskrach, a umyślnie, by wrażenie na mnie sprawiać niepomyślne — i raz oburzyłem się na nią z tego powodu i prosiłem o zaprzestanie. Te urywki, to z listów do Juliusza, które matka pobrała. Zda się czysto literackie — niech wpadnie, jak kamień w wodę. Polecam się Tobie, mój drogi, jak zwykle, jak zawsze — powierzam się i polecam. Wczoraj pisałem — przed tygodniem pisałem. Wyjeżdżam stąd za tydzień. W czerwcu pisz do Badenu! Jeszcze raz polecam się Twojej przyjaźni.

Twój Z.

---

[698]*disiecta membra* (łac.) — rozrzucone członki. [przypis redakcyjny]

[699]*uwagę czy zarzut, który (…) niegdyś robiłem autorowi* Snu *(…)* — w opowiadaniu tem trzeba przestawić nazwiska: autor *Snu*, Krasiński, odczytał go w r. 1838 Słowackiemu. Poemat ten wyszedł w r. 1852 w Lesznie pod tyt.: *Sen. Pieśń z niedokończonego poematu, wyjęta z pozostałych rękopismów po śp. J. S.* W ten sposób poddane czytelnikom przypuszczenie o autorstwie Słowackiego powyższe opowiadanie miało podtrzymać i ustalić, uwalniając właściwego autora od szykan policji rosyjskiej, których się wiecznie obawiał. [przypis redakcyjny]

341. DO STANISŁAWA KOŹMIANA

[18]52, Baden, 5 oktobra

Drogi mój! W każdej kobiecie szesnastoletniej jest tylko jedna dusza, — w każdej, co 25 lat przeszła, jest ich dwie — jedna wesoła, druga smętna — jedna dzielna, z serca krew poświęcenia ssąca, jak kwiat soki z korzeni swych, druga samolubniejsza i bardziej ziemska. Stąd pochodzi, że trudne do poznania duchy niewieście, skoro się w takowy sposób rozpadną na dwoje. Lecz to prawem ich wiekuistem. Otóż i tu dostrzegam takiej dwójności... Są oczy nabijane światłem, jak u Madonny Sykstyńskiej. Staraj się więc zawsze o to, by oczy brały górę i panowanie, [...] a [...] coraz silniej świetlały, aż cała osoba stanie się tylko owemi oczami, tj. przejrzystą i światłem nabijaną, jak one. Na tem ma zależeć wychowanie, które rozpocząłeś, a którego musisz dokonać. Skoro Cię te oczy kochają, to się nie lękaj — uprosisz je, by się rozszerzyły i objęły wszystkość osoby. Lecz pamiętaj, że bardzo w tem ostrożnie, miarowo, artystycznie, strojnie, należy postępować. Nigdy gwałtem, ni dąsem, ale ciągle prośbą serca, prośbą ócz własnych, rzadziej zaś ust prośbą. Lecz i z tą czasami wystąpić należy, jednak nie *directe*[700], ale obrawszy sobie za cel krytykę innej osobistości. Raczej zawsze o estetyce mówić, niż z kazaniem jakiem występować — raczej tchnieniem muskać i gładzić i naprawiać lub poprawiać wszystko, niż maksymami i prawidłami — bo tu o skutek chodzi, nie o sposób. Nade wszystko zaś pamiętaj dwie rzeczy: 1° że w samych tylko początkach może duch męski przełamać niewieściego, jeśli takim jest, że go trza łamać — lub otrzymać odeń miłość na wieki, jeśli takim jest, że go łamać nie trzeba, i że w tej pierwszej chwili sam ze siebie kocha. Wszystko, co później się staje i dzieje, już pierwotnej siły nie posiada, pierwotnego wpływu nie wywrze — 2-gie, niechaj nigdy i przenigdy duch niewieści nie spostrzeże w męskim obrażonej miłości własnej, niech tylko widzi prawdę lub piękno obrażone — bo w pierwszym razie zaraz wyższość swoją własną uczuje, w drugim zaś przyzna ją męskiemu i ukorzy się. Duch niewieści sam pełen miłości własnej — lecz przywar własnych nie cierpi u mężczyzn. Skoro je tam spotka, buntuje się przeciwko nim zażarcie i olbrzymio. Nigdy takowemu buntowi sposobności nie podać.

Ostatnie to moje rady — ostatnie, drogi mój, bo później ani ja już Tobie ich będę dawał, ani też Ty będziesz mógł ich ode mnie się domagać. Po radach weź jeszcze raz sercu błogosławieństwo całe, pełne, gorące. Bądź, o bądź szczęśliwy! Tu raz mi jeszcze i to zaraz odpisz, bo zapewnie 22-go stąd wyruszę ku *Città Dolente*[701], a 30-go w niej stanę — chybaby mi przydłuż przysłali, o czem wątpię. Bóg Cię strzeż — i obłogosławiaj. Znajdź serce, jakiego się Twoje domaga i godne.

Twój Z.

P. S. Proszę Cię, gdybym już był znikł z Europy, a Ty dowiedział się o Wronkach, to prosto napisz, udzielając tych wiadomości do Marceliny do Paryża. Proszę Cię o to.

342. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

Warszawa, d. 23-go stycznia 1853

Mój drogi Ty! Cóż Ci powiem? Ateizm natury, śnieg, ta równość absolutna, ta bezbarwna nicość, zewsząd mnie obwiała. Śród płócien, rozwieszonych na kołkach, by jej nie widzieć, chodzę po ścieżce, wymiecionej na długość 30-tu kroków, wzdłuż i nazad, a kruki i wrony kraczą mi ponad głową, jak Mazepie. Co dzień dwie lub trzy godzin takowego pogrzebnego chodzenia, przy tem kąpiele, bańki, pijawki itd. i nieustające nigdy cierpienie, nawet zwiększające się, w miarę jak więcej śniegu pada, lub mrozu przybywa, lub jaka bądź zmiana się dzieje w powietrzokręgu. Oto jedno, co powiedzieć mogę, zresztą nic nie wiem. Od miesiąca nie przeszedłem progu dziedzińca pałacowego, gdyż moje

[700] *directe* (łac.) — wprost. [przypis redakcyjny]
[701] *Città Dolente* (wł.) — bolesne miasto; Warszawa. [przypis redakcyjny]

samotne przechadzki odbywają się w ogrodzie, tam, gdzie dziećmi, pamiętasz, igraliśmy, a ja się nie spodziewał, że mię służący pod rękę, jak ślepego, prowadzić będzie śnieżnym obszarem do ścieżki owej.

Wiem, żeś pisał do Elizy i że Ci ona odpisała. Dzięki Ci. Ojcam Twego raz widział. Drugi raz był łaskaw teraz być, alem w łóżku pijawki stawiał, więcem Go nie mógł widzieć. Coś Ci powiem jednak z nowin tutejszych, oto: — Zdarzyła się tutaj dziwna istota. Szesnastoletnia córka Niny Łuszczewskiej[702], która wciąż od jakiegoś czasu przed zgromadzonymi licznie gośćmi u matki improwizuje. Wiele jej kawałków już widziałem. Wątpię, by to była istotna improwizacja, bo każdy kawałek nosi cechę najwyższej sztuki i najdziwniejszego spokoju ducha. Żeńskości nic, zapału i podrywu nic, młodzieńczości żadnej. Ale mowa najpiękniejsza, jasność najprzejrzystsza, wiersz najnaturalniejszy, erudycja ogromna, idei pełno, powiązanie ich najzręczniejsze, mądrość, jako cecha charakterystyczna każdego utworu. Słuchającemu ich przychodzi na myśl lodowaty spokój Goethego, przychodzą na myśl rabiny i Salomon. Nic dziwniejszego być nie może nad podobny rozwój ducha w tak młodej istocie, w której nie młodość, ale dojrzałość natchnienia (bo jest zarazem i natchnienie i dojrzałość) panuje i włada. Serca tam nigdy nie znać, ale rozum, miara i wyrób ducha, który sam siebie już opanował, do najwyższego stopnia przebija. Tak dalece, że to na smętne naprowadza pomysły, i że podziw obudzony, a bez żadnego uniesienia, jak gdyby w pewien gatunek przestrachu wprowadza duszę i każe się jej domyślać, że, kiedy w taki sposób dzieci śpiewają na tym świecie, to niedaleki zapewnie musi być koniec zużytego świata. Jeśli ten dar się nie rozbije o próżność lub nie pryśnie sam w sobie, tak, jak zwykle przedwczesne, anormalne wyroby inteligencji, to ta kobieta kiedyś zasłynie szeroko i stanie się jedną z chwał ziemi tej.

24-go stycznia. Można o niej powiedzieć: „Nie dziewczyna mówi, ale przez dziewczynę mówi". Pierwszy to duch może w rozwoju naszej literatury, nie mający śladu podmiotowości w sobie, duch doskonale przedmiotowy. Im więcej rozważam jej utwory, tem bardziej podziw rośnie we mnie. Nie jest to poezja serca, bo zawierałaby w sobie podrzuty namiętności lub łzy rozrzewnienia. Nie jest to poezja wyobraźni, bo zawierałaby w sobie więcej plastyczności lub obrazowości. Jest to poezja czystego rozumu, co, jak Minerwa, od stóp do głów zbrojna, wyskoczyła od razu z czoła jowiszowego. A tem czołem „tajne brzemię lat". Dziwne są porody i pokolenia duchowe, równie tajemnicze, jak cielesne.

Prolegomena zur Historiosophie[703], choć może nigdy ich nie czytała, są jej ojcem i matką, tylko, że prozę na spokojny, przeźroczysty, już nie walczący z sobą, już nie rozdarty w sobie, ale ukojony, płynny, letni, bo nie gorący, błękitny raczej, niż gwieździsty, miarowy raczej, niż muzykalny, klasyczny w całem znaczeniu tego słowa, a ciągle romantyczną treścią brzemienny wiersz przerobiła. Powtarzam Ci: *portentum est*[704]. I na tem kończę, mój Ty drogi i bardzo drogi. Strzeż Ty tam zdrowia Twego — bez zdrowia na świecie tym duch marnieje i ostatecznie zmarnieć musi. Bardziej, niż kiedykolwiek, czuje tę prawdę ten, który Cię nigdy kochać nie przestanie.

Zyg. Kr.

343. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

Warszawa, d. 22-go lutego 1853

Drogi Ty mój Auguście! Po Twojem milczeniu sądząc, którem tak długo nie odpisywałeś na list mój, pełny Deotymy, przekonany byłem, żeś chory, i nie zawiodłem się. Proszę Ciebie, strzeż pilnie zdrowia, bo raz straconego nic i nikt nie przywróci. Masz we mnie tej prawdy najsmutniejszy przykład. Coraz mi gorzej. Newralgie też w oczach niemiłosiernie dokuczają. Między innymi dziennikami trzymam też i „Czas" — czytałem zatem w numerze z 16-go lutego cytacją z monologu hamletowskiego, która Ci się tak

[702]*szesnastoletnia córka Niny Łuszczewskiej* — Deotyma. [przypis redakcyjny]
[703]*Prolegomena zur Historiosophie* — programowa rozprawa A. Cieszkowskiego. [przypis redakcyjny]
[704]*portentum est* (łac.) — jest to potworność. [przypis redakcyjny]

udała; zdawało mi się, że czytam mowę jakiego z wielkich mówców, nie francuskich, ale angielskich — takiem było na mnie wywarte wrażenie.

Pytasz mnie się, czym się z Deotymą nie zapoznał. Naprzód nie mogłem, bo od dwóch miesięcy progu pałacowego nie przestąpiłem. Po wtóre, choćbym mógł, nie chciałbym, bo, co w niej najwznioślejszego i najwdzięczniejszego, to właśnie mam u siebie i z sobą, ilekroć jakie z jej natchnień do rąk mi się dostaje. Jednakowoż, pomimo, żem jej na cieleśne oczy nie oglądał, najdokładniejszych o niej szczegółów znam mnóstwo. Postaci zewnętrznej, że się tak wyrażę, żadnej nie dały jej nieba; bo ani piękna, ani szpetna, wdzięku żadnego, estetyczności w jej kształtach najmniejszej, ani rysów, ani kibici, raczej otyła, oczy mętne i bez skry, nie posiadające żadnego stanowczego koloru, głos piskliwy, niedźwięczny, deklamacja najprzykrzejsza, źle skandowana, bez najmniejszej muzyczności, ciągle zawieszona nad otchłanią *śmieszna*[705], jednak nie zlatująca do niej. Piętno całej tej postaci charakterystyczne, to dziwny spokój, po którym, jakby po błękitnem, przejrzystem jeziorze przesuwają się na wysokich masztach białe żagle idei, lecz nigdy nie igra ni pieni się żadna rozkołysana fala namiętności. Jakom Ci już pisał i jakom się w zdaniu utwierdził odtąd, poezja jej, to *poezja wiedzy* i wyłącznie wiedzy. W takiej zaś poezji wielkie dla natchnionej jest niebezpieczeństwo, by w końcu nie wpadła w samą tylko erudycję i pomimo najklasyczniejszą i najcudniejszą zewnętrzną formę wiersza nie stała się raczej profesorem, oratorem, kaznodzieją, filozofem, analitykiem, opowiadaczem, dostrzegaczem praw natury i umysłu ludzkiego, niż błyskawicami i piorunami ducha miotającym poetą. Bóg ją ciągnie naprzód, matka ciągnie z tyłu. Kto zwycięży? *That is the question*[706]. — Do tego dodaj, że ciągłe improwizacje przed publicznością muszą wyniszczać jej umysł, soki najpiękniejsze natchnienia obracać li tylko na płyn pamięci i przytomnej rozwagi, wysilającej się na dobieranie rymów i utrzymanie całego mechanizmu teatralnego sceny, wreszcie uczyć ją pewnego szalbierstwa w zszywaniu nagromadzonych i wprzód już ułożonych kawałków, bez którego to szalbierstwa improwizacyj czterysto i pięćset wierszowych nie ma — a nawet i przy niem wszystkie takowe długie improwizacje wbrew największemu darowi, zlanemu od Stwórcy, mogą być tylko chaosem i słabizną. Otóż smutno patrzeć na tę dziewczynę, naznaczoną znamieniem kapłanki, a pchaną przez próżność matczyną na aktorskie tory. Jednak wszystko, co dotąd ona napisała w skupieniu ducha, w ciszy i bez *vulgi cingente corona*[707], jest nader głębokiem i prześlicznie owierszonem; lecz czucia tam nie masz i żeńskości żadnej. Nigdy ci serce, gdy czytasz, nie podskoczy, lecz myśl zawsze się zastanawia i pełna podziwu, jak gdyby coś uroczystego wokół się zdarzało, nie wie zrazu, czy ma czcić, czy lękać się.

Ojca Twego pozawczoraj widziałem; zdrowiusieńki i pojechał znów na wieś. Donieś mi jak najprędzej, czyś już zupełnie wrócił do zdrowia i, myśląc o mnie, pomódl się czasem za moje. Z głębi najgłębszej serca ściskam Cię.

Twój Zyg.

344. DO STANISŁAWA MAŁACHOWSKIEGO

14 lutego 1854, Heidelberg

Troszeczkę mi lepiej. Lecz tego nikomu nie gadaj, bo jedyną moją obroną choroba, i przez wiarę w nią jedynie dalsze przedłużenie paszportu otrzymać mogę. Nasi zaś, sam wiesz, że natychmiast wszystko roztrębują, i są sami *najniewinniejszymi, ale najniebezpieczniejszymi* ze szpiegów. Dzięki Bogu, że Giettator szczęśliwie dopłynął. Bóg mu szczęść[708]. Że wielkie będą klęski, to nie tajno nam być powinno; wszelkiego rodzaju okropności zleją się na ludzkość. Będzie powstanie chrześcijan w Turczech, podjudzone i zapłacone, będą rzezie, krzywdy, uciski, boleści bez miary. Lecz, jak raz się zacznie, wie-

[705]*śmieszna* — śmieszności. [przypis redakcyjny]
[706]*that is the question* (ang.) — to jest pytanie (*Hamlet*). [przypis redakcyjny]
[707]*vulgi cingente corona* (łac.) — (bez) darzącego wieńcem pospólstwa. [przypis redakcyjny]
[708]*Dzięki Bogu, że Giettator szczęśliwie dopłynął (…)* — Władysław Zamojski wyjechał był wtedy do Konstantynopola w związku z nadchodzącą wojną krymską. [przypis redakcyjny]

rzę w gwiazdę napoleońską. Z jaką miarą a zarazem śmiałością postępuje eksprezydent! Oczywiście on za sobą Anglią wciąż rwie i wiedzie, co z depesz wyjawionych jawnem każdemu teraz, a dotąd tego nie wiedziano.

Najgorsze położenie będzie tych, co będą w kraju: moje, Twego brata i reszty; ale mniejsza o nas, byleby koniec odpowiedział odwiecznej tęsknocie naszej.

Jeśli co będę miał do napisania, to pamiętaj, że przez pocztę napiszę do pana Joseph de Neuville; portierkę ostrzeż; przekonanym bowiem, że moje listy czytają w Karlsruhe na przejeździe. Teraz pragnęliby zgubić wszystkich, których dotąd nie mogli zgubić ni też spodlić, bo czują, że już krótki czas i chcą się pozbyć wszelkiej przeszkody.

Czym wistocie nic Ci nie winien za książki? Czy owe sto franków wystarczyły? Biedna Spinolowa. Jakże prędko znika wszystko, co było sobolewskiem na ziemi!

Mój ojciec zdrowszy, Chelius młody znacznie mu pomógł. Często przez ojca miewam wiadomości o Kalkucie; zdrów i zapewne rad z dziejących się dziejów!

Teraz z głębi serca Cię ściskam i po dwakroć ściskam i po trzykroć, bo *omne perfectum*[709]. Drogi mój! Bóg wie, jakie losy nasze będą, gdzie każden z nas cierpieć będzie i zginie, lub radować się będzie i ożyje. Lecz co bądź stać się ma, miej mię zawsze za kochającego Cię całą duszą, jednego z najdawniejszych Twych przyjaciół. Do obaczenia, drogi Vado mój!

Twój

Jeśli piszesz do Giettatora, to uścisk mu przeszlij ode mnie i powiedz, że co dnia zań się modlę.

345. DO ADAMA SOŁTANA

21 lutego, Heidelberg, 1854

Troszeneczkem lepiej, więc zaraz do Ciebie piszę. Wystawiam sobie, jak czytujesz teraz[710] gazety, dawniej nudne, z zajęciem. Czy też stanie się zadosyć odwiecznej tęsknocie? Pamiętasz, jakem zawsze twierdził, że eksprezydent nie kretyn ni wiarołomca żaden? Pamiętasz wieczór u Marceliny, kiedy mię tak gromiła o to? Wiedziałem ja dobrze od drugiego grudnia, że inny prąd zaczął płynąć i popychać fale na oceanie świata. Najstarsza córa kościoła znów idzie na krucjatę i znów z Ryszardem Lwiego serca; inne kształty, pozory, a konieczność ta sama, a cel jeden, i znów wszystko się rozpoczęło od kwestii o grób Chrystusa! *Admirabilia*[711]! Oto dopiero ukryte ścieżki Pańskie i mądrość ludzka, która głupstwem przed Bogiem! Spodziewali się tyle od 1848, nie spodziewali się niczego od drugiego grudnia. Jakżeż niedorzeczni, i jakże wypadki kłamstwo ich rozumom zadają!

Co Tobie za talara podpisuje Konrad Wallenrod[712] ja to mam tylko do dwudziestego siódmego maja, ale dołożę wszelkiego starania, by na dłużej dostać, bo opłakany stan zdrowia mego nieodzownie tego wymaga. Com ja się nacierpiał i co cierpię wciąż, Bóg jeden wie. Nie mogę dalej, chciałem tylko Ci przypomnieć kochającego Cię, na zawsze Twego. Marysi serdecznie kłaniam i Alfonsowi, który taki dobry dla mnie.

Twój

Mimo nadzieję przewiduję mnóstwo boleści i klęsk i najtrudniejszych przepraw. Oh, być bez zdrowia teraz, to najsmutniejsza z dól; czasem wielka rozpacz znachodzi się w sercu mojem. Czy przypominasz sobie Wernyhory proroctwo i legendę o Bobolim? Wszystko dziwne, wszystko Pańskie! Raz jeszcze Cię ściskam z głębi głębin serca.

---

[709] *omne perfectum* (łac.) — wszystkiego dobrego (jest po trzy). [przypis redakcyjny]

[710] *jak czytujesz teraz* — w czasie wojny krymskiej. [przypis redakcyjny]

[711] *admirabilia* (łac.) — sprawy godne podziwu. [przypis redakcyjny]

[712] *Co Tobie za talara podpisuje Konrad Wallenrod* — K. Wallenrod, landrat w Stumie; mowa o paszporcie. [przypis redakcyjny]

346. DO STANISŁAWA MAŁACHOWSKIEGO

7 lipca, 1854

Mój drogi! Okazją piszę. Pani Branicka dostała rozkaz opuszczenia natychmiast Warszawy i stawienia się w Kijowie. Taki sam jej dwaj synowie, Konstanty i Aleksander, co dopiero byli do niej od dni kilku przybyli. Zatem wyjechała, siedemdziesięciopięcioletnia, z dwoma synami, z których jeden żonę Jadwigę zostawia bliską połogu. Widzisz więc, że tam nie żartują. Co z nimi będzie? Wielkość olbrzyma na takich kończy się małostkach i zemstach. Olbrzymim sposobem niski duch.

Scapa[713] dostał przedłuż na sto dwadzieścia dni. Ciekawy dokument, pierwowzór; tak samo wszystko piszą, noty dyplomatyczne i traktaty. Zaczyna się bowiem od tego, że Er. nie widzi przeszkody przedłuży, że tę *łaskę* akorduje, a akordując, zostawia generałowi Rüdigerowi rozporządzenie jej szczegółami, przydając jednak, że łaska czterech miesięcy przenosić nie powinna. Zatem generał Rüdiger rozkazuje ministrowi badeńskiemu[714], by się naocznie przekonał, czy podróż natychmiastowa życiu pana Scapy przynieść by mogła niebezpieczeństwo. Gdyby tak było, pozwala mu oświadczyć, że może jeszcze cztery miesiące siedzieć tam, gdzie jest, z oznajmieniem przy tem, że to ostatni raz mu się przedłuż taką daje. Gdyby zaś nie był tak chorym pan Scapa, to prosi generał, by mu o tem zaraz doniesiono, na to, by on znów ze swej strony natychmiast rozpoczął kroki, w takim razie przepisem nakazane. Tak brzmi ten nieoceniony dokument. Zaczyna się niby to od łaski, a kończy prawie na żandarmach; stawia zaś ciągle Scapę w cochwilnej zawisłości od humoru i kaprysu ministra.

O Paszkiewiczu nie wiedzą, czy wróci do Warszawy, czy nie. Do tego stopnia łżą Moskale, że w listach z Warszawy piszą, że Szylder zdrów i żyw, a że pod Sylistrią nie było porażki żadnej!

Ea., zdaje mi się, strasznie bałamuci i zwodzi wszystkich. Królestwo coraz bardziej gniecione. Będzie Polska, ale przejdziem przez niesłychane klęski. Co zaś do mnie, nie wiem, co się ze mną stanie. Jeśli będę musiał wrócić po upływie terminu tego ostatniego, to przepadnę marnie, gdzieś wywieziony. Bóg jeden, jeden, opieką naszą.

Nie zapomnij „Debatów", trzydziestego pierwszego się kończą. Pisz tu, pod adresem: *Monsieur Antoine Wojtach*, dopóki Gaszyńskiego nie ma. Ściskam Cię z głębi serca.

347. DO STANISŁAWA MAŁACHOWSKIEGO

12 sierpnia, 1854

Mam Twój list. Uciekaj co prędzej do morza od tego zatrutego powietrza! Eliza tu będzie jutro lub pojutrze, wraz z wydobytymi chłopcami. Już z Krzeszowic miałem listy od niej. Mnie zawsze srodze źle. Konstanty w Wildbad, Lucjan dotąd tu, Sołtan już w Prusiech.

Nie pojmuję, co się teraz stanie. Mówią, że Rüdiger zwołał marszałków szlachty, by się naradzali nad *Wiederherstellung eines selbständigen Königreich Polen*[715]! Austria ułatwia, wstępując do księstw, Moskwie posłanie sił swych na obronę Krymu. Wszystko mi cuchnie, nic mi nie pachnie. Jeśli Moskwa ogłosi Królestwo, to oczywiście na zjednanie sobie Słowian rakuskich i tureckich, a państwa zachodnie pożałują gorzko, że jej na tej drodze nie ubiegły. Zamęt straszny. Wyspiarz powinien, gdyby Królestwo w istocie ogłoszonem zostało, wystawić Efowi, że on teraz z trudności tej wyjdzie tylko ogłoszeniem całej dawnej Polski od morza do morza.

Z głębi serca Cię ściskam i proszę Boga, by Ci lepiej na zdrowiu było. Ten list okazją idzie.

---

[713] *Scapa* — Krasiński. [przypis redakcyjny]

[714] *rozkazuje ministrowi badeńskiemu* — tj. posłowi rosyjskiemu w Badenii. [przypis redakcyjny]

[715] *Wiederherstellung eines selbständigen Königreich Polen* (niem.) — odbudowaniem samodzielnego królestwa polskiego. [przypis redakcyjny]

348. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

Heidelberg, 54, 20 grudnia

Drogi mój, a już od dawna zapominający o mnie! Interes Twój dopełnion — z zamiarów onych nic a nic nie będzie. Moja bratowa była u *qui de droit*[716] i ten jej zaręczył, że z onych nic a nic nigdy nie będzie. Zatem co do tego bądź spokojny.

Mieszkam teraz w pokoju, w którym umarła — pamiętasz? — tej wiosny pani Naryszkin[717], a na dole pod tymże pokojem umiera, wiesz kto? — Zapłacz: oto mój biedny i wierny Jan — i to na tę samą zupełnie chorobę, co Naryszkinowa. Już od dwóch miesięcy leży, a teraz już umiera. Rak w kanale piersiowym. Okropnie mi z tego powodu. Pędzę przy jego łóżku co dzień długie chwile. Czynię, co mogę, i dla jego duszy, i dla jego ciała. Pierwszej nic nie będzie, bo Pan miłosierdzia pełen, i to był poczciwy, zacny sługa — ale drugie będę musiał za dni kilka, jeśli cudem go Bóg nie ocali, do trumny złożyć. Powiedz to Antoniemu[718] — niech i on go pożałuje. Na iluż, to miejscach nie bywali z sobą razem! Część to przeszłości i młodości naszej odrywa się od nas, Auguście, z tym człowiekiem.

Księżnie marszałkowej, która tu bawi od dwóch miesięcy, Chelius ogromnie pomógł; w tych dniach wraca do Warszawy. Jak najłaskawsza na Elizę, pędzi u niej po kilka godzin na dzień. Ja raz byłem u niej, alem miał nieszczęście okrutne. Wystaw sobie, co za konfuzja — porwały mię owe womity, co nieraz, jak wiesz, mię napadają — i musiałem uciec, i dusić się, i krztusić, i ryczeć z bólu przez pół godziny na korytarzu; odtąd już nie byłem, bo ócz na nią bym podnieść nie śmiał, choć wiem, że się bardzo lituje nad moim stanem. Eliza zżółkła i wychudła od dwóch miesięcy znacznie — ojciec wciąż trwa w gniewie na nią i to mię rozdziera. Pełno, pełno smutków zewsząd. C. K. N.[719] odezwał się, prosząc o zapomogę — pytał się i o Ciebie, gdzie jesteś. Słowam nie odpowiedział, tylkom posłał zapomogę. Wrócił razem z morza z Marcelim Lubomirskim i u niego mieszka. List był podło-dumny, jak zwykle. Jerzy tu był przez dni kilka i wrócił do Krakowa przez Wiedeń — zakochał się teraz we Wiedniu. Vado ciężko chory na różę na ramieniu. Pani D. *w rue des Ch. Elys.* — Jett.[720] wraca podobno. Jego wuj[721] bardzo smutny, lecz to nic nie szkodzi. Przekonanie moje o ich interesach znasz. Iza[722], siostra Jerzyna, mówiła mu, że z Tobą wieczór spędziła i żeś różanego był humoru. To mię pocieszyło. Nie mogę dalej. Ściskam Cię z serca głębi.

Twój na wieki

Hostibus agitatus[723].

Konstanty coraz bardziej upada na siłach. Ah! Smutne mam przeczucie. Czemu tam siedzisz? na co? po co? o co? Przykolej tu, przybądź do nas.

349. DO STANISŁAWA MAŁACHOWSKIEGO

16 stycznia, Heidelberg, 1855

[716] *qui de droit* (fr.) — ten, który jest od praw. [przypis redakcyjny]
[717] *pani Naryszkin* — Olga Naryszkin z domu Potocka. [przypis redakcyjny]
[718] *Antoni Wojtach* — służący Augusta Cieszkowskiego. [przypis redakcyjny]
[719] *C. K. N.* — Cyprian Kamil Norwid. [przypis redakcyjny]
[720] *Jett.* — Władysław Zamoyski. [przypis redakcyjny]
[721] *Jego wuj* — Książę Adam Czartoryski. [przypis redakcyjny]
[722] *Iza* — Iza Romanowa Sanguszkowa. [przypis redakcyjny]
[723] *Hostibus agitatus* (łac.) — pędzony przez wrogów. [przypis redakcyjny]

Piątego stycznia, o pół do dziewiątej z rana, wierny, poczciwy Jan[724] wyzionął ducha na ręku Elizy, która od piątej mu czytała modlitwy, i na moich, który od czwartej słuchałem jego woli ostatniej i także modliłem się przy nim.

„Chcę wstać" rzekł, gdy już śmierć tuż była; znieśli go Antoś i Nanetta z łóżka na krzesło. Eliza klękła przed nim, jam kląkł także. Ledwo usiadł, konać zaczął. Eliza rzekła do księdza przytomnego, by stułę wziął i powtórzył już daną absolucją ogólną dnia poprzedniego. Ksiądz zaczął ją wymawiać, my tymczasem, klęczący, żegnali go znakiem krzyża i doznawali wrażenia tych, co, na ziemi pozostając, patrzą na odlatujących w niebo balonem; coś podobnego, tylko przydaj przytomność Boga Sędzi na twarzy i w oku umierającego. Ah, oka tego nie zapomnę nigdy! Rozwarły się usta na ostatni dech, a oko strzałą światła rzuciło w nieskończoność, zarazem ku mnie i Elizie, ku Bogu, ku księdzu, ku ziemi i niebu, widnokrężnie; a były w tem oku zarazem i wiara, i nadzieja, i strach — i, powtarzam, odbicie wzroku Boga, którego już dusza spoza tej źrenicy zdawała się widzieć widocznie. Za ostatniem słowem absolucji oko raz jeszcze światłem cisnęło ze siebie, i zgasło z wolna!...

Święta to śmierć była, święta i choroba, bo wytrzymywana z najzupełniejszem oddaniem się woli bożej, bez jęku, bez skargi, mimo przywiązania do życia i żalu za żoną i dziećmi. Umarł na to samo, na co cesarz Napoleon, tylko że miał raka trochę wyżej, niż cesarz, miał go ponad żołądkiem, i przeżarł mu był ten rak piersi i płuca, a z tyłu doszedł aż do kości pacierzowej. Domyślić się możesz, co wycierpiał, biedny, i że nie było w sztuce lekarskiej zaradczego środka na takowe zło.

Śmierć to największa i najgłębsza z nauczycielek. Wszelka filozofia choć dużo krzyczy i paple, dzieckiem, niemowlęciem jest, przy wymowie śmierci, która jednak milczy! Żebyś Ty wiedział, jak wiele mistycznego jest w konających! Jak modlitwa ich uspokaja, choć cierpią nieskończenie, jak spływa na ich bole na kształt balsamu! Nigdy tak blisko Pana się nie czułem, jak w ostatniej chwili tej, kiedy to oko Janowe stanęło przed Panem! Kto chce praktycznie dotknąć się mistycznych rzeczywistych zjawisk, niech bywa przytomnym konaniu bliźnich! Śmierć

Bardzom rozbity i jakby rozwiązan na wszystkich siłach ciała, na mocach też ducha. Łączę Ci tu odpowiedzi na zapytania Mayera. Bądź łaskaw poszlij je zaraz do *rue Rivoli 23*, i każ mu zapłacić za wtóra konsultacją i prosić, by dał jak najprędzej zdanie swe na piśmie, które mi tu zaraz przeszlesz, drogi mój.

Cieszę się, że Tobie lepiej; nie ma już tu przeszkody żadnej i będziesz mógł zawitać, skoro się zupełnie na siłach uczujesz. Ściskam Cię z głębi serca i Bogu powierzam.

350. DO ADAMA SOŁTANA

15 lutego 1855, Heidelberg

Od dni czterech już oddałem Cheliusowi list Alfonsa[725], a dotąd, choć przypominam, nie mogłem na piśmie zdania jego odeń odebrać. Lecz obiecał, że da jutro lub pojutrze. Od czterech tygodni bardzo mi źle jest, śnieg, mróz i przechadzki pod bramą, w sieni domu, mnie dobijają. Doszedłem do rozdraźni nerwowej niesłychanej i nie wiem co począć. Bardzo mi źle, bardzo, Adamie, i proszę Cię módl się z głębi serca o mnie do Boga i przenajświętszej Matki Jego. Jakżeż wdzięcznym Alfonsowi, że tak fatyguje się dla mnie! To mi ciąży na sumieniu, bo nie wiem, jak mu wdzięczność moją okazać, a pragnąłbym, by przekonany był o niej.

Co do mnie, nie wiem wcale, co się ze mną stanie, wiem tylko, że pierwszego kwietnia kończy mi się termin. Oddać się trzeba całkiem przenajświętszej woli bożej.

Cieszę się, że zima tak bardzo złego wpływu na Ciebie nie wywiera i mam nadzieję, że otaczające Cię choroby przeszły.

Ledwo piszę, tak mi źle jest.

[724] *Jan* — Jan Kruszewski, służący, który Z. Krasińskiemu od jego lat dziecinnych towarzyszył we wszystkich podróżach. [przypis redakcyjny]

[725] *list Alfonsa* — Sierakowskiego, zięcia Sołtana. [przypis redakcyjny]

Oto wreszcie odpowiedź Cheliusa dla Alfonsa, którą łączę. Proszę Ciebie, Marysi mnie przypomnij, Alfonsowi serdecznie się kłaniaj! Takem zgłupiał, tak myśli skupić na żaden sposób nie sposób, że męczarnią dla mózgu mego jest pisać. Wpadam ja, wpadam w stan biednej księżnej naszej; nieraz to mnie przeraża, gdy pomyślę o niej. Gettatore[726] jeszcze nie wrócił. Wuj jego[727] jak najlepiej z cesarzem[728]. Wszak wiesz, że brat Witolda żeni się ze starszą córką Krystyny? Śliczna panna, doskonale wychowana, cztery miliony posagu.

Incomparabile[729] serdecznie się kłania i każe Ci winszować, że ten, którego tak nie lubiłeś, stary Anglik[730], wyszedł ze składu rzeczy.

351. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

Baden, 1 czerwca 55

Wyrzuty sumienia

Drogi mój! Masz prawdę — *oravi* — ale nie *laboravi*[731]. Lecz czyż mogłem? Od lat tylu pozbawionym i ócz, i mózgu. Walczyłem, walczyłem, aż teraz doszedłem do strasznych otchłani. Ah, żebym miał tę pociechę, którą mię cieszyć chcesz! Żebym mógł sobie samemu poświadczyć, żem miłował wiele! Lecz powiedz mi, co? Ojca? Nie mogłem nawet teraz doń pojechać, gdy był paraliżem (dzięki wszechmiłosiernemu Bogu, że tylko zewnętrznym, i już przeminiętym) tknięty. Eliza pojechała, Eliza, co przy mnie, błaźnie, wygląda, jak archanioł. Kogóż? Dzieci? Nie mogę się trudnić niemi. Kogóż? Kraj? Cóżem kiedy dla kraju istotnego uczynił? Kochałem, co mi się podobywało, ale nie to, co należało.

Młodość Elizie popsułem, zżarłem, otrułem — wszystkich, co mię kochali, dowiodłem naprzód do rozpaczy, następnie do zanudy, tej rozpaczy na zimno. Ale nie sposób mi pisać — w głowie mojej nieład bezprzykładny.

Dzięki Ci, dzięki za pociechę. Łzy mi do ócz przyszły, gdym czytał koniec listu Twego. Kiedyż się odzobaczym? Módl się za mną, mój Auguście, tak, jakem Cię prosił. Z głębi serca Cię ściskam.

Twój

Na co ciotek lub kogo bądź się pytać? Alboż nie widna ręka, zawieszona w górze, co wszystkich, i tych, i innych, i tamtych, kogo nie bądź, porywa, i wiedzie i każe iść, choć nie chcą, choć leniwi, choć opieszali, iść każe naprzód, naprzód coraz dalej!

Roman[732] tu i ściska Cię serdecznie.

352. DO ADAMA SOŁTANA

Baden, 5 decembra 1855

Dotąd my tu, śnieg zasypał nas. Upakowane wszystko od trzech tygodni, tymczasem to Adzio, to Lili, to Marylka wciąż zapadali jedno po drugiem na grypę. Zdaje się jednak, że w tych dniach ruszym ku Romie, biorąc się na Romę nowożytną, bo przez ściśle obojętną Helwecję ani rusz przy takiej porze.

Poeta

Pan Adam[733] już odszedł od nas. Na tę wieść pękło mi serce. On był dla ludzi mego pokolenia i miodem, i mlekiem, i żółcią, i krwią duchową, my z niego wszyscy. On nas był porwał na tej wzdętej fali natchnienia swego i rzucił w świat. Był to jeden z filarów, podtrzymujących sklepienie, złożone nie z głazów, ale z serc tylu żywych i krwawych; filar to był olbrzymi choć rozpękły sam, a teraz dołamał się i runął w przepaść. I całe sklepienie

[726] *Gettatore* — Władysław Zamoyski. [przypis redakcyjny]
[727] *Wuj jego* — książę Adam Czartoryski. [przypis redakcyjny]
[728] *z cesarzem* — Napoleonem III. [przypis redakcyjny]
[729] *Incomparabile* — nieporównana, określenie żony Krasińskiego. [przypis redakcyjny]
[730] *stary Anglik* — Lord Aberdeen. [przypis redakcyjny]
[731] *oravi (…) laboravi* (wł.) — modliłem się, ale nie pracowałem. [przypis redakcyjny]
[732] *Roman* — Roman Załuski. [przypis redakcyjny]
[733] *Pan Adam* — Adam Mickiewicz. [przypis redakcyjny]

ono zadrżeć musi i kroplami krwi z ran serc, z których złożone, płakać nad jego grobem! Największy wieszcz nie tylko narodu, ale wszystkich plemion słowiańskich, już nie żyje.

Smutno — smutno — smutno!

Z drugiej strony wiesz zapewnie jakie położenie nowe mego ojca[734], i możesz sobie wyobrazić, ile to rodzi obaw w duszy mojej, jak się troszczę o nadwerężenie jego sił pracą i o wiele innych rzeczy, bo z tej pracy tylko smutek, zdaje się, wyróść może!

Uściskaj Alfonsa, złóż moje najserdeczniejsze przypomnienia się Marysi, jako też i od *Incomparabile*, i zastanów się, zapaliwszy cygaro, obwinąwszy się w szal zamiast burnusa i położywszy się na sofie, zastanów się nad wszystkiemi rozdarciami, jakie dziać się muszą w duszy mojej. Ile przypuszczeń, niepewności, zamętu we mnie, spowodowanych zbiegiem zagmatwanych zdarzeń. Ręka tylko boża rozgmatwać je potrafi. Raz jeszcze Cię z głębi serca ściskam.

Twój usque ad finem

353. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

6-go decembra, Baden, 1855

Mój drogi! Arcy-smutna wiadomość![735]. Głazem grobowym przycisnęła mi serce, bom go kochał, i ducha, bo to był choć pęknięty może, ale zawszeż wielki, olbrzymi filar śród podtrzymujących, rzadkich już i pękniętych wszystkich, nasze sklepienie.

O biedne filary i biedne sklepienie! Jedne po drugich rozłamują się: pierwsze padają w przepaść znikają — a co z drugiem będzie?

Jeśli zaraz przyjść trzeba na ratunek dzieciom, to mi napisz, a dam Ci karteczkę do Thurneyssena. Podobno Ksawery[736] tem się zajmuje — czy tak, czy nie? Pamiętasz jego ostatnie słowa do mnie, Tobie powiedziane: „Chyba w kraju mu się odwdzięczę". Tak, w kraju umarłych teraz! Ah, szkoda! To był jedyny człowiek, z jednej strony na sianie anarchii, kiedy go obłąkiwała nieskończona żądza postawienia szybko na swojem upragnionych celów swych, lecz z drugiej, to był jedyny człowiek na wstrzymanie anarchii, i w kraju, przekonany jestem, że byłby ją wstrzymywał. Iskry, co w nim żyła i z nim się rozwiała, nie odnajdziem w żadnej innej piersi dziś. Pierś ta była michałowo-aniołowa! Smutno — smutno — smutno!

Z gór, gdzie dźwigali strasznych krzyżów brzemię,
Widzieli z dala obiecaną ziemię,
Ku której w dole ciągnęło ich plemię,
Lecz sami do tych nie wejdą przestrzeni —
Do godów życia nigdy nie zasiędą
I może nawet zapomniani będą!

Ten ostatni wiersz do niego nie może się stosować, ale wszystkie poprzedzające są jego dziejami — i wielu innych — ale jego szczególnie, bo nikt nie pragnął tak, jak on, i nie wyglądał był przez żywot cały tej obiecanej ziemi!

Śmierć, Poeta

Za życia można o błędach czyich mówić. Lecz śmierć ma dłuto nieśmiertelne i rzeźbi człowieka w posąg biały, czysty, idealny, na którego kształtach marmurowych tylko piękno ducha jego odbić się powinno. Niech więc taki posąg z niego stanie, wzniesion pamięcią plemion słowiańskich — bo to nie tylko narodu polskiego, ale wszystkich plemion słowiańskich był największy wieszcz.

Za kilka dni się, mam nadzieję, odzobaczym. Zaraz mi tu jeszcze odpisz! Oh, smutno, smutno, smutno mi! Ściskam Cię z głębi serca

[734]*położenie nowe mego ojca* — po śmierci Paszkiewicza jen. Wincenty Krasiński pełnił przez czas krótki obowiązki namiestnika Królestwa Polskiego. [przypis redakcyjny]

[735]*Arcy-smutna wiadomość* — o śmierci Adama Mickiewicza. [przypis redakcyjny]

[736]*Ksawery* — Ksawery Branicki. [przypis redakcyjny]

Twój Z.

Twój list pierwszy mi doniósł o tem nieszczęściu narodowem. Nie wiedziałem o niem. Gazety były uszły ócz moich. Smutno — smutno — smutno!

354. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

(Baden), 11 marca, (1856)

Mój drogi! Powiedz Klaczce, że mu ten uścisk ręki z głębi serca przesyłam i że go proszę, by wierzył, iż z najwyższem współczuciem dowiedziałem się o okrutnem nieszczęściu, które go spotkało[737]; przydaj do tego, iż w istocie przyznaję, iż najmniejszego prawa mi nigdy nie dał do ofiarowania mu pieniędzy, lecz, że skądinąd, pisząc tak, jak pisze, po polsku, mnie i każdemu ziomkowi dał prawo starania się o to, by był zaopatrzonym w książki, niezbędnie rozwojowi prac jego potrzebne. Tego zatem prawa się chwyciłem i użyłem go; nie moja wina, że tak talentem swym w jedno zlał się z mową i literaturą, iż, gdy przychodzi dbać o nie, człowiek przymuszon zarazem myśleć i o jego osobistości. To mu bądź łaskaw powiedz ode mnie! Jeśli po takiem tłumaczeniu się mojem jeszcze odrzuci, to wtedy, mój drogi Auguście, te 500 fr. przeznacz dla Norwida i złóż u kogo, który by nie od razu mu je oddał, ale według potrzeb jego, co kilka miesięcy mu z nich po 100 fr. udzielał. O to idzie, by ten grosz swoje *dobre* uczynił.

Po świętach ani myślę zaraz zjeżdżać. Dopóki konferują, dopóki zasiadają koło zielonego stolika te szulery, nawzajem oszukujące się, a grające losami świata na zgubę światu, nie ujrzysz mię tam. Bomba Cię moja drażni — widzisz, wierzę wszystką wiarą duszy w nią. Bóg nas nie pozostawi sierotami zdarzeń. A zatem, jeśli możesz, przybądź tu, a ostrzeż parę dni wprzód, to Ci samo słońce najmę i w niem osadzę. Ściskam Cię z duszy i serca.

Już czas śliczny, a grypa trochę mniejsza moja.

355. DO ANDRZEJA KOŹMIANA

Baden, 24 marca 1856

Najdroższy i najnieszczęśliwszy Jędrzeju mój! Cóż Ci powiem? Co napiszę? Alboż łzami pisać można, kiedy prawdziwe? A choćbym co i napisał, czyżby słowo jakie moje Tobie pomóc mogło? Na takie bóle nic, co z ziemi, nie pomaga na ziemi, prócz czasu. Takie bóle nawet pociechy nie cierpią i za obrazę ją sobie mieć zwykły; im boleć, ze wszystkich pociech jest jeszcze najznośniejszą pociechą[738].

Śmierć, Ojciec

Ach, bo też to ból bólów. Żon można mieć więcej nad jednę, dziecka stratę zdoła zastąpić przyszłość, lecz ojca ma się tylko jednego. W temeś tylko wybrańszy od drugich, że wiesz całą pełnią wiedzy Twej, iż nawet na tej ziemi Ten, który odszedł, nie odszedł całkowicie, *non omnis mortuus est*[739]. Póki trwa mowa polska, póty i on jako posąg stoi przed obliczem narodu, a pokolenia nie tylko patrzeć nań, przechodząc, ale mu i błogosławić muszą. Jaka zaś duszy tej nieśmiertelnej nagroda u Pana dusz i wieków wszystkich, wiesz także, bo znasz żywot jej ziemski, taki bogaty w cnotę, taki wspaniały tylu lat ciągiem.

Płacz więc nad sobą, nad całym rodem swym, nad nami wszystkimi, ale nie płacz nad nim!

Drogi Jędrzeju! Pamiętaj, o ile on zawsze był łaskaw na mnie, pamiętaj, iż, ojca mego kochając, i na mnie był zlał cząstkę onego kochania. A na to pamiętając, kochaj mnie także! Podanie przyjaźni rodów naszych przeciągnijmy dalej.

Twój zawsze

[737] *Klaczce (…) o okrutnem nieszczęściu, które go spotkało* — Klaczko stracił w tym czasie ojca. [przypis redakcyjny]

[738] *Alboż łzami pisać można (…)* — list, pisany po śmierci Kajetana Koźmiana. [przypis redakcyjny]

[739] *non omnis mortuus est* (łac.) — nie cały umarł. [przypis redakcyjny]

356. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

13 sept[embra], Baden, [18]56 r.

Obiecałem Ci zdać sprawę z wrażenia, jakie wywrze na mnie dzieło Mirosławskiego[740] — oto je masz.

Styl potworny, podobny do owych bożyszcz indyjskich, co miasto dwóch nóg i rąk człowieczych mają ich sześćdziesiąt — podobny do tej Izydy egipskiej, której na znak płodności i siły trzydzieści wymion zamiast piersi dwojga dali dziecinni jeszcze rzeźbiarze. Lecz pod temi wymionami, nogami i rękoma bez liku, nadzwyczaj nieludzkiemi a zatem obrzydliwemi, dopatrzeć się można bujnej fantazji, trafnych pomysłów, czasem istotnej i głębokiej prawdy. Szkoda, że prawda w takie ręce niemyte się dostała, stała się tem samem niedostępną wielkiej części czytelników, szczególniej obcych, gdyż gorącej miłości ojczyzny potrzeba na to, by w śmieciach szukać pereł. Polak tylko na takiego szyfoniera[741] się puści i zacznie hakiem a z latarką rozgartywać te kupy gałganów, by u ich dna znaleźć czasem zgubiony pierścionek lub spinkę. Cudzoziemiec, skoro obaczy śmieci, odwróci się ze wstrętem i odejdzie. Że też tego nie zdoła pojąć człowiek z rozumem, a już nie młodzieniaszek, że nie zrozumie, iż tak uroczystego przedmiotu nie godzi się stroić w kształt arlekiński i po smarkaczowsku mówić o ojczyźnie i dziejach ludzkości! Że nie pojmie, iż bez powagi nie sposób poważnych pisać rzeczy i że to gatunkiem umysłowej zdrady kraju piękno i wzniosłość jego sprawy brudzić taką formą, przeniewierczą wszelkiemu pięknu i wzniosłości! Żal mi jego, bo znać, że to w nim systemat, że to rodzaj hołdu, ciągle składanego koszlawością i brzydotą wyrażeń stronnictwu, do którego należy. Party jego terroryzmem duchowym, nie śmie być estetycznym i, skoro co dobrego lub pięknego pomyśli, natychmiast, by uzyskać przebaczenie od swoich, wyraża to plugawie i gminnie. Majestat ducha polskiego z jednej strony go ciągnie i mówi: „Bądź wieszczem, kaznodzieją, bądź wielkim mówcą, kiedy o mnie piszesz lub, jeśli nie zdołasz, to przynajmniej zacnym, czystym, poczciwym pisarzem". Klub zaś lokajski ciągnie go z drugiej i mówi: „Drwij po wolterowsku, szydź po heglowsku, a jeśli nie zdołasz, to przynajmniej staraj się zawsze i wszędzie zachować znamiona ulicznika". Serce jego rade by posłuchać pierwszego głosu, ale nałóg, próżność, wstyd przed wspólnikami, wreszcie chęć czy chuć popularności w kole, do którego przystał i przywykł, nie dozwalają mu takowego posłuszeństwa. Zatem musi rad nie rad wszelką poważną prawdę przetworzyć na koncept lichy i wciąż, miasto grzmieć piorunami prawd śród błyskawic ze światła, strzela z fuzyjek, pożyczonych u demagogicznej ruchawki, skąd tyle dymu powstaje, że poza dymem tym trudno dopatrzeć się błysków — a kule, niesione słabym pędem, miasto wdrażać się w pierś nieprzyjaciela, odbijają się od niej i walają się po ziemi. Jeśli o czem, to o tym stylu, mającym w wyobrażeniu autora kiedyś zapewnić mu władzę i pierwszeństwo pośród demagogii, można powiedzieć: *omnia serviliter pro dominatione*, gdyż nie znam serwilizmu większego nad poddanie ducha, pojmującego wszystko, co wielkie i szlachetne, wymagalnościom formy, na tem właśnie zależącej, iż składa się z wszystkiego, co niskiem i podłem — i to z umysłu, i to z świadomością, w celu samolubnym! Stanowisko Polski do mocarstw rozbiorczych i do świata doskonale pojęte, wewnętrzne zaś jej stosunki fałszywo wysłowione, a naumyślnie, z przesadą, z buńczucznością kłamstwa i potwarzy, chcących sobie zasłużyć na *władzę* — *Dixi*.

Com Ci zawsze twierdził, niezawodną prawdą: Napoleon[742] chciał nas — Anglia nie chciała; wtedy Napoleon zawarł pokój. Morny, tam jadąc, miał od niego rozkaz starania się o wszystko, co tylko możliwem dla nas — sam mi to oświadczył i był tu dla mnie najuprzejmiejszym z uprzejmych; w onych to chwilach tak Ciebie potrzebowałem. Będziesz zapewnie pamiętał, jeśli tam pojedziesz, by, jak 1-szą razą, kredą czerwoną nie znaczono listów moich — wszak nie zapomnisz? Ściskam Cię z głębi serca. Słyszałem,

[740]*dzieło Mirosławskiego* — L. Mierosławski: *De la nationalité polonaise dans l'équilibre européen par le Général…* Paris, 1856, str[on] XV+531. [przypis redakcyjny]

[741]*szyfonier* (fr.) — zbieracz gałganów. [przypis redakcyjny]

[742]*Napoleon* — Napoleon III podczas wojny krymskiej. [przypis redakcyjny]

żeś w Ostendzie ponad morzem nieraz się przechadzał z jakąś panienką, krewną Twoją. Domyśliłem się, że to siostrzenica, raczej synowica Twa. Czy tak?

P. S. Mój stan zawsze jednaki. Na kulach łażę — po większej części leżę. Czy Ty w istocie już tu się nie zjawisz? Czy w istocie powędrujesz na zimę do Królestwa? Zajrzyjże tu jeszcze! Dotąd nie wiemy, co zaszło po koronacji. Tylko, że amnestia bez oddania konfiskat. Mój ojciec z łaski bożej zdrów ciągle aż dotąd. — Vado już jest na *Chaussée d'Antin*. Giettator dopiero za kilka tygodni spodziewany — bardzo chory, zdaje się.

357. DO STANISŁAWA KOŹMIANA

Baden, [18]56, 23 oktobra

Mój drogi! Przez jesień całą czekałem na Ciebie, aleś się nie zjawił. Cóż porabiasz i co Ci na przeszkodzie stanęło? Kiedyż się odzobaczym? Dzięki Ci najserdeczniejsze składam za ostatnią książek i „Przeglądu" przesyłkę. Leży mi na sumieniu, że tyla kosztu Ci jestem powodem. Proszę Cię, zdejm ten ciężar ze mnie i powiedz mi, ilem Ci dłużny za one książki wszystkie.

Mija 3 miesiące, jak napad podagry, pomieszanej z reumatyzmem, na kolano wzniecił mi w niem zapalenie stawu i znaczne wycedzenie się płynu stawowego. Odtąd na kulach chodzę — a od 1½ miesiąca, zdaje się, nie wychodzę już, jedno z łóżka wlokę się do kanapy i nazad. Możesz sobie wyobrazić, jakie z bezruchu i bez powietrza dzieją się w organizmie moim awantury, przydawszy do tego ciągłe używanie trucizn, jak merkuriusz, akonit i colchicum. Obiecują mi, że za 4 tygodnie stanę na nogi. Zdaje się, że do Paryża na zimę się przeniosę, a na wiosnę wrócę do Kongresówki.

Co się też z biednym a kochanym Drusiem dzieje? Niech *Stefana* puści w obieg z Lipska, kiedy nie sposób skądinąd, ani spokoju żywym, ani czci umarłym niepodobna. Smutno — smutno. Lecz sądzę, że Lipsk, a nawet i Leszno, mogłyby zaradzić temu.

Dziwnym szykiem wszystko idzie na świecie. Dwóch największych wieszczów epoki umarło. O dzieciach jednego kraj, zda się, zupełnie zapomniał — a drugiemu dzieci pomnika dotąd wystawić nie mogą. A w pierwszym i drugim wypadku zdarzała się taka sposobność pokazania na jaw jedni i spójni! Do szaleństw skorzyśmy — do prawych i poważnych czynów nie tyle. Długów nigdy nie płacim, a gody sardanapalskie radzi wyprawiamy. Smutnem to wszystko.

Z głębi serca Cię ściska Twój wdzięczny na zawsze
Erof.

358. DO STANISŁAWA KOŹMIANA

Baden, 56, 17 grudnia

Mój drogi! Erof[743] by wolał, żeby zupełnie nie[744] — wszystko bowiem, co go przypomina, mu zgubnem. Zapytuje się zatem przeze mnie sumienia syna, czy w istocie to było wolą ojca? Czy w istocie syn odjąć się nie może takowej wypełnieniu? Gdyby taki zachodził przypadek, gdyby to na kształt obowiązku ciężyło na duszy synowskiej, wtedy lepiej by już postawić imię i nazwisko, albo początkowe obu litery tylko. To raczej, niż co bądź innego. Gdyby można dodać, „którego znałem od kolebki i któremu zawszem błogosławił" albo, „któremu błogosławię" — coś takiego w gatunku *ex privatis*[745]. Lecz na to niezawodnie nie pozostawił ojciec rozporządzenia synowi. Zawszeż powtarzam, dla Erofa lepiej pod cielesnym (oczewiście nie pod duchowym) względem, by zupełnie opuszczonym był.

[743] *Erof* — Krasiński. [przypis redakcyjny]
[744] *by wolał, żeby zupełnie nie* — [Krasiński] wymawia się od dedykowania mu *Stefana Czarnieckiego* Kajetana Koźmiana, którego druk właśnie rozpoczęto. [przypis edytorski]
[745] *ex privatis* (łac.) — ze spraw osobistych. [przypis redakcyjny]

Uściskaj ode mnie jak najserdeczniej Drusia. Jakżeż to drukować on będzie w Krakowie *Stefana*? Jaka edycja będzie? Na ile egzemplarzy? Wszystko to mnie mocno zajmuje i obchodzi.

Znów mi gorzej — jednak na Nowy Rok będę w Paryżu, *8 Rue Duphot*. Pod tym adresem tam na nowym roku pisz do mnie. Powiedz też kiedyś, czy dużo pozostało gnijących *Snów*, *Ostatnich* i *Dzisiejszych* rozmaitego kalibru? Czy listów także do Wymowy[746] jednej z najpierwszych jeszcze się znajduje gdzie? — i gdzie? Ciekawym.

Wątpię, by kiedy Iza poszła za Działyńskiego. Odkładane takie związki nie dochodzą. O Jełowieckiego kazaniu pierwszy raz słyszę. Nie pierwszy raz mu się taka rzecz zdarza. Cóż będzie z „Przeglądem", kiedy go Twój brat opuszcza?... Przyślij mi swój adres dokładny — czy taki: *par* Berlin. Szrem *à* Przylepki, czy jak? Dokładnie, proszę Cię, mi go wypisz! Jenerałowi Morawskiemu złóż moje uszanowanie najserdeczniejsze. Kończę, bo mi trudno pisać dla newralgij nieznośnych, podobnych do konań, w mózgu, a kończąc, ściskam Cię z głębi, z samej głębi serca.

Twój

359. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

26 stycz[nia] 57, Paryż

Mój Ty drogi i najdroższy! List mój do Suchy wyprawion, a pewno stamtąd odesłan Ci do Warszawy, już musiał Ci donieść, że z najgorętszem serca weselem dowiedzieliśmy się oboje o Twem postanowieniu[747]. Ani na chwilę nie zbrudziła tej czystej krynicy uczucia myśl jaka bądź przekorna, dąs jaki bądź lichy, zwrócon ku nieudaniu się naszych własnych pomysłów. Uznaliśmy Twoją mądrość w wyborze, a czując, żeśmy jedynie Twego szczęścia i dobra pragnęli, podziękowaliśmy Bogu za świętobliwe Jego wyroki i niezbadanych ścieżek użycie na błogosławieństwo Tobie! Ileż to ja razy, drogi mój, o to z głębi serca się modlił od pewnego czasu, a wreszcie stało się — i stało się co do kształtu tysiąckroć lepiej dla Ciebie, niż my myśleli, sądzili, wnosili. Jeślim na wiosnę mówił: „Coś opatrznego w zdarzającym się wypadku", toć teraz, w zdarzającym się teraz, muszę uznać daleko jeszcze coś opatrzniejszego. Niechże Panu, co wszystko przepatruje i wszystkiem rządzi, co waży gwiazdy w bezmiarach, a serca w piersiach ludzkich, co prowadzi ku celowi światy wszystkie i dusze wszystkie i każden żywot ziemski, będą dzięki i dzięki, i dzięki, na teraz i na zawsze i na wieku! Przytulam Cię do serca i chciałbym mieć Cię tu, lub byś mię miał tam, bym mógł w ramiona Cię ścisnąć, a ścisnąłbym z sił wszystkich i dziękował Ci, żeś mi dał szczęścia chwilę, boś w istocie dał mi ją. Bądź przekonan, że i Elizie sprawiłeś niepowszednią radość i że w jej duchu ani postało na chwilę pamiętać o tem żeś co do kształtu nie poszedł za jej radą. Doskonaleś i wybornie uczynił — że cię kocha Helenka Twoja, wiem o tem, bo z jej listu, pisanego tu, a pełnego uwielbienia i miłości k'Tobie, dowiedziałem się nasamprzód o tym gromie radości dla mnie. Zatem wszystko dobrze i święcie się stało. Teraz, znając stosunek duszy mej do Twego położenia i postanowienia, nie wzdragaj się dalej mię w nie wtajemniczać! Tylko proszę Cię, już nie heglizuj, nie rozbieraj rzeczy na prawo i w lewo, nie szukaj sprzeczności procesu w niej, nie zastanawiaj się, o ile białe „widerspruchuje[748]" z czarnem, ale oddaj się jakby fali, co niesie naprzód, pędowi błogosławieństwa bożego, uznaj wszechłaskę i wszechmiłosierdzie Chrystusa Pana, wszechopiekę przenajświętszej Pani, i idź — i płyń naprzód — i nie oglądaj się — i bądź szczęśliwym i uszczęśliwij tę, która oddaje Ci przyszłość całą żywota! Jakim zaś sposobem, jak najpewniej tego dokonać zdołasz, o tem nieraz rozprawiać możemy i będziem. Lecz na to czas się znajdzie. Teraz tylko weselmy się — radujmy i dziękujmy Bogu! A proś ojca, by śród szczęścia raczył wspomnieć na mnie i wynagrodzić mi błogosławieństwem, mnie, żonie i dzieciom mym przysłanem z oddali, podjęte

[746] *Czy listów także do Wymowy* — do Montalemberta. [przypis redakcyjny]

[747] *o Twem postanowieniu* — August Cieszkowski ożenił się ze swą siostrą stryjeczną, panną Heleną Cieszkowską. [przypis redakcyjny]

[748] *widerspruchuje* (z niem.) — jest przeciwieństwem. [przypis redakcyjny]

trudy od 3-ch lat w namawianiu Cię i wpajaniu z niesłychanym uporem, żarliwością i nawet gwałtownością w Ciebie, żeś powinien „odkamienieć" i dla siebie, i dla niego. O to błogosławieństwo proszę — w niem zapłata moja.

Dzięki Ci serdeczne za ojca mego odwiedzenie i wiadomości o jego zdrowiu. Proszę Cię, nie ustawaj w nich i, bywając u niego, pisz mi, jak wygląda. Odebrałem dziś list od niego, donoszący o Twojem postanowieniu, a zarazem i o tem, żeś mu nic a nic o niem nie wspominał. Drugą razą wynurz mu się z niem, a tem sprawisz mu pociechę. Z głębi serca ściskam Cię i polecam się sercu Twojej siostry stryjecznej — powiedz jej, że od czasów pani de la Haye jam zawsze był bratem Twoim — niech więc i ona za takowego mię przyjmie.

Twój szczęśliwy Zyg.

360. DO ADAMA SOŁTANA

Paryż, 2 marca 1857

Od kiedym tu, ciągłem chory. Co kilka dni zapadam, i muszę przez dni kilka leżeć. Wrzody i czyraki mnie okrywają. Teraz od dwóch dni kolano spuchło i nie mogę go zginać, i lękam się znów wycedzenia płynu stawowego; więc znów leżę i nie ruszam się, a gdy po pokoju się przejść muszę koniecznie, to na dwóch kulach. Co się z Tobą dzieje? Czy jedziesz do Berlina? Czyś się już z postanowieniem puścił na operacji wytrzymanie? Wiesz, że August Cieszkowski żeni się z siostrą stryjeczną, szesnastoletnią? Miro zimuje w Algerze i chwali tamtejszy klimat nad miarę. Hume, *medium* amerykańskie, przez Aleksandra Branickiego utrzymywane, niesłychanych dokazuje cudowności. Dzwonki same chodzą po pokojach i wabią się dźwiękiem serc swych, poruszonych niewidzialnemi siły. Chustki latają po powietrzu i zawiązują się na węzły same. Ręce pod stolikiem jakieś nieludzkie, zaświatowe, wstają i dotykają osób, przy stoliku siedzących, a niektórym widocznie się objawiają. Cesarz i cesarzowa je widziały. Pani Delfina pozawczoraj taką rękę czuła na własnej i ledwo nie zemdlała. Posiedzenie też i u mnie było, ale nic a nic się nie pokazało, tylko *medium* sam dostał strasznego napadu nerwowego przy końcu i konał długo na mojej kanapie.

Polecam Ci koniecznie przeczytać książkę, nowo tu wyszłą pod tytułem: *Rosja, Europa, Polska* po polsku. Tam są pyszne rzeczy, tylko zacznij od kartki 134-tej, a pierwszego rozdziału nie czytaj, bo nudny. Odpisz mi zaraz! Ściskam Cię z głębi serca i sercem całem, przypominam się wszystkim Twoim.

Twój usque ad finem

361. DO BRONISŁAWA TRENTOWSKIEGO

Paryż, 1857, 13 marca

Mój drogi! Dzięki Ci za ciągłą pamięć o mnie. Od pożegnania się z Tobą pisałem do Ciebie z Badenu, gdym tam bawił, wróciwszy z Heidelberga. Czyś tego listu nie odebrał?

Nie bardzom zdrów; to się zrywam, to zapadam. Rana dotąd na kolanie otwarta i powiększona, na dwóch kulach się wlokę, gdy wychodzę, a nieraz musiałem po pięć i osiem dni leżeć.

Bardzo mnie zatrudnia teraz tu będące medium amerykańskie, pełne magnetycznej siły, sprawiającej zjawiska najdziwniejsze w oddali od obrębów jego organizmu i wchodzącej nawet w zetknięcie z duchami. Śledzę go i badam i pilnuję z krwią zimną i rozwagą ścisłą, nic a nic nie podając się w stronę wyobraźni. Ten człowiek od trzech tygodni Paryż napełnił rozgłosem swoich cudownych zjawisk. Bywa u dworu, cesarzowi i cesarzowej pokazywał ręce powietrzniane, dotkliwe i widzialne, spod stolika się wynurzające, a zna-

jomemu memu, z nim noc przebywającemu, zjawiły się duchy dwóch osób ukochanych z za świata. O tem za widzeniem się całą Ci moją teorię opowiem.

Ściskam Cię z głębi serca.

Twój Badeńczyk

362. DO STANISŁAWA KOŹMIANA

8-go lipca [18]57, Paryż

Mój drogi! Powiedz temu ścigającemu mnie o ten przekład niemiecki[749]: 1° Żem wcale się nie domyśliwał, iż trzeba odesłać — 2° że tak było pisane, iż słówka wyczytać nie mogłem — prawda, że niemieckiego pisma nie umiem czytać — 3° że na to, by nabyć o rzeczy wyobrażenia, kazałem przepisać wyraźnie i nie germańskiemi litery — 4° żem wtedy podarł oryginał — 5° lecz ową kopię posiadam pomiędzy papierami leżącemi w Niemczech — 6° zatem, skoro się do nich dostanę, wydobędę ową kopię i odeślę na Twoje ręce.

W końcu listu swego, począwszy się od upominania o rękopism, kończy, zalecając się na nauczyciela dla moich chłopców. O tem mu ani wzmiankuj. Lecz to musi być oryginał. Co do tłumaczenia, sam, rzuciwszy wzrokiem, przekonaj się, czy warte czego. Mnie się wydaje chybionem zupełnie. Lecz może na niemczyźnie się nie znam. O ile możesz, wymów mię przed nim — powiedz, żem wcale nie wiedział, że mu należy odesłać on przekład, a że zresztą takem był schorzały przez te wszystkie lata, że niczem nie mogłem się trudnić. Lecz nigdy w tej rozmowie z nim nie przystawaj na to, że ja co innego obiecuję odsyłać od rzeczy, mnie nie dotyczącej. Skoro stąd wyruszę i znajdę ową kopię, zaraz Ci ją przeszlę.

Straty moje[750] ogromne. Eliza 1 000 000 fr., ja 524 000 fr. straciłem. Czy co odbiorę, nie wiem. Deficytu 16 000 000, a na zapłacenie tylko milion jeden dotąd odnalezion. Lecz, co wiem, to to, że ścigam ogniem i mieczem książąt feodalności finansowej, że im pokoju nie daję i że ich brudy muszą wypłynąć na wierzch. Tak działając, działam przeciwko czerwoności społecznej, której wybuchowi oni najwięcej pomagają niegodziwości swemi. Niech choć raz ślepa Temis zedrze z ócz zasłonę, przejrzy i potępi przykładnie tych, co ten kraj wiodą do zguby.

Nie wiem jeszcze, kiedy stąd wyjadę. Kolano prawie już dobrze — ale mózg i oczy cierpią — i duch też, bo pełno w nim kasandrowych przeczuć. Źle ze światem — na brud chory. Koniec świata daleki, ale koniec epoki może bardzo bliski. Ściskam Cię serdecznie.

Twój Erof

363. DO ADAMA SOŁTANA

16 grudnia 1857, Paryż

Oto słowa, odebrane od ojca przed kilku dniami: „Napisz do Sołtana, że o niego tu w Warszawie się z konsulem francuskim już ułożyłem; niech mi na me ręce przeszle list do konsula, pana Ségur Dupeyron, niezapieczętowany, a ja dołączę świadectwo i stąd otrzyma, co żąda[751]". Zatem napisz.

Wiesz, jakie mnie twarde dole od dziesięciu miesięcy spotykały. Na wiosnę część majątku straciłem, której teraz tu dochodzę olbrzymią sprawą, wytchnienia mi nie dającą, a na jesieni w Polsce straciłem skarb droższy i lepszy, oddałem niebu, co z nieba było

[749] *ten przekład niemiecki* — przekład *Psalmów* na język niemiecki, dokonany przez Emila Pohla. [przypis redakcyjny]

[750] *Straty moje* — z powodu oszukańczego bankructwa banku Thurneyssena. [przypis redakcyjny]

[751] *a ja dołączę świadectwo i stąd otrzyma, co żąda* — chodziło o medal św. Heleny, który należał się Sołtanowi jako napoleoniście; jakoż otrzymał go. [przypis redakcyjny]

do mnie przyszło, pochowałem na cmentarzu potockim Elizkę moją, a matka jej, ojciec mój i ja szliśmy we troje za ta trumienką, w której spoczywał aniołeczek. Nic na ziemi piękniejszegom nigdy nie oglądał nad te rysy pośmiertne dziecka mojego. Śmierć była rozwiodła jakąś potęgę nadziemską, wyrosłą z słabości, z niewinności, z męki ostatniej, przy wyrazie której pomysły Rafaela słabizną.

Bóg strzeż i obłogosławiaj Ciebie i dom Twój wszystek i córkę i wnuki Twe. Kocham Cię i do serca cisnę. Eliza okropnie zmieniona, wycieńczona, biedna, chora, nie do poznania. Grom w serce matki uderzył i strzaskał je.

Twój

364. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Paryż, 2 maja 1858

Przesyłam Ci poprawiony koniec, a podobną poprawkę każę oddać Królikowi[752]. Format sam obierz i nakaż Królikowi, bo się na tem nie znam. Pamiętaj tylko, że odtąd ten format obowiązującym będzie i dla innych ramot tego samego pisarza. Teraz wezmę się do poprawienia *Ostatniego*.

I mnie bardzo i bardzo niedobrze: osłabłem nadzwyczajnie, ciągle mam jakby febrę, złożoną z dreszczów i spiek. To wiosna tak działa na Ciebie, lecz, jak pojedziesz do Waltera, to obaczysz, że Cię on na nogi postawi.

Proszę Cię, niech wiem, ile będę winien Królikowi. Ściskam Cię z głębi serca. Każ zaraz rozpocząć druk. List Ci tu łączę jakiegoś Kołosowskiego z Krakowa, on Ci całą rzecz z *Glossą* wytłumaczy. Byłem zmuszon, skoro wyszło wydanie, pełne myłek, istny bohomaz, przystać na żądanie Kasi; to, które masz, prawdziwy cud, bo bez jednej myłki[753].

Raz jeszcze Cię ściskam i Bogu i Pani Przenajświętszej powierzam.

365. DO AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

[18]58 r., Paryż, 5 maja

Mój drogi! Nie odpisałem, bo wielka niemoc jest we mnie. Żem był na teatrze, to żaden dowód zdrowia. Cruveilhiera mi sprowadzono, któregoś dnia, com cierpiał mocno, a Rayer[754] był na wsi. Odtąd on mnie leczy, osłabienie coraz dolegliwsze. Dziwią się wszyscy doktorowie niesłychanemu bezładowi systematu nerwowego we mnie, ale poradzić nie umieją. Radziłem się i jasnowidzącej, spotkanej przypadkiem — najdokładniej opisała mi moje stany, ale najdokładniej, grożąc, że dojdę *à des douleurs infernales*[755] — mówiąc, że, gdyby nie taka silna budowa mózgu, to od dawna pod napływem kongestyj byłbym zwariował.

Ostatnie dzieło Proudona wpada już w farsę — każden rozdział zaczyna od prywaty przeciw arcybiskupowi i, kilka kartek o sobie nabazgrawszy, przechodzi do bluźnierstw obiektywnych. Sam nie wierzy w co pisze, ale próżność go gna, a on w błoto brnie. Warto przebiec, by zdumieć się nad nieskończonością próżności. Obrzydliwe, nie dowodzone wcale, lecz nauczające. Przeczytaj, tj. przepatrz!

Jeśli przyszlesz 100 fr., to natychmiast je poszlę Kamilowi Cyprianowi[756].

Dzięki Ci za pamięć o św. Zygmuncie. Pani Delfina wybiera się w tych dniach do Nizzy.

---

[752]*Przesyłam Ci poprawiony koniec, a podobną poprawkę każę oddać Królikowi* — Gaszyński rozpoczął w r. 1858 nowe wydanie Pism Krasińskiego w Paryżu, u Królikowskiego. [przypis redakcyjny]

[753]*Glossa — Ułamek naśladowany z Glossy św. Teresy*, drukowany w odcinku do *Czasu*, a następnie w osobnej odbitce, wyszedł w Krakowie w r. 1858 za staraniem hr. Katarzyny Potockiej. [przypis redakcyjny]

[754]*Cruveilhiera mi sprowadzono, któregoś dnia, (…) Rayer był na wsi* — Jan Cruveilhier i Piotr Rayer, słynni lekarze francuscy. [przypis redakcyjny]

[755]*à des douleurs infernales* (fr.) — do piekielnych cierpień. [przypis redakcyjny]

[756]*poszlę Kamilowi Cyprianowi* — Norwidowi. [przypis redakcyjny]

Ściskam Cię z głębi serca i pani Helenie błogosławię

Twój Zyg.

366. DO STANISŁAWA KOŹMIANA

Paryż, 29 czerwca 1858 r.

Drogi mój! Nie mogłem nawet do Drezna do ojca pojechać. W wilią wyjazdu porwały mię moje womity, później gorączka i kilka dni przeleżeć, jak zwykle-m, musiał. Tymczasem ojciec wrócił do kraju. Tutejsi lekarze wszyscy szlą mię do Plombières. Twierdzą, że nic innego mi nie pomoże. Ja cierpię okrutnie i słabnę coraz bardziej.

Biedny Sheffer! Ks. Orleańska go za sobą do grobu porwała. Na jej pogrzebie zaród śmierci zstąpił mu w pierś — i we trzy tygodnie później na wsi w pobliżu Paryża ducha wyzionął. Już takiego mistrza do malowania dusz nie będzie. Do ciał zdarzą się jeszcze, ale wyrazu ducha tak wydobywać z głębokości zaświatowych i tak kłaść na twarze ludzkie światła promieniem nikt już nie potrafi. I to nie tylko był artysta, ale i człowiek, co nie zawżdy chodzi w parze — nie tylko nie zawżdy, ale i bardzo rzadko. Wierny nadzwyczaj obranym celom, powziętym przekonaniom, ukochanym osobom odważny na pobojowisku wojen domowych, a wzdrygający się przed ich wspomnieniem i za dni czerwcowe nie chcący z rąk Kawaniaka przyjmować komandorskiego krzyża Legii honorowej, matkę ubóstwiający, córkę kochający nade wszystko, w ideał wiecznie zapatrzony, pracowity nad miarę, pełen rozumu i dowcipu, zajmował on ważne stanowisko śród obrońców porządku i wolności zarazem. Czcili go, liczyli nań o godzinach niebezpieczeństwa, gromadzili się koło niego. Gwardia narodowa na jego doznanem męstwie i przytomności umysłu polegała. A przy tem nigdy się nie starał o żadne wyniesienie ni urzędowe blaski. Dom, tj. pracownią, przenosił nade wszystko — nawet nad przyrodę. Światy piękna istnęły w nim samym i on, przyglądając się im, zapominał o świecie. Każden jego obraz podobny do otchłani, w którą z wolna zstępować trzeba na to, by onych głębin całą szerz i ogrom i na dobę i przejrzystość poznać. Zrazu nic Cię nie uderza, ale, im wpatrujesz się dłużej, tem bardziej doznajesz wrażeń, jakie tylko wiekuistne piękno wywierać zwykło. Czujesz, żeś śród dziwnej, nieziemskiej świetlaności, czujesz, żeś w duchów dziedzinie, czujesz, że coś przewybornego i doskonałego Cię otacza i że wielki spokój Cię ogarnia. Niechże spokój, którym arcydzieła jego promieniły wokół, teraz towarzyszy duszy jego na wieki wieków.

Konstantemu dałem list Twój do czytania. Pani Thayer obrazy Drusia odesłała, na wieś wyjeżdżając, do mieszkania p. Newerkerke do Luwru, i tam one czekają na powrót jego z Niemiec, dokąd się udał przed 6-cio tygodniami. Przed tym powrotem nic o losie obrazów nie będziem wiedzieli.

Skoro na pewno sam będę wiedział, dokąd do wód pojadę, doniosę Ci — tylko mi przysyłaj adresa swe, bym mógł na pewno Cię listem dognać. Ściskam Cię z głębi serca

Twój Zyg.

367. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Paryż, 3 grudnia 1858

Dzięki Ci, mój drogi Konstanty! On Cię kochał szczerze i zawsze pamiętał o Tobie. Przed miesiącem jeszcze, pisząc do mnie do Drezna, kazał się Tobie kłaniać. Czcij więc pamięć jego i módl się za nim[757].

Ludność cała Warszawy w nieutulonym żalu odwiedzała pałac, po dwadzieścia tysięcy ludzi bywało co dzień. Biskup oświadczył, że przy takim napływie nie podejmuje się

[757] *Czcij więc pamięć jego i módl się za nim* — ojciec poety, jener[ał] Wincenty Krasiński, zmarł 24 listopada 1858 r. [przypis redakcyjny]

prowadzić ciasną i krótką przestrzenią, od nas do Św. Krzyża, że będzie musiał do fary, i tak się stało z powodu przytoczonego. To współczucie, to oddanie sprawiedliwości zupełnej, choć dopiero trumnie, wielką a jedyną mi pociechą. Po egzekwiach tłumy się nie rozchodziły, czekały wyjazdu zwłok do Opinogóry i chciały aż po rogatki towarzyszyć. Rząd, zdaje się, nakazał tę godzinę wyjazdu w tajemnicy trzymać. Jeszcze nie wiem, co nastąpiło.

Bohaterskiej mojej Elizie Bóg wszechmiłosierny sił poddaje do wytrzymania niewytrzymalnego. Przyciskam Cię do serca. Dzięki Ci!

368. DO KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO

Paryż, 5 stycznia 1859

Drogi mój! Od trzech tygodni bardzo się pogorszył owszem stan moich wnętrzności. Żaden środek nie pomaga na zatrzymanie — i wycieńczenie moje bez granic. Sen mię opuścił, na nogach stać trudno, chodzić niepodobna przez pół godziny, a mózg, jak galareta, co się trzęsie wciąż. Co dobrego, że mnie Louis[758] serdecznie ukochał i strzeże, jak syna. Eliza jeszcze zaraz nie wróci, musi dopełnić testamentu i urządzić dom. Łempicki wielką mi pomocą, wieczorem mi czytuje. Ściskam Cię z głębi serca.

369. DO STANISŁAWA KOŹMIANA

1859 r. 6 stycznia, Paryż

Drogi, bardzo drogi mój! Grom ten taki niespodziany rozsypał mię na szczęty i darmo z nich się staram zebrać nazad siebie samego. To, com od dzieciństwa tak gorąco kochał i uwielbiał, to, co życia mego było sprężyną, bodźcem, błogosławieństwem, opuściło mnie — a tak nagle — a tak dziwnie[759]! Nikt wokół się nie domyślał, ani on sam też, ani Eliza, że 24 listopada, dnia jej przyjazdu, 9-ta wieczorem ostatnią mu będzie godziną — nikt — nikt, i on do nazajutrz odłożył był z nią rozmowę — i, choć na 4 godziny przed 9-tą przybyła w osobnym pociągu od Wrocławia, bohatersko narażająca życie, według zdania administracji kolei, gdyż czasu nie mieli już ostrzec rozmaite krzyżujące się po drodze pociągi, nie ujrzała go, aż w samą, samą ostatnią chwilę. Ah, ten wieczór ciągle we mnie i żywot ma swój własny, osobny w mózgu moim.

Jakżeż Twe serce kobiece ku mnie pełne odgadnień! Odgadłeś w istocie, czego najnieodzowniej mi potrzeba — takiego Długołęckiego. Lecz uwag Ci kilka zrobię: 1° Poznańczycy prawie nigdy nie udają się w Królestwie — przybywają z olbrzymią zarozumiałością, nie znają miejscowych szczegółików i źle prowadzą rzeczy — 2° Jeśli on się we wkładach kocha, to nie zda mi się, gdyż, owszem, potrzeba mi takiego, coby mię od nich obronił. Wyobraź sobie, że Karpiński przez te trzy lata ostatnie najdroższemu mojemu odeszłemu zjadł 600 000 zł. z kapitału, a dlatego nie świetniej dziś stoi Opinogóra, bo w bezładzie i ruinie — pojmiesz więc, że po takim ubytku ja już nie mam z czego wkładać czyli w otchłań rzucać. — 3° Może zanadto pan wielki zeń na mnie — i żądać będzie bajońskich pensji. — 4° Co to znaczyć ma, że za ciężki? Mnie potrzeba takiego, co z Warszawy wciąż by zbiegał, jak ze środka, na wszystkie punkta dóbr rozsypanych i wszędzie dojechał — rządców trzymał w należytej ryzie — o wszelkiej niedokładności lub nieuczciwości w ich postępowaniu wiernie mi donosił, radził mi nie utopie, ale jak najpraktyczniej w celu podniesienia stopniowego dóbr a szczególnie wynalazł sposób przetworzenia całej administracji opinogórskiej i ocalenia ordynacji, dziś, powtarzam, prawie już zrujnowanej pod zarządem Karpińskiego. Musiałby także i o prawnych interesach mieć wyobrażenie na to, by mi zdanie dawać zdrowe o nadarzających się czasem, *alter ego*[760] by winien być, ale nie żadnym *maire du palais*[761], jedno pytającym się o mój rozstrzygną i wykonywają-

[758] *Louis* — lekarz. [przypis redakcyjny]
[759] *To, com od dzieciństwa tak gorąco kochał (…)* — mowa o śmierci jenerała Krasińskiego. [przypis redakcyjny]
[760] *alter ego* (łac.) — drugi ja. [przypis redakcyjny]
[761] *maire du palais* (fr.) — marszałek dworu. [przypis redakcyjny]

cym go ściśle przy podawaniu zawsze rady i zdania własnego. — Jeśli Długołęcki zdał się na to wszystko, to rad bym z nim zawiązać stosunki, wiedzieć, ile żąda, a gdybym mógł przystać, sprowadzić go tu na rozmówienie się osobiste z nim.

Siostra Twoja, Pani Przewłocka, zaleca mi ogromnie jakiegoś Golińskiego (mylę się może), co 14 lat prowadził interesa Henryka Łubieńskiego. Lecz smętno one poszły. Co tu dobrego, że ten człowiek wciąż w Królestwie przebywał. Proszę Cię, odpowiedz mi na punkta te wszystkie i nie zaprzestań mię ratować w niedoli. Stan zdrowia bardzo pogorszył się u mnie. — Nie sposób mi dalej, takem wycieńczon. Dzięki raz jeszcze. Ściskam Cię z serca głębi.

Twój Zyg.

Druś dla mnie istotnie podporą, pociechą, klejnotem współczucia, opiekuńczym duchem.

370. DO STANISŁAWA KOŹMIANA

Paryż 1859, 22 stycznia

1. Mój *alter ego* powinien być[762] tem „okiem pańskiem, co tuczy konia", tem okiem pańskiem, co ogarnia całość a zarazem najdrobniejsze widzi szczegóły, wszelkiej szkody dostrzega i możliwość wszelakiej korzyści wynajduje, co trzyma wzrokiem podrzędnych oficjalistów w przynależnych karbach i zbytków im żadnych nie dozwala, tem okiem, którem ja być sam nie mogę z powodu ciężkiej choroby. 2. Powinien mieszkać w Warszawie jako w środku koła, którego okrąg zakreślon rozmaitemi dobrami mojemi: ordynacją Opinogórską o 8 mil odległości, Czermienikami o 20, Potokiem o 10 go-dzin kolei, Kodniem o 24 godzin pocztą, a na Litwie dobrami Kamienieckiemi tuż pod Brześciem Litewskim i Knyszynem zaraz na granicy Królestwa, pod Tykocinem, położonym. Ze środka do okręgu powinien zbiegać, ilekroć nadarzy się potrzeba, ilekroć mu ją wskażę lub sam ją uczuje — bo nieustannie kontrolować powinien działania rządców po dobrach, stan tychże dóbr i zastanawiać się nad środkami, nie gwałtownemi i szalonych nakładów wymagającemi, ale powolnemi a pewnemi ulepszenia ich bytu. Pod tym względem najgłębiej musi rozważyć położenie ordynacji Opinogórskiej, która od lat 4-ch 600 000 zł. pols. pożarła nakładu mojemu ojcu, a dlatego się nie podniosła, i na którą łożyć już nie mogę, bobym resztę kapitału zmarnował, i to nadaremno. Trzeba będzie rozważyć, czy, zatrzymawszy kilka środkowych folwarków przy sobie, nie będzie korzystniej resztę wydzierżawić. — 3. Będzie musiał osobliwie zwrócić uwagę na administrację dóbr i starać się o zmniejszenie wszędzie ogromnej liczby oficjalistów, których etaty, jak szarańcza, pożerają intrat część wielką. Zatem doskonale znać się powinien na organizmie administracyjnym i umieć go kształtować i przekształcać. — 4. Do biura jego warszawskiego zewsząd gromadzić się będą raporta, rachunki, zdania sprawy, słowem, co tylko uzna za potrzebne i z dóbr miesięcznie przesyłać sobie każe, a czego ostateczną treść mi udzielać będzie. — 5. Zajmie się też, gdy do tego w Królestwie przyjdzie, przeprowadzeniem przemiany stosunków włościańskich, z góry pod tym względem rządcami wszystkich majątków kierując. — 6. Lecz musi się przygotować, przenosząc się do Królestwa, na widok nowej krainy, zupełnie różnej od Poznańskiego, szczególnie pod względem legalności i regularności pruskiej. Z temi podaniami rozstać się trzeba, nie myśleć nawet o przeprowadzeniu czegoś podobnego z tamtejszą biurokracją, ale śród bezładu, bezprawiów i wielu dziwacznych zdarzeń swoje spokojnie prowadzić, ucząc się mapy moralnej nowych stosunków i odmiennego położenia. 7. Oczywistem jest, że się takie zwierzchnie stanowisko oddaje tylko całkiem ufność posiadającemu. Gorące zalecenia i pochwały jenerała Chłapowskiego takową we mnie wzbudziły — i w dowód jej udaję się do samego pana Długołęckiego z zapytaniem, czy poczuwa się sam do chęci i możności objęcia takiego stanowiska i bycia na niem ochronicielem i zachowawcą i ulepszycielem majątku mego, na którym mu oświadczam, iż grosza długu nie mam.

[762]*Mój alter ego powinien być* — jest to uzupełnienie listu poprzedniego, ostatnie, jakie wyszło spod ręki poety, który zmarł 23-go lutego 1859 r. [przypis redakcyjny]

Zygmunt Krasiński

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: http://www.wolnelektury.pl/katalog/lektura/listy-wybrane

Tekst opracowany na podstawie: Zygmunt Krasiński, Listy wybrane, oprac. Tadeusz Pini, wyd. Parnas Polski, Warszawa 1937.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl). Reprodukcja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska, Michał Ziora.

ISBN 978-83-288-0408-1

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.